

DAVID WEBER

NA ZNAK TRYUMFU

DZIEWIĄTY TOM CYKLU „SCHRONIENIE”



DAVID WEBER

NA ZNAK TRYUMFU

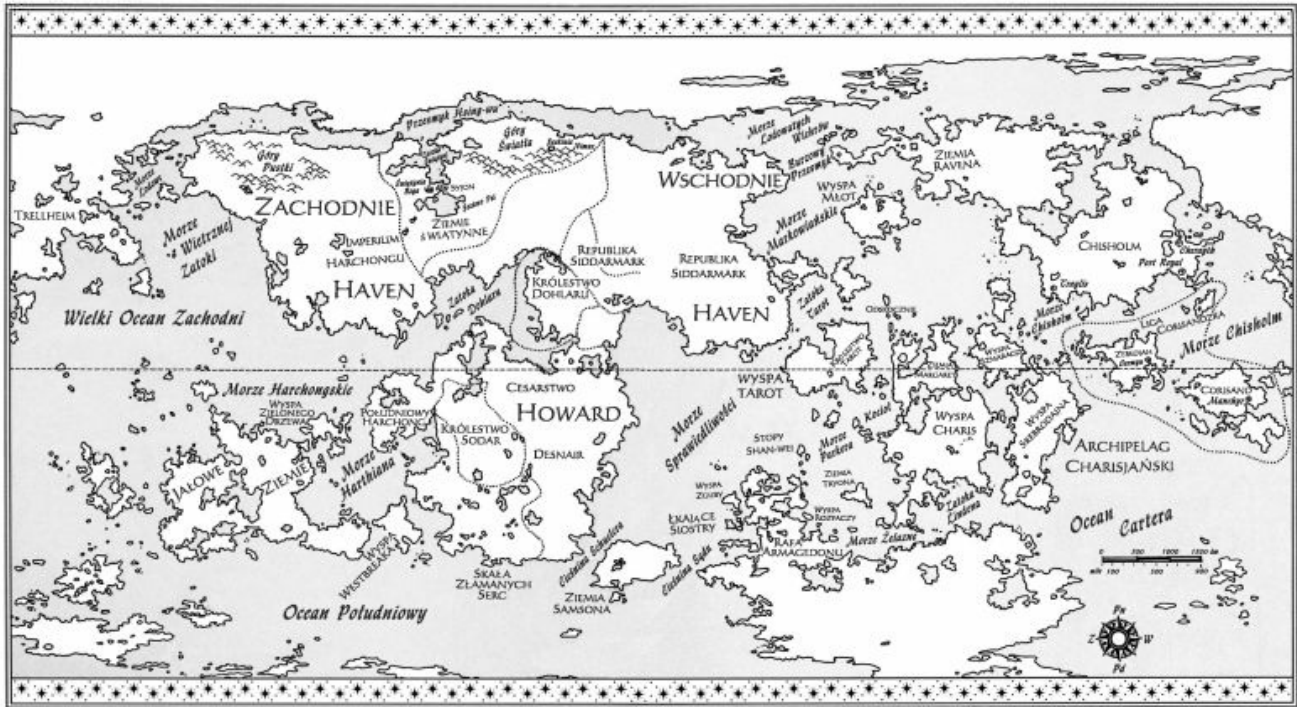
Przełożył Robert J. Szmidt

Dom Wydawniczy REBIS

W cyklu SCHRONIENIE dotychczas ukazały się:

**Rafa Armagedonu
Schizmą rozdarci
Herezją naznaczeni
Potężna forteca
Fundamenty wiary
Trud i cierpienie
Niczym potężna armia
Fundamenty piekła drżą
Na znak tryumfu**

*Dla ks. George'a Ansona Clarke'a.
Naprawdę słuchałem przed półwieczem,
i ksiądz miał rację!*



Wszystkie mapy Schronienia można znaleźć pod linkiem:

<http://www.davidweber.net/downloads/index/recent/series:6/key:maps>

PAŹDZIERNIK
ROKU PAŃSKIEGO 897

.I.
Siedziba hrabiego Thirsku
Gorath
Dohlar

Wybacz najście, mój panie, ale musimy porozmawiać.

Hrabia Thirsku wpatrzył się w czarnowłosego, szafirowookiego gwardzistę, który zniemacka pojawił się w jego gabinecie. Mieszanina szoku i niedowierzania sprawiła, że zamarł bez ruchu na krześle, zapominając na moment o nieżyjących bliskich. Znał tego człowieka i wiedział, że żadną miarą nie może się on tutaj znajdować. Nie w Gorath. Przebywał przecież ze swoim cesarzem w Siddarze, prawie trzy i pół tysiąca mil od tego miejsca. Wszyscy o tym wiedzieli. A nawet gdyby jakimś cudem się przemieścił na taką odległość, nie było sposobu, aby osoba w liberii Ahrmahków dostała się do serca stolicy Dohlaru niezauważona i niezatrzymana.

Jakkolwiek było, Merlin Athrawes stał jakby nigdy nic w progu gabinetu hrabiego Thirsku, który w końcu sięgnął ręką do pasa, gdzie jednak namacał pustkę zamiast oczekiwanego sztyletu.

– Zapewniam cię, panie, że nie mam złych zamiarów względem nikogo z obecnych pod tym dachem – zapewnił niespodziewany gość. – Niemniej byłbym ci wdzięczny, gdybyś nie narobił rabanu. – Poglądził węża i uśmiechnął się przelotnie. – W przeciwnym razie powstanie chaos, wśród którego może ucierpieć niejeden człowiek.

Krople deszczu uderzały o szyby, strumyki ściekały z dachówek i wirowały w rynnach, zalewając brukowane ulice bądź wpadając kaskadami do studzienek odpływowych. Gdzieś w gęstych chmurach na nocnym niebie zaśniła błyskawica, której towarzyszył odległy grzmot. Widoczność na ulicach Gorath była kiepska nawet przy dobrej pogodzie, jako że nieliczne latarnie dawały tylko mdły blask, który teraz, podczas ulewy, nie mógł przebić wszechobecnego mroku. Może to tłumaczyło, jak Athrawesowi udało się dostać aż tutaj niepostrzeżenie. Ledwie hrabia

Thirsku to pomyślał, uświadomił sobie, że czarna zbroja gościa i wystająca spod niej równie ciemna tunika, jak również krucze włosy są całkowicie suche. To zrodziło nowe pytania, nad którymi hrabia wolał się nie zastanawiać. *Cóż znaczy taki drobiazg jak suche włosy i odzienie, skoro doszło do niemożliwego?*

Głos, który usłyszał we własnej głowie, zabrzmiał wyjątkowo trzeźwo, biorąc pod uwagę ilość whiskey spożytą przez niego tego wieczoru.

Athrawes zamknął za sobą drzwi i przeciął pomieszczenie na wskroś w zupełnej ciszy, gdyż stąpania jego – suchych oczywiście – butów tłumił miękki dywan. Zatrzymał się kilka kroków od hrabiego Thirsku, który wciągnął ze świstem powietrze, dostrzegłszy w świetle lampy rewolwery w kaburach na obu biodrach, jak również zakrzywione ostrze wystające znad ramienia *seijina*. Bóg Jedyny raczył wiedzieć, ilu ludzi unicestwiła ta broń. Hrabia Thirsku poczuł jeszcze większy chłód na myśl, jak Inkwizycja wyjaśniłaby tajemnicze pojawienie się przybocznego cesarza Imperium Charisu w tym miejscu i o tej porze.

– Czy twoje zapewnienie dotyczy także mojej osoby? – zapytał słabo hrabia Thirsku. O dziwo, jego głos sprawiał równie naturalne wrażenie jak głos Athrawesa. – Bo nie sądzę, abys miał w tym mieście więcej celów.

– O, możesz mi wierzyć, mój panie – odparł Athrawes z uśmiechem – że celów mi nie brakuje. Co nie znaczy – uśmiech zniknął w mgnieniu oka – że Charis nie ma i z tobą na pieńku.

– Tak, wiem. – Hrabia Thirsku poprawił się na krześle i zaraz sięgnął zdrową ręką do drugiego ramienia, które przeszył nagły ból. – Nie winiłbym Cayleba, gdyby przysłał cię tu po to, byś wymierzył mi taką samą karę, jaka spotkała inkwizytorów na polu bitwy. Nie miałbym też nic przeciwko temu, jeśli chcesz znać prawdę. Już mi wszystko jedno. –

Wargi mu drgnęły w parodii uśmiechu. – Wierzę, że rozprawiłbyś się ze mną szybko, *seijinie*, bez względu na to, czy jesteś demonem czy nie. To znacznie więcej, niż mógłbym oczekiwać od większości znanych mi osób. Tak czy owak wyświadczyłbyś mi swego rodzaju przysługę.

W miarę jak szok mijał, brał go w posiadanie ból silniejszy od jakiegokolwiek fizycznego cierpienia; hrabia Thirsku czuł, jak pazury niczym z ognia i lodu szarpiały jego serce udęczone śmiercią najbliższych.

– Rozumiem, skąd u ciebie takie podejście, mój panie.

W głosie Athrawesa nie było cienia gniewu. Jeśli już, przebijało z niego współczucie, co tylko się przyczyniło do wzmożenia bólu dręczącego hrabiego Thirsku. Arystokrata wiedział, że nie zasłużył na litość żadnego Charisjanina, skoro pozwolił na to, aby ludzi, którzy poddali się jego marynarzom, spotkał taki straszny los. W dodatku w głowie dźwięczały mu słowa z Księgi Bédard: „Okaz dobroć tym, którzy tobą gardzą, i odpłać uśmiechem tym, którzy cię szkalują, gdyż tym sposobem węgle żarzące zgromadzisz na ich głowę”. Słyszał je przez całe swoje życie, lecz dopiero teraz zrozumiał ich przesłanie. Słyszając współczucie w głosie Athrawesa, widząc litość osoby, która miała wszelkie powody, aby go nienawidzić, hrabia Thirsku załamał się pod poczuciem winy, świadom, że Athrawes powinien raczej go nienawidzić. Miał takie wrażenie, jakby jego duszę miażdżył młot Shan-wei.

– Naprawdę to rozumiem – powtórzył Merlin. – Uważam jednak, że zbyt wcześnie na ten krok. Masz jeszcze wiele do zrobienia, mój panie.

– Jestem bezsilny, *seijinie!* – Hrabia Thirsku nieoczekiwanie wybuchnął, powodowany żalem i winą. – Ten drań z Syjonu już się o to postarał!

– Może nie do końca – wtrącił Athrawes.

Hrabia Thirsku wbił w niego wzrok. Gwardzista Cayleba musiał wiedzieć, co stało się z jego rodziną – cały świat o tym wiedział! Poczerwieniały na twarzy arystokrata już otwierał usta, aby rzucić jakąś kąśliwą ripostę, lecz Merlin powstrzymał go uniesieniem dłoni.

– Dziś jestem posłańcem nie tylko Cayleba i Sharleyan, mój panie. Przynoszę również wiadomość od kogoś innego.

– Ciekawe kogo – zareagował ostro hrabia Thirsku.

– Od twych córek – odpowiedział cicho Athrawes.

– Jak śmiesz przychodzić do mnie i twierdzić...?! – Tylko tyle zdołał z siebie wyrzucić, zanim poderwał się z krzesła, nie bacząc na ból rozdzierający mu ramię.

Moment później stał w wyzywającej pozie przed uzbrojonym po zęby i przewyższającym go o dwie głowy *seijinem*, wyposażony zaledwie we własną wściekłość.

– Mój panie, twoje córki żyją – oznajmił niewzruszony Athrawes. – To samo dotyczy twych wnuków i zięciów.

Lywys Gardynyr uniósł zaciśniętą pięść, gotów przypościć atak na górującego nad nim Charisjanina, który śmiał natrzęsać się z jego straty. Athrawes nie uczynił żadnego ruchu, aby uniknąć uderzenia. Stał dalej jakby nigdy nic z rękami skrzyżowanymi na piersi. Sam jego wzrok wystarczył jednak, aby pięść arystokraty zamarła w pół ruchu.

Hrabia Thirsku zdążył pomyśleć, że oczy *seijina* są bardzo ciemne, zgoła czarne w blasku lampy, choć – jak wiedział – były szafirowe. Bez względu na kolor wpijały się w arystokratę, nie przejawiając śladu kpiny czy okrucieństwa. To właśnie sprawiło, że hrabia Thirsku przemyślał swoje zachowanie i odstąpił od skazanego na porażkę ataku.

Równocześnie nie miał wątpliwości, że słowa Athrawesa to pułapka, i to najgorsza z możliwych. Wiadomość, którą hrabia Thirsku przed chwilą usłyszał, otwierała drzwi upragnionej ewentualności, groziła rozszczelnieniem zbroi akceptacji, zmiękczała jego serce i pozwalała mu mieć nadzieję...

– Chcesz mi powiedzieć, że Imperium Charisu posiadało zdolność przywracania ludzi do życia? – zapytał gorzko, po tym jak już stłumił rodzącą się otuchę. – Nawet sam Langhorne tego nie potrafił! Ale nie na darmo Shan-wei nazywa się Matką Kłamstwa...

– Nie na darmo – potwierdził Athrawes z powagą. – Nie mogę cię winić za ten sceptycyzm, mój panie. Jednakże wiedz, że twoja rodzina nie przebywała na pokładzie *Świętego Frydhelma*, gdy doszło do wybuchu. Płynęli szkunerem w towarzystwie moich dwóch... przyjaciół.

Hrabia Thirsku zamrugął. Przez chwilę stał bez ruchu, zanim w końcu potrząsnął głową niczym stary, zdumiony niedźwiedź.

– Co takiego?

To krótkie pytanie zostało wypowiedziane głosem spokojnym. Zbyt spokojnym. Jasno wskazywało na szok nawet większy niż ten, który zrodziło nagłe pojawienie się *seijina* w gabinecie. Zarazem można było mieć pewność, że mężczyzna, który je wypowiedział, robi wszystko co w jego mocy, aby nie uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał.

Merlin sięgnął do mieszka noszonego przy pasie. Gdy wyciągnął dłoń ze środka, arystokrata sapnął z wrażenia na widok lśnienia złota leżącego na pokrytej odciskami dłoni gwardzisty. Znowu niedowierzanie, ale tym razem także strach sprawiły, że hrabia Thirsku zamienił się w nieruchomy głaz. Słyszając w tle szum deszczu i trzaskanie drewna

płonącego w kominku, nie spuszczał wzroku z medalionu, którego, jak sądził, już nigdy nie zobaczy. Nie był w stanie zmusić się, aby go dotknąć, przez dobre dziesięć sekund. W końcu jednak wyciągnął przed siebie drżącą dłoń, a Athrawes obrócił rękę, aby przekazać mu medalion wraz z cienkim złotym łańcuszkiem.

Hrabia Thirsku trzymał w palcach medalion i spoglądał na twarz szarookiej, złotowłosej młodej kobiety przez naprawdę długą chwilę. Wreszcie podniósł spojrzenie na Merlina Athrawesa, z którego oczu wyzierało to samo współczucie, jakie wcześniej dało się słyszeć w jego głosie.

– Mój panie, nie wątpię, że przedmiot ten mógłby trafić w moje ręce na wiele różnych sposobów, z których praktycznie żaden nie byłby wiele lepszy od tego, co twoim zdaniem spotkało lady Mahkzwail. Nie sądzisz chyba jednak, że wydobyłbym go z dna Zatoki Dohlariańskiej, co?

Hrabia Thirsku odwrócił medalion w dłoni, aby przyjrzeć się splecionym inicjałom na jego tylnej stronie. Choć sprawiło mu to trudność przy tylko jednej sprawnej ręce, umieścił paznokiec kciuka w wąskiej szczelinie i napał nim, dzięki czemu medalion z przeszklonym frontem otworzył się, ukazując drugi wizerunek. Teraz patrzyła na niego jego własna podobizna, równie młoda jak podobizna ukochanej Kahrmyncetah.

Wpatrywał się długo w tę zamierzchłą wersję Lywysa Gardynyra, a w końcu zatrzasnął medalion i oplótł go mocno palcami. Nie wykluczał, że ktoś w Imperium Charisu dowiedział się, że jego córka Stefyny nosiła tę błyskotkę na szyi w dzień i w nocy. Istniała nawet możliwość, że inicjały zdobiące tylną stronę medalionu przestały być tajemnicą. Mało prawdopodobne jednak było, aby zwykły śmiertelnik zdołał stworzyć równie idealną kopię. Zatem jeśli Cayleb i Sharleyan jednak nie służyli demonom...

– Jak? – Nogi odmówiły mu nagle posłuszeństwa. Runął z powrotem na siedzisko krzesła, nie zwracając najmniejszej uwagi na przenikliwy ból ramienia. – Jak?!

– Mój panie, Cayleb i Sharleyan od lat wiedzieli, że Grupa Czworoga szantażuje cię, grożąc ci śmiercią twoich bliskich. Clyntahn jest zdolny do najgorszych okropieństw, o czym przekonało się już na własnej skórze wiele osób. Gdyby wielki inkwizytor był w stanie inspirować wiernych

choćby w części równie skutecznie, jak ich przeraża, Kościół Matka być może nie przegrywałby świętej wojny. Strach jednak to niepewna broń: gdy nagle znika zagrożenie, dotychczasowy oprawca pozostaje bezradny. To chyba zrozumiało, że Cayleb i Sharleyan postarali się wytrącić broń z ręki Clyntahna, skoro było to w ich mocy.

– Ale...

– Mój panie, z pewnością zauważyłeś, że nasi szpiedzy nie mają sobie równych. – Uśmiech Athrawesa stał się na mgnienie oka łajdacki. –

Dzięki temu wiedzieliśmy o planach Clyntahna, aby przenieść twoich bliskich do Syjonu, na długo przed tym, zanim ty się o tym dowiedziałeś. Trochę czasu zajęło nam odkrycie, jak zamierza ich tam przetransportować, jednakże gdy stało się to dla nas jasne, bez trudu opanowaliśmy *Świętego Frydhelma*. Pogoda nam sprzyjała, a zdobycie pokładu przez moich przyjaciół poszło jak z płatka...

Mimo że hrabia Thirsku od dłuższej chwili był bombardowany niespodziankami, nie zatracił ducha marynarza, którym był przez ponad pół wieku. Dlatego też zrobił zdumioną minę, co z kolei wywołało prychnięcie Athrawesa.

– Wszyscy uparli się nazywać mnie *seijinem* – podjął Merlin. – To chyba normalne, że ja i moi przyjaciele od czasu do czasu zachowujemy się tak, jak na prawdziwych *sejinów* przystało. Nie należy także zapominać o Irys i Daivynie. Skromność każe mi zauważyć, że Gwyliwr i Cleddyf nie mieli trudniejszego zadania niż ja wtedy. A już na pewno uporali się z nim szybciej! Tak czy owak, ratowanie ludzi zaczyna nam wchodzić w krew. Niewykluczone, że gdy wojna dobiegnie końca, przekwalifikujemy się właśnie w ten sposób. Żeby nie wyjść z wprawy.

Arystokrata ponownie zamrugał – tym razem z rodzącej się w nim wściekłości, że Athrawes pozwala sobie na żarciki w takiej chwili! Zamiast jednak wybuchnąć, hrabia Thirsku zaczerpnął głęboko tchu dla uspokojenia się.

– Pojmuję, *sejinnie*. Pojmuję. – Skinął głową. – Niemniej nie należy zapominać o załodze galeonu wojennego. Ktoś musiał się nią chyba zająć?

– Oczywiście. – Rozbawienie zniknęło z twarzy Merlina, który spoważniał w jednej chwili. – *Seijin* Gwyliwr postarał się, aby twoi bliscy trafili na łódź rybacką, gdzie... pozwól, że dodam... twoi zięciowie

i młodzi Ahlyxzandyr i Gyffry także mieli swój udział w sukcesie. Tymczasem *seijin* Cleddyf upewnił się, że załoga galeonu nie wejdzie im w paradę.

Hrabia Thirsku zmierzył poważnego Athrawesa przeciągłym spojrzeniem, po czym skinął wolno głową. Przypomniały mu się opowieści o tym, jak Merlin Athrawes wyciął w pień załogę aż trzech corisandzkich galer. I jak przedarł się przez ścianę mieczy i włóczy, biegnąc na pomoc królowi Haarahldowi, ówczesnemu władcy Charisu. Jak sam jeden obronił pokład okrętu flagowego przed co najmniej dwiema setkami przeciwników, podczas gdy jego śmiertelnie ranny władca oddawał ostatnie tchnienie w ramionach zwykłego marynarza. Wszystko to nie mieściło się w głowie zwykłemu człowiekowi, lecz mimo to takie historie były podawane z ust do ust przy piwie i przy whiskey, ilekroć w pobliżu nie było żadnego inkwizytora. Hrabia Thirsku, który brał udział w niejednej bitwie, nie wierzył w nie... aż do dzisiaj.

– Ci marynarze zasługiwali na lepszy los – dodał Athrawes schrypniętym głosem. – Jednakże Clyntahn wydał na nich wyrok śmierci, z chwilą gdy umieścił twoich bliskich na pokładzie tego okrętu.

– Wyszadziliście go, czy tak? – zapytał arystokrata, chociaż znał odpowiedź.

– Tak – potwierdził Merlin. Nozdrza mu się nadęły, ale nie odwrócił wzroku. – Nie mieliśmy wyboru. – Gdyby Clyntahn choćby podejrzewał, że twoi bliscy żyją, nie wspominając o tym, że pozostają w rękach Charisjan, raczej byśmy teraz nie rozmawiali. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

– To prawda. – Hrabia Thirsku odezwał się ledwie słyszalnie, kiwając głową. – Szczera prawda.

Po tych słowach zapadła cisza, wzmagana jeszcze przez dudnienie deszczu. Trwała kilka dobrych sekund, zanim arystokrata poprawił się na krześle, nadal nie wypuszczając z zaciśniętej dłoni medalionu.

– Domyślam się – podjął – że teraz to ty będziesz mnie szantażował. Właściwie nie mogę cię winić. Bóg Jedynej świadkiem, że twój cesarz ma wszelkie powody mnie nienawidzić. Na jego miejscu nigdy bym nie zapomniał łaski, którą okazał na Rafie Armagedonu, i tego, co spotkało z dohlariańskich rąk jego własnych ludzi.

– Cóż, nie będę ukrywał, mój panie, że zarówno cesarz z cesarzową,

jak i ja mamy to wyryte w pamięci na zawsze. Poznałeś jednak Cayleba. Jak możesz sądzić, że wykorzysta twoje dzieci i wnuki w charakterze broni na tej wojnie? Wolałby umrzeć, niż zamienić się w Zhaspahra Clyntahna!

Szafirowe oczy przepełniła wściekłość, na co Lywys Gardynyr poczuł wstyd, gdyż istotnie poznał Cayleba i znał człowieka, który ukrywał się za legendą cesarza Imperium Charisu. Z drugiej strony jednak miał świadomość, czym jest wojna i jakie środki się na niej wykorzystuje.

– *Seijinie*, nawet gdybym żył dwakroć dłużej niż do tej pory, nie zdołałbym wyrazić wdzięczności, którą teraz czuję. Razem z Caylebem przywróciliście w moich oczach życie moim bliskim, a zrobiliście to, jak wierzę, ponieważ waszym zdaniem był to właściwy postępek. –

Potrząsnął głową ze zdumienia, że tak właśnie przedstawia się prawda. – Jednakże Cayleb jest cesarzem, który w dodatku prowadzi wojnę z Kościołem Matką. Z pewnością dostrzega możliwość, ba, nawet coś więcej niż możliwość, konieczność zgoła, by skłonić mnie do zachowania, które byłoby po jego myśli. W przeciwnym razie nie byłby godny miana władcy jakiegokolwiek imperium. Ale Cayleb nie musi grozić moim bliskim, aby osiągnąć swój cel!

– Oczywiście, że nie – przytaknął Merlin. – Wystarczy, że świat dowie się o dobrym samopoczuciu twoich bliskich, jak również o fakcie przetrzymywania ich przez Charisjan. Naturalnie Clyntahn wszystkiemu zaprzeczy, gdyż taka wiadomość gryzie się mocno z wizją, którą od dawna roztacza. Rzecz jasna, wielki inkwizytor zda sobie sprawę, jak niebezpiecznym narzędziem się stałeś w rękach Imperium Charisu; narzędziem, które nagle sam przestał kontrolować. Jego reakcję łatwo sobie wyobrazić. Na nieszczęście dla niego jednak Cayleb i Sharleyan wolą, abyś pozostał przy życiu i nie przedzierzgnął się w męczennika.

– Domyślam się, że z czystej dobroci serca – wtrącił sucho hrabia Thirsku.

– Możesz nie wierzyć, mój panie, ale oni naprawdę mają dobre serca. Chociaż masz rację, w tym wypadku w grę wchodzi także ich zobowiązania, których są świadomi w równym stopniu, jak ty jesteś świadom swoich obowiązków. Tak czy owak nie stanowią zagrożenia dla twojej rodziny. Na pewno nie wyjawią światu faktu ocalenia twych

dzieci i wnuków. Obawiam się jednak, że nie uczynią też tego, o co poprosiła nas lady Stefyny.

– A co takiego Ste... – zaczął Lywys Gardynyr, ale zaraz przerwał i pokręcił głową. – No tak. Już wiem. Stefyny pragnęła, abym i ja został „ocalony”.

– Lady Stefyny bardzo cię kocha – powiedział Athrawes, a hrabia Thirsku uśmiechnął się na tę dwuznaczność. – Aczkolwiek nie z jej powodu tu jestem, niestety – dodał *seijin*, nie tając zawodu w swoim głosie. – Przynoszę ci to. – Wydobył z mieszka przy pasie grubą kopertę, zapieczętowaną woskiem. – List jest krótszy, niżby sobie życzyła, a to dlatego, że wiedziała, iż posłaniec nie zabawi w Gorath zbyt długo, a przecież chciała, abyś zdążył napisać odpowiedź. Właściwie powinienem już się zbierać, ale dam ci około kwadransa na lekturę i napisanie paru słów. Poza tym – dorzucił, wyciągając przed siebie rękę z kopertą – muszę cię poprosić, abyś spalił ten list zaraz po przeczytaniu. Lepiej, aby nie wpadł w łapy Inkwizycji.

Hrabia Thirsku obrzucił wzrokiem kopertę, po czym praktycznie wyrwał ją z dłoni Athrawesa, jak tylko rozpoznał charakter pisma córki.

– Przypuszczam, mój panie, że w środku znajdziesz jej wersję wydarzeń. *Seijin* Cleddyf obiecał, że dostarczę ten list nieprzeczytany, co też uczyniłem, i choć nie mogę być pewien, sądzę, że spisana wersja wydarzeń nie będzie się różnić znacząco od tej, którą ci przedstawiłem ustnie. Nie spodziewam się jednak, aby całkowicie się pokrywały. W końcu perspektywa tych dwojga nie jest taka sama. – Merlin uśmiechnął się przelotnie. – Moim zadaniem jest przekazanie ci wiadomości od Cayleba.

– Mianowicie?

– Wiadomość jest prosta. Nadmienię, że niegdyś zasiadaliście naprzeciwko siebie przy stole, a musisz wiedzieć, że Cayleb ma niebywałą zdolność przeniknięcia drugiego człowieka na wskroś. Tak też się stało z tobą. Cesarz żywi więc pewność, że nie wszystko z tego, co robi Kościół Matka, ci się podoba. Zważ, że powiedziałem „Kościół Matka”, a nie „Bóg Jedyny”. To duża różnica, którą bez wątpienia zdążyłeś już pojąć.

– Nie będę udawał, że nie rozumiem twoich słów. Jednakże nikczemność i zepsucie Clyntahna nie znaczy jeszcze, że Cayleb

Ahrmahk i Maikel Staynair mają prawo sprzeciwić się woli Boga i Jego Kościoła.

– Bynajmniej nie wierzysz, że ci dwaj dostojnicy sprzeciwiają się woli Boga – posłał szybką ripostę Athrawes. – I zapewne nigdy w to nie wierzyłeś. A nawet jeśli tak było, zmieniłeś zdanie już dawno temu.

Słowa *seijina* zawisły w powietrzu niczym wyzwanie, którego jednak hrabia Thirsku nie zdecydował się podjąć. Patrzył tylko twardo na rozmówcę w pełnym milczeniu, ani nie potakując, ani nie zaprzeczając.

– Mój panie, jak już wspomniałem, czas mnie nagli. Ciebie czeka lektura listu i napisanie odpowiedzi na niego, a przede mną długa droga. Dlatego będę się streszczał. Cayleb i Sharleyan nie żądają niczego w zamian za zapewnienie twoim bliskim bezpieczeństwa. Poza tym w pełni rozumieją, że zostałeś wychowany w wierze w Boga Jedyneego jako wierny syn Kościoła Matki, no i że masz swoje zobowiązania wobec Dohlaru i wobec floty, którą dowodzisz. Człowiek honoru, taki jak ty, właściwie nie ma wyboru, no chyba że ktoś wykorzysta przeciwko niemu argument dobrostanu najbliższych. Cayleb i Sharleyan jednak nigdy by tego nie zrobili. Nie spodziewają się po tobie zdrady ani jej na tobie nie wymuszą. Gdyby to uczynili, okazaliby się nie lepsi od Grupy Czworoga, a że tego nie chcą z całych sił, przysłali mnie do ciebie z najokrutniejszym darem na świecie. – Obdarzył hrabiego Thirsku uważnym spojrzeniem. – Mowa o wolności, mój panie. Oto, co daruje ci Charis. Jesteś wolny i możesz postępować wedle własnego uznania, czyniąc to, co twoim zdaniem słuszne... bez względu na konsekwencje.

LISTOPAD
ROKU PAŃSKIEGO 897

.I.

Kanał Sheryl–Seridahn
Marchia Południowa
Republika Siddarmarku

Cholera – zaklął porucznik Klymynt Hahrlys z wielkim uczuciem, odepchnąwszy się od podłoża obiema rękami, aby wydobyć prawą nogę z głębokiego błota, które właśnie zabrało mu jeden but.

– Fakt, robi się nieciekawie – przyznał sierżant Gyffry Tylllytsyn i kierowany współczuciem pokonał kawałek mazistej brei, aby wyciągnąć do przełożonego pomocną dłoń.

Hahrlys splunął siarczyście, złapał podaną mu rękę i niezgrabnie podniósł się do pozycji stojącej przy wydatnej pomocy podwładnego. Palce nagiej stopy skurczyły się pod wpływem zimnego, mokrego błota, które je oblepiało. Porucznik otarł z twarzy błotnistą maź, podczas gdy sierżant schylił się, aby po omacku szukać straconego buta. Tylllytsyn gmerał rękami pod powierzchnią przez krótką chwilę, po czym wydał z siebie zadowolone sapnięcie, kiedy jego palce natrafiły na zgubę. Musiał użyć całej siły muskularnych ramion, aby wydobyć but z głębokiego dołu, który maskowało bagno. Odniósłszy sukces, odwrócił but cholewką do dołu i wylał ze środka strumień koloru i gęstości owsianki. Gdy w końcu rwący strumień zamienił się w wąły strumyczek, potrząsnął butem, aby pozbyć się ostatnich kropli brei, i dopiero wtedy wręczył zgubę właścicielowi.

– Chyba najlepiej będzie, jeśli wesprze się pan na moim ramieniu, dopóki nie przebrniemy tego odcinka – rzucił sierżant. – Nie zaszkodziłoby też, gdyby przekonał pan kwatermistrza, że przydałaby się panu nowa para butów. – Skrzywił się mocno. – Tak, najwyższa pora sprawić sobie kamasze jak się patrzy, ze sznurówkami i w ogóle. Te będzie bardzo trudno doczyścić i dosuszyć.

– Skąd u ciebie pewność, że kwatermistrz będzie dysponował parą butów w moim rozmiarze? – zapytał kwaśno Hahrlys, odbierając od

podwładnego but jedną ręką, a drugą obejmując sierżanta za szyję. Moment później kuśtykał już na obutej nodze po płyczym błocie na obrzeżach dołu.

– No, mam wciąż tę butelkę whiskey, którąśmy skitrali z Edwyrdsem. Tak sobie myślę, że butelczyna może podziałać na kwatermistrza motywująco.

– Przekupstwo jest wbrew regulaminowi. – Hahrlys posłał Tyllitsynowi karcące spojrzenie, ale zaraz wzruszył ramionami. – Zresztą i tak by nie zadziało. Obecnie panuje niedobór obuwia.

– Zawsze warto spróbować, panie poruczniku – rzekł filozoficznie sierżant, co Hahrlys skwitował rozbawionym parsknięciem.

Kiedy wreszcie dotarli na pewniejszy grunt, porucznik przestał wspierać się na podoficerze, za to uśmiechnął się do niego z wdzięcznością. Jednakże uśmiech zniknął z jego twarzy w tej samej chwili, w której spojrzał na nieszczęsny but. Na myśl, że musi włożyć w niego stopę, przeszły go ciarki obrzydzenia – niestety nie miał wyboru, gdyż brakowało czasu na czyszczenie i suszenie. Kapitan Maizak wyznaczył termin zebrania kadry oficerskiej na za dwie godziny, a do punktu dowodzenia był jeszcze spory kawał drogi. Myśl, że będzie musiał pokonać ten dystans boso – czy też półboso – wydała się porucznikowi równie obrzydliwa. W końcu doszedł do wniosku, że bosa stopa jest oklejona tym samym co wnętrze buta, tak więc ostatecznie nie powinien odczuć większej różnicy. A w bucie będzie mu przynajmniej ciepło.

Porucznik westchnął, żałując, że kwatermistrz nie ma porządnych butów w jego rozmiarze, takich, co by trzymały się na nogach nawet w najcięższych warunkach polowych. Niestety Hahrlys urodził się z ogromnymi stopami, a poza tym zdążył już znieść dwie pary prawdziwych butów polowych. Przez to musiał się zadowolić parą zwykłych butów z cholewami, takich, jakich używa konna piechota Cesarskiej Armii Charisu. Rzecz jasna, nie on jeden potrzebował nowych butów. Można było mieć nadzieję, że kwatermistrzostwo o nie zadba, zanim połowa plutonu dostanie zapalenia płuc.

Hahrlys skrzywił się paskudnie, ale wsunął stopę w chlupoczący wciąż but.

– No, nie opierdzielajmy się, Gyffry! – rzucił. – Komu w drogę, temu

czas.

Nie udało mu się całkiem ukryć rezygnacji w głosie, co jako oficer powinien zrobić w obecności podwładnego, wszakże znali się z Tylytsynem od tak dawna, że jedyną reakcją sierżanta był cichy śmiech.

– Racja, panie poruczniku – potaknął Tylytsyn i ruszył przez błoto, stąpając ostrożniej niż jego przełożony, aby uniknąć co bardziej niebezpiecznych odcinków.

Kierowali się obaj w stronę inżynierów, którzy robili co mogli, żeby załatać resztki traktu biegnącego równoległe do kanału Sheryl-Seridahn.

Pojawił się kolejny wóz ciągniony przez smoki pociągowe i wyładowany zaledwie w jednej trzeciej w stosunku do ładunku dopuszczalnego na drodze z prawdziwego zdarzenia i minął obu żołnierzy. Jego koła były wysokie jak dorosły mężczyzna, a paka szeroka tak, że nawet smoki miały problem z uciągnięciem całości. Chociaż podobnych wozów nie brakowało – tak samo jak pracujących mozolnie smoków pociągowych – w ten sposób można było przetrzymać zaledwie dwie trzecie zapasów potrzebnych Armii Thesmaru. A do tego trakt bardziej utrudniał, niż ułatwiał przejazd, co sprawiało, że wozy zbaczały na pobocza, przyczyniając się do zwiększenia ilości błota w okolicy, które z kolei przeszkadzało inżynierom w naprawach nawierzchni, co dodatkowo uniemożliwiała rychły powrót w utarte koleiny.

Dohlarianie postarali się o to, aby moim ludziom nie było lekko, pomyślał Hahrlys z ponurą miną, człapiąc za sierżantem w siąpiącym deszczu. Tyle dobrego, że nie zerwała się ulewa... na razie. W Marchii Południowej zimą nie było tak lodowato jak na północy, jednakże poza tym nic dobrego nie dało się powiedzieć o tej porze roku. Chociaż ziąb nie doskwierał im tak bardzo ani tak często, jak mógłby to robić gdzie indziej, i tak chodzili cały czas zmarznięci i przemoknięci, a za niecały pięciodzień sytuacja miała się pogorszyć o tyle, że błoto zacznie zamarzać nocami. Pod koniec miesiąca temperatura obniży się wystarczająco, by zmarzlina przetrwała działanie promieni słonecznych za dnia, dzięki czemu będzie po niej można śmiało chodzić i jeździć, nie ryzykując zapadnięcia się po kolana w lodowatą breję. Albo i nie obniży się. Hahrlys osobiście wątpił, aby pogoda miała dość wyczucia, by

zmienić się zgodnie z wymaganiami człowieka.

Przypomniawszy sobie, że zdaniem jego matki pesymista przeżywa same miłe niespodzianki. I dodał w myślach, że biorąc pod uwagę aurę panującą ostatnimi czasy, ktoś, kto by nie był pesymistą, musiałby być wariatem.

Na dźwięk odległego gromu zatrzymał się i odwrócił, wiodąc wzrokiem za oddalającym się wozem. Pomimo deszczu grzmot nie miał nic wspólnego z warunkami atmosferycznymi; Hahrlys zacisnął szczęki, nasłuchując przybierających na sile odgłosów artylerii. Było to przypomnienie, dlaczego jego ludzie pracują po kolana – a nawet po pas – w błocie, byle przywrócić trakt do stanu jakiejś takiej używalności. Linia frontu przebiegała niecałe pięć mil od miejsca, w którym się znajdował, Armia Thesmaru zaś, zamiast rażno maszerować, jęła pełznąć w żółwym tempie.

Porucznik otarł deszczówkę z oczu, równocześnie ścierając z twarzy jeszcze trochę błota, po czym wytężył wzrok, jakby się spodziewał, że zobaczy ogień towarzyszący wystrzałom. Oczywiście to mu się nie udało, ale też nie musiał nic widzieć, aby doskonale wiedzieć, co się dzieje. Wyćwiczone ucho bez trudu wychwytywało różnicę pomiędzy wystrzałem moździerza i ciężkiego działa, dzięki czemu dla oficera stało się jasne, że pojedynki nagle przestał być jednostronny.

Sir Fahstyr Rychtyr stał na czele Armii Seridahnu, której nie wsparły posiłki – Królewska Armia Dohlaru narzekała na dotkliwy brak żołnierzy – jednakże jego oddziały były wyposażone w dohlariańskie odcylkowo ładowane karabiny, które napływały rosnącym strumieniem. Była to nie najlepsza wiadomość; jeszcze gorsze zaś było to, że na wyposażeniu znalazły się także przerabiane armaty, w tym pierwsze dohlariańskie działa kątowe. Na szczęście w wypadku tych ostatnich nie chodziło o duże ilości, tak że jak na razie Królewska Armia Dohlaru i Armia Boga nie były w stanie sprostać niebezpośredniemu ostrzałowi charisjańskich moździerzy i dział kątowych. W efekcie ich artyleria była narażona na kontrogię Charisjan, gdyż działa musiały strzelać na wprost, co znaczyło, że przeciwnicy mieli ich jak na dłoni. Poza tym Dohlarianie wyspecjalizowali się w budowie coraz lepiej chronionych i trudniejszych do zniszczenia stanowisk ogniowych; ich działonowi nie musieli już znajdować się w zasięgu kul wroga, dzięki czemu nie groziło im wystrzelanie przez snajperów. A działa kątowych przybywało. Trudno

było liczyć na to, że Dohlarianie od razu nauczą się je sprawnie obsługiwać, ale i tak mogli być całkiem skuteczni – Charisjanie przekonali się na własnej skórze, że ich przeciwnicy szybko się uczą, kiedy znajdują się pod nieprzyjacielskim ostrzałem.

Porucznik niechętnie przyznał w myślach, że hrabia Hanthu nie dysponuje wystarczającą liczbą moździerzy i dział kątowych, aby rozprawić się z całą artylerią Dohlaru. Co gorsza, wiedział on, że Dohlarianie mają lepszy sprzęt niż trzydziestofuntówki hrabiego, dla którego stanowiły one dwie trzecie wyposażenia.

Mimo wszystko nadal parli w stronę granicy między Dohlarem i Republiką Siddarmarku. I była szansa na to, że nawet przy obecnym ślimaczym tempie Armia Thesmaru wkroczy do księstwa Thorastu przed końcem miesiąca.

Chyba że wydarzy się coś niespodziewanego.

Klymynt Hahrlys zdawał sobie jednak sprawę, że żołnierze znajdujący się na linii frontu – klnący, krwawiący i umierający – potrzebowali zapasów jak nigdy wcześniej. Dlatego odwrócił znowu głowę i skupił uwagę na ludziach, którzy w pocie czoła starali się im te zapasy zapewnić.

– Proszę o wybaczenie.

Sir Hauwerd Breygart, znany także jako hrabia Hanthu, skrzywił się i machnął ręką, ten jeden raz wdzięczny za wilgoć i chłód powietrza, które złagodziło pieczenie w jego palcach.

– Pluton egzekucyjny o poranku, Dyntyńie – powiedział, posyłając adiutantowi surowe spojrzenie. – Bez dwóch zdań.

– Oczywiście. Tylko że kiedy już mnie stracisz, będziesz musiał sobie znaleźć kogoś innego do znajdowania map. – Major Dyntyn Karmaikel uśmiechnął się krzywo. – Oto moja sekretna broń. Wymyśliłem, że jeśli nikt inny nie będzie w stanie odnaleźć twoich rzeczy, pozostawisz mnie przy życiu.

– Podstępny jesteś, wiesz? – Hrabia Hanthu zaprzestał machania ręką i przyjrzał się jej uważnie. Ślady poparzeń zniknęły, chociaż palec serdeczny nadal był mocno zaczerwieniony. – Spróbujmy jeszcze raz,

tylko ostrożniej – zaproponował i sięgnął po wielki kubek herbaty fasolowiśniowej, który trzymał Karmaikel. Tym razem obeszło się bez żadnej niefortunnej przygody.

Nie było winą majora, że gorący napar przelał się za krawędź naczynia. Przeciwnie, Dyntyn zdołał chociaż ocalić mapę rozłożoną pod pałatką dla ochrony przed deszczem. Zresztą – o ile nie doszło do obumarcia sparzonych palców – nie było o czym mówić.

Hrabia pociągnął solidny łyk, rozkoszując się ciepłem i teiną. Uzależnił się od herbaty fasolowiśniowej nie tak dawno, a konkretnie dopiero po przybiciu do brzegu Thesmaru. W Starym Charisie napój ten nie był specjalnie popularny – w przeciwieństwie do Szmaragdu i (nawet bardziej) Republiki Siddarmarku. Co bynajmniej nie dziwiło, zważywszy na warunki pogodowe panujące w Siddarmarku, a także fakt, że oddziały milicji okupujące Thesmar były zaopatrywane przez lojalistów Świątyni z Marchii Południowej we wszystko, czego potrzebowały, szczególnie odkąd charisjańskie galeony znalazły się w bezpośredniej bliskości miejscowych portów. Herbata fasolowiśniowa była obowiązkowym punktem programu na zebraniach kadry oficerskiej – przynajmniej tych wcześniejszych. Mieszkańcy Republiki Siddarmarku byli praktycznie niezdolni do myślenia przed wypiciem pierwszej filiżanki. W tych okolicznościach uzależnienie hrabiego Hanthu nie było niczym dziwnym; jego samego zdumiewał jedynie fakt, że pije herbatę czarną. Istotnie, była to lekka przesada w wypadku kogoś, kto wychował się na herbatach łagodnego smaku oraz przede wszystkim gorącej czekoladzie.

Oto, co się dzieje, pomyślał teraz, gdy wpada się w złe towarzystwo. Cóż, są chyba gorsze nałogi...

– Czy to koniec wieści od brygadiera Snaipsa? – zapytał na głos.

– Nie mamy od niego pełnego raportu, jednakże zaraz po śniadaniu nadeszło uaktualnienie. – Dyntyn skrzywił się i wskazał na grafitowe brzuchy niskich chmur sunących po niebie oraz na mglistą zasłonę siekającej mżawki. – Przy tej pogodzie nie ma co liczyć na wiadomości semaforowe czy heliografowe, dlatego brygadier Snaips wysłał gońca. Najbardziej wysunięte oddziały nadal zliczają straty, jednakże zdaniem brygadiera wynik nie będzie tak niepomyślny, jak się obawiał. Jeśli wierzyć słowom pułkownika Brystahla, pluton, który miał zostać

zdziesiątkowany, jakimś cudem utrzymał się na swoich pozycjach. Przy tym zabitych wcale nie było tak wielu, na pewno mniej niż rannych, a dowódca przy zdawaniu posterunku przekazał około trzydziestu jeńców.

– Świetnie! – ucieszył się hrabia Hanthu.

Czwarta brygada brygadiera Ahrsyna Snaipsa była jego czołową formacją, a siódmy regiment pułkownika Fhranklyna Brystahla od jakichś dwóch pięciodni stanowił szpicę czwartej brygady. Zadanie było niewdzięczne, szczególnie w tej pogodzie, dlatego hrabia Hanthu postanowił obsadzać na szpicie co rusz inny oddział. Obecnie zmierzał w tamtą stronę ósmy regiment, który miał zmienić ludzi Brystahla na co najmniej pięciodzień. Za sprawą liczby żołnierzy i niedoskonałości logistyki szpica okazała się najszerszym frontem, na jaki w tej chwili było stać Armię Thesmaru. Dywizja Alyksberg pod wodzą Clyftyna Sumyrsa, z kompanią pikinierów w pełnej sile i z wystarczającą liczbą karabinów na wyposażeniu, miała bronić obu flank, wszakże na to znajdowała się nieco nazbyt w tyle, gdyż powstrzymywał ją stan traktu, a raczej spowodowana nim powolność taborów.

Właśnie kwestie logistyki i zaopatrzenia uniemożliwiły mu stosowanie wcześniejszej taktyki polegającej na wykonywaniu powtarzających się zwrotów i nękaniu obu flank Armii Seridahnu, co miało poskutkować wycofaniem się Rychtyra zamiast natarciem wprost na pozycje Dohlarian. Przez jakiś czas po rozpoczęciu się deszczów chciał kontynuować swoją strategię, jednakże żołnierze ochrzcili te próby Niefortunną Kąpielą Błotną Grimaldiego. Nie mógł ich za to winić. Był świadom, że zdoła przemieścić piechotę i kawalerię – pod tym względem nie wątpił w karność podwładnych – jednakże zapewnienie jednej i drugiej zaopatrzenia było całkiem inną sprawą. Szło mu opornie, nawet gdy chodziło o postępy oddziałów wzdłuż kanału.

Warunki na bezdrożach okazały się jeszcze gorsze, niż zakładał, przez co każdego ranka wyrzucał sobie, że nie słuchał miejscowych, którzy starali się go przed tym przestrzec. Nie chodziło o to, że nie był w stanie – czy też nie chciał – sobie wyobrazić kiepskich warunków; rzecz w tym, że w najczarniejszych wizjach nie oczekiwał aż tak złej sytuacji. Na swoją obronę miał to, że do tej pory nikt nie próbował przerzucać całych armii w tym terenie – nawet w czasach wojen pomiędzy Desnairem a Siddarmarkiem. Znaczyło to, że nikt przed nim nie przekonał się na

własnej skórze, jak płytkie są wody na wschód od Fyraythu i jak wcześniej zaczyna się linia wzgórz. Dlatego nawet jego siddarmarscy sojusznicy nie byli w stanie uzmysłowić mu w porę, co za bagno powstanie w miejscu miłego płaskiego terenu, przez który spróbuje przemieścić tysiące pieszych i konnych żołnierzy.

Położenie Armii Seridahnu było pod tym względem lepsze niż jego. Wywiad donosił mu, że Królewskiej Armii Dohlaru wciąż brak wykwalifikowanych żołnierzy oraz wyspecjalizowanej nowoczesnej broni, aczkolwiek sytuacja z zapasami żywności i amunicji przedstawiała się o wiele lepiej, a do tego trakt, z którego miał korzystać generał Rychtyr, pozostawał w znacznie lepszym stanie. Okolica na zachód od Fyraythu była mniej bagnista, a kanał wydawał się spławny na długości co najmniej trzydziestu mil od jego pozycji. Nie ulegało kwestii, żołnierze Rychtyra także narzekali na wszechobecną wilgoć, jednakże przynajmniej byli dobrze odżywieni i pełni woli walki, dzięki czemu ich dowódca mógł patrzeć z optymizmem w przyszłość, licząc, że liczba ofiar po jego stronie nie będzie taka znów duża.

Dowodzenie oddziałami, które miały nawiązać kontakt z Armią Thesmaru, oddał w ręce generała Clyftyna Rahdgyrza, uznawanego za jednego z najbardziej kompetentnych dowódców, a przy tym za najbardziej agresywnego. Kontratak przeprowadzony pod osłoną ciemności minionej nocy był niestety działaniem typowym dla Rahdgyrza. Jego podwładni nie na darmo zwali go Jaszczurodrapem. Niska pokrywa chmur i nieustający deszcz zmniejszyły skuteczność charisjańskich rakiet sygnałowych i jeszcze nowszych pocisków, w które admirał Sympsyn wyposażył swoich działonowych. W efekcie ludzie Rahdgyrza pokonali tak zwaną ziemię niczyją, ponosząc mniejsze straty, niż można się było spodziewać, a sama walka, która się wywiązała, była zacięta, okrutna i bolesna, gdy idzie o liczbę ofiar. Brystahlowi udało się odzyskać utracony teren, jednakże związany walką z Dohlarianami stracił czas i ludzi, na czym właśnie zależało Rahdgyrzowi. Siódmy regiment potrzebował co najmniej jednego dnia na przeorganizowanie się, tak więc ponowny wymarsz mógł się rozpocząć dopiero pojutrze.

Hrabia Hanthu rozważał to wszystko, trzymając kubek jedną ręką, palcami drugiej zaś wodząc po zaznaczonych ołówkiem liniach wskazujących pozycje czwartej brygady na mapie.

– Dyntynie, chyba musimy się zastanowić, czy jest sens prosić

generała Sumyrsa, aby brygadier Snaips wypożyczył mu Trzeci Alyksberski dla wsparcia stanu osobowego na prawej flance – powiedział z namysłem. – Właściwie moglibyśmy też zażądać Siódmego z Marchii Wschodniej. Trakt wydaje się w dostatecznie dobrym stanie, aby obie formacje przedostały się nim na wskazane pozycje, a ja zamierzam wycofać batalion majora Klymynta na czas reorganizacji szeregów.

– Rozumiem. – Karmaikel skinął głową, notując coś w notesie.

– Gdy już roześlesz wiadomości, zawiadom admirała Sympsyna, że chciałbym się z nim spotkać na lunchu. Trzeba omówić to, jak w najlepszy sposób wykorzystać nowe kątówki, kiedy już zostaną nam dostarczone.

Hrabia postarał się ukryć gorycz podczas wypowiedzania ostatnich słów, wiedział bowiem, że opóźnienie nie jest niczyją winą. To jednak nie zmniejszyło jego niezadowolenia, że jak na razie dysponuje zaledwie jedną baterią nowych sześciocalowych dział kątowych. Pomijając trudność w przemieszczaniu takiej broni w obecnych warunkach, ta jedna jedyna bateria okazała się na wagę złota, a jeśli wierzyć Ehdwyrdowi Howsmynowi, w najbliższych pięciodniach na jego stanie powinny się pojawić jeszcze cztery takie baterie, może nawet pięć.

– Szkoda, że nie przyślą nam paru nowych czterocalówek – dodał. – Langhorne świadkiem, że nie zamierzam się skarżyć, ale nie tylko mnie wiadomo, że kątówki i moździerze sprawdzają się wyłącznie do pewnego stopnia, a ja chciałbym rozprawić się ze wszystkimi trzydziestofuntówkami, nie wspominając o batalionie Klymynta. No ale cóż, darowanemu smokowi nie zagląda się w zęby...

Tym razem Karmaikel tylko skinął głową. Hrabia stał dalej nad mapą z zamyśloną miną.

Starasz się tylko odwlec nieuniknione, Hauwerdzie, pomyślał. Deszcz nie przestanie padać nawet wtedy, gdy w końcu posadzisz dupsko w siodle.

Przez moment rozważał, czyby nie posłać na inspekcję młodego Karmaikela, który na pewno przyniósłby mu wszystkie niezbędne informacje na temat pracy inżyniera Ahrthyra Parkyry.

Ale nie, dodał zaraz w myślach, muszę osobiście pokazać im, że doceniam to, co robią. Poza tym obecność dowódcy z pewnością wpłynie na nich mobilizująco. Szczególnie że tenże dowódca będzie mokry jak

kura, zmarznięty do szpiku i przez to marudny jak szlag! Nie wolno mi jednak zapomnieć, aby zachęcić ich do wytężonej pracy. W końcu to nie ich wina, że jest zimno i wilgotno.

Prychnął pod nosem, tym razem z rozbawienia, i ponownie pociągnął długi łyk herbaty.

– No dobrze, Dyntynie – westchnął, odkładając kubek. – Pora, żebyś poszedł po nasze konie. – Gdy deszcz mocniej zabębnił o pałatkę, hrabia Hanthu się wzdrygnął. – Ja zostanę tutaj i dokończę swoją herbatę. Oby tymczasem się wypogodziło.

– Domyślam się, że właśnie wykorzystujesz posiadanie wyższego stopnia. – Karmaikel uśmiechnął się słabo.

– W rzeczy samej, majorze. W rzeczy samej.

Hrabia Hanthu posłał podwładnemu szeroki uśmiech.

.II.
HMS Wąż, 22
oraz
HMS Skrzydło, 18
Kanał Trosan
Zatoka Dohlariańska

Skurczybyk zrówna się z nami za dwie, dwie i pół godziny – zameldował na ucho dowódcy porucznik Karmaikel Achlee. – Płynie szybciej niż my, drań...

Porucznik komandor Truskyt Mahkluskee skinął głową, robiąc co w jego mocy, aby nie dać po sobie poznać niezadowolenia. Nie wątpił w zdolności ani w odwagę swojej załogi, jednakże cała Królewska Flota Dohlaru przekonała się na własnej skórze, i to w najbardziej bolesny sposób, że starcie z Cesarską Flotą Charisu zazwyczaj kończy się źle. Truskyt mógł mieć pewność – niestety – że ścigający ich skurczybyk poradzi sobie z nimi w okamgnieniu.

Truskyt umieścił lunetę pod pachą, założył ręce za plecy i zapatrzył się wzdłuż relingu rufowego na zbliżające się żagle szkunera. Wiatr był północno-wschodni, wiał z siłą dwudziestu mil na godzinę, powodując sześciostopowe fale – taki wiatr marynarze nazywali mocną bryzą – ale z każdą chwilą stawał się silniejszy, a do tego na niebie gromadziły się chmury. Zanosilo się na deszcz. Truskyt nieomal czuł go w powietrzu i bardzo żałował, że jak dotąd się nie rozpadało, ponieważ nagły szkwał obniżyłby widoczność prawie do zera. Niestety nie można było na to liczyć. Przynajmniej do czasu, aż szkuner ich dogoni.

Och, przestań marudzić jak stara baba! – upomniał się Truskyt. *Tak, gonią cię Charisjanie. Co w tym dziwnego? Po tym, co wydarzyło się w zatoce Hahskyn, każdy charisjański okręt wojenny będzie szukał okazji do rewanzu. Dowódca tego szkunera także jest, jak widać, w gorącej wodzie kąpany i być może podejmie nadmierne ryzyko. Poza tym dałbyś spokój, warknął sam na siebie w duchu. Charisjanie to tylko ludzie, nie*

mierzą po dziesięć stóp ani nie używają pik w miejsce wykałaczek. Lepiej, żebyś o tym pamiętał i nie pozwolił swoim ludziom myśleć inaczej!

– Obawiam się, Karmaikelu, że to jednak będą dwie godziny, może nawet niecałe – ocenił na głos. – Szkoda, że HMS *Wąż* nie ma omiedziowanego kadłuba.

Achlee mruknął coś potakująco. Królewska Flota Dohlaru opanowała sztukę miedziowania okrętów dla ochrony przed porastaniem dopiero po tym, jak przechwyciła parę charisjańskich galeonów, rozebrała je na czynniki pierwsze i odkryła płyty znajdujące się poniżej linii zanurzenia. Nikt nie miał pojęcia, jak to działa, wszyscy jednak zdążyli się przekonać, że próba przytwierdzenia miedzi za pomocą żelaznych nitów to jedna wielka porażka. W końcu skutnikom udało się rozpracować tę metodę, lecz i tak zabezpieczanie kadłubów statków, pierwotnie zbitych do kupy za pomocą żelaznych nitów, okazało się sporym wyzwaniem. Budowanie według nowego projektu to jedno, ale pozbywanie się całego żelaza i zastępowanie go brązem to zupełnie co innego. Coś takiego wymagało czasu i pieniędzy. Ostatecznie fachowcy nauczyli się mocować dodatkową warstwę poszycia, kryć ją grubą warstwą smoły, przytwierdzać za pomocą brązu i wreszcie przykręcać na sam wierzch miedziane blachy. Metoda okazała się droga jak Shan-wei, ale za to skuteczna jak mało co; czas stracony na udoskonaleniach wart był, i to zawiązką, odporności kadłuba na porastanie i wgryzanie się morskich skorupiaków, które zaczynały go niszczyć pięciodzień po wodowaniu.

Tak się jednak składało, że HMS *Wąż* był zwykłym brygiem. Wszyscy zgadzali się co do tego, że bryg musi być szybki, ale też nie mieli problemu, gdy jakiś trzeba było skreślić ze stanu Królewskiej Floty Dohlaru. Nic dziwnego więc, że priorytetem zawsze cieszyły się galeony. A gdy do użytku weszły także galery śrubowe, galeony również musiały się pożegnać z palmą pierwszeństwa.

To sprawiło, że HMS *Wąż* znalazł się w nieciekawym położeniu.

Znowu.

– Co twoim zdaniem będzie? – zapytał Achlee po chwili milczenia.

– Płyną z wiatrem – odparł Mahkluskee ze wzruszeniem ramion. – Rozwijają większą prędkość, mają lepsze ożaglowanie i pogodę po swojej stronie. Jeśli nie dadzą ciała... a kiedy ostatnio widziałeś, żeby Charisjanie dali ciała na morzu?... do nich będzie należało ostatnie

słowo, w jakiej odległości się zetrzemy. Jedyna niewiadoma to, czy kapitan tego okrętu urządza taniec, zanim zacznie strzelać, czy raczej przechodzi od razu do rzeczy. Jeśli mam być szczery, wolałbym to drugie.

– Ja też – wtrącił Achlee.

Trudno było porównywać uzbrojenie HMS *Wąż* i typowego charisjańskiego szkunera. Na brygu znajdowało się dwadzieścia dwudziestopięcioletnich karonad i dwa osiemnastofuntowe działa długolufowe na dziobie. Tymczasem ścigający ich szkuner Cesarskiej Floty Charisu, zależnie od klasy, mógł być wyposażony w szesnaście do dwudziestu dział, z czego większość stanowiły trzydziestofuntowe karonady, aczkolwiek znaczna część co większych szkunerów zmniejszyła liczbę dział niemal o połowę, aby pomieścić pięćdziesięciosiedmioletnich. Siedmiocalowy pocisk tych ostatnich czynił znaczne spustoszenia, dużo większe od litych kul, ale Mahkluskee mógł się łudzić, że ścigająca ich jednostka ma na wyposażeniu tylko trzydziestofuntówki. Obie strony konfliktu dysponowały już amunicją wybuchową nowej generacji, chociaż Królewska Flota Dohlaru postawiła na pociski do co najmniej dwudziestopięcioletnich, zważywszy na to, jak mały ładunek mógł być w nich umieszczany. W każdym razie dla szkunera czy brygu nie miało znaczenia, czy w pokład trafi pocisk trzydziestofuntówki czy dwudziestopięcioletnich – efekt zniszczenia będzie taki sam.

Wszakże w takiej walce, jaka się szykowała, decydujące było to, kto pierwszy kogo postrzeli. Mahkluskee mógł sobie ufać w umiejętności swojej załogi, jednakże to Charisjanie wynaleźli artylerię morską. I oni też pozostawali mistrzami w jej użytkowaniu, co nie było żadną ujmą dla innych narodów. Znaczyło to jednak, że ścigający ich szkuner raczej urządzi taniec, zanim zacznie strzelać, po czym dopiero rzuci się na przeciwnika, aby go załatwić na dobre.

– Mimo wszystko będzie musiał bardzo uważać – oznajmił Mahkluskee. – To my jesteśmy bliżej bazy niż on. Jeśli coś mu się przytrafi, padnie łatwym łupem pierwszego lepszego okrętu.

– Miejmy nadzieję, że zdaje sobie z tego sprawę. – Achlee się wyszczerzył.

– Tak, trochę nadziei nie zaszkodzi – przyznał Mahkluskee.

Następnie zaczerpnął głęboko tchu. – Lunch miał być za dwie godziny. Każ kukowi, aby podał go wcześniej. Niech się chłopcy najedzą, zanim zacznie się zabawa. I przekaz Fytsymynsowi, że chciałbym zamienić z nim słowo. Po posiłku trzeba będzie się przyszykować.

– Chyba pora przygotować się do walki, Zosh – powiedział wolno porucznik Hektor Aplyn-Ahrmahk, w innych, bardziej towarzyskich okolicznościach znany jako jego wysokość książę Darcos.

W wieku lat osiemnastu książę mógł – niemalże – dowodzić okrętem wojennym Charisu. Zarazem był adoptowanym synem cesarza Cayleba i cesarzowej Sharleyan, przez co niemało osób podejrzewało, że jego obecna funkcja dowódcy HMS *Skrzydło* miała coś wspólnego z rodzinnymi koneksjami. Ludzie ci jednak nigdy nie służyli pod Księciem, jak zwano go szeroko we flocie (zupełnie jakby w całej historii Charisu nie było nigdy przed nim ani po nim żadnego księcia). Hektor przebywał na morzu, odkąd skończył dziesiąty rok życia, w jedenastym roku jego życia stary król Haarahld zmarł w jego ramionach, a na przestrzeni minionych pięciu lat wyrobił sobie reputację nieustraszonego żołnierza. Pomimo jego młodego wieku i pomimo niesprawnego jednego ramienia od czasu pamiętnej i niemal śmiertelnej próby zamachu w dniu ślubu każdy członek załogi poszedłby za nim w ogień, a nawet nie zawahałby się przekroczyć bram piekła. Niemałe znaczenie miał fakt, że szlify marynarskie Hektor odebrał od samego Dunkyna Yairleya, barona Sarmouth. W całej cesarskiej Flocie Charisu znaleźliby się może dwaj lepsi dowódcy okrętów niż baron Sarmouth – na pewno jednak nie trzech. W dodatku Yairley, w przeciwieństwie do większości marynarzy, był też świetnym nauczycielem. To wyjaśniało, czemu młodziutki Aplyn-Ahrmahk radzi sobie w roli dowódcy z taką pewnością siebie. Ktoś, kto go nie znał, mógłby mu dać dwakroć tyle lat, ile miał w istocie.

Hektor przez ponad rok służył jako porucznik flagowy barona Sarmouth. Dzięki temu zapoznał się ze strategią Cesarskiej Floty Charisu lepiej niż ktokolwiek inny w jego wieku. Właśnie dlatego też został wybrany do zadania, które polegało na przeprowadzeniu rozpoznania w pobliżu Chelmsport na wyspie Trove.

Chelmsport służyło admirałowi Gwylymowi Manthyrowi za bazę podczas niesławego ataku na Zatokę Dohlariańską, Trove zaś – leżące na południowo-zachodnim krańcu wybrzeża Dohlaru – znajdowało się niemal dokładnie w pół drogi pomiędzy obecną bazą na wyspie Talizman a zatoką Gorath stanowiącą morskie serce Dohlaru. Od bitwy w cieśninie Kaudzhu minęło pięć miesięcy; Dohlar miał wszelkie prawo uważać się za zwycięzcę w tym starciu, jednakże faktem pozostawały znaczne straty po obu stronach. Tak więc w chwili obecnej zarówno Królewska Flota Dohlaru, jak i Cesarska Flota Charisu były zajęte naprawami starych okrętów i zamawianiem w stocznjach nowych, przy czym ta pierwsza dysponowała przewagą galeonów w momencie przystąpienia do bitwy. Z kolei Charis był w posiadaniu większej floty teraz, i to w dużym stopniu bardzo nowoczesnej. Zdaniem barona Sarmouth posiłki właśnie zmierzały do wrogiego admirała stacjonującego na wyspie Szpon. Yairley nie miał cienia wątpliwości, że z chwilą przybycia na miejsce wspomniane posiłki zostaną rzucone natychmiast do walki, a Chelmsport okaże się idealną bazą do zapanowania wrogich galeonów nad przesmykiem Mahthyw, a także kanałami Hilda i Trosan, by nie wspomnieć o cieśninie Fern. W efekcie wschodni kraniec zatoki zostanie zablokowany, więżąc Królewską Flotę Dohlaru w zatokach Hankey i Salthar oraz znacznie ograniczając wszelki handel na południe od wybrzeży Dohlaru. To z kolei zagrozi każdemu statkowi kabotażowemu, który ośmieliłby się wpłynąć do Zatoki Thesmaru.

Wydawało się nieprawdopodobne, aby taki szczywany lis jak hrabia Thirsku był tego wszystkiego świadom w mniejszym stopniu niż pierwszy lepszy Charisjanin, szczególnie że Manthyr wykorzystał Chelmsport właśnie do tego celu podczas swojej pierwszej wyprawy. Barona Sarmouth dręczyło pytanie, co też hrabia Thirsku uczynił, aby zapobiec powtórce ostatnich wydarzeń. Zadaniem Hektora było znaleźć odpowiedź.

Okazała się ona więcej niż interesująca. Jako że linia brzegowa Zatoki Dohlariańskiej mierzyła szesnaście tysięcy mil, hrabia Thirsku nie był w stanie uzbroić i obsadzić każdego portu, zwłaszcza że poza tym w grę wchodziły jeszcze dziesiątki wysepek, przy których mogły w dowolnym czasie zacumować całe wrogie eskadry. Był w stanie zlikwidować kilka potencjalnych portów (biorąc pod uwagę głębokość zatoki, dostępność

wody pitnej, wystawienie na wiatry i wszelkie inne czynniki, które są ważne dla marynarza), jednakże ogółem było ich zbyt wiele, aby mógł mieć nadzieję na ochronę wszystkich.

Wszakże Chelmsport doczekało się szczególnej uwagi. Wejścia do zatoki broniła potężna bateria czterdziestofuntówek. Było ich w sumie nie więcej niż dwadzieścia, jednakże wszystkie zajmowały dogodne pozycje, kryły się za ziemnymi wałami i mogły liczyć na wsparcie kolejnych w najbliższej przyszłości. Sądząc z umiejscowienia nowych stanowisk, można było wysnuć przypuszczenie, że czekają one na karabiny Fultyn – opasane działa gwintowane, wprowadzone do produkcji w pośpiechu przez Kościół Matkę. Obrona zamierzona na taką skalę z łatwością mogła sobie poradzić z nieopancerzonym galeonem. Ponieważ Królewska Flota Dohlaru obecnie była w posiadaniu jedynej w Zatoce Dohlariańskiej kanonierki – HMS *Dreadnought*, który zachował charisjańską nazwę po przejęciu – Chelmsport niespecjalnie nadawało się na bazę wypadową.

To jednak zawsze mogło się zmienić. A Hektor Aplyn-Ahrmahk i sir Dunkyn Yairley dysponowali pewną przewagą, jeśli chodzi o przewidywanie przyszłości.

– Nie zapominaj, że musisz wrócić do domu, aby złożyć oficjalny raport – powiedział sucho głos w uchu księcia, jakby w celu przypomnienia mu o tejże przewadze. Uwaga ta spowodowała uśmiech na wargach Hektora; uśmiech, którego nie byłby w stanie wyjaśnić porucznikowi Hahlbyrstahtowi. Informacja, że „słyszy głosy”, raczej nie wchodziła w grę, i to nawet przy założeniu, że głos ów należał do barona Sarmouth. Fakt, że tak właśnie przedstawiała się prawda, niczego tutaj nie zmieniał.

To nie fair, pomyślał Hektor, że admirał raczy mnie swoimi mądrościami, doskonale wiedząc, że nie mogę w żaden sposób zareagować.

W każdym razie baron Sarmouth miał rację. Obaj z Hektorem dobrze wiedzieli, co Hektor ujrzy na miejscu w Chelmsport, i to zanim obserwatorzy zaczęli składać meldunki z wysokości swoich gniazd. Jednakże SAPK-i przekazywały dane znacznie bardziej szczegółowe niż cokolwiek, co mógłby zawrzeć w oficjalnym raporcie. Żaden człowiek nie mógł wejść w posiadanie takich informacji normalną drogą, bez udziału

demonów. A gdyby przez własną nieostrożność zginął albo pozwolił na zatopienie swego okrętu, wskutek czego jego pisemny raport nigdy by nie dotarł na wyspę Talizman, baron Sarmouth nie mógłby skorzystać z posiadanej wiedzy, kiedy posiłki – które jak wiedzieli, były już w drodze – zjawilyby się na miejscu.

No ale, pomyślał Hektor, nie zamierzam dać się zabić. Pomijając wszystko inne, Irys naprawdę by się na mnie wściekła.

– Chyba powinniśmy zachowywać się ostrożniej, Zosh – powiedział do Hahlbyrstahta, aczkolwiek z myślą o SAPK-u, który jak wiedział, na rozkaz barona Sarmouth obserwował HMS *Skrzydło*. – Nie wątpię, że zdołamy doścignąć tę łajbę, ale jesteśmy daleko od domu, a jak się domyślam, admirał bardzo liczy na nasz raport.

– Ma pan rację, sir – zgodził się z przełożonym Zosh Hahlbyrstaht. – Sam bym tego lepiej nie ujął.

– W takim razie przekażmy rozkaz mistrzowi Zhowaltyrowi.

– Tak jest!

Hahlbyrstaht włożył dwa palce do ust i gwizdnął przeraźliwie. Choć nie było to zachowanie zgodne z procedurami Cesarskiej Floty Charisu, kadet wyskoczył z włazu natychmiast, niczym królik z kapelusza, w dalszym ciągu zaznaczając miejsce na mapie, którą studiował z żaglomistrzami.

– Słucham.

Ahlbyrt Stefyns był na HMS *Skrzydło* młodszym kadetem. Choć liczył sobie dwa lata mniej niż Lawrync Dekatyr, drugi – jedyny poza Stefynsem – kadet na pokładzie szkunera, zarazem mierzył o dwa cale więcej od niego i był zdecydowanie bardziej energiczny. Za to – podczas gdy Dekatyr był typem sportowca – Stefyns najlepiej czuł się wśród ksiąg i map. Do tego pochodził z Tarota, co było rzadkością wśród marynarzy Cesarskiej Floty Charisu, i jako taki – za specjalnym pozwoleniem – nosił na głowie tradycyjną chustę zamiast regulaminowego trójgraniastego kapelusza.

– Skipper chciałby zamienić słowo z głównym artylerzystą – powiedział mu Hahlbyrstaht, kiwając ręką w stronę dziobu.

– Tak jest! – Stefyns potaknął z ochotą i rzucił się przed siebie.

– Właściwie mogłeś użyć tuby, aby przywołać Bynyta – zauważył

Hektor cicho.

– Wiem, sir – przyznał Hahlbyrstaht, nie dodając, że Hektor mógł to zrobić sam bez niczyjej pomocy. – Jednakże kadet powinien czuć, że jest do czegoś potrzebny. Poza tym dzięki temu będzie miał inne zajęcie od zamartwiania się.

– Ahlbyrt miałby się czymś zamartwiać? – zdziwił się Hektor i potrząsnął głową. – Na pewno mówimy o tym samym młodzieńcu?

Ani on sam, ani Hahlbyrstaht nie drgnęli, gdy z ust księcia padło słowo „młodzieniec” w odniesieniu do człowieka zaledwie cztery lata młodszego od Hektora. Skoro już o tym mowa, Hahlbyrstaht, który także awansował w dość młodym wieku, liczył sobie tylko trzy lata więcej niż jego przełożony.

– No, może „zamartwiać” to za dużo powiedziane – zgodził się Hahlbyrstaht ze wzruszeniem ramion. – Chodziło mi raczej o jego zamyślenie.

– To rozumiem – powiedział Hektor, po czym podniósł wzrok na Stefynsa, który właśnie wrócił z Bynytem Zhowaltyrem, głównym artylerzystą HMS *Skrzydło*.

Liczący trzydzieści pięć lat Zhowaltyr był jednym z najstarszych członków załogi szkunera, a fachu artylerzysty uczył się jeszcze pod okiem podówczas komandora Staynaira w jego pierwszej eksperymentalnej eskadrze galeonów. HMS *Skrzydło* miał wielkie szczęście, że mógł go zaliczać w skład swojej załogi, a Hektor nieraz się zastanawiał, czy jest to aby na pewno czysty przypadek. Zhowaltyr bowiem znalazł się na pokładzie szkunera w mniej więcej tym samym czasie co Hektor, tak że nie dało się wykluczyć, że baron Sarmouth jednak miał z tym coś wspólnego. Nie dało się ukryć, że w wypadku sternika Stywyrta Mahlyka sam admirał nalegał, by ten „miał oko” na księcia.

– Wzywałeś mnie, panie? – zapytał teraz główny artylerzysta, oddając salut poprzez przyłożenie pięści do piersi.

– W rzeczy samej – potaknął Hektor i zdrową ręką wskazał dohlariański bryg, który ścigali od ponad pięciu godzin. Ścigana jednostka robiła co mogła, aby uniknąć kontaktu z HMS *Skrzydło*, wszakże obecnie dzieliła ich od niej odległość zaledwie trzech tysięcy jardów, która nawiasem mówiąc, ciągle się zmniejszała. – Widzisz?

– Widzę, panie – potwierdził Zhowaltyr.

– Pragnę nawiązać kontakt z tym brygiem, oczywiście na moich warunkach – kontynuował Hektor. – I coś mi mówi, że jesteś najwłaściwszą osobą do tego zadania.

– Postaram się, sir. – Zhowaltyr wyszczerzył się. – Tak sobie myślę, że najlepsza do tego celu będzie czternastofuntówka.

– Od tego faktycznie możemy zacząć – zgodził się Hektor. – Mam tylko nadzieję, że na twój wybór nie wpłynęła chęć, by wreszcie sprawdzić w użytku swoją nową zabawkę.

– Skądże, sir! – Uśmiech Zhowaltyra stał się jeszcze szerszy.

– Na to liczyłem – skwitował Hektor. – No ale skorośmy to już sobie wyjaśnili, może przejdziemy do ustalenia dystansu?

Główny artylerzysta obrzucił wzrokiem żagle, po czym przyjrzał się morzu, przechylając głowę. Wiatr wzmagął się z każdą chwilą, co już wcześniej zmusiło Hektora do zrefowania części żagli z powodu obrania kursu na co najmniej ośmiostopowe fale. Rozpryskująca się piana otaczała dziób szkunera, lśniąc we wczesnopołudniowym słońcu, podczas gdy okręt mknął przed siebie, a wiatr świszczwał w ożaglowaniu.

– Morze nie jest płaskie jak deska – zauważył Zhowaltyr. – Dlatego tysiąc jardów powinien być w sam raz.

– Założę się – rzekł Hektor – że mają naszykowane osiemnastofuntówki.

Doskonale wiedział, w co wyposażony jest HMS *Wąż*, ale przecież nie mógł tego zdradzić podwładnemu.

– A jak, sir! Nie mówiąc o tym, że to Dohlarianie, no i że te osiemnastofuntówki są gładkolufowe. – Zhowaltyr chętnie by splunął, ale nie zrobił tego, gdyż regulamin surowo zabraniał marynarzom plucia na utrzymane w nienagannej czystości pokłady. – Może by dali radę trafić w stodołę, gdyby akurat tędy przepływała, ale nas nie dorwą z odległości większej niż sześćset jardów.

– Rozumiem. – Hektor pokiwał głową. Nie czuł aż takiej pogardy dla artylerii Dohlaru, jaką odczuwał Zhowaltyr, jednakże był gotów przyznać rację podwładnemu.

W idealnych warunkach zarówno dohlariańskie osiemnastofuntówki, jak i charisjańskie czternastofuntówki miały zasięg ponad dwóch tysięcy

jardów. Karonady, które stanowiły główną broń w wypadku obu jednostek, zasięg miały krótszy, choć nie należało zapominać, że HMS *Skrzydło* miał gwintowane działa. Nie zwiększało to wprawdzie maksymalnego zasięgu, który nadal wynosił jakieś dwadzieścia procent mniej niż w wypadku długolufowych armat identycznego kalibru, wszakże zwiększona celność rekompensowała ograniczony zasięg. Oznaczało to – przynajmniej w teorii – że i bryg, i szkuner mogły nawiązać ze sobą kontakt z połowy tej odległości.

Jak wiadomo jednak, teoria przegrywa z praktyką, szczególnie gdy chce się strzelać z płynącego okrętu do drugiego płynącego okrętu. Ruchomy cel był wyzwaniem samym w sobie nawet wtedy, gdy działo, z którego się doń mierzyło, nie poruszało się w co najmniej trzech kierunkach naraz: w przód, w górę i w dół oraz z boku na bok. W takich warunkach nawet najlepszy strzelec czy działonowy mógłby się cieszyć, gdyby trafił z odległości pięciuset jardów.

Tak się jednak składało, że Charisjanie nie mieli sobie równych, jeśli chodzi o artylerię i artylerzystów. Floty innych krajów, w tym Dohlaru, który był jedynym godnym przeciwnikiem Imperium Charisu na morzach, skupiały się raczej na sile ognia, zadowalając się najmniejszym zalecanym zasięgiem.

Z kolei Desnair hołdował przekonaniu, że należy strzelać z dalszej odległości, ale za to wysoko, tak aby zniszczyć olinowanie przeciwnika, co jednak wynikało z tego, że zarówno Desnairczycy, jak i dowódcy Floty Boga zazwyczaj starali się unikać okrętów wojennych Charisu, zamiast zwrzeć się z nimi w walce. Dohlarianie przeciwnie, rwali się do bitki nawet wtedy, gdy szanse wygranej wynosiły pół na pół, i podobnie jak Charisjanie prawie nigdy nie unikali walki. Dlatego dążyli zawsze do jak największego zbliżenia – na sto jardów albo nawet mniej, z której to odległości spudłowanie jest wielką sztuką – po czym zasypywali wroga gradem pocisków w jak najszybszym tempie. Taktykę tę podpatrzyli u Charisjan, którzy jednak codziennie ćwiczyli przez co najmniej godzinę. I w przeciwieństwie do artylerzystów innych flot, którzy uczyli się wyłącznie pruć raz za razem, powtarzali czynność przeładowywania do znudzenia, marnotrawiąc przy tym spore ilości prochu i kul, ale zwiększając swoje szanse na zwycięstwo. Szybkostrzelności charisjańskiej artylerii nic nie można było zarzucić, jej dodatkowym atutem zaś była celność, no i branie pod uwagę ruchów własnego okrętu.

Hektor zamierzał wykorzystać swoją przewagę bezlitośnie. Ostatnie, czego chciał, to znaleźć się w zasięgu rażenia salwy burtowej *Węża*, podczas gdy w wypadku kontaktu z większego dystansu liczyły się tylko działa długolufowe przeciwnika. Choć Dohlarianie dysponowali dwiema osiemnastofuntówkami, czternastofuntówka znajdująca się na stanie HMS *Skrzydło* była obrotowa i mogła strzelać pod kątem z obu luf. No i była gwintowana. Słynęła na cały świat z celności, i to od momentu wprowadzenia do użytku. Dzięki gwintowaniu była nawet jeszcze bardziej zabójcza, a to za sprawą zwiększonej wagi pocisków. Znalazła się na pokładzie szkunera przed trzema miesiącami, nic dziwnego więc, że Zhowaltyr pragnął ją wypróbować, z czego oczywiście Hektor zdawał sobie sprawę.

– Przypuszczam, że osiągniemy wymaganą przez ciebie odległość za jakieś pół godziny – oznajmił. – Mam nadzieję, że to wystarczy?

– Postaram się, żeby tak było, sir – obiecał uroczyście główny artylerzysta.

– Cóż, daj z siebie wszystko. Im więcej hałasu i dymu, tym będę szczęśliwszy.

– Rozumiem, sir.

Zhowaltyr zasalutował ponownie, odwrócił się i przyłożywszy stulone dłonie do ust, zawołał:

– Ruhsyl! Przód i środek!

Mat, który odpowiedział na to subtelne wezwanie, był dość wysokim, łysiejącym mężczyzną. Z oczywistych powodów żaden jego podwładny nie wyraziłby się w ten sposób na głos. Opierając się rzeczywistości, mat nosił to, co pozostało z jego włosów, spięte w niechlujny kucyk, którego dolny kraniec sięgał mu niemal pasa. Jakby w ramach rekompensaty Ruhsyl miał bujną brodę, a także sumiastego wąsa. Oba jego ramiona zdobiły liczne tatuaże, z prawego ucha zwieszało mu się złote kółko, a włosy – zarówno na głowie, jak i na brodzie – były przetykane tu i ówdzie pasmami siwizny. Jako czterdziestosiedmiolatek Wyllym Ruhsyl był najstarszym członkiem załogi HMS *Skrzydło*, a przy tym mógłby być prawie dziadkiem Hektora.

Zarazem był też starszym artylerzystą i zastępcą Zhowaltyra.

– Tajest! – zagrzmiął.

– Czternastofuntówka jest cała twoja – oświadczył mu Zhowaltyr. –

Tylko nie spudłuj!

– Nieźle kołysze! – zakrzyknął Oskahr Fytsymyns.

Muskularny, przysadzisty bosman HMS *Wąż* stał z rękami wspartymi na biodrach, popatrując na mozolący się tłumek marynarzy. Przenoszenie ciężarów na pokładzie płynącego statku było nie lada sztuką, a przecież sama lufa osiemnastofuntówki ważyła dobrze ponad dwie tony. Wliczając lawetę, masa była bliska trzy i pół tonie, co znaczyło, że zagrożony jest nie tylko statek, ale też jego załoga, zakładając, że działo wymsknęłoby się z rąk marynarzy i runęło na deski.

Fytsymyns nie zamierzał na to oczywiście pozwolić. Dlatego przyglądał się czujnie jak wyverna, gdy druga karonada była przenoszona ze sterburty na bakburkę i zastępowana osiemnastofuntowym działem dziobowym. Gdy w końcu ruszył z miejsca, aby poddać inspekcji owoc ich wyteżonej pracy, marynarze popatrywali na niego z większym niepokojem aniżeli na ścigający ich charisjański szkuner. Temperament bosmana był ich zdaniem większym zagrożeniem niż wróg.

– No dobrze – warknął bosman, po czym zwrócił się do Tohmysa Prytchyrta, trzeciego oficera HMS *Wąż*, który obserwował wszystko z bezpiecznej odległości, pozwalając fachowcom uporać się z zadaniem. – Chyba może pan przekazać kapitanowi, że wszystko gotowe.

– Świetnie, bosmanie – odparł Prytchyrta, a następnie skinął na jednego ze stojących w pobliżu artylerzystów. – Klynmywlyrze, teraz kolej na twoich ludzi.

– Tak jest! – Jyrdyn Klynmywlyr zasalutował, dotykając piersi pięścią, by później spojrzeć ostro na dwie stojące w pogotowiu obsady dział. – Słyszeliście, co pan porucznik powiedział, wy leniwe sukinsyny! Pora brać się do ładowania tych potworów!

– Gotowe, sir!

– I dobrze. – Truskyt Mahkluskee skinął z zadowoleniem.

Bynajmniej nie optował za związaniem Charisjan walką – zwłaszcza po tym, jak sobie dokładnie obejrzał ich szkuner przez lunetę. Mimo że dopatrył się tylko dziesięciu furt burtowych po każdej stronie, jednostka nie ustępowała wielkością dohlariańskiemu brygowi, a w dodatku zbliżała się do nich w zawrotnym tempie. Poza tym zdążyła ustawić działa obrotowe, które dostrzegł na śródokręciu.

Mahkluskee oddałby prawą dłoń za podobne mechanizmy. Niestety, była to tylko jedna z wielu rzeczy, którymi nie dysponował, dlatego musiał się zadowolić ustawieniem obu osiemnastofuntówek na jednej burcie. Jeśli się nie mylił, Charisjanie będą próbowali zachować dystans i mierzyć do niego z czternastofuntówki od nawietrznej. Liczył więc na to, że – o ile pogoda pozwoli – zdoła utrzymać HMS *Wąż* na kursie, co wprawdzie musiało poskutkować wyłączeniem karonad z użytku, ale na szczęście wskazywało jasno, gdzie znajdzie się szkuner w chwili otwarcia ognia. Na tej właśnie podstawie rozkazał zmianę ustawienia dział.

Teraz muszę tylko dopilnować, aby były wymierzone w dobrym kierunku, pomyślał. Nie powinno to być trudne, zwłaszcza że tamci wolą trzymać się od nas z daleka. Aczkolwiek nie od dziś wiadomo, że droga do piekła wybrukowana jest właśnie takimi „nie powinno to być trudne”. Tak przynajmniej uczyło Pismo.

– Kolejne ćwierć rumba, jak mi się zdaje – powiedział spokojnie Hektor Aplyn-Ahrmahk.

– Robi się, kolejne ćwierć rumba na sterburtę, sir! – zameldował w odpowiedzi mat Frahnk Seegairs, obracając kołem, dzięki czemu HMS *Skrzydło* skreślił o trzy stopnie na sterburtę, przyjmując niemal całą siłę wiatru na tę stronę.

Dohlariański bryg znajdował się na południowy zachód od szkunera, zwrócony do niego sterburtą. Odległość nadal się zmniejszała, chociaż już nie w tak szybkim tempie.

– Kiedy uznasz za stosowne, mistrzu Zhoualtyw! – zakrzyknął Hektor, na co główny artylerzysta odpowiedział machnięciem kapelusza.

Stał na tyle blisko obrotowego dział, aby wszystko nadzorować,

jednakże nie zamierzał pouczać Ruhsyla, który w tej właśnie chwili całą uwagę miał skupioną na czternastofuntówce. Moment wcześniej kazał reszcie załogi stanąć w bezpiecznej odległości od działa, aby nikt nie ucierpiał, kiedy potwór cofnie się po oddaniu strzału, a teraz wiódł wzdłuż lufy niemal rozmarzonym wzrokiem.

– Słyszałeś dowódcę – dorzucił główny artylerzysta, na co Ruhsyl tylko skinął głową.

– Słyszałem – potwierdził mruknięciem i zamarł na moment, aby wczuć się w kołysanie szkunera, które odbierał wszystkimi zmysłami.

Wtem, dzięki trzydziestoletniej służbie na morzu i pięcioletniemu intensywnemu szkoleniu artyleryjskiemu, jak również dzięki niebywałemu wyczuciu, którego nigdzie nie da się nauczyć, odstąpił energicznie na bok i pociągnął za linkę spustową.

Zapłon zadziałał bez zarzutu. Czternastofuntówka ryknęła i zasnuła się dymem, który błyskawicznie rozwiał wiatr.

Truskyt Mahkluskee zacisnął wargi, widząc, jak z lufy działa obrotowego Charisjan wydobywa się ciemnobrazowy dym. Nie spodziewał się, że zaatakują go z tak dużej odległości. Słusznie jednak przewidział, że spróbują zająć ich od południowego zachodu, wykorzystując warunki pogodowe. Zakładając, że nie dojdzie do jakiejś nieprzewidzianej katastrofy, HMS *Wąż* powinien utrzymać się w grze dzięki działom na prawej burcie oraz obu osiemnastofuntówkom. Niestety przy takim dystansie i przy takiej fali nie bardzo można było liczyć na celność oddanych strzałów. Chociaż...

– Możesz strzelać! – zawołał do płowłosego Klynmywlyra przycupniętego za jedną z osiemnastofuntówek z linką spustową w dłoni.

Coś przebiło kliwer brygu, po czym wpadło z pluskiem do wody jakies czterdzieści jardów od lewej burty na wysokości dziobu.

A następnie eksplodowało.

Niczym echo wybuchu zagrzmiały obie osiemnastofuntówki, jednakże Mahkluskee zbladł jak ściana, gdy po drugiej stronie jego statku wzbił się w powietrze gejzer wody.

– Nieźle, sir – powiedział Stywyrł Mahlyk. Sternik barona Sarmouth, który od niedawna był sternikiem porucznika Aplyna-Ahrmahka, stał w typowej dla siebie pozie, prezentując zbroję i pistolety, z założonymi na piersi rękami, i wpatrywał się w plecy Hektora. – Wyllyma oczywiście nie zamierzam chwalić. I tak chodzi i puszy się jak paw.

Hektor parsknął, wiedział jednak, że Mahlyk ma rację. Już pierwszy pocisk wylądował bardzo blisko celu, co tylko potwierdziła projekcja rzucona wprost na jego soczewki kontaktowe, a ukazująca reakcję Mahkluskeego zarejestrowaną przez SAPK-a.

Zamiast zwykłej kulistej kuli czy też ośmioletowego pocisku, jakimi strzelało się z czternastofuntówki, nowa, udoskonalona, gwintowana broń pluła cylindrycznymi litymi pociskami o wadze prawie czterdziestu pięciu funtów... czy też trzydziestofuntowymi eksplodującymi pociskami zawierającymi ponad pięć funtów czarnego prochu i najnowsze wersje zapalników uderzeniowych opracowanych przez Ehdwyrda Howsmyna. Dzięki temu jej donośność była większa, a czynione przez nią zniszczenia znacznie poważniejsze niż w wypadku starego modelu.

HMS *Wąż* odpowiedział ogniem z przednich furt działowych, wypuszczając gęste kłęby dymu, Hektor zaś patrzył, jak kula – najpierw jedna, potem druga – mknie po szczytach fal, produkując spienione białe fontanny. Tak samo jak z czternastofuntówką, odległość była odpowiednia. Ale Dohlarianom zabrakło mata Ruhsyla, a poza tym nie strzelili równocześnie z obu dział. Pierwszy pocisk zarył w wodę jakieś pięćdziesiąt jardów od HMS *Skrzydło*. Drugi, wystrzelony pod innym kątem, poszybował wysoko, przemknął nad pokładem szkunera, nie wyrządzając żadnych szkód, i zniknął w odmętach dobre dwieście jardów dalej.

To wszystko, na co cię stać, komandorze Mahkluskee? – zapytał w myślach Hektor.

– Cholera!

W odróżnieniu od Mahkluskeego porucznik Achlee nie był w stanie

ukryć swojej reakcji, gdy charisjański pocisk wzbił w powietrze gejzer wody. Okręcił się na pięcie, aby stanąć twarzą do przełożonego, otworzył szeroko oczy i usta, lecz nic nie powiedział, ponieważ wystarczył jeden ruch głowy Mahkluskeego, aby go kompletnie uciszyć.

– Zobacz, czy dasz radę iść bardziej z wiatrem – rzucił porucznik komandor do stojącego przy kole sterowym doświadczonego marynarza, a następnie uśmiechnął się słabo. – Moim zdaniem najlepiej będzie zbliżyć się do przeciwnika tak bardzo, jak to możliwe.

– Robi się, sir! – odparł sternik, ale że nie był nowicjuszem, spojrzął w oczy dowódcy i wyczytał w nich, że Mahkluskee ma pełną świadomość tego, że zbliżą się do HMS *Skrzydło* tylko na tyle, na ile pozwolą im Charisjanie. Żaden bryg wyposażony w ożaglowanie rejowe nie dorówna zwinności szkunera, a przecież HMS *Wąż* był do tego powolny.

– Rusz się, Karmaikelu – dodał Mahkluskee, zwracając się do swego pierwszego oficera. – Wolę, abyś znalazł się jak najdalej ode mnie, na wypadek gdyby... wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Poza tym – uśmiechnął się jeszcze bladziej niż przed chwilą – na pewno wpłyniesz motywująco na Klynmywlyra. Uważaj jednak, aby nie patrzeć mu przez ramię.

– Właśnie tak, chłopcy – rzucił zachęcającym tonem Wyllym Ruhsyl, gdy nowy ładunek zniknął w czeluści lufy.

Zabrało to sekundę dłużej niż ładowanie litej kuli lub pocisku przystosowanego do działa gładkolufowego, lecz ta konkretna obsada oddała dobrze ponad sto próbnych salw od dnia, w którym dostała w swoje ręce nową broń. Potrafili wykonać wyćwiczone ruchy po ciemku i w deszczu – w tym celu ćwiczyli z zawiązanymi oczami – dzięki czemu i teraz ładunek ześlizgnął się gładko do lufy. Łagodne pchnięcie docisnęło go do prochu, moment później świeży lont trafił do otworu w lufie, a Ruhsyl sięgnął po linkę spustową.

– Uwaga! – krzyknął i odczekał, dając swoim podwładnym czas na odsunięcie się na bezpieczną odległość.

Następnie ponownie schylił się nad działem, sprawdzając przyrządy celownicze, których używali tylko Charisjanie, obserwując, jak czubek

lufy celuje najpierw w niebo, a potem w morze. Sztuczka polegała na tym, aby uchwycić ten moment, gdy nieuniknione opóźnienie w zapłonie pokryje się z chwilą, kiedy wylot lufy będzie idealnie wymierzony w dohlariański bryg. Wielkie znaczenie miało to, że kontrola jakości w zakładach Ehdwyrda Howsmyna pilnowała, aby czas spalania lontu był taki sam w wypadku wszystkich zapalników dostarczanych flocie. Czy raczej prawie taki sam, ponieważ absolutna synchronizacja była marzeniem ściętej głowy. Zawsze były jakieś rozbieżności, w związku z czym ostatecznie decydowało ludzkie oko i wycucie czasu.

Na szczęście Wyllym Ruhsyl był mistrzem w swoim fachu.

Na wysokości pasa Charisjanina pokazał się pióropusz dymu, po czym drugi pocisk przeciął powietrze. Tym razem działonowi posłali go nieco wyżej. Pocisk wydał przenikliwy, a zarazem głuchy odgłos, kiedy przebijał się przez *Węza*, by eksplodować jakieś sto metrów dalej.

Mahkluskee pomyślał, że pierwszy strzał był fuksem. Być może.

Jakkolwiek jednak by się przekonywał, nie potrafił w to uwierzyć.

– Na Shan-wei! – warknął Ruhsyl, widząc, że znowu spudłował.

– Kazałem ci mierzyć prosto do celu! – Zhowaltyr musiał podnieść głos, aby Ruhsyl usłyszał go przez zatyczki w uszach. Nawet mimo nich Wyllym był w stanie wyczuć oschłość w tonie przełożonego. – Chyba nie muszę ci mówić, że pociski nie rosną na drzewach!

Kanonier popatrzył na niego, ale roztropnie nie odpowiedział.

– Ładuj! – rzucił tylko, podrywając obsadę działa do akcji.

– Ognia! – Jyrdyn Klynmywlyr szczechnął, czemu towarzyszył ponowny grzmot osiemnastofuntówki.

Cuchnąca chmura dymu prochowego przesunęła się nad pokładem

w kierunku rufy, a on zmrużył oczy, aby przeniknąć ją wzrokiem i prześledzić tor pocisku.

Przy tej odległości nie miał czasu czekać, aż dym całkiem się rozwieje, ale i tak zobaczył błysnięcie białego światła, gdy co najmniej jedna z kul, odbijając się od fal niczym kamyczek rzucony na powierzchnię wody przez dziecko, przemknęła tuż za rufą charisjańskiego szkunera.

– A niech to! – Potrząsnął gniewnie głową.

– Macie trafiać w ten przeklęty statek, nie w morze! – ryknął. – Zrozumiano?!

Przez długą chwilę przyszpilał spojrzeniem obsadę pierwszego działła, po czym przeniósł wzrok na drugie i zrobił to samo z ludźmi uwijającymi się przy bliźniaczej armacie. W końcu zaczerpnął głęboko tchu.

– Ładuj!

– Ognia!

Czternastofuntówka szarpnęła się do tyłu na swoim łożu, a chmura dymu – nie brudnego, szaro-białego jak w wypadku tradycyjnego prochu strzelniczego, tylko ciemnobrązowego, jaki brał się ze znacznie bardziej wydajnego charisjańskiego czekoladowego prochu – wzbila się i opadła. Pocisk z wizgiem przeleciał między obydwoma statkami i runął w fale jakieś trzydzieści stóp od celu.

Pokład zachwiał się pod stopami Mahkluskeego, tak że musiał on złapać się busoli dla utrzymania równowagi.

Charisjański pocisk, który wpadł do morza, nie przestał się poruszać. Tor jego opadania okazał się zbyt ostry, aby mógł zagrozić kadłubowi poniżej linii wody, jednakże jego zapalnik aktywował się w momencie przechodzenia pod kilem brygu. Na szczęście odległość była zbyt duża, a siła zapalnika zbyt mała, aby okręt ucierpiał poważnie, wszakże na ryzyko wystawione były łączenia poszycia. Kilka z nich puściło i woda zaczęła wlewać się do środka. Na razie nie stanowiło to poważnego

zagrożenia, ale w każdej chwili mogło się to zmienić.

– Ognia!

Osiemnastofuntówki zagrzmiały ponownie. Tym razem Jyrdyn Klynmywlyr dosięgnął celu. Pojedyncza czteroipółcalowa kula wbiła się w poszycie HMS *Skrzydło* dokładnie na linii wody, przeleciała przez żelazne zbiorniki na wodę trzymane pod pokładem i utknęła w deskach przeciwległej burty.

– Wszystkie ręce pod pokład! – zawołał okrętowy cieśla, wysyłając w ten sposób swoich pomocników, aby sprawdzili siłę przecieku.

Hektor przyjął ten fakt do wiadomości, nie odwracając uwagi od HMS *Wąż*.

Jedynym człowiekiem, który koncentrował się na brygu bardziej niż on, był Wyllym Ruhsyl.

– Ognia!

HMS *Wąż* zakołysał się mocniej, gdy czteroipółcalowy pocisk wyrznął w jego kadłub, przebił deski i eksplodował w magazynku linowym. Ciasno zwinięta juta zamortyzowała eksplozję, jednakże była łatwopalna. Wkrótce w górę biły pióropusze dymu.

– Wszyscy gasić ogień! – krzyknął z całych sił Oskahr Fytsymyns, sprawiając, że prawie dziesięciu chłopów rzuciło się do dziobowego luku.

W minionych kilku latach technika gaszenia pożarów w wykonaniu Dohlarian znacząco się poprawiła, ponieważ hrabia Thirsku obawiał się, co będzie, gdy wybuchające pociski zaczną uderzać o drewniane kadłuby. Strażacy ciągnęli za sobą płócienny wąż; czterech stanęło przy umieszczonej na dziobie pompie, szykując się do pompowania wody tam, gdzie jest potrzebna, z chwilą gdy – czy raczej o ile – uda się namierzyć źródło dymu.

Ciemnoszare kłęby biły z włazu, ścieląc się nisko przy pokładzie niczym mgła i oplatając nogi artylerzystów, zanim wreszcie dosięgnęły

nadburć, skąd poszczególne pasma porywał wiatr. Nikt na to jednak nie zwracał uwagi.

– Ognia!

Dwa okręty sunęły przed siebie, w miarę jak czas upływał i toczyła się walka.

Obsada karonad na obu burtach przyglądała się wydarzeniom w milczeniu, trzymając w rękach wyciory i czekając, aż nadejdzie sposobna chwila, aby włączyć się do bitwy. Jednakże Hektor Apłyn-Ahrmahk nie zamierzał umożliwić przeciwnikowi wykorzystania przewagi bliskiego zasięgu. Artylerzyści Mahkluskeego okazali się lepsi, niż przewidywał: w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu minut trafili HMS *Skrzydło* jeszcze trzykrotnie. Patrząc obiektywnie, wykazali się śmiesznie małą celnością, jednakże z subiektywnego punktu widzenia załogi szkunera płynącego przez ośmio- czy nawet dziewięciostopowe fale dokonanie było niczego sobie. Dlatego książę Darcos ani myślał ułatwiać sprawy wrogowi.

Na szczęście załoga Wyllyma Ruhsyla była jeszcze lepsza. Osiągnęła pięć trafień, posyłając niecelnie zaledwie pół razy tyle pocisków, ile w sumie wystrzeliła. Na pokładzie HMS *Skrzydło* było sześć ofiar, w tym ani jednej śmiertelnej. Dohlarianie stracili z załogi siedmiu zabitych i ośmiu rannych, HMS *Wąż* dostał dwa razy pod linię wody. Pompy radziły sobie na bieżąco, dopóki pięć minut temu jeden z pocisków wysłanych przez Ruhsyla w stronę brygu nie wylądował perwersyjnie na samym szczycie pompy dziobowej.

Gdy w użytku pozostała tylko pompa rufowa, wody zaczęło gwałtownie przybywać. W dodatku wszyscy strażacy rzucili się gasić ogień, co nie do końca im się udało. Płomienie wciąż szalały, a w pewnym momencie kolejny pocisk wybuchł w kabinie Mahkluskeego, stanowiąc nowe zarzewie ognia. Wprawdzie udało się je prędko ugasić, ale dowódca HMS *Wąż* i tak widział, że jego podwładni popadają w desperację. Choć Charisjanie oberwali dobre kilka razy, nic na to nie wskazywało. Przekłęte działo obrotowe sypało pociskami w regularnych odstępach czasu, jakby odmierzanych metronomem.

– Dajcie im popalić, chłopcy! – usłyszał własny głos. W duchu dodał zaś: *Trzeba nam trafić w olinowanie. To załatwi sprawę.*

Bryg ze swoim olinowaniem rejowym miał przewagę nad szkunerem. Gdyby tylko udało im się strącić maszt albo chociaż odstrzelić mocowania żagli. Cokolwiek, byle spowolnić Charisjan i dać Dohlarianom szansę na zwiększenie dystansu. Cios musiałby być naprawdę zabójczy, skoro bryg miałby podpłynąć pod wiatr i przypuścić atak z karonad, jednakże Mahkluskeemu wystarczała ucieczka.

Mam w nosie, jak precyzyjnie do nas strzelają! Poradzilibyśmy sobie z nimi, gdyby choć na chwilę przestali nas bombardować tymi eksplodującymi pociskami, podczas gdy my mamy na stanie tylko lite kule. Kto wpadł na pomysł, aby tak małe działa ładować amunicją wybuchową? I jakim cudem udało mu się wepchnąć w te pociski tyle prochu? Jak to możliwe, że ci przebrzydli Charisjanie wyczyniają takie rzeczy, kiedy my ich nie umiemy? Po której stronie tak naprawdę stoją archaniołowie?

Coś w nim się skurczyło, gdy uświadomił sobie własne bluźnierstwo, nawet to jednak nie mogło zmienić faktów, a te były niezaprzeczalne. Za Boga i Langhorne'a walczył Dohlar, czemu więc...?

– Ognia!

Wyllym Ruhsyl szarpnął za linkę spustową po raz – zda się – tysięczny. Czternastofuntówka wydała z siebie pomruk, rozległ się gwizd i huk i HMS *Wąż* zniknął w kuli ognia, dymu i latających we wszystkich kierunkach drzazg. Czteropółcalowy pocisk trafił prosto w magazyn prochu i tam eksplodował.

.III.
Lake City
oraz
Obóz Mahrtyń Taisyn
Traytown
Prowincja Tarikah
Republika Siddarmarku

Wydaje się, że wszystko gotowe – powiedział Medyng Hwojahn, baron Dzikiej Pieśni, spoglądając przez zamontowaną na trójnogu lunetę w stronę sprawiającej groźne wrażenie zaśnieżonej linii umocnień. Otwarcie przez niego ust towarzyszyło uniesienie się obłoczku pary, który rozwiął się wolno. Umocnienia ciągnęły się daleko, jak okiem sięgnąć. Baron wyprostował się i odwrócił do wysokiego jak na Harchończyka oficera, który stał po jego prawicy. – Panie stopy Zhyngbau, teraz wszystko w twoich rękach.

– Tak, mój panie! – Zhyngbau uklonił się i musnął pierś pięścią w salucie, po czym zdecydowanie pstryknął palcami.

Na ten znak jego adiutant uniósł flagę sygnalizacyjną, która do tej pory leżała u jego stóp. Trzymając ją nad głową, zamachał gwałtownie kolistym ruchem, aż chorągiew z jaskółczym ogonem zatrzepotała głośno na wietrze.

Przez chwilę nic się nie działo. Aż w końcu w oddali rozległy się odgłosy przypominające dźwięk werbli Chihiro. Czterdzieści ciężkich dział kątowych – produkt coraz intensywniej pracujących odlewni Kościoła Matki – wystrzeliło w powietrze. Pociski spadały z nieba z gniewnym wizgiem, pogrążając umocnienia w huraganie erupcji ognia, dymu, śniegu i ziemi. Hałas i chaos trwały przez dobre pięć minut. Dziesięć. Piętnaście. Dwadzieścia...

Pół godziny. Dopiero po tym czasie wszystko ucichło. Może nie jak nożem uciął, ale wystarczająco nagle. Baron Pieśni Wiatru sięgnął do

uszu, aby wyjąć bawełniane zatyczki.

– Jestem pod wrażeniem, Shygau – powiedział do towarzyszącego mu mężczyzny.

Słyszając pochwałę, Shygau Zhyngbau pozwolił sobie na nieco szerszy uśmiech, który niebezpiecznie przypominał grymas nieprzystojący dobrze wychowanemu harchońskiemu wielmoży.

Aczkolwiek Zhyngbau niezupełnie zaliczał się do arystokracji. Technicznie rzecz biorąc, był odległym krewnym admirała floty, księcia Cienia Góry, z którym wszelako nigdy nie miał okazji poznać się osobiście. Ta relacja rodzinna jednak wystarczyła, aby został naczelnym artylerzystą Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów. Nie znaczyło to bynajmniej, że wszyscy z równym entuzjazmem widzieli go na tym stanowisku. Co do barona Pieśni Wiatru jednak, był on gotów zaakceptować nawet zwykłego wieśniaka, gdyby ów miał takie zdolności jak Zhyngbau. No ale horyzonty myślowe barona znacznie się poszerzyły, po tym jak jego wuj objął dowodzenie nad Armią Pana Wszechmogącego i Archaniołów, a on sam zapoznał się z realiami świętej wojny.

– Z tej odległości wygląda to naprawdę źle – dodał baron Pieśni Wiatru, zwracając się do drugiego towarzysza.

Syan Rungwyn – w przeciwieństwie do Shygau – nie był arystokratą w najmniejszym stopniu i co smutne, brakowało mu wdzięku, postawy i swobody wysławiania się typowej dla przedstawiciela któregośkolwiek wielkiego rodu Harchongu. Nie łączyły go żadne więzi krwi nawet z jakimś urzędnikiem cesarstwa. Wszakże zajmował stanowisko naczelnego inżyniera Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów, ponieważ był równie dobry w swoim fachu jak Zhyngbau, a nawet lepszy.

– I owszem – potwierdził Rungwyn. – Jeśli pozwolisz, mój panie...

Wskazał na lunetę, na co baron odsunął się, aby zrobić mu miejsce. W powietrzu wciąż unosiło się sporo dymu i śniegu, tak że obserwacja była utrudniona, ale z każdą chwilą widoczność stawała się lepsza. Rungwyn pomajstrował przy lunecie palcami okrytymi rękawiczką, a następnie obracał ją delikatnie, obejmując wzrokiem zniszczenia spowodowane przez bombardowanie. Przez cały czas nie zmienił miny, a gdy w końcu się wyprostował, wyraz twarzy miał zamyślony.

– Mój panie, pierwsze wrażenie bywa bardzo mylące – oznajmił, czyniąc prawą dłonią lekceważący gest. – Oczywiście okopy zawały się w wielu miejscach, a pas przeszkód ucierpiał dosyć poważnie, ale głębsze bunkry z pewnością przetrwały.

– Naprawdę? – Baron Pieśni Wiatru uniósł jedną brew, po czym znów nachylił się do lunety, by przyjrzeć się zburzonym umocnieniom uważniej. I musiał przyznać, że Rungwyn może mieć rację.

Medyngu, powinieneś był szerzej otwierać oczy, zamiast rzucać próżne opinie, pomyślał. Pamiętasz, co zawsze mówił ci wuj Taychau? „Pozory mylą”.

– Najwyraźniej się nie mylisz – rzekł. – Zatem chodźmy przekonać się z bliska.

– Bylebyśmy tylko nie ryzykowali niepotrzebnie – wtrącił Zhyngbau. Widząc pytające spojrzenie barona, dodał ze wzruszeniem ramion: –

Nasze zapalniki niestety nie są równie godne zaufania jak zapalniki heretyków. Dlatego wolałbym nie dać się wysadzić... a zwłaszcza wolałbym nie pozwolić, abyś ty, panie, dał się wysadzić... przez spóźniony zapłon. Jestem pewien, że hrabia Tęczowych Wód miałby do mnie wielkie pretensje. Pozwól, że zaproponuję, abyś odczekał jeszcze dwadzieścia minut. Tymczasem ja i moi ludzie udamy się przodem.

– Niech będzie, że zaczekam godzinę, skoro nie uśmiecha mi się zostać rozerwanym na strzępy w takim samym stopniu jak tobie. Ha, powiem więcej: dwie godziny. I tak nadeszła pora lunchu. Zapraszam was obu na posiłek. – Baron uśmiechnął się niemalże ciepło. – W tym czasie twoi artylerzyści będą mogli sprawdzić ewentualne niewypały... sami, bez ciebie. Bo rozumiesz, mój wuj byłby równie niezadowolony, gdyby coś złego przytrafiło się tobie. A my będziemy mieli okazję porównać nasze pierwsze wrażenia i może zastanowić się nad testami rakiet bombardujących, na które czekamy.

A to dopiero irytująca sprawa, pomyślał Kynt Clareyk, baron Zielonej Doliny, a przy tym głównodowodzący Armii Midhold, podchodząc do piecyka w swoim biurze. Irytująca jak szlag!

W tym właśnie momencie jego armia – która miała zmienić nazwę na

Armia Tarikah w przyszłym miesiącu – obozowała wzdłuż traktu wiodącego z Lakeside do Gray Hill. „Obozowała” było pewnym nadużyciem językowym, wzięwszy pod uwagę, że „obóz” sugeruje sytuację przejściową, podczas gdy w rzeczywistości chodziło o solidne baraki, jakie zawsze wznosił Korpus Inżynieryjny Cesarskiej Armii Charisu. Budowniczy zostali zmuszeni do nawet większej efektywności w tym przypadku, a to z powodu pogody. Wkrótce obóz Mahrtyń Taisyn będzie zajmował wiele mil kwadratowych Prowincji Nowej Północnej, dając dach nad głową ponad osiemdziesięciu tysiącom żołnierzy. Jak dotąd stała tylko część budynków, jednakże niektóre z nich – takie jak kwatera główna – miały pierwszeństwo przed innymi, dzięki czemu baron Zielonej Doliny mógł słuchać wycia nocnego wiatru w krokwiach, nie przejmując się panującym na zewnątrz zimnem. Na wszelki wypadek jednak dorzucił jeszcze do ognia dwie bryłki węgla rodem z Glacierheart. Następnie – nie wypuszczając pogrzebacza z dłoni – zatrzaskał drzwi, wrócił do biurka i odchylił się na oparcie krzesła, aby rozważyć konsekwencje wynikające z najnowszego raportu SAPK-ów.

Właściwie nie powinno to być dla mnie zaskoczeniem, przyznał w duchu. Przecież wiedziałem, że hrabia Tęczowych Wód ma głowę na karku i nie zawaha się jej użyć, szczególnie gdy da się mu na to dużo czasu. Na co w takim razie liczyłem?

Nie był wobec siebie całkowicie sprawiedliwy, ale też nie pozwalał mu na to jego nastrój.

Nie miał cienia wątpliwości, że zwłoka spowodowana w ofensywie przez wyzwalanie obozów koncentracyjnych Inkwizycji była koniecznością zarówno ze względów moralnych, jak i strategicznych. Imperium Charisu wraz ze swoimi sojusznikami musiało ocalić tyle ofiar Inkwizycji, ile tylko było możliwe. Od tego zależało nie tylko dobre samopoczucie Sojuszników, ale też ich zbawienie. A w każdym razie był to krok konieczny, aby pokazać wszem wobec, że nie pozwolą Zhaspahrowi Clyntahnowi poczynać sobie wedle własnego widzimisień. Los tych ludzi był ważny, u licha! Dlatego Armia Midhold zatrzymała się przed przekroczeniem rzeki Hildermoss i wszystkie swoje wysiłki skupiła na ratowaniu, a następnie odziewaniu, karmieniu i transportowaniu dziesiątek tysięcy na wpół zagłodzonych i zmaltretowanych jeńców w bezpieczne miejsca. Ostatecznie udało im się uratować więcej niż pierwotnie zakładane trzysta tysięcy więźniów...

za cenę życia wszystkich ludzi osadzonych w trzech obozach.

Więźniowie obozu Raichel zostali przeniesieni w głąb terytorium kontrolowanego przez Inkwizycję i Armię Boga. Po drodze zginęło dwadzieścia procent ludzi – ten smutny wynik byłby znacznie gorszy, gdyby Diallydd Mab nie postarał się o zmianę na stanowisku dowódcy straży. Niestety z kolei jeńców przetrzymywanych w obozie Urtha i Zhakleen nie przemieszczono daleko za linię frontu, tylko zwyczajnie ich zmasakrowano: ofiarą padło równo sto dwadzieścia tysięcy osób. W obozie Zhakleen dołączyła do nich ponad jedna trzecia straży, zbuntowanej przeciwko rozkazom wielkiego inkwizytora. Polegli, starając się bronić więźniów, za co Kynt Clareyk był im wdzięczny i pamiętał o nich w swoich modlitwach. Między innymi dlatego nie dopuścił, aby strażnicy z obozu Hainree, którzy zbuntowali się z sukcesem i przeprowadzili osiemdziesiąt siedem tysięcy mieszkańców Republiki Siddarmarku za linie Sojuszników, wyprzedzając o pięć godzin ścigającą ich kawalerię Armii Boga, byli źle potraktowani. Dzięki jego rozkazom spotkali się oni z honorowym – i ludzkim, na tyle, na ile to było możliwe – przyjęciem.

Kynt Clareyk uważał bowiem, że nie można zmarnować takiej odwagi i takiego człowieczeństwa.

Faktyczne wyniki akcji ratunkowej przerosły jego najśmielsze oczekiwania – zamiast trzystu tysięcy ocalono ponad pół miliona osób, co oczywiście zajęło więcej czasu, niż początkowo zakładano. W gruncie rzeczy przepadła cała jedna kampania na terenie Północnego Haven.

To znaczy mogliśmy podjąć ofensywę po uporaniu się z kwestią zaopatrzenia... ale wtedy skończylibyśmy jak Hitler w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku. Na szczęście na Starej Ziemi było więcej dowódców, z których część istotnie zasługiwała na naśladowanie. Weźmy na przykład takiego Carla Gustava Mannerheima.

Na tę myśl Kynt się skrzywił, zwłaszcza że wciąż miał w pamięci, co Sowa przesłała na jego soczewki kontaktowe. Oddziały barona Zielonej Doliny miały lepsze szanse niż Wehrmacht w Rosji, biorąc pod uwagę wyposażenie i przeszkolenie Cesarskiej Armii Charisu. Nic jednak nie było jeszcze przesądzone; równie dobrze mogło dojść do rozpadu sojuszu Charis–Siddarmark u krańca tej drogi, którą próbowano przerzucić zaopatrzenie przez pustynię, jaką pozostawiała za sobą Armia Boga.

Konsekwencje byłyby niebagatelne. A przecież Sojusznicy zaznali więcej upadków niż wzlotów, gdy akcja Miecz Schuelera praktycznie zrujnowała Republikę Siddarmarku. Zdaniem Kynta Clareyka – i nie tylko jego – przyszła pora, by ściągnąć zniszczenie na drugą stronę tego konfliktu. Osobiście był przekonany, że Sojusznicy zdołali wypłacić nie lada zaliczkę podczas ostatniej letniej kampanii i nie przeszkodził im nawet impas, który powstał w wyniku oswobodzania obozów koncentracyjnych. Jednakże teraz trzeba było zapewnić żołnierzom zimowe kwatery, i to zanim nastanie prawdziwa siddarmarska zima.

Ponadośmiocalowa warstwa śniegu spowijająca okolicę tylko to potwierdzała, szczególnie w oczach człowieka rodem ze Starego Charisu, który potrafił się domyślić, co przyniosą ze sobą nieustannie wirujące płatki w powietrzu opatulające białą pierzyną także teren w bezpośredniej bliskości jego siedziby. Dzięki programowi meteorologicznemu Sowa była w stanie przewidzieć, że obecne osiem cali śniegu do rana zamieni się w dziesięć, a baron Zielonej Doliny, który pierwszą swoją zimę przeżył w Chisholmie, wcześniej nigdy nawet nie widział na własne oczy śniegu, jeśli nie liczyć podziwianych przy rzadkich okazjach górskich szczytów leżących gdzieś hen na horyzoncie. Chisholm sprawił, że Clareyk przejrzał pod tym względem na oczy, a przecież zima tutaj, w Północnym Haven, nie mogła się równać z zimą w Chisholmie. Bawiło go, że on, Charisjanin, wyrósł na najskuteczniejszego dowódcę zimowych kampanii w historii całego Schronienia. Równocześnie wiedział, że nigdy nie stanie się miłośnikiem sportów zimowych.

Skończ z tymi dygresjami, napomniał się surowo. Wiesz chyba, że gdy przyjdzie czas wszcząć na nowo kampanię, nie będzie lekko. Jakie cudowne pomysły wpadną ci do głowy tym razem?

Jak na razie był całkowicie wyprany z jakichkolwiek błyskotliwych idei.

Taychau Daiyang, hrabia Tęczowych Wód, dowodził dobrze ponad milionem żołnierzy. Minionego lata, zanim doszło do przerwania kampanii z powodu wyzwania obozów koncentracyjnych, tylko osiemset tysięcy z nich znajdowało się na froncie, przy czym co najmniej jedna trzecia zajmowała przełęcz Tymkyn w Górach Wężowych, to jest prawie dwa tysiące mil w linii prostej od kwatery hrabiego w Lake City na brzegu Jeziora Zachodniego Skrzydła. Można się jednak było liczyć

z tym, że do wiosny liczba Harchończyków zwiększy się do dwóch milionów. Do tego dojdzie kilkaset tysięcy ludzi w szeregach Armii Boga, a nie wolno też było zapomnieć o tym, że Allayn Maigwair już teraz wzmacniał siły Armii Tanshar, która miała za zadanie wesprzeć hrabiego Tęczowych Wód. To z kolei zwalniało z jego obowiązków hrabiego Jedwabnych Wzgórz, dowódcę południowego odłamu Armii Boga, pozwalając hrabiemu Tęczowych Wód umocnić swoją prawą flankę, tworząc tym samym głębszą i lepiej chronioną strefę pomiędzy Sojusznikami a Kanałem Świętego Langhorne'a, co stanowiło podstawę logistyki Kościoła Matki na północy. W efekcie, zanim dojdzie do podjęcia kampanii po roztopach, Sojusznicy równie dobrze mogą stanąć oko w oko z trzema milionami wrogich żołnierzy, należycie okopanych na całej długości frontu od przesmyku Hsing-wu aż do zatoki Hankey. Co gorsza, te trzy miliony żołnierzy będą wyposażone w znacznie lepszą broń niż oddziały, z którymi Sojusznicy mieli do czynienia uprzednio. A także będzie tej broni znacznie więcej, niż opiewały pierwotne szacunki.

Chciałbym za to winić Ehdwyrda, ale prawdziwymi winowajcami są Duchairn i brat Lynkyn. Nie można też zapomnieć o mistrzu Bryairsie i bracie Sylvestraim. Niemałym zaskoczeniem było także to, że Duchairn i Maigwair zdecydowali się oddelegować zdolnych rzemieślników z pierwszych szeregów armii na zaplecze, gdzie ich kunszt miał szansę się w pełni rozwinąć. Tak czy inaczej...

Kynt skrzywił się i potrzęsnał głową. Powinien był to wszystko przewidzieć, mając dostęp do banków danych Sowy, z których skorzystał, gdy nagle szacunki i rzeczywistość przestały się ze sobą zgadzać. Był sobie w stanie wybaczyć, że wątpił w zdolność Duchairna do zapłaty za wszystkie te karabiny i działa, chociaż zawrotne tempo, w jakim Kościół Matka zwiększał liczbę odlewni i fabryk od czasu Bitwy w zatoce Darcos, powinno było mu dać do myślenia.

Podczas amerykańskiej wojny secesyjnej na Starej Ziemi populacja Unii wynosiła w przybliżeniu osiemnaście i pół miliona osób. W trakcie czterech ziemskich lat – czyli prawie czterech i pół lat na Schronieniu – trwającej wojny Unia wcieliła do wojska prawie dwa miliony siedemset tysięcy mężczyzn, do marynarki wojennej zaś kolejne osiemdziesiąt pięć tysięcy. Zapewniła także im wszystkim mundury, siodła, prowiant, karabiny, szable, kordelasy, pistolety, plecaki, menażki, manierki

i amunicję z zasobów magazynowych. Trzeba przyznać, że w ziemskich warunkach działała kolej i istniały statki parowe, ale na Schronieniu były dla odmiany smoki i kanały spływowe, dzięki którym logistyka szła sprawniej niż w Stanach Zjednoczonych końcówki dziewiętnastego wieku. Szczególnie że aż do 1870 roku głównym źródłem energii na Ziemi była woda. I to właśnie wojna secesyjna sprawiła, że nastąpił rozwój przemysłowy, dzięki któremu do użytku weszła siła pary, aczkolwiek zwłaszcza na północnym wschodzie kraju z powodu wielkiej liczby strumieni i wodospadów bynajmniej woda nie wyszła z użycia jako znacznie tańsze źródło energii. Tak czy owak stopień rozwoju przemysłowego Ameryki w tym czasie był opóźniony w stosunku do realiów panujących na Schronieniu przed pojawieniem się Merlina – mimo to Unia wyprodukowała tysiąc osiemset dział polowych z brązu i lanego żelaza oraz tysiąc trzycalówek ze znacznie kosztowniejszego pod wieloma względami kutego żelaza. Nie wspominając o maszynach, artylerii i opancerzeniu w celu powiększenia istniejącej floty piętnastokrotnie.

Kościół Matka miał tylko nieco więcej ludzi i nieco więcej odlewni niż Unia swego czasu. Aby nie być gołosłownym: w samych Krainach Granicznych, Ziemiach Świątynnych i Harchongu żyło dwieście sześćdziesiąt siedem milionów ludzi, to jest czternaście razy więcej niż za czasów wojny secesyjnej na terenie Unii. Dalej, rolnictwo Schronienia – przynajmniej poza północnym Harchongiem – dawało wyższe plony niż w całej dziewiętnastowiecznej Ameryce Północnej. Znaczyło to, że większy odsetek mężczyzn mógł trafić do armii – bądź do nowo tworzonych odlewni – za sprawą centralnego rządu, znacznie bardziej autorytarnego niż wszystko, co Abraham Lincoln i Edwin Stanton mogli wyśnić w opiumowych snach. Do tego nawet potężny wzrost produkcji stali na ziemiach Kościoła Matki nie był w stanie obniżyć wydajności zmuszonych do pracy pełną parą odlewni.

Obecnie odlewnie te wytwarzały prawie siedemset sztuk artylerii każdego miesiąca – z podziałem na działa polowe, wszystkie oczywiście gwintowane, i działa kątowe. Poza tym powstawały też, i to w niesamowitych ilościach, te przekłete wyrzutnie raketowe brata Lynkyna. Aby zamknąć tę listę, należało wymienić również powstające co miesiąc osiem dziesiątek nowych, ciężkich dział obrony wybrzeża.

W ostatnich latach toczonych walk zarówno Armia Glacierheart, jak

i Armia Seridahnu straciły praktycznie całą artylerię, podczas gdy Armia Pana Wszechmogącego i Archaniołów miała stan artylerii nienaruszony, a jej gładkolufowe działa polowe zostały odesłane do odlewni w Krainach Granicznych, gdzie miały zostać owinięte pasami kutego żelaza i nagwintowane. Niemal wszystkie zdążyły już wrócić na front, a ostatnich egzemplarzy spodziewano się długo przed wiosną. Były oczywiście poślednie w stosunku do dział odlanych ze stali, które opuszczały nowe, unowocześnione odlewnie Kościoła Matki. Skoro już o tym mowa, były poślednie także w stosunku do gwintówek Fultyna, jednakże o ich znaczeniu przesądzała liczba. Poza tym Zhyngbau i hrabia Tęczowych Wód dobrze przemyśleli to, jak ich najskuteczniej użyć, kiedy zostały wycofane z użytku na pierwszej linii frontu i zastąpione nowszymi rodzajami broni.

Jedynym jasnym punktem było to, że Allayn Maigwair – co było dla niego bardzo nietypowe – przestał naciskać, aby wprowadzić do masowej produkcji opracowane przez Kościół Matkę moździerze. Błogosławieństwo było tylko częściowe, gdyż materiały i środki, które by zostały przeznaczone na ten projekt, zostały wykorzystane z korzyścią dla programu raketowego, no ale przynajmniej wróg miał mieć koniec końców mniejszą liczbę moździerzy od Charisu i Siddarmarku. To miało się odbić na nim niekorzystnie z chwilą, gdy armie znów zaczną się przemieszczać, jako że działa polowe były zdecydowanie mniej mobilne od zwykłych moździerzy. Z drugiej strony istniało ryzyko, że decyzja Maigwaira bynajmniej nie była przeoczeniem, jak chciałby myśleć baron Zielonej Doliny, a to dlatego, że hrabia Tęczowych Wód nie zasypiał gruszek w popiele i nie tracił czasu, który przypadkiem zyskał na przemyślenie strategii. Wskutek tego doszło do zgromadzenia zapasów w Lake City, jak również w innych rozproszonych punktach za linią frontu, chociaż ostatecznie nie nastąpiła tego lata oczekiwana przez Sojuszników kontrofensywa. Z jakiegoś powodu hrabia niechętnie dzielił się swoimi przemyśleniami z wielkim inkwizytorem, jednakże wystarczyło rzucić okiem na umocnienia i pozycje, aby zrozumieć, że zamierza postawić na obronę, pozwalając Sojusznikom się wykrwawiać podczas ataków. W takiej sytuacji wyrzutnie raket, a szczególnie ich masowe wersje, okazałyby się o wiele cenniejsze niż jakiegokolwiek moździerz.

Cokolwiek hrabia Tęczowych Wód zataił w swoich raportach

kierowanych do Syjonu, Maigwair najwyraźniej przejrzał jego prawdziwe intencje, co z pewnością tłumaczyło decyzje dotyczące produkcji i zaopatrzenia podejmowane przez głównodowodzącego siłami Kościoła Matki.

Czy jednak Maigwair powziął decyzję słuszną czy nie, smutna prawda była taka, że pomimo znacznie większej wydajności Charisu w przeliczeniu na roboczogodzinę to Kościół Matka miał dysponować przewagą, i to znaczną, w zakresie artylerii na wiosnę. Działa nie będą może tak sprawne, nie będą tak ruchome, za to w większości zostaną przerobione z dotychczasowych dział gładkolufowych, odlewane gwintówki Fultyna zaś będą częściej eksplodować przy oddawaniu strzału niż analogiczne stalowe armaty Sojuszników – jednakże z całą pewnością będzie ich zatrząsienie.

Była też pewna dobra wiadomość w tej mierze. Już niedługo sprawy w Zatoce Dohlariańskiej miały przybrać kiepski obrót dla Kościoła Matki. Za to na dłuższą metę Grupa Czworoga ewidentnie się nadwerężyła, dążąc do przesadnej wydajności produkcji.

Świątynia utraciła calutką, wcale niemało znaczącą produkcję Dohlaru, który musiał zatroszczyć się o własne wojsko w obliczu nadciągającej Armii Thesmaru. Swoje znaczenie miało też to, że w Gorath spodziewano się ataku Cesarskiej Floty Charisu. Naturalnie mająca nastąpić inwazja od strony morza niosła też inne, poważniejsze konsekwencje.

Po bitwie w cieśninie Kaudzhu krążowniki hrabiego Sharpfieldu zdołały ograniczyć ruch floty Kościoła Matki na zachodniej jednej trzeciej zatoki, a tak się składało, że prawie połowa odlewni i fabryk Kościoła Matki znajdowała się na północy zatoki, na Ziemiach Świątynnych i na terenie północnego Harchongu. Cała reszta zaś mieściła się w południowym Harchongu, a przecież każda rakietka, każdy karabin, każdy granatnik tam wyprodukowany musiał jakoś znaleźć się na froncie.

Co oznaczało transport morski.

Jak na razie galeony płynące z Zatoki Shwei dawały radę dopłynąć do Malansath Bight w Fairstock czy zatoki Tahlryn, skąd towary można było posłać w górę rzeki dzięki kanałowi Hayzor–Westborne. Lekkie krążowniki mające swoje kotwicowisko na wyspie Talizman odwalały

lwią część roboty i tak miało pozostać, dopóki baron Sarmouth nie otrzyma posiłków. Chodziło o to, aby galeony pozostawały blisko domu, gdzie byłyby chronione przed atakami Dohlaru i jego dobrze wyposażonej Eskadry Zachodniej stacjonującej w bazie w zatoce Saram.

Na nieszczęście Królewska Flota Dohlaru nauczyła się, i to niemało, od Cesarskiej Floty Charisu na temat ochrony konwojów. Caitahno Raisahndo, nowy dowódca Eskadry Zachodniej, wyciągnął naukę z tej lekcji przy wschodnich wybrzeżach Ziemi Jacka. Obecnie miał pod swoimi rozkazami galeony eskorty, kursujące tam i z powrotem na odcinku pięciuset mil pomiędzy Zatoką Shwei i północnym krańcem Cieśniny Wielorybów, co znaczyło, że od siedemdziesięciu do osiemdziesięciu procent towarów tam płynących dostawało się do celu, przynajmniej zanim hrabia Sharpfieldu odbił wyspę Szpon. Gdyby tym galeonom udało się pokonać dalsze dziewięćset mil czy coś koło tego, do Mahrglys w zatoce Tanshar, stamtąd towary można by wysłać w górę rzeki Tanshar, a następnie kanałem Bédard na południowe krańce Krain Granicznych, co stanowiło najszybszy sposób dostarczenia czegokolwiek do wojsk lądowych Kościoła Matki.

Jak dotąd wszystkie trzy szlaki zapewniały transport ogromnych ilości amunicji, jednakże – biorąc pod uwagę to, o czym baron Zielonej Doliny już wiedział, a co miało wydarzyć się w najbliższej przyszłości – wkrótce będzie potrzebna zmiana trasy. Żaden transport nie pokona ot tak sobie Zatoki Dohlariańskiej, co to – to nie!

Przejąć obsługę tych transportów miały szanse kanały wewnętrznlądowe – od Zatoki Shwei do zatoki Hankey, pod warunkiem tylko, że Królewska Flota Dohlaru zdoła utrzymać otwarty wschodni kraniec zatoki. Prawdą jednak było, że nawet kanały na Schronieniu nie dorównywały skutecznością transportowi morskemu, a zresztą gdyby jakimś cudem zatoka Hankey została odcięta od północnych rejonów Wschodniego i Zachodniego Haven, tak samo jak Zatoka Shwei, to...

Znaczna część tych nowych dział i rakiet nie dotrze do hrabiego Tęczowych Wód ani do Armii Boga, pomyślał baron Zielonej Doliny. Niestety, zważywszy na ilości, o których mowa, jak również na fakt, że hrabia Sharpfieldu razem z Dunkynem nie zdołają odciąć zatoki już jutro, jakaś część osiągnie cel swojej podróży. Tak czy owak sytuacja będzie dla nas korzystniejsza, niżby mogła być.

Będzie to pomoc, i to niemała, w nadchodzącej kampanii. Prawda bowiem przedstawiała się tak, że Sojusznicy wcale nie musieli powtórzyć swoich sukcesów na polu bitwy z ostatnich dwóch lat. Zwycięstwa były konieczne, oczywiście, ale Kościół Matka zwyczajnie nie zdoła utrzymać obecnego tempa rozwoju i produkcji. Nawet skarbiec Rhobaira Duchairna ostatecznie opustoszeje – już teraz inflacja zainicjowana przez wojnę odbijała się mocno na Ziemiach Świątynnych i południowym Harchongu; obawa przed słabnącą siłą pieniądza sprawiała, że coraz więcej ludzi ściągało z rynku i ukrywało złoto i srebro, i to pomimo drakońskich kontroli i kar zarządzonych przez Zhaspahra Clyntahna. Do tego permanentne odcięcie południowego Harchongu od północnej części tego kraju musiało skutkować zaprzestaniem produkcji, co rzecz jasna wywarłoby niebagatelny wpływ na Armię Pana Wszchemogącego i Archaniołów.

Wszystko to razem wzięte oznaczało, że Świątynia nie zdoła poradzić sobie ze stratami takimi, jakich doznała w minionym roku. Zła wiadomość była taka, że straty te powinny być zadane przez Królewską Armię Charisu i Armię Republiki Siddarmarku – a niestety hrabia Tęczowych Wód bynajmniej nie chciał współpracować.

Właśnie dlatego, mój drogi, zwrócił się do siebie w myślach baron Zielonej Doliny, drugą stronę nazywa się przeciwnikiem, a nawet wrogiem. Dlaczegoż, ach, dlaczegoż reszta ich dowódców nie może być równie głupia jak Kaitswyrth czy książę Harless? Czy też choćby na tyle rozgarnięta jak Nybar czy Wyrshym? Ba!

Hrabia Tęczowych Wód unikał strat z równym zapałem, jak Sojusznicy usiłowali mu je zadać. A miał swój rozum, niestety, co pozwalało mu na robienie uników całkiem skutecznie. Nawet ktoś taki jak Carl Mannerheim byłby pochwalił jego ostatnie przemyślenia. To, co baron Zielonej Doliny przed chwilą obejrzał, było zaledwie jedną z kilku prób polowych przeprowadzonych przez Harchończyków. Hrabia Tęczowych Wód miał świadomość, że jego broń nie dorówna nowoczesnej artylerii Charisjan, lecz potrafił wykorzystać dużą liczbę dział, aby skompensować siłę charisjańskich bombardowań. Większość zgromadził wokół swojej kwatery w Lake City i próbował rozgryźć, jak by tu zrobić z nich jak najlepszy użytek, a także – jak się przed nimi bronić.

Pan koni Rungwyn utworzył ufortyfikowaną linię na milę szeroką i na trzy mile głęboką, po czym pan stopy Zhyngbau zrobił co w jego mocy,

aby ją ponownie wysadzić w powietrze. Zbudowanie takich umocnień na początku harchońskiej zimy nie było zabawą nawet dla miejscowych chłopów przywykłych do ciężkich warunków życia i pracy, a jednak Rungwyn postawił na swoim.

Pod wieloma względami Rungwyn przypominał baronowi Zielonej Doliny nie kogo innego, jak sir Ahlfryda Hyndryka, barona Morskiego Szczytu i admirała, z tym jednym wyjątkiem, że Rungwyn nie miał żadnego doświadczenia wojskowego, zanim został powołany do nowo utworzonej Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów. Przedtem był cywilem, pracował w zawodzie inżyniera i na tej niwie odnosił spore sukcesy. Właśnie dzięki temu pełnił obecnie takie, a nie inne stanowisko. Innym tego powodem było to, że nie brakowało mu sprytu – aczkolwiek nie mógł się równać pomysłowością z baronem Morskiego Szczytu. Do tego jako plebejusz nie był ograniczony przez arystokratyczne uprzedzenia. Jednakże najważniejsze było, że nie miał do czynienia z wojskowością – oznaczało to, że nie trzeba mu wybijać z głowy wyuczonych przekonań, które nie pozwalały spojrzeć na ten czy inny problem z zupełnie nowej strony.

Inżynierowie Imperialnej Armii Harchongu, jak wszyscy inni Harchończycy, byli doskonali w swoim fachu (jakikolwiek by on był). I wiedzieli o tym, nawet jeśli reszta świata nie była tego świadoma. Fakt, że nie mieli pojęcia o nowych strategiach i broniach Charisu, traktowali jak nic nieznaczącą drobnostkę. Jakieś tam fikuśne zabawki nie odwiodą ich przecież od raz wyuczonych technik ani tym bardziej nie wprawiają ich w panikę, prawda?

Naturalnie można było wyszkolić ich lepiej, jednakże na pewno nie w odpowiednim czasie, aby zapobiec katastrofie. Dlatego właśnie hrabia Tęczowych Wód – z bezpośredniością, jakiej mógłby mu pozazdrościć sam Aleksander Wielki – przeciął ten węzeł gordyjski za pomocą miecza imieniem Rungwyn. Nie przysporzyło mu to przyjaciół, o nie. Liczba jego wrogów gwałtownie się powiększyła. Rungwyn także poczuł na własnej skórze nienawiść wojskowych inżynierów, którzy poczuli się zelżeni. Tak się jednak nieszczęśliwie złożyło – głównie dla Sojuszników – że Rungwyn pragnął wygrać świętą wojnę nie mniej niż jego dowódca. Dlatego zdążył do tej pory sprowadzić swoją rodzinę do prowincji Shwei na południu Harchongu. Tutejszy klimat bardzo mu odpowiadał, a niejedni kupiec i bankier zaoferował mu pracę z myślą o powojennych

czasach.

Tymczasem jednak rozważał kwestię nowomodnych fortyfikacji, podchodząc do tematu jak zawsze z otwartym umysłem. Wnioski, do których doszedł, nie były zbyt optymistyczne. Jakkolwiek artylerii Charisu nie dało się nic zarzucić, daleko jej było do skuteczności ładunków trotylowych rodem ze Starej Ziemi i tamtejszych dwudziestowiecznych wojen. Być może „trotyl” doktor Lywys to zmieni, ale nie tak szybko. W Delthaku powstały już odpowiednie zakłady, a nowy materiał wybuchowy – ochrzczony nazwą Czynniki D od nazwy miejsca, gdzie został opracowany jego skład – przeszedł już próby pod okiem sir Ahlfryda Hyndryka na wyspie Helena, aczkolwiek do produkcji miał wejść dopiero późną wiosną albo wczesnym latem. To znaczyło, że wszystkie pociski w chwili podjęcia kampanii będą jak dotąd czarnoprochowe – a czarny proch, nawet najnowszy charisjański pryzmatyczny proch był niezwykle anemiczny w porównaniu z dynamitem czy trotylem. To, co osiągnął Rungwyn, niewiele ustępowało masowym bombardowaniom roku 1916 i 1917 na Starej Ziemi.

Było to widać choćby w eksperymencie, który przed chwilą obserwował baron Zielonej Doliny. Co gorsza, zarówno Rungwyn, jak i baron Pieśni Wiatru oraz hrabia Tęczowych Wód zaczęli widzieć nowe zastosowanie dla takich fortyfikacji: takie samo, jak zobaczyła niemiecka armia w 1916 roku. Głęboka strefa kolejnych linii okopów i umocnień miała zamortyzować i przekierować atak tak, by było to wygodne dla obrońców. Do tego hrabia Tęczowych Wód nie tylko wyraził zgodę na modyfikacje projektu granatu ręcznego, tak aby mógł być miotany przez proce na znaczne dystanse, ale też zaaprobował produkcję odpowiednika charisjańskich min lądowych. Nie dysponował drutem kolczastym – przynajmniej na razie – a miny Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów okazały się mniej godne zaufania i mniej zabójcze niż miny Charisjan, a mimo to był na najlepszej drodze, by odkryć coś, z czego rozpoznaniem Erich von Falkenhayen nie miałby najmniejszego problemu. Ani hrabia Tęczowych Wód, ani Rungwyn nie doszli jeszcze do punktu, aby zezwolić wrogowi na kontynuowanie natarcia, dopóki jego czołowe jednostki nie wyjdą poza parasol ochronny własnej artylerii, i dopiero wtedy rozpocząć kontruderzenie. Wszakże biorąc pod uwagę, w jaką stronę zmierzały ich bieżące rozmowy,

należało założyć, że przekłęci dranie i na to niebawem wpadną – zapewne przed tym, zanim Sojusznicy będą gotowi do kontynuowania natarcia.

Co jeszcze gorsze, Rungwyn opracowywał także sposoby ataku na własne umocnienia. Niektóre z jego pomysłów okazały się zadziwiająco zgodne z tym, co wymyślili stratedzy Cesarskiej Armii Charisu. Cokolwiek hrabia Tęczowych Wód opowiadał decydującym w Syjonie, sam najwyraźniej spodziewał się raczej obrony niż kontrataku tego lata. Nie znaczyło to jednak, że nie zamierzał skorzystać z okazji do zaatakowania wroga, gdyby taka się nadarzyła. A dzięki Rungwynowi – i szkolonym przez niego inżynierom – więcej niż prawdopodobne było, że Sojuszników czeka bardzo niemiła niespodzianka.

Zhyngbau też może przyprawić o ból głowy, pomyślał ze złością baron Zielonej Doliny. Wiecznie tylko wymienia korespondencję z Maigwairem i bratem Lynkynem, zamiast samemu się zastanowić, jak zrobić najlepszy użytek z otrzymanej broni. Do tego też jakimś cudem domyślił się, jakie usprawnienia my wprowadzimy. Na szczęście nie posiada narzędzi, które by dorównywały charisjańskim, ani umysłu godnego Ahlfryda czy Ehdwyrda, tak więc możemy liczyć na przewagę, gdy idzie o zasięg, donośność i wszechstronność naszej broni. Można było jednak przypuszczać, że wykorzysta to, czym dysponuje, w największym możliwym stopniu, a niestety to, czym dysponował, było całkiem imponujące.

Gdyby nowy korpus balonowy spisał się zgodnie z oczekiwaniami – czy choćby w połowie tak dobrze – przewaga Sojuszników w zakresie artylerii mogłaby zrównoważyć przewagę liczebną Kościoła Matki. Jak dotąd żaden balon nie został wykorzystany bezpośrednio w walce, istniało zatem ryzyko, że w praktyce proponowana taktyka w ogóle się nie sprawdzi. A gdyby nawet się sprawdziła, i tak najdoskonalsze rodzaje broni nadal będą miały twardy orzech do zgryzienia w obliczu umocnień, które zaprojektował Rungwyn. Tak się bowiem składało, że Imperium Charisu nie było w posiadaniu materiałów wybuchowych o mocy odpowiedniej, aby utorować sobie drogę przez tak potężne fortyfikacje. Przynajmniej na razie. Ten stan rzeczy mógł się zmienić z chwilą, gdy Sahndrah Lywys poczyni kolejne postępy, niestety Sojusznicy nie mogli czekać, aż to nastąpi. Musieli rozegrać tę kampanię jeszcze w tym roku i jeśli nawet doktor Lywys istotnie jakimś cudem coś

odkryje, kampania i tak zacznie się, zanim nowe pociski wejdą do powszechnego użytku.

Idealnym rozwiązaniem byłoby przerzucenie żołnierzy w miejsce, gdzie nie będzie ani umocnień Rungwyna, ani okopanej artylerii Zhyngbau – coś takiego miałyby szanse powodzenia w normalnych warunkach, zakładając pełną mobilność Cesarskiej Armii Charisu i zgodę księcia Eastshare oraz pozostałych najwyższych dowódców. Niestety wycofujące się oddziały Kościoła Matki zniszczyły kanał i sieć dróg za nim, a obecna pogoda sprawiła, że czas napraw w wykonaniu mieszkańców Charisu i Siddarmarku właśnie się kończył.

Tymczasem nie sposób zaprzeczyć, że nawet Cesarskiej Armii Charisu potrzebne są odwody i zaopatrzenie. To, że tej zimy nie daliśmy sobie odebrać zatoki Spinefish i Salyku, dobrze wróży na przyszłość, a kiedy lody zejdą w prowincji Hildermoss – nie zapominając o przesmyku Hsing-wu – kwestie logistyki będą nastroczać jeszcze mniej problemów. Z tym że również wtedy przyjdzie nam nacierać wzdłuż przewidywalnych szlaków, a mimo że hrabia Tęczowych Wód wolałby robić przed nami uniki, to Zhaspahr Clyntahn ma na ten temat inne zdanie. Nie możemy liczyć, że uda nam się go zepchnąć na pozycje bez szans na obronę, tak jak to się stało w wypadku Wyrshyma i Kaitswyrtha. Poza tym, jeśli tylko zauważysz, że mamy taki zamiar, sam się wycofa pierwszy, mając w nosie, co uważa wielki inkwizytor. No chyba że jakoś będziemy mogli temu zapobiec.

Odkąd baron Zielonej Doliny został zwerbowany do wewnętrznego kręgu, stał się pilnym badaczem ziemskiej historii wojskowości. Teraz na przykład widział podobieństwa z ostatnimi latami drugiej wojny światowej. I nie wątpił, że także w oczach wielkiego inkwizytora Harchong znajduje się w takim samym położeniu jak Waffen SS za czasów Hitlera. Clyntahn wierzył, że Harchończycy są oddani sprawie świętej wojny duchem i ciałem – a jeśli nawet nie świętej wojny jako takiej, to na pewno byli gotowi zrobić wszystko, aby uniemożliwić tryumf Kościoła Charisu na Schronieniu. Ufał też im bardziej niż jakimkolwiek innemu narodowi, jakiejkolwiek innej armii. Nie wyłączając Armii Boga, a to ze względu na swoje obecne stosunki z Allaynem Maigwairem. Dzięki temu głównodowodzący harchońskich wojsk cieszył się znacznie większą wyrozumiałością, gdy szło o żądania Clyntahna, a hrabia Tęczowych Wód dobitnie udowodnił, że choć jest

niezmiernie inteligentny i potrafi myśleć nieszablonowo, to nie przestał być harchońskim arystokratą i jako taki nadal ceni sobie wysoko wszelakie gierki.

Cokolwiek powiedzieć, nawet on nie mógł ot tak sobie zignorować osoby wielkiego inkwizytora i był świadom, że jeśli sytuacja na froncie się pogorszy, on sam utraci możliwość manipulowania Clyntahnem. Tak czy owak miał to szczęście, że mógł rozpocząć kampanię, wychodząc ze znacznie wygodniejszej pozycji w przeciwieństwie do wszystkich pozostałych, którym przyszło stanąć oko w oko z potęgą Charisu.

Baron Zielonej Doliny uśmiechnął się złowieszczo. *Zdziwi się, i to bardzo, pomyślał. Nawet pomimo wprowadzenia do walki korpusu balonowego, zakładając, że ten wejdzie do użytku i spełni pokładane w nim oczekiwania. Albowiem ja, w tym momencie uśmiech barona stał się szerszy, rozpoczynając kampanię, będę miał wszystkie zapasy na miejscu, dzięki czemu niestraszna mi będzie walka choćby przez całe lato.*

Cóż, przypomniał sobie, Imperium Charisu już wcześniej natykało się na zgoła nierozwiązywalne problemy. Jak będzie trzeba, damy sobie radę jeszcze raz.

Pod warunkiem, że ja sam albo ktoś inny wreszcie rozwikła, jak to się działo.

.IV.
Zakłady w Delthaku
Lochair
Stary Charis
Imperium Charisu
oraz
Jaskinia Nimue
Góry Światła
Ziemie Świątynne
oraz
Siddar
Republika Siddarmarku

Zatem zadowolila cię ostatnia burza mózgow Ahlfryda? – zapytał Cayleb Ahrmahk.

– Raczej tak – odparł Ehdwyrd Howsmyn, od niedawna księżę Delthaku, odchylając się na oparcie krzesła i wyglądając za okno swego gabinetu, gdzie wrzała praca najbardziej uprzemysłowionego skrawka Schronienia. – Pod pewnymi względami wolałbym już propozycję Ahldahsa Rahzwaila – podjął po chwili zamyślenia, poważniejąc nagle, kiedy jego wzrok padł na niedokończoną konstrukcję warsztatu Kahrlytn Haigyl. – Sprężone powietrze w palniku nie jest tak naprawdę wielkim wyzwaniem, a olej ogniorośli jest znacznie mniej wybuchowy niż wodór, nie wspominając już o tym, że łatwiej go transportować niż kwas solny. Do tego nie wywołuje korozji. Zarazem ma ciężar siedmiokrotnie większy niż gorące powietrze, a wierzchnia warstwa opracowana przez ludzi Rhaiyana też zmniejsza ryzyko korozji. Nie da się jej całkiem wyeliminować, ale każda komórka powinna działać przez co najmniej miesiąc, zanim będzie wymagać wymiany. – Wzruszył ramionami. – Wytwarzanie gazu będzie łatwiejsze w wypadku floty, gdyż ciągnięcie ze

sobą wielu ton kwasu solnego i cynku nastreczyłoby armii znacznych problemów i wystawiło na szwank jej bezpieczeństwo. Z drugiej strony oddziały lądowe mogą przemieścić więcej jednego i drugiego, niż da się zmieścić na jednym okręcie.

– To wszystko prawda. Nie przewiduję, aby ktokolwiek zgłaszał pretensje, gdy już zrozumie pozytywy – wtrącił Kynt Clareyk znajdujący się w obozie Mahrtyń Taisyn. – Taka możliwość obejrzenia sobie wszystkiego z góry okaże się niezwykle przydatna dla naszych obserwatorów, szczególnie biorąc pod uwagę to, co Rungwyn uczynił ze swoimi fortyfikacjami. Jeśli uda nam się jednak doprowadzić do otwartej bitwy, taka możliwość będzie nawet jeszcze ważniejsza. Z jednej strony wreszcie przestaniemy być ograniczeni do intuicji i zgadywania, jakich nie da się wytłumaczyć komukolwiek innemu. Dzięki temu będziemy mogli przekazywać Ruhsyłowi i innym informacje, nie musząc uciekać się do pomocy *seijinów*. A Bóg Jedyny świadkiem, że przyda nam się dosłownie wszystko, aby zmierzyć się z hrabią Tęczowych Wód na równych warunkach.

– Amen – potwierdził z zapalem Cayleb.

– W każdym razie pierwsze oddziały powietrzne dotrą do Transharu w ciągu najbliższych trzech albo czterech pięciodni – włączył się znów do rozmowy książę Delthaku, nie odrywając spojrzenia od okna i warsztatu. – Wolałbym, aby ludzie przeszli szkolenie... wodór nie reaguje dobrze na iskry, a ja obawiam się, że zasady bezpieczeństwa poszły niestety w odstawkę... rozumiem jednak, że coś takiego nie wchodzi w grę?

Merlin pokręcił głową ze smutkiem.

– Mogą co najwyżej przejść podstawowe szkolenie na sucho, ale nie wolno im wykorzystywać nic ze sprzętu, póki nie trafi do akcji. Czegoś takiego nie udałoby się ukryć przed wzrokiem przypadkowego obserwatora, który by się znalazł w odległości dwudziestu czy powiedzmy trzydziestu mil. Nie muszę chyba nikomu tłumaczyć, że zawiadomiony w porę hrabia Tęczowych Wód z łatwością domyśliłby się wszystkich implikacji. Trudno ocenić, czy przyniosłoby to mu jakąś korzyść, ale gdyby przyniosło ją komukolwiek, to właśnie jemu. Dlatego oddziały będą musiały pozostać w ukryciu, dopóki nie przyjdzie na nie czas, by włączyć się do akcji. Wiem, że niepokoi was zagrożenie związane z fazą nadmuchiwania, ale będziemy wytwarzać wodór na bieżąco

w zgodzie z potrzebami, zamiast ciągać wszędzie ze sobą wielkie pełne zbiorniki, a poza tym wodór jest bardziej łatwopalny, kiedy nie jest sprężony. Do tego ma tendencję do unoszenia się, dzięki czemu nie snuje się przy ziemi, nawet gdy wystąpi większy wyciek. Tak więc iskry, którymi tak się zamartwiacie, mają małe szanse zapalenia go, zanim się rozejdzie.

– To na pewno będzie wielka pociecha dla tych, co przeżyją, gdy jednak dojdzie do wypadku – rzucił kąśliwie książę Delthaku. Zaraz jednak zaczerpnął głęboko tchu i pokręcił głową. – Nie podoba mi się to, ale to pewnie dlatego, że jestem przesadnie ostrożny, jeśli chodzi o potencjalne wypadki. Szczególnie podejrzliwy jestem wobec łatwopalnych gazów... co nie powinno dziwić, gdy weźmie się pod uwagę słynny pożar. – Skrzywił się i okręcił na krześle, nareszcie spuszczając z oka obserwowany bacznie od dłuższej chwili niemal już ukończony warsztat. – Może też za dużo się naczytałem o Lakehurst. Tak czy siak, nie będę się sprzeczał z logiką wojskowych. I już nie mogę się doczekać reakcji przeciwnika, kiedy zastosujemy je po raz pierwszy!

– Możesz spokojnie założyć, że wszyscy nie możemy się doczekać, aby to zobaczyć na własne oczy – poparł go Cayleb z powagą. – Gdy się dobrze zastanowić, to chyba nasz największy as w rękawie podczas nadchodzącej kampanii. Jedyne, czego ja sam nie wyczekuję, to konieczność wyjaśnienia Hauwerdowi Breygartowi, dlaczego nie dostał ani jednego...

– Myślę, że wybaczy ci to... kiedyś – uspokoił go Merlin. – Lepiej niż ktokolwiek inny bowiem zdaje sobie sprawę ze znaczenia zaskoczenia. Poza tym dzięki Ehdwyrdowi ma całą tę wspaniałą artylerię i doskonale sobie tymczasem radzi.

– Nie mogę się z tym stwierdzeniem nie zgodzić – potaknął Cayleb. – Uważam nawet, że radzi sobie tak świetnie, że powoli trzeba pomyśleć o nadaniu hrabiemu Hanthu tytułu książęcego.

– Hm, ostatnimi czasy jakoś dziwnie przybywa nam książąt – mruknął Merlin, tłumiąc uśmiezek.

W tym samym momencie obraz księcia Delthaku, rzucony na jego soczewki kontaktowe, wykonał obraźliwy gest w jego stronę.

– Powód tego jest taki, że choć letnia kampania napawa nas niejakimi obawami, to jednak mamy pewność, że wszyscy ją przeżyjemy. – Cayleb

spoważniał w jednym momencie. – Gdy człowiek wierzy, że dożyje końca roku, jest bardziej chętny rozdawać dowody wdzięczności tym, dzięki którym jego szanse na przeżycie tak drastycznie wzrosły. Ludziom takim jak ty, Ehdwyrdzie.

– Wszyscyśmy się solidnie napracowali, Caylebie – odparł książę Delthaku z cieniem zawstydzenia w głosie. – Nie będę udawał, że się narobiłem co niemiara, ale to samo dotyczy wielu innych osób. A do mnie przynajmniej nikt nie strzelał.

– Owszem, ale w całej naszej armii nie ma żołnierza, który by nie był świadomy, że tę wojnę musimy wygrać tyleż w walce, co w fabryce – zauważył Merlin. – A wygranie z Grupą Czworoga to dopiero początek. To właśnie ty i twoi ludzie koniec końców umożliwicie nam rozprawienie się z Zakazami.

– Niemniej najpierw trzeba pokonać Grupę Czworoga – odezwał się Nahrman przebywający w jaskini Nimue, a raczej w tamtejszym komputerze. – Czuję też, że nasza psychologiczna wojenka, którąśmy przypuścili na wielkiego inkwizytora, zaczyna przynosić efekty. Jego podwładni mnóstwo czasu spędzają na zrywaniu plakatów ze ścian na terenie Ziemi Świętych, co tylko wzmacnia w nich frustrację. –

Baryłkowaty książę uśmiechnął się niewinnie. – Dodatkowo wieść się niesie. Biskupi już nie mogą udawać, że sprawa jest czysto lokalna i niegroźna.

– Ano nie mogą – zgodziła się z księciem Nynian Rychtair, nie kryjąc satysfakcji.

Siedzący naprzeciw niej przy stole Merlin uśmiechnął się szeroko.

To musi doprowadzać Clyntahna i Rayna do szaleństwa, pomyślał. Przez ostatnie dwa lata jakoś udało im się zataić przed większością lojalistów Świątyni fakt szerokiego propagowania plakatów za pomocą SAPK-ów. Gwoli prawdy trzeba nadmienić, że Nahrman i Nynian nie przesadzali w tym względzie. A zresztą Clyntahn i tak dopatrzyłby się ręki demonów, cokolwiek by robili. Oni jednak chcieli, aby prawda ogłaszana poprzez plakaty i biuletyny przesiąkała do ogólnej świadomości powoli. Aby z czasem stała się częścią ich światopoglądu niezależną od nagłaśnianej demonicznej wroga. W tym celu Nahrman i Nynian ograniczali liczbę rewelacji publikowanych w jednym wydaniu, przeznaczając połowę, a czasami nawet dwie trzecie

na zwykłe lokalne wiadomości. Te bowiem każdy był w stanie zweryfikować. A pomyślna weryfikacja w tym zakresie przekładała się na wiarę w resztę informacji, których nie dało się w bezpośredni sposób sprawdzić.

Odkąd tej dwójce udało się trafić do ludzi, zaczęli coraz częściej atakować wizję i słowa Zhaspahra Clyntahna. W minionym roku zaś coraz częściej zamieszczali oświadczenia Pięści Boga, zawierające wyszczególnienie zbrodni, za jakie ta organizacja ukarała dosłownie dziesiątki wikariuszy i arcybiskupów, z których praktycznie wszyscy byli przydupasami wielkiego inkwizytora. Trudno było przecenić rolę Nahrmahna i Nynian w podważaniu autorytetu Clyntahna. Oboje sprawili, że w miarę upływu czasu SAPK-i rozpowszechniały informacje coraz szerzej. Można się było z nimi spotkać na każdym kroku i coraz więcej osób wierzyło w przedstawiane fakty, powątpiewając zarazem w prawdomówność wielkiego inkwizytora.

Zarazem niestety stało się jasne, że plakaty i biuletyny pojawiają się jednocześnie w różnych miejscach. Chociaż komunikacja ery przedelektronicznej miała z punktu widzenia Inkwizycji swoje plusy, hierarchowie nie byli w stanie mydlić oczu zwykłym ludziom i swoim podwładnym ani udawać, że problem jest wyłącznie lokalny i dotyczy co najwyżej jednego czy dwóch większych miast Ziem Świątynnych. Wszyscy zrozumieli, że opozycja zyskała tubę nagłaśniającą jej punkt widzenia i że Inkwizycja bynajmniej nie jest niezwyciężona. Aura otaczająca Zhaspahra Clyntahna z każdą chwilą traciła moc, a gdy wreszcie nic z niej nie zostanie...

– „Morale ma się do sił fizycznych jak trzy do jednego” – zacytował. – Napoleon nie zawsze miał rację, ale w tym wypadku na pewno. Im więcej piesków Clyntahna ogląda się trwożliwie przez ramię, tym łatwiej nam będzie się z nimi uporać, gdy przyjdzie pora.

– Zgadza się, ale ja skupiłbym się także na podnoszeniu morale naszych ludzi – wtrącił Nahrman. – Czemu mielibyśmy się ograniczać tylko do podważania pewności siebie lojalistów Świątyni.

– Znam ten ton – powiedział Cayleb z westchnieniem. – Co znów wykombinowałaś?

– Nic takiego, wasza wysokość. Ale mam pomysł na prototyp pewnego urządzenia, które z myślą o zwiększaniu morale mogłyby produkować

wytwórnice Ehdwyrda.

– Moje wytwórnice są obecnie zajęte produkcją innych rzeczy – wtrącił księżę Delthaku. – Takich jak: balony, bagnety, granaty ręczne, działa kątowe, opancerzenie, amunicja wszelkiego rodzaju, silniki parowe... no wiesz, wszystkie te drobiazgi.

– Och, wiem! Mój pomysł w żaden sposób nie zakłóci twoich planów produkcyjnych. W gruncie rzeczy mógłbyś przekierować projekt, o którym mówię, do zakładów hydraulicznych, a może ceramicznych...

– O czym, na Boga Jedynego, mówisz, Nahrmanie? – zapytała ostro Nynian i natychmiast się uśmiechnęła. Lepiej niż ktokolwiek inny знаła baryłkowego księcia i sposoby, w jakie działa jego umysł.

– Cóż, nie wiem, jak reszta z was, ale ja... kiedy jeszcze musiałem sobie zawracać głowę oddychaniem... większość przemysłów odbywałem w zaciszu pewnego miejsca... – Nahrman powiedział to z absolutną powagą. – Samotność, spokój, możliwość skupienia się na temacie bez ryzyka jakichkolwiek zakłóceń... tak, to było to.

– Domyślam się, że do czegoś zmierzasz? To znaczy pomijając wychodek, racz wybaczyć dosadność. – Cayleb nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać.

Nahrman pokazał w uśmiechu wszystkie zęby. Po czym szybko spoważniał i znów się odezwał.

– Tak, zmierzam. Ma to związek z uwagą Merlina na temat morale. Naszym ludziom nie brakuje determinacji, Caylebie, ale przydałoby im się także trochę zabawy. Bywa, że prześmiewczość jest bardziej zabójcza niż jakiegokolwiek poważne argumenty. No więc zacząłem się zastanawiać, jak byśmy mogli wprowadzić trochę uśmiechu, który przy okazji nadwerężyłby wizerunek Clyntahna. Dotarło do mnie, że wewnętrzne łazienki należą wciąż do rzadkości, szczególnie na prowincji Republiki Siddarmarku oraz w miejscach takich jak Delferahk czy Zebediah. A w północnym Harchongu i Desnairze można je znaleźć wyłącznie w pałacach. To nasunęło mi pewien pomysł.

Wyciągnął przed siebie lewą rękę, pustą, po czym pomachał nad nią prawą niczym magik na scenie. Oczywiście w przeciwieństwie do prawdziwego magika Nahrman Baytz był w stanie czynić cuda – przynajmniej na poziomie swojej wirtualnej rzeczywistości. Tak więc na pustej dotąd dłoni pojawił się jakiś przedmiot. Było to sporych

rozmiarów naczynie, białej barwy i kształtu misy, dodatkowo z rączką i pokrywą. Merlin zmarszczył brwi, rozpoznawszy w obiekcie paradny nocnik.

– To ma być twoja cudowna broń zwiększająca morale Sojuszników? – zapytał sceptycznie.

Nahrmahn zerknął na trzymany przedmiot.

– Och, wybaczcie, jeszcze nie skończyłem.

Pstryknął palcami i nagle białe boki nocnika zostały udekorowane gustownym wzorem pnączy. Następnie Nahrmahn przechylił naczynie i zamaszystym gestem podniósł pokrywę, pozwalając słuchaczom zajrzeć w głąb.

– Och, Nahrmahnie. To coś wspaniałego! – wykrzyknęła Nynian, zanim wszyscy pozostali wybuchnęli śmiechem.

Uśmiech Nahrmahna stał się jeszcze szerszy.

Z wnętrza nocnika wyzierała nalana, niedająca się pomylić z żadną inną twarz mężczyzny ozdobiona czepcem z pomarańczową kokardą wikariusza. Usta miała rozchylone, a oczy otwarte w wyrazie wściekłości. Dookoła niej biegł krótki napis: „Pozdrowienia dla wielkiego cudzołożnika”.

.V.

Siedziba hrabiego Thirsku

Gorath

Dohlar

Dziękuję za przybycie, wasza dostojność – powiedział hrabia Thirsku, gdy biskup Staiphan Maik wszedł do biblioteki za Paiairem Sahbrahanem.

Pomimo gestu biskupa, zachęcającego go do pozostania na swoim miejscu, hrabia Thirsku wstał z krzesła, co było swego rodzaju wyzwaniem, zważywszy na niesprawną lewą rękę. Następnie uśmiechnął się, widząc lekko zawstydzoną minę hierarchy, i podszedł, aby ucałować rubinowy pierścień biskupa.

– Lywysie, nie ma potrzeby hołdować tym głupstwom, gdy nikt nie patrzy – napomniał go Maik. – Siadaj, i to natychmiast!

– Tak jest, wasza dostojność.

Uśmiech hrabiego Thirsku stał się jeszcze szerszy, lecz on sam usłuchał i opadł z powrotem na krzesło z westchnieniem ulgi, którego nie zdołał powstrzymać.

Maik usłyszał sapnięcie i pokręcił głową.

– Pomijając bzdurność podobnych gestów powitalnych, nie powinieneś się nadwierać, Lywysie – oznajmił z powagą, przybierając zatroskany wyraz twarzy. – Langhorne świadkiem, że doświadczyłeś dość wrażeń dla nie jednego, ale trzech ludzi!

– Inni potracili rodziny – zauważył hrabia Thirsku, przestając się uśmiechać. – Nie ma człowieka, który by nie doświadczył jakiegoś nieszczęścia od rozpoczęcia świętej wojny.

– No tak, tak. – Włosy Maika rozbłysły srebrem, kiedy biskup znowu pokręcił głową i zacisnął wargi w wąską kreskę. – Sam przeżyłem więcej, niżbyś mógł sobie wyobrazić. Mimo wszystko uważam, że Bóg Jedyny wymaga od ciebie zbyt wiele.

– Nie sędzę, wasza dostojność. – Z głosu hrabiego Thirsku bił dziwny spokój.

Właściciel biblioteki jednym machnięciem ręki odprawił lokaja, który zniknął w okamgnieniu, zamykając drzwi za sobą. Wtedy przyszła kolej na hrabiego, aby pokręcić głową.

– Zdarza się, że człowiek oczekuje od drugiej osoby zbyt wiele. Bywa, że Kościół Matka ma nadmierne wymagania. Ale Bóg i Jego archaniołowie? – Potrząsnął energicznie głową. – To im zawdzięczamy fakt własnego istnienia, jak również to, kim jesteśmy. Jakżeby mogli żądać od nas za dużo?

Biskup rozparł się wygodnie w fotelu, zmrużył oczy i zamyślił się.

– Lywysie, znam cię i pracuję z tobą od kilku dobrych lat – zagaił. – Wydaje mi się, że w tym czasie poznałem cię naprawdę dobrze.

– Nie mam wyjścia, jak tylko się z tym zgodzić, wasza dostojność.

– No więc, skoro to już ustaliliśmy, powiem, że... Znając cię na wylot, domyślałam się, że przed chwilą wyraziłeś się, bardzo ostrożnie dobierając słowa.

– Owszem, wasza dostojność. – Zdrową ręką hrabia Thirsku wskazał karafkę z whiskey i szklaneczki stojące na stoliku tuż obok biskupa. – To Glynfych. Z Chisholmu.

– Ach tak? – Maik uśmiechnął się przelotnie, zdejmując korek z karafki i nalewając bursztynowego płynu do dwu szklaneczek. – Zakładam, że ta butelka została tu sprowadzona na długo przed tym, zanim wielki inkwizytor zabronił wszelkiej wymiany handlowej z Chisholmem.

– Ależ tak, oczywiście! – zapewnił gospodarz, po czym przyjął szklaneczkę z rąk dostojnika kościelnego, który z kolei wrócił na swoje miejsce i z młasińciem pociągnął solidny łyk trunku.

Gdy Maik przez dłuższą chwilę nie spuszczał wzroku z hrabiego, w niewielkim, pełnym woluminów pomieszczeniu dało się wyczuć tężającą atmosferę. Płonący w palenisku węgiel wydawał trzaski, które w zapadłej nagle ciszy rozrywały bębenki w uszach. Nie zważając na to, hrabia Thirsku nie przerwał milczenia, tylko jakby nigdy nic upił nieco whiskey, zastanawiając się, czy aby na pewno nie myli się co do siedzącego naprzeciw niego mężczyzny. Miał nadzieję, że nie. Chciał wierzyć, że nie. Jednakże był świadom, że Staiphon Maik został

wybrany do swej obecnej roli osobiście przez Wyllyma Rayna i przez Zhaspahra Clyntahna, którzy całkowicie ufali jemu i jego oddaniu Kościołowi Matce.

Naturalnie trzeba poczynić rozgraniczenie pomiędzy oddaniem Kościołowi Matce a osobie wielkiego inkwizytora, dodał w myślach hrabia Thirsku. Na szczęście upływ czasu i rosnące doświadczenie pozwalają każdemu zmienić poglądy, pod warunkiem że serce ma czyste, a głowę na karku.

Biblioteka była mniejsza od jego oficjalnego gabinetu, a przy tym mieściła się wewnątrz murów i nie miała okien, jeśli nie liczyć jednego świetlika, przez który wpadało sporo światła słonecznego. Zarówno rozmiar, jak i umiejscowienie czyniły z niej zaciszny kącik, nienarażony na niskie temperatury panujące o tej porze roku. Wszakże nie tylko to kazało hrabiemu podjąć intendenta Królewskiej Floty Dohlaru właśnie tutaj. Jeszcze większe znaczenie miał brak okien, grubość ścian i fakt, że nikt nie byłby zdolny podsłuchać rozmowy toczącej się w środku bez spotkania oko w oko z lokajem bądź sir Ahbailem Bahrdailahnem, oficerem flagowym hrabiego Thirsku.

– Cieszę się, że widzę cię w tak dobrym zdrowiu. Zważywszy na okoliczności rzecz jasna – rzucił Maik, przerywając ciszę. – Martwiły mnie... plotki, które doszły moich uszu.

– Masz na myśli pogłoski, że się stoczyłem i zamieniłem w pijaka, który jest jedną nogą w grobie? – Kiedy Maik chciał zaprotestować, hrabia Thirsku potrząsnął zdecydowanie głową i machnął w powietrzu dłonią ze szklaneczką whiskey. – To pewne, że takie właśnie opowieści cię dosięgnęły, gdyż nie mijają się one wiele z prawdą.

Biskup zamknął z powrotem usta, a hrabia zaśmiał się cicho, choć bez humoru.

– Obawiam się, że doszedłem do tego samego wniosku co ty, mój panie, mianowicie, że zbyt wiele się ode mnie wymaga. Z tym że w moim odczuciu stawiającym żądania nie był bynajmniej Bóg ani Jego archaniołowie.

Napięcie w powietrzu wzmogło się jeszcze, a Maik powoli odchylił się na oparcie krzesła.

– To... to bardzo ciekawe stwierdzenie – wydukał wreszcie.

– Z pewnością też nie stanowi dla ciebie wielkiego zaskoczenia. Wciąż

pamiętam dobrze dzień, w którym przywołałeś szósty rozdział Księgi Bédard. I uważam, że zbyt długo zwlekałem z zastosowaniem się do wytycznych tej świętej.

– Trudno cię o to winić, Lywysie – szepnął biskup.

– Być może. – Hrabia Thirsku upił kolejny łyk whiskey i zapatrzył się w kieliszek. – Nie, na pewno. Masz całkowitą rację. Jednakże nawet jeśli nie jestem winny, wciąż pozostaje prawdą, że powinienem był wysłać bliskich w bezpieczne miejsce. A skoro to już... skoro to już przestało być problemem, chyba dobrze przemyślę wszystkie inne swoje zobowiązania. Zarówno jako głównodowodzący Królewskiej Floty Dohlaru, jak i... – podniósł zniechęcony wzrok i wbił spojrzenie w oczy intendenta – jak i jako syn Kościoła Matki.

– Ach tak, synu? – zapytał cicho Staiphon Maik.

– Tak. – Hrabia nie spuścił wzroku pod spojrzeniem hierarchy. – W istocie zaprosiłem cię tutaj, mój panie, gdyż czuję się zobligowany, by wyjaśnić ci... memu intendentowi, memu doradcy duchowemu, memu przyjacielowi, jak mniemam... by wyjaśnić ci, co dokładnie zmieniło się w moich poglądach.

– Użyłeś słów „doradca duchowy” – podchwycił Maik. – Czy zatem mam rozumieć, że zwracasz się do mnie jak do duchownego, którego wiąże tajemnica spowiedzi?

– Nie. – Choć hrabia odezwał się cicho, ton głosu miał zdecydowany. – Możesz potraktować to, co ci powiem, jak ci sumienie podyktuje. Ufam w twój rozsądek i twoją dobroć bardziej niż w wypadku jakiegokolwiek innego człowieka. Poza tym jeśli mam być szczery, zarówno twoja osoba, jak i twoje stanowisko mają dla mnie w obecnej chwili niebagatelne znaczenie. Od twojej reakcji bowiem zależy, jak będę się zapatrywał na resztę swoich... hm... zobowiązań.

– Rozumiem. – Maik popijał whiskey, smakując ją długo na języku przed połknięciem. – Jesteś co do tego całkowicie pewien, Lywysie? – zapytał jeszcze ciszej.

– Staiphanie. – Hrabia Thirsku użył imienia dostojnika, nie zwracając sobie głowy tytułami i zwrotami grzecznościowymi po raz pierwszy w całej ich znajomości. – Niczego nie byłem w życiu tak pewny jak tego.

– Cóż, zatem dobrze. – Maik odstawił szklaneczkę na stolik i raz

jeszcze poprawił się w fotelu, układając łokcie na podłokietnikach i splatając palce na piersi tak, aby kciuki spoczęły lekko na berle. – Zamieniam się w słuch.

.VI.

HMS *Błyskawica*, 30

Wyspa Szpon

Morze Harchońskie

Wyverny i mewy uniosły się w powietrze na tle zachodzącego słońca z głośnym protestem, kiedy baterie obronne oddały salwę honorową. Smużki dymu były szaro-białe, jak w wypadku zwykłego prochu, a nie ciemnobrązowe, jak w wypadku obecnie stosowanego prochu w Cesarskiej Flocie Charisu. Dołączyły one do kłębu, który przesuwiał się wraz z wiatrem na południowy wschód. W bateriach obronnych było mniej dział niż pierwotnie, a to dlatego, że dwie trzecie tych gładkolufowych, które broniły zatoki Hardship pod rozkazami Dohlarian, zostały zastąpione przez o połowę mniejszą liczbę charisjańskich gwintowanych. Te ostatnie charakteryzowały się dwukrotnie większym zasięgiem i znacznie większą siłą zniszczenia. Nawet po tej zmianie jednak zostało ich sporo; wszystkie obsady – nie licząc obsady działa oddającego salwę honorową – stały na ziemnych wałach i wiwatowały, obserwując, jak podniszczony okręt wpływa do zatoki przez Kanał Północny, przechylony mocno na sterburłę.

W odpowiedzi rozległa się salwa honorowa z pokładu HMS *Błyskawica*, który płynął na czele, powiewając sztandarem admirała Tymothy'ego Darysa. Wszystkie galeony opuściły Tellesberg przed trzema miesiącami, tak że nie było marynarza, który nie zastanawiałby się, czy wyspa Szpon nadal będzie pozostawać w rękach Charisjan, gdy dotrą na miejsce.

Stojący na śródkręciu i obserwujący zatokę przez lunetę Darys pomyślał, że te obawy były próżne. *Rację miał baron Skalistego Szczytu. Draniom udało się odebrać Kahrltynowi HMS Dreadnought, jednakże nawet przy pomocy Shan-wei nie zdołali oni wciągnąć tego okrętu na służbę po swojej stronie. A już na pewno nie razem z pociskami do dział!*

Admirał zacisnął usta, wspominając Kahrltyna Haigyla, dowódcę

HMS *Dreadnought*. Wiedział, że będzie tęsknić za tym wielkoludem i że nikt w całej Cesarskiej Flocie Charisu nigdy nie zapomni ostatej walki jego okrętu. Wszystko wskazywało na to, że nazwa „Dreadnought” nie jest najfortunniejsza w wypadku charisjańskich okrętów wojennych, aczkolwiek nie dało się ukryć, że zarówno ten ostatni, jak i jego poprzednik nie odeszli bez walki. Co jeszcze ważniejsze, ich dowódcy każdorazowo wypełnili powierzone im zadanie.

Darys uznał w duchu, że to nie najgorsza tradycja – w razie gdyby ktoś kiedyś znowu ochrzcił jakiś okręt tym mianem. Zarazem miał też świadomość, że dowódca następcy dotychczasowych *Dreadnoughtów* będzie musiał naprawdę się starać, aby dorównać swoim poprzednikom... nawet jeśli okaże się naprawdę kiepskim nawigatorem.

Darys lekko rozciągnął wargi w uśmiechu i opuścił lunetę.

– Cóż, wygląda na to, że wyspa Szpon nadal jest w naszych rękach – rzucił do kapitana swego flagowca.

– Ani przez moment w to nie wątpię, sir – odpowiedział kapitan Sympsyn, który przypadkiem nosił to samo imię co Darys.

– Czyżby? – Darys uniósł jedną brew. – Bo ja pamiętam, że przy jednej czy dwu okazjach, szczególnie gdy Morze Harchońskie było niespokojne, a wiatry niesprzyjające, ktoś z załogi narzekał, że możemy nie zdążyć w porę. Niech pomyślę... Nie potrafię sobie przypomnieć nazwiska, ale jestem przekonany, że chodzi o jakiegoś kapitana.

– Coś się panu pomieszało, sir. Taki niedowiarek na pewno nie służy na moim okręcie!

– Hmm. – Darys zaśmiał się cicho, po czym klepnął Sympsyna w ramię. – Może po prostu ten ktoś dał upust swoim nerwom w złą pogodę... No, chyba powinienem już zejść pod pokład i się przebrać. –

Gestem wskazał wygodny, znoszony mundur polowy ze złotym krakenem na kołnierzu i pojedynczym paskiem na rękawie. – Lepiej, żebym nie pokazał się hrabiemu kiepsko ubrany.

– Jeśli wolno mi zauważyć, sir, mógłby pan pokazać mu się nagi, a on i tak byłby zadowolony z pańskiego przybycia. I naszego przy okazji też. – Kapitan flagowca objął gestem dwadzieścia pięć okrętów wojennych i szesnaście kupieckich galeonów.

– Racja – przytaknął Darys. – Mimo to pozwól, że jednak się przebiorę. Wolałbym nie sprawdzać na własnej skórze wyrozumiałości

hrabiego.

– Coś mi mówi, że raczej nie będziesz zdziwiony, Tymothy – powiedział sucho sir Lewk Cohlmy, hrabia Sharpfieldu, gdy pierwszy oficer flagowca wpuścił admirała Darysa do jego biura w nieprzerwanie się powiększającej bazie Cesarskiej Floty Charisu w zatoce Hardship – kiedy powiem, że niezwykle się cieszę, że cię widzę.

Na powitanie wymienił uścisk przedramienia ze swoim gościem, a blask lampy rozświetlił srebrem jego rzadziejące włosy. Okręty morskie nie były najbardziej zwrotnymi stworzeniami na Schronieniu, a wiatr – zazwyczaj kapryśny, o czym każdy marynarz miał więcej niż jedną historię w zanadrzu, w trakcie opowiadania której użyłby imienia Boga Jedynego nadaremno więcej niż raz – akurat postanowił przestać wiać, kiedy eskadra Darysa kierowała się ku kotwiczowisku. W efekcie admirał zszedł na ląd dopiero dobrze po kolacji, kiedy tropikalna noc wokół kwatery hrabiego Sharpfieldu była czarniejsza niż wnętrze buta Kau-yunga.

– Baron Skalistego Szczytu nigdy w to nie wątpił, sir – odparł Darys. – Ale na wszelki wypadek i tak posłał razem ze mną innych dowódców okrętów.

– Szczególnie raduje mnie widok HMS *Błyskawica*, *Powódź* i *Seamount* – odrzekł szczerze hrabia Sharpfieldu. – Aczkolwiek nie narzekam, że pojawiły się także *Zhenyfyhr Ahrmahk* i *Góra Lodowa*. Wprawdzie nie spodziewałem się ich ujrzeć, no ale ich obecność na pewno nie zaszkodzi. Gdybym miał mówić prosto z mostu, dziwi mnie, że hrabia Thirsku jak dotąd nie wysłał nam na spotkanie *Dreadnoughta* ani reszty jego eskadry. – Twarz admirała pociemniała. – To do niego niepodobne, żeby zasypiać gruszki w popiele. Poza tym musiał się domyślić, że admiralicja przyśle nam posiłki, a wśród nich kanonierki.

– Przywożę również korespondencję od barona dla pana, sir – dodał Darys, wyciągając przed siebie rękę z grubą i ciężką płócienną kopertą opatrzoną zdobnymi pieczęciami woskowymi. – Przed podniesieniem kotwicy przedyskutowaliśmy kwestię przywrócenia *Dreadnoughta* do służby, to znaczy ja, mistrz Howsmyn i sir Dustyn. Opierając się na

raporcie sir Bruhstaira i słowach jeńców ocalonych przez sir Dunkyna, doszliśmy do wniosku, że okręt ten ucierpiał na tyle, że będzie potrzebował napraw. Moi rozmówcy ocenili, że prace potrważą co najmniej kilka miesięcy, gdyby w grę wchodziło tylko uzupełnienie stanu dział, a być może nawet więcej, gdyby trzeba całkowicie wymienić artylerię. Wszyscy zgodziliśmy się co do tego, że hrabia Thirsku nie jest głupi. Bez wątpienia kazał swoim stoczniovcóm obleźć *Dreadnoughta*, aby się dowiedzieć, jak jest skonstruowany. Musi wychodzić z założenia, że na dłuższą metę poznanie tej tajemnicy jest ważniejsze niż przywrócenie okrętu na służbę. Oczywiście – w tym miejscu uśmiechnął się paskudnie – zakładając, że wie to, co wie, wydaje mu się, że ma rację. Na swoje nieszczęście nie ma pojęcia o tym, co płynie naszym śladem. Krótko mówiąc, na razie jest przekonany, że zbudowanie sobowtóra *Dreadnoughta* zapewni Dohlarowi przewagę.

– Trudno mieć do niego o to pretensje – zgodził się hrabia Sharpfieldu, gestem zapraszając swego gościa, aby zajął miejsce, i odkładając płócienną kopertę na blat stołu. – Szczególnie po tym, jak dzielnie walczył Kahrltyn. – Potrząsnął głową z mieszaniną dumy i smutku na twarzy. – Pierwsza z rzeczy, o których pomyślałem zaraz po fakcie, to że Kahrltyn napędził Królewskiej Flocie Dohlaru niezłego stracha. W końcu odebrali mu jego okręt, ale do tego czasu zdążył zamienić w złom połowę ich floty, i to w pojedynkę, na Chihiro!

– Jak mawia baron Zielonej Doliny, nigdy nie zaszkodzi napędzić przeciwnikowi stracha – zauważył Darys, po czym westchnął. – Szkoda jednak, że w tym wypadku cena okazała się aż tak wysoka.

– Ano szkoda. – Hrabia Sharpfieldu usiadł na swoim krześle, a porucznik Tympyltyn nalał jemu i gościowi po szklaneczce brandy. – Zapoznam się z doniesieniami w najkrótszym możliwym czasie – obiecał, kładąc dłoń na kopercie, którą przed chwilą wręczył mu Darys. – Tymczasem jednak byłbym wdzięczny, gdybyś mógł mi przybliżyć rozumowanie admiralicji.

– Oczywiście.

Darys przyjął szklaneczkę z rąk Tympyltyna, a następnie odchylił się na oparcie. Nie był zdziwiony, że hrabia Sharpfieldu chce poznać nowiny z jego punktu widzenia. Odkąd zorganizowano posiłki dla wyspy Szpon, nie kto inny jak Darys był prawą ręką sir Domynyka Staynaira. Od

dwóch lat pełnił więc funkcję dowódcy admiralskiego flagowca, dzięki czemu najlepiej ze wszystkich Charisjan orientował się w aktualnej strategii barona Skalistego Szczytu. Właśnie z tego powodu dostał awans i został wyznaczony do przewodzenia eskadrze, która miała wesprzeć załogę wyspy.

– Po pierwsze – zaczął – sir Domynek kazał mi pana zapewnić, że w pełni popiera pańską reakcję na to, co przytrafiło się eskadrze kapitana Ahbahta. Gdzieś pomiędzy tymi listami znajduje się list pochwalny i decyzja o awansowaniu kapitana Ahbahta na komandora. Jak to ujął sam cesarz w swojej wiadomości semaforowej: „Nie sposób przypisać całego zwycięstwa tylko ludziom. Wiatr i pogoda mają w nim także swój udział, a jedyne, o co mogą prosić archaniołowie czy ludzie, to żeby dowódca i jego załoga uczynili wszystko co w ich mocy. Sir Bruhstair bez cienia wątpliwości uczynił, co tylko było możliwe”.

– To dla mnie wielka ulga – stwierdził hrabia Sharpfieldu i pociągnął łyżeczkę brandy, by szybko odstawić kieliszek. – Nie mógłbym skrytykować ani jednej decyzji podjętej przez Bruhstaira. Gwoli szczerości wolę się już martwić o nadmiar agresji w naszych żołnierzach i marynarzach niż o niedostateczną chęć do walki! Langhorne świadkiem, że ostatnie, czego nam trzeba, to ukarać dobrego oficera, który żadną miarą nie zasługuje na karę. Jeśli nawet nie przyniosłoby to innych skutków, każdy następny dowódca zastanowiłby się dwa razy, zanim powziąłby jakąś trudną decyzję.

– Niemal to samo, słowo w słowo, powiedział sir Domynek – zapewnił Darys. – Nie muszę chyba dodawać, że wszyscy w Starym Charisie byli zachwyceni na wieść, że sir Dunkyn oswobodził naszych. Arcybiskup Maikel zarządził msze dziękczynne w całym cesarstwie. Co do reszty... korespondencja, którą przywiozłem, z pewnością jasno obrazuje myśli admirała w chwili, kiedy nas tutaj wysyłał. Mimo to osobiście mnie poprosił, ażebym przybliżył panu jego sposób myślenia. Otóż sir Domynek sądzi, że właściwy skutek w odniesieniu do osoby hrabiego Thirsku przyniesie wyłącznie skierowanie przeciwko niemu wszystkich naszych sił. W związku z tym zaleca, aby...

.VII.
Twierdza Rydymak
Zatoka Cheshyr
Cheshyr
oraz
Kanclerstwo króla Tayrensa
Cherayth
Chisholm
Imperium Charisu

Twierdza Rydymak była zjawiskowo piękna, oczywiście na swój – staromodny, pełen przeciągów i zdolny odmrozić tyłek – sposób.

Karyl Rydmakyr, wdowa po hrabim Cheshyru, w dalszym ciągu pamiętała, jakie twierdza zrobiła na niej wrażenie, gdy zobaczyła ją po raz pierwszy: strome, kryte czerwoną dachówką dachy wieżyczek i gładkie bajkowe mury wychynęły z mgły, gdy płynęła na statku do Cheshyru jako nowo poślubiona małżonka hrabiego. Nie знаła Styvyna zbyt dobrze, a prawdę powiedziawszy – w ogóle, ponieważ spotkali się dopiero przy okazji ślubu. Jednakże okazał się on przystojnym, dobrze zbudowanym mężczyzną, który od razu zatroszczył się o swą młodziutką i przestraszoną narzeczoną. Oczywiście Styvyn był lojalnym poddanym dynastii Taytów. Lady Karyl, jako daleka krewniaczka rodu królewskiego, wiedziała, jak ważna jest lojalność jej przyszłego męża. Było to niespotykane wśród jej chisholmskich rówieśników, no ale ją wychowano tak, aby wychwytywała najłżejsze przejawy zdrady, która była nierzadka pośród miejscowej arystokracji. Dzięki temu zdawała sobie sprawę, jak cenną partią jest ktoś taki jak Styvyn, mimo że w istocie był panem podupadającego Cheshyru.

Król Irwain był dobrym władcą; lady Karyl szanowała go jako swego hegemoną, wiedząc jednak, że nie jest on człowiekiem dość silnym, aby stawić czoło kłótniwej arystokracji. Na szczęście syn Irwaina, książę

Sailys, miał charakter inny od ojca. Karyl Tayt nawet w młodości miała umysł ostry jak brzytwa, a co więcej, nawet jako daleka krewniaczka następcy tronu była świadoma, że ów nie o wszystkim mówi swoim przyszłym adwersarzom.

Ojciec Karyl żywił podobne przypuszczenia, toteż gdy księżę Sailys wyraził na głos swoje poparcie dla zaaranżowanego związku, sir Ahdam Tayt przystał na pomysł, aby oddać rękę drugiej w kolejności córki młodemu hrabiemu. Dziewczyna marzyła naturalnie o lepszej partii, lecz jako spadkobierczyni bocznej gałęzi dynastii Taytów nie mogła odmówić. Zresztą Styvyn był naprawdę niczego sobie. Do tego mógł się poszczycić poczuciem humoru i bystrością niemalże dorównującymi jej własnym. Co najważniejsze jednak, szczerze pragnął, aby jego młoda żona była szczęśliwa i by koniec końców go pokochała.

Siedząca przy otwartym kominku lady Karyl owinęła się szczelniej szalem i z uśmiechem pomyślała, że w takiej sytuacji nie miała innego wyjścia.

Bardziej niż szal grzało ją wspomnienie o mężu; spojrzenie jej piwnych oczu zmiękło, kiedy zapatrzyła się w płomienie, spoglądając na coś, co tylko ona widziała. Przeżyła ze Styvynem trzydzieści długich, dobrych lat, w trakcie których on dochrapał się stopnia generała w Królewskiej Armii Chisholmu, służąc wiernie najpierw księciu Sailysowi, a następnie królowi Sailysowi.

Życie oddał także na jego służbie.

Uśmiech lady Karyl zniknął, a kobieta wtuliła nos w materiał szala, jakby chcąc się schronić przed okrucieństwem wspomnień. Przywołała znów w pamięci tamto pierwsze spotkanie z twierdzą Rydymak, wyróżniającą się na tle wspaniałego letniego nieba przybierającego krwistą barwę, po którym sunęły chorągwie sinobiałych chmur. Wzgórza Zachodzącego Słońca, na których stała twierdza, nie były specjalnie widowiskowe, szczególnie w porównaniu z gigantycznymi Górami Żelaznymi, w których cieniu dorastała, jednakże w obrębie nizinnego hrabstwa Cheshyr w pełni zasługiwały na swoją nazwę. Karyl bardzo szybko zakochała się w skromnych zabudowaniach stolicy; stało się to, jeszcze zanim poczuła miłość do męża. Nawet obecnie starała się, gdy pogoda tylko pozwalała, przechadzać się uliczkami, zaglądać do kościoła i pobliskiej szkoły i gawędzić ze sprzedawcami na targu przynajmniej

raz na pięćdziesiąt. Czasami myślała, że zna chyba każdego mieszkańca po imieniu, a jeśli ktoś pozostał jej nieznanym, to na pewno nie z jej winy.

Pomimo swego piękna siedziba nie była najwygodniejszym miejscem do mieszkania. Z okazji piątej rocznicy ślubu Styvyn kazał dobudować niewielką świetlicę, co zważywszy na stan skarbcza w owym czasie, było nie lada ekstrawagancją. Styvyn jednak nie dbał o takie drobnostki. Dopilnował także, aby ich wspólna sypialnia została zabezpieczona przed przeciągami. Stał w niej nawet tradycyjny harchoński piec kaflowy, przeciwko czemu Karyl żywo protestowała – w końcu, było nie było, wychowała się w Chisholmie! Zima w Cheshyrze była niczym w porównaniu z tym, co dorastająca dziewczyna przeżyła w Górach Żelaznych. *A zresztą, przyznała w duchu z uśmiechem, piec nie był mi nigdy potrzebny, kiedy w pobliżu znajdował się Styvyn...*

Poza świetlicą i sypialnią w twierdzy Rydymak panował ziąb, tak więc lady Karyl zastanowiła się, czemu przesiaduje nocą w bibliotece. Wprawdzie krzesło, z wysokim oparciem i miękką poduchą do siedzenia, było całkiem wygodne, lecz poza tym nie dało się powiedzieć nic dobrego o tym mrocznym, wysokim, przeraźliwie zimnym pomieszczeniu.

Siedzisz tu dlatego, odpowiedziała sobie w myślach, że jesteś samotna, zmartwiona i przestraszona... Przez chwilę śledziła wzrokiem taniec cieni, rzucanych przez płomień na stropowych belkach. *Nie wspominając o tym, że zajmujesz to samo krzesło, na którym siadywałaś Styvynowi na kolanach, kiedyście czytali tę samą książkę. Gdy czujesz jego ducha, niestraszny ci chłód; jesteś też mniej przerażona niż wtedy, gdy leżysz samotnie w wielkim, ciepłym, pustym łóżku.*

Lady Karyl sarknęła i poirytowanym gestem otarła łzę, która zdradziecko stoczyła się jej po policzku. *Użalanie się nad sobą jeszcze nigdy nikomu nie pomogło*, upomniała się ostro. Niestety – jeśli miała być szczerą przed samą sobą – nie wiedziała, co może pomóc jej w aktualnej sytuacji.

Gdyby tylko ten żałosny, niepoohamowany skurczybyk nie miał takiego wpływu na młodego Styvyna! – pomyślała z goryczą. *Albo gdyby młody Styvyn był choć w połowie tak mądry jak jego dziadek i ojciec! Bédard świadkiem, że kocham tego chłopca, ale...*

Nie dokończyła myśli. Nie było winą jej wnuka, że urodził się niezbyt błyskotliwy. Za to ona mogła mieć do siebie pretensje o to, że poniekąd

za jej sprawą młody Styvyn dostał się pod urok kuzyna. Kochała chłopca szczerze, zawsze jednak żałowała, że nie udało jej się go zainteresować książkami, poezją, historią, która była ukochaną dziedziną zarówno jego dziadka, jego ojca, jak i jego matki. Być może chłopiec wyczuł jej rozczarowanie, uznał, że nie darzy go miłością, lub co gorsza, że ma o nim złe zdanie. Nie dało się wykluczyć, że to właśnie dlatego Zhasyn Seafarer – dość bliski kuzyn – tak łatwo wkradł się w jego łaski i zaczął mu sączyć jad do ucha.

Pewne znaczenie ma również to, dodała lady Karyl, że ten drań jest księciem, i to bogatym. No i pozostaje jeszcze kwestia więzi rodzinnych. Z jakiegoś powodu całe to małżeństwo nie wyszło tak, jak to sobie zamierzili Styvyn z Sailysem. Och, jaka szkoda, że nie mogę im obu powiedzieć: „A nie mówiłam?!”. Aczkolwiek nigdy nie miałam nic przeciwko drogiej Pahtryshii. Która – nawiasem mówiąc – też nie znosiła Zhasyna. Przez wargi lady Karyl przemknął uśmiech. Tak, Pahtrysha mogła się poszczycić dobrym gustem, szczególnie jak na kogoś, kto nosi nazwisko Seafarer.

Uśmiech zniknął z twarzy lady Karyl równie nagle jak nadzieja, którą niegdyś hołubiła, łudząc się, że małżeństwo Pahtryshii Seafarer z jej synem Kahlvynem wpłynie pozytywnie na dość stanowcze stanowisko książąt Skalistego Wybrzeża i Czarnego Konia wobec dominacji korony w Chisholmie. Tymczasem z całej rodziny Seafarerów tylko jedna Pahtrysha przekonała się do sprawy Taytów... by niebawem zginąć w wypadku dylizansu, wskutek którego Kahlvyn został sparaliżowany i pozbawiony zdolności mowy.

Czasem zastanawiam się, co takiego uczyniliśmy, aby ściągnąć na siebie tak silną nienawiść Shan-wei, pomyślała lady Karyl. Czemu wszyscy się sprzysięgli, aby zniszczyć moją rodzinę? Nawet ojciec Kahrlytyn nie jest w stanie mi tego wytłumaczyć. A przecież nie zawsze...

– Wybacz, pani.

Karyl Rydmakyr zerwała się z krzesła ze zwinnością przeczącą jej wiekowi – a liczyła sobie już siedemdziesiąt sześć lat. Wylądowała jakiś metr dalej i gwałtownie się obróciła, z sercem walącym jej w piersi. Stała przed niebieskooką kobietą, która nie miała prawa znajdować się w jej bibliotece. Otworzyła więc usta, jednakże zanim zdążyła się odezwać – czy też zawołać pomocy – intruzka szybko uniosła rękę.

– Proszę, pani! – powiedziała z akcentem niewskazującym na Chisholm. – Przybywam w dobrych zamiarach. Przysyła mnie jej wysokość.

Lady Karyl zamknęła energicznie usta, obrzucając wzrokiem nieznajomą i jej czarną zbroję z motywem niebiesko-białej szachownicy na piersi. Fakt, że przybyszka nosiła strój używany przez Cesarską Gwardię Charisu, jeszcze nic nie znaczył, ale na pewno zmuszał do myślenia.

– Ktoś, kto ma dobre zamiary, nie zakrada się do zamkniętej na klucz komnaty w obcym domu! – oznajmiła lodowatym tonem lady Karyl, ostatecznie rezygnując z wołania pomocy. Uznała, że tak będzie lepiej dla służących, skoro nieznajoma miała przy sobie miecz o zakrzywionym ostrzu oraz dwa rewolwery w kaburach przy pasie.

– Owszem, robi to – zaprzeczyła łagodnym tonem nieznajoma. – W wypadku, gdy jej wysokość życzy sobie, aby nawiązać z osobą taką jak ty, pani, kontakt w tajemnicy przed innymi.

Lady Karyl zmrużyła oczy.

– Ciekawe stwierdzenie. – Poprawiła szal na ramionach. – Jak zapewne się domyślasz, chciałabym usłyszeć coś, co przekona mnie do prawdziwości twych słów. – Uśmiechnęła się niemal bez humoru. – Tak się bowiem składa, że ostatnimi czasy zrobiłam się raczej nieufna.

– Zdaniem jej wysokości nigdy nie byłaś, pani, przesadnie ufna w stosunku do wrogów swej rodziny. – Uśmiech młodej kobiety był znacznie cieplejszy niż ten, który przed chwilą przemknął przez twarz lady Karyl. – Wiem od niej – podjęła nieznajoma – że jej ojciec często wspominał o lojalności twojej i twojego męża wobec Korony. W istocie – ciemnoniebieskie oczy wydawały się czarne w blasku płomieni kominka – jej wysokość kazała mi przekazać, iż liczy, że waleniszczyciel wciąż kryje się w paszczy klifowego smoka.

Lady Karyl nie wykonała najlżejszego ruchu, na jej ciele nie drgnął nawet najmniejszy mięsień, jednakże poczuła, jak rozluźnia się pod wpływem zasłyszanych słów. Jeszcze przez kilka sekund stała nieruchomo, przyglądając się przybyłej zmrużonymi piwnymi oczami. Następnie wróciła do krzesła i wyniosłym gestem wskazała otwarty kominek.

– Stań przy ogniu, żebym cię lepiej widziała – rzekła, opadając

z powrotem na krzesło, które tyle razy dzieliła ze Styvynem. – Poza tym – dodała z krzywym uśmieszkiem, widząc, że nieznajoma rażno spełnia jej polecenie – będziesz mogła przy okazji się ogrzać.

– Dziękuję, pani.

Lady Karyl nie spuszczała oka z nieznajomej. Z powodu wieku wzrok miała nie najlepszy, a w Cheshyrze nie szafowano łatwo olejem z krakena, który miał lepsze zastosowania niż oświetlanie bibliotek możliwych. Na szczęście starość nie przyćmiła umysłu lady Karyl, która pozostała baczna obserwatorką.

Nieznajoma była minimalnie niższa od niej, miała ciemne lśniące włosy z kasztanowymi pasemkami. Mogła się poszczycić zgrabną, szczupłą sylwetką, zgoła filigranową, mimo że poza tym nic nie wskazywało na jej kobiecą kruchość. Stała sztywno wyprostowana, nie zważając na obciążającą jej ramię torbę, i czekała spokojnie, aż lady Karyl zakończy inspekcję. Ta ostatnia uznała, że kobieta jest zadziwiająco opanowana. Stało to w sprzeczności z jej młodym wiekiem.

– No dobrze, młoda damo – odezwała się w końcu gospodyni. – Może wyjaśnisz mi, o co ci chodziło z tymi waleniszczycielami i klifowymi smokami.

– Uczyniłabym to z wielką radością, pani, gdybym tylko znała szczegóły. – Lady Karyl nagle odkryła, że gdy nieznajoma się uśmiecha, ma dołeczki. – Ale z tego, że jej wysokość nalegała, abym niczego nie pokręciła, domyślam się, że to swego rodzaju hasło. Jeśli mogę zgadywać... hasło to sięga chyba czasów twoich stosunków z królem Sailysem. Niestety nic więcej nie umiem powiedzieć.

– Rozumiem.

Lady Karyl przyglądała się rozmówczyni jeszcze przez chwilę, po czym podniosła się z krzesła. Jako że jej teść gardził książkami, zanim to pomieszczenie stało się biblioteką Styvyna Rydmakryra, służyło za salę trofeów. Ponieważ ani lady Karyl, ani jej małżonek nie chcieli narażać swych woluminów na bezpośredni kontakt z kamiennymi ścianami, trofea, które na nich wisiały za czasów Truskyta Rydmakryra, pozostały na swoim miejscu. Teraz lady Karyl przystanęła obok jednego z nich.

Klifowy smok był gigantem w swoim gatunku, ważył co najmniej trzysta funtów i miał rozdziawioną paszczę, dzięki czemu eksponował zębiska, które nadawały się równie dobrze do rozszarpywania mięsa, jak

i skubania trawy. Lady Karyl przez chwilę pieściła pysk stwora, po czym szybko sięgnęła do jego rozwartej paszczy i wyciągnęła coś, co rozblęskło w blasku ognia. Lady Karyl wróciła ze zdobyczą do kominka, a nieznajoma zmrużyła oczy ze zdziwienia.

Lady Karyl trzymała w ręku małego waleniszczyciela. Mierzył on około pięciu cali długości i został odlany z czystego srebra, nie licząc małej złotej korony, jakiej oczywiście nie nosił nigdy żaden prawdziwy przedstawiciel tego gatunku. Złoto błyszczało intensywniej niż pokryte śnieżką srebro, toteż lady Karyl poruszyła dłonią, aby wydobyć więcej błysków ze spiczastego zakończenia korony.

– Król Sailys podarował go Styvynowi – obwieściła cicho. – Z tego, co pamiętam, była ich niecała dwudziestka, a każdy, w czyje ręce wpadły, miał obowiązek dobrze je ukryć i strzec ich za wszelką cenę. Do czasu. – Skrzyżowała spojrzenia z nieznajomą, która skinęła wolno głową.

– Dowody zaufania – potaknęła cicho. – Jej wysokość wspomniała, że twój mąż, pani, cieszył się wielkim zaufaniem króla Sailysa. Do tej chwili jednak nie zdawałam sobie sprawy, jak wielkim.

– Mało kto był tego świadom. – Lady Karyl zacisnęła nadal silne palce wokół figurki zwierzęcia. – Obaj, Styvyn i Sailys, trzymali ten fakt w sekrecie. Z wielu powodów. Tym bardziej dziwi mnie, że te głupiec wyobraża sobie, iż zapomnę, o co Sailys i Styvyn walczyli i za co zginęli!

Poruszyła wargami, jakby chciała splunąć, młoda kobieta zaś roześmiała się, aczkolwiek bez cienia humoru. W gruncie rzeczy był to odgłos, jaki mógłby wydać waleniszczyciel.

– Na to pytanie akurat znałam odpowiedź, zanim tu przybyłam, pani. – Nieznajoma ukloniła się głęboko i wyprostowała. – Za twoim pozwoleniem, pani, chciałabym się przedstawić.

– Ależ proszę. – Lady Karyl zajęła swoje miejsce ponownie. Figurkę odłożyła na kolana, ale trzymała ją nadal obiema rękami. – A gdy już się przedstawisz, może zdradzisz mi też, jak dostałaś się do tej zamkniętej na klucz biblioteki, nie napotykając po drodze nikogo ze służby, której przyznaję, stan osobowy pozostawia nieco do życzenia. Ani nie ostrzegając mnie skrzypnięciem drzwi, których zawiasy od dawna domagają się porządnego naoliwienia.

– Kwestia tożsamości będzie łatwiejsza, pani... – Młoda kobieta dotknęła napierśnika pięścią w oficjalnym salucie. – Zwą mnie Merch

O Obaith.

– Aha. – Lady Karyl skinęła głową. – Wybacz, że to powiem, ale brzmi to bardzo z cudzoziemska. I przychodzi na myśl parę innych mian, jakie kiedyś słyszałam. Czy przypadkiem nie jesteś znajomą niejakiego Athrawesa?

– W rzeczy samej, jestem.

– Fascynujące. – Lady Karyl odchyliła się na oparcie krzesła i skrzyżowała nogi. – A więc to prawda, że Athrawes potrafi przemieszczać się bezszelestnie, a zamknięte drzwi nie stanowią dla niego przeszkody. Dziwne tylko, że nagle *seijinów* jest jak mrówek, jak by powiedział mój Styvyn.

– Nie posunęłabym się aż tak daleko, pani. – Obaith poprawiła ją taktownie. – Jednakże nawet ja muszę przyznać, że ostatnimi czasy *sejinowie* stali się jakby... bardziej widoczni. Zdaje się, że nawet w Świadectwach napisano, że pojawią się, kiedy będą potrzebni.

– Hm. Osobiście bardzo by mi się jeden przydał – stwierdziła lady Karyl.

– Mówisz o usługach *seijina*, pani? – domyśliła się Obaith. – Obawiam się jednak, że dziś jestem tylko posłańcem.

– Jakie nowiny przynosisz? – zainteresowała się lady Karyl, a jej oczy rozbliły ciekawością.

– Jej wysokość pragnie, abyś wiedziała, że cesarscy wysłannicy są świadomi tego, co dzieje się w Cheshyrze. Księcia Skalistego Wybrzeża i księcia Czarnego Konia nie wyłączając. Wspomniani cesarscy wysłannicy mają oko na wszystko, śledzą bacznie sytuację. Osobiście ubolewam, że zgoda jej wysokości, aby podzielić się tą informacją z tobą, pani, tak długo podróżowała do Chisholmu. W każdym razie jesteśmy świadomi, że książę Skalistego Wybrzeża próbuje omotać twego wnuka, jak również że jest w kontakcie z hrabiną Swayle. Niestety niewiele możemy poradzić w kwestii książęcych machinacji dotyczących twego syna, pani. Niezręcznie by było dla jej wysokości przedstawiać w sądzie dowody, które Zhaspahr Clyntahn zwykł kojarzyć z demoniczną naturą *seijinów* i ich konszachtami z Shan-wei. Fakt, że to żywe kłamstwo, nie miałby żadnego znaczenia dla księcia, który gotów się ucześcić takiego tłumaczenia w wypadku... nazwijmy to... nietypowych technik pozyskiwania informacji.

– Rozumiem.

Lady Karyl udało się wyeliminować rozczarowanie w głosie, aczkolwiek nie do końca. Wyszła z wprawy od czasów, gdy wraz z mężem działała zakulisowo na rzecz króla Sailysa.

– To, że nie możemy podjąć otwartych działań przeciwko księciu i innym spiskowcom, przynajmniej na razie, nie znaczy, że nie znamy ich planów, i to lepiej, niż są w stanie przypuszczać. – Obaith wzruszyła ramionami. – Oczywiście istnieją pewne szczegóły strategii, które wymykają się naszej wiedzy, niemniej nie ma ich wiele. Do tego dzielimy się informacjami z hrabią Białej Skały, baronem Stoneheart i sir Ahlberem Zhustynem.

– Bogu Jedynemu niech będą dzięki. – Wbrew sobie lady Karyl zgarbiła się na krześle. Zaczepnęła głęboko tchu i przejechała dłońmi po gęstych i lśniących siwych włosach. – Ja także jestem z nimi w kontakcie i przekazuję im każdą drobinę informacji, jaką uda mi się pozyskać, choć nie jest to łatwe. Zawsze jednak zdawałam sobie sprawę, że potrafię przejrzeć tylko część ich zamierzeń.

– Jej wysokość jest tego świadoma. A chociaż twój wnuk nawet przez moment nie podejrzewa, że jego wielmożny kuzyn mógłby uczynić coś, co by zaszkodziło tobie, pani, osobiście, jej wysokość, jak również jego wysokość gwoździ szczeroci, mają na ten temat inne zdanie. Wiedzą bowiem, jak dużo czasu książe spędza z ojcem Sedrykiem.

– Ojciec Sedryk to skundlony pomiot Shan-wei! – wykrzyknęła lady Karyl. Lód w jej głosie sprawił, że wiatr hulający wokół twierdzy Rydymak wydał się nagle ciepłą bryzą. – Gdybym znalazła sposób, jak przywiązać do jego stóp sznur i wrzucić go do Zatoki Cheshyrskiej ze stufuntowym kamieniem, mogłabym spokojnie odejść z tego świata jako szczęśliwa kobieta.

Obaith zaśmiała się cicho.

– Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności niż wykonanie tego drobnego zadania w twoim imieniu, pani. Niestety ojciec Sedryk jest ważniejszą postacią tego spisku, niż mogłoby się wydawać. Domyślam się, że szczególnie ci się nie podoba to, jak wkradł się w łaski młodego Styvyna, ale uwierz mi: to tylko mała część roli, którą ma do odegrania. Przede wszystkim należy zaznaczyć, że nie jest członkiem Zakonu Chichiro, jak twierdzi. Tak naprawdę... choć nie jesteśmy w stanie tego

udowodnić bez uciekania się do tych nietypowych metod, o których wspomniałam wyżej... jest schuelerytą i inkwizytorem. Oddelegowanym do Chisholmu z Syjonu przez samego Wyllyma Rayna.

Lady Karyl zacisnęła szczękę. Już wcześniej wiedziała, że Sedryk Mahrtynsyn jest kimś więcej niż zwykłym księdzem, za jakiego chciałby uchodzić, jednakże nawet jej nie przyszło do głowy, że może on być inkwizytorem przysłanym na przesłpiegi!

– Pani... – Obaith nagle spoważniała. – Chcemy, by Mahrtynsyn wskazał palcem i obciążył nie tylko księcia Skalistego Wybrzeża, ale także wielu innych. Jak dotąd wszyscy spiskowcy bardzo ostrożnie poczynają sobie ze słowem pisanym, nie możemy więc liczyć, że nagle ich zachowanie się odmieni. Im dalej jednak w las, tym więcej okazji, by powierzyć coś papierowi, a tylko tego nam trzeba. Tego albo naocznego świadka. Ojciec Sedryk jest jedną z osób, na które bardzo liczymy w tym względzie. To gruba ryba, która zdaniem jej wysokości odegra niebagatelną rolę w wymianie korespondencji.

– Im dłużej pozwalacie mu działać, tym większe jest ryzyko, że całkiem omota mego wnuka – zauważyła ponuro lady Karyl. – Ten mężczyzna ma swój urok, potrafi słodzić i dosłownie leje miód na uszy piętnastolatka.

– Wiemy o tym – zapewniła Obaith z niewzruszoną miną. – I nie podoba nam się to. Jednakże jej wysokość bierze pod rozwagę każdą łagodzącą okoliczność, gdy idzie o młodego Styvyna. Z tego, co zaobserwowaliśmy, raczej prędzej niż później bądź jeden, bądź drugi spiskowiec popełni błąd, który będziemy mogli wykorzystać. Twój wnuk, pani, jest młody i wystarczająco naiwny, jeśli wolno mi tak powiedzieć, nie obrażając nikogo, aby widzieć coś rycerskiego i ekscytującego w wystąpieniu przeciwko Koronie, a za Kościołem Matką. Zarazem jednak bardzo cię kocha. Nadejdzie taka chwila, gdy uświadomi sobie, że... cokolwiek by mówili jego pochlebcy... kiedy otrzymasz zaproszenie, aby dołączyć do spisku, każesz im wszystkim iść do Shan-wei. A jak już to do niego dotrze, zrozumie też, że ci dwaj musieli się przygotować na taką ewentualność. Co będzie znaczyło, że okłamali go na samym początku, twierdząc, że nie stanie ci się nigdy żadna krzywda. – *Seijinka* się uśmiechnęła. – Albowiem młody Styvyn postawił sprawę bardzo jasno już na wczesnym etapie – dodała łagodnym tonem. – I bardzo stanowczo, tak stanowczo, że zdziwił tym nawet księcia Skalistego

Wybrzeża.

Spojrzenie lady Karyl zmiękło, a wargi jej zadrżały, aczkolwiek tylko przez moment. Zaraz skinęła zdecydowanie głową.

– Dziękuję, że mi to mówisz. – Głos miała schrypnięty, przerwała na chwilę, aby odchrząknąć. – Dziękuję, że mi to mówisz – powtórzyła. – Tak sobie właśnie to tłumaczyłam, ale...

– Ale naoglądałaś się za dużo zdrad – dokończyła za nią Obaith. – A kiedy ktoś taki jak księżę Skalistego Wybrzeża czy Mahrtynsyn wyciąga z rękawa asa w postaci „woli archaniołów” na oczach piętnastolatka, może się zdarzyć wiele przykrych rzeczy.

– Otóż to.

Przez parę sekund wpatrywały się w siebie wzajemnie, po czym znów przemówiła *seijinka*.

– Kiedy ja tu rozmawiam z tobą, pani, jeden z innych przyjaciół *seijina* Merlina przebywa w Cherayth, gdzie dostarcza wiadomość jej wysokości nie komu innemu jak hrabiemu Białej Skały. W efekcie już niedługo będziesz mogła wzmocnić swoje straże. Zdaję sobie sprawę, że mieszek masz pusty, a na pewno nie tak pełny, jak byś sobie życzyła, i że tkwi w tobie obawa, iż każdy, kto by chciał podjąć się za grosze służby w hrabstwie tak odległym jak Cheshyr, równie dobrze może być nasłany przez osobę, która źle ci życzy. Aby zaradzić pierwszej kwestii, jej wysokość przesyła ci to – oznajmiła *seijinka*, upuszczając torbę, którą dotąd miała na ramieniu.

Otworzyła ją, a lady Karyl sapnęła z wrażenia na widok ułożonych w równe słupki złotych marek, które zalśniły w blasku ognia. Wdowa po hrabim Cheshyru momentalnie zdała sobie sprawę, że patrzy na fortunę równą co najmniej dwuletnim dochodom całego hrabstwa. I zastanowiła się, jakim cudem *seijinka* przytaszczyła taki ciężar, jakby to było piórko.

– Funduszy nie braknie, w razie potrzeby – podjęła Obaith. – Oczywiście musisz się pilnować, by nie zdradzić faktu nagłego wzbogacenia przed niepowołanymi osobami. Niemniej jego wysokość wychodzi z założenia, że nie ma sytuacji międzyludzkiej, której nie można by załagodzić dzięki sztabce złota. A gdy już do tego przyjdzie, zawsze warto móc przebić opozycję, czymkolwiek ta dysponuje. I zwłaszcza kiedy nie docenia twoich możliwości. – *Seijinka* ponownie pokazała dołeczki, ale bardzo szybko spoważniała. – Nie musisz nic

płacić gwardzistom, którzy zaczną napływać w zimowych miesiącach, szukając pracy. Nie musisz się też martwić tym, skąd pochodzą. Zapewniam cię bowiem, pani, że wszyscy zostali starannie wyselekcjonowani. Lub zostaną, zanim przyjdzie pora, aby zaszczyścić twoje skromne progi.

– Naprawdę? – Lady Karyl wyprostowała się na krześle, rozszerzając oczy. – A iluż to takich zbłąkanych gwardzistów zboczy w moje skromne progi?

– Właśnie miałam do tego przejść. – *Seijinka* Merch O Obaith wyszczerzyła się tak, że mogłaby zawstydić najbardziej żarłocznego krakena. – Ale skoro pierwsza wspomniałaś...

– ...zatem kluczowe, zdaniem pary cesarskiej, jest to, by gwardia lady Karyl została wzmocniona w jak najbliższym terminie – podkreślił wysoki blondyn, nachylając się lekko nad stołem w stronę Braisyna Byrnasa, hrabiego Białej Skały i głównego doradcy Chisholmu. Sylwyst Mhardyr, baron Stoneheart, który pełnił funkcję chisholmskiego sędziego, siedział obok niego, a sir Ahlber Zhustyn, osobisty szpieg Sharleyan, stał u boku głównego doradcy.

– Ja wolałbym wkroczyć do akcji, zwinąć ich i skrócić paru o głowę! – wybuchnął baron Stoneheart. – To jak nic zwiększyłoby bezpieczeństwo lady Karyl!

– No, no... Sylwyście... – Baron Białej Skały potrząsnął głową, a w jego pokrytych bielmem oczach pokazały się ogniki uśmiechu. – Czy to przypadkiem nie ty z nas wszystkich powinieneś dbać o to, by sprawy toczyły się zaplanowanym trybem?

– Byłbym gotów wrócić do zaplanowanego trybu, ledwie krew przestałaby tryskać z ich szyj – odparł baron Stoneheart, a z jego tonu wynikało, że nie do końca żartuje.

– Doskonale rozumiem, co czujesz, mój panie – powiedział mężczyzna, który przedstawił się jako Cennady Frenhines.

Chociaż mówił z chisholmskim akcentem – mówił jak ktoś, kto pochodzi z Wężowych Wzgórz w hrabstwie Shayne – bynajmniej nie nosił chisholmskiego imienia i nazwiska. W czym akurat nie było

niczego dziwnego. Z tego, co wszyscy obecni zdołali się zorientować, każdy *seijin*, który zaoferował swoje usługi Imperium Charisu, nazywał się z cudzoziemska.

– Jednakże jej wysokość nie zamierza w tym względzie ustąpić – dodał Frenhines z wielką powagą. – Może nie powinienem tego mówić, ale jego wysokość chyba wolałby zastosować twoją metodę, albowiem martwi się, ile osób ucierpi, gdy będziemy postępować zgodnie z planem. To jej wysokość jest zdecydowana uciąć łeb tej hydrze raz na zawsze. Dlatego pragnie, aby każdy wielmoża pokroju księcia Skalistego Wybrzeża pograżył się doszczętnie, tak żeby jego wina była niekwestionowana. Jeśli dobrze pamiętam, jej wysokość w rozmowie z mężem użyła następującego argumentu: „Potrzebne mi moje własne Zebediah’y”.

– I z całym należnym szacunkiem – Zhustyn zwrócił się do barona Stoneheart – jej wysokość ma rację. Ten sam problem pojawiał się regularnie co kilka lat, odkąd król Sailys rozpoczął Odnowę. I będzie się pojawiał dalej, dopóki ci, którzy chcieliby cofnąć czas, w końcu nie wbiją sobie do głowy, że to się nigdy nie stanie. Jej wysokość nigdy się nie zawahała przed podjęciem działań, które były konieczne. Dziś jednak jej pozycja jest znacznie mocniejsza niż kiedykolwiek przedtem. Doskonale rozumiem, czemu Sharleyan chce, aby ci ludzie wykonali swój ruch. Rozumiem też, czemu zależy jej na dużej liczbie „przykładów”. Im będzie ich więcej, tym większe szanse, że przesłanie trafi tam, gdzie trzeba.

Baron Stoneheart spoglądał na osobistego szpiega cesarzowej przez dobre kilka sekund, podczas gdy nocny wiatr hulał niestrudzenie pod okapem kanclerstwa króla Tayrensa. Powiewy były równie mroźne jak te owiewające twierdzę Rydymak, dwa tysiące mil z okładem na zachód od Cherayth, ale dodatkowo niosły płatki śniegu, które gęstniejąc, coraz bardziej przypominały śnieżycę.

– Sir Ahlber nie mógłby lepiej wyrazić zamiarów jej wysokości – skomentował przypominający z wyglądu sokoła Frenhines, zamiatając grubym jak przegub warkoczem, który zaśnił w blasku lampy płonącej silniejszym światłem niż kominek w bibliotece lady Karyl. – Nie znaczy to jednak, że cesarzowa nie pomyślała o środkach ostrożności.

– Jakich mianowicie, *seijinie* Cennady? – zapytał baron Białej Skały.

– Przysłała spisane instrukcje dla generała Kahlynsa.

Frenhines sięgnął do sakwy cesarskiego kuriera, którą miał ze sobą, i wyciągnął ciężką płócienną kopertę. Następnie przesunął ją po blacie w stronę głównego doradcy, który bez słowa wręczył ją baronowi Stoneheart. Sędzia w przeciwieństwie do barona Białej Skały zerknął na wypisane ręcznie imię i nazwisko adresata. Rozpoznawszy charakterystyczną kaligrafię Sharleyan Tayt Ahrmahk, skinął głową na potwierdzenie.

– A czy raczyła też przybliżyć te instrukcje tobie? – zapytał baron Białej Skały, po czym uśmiechnął się blado, gdy Frenhines skinął potakująco głową. – Wielka szkoda, że generał nie usłyszy bezpośrednio od ciebie opinii na ich temat.

– Mój panie, z Cherayth do Maikelbergu jest ponad dwieście mil. – *Seijin* potrząsnął głową z uśmiechem, sypiąc błyskami z szafirowych oczu. – Nawet *seijin* Merlin nie może być w dwóch miejscach równocześnie! A nawet gdybym ja był do tego jakimś cudem zdolny, dobrze wiesz, jak nazwałby to Clyntahn!

Pozostali trzej mężczyźni roześmiali się kwaśno. Frenhines nie mógł ich o to winić. W całym Chisholmie nie było bardziej godnego zaufania ani uczciwszego człowieka niż sir Fraizher Kahlyns. Nie dało się jednak powiedzieć, że to najbystrzejszy z oficerów Cesarskiej Armii Charisu. Prawdą było – niestety – że czuł się lepiej, gdy pisemnym rozkazom towarzyszyła ich ustna interpretacja w wykonaniu tej osoby, która rozkazy dostarczyła.

– Sir Fraizher nie będzie miał żadnych wątpliwości, gdy idzie o te instrukcje, mój panie – zapewnił *seijin* barona Białej Skały, chociaż w rzeczywistości mówił do całej trójki. – Najważniejsze to utrzymać księcia Skalistego Wybrzeża, księcia Czarnego Konia, hrabinę Swayle i hrabiego Smoczego Wzgórza w niewiedzy co do tego, że posiłki, które będzie wysyłał, trafią w inne miejsca przeznaczenia, niż to się na pozór wydaje. Ich cesarskie moście wołają, aby informacja o tym, ilu żołnierzy piechoty morskiej przypadkowo znajdzie się w Chisholmie na wiosnę, pozostała jak najdłużej tajemnicą.

– O, to mi się podoba – mruknął Zhustyn, a baron Stoneheart energicznie pokiwał głową.

– Tymczasem musimy zwiększyć liczebność osobistej gwardii lady Karyl – podjął Frenhines. – Ktoś właśnie omawia z nią tę sprawę, a jej

wysokość sugeruje, aby sir Fraizher zwolnił z czynnej służby kilku dobrze wyszkolonych, doświadczonych podoficerów, po tym jak... taki czy inny wypadek podczas ćwiczeń uniemożliwi im dalsze pełnienie obowiązków w polu. Co zrozumiałe, tacy ludzie nie będą się specjalnie nadawać do życia cywilnego. Nikogo więc nie zdziwi, że z wolna zaczną ciążyć ku miejscom takim jak Cheshyr, łapiąc okazje w postaci na przykład przybrzeżnych statków handlowych. A gdy żołnierze, którzy służyli wiernie królestwu, znajdą się na bruku bez swojej winy, lady Karyl wyciągnie do nich pomocną dłoń, gwarantując im dach nad głową. To również wyda się całkowicie naturalne, zważywszy, że jej mąż poświęcił całe swoje życie karierze wojskowej. Bardzo możliwe, że lady Karyl da nawet zatrudnienie inwalidom, byle tylko nie stracili do siebie szacunku.

– Przebiegły plan – zauważył z aprobatą baron Stoneheart.

– Jej wysokość już taka jest – odparł z uśmiechem Frenhines. – A jego wysokość raczył zauważyć na etapie planowania, że spotęgowane wysiłki, aby zwiększyć produkcję broni w Maikelbergu, musiały zaowocować pewnymi niezgodnościami, jeśli chodzi o liczby. Tym sposobem parędziesiąt sztuk broni, które zwyczajnie się „zagubiły” – uśmiezek *seijina* stał się zimniejszy – trafi w wiadome ręce. Prawda, moi panowie?

.VIII.
Komnata Merlina Athrawesa
Ambasada Charisu
Siddarmark
Republika Siddarmarku

Masz chwilkę, Merlinie?

Merlin Athrawes podniósł spojrzenie znad rewolweru, który starannie czyścił i smarował.

Sahndrah Lywys wreszcie wprowadziła do produkcji swój nowy „bezdymny” proch – nazwany kordytem ze względu na to, że formowano go w wąskie pręciki, które wyglądały całkiem jak jego odpowiednik ze Starej Ziemi o tej samej nazwie. Armia miała na wyposażeniu dobre kilka milionów pocisków ze staromodnym prochem do wykorzystania, ale gwardia cesarska zdążyła się już przerwycić na ten nowy. Kordyt nie tylko prawie wcale nie dymił, ale też zostawiał mniej brudu, aczkolwiek piorunianowe spłonki Cesarskiej Armii Charisu w dalszym ciągu pozostawiały żrący nalot, zdolny zniszczyć broń w razie gdyby nie została należycie wyczyszczona po użyciu, a Merlin tego dnia spędził ponad godzinę na strzelnicy, zużywając co najmniej kilkaset pocisków. Nie dlatego, że zaprogramowana pamięć mięśniowa CZA0 potrzebowała praktyki, lecz z tego względu, że strzelanie zwyczajnie mu się podobało. A poza tym był zdania, że należy mu się odrobina relaksu. Wrócił z Cherayth zaledwie na pięćdziesiąt, to zaś była pierwsza okazja do zrobienia czegoś, co by go w choć małym stopniu odprężyło.

– W tym konkretnym momencie nie jestem specjalnie zajęty, ale ufam, że pozwolisz mi to dokończyć podczas rozmowy – odpowiedział obrazowi, który pojawił się na jego soczewkach kontaktowych, równocześnie machając nasiąkniętą olejem szmatką. – Dziś wieczorem jem obiad z Nynian i chciałbym mieć czas na prysznic. Naprawdę wolałbym nie rozpaczać woni oleju, kiedy zasiądziemy do stołu.

– Jesz kolację z Nynian? – Nahrman Baytz mruknął z uśmiechem.

Merlin posłał mu umiarkowanie miażdżące spojrzenie, co sprawiło, że od dawna nieżyjący baryłkowaty Szmaragdczyk natychmiast spoważniał. – Cóż, nie widzę powodu, dla którego nie miałbyś się bawić swoimi zabawkami – dodał. – W każdym razie właśnie naszła mnie pewna myśl na temat pozycji oddziałów hrabiego Tęczowych Wód i Maigwaira.

– Ach tak? – Merlin przechylił głowę. – Jakiego rodzaju myśl?

– O ile dobrze rozumiem plany Kynta i księcia Eastshare na nadchodzące lato, bardzo by chcieli znaleźć jakieś luki.

– Pomijając fakt, że nie ma tu żadnych luk, to tak, masz rację, bardzo by tego chcieli – przyznał Merlin z kwaśną miną.

W gruncie rzeczy powinny być jakieś luki, pomyślał. Linia obrony Kościoła Matki rozciągała się od przesmyku Hsing-wu na północy do zatoki Bess i północnej granicy z Dohlarem na południu i mierzyła dobre dwa tysiące mil, czyli o osiemset mil więcej niż front rosyjski w 1942 roku, który ciągnął się od Murmańska aż do Kaukazu. Nikt nie byłby w stanie z sukcesem bronić tak długiego odcinka. Nawet gdyby Armia Boga osiągnęła pułap trzech milionów żołnierzy, na jedną milę frontu przypadałoby góra tysiąc pięciuset, zakładając oczywiście, że linia frontu biegłaby prosto i nie była zależna od ukształtowania terenu, co naturalnie nie jest możliwe.

Niektóre elementy ukształtowania terenu – jak na przykład Góry Wężowych i Czarnej Wyverny na zachodnich krańcach Stromeego Szczytu i Marchii Zachodniej – pozwoliłyby zaoszczędzić na sile ludzkiej. Z kolei inne wymagałyby znacznie liczniejszego obstawienia, co by na jedno wyszło.

Z całą pewnością brakowało tam sieci dróg i machin parowych. Smoki zapewniały armiom lądowym na Schronieniu mobilność, za jaką każdy generał ery preindustrialnej na Starej Ziemi z radością sprzedałby swe pierwsze dziecko, wszelako nie były zdolne do czynienia cudów. Do tego poza głównymi traktami do dyspozycji piechurów byłyby tylko ścieżki i ścieżynki, co bynajmniej nie ułatwiało sprawy. Im dalej człowiek się oddalał od kanałów i żeglownych rzek, tym ciężiej było o zaopatrzenie, a już w zachodnich rejonach Republiki Siddarmarku praktycznie nie można było liczyć na zdobycie żywności i paszy. Postarano się o to w trakcie akcji Miecz Schuelera, teraz zaś hrabia Tęczowych Wód dodatkowo przemieszczał gospodarzy uprawiających ziemię i hodujących

zwierzęta na tereny odległe od linii frontu o co najmniej dwieście mil na zachód. Najeźdźca nie mógł więc liczyć nawet na okruchy.

Dlatego Sojusznicy nie mieli wielkiego wyboru, gdy idzie o kąć natarcia. Och, mogli naturalnie obmyślać jakieś wariacje strategii, która by się sprawdziła w takiej, a nie innej okolicy, wszakże z powodu szlaków wodnych, traktów, przełęczy i leśnych ścieżek droga natarcia była łatwa do przewidzenia, co też hrabia Tęczowych Wód zamierzał wykorzystać, rozprawiając się z nimi za przekroczenie jego granicy.

Najwyraźniej przejrzał główny cel przyświecający Sojusznikom podczas nadchodzącej kampanii. Zniszczenie bądź znaczne nadwerężenie Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów, tak naprawdę jedynej znaczącej siły w łonie Kościoła Matki, otworzyłoby im drogę do Ziem Świątynnych, o czym hrabia doskonale wiedział.

Był to jeden z powodów, dla których raz jeszcze dogłębnie przemyślał rozmieszczenie swoich wojsk, jak również dla których wycofał hrabiego Jedwabnych Wzgórz tak daleko na północ. Był przygotowany na utratę Góry Zachodniego Klifu i księstwa Farlas, a nawet księstwa Jhurlahnk, byle tylko nie odsłonić swojej prawej flanki w Marchii Zachodniej czy otworzyć drzwi do Sardahnu... a tym samym do Kanału Świętego Langhorne'a. Powziął także szczegółowe plany, które miały poskutkować zniszczeniem dróg, mostów i śluz wszędzie tam, gdzie by musiał oddać pole. Konnica Cesarskiej Armii Charisu byłaby jęczyciem u wagi dla księcia Eastshare i barona Zielonej Doliny, cokolwiek by uczynił hrabia Tęczowych Wód, ale nie było co udawać, że staranne rozmieszczenie sił Harchongu nie pokrzyżuje im obu szyków.

– Wiem na pewno, że hrabia Tęczowych Wód nie zostawi żadnej luki na flankach – powiedział Nahrman. – Może jednak udałoby nam się przymusić jego i Maigwaira do tego, by osłabili prawą flankę Północnego Zgrupowania Armii Pana Wszechmogącego?

– Prawą? – zapytał Merlin w zamyśleniu, już oglądając wirtualną mapę z linią frontu.

Wygenerowany przez komputer obraz Nahrmana wzruszył ramionami.

– Nie jestem wojskowym jak Kynt czy Cayleb, nie potrafię więc powiedzieć, jak wróg zareaguje na to, co mi chodzi po głowie. Sądzę jednak, że bylibyśmy w stanie skłonić ich, żeby przemieścili wszystkie

siły hrabiego Jedwabnych Wzgórz kilkaset mil na południe, i wypełnić powstałą w ten sposób lukę nowiuteńkimi oddziałami Armii Boga.

– Uważasz, że opracowałeś sposób na to, by ich zmusić do przekazania odpowiedzialności za Jedwabne Wzgórze Teagmahnowi i Armii Tanshar? – Merlin nie zdołał ukryć sceptycyzmu w głosie, jednakże Nahrman tylko się wyszczerzył niczym jaszczurkot na widok miseczki pełnej śmietanki.

– Uważam, że obmyśliłem, jak by tu ich nakłonić, aby rozważyli coś takiego – spreyczował. – Wiele zależy od tego, jak będzie szło hrabiemu Hanthu, jeszcze więcej zaś od tego, do jakich metod dezinformacji się uciekniemy. Sama taktyka budzi mój entuzjazm dlatego, że Grupa Czworka nie raz i nie dwa wprowadziła nas w błąd. Podobałoby mi się, gdyby tym razem role się odwróciły.

– Wydawało mi się, że Zhapyth Slaytyr i ja uczyniliśmy to w wypadku Armii Shiloh – wytknął Merlin.

– No tak, ale to było takie... takie wulgarne. – Nahrman zmarszczył nos jakby z obrzydzenia. – Wy po prostu skorzystaliście z okazji, która się nadarzyła, zamiast ją sprowokować! Wasze wykonanie było zgrabne, nie powiem, ale jakież zachowawcze! Bez cienia subtelności, jaką tylko ja mogę zagwarantować. Poza tym ty, Merlinie, zrobiłeś użytek ze swej zdolności zmieniania postaci niczym kameleon. Mój pomysł jest znacznie bardziej elegancki, a przy tym nie zasada się na jakiejś szemranej technologii.

– „Szemrana technologia” powiadasz? Zatem to, że w ogóle tu jesteś i z nami rozmawiasz, nie ma nic a nic wspólnego z rzeczoną szemraną technologią?

– Cóż, może ma, w pewnym ogólnym sensie – raczył przyznać Nahrman, a raczej jego awatar.

– No dobrze. – Merlin potrząsnął głową z uśmiechem. – Proszę bardzo, olśnij mnie swą mądrością.

– A więc... – Nahrman natychmiast spoważniał. – Po pierwsze będziemy musieli zaangażować w to Breyta Bahskyma. Wyślemy mu jakieś fikcyjne rozkazy, a on w spektakularny sposób dopuści do wycieku tajnych informacji. Mam nadzieję, że ty albo Nimue zechcecie posłużyć mu pomocą?

– Pod warunkiem, że będzie jasne, jakie informacje wyciekają i do

kogo – odpowiedział sucho Merlin. – Bo wiesz, Nahrmahnie, to akurat ostatnio częsty problem. – Wzruszył ramionami. – No ale z drugiej strony jeden wyciek więcej nie powinien zrobić aż takiej różnicy.

– Skoro tak, trzeba będzie także zaangażować Nynian, ponieważ...

LUTY

ROKU PAŃSKIEGO 898

.I.
**Opactwo Świętej Kahrmyncetah
Góry Szponów
Wyspa Zielonego Drzewa
Morze Harchońskie**

Zatem nie sędzę, aby były powody do poważniejszego zmartwienia, pani – powiedziała zakonnica w zielonym habicie opatrzonym odznaką kaduceusza świadczącym o jej przynależności do Zakonu Pasquale. – Zhosifyn to... silna dziewczynka. – Zakonnica uśmiechnęła się cierpko. – Ba, jestem skłonna wierzyć, że za jakieś dziesięć lat będzie z nią niezłe urwanie głowy. Pod tym względem bardzo przypomina mi mnie samą. Co do tych snów jednak, myślę, że same miną. Nie mam wiedzy członkini Zakonu Bédard... i ubolewam mocno, że tu, na Wyspie Zielonego Drzewa, nie ma ich wcale... niemniej od niepamiętnych czasów uczę dzieci. – Pokręciła głową z rozrzewnieniem, po czym na powrót skupiła się na rozmówczyni. – Wiem, że to, co Zhosifin widziała i słyszała na pokładzie statku, było wstrząsające, lecz mam także świadomość, że to dziecko jest kochane i otoczone opieką, dzięki czemu może mieć pewność, że nic mu nie grozi. Trochę czasu upłynie, zanim Zhosifin dojdzie do siebie, ale złe sny już stały się rzadsze, a upłynęły tylko niecałe trzy miesiące. Nie wątpię, że już wkrótce problem całkiem zniknie.

– Dziękuję, sioostro Mahryssu – odparła lady Stefyny Mahkswail.

Podniosła się z wiklinowego krzesła i przeszła na skraj werandy. Technicznie biorąc, była wiosna, jednakże Wyspa Zielonego Drzewa leżała mniej niż tysiąc mil na południe od równika – nieco dalej w dół mapy niż Gorath w jej górnej części – tak więc lady Stefyny była bardzo wdzięczna za cień, z którego mogła swobodnie patrzeć na pogrążony w spokoju ogród, gdzie mała grupka dzieci zawzięcie kopała w ziemi, przygotowując miejsce pod grządkę z pomidorami. Uśmiechnęła się do nich wszystkich, szczególną uwagę poświęcając jasnowłosemu

berbeciowi. Dziewczynka radośnie rozrzucała ziemię na wszystkie strony, pomagając starszym dzieciom. W końcu lady Stefyny odwróciła się do zakonnicy.

– Doceniam to, że poświęciłaś swój czas, aby mnie uspokoić – powiedziała. – Jeśli mam być szczerą, właściwie domyślałam się, co od ciebie usłyszę. – Jej uśmiech stał się nagle szerszy. – Bóg Jedyńy świadkiem, że Zhosifyn to silna dziewczynka. Jestem pewna, że będę mieć z nią urwanie głowy znacznie wcześniej niż za dziesięć lat.

Zakonnica zaśmiała się cicho, a lady Stefyny – nie spuszczać z niej spojrzenia – oparła się biodrem o kamienny murek werandy i przybrała poważny wyraz twarzy.

– W domu staraliśmy się ją chronić przed nieprzyjemną rzeczywistością – podjęła. – Nie było to łatwe. Wszystkie te dzieci są niezwykle bystre, a jedna Bédard wie, jak wrażliwa jest osobowość każdego w tym wieku. Nasza obawa o ich dziadka niewątpliwie była dla nich jasna. Tak samo jak strach o to, co będzie z nimi wszystkimi. Nie mylisz się w ogóle co do tego, co miało miejsce na tamtym statku. –

Wzdrygnęła się, przeniknięta chłodem na wskroś pomimo słońca i ciepła. – Ja sama drżałam z przerażenia, potrafię więc sobie wyobrazić, co czuła ta mała. Nie dziwię się jednak, że tutaj czuje się bezpieczna.

– Tutaj jest bezpieczna – rzekła siostra Mahryssa pewnym głosem. – Tak samo jak ty.

– O tak, mam tu znacznie większe poczucie bezpieczeństwa niż w Gorath! – Lady Stefyny prychnęła. – Trudno, żeby było inaczej. Myślę jednak, że nawet bardziej niż Lyzet doświadczyłam dowodów na to, iż najbezpieczniejsze miejsce może się okazać pułapką. Poza tym fakt, że nic mi nie grozi, sprawia, że tym bardziej niepokoję się o los innych ludzi.

– Zdziwiłabym się, gdyby było inaczej – rzekła z prostotą siostra Mahryssa. – To, co powiedziałam przed chwilą o Lyzet, dotyczy także ciebie, pani. Minęły niecałe trzy miesiące. Bez wątpienia wszystko to, co się stało, nie schodzi z twoich myśli.

– Tak, zdecydowanie można to tak ująć! – wykrzyknęła lady Stefyny zgodnie. – Chociaż...

– Za pozwoleniem, pani...

Lady Stefyny obróciła się w stronę zakonnicy, która właśnie weszła

na werandę.

– Słucham.

– Matka przełożona poprosiła, abym cię odnalazła i przekazała ci, że pojawił się posłaniec z listem dla ciebie – poinformowała siostra Lytychya.

Zakonnica zatrzymała się przed drzwiami gabinetu i delikatnie zapukała w futrynę.

– Wejść! – zawołał ktoś czystym sopranem.

Siostra Lytychya uśmiechnęła się do lady Stefyny, otworzyła drzwi i gestem zaprosiła towarzyszącą jej kobietę, aby ruszyła przodem.

Na ich widok wysoki rudowłosy mężczyzna z bródką w kształcie rydla i ciemnymi niebieskimi oczami przerwał rozmowę, którą prowadził z matką Ahlyssa. Ukłonił się z wdziękiem przed lady Stefyny, ta zaś zrobiła zaskoczoną minę. Przez moment stała nieruchomo i tylko na niego patrzyła, podczas gdy w jej oczach rodził się niepokój. W końcu lady Stefyny otrząsnęła się z szoku i wkroczyła do gabinetu pełnego książek, wyciągając przed siebie rękę i nakazując sobie opanowanie.

– Dziękuję, siostrze, że sprowadziłaś lady Stefyny tak szybko – odezwała się matka Ahlyssa. – A teraz, gdybyś mogła pomóc Ahbnairowi uwolnić ogród od dziecięcych rączek, całe opactwo byłoby ci głęboko wdzięczne.

– Oczywiście, matko przełożona – potaknęła z uśmiechem siostra Lytychya. – Pozwól tylko, że pożegniam się z lady Stefyny i *seijinem* Cleddyfem... – Kolejno skłoniła głowę przed każdym z gości matki przełożonej, po czym przekroczyła próg, wychodząc na korytarz.

Ahlyssa zwróciła się do lady Stefyny.

– Jak widzisz – oznajmiła radośnie – ktoś chciał cię widzieć, moja droga.

Cleddyf Cyfiawnder, który miał rysy twarzy bardzo podobne do

Merlina Athrawesa, przyglądał się Stefyny Mahkswail uważnie, podczas gdy siwowłosa matka przełożona patrzyła na kobietę z zachęcającym uśmiechem. Lady Stefyny prezentowała się znacznie lepiej niż wtedy, gdy widział ją ostatnio – to znaczy tuż przed tym, zanim krzesło bosmańskie zostało wciągnięte na HMS *Skrzydło* z pokładu łodzi rybackiej, która nie miała nawet nazwy. Ta elegancko ubrana i opanowana młoda kobieta – mając trzydzieści siedem lat na Schronieniu, w istocie nie przekroczyła jeszcze ziemskiego trzydziestego trzeciego roku życia – w niczym nie przypominała przerażonej, odzianej tylko w nocny strój matki, która rozpaczliwie usiłowała zapewnić swoje dzieci, że nic im nie grozi, mimo iż sama nie była pewna własnego bezpieczeństwa.

– Lady Stefyny... – *Seijin* ujął podaną mu dłoń i zgiął się w pół, aby złożyć na niej pocałunek. – Dobrze cię widzieć.

– Matka Ahlyssa i siostrzyczki zadbały o mnie, *seijinie* Cleddyfie – odparła kobieta. – Właściwie – zmierzyła go baczным spojrzeniem – okazały się dokładnie takie, jak przewidziałeś razem z *sejinem* Gwyliwrem. Cieszę się, że mogę ci raz jeszcze podziękować za ratunek, tym razem w bardziej sprzyjających okolicznościach, aczkolwiek nie ukrywam, że nieco dziwi mnie twoja obecność tutaj. Nie spodziewałam się twojej wizyty równie szybko.

– Pani – Cyfiawnder mówił łagodnym tenorem – przecież obiecałem, że dostarczę twą wiadomość dla ojca tak prędko jak się da.

– Owszem. Ani przez moment jednak nie oczekiwałam, że *seijin* we własnej osobie zajmie się dostarczaniem mojej korespondencji. Nie wątpię, że cesarz Cayleb i cesarzowa Sharleyan mają dla ciebie o wiele ważniejsze zadania. Poza tym Wyspa Zielonego Drzewa znajduje się prawie sześć tysięcy mil morskich od Gorathu, a ja... nie zapominaj... jestem córką admirała. – Uśmiech stęzał jej na twarzy. – Mam pojęcie, jakie wiatry wieją na tej trasie. Dlatego właśnie postrzegam twoje dokonanie w kategoriach... cudu.

– Po pierwsze – wpadł jej w słowo *seijin* – nie dostarczyłem twego listu osobiście. Zrobił to *seijin* Merlin. – Uśmiechnął się do niej szeroko. – Uznaliśmy bowiem, że hrabia łatwiej zaufa słowu *seijina*, którego zna osobiście, aniżeli komuś, kogo widzi pierwszy raz na oczy.

– Merlin? – Szare oczy kobiety rozszerzyły się ze zdziwienia. – Ależ

on... – Urwała, a Cleddyf skinął głową.

– Chciałaś powiedzieć: Merlin przebywa w Siddarze razem z cesarzem Caylebem.

– Skoro już to padło z twoich ust, tak, przyznaję, że to właśnie chciałam powiedzieć. Chyba już teraz rozumiesz, czemu przed chwilą wspomniałam o cudzie. – Zmrużyła oczy i obrzuciła go spojrzeniem. – Musisz mi wybaczyć, ale nie mogę przestać się zastanawiać, w jaki sposób *seijin* Merlin pokonał tak wielki dystans w tak krótkim czasie. I to z listem do mego ojca w garści.

– Cóż, Siddar znajduje się ponad tysiąc mil bliżej stolicy niż Wyspa Zielonego Drzewa – wytknął z czającym mu się w kącikach warg uśmiechem. Szybko jednak spoważniał. – Pani, doskonale rozumiem, dlaczego użyłaś słowa „cud”. I zdaję sobie sprawę, jakie inne określenia by w tym wypadku pasowały. Mam bowiem świadomość, czego się nasłuchiwałaś z ust Clyntahna na temat *seijina* Merlina i nas wszystkich, ile jego kłamstw zapadło głęboko w twoją duszę. O ile człowiek ten mógłby się potknąć o prawdę i jej nie zauważyć, o tyle pod tym jednym względem ma odrobinę racji: *sejinowie* posiadają pewną przewagę nad zwykłymi posłańcami. Rzadko się tym chwalimy... właśnie z powodu rzucanych na nas przez Inkwizycję oszczerstw. W tym wypadku wszakże Merlin i cesarz postanowili uczynić wyjątek. Nie będę udawał, że ich motywy były całkowicie altruistyczne, ale na podjęciu przez nich takiej, a nie innej decyzji zaważył fakt, że twój ojciec powinien jak najprędzej dowiedzieć się, iż żyjesz i masz się dobrze, dzięki czemu nie musiał cierpieć więcej mąk, niż to było konieczne. Jeśli zaś chodzi o to, jak twój list dotarł do rąk Merlina, zanim ten wyruszył do stolicy, to pragnę ci przypomnieć o istnieniu wyvern pocztowych.

– No tak.

Lady Stefyny zerknęła na matkę przełożoną, ale jeśli nawet Ahlysse zmartwiła wiadomość, że *sejinowie* będący na służbie cesarza Charisu korzystają z mocy nadprzyrodzonych, nie dała tego po sobie w żaden sposób poznać.

– No tak – powtórzyła lady Stefyny, odwracając się znów do Cyfiawndera. – Zapewne bogobojna córka Kościoła Matki nie powinna wysuwać takich przypuszczeń, lecz ja odważę się powiedzieć, że ten kłamliwy drań z Syjonu faktycznie rozpowszechnia kłamstwa

o *seijinach*.

– Mój ojciec zawsze powtarzał, że o człowieku da się więcej powiedzieć, patrząc na wrogów, których sobie narobił, niż na przyjaciół, których przy sobie zatrzymał – stwierdził Cleddyf.

– Mój ojciec także mówił coś podobnego – przyznała i uśmiechnęła się przelotnie. – Skoro już mowa o ojcach, jak mój zareagował na przekazane mu wieści?

– Najlepiej by było, abyś dowiedziała się tego bezpośrednio od niego – rzekł łagodnym tonem Cyfiawnder, sięgając pod tunikę. – W panujących okolicznościach nie miał wiele czasu, by stworzyć epistołę, ale Merlin umożliwił mu napisanie krótkiego listu. – Wyciągnął w jej stronę kopertę. – Osobiście żałuję, że to nie epistoła – westchnął – ale mam nadzieję, że te parę słów uspokoi cię wystarczająco. Później będziemy musieli porozmawiać, ty i ja, lecz tymczasem zapoznaj się z tym, co twój ojciec miał ci do powiedzenia.

Pomimo swego opanowania lady Stefyny sięgnęła po list drżącymi palcami. Przez chwilę trzymała kopertę w obu dłoniach, nie spuszczać spojrzeń z twarzy *seijina*, a w końcu przeniosła wzrok na matkę przełożoną.

Ahlyssa odchrząknęła.

– Moja droga – zaczęła, wskazując drzwi za swoim biurkiem – może skorzystasz z mej prywatnej kaplicy? Nie śpiesz się, dziecko! *Seijin* Cleddyf i ja dotrzymamy sobie towarzystwa, abyś miała czas na przetrawienie informacji.

– Dziękuję, matko przełożona – powiedziała z wdzięcznością Stefyny i zerknęła znowu na Cyfiawndera. – Dziękuję, *seijinie*.

– Idź i przeczytaj list. – *Seijin* uśmiechnął się do niej. – Tak jak wspomniała matka Ahlyssa, będziemy tu na ciebie czekać.

Lady Stefyny skinęła głową i dalej trzymając kopertę oburącz, wyslizgnęła się do przyległego pomieszczenia.

Cyfiawnder odprowadził ją wzrokiem, po czym podszedł do jednego z okien i wyjrzał na zewnątrz. Patrząc na starannie utrzymany trawnik opactwa Świętej Kahrmyncetah, rozmyślał o kobiecie, która w tej właśnie chwili otwiera za ścianą kopertę. Gdyby chciał, mógłby ją obserwować przez SAPK-a, ale miał dość szpiegowania innych ludzi. Tym razem wolał uniknąć podglądactwa, zwłaszcza że Stefyny

Mahkswail – jak i jej ojciec – zasługiwali na tę odrobinę prywatności.

– Jak twoim zdaniem sobie radzą w nowej sytuacji? – zapytał przez ramię.

Matka przełożona obeszła biurko, aby stanąć obok niego przy oknie.

– Lepiej, niż można by przypuszczać – odparła ze wzruszeniem ramion. – W końcu sama miałam problem z zaakceptowaniem faktu, że *seijinowie* przechadzają się po Schronieniu za mojego życia, i to mimo listów matki Nynian.

Prychnęła, a Cyfiawnder zaśmiał się cicho, po czym skinął głową na potwierdzenie jej słów.

I całe szczęście, że przyjęła wszystko do wiadomości, pomyślał. Aczkolwiek w większości siostrzyczki od Św. Kohdy'ego wydają się posiadaczkami umysłów bardziej otwartych niż reszta ludzi. Przypuszczam, że to podstawowy wymóg, gdy idzie o przyjęcie do ich grona.

Opactwo Świętej Kahrmyncetah – iście ironiczny zbieg okoliczności, jeśli chodzi o nazwę, co uszło jego uwagi aż do chwili, w której lady Stefyny przekazała mu miniaturę swojej matki dla ojca w charakterze znaku rozpoznawczego – bynajmniej nie było największym opactwem na Schronieniu. Miało swoje rozmiary, lecz nie przytłaczało ogromem, za to niejedno inne opactwo mogłoby mu pozazdrościć urody i spektakularności okolicy, która właśnie roztaczała się przed oczami *seijina* z za okna matki przełożonej. Budowla tkwiła na samym szczycie Gór Szponów na zachodnim wybrzeżu Wyspy Zielonego Drzewa, u dołu mając turkusowe wody zatoki Markys ciągnące się aż po horyzont skąpany w słońcu. Z tyłu zaś wznosiły się jeszcze wyższe szczyty stromych gór, przypominając smoki na tle bujnej zielonej roślinności. Opactwo było powiązane z Zakonem Pasquale. Praktycznie wszystkie siostry były członkiniami tego zakonu, zarazem jednak wiele z nich należało do Zakonu Św. Kohdy'ego, dzięki czemu łatwiej od innych przyjmowały nagłe pojawianie się i znikanie *seijinów*. Niestety nie wszystkie siostrzyczki były wtajemniczone w nauki Świętego Kohdy'ego, a liczba tych niewtajemniczonych niebezpiecznie wzrosła na przestrzeni minionych dwóch lat, kiedy to założycielski zakon opactwa przysyłał siostronom posiłki w postaci imigrantek.

Wyspa Zielonego Drzewa od dawna służyła za miejsce ucieczki.

Nie jeden zbieg zapłacił wysoką cenę, chcąc się tutaj dostać. Cieśnina Queiroz, która oddzielała wyspę od harchońskiej prowincji o tej samej nazwie, mierzyła prawie dwieście mil szerokości. Coś takiego było nie lada przeszkodą – na przestrzeni wieków setki, a zapewne nawet tysiące harchońskich chłopów i ich dzieci utonęły, próbując pokonać przestwór wody. Innym tysiącom jednak się udało: uciekli od opresyjnego reżimu cesarstwa, po czym oni sami i ich przodkowie reprezentowali charakterystyczną niezależność, o jaką można podejrzewać kogoś, kto przeszedł taką próbę. Zdaniem Cleddyfa ludzie ci byli nawet bardziej uparci niż mieszkańcy Glacierheart za czasów Zhasyna Cahnyra, aczkolwiek oczywiście na bardzo harchoński sposób. Napływ imigrantów osłabł w minionym stuleciu ze względu na to, że feudalizm w południowym Harchongu stracił swe dotychczasowe, okrutne oblicze. Nadal jednak zdarzali się nowi przybysze, pochodzący głównie z północy, gdzie feudalizm miał się dobrze. Nikt nie wiedział, skąd ci ciemieni wieśniacy dowiedzieli się o Wyspie Zielonego Drzewa, faktem jednak pozostawało, że im bardziej zacięte były walki na froncie świętej wojny, tym więcej imigrantów ściągało na wyspę.

Władze prowincji Queiroz z chęcią pomagały uciekinierom dostać się na Wyspę Zielonego Drzewa, będąc w pełni świadome, że ci – z prawnego punktu widzenia – są własnością swego pana po kres czasów. Skoro już o tym mowa, trzeba wspomnieć, że władze te wiedziały również, iż uciekinierzy płci męskiej – w dużej części wraz z rodzinami, w większości jednak w pojedynkę – pragną za wszelką cenę uniknąć wcielenia do Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów.

Zdaniem *seijina* było to wiele mówiące w odniesieniu do osoby gubernatora prowincji i jego sztabu. Południowy Harchong patrzył krzywym okiem na wykorzystywanie mieszkańców północy. Znaleźli się możni kupcy i bankierzy, którzy otwarcie podburzali do całkowitego zniesienia feudalizmu. Mimo to status quo nic nie groziło, a potężni północnoharchońscy wielmoże upierali się, aby schwytanych uciekinierów poddawać ekstradycji. W efekcie ci biedni ludzie byli karani dla przykładu, by nikomu innemu nie zaświtała myśl o ucieczce. Cyfiawnder zakonotował sobie, aby przy najbliższej okazji poprosić Nahrmahna i Sowę, żeby przyjrzel się bliżej dynamice stosunków panujących na linii Harchong–prowincja Queiroz. Skoro władze tej ostatniej przymykały oko na równie intensywną wędrówkę ludów, kto

wie, do czego jeszcze były zdolne w swej otwartości i postępowości.

Wracając jednak do tematu, siostrzyczki opactwa Św. Kohdy'ego zinfiltrowały – czy też raczej zaangażowały – swoje koleżanki z opactwa Świętej Kahrmyncetah już przed dwustu laty. Nie dlatego bynajmniej, że widziały w tym doraźną lub perspektywiczną korzyść, lecz z tego względu, że jedna z nich – członkini Zakonu Pasquale – została mianowana matką przełożoną tego drugiego opactwa i otrzymała pozwolenie zabrania ze sobą szóstki pomocnic. Mądra kobieta postanowiła wykorzystać tę okazję, dzięki czemu od tamtej pory opactwo Św. Kohdy'ego de facto kontrolowało opactwo Świętej Kahrmyncetah. Ledwie powstał plan uratowania rodziny hrabiego Thirsku, Aivah Pahrsahn prędko zaproponowała, że idealnym miejscem kryjówki będzie właśnie to drugie opactwo. Jakkolwiek spojrzeć, bliscy Lywysa Gardynyra nie mieli być pierwszymi, których tam wysłała w podbramkowej sytuacji. Pomysł był dobry o tyle, że wyspa leżała poza głównymi szlakami, a poza tym jej ograniczona populacja gwarantowała, że żaden obcy nie przedostanie się na jej teren niepostrzeżenie.

Podobnie jak to było z większością opactw i klasztorów należących do Zakonu Pasquale, także opactwo Świętej Kahrmyncetah pełniło funkcję na poły szpitala, na poły domu modlitwy. Siostrzyczki zaś zajmowały się mieszkańcami wyspy od pokoleń: odbierały porody, karmiły niemowlęta, leczyły dzieci, grzebały zmarłych. W ramach wdzięczności wszyscy mieszkańcy byli głęboko religijni i bogobojni. I nie miało znaczenia, że Kościół Boga Oczekiwanego w wydaniu tych sióstr zakonnych był bardziej ludzki niż to, w czym zostali wychowani oni sami, ich rodzice i dziadkowie. Liczyło się głównie to, że zaznali od zakonnic dobroci, która była niebem w porównaniu z piekłem życia w Harchongu, i byli skłonni nabrać wody w usta, gdy ktoś obcy zaczynał wypytywać o opactwo lub żyjące tam osoby.

Zważywszy, jak ważne było, aby Zhaspahr Clyntahn nigdy się nie dowiedział, że córki i wnuki hrabiego Thirsku żyją, tajemnica rozumiała się sama przez się. A zdaniem członków wewnętrznego kręgu nie mniej ważne było to, aby bliscy Lywysa Gardynyra mogli wieść normalne życie, pozbawione obaw, że ktoś ich rozpozna i doniesie na nich Inkwizycji. Tak się bowiem składało, że ani Cayleb, ani Sharleyan nie mieli najmniejszego zamiaru traktować najbliższych hrabiego jako karty przetargowej w rozmowach z nim. Dlatego uznali, że odesłanie ich do

opactwa, w którym „strażnikami” będą zakonnice parające się leczeniem, to najlepszy sposób na udowodnienie lady Stefyny i jej siostram, a także ich dzieciom, że wszyscy są naprawdę bezpieczni.

Co przecież w dużym stopniu jest prawdą, musiał sobie przypomnieć.

Dobra kryjówka była podstawą, jeśli hrabia Thirsku miał pozostać przy życiu, jednakże Ahbnair Truskyt, naczelny ogrodnik opactwa, a zarazem złota rączka, był kimś więcej, niż się z pozoru wydawało. Jako członek Steru, który nieco za bardzo zwrócił na siebie uwagę Inkwizycji, uznał za konieczne opuszczenie Ziemi Świątynnych, co nastąpiło przed laty, gdy był jeszcze w młodym wieku. Nynian Rychtair przysłała go tutaj dwadzieścia lat temu. Od tamtej pory pilnował bezpieczeństwa siostrzyczek, w czym pomagał mu Zhustyn Kyndyrmyn, niegdysiejszy sierżant Gwardii Świątynnej.

Nieszczęśliwie dla tej ostatnio wzmiankowanej formacji Kyndyrmyn poczuł niesmak, widząc, czego gwardia dopuszcza się w imię służenia Inkwizycji. Czara goryczy przelała się, kiedy został poproszony o sfałszowanie raportu w sprawie śmierci młodego Dahnylda Mahkbytha, i to na rozkaz samego Wyllyma Rayna. Kyndyrmyn przyjaźnił się z sierżantem Ahrlohem Mahkbythem od dobrych siedmiu lat, nic dziwnego więc, że pragnął mu wyjawić prawdziwą przyczynę zgonu chłopca. Niestety Ahrloh wiedział swoje, a Zhulyet Mahkbyth potrzebowała męża żywego, nie martwego. Dlatego Kyndyrmyn trzymał buzię na kłódkę. Oczywiście gniew kąsał go boleśnie od środka i to – jakkolwiek przez niego skrywane – stało się jasne dla jego przełożonego. Właśnie ten gniew sprawił, że porucznik – nie znając nawet przyczyny wściekłości gwardzisty – poprosił dowódcę batalionu, aby rozmówił się z sierżantem i sprawdził, czy Kyndyrmyn zwierzy mu się, zanim nękający go demon zniszczy go doszczętnie. Tymże dowódcą batalionu był młody biskup pomocniczy, niewyniesiony jeszcze do godności wikariusza – niejaki Hauwerd Wylsynn.

Hauwerd zaliczał się do tych oficerów, którzy wzbudzają w swych podwładnych zaufanie, a poza tym wywodził się z rodu Wylsynnów. To sprawiło, że Kyndyrmyn otworzył się przed nim, dzięki czemu Hauwerd – oraz krąg reformistów skupiony wokół osoby Samyla – dowiedział się prawdy na temat wypadku powozu, jak również interwencji Zhaspahra Clyntahna mającej na celu rychłe zamknięcie dochodzenia. Kyndyrmyna zdumiała gwałtowna reakcja Hauwerda na gorzkie zarzuty pod adresem

skorumpowanych wysokich oficjeli Inkwizycji. Jeszcze bardziej zdziwiło go to, że Hauwerd poprosił go, aby spisał swoją wersję zdarzeń z myślą o aktach, które reformiści gromadzili, mając nadzieję, że prędzej czy później uda im się doprowadzić do upadku wielkiego inkwizytora.

Wprawdzie jak dotąd to nie nastąpiło, ale właśnie ten raport zwrócił uwagę Nynian Rychtair na sierżanta, który został po cichu zwerbowany w skład Steru. Spokojnie można było założyć, że Kyndyrmyn zawdzięczał temu swoje życie. Kiedy Clyntahn przeprowadził czystkę wśród Wylsynnów, Nynian przerzuciła Kyndyrmyna i paru innych gwardzistów z Syjonu w bezpieczne miejsce. Trzech z nich – czterech, licząc Kyndyrmyna – trafiło do opactwa Świętej Kahrmyncetah, gdzie mogli się przycziąć, zarazem służąc fachową pomocą Truskytowi.

Cyfiawnder nie sądził, aby poradzili sobie w razie zmasowanego ataku na opactwo. Byli jednak w stanie mieć oko na bliskich hrabiego Thirsku, a w szczególności na jego wnuki. *Seijin* potrząsnął głową i uśmiechnął się przelotnie. Dorosłym łatwo wytłumaczyć zagrożenie, jednakże przemówienie do rozsądku dzieciom nastęczało znacznie więcej problemów. Cleddyf nie miał zatem nic przeciwko temu, aby dzieciarnia miała ochroniarzy. Gdyby doszło do najgorszego, można było śmiało liczyć na to, że Ahbnair i Zhustyn zdołają zapewnić malcom bezpieczeństwo do czasu, aż jeden z *sejinów* przypadkiem się pokaże i przetransportuje je w inne miejsce.

Uśmiech Cleddyfa zniknął całkowicie, gdy uświadomił sobie, że podobna sytuacja oznaczałaby zapewne, że hrabia Thirsku nie żyje. *A to by mi nie pasowało pod żadnym względem, pomyślał, teraz bardziej niż kiedykolwiek. Poza tym chyba najwyższa pora, abym nareszcie kogoś utrzymał przy życiu, zamiast go mordować!*

.II.
Syjon
Ziemie Świątynne

Nie wydaje mi się, abyś powinna tam iść, Krys. – Alahnah Bahrns potrząsnęła głową, nie odrywając spojrzenia od szkicownika; miała jednak zafrasowaną minę. – Sprawy się mocno pokomplikowały. Nie sposób powiedzieć, co może się zdarzyć!

– Ktoś musi pójść – odparła z uporem Krystahl Bahrns. – Masz rację, sytuacja jest skomplikowana, ale ktoś powinien coś z tym wreszcie zrobić!

Alahnah oderwała wzrok od modelu kapelusza, który szkicowała, i spojrzała na kuzynkę poważnymi brązowymi oczami. Następnie postukała w blat stołu ołówkiem.

– Być może masz rację – rzekła, nie przestając stukać – ale dlaczego tym kimś musisz być właśnie ty? Wuj Gahstahn martwi się o ciebie wystarczająco. Nie waż się nigdzie chodzić i przysparzać mu więcej powodów do niepokoju!

– Wiem, że tata się martwi, i wcale mnie to nie cieszy. Oboje jednak mamy świadomość, że Kościół Matka obecnie potrzebuje wszystkich swoich synów i córek, aby opowiedzieli się za prawdą. Tata sam wpoił mi takie przekonania.

Nie spuściła oczu pod spojrzeniem Alahnah. W końcu druga z kobiet skinęła głową z westchnieniem. Gahstahn Bahrns pełnił funkcję jej zastępczego ojca, po tym jak jego młodszy brat, czyli jej rodzony ojciec, rybak, utonął podczas sztormu na Jeziorze Pei. Prawdą było, że wpoił zarówno jej, jak i rodzonej córce wielkie oddanie dla Kościoła Matki i archaniołów. Było to jednak długo przed tym, zanim świat oszalał – obecnie przyciąganie do siebie uwagi szaleńców nie mogło wyjść na dobre.

– Krys, ty chcesz skrytykować Inkwizycję. To nigdy nie był dobry pomysł, a w dzisiejszych czasach to najgorszy pomysł z możliwych.

– Wcale nie chodzi o krytykę Inkwizycji – odparowała Krystahl. – Chodzi po prostu o odrobinę umiarkowania. Poza tym petycja będzie utrzymana w tonie pełnym szacunku. Sam Langhorne powiedział w Piśmie, że każde dziecko Kościoła Matki ma prawo skierować zapytanie na ręce hierarchów, pod warunkiem że zostanie to zrobione z odpowiednią dozą poważania.

Alahnah przygryzła wargę i opuściła spojrzenie na swój szkic, po czym kciukiem poprawiła jedną kreskę, przez cały czas zastanawiając się, co powiedzieć kuzynce. Dziwnie się czuła w roli tej roztropniejszej, skoro to Krystahl była od niej o pięć lat starsza i od zawsze zachowywała się rozsądniej. Zarazem Krystahl była bardzo zaangażowana – może wręcz za bardzo – i miała wielkie poczucie sprawiedliwości, którego nie było w stanie okiełznać żadne wędzidło.

Ktoś jednak musiał przemówić jej do rozumu! Bédard świadkiem, że Alahnah zgadzała się ze stwierdzeniem, że współcześnie trudno szukać umiarkowania w Syjonie. O to właśnie wszystko się rozbijało. W miarę jak toczyła się święta wojna, Inkwizycja stawała się coraz bardziej zacięta, a w minionych kilku miesiącach inkwizytorzy postarali się o to, aby o ich aresztowaniach zrobiło się głośno. Alahnah była wręcz przekonana, że starają się oni za wszelką cenę stłumić w zarodku wszelkie niezadowolenie z kierunku, jaki święta wojna przybrała. Tym zaś, którzy otwarcie obwiniali o wszystko wielkiego inkwizytora, nie był w stanie pomóc sam Langhorne.

Do tego krążyły jeszcze plotki o jakichś tajnych aresztowaniach, o zniknięciach...

No a Pięć Boga bynajmniej nie polepsza sprawy, pomyślała Alahnah. Co ci ludzie w ogóle sobie wyobrażają? Tak samo jak Krys nie zgadzam się z pewnymi rzeczami, ale nic... nic!... nie daje prawa ludziom, by mordowali wyświęconych duchownych, a nawet wikariuszy. Nic dziwnego, że Inkwizycja stała się bardziej zacięta. Sama bym postępowała bardziej brutalnie, gdyby moim zadaniem było wyłapywanie tych mścicieli!

– Krys... – odezwała się po długiej chwili milczenia. – To prawda, co powiedział Langhorne. Ale nigdy nie zakwestionował tego, że święta wojna może dużo zmienić. Przy tym, co się dzieje, przy katastrofalnej sytuacji w Republice Siddarmarku – warga zadrzała jej leciutko na

wspomnienie cierpień, lecz ona sama ani na moment nie odwróciła wzroku od wpatrzonej w nią kuzynki – chyba nie uważasz, że zaciętość Inkwizycji nie ma podstaw? Przecież trzeba się jakoś bronić przed nawałą heretyków i ich propagandy!

– W ostatnim pięciodniu aresztowano Sharyn Lywkys – oznajmiła cicho Krystahl.

Alahnah wciągnęła powietrze ze świstem.

Sharyn Lywkys?... To niemożliwe! Obie chodziły z Sharyn do szkoły, przyjaźniły się z nią od dzieciństwa. W całym Syjonie nie było bardziej pobożnej, bardziej oddanej Kościołowi Matce osoby. Przynajmniej Alahnah takiej nie знаła.

– To musi być pomyłka. Po prostu musi!

– Właśnie o to mi chodzi. Ostatnimi czasy zdarza się zbyt wiele „pomyłek”. Ludzie cierpią. Niewinni ludzie.

– Co po aresztowaniu Sharyn powiedziano jej matce?

– Nic. – Spojrzenie Krystahl było ponure, a jej piwne oczy ciemne jak smoła.

– Nic?

– Poszła na plebanię zapytać o Sharyn, ale miejscowy inkwizytor odparł, że nic o niej nie wie. Obiecał tylko, że postara się czegoś dowiedzieć. Jak dotąd bez rezultatu, mimo że matka Sharyn zjawiała się na plebani i jeszcze dwa razy. Przy ostatniej okazji ktoś z laikatu zwrócił się do niej szeptem... całkiem jakby się bał, że ktoś inny może go usłyszeć... i poradził jej, aby wróciła do domu i przestała sprawiać kłopoty, bo może boleśnie odczuć konsekwencje.

Alahnah głośno przełknęła. Nasłuchiwała się plotek o znikających ludziach, ale nigdy w nie do końca nie wierzyła. Aż do teraz. Spoglądając w oczy kuzynki, zrozumiała, że to wszystko prawda. Ogarnęło ją oburzenie. Tak przecież nie można! Pismo wymagało, aby inkwizytorzy poinformowali rodzinę zatrzymanego o miejscu jego pobytu i powódzie aresztowania. I to bez względu na przewinienie.

– Nie wiem, co powiedzieć – przyznała wreszcie. – Skoro mogą aresztować kogoś takiego jak Sharyn, skoro są zdolni do popełnienia aż takiej pomyłki, równie dobrze ty możesz zostać zatrzymana, Krys!

– Nie uczyniłam nic, co by się sprzeniewierzało Pismu, ani nie

zamierzam niczego takiego uczynić. – Krystahl przekrzywiła głowę gestem dobrze znanym jej kuzynce, a świadczącym o uporze. – Sebahstean i ja przeczytaliśmy całe Pismo jeszcze raz bardzo dokładnie, zanim powzięliśmy pomysł, by napisać petycję. Zastosowaliśmy się do wszystkich wytycznych, zresztą nie będziemy wysuwać żadnych żądań ani nic. No i każdy ci powie, że wikariusz Rhobair to dobry człowiek. Co poniektórzy nazywają go nawet świętym Rhobairem. Nie robi nam nic złego, jeśli tylko poprosimy go, grzecznie i z szacunkiem, aby przyjrzał się temu, co się ostatnio wyprawia.

Alahnah zagryzła wargę ze strachu. Prawdą było, że Rhobair Duchairn to najbardziej poważany i kochany członek wikariatu tutaj w Syjonie, a ona sama nigdy nie wątpiła, że to dobry człowiek, tak jak powiedziała Krystahl. Niemniej, jako skarbnik Kościoła Matki, zajmował trzecią najważniejszą funkcję w kościelnej hierarchii, a do tego krążyły pewne plotki...

Alahnah pilnie wystrzegła się użycia określenia Grupa Czworoga, jednakże wiedziała, co ono znaczy. *Jeśli takie ciało faktycznie istnieje, pomyślała, wikariusz Rhobair jest tylko jego członkiem i bynajmniej nie ma decydującego zdania.*

– Uważam, że to błąd, Krys – odezwała się znowu. – Nie obraż się, ale Sebahstean nie jest najostrożniejszą osobą, jaką znamy. Wiesz równie dobrze jak ja, że ma mały problem, jeśli chodzi o stosowanie się do reguł. Pamiętasz czasy, kiedy bez przerwy graliśmy w szachy? Wuj Gahstahn nie naśmiewał się z niego na darmo, prawda? Sebahstean nie zawsze myśli trzeźwo.

– Czytałam Pismo razem z nim. Wiem, że tym razem Sebahstean ma rację.

– Zamierzasz to zrobić bez względu na to, co powiem?

– Cóż, ktoś musi to zrobić – odparła Krystahl. – Kościół Matka to „boża pochodnia, usadowiona na wzgórzu Syjonu, aby odbijać potęgę i siłę boskiego majestatu i opromieniać światłem cały świat, rozpędzając cienie mroku. Niech każdy wierny robi co w jego mocy, aby pochodnia ta nigdy nie zagasła i zawsze płonęła jasnym blaskiem bez skazy”.

Alahnah utraciła wszelką nadzieję, gdy jej kuzynka zacytowała słowa Księgi Bédard. Krystahl wyprostowała ramiona i uniosła głowę w geście wyzwania. – Niech każdy wierny robi co w jego mocy – powtórzyła. –

Tyle możemy zrobić i tyle zrobimy.

– Masz może chwilkę, wasza dostojność?

Zakryah Ohygyns podniósł spojrzenie znad najnowszego raportu, który pisał, i poruszył prawą ręką, sprawiając, że przy zapraszającym machnięciu rozbłysnął jego rubinowy pierścień kościelnego dostojnika.

– Z miłą chęcią powitam jakąś odmianę – powiedział, wskazując krzesło naprzeciwko swego biurka. – Pojmuję, że moim obowiązkiem jest dostarczać te raporty, ale czy wielki inkwizytor naprawdę musi wiedzieć, ile Ksiąg Sondheima znajduje się w lokalnej bibliotece?

– Pewnie nie – odparł ojciec Ereka Blantyn z nieszczerym uśmiechem, na co Ohygyns poczuł, jak żołądek zaciska mu się w supeł.

Istniało wiele powodów, z których ojciec Ereka mógł być niezadowolony – przy czym miejscowy biskup inkwizytor nie był zainteresowany żadnym z nich. Niestety to właśnie ojciec Ereka miał obowiązek przychodzić do Ohygyna ze wszelkimi problemami.

Biskup inkwizytor starał się – i to usilnie – nie winić o to podwładnego.

– Skąd u mnie wrażenie, że przychodzisz mi powiedzieć coś, czego wolałbym nie usłyszeć? – zapytał.

– Może stąd, że przez ostatni rok czy coś koło tego ani razu nie przyszedłem do ciebie z czymś, co byś chciał usłyszeć? Albo stąd, że to zauważyłeś?

Machnął teczką, którą do tej pory trzymał pod lewą pachą.

– Może. – Ohygyns westchnął i ponownie wskazał na krzesło stojące przed biurkiem. – Nie widzę powodu, abyś stał, kiedy ze mną rozmawiasz. Siadaj.

– Dziękuję, wasza dostojność.

Blantyn umościł się na krześle, ułożył teczkę na swoich kolanach i splótł na niej palce. Ohygyns nie zdziwił się, widząc, że teczka pozostała zamknięta. Blantyn wiecznie przynosił z sobą dokumenty, na wypadek gdyby były potrzebne w charakterze dowodu, jednakże biskup inkwizytor nie przypominał sobie okazji, przy której ojciec Ereka

musiałyby do nich zaglądać, aby odświeżyć swoją pamięć. Zawsze miał wszystkie dane w głowie.

– O co chodzi tym razem, Ereku? – zapytał Ohygyns z nagłą poważniejszym tonem.

– Mamy nowy raport na temat tego wichrzyciela, którego obserwujemy – odparł Blantyn. – Z tego, co mi się wydaje, człowiek ten przechodzi do czynów. I to takich, jakie umożliwią podciągnięcie jego sprawy pod Dekret Aschera ogłoszony przez arcybiskupa Wyllyma.

Ohygyns zacisnął szczęki. Wyllym Rayno, adiutant Inkwizycji, ostatnio wydał znacznie zmodyfikowane Dekrety Schuelera: skodyfikowane zasady i procedury, według jakich mieli postępować inkwizytorzy, oczywiście zaaprobowane przez wielkiego inkwizytora i opatrzone jego własnoręcznym podpisem. Ohygyns zgadzał się z większością nowych zapisów, choć w głębi ducha żałował rygorystyczności, którą Kościół Matka sobie narzucił przez heretyków i która – jak miał nadzieję – była tylko przejściowa. Miał bowiem pełną świadomość, że jeśli Kościoła Charisu nie zniszczy się doszczętnie, jeśli przetrwa on w jakiegokolwiek formie, jedność Kościoła Matki odejdzie do przeszłości, na co nie można było, rzecz jasna, pozwolić.

Nie znaczyło to jednak, że Zakryah Ohygyns jest zadowolony z tego, czego nowe dekrety od niego wymagają. Szczególnie nie podobał mu się Dekret Aschera, nazwany tak z powodu osoby upadłego archanioła Aschera, który był patronem kłamstw roztaczanych w celu odwiedzenia wiernych synów i córek Kościoła Matki od Boga Jedynego i jedynej prawdy. Co zrozumiałe, każdy, kto dał się opleść takimi kłamstwami, zasłużył na to, by go wyrzucić poza nawias prawowiernych. Problem polegał na tym, że arcybiskup Wyllym znacząco obniżył poprzeczkę, gdy idzie o kaliber kłamstw.

– O kim dokładnie mowa? – zapytał Ohygyns. – Czy już to powinienem wiedzieć?

– Nie, wasza dostojność – zapewnił Blantyn, odpowiadając najpierw na drugie pytanie. – Co zaś do tożsamości, chodzi o młodego mężczyznę, która nazywa się Sebahstean Graingyr. To czeladnik w zakładzie drukarskim na placu Ramsgate.

– Co pierwotnie zwróciło na niego twoją uwagę?

– Podejrzewamy, że drukuje on plakaty szkalujące osobę wielkiego

inkwizytora. – Blantyn przybrał neutralny wyraz twarzy, co widząc, Ohygyns natychmiast skopiował. Oblicza obu mężczyzn przypominały od tej chwili dwie maski. – Mamy dowody, i to dość mocne, że nie tylko zajmował się drukiem, ale też rozwieszał wydrukowane plakaty w różnych miejscach Sondheim.

– Wspaniale. – Ohygyns odchylił się na oparcie krzesła i postukał się palcem w skrzydełko nosa. – Jak się domyślam, nie znaleźliście żadnych powiązań z Pięścią Kau-yunga?

Blantyn skrzywił się nieznacznie, kiedy Ohygyns wypowiedział nazwę grupy terrorystów, którzy uwzięli się dręczyć dostojników Kościoła Matki. Nie było to określenie, którego biskup inkwizytor chętnie by użył w obecności pierwszej lepszej osoby, jednakże musiał przecieżyć jakoś tę grupę nazwać, a nie miał najmniejszego zamiaru propagować nazwy, którą terroryści nadali sami sobie, mianowicie „Pięść Boga”. Wielu schuelerytów wymyślało przeróżne peryfrazy, byle tylko uniknąć oryginalnej nazwy, wszakże Ohygyns był na to zbyt bezpośredni. Mówił, co myślał, i to samo najbardziej szanował u swoich podwładnych.

– Nie, wasza dostojność. Nie ma żadnych jawnych dowodów, które połączyłyby tego młodego człowieka z terrorystami. Gwoli szczerości świadczy o tym jakoś druk. Te, które rozlepił Sebahstean, w znacznym stopniu ustępują tym, które przypisujemy Pięści Boga. –

Blantyn powstrzymał grymas. – Aby też oddać mu sprawiedliwość, nigdy nie wydrukował niczego, co by popierało herezję. Przynajmniej otwarcie – dodał.

Ohygyns skrzywił się, jakby ugryzł cytrynę, wiedział jednak, co chce powiedzieć ojciec Erek. Sebahstean Graingyr był tylko kolejnym człowiekiem, który nie potrafi się pogodzić z restrykcyjnością Zhaspahra Clyntahna. Osobiście biskup inkwizytor nie mógł go o to winić, tak samo jak wielu innych, którzy czuli podobnie. W normalnych okolicznościach kazałby sprowadzić winowajcę po cichu, udzieliłby mu napomnienia i nałożył na niego karę pieniężną. Nikomu bowiem nie było wolno krytykować żyjącego opiekuna Pisma. Niestety w normalnych okolicznościach byłoby znacznie łatwiej oddzielić tegoż żyjącego opiekuna Pisma, który jak każdy śmiertelnik był omylny, od samego Pisma, które nigdy się nie myliło. Jednakże w sytuacji, gdy podważano autorytet Kościoła Matki, gdy tenże Kościół Matka musiał toczyć zacieklą wojnę o przeżycie, należało tępić każdy przejaw

dyskredytowania Pisma... oraz jego opiekuna.

Do tego sprowadzał się Dekret Aschera.

– Co konkretnie ów Graingyr uczynił?

– Jeszcze do niedawna tylko cytował Pismo, a zwłaszcza Księgę Bédard, chcąc wykazać, że obowiązkiem każdego człowieka jest okazywać miłosierdzie w każdej niemal sytuacji. Jednakże od samego początku było jasne, że w ten sposób chce zwrócić uwagę na prawdziwe znaczenie dekretów, jak również fakt, iż Inkwizycja stała się ostatnimi czasy bardziej aktywna. Zaledwie wczoraj jeden z naszych inkwizytorów dostarczył plakat, ewidentnie pochodzący z drukarni, w której pracuje Graingyr. Plakat ten otwarcie szkaluje osobę wielkiego inkwizytora.

– Skąd pewność, że pochodzi z jego drukarni? I jakiego rodzaju jest ten szkalunek?

– Czcionka „e” posiada wyraźną skazę, wasza dostojność. Nie sposób tego pomylić z niczym innym. W sumie trzy litery wychodzą mu krzywo, z czego aż dwie pojawiły się na wydrukowanym plakacie. – Blantyn pokręcił głową. – Moi ludzie zapewniają, że zarówno ten plakat, jak i wcześniejsze zeszyły z tej samej prasy drukarskiej. Oczywiście trudno przypisać mu winę bez zajęcia prasy drukarskiej, jednakże wszystko wskazuje na to, że jeśli jest autorem oryginałów, które mamy już w archiwum, jest także autorem ostatniego plakatu. – Blantyn urwał, czekając na jakąś reakcję przełożonego, a gdy ten skinął głową, podjął: –

Jeśli chodzi o słowa krytyki, nie są one zbyt dosłowne. Autor sugeruje na wstępie, że Inkwizycja chyba została podstępem przymuszona do nadmiernej restrykcyjności, co stało się z powodu obecnego kryzysu, przed jakim stanął Kościół Matka. Następnie pada cytat z Księgi Bédard, konkretnie chodzi o werset dwudziesty w rozdziale ósmym, mianowicie: „Bóg Jedyńy ponad wszystko inne ukochał miłosierdzie”, skomentowany następująco: „Inkwizycja chyba o tym zapomniała”. –

Ojciec Erek wzruszył ramionami. – Jak dotąd to nic gorszego od tego, co czytaliśmy do tej pory. Dalej jednak Graingyr głosi, że wielki inkwizytor „pozwolił, aby jego gniew” doprowadził do „niepohamowanych działań”, i że kompletnie zapomniał o Księdze Langhorne’a, rozdział trzeci, werset dwudziesty siódmy.

Ohygyns nadał nozdrza, cytując w pamięci wspomniany fragment Pisma. *„Dołóżcie starań, aby nie zawieść, albowiem zostaniecie poddani*

ocenie, a każda utracona owieczka będzie kamykiem, który przeważyszalę wagi waszej posługi duszpasterskiej”.

W tej sytuacji nie mogło być wątpliwości, do czego pije autor plakatu.

– Co jeszcze wiemy o tym człowieku? – zapytał Ohygyn po chwili milczenia.

– W gronie jego znajomych mamy pewnego inkwizytora laika, wasza dostojność. Nie mogę powiedzieć, aby był on w pełni miarodajnym źródłem – Blantyn uniósł prawą dłoń i wykonał gest oznaczający coś średniej jakości – ale zazwyczaj można na nim polegać. Z jego doniesień wynika, że Graingyr spotka się pojutrze z kilkoma współspiskowcami, aby stworzyć petycję. Ponoć po zatwierdzeniu jej treści chce wydrukować kilkaset egzemplarzy i puścić w obieg, aby ludzie się pod nią podpisywali.

– A czy ten twój agent wie już, jaka ma być treść petycji?

– Tak mu się wydaje, wasza dostojność. – Blantyn westchnął. – I jeśli się nie myli, petycja będzie skierowana nie do Zhaspahra Clyntahna, lecz do Rhobaira Duchairna. Padnie w niej prośba do skarbnika Kościoła Matki, by ten „niósł pociechę” rodzinom tych, którzy „zostali pojmani” przez Inkwizycję. A także błaganie, by „sprawił, że Inkwizycja odkryje na nowo znaczenie miłosierdzie, tak ukochane przez archanioł Bédard”.

Oblicze Ohygynsa skamieniało. Zwyczajny biskup inkwizytor nie miał prawa orientować się w zawirowaniach dotyczących wierzchołka wikariatu. Nie powinien zdawać sobie sprawy z istnienia ciała zwanego Grupą Czworka ani tym bardziej wiedzieć, że wielki inkwizytor nie ufa do końca swemu skarbnikowi. Prywatnie Ohygyns rozumiał, dlaczego biedota Syjonu zaczęła nazywać wikariusza Rhobaira „Dobrym Pasterzem”. I jeśli o to chodzi, w pełni popierał duchową posługę, jaką tenże wikariusz chciał świadczyć swoim owieczkom. Wszakże była pora i miejsce na wszystko, a teraz – gdy szala świętej wojny chyliła się na stronę heretyków i gdy Pięść Kau-yunga podnosiła głowę z każdym dniem bardziej – każda wzmianka o tym, że wśród wikariuszy panuje niezgoda, mogła się okazać niebezpieczna. Ohygyns miał świadomość, że jeśli widzi sytuację we właściwym świetle, dalsze umocnienie pozycji wikariusza Rhobaira kosztem wikariusza Zhaspahra, może przynieść naprawdę opłakane skutki.

– Wiemy coś więcej o tym spotkaniu?

– Tak, wasza dostojność. Spiskowców jest około dwunastu, a mają się zebrać w drukarni Graingyra.

– W takim razie – zdecydował Ohygyns z nieszczęśliwą miną – trzeba będzie się nimi zająć.

– ...zatem myślę, że powinniśmy być bardziej zaciekli – powiedział Gahlvyn Pahrkyns, stukając dla emfazy palcem w krawędź prasy drukarskiej.

– Nie sędzę, aby „zaciekłość” była właściwym wyborem, kiedy chodzi o wielkiego inkwizytora – zaproponowała Krystahl Bahrns. – To on został wybrany do opieki nad Pismem i Kościołem Matką. Nawet jeśli naszym zdaniem okazał się zbyt restrykcyjny, jesteśmy mu winni szacunek z woli Boga Jedyneho i archanioła Langhorne’a.

– Rozumiem, co chcesz powiedzieć – rzekł Sebahstean Graingyr. – Z drugiej strony Gahlvyn także nie mówi od rzeczy. – Zmarszczył czoło, przybierając skupiony wyraz twarzy. W końcu uniósł palec wskazujący prawej ręki, ubrudzony tuszem. – Co powiecie na zaciekłość niepozabawioną oznak szacunku?

– To stąpanie po kruchym lodzie – stwierdziła Krystahl. – Osobiście uważam, że najlepiej by było w ogóle nie wspominać w petycji o wielkim inkwizytorze. Możemy po prostu wezwać wikariusza Rhobaira do interwencji, zakładając, że jest potrzebna, pomijając milczeniem osobę wikariusza Zhaspahra.

– Na Langhorne’a, nie chodzi mi o atak na niego! – wzburzył się Pahrkyns. – Ale ludzie znikają. Nie wiadomo nawet, co się z nimi dzieje. Wszystko odbywa się w imię Inkwizycji, a przecież wikariusz Zhaspahr jest wielkim inkwizytorem. Nie wyobrażam sobie, jak byśmy mogli skrytykować Inkwizycję, nie krytykując jego. A skoro tak, trzeba nam wyrażać się otwarcie. Nie mam nic przeciwko okazaniu szacunku, jednakże nie możemy udawać, że wikariusz Zhaspahr nie ma nic wspólnego z tym, co wyprawiają jego podwładni.

– Mówię tylko – odparła Krystahl – że nie powinniśmy krytykować nikogo. Przynajmniej na razie. Może... gdy wikariusz Rhobair przyjmie naszą petycję i nic się nie wydarzy... może wtedy będzie pora na

krytykę. Na razie jednak powinniśmy poprosić tylko o wyjaśnienia i kornie błagać Inkwizycję, aby zmniejszyła restrykcyjność w imię miłosierdzia.

Graingyr i Pahrkyns popatrzyli na siebie. W ich mniemaniu sytuacja była zbyt poważna, aby występować z prośbami i błaganiami. Z kolei co najmniej połowa pozostałych skłaniała się ku zdaniu Krystahl.

– Jeśli boisz się zaangażować w rozprawianie petycji z krytyką, po prostu spasz, Krys – rzucił Pahrkyns.

– Nie boję się! – Piwne oczy kobiety zalśniły. – Ale każdy, kto w obecnej sytuacji nie czuje strachu przed tym, że jego słowa zostaną źle zrozumiane, nie zalicza się do największych bystrzaków. Zebraliśmy się tutaj, ponieważ wszyscy zgadzamy się co do tego, że nawet w obliczu heretyków Inkwizycja nie powinna być aż tak restrykcyjna, aż tak okrutna. Musimy jednak przyznać sami przed sobą, że nie mamy pełnego obrazu i raczej nie kwalifikujemy się jako ludzie, którzy powinni wypowiadać się na te tematy. Dlatego uważam, że naszym zadaniem jest zwrócić się do wikariusza Rhobaira, ażeby przyjrzał się tej sprawie. Do tego czasu dajmy sobie spokój z podnoszeniem krytyki. No i – dodała niechętnie – jeśli Inkwizycja faktycznie poczyna sobie według własnego widzimisię, ignorując zapisy Pisma, ostatecznie, czego nam trzeba, to zwrócenie jej uwagi na siebie.

– Coś w tym jest – zgodził się Graingyr. – Właściwie...

Nagły brzęk tłukącego się szkła przerwał młodemu drukarzowi w pół słowa. Graingyr zaczął się odwracać do okien, w których wybito szyby, jednakże w tej samej chwili otworzyły się równocześnie tylne drzwi prowadzące do zaułka i te, które łączyły drukarnię z frontowym kantorkiem, gdzie przyjmował zamówienia. Ba, otworzyły się to za mało powiedziane; wyleciały z zawiasów, pchnięte taranem o żelaznej głowicy trzymanym przez Gwardzistów Świątyni.

– Nie ruszać się! – krzyknął ktoś, a Krystahl Bahrns zbladła, rozpoznawszy w mężczyźnie ojca Charlza Saygohvyę, inkwizytora, który stał na czele biura Inkwizycji w jej parafii. – W imię Kościoła Matki wszyscy jesteście aresztowani!

– Cholera!

To jedno słowo opuściło usta Gahlvyna Pahrkynsa. Młody mężczyzna określił się na pięcie i ruszył w stronę wybitego okna.

Oczywiście był to tylko ruch wykonany w panice, nic więcej. Gwardziści, którzy stłukli szybę, wciąż stali na zewnątrz, czekając na każdego, kto by spróbował tej drogi ucieczki. I na nich właśnie natknął się Gahlvyn, gdy przelazł przez parapet, kalecząc sobie dłonie na odłamkach szkła trzymających się ramy okiennej. Jeden z gwardzistów opuścił ciężką pałkę na jego kark, powalając go w okamgnieniu na ziemię.

Krystahl zakryła dłonią usta, kiedy zimny wiatr wdarł się do wnętrza zacisznej drukarni. Obróciwszy się, stanęła oko w oko z postawnym ciemnowłosym zakonnikiem Zakonu Schuelera, którego sutannę zdobił emblemat płomienia i miecza.

– Proszę – wyszeptała młoda kobieta. – My nie... My...

– Zamilcz! – warknął zakonnik. – Dobrze wiemy, co tu robiliście!

– Ale...

– Zamilcz, powiedziałem! – powtórzył, unosząc trzymaną w prawej ręce pałkę. Narzędzie zatoczyło wysoki, zdradziecki łuk. Krystahl Bahrns nie zdążyła zobaczyć pałki, która błyskawicznie opadła na bok jej twarzy, miażdżąc kość policzkową i górną szczękę oraz posyłając kobietę na podłogę. – Wszyscy pójdziecie z nami – usłyszała jak przez watę Krystahl, po czym straciła przytomność.

Ojciec Charlz uśmiechnął się z zadowoleniem.

.III.

HMS *Powódź*, 30 Zatoka Rahzhyra Wyspa Talizman Zatoka Dohlariańska

Rozbrzmiał świst trapowy, drużyna pokładowa stanęła na baczność gdy sir Bruhstair Ahbaht wszedł przez furtek burtową na pokład kanonierki. Cała załoga stała ustawiona specjalnościami na głównym pokładzie bądź zajmowała swoje stanowiska – każdy marynarz w czystym, odprasowanym mundurze. Kapitan oczekujący komandora zasalutował służbiście. Ahbaht odwzajemnił gest z równą precyzją i pomimo powagi chwili poczuł, jak wargi wyginają mu się w uśmiechu. Wybuchały, postawny kapitan przewyższał go o dwie głowy, dorównując wzrostem Merlinowi Athrawesowi, w związku z czym Ahbaht miał nadzieję, że nie sprawia wrażenia nastolatka, który stanął przed ojcem, aby odebrać burę za to, że minionego wieczoru zbyt późno wrócił do domu.

– Witamy na pokładzie *Powodzi*, sir – powiedział kapitan, odejmując prawą rękę od piersi i wyciągając ją przed siebie, aby wymienić z sir Bruhstairem uścisk przedramienia.

– Dziękuję, kapitanie. Wspaniały okręt.

– Nie mógłbym być z niego bardziej dumny – zapewnił Kynt Tohmys.

– W to akurat nie wątpię. Powodów do dumy ci nie brakuje. Tymczasem pozwól jednak, że przedstawię ci porucznika komandora Kylmahna. – Wskazał oficera, który wyłonił się za nim. Mężczyzna miał kasztanowe włosy i zielone oczy. – To mój szef sztabu – dodał komandor, kiedy Kylmahn i Tohmys się witali. – A to – poinformował, wskazując znacznie młodszego oficera – jest porucznik Bairaht Hahlcahm, pierwszy oficer mego flagowca.

Tohmys pozdrowił skinieniem głowy szczupłego, eleganckiego młodego porucznika, który był tylko o cal czy dwa wyższy od swego przełożonego, po czym stanął na baczność i zasalutował. Porucznik

odpowiedział tym samym, dodając:

– Witam, kapitanie.

Mówił z wyraźnym robotniczym akcentem, co niektórym mogło się wydać dziwne, zwłaszcza gdy wziąć pod uwagę jego nieskazitelny wygląd. Tohmys jednak nie miał podobnych myśli. Kapitan był wprawdzie Chisholmczykiem, ale potrafił rozpoznać głos kogoś z doków Tellesbergu, a przecież w stolicy Imperium Charisu było obecnie wielu robotników, którzy znacznie się wzbogacili i śmiało mogli być nazywani milionerami. Do tego – w odróżnieniu od domen kontynentalnych, gdzie nowobogacy starali się raczej wyplenić w sobie wszystko, co by wskazywało na ich prawdziwe pochodzenie – w Charisie było inaczej. Ludzie oczywiście kładli równie duży nacisk na wykształcenie dzieci i zapewnienie rodzinie wyższego poziomu życia, a także robili co mogli, aby nie zbłąźnić się w relacjach z partnerami biznesowymi, jednakże przede wszystkim nie zapominali, skąd się wywodzą. Tego właśnie najbardziej nie mogli strawić mieszkańcy kontynentu: że wyspiarze, którymi tak pogardzali, mają klasę. Tohmys osobiście akurat to szanował w Charisjanach.

– Jeśli zechce mi pan towarzyszyć, sir – zwrócił się do Ahbahta – zaprowadzę pana do kajuty. Chyba że najpierw chciałby pan powiedzieć parę słów do załogi.

Ahbaht przyjrzał mu się z lekko przechyloną głową, ale Tohmys nie zmienił wyrazu twarzy. Linia dzieląca oficera flagowego i kapitana flagowca została nakreślona bardzo wyraźnie nie bez powodu. Komandor czy też admirał mógł rozkazać kapitanowi uczynić wszystko, co tylko chciał, nie miał jednak prawa wymagać od niego konkretnego sposobu wypełnienia rozkazu. Każdy okręt mógł mieć tylko jednego dowódcę i nigdy ani przez moment nikt nie mógł mieć wątpliwości, kto jest tym dowódcą.

Dlatego – zgodnie z tradycją Cesarskiej Floty Charisu – oficer flagowy zwracał się do załogi flagowca wyłącznie za zgodą kapitana. Tylko ktoś wyjątkowo zatwardziały w swoich poglądach, pełniący funkcję kapitana flagowca, odmówiłby swemu przełożonemu możliwości skierowania paru słów do załogi, jednakże istniała zasadnicza różnica między udzieleniem zgody a wystosowaniem zaproszenia.

– W rzeczy samej, chciałbym... za pańskim pozwoleniem, kapitanie –

rzekł po chwili ciszy Ahbaht. – Dziękuję za wspaniałomyślność.

– Ależ sir – powiedział Tohmys, nie spuszczać wzroku z komandora.
– To będzie zaszczyt dla mnie i dla moich ludzi.

Ahbaht chyba się leciutko zarumienił, ale tylko skinął głową i wkroczył na podwyższenie luku śródokręcia. Dzięki temu sięgał teraz kapitanowi głową do ramienia, aczkolwiek ledwo, ledwo. Gdy Tohmys odstąpił do tyłu, Ahbaht zastanowił się, czy zrobił to z taktu, aby nie podkreślać różnicy ich wzrostu.

– Załoga, baczność! – zawołał oficer dyżurny.

W Cesarskiej Flocie Charisu nie przywiązywano takiej wagi do musztry jak w armii. Marynarze byli praktykami, którzy chlubili się tym, że wypełniają swoje obowiązki jak należy, i patrzyli z góry na wszystkie szcury lądowe zawracające sobie głowę ceremoniałem. Zarazem każdy marynarz był w stanie – gdy zaszła taka potrzeba – zachować się przepisowo i teraz właśnie cała załoga HMS *Powódź* strzeliła obcasami sprawniej niż Gwardia Świątynna.

– Spocznij – rzekł Ahbaht, podnosząc nieco głos, aby być usłyszonym pomimo świstu wiatru i pisku ptaków kołujących nad kotwiczowiskiem. Na jego rozkaz marynarze jak jeden mąż poruszyli stopami, po czym założyli ręce za plecy. Nie była to bynajmniej pozycja „spocznij”, tylko znacznie bardziej oficjalna postawa paradna i Ahbaht, widząc to, poczuł szczypanie w kącikach oczu. Ciekawiło go, czy Tohmys przeszkolił marynarzy specjalnie na tę okazję. Im dłużej jednak nad tym myślał, tym bardziej powątpiewał w podobną teorię.

– Dziękuję za powitanie – zaczął, również zakładając ręce za plecy i wodząc wolno spojrzeniem po setkach wpatrzonych w niego twarzy. – Postaram się streszczać. Czeka nas mnóstwo roboty, a zresztą nikt nie musi wam mówić, po co tu przyplłynęliśmy.

Uwolnił jedną rękę zza pleców i uczynił kolisty ruch, wskazując wody Zatoki Rahzhyra. Na pełnym morzu była połowa eskadry barona Sarmouth; druga połowa znajdowała się tutaj, na kotwiczowisku. Odkąd przybyły także okręty admirała Darysa, na stu sześćdziesięciu milach kwadratowych zatoki nie było gdzie wcisnąć choćby szpilki. Ahbaht pomyślał, że Cesarska Flota Charisu będzie wkrótce potrzebować obszerniejszej powierzchniowo bazy wypadowej. A może nawet kilku takich baz, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem. Osobiście był gotów

optować za zatoką Stella na Ziemi Jacka – przynajmniej przejściowo. Oczywiście najpierw trzeba było ją odbić z rąk Królewskiej Floty Dohlaru, co jednak tylko czyniło całe przedsięwzięcie bardziej pożądanym przez sir Bruhstaira. A HMS *Powódź* mógł je uczynić realniejszym.

Chyba że sir Bruhstair miał na myśli bardziej śmiałe przedsięwzięcie.

– Wszyscy wiecie, co wydarzyło się w lipcu w cieśninie Kaudzhu – podjął, zmieniając barwę głosu. Marynarze spojrzeli po sobie niespokojnie. – Właśnie w związku z tym musimy zareagować. Napawa mnie dumą, że hrabia Sharpfieldu i baron Sarmouth wybrali mnie do roli głównodowodzącego tą operacją. Ani przez moment nie miałem wątpliwości, kim chciałbym dowodzić i na jakim pokładzie. Nie musiałem nawet czekać, aby zobaczyć, jak zgrabnie wpłyniecie do tej zatoki. Sztuka marynarska to jednak nie wszystko, najważniejsi są marynarze.

Pozwolił, aby ostatnie zdanie zapadło słuchającym go mężczyznom w pamięć, po czym kontynuował:

– Mamy wiele do zrobienia, dlatego nie będę nikomu folgował. Możecie się po mnie spodziewać wysokich wymagań. Oczekuję, że każdy z was da z siebie wszystko, a nawet więcej. Nie ważcie się zapomnieć, że stanowicie część Cesarskiej Floty Charisu. Wiem, na co was stać, więc nie myślcie, że się wywiniecie. Macie pokazać, co potrafi najlepsza marynarka wojenna, jaka kiedykolwiek istniała na Schronieniu. –

Zamilkł. – To szczerą prawdą. I wkrótce odbierzecie dług, jaki zaciągnęła u nas Królewska Flota Dohlaru. A gdy ten czas nadejdzie, gdy nie tylko Dohlar, ale każdy, kto popiera Grupę Czworoga, już dostanie od nas nauczkę, nie będzie wroga, który nie zapamięta dnia ostatecznego rozrachunku do końca swego życia.

Ponownie umilkł, obserwując bacznie marynarzy, którzy nie odrywali od niego wzroku. Widział w ich oczach determinację, widział ogień. Pokiwał głową z satysfakcją.

– Postawię wam wymagania – powtórzył głosem twardym jak stal – a wy je spełnicie. Wspólnie pokażemy Królewskiej Flocie Dohlaru, że z Cesarską Armią Charisu się nie zadziera. A tej tłustej, nieprzyzwoitej świni w Syjonie udowodnimy, co tak naprawdę ma dla niego w zanadrzu Bóg.

Ryk, który się rozległ na pokładzie HMS *Powódź*, o mało nie strącił z nieba ogłuszonych ptaków i wyvern.

.IV.
Hotel Protektor
oraz
Siedziba Aivah Pahrsahn
Siddar
Republika Siddarmarku

Spóźniłeś się!

Niezwykle atrakcyjna młoda kobieta uśmiechnęła się i oskarżycielskim gestem wskazała zegar przy wejściu do restauracji, gdy ciemnowłosy pułkownik przekroczył próg drzwi frontowych i znalazł się w holu hotelu.

– Dziewiętnasta trzydzieści, powiedziałaś! – kontynuowała tym samym tonem. – Czekam już od całych dwunastu minut, pozwól, że ci przypomnę.

Zadarła nos, słyszalnie sarkając, na co pułkownik uśmiechnął się do niej szeroko.

– Zważywszy na pogodę, masz szczęście, że nie było to kilka godzin – odparł, tupiąc, aby strząsnąć z butów śnieg. Zdjął ciężki płaszcz, wręczył go jednemu z boyów hotelowych i przeciął hol na wskroś, aby objąć kobietę ramieniem. Wtuliła się w jego pierś, a on przytknął wargi do jej włosów. – Tęskniłaś za mną? – zapytał znacznie cichszym głosem, a ona tylko prychnęła.

– Nawet gdybym tęskniła, za nic bym ci się do tego nie przyznała! Nie mogę pozwolić, abyś traktował mnie jak coś darowanego z góry.

– Gdzieżbym śmiał!

Zaśmiał się i przytulił ją mocniej, po czym oboje ruszyli w stronę restauracji. Kierownik sali już czekał na nich w progu z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Mam rozumieć, że nasz stały stolik jest już gotowy, Gyairmohu? – zapytał go pułkownik Fhetukhav.

– Oczywiście, panie pułkowniku. W końcu jest piątek – zauważył mężczyzna.

– Naprawdę jesteśmy aż tak przewidywalni?

– Tylko dla niektórych z nas, panie pułkowniku.

– Cóż. Możesz coś dla mnie zrobić? Schowaj to w hotelowym sejfie na czas mojej obecności – powiedział Fhetukhav znacznie poważniejszym tonem i wręczył mężczyźnie aktówkę.

– Naturalnie, panie pułkowniku. Zaniosę ją tam osobiście. A tymczasem... – Kierownik sali wziął z rąk pułkownika aktówkę, a następnie strzelił palcami, na co jak spod ziemi wyrósł u jego boku kelner, który uśmiechał się równie szeroko, a może nawet szerzej niż jego przełożony. – Ahndrai zaprowadzi państwa do stolika i przyjmie zamówienie na napoje.

– Twoje zaangażowanie nigdy nie przestaje mnie zadziwiać.

– Nasz hotel cieszy się zasłużoną renomą, panie pułkowniku – odparł kierownik sali z ukłonem. Oddalił się dopiero wtedy, gdy kelner powiódł gości do ich stolika.

Airah Sahbahtyno przyglądał się przez kryształową ścianę, która oddzielała restaurację od hotelowego holu, jak Gyairmoh Hahdgkyn podchodzi do wysokiego kontuaru recepcji. Ładna recepcjonistka podniosła głowę na jego widok i z uśmiechem potrząsnęła głową, dostrzegłszy aktówkę.

– Zatem pułkownik już jest? – zapytała.

– Mamy piątek – odparł Hahdgkyn z błyskiem w oku.

– Wiesz, że rozmawiają o ślubie?

– Byłoby cudownie, gdyby się pobrali. – Wyraz twarzy Hahdgkyna stał się poważniejszy niż przed chwilą. – To mili ludzie. Dobrze byłoby choć raz być świadkiem szczęśliwego zakończenia.

– Owszem – zgodziła się z nim Sairaih i sięgnęła ponad kontuarem, aby odebrać od niego aktówkę.

Nie wypuszczając teczki z rąk, minęła wahadłowe drzwi i zatrzymała się przy wejściu do sejfu. Użyła wiszącego na jej szyi klucza, aby

otworzyć masywne żelazne drzwi, po czym weszła do środka i wsunęła aktówkę do jednej z szafek na tylnej ścianie, by zaraz zamknąć drzwiczki – także żelazne i wrócić za kontuar. Tam wyjęła z przegródki jakiś dokument, zanurzyła pióro w kałamarzu i napisała coś zamaszystym ruchem. Podmuchała na atrament, aby szybciej wysechł, i podała kartkę Hahdgkynowi.

– Oto potwierdzenie – rzekła i wybuchnęła perlistym śmiechem. – Jakby nadal go potrzebował! Charlz zna tę aktówkę równie dobrze jak ja!

Hahdgkyn udał się z powrotem do restauracji, aby oddać kartkę pułkownikowi.

Sahbahtyno odprowadził go wzrokiem, odczekał dokładnie trzynaście minut – ostatnio czekał tylko pięć minut, ale jeszcze poprzednim razem aż trzydzieści trzy – wstał, złożył gazetę, podpisał rachunek leżący obok deserowego talerzyka i wolnym krokiem opuścił restaurację. Podszedł do recepcji, gdzie Sairaih powitała go ciepłym uśmiechem.

– Dobry wieczór – powiedziała. – Jak udała się kolacja?

– Znakomicie jak zawsze – odparł Sahbahtyno, odwzajemniając uśmiech. – Czy przypadkiem jest dla mnie poczta?

– Nie wydaje mi się, ale na wszelki wypadek sprawdzę... – Odwróciła się i przebiegła wzrokiem przegródki, aż jej spojrzenie spoczęło na numerze 312. – Obawiam się, że dzisiaj nic nie ma – rzuciła przez ramię. – A spodziewa się pan jakiejś korespondencji? – dodała, okręcając się na pięcie. – Zawsze mogę wysłać boya z listem na górę do pańskiego pokoju.

– Nie, nie trzeba. – Pokręcił głową. – Tak tylko zapytałem. Jakies dokumenty są w drodze od mojego dostawcy, ale to nic pilnego. Cokolwiek przyjdzie o tak późnej porze, równie dobrze może poczekać do jutra. Nie ma powodu kłopotać boya bieganiem po piętrach. Poza tym położę się dzisiaj spać wcześniej. – Obejrzał się na grube okna, za którymi gęsty śnieg zasypywał właśnie aleję Lorda protektora Ludovycy, i wzdrygnął się teatralnie. – W takie noce jak ta świetnie mi się śpi. Przysłuchiwanie się wyciu wiatru na zewnątrz sprawia, że łóżko wydaje się jeszcze cieplejsze.

– Czasami też mam takie wrażenie – przyznała. – Dobrej nocy.

– Dziękuję.

Jako jeden z najlepszych hoteli w Siddarmarku, ten ośmiopiętrowy

budynek mógł się poszczycić aż trzema windami. Sahbahtyno skorzystał ze środkowej, która zawiozła go na trzecie piętro. Wsiadłszy z windy, ruszył korytarzem do swojego pokoju, otworzył kluczem drzwi i podkręcił knot lampki stojącej na konsolce, a zapalonej przez pokojówkę. W niedużym kominku płonął ogień rozniecony – jak wiedział Sahbahtyno – dokładnie o szesnastej. Teraz podszedł do kominka i dorzucił kilka bryłek węgla prosto z Glacierheart, dzięki czemu ogień zapłonął jaśniej. Używając świecy stojącej na obramowaniu kominka, zapalił większą lampę przy fotelu i kolejną, zwieszającą się z wysokiego sufitu. Hotel stosował wyłącznie wysokiej jakości olej z krakena, dzięki czemu płomienie były jasne i nie dymiły. W końcu Sahbahtyno rozsiadł się w fotelu i zapatrzył w ogień.

Wbrew temu, co powiedział recepcjonistce, nie zamierzał położyć się spać. Przynajmniej na razie. Do chwili, gdy Sairaih Kwynlyn przekazuje obowiązki Charlzowi Ohbyrlynowi, swemu zmiennikowi – miną jeszcze trzy godziny. A później następna, zanim Ohbyrlyn zapuka cicho do drzwi Sahbahtyna.

Odchylił się na oparcie fotela, otworzył osobisty egzemplarz Pisma i podjął lekturę Księgi Chihiro, aby zabić czas oczekiwania.

Minęły nie cztery godziny, ale prawie pięć, gdy wreszcie rozległo się pukanie do drzwi.

Sahbahtyno zaznaczył czytaną stronę, odłożył Pismo na stolik i rażnym krokiem podszedł do drzwi, aby je otworzyć.

Mężczyzna stojący na korytarzu był około dziesięciu lat starszy od Sairaih, miał brązowe włosy i takie same oczy. Wydawał się zaniepokojony, a zarazem zdeterminowany. Bez słowa wyciągnął przed siebie sporą aktówkę – wielkości niemal małej walizki – opatrzoną monogramem ARS. Sahbahtyno odebrał ją od niego, zaczekał, aż szatyn się odwróci i oddali, po czym zamknął znów starannie drzwi.

Wyćwiczonym ruchem otworzył aktówkę ze swoimi inicjałami, tę samą, która przebywała w sejfie od minionego dnia, i wydobyl z niej mniejszą teczkę, która się w niej kryła. Za pomocą wytrychu sforsował zamek zabezpieczający teczkę, a następnie zapatrzył się na zawartość,

niczego nie dotykając, dopóki nie zapamiętał dobrze rozkładu przedmiotów. Wiedział, że po wszystkim będzie musiał idealnie odtworzyć pierwotne rozmieszczenie.

W końcu skinął do siebie głową i sięgnął po schludnie zawiązane skoroszyty. Ułożył je na blacie, pilnując, aby nie zmienić ich kolejności, po czym przygotował na podorędziu notes i pióro. Zaczerpnął głęboko tchu, otworzył pierwszy skoroszyt i zaczął czytać.

Mniej więcej w połowie pierwszej strony rozszerzył oczy. Wrócił wzrokiem do nagłówka, ponownie go przeczytał, nadał nozdrza i złapał za pióro, aby energicznie robić notatki.

– Hmm, jak na razie, wszystko idzie zgodnie z planem – mruknął Merlin Athrawes.

Wraz z Nynian Rychtair siedział ramię w ramię na wygodnej, pokrytej miękkim obiciem kanapie w komfortowej siedzibie „Aivah Pahrsahn”. Na stoliku obok Nynian stał dzbanek z gorącą czekoladą, natomiast Merlin trzymał oburącz sporych rozmiarów kubek z herbatą fasolowiśniową. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo tęsknił do tego gorącego napoju, za którym przepadała Nimue Alban, dopóki nie odkrył go na nowo tutaj, w Republice Siddarmarku. Później nieraz się zastanawiał, dlaczego tyle czasu zabrał mu powrót do jej uzależnienia.

To pewnie przez to, pomyślał teraz, że tak nagle musiałem odstawić ten rarytas w Charisie. Tam nie był zbyt popularny, a poza tym seijin Merlin wydawał się wystarczającym dziwakiem, aby nie musieć przyciągać do siebie większej uwagi ludzi. No i, dodał w myślach, kofeina tak naprawdę nie ma wielkiego wpływu na CZAO. Co innego w wypadku Nimue, która musiała się nią posiłkować, kiedy pełniła straż na mostku.

– Mówiłam wam, tobie i Caylebowi, że Sahbahtyno przyda nam się bardziej żywy niż martwy – odparła Nynian z nutką tryumfu w głosie.

– Osobiście wolałbym zabić drania, sprawiłoby mi to znacznie więcej satysfakcji.

– Na tym polega różnica między nami – stwierdziła Nynian, uśmiechając się lekko. – Ty wierzysz w brutalne rozwiązania siłowe, podczas gdy ja preferuję subtelne podejście. I w przeciwieństwie do

ciebie zdaję sobie sprawę, że odroczone w czasie satysfakcja bywa słodsza. Z mojego punktu widzenia o wiele bardziej satysfakcjonujące jest zaprząć Sahbahtyno do pracy dla nas. Wyobraź sobie tylko jego minę, gdy go w końcu aresztujemy i powiemy mu, jaki numer wykreciliśmy! – Zrobiła niewinną minę. – Moglibyśmy też odesłać go do domu, aby stawił się przed Raynem i Clyntahnem, którzy pierwsi domyśliliby się, jak go wykorzystaliśmy. Spotkałby go wtedy taki los, że nawet ty i Cayleb bylibyście zaspokojeni w swych niskich instynktach.

– Być może – zgodził się z nią Merlin dla świętego spokoju. – Ale nie zrezygnujemy z możliwości powieszenia go tutaj, w Siddarze, gdy nadejdzie pora. – Wzruszył ramionami, spoglądając smutno przed siebie, smutniej nawet, niż odezwał się przed chwilą. – Tradycja jest istotna, a Sahbahtyno zasłużył na śmierć przez powieszenie jak mało kto.

– Z tym nie będę się sprzeczać – powiedziała Nynian, przybierając poważniejszy ton głosu. – Między innymi właśnie dlatego optowałam za pozostawieniem go na wolności, kiedyśmy go namierzyli.

– Jak zwykle miałaś rację – przyznał Merlin. – Twoja nieomyślność zaczyna być irytująca. Czy zdążyłem już o tym wspomnieć?

– Przy jednej albo dwu okazjach, tak. – Przysunęła się do niego i złożyła mu głowę na ramieniu. Merlin objął ją, upił łyk herbaty i prychnął rozbawiony. – Co znowu? – zapytała, nie podnosząc głowy.

Athrawes zaśmiał się cicho.

– Właśnie myślałem o Mahrlys i Rahoolu – wyznał. – Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek sądzili, że sprawy rozwiną się w tym kierunku, w którym się rozwijają.

– Chodzi ci o to, że wylądują oboje przed ołtarzem? – Tym razem to Nynian zaśmiała się ciepłym głosem. – Wątpię, aby to przewidzieli, chociaż jest to najlepsze zakończenie z możliwych.

– To prawda. Mam nadzieję, że nie będzie ci przeszkadzać, jeśli *seijin* Aibram na zawsze pozostanie pod urokiem Mahrlys.

– Byłabym zdziwiona, gdyby nie pozostał. Mahrlys to nie tylko jedna z bardziej uzdolnionych dam z czeredki znajdującej się pod opieką Madame Ahnzhelyki, ale też jedna z najśłodszych. I najbystrzejszych. Nie bez powodu, pomijając czarujący akcent Aibrama wskazujący na jego pochodzenie z Silkiahu, podsunęłam mu ją tamtej pierwszej nocy. Zawsze należała do moich ulubienic.

– Jestem w stanie to zrozumieć – oznajmił Merlin, nie tając uśmiechu.

Odchylił się na oparcie, pociągnął łyk herbaty i skupił uwagę na obrazach przekazywanych przez SAPK-i zainstalowane w suficie pokoju hotelowego, który zajmował Airah Sahbahtyno.

Nawet z wykorzystaniem technologii SAPK-ów i użyciem tak błyskotliwych umysłów, jak ten należący do Nahrmahna Baytza i Nynian Rychtair, cztery miesiące trwało, zanim Sahbahtyno został skutecznie namierzony. Jako że jednak było pewne, że gdzieś tam jest, i jako że licznie rozrzucone w całym Siddarze SAPK-i zapewniały kompletność materiałów, wystarczyło je wszystkie cierpliwie przejrzeć – co też zrobili.

Chyba powinienem mieć lekkie wyrzuty sumienia, że Samyl Naigail zawisł za śmierć Trumyna, pomyślał Merlin. Z drugiej strony Samyl Naigail też miał swoje za uszami, a archiwum Sowy pełne było obrazów, co ten drań wyczyniał przed dwoma laty w dzielnicy charisjańskiej. Seijin zacisnął usta na wspomnienie czynów, których się naoglądał. Nie miał wątpliwości, że wisielec zasłużył w pełni na swój los. W dodatku, dodał w myślach Athrawes, fakt, że ktoś poniósł karę, przyczynił się do tego, że Sahbahtyno zaczął poczynać sobie śmieiej, przekonany, że nikt go nie podejrzewa.

Było przeraźliwie jasne, że nagła znajomość nowych technologii wytopu stali w łonie Kościoła Matki wzięła się stąd, że ktoś wykradł aktówkę Zhorja Trumyna po tym, jak zginął zamordowany w „przypadkowych okolicznościach” w Tanner’s Way. Niestety w owym czasie w Siddarze nie było tylu SAPK-ów, w związku z czym ten niefortunny zgon przeszedł niezauważony. W pewnym sensie jednak dobrze się stało, bo gdyby Sahbahtyno został wtedy przyłapany, zawisłby jak nic – co jak słusznie zauważyła Nynian, wyszłoby tylko na złe.

A przynajmniej znacznie skomplikowałyby sprawy. Merlin jakoś nie potrafił postrzegać dalszej egzystencji Sahbahtyna w kategoriach sukcesu. Właściwie najchętniej by go przymknął i przykładnie ukarał, naprawiając wcześniejszy błąd. Cayleb i Sharleyan popierali *seijina* w tym względzie, jednakże Nynian zwróciła ich uwagę na fakt, że kradzież informacji na temat procesu technologicznego wytwarzania stali uczyniła zeń zaufanego współpracownika Grupy Czworoga.

Już sama obserwacja tego człowieka wiele powiedziała obserwującym o tym, w jaki sposób Rayno i Clyntahn przeorganizowali swoją siatkę szpiegowską w obliczu niezwykle sprawnego kontrwywiadu Charisu. Sahbahtyno był praktycznie wolnym strzelcem, nie łączyły go kontakty z nikim innym, co niesamowicie utrudniało wytropienie go i świadczyło o przebiegłości jego mocodawców. Oczywiście takie wyobcowanie zawężyło zakres informacji, jakie był w stanie zdobyć, i to pomimo kopalni złota, która wpadła w jego ręce, gdy sprokurował okoliczności towarzyszące śmierci Trumyna, ale zarazem uczyniło go niewidocznym dla Nahrmahna i Sowy. Do tego wszystkiego Sahbahtyno był bardzo dobry w tym, co robił: nie brakowało mu zdolności ani zmysłu obserwacji, wyrachowania ani dyscypliny, wreszcie cierpliwości i pewnej dozy lekkomyślności, jaką powinien posiadać każdy agent.

Inkwizycja spisała się na medal, zapewniając mu przykrywkę. Sahbahtyno uchodził za handlarza dywanów, który robił interesy z zamożną klientelą: sprowadzał towary z Chisholmu i Tarota, osiągając całkiem niezły przychód. Dzięki temu bez trudu było go stać na wynajęcie pokoju w dobrym hotelu, szczególnie że wychodził z założenia, iż pod latarnią jest najciemniej. Żadną miarą nie krył się z tym, co robił – przynajmniej na poziomie oficjalnym – nikt nie mógł mu zarzucić ukradkowości. Po dłuższej obserwacji Nynian doszła do wniosku, że Sahbahtyno przypomina jej pod pewnym względami, i to w niemałym stopniu, nie kogo innego jak Ahrlaha Mahkbytha. Wątpiła, aby Sahbahtyno był równie wytrzymały jak ten eksgwardzista, i widziała, że robi on wszystko, aby unikać odkrycia swej prawdziwej twarzy. Niemniej był skłonny uciec się do brutalności, gdyby zaszła taka potrzeba – co najlepiej pokazały okoliczności śmierci Trumyna. Można było spokojnie założyć, że Sahbahtyno jest piekielnie inteligentny, nie zaś tylko uważa się za takiego. Skromność na pewno nie była jedną z jego zalet, co Nynian bardzo odpowiadało, nawiasem mówiąc. Bystry szpieg, który nie miał pojęcia, że ktoś nim manipuluje, był na wagę złota – zwłaszcza jeśli jego mocodawcy także byli przekonani o jego inteligencji. Nie łykaliby tak łatwo informacji przekazywanych przez pierwszego lepszego głupka.

Do tego ludzie inteligentni postępują inteligentnie. Co znaczyło, że gdy rozpoznać kierujące nimi motywy i podejść ich umiejętnie, postąpią zgodnie z oczekiwaniami, w przeciwieństwie do człowieka o niższym

ilorazie inteligencji. Nynian wierzyła w to niezachwianie i postanowiła udowodnić, że ma rację, wykorzystując do tego celu szpiega Grupy Czworga.

Mahrlys Fahrno istotnie była jedną z ulubionych kurtyzan Ahnzhelyki Phondy w Syjonie – Madame Ahnzhelyka traktowała ją raczej jak córkę niż pracownicę. Wprawdzie nie została zwerbowana przez siostry Św. Kohdy’ego, lecz podobnie jak inne młode kobiety miała możliwość ucieczki z Syjonu dzięki zapobiegliwości swej dotychczasowej mocodawczyni, która nie spodziewała się wielkiego zainteresowania Inkwizycji swoimi sprawami, ale też nie mogła go wykluczyć. Właśnie dlatego na wszelki wypadek zaopatrzyła każdą z pracownic w instrukcje, jak zbiec z Syjonu, nie zdradzając, że zrobiła to w wypadku każdej z nich.

Na bieżąco Inkwizycja nawet nie zauważyła zniknięcia Madame Ahnzhelyki, jednakże szalone czystki wśród wikariatu, które Zhaspahr Clyntahn nakazał wkrótce po zamknięciu jej przybytku, pomogły Mahrlys podjąć decyzję. W Syjonie istniała konkurencja dla przybytku Madame Ahnzhelyki, jednakże żadna ze starszych kobiet robiących to co ona nie zamierzała zapewnić przejętym pracownikom takich samych warunków, jakie miały dotychczas – a najważniejsze wśród nich były: wysoka pozycja klientów, wygody oraz nade wszystko bezpieczeństwo. W dodatku Mahrlys znała osobiście większość mężczyzn, których Clyntahn uparł się wymordować, wiedziała więc doskonale, że żaden z nich – czymkolwiek i kimkolwiek był w istocie – na pewno nie był potworem, za jakiego chciał go uważać wielki inkwizytor. Wcześniej Mahrlys nie poświęcała wiele myśli reformistom, lecz w obliczu niezaprzeczalnego zepsucia Grupy Czworga zmieniła zdanie i uznała, że Syjon to nie miejsce dla niej, neofitki reformacji. Ponieważ urodziła się i wychowała w Jedwabnie, nie miała praktycznie żadnej rodziny na Ziemiach Świątynnych, która by ją trzymała. Niecałe trzy miesiące później stanęła w progu siddarmarskiej siedziby Aivah Pahrsahn.

Nie ona jedna opuściła Ziemi Świątynne. Podobnie jak wszystkie koleżanki (z których żadna nie musiała wracać do zawodu) skorzystała z kwatery zapewnionej jej przez Aivah Pahrsahn, wszelako szukała czegoś więcej niż tylko bezpieczeństwa. Postanowiła odpłacić Grupie Czworga pięknym za nadobne, a jeśli nawet nie słyszała jeszcze o zgromadzeniu Św. Kohdy’ego, była bystrą dziewczynką i szybko się

uczyła. Bardzo szybko się zorientowała, że „Aivah” jest mocno zaangażowana w ruch reformistyczny w Republice Siddarmarku. Niewiele dłużej trwało u niej uświadomienie sobie, że Madame Ahnzhelyka zajmowała się tym samym w Syjonie, mimo że ona sama niczego takiego nie podejrzewała. To – w połączeniu z utratą złudzeń co do Kościoła Matki, a przynajmniej co do Grupy Czworoga – wystarczyło, aby za ochotą przyłączyła się do działań, które Aivah prowadziła w stolicy.

I wykazała się przy tym skutecznością, szczególnie gdy Aivah pomogła jej stanąć na własnych nogach za pomocą dawnej profesji. Ahnzhelyka Phonda nigdy nie oferowała swym klientom w Syjonie czegoś równie ordynarnego jak zwykła prostytutka. Jej pracownicy pełnili raczej rolę towarzyszek – miłych dla oka i sprawnych, gdy idzie o przyjemności ciała, zgoda, lecz zarazem inteligentnych, wykształconych i kulturalnych. Potrafiły nie tylko wyczyniać wygibasy w łóżku, ale też prowadzić rozmowę, rozprawiać o sztukach teatralnych, religii (w czasach, gdy był to jeszcze bezpieczny temat) czy operze. Dzięki temu nie trzeba było długo czekać, aż Mahrlys okrzepła w Siddarze i stała się znana jako jedna z najbardziej rozchwytywanych kurtyzan.

Ledwie Sahbahtyno został namierzony, Mahrlys trafiła do hotelu, w którym się zatrzymał. Po kilku pięciodniach na jej orbicie pojawił się pułkownik Fhetukhav – wdowiec starszy od niej o sześć lat, specjalista do spraw logistyki w sztabie Daryusa Parkaira. Pułkownik był bardziej niż chętny odegrać swoją rolę, zwłaszcza gdy dane mu było zobaczyć Mahrlys na własne oczy. Fhetukhav często przynosił pracę do domu, jednakże w te dni, w które spotykał się z Mahrlys, zawsze pamiętał, by zdeponować dokumenty w hotelowym sejfie.

Oboje – Fhetukhav i Mahrlys – byli inteligentnymi, pełnymi ciepła osobami, które głęboko wierzą w to, co robią. Merlin wprawdzie się tego nie spodziewał, ale też niespecjalnie się zdziwił, widząc, że przykrywka tych dwojga – płomienny romans – przedzierzgnęła się w prawdziwą, głęboką miłość. Przez wzgląd na nich bardzo się cieszył, jeszcze bardziej był zaś zadowolony, że Nynian – i Nahrman, który ją popierał – mieli rację co do Sahbahtyna. Ten ostatni bowiem – jakkolwiek ostrożnie postępował, unikając niepotrzebnych kontaktów – nie zdołał się powstrzymać, aby nie zapuścić wici dalej, kiedy nadarzyła się okazja, to

znaczy gdy Nynian podstawiła mu pod nos pułkownika. Sprawę przesądziło to, że już dawno się zorientował, iż Charlz Ohbyrlyn, nocny recepcjonista, jest zagorzałym zwolennikiem lojalistów Świątyni. Ohbyrlyn z całych sił starał się ukryć swą wściekłość z powodu tego, że Greyghor Stohnar postanowił się sprzymierzyć z Imperium Charisu, lecz nie przeszkodziło to Sahbahtynowi go rozszyfrować dzięki świetnej znajomości ludzi.

A to tylko, skonstatował w myślach Merlin, czyni zażyłość między Fhetukhavem i Mahrlyś tym przydatniejszą.

Miesiąc od pierwszej wizyty pułkownika w hotelu Sahbahtyno studiował zawartość jego aktówki, ilekroć trafiła na noc do sejfów. Nie działało się to często; Nynian i Nahrman mieli zbyt wielkie doświadczenie, aby pogrążyć swój plan przesadą. W każdy razie, ilekroć aktówka dostawała się w ręce Sahbahtyna, dokumenty w niej zawarte były całkowicie prawdziwe. Część zawartych w nich informacji musiała być bardzo cenna dla Grupy Czworka, aczkolwiek w większości były to fakty, które i tak, prędzej czy później, trafiłyby do Syjonu za sprawą siatki szpiegowskiej Rayna i Clyntahna. Zważywszy jednak na sukces, który Sahbahtyno odniósł w wypadku Trumyna, to, że nigdy przenigdy nie dostarczył swoim mocodawcom fałszywej informacji, uczyniło z niego najbardziej godnego zaufania agenta.

Długo myślałem, moja droga, pomyślał Merlin, spoglądając na czubek głowy wspartej na jego ramieniu Nynian, że przez cały ten czas budujesz domek z kart. A tu proszę, nie pomyliłaś się: lepiej mieć kogoś takiego na podporządku i nie wykorzystać go, niż nie mieć i stwierdzić, że bardzo by się przydał. Teraz będziemy mogli wzbudzić w Grupie Czworka przekonanie, że przerzucamy nasze siły na południe, ku hrabiemu Wysokiego Wzgórza. Zarówno Clyntahn, jak i Maigwair na pewno potraktują tę wiadomość niezwykle poważnie.

Merlin Athrawes był w stanie zdzierżyć, że Sahbahtyno chodzi po powierzchni Schronienia, zamiast wisieć – aczkolwiek tylko do czasu. Ponieważ dowodów go obciążających z całą pewnością nie brakowało.

.V.
Gabinet Rhobaira Duchairna
Świątynia
Syjon
Ziemie Świątynne
Republika Siddarmarku

To było przepyszne, Rhobairze.

Wikariusz Allayn Maigwair otarł usta i odłożył śnieżnobiałą serwetę obok pustego talerza, po czym rozsiadł się wygodnie z westchnieniem zadowolenia i sytości.

– Dziękuję – powiedział z uśmiechem Rhobair Duchairn. – Pozwoliłem bratu Lynkynowi zatrzymać dotychczasowych kucharzy, aczkolwiek musiałem praktycznie pod groźbą wymusić na nich przygotowanie tej zupy małżowej. Cieszę się, że ci smakowała, Allaynie.

– O tak! – Maigwair pokiwał głową. – Była wyborna! Dzięki niej przypomniałem sobie, że nade wszystko cenię proste dania. W zupie małżowej jest coś... powiedziałbym... uczciwego. Nigdy nie przepadałem za tymi wystawnymi obiadami, które jadaliśmy, zanim Zhaspahr poszedł na noże z Charisem. Aczkolwiek, jeśli mam być całkowicie szczery – dodał z uśmiechem zabarwionym nutą goryczy – moja niechęć miała mniej wspólnego z menu, a więcej z faktem, że wszyscy trzej uważaliście mnie za zakałę naszej małej grupy.

Duchairn otworzył usta, lecz Maigwair potrząsnął głową, zanim drugi wikariusz zdążył otworzyć usta, i kontynuował:

– Kłopotalem się tym głównie dlatego, że jakąś częścią siebie czułem, iż macie rację – wyznał, uśmiechając się nieco szerzej. – Z drugiej strony, od tamtej pory przekonałem się dobitnie, że potraficie być sprytni jak sam Proktor, nawet jeśli zapominać o zdrowym rozsądku. Szczególnie dotyczy to Zhaspahra. No i Zhamsyna...

– Miło, że mnie pominąłeś w tej wyliczance – stwierdził oschle

Duchairn, wykorzystując okazję, że jego rozmówca zamilkł.

Maigwair tylko prychnął.

– Na pewno nie będę nazywał nas geniuszami, skorośmy zdołali wpakować cały Kościół Matkę w tę kabałę! I siebie samych także, nie zapominajmy o najważniejszym. Fakt pozostaje jednak faktem: ty jako jedyny starałeś się zapanować nad tym szaleństwem. Shan-wei świadkiem, że o mnie nie da się powiedzieć tego samego. – Zmarszczył czoło, sięgnął po kufel z piwem i dopił trunek jednym haustem. –

Nocami nie mogę teraz przez to spać – dodał znacznie ciszej. – Nie śpieszy mi się usłyszeć, co Bóg Jedyny i Langhorne mają mi do powiedzenia po drugiej stronie.

– Żadnemu z nas się do tego nie śpieszy... – przyznał Duchairn cicho.

Odchylił się na oparcie krzesła obrotowego za gigantycznym biurkiem, przy którym spożywali roboczy lunch w jego gabinecie, i przyjrzał się uważnie rozmówcy. W miarę rozwoju świętej wojny zostali zmuszeni do nawet ściślejszej współpracy, a świadomość, że Zhaspahr Clyntahn obydwu darzy równą podejrzliwością, sprawiła, że zbliżyli się do siebie jeszcze bardziej. Dzięki temu Duchairn zrozumiał, że żywiona przez niego wcześniej opinia o Maigwairze jako pozbawionym wyobraźni wole roboczym mijala się z rzeczywistością. Wprawdzie Allayn Maigwair nie był najbystrzejszym z ludzi, ale też daleko mu było do bycia głupcem. I jak słusznie zauważył przed chwilą, mądrość czasem miała niewiele wspólnego ze zdrowym rozsądkiem. Pomimo bliskości wymuszonej przez ostatnie wydarzenia jeszcze nigdy dotąd Maigwair tak otwarcie nie wyraził swoich zastrzeżeń co do powodów świętej wojny oraz obaw co do jej wyniku.

– Wątpię, aby ktokolwiek, kto myśli trzeźwo, uważał, że Bóg Jedyny z radością patrzy, jak Jego dzieci wyrzynają się wzajemnie w Jego imieniu – podjął skarbnik Kościoła Matki. Jego cichy głos dał się dobrze słyszeć na tle szalejącej za oknami zawieii, która w wyniku tajemniczych zabezpieczeń Świątyni w żaden sposób nie zagrażała atmosferze panującej w środku murów. – Coś takiego bywa potrzebne od czasu do czasu, lecz powinno być zawsze traktowane jako ostatnia możliwość, nie zaś pierwsza, po którą się sięga!

– Wiem – potwierdził Maigwair, odstawiając kufel obok pustego talerza. Przez dłuższą chwilę milczał, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Wiem – powtórzył, podnosząc znów spojrzenie na Duchairna. – No ale dosiedliśmy okrakiem tego jaszczurodrapa, my i cały Kościół Matka. – Zaciął usta w wąską kreskę. – Dopóki nie uporamy się z zewnętrznym zagrożeniem, nie mamy co marzyć o tym, aby zająć się problemami na własnym podwórku.

Równie pochmurny jak jego rozmówca Duchairn skinął głową.

Masz rację, Allaynie, pomyślał. Niestety z pewnymi zagrożeniami łatwiej sobie poradzić niż z innymi, dodał z wisielczym humorem. No i jest jeszcze kwestia zgrania wszystkiego w czasie. Zakładając, że uporamy się wreszcie z Charisem i Siddarmarkiem, co będzie, gdy Zhaspahr to sobie uświadomi? Jak niby mamy się z nim „uporać”, skoro to on rozprawi się z nami natychmiast po tym, jak przestaniemy mu być potrzebni do utrzymania jego tłustego dupska na fotelu wielkiego inkwizytora? Bo o tym w gruncie rzeczy mówisz, czyż nie tak?

Przez chwilę chciał powiedzieć to wszystko na głos, ale się powstrzymał. Przyglądając się wyrazowi twarzy Maigwaira, zganił się w duchu za swą lekkomyślność. Po namyśle doszedł bowiem do wniosku, że jego rozmówca bynajmniej nie przejmował się najbardziej własną skórą. Już nie. A jeśli nawet wciąż był to przypadek Rhobaira, Pismo uczyło przecież, że liczy się cel, a nie to, jak długo się do niego idzie.

Tak czy owak pewnych rzeczy najlepiej było nie mówić na głos – nawet w cztery oczy, nawet w zaciszu tego gabinetu. Pomijając wszystko inne, po co wyrabiać w sobie nawyk zwierzeń, kiedy Inkwizycja ma wszędzie swoich szpiegów. Maigwair dostał tego namacalny dowód zaledwie przed kilkoma miesiącami, w czerwcu, gdy Clyntahn rozkazał parunastu jego współpracownikom, aby go zdradzili. Pechowo dla wielkiego inkwizytora Pięść Boga wysadziła zdrajców w powietrze – razem z drugim kościołem Świętego Pasquale z Wiernych Syjonu. Wówczas Maigwair zareagował błyskawicznie, wykorzystując nagłą pustkę na górnych szczeblach hierarchii Armii Boga.

I tym razem znacznie staranniej dobierał swoich nowych współpracowników. Miał nadzieję, że zachował wystarczającą ostrożność.

Poza tym, dodał w myślach skarbnik Kościoła Matki, o ile wygranie świętej wojny byłoby miłe, o tyle powinniśmy skupić nasze wysiłki na tym, aby nie przegrać. Bóg Jedyny świadkiem, że to nie lada wyzwanie!

– Cóż – odezwał się, kołysząc w dłoniach kufel. – Z mojej strony to chyba wszystko, przynajmniej jeśli chodzi o plany produkcyjne. Czy chciałbyś jeszcze coś dodać, Allaynie?

– Nie. – Maigwair pokręcił głową i położył dłoń na wypchanym segregatorze, który przed nim leżał. – Uważam, że nasze prognozy są najlepsze z możliwych, biorąc pod uwagę raporty z frontu oraz wyliczenia brata Lynkyna. – Wzruszył ramionami. – Skłamałbym, mówiąc, że te prognozy mnie cieszą, bo tak nie jest, do cholery, a już szczególnie nie podoba mi się, ile to będzie kosztować armię ludzi. Obawiam się jednak, że niczego innego tutaj nie wymyślimy.

– Też chciałbym, żebyś miał większą swobodę, jeśli chodzi o czynnik ludzki – zgodził się z powagą Duchairn. – No ale ci ludzie są mi po prostu niezbedni.

– Och, wiem! Zresztą skoro wybór polega na tym, czy ubrać ich w mundury, a potem szukać dla nich broni, już lepiej ich sobie weź! Mnie rozchodzi się głównie o ich kaliber... No i pozostaje jeszcze kwestia, czym wesprzemy hrabiego Tęczowych Wód oraz całą Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów. – Naczelnym dowódcą kościelnych wojsk pokręcił głową. – Niestety szkolenia przebiegają opornie, co skutkuje wolniejszym napływem żołnierzy do armii.

Duchairn pokiwał głową. Zapotrzebowanie na siłę roboczą w zakładach produkujących z myślą o potrzebach Kościoła Matki było tak ogromne, że zmniejszyła się możliwość uzupełniania stanu osobowego armii. Konkurencja na tym odcinku istniała od zawsze, jednakże ostatnimi czasy przybrała jeszcze na sile – Kościół Matka nie miał wyjścia i musiał odpowiedzieć jakoś na powiększające się zdolności produkcyjne Imperium Charisu. Przed dwoma laty Duchairn przeczesał wszystkie zakony, zdobywając w ten sposób dodatkowe ręce do pracy, wszakże do tej pory źródło zdążyło wyschnąć. Bilans wciąż był więc ujemny. Nie dlatego jednak, że robotnicy nie pracowali wystarczająco wydajnie, ale dlatego, że zeszłoroczne klęski militarne zwiększyły zapotrzebowanie na broń – i starą, i nową – i to w stopniu znacznie większym, niż ktokolwiek mógł przypuszczać.

Techniki produkcyjne opracowane przez Lynkyna Fultyna oraz Tahlbahta Bryairsa i zastosowane w praktyce tu, w Syjonie, były znaczną pomocą, a Fultyn dodatkowo stworzył grupę mózgowców, którzy

mieli nieustannie popychać sprawy do przodu. Duchairn wiedział, że ten członek Zakonu Chihiro z pewną obawą skupia tylu innowatorów tuż pod okiem Zhaspahra Clyntahna, dlatego sam, posiłkując się swoim stanowiskiem skarbnika Kościoła Matki, nieustannie wszędzie powtarzał, jakie to ważne ciało dla wysiłku wojennego i losów świętej wojny. Jego starania tak naprawdę nie uspokoiły ani jego samego, ani Fultyna – obaj zdawali sobie sprawę, że mózgowcy w każdej chwili mogą się znaleźć na celowniku wielkiego inkwizytora, niestety nie było innego rozwiązania. Mózgowcy owi bowiem nie tylko zajmowali się rozpracowywaniem charisjańskich technologii, ale też główkowali, jak by tu zwiększyć wydajność. Przypatrywali się każdemu procesowi technologicznemu, jaki był wykorzystywany w zakładach Kościoła Matki, dopóty, dopóki nie znaleźli sposobu na jego usprawnienie.

Jednakże bez względu na wkład mózgowców poziom wydajności Kościoła Matki w przeliczeniu na roboczogodzinę był znacznie niższy od poziomu wydajności Imperium Charisu. Czasem było w to trudno uwierzyć, gdy widziało się, jaka masa artylerii i broni w ogóle schodzi z linii produkcyjnych Kościoła Matki, a mimo to była to szczerą prawdą. Do tego – ponieważ broń produkowana przez Kościół Matkę była poślednia w stosunku do broni produkowanej przez Imperium Charisu – Kościół Matka był zmuszony postawić na ilość zamiast na jakość. Skarbnik wyasygnował znaczne kwoty na tworzenie nowych zakładów, co też się stało, dzięki czemu produkcja nie spadła, a wręcz wzrosła, co z kolei wymagało dalszych nakładów pieniężnych. Lecz oczywiście zakładom wytwórczym potrzebne były nie tylko cegły i zaprawa, w związku z czym trzeba było naprawdę się nagłować, aby sprostać potrzebom powołanego do życia molocha.

Coraz więcej mieszkańek Ziem Świątynnych podejmowało pracę w zakładach produkcyjnych – co ciekawe, okazywały się one równie dobre, a nawet lepsze w porównaniu z mężczyznami zatrudnionymi na tych samych stanowiskach – aczkolwiek proces feminizacji przemysłu znajdował się dopiero na wczesnym etapie, a poza tym także chętnych do pracy kobiet było zbyt mało, aby poziom produkcji utrzymał się na pożądanym poziomie. Zresztą – pomijając zapotrzebowanie na pracowników do przyuczenia – zakłady wytwórcze cierpiały na niedostatek wykwalifikowanej siły roboczej, a także brygadzystów i szkoleniowców, którzy by pilnowali, czy wytyczne Fultyna są wcielane

w życie.

To dlatego Maigwair zastosował drakońskie przesunięcia w obrębie Armii Boga. Doświadczeni mechanicy, którzy zaciągnęli się do wojska (bądź zostali do niego wcieleni), nigdy nie trafiali do baraków ani na plac defilad. Dostawali z miejsca stopień kaprała lub sierżanta, po czym byli kierowani do Duchairna, a ten wykorzystywał ich tam, gdzie akurat byli najbardziej potrzebni. Liczba fachowców w ten sposób pozyskana okazała się mniejsza, niż można by mieć nadzieję przy tym tempie uzupełniania stanu osobowego Armii Boga, jednakże i tak była wystarczająca, aby w znaczącym stopniu zaważyć na ilości produkowanej broni. Nie ulegało kwestii, że fachowcy ci nie mniej by się przydali na froncie do przeprowadzania niezbędnych napraw. Biorąc zaś pod uwagę ich wykształcenie, umiejętności i inteligencję, można było śmiało powiedzieć, że Armia Boga przez ten proces straciła wielu świetnych oficerów. Co – zważywszy na liczbę powstających wciąż nowych oddziałów – było niebagatelnym problemem.

– Allaynie, jeśli jest cokolwiek... – zaczął Duchairn, Maigwair jednak potrzęsnał głową.

– Naprawdę uważam, że w zaistniałej sytuacji zrobiliśmy, co w naszej mocy, Rhobairze. Najgorsze jest to, że nie możemy mieć nadziei na odpowiednie wyszkolenie nowych oddziałów, tak aby dzielnie stawiły czoło Charisjanom w polu. Wszyscy ci oficerowie i podoficerowie, których przekazaliśmy Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów parę lat temu, teraz odbijają nam się czkawką. Ta zwłoka w szkoleniu sprawi, że będziemy musieli liczyć na Harchończyków dłużej, niż zakładaliśmy. – Naczelną wódz sił Kościoła Matki minę miał ponurą jak chmura gradowa. – Chcieliśmy włączyć ich do boju pod koniec listopada, tymczasem z tego, co widzę, będę w stanie wyekspediować nowe oddziały w połowie przyszłego miesiąca. Zanim wszystkie znajdą się na froncie, będzie maj, a jeszcze pewniej czerwiec albo nawet lipiec. Nie będę cię okłamywał, Rhobairze. Nawet gdy w końcu tam dotrą, żołnierze będą potrzebowali dodatkowych szkoleń, które pozwolą im brać aktywny udział w boju, zamiast tylko bronić swoich pozycji. W żadnym razie nie będą mogli się równać z konną piechotą Charisjan. I niestety nic na to nie poradzimy. – Wzruszył ramionami. – Czasami można wybierać tylko między większym i mniejszym złem.

– Taaak, w minionych latach rzeczywiście często przyszło nam

dokonywać takiego właśnie wyboru – zgodził się z nim kwaśno Duchairn. – Coś mi jednak mówi, że hrabia Tęczowych Wód znalazł sposób, aby zrobić dobry użytek z tego, co mu zapewnimy.

– Pod warunkiem że uda mu się przejść do czynów przy tym ciągłym poszturchiwaniu w łokieć przez niektórych z Syjonu. – Ton głosu Maigwaira był jeszcze bardziej kwaśny. – Rzecz w tym, Rhobairze, że hrabia Tęczowych Wód jest chyba najlepszą osobą do tego zadania. Bogu Jedynemu niech będą dzięki, że mamy kogoś takiego po swojej stronie.

– Oby Langhorne cię usłyszał – dodał bogobośnie Duchairn.

Taychau Daiyang najwyraźniej miał zamiar stoczyć własną kampanię – a wzięwszy pod uwagę wszystkie znane czynniki, najprawdopodobniej opracował też najlepszy plan. Tak jak słusznie zauważył Maigwair przed chwilą, czasem przychodziło wybrać między większym i mniejszym złem, lecz hrabia Tęczowych Wód wiedział, o jaką stawkę toczy się gra – i to nie tylko na polu bitwy, ale także na zapleczu, w zakładach i fabrykach.

Nieważne, jak wzrosła produkcja broni przez Kościół Matkę w minionych dwóch latach, wciąż nie można było mieć pewności co do wyniku świętej wojny. Duchairn osobiście był przekonany, że ten wzrost niebawem zacznie pikować niebezpiecznie w dół, i to nie tylko z powodu braku funduszy w skarbcu.

Obaj, Duchairn i Maigwair, byli pewni, że Zhaspahr Clyntahn zataił informację na temat prawdziwej wydajności wytwórni Imperium Charisu. Było to z jego strony wyjątkowo głupie posunięcie; przecież prawda wyjdzie na jaw, i to w najboleśniejszy możliwy sposób. Duchairn nie potrafił zdecydować, czy Clyntahn zatrzymuje kluczowe informacje dla siebie dlatego, że wierzy w nadprzyrodzone, demoniczne siły pomagające Charisjanom, czy raczej dlatego, że wystąpił u niego mechanizm wyparcia, jak by to określił członek Zakonu Bédard.

Gdy wziąć pod uwagę, że przy każdej okazji, kiedy mu to pasowało, naginał Zakazy niczym precle, zapewne w grę wchodziła ta druga możliwość.

Cokolwiek trzymał w zanadrzu wielki inkwizytor, nawet on musiał otwarcie przyznać, że Imperium Charisu wzbogaci się niebawem o kilka nowych zakładów wytwórczych. Trzy z nich, wszystkie w Starym Charisie, miały szanse dorównać zakładom w Delthaku, które były w największej mierze przyczyną ostatnich klęsk Kościoła Matki. Nie to

jednak było najgorsze. Również zakłady w Maikelbergu w Chisholmie rozwijały się z zawrotną szybkością, a raporty donosiły, że w Charisie na fali wzrostu wydobywania srebra finansuje się też zakłady w Chisholmie i Szmaragdzie. Ponoć powstały nawet dwie nowe fabryki w Corisandzie i jeszcze jedna w Zebediahu, ze wszystkich przeklętych miejsc na Schronieniu! Na domiar złego większość siddarmarckich odlewni i wytwórni mieściła się we wschodniej części Republiki Siddarmarku, co znaczyło, że znajdowały się one poza zasięgiem akcji Miecz Schuelera. Spora ich część podjęła już produkcję, a choć nie miały wielkich szans na dorównanie wydajnością wytwórniom w Charisie, to jednak radziły sobie całkiem nieźle, a już na pewno nie gorzej niż wytwórnie Kościoła Matki.

Jeśli jeszcze Cesarska Flota Charisu odniesie sukces w Zatoce Dohlariańskiej...

Prawda jest taka, że cokolwiek byśmy zrobili – nawet dysponując nieskończonymi zasobami pieniężnymi – zdążyliśmy już przegrać ten wyścig, pomyślał ponuro. Przeciwnik nie tylko produkuje więcej, ale ma też znacznie więcej miejsc produkcji niż my... a ich liczba szybuje coraz wyżej, zupełnie jak jedna z rakiet brata Lynkyna. Mimo tego wszystkiego, co brat Lynkyn i osoby pokroju porucznika Zhwaigaira są w stanie zrobić, charisjańska broń, a szczególnie ciężka broń, jak artyleria i te cholerne kanonierki, ma lepsze parametry niż nasze odpowiedniki. Wróg wygrywa na obu frontach: wydajności i przyrostu miejsc produkcji. Jak na razie produkujemy więcej sztuk broni niż heretycy, ale nawet to zmieni się już wkrótce – w środku lata albo na początku zimy najpóźniej.

Charisjańskie tsunami zwyczajnie zmiecie Armię Pana Wszechmogącego i Archaniołów i Armię Boga z pola bitwy. Było to jasne zarówno dla niego, jak i dla Maigwaira, nawet gdy Zhaspahr Clyntahn utrzymywał, że człowiek uzbrojony w kamień i niewidzialnego boskiego ducha ma przewagę nad każdym heretykiem, który miałby w ręce karabin. A jako że nie było sposobu, aby powstrzymać rozpełzającą się po morzach i oceanach flotę handlową Charisu przed dostarczaniem coraz to większych ilości broni w ręce żołnierzy, jedyną nadzieją Kościoła Matki było znalezienie sposobu, by rozprawić się z wrogą armią, zanim wspomniane tsunami zniszczy wszystko na swojej drodze. Co – *zważywszy na historię stosunków między Armią Boga i jej sojusznikami – będzie nie lada wyzwaniem*, pomyślał Duchairn kąśliwie.

– Na ile prawdopodobne wydaje ci się to, że hrabia Tęczowych Wód

wcieli swój plan w życie? To znaczy ten prawdziwy, a nie ten, który przedstawił do akceptacji.

– A więc też to zauważyłeś! – Maigwair obdarzył rozmówcę krzywym uśmiechem. – Zadał sobie niemało trudu, aby ukryć prawdę wśród zastrzeżeń i ewentualności, prawda? – Naczelnym wódz sił Kościoła Matki potrzęsnał głową z podziwem. – Mówiąc między nami, nigdy nie przepadałem za harchońską biurokracją. Zawsze miałem wrażenie, że są nawet gorsi od naszych. Czasem jednak ktoś taki jak ja, zaprawiony w blefach i kłamstewkach dla dobra sprawy, może patrzeć wyłącznie w zachwycie, jak inni ściemniają.

Duchairn zachichotał, ale musiał przyznać Maigwairowi rację. Hrabia Tęczowych Wód – lub ktoś z jego sztabu – najwyraźniej opanował sztukę motania lepiej niż większość Harchończyków, a sam hrabia świetnie wiedział, co chce usłyszeć Zhaspahr Clyntahn. Duchairn nie wątpił też, że hrabia docenia fakt, iż dzięki niezaprzeczalnej lojalności Harchongu wobec Kościoła Matki wielki inkwizytor był skłonny zaufać harchońskiemu dowódcy bardziej niż komukolwiek innemu. W każdym razie wszystko na to wskazywało! Z oficjalnych raportów hrabiego bił duch walki i pewność, że umocnienia i zapasy pozwolą na ogromną swobodę ruchów, jak tylko pogoda pozwoli na przypuszczenie frontального ataku. W międzyczasie oczywiście zapewniały one ochronę przed jakimś nagłym, niespodziewanym manewrem heretyków.

Hrabia Tęczowych Wód pominął milczeniem fakt, że ani myśli ruszać do frontального ataku, którego plany tak szczegółowo wyłożył w korespondencji. Umocnienia i zapasy nie miały tu nic do rzeczy. Przeanalizował sobie sytuację i z pomocą arcybiskupa polowego Gustyva Walkyry powiadomił Maigwaira, że intensywny ostrzał prowadzony przez Charisjan z nowo wyprodukowanych karabinów i rewolwerów, wspierany przez mobilne działa kątowe i cięższą artylerię, spowodowałby straty nie do zaakceptowania. Oczywiście mógłby, gdyby chciał, stoczyć kilka pomniejszych potyczek, zalewając wroga masą ludzkich ciał, lecz to z kolei wydrenowałoby zasoby nawet Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów. Do tego nie był w stanie zagwarantować żadnego znaczącego zwycięstwa, skoro heretycy pozostawali w ciągłym ruchu i nawet w obliczu genialnie zaplanowanej kampanii byli w stanie wyslizgnąć się z pola walki i umknąć pościgowi.

Nie zająknął się na ten temat w żadnym ze swoich pisemnych

raportów. Zhaspahr Clyntahn nie chciał bowiem słuchać, że Kościół Matka nie jest w stanie stawić czoła heretykom na równych warunkach, o wygranej nie mówiąc. Jednakże dobre rozeznanie w realiach pozwoliło hrabiemu nie tracić ducha, ponieważ wszystko wskazywało na to, że istotnie taktyka obronna jest najlepsza w tym wypadku, i to bez względu na to, kto by miał się bronić. Przyjąwszy to do wiadomości, odrzucił obowiązujące reguły, nawet te najnowsze, opracowane specjalnie na potrzeby Armii Boga, i stworzył całkowicie nowe podejście. Ukuł nawet określenie, które oddawało dosadnie jego istotę, mianowicie: strategiczna obrona. Duchairn, usłyszawszy szczegóły od Maigwaira, musiał przyznać, że ma to wiele sensu.

Hrabia nie zamierzał przycupnąć gdzieś i dać się zabić – ani tym bardziej nie chciał uciekać – jak tylko Charisjanie pojawią się w zasięgu wzroku. Jego taktyka obronna polegała na spowolnieniu ataku wroga, upuszczeniu mu krwi, zmuszeniu, aby rzucił do walki jak najwięcej żołnierzy, tym samym drenując stan osobowy przeciwnika, jak również zapasy broni i amunicji, podczas przedzierania się przez kolejne ufortyfikowane pozycje Harchończyków. Dopiero gdy Charisjanie się nadwerężą, zamierzał przypuścić kontratak. Przy odrobinie szczęścia to zaskoczy Charisjan i zmusi do odwrotu. Przy większej jego dozie – być może nawet rozbije ich oddziały w proch. W najgorszym razie zaś w wyniku podjętych działań Harchończycy odbiją swoje pierwotne pozycje za cenę niższą, niż zapłacił przeciwnik, kiedy ich spychał precz.

Hrabia Tęczowych Wód – a wraz z nim Maigwair i Duchairn – liczył na to, że cena, którą przyjdzie zapłacić Imperium Charisu, powstrzyma kolejne charisjańskie wytwórnie broni od wyskakiwania jak grzyby po deszczu. W gorszych chwilach Duchairn obawiał się, że to nie wystarczy, aby osiągnąć ten skutek, jednakże i tak wiedział, że na nic lepszego w tym momencie ich nie stać.

Nie ulegało kwestii, iż gdyby ktoś wytłumaczył wszystko Clyntahnowi, ten uznałby, że pachnie to defetyzmem, skoro zostawia się wolną rękę przeciwnikowi. Niewykluczone, że wielki inkwizytor miałby w tej mierze rację. Jedyne problem był taki, że wszelka inna strategia zakończyłaby się jeszcze szybszym upadkiem Kościoła Matki.

Duchairn skrzywił się, słysząc słowa „upadek Kościoła Matki” nawet we własnej głowie, miał jednak świadomość, że czasy udawania się kończą. Udało mu się – przy wydatnej pomocy podwładnych – ratować

finanse Kościoła Matki tak długo, jak to było możliwe, co zakrawało na cud sam w sobie. Mimo wszystko ich działania przypominały ustawianie leżaków na pokładzie w równych rzędkach, podczas gdy okręt tonie. Wpływy były niczego sobie, a reakcja ogółu na Bony Zwycięstwa okazała się nawet lepsza niż zakładana, co jednak nie zmieniało faktu, że cywilna gospodarka znalazła się na skraju załamania. Skarbnik Kościoła Matki zarządził zamrożenie cen i płac, a także wprowadził racjonowanie podstawowych produktów – czego wykonaniem zajęli się proboszczowie, za którymi stał autorytet Inkwizycji. To jednak doprowadziło tylko do wzrostu cen na czarnym rynku. Istniało ryzyko, że sytuacja będzie eskalować, no chyba że zrównano by handel na czarnym rynku ze zdradą i zastosowano by Kary Schuelera za pogwałcenie nowych drakońskich zasad. Inkwizycja była skłonna wycofać z użytku tracące z dnia na dzień na znaczeniu i wartości marki i zastąpić je złotem i srebrem. Kiedy Duchairn sporządzał ostatni raport, co miało miejsce na koniec zeszłego miesiąca, kurs wymiany wynosił sześćdziesiąt do jednego i miał tendencję zwyżkową na niekorzyść marek bitych z metali nieszlachetnych, szczególnie że te ponoć były fałszowane na domiar złego. Katastrofa całego systemu fiskalnego zdawała się nieunikniona, a wszelkie działania podjęte przez skarbnika celem odwleczenia najgorszego mogły poskutkować tylko jednym: jeszcze większym fiaskiem, gdy już przyjdzie co do czego.

Szacunki głosiły, że Armia Pana Wszechmogącego i Archaniołów będzie liczyć niemal dwa miliony żołnierzy, kiedy w Haven i Howardzie rozpocznie się wreszcie kampania letnia. Natomiast Armia Boga, która przez zimę tak się napinała i odzyskała drugie życie na wiosnę, miała osiągnąć stan ponad miliona żołnierzy, w tym dwieście tysięcy zeszłorocznych i osiemset tysięcy tegorocznych.

Znaczyło to, że tego lata Maigwair będzie dysponował ogółem trzema milionami ludzi, nie licząc tych sił, które zdołają zapewnić Krainy Graniczne i Dohlar. Zapowiadała się armia o znacznie większej sile – a przy tym także o wiele lepiej wyposażona – niż wszystko, czym Kościół Matka dysponował kiedykolwiek wcześniej. Aczkolwiek prawdą pozostawało to, o czym Maigwair wspomniał w rozmowie, mianowicie że pewne oddziały Armii Boga zmaterializują się dopiero w czerwcu albo w lipcu. Jednakże to właśnie one ruszą śladem Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów, tym samym zapewniając posiłki

osobowe w razie strat poniesionych przez Harchończyków na wstępie kampanii. Cokolwiek powiedziec, ogólna liczba żołnierzy Kościoła Matki wyniesie cztery razy tyle co liczebność Sojuszników, i to w najgorszych scenariuszach przy założeniu, że Caylebowi i Stohnarowi uda się skutecznie połączyć swoje siły. Moc ogniowa takiej formacji wprost nie mieściła się w głowie i nie dawała raczej szans na to, aby dysponująca nią armia została pokonana tak, jak to się stało w wypadku Armii Sylmahn i Armii Glacierheart przed rokiem. Szczególnie że na czele stał nie kto inny jak hrabia Tęczowych Wód, któremu nie można było odmówić bystrości umysłu i zdolności dowodzenia.

Z drugiej strony – wszystko było możliwe. Charisjanie byli tylko ludźmi bez względu na to, co Clyntahn wygadywał na temat ich demonicznej natury. Wydarzenia w cieśninie Kaudzhu pokazały to dobitnie! Jeśli ktoś miałby ich pokonać, do tego na lądzie, tym kimś był wyłącznie hrabia Tęczowych Wód. A jednak w ocenie Rhobaira Duchairna i on miał tylko cień szansy – i to w najlepszym razie – na osiągnięcie sukcesu. Jeśli poniesie porażkę, jeśli Charisjanie rozbiją Armie Pana Wszechmogącego i Archaniołów, tak samo jak dotąd rozbili każdą formację, z którą stanęli do walki, albo jeśli choćby sprawią, że Armia Pana Wszechmogącego i Archaniołów będzie musiała się wycofać, wykrwawiona, święta wojna dobiegnie końca.

Być może znajdą się kolejne miliony ludzi gotowych umrzeć w obronie Kościoła Matki, mężczyźni skłonnych rzucić się na karabiny tylko z gołymi rękami, wiarą w sercu i desperacją w oczach. Nie zmieni to faktu, że gołe ręce to gołe ręce. A Kościół Matka na pewno nie zdoła uzbroić kolejnych oddziałów. Nie tym razem. Tak więc: wóz albo przewóz, pomyślał Duchairn. Skarbiec opustoszeje. Zapasy się skończą. Będzie po nas.

– Cóż – westchnął, dopijając piwo i odstawiając kufel na blat. – Przypuszczam, że już niedługo dowiemy się, czy hrabia Tęczowych Wód wiedział, co mówi. Tymczasem intryguje mnie, do czego szykują się Desnairczycy.

– Na pewno nie można się po nich spodziewać niczego dobrego – burknął Maigwair.

– Hmm... – Duchairn się zamyślił. – W Shiloh się sparzyli – zauważył – a to, co się stało w zatoce Geyra, w niczym nie polepszyło sprawy.

Myślę, że... – jego głos nabrał jeszcze złośliwszego tonu – że teraz ze wszelkich sił będą się starać, aby stanąć na polu bitwy przeciwko wrogom Kościoła Matki.

– Naprawdę w to wierzysz? – zapytał oschle Maigwair. – Bo ja jakoś nie.

– Wierzę, wierzę... Również w to, że będą trzymać nosy we własnych dupach, dopóki się da – odparował Duchairn. – U nich dziesięcina wciąż spływa, dzięki czemu utrzymują się na powierzchni. Nie jestem pewien, jak sobie właściwie radzą, ale przekazują nam o jedenaście procent więcej, niżby powinni na podstawie obecnych zaostrzonych przepisów. Do tego wykupili obligacje wartości dwudziestu milionów marek. – Skarbnik potrząsnął głową. – Wynikałoby z tego, że mają w tych swoich kopalniach złota więcej kruszcu, niż ktokolwiek mógł przypuszczać.

– Próbują przekupić inkwizytorów Zhaspahra, co?

– Najwyraźniej – zgodził się Duchairn. – Chociaż może jesteśmy zbyt wielkimi cynikami. Przynajmniej tak powtarza mi Zahmsyn.

– Zahmsyn powiedziałby cokolwiek, byle Zhaspahr nie uznał, że można się go pozbyć – zauważył cynicznie Maigwair. – A to dlatego, gwoli szczerości, że można. Znaczy pozbyć się go.

Z tym także Duchairn musiał się zgodzić. Wikariusz Zahmsyn Trynair, niegdysiejszy mózg Grupy Czworoga, który obmyślał całą politykę Kościoła Matki (bez względu na to, co mówiły o tym zapisy prawa kanonicznego), przestał być niezastąpiony. Chociaż – tak na marginesie – Duchairn nie był już taki pewien, czy Trynair faktycznie kiedykolwiek stał za poczynaniami ich czwórki.

Na przestrzeni minionego roku skarbnik doszedł do wniosku, że Clyntahn dążył do zniszczenia Charisu na długo przed tym, zanim Erayk Dynnys dał mu pretekst. Jedyne, co dalej trapiło Duchairna, to z jakiego właściwie powodu wielki inkwizytor uwziął się na to wyspiarskie królestwo. Istniała możliwość, że – zważywszy na rozpasany hedonizm i fanatyzm wielkiego inkwizytora – ów zwyczajnie nie ufał charisjańskiej ortodoksji. Ale nie dało się też wykluczyć, że Clyntahn postrzegał świętą wojnę jako środek do pozyskania przez Kościół Matkę władzy nad całym światem. Tak, ta wersja była nawet bardziej prawdopodobna...

Duchairn wątpił, aby wielki inkwizytor zdawał sobie zawczasu

sprawę z tego, ile będzie kosztować zwycięstwo Kościoła Matki w świętej wojnie i czy aby na pewno była niezbędna, jak chciał to widzieć. Niemniej nic – ani krew, ani cierpienie (zwłaszcza innych ludzi) – nie było w stanie go odwieść od raz powziętego planu. Gdyby nawet był świadomy, że musi zginąć kilka milionów całkowicie niewinnych osób, aby Inkwizycja i Zhaspahr Clyntahn osobiście zapanowali nad światem, uznaliby to za akceptowalną cenę.

Jeżeli Rhobair Duchairn się nie mylił, oznaczało to, że nie Trynair, lecz właśnie Clyntahn od samego początku manipulował członkami Grupy Czworoga. I bez względu na to, jakie były ukryte zamiary wielkiego inkwizytora, Trynair zdał się na siłę wielkiego wikariusza Ereka XVII oraz własną zdolność do prokurowania gładkich, sprytnych posunięć zarówno w obrębie, jak i poza obrębem Grupy Czworoga. W oczach świeckich władców Schronienia to on był twarzą Kościoła Matki; w oczach reszty wikariatu natomiast – skutecznie napuszczał na siebie nawzajem różne faksje duchowieństwa. Teraz jednak nawet wielki wikariusz zbyt się obawiał Inkwizycji Clyntahna, aby mu się sprzeciwić; tak więc cała dyplomacja i wszystkie machinacje na nic się zdały. Koniec końców bowiem dyplomaci działali na kredyt, a jeśli ktokolwiek rozumiał istotę kredytu, tą osobą był Duchairn. Gdy dyplomacja zawodziła, gdy człowiek zostawał z figą na patyku, liczyło się tylko jedno: siła. Trynair wypadł z gry.

Tak więc chyba, pomyślał Duchairn, Grupa Czworoga zamieniła się w Grupę Trojga. Istniały bowiem tylko trzy siły: siła armii, która miała wygrać świętą wojnę; siła pieniądza, który miał sfinansować świętą wojnę; i siła inkwizytorów, którzy mieli dopilnować, aby ludzie nie przestali popierać świętej wojny. Zostaliśmy, dywagował dalej w myślach skarbnik, tylko Allayn, ja i Zhaspahr. Z czego tylko Allayn i ja jesteśmy gotowi przyznać, że nasza władza jest ograniczona. Zhaspahr na razie nie widzi przed sobą żadnych granic... ale co będzie, kiedy je sobie uświadomi?

Od pięciu lat Rhobair zadawał sobie liczne pytania – żadne jednak tak nie zmroziło go do szpiku jak to.

.VI.
HMS *Eraystor*, 22
Morze Wiatrów

Świt nie nadszedł.

Gdzieś ponad przypominającymi skały chmurami, podświetlanymi od spodu przez błyskawice, słońce niewątpliwie wspięło się znów na nieboskłon. Poniżej chmur nocna czerń stała się odrobinę jaśniejsza, dzięki czemu widoczność polepszyła się może o stopę. Poza tym nic się nie zmieniło: dalej wiał potępieńczy wiatr i było przeraźliwie zimno. Być może dało się zauważyć grzebienie fal wznoszące się ponad szarą powierzchnię wody odrobinę szybciej nawet bez pomocy rakurai Langhorne'a, lecz i tak każde przyprowadzające o drżenie zębów uderzenie ściany wody w kadłub nie wydawało się ani trochę słabsze. Pod pokładem odór wymiocin cierpiących na chorobę morską ludzi zdolny był wywrócić na nice żołądek posągu. Tymczasem kłębiąca się za burta woda napierała drapieżnie na deski, szarpiąc ciężkie uszczelki z corisandzkiej gumy, którymi uszczelniono furty kazamat. Rozbryzgi wody zalewały pokład wachlarzami lodowatej solanki, aby znaleźć drogę do kanałów spustowych, skąd nieustannie pracujące pompy mogły posłać ją z powrotem do morza.

HMS *Eraystor* parł przed siebie, co rusz pokonując trzydziestostopową falę, unosząc ostry dziób ku niebu i pozwalając, by bura woda przelewała się przez pokład dziobowy, sunęła po wąskich, przypominających trapy stringlach i mknęła po pokładzie rufowym. Okręt wspinał się coraz wyżej, a woda pryskała spod dziobnicy na podobieństwo szalonych kaskad, dopóki nie osiągnął szczytu fali, by w końcu uwolnić się od wody. Wtedy dziób opadał znów pośród rozbryzgów i walił w powierzchnię niczym młot Kau-yunga, a okręt dostawał się w dolinę pomiędzy falami, podczas gdy dym z pojedynczego komina rozwiewał się prędeż, niż ktoś mógł go zobaczyć, porywany przez wiejący z prędkością sześćdziesięciu mil na godzinę wiatr, który był demonicznie, poszukując drogi do Shan-wei.

– Chwała Bogu, że nie czekaliśmy na węglarki, sir!

Dahnel Bahnyface, trzeci oficer HMS *Eraystor*, może nie krzyknął do ucha Zhaikybowi Gregoriemu, ale niewiele brakowało, i to mimo że obaj schronili się w kiosku kanonierki. Na otwartym mostku jakakolwiek rozmowa byłaby niemożliwa.

– Mam nadzieję, że też tak uważają! – zgodził się z nim Gregori.

Bahnyface zdziwił się lekko, ujrawszy w kiosku pierwszego oficera, kiedy sam wspiął się tam po drabinie. Vyktyr Audhaimyr, drugi oficer, miał pełnić służbę jeszcze przez – Bahnyface rzucił okiem na chronometr wiszący na grodzi – kolejne siedem minut, a Gregori nie należał do tych, co sprawdzają wachtowych, jakby im nie ufali.

Choć trzeba było przyznać, że warunki atmosferyczne były raczej nietypowe.

Mierzący pięć stóp i jedenaście cali Gregori był wysoki jak na rodowitego Charisjanina ze Starego Charisu. Z tego powodu musiał pochylić się, aby móc patrzeć przez jedną ze szczelin wizyjnych. Przy dobrej pogodzie otwory te znajdowały się czterdzieści stóp ponad linią wody; w obecnych warunkach jednak dostawał się przez nie deszcz drobnych kropelek niesionych wiatrem. W końcu Gregori wyprostował się, otarł twarz i potrząsnął głową, a następnie przybrał zafrasowany wyraz twarzy.

– Przy odrobinie szczęścia byli na to przygotowani i schowali się w Zatoce Pasterza – powiedział. – Módlmy się, żeby w chwili zerwania się sztormu nie próbowali opłynąć wyspy Wzgórze!

Bahnyface pokiwał głową z powagą. Kiedy już będzie wstawiał się za wyładowanymi węglem galeonami, które podążały za eskadrą, powinien chyba też szepnąć słówko o własnym okręcie. Langhorne świadkiem, że ta czterystutonowa jednostka miała większe szanse na przetrwanie tego kataklizmu niż oryginalne jednostki klasy Delthak czy też płaskodenne kanonierki, które za nimi płynęły. Została skonstruowana z myślą o otwartych wodach, a także pomyślana tak, by była w stanie przetrwać krążenie pomiędzy misjami bojowymi, stąd wysoki forkasztel i wdzięcznie profilowany dziób. Przy trzystu stopach długości jej kadłub mógł się poszczycić niebywałą wytrzymałością, którą zapewniało żelazo i stal, oraz wspaniałymi ryczącymi silnikami, które czyniły ją niezależną od żagli.

Rzecz jasna, gdyby coś złego stało się z tymi silnikami czy też obracającymi się śrubami, które je napędzały...

Nawet o tym nie myśl, powiedział sobie Danel, zakładając kaptur na głowę i zapinając paski pod brodą.

To wodoodporne nakrycie głowy okaże się raczej mało skuteczne, lecz przynajmniej – dzięki klapce z tyłu – zapobiegnie laniu się wody za kołnierz, pomyślał. Podobnie jak większość zaprawionych marynarzy Bahnyface preferował usztywnioną wersję wykonaną z mocno nasmołowanego płótna, choć byli też tacy, którzy woleli lżejszą i miększą wersję z materiału przypominającego ten, z którego wyrabia się sztormiaki. Bahnyface chciał w jak największym stopniu uniknąć wodnej mgiełki, która lubiła się wdzierać w każdy zakamarek, aczkolwiek zapytany musiał przyznać, że ta sztywna wersja jest łatwiej zdzierana z głowy przez wiatr – w całej swojej karierze stracił w sumie około tuzina ochron głowy, i to bez względu na to, jak dobrze przytroczył paski.

A ten wiatr, skonstatował, *nadaje się do zdzierania z głowy wszystkiego, co tylko człowiek wymyślił*. Zazwyczaj Bahnyface nie zazdrościł Anthyneemu Tahlyvyrowi, głównemu mechanikowi HMS *Eraystor*. Tak naprawdę nie pojmował jego fascynacji parą, węglem i olejem, a hałas maszynowni – pełnej tłoków i wałów, i Langhorne wie czego jeszcze (przy czym wszystko kręciło się i wierciło, podczas gdy oliwiarki dozowały kapki oleju na najbardziej ruchome fragmenty urządzeń) – kojarzył mu się wyłącznie z piekłem. Tym bardziej nie zazdrościł upoconym, klnącym ile wlezie maszynistom, którzy musieli karmić nienasycone piece, i to bez względu na pogodę. W obecnych warunkach samo utrzymanie się na nogach wymagało nie lada sprawności i szczęścia, nie mówiąc o szuflowaniu i wrzucaniu węgla w rozwartą paszczę pieca.

A jednak dziś w okamgnieniu zamieniłby się na miejsca z Tahlyvyrem. A jeśli byłoby to niemożliwe, chętnie pełniłby wachtę w kiosku. Niestety ograniczona widoczność stąd była nawet jeszcze bardziej ograniczona. Co jeszcze gorsze – o ile zwykli wachtowi mogli liczyć na zmianę co pół godziny czy coś koło tego – oficer pełniący wachtę (czyli Danel Bahnyface już za parę chwil) nie miał zmiennika. A w taką pogodę nawet najlepszy sztormiak nie pomoże, a tylko co najwyżej opóźni moment, gdy woda dotrze do ciała. Bahnyface pocieszał się tym,

że z czasem woda się zagrzeje, dzięki czemu będzie mu łatwiej znieść jej obecność, pod warunkiem że jego strój ochronny nie przepuści więcej lodowatej solanki.

Oczywiście Bahnyface wiedział, że to niemożliwe, ale jak każdy w jego położeniu ludzi się nadzieją.

Skończył wreszcie mocowanie ochronnego nakrycia głowy, po czym schylił się, aby sprawdzić dziennik pokładowy i upewnić się, że nie ma w nim żadnych nowych wpisów i instrukcji. Stwierdził, że dziennik został uaktualniony, a to dzięki notatce naniesionej przez kwatermistrza. Szczególnie uważnie przeczytał raport o zniszczeniach w części dziobowej. Musiał to naocznie sprawdzić i upewnić się, że dokonane naprawy okazały się wystarczające... aczkolwiek podejrzewał, że gdyby tak nie było i woda morska dostałaby się przez otwór średnicy siedmiu cali, ktoś z pewnością by to zauważył przed nim.

– Mam zwrócić uwagę na coś konkretnego, sir? – zapytał pierwszego oficera, stukając palcem w dziennik pokładowy i unosząc brew.

Gregori pokręcił głową.

– Nie. Po prostu wpadłem, aby rzucić na wszystko okiem, zanim kapitan i ja usiadziemy z admirałem do śniadania.

Jeden z telegrafistów wydał z siebie mimowolne prychnięcie. Pierwszy oficer, słysząc to, roześmiał się głośno.

– Uwierz mi, Symmys – powiedział. – My tu, na *Eraystorze*, dosiadamy dziecięcego kucyka w porównaniu z rozszalałym bykiem, jakim byłby zwykły galeon w tych warunkach.

– Och, wiem! – odparł Zhak Symmys. Był to Chisholmczyk z dziada pradziada, potomek rybaków rodem z wyspy Harris. – Ale zaciągnąłem się do marynarki, bo miałem dość małych łodzi! – Skrzywił się. – To kołysanie zawsze mnie wnerwiało, i nie miało znaczenia, ile razy tato mnie stłukł za moje marudzenie. A Langhorne świadkiem, że tato nie szczędził ręki...

Tym razem parsknął drugi telegrafista. Skłonność do choroby morskiej u Symmysa była tajemnicą poliszynela wśród załogi, Bahnyface zatem wcale się nie zdziwił tą reakcją. Z drugiej strony pomyślał, że skoro ludzie mają ochotę na dowcipkowanie, nie jest tak źle i HMS *Eraystor* ma całkiem spore szanse przetrwać ten szkwał.

– No cóż – dodał Gregori z niewrażliwością człowieka, który ma

żelazny żołądek. Chwytając Symmynsa za rękaw, rzucił: – Osobiście nie mogę się doczekać dużej porcji tłustego bekonu, jajek sadzonych i świeżo parzonej herbaty.

Mat zzieleniał na twarzy, co pierwszy oficer skwitował wybuchem śmiechu.

– No dobra, Symmyns. Nie będę się nad tobą znęcał. Na wypadek gdybyś nie słyszał, dodam, że rano na śniadanie będzie gorąca owsianka. Może uda ci się trochę zjeść i zaraz nie wyrzygać.

– Owsianka brzmi znacznie lepiej niż bekon z jajami, sir! – pokiwał energicznie głową Symmyns.

– Po prostu postaraj się rano coś zjeść – poradził mu Gregori. – Wiem, że to niełatwe w taką pogodę, ale jesteś marynarzem wystarczająco długo, aby zdawać sobie sprawę, że pełny brzuch jest równie ważny jak rajujący się piec.

– Tak jest! – skinął głową Symmyns.

Gregori przeniósł spojrzenie na trzeciego oficera.

– Okręt jest w twoich rękach, Dahnel. – Zaśmiał się ponownie. – Wyobrażam sobie, że Vyktyr już się nie może doczekać, kiedy go zmienisz. Pewnie odlicza minuty...

– Ja też je odliczam, tylko z nieco mniejszym entuzjazmem niż on.

– Gdybyś tryskał entuzjazmem na myśl o wyjściu na mostek, wysłałbym cię do lekarza. Masz moje słowo.

Pierwszy oficer skinął głową i postawił nogę na pierwszym szczeblu drabiny. Korzystanie z zewnętrznych szczebli przy tym stanie morza wydawało się mało rozsądne.

Bahnyface odprowadził go spojrzeniem, potem zaczerpnął głęboko tchu, kiwnął głową do ponurych wachtowych ociekających wodą, zwolnił zasuwę pancernych drzwi i wyszedł na sterburtowe skrzydło mostka.

Wycie wiatru gwałtownie przybrało na sile, zupełnie jakby rozgniewane powietrze postanowiło zmienić ciężkie drzwi w młot, a gródź w kowadło, on jednak jakimś cudem zdołał nad nim zapanować i nie pozwolił się zgnieść. Potem wtulił głowę w ramiona i ruszył przed siebie, napierając na ścianę wiatru niczym na lity mur.

Vyktyr Audhaimyr okazał się tak przemoczony, zmarznięty i nieszczęśliwy – a przy tym zachwycony na jego widok – jak Bahnyface

się spodziewał.

– Na Langhorne’a! – Drugi oficer musiał się pochylić i przysunąć usta do ucha Bahnyface’a. – Tak się cieszę, że cię widzę! – dodał, zupełnie jakby czytał w myślach zmiennika.

– Potrafię to sobie wyobrazić! – odkrzyknął Bahnyface, przymocowując linkę bezpieczeństwa do poręczy. W normalnych okolicznościach nie używało się ich na mostku, ale w tej konkretnej chwili okoliczności były dalekie od normalnych, a kapitan Cahnyrs znany był z tego, że lubi mieć swoją załogę na pokładzie, nie zaś za burtą i pod wodą. – Sprawdziłem dziennik pokładowy! Masz coś do dodania?

– Nie! To znaczy... – Audhaimyr odwrócił się i wskazał ręką na północny wschód, przez co z rękawa jego sztormiaka spłynęła kaskada wody. – Jakies dwie godziny temu straciłem z oczu światła *Cherayth*. Nic jednak nie wskazywało na to, aby miał on jakieś problemy, a poza tym na niebie nie pokazały się race sygnalizacyjne. Przypuszczam, że wszystko jest w porządku, a jedyny problem to widoczność.

Bahnyface skinął głową, mając nadzieję, że Audhaimyr się nie myli. Na każdym okręcie klasy City było prawie dwieście pięćdziesięciu marynarzy.

– HMS *Bayport* jest za to tam, gdzie powinien – kontynuował Audhaimyr, tym razem wskazując rufę. – HMS *Gairmyn* płynie po jego sterburcie. Od mniej więcej godziny ani razu nie widziałem HMS *Zakole*, ale piętnaście minut temu *Gairmyn* dał sygnał, dzięki któremu wiem, że *Riverband* znajdował się wtedy za jego rufą.

Bahnyface pokiwał głową energiczniej. *Skoro cztery z ogółem pięciu okrętów drugiej eskadry kanonierek pozostały w zwartej formacji pomimo tej pogody, cuda nadal się zdarzają!* – pomyślał. *Jestem pewien, że Audhaimyr ma też rację co do Cherayth.*

No, niemal pewien.

– Dobra! – ryknął w ucho przyjaciela Bahnyface. – Przejmuję wachtę! Idź i zjedz coś ciepłego, a potem się prześpij!

– Lepszej propozycji dawno nie słyszałem! – Audhaimyr walnął go w ramię, skinął głową na podległych mu wachtowych, którzy raczej niecierpliwie czekali na zdanie służby swoim zmiennikom, odpiął własną linkę zabezpieczającą i skierował się ku wątpliwemu schronieniu, jakim był w tych warunkach kiosk.

Nie mogę się doczekać, kiedy sir Dustyn wprowadzi do użytku te całe zabudowane mostki, pomyślał ponuro Bahnyface, usiłując znaleźć miejsce, w którym wysoka do piersi osłona mostka ochroniłby go przynajmniej przed najgorszymi rozpryskami niesionymi przez wiatr od strony dziobu. Znalazł w końcu takie – ledwo, ledwo – po czym natychmiast się skrzywił, widząc nietrzymane przez nikogo koło sterowe pośrodku mostka. Zaraz jednak się uspokoił: sternik musiał przejść na swoje drugie stanowisko za osłoną, i bardzo dobrze. Ostatnie, czego było im trzeba przy tej pogodzie, to nieprzytomny ze zmęczenia sternik!

*Nie będę mu zazdrościł, pomyślał Bahnyface, który jednak nie miałby nic przeciwko własnemu zacisznemu kącikowi pod dachem. W pół myśli przykucnął, wypluł wiadro solanki, która zalała mu usta, i dokończył w duchu: *Tylko musiałby to być naprawdę solidny dach!**

Z tego, co wiedział, okręty klasy Król Haarahld miały właśnie taki zabudowany mostek, a poza tym przy swoich czternastu tysiącach ton wyporności raczej by nie odczuwały skutków złej pogody tak bardzo jak HMS *Eraystor* teraz.

Ha! – dodał cierpko w duchu. *To tylko znaczy, że potrzebny będzie znacznie gorszy sztorm, aby im narobić kłopotu.*

Złapał się sztycy sztormrelingu, nie spuszczać oka z bliźniaczych gejzerów, które wystrzeliwały w górę przez kluzy za każdym razem, gdy dziób okrętu opadł na fale, i nie przestając się dziwić żywiołowi, który szalał wokół niego. Nic tak jak sztorm nie otwierało człowiekowi oczu na to, jak mały i nic nieznaczący jest w obliczu boskiej kreacji. Bahnyface uznał, że raczej nie powinien myśleć o czekających ich wciąż tysiącach mil podróży.

Pozostawili zatokę Trelheim daleko za sobą, zatrzymawszy się wcześniej w stacji węglowej, którą hrabia Sharpfieldu założył w zatoce Put-in na wyspie Wzgórze podczas swej dziewiczej podróży na wyspę Szpon. Wyspa Wzgórze leżała nieco ponad dwieście mil od lądu, po drugiej stronie Przesmyku Złamanych Serc, aczkolwiek ląd w tym wypadku oznaczał Trelheim, a „korsarze” nie zamierzali spierać się z Imperium Charisu o własność wyspy, której nigdy tak naprawdę nie chcieli. Zresztą jaką wartość ma wyspa będąca hałdą węgla? Nie da się jej przewieźć, nie da się spieniężyć ani sprzedać, ani tym bardziej zjeść – w związku z tym żaden szanujący się korsarz nie chciał mieć z nią nic

do czynienia.

A skoro ten brak zainteresowania pozwalał nie nadebrać na odcisk największej potędze morskiej w historii Schronienia, tym lepiej.

Nie znaczyło to bynajmniej, że admirał Zhaztro i pozostali nie czują się lekko nieswojo. Największym minusem okrętów klasy City był zasięg wynoszący jedynie tysiąc mil. Nawet przy maksymalnie wypełnionych ładowniach można było mieć nadzieję na pokonanie co najwyżej tysiąca siedmiuset mil. Dlatego, gdyby w przewidywanym miejscu z jakiegoś powodu nie znaleźli w odpowiednim czasie węglarki, mieliby poważny kłopot. Z tego powodu płynęły za nimi na wszelki wypadek inne galeony wiozące węgiel, lecz przecież cała idea wykorzystania drugiej eskadry kanonierek zasadzała się na założeniu, że pokona on ten dystans znacznie szybciej niż zwykły galeon uzależniony od żagli i wiatru. Postój w zatoce Put-in, która bynajmniej nie była najlepiej chronioną zatoką na świecie, byłby zaprzeczeniem tej idei. A i to zakładając, że nikt inny wcześniej nie wpadłby na pomysł rzucenia tam kotwicy.

Tak czy owak zmierzali do tej hałdy węgla i niewielkiego samotnego garnizonu piechoty morskiej strzeżonego przez baterię artylerii. Znajdowali się akurat w pół drogi pomiędzy wyspami Wzgórze i Jabłko, która była najbardziej wysuniętą na południe wysepką Archipelagu Łez położonego dwa tysiące mil na zachód północny zachód od wyspy Szpon. Zakładając, że węglarka czekała na nich zgodnie z optymistycznymi przewidywaniami, mieli w perspektywie szuflowanie węgla, aby napełnić nim żarłoczne luki okrętów. Po załadunku wyruszą znowu, lecz nie bezpośrednio na wyspę Szpon, która w dalszym ciągu będzie o kilkaset mil za daleko jak na ich możliwości, lecz na wyspę Anielskie Skrzydło. Ta z kolei leżała pięćset mil na północny zachód od wyspy Drzewo Gree. Tam ponownie uzupełnią zapasy węgla, jeśli nic im w tym nie przeszkodzi, i udadzą się w dalszą drogę, tym razem z myślą o pokonaniu ostatniego odcinka długości tysiąca dwustu mil aż do wyspy Szpon. Ogółem mieli przed sobą trzy tysiące siedemset mil do pokonania, co – nawet przy obecnej prędkości – musiało zająć następne trzynaście dni, nie licząc czasu potrzebnego na uzupełnianie zapasów węgla.

Z drugiej strony, odkąd dostali rozkazy w zatoce Mathyas, pokonali już prawie siedemnaście tysięcy mil. Tak naprawdę popłynęli dwadzieścia tysięcy mil na wschód, żeby dotrzeć do celu, który był

położony mniej niż sześć tysięcy mil na zachód od miejsca, z którego wyruszyli, a to dlatego, że po drodze znajdowały się tak niefortunne przeszkody, jak kontynenty uniemożliwiające podróż w linii prostej. Gdyby popłynęli na południe, skróciliby ten dystans o jakieś siedem albo nawet osiem tysięcy mil, opływając południowy kraniec Howardu, a następnie kierując się na północny zachód i przez cieśninę Quieroz, jednakże z jakiegoś dziwnego powodu Delferahk i Harchong Południowy nie chciały pozwalać Cesarskiej Armii Charisu na tworzenie stacji zaopatrzeniowych niezbędnych, by kanonierki klasy City były w stanie posuwać się żabimi skokami wzdłuż ich wybrzeży. Tak więc pozostały im tylko małe składy węgla na samotnych wysepkach – stąd ruszyli na wschód z Chisholmu zamiast na zachód z Charisu, szczególnie że musieli brać pod rozwagę warunki pogodowe panujące na Oceanie Południowym oraz na wschodniej części Morza Sprawiedliwości. Obecnie w tej części Schronienia było lato, aczkolwiek w trakcie zakładania stacji węglowej pogoda była zdecydowanie inna, a o ile dało się pokonać cieśniny Schueler czy Sądu Ostatecznego w normalnych warunkach, to...

Ograniczenia kanonierek klasy City pod względem dystansu były powodem, dla którego to okręty klasy Król Haarahld otrzymały zadanie poprowadzenia ofensywy na Zatokę Dohlariańską. Taki okręt bowiem miał zasięg dwunastokrotnie większy niż HMS *Eraystor* i mógł pokonać całą drogę z Tellesbergu bez ani jednego postoju na załadunek paliwa, a poza tym już na miejscu, w Zatoce Dohlariańskiej, cieszyłyby się znacznie większą swobodą ruchów, nie wspominając o tym, że jego główna bateria artyleryjska byłaby w stanie poradzić sobie z każdymi fortyfikacjami. Niestety katastrofalny w skutkach pożar w zakładach w Delthaku sprawił, że budowanie okrętów tej klasy wstrzymano, Cesarska Flota Charisu zaś miała w zwyczaju realizować swoje plany bez względu na to, czy jest wyposażona w odpowiednie narzędzia czy też nie.

Z tego właśnie powodu syn Mahtyldy Bahnyface, Dahnell, znalazł się pośród szalejącego sztormu w samym środku Morza Wiatrów, w drodze ku zaimprovizowanej bazie, której istnienia nie mógł być całkowicie pewien.

Chcesz zobaczyć świat, wstąp do marynarki wojennej, przypomniał sobie słowa zachęcające rekrutów do porzucenia życia szczonego lądowego.

Tak, tak właśnie mówili tamci dranie. Bóg Jedyne świadkiem, że od tamtej pory zobaczyłem szmat świata. Szkoda tylko, dodał w myślach, mrużąc oczy w ochronie przed sieczącym wiatrem i zacinającym deszczem, że nikt nie zająknął się słowem, w jakich warunkach będę go oglądał!

.VII.
Syjon
Ziemie Świątynne

Alahnah Bahrns, która właśnie coś szkicowała, poderwała głowę znad szkicownika, kiedy usłyszała dzwonek. Krótki zimowy dzień skończył się wiele godzin temu, a od tamtej pory śnieg zdążył się rozpadać jeszcze bardziej, spowijając ulice tumanem. Mało prawdopodobne więc było, że tramwaje będą dalej kursować przy takiej pogodzie. To zaś raczej wykluczało gości.

Dzwonek odezwał się ponownie, Alahnah natomiast poczuła lekkie zdenerwowanie. A nawet strach. Mimo że dwudziestopięciolatka nie powinna się bać, gdy ktoś dzwoni do jej drzwi w mieście Boga. Jednakże ostatnimi czasy tyle było niepewności, tyle obaw...

Kiedy dzwonek rozległ się po raz trzeci, Alahnah się otrząsnęła. Niemożliwe, aby przyszli ją aresztować! Gdyby tak było, nikt by raczej nie stał grzecznie pod drzwiami, raz po raz korzystając z dzwonka. Ta myśl doprowadziła ją do ataku chichotków. W końcu Alahnah podeszła do masywnych drzwi i odsunęła zabezpieczający je rygiel. Wyjrzała na korytarz, unosząc brwi, po czym momentalnie otworzyła drzwi szerzej.

– Wuj Gahstahn! Co ty tu robisz o tej porze?

– Witaj, Lahna – odparł mężczyzna, używając dziecięcego przyzwyczajenia, które znał tylko on i Krystahl.

Alahnah rozłożyła szeroko ramiona i objęła wuja, mimo że płaszcz miał cały mokry od śniegu. Złapała mężczyznę za rękę i pociągnęła go do środka. W obecnych czasach nie było jej stać na to, aby rozpalić duży ogień, ale przynajmniej pomieszczenie było dobrze odizolowane, a do tego wisiały w nim zasłony i grube koce, które dodatkowo chroniły przed przeciągami.

– Możesz zdjąć płaszcz. Zaparzę nam herbaty.

– Nie mogę zostać długo, Lahna – ostrzegł mężczyzna, na co uśmiech spełził jej z twarzy, gdyż w tej samej chwili zauważyła jego minę.

– Jak to? – Przytrzymała go za rękę mocniej. – Przecież dopiero co pokonałeś dziesięć przecznic, żeby tu dotrzeć, i to przy takiej pogodzie! Chyba masz czas, żeby poczekać na herbatę?

– Niezupełnie. – Potrząsnął głową. – Po prostu akurat tędy przechodziłem...

– Przechodziłeś? W drodze dokąd? – Zmrużyła oczy w szparki. – Wujku, zaczynam się bać.

– Och, nie chciałem cię przestraszyć! – Znowu potrząsnął głową, tym razem mocniej, i zdobył się na uśmiech. Niespecjalnie mu to wyszło. – Ja tylko... Chciałem tylko zapytać, czy widziałaś może Krys w ostatnich dwóch dniach.

– Proszę? Jak to? – zamrugła oczami Alahnah. Rysy twarzy jej stężały. – Pytasz, czy ją widziałam? To znaczy, że ty jej nie widziałeś od dwóch dni?!

Przez moment miała wrażenie, że nie odpowie na jej pytanie. W końcu jednak Gahstahn zgarbił ramiona i skinął głową.

– Ostatnio widziałem ją w środę na mszy – wyznał z ciężkim sercem. – Powiedziała mi, że musi coś załatwić. Od tamtej pory się nie pokazała w domu.

Alahnah zakryła usta ręką i rozszerzyła oczy.

– Pytałeś w szpitalach? Rozmawiałeś z kapitanem gwardii świątynnej?

– Oczywiście! – Troska o córkę sprawiła, że Gahstahn Bahrns odpowiedział ostrzej, niż zamierzał. Dlatego zaraz położył dłoń na ramieniu dziewczyny i przybrał skruszoną minę. – Oczywiście – powtórzył ciszej. – Wszystko bez efektu. Zupełnie jakby rozplynęła się w powietrzu. Liczyłem na to, że ty będziesz wiedzieć coś więcej. Na przykład co takiego miała do załatwienia...

– Och... – sapnęła Alahnah.

– Zatem wiesz coś o tym? – Piuwne oczy Gahstahna, które odziedziczyła po nim córka, rozszerzyły się raptownie. Zabłysła w nich nadzieja.

– Krystahl powiedziała mi, że idzie na spotkanie z przyjaciółmi. – Położyła obie dłonie na barkach zafrasowanego mężczyzny. – Twierdziła, że jednym z nich będzie Sebahstean Graingyr. Grupa ta miała

przedyskutować jakąś petycję.

– Petycję? – podchwycił Gahstahn ostrym tonem, chociaż nie wydawał się zdziwiony, a już na pewno był mniej zaskoczony, niżby Alahnah mogła się spodziewać. – Jaką znowu petycję? Do kogo?

– Do wikariusza Rhobaira – odparła cicho. – Ci ludzie chcieli... chcieli skłonić go, by przyjrzał się ich zastrzeżeniom co do ostatecznych aresztowań poczynionych przez Inkwizycję.

Gahstahn przymknął oczy. Mina wyraźnie mu zrzęła.

– Wiedziałem, że Krys coś przede mną ukrywa. Wiedziałem! – Otworzył znowu oczy i spróbował się uśmiechnąć, co jednak niespecjalnie mu wyszło. – Zawsze wiedziałem, kiedy coś knuliście. Ostrzegłem ją jednak, że czasami... a zwłaszcza w środku świętej wojny... nie da się ot tak po prostu... – Jego głos stawał się coraz cichszy, aż całkiem zanikł.

Alahnah skinęła głową, czując, jak w jej oczach wzbierają łzy.

– Nie wiemy, czy... Nie wiemy, czy spotkało ją coś złego – szepnęła.

– Krystahl zawsze się opowiadała, dokąd idzie i kiedy wróci – rzekł głuchym tonem Gahstahn. – W najgorszym razie przesyłała mi wiadomość! – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Nigdy jeszcze nie zachowała się w ten sposób, nie zmartwiła mnie do tego stopnia...

– Co zatem zrobimy? – zapytała Alahnah głosem małej dziewczynki.

– My? Nic! Trzymaj się od tej sprawy z daleka, młoda damo! – Gdy otworzyła usta, aby zaprotestować, złapał ją za rękę i potrząsnął nią mocno. – Posłuchaj mnie, Lahna! Nie chcę, żebyś napytała sobie kłopotów. Jeśli nawet Krys wpadła w tarapaty, obiecaj mi, że nie pójdziesz w jej ślady. Nie chcę, żeby i ciebie spotkało coś złego!

Tama w końcu puściła i łzy polały się po twarzy dziewczyny. Gahstahn objął ją mocno.

– Co zrobisz, wujku? – zapytała go cichutko, tak że ledwie ją usłyszał ponad wyciem wiatru na zewnątrz.

– Znajdę Krystahl – oświadczył niewiele głośniejszym głosem, chociaż z wielką pewnością siebie. – Rozmawiałem z kapitanem straży świątynnej, odwiedziłem szpital... Jak na razie nie pytałem o nią tylko nikogo z Inkwizycji.

– Ale co będzie, jeśli... jeśli...

Urwała, niezdolna dokończyć, a jemu rysy twarzy stężały jak granit.

– Jeśli Inkwizycja aresztowała Krys, to z pewnością jakaś pomyłka. Nie wyobrażam sobie, aby moja córka mogła być zaangażowana w coś nielegalnego. Co innego ten młody Graingyr i reszta... – Potrząsnął głową, a w jego strwożonych oczach błysnął gniew. – Tak, oni mogli zrobić coś głupiego. Jeżeli Krys znalazła się w złym miejscu w złym czasie, została aresztowana i przewieziona na przesłuchanie. – Przełknął nerwowo. – Skoro tak się jednak stało, dlaczego nikt mnie nie zawiadomił? Przecież tak stanowi prawo, którego gwarantem jest sama Inkwizycja! No ale jak tylko z nimi porozmawiam i wyjaśnię, że Krystahl jest niewinna, na pewno ją wypuszczą.

Alahnah skinęła głową, chociaż nie do końca się z nim zgadzała. Z tego, co zdążyła zauważyć, Gahstahn również nie był wcale takim optymistą, po prostu nie chciał przyznać się przed nią do własnego strachu.

– Wrócisz mi powiedzieć, jak już coś odkryjesz? – zapytała, choć bardziej zabrzmiało to jak rozkaz.

– O ile tylko będzie to możliwe. Bo widzisz... Jeżeli to nieporozumienie okaże się poważniejsze, niż przypuszczam, ja również mogę na jakiś czas zniknąć. – Jego wargi drgnęły w uśmiechu. – Wierzę jednak, że wszystko się wyjaśni, i to już wkrótce. Tymczasem postaraj się w nic nie wplątać.

Alahnah chciała się sprzeciwić, ale tylko zacisnęła usta i pokiwała głową z nieszczęśliwą miną.

– Cóż – rzucił Gahstahn z wymuszonym entuzjazmem. – Chyba będę się już zbierał. Jeśli szczęście mi dopisze, zastanę ojca Charlza w jego biurze. Znam się z nim od niepamiętnych czasów. Nie wątpię, iż będzie równie jak ja wstrząśnięty faktem, że Inkwizycja miała jakieś powody aresztować Krystahl!

.VIII.
HMS *Skrzydło*, 18
Zatoka Dohlariańska
oraz
Pałac w Manchyrze
Manchyr
Corisand
Imperium Charisu

Dobrze się czujesz, Hektorze? – zapytał cicho porucznik Hahlbyrstaht, na co Hektor Aplyn-Ahrmahk czym prędzej wyjął nos z kieliszka wina.

Kajuta przydzielona kapitanowi HMS *Skrzydło* była niewielka w porównaniu z tą, jaką by zajmował na większym okręcie, jednakże akurat tego wieczoru bynajmniej nie sprawiała wrażenia ciasnej. Od trzech dni panowała niezwykle ciepła pogoda jak na tę porę roku, tak więc okna rufowe zostały otwarte, dzięki czemu można było podziwiać wspaniałe srebrzysty księżyc, który właśnie wyłaniał się zza linii horyzontu Zatoki Dohlariańskiej, przez wywietrzniki przy świetlikach zaś wpadała ożywcza bryza. Hektor i pierwszy oficer co najmniej trzy razy każdego pięciodnia spożywali razem kolację, przy okazji wymieniając się informacjami związanymi z dowodzeniem nawet tak małego okrętu wojennego, a ten akurat wieczór, dzięki przyjemnej aurze, sprawił, że posiłek okazał się jeszcze przyjemniejszy niż zazwyczaj. Nie dało się jednak ukryć, że Hektor jest rozkojarzony, co wyraźnie zmartwiło Hahlbyrstahta.

– Hmm? – Przez moment Hektor miał błędne spojrzenie, zupełnie jakby patrzył na coś niewidzialnego. Zaraz się jednak uśmiechnął. – Wybacz, Zosh. – Potrząsnął głową. – Chyba trochę się rozkojarzyłem. Myślami byłem z Irys.

Uśmiechnął się ponownie, tym razem szerzej, na co pierwszy oficer odpowiedział uśmiechem.

– Nie dziwię się – przyznał. – Wprawdzie nie jestem jeszcze żonaty, ale Marzh zamienia to zmienić, jak tylko wrócę na ląd. Ale nawet teraz całkiem często krążę wokół niej myślami. Poza tym – spoważniał nieco – zdaje się, że to już pora na bliźniaki.

– Właśnie – potaknął Hektor. – Szczerze mówiąc, to jest powód, dla którego nie mogę przestać o niej myśleć. Mogę mieć pewność, że Irys czuje się świetnie. Pasquale świadkiem, że jej brat Daivyn dopilnuje, aby miała najlepszych uzdrowicieli w całym Corisandzie. Cóż, skoro rozum swoje, a serce swoje.

– Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej. Przecież nie spędziliście ze sobą wiele czasu, nim obowiązki znów wezwały cię na pełne morze.

– To prawda – zgodził się Hektor, mimo że obaj doskonale wiedzieli, czyj to naprawdę był wybór. Żadna siła bowiem nie zmusiłaby członka rodziny cesarskiej, w dodatku żonatego z księżniczką Irys, do podjęcia służby, gdyby tego nie chciał, zważywszy szczególnie na jego niesprawną rękę.

– Wydaje mi się, że omówiliśmy już wszystko, co było do omówienia – zmienił temat pierwszy oficer. – Chyba że tobie przychodzi do głowy jeszcze coś, o czym warto by wspomnieć?

– Nie. – Hektor uśmiechnął się krzywo. – No ale, jak już ustaliliśmy, jestem dziś trochę rozkojarzony.

– Cóż, od czasu do czasu masz prawo być tęsknym żonkosiem. – Hahlbyrstaht dotknął ramienia dowódcy, na co nigdy nie pozwoliłby sobie na oczach załogi. Godność kapitana bowiem musi być zawsze na pierwszym miejscu, i to bez względu na wielkość okrętu. A może szczególnie dotyczyło to małych okrętów? – Może byś usiadł i napisał do niej list czy coś, podczas gdy omówię kwestię ożaglowania z bosmanem? Jeśli przypomnisz sobie jeszcze o czymś, zawsze możesz mnie zawołać.

– A wiesz co? To wcale nie jest taki zły pomysł. Dzięki, Zosh. Nie będę słuchał, co o tobie mówią. Jak na Chisholmczyka jesteś całkiem w porządku.

– Tak tylko podlizuję się dowódcy, wasza książęca mość – powiedział Hahlbyrstaht, szczerząc zęby, po czym pożegnał się i opuścił kabinę.

Hektor uśmiechał się jeszcze przez chwilę, a następnie wstał od stołu. Rozejrzał się po pomieszczeniu, patrząc kolejno na wszystkie – znajome mu – elementy wyposażenia w chybottliwym blasku zapalanej lampy,

i wreszcie podszedł do szeroko otwartego okna rufowego. W przeciwieństwie do większych jednostek HMS *Skrzydło* nie miał pomostu rufowego, lecz Hektor zadowolił się jedną z ław wbudowanych naprzeciwko parapetu, dzięki czemu mógł się odchylić i wygodnie oprzeć o wewnętrzną obłą część kadłuba szkunera. Jedną stopę oparł o parapet i patrzył przez okno na spieniony kilwater, przysłuchując się szeptom wody opływającej płetwę sterową, podczas gdy HMS *Skrzydło* płynął przed siebie z prędkością prawie siedmiu węzłów. Przez wywietrzniki wpadało do środka wystarczająco dużo świeżego powietrza, aby poruszyć kartkami książki leżącej na koi, a także by na podobieństwo palców kochanki wzburzyć ciemne włosy Hektora. Księżyc, unosząc się coraz wyżej na niebie, świecił jasno nad horyzontem niczym srebrna moneta, a jego odbicie tańczyło na lustrze wody.

Ktoś, kto by obserwował Hektora Aplyn-Ahrmahka w tym momencie, mógłby pomyśleć, że widzi on cokolwiek z tego, co ma przed oczami.

– Jestem, kochanie – szepnął w stronę roztaczającego się przed nim morza. – Jak się miewasz?

– Czuję lekkie podenerwowanie, jeśli mam być szczerą – odparła Irys Aplyn-Ahrmahk z odległego Manchyru.

Siedziała wygodnie rozparta na fotelu, z nogami na podnóżku, spowita w miękką, ciepłą szatę, mając obok siebie dzbanek z gorącą czekoladą. Niebo za oknem jej sypialni właśnie jaśniało pierwszymi pociągnięciami świtu, ona jednak nie spała już od dwu godzin, odliczając czas dzielący kolejne skurcze.

– Boże Jedyne, tak bardzo bym chciał być tam z tobą! – wymruczał prosto w jej ucho Hektor. – Powinienem być zostać!

– Oboje uznaliśmy, że lepiej będzie, jeśli popłyniesz z sir Dunkynem. – W jej głosie pobrzmiwała nuta nagany. – Poza tym nie jestem jakąś wieśniaczką, która musi się martwić o to, czy siostrzyczki zdążą do niej na czas. Chyba nie muszę ci przypominać, że nie licząc narodzin córki Sharleyan i Cayleba, żadna inna ciąża na Schronieniu nie była tak pilnie monitorowana.

– Tak czy owak jestem ojcem tych dzieci i powinienem być tam teraz z nimi i z tobą – upierał się Hektor. Nagle westchnął. – Co nie zmienia faktu, że to niemożliwe. Bóg Jedyne tylko wie, ile milionów ojców na przestrzeni stuleci nie mogło być u boku żony w trakcie porodu. Skoro

już o tym mowa, ciekawe, ile setek tysięcy marynarzy i żołnierzy jest obecnie w tej samej sytuacji co ja?

– Bez wątpienia duzo. A jeszcze więcej mężczyzn ma świadomość, że po powrocie będzie na nich czekać dziecko, którego w życiu nie widzieli na oczy.

Hektor zaczerpnął głęboko tchu.

– Taaak. Pod tym względem moje położenie jest odrobinę lepsze – dodał, gapiąc się na księżyc, widząc jednak twarz Irys, która właśnie potaknęła skinieniem.

– Otóż to. Nawet jeśli nie możesz tu być fizycznie, mamy przynajmniej to. – Pokazała na swoje ucho z miniaturową słuchawką i na oko z soczewką kontaktową. – Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że mogę teraz z tobą porozmawiać!

– Zawdzięczasz to Zoshowi, który wykazał się wielkim taktem – skomentował Hektor ze śmiechem. – Oraz sobie samej, dzięki idealnemu zgraniu w czasie. Jeśli się pośpieszysz, być może będę świadkiem narodzin bliźniąt.

– Mam się pośpieszyć? – Irys zmroziła go spojrzeniem i zaraz zacisnęła zęby, kiedy dopadł ją kolejny skurcz. Odczekała, aż ból podbrzusza przeminie, po czym pokręciła głową. – Posłuchaj no, marynarzu. To wszystko twoja wina. Nie wymądrzaj mi się tutaj, skoro to ja muszę odwalić całą robotę.

– Nie wymądrzam się – odparł z udawaną wyższością. – Po prostu dobrze ci radzę. Zostało może trzynaście godzin do chwili, gdy Stywyrta zabębni w moje drzwi, przynosząc dzbanek tej ohydnej herbaty fasolowiśniowej, w której tak się rozkochał.

Hektor wzdrygnął się teatralnie. Nie miał adiutanta z prawdziwego zdarzenia – liczba załogi HMS *Skrzydło* była na to za mała – dlatego Stywyrta Mahlyk przypisał sobie tę rolę, pełniąc zarazem funkcję okrętowego sternika. Niestety okazało się, że ma dość specyficzne pojęcie na temat obu tych stanowisk.

– Całe szczęście, że pilnuje, abys jadł regularnie – skwitowała Irys surowym głosem, chociaż w jej oczach lśniły iskierki rozbawienia. – Sir Dunkyn wykazał się wspaniałomyślnością, użyczając ci Stywyrta.

– To raczej przypomina adopcję – wyraził swoje zdanie Hektor. – Ale tak, masz rację. Jestem szczęściarzem, że się mną opiekuje. Niestety gdy

uzna, że pora na pobudkę, nie będę mógł dłużej tu siedzieć zamysłony i rzucać w przestrzeń: „Oddychaj, kochanie. A teraz przyj, przyj!”. A że bardzo bym chciał móc to robić, poprosił w moim imieniu bliźniaki, aby zabrały się do dzieła!

– Nie chcę nikogo popędzać ani nic – wydyszała Irys Aplyn-Ahrmahk – ale czy to nie mogłoby się wreszcie skończyć?

Nie prezentowała się najlepiej w tym momencie. Włosy miała zlepione potem, z jej oczu wyzierało wyczerpanie, a ból sprawił, że kąci jej ust opadły niżej niż zwykle, w miarę jak słońce chyliło się za zachodni horyzont. To był długi, męczący dzień, a zanosilo się nawet na jeszcze dłuższą noc.

– To zrozumiałe, że tak mówisz, moja droga – rzekła lady Sahmantha Gahrvai, ocierając czoło Irys mokrą szmatką. – Nie zapomnij oddychać głęboko.

– Oddycham przecież! – warknęła Irys pomiędzy sapnięciami. – Robię to od wielu godzin! Przy okazji myśląc sobie, że taki poród przynosi kobiecie ujmę. Kto to w ogóle wymyślił i dlaczego nie może się to odbywać w bardziej godny sposób?

– Mairah – lady Sahmantha zwróciła się do drugiej kobiety. – To przerażające, ale ona chyba myśli, że jest pierwszą położnicą, której ta myśl przyszła do głowy.

– Przypuszczam, że pomyślała tak każda pierworódka – odparła z uśmiechem wysoka kobieta stojąca po przeciwnej stronie łóżka. Z powodu złocistych włosów i szarych oczu wyglądała tu, w Corisandzie, na cudzoziemkę, a jednak siostra księcia Corisandu jakby nigdy nie ścisnęła jej rękę, wzmacniając uchwyt, ilekroć przychodził wyjątkowo bolesny skurcz. – Naturalnie nie przemawia przeze mnie doświadczenie, jak sama rozumiesz. Miałam dość oleju w głowie, aby wyjść za mężczyznę, który zdążył się dochować pięciorga dzieci. Zyskałam pełną rodzinę bez potrzeby przechodzenia przez... to.

Lady Mairah Breygart prychnęła przez nos, a Irys się roześmiała. Po jedenastu godzinach bólów porodowych śmiech był raczej wysiłony i chrapliwy, niemniej wskazywał na rozbawienie położnicy.

– Zatem fakt, że twój mąż od roku przebywa hen daleko, na kontynencie, twoim zdaniem nie ma nic wspólnego z tym, że nie musiałaś przechodzić przez to co ja w tej chwili? – zapytała ją księżna.

– Cóż, żeby mogło dojść do porodu, rodzice muszą spędzić jakiś czas razem, wasza wysokość – oznajmiła lady Sahmantha, posyłając wysokiej kobiecie spojrzenie tyleż rozbawione, co pełne współczucia. – No i jest potrzebna także pewna doza entuzjazmu obu stron. Aczkolwiek, co do entuzjazmu, niektóre osoby mają go więcej od innych, przynajmniej sądząc po rezultatach.

– Ojej! Wygląda na to, że ona zna cię lepiej, niż przypuszczałem, moja mała bezwstydnico! – szepnął Irys wprost do ucha bezcielesny głos mężczyzny znajdującego się na wodach Zatoki Dohlariańskiej.

– Och! Och! – Irys potrząsnęła głową. – Ani mi się waż mnie rozśmieszać... Sahmantho – dodała poniewczasie.

– W twoim obecnym stanie śmiech to samo zdrowie – wtrąciła członkini Zakonu Pasquale, zanim ktokolwiek zdążył skomentować tę wpadkę księżnej. – Bliźniaki pojawią się na świecie w swoim czasie. Przyda się wszystko, co choć na chwilę odciągnie twoje myśli od tego, co się dzieje.

– Jak to dobrze, że wszystkie macie poród za rzecz tak... prozaiczną – rzuciła gorzko Irys. – Z mojej perspektywy wydaje się on znacznie bardziej kłopotliwy.

– Naturalnie. – Lady Sahmantha nachyliła się, aby przyłożyć chłodną dłoń do policzka Irys. – Chyba pamiętasz słowa archanioł Bédard. „To, co przychodzi nam zbyt łatwo, nie cieszy się stosownym poważaniem”. – Pogładziła Irys po twarzy. – Uwierz mi na słowo, wasza wysokość. Te dzieci będziesz ceniła niebotycznie.

– Domyślam się. – Irys wyciągnęła rękę, którą nie ścisnęła Mairah Breygart, i złapała wolną dłoń hrabiny Skalnego Kowadła. Na to żona Rysela Gahrvaia uśmiechnęła się do niej i przechyliła głowę na bok, przy czym pasemka siwizny w jej czarnych włosach zaśniły w promieniach zachodzącego słońca. – Dziękuję, że tu jesteś...

– Obiecałam to twojej matce, zanim umarła. W chwili, gdy już było wiadomo, że od nas odejdzie. Musi być teraz z ciebie taka dumna... Z ciebie i z Daivyna.

Łzy wzruszenia wezbrały w oczach Irys, gdy Sahmantha porzuciła na

tę krótką chwilę konwenanse, którym hołdowała od powrotu Irys do Corisandu, natychmiast jednak poczuła kolejny skurcz, stęknęła i zaczęła dyszeć jeszcze mocniej.

– Wszystko odbywa się zgodnie z planem, wasza wysokość – poinformowała ją siostra Kahrmyncetah ku pokrzepieniu. – Możesz mi zaufać, wiem, co mówię. Powoli zmierzasz do celu. Wiem, że to męczące, ale bliźnięta potrzebują więcej czasu, zwłaszcza w wypadku pierworódki. Na razie wszystko idzie jak należy.

Irys skinęła głową, nie przerywając dyszenia, a w jej piwnych oczach pojawiła się wdzięczność za te słowa otuchy.

Doskonale wiedziała, że ryzyko komplikacji w wypadku bliźnięt jest znacznie większe. Wszakże – pomimo ograniczeń Pisma – członkinie Zakonu Pasquale były wysmienitymi położnymi i akuszerkami. Choć – podobnie jak uzdrowiciele – nie miały pojęcia o bakteriach – wiedziały, czego wymaga od nich Księga Pasquale, mianowicie odprawienia rytuału przy użyciu tak zwanego toniku Pasquale (znanego także jako kwas karbolowy). Użycie wrzątku rozumiało się samo przez się, a do tego były one przeszkolone na wypadek wystąpienia problemów. Nie wspominając o tym, że umiały prokurować naturalne antybiotyki z mchu Fleminga, jak również dziesiątki innych skutecznych leków z rozmaitych roślin występujących na Schronieniu, z których znaczna część została stworzona w wyniku inżynierii genetycznej przeprowadzonej na ziemskich gatunkach przez zespół Pei Shan-wei. Siostrzyczki miały nawet pojęcie o grupach krwi i transfuzjach, a uzdrowiciele posiadali wiedzę o ludzkiej anatomii nie tak znów różną od tej, którą posługiwali się lekarze na Starej Ziemi ery przedkosmicznej. Oczywiście istniały przypadki, w których cała wiedza okazywała się niewystarczająca z powodu braku odpowiednich narzędzi, niemniej – mimo to – odsetek zgonów w położu na Schronieniu był zadziwiająco niski. Jeśli chodzi o śmiertelność wśród noworodków, to oscylowała ona w granicach tej z połowy dwudziestego wieku na Starej Ziemi. Dlatego też, gdy członkini Zakonu Pasquale oferowała pokrzepienie, można jej było w pełni zaufać.

Aczkolwiek w wypadku tej konkretnej siostrzyczki w grę wchodziło wykorzystanie czegoś więcej niż tylko Księgi Pasquale. Można było się domyślić, że kapitan Chwaeriau będzie bardzo niezadowolona, kiedy się dowie, iż księżniczka Irys zaczęła rodzić niecałe dziesięć godzin po tym,

jak bliżej niesprecyzowane, choć niewątpliwie bardzo ważne sprawy odwołały ją samą z Manchyru. Irys jednak przyjęła to ze stoicyzmem filozofa. Bez wątpienia tęskniła ze *seijinką*, która została oddelegowana do jej i Daivyna ochrony – Nimue Chwaeriau stała się Irys bliska nie mniej niż Mairah Breygart – ale na szczęście w tej sytuacji siostra Kahrmyncetah była jej godną zastępczynią.

Nikt nie był do końca pewien, skąd siostrzyczka się wzięła. Nic więc dziwnego, że porucznik Hairahm Bahnystyr, dowódca osobistej straży Irys, zgłosił pewne obawy, gdy kobieta pojawiła się znienacka minionego wieczoru. Było jasne, że czułby się o wiele spokojniejszy, gdyby kapitan Chwaeriau była na miejscu i mogła za nią poświadczyć. Niestety *seijinka* wybyła w sobie tylko znanych sprawach, przez co porucznik musiał się zadowolić zdaniem prostego arcybiskupa.

Cokolwiek mówić, Klairmant Gairlyng – choć nie był *seijinem* ani tym bardziej gwardzistą szkolonym w sztuce walki – pełnił funkcję prałata Kościoła Charisu na terenie Corisandu. A to zapewniało mu pewien posłuch nawet u najbardziej podejrzliwego dowódcy straży. Pomijając wszystko inne, porucznik z pewnością żywiłby większe obawy i zastrzeżenia, gdyby wiedział, że arcybiskup Klairmant poznał siostrzyczkę Kahrmyncetah sześć godzin przed tym, zanim oboje pojawili się niespodzianie w pałacu w Manchyrze.

Tak się jednak składało, że Gairlyng, jak niemal każdy w Corisandzie, zdawał sobie sprawę z istnienia dziesiątek *sejinów* działających za kulisami na powierzchni całego Schronienia bez odślaniania swej prawdziwej twarzy i motywacji. W gruncie rzeczy arcybiskup miał nawet więcej doświadczenia, jeśli chodzi o *sejinów*, niż przeciętny człowiek, tak więc – mimo że Nimue Chwaeriau nie było na miejscu, aby przedstawić siostrzyczkę Kahrmyncetah porucznikowi Bahnystyrowi – *seijinka* zdążyła przynajmniej uprzedzić arcybiskupa o planowanej wizycie zakonnicy. Dając przy tym wystarczająco jasno do zrozumienia, że siostra Kahrmyncetah to tak naprawdę *seijinka* Kahrmyncetah.

W tej sytuacji arcybiskup Klairmant nie miał żadnych oporów i przedstawił zakonnice ojcu Zhefry'emu, uzdrowicielowi doglądającemu Irys. Ten zaś – urodzony w Republice Siddarmarku niższy rangą duchowny będący członkiem Zakonu Pasquale – nawet jeśli żywił jakieś obawy, zachował je w całości dla siebie. Z radością przyjął oferowaną pomoc i rychło stwierdził, że jeszcze nigdy w swojej karierze nie miał do

czynienia z równie sprawną akuszerką.

Którą w rzeczy samej jestem, pomyślała siostra Kahrmyncetah, dotykając przegubu Irys, aby zbadać puls, ciśnienie i saturację pacjentki z dokładnością, jakiej nawet najlepiej wyszkolony człowiek z krwi i kości nie byłby w stanie osiągnąć. *Na szczęście – w przeciwieństwie do Merlina – nie mam najmniejszych problemów z interfejsem i transferem, a zasoby banków danych Sowy biją na głowę wszystko, co zdążyli przez stulecia wykombinować wszyscy członkowie Zakonu Pasquale razem wzięci. Lecz choć ciąża Irys przebiegała od początku podręcznikowo, nikt z członków wewnętrznego kręgu nie zamierza ryzykować na tym etapie!*

– Mówi prawdę, moja droga – w uchu Irys odezwał się kolejny głos. – Alahnah przyszła na świat szybciej, ale była tylko jedna! – W słuchawce rozległ się cichy śmiech, a Irys uśmiechnęła się, mimo że jej trzewiami targwały kolejne skurcze. Z radością słuchała głosu Sharleyan, z której obecności przy porodzie zdawała sobie sprawę tylko ona i zakonnica. Tymczasem cesarzowa kontynuowała: – Radzisz sobie świetnie, moja droga. Sahmantha ma rację, mówiąc, że twoja matka musi być z ciebie teraz bardzo dumna. Ja także jestem z ciebie dumna!

– Doceniam te słowa otuchy – wysapała Irys do Sharleyan, jak również do otaczających ją kobiet, ledwie następny skurcz ustąpił. Opadła na pościel zlna potem, pozwalając, by jej pierś unosiła się i opadała gwałtownie. – Rzecz w tym, że nikt mnie uprzedził, ile ciężkiej pracy mnie czeka.

– Bzdury opowiadasz! – zganiła ją Sahmantha z cichym śmiechem. Uwolniła dłoń z uścisku księżniczki, aby zmienić kompres na jej czole. – Uprzedzałyśmy cię, ale ty nie chciałaś nam wierzyć!

– W sumie racja – przyznała Irys i znowu stęknęła. Jej twarz spięła się z powodu cierpienia, a palce chwyciły dłoń lady Mairah niczym w imadło.

– Wszystko idzie jak najlepiej – szepnęła jej do ucha Sharleyan.

– Słuchaj jej, bo wie, co mówi – poparł cesarzową Hektor. – Rozpiera mnie duma! Tylko nie zapomnij o oddychaniu!

– I aby nie przyj – przestrzegła ją siostra Kahrmyncetah na głos. – Wiem, że bardzo byś już tego chciała, ale dzieci nie są jeszcze na to gotowe.

Irys rzuciła głową konwulsyjnie, a jedna z zakonnicek, które pomagały

przy porodzie, zaczęła zapalać lampy w komnacie, gdyż słońce właśnie całkiem schowało się za horyzont.

– A niech to, ależ chciałbym tam teraz być! – pożalił się Hektor na kanale niesłyszalnym dla Irys. – Wiem, że to niemożliwe, ale...

Urwał, lecz nie zmienił pozycji, mimo że księżyc już dawno zniknął z nieboskłonu. *Do świtu nie pozostało już wiele czasu*, pomyślał Hektor. Niebawem Mahlyk zapuka do drzwi z herbatą fasolowiśniową i kiedy się zorientuje, że przełożony całą noc spędził, gapiąc się w okno, zechce się dowiedzieć dlaczego.

– Chyba niepotrzebnie się powtarzam – dodał ze smutkiem Hektor.

– Tak, mówiłeś to już kilka razy – zgodził się z nim głos nienależący do jego żony.

– Cóż, do pojawienia się Stywyrta została godzina, góra dwie. Jeśli do tego czasu dzieci nie pokażą się na świecie, to... – Potrząsnął głową.

– Stywyrta Mahlyk to porządny człowiek, Hektorze – upomniała go Sharleyan. – Aczkolwiek raczej nie będzie milczał, gdy uzna, że ktoś powinien ci przypomnieć o konieczności dbania o siebie.

– To prawda – westchnął Hektor, nie spuszczać oka z corisandzkiej komnaty, której obraz widniał na jego soczewkach kontaktowych. – Nie znaczy to jednak, że nie będzie dla mnie utrapieniem, jeżeli zapragnie mnie odciągnąć akurat wtedy, gdy Irys zacznie rodzić. To nic, że kocham go jak brata, i tak będę miał ochotę wyrzucić go za burtę z kamieniem u szyi dla towarzystwa.

Cesarzowa Sharleyan zaśmiała się. W Tellesbergu był już ranek następnego dnia, lecz za oknem panowała szarzyzna. Z nieba padał ulewny deszcz i nic nie wskazywało na to, aby miało się rychło przejaśnić. Sharleyan trzymała oburącz kubek z gorącą czekoladą i wpatrywała się w strugi wody zalewające szyby okienne. Księżniczka Alahnah spała smacznie na kocyku u jej stóp, otoczona przez klocki, przytulanki i książeczki z obrazkami. Garnuszek z czekoladą grzał się na małym piecyku obok, na stoliku zaś leżały ciasteczka migdałowe. Sairaih Hahlmyn wiedziała, że jej pani życzy sobie spędzić wraz z córką spokojny dzień w zaciszu własnej komnaty. Ponieważ zdarzało się to

bardzo rzadko, zarówno Sairaih, jak i sierżant Edwyrd Seahamper byli gotowi bronić jej prywatności z zaciekleścią godną smoków.

Ironiczne wydało się jej, że ona – władczyni najpotężniejszego imperium na Schronieniu – łatwiej może znaleźć chwilę dla siebie niż zwykły porucznik marynarki wojennej. Przecież powinno być na odwrót!

Niestety fakty były faktami.

– Wiesz, wszyscy mamy na nią oko – odezwała się ponownie. – I chyba nie muszę ci mówić, jak bardzo byśmy wszyscy chcieli, abyś mógł być z Irys osobiście w tej najważniejszej chwili jej życia.

– Oczywiście. – Hektor uśmiechnął się lekko, choć nie zdołał zataić niepokoju w głosie, który tak skrętnie starał się ukryć przed żoną. – Muszę przyznać jedno: i tak mam więcej szczęścia niż każdy inny marynarz w podobnej sytuacji! Co nie znaczy bynajmniej, że nie wolałbym teraz trzymać Irys za rękę...

– Jak my wszyscy – wtrącił Cayleb z Siddaru, gdzie siedział przy stole śniadaniowym i raczył się smakołykami w towarzystwie Aivah Pahrsahn i Merlina Athrawesa. – Tyle dobrego, że możemy liczyć na zastępstwo Nimue.

– O, tak – potwierdziła siostra Kahrmyncetah nieco kwaśno. – Tylko wiecie, akurat w tym momencie jestem troszeczkę zajęta...

W przeciwieństwie do pozostałych rozmówców nie musiała powiedzieć tego głośno, a to dzięki wbudowanemu komunikatorowi CZAŁO.

Dwadzieścia minut później Irys sapnęła:

– Ojej!

Siostra Kahrmyncetah nachyliła się nad nią z uśmiechem, aby lepiej zobaczyć małą główkę.

– Ojciec – zwróciła się zakonnica do wchodzącego właśnie do komnaty duchownego. – Jesteś w samą porę.

– Tak? – Ojciec Zhefry pokonał szybko dystans dzielący go od łóżka i ujął położnicę za rękę. Także popatrzył w dół, ale zaraz poderwał wzrok na twarz Irys, aby powiedzieć do niej: – Siostra ma rację, moja droga. Była najwyższa pora zakończyć przerwę na czekoladę. Pod moją

nieobecność wykonałaś kawał dobrej roboty, wasza wysokość. Brawo!

– Nie miałam wielkiego wyboru, ojczy. – Głos Irys wypadł chropawo, czego powodem było biorące nad nią górę zmęczenie, jak również niekończący się ból. Mimo wszystko rodząca potrafiła zdobyć się na humor, co duchowny skwitował aprobowującym skinieniem głowy. Od samego początku podejrzewał, że księżniczka spisze się znacznie lepiej niż większość pierworódek, tymczasem okazało się, że poradziła sobie nawet lepiej, niż sądził. – Ale chciałabym, żeby to się już skończyło!

– Wyobrażam sobie. Gdybyś zechciała sięgnąć tutaj ręką... – Pokierował trzymaną delikatnie w samych palcach kobiecą dłonią.

Irys dotknęła ciemienia wyłaniającej się na świat główki i stęknęła:

– Oooooo....

Oczy jej się rozszerzyły, a usta wygięły w szerokim uśmiechu. Irys podniosła wzrok na twarz siostry Kahrmyncetah, która odpowiedziała szafirowym spojrzeniem. Moment później położnica znowu jęknęła, gdy dopadł ją następny skurcz. Cofnęła dłoń i złapała za rękę lady Mairah, po czym zacisnęła mocno zęby i zaczęła przec, tak jak ją tego nauczono.

– Teraz przez jakiś czas będziesz robić dwa kroki do przodu i jeden w tył – przestrzegł ojciec Zhefry. – To normalne. Radzisz sobie wyśmienicie! Ten maluch już niedługo przyjdzie na świat.

– A potem będę jeszcze musiała wypchnąć z siebie jego braciszka albo siostrzyczkę – wysapała między pchnięciami Irys.

– Tak, skarbie – potwierdził w jej uchu głos ukochanego. – I w tym drugim wypadku także wszystko pójdzie jak z płatka. Na pewno mi nie uwierzysz, kiedy powiem, że nigdy nie byłaś piękniejsza, ale to szczerą prawdą. To znaczy – głos obok miłości nabrzmiał też humorem – wyglądasz oczywiście okropnie pod wieloma względami, ale osobiście nie widziałem nigdy piękniejszego widoku. Do tego chyba się uwiniesz, zanim Styvyrt urządzi mi pobudkę. Wyzwę na pojedynek każdego, kto powie, że corisandzkie dziewczyny są spóźnialskie!

Ojciec Zhefry nawet się nie domyślał, czemu jego pacjentka znienacka wybuchnęła śmiechem, skoro wciąż targały ją skurcze, niemniej znowu pokiwał głową z aprobatą.

.IX.

Wytwórnia kapeluszy pani Marzho

Syjon

Ziemie Świątynne

To twój najbardziej udany projekt, Alahnah. – Zhorzhet Styvynsyn uśmiechnęła się w zachwycie. – Szczególnie podoba mi się to futerko jaszczurodrapa...

– Cieszę się. – Uśmiech modystki trwał krócej. – Sądzisz, że pani Marzho będzie zadowolona?

– Ależ tak, na pewno. – Zhorzhet przechyliła głowę. – Coś cię trapi, Alahnah?

– Czy coś mnie trapi? – Alahnah się zaśmiała. Nie zabrzmiało to przekonująco, z czego doskonale zdawała sobie sprawę, ale i tak natychmiast pokręciła przecząco głowę. – Nic mnie nie trapi, Zhorzhet. To znaczy nic oprócz tego, czy pani Marzho będzie zadowolona z tego modelu kapelusza.

– Jeśli naprawdę nie masz innych zmartwień, możesz przestać się niepokoić. Wikariusz Tahdayus szukał właśnie czegoś takiego, jego żona będzie zachwycona. Ten kapelusz idealnie pasuje do jej włosów, no i do tego futra ze śnieżnego smoka, które sprawił jej zeszłego miesiąca.

– Och, to dobrze. – Alahnah zdobyła się na nieco bardziej szczerzy uśmiech. – Miałam stracha, kiedy pani Marzho zleciła mi zrobienie tego kapelusza. Naturalnie wiedziałam, że i tak wszystko dwa razy sprawdzi i nie pozwoli mi na żadne fanaberie, które by się nie sprawdziły w praktyce, lecz to zawsze wielka zmiana, gdy dotychczasowa ekspedientka zasiada za stołem modystycznym.

– O, moja droga. – Zhorzhet objęła ją i uścisnęła mocno. – Zasłużyłaś sobie na to. Masz wyjątkowe wycucie koloru i kształtu. Wcale się nie dziwię, że pani Marzho cię awansowała. Zapracowałaś sobie.

– Dziękuję. – Alahnah odwzajemniła uścisk. – To wiele dla mnie znaczy, zwłaszcza z twoich ust.

– Pamiętaj, ja zawsze mówię szczerze... no chyba że nadarzy się klientka, która ma więcej pieniędzy niż rozumu i za grosz wyobraźni!

Ku własnemu zdziwieniu Alahnah zachichotała, a Zhorzhet w końcu ją puściła. Spojrzenie błękitnych oczu starszej kobiety wyraźnie mówiło, że nie uwierzyła ona w bajeczkę o jedynym zmartwieniu młodszej koleżanki. Wszakże Zhorzhet nie miała w zwyczaju wtykać nosa w nie swoje sprawy, za co między innymi Alahnah tak ją lubiła. Wiedziała bowiem, że może liczyć na jej pomoc w każdej chwili – wystarczy tylko, że poprosi. Cóż, skoro są sprawy, w których rozwiązaniu nie można liczyć na niczyją pomoc...

A także, dodała ostrym tonem w duchu, są sprawy, w które nie wplątuje się przyjaciół, jeśli tylko można tego uniknąć!

Skinęła głową Zhorzhet, po czym podeszła do wystawy, którą pani Marzho kazała jej zaaranżować przed lunchem. Znow rozpadał się śnieg, tak więc nie było mowy o sznurze klientek ciągnących do salonu. Dzięki temu Alahnah powinna mieć wystarczająco dużo czasu, aby przyozdobić wystawę zgodnie z oczekiwaniami mocodawczyni. Oczywiście wołałaby, aby za oknem panowała ładna pogoda. Mdłe szare światło przesączające się przez grubą warstwę chmur nie wydobędzie w pełni kolorów i nie odda ich subtelnej tonacji.

Cóż, zawsze będziesz mogła zmienić aranżację, gdy w końcu wyjdzie słońce, pomyślała Alahnah. A na razie potraktuj to jako zastępczy powód do zmartwienia.

Przygryzłszy wargę, zaczęła zdejmować kapelusze i przesuwac manekiny. Powtarzała sobie przy tym, że zamartwianie się jeszcze nikomu nie wyszło na dobre. Sam Langhorne bowiem powiedział: „Dosyć ma dzień swojej biedy. Ale ten dzień przeminie, jako i bieda przeminie. A wasza troska ani nie przyśpieszy, ani nie spowolni upływu dnia; dlatego odepchnijcie swe obawy i zaufajcie Bogu Jedynemu, On bowiem zdejmie z waszych barków brzemię niepewności tak samo jak każde inne brzemię”.

Niestety Alahnah nigdy nie potrafiła się zastosować do rady archanioła – nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach. Po niemal dwóch pełnych dniach ciszy ze strony wuja Gahstahna, pomijając to, co przytrafiło się Krystahl, niepokój i strach stały się jej nieodłącznymi towarzyszami. Przez moment – ale tylko przez moment –

zastanawiała się, czyby nie podzielić się swymi obawami z Zhorzhzet. Jednakże nigdy wcześniej nie wspomniała koleżance z pracy o kłopotach kuzynki czy swoich wątpliwościach. Miała wszelkie powody przypuszczać, że Zhorzhzet wysłuchałaby jej cierpliwie i z życzliwością, Alahnah jednak wiedziała, że nie wolno angażować innych w takie sprawy. Nigdy bowiem nie wiadomo, jak zareagują ani komu powtórzą zasłyszane słowa. O kwestii zagrożenia dla nich samych nie wspominając. To, że Krystahl miała obecnie takie problemy, wynikało zapewne z tego, że porozmawiała z niewłaściwą osobą. A Alahnah zbyt lubiła Zhorzhzet, aby ją narażać na nieprzyjemności.

Zhorzhzet Styvynsyn aktualizowała księgi ze zmarszczonym czołem.

Nie wiedziała, co gnębi Alahnah, za to czuła pewność, że cokolwiek to jest, nie ma wiele wspólnego z kwestią, czy Alysyn Marzho spodoba się nowy model kapelusza dla żony wikariusza Tahdayusa czy też nie. Och, oczywiście, że było to ważne zlecenie dla młódki, której dalsza kariera mogła zależeć od tego, czy projekt się spodoba czy nie. Ale przecież Alahnah od lat domyślała się, że nie będzie zawsze ekspedientką. Miała prawdziwy talent, a pani Marzho dbała o swoje pracownice i zawsze wyłuskiwała diament, który wymagał tylko obróbki.

Może chodziło o mężczyznę? Z tego, co Zhorzhzet wiedziała, Alahnah nie spotykała się z nikim. Nie należała do rozrywkowych dziewcząt, a poza tym Zhilbert Ahtkyn, z którym była zaręczona, pełnił służbę w Armii Boga. Po tym, jak na ochotnika wstąpił do wojska, został wcielony do Armii Sylmahn. Ostatni list od niego otrzymała przed trzema miesiącami. Zważywszy na to, jaki los spotkał Armię Sylmahn, osoba taka jak Alahnah na pewno nie będzie zawracać sobie głowy innymi mężczyznami. A przynajmniej nie tak szybko.

Tak czy owak Alahnah ma jakiś problem, pomyślała Zhorzhzet. Z drugiej strony, Bóg Jedyny świadkiem, że w dzisiejszych czasach problemów nie brakuje nikomu. Prychnęła w duchu. Niektórzy wkrótce będą mieli jeszcze gorsze kłopoty, do czego chętnie się przyczynię. Przy odrobinie szczęścia i czasu...

Wewnętrzne drzwi do sklepu otworzyły się z takim impetem, że aż

strąciły dzwonek, który zawiadamiał o pojawieniu się klienta. Rozległ się zgoła nieharmonijny dźwięk, co słysząc, Zhorzhēt poderwała głowę.

I rozszerzyła oczy ze zdumienia na widok dwóch gwardzistów, którzy wtłoczyli się do środka. Za nimi podążał duchowny niższej rangi oraz zakonnik w purpurze Zakonu Schuelera. Zobaczywszy ich, Zhorzhēt skamieniała na moment.

Zaraz jednak złapała się dłonią za szyję i przełknęła ciężko, by chwilę później objąć palcami medalion, który nosiła na łańcuszku. Szarpnęła lekko, zrywając go z uwięzi, i ukryła we wnętrzu dłoni, po czym dopiero wstała celem przywitania przybyłych.

– Panowie – powiedziała, skłaniając głowę przed gwardzistami i wykonując pełny ukłon w stronę duchownych. – Ojcze, bracie... W czym możemy wam służyć tego popołudnia?

– Chcę zamienić słowo z jedną z pracownic – oznajmił ksiądz, patrząc na nią zimnym wzrokiem. – Czy niejaka Alahnah Bahrns jest dzisiaj w pracy? Bo tu pracuje, prawda?

– Oczywiście, ojciec – odparła Zhorzhēt głosem znacznie spokojniejszym, niżby wskazywało to, jak się sama czuje. – Alahnah jest w sklepie.

– Od jak dawna jest zatrudniona?

– Od dwóch i pół roku. Chyba. Musiałabym zajrzeć do ksiąg.

– Czy kiedykolwiek dała powód, aby powątpiewać w jej lojalność wobec Boga Jedyneho i Kościoła Matki?

Pytanie padło nagle, zadane znacznie ostrzejszym tonem, Zhorzhēt więc zeszywniała w okamgnieniu.

– Skądże, ojciec! – Potrząsnęła głową. – Alahnah to niezwykle bogobojna kobieta, szczerze oddana Kościołowi Matce. Zapewniam, że gdybym myślała inaczej, sama bym na nią doniosła Inkwizycji.

– Ach tak? – Ksiądz przechylił głowę zupełnie jak wyverna, która przygląda się królikowi, zanim upoluje go na kolację. – Dobrze wiedzieć, że taka z ciebie wierna córka Kościoła Matki. Zwłaszcza w dzisiejszych czasach.

Zhorzhēt poczuła, jak pot zaczyna jej ściekać po czole, i zastanowiła się, czy duchowny to zauważy. Chociaż w gruncie rzeczy odrobina potu, nawet u najbardziej niewinnej osoby, nie powinna być niczym dziwnym

w oczach inkwizytora, który właśnie przystąpił do przesłuchania.

– Kościół Matkę cenię sobie ponad wszystko – zapewniła go Zhorzheth.

– Nie wątpię. – Uśmiechnął się blado. – Zatem gdzie znajdę pannę Bahrns?

– Zechciej pójść za mną, ojczy – powiedziała, wykonując zapraszający gest ręką, w której trzymała medalion.

Ksiądz odstąpił o krok, aby ją przepuścić, po czym ruszył za nią, deptając jej po piętach. Zhorzheth poczuła, jak puls jej przyspiesza. Medalion zwilgotniał od potu, ale tym się nie przejmowała. Przynajmniej pozostanie na swoim miejscu dopóty, dopóki nie będzie go potrzebować. O ile w ogóle okaże się potrzebny... *Jeśli Bóg jest dobry*, pomyślała, *nie będę musiała go użyć*. Na wszelki wypadek jednak zaczerpnęła głęboko tchu, przygotowując się na przeciwną ewentualność.

– Alahnah... Przepraszam – rzuciła, kierując się do wystawy. – Ktoś chce z tobą porozmawiać.

– Tak? – Alahnah, która stała tyłem do wnętrza sklepu, odwróciła się z miłym uśmiechem, lecz na widok purpury schuelerytów natychmiast spoważniała. – Och! – sapnęła, mimowolnie robiąc krok do tyłu. Dotknęła plecami szyby, zamarła i wytrzeszczyła oczy na inkwizytorów.

– Alahnah Bahrns? – zapytał ją surowo ksiądz.

– T-t-tak – wydusiła z siebie. – Nazywam się Alahnah Bahrns... ojczy.

– Chodź no tutaj, dziewczyno! – warknął, niecierpliwym gestem wskazując środek sklepu.

Jeszcze przez chwilę wpatrywała się w niego, uwięziona na wystawie, po czym zgarbiła ramiona i wykonała polecenie. Duchowny czekał, aż stanie naprzeciwko niego; dopiero wtedy skrzyżował ramiona na piersi i obrzucił ją karcącym spojrzeniem.

– Panno Bahrns, Inkwizycja ma do ciebie kilka pytań. Dotyczą one twojej kuzynki i twojego wuja.

– M-m-m...?

Tym razem zająknęła się na dobre, a w jej oczach zagościł strach i żal.

– Tak – potwierdził ksiądz, nie zmieniając wyrazu twarzy. – Oboje są obecnie w naszych rękach. Obawiam się, że moim zadaniem jest sprowadzić cię do nich.

– Jestem zatrzymana? – Alahnah pokręciła głową. – Nie! To musi być

jakaś pomyłka! Krystahl i wuj Gahstahn to dobrzy ludzie, ojcie! Kochają Kościół Matkę i archaniołów! Naprawdę!

– W takim razie nie mają się czego obawiać. Tak samo jak ty – dodał tonem, który sugerował coś wręcz przeciwnego. – Jestem pewien, że wszystko wkrótce się wyjaśni. No, a teraz już chodź z nami, dziewczyno.

Alahnah popatrzyła na niego błagalnie. I wbrew sobie pobiegła spojrzeniem do Zhorzheth, wyciągając do niej rękę w proszalnym geście.

Ksiądz zmarszczył oczy i zacisnął wargi. Skinął głową jednemu z gwardzistów.

– Tę drugą chyba też zabierzemy – powiedział. – Od przybytku głowa nie boli. Jeżeli ten spisek jest równie rozległy, jak podejrzewamy, na pewno będzie miała nam coś ciekawego do powiedzenia.

Walące jak młot serce Zhorzheth Styvynsyn zamarło.

– Ojcie – odezwała się. – Nie wiem nic o żadnych spiskach. Szczerze mówiąc, wątpię też, aby wiedziała o nich cokolwiek Alahnah. Co do siebie jednak mam stuprocentową pewność.

– W takim razie nie masz się czego obawiać – powtórzył ksiądz, po czym dał znak stojącemu za nią zakonnikowi.

Zhorzheth go nie widziała, ale wyczuwała jego obecność, dlatego momentalnie uniosła prawą rękę do ust, zanim zdążył jej dotknąć. Rozchyliła wargi, przymknęła oczy, aby zmówić ostatnią modlitwę. Wnętrzem dłoni już dotykała twarzy i...

Rozwarła nagle powieki, gdy palce zakonnika zacisnęły się na jej przegubie. Mężczyzna był zwarty i gotowy, jakby spodziewał się takiego polecenia, tak więc wykonał ruch na ułamki sekundy przed nią. I powstrzymał jej rękę tuż przed tym, zanim dotarła do jej ust. Zhorzheth okręciła się w miejscu, aby na niego spojrzeć; sięgnęła wolną ręką do jego oczu, cały czas próbując się oswobodzić i włożyć medalion pod język, jednakże on tylko odwrócił głowę, unikając jej paznokci, i wykręcił jej ramię. Gdy coś strzeliło jej w łokciu, zakrzyknęła z bólu i padła na klęczki, z twarzą pobielałą z cierpienia, po czym zawyła głośniej, kiedy zakonnik użył siły, aby utrzymać ją na podłodze.

– A co my tu mamy? – zapytał cicho ksiądz, nachylając się nad nią, podczas gdy jeden z gwardzistów już chwycił jej drugie ramię, także przymierzając się, aby je wykręcić.

Zhorzhet wpatrywała się w napastników, dysząc ciężko. Z jej błękitnych oczu sypały się wyzywające błyski, których nie był w stanie stłumić nawet strach. Mimo wszystko kobieta nie spuściła wzroku. Nie zrobiła tego nawet wtedy, gdy zakonnik, nie zważając, że przyprawia ją o niehumaniczny ból, wygiął jej rękę wewnątrz dłoni do góry i zaczął mocować się z jej zaciśniętymi palcami. Ksiądz sięgnął po medalion, uniósł go pod światło i uśmiechnął się tryumfalnie.

– Złapaliśmy większą rybę, niż mogłem mieć nadzieję – mruknął, zaciskając wokół medalionu pięść i chowając go do kieszeni. – Och, od tak dawna chciałem spotkać jedno z was...

.X.
Gabinet Allayna Maigwaira
Syjon
Ziemie Świątynne

To zły pomysł, Allaynie – powiedział arcybiskup polowy Gustyv Walkyr. – Bardzo zły. Tak zły, że aż brak mi słów. Hrabia Tęczowych Wód na pewno się ze mną co do tego zgodzi.

– Cóż, w takim razie jest nas już trzech – wzruszył ramionami Allayn Maigwair. – Rzecz w tym, że nie widzę innego sposobu.

Walkyr rozsiadł się na krześle, robiąc tak marsową minę, że wydawało się, iż nawet jego broda się zjeżyła. Maigwair najbardziej ze wszystkiego cenił w nim zdolność do mówienia prosto z mostu... przynajmniej gdy byli sam na sam. To – w połączeniu z niekwestionowaną kompetencją, żywiołowością i poczuciem osobistej lojalności – wyjaśniało, jakim cudem awansował ze zwykłego duchownego niższej rangi na arcybiskupa polowego w trakcie krótkich sześciu lat od klęski na Rafie Armagedonu. Należało mu również oddać to, że zachowywał swoje myśli dla siebie w obecności pewnych innych osób. Dziś jednak, widząc jego wzburzenie, Maigwair nie był już taki pewien jego dyskrecji.

– Posłuchaj, Gustyvie – powiedział naczelny wódz sił Kościoła Matki, nachylając się lekko nad biurkiem. – Jesteś mi potrzebny na swoim miejscu... żywy... więc bądź tak miły i nie odsłaniaj kart przed Zhaspahrem.

Walkyr mierzył go przez chwilę chmurnym spojrzeniem, ale w końcu odprężył się wyraźnie i nawet skinął sztywno głową.

– Rozumiem – rzekł. – Niemniej to naprawdę potwornie zły pomysł.

– Przyznaję, że ma swoje wady – potaknął Maigwair. – W pierwszej chwili zareagowałem identycznie jak ty. Od tamtej pory jednak miałem czas wszystko sobie przemyśleć i teraz widzę, że jeśli tylko nasze źródła nie kłamią, pomysł bynajmniej nie jest tak szalony, jak wygląda na

pierwszy rzut oka.

Walkyr prychnął z niedowierzaniem, a Maigwair sarknęła.

– Powiedziałem „tak” szalony – przypomniał.

Wstał i podszedł do wielkiej mapy topograficznej, która wisiała na ścianie jego gabinetu. Były na niej zaznaczone pinezkami wszystkie znane pozycje armii Charisu i Republiki Siddarmarku, natomiast malutkie flagi podawały nazwy odpowiednich armii. Teraz Maigwair puknęła jedną z nich, tę, która wskazywała kwaterę główną Armii Skalistego Szczytu i była umieszczona w Halfmynie, jednym z miasteczek prowincji o tej samej nazwie

– Według agentów Inkwizycji wszystko wskazuje na to, że Charisjanie zwiększają tu siły hrabiego Wysokiego Wzgórza w większym stopniu niż barona Zielonej Doliny w prowincji Nowa Północna lub księcia Eastshare w Marchii Zachodniej. – Machnął palcem nad chorągiewkami z nazwami innych armii. – Nie mamy niestety równie miarodajnych informacji na temat oddziałów Stohnara. – Postukał z ponurą miną w Guarnak, to jest miasto, w którym generał Trumyn Stohnar założył swoją kwaterę główną, po tym jak już jego armia rozprawiła się do końca z żołnierzami Bahrnabaia Wyrshyma. – Mamy dowody na to, że posiłki właśnie są przerzucane, aczkolwiek niewiadomą pozostaje ich liczebność. Możemy mieć jednak pewność, że co najmniej trzy nowe siddarmarckie dywizje strzeleckie trafią do hrabiego Wysokiego Wzgórza zamiast do Stohnara.

Raz jeszcze puknęła w pozycję Armii Skalistego Szczytu, a następnie wrócił za biurko, usiadł na swoim fotelu i odchylił się do tyłu na dwóch tylnych nogach, przybierając poważną minę.

– Czy wolno mi zapytać, skąd to wszystko wiemy? – zapytał sceptycznie Walkyr.

– Stąd, że jeden z naszych szpiegów w Siddarze dorwał w swoje ręce kopię rozkazów marszowych i przesłał ją do nas za pomocą wyverny pocztowej – odparł Maigwair. – Jak na razie to najpewniejsza informacja, ale są też inne. Nie byłbym skłonny wierzyć każdej z osobna, biorąc pod uwagę, jak często wróg dziurawił naszą siatkę szpiegowską, jednakże wszystkie one razem wzięte malują naprawdę spójny obraz. Do tego Zhaspahr zaklina się, że ten agent, od którego dostaliśmy wspomniane doniesienia, jeszcze nigdy się nie pomylił ani nie nakarmił

nas fałszywymi wiadomościami. Jeśli dobrze rozumiem, jest to ten sam człowiek, który zdobył dla nas nowe technologie wytopu stali.

Walkyr zamyślił się, a Maigwair wzruszył ramionami.

– Powiedziałem przecież, że normalnie potraktowałbym te informacje z większą dozą nieufności. Na Chihiro, nadal żywię pewne wątpliwości... Jednakże jak dotąd nic nie przeczy temu, czego się dowiedzieliśmy, a co najmniej część danych pochodzi z niekwestionowanego źródła. A skoro tak, musi być jakiś powód, dla którego wzmacniają właśnie siły hrabiego Wysokiego Wzgórza kosztem dywersyfikacji oddziałów siddarmarckich, odmawiając posiłków Stohnarowi i rezygnując z rzucenia na nas wojsk Republiki Siddarmarku. Które... nie muszą chyba ci tego przypominać... nie miały sobie równych przez ponad stulecie. Coś takiego z pewnością kole Stohnara, nawet jeśli Cayleb i Sharleyan uratowali mu wcześniej tyłek. Myślę, że lord protektor stara się za wszelką cenę, aby znaczna część wojsk znalazła się pod siddarmarckim dowództwem, i wnioskuje z tego, że tyle jego nowych dywizji właśnie kieruje się ku hrabiemu Wysokiego Wzgórza, iż to nie przypadek. Również fakt przeniesienia kwatery głównej tego ostatniego do Halfmynu nie jest dla nas najszcześniejszy.

Walkyr zmarszczył czoło, nie przestając się przyglądać mapie z miejsca, gdzie siedział.

Halfmyn leżał ponad trzysta mil na południe od Aivahnstynu nad rzeką Daivyn, gdzie Armie Glacierheart pod dowództwem Cahnyra Kaitswyrtha spotkał smutny koniec, a tak się złożyło, że to właśnie Armia Skalistego Szczytu pod wodzą hrabiego Wysokiego Wzgórza była tą siłą, która przyczyniła się do ostatecznego rozgromienia Armii Glacierheart. Obecnie musiała się znajdować spory kawałek na północ od Aivahnstynu, co znaczyło, że pokonany przez nią dystans wynosił jakieś czterysta mil.

– A co z generałem Symkynem? – zapytał, gestem wskazując mapę, która ukazywała także kwaterę główną Armii Daivyn pod wodzą Ahlyna Symkyna mieszczącą się w Aivahnstynie.

– Można przypuszczać, że i jego siły ulegają wzmocnieniu. Może nie aż tak bardzo jak hrabiego Wysokiego Wzgórza, ale z pewnością przynajmniej tak samo jak księcia Eastshare na północnej flance.

Wysłuchawszy odpowiedzi Maigwaira, Walkyr zmarszczył czoło

jeszcze bardziej.

– Zatem uważasz, że chcą zaatakować z południa? – zapytał z niedowierzaniem arcybiskup połowy.

– W każdym razie nie wykluczam tego. – Maigwair westchnął i pokręcił w palcach berło. – Nie tego się po nich spodziewałem, a już na pewno ich zeszłoroczna strategia na nic podobnego nie wskazywała. –

Wzruszył ramionami. – Rok temu, a także dwa lata wcześniej, skupili się na unicestwieniu wrogich jednostek. Poszło im całkiem nieźle, taktyka się sprawdziła i przyniosła im jak dotąd same sukcesy. Obecnie na pewno zdają sobie sprawę, że to Armia Pana Wszechmogącego i Archaniołów hrabiego Tęczowych Wód jest naszym asem w polu, a co za tym idzie... – dodał niechętnie – że prędzej czy później musimy ją odsłonić i narazić na ryzyko kontaktu. Jeśli uda im się ją obejść dookoła, jak to zrobili z Wyrshymem... co jednak może okazać się trudniejsze, szczególnie że mowa o kampanii w środku lata, aczkolwiek ci dranie są nieprzewidywalni, co mówię z przykrością... być może zdołają przeciąć Kanał Świętego Langhorne'a. A wtedy dwie trzecie Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów utraci główny łącznik z zapleczem Ziem Świętych. W przeciwnym razie nie będzie im brak mobilności i prawdopodobnie spróbują przełamać front w kilku miejscach, a później rozszerzyć wyłomy.

Walkyr skinął głową. Podzielał zdanie Maigwaira na temat przypuszczalnej strategii heretyków. W gruncie rzeczy nawet pomógł mu osiągnąć te wnioski.

Wrogowie Kościoła Matki, a zwłaszcza Cesarska Armia Charisu, udzielili obrońcom Boga Jedyne pewnej ważnej i bolesnej lekcji z zakresu znaczenia mobilności, zaczynając od unicestwienia Armii Shiloh, a kończąc na miażdżących kampaniach zeszłego lata nad rzeką Daivyn oraz w Zatoce Sylmahna. Armia Boga usiłowała właśnie zrobić użytek z tej przewagi w wypadku swoich nowych dywizji, z czego połowa składała się z dragonów – konnej piechoty, ale nie lansjerów – chociaż nikt nie liczył specjalnie na to, że dywizje te okażą się równie skuteczne jak – co tu ukrywać – o wiele bardziej doświadczeni Charisjanie. Z kolei Armia Pana Wszechmogącego i Archaniołów znajdowała się, i to pod wieloma względami, w znacznie gorszym położeniu niż Armia Boga, gdy szło o mobilność piechoty, czego powodem, nie najmniej ważnym, było to, że chłopcy pańszczyźniani nie mieli zaufania do koni jako do środka

lokomocji. Dlatego hrabia Tęczowych Wód, chcąc zwiększyć siłę swej konnej piechoty, został zmuszony do przedziergnięcia jednostek kawalerii w dragonów, Walkyr zaś bynajmniej nie był przekonany, czy ta zmiana jest więcej niż powierzchowna w wypadku większości harchońskich oficerów kawalerii.

W każdym razie, pomimo wszelkich wysiłków, oddziały Kościoła Matki miały pozostać znacznie mniej mobilne od przeciwnika. A skoro tak, jedynym rozsądnym posunięciem Cayleba i jego dowódców było wykorzystanie tego faktu, co oznaczało skupienie się Charisjan na zniszczeniu bądź przynajmniej upośledzeniu harchońskich dywizji hrabiego Tęczowych Wód już w nadchodzącej kampanii. Przebicie się przez czoło Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów w starannie wybranym jednym miejscu – bądź kilku takich miejscach – umożliwiłoby rozbicie zgrupowań jazdy na tyłach hrabiego Tęczowych Wód. Gdyby ta sztuka się udała, w efekcie Armia Pana Wszechmogącego i Archaniołów zostałaby podzielona na kilka niemających ze sobą łączności części, z którymi łatwo byłoby się rozprawić na dobre.

Właśnie z tego względu ćwierć stanu Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów zyskało status rezerwy strategicznej, trzymanej w znacznej odległości od frontowych pozycji Harchończyków, co miało – w założeniu – skontrować próby przedarcia się Charisjan lub Siddarmarczyków.

– Ledwie Rayno przedstawił mi nowe raporty Inkwizycji na temat posiłków kierowanych do hrabiego Wysokiego Wzgórza, kazałem Tobysowi i jego ludziom przeanalizować skrupulatnie wszystkie dane – podjął Maigwair. – Poleciałem mu także wziąć pod uwagę naszą sytuację. Naturalnie wszystkie wnioski stąd wysnute należy traktować jako czysto hipotetyczne. Na Chihiro! Oddałbym jedno jądro, może nawet dwa, byle tylko mieć szpiegów równie przemyślnych, jak ma Cayleb! –

Posłał mapie gniewne spojrzenie, po czym wzruszył ramionami i ponownie wbił wzrok w Walkyra. – Tak czy owak, mamy wyraźne sygnały, że wzmacniają swoją lewą flankę zdecydowanie bardziej, niżby to robili, gdyby zamierzali zrobić to, co naszym zdaniem powinni zrobić, jeśliby mieli choć trochę oleju w głowie. Niestety z przykrością muszę przyznać, że jak dotąd nie odnieśliśmy żadnego sukcesu w próbie ich przechytrzenia.

Uwadze Walkyra nie umknął fakt, że Maigwair zmilczał to, że on sam

i Armia Boga radzą sobie na tej wojnie o wiele lepiej niż Zhaspahr Clyntahn. Gdyby naczelny wódz sił Kościoła Matki miał wolną rękę i mógł podejmować decyzje bez ciągłego wtrącania się wielkiego inkwizytora, Cahnyr Kaitswyrth zostałby zastąpiony na wiele miesięcy przed rozgromieniem Armii Glacierheart, a Bahrnabai Wyrshym otrzymałby pozwolenie na wycofanie się przed tym, zanim został odcięty i unicestwiony. Pytaniem bez odpowiedzi pozostawało, czy to wystarczyłoby, aby ocalić Armię Glacierheart zeszłego lata, niemniej nikt na miejscu Kaitswyrtha nie poczyniłby tyle szkód co on.

– Tak więc – kontynuował Maigwair, nieświadom myśli arcybiskupa polowego – możemy spokojnie założyć... w teorii rzecz jasna... że heretycy postanowili zbić kapitał na sukcesie odniesionym przez hrabiego Hanthu w konfrontacji z Rychtyrem. Zdaniem Zhaspahra – w tym momencie przewrócił oczami – to wyjaśnia, czemu nie wzmocnili sił tego pierwszego.

– Słucham? – Walkyr zamrugął, a Maigwair prychnął głośno.

– Zhaspahr wysunął przypuszczenie, że powodem, dla którego hrabia Hanthu nie dostaje tyle sprzętu i ludzi co inne armie, jest próba przekonania nas, że Dohlar to drugorzędny teatr wojny w oczach Cayleba i Stohnara. W jego opinii fakt, że mu powiedziałem, iż Dohlar jest drugorzędnym teatrem wojny w ich oczach, tylko uprawdopodobnia możliwość, że wszystko to tylko wyrafinowane mydlenie oczu. Na które my daliśmy się nabrać. Powinniśmy zatem zlekceważyć zagrożenie na południowej flance, tak jak ja to zrobiłem, celem skoncentrowania sił na północy, aż hrabia Wysokiego Wzgórza będzie gotów przedrzeć się przez przełęcz Tymkyn i bądź to ruszyć na południe hakiem, aby połączyć się z siłami hrabiego Hanthu i załatwić Dohlar raz na zawsze, usuwając go z gry, bądź to kontynuować marsz na południowy zachód do Dairnythu.

– Do Dairnythu? – powtórzył słabo Walkyr.

– To bardziej prawdopodobne, niż myślisz – rzekł z powagą Maigwair.
– Och, nie przychyliam się do twierdzenia, że celowo pozbawiają hrabiego Hanthu wsparcia w postaci sprzętu i ludzi, aby wywołać w nas mylne wrażenie. Książę Eastshare jest na to za sprytny, a jeśli nawet nie on, to Cayleb i Stohnar na pewno. – Machnął lekceważąco ręką. – To jednak nie znaczy, że nie powitaliby z radością sytuacji, w której dochodzimy do wniosków takich jak Zhaspahr, szczególnie jeśli mają ambicje większe

niż tylko zneutralizowanie Dohlaru. Albowiem prawda jest taka, że gdyby tam zadziałali z zaskoczenia, a hrabia Wysokiego Wzgórza przedarłby się jednak do Dairnythu, mielibyśmy nie lada problem. Zwłaszcza gdy wziąć pod uwagę sytuację w zatoce.

Walkyr przechylił głowę, a Maigwair przestał wreszcie obracać w palcach berło i opadł przednimi nogami fotela na ziemię, tak że jego łokcie wsparły się na blacie biurka, on zaś nachylił się do przodu.

– Obecnie ich flota nadal prowadzi ostrożne działania w zatoce – przypomniał. – Ich korsarze, którzy obrali sobie za cel ataków statki handlowe, czynią wiele szkód, nie wspominając o uszczerbku, jaki odnosi nasza logistyka. Niemniej ich reakcja na to, co stało się w cieśninie Kaudzhu, to nic w porównaniu z tym, czego się spodziewaliśmy. To znaczy na razie.

– Sądzisz, że to się zmieni?

– Bardzo bym się zdziwił, gdyby się nie zmieniło, i to w najbliższym czasie – odparł ponuro Maigwair. – Nie mamy pojęcia, gdzie znajdują się te kanonierki, których użyli w Desnairze, a jak wiadomo, Cayleb Ahrmahk nie jest człowiekiem, który pozostawia bez odpowiedzi krzywdy wyrządzone jego flocie. Odbicie swoich ludzi przed tym, zanim zostali skierowani na Karę Schuelera, było wyraźnym tego dowodem, lecz ja gwarantuję ci swoim honorem, że po tym, co wydarzyło się w zatoce Hahskyn, te przeklęte kanonierki są właśnie w drodze do Zatoki Dohlariańskiej. Jeśli jeszcze nie dotarły na miejsce, niedługo to zrobią. A wtedy, jak sądzisz, co będzie z Królewską Flotą Dohlaru?

– Cóż, nasuwa mi się jedno słowo: „drzazgi”. – Wylkыр odpowiedział głosem jeszcze bardziej ponurym niż u rozmówcy.

Maigwair pokiwał energicznie głową.

– Otóż to! Cokolwiek sobie Zhaspahr myśli, hrabia Thirsku będzie walczył aż do śmierci. Ty i ja to wiemy. Mogę się tylko modlić do Boga Jedynego i archaniołów, by Rahnyld... lub jego doradca... pojął, że ich flota nie ma szans w starciu z napędzanymi parą kanonierkami, i w porę wycofał galeony. Bez względu na to, co Rahnyld zrobi, Charisjanie i tak obejmą zatokę w posiadanie. Nie chcę nawet myśleć, co to będzie oznaczać dla naszej logistyki na dłuższą metę; pewne jest tylko, że konsekwencje nawet na krótką metę będą katastrofalne, no i nastąpią niewątpliwie szybciej.

– Rozumiem, co chcesz powiedzieć... – Walkyr potaknął w zamyśleniu. – Zgadzam się z tobą, że kroi się fiasko na wielką skalę. – Starannie unikał słowa „przegrana”, mimo że rozmawiali tylko we dwóch, w zaciszu gabinetu Maigwaira. A jednak widmo przegranej unosiło się między nimi jak zły duch. – Nie sędzę jednak, aby nastąpiło ono już teraz.

– Nie? – Maigwair obnażył zęby w uśmiechu. – No to przemyśl sobie taki scenariusz... Oczekiwaliśmy, że nowe oddziały sformowane i wyszkolone w Chisholmie zasilą istniejące armie. Co jednak będzie, gdy zostaną wysłane na wschód? Gdy wróg wykorzysta swoją przewagę na morzu i pośle sto tysięcy żołnierzy przez Zatokę Dohlariańską, ku zatoce Tanshar, aż do zatoki Bess mniej więcej w tym samym czasie, gdy ludzie hrabiego Wysokiego Wzgórza zajmą Dairnyth i zaoferują im sprawnie działający port na południowej flance? Usher i Jhurlahnk zostały rozbite w proch pod Aivahnstynem w zeszłym roku, a nie mają przecież takich możliwości odbudowania składu osobowego i wyposażenia jak my. Jestem pełen szacunku dla ich dowódców, hrabiego Ushera i księcia Grygory’ego, niemniej jakoś sobie nie wyobrażam, aby ichniejsza milicja była w stanie zmierzyć się z zawodowymi żołnierzami Imperium Charisu.

Gdy Walkyr wzdrygnął się na samą tę myśl, Maigwair uśmiechnął się jeszcze paskudniej.

– W tej chwili Tayrens Teagmahn ma oko na przełęcz Tymkyn, a władca Dohlaru w dalszym ciągu trzyma łapę na Alyksbergu, lecz w sumie może być mowa o stu dwudziestu tysiącach ludzi. Gdyby hrabia Wysokiego Wzgórza przekroczył przełęcz, nikt go nie powstrzyma. Pamiętaj, że karabinierzy Teagmahna nie mają jeszcze na wyposażeniu św. kylmahnów, nie wspominając nawet o artylerii. Pierwsza dostawa nowych dział jest już w drodze lub wyruszy w najbliższych pięciodniach, w każdym razie trochę to potrwa, ponieważ naszym priorytetem jest front północny.

– Wiem – potaknął Walkyr. – Ale czy Brydgmyn nie miał go przypadkiem wesprzeć?

– Zrobi to, jak tylko będzie mógł. Taki przynajmniej jest plan.

Biskup polowy Ahrnahld Brydgmyn został wyznaczony na dowódcę Zgrupowania Świętego Langhorne’a. Cesarska Armia Charisu dała

nauczkę mniej pojętym uczniom na Schronieniu, wykazując znaczenie korpusów w armii. Naturalnie zdaniem Zhaspahra Clyntahna i całej Inkwizycji samo użycie słowa „korpus” podlegało anatemie, w związku z czym Maigwair i hrabia Tęczowych Wód ukuli określenie zgrupowanie. Święty Langhorne składał się – czy też raczej miał się składać – z ogółem ośmiu dywizji, z czego dwie były konne. Ponieważ dywizje Armii Boga były znacznie mniejsze niż dywizje Cesarskiej Armii Charisu, liczebność sił Brydgmyna miała wynosić jakieś szesnaście tysięcy ludzi, dodając do tego artylerię (kiedy, a może jeśli, owa stanie się dostępna), co równało się wielkości przeciętnej charisjańskiej dywizji. Szesnaście tysięcy żołnierzy to wciąż niemało – przynajmniej zdaniem Maigwaira, który uważał, że co najwyżej taką jednostkę da się kontrolować na poziomie organizacyjnym z punktu widzenia dowództwa, nieobebranego z korpusami i niedysponującego najlepszymi środkami łączności. Jak na razie wszyscy byli przepełnieni optymizmem, chociaż nikt nie wiedział, jak z pożytkiem zrobić użytek ze zgrupowań. Z pewnością sporo czasu upłynie, zanim wyznaczeni dowódcy połapią się w swoich obowiązkach.

Tymczasem tylko trzy dywizje Brydgmyna były bliskie wysłaniu na pole walki, mianowicie: odtworzona Dywizja Świętych Męczenników, Dywizja Rakurai i Pierwsza Dywizja Świątynna. Dawało to łącznie niecałe sześćdziesiąt tysięcy ludzi, w tym ani jednego kawalerzysty. Za to zaledwie jedną dziesiątą tej liczby stanowili zaprawieni w boju weterani. A co jeszcze gorsze, Brydgmyn był nie mniejszym nowicjuszem niż jego podwładni. Będący tuż po trzydziestce dowódca został majorem dwa lata wcześniej, w wyniku nagłych przetasowań w Armii Boga wymuszonych ogromnymi stratami poniesionymi w prowincji Skalistego Szczytu i Międzygórza. Niespotykane przedtem zmiany w kadrze oficerskiej pokazywały, jak bardzo zdesperowany jest Maigwair, który musi sięgać po żołnierzy niskiego stopnia.

Na szczęście Brydgmyn okazał się bystry, uzdolniony i lojalny. Inna sprawa, że Inkwizycja nie do końca mu ufała. Wyllym Rayno podejrzewał bowiem – nie bez powodu – że zaciekle lojalność Brydgmyna wobec Kościoła Matki jest większa niż jego lojalność wobec Zhaspahra Clyntahna. Zresztą inteligentny czy nie, i tak musiał się wdrażać do swych nowych obowiązków. Maigwair do pewnego stopnia cieszył się, że jeszcze trochę czasu upłynie, zanim nowo upieczony dowódca obejmie

kontrolę nad resztą dywizji. Dzięki temu biskup połowy miał możliwość, by się nauczyć kontrolować swoją obecną, mniej okazałą trzódkę.

– Problem w tym, że Brydgmyn nie przeważa znacząco szali – stwierdził. – Nie wdając się w pomniejszych szczegóły, zgrupowanie Parkaira Gahrlyngtyna będzie musiało być gotowe do walki wcześniej, niż zakładaliśmy. Żadna inna formacja nie przychodzi mi do głowy. Najgorsze jednak jest to, że pogoda na południu pozwoli podjąć kampanię o wiele wcześniej niż na północy. Jeżeli Charisjanie istotnie zaatakują przełęcz Tymkyn, Teagmahn zostanie zmuszony do ucieczki przed nimi, bez choćby nadziei na utrzymanie się na swoich pozycjach.

– Mogę wiedzieć, czy ktoś zapytał o zdanie w tej sprawie hrabiego Tęczowych Wód? – odezwał się po chwili milczenia Walkyr.

– Owszem. Niestety łączność jest możliwa wyłącznie za pomocą semaforów albo wyvern, co ze zrozumiałych względów ma swoje minusy w stosunku do rozmowy twarzą w twarz. Nawiasem mówiąc, to właśnie dlatego wysłałem cię do niego zeszłej zimy.

Walkyr skinął głową. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, o czym Maigwair nie zająknął się na głos: mianowicie że rozmowa w cztery oczy wykluczała pozostawienie śladu w postaci dokumentów, którym Inkwizycja mogłaby się zechcieć przyjrzeć. W wypadku pisemnej korespondencji należało zachować szczególną ostrożność w sposobie wyrażania się, aby nie zwrócić na siebie uwagi inkwizytorów.

– Co powiedziawszy – podjął Maigwair – muszę przyznać, że hrabia nie jest zachwycony. Na razie bowiem stara się kierować tym, co on sam, przy naszej pomocy, zdołał wywnioskować w odniesieniu do możliwych działań heretyków. Jego podwładni miesiącami szykowali się do tej kampanii... aktualizowali mapy, planowali ruchy, wybierali stanowiska ogniowe artylerii, przygotowywali okopy i tak dalej, i tak dalej. Hrabiemu nie podoba się, że cały ten wysiłek może pójść na marne. Do tego wyraził na głos niepokój, że umieszczenie na dotychczasowych pozycjach hrabiego Jedwabnych Wzgórz nowego dowódcy ze świeżymi rekrutami znacząco narazi jego prawą flankę. Nawet jeśli byliby najlepsi z najlepszych, nie będą za sobą mieli zimy spędzonej na rozpoznawaniu terenu ani rozeznania w strukturach południowej części Armii Boga Wszchemogącego. Mimo wszystko naturalnie hrabia jest gotów wykonać rozkazy Syjonu.

Walkyr ściągnął brwi i pomyślał: *No i proszę, jednak da się owijać w jedwabiowełnę!*

Wstał z krzesła i zbliżył się do mapy. Była narysowana w dużej skali, ale on był zaznajomiony z mapami nakreślonymi w mniejszej skali, które ukazywały znacznie więcej szczegółów. Gdy się zastanowił, musiał przyznać, że wszystko, co usłyszał, choć nielogiczne, było jednak mniej głupie, niż początkowo sądził.

Nawet jeśli hrabia Tęczowych Wód niechętnie przerzuci jedną trzecią swoich sił dalej na południe, ewentualny atak przez przełęcz Tymkyn – szczególnie przy założeniu, że Charisjanie będą kontrolować z morza Zatokę Dohlariańską – niewątpliwie przyniesie poważne konsekwencje. I tak jak słusznie zauważył Maigwair, Armia Tanshar pod wodzą Tayrensa Teagmahna na pewno nie podoła w otwartym polu Armii Skalistego Szczytu. Dopóki jednak ów utrzyma Góry Węża i uniknie kontaktu z oddziałami hrabiego Wysokiego Wzgórza, będzie można powiedzieć, że spełnił swoje zadanie. O ile wszakże wąskie górskie przełęcze i kręte dróżki dawały możliwość skutecznej obrony, to przełęcz Tymkyn była generalnie otwarta, za nią zaś leżał rozległy, lekko tylko pofałdowany teren. Tu i ówdzie zdarzył się kawałek lasu czy jakiś pagórek, który mógł spowolnić natarcie, lecz nie było mowy o żadnych naturalnych utrudnieniach na północ i południe. A przecież chodziło o teren szeroki na sto dziesięć mil! To zdecydowanie za dużo, aby jego ludzie zdołali utrzymać taką długą linię frontu.

Wszelako hrabia Jedwabnych Wzgórz dysponował siłami sześciokrotnie większymi niż Teagmahn, prawda zaś była taka – szczególnie po zeszłorocznej porażce – że Armia Pana Wszechmogącego i Archaniołów była lepiej wyposażona i lepiej wyszkolona niż dziewięćdziesiąt procent obecnej Armii Boga. Gdyby hrabia Jedwabnych Wzgórz przesunął się na południe, aby pilnować tej flanki, hrabia Wysokiego Wzgórza stwierdziłby, że pokonanie Gór Węża wcale nie jest takie proste. Do tego jego piechota, z pomocą inżynierów, od miesięcy doskonaliła techniki budowy umocnień, które opracował Rungwyn. Walkyr nie miał cienia wątpliwości, że fortyfikacje, które powstaną na przełęczy Tymkyn – o ile powstaną – sprawią trudność nawet hrabiemu Wysokiego Wzgórza.

Poza tym, dodał w myślach Walkyr, odchodząc, nie zabiorą ze sobą wzniesionych umocnień. Większość dział, owszem, ale wały pozostaną na

swoim miejscu, tak samo jak okopy, bunkry i reduty.

Jeżeli Teagmahn przerzuci oddziały Armii Tanshar na północ, będzie dysponował – ledwo, ledwo – wystarczającą liczbą żołnierzy, by obsadzić cały najbardziej wysunięty odcinek frontu południowej części Armii Boga Wszechmogącego, któremu nie brakowało potężnych umocnień. Zanim pogoda zmieni się na lepsze, umożliwiając podjęcie kampanii na dalekiej północy w Marchii Zachodniej i prowincji Tarikah, zdecydowana większość formacji Armii Boga znajdzie się na froncie lub bardzo blisko niego. Na miejscu hrabiego Tęczowych Wód biskup połowy bynajmniej nie cieszyłby się na myśl, że musi polegać na tych nowych, zapewne mniej godnych zaufania zgrupowaniach, które miałyby zapewnić ochronę jego flanki, nie ulegało jednak wątpliwości, że będą one miały większe szanse, chroniąc się za fortyfikacjami aniżeli w otwartym polu.

– Nadal nie podoba mi się ten pomysł – wyznał ostatecznie, odwracając się do przełożonego. – Muszę jednak powiedzieć, że nie zdążyłem pomyśleć o wszystkim, o czym przed chwilą wspomniałeś. Na swoją obronę mam to, że nie znałem wszystkich faktów. Jednakże teraz, gdy wszystko tak skrupulatnie mi wyłożyłeś, uważam, że ta idea nie jest czystym szaleństwem, za jakie ją miałem na początku naszej rozmowy.

– Nie brzmi to jak pełna zgoda – skomentował oschle Maigwair – ale cóż, zadowolę się i tym. Szczególnie że hrabia Tęczowych Wód postawił jeden warunek. Może to za mocne słowo... W każdym razie chce, zanim przejdzie do wydawania rozkazów swoim oddziałom, mieć coś do powiedzenia w sprawie tego, komu zlecimy dowództwo pozycji, które zwolni hrabia Jedwabnych Wzgórz.

– To ma sens. – Walkyr kiwnął głową i wrócił spojrzeniem do mapy, przypominając sobie osobiste spotkanie z harchońskim dowódcą.

Hrabia Tęczowych Wód miał dobrze poukładane w głowie. Pragnął się upewnić – na tyle, na ile to było w ludzkiej mocy – że człowiek, który będzie bronił jego flanki z ramienia Armii Boga, to ktoś, kto zna się na żołnierce i jest godny zaufania. Zwłaszcza to drugie. Co zrozumiałe, postępowanie Cahnyra Kaitswyrtha nie natchnęło hrabiego specjalną wiarą w spolegliwość Armii Boga. To naturalne, że hrabia nie chciał, by trafił mu się jakiś generał, którego kompetencje można by podważyć i który dyskutowałby z rozkazami albo co gorsza, zwyczajnie by się wycofał w środku walki.

– Cieszę się, że tak uważasz. – Coś w głosie Maigwaira sprawiło, że Walkyr oderwał wzrok od mapy, uniósł pytająco obie brwi i spojrzał na naczelnego wodza sił Kościoła Matki pytająco. – Jeśli mam być szczery, hrabia Tęczowych Wód był dość natarczywy w tej materii. I raczył wymienić tylko jedno nazwisko.

– Ciekawe jakie – zastanowił się na głos Walkyr.

– Twoje, Gustyvie.

Maigwair uśmiechnął się, ujrzawszy minę rozmówcy. Zaraz jednak pokręcił głową i spoważniał szybko.

– Potrafię sobie wyobrazić mnóstwo powodów, dlaczego wybrał właśnie ciebie – rzekł. – To dobre powody, Gustyvie. Domyślam się, że niejaki wpływ miało wasze osobiste spotkanie. Poznał sposób, w jaki działa twój umysł, dzięki czemu może mieć pewność, że nie jesteś idiotą jak Kaitswyrth. Co więcej jednak, poza tobą w całej Armii Boga nie ma innego dowódcy, który by podzielał jego poglądy, a także był w równym stopniu świadom dobrych i złych stron Armii Pana Wszchemogącego i Archaniołów. Nie będę owijał w jedwabiu, Gustyvie. Na pewno są też powody, o których nie chce dyskutować głośno.

– Jakież to? – Walkyr wydusił z siebie pytanie ochrypłym głosem, patrząc na Maigwaira pociemniałymi oczami.

– Ktokolwiek zajmie tamte pozycje, musi być inteligentny, zdeterminowany i zdolny do nieszablonowego myślenia, jak by to ujął wikariusz Rhobair. Przede wszystkim jednak musi to być ktoś, co do kogo obaj z hrabią będziemy mieć całkowitą pewność, że nie tylko wykona rozkazy, ale też zrobi to z przekonaniem.

Spojrzał biskupowi polowemu w oczy, po czym w gabinecie zapadła cisza jak makiem zasiał.

.XI.
Zhonesberg Switch
oraz
Zhonesberg
Marchia Południowa
Republika Siddarmarku

Oczywiście padał deszcz.

W tym akurat momencie jednak nie była to przygnębiająca mżawka, która stała się nieodłącznym towarzyszem Armii Thesmaru – oraz gwoździem do ścisłości także Armii Seridahn. Co to, to nie. Deszcz był ulewny, rzęsisty i lodowaty, a brał się z nocnego nieba, które było ciemniejsze nawet niż wnętrze piekła. Monotonny szum wydawał się wszechobecny; niewinne strumyki zamieniały się w rwące rzeki, wiatr dął z niewyobrażalną siłą. Przyroda robiła wszystko, aby obrzydzić życie każdej istocie.

Członkowie pierwszego batalionu drugiego regimentu rozpoznania Cesarskiej Armii Charisu pod wodzą majora Dynnysa Mahklymorha byli wszakże zachwyceni.

Szeregowy Dynnys Ahdmohr marzył o trzaskającym ciepłym ogniu palącym się w obrębie wodoszczelnych ścian, gdzie mógłby ogrzać sobie zmarznięte palce u nóg i oddychać bez obawy, że powietrze, które opuści jego usta, zamieni się momentalnie w kryształki lodu. Właściwie wystarczyłby mu skrawek brezentu, który ochroniłby go przed deszczem, i nędzny płomyk, który roztaczałby iluzję ciepła. Niestety wszystko to były marzenia ściętej głowy. Zresztą – nawet gdyby jakimś cudem zdobył płachtę brezentu i rozpałił ogień wśród tej wilgoci – sierżant Klymynty by go za to nie pochwalił, ponieważ po pierwsze nie miał miękkiego serca, a po drugie nie lubił, kiedy wartownicy mieli zbyt wielkie wygody.

Poza tym żołnierze Armii Seridahnu nauczyli się, i to w najmniej przyjemny sposób, że nie mogą lekceważyć swoich kolegów z Armii Thesmaru. Dlatego – nie zważając na pogodę – Dynnys zgarbił ramiona w nowym sztormiaku (który na szczęście nie przeciekał jak ten stary) i z filozoficznym spokojem robił obchód przydzielonego mu odcinka perymetru otaczającego pozycje czwartej kompanii.

Perymetr obejmował centralne podejście do fortyfikacji oznaczonych na mapie Armii Seridahnu jako Zhonesberg Switch. Nie była to najlepsza pozycja obronna na świecie, i to z wielu względów, nie wyłączając gęstego lasu, który znajdował się nieopodal. W jego obrębie mieściły się główne rozstaje – tam gdzie przecinał się bity trakt z Byrtyn's Crossing, Zhonesbergu i Kharmych's Farm. Niestety były one za daleko na prawej flance armii, aby je dobrze obstawić ludźmi, a heretycy już dawno pokazali, że mają iście demoniczną zdolność do robienia użytku nawet z niepilnowanej mysiej dziury. To właśnie wyjaśniało, co regiment Hyndyrsyna robi w takim deszczu w samym środku tego zadupia.

Stanowiska wartownicze znajdujące się bliżej głównych pozycji dawały swego rodzaju ochronę, a to dzięki workom z piaskiem i prowizorycznemu zadaszeniu, o którym tak marzył Ahdmohr. Te nieco bardziej oddalone były zdecydowanie prostsze, a przy tym bardziej mokre, i nie oferowały praktycznie żadnego schronienia. Zwyczajnie nie dało się ustawić szeregu solidnych posterunków wzdłuż całego odcinka tej długości, szczególnie gdy w grę wchodziły tylko cztery kompanie, do tego cierpiące na niepełen stan osobowy. Oczywiście więc pomiędzy posterunkami ziały dziury, które kapitan Tyrnyr postanowił załatać przy pomocy mobilnych wartowników stanowiących swego rodzaju zabezpieczenie. Wyznaczeni żołnierze patrolowali przydzielone trasy co noc, a już zwłaszcza wtedy, gdy deszcz i ciemności sprzysięgły się przeciwko ludziom, zmniejszając widoczność do zera i zagłuszając wszystkie dźwięki. Co zrozumiałe, słowo Tyrnyra było święte, jako że to on był dowódcą bastionu.

Ahdmohr to rozumiał i nie zamierzał protestować. Chociaż w głębi ducha uważał, że ryzyko, iż jakieś zagrożenie zmaterializuje się w taką noc ponad pięćdziesiąt mil od kanału Sheryl–Seridahnu, jest znikome. Tak się jednak złożyło, że sierżant Klymynty nie pytał go o zdanie. Poza tym zaś heretycy nieraz w przeszłości pokazali, że potrafią uczynić coś,

czego żadna inna armia by nie uczyniła. Na przykład mieli brzydki nawyk zakradania się w deszczowe, bezksiężycowe noce i wyłapywania zbyt mało czujnych wartowników. W Armii Seridahn nie przykładano takiej wagi do patroli zaczepnych i przesłuchiwania jeńców, wszakże doświadczenie udzieliło lekcji w tej mierze i Dynnys Ahdmohr ani myślał dostać się w łapy heretyków, którzy by...

Zatrzymał się przy kupie krzaków, która stanowiła granicę między jego odcinkiem a odcinkiem Zhaifa Truskyta. Do tej pory stał przy niej już co najmniej czterdzieści razy. Tym razem jednak wszystko przebiegło inaczej – a na nieszczęście szeregowego Ahdmohra planem Cesarskiej Armii Charisu bynajmniej nie było pojmanie go i przesłuchanie.

Czyjaś ręka wychyłała zza jego głowy i złapała go za usta, równocześnie odsłaniając mu szyję. Nóż trzymany przez tę samą osobę w drugiej ręce przejechał po nagim gardle szeregowego od ucha do ucha, sprawiając, że w wilgotne nocne powietrze trysnęła struga parującej ciepłej krwi. Charisjański zwiadowca odciągnął wierzgającego w agonii żołnierza w krzaki i przycupnął obok swoich towarzyszy broni. Czekał.

Jeśli wyliczenia go nie zawiodą, następny wartownik pojawi się już za kilka minut.

– Która godzina?

– Pięć minut później niż poprzednio – warknął sierżant Ohmahr Swarez. Daivyn Mahkneel nie był jego ulubionym podwładnym.

– Tak tylko pytam...

Szeregowiec po mistrzowsku przejawiał urażoną dumę, nie popadając w tony zuchwałości. Była to jedna z rzeczy, których Swarez w nim nie cierpiał. Z drugiej strony stopień sierżanta nie wymagał od niego nadmiernego myślenia. Swarez miał pilnować żołnierzy i zajmować się pierdołami, na które oficerowie nie mieli czasu. Do jego obowiązków należało zduszanie problemów w zarodku, gdy wciąż były nieskomplikowane, aby nie trzeba było ich przekazywać do rozwiązania osobom zajmującym wyższe stanowiska i pobierającym wyższy żołd, dla których liczyły się niuanse i detale, takie jak znaczenie i poczucie sprawiedliwości. Wojsko stało pragmatyzmem, a strażnikiem tegoż był

nie kto inny jak sierżant.

Mając na względzie ciążącą na nim odpowiedzialność, Swarez dobrze się zastanowił, zanim powiedział:

– „Tak tylko pytasz?” Na Langhorne’a, wiercisz mi dziurę w brzuchu co pięć minut od co najmniej pół godziny! Może nie zauważyłeś, ale reszta chłopaków też nie jest zachwycona, że musi tu siedzieć, a jednak żaden się nie skarży i nie dopytuje, kiedy skończy się warta. Jeśli usłyszę to samo pytanie jeszcze raz, zanim ktoś nas zmieni, wsadzę ci but w dupę tak głęboko, że przez następny pięciodzień będziesz pluł garbowaną skórą! Co ja mówię! Wystarczy, że się odezwiesz choćby słówkiem, a potraktuję cię tak samo i do tego wlepię ci trzy pięciodnie dodatkowej służby wartowniczej. No więc chciałeś powiedzieć coś jeszcze?

Ktoś zachichotał wystarczająco głośno, aby dało się go usłyszeć przez szum wiatru i deszczu, przed którymi drużynę żołnierzy miała chronić rozciągnięta nad ich głowami pałatka. Zważywszy na to, z jaką siłą wiał wiatr i padał deszcz, rozbawiony wypowiedzią sierżanta żołnierz musiał się celowo postarać o to, aby zostać usłyszonym. Mahkneel bowiem był nie lubiany nie tylko przez sierżanta, ale też przez kolegów.

Wychwyciwszy chichot, Swarez uśmiechnął się... tylko czekał, aż Mahkneel nie wytrzyma i jednak coś palnie. Aczkolwiek istniała szansa, że mimo wszystko zmilczy. W końcu Pismo nauczało, że cuda się zdarzają.

Coś czuję, że jeśli ten skurczybyk dalej będzie się nam dawał we znaki, zajmą się nim koledzy, ledwie ja zniknę z widoku. Może nie powinienem się z tego cieszyć, a już na pewno powinienem mieć nadzieję, że nie dadzą się przy tej okazji ponieść i...

Sierżant nie dokończył myśli, za to zmrużył oczy. Przechylił głowę, aby się upewnić, czy faktycznie coś usłyszał, czy to tylko ciągły szum wiatru i deszczu wzmógł się w jego uszach. Choć był niemal pewien, że jest przewrażliwiony, odwrócił się w stronę, z której dobiegł rzekomy dźwięk. Wyteżył wzrok, czując, jak po plecach przebiegają mu nieprzyjemne ciarki.

– O co chodzi, sierżancie? – zapytał inny żołnierz.

– Nie wiem – odparł ostro Swarez. Mimowolnie sięgnął dłonią po racę, skonstruowaną w oparciu o przejętą raketę sygnalizacyjną heretyków. –

Wydawało mi się, że słyszę...

– Teraz! – syknął sierżant Ahrnahld Taisyn. Dwie drużyny drugiego plutonu pierwszej kompanii pierwszego batalionu drugiego regimentu rozpoznawczego zerwały się na nogi wśród gąszczu roślinności zlanej potokami wody, która zdążyła rozmiękczyć dokumentnie grunt. –

I pamiętajcie – dodał, zupełnie niepotrzebnie, kierując się obowiązkowością: – żadnego strzelania!

Zwiadowcy cierpieli na braki osobowe jak każdy inny oddział Armii Thesmaru, lecz w drugim plutonie brakowało tylko dziewięciu z przepisowych pięćdziesięciu siedmiu ludzi, a poza tym porucznik Abernethy do tej misji wybrał żołnierzy bardzo starannie. Jednakże nawet zwiadowca nie był w stanie poruszać się w tym terenie w kompletnych ciemnościach niezauważenie. Nieodłącznie nasuwało się porównanie ze smokiem pociągowym w polu kukurydzy. Tyle dobrego, że Abernethy i Taisyn mogli liczyć na to, iż członkowie obu drużyn będą się zachowywać jak małe smoki pociągowe...

Charisjanie wyłonili się z mroku z obnażonymi bagnetami na karabinach i zachowując wszelkie środki ostrożności, zaczęli przedzierać się przez szczelinę, którą sami stworzyli, wybierając jeden po drugim wartowników kapitana Tyrnyra. Sierżant Swarez był zaprawionym w boju weteranem, który miał silnie rozwinięty instynkt żołnierski. Tylko dzięki temu zdał sobie sprawę, że jednak naprawdę coś słyszał, i zdążył sięgnąć po racę prawą rękę, lewą dobywając spłonkę. Palce lewej dłoni objęły kraniec taśmy i zaczęły ciągnąć... lecz w tym samym momencie czternastocalowy bagnet z hartowanej stali wbił mu się w gardło.

Niezapalona raca upadła w błoto, podczas gdy on machał bezradnie rękami, starając się zatamować tryskającą z rany krew. Swarez runął na kolana, wydając gulgoczące odgłosy w próbie złapania oddechu i wydania z siebie krzyku, co ostatecznie uniemożliwił ciężki but Charisjanina, który oparłszy stopę o napierśnik powalonego mężczyzny, uwolnił swój bagnet.

– No dobrze. – Kapitan Zackery Wylsynn musiał podnieść głos, aby przekrzyczeć szum deszczu i wiatru, który targał bezlistnymi gałęziami nad jego głową. – Zwiadowcy poinformowali nas, że znajdują się tam, gdzie powinni się znajdować... przynajmniej teoretycznie. Natomiast starszy sierżant Bohzmhyn – Wylsynn wskazał ruchem głowy dość wysokiego, barczystego podoficera stojącego obok niego – zapewnia mnie, że Chłopcy Świątyni nie mają pojęcia, że się zbliżamy. Zapamiętajcie sobie wszyscy, że starszy sierżant ręczy za to głową.

– To niezupełnie tak, sir! – zaprotestował Bohzmhyn, który w przeciwieństwie do Charisjanina i jeszcze do niedawna członka piechoty morskiej Wylsynna był Chisholmczykiem i spędził większość swojej kariery w Królewskiej Armii Chisholmu, zanim przeszedł do Cesarskiej Armii Charisu. Jako taki miał obowiązek służyć za głos rozsądku w oddziale. – Powiedziałem tylko, że żaden z naszych nie oddał strzału i że żaden z przeciwników nie zdołał przestrzec reszty. Nie mogę ręczyć własną głową, że nikt na nas nie czeka, bo ktoś przecież mógł się domyślić naszego nadejścia na własną rękę.

– Rozumiem. Dziękuję, że to uściśliłeś – rzekł Wylsynn, pokazując wszystkie zęby w uśmiechu. Natychmiast jednak spoważniał, skupiając znów uwagę na młodych porucznikach, którzy stali wokół niego, starając się nie zważać na krople deszczu bębniące o ich hełmy. – Najważniejsze jest to, że nasi są na swoich pozycjach, a ludzie pułkownika Maiyrsa właśnie nadciągają. Za jakieś... – wyjął zegarek spod tuniki, przeniósł spojrzenie na Bohzmhyna, który uchylił osłonę lampy, i dopiero wtedy odczytał godzinę – za jakieś osiemdziesiąt minut zacznie się zabawa. Dlatego – dodał, chowając zegarek z powrotem – czas zająć się czymś konkretnym.

– Jest tu oficer z Alyksbergu do porucznika, panie sierżancie – zameldował kapral Clyffyrd.

Sierżant Taisyn uniósł spojrzenie znad bagnetu, który właśnie ostrzył, wstał i zasalutował przemokniętemu do suchej nitki kapitanowi

siddarmarckiej armii, który ociekając wodą, stał tuż za kapralem.

– Clyfffyrd, ty bałwanie! – skwitował, wyciągając do oficera rękę, tę, w której nie trzymał bagnetu. – Dobrze pana widzieć, sir – dodał, nie przestając mierzyć groźnym spojrzeniem podwładnego. – Proszę wybaczyć tego „oficera z Alyksbergu”, sir. Zdaje się, że stary Clyfffyrd ma kurzą ślepotę.

– Nic się nie stało, sierzancie – odparł kapitan Haarahld Hytchkahk i zaśmiał się cicho, zanim wymienił uścisk przedramienia z podoficerem.

Na przestrzeni ostatnich miesięcy plutony tych dwóch, kapitana Hytchkahka i porucznika Ehlysa Abernethy’ego, współpracowały ze sobą więcej niż raz, i to z dobrym skutkiem. *Co być może jest powodem, pomyślał kapitan, dla którego major Mahklymorh wyznaczył drugi pluton do tego zadania.*

– W tej pogodzie trudno poznać kogokolwiek. Zakładając, że się w ogóle go zobaczy!

– Tak jest, sir – zgodził się Taisyn i wyciągnął szyję, aby spojrzeć za plecy kapitana. – Pańscy ludzie już są na stanowiskach, tak?

– Ostatni zajmują miejsca – przyznał Hytchkahk.

– Świetna robota, sir. – Szeroki uśmiech Taisyna był dowodem na uznanie w oczach wytrawnego wojaka. – Niczego, kurwa, nie słyszałem. Pan kapitan wybaczy przekleństwo.

– W waszych ustach zabrzmiało to jak komplement, sierzancie.

– Ano tak. Niełatwa to rzecz przemieścić tyle ludu po ciemku i dopilnować, żeby nikt się nie potknął o korzeń albo o własną nogę i nie narobił hałasu.

Sierzant wsunął bagnet do pochwy przytroczonej do zewnętrznej części jego prawego uda, po czym odszukał wzrokiem Clyfffyrdę.

– Idź zameldować porucznikowi, że kapitan Hytchkahk i jego ludzie zajmują pozycje. Tylko, na miłość Kau-yunga, postaraj się przy tym nie zgubić!

– Się robi, sir! – Nawet jeśli Clyfffyrd poczuł się urażony tą oznaką braku zaufania ze strony przełożonego, nie okazał tego po sobie w żaden sposób.

Skinąwszy głową oficerowi, rozpląnął się w ciemnościach.

Sierżant Hairahm Klymynty włókł się błotnistym szlakiem, grzęznąć po kostki w wodnistej brei. Głowę miał wtuloną w ramiona dla ochrony przed zimnem, a jego sztormiak furkotał na wietrze przy każdym silniejszym powiewie. Sierżant nie cierpiał takiej pogody. Od zawsze. Obecnie było o tyle gorzej, że z wiekiem zaczęły mu doskwierać kolana – między innymi. Wilgoć i ziąb odbijały się także boleśnie na jego ramieniu, które przed laty stanęło na drodze charisjańskiej kuli. Co z tego, skoro jego podwładni pełniący wartę nie mieli ani trochę lepiej. Sierżant Klymynty na pewno nie zamierzał się wylegiwać w śpiworze – o ile coś takiego w ogóle istniało na tym świecie, w co zaczynał poważnie wątpić – gdy jego ludzie mokli i marzli pod gołym niebem.

Oczywiście nie zamierzał też nic podobnego im powiedzieć. Ani myślał również wspomnieć o gorącym posiłku, który czekał na żołnierzy w obozie. Z ich punktu widzenia to kucharz wpadł na pomysł przyrządzenia czegoś ciepłego, a jedynym powodem, dla którego on sam pojawił się w terenie, była chęć przeprowadzenia jeszcze jednej niezapowiedzianej inspekcji. Gwoli szczerości upewnienie się, że są czujni, zwarci i gotowi pomimo panujących warunków, było w tej chwili najważniejsze ze wszystkiego. Aczkolwiek nie można powiedzieć, aby sierżant przewidywał kłopoty na najbliższym posterunku. Ohmahr Swarez dobrze wyszkolił swoją drużynę. Nie było możliwości, by odpuścił swoim ludziom nawet w taką pogodę. Chociaż...

Zauważył jakiś ruch na skraju pola widzenia. Gdzieś w krzakach obok ścieżki. Wychwycił go kątem oka, ale nie zdążył zareagować. Miał jednak więcej szczęścia niż sierżant Swarez; kolba karabinu powaliła go na ziemię, pozbawiając przytomności i powodując wstrząśnienie mózgu, przez które miał widzieć podwójnie przez cały pięciodzień.

– Co on sobie myślał, łąząc w pojedynek? – mruknął szeregowy Hynryk Ahzwald, odciągając Klymynty'ego w krzaki przy wydatnej pomocy Tahdayusa Gahsetta.

– A skąd ja mam to wiedzieć? – odburknął Gahsett. – Na oko sądząc,

to sierżant. Pewnie chciał sprawdzić, czy żołnierze wypełniają rozkazy.

– Hm, trochę na to za późno – skomentował Ahzwald z wyczuwalną satysfakcją w głosie.

– Czyżby? – prychnął Gahsett. – A gdyby przylazł pięć minut wcześniej i natknął się na inżynierów? Uważasz, że sierżant Ohflynn cieszyłby się jak norka, gdybyśmy do tego dopuścili?

– Raczej nie – przyznał po chwili zastanowienia Ahzwald.

Przewrócił nieprzytomnego Dohlarianina na plecy i zabrał się do wiązania go, choć to akurat chyba nie było potrzebne, biorąc pod uwagę, jak mocno go przed chwilą zdzielił w głowę. Były spore szanse na to, że drań się w ogóle nie ocknie, a jeśli nawet, to na pewno nieprędko.

Gdyby był Chłopcem Świątyni, Ahzwald poderznąłby mu zwyczajnie gardło, co stanowiło najpewniejszy sposób na uniknięcie kłopotów w przyszłości. Wprawdzie regulamin – i major Mahklymorh we własnej osobie – zabraniał takich metod, lecz Ahzwald zaliczał się do ludzi praktycznych, a poza tym... majora tutaj nie było. Mimo wszystko czuł niechętny szacunek dla Dohlarian. Byli twardzi i rzadko rozprawiali się z przeciwnikiem, aby dać lekcję pozostałym, jak czynili to przekłęci Chłopcy Świątyni i Desnairczycy. Szybko ustąpili pola, gdy Armia Thesmaru przypuściła kontratak, bynajmniej jednak nie rozpierzchli się w panice. Jeśli nawet tkwiła w nich nuta rezygnacji, on jej nie dostrzegał, a przecież długie natarcie od strony Evyrtynu nie należało do najłatwiejszych. To prawda, że od tamtej pory Armia Thesmaru posunęła się o ponad dwieście mil, niemniej Armia Seridahn walczyła o każdą piędź ziemi. A po obu stronach nie doszło do żadnych szczególnych okropieństw.

Mając to wszystko na uwadze, postanowił, że da weteranowi tamtej kampanii szansę na przeżycie.

– To będzie ostatni, sir – powiedział cicho na ucho porucznikowi Klymyntowi Hahrlyswi sierżant Gyffry Tylltyn z drugiego plutonu sto piętnastej kompanii saperów, wchodzącej w skład dziewiętnastego batalionu saperów.

– Na pewno? – zapytał Hahrlys. Nie dlatego, że wątpił w słowa

Tyllytsyna; akurat ten sierżant nie popełniłby takiego błędu. Niemniej nigdy nie zawadziło sprawdzić dwa razy.

– Na pewno, sir. – Tyllytsyn uśmiechnął się krzywo. – Sprawdziłem nie dwa, ale cztery razy.

– Jak dla mnie wystarczy. – Hahrlys klepnął sierżanta w ramię. – No to teraz obyśmy tylko nie potknęli się o lonty, co?

– Ano tak, sir. Jak tam stoimy z czasem, sir?

– Dobre pytanie.

Hahrlys odwrócił się w stronę wschodu, uniósł ramiona, rozpościerając boki sztormiaka, i wskazał na szeregowca, który trzymał zamkniętą latarnię. Krople deszczu zasyczały i zamieniły się w parę na rozgrzanej obudowie lampy, kiedy szeregowiec nachylił się i otworzył maleńką, okrągłą klapkę na boku lampy. Światło, które wylało się przez utworzony otwór, wydawało się oślepiające dla oczu przyzwyczajonych do ciemności, na szczęście jednak Hahrlys własnym ciałem, a także sztormiakiem, zasłonił jego źródło, tak że żaden Dohlarianin nie zdołał nic wypatrzeć, podczas gdy on sam sprawdzał, która godzina.

– Uwinęliśmy się piętnaście minut przed czasem – obwieścił z zadowoleniem.

– Jasne, że byłoby lepiej użyć rakiet sygnałowych – wymamrotał sierżant Pynhyrst – zamiast łązić i sprawdzać, czy wszyscy są na swoich miejscach.

Potrząsnął ze smutkiem głową, Haarahld Hytchkahk natomiast parsknął cichym śmiechem. Na sierżancie można było polegać jak na opoce jego rodzinnych Gór Węża, lecz niestety nie sposób było uniknąć jego marudzenia. Wiecznie się o coś zamartwiał. Hytchkahk jednak musiał przyznać, że właśnie dzięki temu był on jednym z najcenniejszych podoficerów trzeciej sekcji.

– Jeśli chciałbyś coś omówić z majorem Stefynsem albo z generałem Sumyrsem, jestem pewien, że obydwaj chętnie przekażą twoje obawy hrabiemu Hanthu – szepnął na ucho sierżantowi.

– Mówię tylko, że wolałbym mieć wszystko bardziej pod kontrolą, sir –

odparł Pynhyrst. – Czekanie, aż ktoś inny pierwszy coś zrobi, działa mi na nerwy.

– W tym akurat przyznaję ci rację, Adymie. – Hytchkahk kiwnął głową i lekko uderzył podwładnego w ramię. – Ale lepiej, żebyśmy to byli my niż inżynierowie, prawda?

– Racja, sir – potaknął Pynhyrst. – Zwiadowcy też odwalili dzisiejszej nocy kawał dobrej roboty.

– Owszem.

Obaj Siddarmarczycy schronili się pod pałatką Ohmahra Swareza, której ten już nie potrzebował. Ochrona była tylko tymczasowa, a poza tym obydwaj mężczyźni zdążyli już tak przemoknąć, że pałatka służyła im raczej za symbol niż faktyczną osłonę, aczkolwiek przynajmniej broniła dostępu kolejnym kroplom, które zacinały niezmordowanie i z coraz większą siłą.

Pod wieloma względami Hytchkahk zgadzał się z Pynhyrstem. Wolałby jakąś konkretną informację zamiast teoretycznego „wszyscy powinni być już na swoich miejscach”. Rozumiał jednak zamiary dowódców i to, że plan zasadał się na elemencie zaskoczenia. Chłopcy Świątyni – aczkolwiek nazywanie żołnierzy Królewskiej Armii Dohlaru Chłopcami Świątyni było odrobinę niesprawiedliwe; nie dało się bowiem ukryć, że poddali masakrze mniejszą liczbę ofiar niż ci, którzy brali udział w akcji Miecz Schuelera, lub też członkowie Armii Boga – powinni nie mieć pojęcia, że trzeci ochotniczy Alyksberski znajduje się gdzieś w pobliżu. Istniała na szczęście szansa, że w dalszym ciągu uważają, iż mają do czynienia wyłącznie z patrolami niestrudzonych charisjańskich zwiadowców – hrabia Hanthu już o to zadbał.

Armia Thesmaru nie zaprzestała patroli wzdłuż frontu Armii Seridahn, aczkolwiek zwiadowcy główną uwagę poświęcali kanałowi, a to dlatego, by ocenić pozycję Dohlarian, jak również by wywołać u nich niepewność co do planów hrabiego Hanthu. Na przestrzeni ostatnich miesięcy Dohlarianie nabrali wprawy w patrolowaniu, zarówno ofensywnym, jak i defensywnym, jednakże w dalszym ciągu nie dorastali w tej sztuce do pięć Charisjanom. Siddarmarczycy, można powiedzieć, byli mistrzami, gdy chodzi o zwiad, lecz nawet ktoś taki jak Hytchkahk musiał przyznać, że żołnierze Armii Republiki Siddarmarku wiele się nauczyli w tym względzie od swych sojuszników.

W obecnej chwili jednak najlepiej by było, gdyby sir Fahstyr Rychtyr koncentrował się na głównej linii obrony znajdującej się czterdzieści mil na zachód od Fyrayth, gdzie patrole te robiły co w ich mocy, aby powstrzymać przeciwnika. Na pewno nie chciały przy tym, aby się martwić o zabezpieczenie tak daleko na swojej prawej flance wśród tych okropnych zalanych deszczem lasów.

Nie! – poprawił się w myślach Haarahld. *Wśród tych wspaniałych, absolutnie cudownych zalanych deszczem lasów. Na Langhorne'a, dobra burza to jest to!*

Wargi mu drgnęły, a jednak w tym konkretnym momencie była to szczerą prawdą. Szczególnie że – uśmiech zniknął z jego twarzy – wiedział, do czego są zdolni Dohlarianie, gdy wyniuchają, że jest w pobliżu. Zaskoczenie to piękna rzecz; właśnie dlatego zamierzał ograniczyć się na razie do gońców i harmonogramów, mimo że miał ochotę wykorzystać te sprytne urządzenia wprowadzone przez Charisjan także w Armii Republiki Siddarmarku, mianowicie dobrze widoczne z daleka rakiety sygnalizacyjne. Tych jednak będzie aż nadto we właściwym czasie. Gdyby ktoś teraz wypuścił racę i tę racę zobaczyłby ktoś niepowołany po drugiej stronie, efekt zaskoczenia diabli by wzięli, a wtedy...

– Myślę, że pułkownik da nam znać, gdy zechce, abyśmy ruszyli do ataku, Adymie – powiedział na głos. – I że my zrozumiemy jego znak.

– Tak jest, sir – poświadczył Pynhyrst z ponurą satysfakcją. – Oby tylko nie nastąpiło to zbyt wcześnie.

– Oby! – Hytchkahk kiwnął głową.

Królewska Armia Dohlaru być może nie była aż tak zła jak Armia Boga, ale i tak miała dług u żołnierzy Armii Republiki Siddarmarku, a już zwłaszcza u ochotników z Alyksbergu. Ogromny dług, którego kolejną ratę Haarahld Hytchkahk właśnie zamierzał odebrać.

– Goniec od majora Ahtwatyra, sir. Wszystkie zespoły szturmowe się zameldowały.

– A co z inżynierami? – zapytał pułkownik Sedryk Maiyrs, dowódca trzeciego Alyksberskiego.

- Na razie nie wiadomo, sir. – Adiutant pokręcił energicznie głową.
- W porządku.

Maiyrs skinął głową. Charisjańscy saperzy mieli w zwyczaju być tam, gdzie powinni, wtedy kiedy powinni, a jeżeli z jakiegoś powodu nie mogli być tam gdzie trzeba, zawsze o tym w porę meldowali. Major podobnie jak sierżant Pynhyrst żałował, że muszą polegać na gońcach i harmonogramach zamiast na raketach sygnałowych, lecz w przeciwieństwie do podoficera nie mógł na to utyskiwać i musiał zadowolić się świadomością, że gdyby coś poszło nie tak, informacja o tym już dawno by do niego dotarła.

Stał jeszcze przez chwilę, w myślach analizując listę kolejnych punktów do odhaczenia. W końcu odetchnął głęboko i odwrócił się do młodego sygnalisty, który stał nieopodal. W odróżnieniu od kapitana Hytchkahka bowiem dysponował racami, i to w dowolnej ilości, a także miał prawo ich użyć, gdy uzna to za stosowne.

- Zapal lont – powiedział.

- Jest sygnał, sir!

Pomijając nazwisko, które ostatnimi czasy było powodem niezliczonych dowcipów pod jego adresem, szeregowy Zhames Dohlar miał też sokoli wzrok. Dlatego pełnił funkcję sygnalisty pierwszego plutonu. Aczkolwiek oczywiście niepotrzebny był sokoli wzrok, aby zobaczyć jaskrawą zieleń wybuchającej racy, która podświetliła chmury niczym złudne słońce i roztoczyła niesamowitą szmaragdową poświatę.

– Właśnie widzę – odparł porucznik Zhaksyn, dowódca pierwszego plutonu, używając pozornie łagodnego tonu, który jednak nikogo nie zmylił.

Grygory Zhaksyn pochodził ze Starego Charisu, gdzie uczył w szkole, dopóki jego siostra, jej mąż rodem z Republiki Siddarmarku oraz trójka ich malutkich dzieci nie zginęli w wyniku akcji Miecz Schuelera. Od tamtej pory zdążył się przekwalifikować, a w wojsku odkrył, że ma talent do artylerii. Od siedmiu miesięcy dowodził pierwszym plutonem, jego podwładni zaś – o ile z początku nie wiedzieli, co myśleć o jego poprawnym sposobie wysławiania się oraz masie otaczających go

książek – obecnie mieli już jakie takie pojęcie. Szeregowy Dohlar uśmiechnął się zimno, dosłyszawszy w głosie porucznika to co trzeba, Zhaksyn zaś zwrócił się do Tymythy’ego Hustyngsa, najstarszego stopniem podoficera pierwszego plutonu.

– Chyba możemy zaczynać, sierżancie – rzekł.

– Tak jest! – Hustyngs walnął się w pierś, oddając salut, okręcił się na pięcie do dwunastu moździerzy M97, które stały okopane w swoich starannie przygotowanych stanowiskach, i zawołał: – Ognia!

Kapitan Wyllys Rynshaw obserwował, jak raca wybucha, a zaraz po niej moździerze wypluwają potężne języki krwawego ognia, i miał tylko nadzieję, że jego działonowi ustawili je jak należy.

Element zaskoczenia to fajna rzecz, pomyślał, ale jeszcze fajniej jest, gdy pociski spadają tam, gdzie powinny. Co za szkoda, że generał Sumyrs nie pozwolił mi zrobić dokładniejszych namiarów ogniowych.

Generał Clyftyn Sumyrs obserwował, jak raca wybucha, tak wyraźna na tle chmur. Mgnienie oka później na horyzoncie pokazała się pozioma błyskawica, gdy charisjańskie moździerze wystrzeliły pociski.

– Mam nadzieję, że nie przekombinowaliśmy – powiedział cicho, stojąc na deszczu obok kapitana Wylsynna. – To znaczy mam nadzieję, że ja nie przekombinowałem.

– Jest tylko jeden sposób, aby to sprawdzić, sir – odparł zwiadowca. – Uważam, że koniec końców faktyczny ostrzał okaże się mniej skuteczny niż pociski oświetlające, ale mogę się mylić. Aczkolwiek – obnażył zęby – nie sędzę, aby to był problem. Przynajmniej dla nas.

Mimo że hrabia Hanthu otrzymał do swej dyspozycji dwie pełne baterie mobilnych sześciocalowych ciężkich dział kątowych, nadzieją na

przyszłość były udoskonalone działa polowe. Tymczasem jednak miał kampanię do stoczenia, w związku z czym przy pomocy Lywysa Sympsyna rozważył każdy możliwy użytek artylerii – a szczególnie moździerzy będących na stanie.

Skutkiem tych rozważań był kapitan Rynshaw z drugiej kompanii wsparcia. Sympsyn skonsolidował dwie trzecie wszystkich ludzi z tych formacji służących w Armii Thesmaru we wspomniane kompanie, każda w sile trzech plutonów, przy czym wszystkie je dało się przesuwac i scalać w większe baterie, gdy zaszła taka potrzeba. Oczywiście musiały się znaleźć znacznie bliżej celu niż działa kątowe, ale z drugiej strony były o wiele bardziej mobilne. To oznaczało, że Rynshaw dysponuje trzydziestoma sześcioma moździerzami – z których wszystkie były czterocalowymi M97 i zostały starannie okopane i przygotowane na nocną akcję. Jedyne, czego nie udało się osiągnąć, to dokładniej skalibrować namiarów.

Będziemy mieć szczęście, jeśli połowa pocisków wyląduje pięćset jardów od celu, pomyślał Rynshaw z niezadowoleniem.

Choć jeszcze tego nie wiedział, był bardzo niesprawiedliwy dla swej artylerii.

– Na pozycje! Na pozycje!

Usłyszawszy wykrzykiwany rozkaz, kapitan Zhames Tyrnyr zerwał się z posłania, przecierając zaspane oczy. Wyprostował się – na tyle, na ile pozwalał ciasny i niski namiot – i odruchowo sięgnął po buty.

– Na pozycje!

To głos sierżanta Wylsynna Stahdmaiya, pomyślał. Gdy rozbrzmiała trąbka, pomodlił się w duchu, aby alarm był fałszywy. *Choć to mało prawdopodobne w wypadku Wylsynna, który jeszcze nigdy nie ogłosił fałszywego alarmu...* Snując takie myśli, wsunął stopę w cholewkę prawego buta.

Właśnie sięgał po lewy but, gdy pojawił się dowód na to, że sierżant Stahdmaiyr istotnie się nie pomylił.

Pierwsze charisjańskie pociski zapalające wybuchały w górze z cichym, niemal niewinnym pyknięciem. Tyrnyr zaklął siarczyście,

kiedy przemoknięte płótno namiotu rozświetliło się niczym żar płomieni.
Pięć sekund później wybuchły pierwsze szrapnele.

– Za blisko! – krzyknął kapral Aizak Ohkailee z gałęzi na wysokości trzydziestu stóp nad traktem.

– Jesteś pewien, że to strzela pierwszy pluton? – odkrzyknął sierżant Yorak.

– Na Langhorne’a, sierżancie! – Ohkailee potrząsnął głową. – Oczywiście, że nie jestem pewien. Ale czerwony, zdaje się, poszedł o czasie.

– Cóż, dowiemy się, jak nauczysz się trafiać ręką do tyłka. Ile za blisko?

– Jakieś dwieście jardów!

– Dwieście jardów – powtórzył Yorak i klepnął w ramię Dynnysa Bailahcho. – Słyszałeś? To podaj dalej.

– Dwieście jardów za blisko... – Dynnys sięgnął do wajchy zamontowanej z boku ciężkiej, ustawionej na trójnogu lampy sygnalizacyjnej.

Ahlvyn Yorak wyszczerzył się i pokręcił głową, wspominając ostrożność, którą musieli zachować podczas podejścia, uważając, aby nie sprowokować ani jednego błysku. Tymczasem przesłony zafurgotały i sygnał pomknął wprost do oczu szeregowego Dohlara.

Ci dranie i tak już wiedzą, że tu jesteśmy, Ahlvynie... – dodał w myślach.

Pułkownik Zhaksyn Hyndyrsyn upuścił pióro i zerwał się z krzesła, gdy pierwszy pocisk moździerzowy eksplodował w locie nad bastion broniony przez cztery kompanie półtora tysiąca jardów na północny wschód od jego stanowiska dowodzenia.

Regiment Hyndyrsyna został połączony z regimentem Gylchrysta Sheldyna – w ten sposób powstała Brygada Sheldyna. Na początku

Hyndyrsyn nie był tym zachwycony. Jednakże nikt nie pytał go o zdanie, które zmienił z czasem, kiedy korzyści z takiego układu stały się dla niego w pełni jasne.

Pomysł wziął się z wcześniejszych doświadczeń sir Rainosa Ahlvereza z Armią Shiloh. Hyndyrsyn niechętnie dostał się pod rozkazy Sheldyna, wszelako musiał w końcu przyznać, że wyszło mu to na dobre, szczególnie że oba regimenty miały braki osobowe. Z tysiąca czterystu żołnierzy i oficerów, którymi powinien dysponować, miał zaledwie tysiąc stu ludzi, a przecież – skoro utknął tak daleko na flance Armii Seridahn – każda pomoc była mile widziana. Oczywiście nawet gdyby oba regimenty miały pełen stan osobowy, liczyłyby w sumie góra dwie trzecie tego, co regiment charisjański, aczkolwiek byłyby nieznacznie większe od regimentu siddarmarckiego.

Niestety miały taką liczebność, jaką miały, a krążyły słuchy, że oddział kapitana Tyrnyra zostanie powiększony. Skoro zaś ludzie Tyrnyra pilnowali rozstajów, które stanowiły clou całego Zhonesberg Switch...

– Posłaniec! – Hyndyrsyn zamaszystym ruchem odsłonił wejście namiotu i ryknął do wartownika stojącego na zewnątrz. – Posłaniec potrzebny natychmiast!

Zhames Dohlar odczytał sygnały świetlne, które z trudem docierały przez ścianę deszczu, po czym sam zaczął otwierać osłonę własnej lampy, aby powtórzyć wiadomość dla upewnienia się, że dobrze zrozumiał. O ile lampa Bailahcho mogła śmiało błyskać bez obawy, że ktoś to dostrzeże, w wypadku lampy Zhamesa było inaczej – istniało ryzyko, że strona dohlariańska zauważy błyski. Zhames miał jednak nadzieję, że Dohlarianie są obecnie zbyt zajęci, by zwracać uwagę na robaczki rakurai lśniące w gęstwinie, zakładając oczywiście, że w ogóle by cokolwiek dostrzegli w tym deszczu.

Gdy zakończył wysyłanie wiadomości, Bailahcho odpowiedział sygnałem potwierdzającym podwójnej długości.

– O dwieście jardów bliżej, sir! – zawołał.

– O dwieście jardów bliżej – powtórzył porucznik Zhaksyn z takim

spokojem, jakby siedział sobie wygodnie w Tellesbergu. Chciał się upewnić, że dobrze usłyszał.

– Tak jest, sir!

– Zatem dobrze. O dwieście jardów bliżej, Tymythy! – zwrócił się porucznik do sierżanta Hustyngsa.

Kapitan Tyrnyr bynajmniej nie był w stanie docenić wyrafinowanej choreografii, jaką generał Sumyrs wraz ze swoją charisjańską artylerią dla niego przygotował. Wszystkie plutony przypisane do kompanii wsparcia Rynshawa oddały salwę kolejno, aby obsady dział miały ułatwione zadanie. W teorii salwy miały być oddawane w odstępach dziesięciosekundowych. W praktyce jednak nawet Charisjanie nie byli w stanie utrzymać równego tempa, gdy już ruszyli w tany. Dlatego na wszelki wypadek – w ramach znaku rozpoznawczego – każda salwa była poprzedzona kolorowymi racami. Nie był to system idealny, gdyż wkrótce nad pozycjami dohlariańskimi lśniły liczne wielobarwne pociski zapalające, niemniej sprawdził się on w wystarczającym stopniu.

Przy czwartej salwie trzydzieści sześć moździerzów Rynshawa zdążyło już posłać osiemdziesiąt procent pocisków w stronę celu.

Tymczasem...

– Uwaga! – krzyknął porucznik Hahrlys i sięgnął do kółka na lakierowanym drewnianym pudełku, gdy pierwsze pociski moździerzowe świsnęły mu nad głową.

Armia Seridahn nie miała okazji wykorzystać doświadczeń Armii Pana Wszchemogącego i Archaniołów zdobytych podczas wznoszenia fortyfikacji. Z drugiej strony nabyła masę własnego doświadczenia w tym zakresie, wycofując się mozolnie wzdłuż rzeki Seridahn, a następnie także wzdłuż kanału Sheryl–Seridahn. Żołnierze odkryli znaczenie saperek i nabrali wprawdy w obracaniu nimi na każdym postoju niemal w takim samym stopniu jak ich przeciwnicy z Cesarskiej Armii Charisu.

Godzina wystarczyła, aby każdy żołnierz siedział we własnym okopie. Po trzech godzinach wszystkie pozycje wieńczyły przedpiersia, natomiast punkty obserwacyjne oraz stanowiska artyleryjskie były także okopane i zabezpieczone workami z piaskiem. W ciągu dnia powstawały okopy komunikacyjne, jak również proste, lecz skuteczne transzeje. Pięćdziesiąt dni później praktycznie nie dało się ich wykurzyć bez pomocy Shan-wei.

Będący inżynierem Klymynt Hahrlys potrafił ocenić jakość okopu na oko i musiał przyznać, że ludzie, których zadaniem było ufortyfikowanie Switcha, wykonali kawał dobrej roboty. Na Schronieniu nie znano drutu kolczastego, lecz zastępowały go wybornie splątane gałęzie drzew, które mogły posłużyć za zasieki. Dohlarianie z kolei – podpatrzywszy to u Charisjan – używali winorośli, gdy tylko to było możliwe, co w gruncie rzeczy stanowiło udatny odpowiednik drutu kolczastego. W dodatku nabrali zwyczaju nadziewania umocnień bagnietami i mieczami, tym samym jeszcze skuteczniej broniąc swych pozycji.

Tak czy owak właściwe natężenie ognia moździerzowego było w stanie poczynić wyłomy nawet w takich umocnieniach, a gdy napastnik nie żałował amunicji, spokojnie mogło sobie z nimi poradzić na dobre. Jednakże były lepsze sposoby – i właśnie z tego względu baron Morskiego Szczytu wykorzystał nowo opracowany przez doktor Lywys lywysit, aby stworzyć coś, co na Starej Ziemi nazywano torpedami z Bangalore. Oficjalna nazwa brzmiała następująco: kompozytowy ładunek wybuchowy, Model 1, aczkolwiek inżynierowie ograniczali ją do krótszego pukacz Sahndrah. Pomijając nazwę, ustrojstwo składało się z rurek wykonanych z lekkiego materiału i wypełnionych dynamitem, każda długości czterech stóp, połączonych ze sobą. W ten sposób powstawał pojedynczy, długi ładunek wybuchowy.

Pluton porucznika Hahrlysa, wspierany przez osłaniających ich snajperów, pod osłoną ciemności i deszczu po cichu rozłożył czterdzieści takich cacek wzdłuż pasa dohlariańskich umocnień. Uporawszy się z tym zadaniem, żołnierze podłączyli do nich wodoodporne zapalniki, by w końcu wycofać się do lasu, rozwijając za sobą węże.

W tej chwili porucznik szarpnął kółko, dzięki czemu spłonka wewnątrz pudełka uległa zapłonowi. Iskra przebiegła momentalnie i dotarła aż do łącznika wszystkich czterech lontów, tam się rozdzieliła i pomknęła ku pozostawionym ładunkom, oczywiście niewidzialna dzięki

wodoodpornej osłonie.

Osiem sekund później wszystkie cztery pukacze wybuchły w jednej, rozdzierającej uszy eksplozji, która obróciła wniwecz cały pas dohlariańskich umocnień.

Kapitan Hytchkahk czekał cierpliwie, aż ogień charisjańskich moździerzy rozprawi się z pozycjami Dohlarian. Widział wszystko jak na dłoni i z całego serca popierał to, co się dzieje. Jeszcze większą satysfakcję odczuł, gdy długie, cienkie linie żywego ognia pukaczy poradziły sobie z umocnieniami Dohlarian postawionych w celu odparcia jego ataku.

Raporty zwiadowców oraz informacje uzyskane od jeńców potwierdziły, że dowódcą miejscowych sił dohlariańskich jest kapitan Zhames Tyrnyr, który ponoć nie miał sobie równych. Pod swoją wodzą miał cztery z sześciu kompanii regimentu Hyndyrsyna – ogółem siedmiuset żołnierzy, regiment Hyndyrsyna zaś był częścią oddziału sir Rainosa Ahlvereza, poprowadzonego przezeń do Alyksbergu. Wszystkie źródła były zgodne co do tego, że ludzie Hyndyrsyna tak samo jak reszta członków Królewskiej Armii Dohlaru nie dopuszczają się zbrodni wojennych – cóż z tego jednak, skoro jak każdy w tym regimencie Haarahld Hytchkahk także stracił przyjaciół pod Alyksbergiem.

Właśnie z tego powodu hrabia Hanthu przydzielił dokonanie ataku Trzeciemu Alyksberskiemu, który już nie mógł się doczekać tego, aby przejść do czynów.

– Teraz druga raca – powiedział łagodnym tonem Sedryk Maiyrs.

Bursztynowa rakietka sygnalizacyjna pomknęła w niebo. Gdy eksplodowała, moździerze przestały pluć pociskami. Inne racy rozświetlały ciemności i gęsty dym nad na wpół zrujnowanym Switchem, lecz nie spadł już ani jeden pocisk.

– Tak! – Hytchkahk syknął i uniósł zaprojektowany w Charisie pistolet sygnałowy. Pociągnął za spust, wypuszczając w niebo jaskrawoczerwoną racę.

Kapitan Tyrnyr zerknął w górę, odrywając na moment wzrok od opatrunku, który uzdrowiciel zakładał mu na lewe udo. Ciemności rozjaśniła czerwona raca. I kolejna. I jeszcze jedna. Wreszcie czwarta... Każda wznosiła się łukiem nad lewą flanką Switcha, by rozbłysnąć w zenicie.

Oczywiście, że są cztery, pomyślał, nie zwracając uwagi na ból. Jedna na każdą dziurę, którą ci dranie wysadzili w umocnieniach. Jeśli uda im się dostać między nas i Zhonesberg...

Wstał na nogi.

– Jeszcze nie skończyłem! – zawołał uzdrowiciel.

– Właśnie że skończyłeś – odparł zamyślony Tyrnyr.

– Panie kapitanie, grozi panu utrata nogi! Pod warunkiem że wcześniej nie wykrwawi się pan na śmierć!

– Wrócimy do tego później – oświadczył Tyrnyr.

Zrobił krok, noga odmówiła mu posłuszeństwa, a on sam zaczął się przewracać, jednakże podtrzymało go czyjeś silne ramię. Gdy odwrócił głowę, zobaczył, że przed upadkiem uratował go sierżant Stahdmaiyr.

– Uzdrowiciel ma rację, sir. – Choć sierżant odezwał się cichym głosem, jego słowa dały się słyszeć wyraźnie, ponieważ ostrzał już ustał.

– Niech dokończy zakładanie opatrunku!

– Wiem, że ma rację. – Tyrnyr uśmiechnął się krzywo. – Obawiam się jednak, że nie mamy na to teraz czasu, Wylsynnie. – Objął podwładnego ramieniem. – Pomóż mi się dostać do stanowiska dowodzenia, i to już.

Stahdmaiyr zrobił taką minę, jakby chciał zaprotestować. W końcu jednak zacisnął szczęki i skinął głową.

– Chodź z nami – zwrócił się do laickiego członka Zakonu Pasquale, podążając za utykającym dowódcą. – Może uda ci się dokończyć na

miejscu.

Ostatnia rasa dopaliła się na niebie, posyłając na wilgotną ziemię iskry. Równocześnie rozległy się odgłosy siddarmarckich werbli. Na to uzbrojeni w karabiny alyksberscy ochotnicy rzucili się do przodu, błyskając ostrzami bagnetów w blasku opadających rac. W powietrzu mignęły odblaski krwistej czerwieni i dało się słyszeć zawołanie wojenne podchwycone przez Siddarmarczyków od Charisjan. Krzyk był ogłuszający.

Żołnierze runęli lawą na zaskoczonych i oszołomionych obrońców, sporadycznie strzelając z karabinów, głównie jednak rzucając przed siebie granaty ręczne.

– Nie ustępować pola! Nie ustępować pola i dać draniom popalić! – zawołał porucznik Kartyr Clymyns. – Nie ustępować...!

Drugi pluton pod dowództwem Clymynsa bronił linii okopów na lewej flance Switcha. Kompania zajmowała te pozycje zbyt krótko, aby przyszykować okopy z prawdziwego zdarzenia, niemniej rowy – niemal do kolan pełne deszczówki – sięgały żołnierzom do piersi, sama linia obrony zaś została obsadzona z namysłem. Niestety nikt w tych ciemnościach nic nie widział, dopóki nie rozbłysła pierwsza rasa, a wtedy całkiem jakby sama Shan-wei przedarła się przez umocnienia. Jakim cudem wróg podszedł tak blisko? I co stało się z wartownikami, którzy mieli temu zapobiec?

Znienacka przeszył go żal ostry niczym pazur jaszczurodrapa, gdyż – nie przestając się rozglądać, by ogarnąć sytuację wokół – Kartyr Clymyns zrozumiał, jaki los spotkał wartowników.

– Tam, sir! – Kapral Zhaikyb Sairaynoh, jeden z jego gońców, wskazał na prawo. – Tam!

– Cholera! – Clymyns walnął pięścią w błotnistą ściankę okopu, widząc, jak atakujący wyłaniają się z ciemności, nagle oświetleni blaskiem heretyckich rac.

Nie Charisjanie atakowali. Zamiast kolejnych fal napastników bowiem parła na nich jednolita masa żołnierzy. To zaś oznaczało, że mają do czynienia z Siddarmarczykami i...

– Alyksberg! – Niski, gardłowy okrzyk rozbrzmiał ponad odgłosami werbli i klekotania karabinów. – Pomścimy Alyksberg!

– Wracaj do kapitana, Zhaikyb! – Clymyns ryknął kapralowi na ucho. – Powiedz mu, że wróg atakuje rozstaje między nami i oddziałem Yairdyna!

– Tak jest! – Sairaynoh zasalutował, dotykając pięścią napierśnika, i zniknął.

– Biegiem, chłopcy! Biegiem! Bierzcie ich z marszu! – krzyczał kapitan Hytchkahk. – Nie zatrzymujcie się ani na chwilę!

Bywały miejsca i czas sposobny do tego, by zastosować wyrefinowaną taktykę podpatrzoną u Charisjan, ale zdarzały się też chwile, gdy w grę wchodziła tylko tradycyjna, niepowstrzymana nawała siddarmarckich pikinierów... nawet gdy współcześnie piki zastąpiły bagnety i granaty.

Trzecia drużyna parła przed siebie: czterystu żołnierzy, z których każdy ryczał z wściekłości na cały głos, nie ulękło się ognia Dohlarian. Kapitan Hytchkahk wiedział, że traci swoich ludzi, był jednak pewien, że straty nie będą tak duże jak w innych okolicznościach. Ulewny deszcz utrudniał karabinierom oddawanie strzałów, gwoli szczerości po obydwu stronach. Na szczęście Hytchkahk miał po swojej stronie element zaskoczenia, by nie rzec: szoku.

– Naprzód! – ryknął. – I żeby mi się ani jeden żywy nie ostał!

– Niech pan uważa, sir!

Clymyns poderwał spojrzenie na Adulfa Wyznynta, plutonowego trębacza, który wydał z siebie ostrzegawczy okrzyk. Jego oczy otworzyły się szeroko ze zdziwienia.

– Alyksberg! Alyksberg!

Na skrzydłach tego wrzasku nadciągnęła druga fala Siddarmarczyków, którą poprzedzały nieprzerwane eksplozje granatów. Słyszał krzyki rannych ludzi – swoich ludzi – gdy granaty te wpadały do okopów i wybuchały pośród żołnierzy. Tymczasem pierwszy szereg napastników już dotarł do czołowej linii umocnień; bagnety dźgały na oślep, a kolejne szeregi siłą impetu wpadały przez utworzone przerwy w obronie. Było jasne, że przeciwnik wszystko dobrze zawczasu przemyślał.

Porucznik sięgnął po dwulufowy pistolet jedną ręką, drugą zaś złapał swój miecz.

Ochotnicy z trzeciego Alyksberskiego nacierali dalej falami, z których każda rozprawiała się z przypisanym jej celem. Zaciekłość tego ataku przerosła wytrzymałość nawet najbardziej zaprawionych w boju weteranów. Dohlarianie zaczęli się cofać przed wrogiem, chcąc uniknąć śmiertelnych granatów i ostrzy, które lśniły złowieszczo w blasku rac. Gdyby mogli, zatkaliby sobie uszy przed rozrywającym bębenki rykiem wielu setek gardeł atakujących. Początkowo rejterowali pojedynczo lub parami, Clymysns jednak widział, że duch bojowy opuszcza jego ludzi. Nie mając wyjścia, wyskoczył ze swego okopu i rozejrzał się wokół wzrokiem pełnym gniewu i żalu.

– Daj sygnał do ataku, Adulfie! – zawołał, po czym spojrzał miazdząco na dwie drużyny rezerwy tkwiące w okopie po jego lewej.

– Dalej, chłopcy! – Wykonał zamach mieczem do wtóru dźwięków trąbki wzywającej do ataku. – Za mną!

Nie mówiąc ani słowa więcej, odwrócił się i runął w stronę Siddarmarczyków.

Za nim ruszyli wszyscy co do jednego jego podwładni.

– Drugi pluton rozbity, sir! – zameldował sierżant Stahdmaiyr, na co Zhames Tyrnyr zaklął szpetnie.

Czwarty pluton poszedł już w rozsypkę, a pierwszy i trzeci walczyły o przetrwanie. Skoro drugi również przepadł...

– Jakież wieści od kapitana Yairdyna? – zapytał nagląco.

– Żadnych, sir. Ale nie wygląda to za dobrze – dodał ponuro Stahdmaiyr. – Lewa flanką jest chyba odsłonięta aż do rezerwowej linii.

– Na Chihiro... – sapnął Tyrnyr. Jeżeli naprawdę Yairdyn został odepchnięty tak daleko... – Nie zdołamy ich powstrzymać, Wylsynnie. – Głos miał słaby, a twarz chmurną. – Biegnij do kapitana Zhoelsyna. Niech ratuje, kogo może. Postaramy się mu kupić trochę czasu.

– Wyślę gońca – obiecał Stahdmaiyr.

– Nie, do diabła! Sam do niego idź! Musisz zanieść mu te rozkazy!

– Poślę kogoś zaufanego.

– Ty masz być gońcem, bo...

– Nie, sir – sprzeciwił się głucho Stahdmaiyr. – To niemożliwe. – Na moment odsłonił zęby, które zaśniły bielą w blasku rac. – Może mnie pan później skazać na sąd wojenny.

Tyrnyr otworzył ponownie usta, ale zaraz zamknął je z kłapnięciem. Nie miał na to czasu. Poza tym wiedział, że sierżant nigdzie się nie ruszy.

– No dobrze, ty przekłety idioto – rzekł ciszej, ściskając starszego mężczyznę za ramię. Moment później odchrząknął. – Ale uwiń się z tym prędko.

– Tak jest! – zapewnił przełożonego Stahdmaiyr.

Tyrnyr dobył pistoletu i sprawdził zabezpieczenie, podczas gdy wokół niego nieprzerwanie toczyła się zażarta bitwa wśród wybuchów granatów i stukotu wystrzeliwanych kul karabinowych.

– Wiadomość dla pułkownika Sheldyna! Gdzie on jest?

Wycieńczony, ubłocony goniec na wpół wbiegł, na wpół się wtoczył na stanowisko dowodzenia Zhonesbergu. Miał góra jedenaście lat, ale przez błoto prześwitywały insygnia porucznika. Teraz chłopak starł z twarzy brud i rozejrzał się po lichym wnętrzu.

– Tutaj jestem! – odpowiedział Gylchryst Sheldyn. Wyprostował się znad mapy, którą usilnie studiował w półmroku, co zmusiło go do praktycznie przytknięcia nosa do stołu, na którym leżała. Mimo to nadal nie był w stanie odczytać co mniejszych znaczników. – Co to za

wiadomość? Od kogo?

Goniec zachwiał się na nogach, kiedy sięgnął do torby kurierskiej, by wyjąć pośpiesznie zalakowany list.

– Od pułkownika Hyndyrsyna, sir! – Z głosu gońca przebijało zmęczenie, ale też podenerwowanie. – Switch został zdobyty. Kapitan Tyrnyr nie żyje... chyba... Ocalała góra setka jego ludzi.

Sheldyn zacisnął szczęki. Nie musiał patrzeć na mapę, aby zrozumieć, co to znaczy.

Przed pięciodniem heretycy zajęli Rozstaje Byrtyna, po tym jak pozbyli się Armii Seridahn z Fyraythu po dwóch pięciodniach ciężkich walk. Najwyraźniej dostali uzupełnienie wyposażenia w postaci znaczącej liczby dział kątowych, których ten drań hrabia Hanthu użył, ażeby zniszczyć obronę Fyraythu.

To było bardzo niefortunne, gdyż Fyrayth stanowił najważniejszą barierę, niewiele się różniącą od nadgranicznych fortec takich jak Bryxtyn i Waymeet, chroniącą Dohlar przed wdarciem się na jego teren wojsk hrabiego Hanthu. Fyrayth zajmował główną część wzniesienia ciągnącego się wzdłuż kanału Sheryl–Seridahn, co samo w sobie czyniło jego utratę sprawą gardłową. Co gorsza jednak, strata ta pozwoliła hrabiemu Hanthu wydostać się z bezdenne go trzęsawiska, które udaremniało jego wszelkie starania, by powtórzyć manewr z atakami z flanki, ten sam, co zmusił Armię Seridahn do wycofania się krok po kroku, zanim na dobre rozpoczęły się zimowe deszcze. Melioracja dalej na zachód od wzgórz Fyrayth sprawowała się lepiej, grunt więc był bardziej suchy, a niewielkie osady rozrzucone w tej okolicy gwarantowały sieć dróg. Aczkolwiek „dróg” to może za dużo powiedziane – ot, zwykłych traktów, które wszakże pozwalały wojsku przemieszczać ludzi, zapasy i sprzęt.

Heretycy zachowują się innowacyjnie, pomyślał ponuro. Hrabia Hanthu nie pośle większych oddziałów tymi zabłoconymi polnymi drogami, ale też nie musi tego robić. Generał Sheldyn zajmował obecnie w Zhonesbergu pozycje znajdujące się pięćdziesiąt mil na południe od kanału. Nie było mowy, aby generał Rychtyr zdołał utrzymać jednolitą linię frontu z tego miejsca do kanału za pomocą fortyfikacji, które miały powstrzymać atak heretyków. Może i by się dało znaleźć ludzi do wzniesienia takich umocnień, nawet przy tej pogodzie, za nic jednak nie

miałby skąd wziąć wystarczającej liczby żołnierzy do obsadzenia czegoś równie gigantycznego, nawet gdyby owo coś istniało.

Wycofał się więc trzydzieści pięć mil na zachód od Fyraythu na drugą linię, do reduty położonej między wsiami o dźwięcznych nazwach Maiyrs Farm, na zachód od kanału, i Stahdyrd Farm, czterdzieści mil na północ od Zhonesbergu, to jednak stanowiło najszerszy front, jaki był w stanie obsadzić ludźmi, przy czym stosunkowo lekkie oddziały, jakie wyznaczył do tego zadania, z konieczności były tym bardziej rozciągnięte, im bardziej na tyłach się znajdowały, sięgając do kanału oraz jeszcze dalszej drogi...

Tereny leżące na północ od Maiyrs Farm były równie fatalne jak te na wschód od Fyraythu, co zapewniało jego lewej flance pewną dozę bezpieczeństwa – to znaczy przynajmniej miałby czas zareagować, gdyby hrabia Hanthu natarł, brodząc w błocie i bagnie. Wszelako „sieć dróg” na południe i na południowy wschód od Stahdyrd Farm była na to zbyt rzadka. Dlatego ufortyfikował miasta i wsie i skierował do nich garnizony w sile kompanii i regimentu. Nikt się nie łudził, że zdołają one powstrzymać poważniejszy atak, ale z pewnością były w stanie spowolnić marsz heretyków, zmuszając hrabiego Hanthu do radzenia sobie z przeszkodami i marnowania czasu. Również dzięki temu generał Rychtyr dowiedziałby się w porę, gdyby jego prawa flanką była zagrożona.

– Jak im się udała ta sztuka? – zapytał gońca.

– Nie wiem nic na pewno, sir – odparł chwiejający się goniec ochryłym głosem. – Zobaczyliśmy rakietę sygnałową, a potem usłyszeliśmy działa kątowe. – Wzruszył bezradnie ramionami. – Nic więcej nie widziałem ani nie słyszałem, bo pułkownik Hyndyrsyn wysłał mnie do pana, sir.

Sheldyn chciał zmiażdżyć młodzika spojrzeniem, ale opanował się, mówiąc sobie, że to przecież nie jego wina.

– A co z...? – zaczął i urwał.

Spodziewał się znaleźć odpowiedź na to pytanie w pisemnej wiadomości od pułkownika. Z tym że ów dysponował ledwie połową stanu liczebnego, oddanego pod dowództwo Tyrnyra, przez co jego pozycje można było określić raczej mianem punktu obserwacyjnego bądź komunikacyjnego, z czym wiązało się małe prawdopodobieństwo, aby obsługującym je żołnierzom udało się kogokolwiek powstrzymać,

o zatrzymaniu nie mówiąc.

– Dajcie temu człowiekowi coś gorącego do jedzenia – rzucił ostro do adiutantów i zbliżył się do lampy zwieszającej się z powały na środku pomieszczenia. – I znajdźcie mi wypoczętych gości, trzech co najmniej.

– Tak jest! – wykrzyknęli unisono adiutanci.

Sheldyn nawet nie zaszczyił ich spojrzeniem, zdążył bowiem zabrać się już do otwierania listu.

.XII.
Świątynia
Syjon
Ziemie Świątynne
oraz
Ambasada Charisu
Siddar
Republika Siddarmarku

Zhaspahr Clyntahn prychnął niczym cierpiący na nadwagę waleniszczyciel, gdy w komnacie sypialnej rozległo się delikatne dzwonięcie. Obrócił się na bok, nakrył poduszką głowę i zapadł się głębiej w wygodne, miękkie łóżko. Jego obecna kochanka poruszyła się przez sen i przeturlała bliżej niego, obejmując go ramionami, twarzą muskając mu kark i napierając nagimi piersiami na jego plecy. Clyntahn uśmiechnął się z rozmarzeniem.

Dzwonięcie rozległo się powtórnie, tym razem nieco głośniej. Clyntahn wzdrygnął się i otworzył oczy. Jedną ręką sięgnął w kierunku kręgu roztaczającego przymglony blask i zmrużył powieki, aby odczytać godzinę. Tarcza budzika stała się wyraźnie widoczna w świetle nocnej lampki, która rozbłysła na stoliku, kiedy wykonał ruch ręką. Rysy wielkiego inkwizytora stężały.

Kobieta – a właściwie dziewczyna – przywarła do niego całym ciałem, zmuszając go, aby się do niej obrócił, dzwonięcie jednak rozbrzmiało po raz trzeci, znowu głośniej niż poprzednio. Clyntahn rzucił przekleństwo pod nosem, podniósł kołdrę i wyplątał się z objęć kochanki. Pochylił się po szlafrok, który strącił z ramion na ziemię przed paroma godzinami, i przywdział go, zawiązując pasek. W końcu ruszył do drzwi komnaty, machnięciem ręki włączając górne światło.

Drzwi rozsunęły się, kiedy prawą dłonią dotknął płytki wbudowanej w ich skrzydło. Na korytarzu stał brat Hahl Myndaiz, podenerwowany

ewidentnie schueleryta, który od sześciu lat pełnił funkcję lokaja wielkiego inkwizytora.

– Czego? – warknął Clyntahn.

– Wasza dostojność, bardzo przepraszam za to najście... – Brat Hahl wymawiał słowa tak szybko, że jedno zdawało się gonić drugie i je połykać. – Nigdy bym sobie nie pozwolił na coś podobnego, ale... Przeszedł arcybiskup Wyllym.

– Rayno jest tutaj? – Clyntahn uniósł brwi. Gniew na jego obliczu wymieszał się z zaskoczeniem. – O tej porze?

– W rzeczy samej, wasza dostojność. – Zakonnik skłonił się, mając nadzieję, że wściekłość przeszła jego przełożonemu, względnie że zostanie przekierowana na kogoś innego. – Arcybiskup Wyllym czeka w gabinecie.

– Rozumiem. – Clyntahn przez moment stał w bezruchu i pocierał zarost na obwisłym podbródku. W końcu wydał z siebie ryk godny poirytowanego niedźwiedzia. – No, skoro ma czelność wyciągnąć mnie z łóżka w środku nocy, niech sobie poczeka jeszcze kilka minut. Zamierzam się najpierw ogolić i ubrać w świeżą sutannę. Słyszałeś, co powiedziałem, Hahl?

– Oczywiście, wasza dostojność! Już się robi, wasza dostojność!

Arcybiskup Wyllym Rayno podniósł się na nogi i zwrócił w stronę otwierających się drzwi gabinetu. Przeszedł przez nie wielki inkwizytor – nienagannie ogolony i ubrany – ciągnąc za sobą woń drogiego mydła do golenia i takiej samej wody kolońskiej. Wyraz twarzy jednak miał skwaszony.

– Wasza dostojność... – Rayno pochylił się, aby ucałować pierścień, który podetknął mu zwierzchnik, a następnie wyprostował się, chowając dłonie w rękawach sutanny.

– Wyllymie – odparł Clyntahn, kiwając zdecydowanie głową, po czym wyminął gościa i zajął miejsce na swym fotelu za biurkiem. Odchylił się na samych tylnych nogach i obdarzył arcybiskupa przeciągłym spojrzeniem. – Zdajesz sobie sprawę, że położyłem się do łóżka trzy godziny temu, z czego tylko nieznaczną część przespałem? Musiałeś

mnie wywlec o tej nieludzkiej porze?

– Nie miałem pojęcia, o której udałeś się na spoczynek, wasza dostojność. Oczywiście byłem świadom, że przerwę twój sen. I za to przepraszam. Ale uznałem, że zechcesz wysłuchać najświeższych wieści tak szybko jak to możliwe.

– Jakoś trudno mi sobie wyobrazić coś, co by wymagało mojej natychmiastowej uwagi, no chyba że byłaby to wizyta jakiegoś demona tutaj, w Syjonie – rzekł lodowatym tonem Clyntahn. Po chwili jednak rysy mu zmiękły... przynajmniej trochę. – Z drugiej strony jakoś nie chce mi się wierzyć, abyś chciał mnie rozwścieczyć, gdyby to nie była naprawdę ważna sprawa. A skoro już przy tym jesteśmy – dodał z nieprzyjemnym uśmiechem – może wreszcie to z siebie wydusisz, abym mógł się przekonać, czy zgadzamy się co do wagi kwestii, z którą do mnie przychodzisz.

– Oczywiście, wasza dostojność. – Rayno uklonił się przed zwierzchnikiem kolejny raz i znowu wyprostował się na całą swoją wysokość. – Wasza dostojność – podjął oficjalnym tonem – udało nam się pojmać jednego ze starszych agentów Pięści Boga. I to żywcem.

Krzesło Clyntahna opadło z impetem na przednie nogi, a on sam nachylił się nad blatem biurka. W jego oczach płonął ogień.

– Jak? Gdzie? – zasypał podwładnego pytaniami.

– Zawsze powtarzałem, że ci dranie popełnią błąd albo to nam się poszczęści. W tym wypadku chyba jednak Bóg i Schueler postanowili nam zrobić prezent. Pewien parafialny inkwizytor, niejaki ojciec Mairydyth Tymyns, który już kilkakrotnie wsławił się sukcesem w swojej pracy, odbywał właśnie rutynową wizytę mającą na celu przesłuchanie kuzynki kogoś z buntowników zatrzymanych przed paroma dniami. – Wzruszył jednym ramieniem. – Tamta kobieta została już osądzona i skazana na odpowiednią karę w wyniku procesu toczącego się za zamkniętymi drzwiami, aczkolwiek podczas rozmowy ojca Mairydytha z jej ojcem stało się jasne, że część rodziny może być również zamieszana w spisek. Wszelako gdy ojciec Mairydyth udał się do sklepu, w którym pracowała kuzynka tej kobiety, przekonał się, że jej przełożona zaskakująco interesuje się, o co chodzi inkwizytorom. A gdy ta kuzynka zorientowała się, że będzie aresztowana, oczekiwała od przełożonej, że uczyni coś, by ją ratować z opresji. Na tej podstawie

ojciec Mairydyth uznał, że najlepiej będzie, jeśli podda przesłuchaniu obydwie te kobiety, młodszą i starszą. Wówczas ta druga się zdradziła.

– Zdradziła się? Czym?

– Chciała odebrać sobie życie, wasza dostojność. Już samo to wystarczyłoby, aby ją powiązać z terrorystami, mniejsza o środki. Jednakże ona próbowała uciec się do trucizny... Ojciec Mairydyth w tym miejscu raportu szczególnie chwali brata Zheroma, towarzyszącego mu zakonnikowi, który zdążył kobietę schwycić za przegub, zanim umieściła sobie truciznę w ustach. Przeprowadzone dochodzenie ujawniło, że trucizna należy do tego samego gatunku co ta znaleziona w kapsułkach przy ciałach martwych terrorystów. – Rayno ponownie wzruszył ramieniem. – W tych okolicznościach trudno powątpiewać, że istotnie jest ona agentką Pięści Boga. Można również śmiało zakładać, że w spisek są zamieszani krewni młodszej kobiety, aczkolwiek być może nie aż w takim stopniu.

– Tak, to by się zgadzało, prawda? – mruknął Clyntahn.

– Niewątpliwie, wasza dostojność. Jest też jedna rzecz, która czyni te powiązania niemal pewnymi, wasza dostojność. – Clyntahn odchylił się na oparcie krzesła i uniósł pytająco brwi, na co Rayno uśmiechnął się zimno. – Ubolewam, że nie mogę ci donieść o pojmaniu dwóch stuprocentowych terrorystów – dodał – wszakże mamy do czynienia z komórką, która sama w sobie jest niezwykle trudno uchwytna. Co do właścicielki tego sklepu z kapeluszami, gdzie pracowały obie kobiety, starsza i młodszą, otruła się ona wtedy, gdy ojciec Mairydyth ze swoimi ludźmi wyłamywał drzwi do jej mieszkania na piętrze.

– Doskonale, Wyllymie – pochwalił Clyntahn. – Doskonale! Oczywiście, że lepszy gołąb w garści niż wróbel na dachu, ale tak przynajmniej możemy mieć pewność, z kim mamy do czynienia. Ufam, że przetrząsnęliście sklep i mieszkanie w poszukiwaniu dalszych dowodów?

– Przeszukanie właśnie trwa, wasza dostojność. – Rayno skłonił lekko głowę. – Jednakże biorąc pod uwagę, jak dobrze kryli się ci ludzie do tej pory, nie byłbym nadmiernym optymistą, gdy chodzi o wynik tego przeszukania. Na pewno jednak nikt nie miał czasu niczego zniszczyć. Jeżeli istnieją jakieś szyfry, kody czy zapiski, powinniśmy je znaleźć. Tymczasem poinformowałem biskupa Zakryaha... sklep, o którym

mowa, mieści się w Sondheimsborough, wasza dostojność... że jego inkwizytorzy winni być tak widoczni, jak to tylko możliwe.

– Czy aby na pewno słusznie? – Clyntahn zmarszczył czoło. – Stracimy przewagę zaskoczenia, jeśli terroryści dowiedzą się, że pojмалиśmy kogoś od nich.

– To, że się o tym dowiedzą, i to w najbliższym czasie, jest nieuniknione – stwierdził Rayno. – Są ze sobą bardzo blisko w obrębie tej organizacji. Bez dwóch zdań pojmą, że coś przytrafiło się ich członkiniom. Dlatego, zważywszy na wagę zeznań, które możemy wydobyć od pojmanyh kobiet, nasi inkwizytorzy muszą zachować szczególny umiar. Osobiście uważam, że... przynajmniej sądząc na podstawie wstępnych raportów... żadna z tych kobiet nie pęknie tak szybko. Choć przekłeci i głupi, fanatycy bywają ślepo oddani sprawie, której służą. One także wydają się gotowe bronić współspiskowców z zacięciem godnym lepszej sprawy. Tak więc boję się, że terroryści zyskają odpowiednio dużo czasu, aby podjąć działania mające na celu zniwelowanie krzywd, jakie mogłoby spowodować ujawnienie informacji. Dlatego właśnie aresztowanie odbyło się publicznie: po pierwsze, by zniechęcić ewentualnych chętnych do naśladowania Pięści Boga, a po drugie, by wywołać panikę w szeregach terrorystów.

– Ach tak. – Clyntahn pokiwał wolno głową, mrużąc oczy w szparki. – Nie powiem, abym się całkowicie z tobą zgadzał – dodał po chwili zamyślenia – jednakże ogólnie rzecz biorąc, twoje argumenty do mnie przemawiają.

– Dziękuję, wasza dostojność. – Rayno znów uśmiechnął się zimno, a nawet lodowato. – Ogłosiłem też, że pojмалиśmy właścicielkę sklepu z kapeluszami. Uznałem, że lepiej będzie nie informować terrorystów o jej śmierci. – Uśmieszek stał się naprawdę paskudny. – Jeśli będą myśleć, że mamy aż tylu potencjalnych informatorów, mogą popełnić w stresie jakiś błąd. Z tego samego powodu kazałem inkwizytorom utrzymywać obie pojmane w iluzji, że ich współniczka pozostaje przy życiu.

– Świetnie – zgodził się Clyntahn.

Inkwizycja już dawno się nauczyła, jak wykorzystywać obawę jednego więźnia i dobrostan drugiego dla swojej korzyści. Z kolei świadomość, że ktoś inny pierwszy puścił farbę, bywała nawet jeszcze bardziej pomocna.

Nawet najbardziej zagorzały przeciwnik Boga Jedyneego był gotów się złamać i wyśpiewać wszystko, byle zakończyć swe cierpienie, jeżeli myślał, że tylko potwierdza informacje, które Inkwizycja wydobyła już z kogoś innego. Po co bowiem cierpieć nieludzkie katusze, skoro prawda i tak wyszła na jaw?

– Gdzie jest ta kobieta, którą pojмалиście jako pierwszą? – zapytał nagle wielki inkwizytor.

– W więzieniu Świętego Thyrmyna, wasza dostojność – odparł Rayno. Zhaspahr Clyntahn skinął z zadowoleniem głową.

Więzienie to nie było może położone najbliżej Świątyni, jednakże w całości znajdowało się w rękach Inkwizycji. Nikt poza Inkwizycją nie wiedział, kto znika w jego czeluściach... ani też co dzieje się z zatrzymanymi ludźmi, których tam wtrącono. Tam też szkolono najbardziej uzdolnionych inkwizytorów, a stały personel był wybierany z najbardziej oddanych i zagorzałych współpracowników. Prałat nadzorujący działanie więzienia Świętego Thyrmyna, biskup inkwizytor Bahltahzyr Vekko, pełnił swoją funkcję od półwiecza, pilnując, by jego podwładni skutecznie wydobywali informacje od swych podopiecznych, którzy koniec końców marzyli tylko o tym, aby się wypowiadać, odpokutować i otrzymać rozgrzeszenie.

– Świetnie – powtórzył Clyntahn. – Nie mylisz się co do tego, że trzeba nam jak najwięcej informacji. – Jego rysy stwardniały. – W tym wypadku drobiazgowość jest znacznie ważniejsza od szybkości. Muszę poznać każdy szczegół, w jakiego posiadanie weszła ta kobieta. Każdy, Wyllymie. Bez wyjątku. Macie ją przycisnąć do samej ściany, zrozumiałeś?

– Oczywiście, wasza dostojność. – Rayno uklonił się nisko.

– Przekaż biskupowi inkwizytorowi, że ktokolwiek będzie pracował nad nią, musi mieć świadomość, iż kluczowe dla nas jest zdobyć wszystkie informacje oraz... co nie mniej istotne... publiczne przyznanie się do winy. Wyrażone własnymi słowami w trakcie procesu, a nie tylko spisane przez skrybę. Niech wszyscy usłyszą, że terroryści mają konszachty z demonami! Po czym strąć ją na placu Męczenników, nie gdzie indziej. Uczynimy z niej przykład dla reszty. Nawet jeśli ten kawałek o demonach mija się z prawdą, zasłużyła sobie, podobnie jak oni wszyscy, na najwyższy wymiar kary.

Widząc pałające spojrzenie przełożonego, Rayno uciekł wzrokiem i tylko pokiwał głową.

– Wyllymie, postaraj się, by biskup inkwizytor to zrozumiał. Wyraż się jednoznacznie! Jeżeli ta więźniarka umrze w trakcie procedury przesłuchania, konsekwencje dla tych, którzy byli w nie zaangażowani, będą niezwykle surowe.

– Cudowne maleństwa, Irys – powiedziała przez komunikator Sharleyan Ahrmahk siedząca w swojej komnacie sypialnej w Tellesbergu. – W dodatku dają ci nocą spać, w przeciwieństwie do mojej Alahnah, gdy była mała.

– Są śliczne, nieprawdaż? – potaknęła czule Irys, spoglądając na kołyskę z dwoma niemowlętami, które spały obok jej łóżka i pławiły się w promieniach słońca wstającego nad Manchyrem. – No, mają szczęście, zważywszy, ile się natrudziłam, aby wydać je na świat! – dodała z uśmiechem.

– Przyznaję, że rozkład obowiązków jest nieco niesprawiedliwy – wtrącił Cayleb z ambasady Charisu, gdzie w swoim gabinecie bawił się w zamyśleniu szklaneczką whiskey. – Mimo wszystko nie zapominajmy o wkładzie wniesionym przez pewnego mężczyznę, Irys...

– Och, oczywiście, ojciec – rzekła zgodnie Irys. Tonowi jej głosu jawnie przeczył przewrotny błysk w oku.

Cayleb prychnął i zaraz się uśmiechnął.

– Domyślam się, że był to z twojej strony żart – powiedział. – Jeszcze niedawno nie uwierzyłbym, gdyby ktoś choćby zasugerował taką możliwość, niemniej nie wiesz nawet, jaki jestem szczęśliwy, że mogę cię nazywać swoją synową.

Rysy Irys zmiękły.

– Zapewniam cię, Caylebie, że nie ty jeden nie wyobrażałeś sobie czegoś równie nieprawdopodobnego, ba, straszego wręcz. Nie będę też udawać, że byłam gotowa oddać wszystko, aby znaleźć się w miejscu, w którym teraz się znajduję. Obecnie jednak z nikim bym się za nic nie zamieniła.

– To dlatego, że jesteś niezwykle mądrą młodą kobietą – skwitował Phylip Ahzgood łagodnie. Hrabia Corisu siedział w pojedynkę w swoim gabinecie, zajmując się dokumentami, które nie przestawały spływać na jego biurko nawet o tak późnej porze. – Jeśli mam być szczery, z każdym dniem bardziej przypominasz mi swoją matkę, która była chyba najmądrzejszą kobietą, jaką znałem. Aczkolwiek nie mogę mieć pewności, jak by się zapatrywał na to wszystko twój ojciec. Bez wątplenia jednak pragnąłby twego szczęścia i z tego względu okazałby większą elastyczność, niżbyśmy mu przypisywali, i to pomimo tego, co mu się przytrafiło. – Hrabia Corisu zacisnął wargi w wąską kreskę. – Zważywszy, że za śmiercią jego i młodego Hektora stoi Clyntahn i reszta tych syjońskich świń, twój ojciec... gdziekolwiek jest... żywo kibicuje Charisowi. Choć nie można wykluczyć, że ma jednak jakieś obiekcje co do twego małżeństwa. – Wargi wygięły się w lekkim uśmiechu. – Był z niego uparciuch. Księżniczka Raichynda z kolei na pewno pochwaliby wybór Hektora Ahrmahka. Szczególnie że – dodał z rozrzewnieniem – jest on imiennikiem twego brata!

– Ja również nie wiem, co myśleć... znaczy w odniesieniu do ojca – powiedziała Irys. – Masz rację, mówiąc, że na pewno pragnąłby mojego szczęścia, ale z drugiej strony nazwanie go uparciuchem przypomina określenie charisjańskiej zimy „chłodną”. – Tym razem to ona rozrzewniła się na wspomnienie nieżyjących krewnych. – Co do mamy niewątpliwie się nie mylisz – podjęła po chwili raźniejszym już tonem. – Przypuszczam, że pokochałaby Hektora całym sercem, i to nie tylko z powodu imienia. Najbardziej ze wszystkiego żałuję jednak, że mama nie może zobaczyć dzieci...

– Jestem pewien, że je widzi – odezwał się Maikel Staynair. – Choć oczywiście – dodał z łobuzerskim uśmiechem – jako arcybiskup Charisu zwyczajnie muszę być optymistą w tym względzie.

– Można tak to ująć – potwierdziła Aivah Pahrsahn oschle. Siedziała na kozetce w gabinecie Cayleba, ramię w ramię z Merlinem Athrawesem. Oboje trzymali w ręce po szklaneczce wyśmienitego Świętego Kohdy’ego. – Pozwól jednak, Irys, że też zagłosuję na najpiękniejszego bobasa roku. O ile z Raichyndy jest niezwykle śliczna dziewczuszka, to mnie zawsze podobali się przystojni mężczyźni. Dlatego oddaję swój głos na małego Hektora.

– Odważna jesteś, skoro tak stawiasz sprawę – zaśmiał się Cayleb. –

Ja wszakże, jako panujący monarcha mający świadomość wagi dyplomacji, taktu i delikatności, raczej nie zajmę tak jednoznacznego stanowiska. Dlatego niniejszym obwieszczam oficjalnie, że oboje są tak uroczy, że nie sposób wskazać zwycięzcy, w związku z czym nagroda musi zostać podzielona równo między nich dwoje.

– I to tylko dzięki temu, że Alahnah już nie uczestniczy w konkursie na najpiękniejszą niemowlę – wtrąciła Sharleyan.

– Myślisz, że upadłem na głowę? – zwrócił się do niej mąż. – Jasne, że to jedyny powód, dla którego nagroda nie będzie podzielona na trzy części!

W komunikatorach rozbrzmiał śmiech.

Cayleb wyprostował się na krześle i zwrócił się do swego przysposobionego syna, który stał na pokładzie rufowym HMS *Skrzydło* unoszącego się na falach Zatoki Dohlariańskiej spowitej promieniami popołudniowego słońca, niedającego niestety zbyt wiele ciepła.

– Hektorze... Skoro dopiero za jakieś pół godziny schronisz się w zaciszu swojej kajuty, proponuję, abyśmy do tego czasu odroczyli dalsze rozwodzenie się nad urodą maleństw i ogólne szczebiotanie.

Hektor prychnął i zaraz wykonał dłonią lekceważący gest, gdy sternik spojrzał na niego pytająco.

– Nic się nie dzieje, Henrai – rzucił do marynarza. – Po prostu przypomniałem sobie, co kiedyś powiedział jego wysokość cesarz Cayleb, gdy był w wyjątkowo żartobliwym nastroju. Bo wiesz, cesarskie poczucie humoru jest niemal... niemal!... tak dobre, jak on myśli.

– Tak jest. Jak pan uważa – odparł sternik, uśmiechem kwitując oschły ton przełożonego, po czym znów skupił uwagę na ożagłowaniu szkunera.

– Och, brawo, Hektorze! – zachichotał Cayleb. Bardzo prędko jednak spowaźniał i odstawił szklaneczkę na blat biurka przed sobą. – Tymczasem chciałbym poruszyć temat hrabiny Cheshyru. Cieszy mnie, że tak sprawnie udało nam się dołożyć jej skrycie dodatkowych ochroniarzy. Nawiasem mówiąc, Merlinie, przyznaję, że to bardzo dogodne określenie. Musimy tylko uważać, aby nie używać go w obecności osób niepowołanych! Wracając do tematu jednak... Martwi mnie to, jak bardzo księżę Skalistego Wybrzeża upiera się, by włączyć ludzi do jej gwardii przybocznej. Wcześniej czy później bądź mu się to

w końcu uda, bądź ktoś wreszcie go poinformuje, iż hrabina dostaje ostrzeżenie, ilekroć w twierdzy Rydymak ma się pojawić szpieg. A gdy do tego dojdzie, ktoś taki jak on może się uciec do bardziej radykalnych środków.

– Czym wkurzy współspiskowców – wtrącił Merlin. – Jak na razie nie powinni bowiem się ujawniać, a przecież zamordowanie lady Karyl właśnie tym skutkuje. Szczególnie gdy otrzymuje ona ostrzeżenia, co by wskazywało, że pomagają jej ci niegodziwi *seijinowie*... którzy muszą się orientować w zamiarach spiskowców!

– To prawda – zgodziła się Sharleyan. – Z drugiej strony Zhasyn Seafarer potrafi być uparty jak osioł. Jeśli uzna, że nie może dostać tego, na czym mu zależy, ucieknie się do przemocy, za nic mając konsekwencje.

– Owszem – zaczął Merlin – ale...

– Przepraszam – w komunikatorach rozległ się nowy głos. – Obawiam się, że muszę wam przeszkodzić. Wynikło coś pilnego.

– Coś pilnego? – podchwycił nerwowo Cayleb, dosłyszawszy w głosie Nahrmahna Baytza niepokojące nutki.

– Sowa właśnie przejrzała obrazy nadawane przez SAPK-a zainstalowanego w sklepie Ahrloha Mahkbytha – wyjaśnił Nahrmahn. – Nie wygląda to dobrze.

.XIII.
Więzienie Świętego Thyrmyna
Syjon
Ziemie Świętynne
oraz
Ambasada Charisu
Siddar
Republika Siddarmarku
oraz
Gabinet Zhaspahra Clyntahna
Świątynia
Ziemie Świętynne

Cela była ciasna, ciemna i chłodna. Zabrakło w niej jakiegokolwiek źródła światła, jeśli nie liczyć małego zakratowanego okienka w masywnych drewnianych drzwiach, przez które wlewał się brudnożółty blask. Zabrakło w niej również mebli – zamiast łóżka w rogu leżała na posadzce cienka wiązka zamokłej słomy. Co najgorsze zaś, oprawcy nie pomyśleli nawet o wiadrze czy nocniku, za pomocą którego więźniarka mogłaby sobie ulżyć.

Kuliła się w kącie naga, kucając na słomie z kolanami podciągniętymi pod brodę i obejmując je jedną ręką, tą zdrową, gdy cała garbiła się w sobie. Wokół panowała cisza, nie kompletna jednak, a dźwięki, które docierały do uszu kobiety – wyraźne i jakby wzmocnione przez ciszę – brzmiały strasznie. Były to głównie krzyki, które wydzierały się z gardeł osób pozostających gdzieś po drugiej stronie ciężkich drewnianych drzwi, prawdopodobnie gdzieś w dole zimnego, kamiennego korytarza, przez co odległość je tłumiła. Oprócz krzyków rozlegały się także inne, bliższe odgłosy. Chrapliwe, oszalałe mamrotanie słów pozbawionych sensu. Bezradne błaganie, by ktoś wreszcie zrozumiał, że ofiara nie jest winna

zarzucanych jej czynów. Człowiek ten musiał mieć świadomość, że nikt go nie słucha, ale i tak błagał bez końca, licząc na łaskę.

Kobieta wiedziała, gdzie się znajduje. Każdy mieszkaniec Sondheimsborough słyszał o więzieniu Świętego Thyrmana, aczkolwiek trzeba było być głupcem, aby mówić o nim głośno. Stąd domyśliła się, dokąd je zabierają, ledwie zostały wywleczone razem z Alahnah ze sklepu prosto na śnieg i wrzucone na tył zamkniętego wozu. Wiedza ta zmroziła ją do szpiku.

Alahnah zalewała się łzami, błagającym tonem zaklinając oprawców, by powiedzieli jej, co się stało z jej kuzynką i wujem. Oczywiście nikt nie raczył udzielić odpowiedzi. Zhorzhet nie płakała pomimo przerażenia i pulsującego bólu w okaleczonej ręce. Nie chciała dawać oprawcom satysfakcji. Nie odezwała się też ani słowem, wiedząc, że strażnik, który jej pilnował, siedząc z tyłu i trzymając skórzany pasek, który miała zadziergnięty na gardle, w każdej chwili jest gotów ją podduścić do utraty nieprzytomności.

Naturalnie obydwie kobiety zostały skute łańcuchami, mimo że w wypadku Zhorzhet było to niepotrzebne; nie miała najmniejszych szans im zagrozić z uszkodzoną prawą ręką. Nie wspominając o tym, że oprawcy byli zakuci w zbroje i pod bronią. Ona miała gołe ręce, a nawet gdyby czuła się na siłach walczyć, w żadnym razie nie udałoby się jej sprowokować ich do pozbawienia jej życia. Na to zawiadujący całą akcją duchowny był zbyt pewien tego, jaki skarb mu się trafił.

Alahnah jęknęła, skurczyła się w sobie, a jej spojrzenie jakby skierowało się do wewnątrz, kiedy tylne drzwi wozu otworzyły się wprost na dziedziniec więzienia Świętego Thyrmyna. Zaczęła rzucać gorączkowo głową i wydawać z siebie nieartykułowane słowa protestu, jednakże ksiądz, który dokonał aresztowania, jakby nigdy nic strącił ją na ziemię. Wylądowała ciężko na kolanach i krzyknęła z bólu, po czym moment później poleciała na twarz, niezdolna zamortyzować upadku dłońmi, które miała skute łańcuchem na plecach. Czekający w pogotowiu inkwizytor w czarnych rękawiczkach poderwał ją do pozycji stojącej, szarpiąc za włosy.

– Proszę, nie! – stęknęła zakrwawionymi wargami, gdy podciągał ją na czubki palców. – To jakaś pomyłka... To wszystko pomyłka...

– Taaa, akurat – sarknął inkwizytor. – Liczę na to, że wszystko się

wkrótce wyjaśni.

Złapał ją pod łokieć i zaczął prowadzić przed siebie, a wtedy duchowny spojrzał na zakonnika, który trzymał smycz Zhorzhet.

– Na tę bardzo uważaj, Zheromie – powiedział. – Ma nam wiele do powiedzenia, a ja nie mogę się doczekać, aby wszystko usłyszeć. Przypilnuj, aby nam się nie wyslizgnęła, zanim ojciec Bahzwail zdąży ją poznać.

– Bez obaw, ojcie Mairydythu – zapewnił duchownego zakonnik. – Dostarczę ją na miejsce całą i zdrową.

– Nie wątpię – skwitował duchowny z zimnym uśmiechem.

Następnie zgramolił się z wozu i ruszył na wskroś dziedzińca, nie oglądając się ani razu za siebie. Tak mu się śpieszyło, by zdać raport swoim przełożonym.

Zakonnik powiódł za nim spojrzeniem, a potem szarpnął smycz, sprawiając, że Zhorzhet się zachłysnęła, usiłując złapać oddech.

– Wstawaj, suko – syknął jej do ucha z tak bliskiej odległości, że poczuła powiew jego gorącego oddechu. – Czeka na ciebie najgorętszy krąg piekieł, pora zacząć maszerować w jego kierunku.

Zhorzhet zaczęła się wić; krztusząc się, walczyła o łyk powietrza, ale zakonnik nie popuszczał. Siłą postawił ją na nogi i szarpnięciem zmusił, aby zeszła po stromych schodkach na tyle wozu i ruszyła za nim w stronę budynku więzienia. Tyle dobrego, że po drodze musiał poluzować smycz – nie wynikało to jednak z jego życzliwości. Gdyby był jej życzliwy, pozwoliłby jej się udusić, o czym doskonale wiedziała. Nie zrobił tego jednak. Ciągnął ją niekończącymi się korytarzami, by wreszcie przekazać ją w ręce innego mężczyzny: barczystego wielkoluda o twardych rysach i bezlitosnych oczach.

– Zajmę się nią, bracie Zheromie – powiedział wielkolud dudniącym głosem. Był to głos człowieka wypranego ze wszelkich emocji, co natchnęło Zhorzhet jeszcze większą obawą, gdyż ta obojętność zdawała jej się gorsza nawet od największego okrucieństwa.

– A proszę cię bardzo – odparł brat Zherom, przekazując wielkoludowi smycz. Gdy już uwolnił dłoń, złapał twarz kobiety kciukiem i palcem wskazującym, zmuszając ją, aby odwróciła się do niego. Kiedy ich spojrzenia się skrzyżowały, uśmiechnął się do niej. – Nie sądzę, abyśmy się jeszcze zobaczyli... to znaczy przed tym, zanim powiodą cię na Kare

Schuelera. Chociaż niczego nie można wykluczyć. Są różne sposoby na przesłuchiwanie takich suk jak ty. – Nachylił się do niej i polizał ją w czoło; powoli i z upodobaniem. Wyprostował się dopiero po długiej chwili. – Nie będziesz taka śliczniutka, jak rzuca cię w ogień.

Odpowiedziała pustym spojrzeniem, a on roześmiał się na głos, brutalnie odepchnął jej głowę, obrócił się i odszedł.

Wielkolud powiódł ją do celi, ale zatrzymał się w progu.

– Mam mieć na ciebie szczególne oko – powiedział. – Ponoć chciałaś się już zabić. – Pokręcił głową i splunął na kamienną posadzkę. – Nie wiem, do czego ci się tak śpieszy. Już niedługo zobaczysz Shan-wei, bez dwóch zdań. No ale nie mogę ci pozwolić, aby spróbowała znowu odebrać sobie życie. A uwierz mi, widywałem ludzi, którzy powiesili się na rzeczach, o jakich nigdy byś nie przypuszczała, że mogą się do tego przydać. – Uśmiechnął się lodowato. – Chociaż jakoś nie sądzę, abyś ty miała się powiesić.

Zdarł z niej ubranie, pozostawiając całkiem nagą, zanim rozpiął kajdany na jej rękach i wtrącił ją do celi. Wtedy zrozumiała, że pomyliła się co do braku emocji u niego. Obmacując ją, patrzył na nią pożądliwym, okrutnym wzrokiem, nie miała więc wątpliwości, że chodziło o coś więcej niż tylko odebranie jej ostatniego skrawka czegoś, z czego mogłaby zrobić pętlę na szyję.

Wielkolud wybuchnął śmiechem jeszcze raz, zatrzęsnął z hukiem drzwi i odmaszerował, pozostawiając ją samą w towarzystwie zimna, strachu i rozpacz.

– Wzywałeś mnie, eminencjo?

Ojciec Bahzwail Hahpyr przeciął gabinet szybkim krokiem i skłonił się, aby ucałować rubinowy pierścień, który wraz z palcem podał mu biskup inkwizytor Bahltahzyr Vekko.

– Tak, istotnie. Usiądź. Myślę, że trochę nam to zajmie.

– Oczywiście, eminencjo.

Hahpyr zajął swoje stałe miejsce, przybierając uważny wyraz twarzy. Przyjaźnili się z biskupem inkwizytorem, mimo że Vekko był od niego

prawie dwa razy starszy. Ojciec Bahzwail był krępy męczyzną, barczystym, miał ciemne włosy i oczy oraz wąskie, wiecznie zaciśnięte wargi. W przeciwieństwie do niego prawie osiemdziesięcioletni Vekko prezentował się krucho i ascetycznie; z szarymi oczami, siwymi włosami i siwą brodą przypominał czyjegoś ulubionego dziadka... przynajmniej dopóki nie spojrzało mu się głębiej w oczy, gdzie czaiła się zadziwiająca obojętność.

Vekko był jednym z najzacieklejszych zwolenników Zhaspahra Clyntahna, i to od wielu dziesięcioleci. Jeszcze w czasach, gdy wielki inkwizytor chodził do seminarium, Vekko był jego mentorem. Oczywiście od tamtej pory uczeń zdążył przerosnąć mistrza, ten ostatni jednak pozostał zausznikiem hierarchy i odcisnął piętno na Clyntahnowej wizji przyszłości Kościoła Matki. W rzadkich chwilach całkowitej szczerości wobec siebie samego Vekko przyznawał, że brak mu zapału, by wcielić ową wizję w życie, a nawet swego czasu odradzał dawnemu protegowanemu podjęcie działań przeciwko Wyspom Zewnętrznym. Z drugiej strony bywały momenty, gdy postrzegał własną ostrożność jako wadę u prawdziwego syna Kościoła Matki. Sługa taki jak Zhaspahr Clyntahn pojawiał się w historii sporadycznie, dlatego Vekko był mimo wszystko gotów składać dzięki Schuelerowi... i czuć zazdrość.

W głębi ducha wiedział bowiem, że sam nigdy by się nie ośmielił sprowokować wyspiarzy do świętej wojny. Czasami – zwłaszcza gdy wieści z frontu były złe – ta jego bojaźliwość nie pozwalała mu spać i kazała martwić się o przyszłość. Nigdy nie zdradził się z tym przed Zhaspahrem Clyntahnem, wiedział jednak, że wielki inkwizytor w życiu nie przypuszczał, że odległy maleńki Charis może przetrwać pierwszy atak. Vekko oczywiście także się tego nie spodziewał, co tylko dowodziło, że z nich dwóch rację miał jednak Clyntahn. Charis nigdy by nie przetrwał tej próby, gdyby od samego początku nie sprzymierzył się z Shan-wei! Ilekroć Vekko tracił wiarę, ilekroć było jasne, że Pani Zła wyposażała swoich popleczników w demoniczną broń, wystarczyła krótka modlitwa, aby przypomniał sobie, że Bóg Jedyne nie da się pokonać. Dodatkowo prawda była taka, że zaciekłość świętej wojny i działania podejmowane z potrzeby chwili tylko umocniły pozycję Inkwizycji. Gdy już święta wojna się zakończy całkowitym zwycięstwem Boga Jedyne, wielki inkwizytor przejmie absolutną władzę nad Kościołem Matką – i całym światem.

Aczkolwiek, rzecz jasna, najpierw trzeba było to zwycięstwo odnieść.

– Mam dla ciebie wyjątkowego podopiecznego, ojcie – oznajmił biskup inkwizytor, rozsiadając się wygodniej na krześle. – Ojciec Mairydyth zdobył dla nas prawdziwy skarb.

– Ach tak?

Hahpyr uniósł brwi – pytająco, nie w oznace zdziwienia. Jako starszy inkwizytor więzienia Świętego Thyrmyna przywykł, że ma do czynienia z „wyjątkowymi podopiecznymi”. I dotychczas wykazał się samymi sukcesami na tym froncie. Nie bez powodu był wykładowcą na kursach przysposabiających młodych inkwizytorów i mógł się pochwalić znaczącą liczbą wychowanków, którzy także szczylic się licznymi sukcesami.

– Tak – potwierdził Vekko i przybrał surowszą minę. – Sam wielki inkwizytor zażyczył sobie, aby tym podopiecznym zajął się nasz najlepszy człowiek. Będziesz musiał jednak być bardzo ostrożny. Jeśli twoja podopieczna... bo jest to kobieta... a więc jeśli twoja podopieczna wyzienie ducha w trakcie przesłuchania, wikariusz Zhaspahr będzie bardzo niezadowolony. Czy to jasne?

– Oczywiście, eminencjo – odparł Hahpyr. Nie przypominał sobie przypadku, aby jakiś jego „wyjątkowy podopieczny” wyzionął ducha w trakcie przesłuchania.

– Doskonale zatem. Wiem, że mogę ufać w twoją inteligencję nie mniej niż w twoją skuteczność, Bahzwailu, niemniej muszę przedstawić jasno wymagania, jeśli chodzi o tę konkretną podopieczną. Wynik tego przesłuchania może zaważyć na wyniku świętej wojny. To nie jakaś tam zwykła heretyczka czy buntowniczką; to osoba, która otwarcia wystąpiła przeciwko Bogu Jedynemu, istna demonica, służebnica Shan-wei i Kau-yunga.

– Rozumiem, eminencjo.

– W takim razie przede wszystkim musisz wziąć pod uwagę, że...

Nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło, zanim drzwi otworzyły się z powrotem – znienacka, bez żadnego ostrzeżenia – i do środka celi wlało się ostrzejsze, jaśniejsze światło. Na tle tej jasności rysowała się sylwetka mężczyzny w sutannie i czepcu. Zhorzhēt zamrugła, usiłując

przyzwyczać nawykłe do ciemności oczy do tego rażącego blasku.

Pozbawiona oblicza postać stała bez ruchu, spoglądając w dół na nią. Zhorzhet dojrzała tylko lśniący na ręce pierścień duchownego wyższej rangi, zanim mężczyzna zrobił krok do tyłu.

– Brać ją – rzucił.

Na jego rozkaz dwaj inkwizytorzy w czarnych rękawiczkach postawili ją na nogi.

Zastanowiła się, czyby nie stawić im oporu. Instynkt kazał jej wierzgać, kopać i gryźć, lecz rozsądek podpowiadał, że na jakikolwiek opór jest już za późno. Zhorzhet postanowiła nie dać im tej satysfakcji i nie pozwolić się zbić na kwaśne jabłko celem zyskania posłuchu. Ruszyła więc między nimi z głową wysoko uniesioną, patrząc prosto przed siebie i starając się nie drżeć pomimo nagiego ciała.

Szli długo, a w końcu znaleźli się w pomieszczeniu wyposażonym w sprzęty i narzędzia, jakie wprawiłyby w przerażenie najmężniejsze serce. Jedne z nich rozpoznała, na inne nie potrafiła znaleźć nawet nazwy, lecz nie miało to znaczenia. Zdawała sobie sprawę, czemu wszystkie służą.

Oprawcy zaciągnęli ją na ciężkie krzesło. Usadzili ją brutalnie i przywiązali jej nadgarstki i kostki u nóg do drewnianych szczebli. Zakasłała, gdy jeszcze jeden kawałek sznura otoczył jej szyję, zmuszając do odchylenia głowy na szorstkie oparcie krzesła.

– Zostawcie nas samych – rzekł duchowny, a jego podwładni nakreślili w powietrzu znak berła Langhorne'a i zniknęli, nie wypowiedziawszy ani jednego słowa.

Zhorzhet siedziała sztywno, nadal wpatrując się w przestrzeń przed sobą. Ksiądz usiadł na zydlu obok niej, poza jej polem widzenia, chyba że odwróciłaby głowę, aby celowo na niego spojrzeć. Duchowny milczał. Siedział tam tylko w milczeniu niczym przyczajony drapieżnik. Cisza ciągnęła się w nieskończoność, aż w końcu Zhorzhet poczuła, że w wyniku napięcia, które wzięło ją w posiadanie, zaczyna poruszać nadgarstkiem zdrowej ręki. Usiłowała zmusić się do bezruchu, ale nadaremno. Zamknęła więc oczy i pogrążyła się w milczącej modlitwie.

– Zatem tak wygląda Pięć Boga.

Zimny, ostry głos rozległ się tak nagle, tak niespodziewanie, że Zhorzhet mimowolnie drgnęła. Odruchowo chciała się odwrócić do jego

źródła, lecz powstrzymała się w porę. Ksiądz wybuchnął śmiechem.

– Szumowina wyciągnięta z cienia... Nie powiem, żebym był pod wrażeniem – dodał. – Ty i twoja mocodawczyni powiecie mi wszystko, co wiecie... wszystko, co kiedykolwiek wiedziałyście. Rozumiesz?

Nie odezwała się, tylko zacisnęła mocniej zęby i dalej modliła się o siłę.

– Zdumiewające, jak przewidywalni są heretycy – ciągnął duchowny. – Tacy odważni, kiedy kryją się w mroku niczym skorpiony, tylko czekając, aby ukąsić prawdziwych wiernych. Ledwie jednak wyciągnąc ich na światło dnia, tracą całą butę. Och, oczywiście z początku udają. Ale kończy się to zawsze tak samo. Tutaj obietnice Shan-wei ci nie pomogą. Nic ci tu nie pomoże, z wyjątkiem spowiedzi i skruchy. Chciałabyś się wypowiedzieć? Każdorazowo daję swoim podopiecznym szansę, aby się wypowiedzieli, zanim... zaczniesz się jatka.

Zhorzheth zamknęła oczy.

– No tak, tego oczekiwałem – rzekł jakby nigdy nic. – Na razie nie masz mi nic do powiedzenia. Oboje jednak mamy pod dostatkiem czasu. To znaczy ja mam go przed sobą więcej niż ty i jestem skłonny poświęcić tobie ile trzeba, byle wykazać ci, jak bardzo pobiłdziłaś. Może więc zostawię cię tutaj teraz i pozwolę ci się zastanowić nad sobą. Co byś powiedziała na trochę towarzystwa?

Nogi zydła zazgrzytały o posadzkę, kiedy duchowny wstał, by podejść do drzwi. Zhorzheth otworzyła oczy wbrew samej sobie, a gdy mężczyzna pojawił się w jej polu widzenia, nareszcie ogarnęła wzrokiem całą jego postać. Ksiądz przystanął i uśmiechnął się do niej. Był to ciemnowłosy, ciemnooki człowiek, tęgi i wysoki, dobre cztery cale wyższy od niej. Zhorzheth pośpiesznie zacisnęła powieki.

– Dawać ją tu – rzucił.

Zhorzheth bezradnie skuliła dłonie w pięści, usłyszawszy skomlenie drugiej osoby. Metal zazgrzytał, coś dźwięcznie stuknęło, rozległo się kliknięcie... Wtem poczuła czyjaś dłoń w swoich włosach.

– Obawiam się, że jednak będziesz musiała spojrzeć – powiedział duchowny. Gdy zacisnęła powieki jeszcze mocniej, ta druga osoba zawyla z bólu. – Jeśli nie otworzysz zaraz oczu, będziemy musieli skrzywdzić ją jeszcze raz – oznajmił spokojnie inkwizytor.

Wycie rozległo się znowu, tym razem było jeszcze bardziej

przeraźliwe.

Zhorzhet rozwarła szeroko powieki i bezwiednie jęknęła – nie ze strachu, lecz z przerażenia i smutku. Przed sobą miała kuzynkę.

Alahnah Bahrns była naga, tak jak ona. Na jej ciele dało się zobaczyć liczne ślady pobicia. Zwisła bezwładnie na łańcuchu, który spinał jej nadgarstki – poznaczone pręgami i zakrwawione. Na skórze innych części ciała ziały głębokie, zaczerwienione, sączące się rany od przypalania rozgrzanym żelazem... takim jak to trzymane przez inkwizytora w kapturze, który stał obok niej. Alahnah była ledwie przytomna i miała wszystkie dziesięć palców u rąk połamane.

– Nie miała nam wiele do powiedzenia – poinformował duchowny. – Niestety, zanim się o tym przekonaliśmy, minęło trochę czasu.

Skinął zakapturzonemu inkwizytorowi, a ten szarpnął skatowaną kobietę za włosy, unosząc jej głowę i odsłaniając podpuchnięte oko i rozkwaszone usta. Trzymał ją w tej pozycji przez kilka sekund, aż ksiądz ponownie skinął głową. Wtedy po prostu rozwarł palce i pozwolił głowie dziewczyny opaść bezwładnie na pierś.

– Z początku oczywiście zapewniała, że to pomyłka, nieporozumienie – rzekł konwersacyjnym tonem duchowny, zwracając się do Zhorzhet. –

Że nie wie nic o waszej przeklętej organizacji. Ale po tym, jak przemówiliśmy jej do rozsądku, pojęła, jak ważna dla duszy jest spowiedź. Przyznała, że zwerbowałaś ją do Pięści Boga, aczkolwiek jasne jest, że członkinią jest dopiero od niedawna. Mimo wszystko sądzę, że bardzo pouczające dla was obu będzie pobyc razem... zanim zabierzemy się do przemawiania do rozsądku tobie.

Puścił jej włosy, a następnie jakby nigdy nic wymaszerował z pomieszczenia, zabierając ze sobą zakapturzonego inkwizytora.

– Musimy coś zrobić – powiedziała Aivah Pahrsahn głosem napiętym i sztucznie modulowanym. – Wszyscy wiemy, co w tej chwili tam się dzieje. – Przymknęła oczy, a rysy jej twarzy świadczyły o targającym nią wewnętrznym bólu. – Już samo to jest wystarczająco straszne, ale... Bóg Jedynek... jeszcze straszniejsze jest to, co one wiedzą. – Potrząsnęła głową. – Jeżeli się złamią, jeżeli się wygadają... a przecież

nie można po nich oczekiwać cudów, obie są tylko ludźmi... mogą narobić potwornych szkód.

– Za pozwoleniem – wtrącił Nahrman Baytz przez komunikator. – Faktyczne szkody będą raczej niewielkie. Twoja organizacja, Nynian, ma wyjątkową strukturę.

– Jeśli chodzi o informacje dotyczące innych komórek, zapewne masz rację, Nahrmanie – przyznał ponuro Merlin. – Niemniej zarówno Marzho, jak i Zhorzhet wiedzą naprawdę sporo o ogólnych procedurach, a w dodatku szczególnie Marzho musiała znać całościową strategię Nynian. W najlepszym razie to, co ujawnią, pozwoli Wylymowi i Zhaspahrowi wyrobić sobie zdanie na temat tego, jak jest zorganizowany Ster. Co więcej, Marzho wie przecież, że Nynian to niegdysiejsza Ahnzhelyka Phonda. Nietrudno się domyślić, co Rayno mógłby uczynić z tą informacją! Nie sądzę, aby ktokolwiek z nas popełnił znowu ten błąd i uznał Grupę Czworka za bandę niekompetentnych drani, pomijając wszystko inne. Faktem jest, że nie brak im personelu i środków, aby przesłuchać każdą osobę, która kiedykolwiek znalazła się w jakiegokolwiek interakcji z Ahnzhelyką. Nie sposób przewidzieć, czym to by się mogło skończyć. – Pokręcił głową zafrasowany. A jeśli Inkwizycja ogłosi, że pojmała agentów Pięści Boga, i wyda ich na Karę Schuelera, coś takiego znacznie podkopie dotychczasową famę, że Ster jest niepokonany.

– Marzho wie nie tylko o Ahnzhelyce – zauważyła Aivah. – Tak, masz rację, że jest świadoma mojej wcześniejszej tożsamości, ale też zdaje sobie sprawę z tego, że „Barcor” był niegdyś gwardzistą Świątyni i że teraz jest właścicielem sklepiku w Syjonie. Nie zna jego prawdziwego nazwiska ani nie wie, co to za sklep, ale to wystarczy, aby doprowadzić Inkwizycję do Ahrloha Mahkbytha, szczególnie jeśli ktoś połączy ten fakt z pewnikiem, że to Ahnzhelyka pomogła mu stworzyć swoją klientelę. Gdybyśmy utracili Ahrloha, zostaniemy bez przywódcy zbrojnego ramienia Steru w Syjonie.

– Zdążył już poczynić plany, aby zniknąć na kilka pięciodni – poinformował ją Nahrman. – A także zawiadomił członków organizacji w Syjonie i nawet napisał wiadomość do ciebie, aczkolwiek w jego mniemaniu dotrze ona do twoich rąk dopiero za kilka pięciodni. Tymczasem „wezwały go interesy” i Myllyr przejął prowadzenie sklepu. Pretekst jest wystarczająco niewinny, aby mógł wrócić w każdej chwili,

gdy okaże się, że nic mu nie grozi. Na razie jednak pozostanie poza zasięgiem Inkwizycji.

– Wszystko pięknie, ładnie, Nahrmahnie – wtrąciła poważnym głosem Sharleyan. – Z czysto strategicznego, pozbawionego emocji punktu widzenia miło mi to wszystko słyszeć, zapewniam cię. Pomijając jednak szkody, jakie mogą wyrządzić ich zeznania... a Merlin i Nynian mają rację: wystarczy lepsze pojęcie o strukturze Steru, by sytuacja stała się dla nas niebezpieczna... jest jeszcze kwestia tego, co te dwie kobiety przechodzą obecnie.

– Tak – potwierdził Merlin. Szafirowe oczy mu pociemniały, a wargi zacisnęły się w wąską kreskę. – Spotkałem je obie... Znam je. Gdybym mógł w jakiś sposób wyciągnąć je z tego więzienia, tobym to zrobił. Jednakże jest to niemożliwe. Więzienie Świętego Thyrmyna mieści się zbyt blisko tego przeklętego źródła energii pod Świątynią, ażebyśmy mogli z Nimue zainscenizować włamanie za mury celem wykradnięcia więźniarek. W tej sytuacji jesteśmy bezradni!

– To prawda. – Cayleb postarzał się o kilka lat w ciągu paru minut. – Są jednak inne drogi ucieczki. Pamiętacie Gwylyma? Pytanie tylko, jak to przeprowadzić...

– Wiem, co sama chciałabym zrobić – rzekła chrapliwie Nimue Chwaeriau. – Masz rację, Merlinie. Nie zdołamy ich uratować. Skoro jednak Grupa Czworoga tak chętnie określa nas mianem demonów, może wyrzemy na jej członkach iście demoniczną zemstę?

– Co masz na myśli? – zapytał Merlin.

Na to pytanie Sowa przekazała na jego soczewki kontaktowe pewien obraz.

– Mam na myśli – podjęła Nimue – to, żebyśmy zapakowali dwutonową bombę na jeden ze skimmerów i wrzucili ją przez komin do wnętrza tego przeklętego więzienia! Zaprogramujemy wszystko tak, że w użyciu będzie tylko optyczny system nakierowywania, dzięki czemu bomba okaże się praktycznie niewykrywalna przez Świątynię. Tym sposobem uda nam się wysadzić całe więzienie w powietrze! W najgorszym wypadku oszczędzimy Marzho i Zhorzhet śmierci w straszliwych męczarniach. To samo dotyczy zresztą wszystkich pozostałych nieszczęśników tam przetrzymywanych. W najlepszym damy do myślenia tym skurwielom, stosując metodę Dyaldda Maba

nico bliżej ich pieleszy. Niech Clyntahn i Rayno wiją się, wyjaśniając ludziom, jak to możliwe, że niezawodna Inkwizycja oberwała tak boleśnie za pomocą Rakurai Langhorne'a w samym sercu Syjonu!

W komunikatorach rozległy się głosy poparcia, jednakże Merlin pokręcił głową.

– To bardzo dobry pomysł – powiedział – ale też bardzo zły. Po pierwsze, nie da się tego przeprowadzić przy użyciu czarnego prochu. Cokolwiek bardziej zaawansowanego zaś mogłoby wzbudzić czujniki bezpieczeństwa. Nie mamy pojęcia, czy pod Świątynią nie mieści się coś, co jest w stanie rozpoznać na odległość znaczną ilość materiałów wybuchowych. Bliskość więzienia jest więc tutaj dużym minusem. A nawet gdybyśmy jakoś poradzi sobie z tym problemem, jest jeszcze czynnik nieprzewidzianych konsekwencji. Tak naprawdę nie wiemy, jak Rayno i Clyntahn wykorzystaliby taki atak. Chciałbym wierzyć, że Nimue się nie myli: wiele osób pomyślałoby, że w grę wchodzi rakurai, co z naszej perspektywy byłoby korzystne. Mogłoby się jednak stać inaczej. Clyntahn mógłby na przykład powiedzieć, że naprawdę jesteśmy demonami. A wtedy ci, którzy byli skłonni mu uwierzyć, gdy to powtarzał przy innych okazjach... nie muszę dodawać, że liczba takich osób wciąż jest niemała... przyjęłoby jego słowa za fakt. Kiedy zaś nie będziemy chcieli zaatakować w podobny sposób innych celów, całej masy innych celów, Clyntahn skomentuje to następująco: archaniołowie pokonali demony. Zatem raczej nie osiągniemy sukcesu, nie zabijając mnóstwa niewinnych ludzi. Poza tym, z czysto praktycznego punktu widzenia, nawet przy najpotężniejszej bombie nie mielibyśmy pewności, czy Marzho i Zhorzhret faktycznie zginą. – Nie zmienił wyrazu twarzy. –

Uwierzcie mi... gdybym miał pewność, że oszczędzę im przesłuchań i egzekucji, byłbym bardziej skłonny zlekceważyć nieprzewidziane konsekwencje i przystać na propozycję Nimue.

– Wszystko to słuszne uwagi – rzekł Maikel Staynair głosem poważnym i przepełnionym żalem. – Musimy pamiętać, że cokolwiek zrobimy i czegokolwiek zaniechamy, nasze decyzje wywrą wpływ na przyszłość. Merlin ma rację, ostrzegając przed używaniem rakurai w Syjonie. I każąc się zastanowić, gdzie jeszcze moglibyśmy uderzyć w podobny sposób. Szczególnie że sama Świątynia odpada. Bo z tego, co rozumiem, pokrywająca ją warstwa armoplastu jest w stanie powstrzymać skutki każdej eksplozji, czy tak?

– Tak – potwierdził niechętnie Cayleb. – Zważcie, proszę, że całym sobą jestem za propozycją Nimue, jeśli nie będzie innego wyjścia. Niemniej dostrzegam sens słów Merlina i twoich, Maikelu. Tego rodzaju ruch mógłby nas zaprowadzić tam, dokąd wcale nie chcemy pójść. W dodatku nie możemy mieć nawet pewności, czy wybuch oszczędziłby więźniom i więźniarkom Kary Schuelera. Uważam zatem, że powinniśmy zachować ostrożność, aby przez przypadek nie zrobić czegoś, czego wcale nie chcemy robić.

Nimue miała zbuntowaną minę, jednakże poprawiła się tylko na krześle w swojej komnacie w Manchyrze, nie podejmując dyskusji.

Przynajmniej na razie.

– Więzienie znajduje się na samej granicy bezpiecznej strefy – przypomniał Nahrman po chwili milczenia. – Ty to wyliczyłeś, Merlinie. Czy w takim razie można tam posłać bez obaw SAPK-a?

– Wolałabym się nie przekonać, Nahrmanie, co system zabezpieczeń Świątyni by z nim zrobił! – zaprotestowała ostro Aivah.

– Nie o to mi chodziło – zapewnił i potrząsnął głową baryłkowaty książę, uśmiechając się łagodnie. – Jeśli mam być szczery, kluczowe dla sprawy byłoby monitorowanie przebiegu przesłuchań, aczkolwiek oczywiście tylko Sowa i ja byśmy przeglądali relacje. Nie to jednak chciałem powiedzieć.

– Zatem w czym rzecz, Nahrmanie? – zniecierpliwił się Merlin.

– Mam na myśli funkcje sabotażowe – wyjaśnił Nahrman i zmarszczył czoło. – Dawno temu powiedziałaś coś interesującego, Merlinie, coś, co utkwilo mi w pamięci do dziś... coś zapalającego, co można by wykorzystać, gdyby chciało się... kogoś wyeliminować.

Pauza, choć krótka, była zauważalna. Merlin pojął więc w lot. Doskonale także rozumiał, dlaczego – w obecności Irys biorącej udział w rozmowie – książę Szmaragdu nie chce powiedzieć wprost, że swego czasu w tym kontekście mowa była o jej ojcu.

– Pamiętam – rzucił na głos Merlin. – Proponujesz, aby wprowadzić SAPK-a do więzienia Świętego Thyrmyna, skierować go najpierw do Marzho, potem do Zhorzhet, umieścić w ich kanałach słuchowych maleńkie ładunki wybuchowe i aktywować.

Aivah patrzyła na niego z przerażeniem na twarzy. Spostrzegłszy to, *seijin* ujął ją za rękę.

– Śmierć nastąpi błyskawicznie – zapewnił cichym głosem. – Szczególnie w porównaniu z tym, co je obie czeka... Właściwie byłaby to lżejsza śmierć niż w wypadku bomby zaproponowanej przez Nimue.

Aivah przyglądała mu się przez dłuższą chwilę. W końcu skinęła głową, nie tając łzy, która zaczęła jej spływać po policzku.

– Niestety, komandorze poruczniku – odezwała się Sowa – z moich wyliczeń wynika, że więzienie znajduje się nazbyt blisko Świątyni.

– Jak to? – zdziwił się Cayleb. – Przecież SAPK-i krążyły już nawet na krótszym dystansie.

– Owszem, wasza wysokość – przyznała sztuczna inteligencja. – Za każdym razem jednak SAPK-i były przyczepione do człowieka bądź pojazdu, który wkraczał do niebezpiecznej strefy. Samo urządzenie było w trybie nieaktywnym, a kanały telemetryczne pozostawały bierne do czasu opuszczenia niebezpiecznej strefy.

– Rozumiem już – wtrącił Merlin. Cesarz obrzucił go szybkim spojrzeniem, na co *seijin* tylko wzruszył ramionami. – Umieszczenie ładunków wymagałoby dwustronnej komunikacji. Trzeba by SAPK-ami uważnie pokierować, co nie byłoby łatwym zadaniem nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach. – Potrząsnął głową. – Same SAPK-i są prawie niewykrywalne, ale nie sądzę, aby czujniki Świątyni nie wychwyciły sygnału z linkami telemetrycznymi.

– O Boże – szepnęła Aivah. Twarz jej się zapadła, jakby przekreślenie propozycji księcia zawiodło jej wszystkie nadzieje.

Merlin puścił jej dłoń, objął ją ramieniem i pozwolił, aby złożyła głowę na jego piersi. Kobieta przycisnęła twarz do napierśnika CZAŃ, a on zaczął ją gładzić delikatnie po włosach. Siedzieli w takiej pozycji przez kilka sekund, aż wreszcie ręka Merlina zastygła, a jego oczy zwęziły się w szparki.

– Co takiego? – zapytał Cayleb. Merlin przeniósł na niego spojrzenie, na co cesarz kiwnął głową niecierpliwie. – Znam tę twoją minę. Naoglądałem się jej dość! Co znowu wykombinowałeś?

Aivah usiadła prosto, otarła twarz jednym ruchem ręki i przyjrzała się *seijinowi* wzrokiem, z którego wyzierał cień nadziei.

– Wymyśliłeś coś? – zapytała.

– Nie jestem pewien... – odpowiedział powoli. – Nawet jeśli tak, nie

zdołamy tego przeprowadzić od razu. Jednakże jeśli mój plan okaże się dobry – uśmiechnął się uśmiechem Diallydda Maba – Clyntahn i Rayno doczekają się demonicznej zemsty, której im życzyłaś, Nimue.

Zhorzhet Styvynsyn zadrżała niekontrolowanie i oblizwała popękane, zakrwawione wargi.

Znowu siedziała przywiązana na tym okropnym drewnianym krześle, czekając na ból, i czuła, że wiara, która do tej pory podtrzymywała ją na duchu, nagle zaczyna zanikać. Dosłownie czuła, jak wycieka z niej poprzez czubki palców.

Jak dotąd nie powiedziała oprawcom kompletnie nic i czepiała się tej świadomości, własnej dotychczasowej determinacji. Ta ostatnia jednak zaczynała się kruszyć pod naporem nieustających ataków: cierpienia, beznadziei i degradacji. Zhorzhet była bita i gwałcona z regularnością metronomu.

Alahnah umarła, wrzeszcząc, na jej oczach. Zanim wyzionęła ducha, błagała ją, aby wyznała oprawcom wszystko, co wie; aby nie pozwoliła się dalej torturować. Zhorzhet łkała, wijąc się na krześle, walcząc z więzami, patrząc przez niewidzące załzawione oczy. Mimo wszystko jakimś cudem udało jej się zachować milczenie.

Od śmierci Alahnah krzyczała nie raz i nie dwa, całymi godzinami, błagając oprawców, aby przestali ją krzywdzić, oni jednak niezmiennie szarpali jej ciało rozgrzanymi do czerwoności obcęgi, wrywali paznokcie u rąk i nóg. Wszakże choć zmusili ją do błagań, choć zmusili ją do próśb, nie powiedziała nic z tego, co by mogło położyć kres jej mękom.

Teraz Zhorzhet wiedziała już, że jej wytrzymałość się kończy. Alahnah nie była jedyną niewinną osobą, którą zamęczyli na jej oczach, tak samo jak ból fizyczny nie był jedyną torturą, jakiej ją poddawali. Trzymali ją na tym przeklętym krześle, nie pozwalali jej zasnąć, polewali ją lodowatą wodą, ilekroć próbowała się zdrzemnąć, albo dla odmiany traktowali ją rozgrzanym do białości narzędziem. Na zmianę zarzucali ją pytaniami, bez ustanku; pochylali się nad nią, wydzierali się jej prosto w twarz, rzucali groźby... by zaraz je wcielić w życie i pokazać,

że są górą. Trzymali jej głowę pod wodą, podtapiając, szydzili z niej i ją poniżali. W pewnym momencie odmówiła przyjmowania jedzenia, pragnąc się zagłodzić na śmierć, ale oni karmili ją na siłę, wtłaczali jej żywność przez rurę. I zawsze, ale to zawsze zaczynali ją dręczyć od nowa. Dręczenie nie miało końca i odbywało się na przeróżne sposoby, a ona nadal żyła.

Teraz, siedząc na tym krześle z więzami na przegubach, wiedziała, że i tym razem do niej wrócą. Po pierwsze – obiecali jej to. Po drugie – zostawili na piecyku narzędzia, aby grzały się od ognia i leżały w pogotowiu, stanowiąc dla niej przypomnienie.

Boże Jedyne, proszę... – pomyślała. Proszę, pozwól mi umrzeć. Niech to się wreszcie skończy. Walczyłam, naprawdę walczyłam, ale jestem tylko człowiekiem. Nie aniołem, nie sejinem. Jestem sobą i moje pokłady walki właśnie się wyczerpały. Ja... nie dam dłużej rady. Dlatego proszę... błagam... zabierz mnie do siebie, Boże Jedyne.

Łzy pociekły jej po brudnej, posiniaczonej twarzy. Zhorzhet nie odrywała spojrzenia od rozgrzanych do czerwoności obcęgów. Wszystko było tak jak przedtem. Nikt nie wysłuchał jej modlitwy.

Małe, starannie zaprogramowane autonomiczne SAPK-i przeniknęły niepostrzeżenie za kraty więzienia Świętego Thyrmyna, przedostały się kominami i wturlały szparami pod drzwiami. Były małeńkie, nie większe od owadów, które udawały, i nie emanowały wykrywalnych sygnałów. Zmierzały w wybrane miejsca, na które wskazały niezwykle precyzyjne analizy wykonane przez Sowę. Znalazłszy się u celu, najzwyczajniej w świecie rozsypały się w kurz, w trakcie tego procesu uwalniając ładunek.

Nanity, które powstały z tego prochu, były od nich jeszcze mniejsze, a okres życia miały zaplanowany na nie dłużej niż dzień. Ich przeznaczeniem było podzielić los SAPK-ów. Tymczasem na terenie więzienia Świętego Thyrmyna znajdowały się ich miliony. Unosiły się swobodnie w powietrzu i rozprzestrzeniały we wszystkich kierunkach. Zabrało im to wiele godzin – znacznie więcej, niżby sobie życzyli członkowie wewnętrznego kręgu – tak samo jak wiele dni trwało

wcześniejsze ich projektowanie i wytwarzanie. Na szczęście zgodnie z planem objęły w posiadanie wszelkie zakamarki i odkryły każdą żywą istotę w tych przeklętych murach.

Wtedy dopiero nastąpiła ich aktywacja.

Zhorzhet otworzyła szeroko oczy i napięła wszystkie mięśnie – rozpaczliwie, acz nadaremnie – szamocząc się w więzach. Moment wcześniej usłyszała znajomy krok ojca Bahzwaila, który raz jeszcze zmierzał korytarzem w stronę sali tortur. Usłyszała własny cichy skowyt, zniechęciła się za tę słabość, wiedząc, że lada moment skowyt przejdzie w pełnoprawne wycie.

Duchowny stanął w drzwiach i z uśmiechem na twarzy zaczął naciągać czarne rękawiczki.

– Jak widzę, oczekiwałaś mnie – powiedział konwersacyjnym tonem, podchodząc do piecyka z rozpalonymi narzędziami. Przeciągnął palcem po drewnianej ręczce obcęgow, gładkiej od wieloletniego używania, wiodąc wokół spojrzeniem, które było zimniejsze od zimy w Syjonie. –

Hm, na czym to skończyliśmy? – Ujął obcęgi w dłoń i zatoczył nimi ciasny łuk w powietrzu, zaciskając w zamyśleniu usta. – Niech no się tylko zastanowię...

Zhorzhet jęknęła, lecz schueleryta nagle zamrugnął. Odłożył obcęgi i uniósł wolną rękę do czoła, robiąc zdziwioną minę.

Zhorzhet nie zauważyła tego – to znaczy nie od razu. Bardzo szybko jednak poczuła coś, i to pomimo wszechogarniającego strachu. W pierwszej chwili nie umiała nazwać tego uczucia; było nie było, doświadczyła go po raz pierwszy w życiu. Nie był to ból, a już na pewno nic, co by się mogło równać z cierpieniem, jakiego doświadczyła w tym pomieszczeniu. Zarazem wydawało się to... dziwne. Wtem ogarnęło ją znużenie. Przyniosło jej ono zdumiewające ukojenie. Zupełnie jakby miękki szary szal odgrodził ją od umęczonego, pulsującego bólem ciała. Zhorzhet sapnęła, z wdzięcznością poddając się temu miłemu wrażeniu. Nie miała pojęcia, co się dzieje, lecz wierzyła, iż dopóki ono trwa, dopóty czuje obecność Boga Jedyneho. Że nie kto inny, tylko Stwórca wkroczył w koszmar, który przeżywała, ażeby przynieść jej upragniony spokój.

Wargi Zhorzhet zaczęły się poruszać w bezgłośnej modlitwie, a jej głowa zaczęła się obracać. Nie, nie głowa. To obracała się sala tortur – ba, cały świat. Zhorzhet zaś, wirując, opadała coraz niżej, zupełnie jakby sen, którego odmawiano jej od tak dawna, nareszcie na nią spłynął i...

– Co powiedziałaś?

Zhaspahr Clyntahn wpatrywał się ponad blatem swego biurka w Wyllyma Rayna, który nagle uświadomił sobie, że jeszcze nigdy – przenigdy – nie widział, aby kraśne oblicze wielkiego inkwizytora było białe jak kreda.

Zdawał sobie jednak sprawę, że sam nie wygląda wiele lepiej.

– Ojciec Allayn potwierdził tę wiadomość osobiście, wasza dostojność – odparł, zastanawiając się, jakim cudem jego głos brzmi tak normalnie.

– Wszyscy? Wszyscy?! – Clyntahn dopytywał się takim tonem, jakby życzył sobie usłyszeć w odpowiedzi „nie”.

– Wszyscy – potaknął Rayno z ociąganiem. – Każdy więzień, każdy kat, każdy strażnik, nawet biskup inkwizytor Bahltahzyr z całym sztabem. Ktokolwiek znajdował się na terenie więzienia Świętego Thyrmyna, nie żyje.

– Ale nie dotyczy to osób przebywających poza murami?

– Nie dotyczy, wasza dostojność.

– No dobrze. To teraz wytłumacz mi... jak? – Pytanie zostało zadane praktycznie szeptem, co nie zmieniało faktu, że w oczach Clyntahna płonął najczystszy gniew.

– Tego na razie nie wiemy, wasza dostojność. – Rayno na moment przytknął oczy, po czym uniósł rękę w bezradnym geście. – W chwili obecnej ciała badają nasi uzdrowiciele, członkowie zakonu, któremu ufamy, nie Zakonu Pasquale. Jak tylko badania się zakończą, pozbędziemy się zwłok w więziennym krematorium.

Clyntahn skinął głową ze zrozumieniem. Gest ten wypadł nader sztywno, spastycznie wręcz. Więzienne krematorium nie po raz pierwszy przyczyni się do zatajenia sekretu Inkwizycji. Gdy okazywało się, że przesłuchiwany więzień nie nadaje się do przykładowego ukarania na

oczach wiernych, pozbywano się go na dobre.

Nigdy jednak nie było mowy o „sekrete” na taką miarę.

– Jaki jest wynik badań? – zapytał niepewnie Clyntahn.

– Jak dotąd zaden, wasza dostojność – odpowiedział Rayno. – Brak jakichkolwiek obrażeń czy śladów przemocy, dowodów choroby, choćby próby ratowania się nawzajem, zakładając, że w ogóle był na to czas. Zupełnie jakby w jednym momencie wszyscy żyli i zajmowali się swoimi sprawami, a w drugim... Śmierć nastąpiła w okamgnieniu. Jeden z braci padł trupem w bramie więzienia, przekraczając próg. To dzięki temu straż więzienna została tak szybko zaalarmowana.

– Słodki Schuelerze... – Clyntahn szepnął i poprawił chwyt na berle.

– Niech Pasquale ma nas wszystkich w swojej opiece.

Rayno pokiwał głową, przeżegnał się znakiem berła i spojrzał wielkiemu inkwizytorowi prosto w oczy.

Jak to możliwe? – drażył temat w myślach. *Jak coś takiego jest w ogóle możliwe?*

Od samego początku był pewien, że to sprawka *seijinów*... nie, demonów przebranych za *seijinów*. Pozostawało jednak pytanie: JAK?

W archiwach nie było wzmianki o czymś podobnym: ani w Świadectwach, ani w Księdze Chihiro, ani w tajnych dokumentach Inkwizycji. Nic a nic. Nigdzie. Nic takiego nie spotkało nikogo z rąk Shan-wei ani nawet Grimaldiego w czasie Wojny z Upadłymi.

Usiłował przestać o tym myśleć, aby zastanowić się, jak Inkwizycja powinna zareagować. Tyle dobrego, że sytuacja wydarzyła się w więzieniu Świętego Thyrmyna. Przy odrobinie szczęścia powinno im się udać wszystko zataić przed resztą Kościoła Matki oraz wiernymi – przynajmniej przez jakiś czas. *W razie gdyby przeciwnicy – ich demony czy też seijinowie – postanowili rozprzestrzenić informację, trzeba będzie wszystkiemu zaprzeczać*, pomyślał Rayno. Niestety wiedział – tak samo jak Clyntahn – że z czasem zaczną krążyć coraz więcej plotek i pogłosek o tym, co się stało. Więzienie Świętego Thyrmyna stanowiło swego rodzaju oś Inkwizycji, trudno więc było liczyć, że w najlepszym razie starsze duchowieństwo nie domyśli się strasznej prawdy. A to oznaczało, że fakty wkrótce staną się tajemnicą poliszynela. Koniec końców trzeba będzie jakoś zareagować. Ale JAK?

Na to pytanie także nie znajdował odpowiedzi, wolał jednak bić się

w myślach z nim niż z innym, które naturalną kolejną rzeczy mu się nasuwało:

Skoro demoniczni sprzymierzeńcy heretyków są zdolni do czego takiego, to... na co jeszcze ich stać?

.XIV.

Kościół Świętego Nezbytha

Gorath

Dohlar

Chciałbym być pewien, że to dobry pomysł, panie – rzekł cicho kapitan Lattymyr, kiedy zamknięty powóz wtoczył się na dziedziniec za kościołem Świętego Nezbytha.

– Chciałbyś być pewien? – zaśmiał się krótko sir Rainos Ahlverez. – To nie zapowiada się dobrze, Lynkynie. Właśnie dlatego powinienem był postawić sprawę bardziej stanowczo i odmówić zabierania cię ze sobą.

– Po tym wszystkim, co się stało, raczej nie miałbyś na to szans, panie. – Adiutant Ahlvereza uśmiechnął się. – Poza tym – spoważniał momentalnie – wątpię, aby koniec końców to w czymkolwiek pomogło. –

Wzruszył ramionami. – Postawiono sprawę jasno: armia potrzebuje mnie w takim samym stopniu jak pana. Czyli wcale.

– Nie ukrywam, że przykro mi z tego powodu.

– Ależ nie trzeba, panie! – Lattymyr potrząsnął głową. Z jego oczu bił upór. – Zrobił pan to, co należało. Zresztą oficer Korony mógłby się znaleźć w o wiele gorszym towarzystwie.

– W gorszym może tak, ale nie w bardziej niebezpiecznym... – zauważył Ahlverez. W tym samym momencie powóz się zatrzymał. – A wraz z tym spotkaniem znajomość ze mną może stać się jeszcze bardziej niebezpieczna.

– Być może. Tak się jednak składa, że dziś wieczorem nie miałem nic lepszego do roboty. Równie dobrze mogę ochraniać pańskie tyły, sir. – Twardy, ogorzały kapitan uśmiechnął się przelotnie. – Powoli wchodzi mi to w krew.

Ahlverez zaśmiał się pod nosem i wyciągnął rękę, aby złapać ramię adiutanta, zanim palcami drugiej dłoni zwolnił zasuwkę drzwi powozu.

Woźnica – krępy, flegmatyczny z natury zakonnik schueleryta

o stalowosiwych włosach i ciemnych oczach – zdążył już zejść z kozła. Teraz rozłożył schodki i stanął przy drzwiach.

– Dziękuję, bracie Mahrtynie – rzekł Ahlverez, zstępując na ziemię.

Zakonnik skinął głową.

– Cieszę się, że mogłem się na coś przydać, generale – odparł głębokim głosem.

Chrapliwe nutki, które dało się usłyszeć, miały swoje źródło w dawnej ranie gardła, jak domyślił się Ahlverez, kątem oka dostrzegając szramę biegnącą przez szyję mężczyzny. Tymczasem zakonnik skłonił się lekko, w żadnym razie nie usłużnie.

Ahlverez odpowiedział identycznym gestem, po czym zaczekał na adiutanta. Gdy Lattymyr już do niego dołączył, uniósł pytająco brew i spojrzał na zakonnika.

– Boczna kaplica, generale – poinformował schueleryta, znów posługując się jego stopniem wojskowym, którego jak na razie nikt nie zdążył mu odebrać. – Langhorne’a, nie Bédard.

– Dziękuję – mruknął Ahlverez i ruszył przodem po schodach ku tylnym drzwiom kościoła.

Brat Mahrtyn wspiął się z powrotem na kozioł i opuścił dziedziniec.

To faktycznie może być nie najlepszy pomysł, westchnął w duchu generał, otwierając ciężkie drewniane odrzwia u szczytu schodów. Nawet zakładając, że ten skurczybyk ma do powiedzenia coś, czego warto wysłuchać, obydwaj prawdopodobnie skończycie w łapach Inkwizycji...

Była to prawda. Jednakże Ahlverez nigdy by nie przyjął zaproszenia, gdyby nie zostało ono doręczone własnoręcznie przez brata Mahrtyna. A także gdyby nie miał tyle do czynienia z aroganckimi i niekompetentnymi przełożonymi, którzy całkowicie ignorowali rady podwładnych... oraz rzeczywistość. Właśnie to kazało mu powtórnie przemyśleć swój światopogląd, jak również wydarzenia, które miały miejsce od zniszczenia Armii Shiloh i które wydatnie wpłynęły na podjętą przez niego decyzję.

Tak czy owak, nie było lekko. W gruncie rzeczy było ciężiej, niż przypuszczał.

Przekroczył próg, zagłębiając się w gęstą atmosferę kadzidła, topiącego się wosku, palących się knotów, farby drukarskiej, skórzanych

opraw i kurzu. Miał wrażenie, że nigdy nie był w starszej świątyni. Kościół Świętego Nezbytha istotnie był starszy od większości, aczkolwiek przy tym też mniej ruchliwy, choć przed laty tętniło w nim życie. Zlokalizowany nad zatoką, w dokach, przyjmował okolicznych mieszkańców, którzy nie śmierdzili groszem nawet w najlepszych czasach, a później stopniowo topnieli – w miarę jak na przestrzeni dekad domy były zastępowane przez magazyny i zabudowania portowe. Od wybuchu świętej wojny proces ten przybrał jeszcze na sile, gdy w każdym porcie musiała działać stocznia. Gwoli szczerości arcybiskup Trumahn i biskup egzekutor Wylsynn zastanawiali się całkiem poważnie, czyby nie zamknąć kościoła Świętego Nezbytha. Ostatecznie postanowili się z tym wstrzymać. Głównie dlatego, że Kościół Matka nie cierpiał zamykać świątyni oraz – jak by to ujęli cynicy – pozbawiać proboszczów parafii, która stanowiła źródło ich utrzymania. Innym powodem było to, że biskup Staiphan Maik wraz ze swoim sztabem potrzebował powierzchni biurowej jako intendent Królewskiej Floty Dohlaru.

Oczywiście o tej porze w środę w środku nie było ani jednego sztabowca. Nawa i prezbiterium były puste, rozjaśnione tylko blaskiem lamp płonących przy ołtarzu głównym i tych pobocznych. Rainos i Lattymyr zwinnie wyminęli organy i miejsce na chór. Spod zamkniętych drzwi do bocznej kaplicy Langhorne'a biła smuga światła. Rainos zapukał delikatnie w lakierowane skrzydło.

– Wejść! – rozległ się głos.

Rainos uniósł brwi z zaskoczenia, albowiem był to głos znajomy. Pomimo drogi, jaką otrzymał zaproszenie, nie spodziewał się, że zostanie tu Maika we własnej osobie. Większość duchownych starałaby się trzymać z daleka, a w wypadku osoby z pozycją Maika konsekwencje mogły być niewyobrażalne... gdyby coś poszło nie tak.

Generał otworzył drzwi i wstąpił do rozświetlonej blaskiem lamp kaplicy. Depczący mu po piętach Lattymyr zamknął za nimi dwoma drzwiami, a Ahlverez w tej samej chwili spojrział na mężczyznę, który go tutaj zaprosił.

– Mój panie – odezwał się sztywno.

– Witaj, sir Rainosie – odpowiedział drugi z obecnych mężczyzn. – Dziękuję za przybycie. Domyślałem się, że decyzja nie była łatwa... I to

z wielu powodów – dodał hrabia Thirsku.

– Można tak to ująć. – Ahlverez zdobył się na przelotny uśmiech, po czym pochylił się nad dłonią Staiphana Maika, aby ucałować jego pierścień. – Mój panie – powtórzył cieplejszym tonem.

– Ja również jestem ci wdzięczny za przybycie, synu – zapewnił go Maik po chwili milczenia, obrzucając równocześnie spokojnym spojrzeniem brązowych oczu. – Podobnie jak Lywys jestem świadom, że decyzja nie należała do łatwych. Niestety – srebrnowłosy duchowny uśmiechnął się lekko, acz ze smutkiem – w obecnych czasach prawie wszyscy musimy takie podejmować.

– To prawda – przyznał Ahlverez.

Następnie wbił wzrok w hrabiego Thirsku i uniósł pytająco brwi.

Widząc wznoszące się brwi generała, Lywys Gardynyr zmówił cichą modlitwę. To spotkanie mogło się potoczyć źle na mnóstwo sposobów. Osobiście był zdziwiony, że Ahlverez w ogóle stawiał się na zaproszenie, skoro między ich rodzinami panowała taka zaciekle nienawiść. Biskup inkwizytor Maik nie krył swych wątpliwości, gdy hrabia Thirsku zaproponował taką naradę, a Lywys Gardynyr bynajmniej się temu nie dziwił. Zarazem jednak ufał opinii Shulmyna Rahdgyrza jak mało komu – a Shulmyn Rahdgyrz był kwatermistrzem Rainosa Ahlvereza przez całą pechową kampanię Shiloh. I to właśnie jego reakcja przesądziła sprawę, otwierając hrabiemu Thirsku oczy na wiele sposobów.

Między innymi i na to, że – jak widać – spotkanie z Ahlverezem w tym gronie było mimo wszystko możliwe. *Co nie znaczy, pomyślał Lywys, że Rainos chce tylko wysłuchać, co mam do powiedzenia, w nadziei, że się czymś obciążę i będzie mnie mógł przekazać prosto w łapy Inkwizycji.*

A biorąc pod uwagę to, co Lywys miał do powiedzenia, taka możliwość jak najbardziej wchodziła w grę. *Raz kozie śmierć*, westchnął hrabia Thirsku w duchu i już otwierał usta, aby się odezwać, gdy biskup Maik uniósł rękę, błyskając rubinem w blasku lamp.

– Wybacz, Lywysie – powiedział – jednakże jako gospodarz tego spotkania, a przynajmniej jako biskup, który zapewnia świątynię, aby

mogło ono dojść do skutku, pozwolę sobie wyjaśnić pewne rzeczy generałowi, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Hrabia Thirsku zawahał się, ale w końcu skłonił głowę.

– Oczywiście, mój panie – mruknął.

Sir Rainos Ahlverez odwrócił się w tym momencie do duchownego.

– Propozycja spotkania wyszła od hrabiego Thirsku – oznajmił Maik.

– Początkowo krył się z nią z oczywistych względów, lecz ostatecznie uznał, że być może będzie potrzebował mediatora, z pomocą którego przyjąłbyś zaproszenie. A jak wszyscy wiemy, nie wyszłoby na dobre ani tobie, ani jemu, gdyby zwrócił się do ciebie bezpośrednio ktoś z hrabiowskiego sztabu. Szczególnie po tym, jak Kościół Matka zareagował na sugestię, by jeńców admirała Rohsaila jednak nie wydać na Karę Schuelera. – Biskup Maik uśmiechnął się blado. – Mam świadomość, że sugestia ta... którą nawiasem mówiąc, popieram... nie wyszła od żadnego z was. Cóż z tego, skoro niektórzy hierarchowie tak tego nie widzą.

Urwał i przechyliwszy głowę, czekał na reakcję Ahlvereza. Gdy ten dał znak, że słucha, biskup podjął:

– Jestem również świadom długoletniej waśni pomiędzy waszymi rodzinami. Znam jej powody, a także miałem do czynienia z wynikającymi z niej konsekwencjami praktycznie każdej minuty każdego dnia, odkąd zostałem oddelegowany do Gorathu przez arcybiskupa Wyllyma. – Wzrok mu stwardniał. – Mogę zapewnić, że Lywys Gardynyr... w czasie, w którym go znam... nigdy, powtarzam: nigdy, ani razu nie kierował się własną małostkowością ani też nie zaniedbał swoich obowiązków służbowych z jakiegokolwiek względu. Wiem, że książe Malikai był twoim kuzynem i mężem siostry księcia Thorastu. I nie wątpię, że cokolwiek zaszło na Rafie Armagedonu, nie było winą Lywysa. On tylko starał się z całych sił zaradzić tragedii. Podejrzewam też, sir Rainosie, że ty uważasz tak samo, nieważne, co mówi książe Thorastu. – Ponownie przerwał, wyraźnie na coś czekając, jednakże cisza się przedłużała.

Ahlverez spoglądał przed siebie z zaciętą twarzą i pociemniałymi oczami. W końcu, po długiej chwili, opuścił ledwo zauważalnie ramiona i tak jakby westchnął.

– Sam nie wiem, co myśleć, eminencjo – wyznał. – Faktem jest, że

wywierano na mnie naciski, abym wyrobił sobie taką, a nie inną opinię na ten temat. – Uśmiechnął się cierpko. – Nie zamierzam jednak rozprawiać o tym przy stole, by tak rzec. Niemniej... – przeniósł wzrok na hrabiego Thirsku – Faidelowi nie da się odmówić uporu. Ani dumy. To był typ człowieka, który mierzył się z własnymi obowiązkami w pojedynkę. A nawet, ryzykując, że jego niewiedza w jakiejś kwestii wyjdzie na jaw, zlecał pewne sprawy swoim podwładnym. Niełatwo mi to mówić, ale potrafię wczuć się w twoje położenie. I wierzę, że uczyniłeś co w twojej mocy, aby zapobiec tragedii, tyle że twoje słowa zostały zignorowane.

– Sir Rainosie – odezwał się hrabia Thirsku ze szczerością w głosie. – Wyobrażam sobie, jak trudno musiało ci być to przyznać. Aby oddać sprawiedliwość twemu kuzynowi, przyznaję, że wszystko, co o nim powiedziałaś, jest prawdą. Do tego wiedz, że tak jak on nie miałem pojęcia, co ci Charisjanie... – unikając słowa „heretycy”, niezwykle uważnie wpatrywał się w oczy Ahlvereza – zamierzają nam uczynić na Rafie Armagedonu. Nikt poza Charisem nie miał pojęcia o nowych galeonach, nowej artylerii i nowym sposobie walki. Nawet gdyby książę Malikai skorzystał z mojej rady i wziął ją sobie do serca, Cayleb Ahrmahk rozprawiłby się z naszą flotą tak czy inaczej. – Pokręcił głową. – W cieśninie Crag Reach praktycznie unicestwił okręty, które były pod moimi rozkazami. Chyba próbuję powiedzieć rzecz następującą: o ile w swoim mniemaniu nie możesz mnie oskarżać o to, co się stało, o tyle równą niesprawiedliwością byłoby oskarżanie o cokolwiek twego kuzyna. Muszę wyznać, że oskarżałem go w myślach. Ostatecznie jednak zrozumiałem, że te oskarżenia biorą się stąd, iż pragnę oczyścić własne imię. Bo gdyby mnie nie posłuchał, nic z tego, co się stało, nie byłoby moją winą. Prawda jednak jest taka, że jakkolwiek wiele błędów popełnił, jakkolwiek był uparty, zostaliśmy rozbici przez wroga, który był od nas potężniejszy i sprytniejszy, aby mogło się to skończyć inaczej, niż się skończyło, i to bez względu na to, co byśmy uczynili.

Ahlverez nadał nozdrza. Tego się nie spodziewał i przez moment był wściekły, że hrabia Thirsku ma go za mięczaka, który da się złapać na gładkie słówka. Kiedy jednak spojrział Gardynyrowi prosto w oczy, zrozumiał, że tamten mówi szczerze.

– Zapewne przyznanie tego było dla ciebie nie mniej trudne niż dla mnie potwierdzenie faktu, że Faidel miał więcej za uszami niż ty, mój

panie.

– Trudność dotyczyła nie tyle wyartykułowania tego na głos, ile przyznania w duchu przed samym sobą – poprawił go sucho hrabia Thirsku, a Ahlverez ku własnemu zaskoczeniu prychnął z rozbawieniem na zgodę.

– Nawet nie wiecie, jak mnie cieszy to, co przed chwilą usłyszałem – skwitował biskup Maik, uśmiechając się ciepło do obydwóch mężczyzn. – Sir Rainosie, nie znam cię równie dobrze jak Lywysa, niemniej jestem pewien, iż obaj jesteście dobrymi ludźmi, prawymi synami Boga Jedynego. Nie wątpię, że znacie swoje obowiązki wobec Stwórcy, archaniołów, Kościoła Matki i swego króla... w tej właśnie kolejności.

Ostatnie słowa wymówił dobitnie i raz jeszcze urwał, aby zarejestrować reakcję obu mężczyzn. Pozwolił temu napomnieniu zawisnąć w powietrzu kaplicy i odczekał kilka sekund, zanim zaczerpnął głęboko tchu.

– Nadszedł czas próby – odezwał się znowu, tym razem znacznie ciszej. – Nadszedł czas próby większej, niż Kościół Matka i ten świat widzieli od czasów Wojny z Upadłymi. Jako biskup mam obowiązek stanąć do tej próby na czele swoich owieczek, choć nie jestem przekonany, czy to obowiązek na moje siły. – Potrząsnął głową. – Uczyniłem co w mojej mocy tak jak wy, ale obawiam się, że nie udało mi się sprostać zadaniu. Tak, nie sprostałem zadaniu, a wiem to stąd, że rodzinę Lywysa spotkało to, co spotkało.

– To nie była twoja wina, Staiphanie. Chroniłeś moich bliskich. Przecież wiesz! – Hrabia Thirsku zapewnił duchownego z zapalczywością w głosie. Wydawał się poruszony, jednakże biskup Maik tylko pokręcił głową.

– Cokolwiek słyszałeś, sir Rainosie – rzekł posmutniały biskup – komandor Khapahr nie był charisjańskim szpiegiem ani też nie starał się zamordować Lywysa, gdy ten zrzucił maskę. Tak naprawdę Khapahr był najlojalniejszym i najdzielniejszym człowiekiem, jakiego miałem zaszczyt znać. Poniósł śmierć w wyniku moich działań.

Ahlverez zrobił wielkie oczy, a hrabia Thirsku potrząsnął głową.

– Nieprawda! – na wpół warknął Gardynyr. – Nie było odważniejszego mężczyzny niż Ahlvyn! Sam decydował o swoim postępowaniu, a jeśli ktokolwiek jest tu winny, to tylko ja. Ponieważ

miałem świadomość, co uczyni, wiedząc, że coś grozi moim córkom, moim wnukom... Miałem tego świadomość, a mimo to nic nie zrobiłem. – Głos hrabiego zadrżał, a Ahlverez dojrzał w jego oczach łzy.

– Nie miałeś szans go powstrzymać, Lywysie – powiedział łagodnie biskup Maik. – Był, jaki był, z czego obydwaj doskonale zdawaliśmy sobie sprawę. – Duchowny zwrócił się znów do Ahlvereza. – Sir Rainosie, wezwałem komandora Khapahra na naradę i poinformowałem go, aczkolwiek nie wprost, że zostały poczynione przygotowania, aby przenieść rodzinę Lywysa do Syjonu przez wzgląd na kwestie bezpieczeństwa. – Nie miałem wtedy pojęcia, że równocześnie spróbuje przesmuglować bliskich Lywysa do Gorathu, nie informując go o tym. Miałem jednak nadzieję, że przekaze Lywysowi moje ostrzeżenie. Tak się jednak nie stało, a gdy Inkwizycja odkryła, co on planuje, celowo ujawnił się jako charisjański szpieg, ażeby odwrócić uwagę inkwizytorów nie tylko od Lywysa, ale także ode mnie. Strzelając do hrabiego Thirsku, obciążył się ponad wszelką wątpliwość. Oto, jakim naprawdę człowiekiem był Ahlvyn Khapahr.

Ahlverez przełknął ciężko. Dostrzegał ból w oczach hrabiego i żal w spojrzeniu biskupa. Nie potrzebował więcej argumentów.

– Niech... – Ku swemu zdziwieniu musiał przerwać, aby odchrząknąć. – Niech mu ziemia lekką będzie. Każdy, kto ma równie oddanych przyjaciół, jest zaiste szczęściarzem, eminencjo... Nie rozumiem tylko jednego: po co mi to wszystko mówisz?

– Powodów jest kilka, synu. Po pierwsze, żebyś zrozumiał, jakim człowiekiem jest Lywys. – Biskup Maik pomknął na moment wzrokiem do Lattymyra, który wciąż stał o krok za plecami generała. – Nikt, kto byłby tego niegodny, nie zasłużyłby sobie na podobną lojalność.

Ahlverez skinął głową z namysłem, a biskup Maik wzruszył ramionami.

– Po drugie – podjął duchowny – to zachowanie podkreśla, do jakich poświęceń zdolni są dobrzy ludzie dla tych, których szanują i kochają, i dla tego, w co wierzą. – Znowu patrzył na Ahlvereza. – Ani jedna, ani druga strona tej wojny nie ma monopolu na uczciwość przekonań, siłę oddania Bogu czy odwagę. Nieważne, co mówią ludzie. Każdy powinien to wiedzieć bez względu na to, jak bardzo jego zdaniem błędzą jego bracia i siostry.

Ponownie zamilkł.

– Po trzecie wreszcie – głos duchownego nadal był spokojny i wyważony, lecz zarazem także znacznie smutniejszy – żebyś wiedział, że komandor Khapahr podjął to ryzyko, uczynił to poświęcenie, gdyż wiedział, czemu rodzina Lywysa musi znaleźć się w Syjonie... Nie miało to nic wspólnego z kwestią bezpieczeństwa. Albowiem oficjalny powód był kłamstwem, a głoszący go ludzie nie mogliby bardziej mijać się z prawdą.

Spojrzenie brązowych oczu nie opuściło twarzy Ahlvereza ani na moment.

– Co jeszcze ważniejsze – kontynuował biskup Maik takim samym niezachwianym tonem – powiedziałem to wszystko, abyś miał szansę zrozumieć to, co usłyszysz ode mnie za chwilę. Nie chodzi o jakiś pochopny wniosek, który wysnułem, lecz o konkluzję, do której dochodziłem miesiącami... i przez którą tamtej nocy wezwałem do siebie komandora Khapahra, wiedząc, że wystawiam go na śmiertelne niebezpieczeństwo.

– O jakiej konkluzji mówisz, eminencjo? – zapytał Ahlverez, wpadając duchownemu w słowo.

– Wniosek, którym chcę się z tobą podzielić, przyszedł do głowy zbyt małej liczbie osób. Nawet w moim wypadku zbyt długo trwało, aż go sprecyzowałem w myślach. Właściwie jest to fakt, o którym wszyscy z jakiegoś powodu zapomnieliśmy. Posłuchaj uważnie, synu... Kościół Matka to nie grupa śmiertelników, którzy ad hoc wymyślają politykę wedle swoich potrzeb. Archaniołowie nie są sługami ludzi, którzy sądzą, że znają Boga lepiej, niż On sam zna siebie. Na Stwórcy nie robi wrażenia ludzka duma, ambicja i pycha. Nie robi na Nim wrażenia Zhaspahr Clyntahn, który sprzeniewierzył się wszystkiemu i wszystkim, chcąc za wszelką cenę pograć świat w chaosie, utopić dzieło boże w morzu krwi, ognia i terroru, a wszystko to w imię własnego nienasyconego pragnienia władzy.

KWIECIEŃ
ROKU PAŃSKIEGO 898

.I.
Odlewnia Świętego Kylmahna
Syjon
Ziemie Świętynne

*P*rzynajmniej nie pada, pomyślał, wysiadając z powozu na dziedziniec przed odlewnią Świętego Kylmahna. *Właściwie jest całkiem ładny ranek...*

Było rześko, ale pogodnie – firmament w górze niebieszczył się, w powietrzu zaś unosiła się leciusieńka bryza. Był to dokładnie taki kwietniowy dzień, przez jaki mieszkańcy Syjonu czasem robili sobie nadzieję, że wiosna jest już tuż-tuż.

Jest w tym pewna ironia, dodał w myślach, odwracając się do dowódcy swej konnej eskorty. W tym samym czasie drzwi pracowni brata Lynkyna Fultyna otworzyły się i brodaty członek Zakonu Chihiro wyszedł na zewnątrz. Odetchnął głęboko, wypuszczając obłoczek pary. W innych okolicznościach Rhobair Duchairn wolałby się przespacerować, aby nacieszyć się słońcem i możliwością kontaktu z ludźmi, których duchowym pasterzem miał być, lecz niestety major Khanstahnzo Phandys, dowódca jego przybocznej gwardii, nie pozwolił mu na to. W tym akurat momencie, biorąc pod uwagę niektóre plotki krążące po Świętyni, Duchairn był skłonny przyznać, że major może mieć trochę racji. Z drugiej strony nie powinien był wcale wiedzieć, czemu Wyllym Rayno rozkazał Phandysowi uniemożliwić kontakty z wiernymi. Było to coś nowego. Skarbnik Kościoła Matki przypuszczał, że niebawem potwierdzą się także inne, poważniejsze plotki, które do niego docierały od jakiegoś czasu.

Tymczasem porzucił ten tok myślenia i przywołał majora gestem.

– Tak, eminencjo? – zapytał gwardzista z taką uniżonością, jakby nie był szpiegiem Inkwizycji.

– Majorze, spędzę tu godzinę, a może nawet dwie. Niewykluczone, że nie skończymy do lunchu. Sądzę, że powinienesz zatroszczyć się o swoich

ludzi. Dopilnuj, aby mieli suchy i ciepły kąć oraz posiłek, jeśli istotnie brat Lynkyn i ja zdecydujemy się coś razem zjeść. Może poproszę brata Lynkyna o pomoc w tej mierze?

– Dziękuję, ale nie trzeba, eminencjo. Wyznaczę warty tak, aby nikt nie spędził na mrozie zbyt dużo czasu, co do jedzenia zaś, poczyniłem już stosowne ustalenia z bratem Zhoelem na taki wypadek.

– Świetnie – skwitował Duchairn i przeciął dziedziniec, kierując się w stronę Fultyna. Znalazłszy się przy nim, wyciągnął dłoń obleczoną w rękawiczkę. Brat Lynkyn pochylił się nad pierścieniem wikariusza i już chciał go ucałować przez cienką skórę rękawiczki, gdy Duchairn powstrzymał go gestem. – Przyjmijmy, że etykiecie stało się zadość, bracie – powiedział, roztaczając wokół swoich ust obłoczki pary. – Nie chcemy przecież, żebyś odmroził sobie usta.

– Na to nie jest wystarczająco zimno, eminencjo – odparł szef odlewni z uśmiechem, aczkolwiek posłuchał napomnienia. – Jest za to dostatecznie zimno, abyś na pewno wolał wejść do środka, zamiast sterczeć tutaj na zewnątrz – dodał i odstąpił na bok, przepuszczając Duchairna pierwszego za próg. – Wikariusz Allayn już jest na miejscu.

– Tak, widziałem jego powóz... – Rhobair skinął głową, wskazując pojazd stojący w przeciwnym rogu dziedzińca. Oba zaprzęzione do niego konie miały na grzbietach derki i parskały radośnie w chłodnym powietrzu. – Dużo mnie wyprzedził?

– Tylko jakieś dwadzieścia minut, eminencjo. – Fultyn podążył za wikariuszem do przedsionka. – Zdążyliśmy już przedyskutować prośbę hrabiego Tęczowych Wód, ażebyśmy przenieśli manufakturę bomb ziemnych dla niego.

Duchairn skinął głową ponownie, tym razem z bardziej poważną miną. Zalecona przez Inkwizycję nazwa na to piekielne ustrojstwo była z całą pewnością adekwatna, jednakże jego zdaniem zdecydowanie bardziej pasowała nazwa nadana pierwotnie przez Armię Boga. Bomby ziemne w rzeczy samej były pomiotem Kau-yunga: w szpitalach należących do Zakonu Pasquale roilo się od osób, które utraciły przez nie nogi i ręce. Mimo to Duchairn bynajmniej nie był zdziwiony, kiedy Zhaspahr Clyntahn poradził odejść od nazwy przyjętej przez wojsko akurat wtedy, gdy nawet jego własni inkwizytorzy tutaj w Syjonie zaczęli nazywać grupę terrorystów Pięścią Kau-yunga... oczywiście tylko

wtedy, gdy znajdowali się poza zasięgiem słuchu wielkiego inkwizytora. Tak czy owak, cokolwiek myślał o tej broni, nie mógł winić hrabiego Tęczowych Wód za to, że postanowił odpowiedzieć czymś podobnym, skoro było jasne, ilu ludzi straci w nadchodzącej kampanii. Teraz przynajmniej, gdy Inkwizycja udzieliła zgody na produkcję wymyślonych przez Charisjan spłonek, zakłady brata Fultyna były w stanie zapewnić mu te cholerstwa, jakkolwiek je tam zwać.

– Zdołasz spełnić jego wymagania co do ilości? – zapytał skarbnik Kościoła Matki, rozpinając guziki ciężkiego płaszcza w trakcie mijania przedsionka.

Kiedy wszedł do biura, klerkowie Fultyna podnieśli się ze swoich miejsc i ukłonili się nisko wikariuszowi, aby zaraz opaść z powrotem na zydle i zagłębić się w trwającej bez końca robocie papierkowej.

– Ależ skąd, wasza dostojność. – Fultyn uśmiechnął się krzywo. – Doskonale o tym wiedział, zwracając się do mnie z prośbą. Wątpię, aby udało nam się wyprodukować więcej niż jedną trzecią tego, czego zażądał... zwłaszcza gdyby miał otrzymać wszystko przed rozpoczęciem kampanii.

Duchairn prychnął, okazując w ten sposób swoje zrozumienie. Osobiście powątpiewał, aby Kościół Matka był w stanie zapłacić za wszystkie bomby ziemne, których zażyczył sobie dowódca Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów, i podobnie jak Fultyn uważał, że hrabia Tęczowych Wód o tym wie. Mimo to pojmował, czemu hrabia wystąpił z prośbą o tak dużą liczbę bomb ziemnych. Zwracając się o zapewnienie trzykroć, a nawet czterokroć więcej, niż zakłady były w stanie wyprodukować w wymaganym czasie, w sprytny sposób mógł sobie wyrobić opinię na temat zdolności produkcyjnych zakładów Fultyna. Hrabia i skarbnik już wcześniej przekonali się, że nadają na tych samych falach, a do tego Duchairn zdążył podpatrzeć parę metod, jak radzić sobie z biurokracją.

W rzeczy samej bowiem Harchończycy nie mieli sobie równych w niejednej sztuce.

– Cóż, trzeba będzie się wysilić i postarać, aby spełnić żądania hrabiego w jak największym stopniu – powiedział Rhobair Duchairn, zanim brat Fultyn otworzył drzwi swojego gabinetu.

Allayn Maigwair, który wyglądał przez okno na dziedziniec,

obserwując przybycie kolegi wikariusza, odwrócił się teraz i wyciągnął przed siebie rękę.

– Wspaniała pogoda, nieprawdaż? – zapytał.

Duchairn skinął głową na potwierdzenie tych słów.

– To chyba najładniejszy dzień od końca października – zgodził się z przedmówcą i wymienił z nim uścisk przedramienia na powitanie. – Mam jednak nadzieję, że nikt nie jest aż tak naiwny, by sądzić, iż już niebawem nadejdą wiosenne roztopy.

– Nikt, nie licząc Inkwizycji – odparł oschle Maigwair. Duchairn otworzył szeroko oczy i niespokojnie pobiegł spojrzeniem do Fultyna, który wciąż znajdował się o pół kroku za nim. Maigwair uczynił grymas. – Brat Fultyn wie, o co mi chodziło. Miałem na myśli niecierpliwość Inkwizycji, która pragnie podjąć działania, jak tylko pogoda to umożliwi, a nawet... jeszcze lepiej... szybciej. Dobrze mówię, bracie Fultynie?

– Oczywiście, wasza dostojność – odparł zakonnik jakby nigdy nic. Ton jego głosu wskazywał, że mówi szczerze.

– Aha. – Duchairn przytrzymał przedramię Maigwaira nieco dłużej niż zwykle, po czym odstąpił o krok, robiąc miejsce Fultynowi, który chciał zająć swoje miejsce za biurkiem.

Zakonnika powstrzymał gest Maigwaira.

– Słucham, wasza dostojność.

– Całkiem zapomniałem, że zależało mi dziś na obecności brata Sylvestraia oraz mistrza Bryairsa. – Głównodowodzący sił Kościoła Matki uśmiechnął się przepraszająco. – Pragnę zasięgnąć ich opinii w kwestii nowych pocisków i zapalników. Czy mógłbym cię poprosić, abyś ich tu sprowadził?

Fultyn poruszył brwiami, jakby w zdziwieniu, lecz natychmiast wygładził czoło.

– To żaden kłopot, wasza dostojność – powiedział. – Brat Sylvestrai powinien być w swoim biurze, a Tahlbahta najpewniej znajdę w hali produkcyjnej. Niewykluczone, że będę musiał go poszukać. Dziesięć minut zwłoki nie będzie przeszkodą?

– W żadnym razie, bracie. Wikariusz Rhobair i ja utniemy sobie pogawędkę w tym czasie.

– Zatem za pozwoleniem waszych dostojności... – wymamrotał

Fultyn, uklonił się i wycofał z gabinetu, zamykając za sobą starannie drzwi.

– Zadziwiająco domyślny człowiek, czyż nie? – zauważył oschle Maigwair.

– Cóż, to normalna cecha u kogoś, kto w wieku dziewiętnastu lat został upomniany przez Inkwizycję za to, że zakwestionował mądrość daną hierarchom Kościoła Matki z góry. – Duchairn zdjął szalik i zgrabnym ruchem zsunął z ramion płaszcz, by odwiesić jedną i drugą sztukę garderoby na stojący w rogu gabinetu wieszak, po czym znów odwrócił się do Maigwaira. Wyglądził na siebie sutannę i podjął: – Brat Fultyn nie jest głupcem, co to, to nie. Oznacza to, że za wszelką cenę stara się uniknąć kolejnej okazji do bycia upomnianym przez Inkwizycję. A to niełatwa sprawa, gdy się nad tym głębiej zastanowić. Zwłaszcza że zajmuje się tym, czym się zajmuje, i że mamy świętą wojnę. – Wykrzywił wargi w grymasie goryczy, ale zaraz się otrząsnął i popatrzył Maigwairowi w oczy. – To zaś prowadzi nas do punktu wyjścia, czyli powodu, dla którego wysłałeś go z zadaniem, jakie równie dobrze mógł wykonać pierwszy lepszy klerk. Czy słusznie się domyślam, że chodzi o więzienie Świętego Thyrmyna? Czy też raczej, powinienem rzec, o bezpodstawne plotki krążące na jego temat po całej Świątyni?

– Słusznie się domyślasz, w rzeczy samej – potwierdził chmurnie Maigwair, zniżając głos.

Poruszył nieznacznie głową, zapraszając Rhobaira, aby podszedł za nim do okna, znajdującego się możliwie najdalej drzwi, przez które ktoś mógłby ich podsłuchać.

– Słyszałeś coś poza plotkami? – zapytał Rhobair cichym głosem, stanąwszy tuż obok niego.

– Nie – pokręcił głową Maigwair. – Jednakże plotki, które obły mi się o uszy, pochodzą z tak licznych źródeł, że po prostu musi w nich tkwić ziarno prawdy. Tobys się ze mną zgadza: dyskretnie rozpytał się w swoich kręgach i dzięki temu, czego mu nie powiedziano, doszedł do wniosku, że w więzieniu istotnie zdarzyło się coś poważnego.

Duchairn skinął głową ledwie zauważalnie i zacisnął usta, wyraźnie zastanawiając się nad tym, co usłyszał właśnie od Maigwaira. Biskup połowy Tobys Mykylhny był chyba najbardziej zaufanym podwładnym Maigwaira – to znaczy zaraz po arcybiskupie połowym Gustyvie

Walkyrze. Maigwair i Mykylhny chodzili razem do seminarium, aczkolwiek ten pierwszy był o dwa lata starszy od drugiego. W tym układzie Maigwair był mentorem młodszego duchownego aż do dnia opuszczenia seminarium; Mykylhny zaś był starszym stopniem oficerem Gwardii Świątyni, dopóki większość gwardzistów nie przeszła do nowo utworzonej Armii Boga. W ostatnich latach Mykylhny pełnił funkcję głównego wywiadowcy naczelnego wodza sił Kościoła Matki. W tej roli miał on obowiązek nawiązać kontakty z członkami Inkwizycji i ustanowić z nimi przyjazne relacje. Duchairn nigdy nie miał wątpliwości co do tego, że Wyllym Rayno świetnie zdaje sobie sprawę, kim są owe osoby, i że adiutant Inkwizycji pojmuje potrzebę Maigwaira, by w jakiś sposób sprawdzać i weryfikować przekazywane mu informacje o Charisjanach i ich możliwościach. Skoro już o tym mowa, Rayno – w przeciwieństwie do Clyntahna – zapewne miał również świadomość tego, że Maigwair musi mieć dostęp do informacji, które Inkwizycja chciała przed nim zataić.

Oczywiście nie ulega kwestii, dodał w myślach skarbnik Kościoła Matki, że te wtyczki są w pełni świadome faktu, iż Rayno ma na nie oko. Prawdopodobnie to właśnie miał na myśli Allayn, używając słów „czego mi nie powiedziano” – zakładając oczywiście, że ludzie ci mogli się poszczycić posiadaniem mózgu! Pytaniem pozostaje, co ja powinienem mu teraz powiedzieć...

– Myślę, że możesz mieć rację – odezwał się po długim milczeniu. – Cokolwiek jest na rzeczy, sprawia, że Zhaspahr sra w gacie ze strachu.

– Naprawdę? – Maigwair potarł brodę. – Muszę przyznać, że wydał mi się odrobinę... dziwny w trakcie naszego ostatniego spotkania. Nie byłem w stanie stwierdzić, czy chodzi o wydarzenia w więzieniu Świętego Thyrmyna czy raczej o to, w jaki sposób hrabia Hanthu odpycha Rychtyra z powrotem na teren Dohlaru. – Pokręcił głową. –

Odpuścił sobie nawet przechwalanie się, jakim to ewidentnym potwierdzeniem jest, że heretycy zajmują pozycje, aby zaskoczyć nas strategiczną niespodzianką na południu...

– Też mnie to trochę zdziwiło – zgodził się Duchairn. – Chociaż... jakkolwiek Clyntahn się cieszył, że dzięki Rakurai pozyskaliśmy cenne informacje, był równie nieszczęśliwy z powodu sytuacji w Dohlarze. – Skarbnik wzruszył ramionami. – Z jednej strony uważa, że to dowodzi jego racji, z drugiej wciąż jesteśmy przecież na wczesnym etapie

przerzucania, co powoduje u niego obawę, że zdążymy przegrać, zanim dojdzie to ostatecznego przetasowania. Bardzo możliwe, że wielki inkwizytor nie jest pewien, w jakim stopniu oddany sprawie świętej wojny jest Dohlar. Dziwi mnie, że jak dotąd nie zdjął hrabiego Thirsku całkiem z szachownicy, szczególnie po tym, jak Inkwizycja przestała mieć na niego... hm... wpływ. Jeśli mam być szczery, sądzę, że zrobiłby to bez wahania, gdyby tylko miał pewność, jak zareaguje na taki ruch Królewska Flota Dohlaru. Marynarze nie są zachwyceni tym, co spotkało rodzinę ich dowódcy... bo więcej niż pewnością jest, że tylko najgłupszy z najgłupszych jeszcze się nie domyślił, dlaczego tak naprawdę wysłano dzieci i wnuki hrabiego do Syjonu.

Obaj wikariusze uśmiechnęli się z takim samym niesmakiem.

– Nie przez Dohlar wielki inkwizytor sra w gacie – podjął Duchairn. – Nie wiem do końca, co zaszło w więzieniu, ale zgadzam się z tobą w zupełności, że cokolwiek to było, przyniosło katastrofalne skutki.

– Tak myślisz? – Maigwair odwrócił się, aby spojrzeć na niego. – A na jakiej podstawie?

– Na pewno zdążyłeś się domyślić, że nie trzymam majora Phandysa blisko siebie tylko dlatego, że go lubię – powiedział Duchairn nieco niejasno, a Maigwair skwitował to prychnięciem.

– Nadal jestem głównym dowódcą Gwardii Świątynnej – odparował. – I jako taki doskonale znam powód, dla którego major Phandys został przydzielony do twojej eskorty. Przecież to ja podpisałem papiery, po tym jak Rayno zasugerował taki przydział. – Przez moment miał zawstydzoną minę, ale szybko się otrząsnął. – Od dość dawna nie otrzymuję od niego raportów, ale nie wątpię, że on wciąż donosi na ciebie Zhaspahrowi. Mam nadzieję, że o tym wiesz?

– Zapewniam cię, że mój mózg działa, przynajmniej co drugi dzień. – Ton głosu Duchairna był bardziej oschły niż kiedykolwiek. – Tak się jednak składa, że czasem dobrze mieć majora Phandysa koło siebie... – Maigwair uniósł brwi w zdziwieniu, na co Duchairn zachichotał. – Och, nie dlatego, że mogę na niego liczyć! Choć gwoli szczeroci... – dodał – chyba jest gotów mnie bronić przed wszelkim zagrożeniem, którego źródłem nie jest Inkwizycja. A jest z niego całkiem sprawny ochroniarz.

Maigwair skinął głową, a Duchairn wzruszył ramionami.

– Tak czy owak odkryłem – podjął skarbnik – że mogę go używać jako

tuby. Wydaje mu się, że potrafi zachować pokerową twarz w każdej sytuacji, ale to nieprawda. Niektóre jego reakcje pozwalają mi lepiej zrozumieć, co takiego Rayno z nim omawia. A od czasu do czasu puszcza parę z gęby zupełnie mimowolnie. Najczęściej jest to informacja, którą Zhaspahr z jakichś powodów postanowił przed nami zataić.

– Na przykład o tym, co wydarzyło się w więzieniu? – zapytał z zainteresowaniem Maigwair.

– Nie wprost. – Duchairn pokręcił głową. – Ani ty, ani ja, ani nawet Zhasyn nie wiedzieliśmy na przykład, że jego inkwizytorzy pojмали przed kilkoma pięciodniami członka Pięści Boga.

– Co takiego? – Maigwair zrobił wielkie oczy. – Jesteś pewien?

– Niemal całkowicie – potwierdził Duchairn. – To znaczy Inkwizycja mogła się mylić co do znaczenia więźnia, ale przynajmniej była przekonana co do jego tożsamości. Chodzi o to aresztowanie w Sondheimsborough, tej modystki i kogoś z personelu.

– Mówisz o madame Marzho? – Ton Maigwaira stanowił mieszaninę niedowierzania i niesmaku, w związku z czym tym razem to Duchairn uniósł brwi ze zdziwienia. – Moja żona kupuje od niej kapelusze od dziesięciu lat. – Naczelny wódz sił Kościoła Matki wzruszył ramionami. – Hm, to samo może zapewne powiedzieć połowa wikariatu! Sądziłem, że to z tego powodu Rayno tak chętnie obwieścił nowinę. Domyślam się, że teraz każdy klient madame Marzho ogląda się przez ramię, przekopuje skrzynie i przetrząsa całą swoją korespondencję z ostatnich trzydziestu lat, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie ma czego się obawiać. Langhorne świadkiem, że ta kobieta obciąży przed Zhaspahrem każdego, kogo tylko zapragnie obciążyć. – Potrząsnął głową z chmurnym wzrokiem. – Tak to już jest... Koniec końców przychodzi spowiedź... A jeśli nawet nie, Rayno i ci jego dranie skłamią na ten temat, tak samo jak w wypadku Manthyra.

Duchairn skinął głową, mimo że był nieco zdziwiony szczerością Maigwaira, a już szczególnie równie otwartą wzmianką na temat tego, co się przytrafiło Gwylymowi Manthyrowi, co z tego, że po takim czasie. Pomyślał więc, że los charisjańskich jeńców oddanych w ręce Inkwizycji przez Dohlarian musi leżeć pozostałym wikariuszom na sercu bardziej, niż przypuszczał.

Cóż, Allayn w głębi siebie jest żołnierzem, cokolwiek by o nim

powiedzieć. Zatem rozumie się samo przez się, że ta sprawa musi mu leżeć na sercu. Do tego jest mniejszym głupcem, niżbyś chciał, Rhobairze, dodał w duchu. Nie powinieneś się więc dziwić, że czuje on wstyd, gdy Kościół Matka haniebnie torturuje jeńców wojennych, kiedy nawet heretycy tego nie robią.

– Nie dlatego zostały aresztowane – powiedział cicho.

– Och, nie mów mi, że madame Marzho jest heretyczką! – Maigwair miał taką minę, jakby chciał splunąć na podłogę. – Znam ją osobiście, Rhobairze! Jeśli ona jest heretyczką, to ja jestem Harchończykiem!

– Nie mogę ręczyć za to, co gra w jej duszy, jednakże za sprawą pomniejszej niedyskrecji poczynionej przez majora Phandysa... przez którą upiekłby się żywcem na wolnym ogniu, gdyby Rayno się dowiedział... wiem, że zarówno ona, jak i jej pracownica były agentkami Pięści Boga.

– To śmieszne! – warknął Maigwair, aczkolwiek minę zrobił zmieszana.

Duchairn, widząc to, wzruszył ramionami.

– Nie twierdzę, że to słuszny zarzut, mówię tylko, za co obie kobiety zostały aresztowane. Oczywiście obydwaj wiemy, że Zhaspahr i Rayno ostatnimi czasy nie dbają o takie drobiazgi jak wina czy brak wina. Dlatego jestem całkowicie pewien, że to właśnie miał na myśli Zhaspahr, zlecając ich aresztowanie. Nie potrzebuję do tego pisemnej wiadomości od wielkiego inkwizytora. Bo jak się zdaje, tym razem istnieją jakieś obciążające dowody. Ponoć jedna z tych kobiet chciała popełnić samobójstwo za pomocą przemyślanej trucizny, ledwie nasi agenci stanęli w progu sklepu.

– Na Langhorne’a... – mruknął Maigwair, zmieszany jeszcze bardziej.

Duchairn dla odmiany pokiwał głową.

Właśnie tak to wygląda, Allaynie, pomyślał. Zastanów się nad tym wszystkim. Ja nigdy nie miałem okazji poznać tej całej Marzho, ale z tego, co widzę, ty uważałeś ją za porządną, bogobojną kobietę. Jeśli zatem faktycznie należała ona do kręgu osób, które mordują wikariuszy, co to mówi nam o poziomie naszego bezpieczeństwa? Wśród kogo jeszcze możemy się spodziewać terrorystów?

– W każdym razie Zhaspahr wysłał je obie do więzienia Świętego Thyrmyna, gdzie byłyby odcięte od świata. Zapewne chciał ten fakt

zataić przed nami i wyskoczyć z nim w miejscu i czasie przez siebie wybranym.

– To do niego podobne, prawda? – potwierdził z kwaśną miną Maigwair.

– A jakże. Właśnie dlatego podejrzewam, że w więzieniu zaszło coś niedobrego. Trzyma je pod kluczem od prawie czterech pięciodni i jeszcze się tym przed nami nie pochwalił.

– Może na razie nie ma się czym chwalić – zauważył przytomnie Maigwair.

– Allaynie, gdyby istniał jakikolwiek związek między tymi kobietami a kimkolwiek, kto znajduje się na czarnej liście Zhaspahra, już dawno byśmy o tym usłyszeli. Chyba nie sądzisz, że ktokolwiek jest zdolny wytrzymać tortury tak długo i nie pisnąć ani słowa?

– Nie. – Maigwair potrząsnął głową. – Nie, oczywiście, że nie.

– No więc, dla podsumowania... Te kobiety nie zostały zwolnione, Inkwizycja nie potwierdziła oficjalnie powodu ich aresztowania, a zdaniem paru moich podwładnych, którzy zajmują się finansami więzienia Świętego Thyrmyna w ramach swoich obowiązków, od co najmniej pięciodnia nikt nie widział Bahltahzyra Vekka ani tego drania Hahpyra. Gdy mi to uświadomili, popytałem tu i ówdzie. Na przykład przedwczoraj „niechcący” wpadłem na Rayna i w trakcie rozmowy napomknąłem, że potrzebne mi rachunki za luty i marzec. Bynajmniej nie był to pierwszy raz, kiedy musiałem go popędzać, bo rzadko kiedy dostarczają mi dokumenty na czas, a więzienie Świętego Thyrmyna to znacząca pozycja w budżecie Inkwizycji. Rayno zazwyczaj przewraca oczami i obiecuje, że ponagli kogo trzeba, po czym zazwyczaj czekam jeszcze pięciodzień albo nawet dwa. Tym razem zbył mnie burkliwie, zaproponowałem więc, że sam się skontaktuję z Vekkiem. To mu się bardzo nie spodobało. Nie wyraził swego niezadowolenia wprost, lecz nie jest tak dobrym aktorem, za jakiego się uważa. W końcu zaczął mnie solennie zapewniać, że osobiście zajmie się tą sprawą i postara się, aby papierki trafiły w moje ręce jak najszybciej. – Wzruszył ramionami. –

Biorąc pod uwagę tę reakcję, przedłużające się milczenie Zhaspahra na temat jednego z jego największych tryumfów, jak również nieobecność Vekka i Hahpyra, jestem więcej niż przekonany, że w więzieniu wydarzyło się coś złego. Złego na tyle, że Zhaspahr postanowił zachować

tę informację dla siebie. A, i byłbym zapomniał... Dokumenty, o których mówiłem ci przed chwilą, pojawiły się na moim biurku tego samego popołudnia, opatrzone podpisem Vekka. Tylko że wiesz, my w skarbcu mamy wyczulone oko na fałszerstwa...

– Chcesz powiedzieć, że to nie był jego oryginalny podpis?

– Nooo, tylko pod warunkiem że nabrał zwyczaju pisania obu liter „k” tej samej wysokości. Jako że nie uczynił tego ani razu na przestrzeni minionych siedemdziesięciu lat mniej więcej... a sprawdziłem to zarówno w archiwum, które sięga roku osiemset pięćdziesiątego szóstego, jak i w papierach świeższej daty... wydaje się raczej mało prawdopodobne, aby nagle zaczął się inaczej podpisywać. Jako duchowny młodszy rangą spędziłem pięć lat w sekcji fałszerstw, jak wiesz. Chociaż może nie, nic o tym nie słyszałeś – dodał zaraz, dostrzegając zdumienie na twarzy rozmówcy. – Minęło trochę czasu i na pewno wyszedłem z wprawy, ale wciąż potrafię rozpoznać fałszywkę, gdy mi się trafi. To jeszcze nic nie znaczy, ale faktem jest, że ktoś podpisał się za Vekka. A to w połączeniu z faktem, że dokumenty zmateriałizowały się jak na zawołanie... – Popatrzył na Maigwaira twardo.

– Na Langhorne’a – powtórzył drugi mężczyzna. Skrzyżował ramiona na piersi i wyjrzał za pokryte szronem okno. – No dobrze... Co tam się jednak stało? – mruknął pod nosem. – Hahpyra nigdy nie poznałem, i bardzo dobrze. Oczywiście nasłuchiwałem się o nim, i to niemało. Vekko to co innego. W jego obecności zawsze mam wrażenie, że psie gównem przyczepiło mi się do podeszwy buta. Nie da się ukryć, że to okrutny skurwysyn, do tego bardziej niż inni inkwizytorzy, których obaj znamy, zainteresowany misją Inkwizycji. Bóg Jedynek świadkiem, że nie będę tęsknił za żadnym z nich. Niemniej jestem ciekaw, co się z nimi stało.

– To faktycznie dobre pytanie. Szukając na nie odpowiedzi, być może zechcesz wziąć pod rozwagę jeszcze jedno...

– Mianowicie? – wpadł mu w słowo Maigwair, zezując ostrożnie.

– Krematorium położone na terenie więzienia Świętego Thyrmyna od kilku dni pracuje pełną parą – powiedział niezwykle cichym głosem Duchairn. Maigwair nadał nozdrza, co z kolei zmusiło Duchairna do tego, by wyjrzeć przez okno. – Obaj wiemy, że Inkwizycja używa go od lat, aby pozbywać się dowodów swoich... pomyłek. Popiół to popiół, nie

sposób nic z niego wydedukować. Tymczasem od prawie pięciu dni krematorium dymi praktycznie bez przerwy, a do skarbcza spłynął rachunek na nieprzebraną ilość paliwa. Znacznie większą, niżby była potrzebna, aby się pozbyć dwu czy trzech niesłusznie aresztowanych kobiet.

– Sugerujesz, że zginął cały personel więzienia?

Duchairn domyślał się, że Maigwair pożałował, iż nie użył bardziej zdumionego tonu głosu.

– Wiem tyle samo co ty, Allaynie – odparł Rhobair. – Pewne jest, że coś się tam wydarzyło. Jak również to, że Zhaspahr nie toczy piany i nie domaga się, aby coś z tym zrobić. Przeciwnie, sam pospołu ze swym przydupasem stara się wszystko zamieść pod dywan. Bez wątpienia jednak cokolwiek się wydarzyło w tym więzieniu, natchnęło naszego przyjaciela wielkiego inkwizytora ogromnym strachem. Nie wierzę, aby pozostał wybity z rytmu na dłużej... obaj wiemy, że to wytrwały, arogancki skurczybyk, który ma pewność, że wszystko potoczy się po jego myśli... nawiasem mówiąc, stanowiłby idealny obiekt badań każdego uzdrowiciela... – Duchairn parsknął śmiechem. – W każdym razie obecnie sra ze strachu pod siebie. Pozostaje pytanie – dodał Rhobair z przelotnym uśmieszkiem – czy i my powinniśmy to robić.

.II.
Bateria Świętego Thermyna
Wyspa Basset
HMS *Eraystor*, 22
HMS *Przeznaczenie*, 54
oraz
HMS *Huragan*, 60
Zatoka Saram
Prowincja Stene
Harchong

Co to jest?

Usłyszawszy pytanie, pan włóczy Thaidin Chinzhou podniósł wzrok znad filiżanki z herbatą, którą trzymał w obleczonej w rękawiczki dłoniach. Sierżant Yinkow Gaihin stał na wałach, pokazując ręką kanał Basset. Wczesnoporanne słońce opromieniało baterię Świętego Thermyna chłodnym złocistym światłem, które lało się z nieba. Firmament był krystalicznie czysty na południu, lecz z północnego zachodu już nadciągały ciemne chmury. Chinzhou pochodził z prowincji Stene i potrafił wyczuć w powietrzu późne opady śniegu. Wkrótce, za zaledwie kilka pięciodni, nadejdzie wiosna, ale na razie zima nie chciała dać za wygraną.

Odegnął od siebie tę myśl, niechętnie wręczył filiżankę szeregowcowi, który trzymał spowity w słomę czajniczek z herbatą, i wspiął się po stopniach, aby stanąć u boku Gaihina.

– O co konkretnie pytacie, sierżancie? – Postarał się nadać swemu głosowi wyrozumiały ton.

Gaihin służył pod nim już niemal rok, a do tego był o dobre dziesięć lat starszy od przełożonego.

Podoficer zrobił skruszoną minę i ponownie wskazał ręką przed

siebie.

– O to – wyjaśnił.

W tym momencie do kapitana dotarło zaniepokojenie w głosie podwładnego. Chinzhou przez moment niewiele widział z powodu oślepiającego blasku. Ustawił się za plecami sierżanta i powiódł spojrzeniem wzdłuż jego wyciągniętego ramienia, równocześnie ocieniając dłonią oczy. Nie od razu cokolwiek zobaczył, ale gdy to się w końcu stało, cały zeszywniał.

– Dym – powiedział bardzo cicho. – Sunie w naszą stronę.

Czyjaś ręka uderzyła mocno w drzwi kajuty. Admirał Caitahno Raisahndo uniósł głowę znad talerza. Na twarzy miał nieprzenikniony wyraz. Nie cierpiał, gdy mu przeszkadzano w trakcie śniadania, a już zwłaszcza w trakcie roboczego śniadania, jakie właśnie spożywał. Plotki o ruchach okrętów heretyków mogły wywołać zdenerwowanie w każdym, a szczególnie w człowieku, który otrzymał dowództwo Eskadry Zachodniej, czyli jedynej wysuniętej jednostki morskiej Dohlaru w Zatoce Dohlariańskiej. Od bitwy w cieśninie Kaudzhu eskadra ta otrzymała solidne wsparcie – i bardzo dobrze. Niemniej plotki sugerowały, że heretycy wzmocnili swoje siły jeszcze bardziej, a to nie wróżyło najlepiej obrońcom Kościoła Matki.

Niestety – o ile wywiad heretyków był niezwykle, by nie rzec demonicznie, sprawny – o tyle harchońscy szpiedzy pozostawiali wiele do życzenia. Admirał dysponował praktycznie tylko plotkami.

Przynajmniej na razie.

– Słucham! – zawołał w stronę drzwi.

– Oficer flagowy do pana, sir! – oznajmił wartownik.

Caitahno zerknął na komandora Gahrytha Kahmelkę. Ów był jego szefem sztabu – Caitahno ani trochę nie przejmował się tym, że zaadaptował na swoje potrzeby to heretyckie wyrażenie; wystarczyło mu w zupełności, że określenie jest adekwatne i przydatne, podobnie jak samo stanowisko. Kahmelka na ogół trzymał rękę na pulsie, jeśli chodzi o sprawy eskadry. Tym razem jednak wzruszeniem ramion okazał swoją niewiedzę.

Też mi pomoc, prychnął w myślach Raisahndo, na głos zaś powiedział:

– Niech wejdzie!

W kajucie pojawił się wysoki, szczupły oficer.

– Przynoszę wiadomość od kapitana Kharmahdy’ego, sir. – Porucznik Ahrnahld Mahkmyn wyciągnął rękę z kopertą.

– Pisemną wiadomość?

– Tak jest, sir. Właśnie dotarła z portu na łodzi.

– Rozumiem. – Raisahndo przyjął kopertę i ponownie zerknął na Kahmelkę, tym razem unosząc jedną brew.

– Nie mam pojęcia, czego może dotyczyć – odparł Kahmelka na niezadane pytanie. – Musiał mieć jakiś powód, że nie użył sygnalizacji, ale żaden nie przychodzi mi do głowy.

– Chciałeś powiedzieć: żaden, który by się nam spodobał – rzucił kwaśno Raisahndo.

Kahmelka w odpowiedzi prychnął głośno. Ostatnimi czasy mało która wiadomość przypadała im do gustu. A odkąd sir Dahrand Rohsail musiał wrócić do domu, pozbawiony ręki i nogi, cała odpowiedzialność spadła na nowego admirała.

Caitahno Raisahndo spojrział na kopertę zaadresowaną ręką kapitana Styvyna Kharmahdy’ego, a także szczelnie zamkniętą i opatrzoną woskową pieczęcią.

Kharmahdy miał pod swoją pieczęcią nabrzeżne siły Dohlaru; nie tylko artylerię, która chroniła bazę, ale też sam port, stojące w nim magazyny oraz warsztaty rzemieślnicze świadczące usługi dla marynarki wojennej w ogólności, a dla eskadry w szczególności. W innych okolicznościach otrzymałby tytuł admirała i odpowiednią rangę, jednakże książę Fernu w tym wypadku zarządził co innego. Uznał bowiem jako główny doradca, że coś takiego mogłoby urazić Harchończyków w Rhaigairze. Jednakże nawet jako kapitan Kharmahdy był niezwykle sprawnym i opanowanym człowiekiem. Nie wpadał w panikę, nie szalał z niepokoju, lecz i tak z jakiegoś powodu przysłał wiadomość na piśmie. Sądząc z ciężaru koperty, klerk komodora upchał w środku kilka kul muszkietowych. W razie gdyby koperta miała wpaść w niepowołane ręce, posłaniec wyrzuciłby ją za burtę, a ona poszłaby prosto na dno. Raisahndo poczuł, jak włoski jeźą mu się na karku na myśl, jaka była przyczyna takich

środków ostrożności.

Najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie było następujące: wiadomość pochodziła z Dohlaru, skąd została wysłana za pomocą semafora lub wyverny, i musiała być niezwykle ważna, skoro Kharmahdy nie czekał, aby przesłać ją razem z następną porcją informacji. To wszystko sprawiło, że admirał – który wciąż pamiętał, co spotkało członków rodziny hrabiego Thirsku – poczuł, jak serce osiada mu gdzieś na wysokości kostek u nóg.

No, dość się ociągałeś, powiedział sobie. Prędzej czy później, ale będziesz musiał otworzyć tę przekłętą kopertę!

Wypuścił powietrze z płuc, sięgnął po nóż do sera i rozciął papier. Następnie odłożył nóż, wyciągnął pojedynczą kartkę i rozłożył ją.

Twarz mu stężała. Zmusił się, aby przeczytać wiadomość po raz drugi. Składała się ona tylko z kilku zdań.

Tyle dobrego, że to nie informacja o aresztowaniu hrabiego Thirsku, pomyślał Caitahno. Dziękujemy za dobre łaski... To jednak bynajmniej nie czyniło jego sytuacji lepszą.

– Chyba już rozumiem, czemu Kharmahdy nie użył sygnalizacji. –

Ton głosu miał suchy, a brązowe oczy ciemne, gdy spoglądał na Kahmelkę, podając mu list. – Po co szerzyć panikę przedwcześnie. W każdym razie wygląda na to, że wyjaśniła się kwestia intencji heretyków.

– Przyładek Palec na sterburcie, sir! – zawołał obserwator, po czym pochylił się nad pelorusem zamontowanym na mostku HMS *Eraystor*, by zerknąć przez peryskop. Był to jeszcze jeden instrument stworzony przez Charisjan, dzięki któremu obserwator mógł zmierzyć dokładnie kąt nachylenia. Dokonawszy pomiarów, obejrzał się przez ramię. – Siedemnaście stopni, sir.

– Doskonale – odparł Zhaikyb Gregori i odwrócił się do posłańca, który stał obok niego. – Przekaż moje uszanowanie kapitanowi i admirałowi. Powiadom ich, że przyładek Palec jest już widoczny z mostka, półtora rumba w prawo. Przypuszczam, że za jakieś czterdzieści minut znajdziemy się naprzeciwko baterii.

Pan mieczy Raikow Kaidahn stał na wieży obserwacyjnej na szczycie baterii Świętego Thermyna i przyglądał się przez zamontowaną na trójnogu lunetę dziwnym okrętom, które posuwały się naprzód z uporem, za nic mając wiatr i prąd morski, przez Kanał Południowy w kierunku rozległych wód zatoki Saram. Od pół godziny tylko czekał, aż zbierze więcej informacji niż tylko widoczny dym, aby przekazać je Rhagairowi. Teraz, gdy w końcu wszedł w ich posiadanie, srodze tego pożałował. A przynajmniej zrobiło mu się przykro, że może co najwyżej przesłać wiadomość.

Wspomniane okręty znajdowały się co najmniej siedem mil od artylerii, która mieściła się na samym krańcu długiego i cienkiego przylądka Palec. Nazywany przez swych obecnych mieszkańców, którym nie uśmiechało się wyznaczone im zadanie, „członkiem” (w staroziemskim znaczeniu tego słowa), pas ziemi wybiegający w kanał z wyspy Basset mierzył ponad dziesięć mil długości, za to był szeroki najwyżej na półtorej mili, najwyższe wzniesienie zaś znajdowało się nieco tylko ponad czterdzieści stóp nad poziomem morza. To czyniło sprawy... powiedzmy, że interesującymi... gdy znad kanału nadciągały deszcze i chmury, a wiatry popychały fale w stronę brzegu. Zdaniem Raikowa Kaidahna przylądek był beznadziejnym podtopionym kawałkiem piasku, i to w najlepszych okolicznościach, za jakie nie można było uznać zimy w prowincji Stene. Samo stworzenie baterii w tym miejscu wymagało niemałej zmyślności od inżynierów Cesarskiej Armii Harchongu.

A utrzymanie jej to zupełnie inna para kaloszy, pomyślał chmurnie Kaidahn.

Zimowe sztormy potraktowały ostro zarówno jego, jak i jego artylerzystów – trzeba było przenosić działa dwukrotnie, przy czym za każdym razem szkody wymagały napraw, które równały się praktycznemu przebrojeniu baterii. W dodatku Raikow nie pojmował. Dlaczego baron Żłocistej Trawy w ogóle ich tu przysłał. Nie dostali w ramach wyposażenia karabinów nowej generacji, ponieważ kanał pomiędzy przylądkiem Palec i przylądkiem Saram mierzył niemal czternaście mil w poprzek. A nikt przy zdrowych zmysłach nie zbliżał się

do baterii Świętego Thermyna, jeśli nie musiał, nie był kiepskim nawigatorem ani nie miał w wietrze swego wroga. W gruncie rzeczy kanału nie dało się bronić – brakowało miejsca na działa, które mogłyby związać intruza walką.

Z drugiej strony, pomyślał, masz szansę ostrzec Rhaigaira o pojawieniu się tych okrętów. Aczkolwiek – trzeba przyznać – nie zachowują się one specjalnie skrycie. Skoro już o tym mowa, nie sposób sobie wyobrazić, jak te dymiące cholerstwa mogłyby się podkraść do Rhaigaira, gdziekolwiek ów by się znajdował...

Westchnął, wyprostował plecy i zwrócił się do zafrasowanego młodego pana włóczni stojącego u jego boku.

– Zdaje się, że będzie ich piątka, Thaidinie. Na razie nie dostrzegam żadnych żagli, ale jestem pewien, że gdzieś tam są. Podejrzewam, że galeony będą trzymać się na dystans, dopóki nie zawieje przychylny im wiatr. – Jego wargi drgnęły pod cieniutkim wąsem. – Co jednak nie znaczy, że ci, którzy płyną przodem, będą ich potrzebować w najbliższym czasie.

Chin Zhou skrzywił się. Przez moment Kaidahn się obawiał, że młodszy mężczyzna oskarży go o defetyzm, był bowiem znany z wielkiej pobożności; mnóstwo czasu spędzał z inkwizytorami, zdecydowanie za dużo zdaniem Kaidahna. Tak się jednak złożyło, że teraz młodzik w końcu skinął głową z nieszczęśliwą miną.

– Racja – potaknął. – Czy mogę?

Ruchem brody wskazał lunetę. Kaidahn skinął przyzwalająco i odstąpił o krok, aby ułatwić mu dostęp do niej. Chin Zhou zgarbił bardziej ramiona, kiedy heretyckie jednostki plujące dymem nabrały ostrości. Kaidahn nie mógł go za to winić. Okręty były ogromne, lekko licząc, miały dwieście, a nawet trzysta stóp długości, a z ich płaskich opancerzonych kadłubów wystawały niemożliwie długie lufy armat. Taki widok mógł zmrozić najdzielniejsze serce.

Szczególnie wtedy, gdy ktoś czytał raporty donoszące o tym, co się stało z desnairskimi fortyfikacjami w zatoce Geyra.

Chin Zhou gapił się przez lunetę dobre dwie minuty, po czym w końcu cofnął się, kręcąc głową.

– Co pańskim zdaniem, sir, uczyni admirał?

– Co tylko w jego mocy – odparł Kaidahn. – Nie miałem przyjemności

poznać go osobiście, ale słyszałem, że to odważny, pełen determinacji człowiek. Na pewno da z siebie wszystko. Pytanie jednak, czy będzie to wystarczające w obliczu czegoś takiego... – Gestem wskazał kolumny dymu bijące w niebo na wysokości ich pozycji.

Chin Zhou potaknął skwaszony.

Już ja dobrze wiem, co powinien zrobić admirał, pomyślał Kaidahn. Wiatr nam sprzyja na wszystkich trzech kanałach, tak więc jeśli tylko ci przekłeci heretycy nie mają wystarczająco dużo takich jednostek, aby obstawić nimi wszystkie trzy kanały, na miejscu admirała zabrałbym swoje okręty tak prędko jak się da. Można się wprawdzie spodziewać, że heretycy zostawili część swych galeonów w pełnym morzu, ja jednak wolałbym się z nimi zmierzyć tam niż z tym cholerstwem tutaj, w zatoce.

Gdy sobie uzmysłowił, co właśnie pomyślał, uśmiechnął się ponuro.

Młody Thaidin chyba się nie myli co do mego defetyzmu. No ale gdybym był w skórze Raisahnda, przede wszystkim chciałbym ocalić choć garść swoich ludzi.

W okamgnieniu przestało mu być do śmiechu.

– Cóż, jedyne, co my możemy zrobić, to dopilnować, aby dostał wszystkie informacje na czas – powiedział na głos i przeniósł spojrzenie na sygnalistę, który w pełnej szacunku pozie stał obok. – Odbiorcami wiadomości będą... – Zawiesił głos, by po chwili zacząć wymieniać: – Admirał Raisahndo, generał Cahstnyr, kapitan Kharmahdy i baron Żłocistej Trawy.

– Tak jest – odpowiedział sygnalista. Moment później zamarł z ołówkiem nad notesem.

– Potwierdzam pojawienie się w zatoce Saram pięciu, powtarzam pięciu, heretyckich parowych kanonierek. Ich obecna pozycja... nie zapomnij tego podkreślić, Chyngdow – rzucił do sygnalisty – ich obecna pozycja to siedem mil na południe od baterii Świętego Thermyna. Przepuszczalna prędkość dziesięć, powtarzam dziesięć, węzłów. – Urwał na moment, zastanawiając się, czy dodać coś jeszcze, po czym wzruszył ramionami. – Przeczytaj – rzekł.

– Tak jest – zareagował sygnalista, a następnie odczytał treść wiadomości.

– Doskonale. A teraz to nadaj.

– Tak jest!

Sygnalista skłonił się i skierował w stronę wieży obserwacyjnej oraz masztu znajdującego się na końcu długiej i wąskiej baterii artyleryjskiej. Kaidahn odprowadzał go wzrokiem, a gdy stracił sygnalistę z oczu, zaczerpnął głęboko tchu i znów pochylił się do okularu lunety.

– Domyślam się, że w ostatnich kilku godzinach nikt nie wpadł na żaden genialny pomysł? – zapytał Caitahno Raisahndo z uśmiechem pozbawionym krztyny humoru. Przed sobą miał wiadomość od Kaidahna, przekazaną mu przez semafony z wysp Basset i Shipworm i przypiętą do tablicy kodów na pokładzie HMS *Huragan*.

Ten sześćdziesięciodziałowy flagowiec płynął na czele najlepiej wyposażonych galeonów, jakie Królewska Flota Dohlaru kiedykolwiek miała na stanie. Były one zaopatrzone w nowe sześciocalowe działa gładkolufowe. To czyniło z tej jednostki jeden z najpotężniejszych okrętów wojennych na Schronieniu... zarazem zaś nie znaczyło kompletnie nic w obliczu nadciągających parowców.

– Obawiam się, że nie – odparł admirał Pawal Hahlynd.

Jego pancerne galery śrubowe sprawiły się w cieśninie Kaudzhu, lecz podobnie jak HMS *Huragan* nie dorastały do pięć charisjańskim statkom, które zniszczyły fortyfikacje w zatoce Geyra. A nie było wątpliwości, że to te same kanonierki.

No chyba że ci dranie zdołali zbudować ich więcej, pomyślał ze złością Raisahndo. Nie wolno zapominać o tej przemijającej możliwości.

– Panie – odezwał się ostrożnie komandor Kahmelka – eskadra sobie z nimi nie poradzi. Co to, to nie. – Przyjrzał się twarzom wyższych stopniem oficerów, którzy starannie ukrywali swoje myśli za kamienną maską. – Jeśli Harchończycy nie mylą się w kwestii prędkości, nawet galery śrubowe admirała Hahlynda ich nie wymanewrują. A gdyby chcieć wierzyć raportom z zatoki Geyra, te ich działa mają zasięg co najmniej dziesięciu tysięcy jardów. Przy całej odwadze naszych ludzi nasze okręty nie zdążą nawet się dostać na odpowiednią odległość, aby oddać strzał.

– Komandorze, nie możemy ot tak zwyczajnie uciec! – wybuchnął

kapitan Bryntyn Mykylhny. – Poza tym heretycy muszą najpierw wpłynąć do zatoki, abyśmy mieli w ogóle czym się przejmować!

Mykylhny dowodził HMS *Cyklon*, siostrzanym okrętem *Huragana*, przejąwszy dowództwo w trakcie bitwy w cieśninie Kaudzhu po poległym kapitanie i obejmując dowodzenie nad jednym z dywizjonów Dahranda Rohsaila. Rohsail, zanim udał się do szpitala w Rhaigairze, awansował go na komodora, gdyż już od dawna go faworyzował. Raisahndo starał się nie czynić mu z tego powodu zarzutów, przypominając sobie – nie po raz pierwszy zresztą – że jakkolwiek upierdliwy był Rohsail, nie można mu było odmówić waleczności, która szła w parze z zarozumiałstwem, arogancją i wyniosłością urodzonego arystokraty, o skurwysyństwie nie wspominając. To samo dało się powiedzieć o Mykylhnym.

– Bynajmniej nie doradzam ucieczki, sir – rzekł Kahmelka. – Staram się tylko zwrócić uwagę na fakt, że jeśli zechcemy nawiązać z nimi walkę, nie będziemy w stanie tego zrobić. Fizycznie nie będziemy w stanie. W dodatku nie wydaje mi się, aby nasza artyleria zdołała nie dopuścić ich do wnętrza zatoki. – Potrzęsnał głową z ponurą miną. –

Jestem pewien, że nasi marynarze dadzą z siebie wszystko, po tym jednak, co stało się w zatoce Geyra... a także na podstawie naszych analiz losu *Dreadnoughta*... śmiem twierdzić, że kanonierki heretyków przemkną tuż przed lufami naszych armat. Gdyby nasi artylerzyści zajmowali wyższe pozycje, gdyby mogli strzelać z góry prosto na ich pokład, gdyby opancerzenie było cieńsze, udałoby się może wyrządzić poważniejsze szkody. Ale co da strzelanie do takiej grubej stali? –

Ponownie potrząsnął głową. – Tak czy owak zatem wróg się przedrze przez linię obrony, w ten czy inny sposób. No chyba że mu zabraknie odwagi. W przeciwnym razie o tej porze nazajutrz znajdzie się niedaleko Zatoki Rhaigaira.

Urwał i rozejrzał się po kajucie, ale najwyraźniej nikt z obecnych nie miał ochoty podjąć tego tematu. Kahmelka wzruszył więc ramionami i po chwili kontynuował:

– W innych okolicznościach moglibyśmy sobie pomóc przez kotwiczenie celem zabezpieczenia wyjść kanałów. – Była to w istocie taktyka, jaką eskadra zamierzała zastosować w razie konwencjonalnego ataku. – W tym jednak wypadku coś takiego tylko by ułatwiło sprawę przeciwnikowi, który nagle by się znalazł jeszcze bliżej naszych pozycji. A przykra prawda jest taka, że jeden okręt heretyków jest w stanie

unicestwić całą eskadrę... przy czym heretycy mają okrętów aż pięć! – Potrząsnął głową po raz trzeci. – Kapitanie, nikt bardziej niż ja nie szanuje naszych oficerów, ich odwagi i determinacji. Tu jednak nie chodzi o odwagę ani determinację, ani nawet o oddanie Bogu Jedynemu. Chodzi o to, że ta eskadra to niemal sześćdziesiąt procent sił całej naszej floty i że jeśli mimo wszystko staniemy do walki z kanonierkami, utracimy ją na darmo.

Mykylhny zmierzył Kahmelkę chmurnym spojrzeniem, a Raisahndo zmarszczył czoło. Kahmelka był jednym z bliskich przyjaciół Ahlvyna Khapahra, o czym Mykylhny niestety wiedział. Na razie nie miał zamiaru oskarżać Kahmelki o współudział – w końcu Khapahr miał wielu przyjaciół we flocie i nie wszyscy zaraz musieli być zdrajcami – lecz powątpiewał w ducha bojowego Kahmelki bardziej, niżby to miało miejsce przed tym, zanim Khapahr okazał się charisjańskim szpiegiem.

Z kolei Raisahndo zastanawiał się, czy kapitan podejrzewa, że szef sztabu – a także admirał – jest przekonany o niewinności Ahlvyna Khapahra, który przecież miał za sobą długą i wierną służbę. Choć nigdy nie mieli okazji o tym porozmawiać, Raisahndo uważał, że Kahmelka żywił własne przekonania na temat działań Khapahra oraz na temat powodu, dla którego ktoś, kto miał być płatnym zabójcą, trafił hrabiego Thirsku w ramię zamiast w serce.

Co i tak nie na wiele się zdało, pomyślał z przekąsem. Ten drań Clyntahn tak czy owak kazał zaciągnąć córki hrabiego Thirsku do Syjonu. A w trakcie rejsu cholerny statek wyleciał w powietrze! Pokręcił w duchu głową. Bóg Jedyny świadkiem, że te kobiety i sam hrabia zasługiwali na lepszy los. W gruncie rzeczy jestem pewien, że Bóg Jedyny się ze mną zgadza w tym względzie, wbrew temu, co mówi ta tłusta cudzołożna świnka Clyntahn. A co najlepsze, myślących tak jak ja wśród kadry oficerskiej Dohlaru jest jeszcze więcej.

Otrząsnął się z rozważań i na powrót skupił wzrok na Mykylhnym.

– Mnie także się to nie podoba, kapitanie – powiedział cicho – ale komandor Kahmelka ma rację.

Jego słowom towarzyszyło chóralne westchnienie. Mykylhny dalej patrzył chmurnie, lecz jakby nieco mniej; miał spojrzenie człowieka, który właśnie zdał sobie sprawę, że fakty nie ulegną zmianie dla jego widzimisię.

– Co zatem pan proponuje... sir? – zapytał po chwili milczenia.

Raisahndo poczuł ukłucie gniewu, ale je stłumił. Pauza, którą uczynił Mykylhny przed ostatnim słowem, nie była przejawem braku szacunku. Raczej goryczy i rozczarowania... w głównej mierze.

– Z tego, co usłyszałem... i z czym nie mogę polemizować, chociaż bardzo bym chciał... – kontynuował kapitan – nie damy rady stawić czoła tym przebrzydłym skurwielom. W takim razie po co dbać o dobrostan okrętów?

– Cóż... – Raisahndo sam się zdziwił tonem, jaki przybrał jego głos. – Jestem gotów twierdzić, że dbanie o dobrostan załóg tych okrętów jednak ma sens. – Oblicze kapitana pociemniało, co widząc, admirał uniósł dłoń w uspokajającym geście. – Wiem, co miał pan na myśli, i bynajmniej nie chciałem być uszczypliwy. Prawda jest jednak taka, że nasi ludzie są naszą siłą. Mamy obowiązek zadbać, by mogli dalej służyć Koronie i Kościołowi Matce... czy to na morzu, czy to na lądzie.

Wytrzymał wzrok rozmówcy, który ostatecznie skinął głową. Wydawał się nawet lekko zakłopotany.

– Co jeszcze ważniejsze – mówił dalej Raisahndo – choć nie wiemy, ile dokładnie tych parowych kanonierek mają heretycy, możemy śmiało założyć, że ich liczba nie jest wielka. A przecież pokazaliśmy, że jesteśmy godnym przeciwnikiem dla konwencjonalnych galeonów, a nawet opancerzonych galeonów, takich jak HMS *Dreadnought*. Zatem jeśli tylko nie sprawią sobie dziesiątek kanonierek, nasze okręty mają swoją wartość... choćby tylko jako straszak czy też potencjalna flota, by tak rzec... w charakterze zagrożenia dla zwykłych okrętów wojennych Charisjan. – Skrzywił się nagle. – Nie chciałbym okazać bierności, jaką wykazali się Desnairczycy, zanim Charisjanie rozprawili się z nimi w zatoce Jahras, ale jeśli to właśnie możemy uczynić w imię świętej wojny, niech tak będzie!

Mykylhny czuł się wyraźnie sfrustrowany, podobnie jak większość oficerów przebywających w kajucie. Mimo to wszyscy pokiwali niechętnie głowami na zgodę.

– Co więc zrobimy, sir? – Mykylhny nie dążył już do konfrontacji.

– Zewnętrzne baterie donoszą, że lekkie jednostki heretyków prowadzą rozeznanie w kanałach, oczywiście z bezpiecznej odległości – odparł Raisahndo. – Nie mamy pojęcia, iloma galeonami dysponują

poza horyzontem, ale możemy mieć pewność, że muszą obstawiać oba kanały: Północny i Basset. Przypuszczam, że... – uśmiechnął się lodowato – w swoim mniemaniu obstawili też kanonierkami Kanał Południowy. Tymczasem coś mi mówi, że jeśli zechcemy, w ciągu jednej nocy wystrychniemy ich tam na dudka. Aczkolwiek nie mogę mieć pewności, czy uda nam się ta sztuka bez zwrócenia na siebie uwagi. Moglibyśmy na przykład się rozdzielić i wysłać połowę jednostek do Kanału Północnego, a połowę do kanału Basset, to jednak byłoby proszeniem się o kłopoty. Proponuję więc zrobić wypad, angażując wszystkie jednostki naraz. Dwa galeony i jedna galera znajdują się w dokach, gdzie przechodzą remont, więc nie mamy co na nie liczyć. Dlatego kapitan Kharmahdy zholuje je w głąb zatoki i tam spali, ażeby uniknąć wzięcia w niewolę.

Wyraz twarzy miał zbolały, gdy mówił te słowa, lecz ciągnął niezmordowanie:

– Reszta eskadry powinna być w drodze w ciągu godziny. Na miejscu heretyków spodziewałbym się, że każdy, kto zechce uniknąć moich parowych kanonierek, wybierze Kanał Północny, jako bliższy Zatoce Rhaigaira i dalszy Kanałowi Południowemu. Do tego na wyspie Shyan mieści się ta ich przekłeta artyleria. Nie zdołałaby wprawdzie powstrzymać nas przed przekroczeniem kanału Basset, tak samo jak baterie Świętego Thermyna i Świętego Charlza nie powstrzymają heretyków, ale przynajmniej dałaby do myślenia. Na północnym zachodzie wiatr praktycznie zamarł, co nie faworyzuje żadnego z kanałów, które w dodatku znajdują się w odległości osiemdziesięciu mil od siebie. Heretycy mogliby zlokalizować swoje główne siły nieopodal mielizny Shipworm i wykorzystać lżejsze jednostki u wylotów obu kanałów, aby gwizdem zawiadomić resztę, gdyby coś się z nich wyłoniło. Ja przynajmniej tak bym zrobił na ich miejscu. Raporty wszakże donoszą, że wprowadzili galeony do obu kanałów, aby wspierać zwiadowców. A to oznacza, że obstawa jest w pewnym stopniu osłabiona. Dlatego postawimy na kanał Basset, mając nadzieję, że heretycy kierowali się logiką i umocnili prawą flankę kosztem lewej. To prawda, że nie wiemy, co napotkamy, ale nie widzę dla nas innego wyjścia.

Sir Dunkyn Yairley, baron Sarmouth, stał na pomoście rufowym HMS *Przeznaczenie* ubrany w gruby ciepły płaszcz, wtulając brodę w miękki wełniany szalik, podczas gdy opierał się przyobleczonej rękawiczki dłońmi o rzeźbiony reling. Oczyma wodził zaś po zimnych i wietrznych niebieskich wodach Zatoki Dohlariańskiej.

HMS *Przeznaczenie* przebywał trzydzieści mil na północny wschód od Broken Hawser Rock na wschodnim krańcu wyspy Shyan i kołysał się niespokojnie na przybierającym na sile odpływie, aczkolwiek poza zasięgiem wzroku harchońskich obserwatorów. Okrętowi towarzyszyło trzydzieści innych galeonów, natomiast długi łańcuch szkunerów nieustannie przekazywał nań sygnały od mniejszych jednostek, które kręciły się u wylotów obu kanałów: Północnego i Basset. Baron Sarmouth był świadom, że zdaniem niektórych dowódców okrętów wybrał swą pozycję nie najlepiej, choć nikt oczywiście nie powiedział tego głośno. On jednak czuł pewność, że znajduje się w doskonałym miejscu: dostatecznie blisko, aby przechwycić każdego, kto by wypłynął z kanału Basset, a zarazem dostatecznie daleko, aby Dohlarianie wystawili nosy przekonani o własnym bezpieczeństwie i zrozumieli swój błąd za późno, by wrócić w porę do bazy. Nie dało się jednak ukryć, że ponad sto mil dzieliło HMS *Przeznaczenie* od Kanału Północnego, gdzie wysłał zaledwie sześć okrętów, które miały wspierać szkunery rozpoznające tę drogę ucieczki.

Teoretycznie powinien w porę się dowiedzieć, gdyby Dohlarianie jednak zdecydowali się na trasę północną... zakładając oczywiście, że zwiadowcy zdołaliby zachować łączność z resztą eskadry. Niestety teoria miała paskudny zwyczaj mijania się z praktyką. Baron Sarmouth nie winił więc tych kapitanów, którzy uważali, że powinien był zająć pozycję bardziej centralną, zamiast ryzykować, że Dohlarianie mu się wymkną pod osłoną ciemności czy też złej pogody, w razie gdyby jednak źle odczytał ich intencje.

Oczywiście żaden kapitan nie wiedział, że nawet stojąc na pomoście rufowym HMS *Przeznaczenie* i z zamyśleniem przyglądając się wodom zatoki, wysłuchiwał przekazu SAPK-a, który przycupnął na lampie wiszącej nad stołem w kajucie Caitahna Raisahnda – a to za sprawą minisłuchawek w swoich uszach.

Prawdziwym powodem takiego, a nie innego rozmieszczenia jednostek był fakt, że galeony Raisahnda znajdowały się dwakroć dalej od wylotu

Kanału Północnego aniżeli HMS *Przeznaczenie*. Baron Sarmouth od początku podejrzewał, że Raisahndo, który nie był głupi, zdecyduje się na mniej oczywistą trasę przez kanał Basset. Wszakże nawet gdyby się pomylił w tym względzie, SAPK-i przestrzegłyby go w porę, tak że miałyby czas „zmienić zdanie” i przemieścić swe główne siły odpowiednio, zanim Raisahndo ze swoimi galeonami znalazłby się w polu widzenia oczekujących szkunerów.

To nie całkiem fair, pomyślał, gdy Sowa przesyłała bezpośrednio na jego soczewki kontaktowe obrazy z zatoki Saram i Zatoki Rhaigaira wraz z dokładnymi pozycjami każdej dohlariańskiej jednostki. Miał takie wrażenie, jakby spoglądał Bogu Jedynemu przez ramię – i wiedział, że Raisahndo ma takie same szanse na wymknięcie mu się jak na ucieczkę przed archaniołami.

Zakładając, że ci ostatni kiedykolwiek istnieli, dodał w myślach. *Co akurat nie jest prawdą...*

Na nieszczęście dla admirała Raisahnda zarówno Cesarska Flota Charisu, jak i sir Dunkyn Yairley istnieli, i to niezaprzeczalnie.

Cóż, może to nie całkiem fair, powtórzył w myślach, *ale takie wykręty nie przystoją oficerowi flagowemu, który ma za zadanie utrzymać przy życiu swoich marynarzy i posłać w głębinę załogi wroga.*

Gwoli szczerości sir Dunkyn bynajmniej nie marzył o posyłaniu nikogo w głębinę, wątpił jednak, aby Caitahno Raisahndo potulnie spuścił flagę, kiedy natknie się na morzu na okręty Charisjan. A to niestety odbije się bardzo niekorzystnie na Eskadrze Zachodniej, szczególnie dzięki posiłkom, które Tymythy Darys zapewnił wyspie Szpon, i to przed pojawieniem się Zhaztra. W odróżnieniu od sir Dunkyna marynarze HMS *Błyskawica*, *Seamount* i *Powódź* łaknęły skóry Raisahnda. Zwłaszcza zaś zależało im na wszystkich tych okrętach, które w cieśninie Kaudzhu rozprawiły się z *Dreadnoughtem*, aczkolwiek każdy inny też doskonale się nadawał.

Hmm, będą mieli swoją szansę, pomyślał ponuro sir Dunkyn. *A to, że przejrzałem zamiary wroga, nie zaszkodzi ani trochę mojej reputacji. Jakżeby! W końcu domyśliłem się, co Raisahndo planuje, zanim SAPK-i były uprzejme to potwierdzić. Na szczęście nie mam w zwyczaju chełpić się swymi sukcesami i pławić w zachwycie niedowiarków.*

Zaśmiał się cicho i pokręcił głową, a następnie oderwał dłonie od

relingu, wyprostował się i skrzyżował ręce za plecami. Uznał, że w obecnych warunkach Raisahndo rozwinię prędkość co najwyżej siedmiu węzłów – to jest sześć węzłów wedle miary na Starej Ziemi – a to oznaczało, że kanał Basset opuści dopiero po czterdziestu godzinach z hakiem. Wspomniany kanał znajdował się na wprost Rhaigairu, tak więc raczej nieprawdopodobne było, aby Raisahndo zdecydował się na tę trasę, mając świadomość jednostek Zhaztra w zatoce. Sir Dunkyn był pewien, że wróg zatoczy szerokie koło: uda się najpierw na wschód, następnie otrze się o północne brzegi zatoki, aby zniknąć w dali, zanim Zhaztro zbliży się do Zatoki Rhaigaira. Eskadra Zachodnia był znacznie wolniejsza od kanonierek, lecz i tak dym Zhaztra zostanie zauważony przez obserwatorów w bocianim gnieździe galeonu na długo przed tym, zanim ludzie na jego niskich okrętach dostrzegą galeonowe ożaglowanie. Przy odrobinie szczęście Raisahndo będzie mógł się bawić w ciuciubabkę z wrogiem... szczególnie że Zhaztro bynajmniej nie miał zamiaru go ścigać. Przynajmniej nie od razu. Druga eskadra kanonierek zajmie się Eskadrą Zachodnią, jeśli ta nieroztropnie zanadto się zbliży, nie należało jednak przyśpieszać wypadków. Hainz Zhaztro musiał skupić się na Zatoce Rhaigaira. W przeciwieństwie do barona Sarmouth nie słyszał rozmowy w kajucie Raisahnda, nie znał więc planów tego ostatniego. Dlatego ze spokojną głową zostawił sir Dunkynowi pilnowanie sił dohlariańskich skupionych w zatoce, sam zaś zajął się niszczeniem dohlariańskiej bazy i fortyfikacji. Jeżeli Raisahndo na widok barona Sarmouth postanowi zrejterować, kanonierki będą miały mnóstwo czasu na to, aby go dogonić.

Zakładając jednak, że sir Dunkyn Yairley prawidłowo ocenił zamiary Dohlarian, próba ominięcia Zhaztra wydłuży ich trasę o dobre pięćdziesiąt mil. Co oznaczało, że pokaże się na wodach między wyspą Shyan a mielizną Shipworm mniej więcej o tej porze następnego dnia.

Akurat na lunch, pomyślał. To mi pasuje.

Chuchnął w dłonie i zatarł je, po czym uśmiechnął się lodowato, gdy zdał sobie sprawę, że myśl o pomście za to, co wydarzyło się w cieśninie Kaudzhu, wcale nie jest mu taka obojętna. Przeciwnie wręcz...

.III.
HMS *Eraystor*, 22
oraz
Bateria Świętego Charlza
Główny kanał żeglugowy
Zatoka Rhaigaira
Prowincja Stene
Harchong

Drzwi kajuty nawigacyjnej otworzyły się i w progu stanął dość wysoki młody mężczyzna o jasnych włosach i szarych oczach.

– Drugi oficer przesyła wyrazy uszanowania, sir. – Dotknął piersi pięścią w salucie, po czym dodał: – *Trójzqb* właśnie przesłał sygnał. Ani śladu wroga, nie licząc kilku kolumn dymu, który musi się unosić z płonących okrętów.

Admirał Hainz Zhaztro pomyślał, że ostatnie zdanie młodzik wypowiedział z niejakim zadowoleniem. Pomimo koloru włosów i oczu – które odziedziczył po pochodzącej z Republiki Siddarmarku matce – kadet Paitryk Shawnysy był Charisjaninem rodem ze Starego Charisu. Mówił z tellesberskim akcentem, jednakże swój stosunek do Grupy Czworoga i jej działań zawdzięczał temu, co spotkało rodzinę jego matki w trakcie akcji Miecz Schuelera.

– Dziękuję – rzucił Zhaztro. – Pozdrówcie ode mnie porucznika Audhaimyra i każcie mu przekazać na *Trójzqba* słowa „dobra robota”.

– Tak jest, sir! Pozdrowienia dla drugiego oficera i komunikat „dobra robota” dla *Trójzqba* – powtórzył Shawnysy.

Admirał skinął głową na potwierdzenie, a kadet zasalutował i wyszedł.

– A to dopiero rozczarowanie, sir – zauważył kapitan Cahnyrs, kiedy drzwi zamknęły się za młodzikiem. – Liczyłem na więcej akcji. Nie lubię,

gdy zabawa mnie omija.

– Kilka kolumn dymu nie oznacza jeszcze, że Raisahndo spalił całą swoją eskadrę, byle nam się wymknąć. Tak samo jak to, że *Trójzęb* nikogo nie dostrzegł, nie znaczy, że nikogo tam nie ma. Obserwatorzy widzą na co najwyżej dwadzieścia mil, i to gdy pogoda na to pozwala, a sam wiesz, jak kapryśna potrafi być o tej porze roku. Nawet jeśli świeci słońce, a niebo jest niebieskie, w zatoce nie brakuje miejsca, aby się przyczaić.

– No tak – zgodził się Cahnyrs. – Jednakże na miejscu Raisahnda, który spodziewa się w każdej chwili Charisjan, trzymałbym swoje okręty w pobliżu dla obrony fortyfikacji.

– Być może. A być może postanowiłbyś je odesłać jak najdalej, byle znalazły się poza zasięgiem tychże Charisjan.

– Albo utrzymają nas na dystans, albo nie utrzymają – oświadczył Cahnyrs ze wzruszeniem ramion. – Jeśli tego nie zrobią, nie ma znaczenia, gdzie znajdują się ich okręty. Odkryjemy je wcześniej lub później, a kiedy to już się stanie, będzie po nich. Z drugiej strony wiemy, że otrzymali niemałe posiłki w postaci galeonów. Nie da się wykluczyć, że od nich zależy, czy uda nam się przepłynąć pod nosem baterii nabrzeżnych czy też nie. A jeśli nie mylę się co do Raisahnda, doskonale zdaje sobie z tego sprawę. – Oficer flagowy potrząsnął głową. – Zatem, sir... Gdyby Raisahndo nadal przebywał w zatoce, stałby na kotwicy celem chronienia artylerii, względnie czaiłby się w pobliżu kanałów na wszelki wypadek. A wtedy ci z *Trójzęba* zauważyliby przynajmniej jego maszty. Skoro nie mamy na ten temat żadnych informacji, możemy spokojnie przyjąć, że go tam nie ma. Co oznacza, że nam się wymknął.

– Nawet jeśli masz rację, Alyku, wymknął się nam i tylko nam. Baron Sarmouth i jego ludzie będą mieli coś do powiedzenia w sprawie jego planów podróży...

– Pod warunkiem że barona nie zawiodła intuicja.

– To małostkowe i ryzykowne z twojej strony – rzucił Zhaztro.

Cahnyrs wyszczerzył się w uśmiechu. Admirał przyjaźnił się z sir Dunkynem, i to od dawna, ale Cahnyrs był gotów założyć się z nim o pięć marek, że intuicja zawiodła Yairleya.

– Och, jestem pewien, że baron Sarmouth go dopadnie prędzej czy później. Obawiam się jednak, że może to potrwać dłużej, niż myśli.

– Cóż, tymczasem zaprzatają nas nasze własne sprawy – rzekł Zhaztro, przenosząc spojrzenie na dużą mapę leżącą na stole między nimi dwoma.

– Mam tylko nadzieję, że *seijinowie* wiedzą, co mówią, gdy idzie o te ich morskie bomby – odparł Cahnyrs, tracąc nagle humor. – Mnie osobiście nie podoba się sam ich pomysł! Co za zdradziecka broń!

– Za pozwoleniem, sir. – Komandor Lywys Pharsaygyn przechylił lekko głowę. – Ale czy każda broń nie jest zdradziecka, gdy druga strona nią nie dysponuje? A przecież wy, podstępni Charisjanie, wykorzystujecie swoją przewagę od paru dobrych lat!

– Punkt dla pana, komandorze. – Cahnyrs skinął głową. – Najbardziej ze wszystkiego wkurza mnie chyba to, że Chłopcy Świątyni wpadli na jej pomysł pierwsi.

– Zdążyłem zauważyć, że Charisjanie niczym dzieci chcieliby być we wszystkim pierwsi – wtrącił z uśmiechem szef sztabu admirała Zhaztro. – Powiedziałbym nawet, że sprawia im to nielichą przyjemność. Jeśli wolno mi tak to ująć.

– I to jeszcze jaką! – potwierdził Cahnyrs. – Sam lepiej nie ubrałbym tego w słowa.

Hainz Zhaztro zaśmiał się cicho, przysłuchując się tej wymianie zdań.

Podobnie jak on sam, Pharsaygyn był urodzonym Szmaragdzykiem, a służył pod admirałem od sześciu lat – od czasu wypadków w cieśninie Darcos, kiedy to służył na HMS *Arbalest* jako zwykły marynarz. Aczkolwiek tak naprawdę był marynarzem dość niezwykłym, jakkolwiek twierdziły papiery. Przyszedł na świat jako młodszy syn znacznego kupca z Eraystoru, który miał silne powiązania z Kościołem Matką; bardzo wcześnie został przeznaczony Kościołowi jako potencjalny seminarzysta i następnie sługa Inkwizycji. Jeden z jego wujów bowiem był schuelerytą, duchownym wyższej rangi służącym w sercu Syjonu. Pharsaygyn wstąpił do marynarki, szczerze wierząc, że wuj mówi prawdę o Charisie i że to jest powodem, dla którego Kościół Matka popiera wojnę Hektora Daykyna wymierzoną w to wyspiarskie królestwo.

Zhaztro usłyszał o nim od jednego ze swoich kuzynów, pewnego importera rodem z Manchyru, który robił interesy z rodziną Pharsaygyna, by błyskawicznie ściągnąć go do siebie, zanim ktokolwiek

zorientował się, że ów jest do wzięcia. Nigdy nie pożałował swojej decyzji. W trakcie całej tej krótkiej, fatalnej w skutkach wojny służył wiernie i dzielnie admirałowi jako jego sekretarz. A kiedy otworzyły mu się oczy na temat Inkwizycji i rzucanych przez nią kłamliwych oskarżeń, przeżył niemały szok. Zamiast jednak opuścić służbę w marynarce, do czego miał pełne prawo jako ochotnik z niedawnego zaciągu, poprosił admirała, aby pomógł mu awansować, gdy marynarka Szmaragdu została wcielona do Cesarskiej Floty Charisu. Przeszedł niezwykle wymagające egzaminy z niezrównaną łatwością, choć trudno by go było uznać za najlepszego marynarza na świecie. Gwoli szczerości Zhaztro również się za takiego nie uważał, a przecie dowodził eskadrą.

Co istotne, Pharsaygyn nigdy nie miał ambicji, gdy idzie o władzę. Był urodzonym podwładnym i sztabowcem; cieszył się pełnym zaufaniem przełożonego i bardzo szybko został oficerem flagowym. Minionego roku zaś w wyniku zasłużonego awansu otrzymał stanowisko szefa sztabu drugiej eskadry kanonierek. Zhaztro zaproponował, że znajdzie mu okręt do dowodzenia, Pharsaygyn jednak stanowczo podziękował.

– Nie jestem prawdziwym oficerem jak pan – odrzekł z uśmiechem. –

Bóg Jedyny musiałby czuwać nad marynarzami, którzy znaleźliby się na pokładzie dowodzonego przeze mnie galeonu, zwłaszcza gdybyśmy napotkali na swojej drodze sztorm. Spójrzmy prawdzie w oczy, sir: ja sprawdzam się na obecnym stanowisku. A awansu potrzebuje zawodowy oficer.

Twierdząc, że nie jest prawdziwym oficerem, umniejszył swoją wartość i swoje zasługi, mimo to jednak Zhaztro uznał, że Pharsaygyn ma do pewnego stopnia rację. Osobiście był zdania, że jego podwładny winien przyjąć święcenia i zacząć karierę w strukturach Kościoła Matki – aczkolwiek dopiero po tym, jak Grupa Czworoga zostanie pokonana. Do tego czasu wszyscy powinni skoncentrować wysiłki na tym, aby doprowadzić Grupę Czworoga do upadku.

– W rzeczywistości – odezwał się admirał do dowódcy flagowca – bomby morskie to rodzaj broni, po którą sięga słabsza strona. Idealna rzecz, aby rozprawić się ze szwadronem takim jak ten. Myślę, że gdyby wróg nią dysponował, uderzyłby w to miejsce.

Popukał mapę palcem kalekiej dłoni – dwa palce u lewej ręki stracił podczas bitwy w cieśninie Darcos – momentalnie spoważniał na twarzy.

Zaraz jednak wzruszył ramionami i potrząsnął głową z uśmiechem.

– Jeśli poczujesz się od tego lepiej, wyznam, że w moim mniemaniu baron Seamount wpadł na ten pomysł na długo przed tym, zanim zrobili to Chłopcy Świątyni. To do niego podobne, taka gospodarność, gdy chodzi o wykorzystanie swoich sił, i jednocześnie pilnowanie wód przed wrogą flotą. Zarazem obaj admirałowie, baron wyspy Zamek i baron Skalistego Szczytu, kazaliby mu zapomnieć o tym pomysle. – Ponownie potrząsnął głową i uśmiechnął się szeroko. – Ostatnie, czego by chcieli, to żeby coś podobnego podsunąć Dohlarowi, zanim hrabia Thirsku sam na to wpadnie!

– Nie cierpię, gdy kieruje się logiką, sir – mruknął Cahnyrs.

– W gruncie rzeczy to jeden z powodów, dla których trzymam go przy sobie... – Zhaztro powiedział to nieco zamyślonym tonem i zmarszczył czoło, nie odrywając spojrzenia od mapy.

Kanał Południowy leżał dwieście mil za Eraystorem, natomiast ich prawdziwy cel – Zatoka Rhaigaira położona u ujścia rzeki Rhaigair znajdowała się za nim. O ile Zatoka Rhaigaira była mniejsza niż zatoka Saram, to zarazem stanowiła znacznie większe wyzwanie.

Ogółem były cztery przesmyki między wyspami, które broniły dostępu do Zatoki Rhaigaira, tak naprawdę jednak liczyły się tylko dwa z nich.

Kanał Piaskowy, przesmyk znajdujący się najbardziej na zachód – pomiędzy lądem i dwiema bliźniaczymi wyspami przez Harchończyków zwanymi Siostrami – nadawał się wyłącznie dla lekkich jednostek i płaskodennych łodzi rybackich. To całkowicie go dyskwalifikowało dla celów floty.

Szeroki Kanał, przesmyk znajdujący się nieco na wschód – pomiędzy Siostrami i wyspą Sharyn – był, jak wskazywała jego nazwa, najszerszy. Zarazem jednak był płytki, chociaż pomiary wskazywały, że nadaje się dla kanonierek klasy City, pod warunkiem że zachowa się ostrożność i wybierze przypływ. Na nieszczęście Harchończycy spędzili mniej więcej rok po tym, jak Gwylym Manthyr zapuścił się w zatokę Gorath, na rozstawieniu dwóch rzędów pułapek w poprzek szerokiego na osiem mil przesmyku. Wyposażeni w lywysit nurkowie, oddelegowani pod rozkazy hrabiego Sharpfieldu, mogliby usunąć przeszkodę, ale to zabrałoby kilka pięciodni, no i groziło licznymi stratami w ludziach ze względu na niską temperaturę wody o tej porze roku.

Kanał Wschodni, przesmyk zgodnie z mało fantazyjną nazwą leżący najdalej na wschód – pomiędzy Wyspą Wschodnią i przylądkiem Knobby na lądzie – zazwyczaj miał głębokość odpowiednią dla okrętów, lecz bywał też zamulony przez zwały ziemi nanoszone przez rzekę Rhaigair. Najnowsze szacunki głębokości stały pod znakiem zapytania, admirał zaś nie był skłonny użyć HMS *Grom* w podobnej roli jak w zeszłym roku.

W związku z powyższym pozostawał tylko Główny Kanał Żeglugowy – pomiędzy wyspami Sharyn i Wschodnią. Był on najgłębszy ze wszystkich wspomnianych przesmyków, a to dzięki pływom morskim oraz rzecznyemu prądom. W parze z głębokością szła akceptowalna szerokość, bo choć był wąski, to jednak szerszy niż północny kraniec Kanału Wschodniego.

Oczywiście przeciwnicy spodziewali się, że właśnie on zostanie wykorzystany, tak więc obstawili go najszczelniej.

Na przestrzeni ponad dwustu lat wszystkie punkty dostępu do Zatoki Rhaigaira zostały ufortyfikowane, po czym wspólnymi siłami Harchong i Dohlar remontowały, modernizowały i rozbudowywały te umocnienia, gdy już Królewska Flota Dohlaru postanowiła skierować swą flotę do zatoki Saram. Rhaigair, największe miasto leżące nad zatoką, a przy tym jedno z dwóch lub trzech największych ośrodków miejskich w prowincji Stene, wydawał się najlepszym rozwiązaniem, jeśli chodzi o rozmieszczenie tych okrętów. Harchończycy – którzy zdążyli ponieść koszty związane z ulepszeniem linii obrony Rhaigairu – z entuzjazmem powitali pomysł, aby zamienić to miasto w wysuniętą bazę Zachodniej Eskadry. Nie było w tym nic dziwnego, jako że marynarka gwarantowała ukończenie budowy umocnień, czego koszty miałaby pokryć Kościół Matka.

Zważywszy na obecne znaczenie tego miasta zarówno dla Harchongu, jak i dla Dohlaru, baterie Rhaigairu miały pierwszeństwo w dostępie do nowej gwintowanej artylerii. Znaczna część wewnętrznej linii bateria – w tym stanowiąca teraz największe zmartwienie admirała bateria Świętego Charlza, w którą Zhaztro przed chwilą popukał palcem – została wyposażona na nowo.

Mieszcząca się dobre czterdzieści mil od miasta bateria Świętego Charlza tak naprawdę była sztuczną wyspą u ujścia Głównego Kanału Żeglugowego. Cała wyspa – usypana przed stu dziesięciu laty przez

tysiące harchońskich chłopów pańszczyźnianych, którzy zwalili na mieliznę Hastings jeden Bóg wie ile ton granitu – mierzyła nieco ponad półtorej mili długości i mniej niż milę szerokości. Mimo to stanowiła ona jeden wielki fort. Pomijając kamienną keję, całą pokrytą miernikami zasięgu, nie znalazłoby się na niej żadne miejsce, do którego można by przycumować, co wykluczało możliwość zdobycia jej desantem. Niedzisiejsze murowane ściany zostały zastąpione przez nowocześniejsze ziemne ławy, a harchońscy inżynierowie, nauczeni doświadczeniem, zamontowali uzbrojenie w osobnych murowanych bastionach, zakotwiczonych dobrze w tychże ławach. Zapewnili również garnizonowi opatrzone grubym dachem i odporne na ostrzał transzeje, w których można było przetrwać najsilniejszy ostrzał z dział kątowych. Dziesiątki ciężkich gwintowanych dział kątowych ustawiono naprzeciw baterii na wyspach po obu stronach kanału.

Przesmyk leżący na wschód od baterii Świętego Charlza był szerszy niż ten leżący na zachodzie, co wyjaśniało, czemu ci parszywi Dohlarianie zatopili tam stare barki i galeony. Krążyły plotki, że silne prądy przemieściły część tych blokad, jednakże nawet jeśli była to prawda, zawalidrog nie zniknęły w stopniu wystarczającym, aby zrobić przejście jednostce klasy City takiej jak HMS *Eraystor*. Po zachodniej stronie, gdzie droga była wciąż wolna, kanał mierzył niecałe dwie mile szerokości, a od dział baterii Świętego Charlza dzielił go dystans niecałych pięciu mil, co znaczyło, że w takiej samej odległości znajdowały się baterie na Wyspie Wschodniej. Dawało to w sumie osiem i pół tysiąca jardów, a zważywszy na to, że zasięg najnowszych i najcięższych gwintówek Fultyna Świątyni wynosił dziewięć tysięcy jardów, każdy okręt, jaki spróbowałby pokonać ten przesmyk, byłby zmuszony do przebycia ośmiomilowego odcinka pod ciężkim ostrzałem z obu stron.

Cóż, po to właśnie ci to całe grube opancerzenie, pomyślał Hainz. I niech Langhorne sprawi, że seijinowie nie myślą się co do bomb morskich.

– Skłaniam się ku myśli, że najprawdopodobniej masz rację co do tego, co Raisahndo by zrobił, gdyby uznał, że te baterie zdołają nas powstrzymać, Alyku – rzekł na głos. – Oczywiście fakt, że najwyraźniej tak nie uważa, nie oznacza jeszcze, że nie są one w stanie tego zrobić, no ale pocieszające jest to, że przemkniemy obok nich tak szybko, że nie zdążą nam wyrządzić większych szkód. Te gwintówki Fultyna są

znacznie groźniejsze, niż były czterdziestofuntówki Desnairczyków w zatoce Geyra. Na szczęście ostatnie raporty hrabiego Sharpfieldu pokazują, że nie okażą się dostatecznie groźne, aby nas powstrzymać. Jeśli mam być jednak szczery, jest pewna rzecz, która poważnie mnie martwi. Istnieje ryzyko, że *seijinowie* myślą się co do bomb morskich. Lywys przeciwnie, na pewno ma rację. Jeśli wróg jest w posiadaniu takiej broni, bez wątpienia zrobi z niej użytek właśnie w tym miejscu – dodał, ponownie wskazując baterię Świętego Charlza na mapie. – Osobiście nie sądzę, aby nimi dysponowali, no ale... jakkolwiek wyda się to wam obu nieprawdopodobne... parę razy zdarzyło mi się w życiu mylić.

Uśmiechnął się przelotnie, po czym cofnął się od mapy.

– Zatem działamy zgodnie z planem, z jednym małym wyjątkiem. Lywysie – spojrzał na komandora – przygotuj, proszę, wiadomość dla kapitana Gahnzahlyza. Poinformuj go, że HMS *Bayport* jednak nie stanie na czele kolumny.

– Nie? – Pharsaygyn nie wydawał się specjalnie zdziwiony, co nie uszło uwagi Zhaztra. No ale pracowali razem nie od dziś.

– Nie. Na czele popłynie HMS *Cherayth*.

– Rozumiem, sir.

Zhaztro pomyślał, że jego szef sztabu nie zdziwił się ani trochę.

– Kapitanie – zwrócił się do Cahnyrsa – proszę rozpocząć przygotowania do akcji. – Mówił głosem poważniejszym niż normalnie w takich okolicznościach. – Chciałbym zacząć, póki sprzyjają nam pływy.

– Tak jest, sir! – Cahnyrs nie pokazał po sobie w żaden sposób, że powaga przełożonego zrobiła na nim wrażenie. – Za pańskim pozwoleniem zmienię prędkość na sześć węzłów, gdy wejdziemy w zasięg baterii. Wiem, że pierwotnie mieliśmy płynąć z prędkością dziesięciu węzłów i że siedem węzłów oznacza, iż możemy się znaleźć pod ostrzałem o pół godziny dłużej, lecz pragnę zwrócić uwagę, że mniejsza prędkość pozwoli nam na oddawanie celniejszych strzałów. A to wyjdzie nam na dobre. Każde unicestwione działo wroga to większa szansa następnych jednostek eskadry.

Zhaztro zgodził się z nim w myślach, przyznając, że dzięki temu obserwatorzy także będą mieli większe szanse na wypatrzenie boi bomb morskich, które umieścili w wodzie podstępni Dohlarianie. Wprawdzie

nie będzie to wielka pomoc, lecz Alyk należał do ludzi pragnących uczynić wszystko, byle tylko zmniejszyć straty wśród własnych marynarzy.

– Pan tu dowodzi, kapitanie – odparł jakby nigdy nic. – Nie będę się wtrącał.

– Wygląda na to, że heretycy się rozmyślili.

Pan stopy Kwaichee Bauzhyng stał na zewnętrznej platformie, tuż przed workami z piaskiem, które chroniły wieżę obserwacyjną na wschodnim krańcu baterii Świętego Charlza, i wpatrywał się w lunetę skierowaną w głąb tunelu. W tym samym czasie jego ordynans trzymał nad nim rozłożony parasol dla ochrony przed słońcem. Zważywszy na fakt, że temperatura oscylowała w pobliżu zera oraz że wiatr przybrał na sile, naganiając chmury, które gwarantowały skuteczniejszą ochronę przed słońcem, major Ahdem Kylpaitryc uznał, że to nadmiar zbytku ze strony przełożonego.

– Owszem, sir – zgodził się uprzejmie.

Jego własna luneta nie umywała się na oko do lunety Bauzhynga – na pewno brakowało na niej złotych i srebrnych zdobień, które lśniły na instrumencie przełożonego, podwyższając cenę do co najmniej dwustu marek – jednakże major był pewien, że została ona wyposażona w lepsze soczewki. Dohlariańscy rzemieślnicy wytwarzający lunety większą wagę bowiem przywiązywali do ostrości widzenia aniżeli do wyglądu przedmiotu z zewnątrz.

Niestety to, na co w tym akurat momencie patrzył Kylpaitryc, nie było specjalnie ładne. Oto miał przed oczami samotną kanonierkę heretyków, płynącą niepowstrzymanie w kierunku ciężkiej artylerii baterii Świętego Charlza. Słupy dymu bijące za nią wyraźnie zaś pokazywały, gdzie znajdują się jej siostrzane jednostki – te najwyraźniej czekały na rozwój wypadków. Major zastanowił się, czy heretycy mają świadomość istnienia nowego typu bomb morskich i czy właśnie posłali na stracenie jeden ze swoich okrętów, aby zobaczyć, jaki los go spotka. Gęsty czarny dym bił z wąskiego komina płynącej przodem kanonierki, natomiast po obu stronach jej szerokiego dzioba unosiła się kolumna

bieli, z pojedynczego masztu powiewała ogromna bandera bojowa, długie i smukłe lufy dział zaś wystawały z obu burt.

Podsumowując, kanonierka wydawała się oazą spokoju i nic sobie nie robiła z czekającego ją wyzwania. Tak przynajmniej pomyślał major, w milczeniu odliczając sekundy, podczas gdy intruz przemierzał dystans pomiędzy znacznikami, które admirał Raisahndo kazał wzniesć na płyciźnie po obu stronach Głównego Kanału Żeglugowego. Nie nadawały się one do wykonania dokładnych obliczeń – zwłaszcza nie przy tej odległości, niemniej...

– Wychodzi mi sześć albo siedem węzłów, sir – oznajmił w końcu, opuszczając lunetę.

– Mniej więcej tak – zgodził się z nim spokojnie Bauzhyng.

Wielka szkoda, że baron Złocistej Trawy postanowił narzucić baterii Świętego Charlza dohlariańskiego oficera łącznikowego, pomyślał pan stopy, nie przestając obserwować heretyckiej jednostki. Nie miał wątpliwości, że tego wymagały względy polityczne, i podejrzewał, że Kylpaitryc jest mniej nieokrzesany od większości swoich barbarzyńskich rodaków. Nie próbował – jak dotąd – wtrącać się w podejmowane przez Bauzhynga decyzje, a nawet rzucił garść przydatnych rad zaraz po tym, jak pojawiła się nowa artyleria. Nie zmieniało to faktu, że w jego obecności Bauzhyng miał wrażenie, że czuje gnój.

– Dziwne, że nie płyną szybciej – zauważył Kylpaitryc. – Wszystkie dane wskazują, że powinni rozwijać prędkość co najmniej dziesięciu węzłów, nawet pod prąd. – Pokręcił głową z nieszczęśliwą miną. – Można by pomyśleć, że powinni chcieć jak najszybciej minąć strefę rażenia.

– Najwyraźniej w pełni ufają swoim pancierzom – Bauzhyng wzruszył lekko ramionami. – Chyba nadeszła pora, aby wyprowadzić ich z błędu.

– Tak jest, sir!

Kylpaitryc uśmiechnął się, choć ten jeden raz zgadzając się w zupełności z eleganckim, zniewieściałym wręcz dowódcą baterii Świętego Charlza. Nie przepadał za Kwaicheem Bauzhyngiem, i to z wielu powodów. Skoro już o tym mowa, nie lubił większości harchońskich oficerów, których miał nieprzyjemność poznać. Każdy bowiem robił na jego widok taką minę, jakby pojawił się z psią kupą przyczepioną do podeszwy buta. To mu się bardzo nie podobało, szczególnie że naoglądał się niekompetencji w wykonaniu tych pełnych

pogardy dla otoczenia Harchończyków. Co ciekawe, najbardziej pogardliwi dla obcych byli ci oficerowie, którzy sami mieli powody się wstydzić. Oczywiście dotyczyło to co najmniej trzech czwartych kadry oficerskiej Harchongu. Zdaniem Kylpaitryca najlepsze, co dało się powiedzieć o Harchończykach w stopniu oficerskim, to że stoją o oczko wyżej niż Desnairczycy, co nie było największą pochwałą.

Jednakże w wypadku Bauzhynga taka opinia nie była w pełni sprawiedliwa. Cokolwiek bowiem mówić o panu stopy, do swoich obowiązków podchodził poważnie i miał twardą rękę w stosunku do podwładnych, zwłaszcza od pojawienia się nowej artylerii. A nawet swoim uporem zmusił sknerowatych Harchończyków do wysupłania grosza na nowe pociski w takiej liczbie, ażeby starczyło ich na rozciągnięte w czasie ćwiczenia, nie wspominając o tym, że pod jego wpływem Kylpaitryc poprosił admirała Hahlynda, by galery śrubowe ciągały barki wzdłuż brzegu wyspy, co umożliwiło artylerzystom ćwiczenie strzałów do ruchomych celów. Kylpaitryc nie odmówił sobie tej frajdy i tytułował wyniosłego Harchończyka „sir” zamiast „panie”, choć tego nie znosił. Zarazem jednak wiedział, że w porównaniu z innymi dohlariańskimi oficerami, którzy zostali przypisani do harchońskich gospodarzy, i tak trafił nie najgorzej.

Naturalnie artylerzyści dawaliby z siebie więcej, gdyby byli traktowani jak ludzie, a nie dwunożne zwierzęta, które przypadkiem umieją mówić, pomyślał Kylpaitryc. Domyślam się, że trudno od niego oczekiwać, aby nie miał ich za chłopów pańszczyźnianych, zwłaszcza że większość z nich istotnie służyła na roli przed zaciągiem do wojska. Trzeba też mu przyznać, że zachowuje się mniej brutalnie od niektórych Harchończyków. Lecz tak czy siak chłosta wymierzona dowódcy obsady, którego drużyna osiągnęła najmniejszą liczbę punktów w trakcie ćwiczeń, to jednak nie najlepsza metoda na zbudowanie morale podwładnych.

– Kiedy zamierza pan otworzyć ogień, sir? – zapytał na głos.

– Wolałbym zaczekać, aż dystans zmniejszy się do jakichś pięciu tysięcy jardów – odparł Bauzhyng, nareszcie odejmując lunetę od oka. Oddał instrument ordynansowi, który w zamian uraczył go filiżanką gorącej herbaty. – Naszą przewagą są stabilne, nieruchome platformy działowe, co normalnie każdy rozsądnie myślący człowiek uznałby za korzyść w starciu z płynącym okrętem wojennym. W tym jednak wypadku lepiej nie czynić pochopnych założeń. Zaczekamy zatem, aż oni

pierwsi zaczną strzelać, względnie aż dystans zmniejszy się do pięciu tysięcy jardów.

Wzruszył lekko ramionami i przybrał zamyśloną minę, ewidentnie zastanawiając się nad nieodległymi w czasie wydarzeniami.

Jeśli ławy ziemne baterii Świętego Charlza oprą się skutecznie heretyckiej nawale ogniowej, będzie mógł poczekać z kontratakami do dowolnego momentu, pozwalając wrogowi zbliżyć się na pożądaną odległość. Ufał skuteczności swoich armat w starciu z większością celów, jednakże po tym, co się stało w cieśninie Kaudzhu, wątpił, aby kule – nawet trzystufuntowe cylindryczne pociski najnowszych dziesięciocalówek – przebiły pancierz heretyków. Mało prawdopodobne bowiem było, aby te jednostki okazały się gorzej wzmocnione niż tamte kanonierki. Zresztą nawet dohlariańskie dziesięciocalowe gładkolufówki nigdy nie zdołały choćby zarysować burtowego opancerzenia HMS *Dreadnought*. Naturalnie lite kule wroga ważyły tylko nieco półtora raza więcej niż jego pociski, z czego wynikała jego zdaniem odpowiedź na pytanie o przyczynę takiej sytuacji. Tak czy owak Bauzhyng nie pałał zbyt dużym optymizmem, jeśli chodzi o skuteczność pocisków, szczególnie na dłuższych dystansach, gdzie moc rażenia byłaby niższa z powodu większej odległości. Lite kule z jego działa z kolei ważyły półtora raza tyle co zwykły pocisk – oraz trzy razy tyle co pocisk dohlariański w cieśninie Kaudzhu – a to dlatego, że brakowało w nich pustej przestrzeni, w której mieściłby się proch. Zmniejszało to ich siłę destrukcji w razie dotarcia do celu, zarazem jednak dawało większą możliwość sukcesu w spenetrowaniu poszycia okrętu. Z drugiej strony cięższy pocisk oznaczał krótszy zasięg – najlepsi artylerzyści osiągnęli wynik siedmiu tysięcy jardów, co stanowiło nieco tylko ponad trzy czwarte maksymalnego zasięgu pocisków eksplodujących. Trenowali przy tym zawzięcie, aby dzięki rykoszetowi zwiększyć donośność, niestety odbicie się od wody praktycznie przekreślało szansę na wbicie się pocisku w poszycie okrętu. To znaczy w poszycie kanonierki, bo w wypadku galeonów pozbawionych opancerzenia wyglądało to bardziej różowo.

Nie, uznał ostatecznie. Jednak zaczekam, aż się zbliżą na tyle, na ile to możliwe, po czym dopiero ich zaatakuję... Uśmiechnął się paskudnie i dodał w myślach: *Jestem pewien, że to im się spodoba znacznie mniej, niż sobie wyobrażają.*

– Dystans zbliżony do tego, który pan założył, sir – oznajmił podoficer Wahldair Hahlynd, prostując się nad tubą głosową.

Hahlynd był na HMS *Eraystor* starszym sygnalistą, ale w tym momencie nie przekazywał wiadomości na inną jednostkę eskadry. Tuba głosowa była połączona z pewnym instrumentem na szczycie pancерnej nadbudówki okrętu. Był to jeszcze jeden efekt owocnej współpracy barona Morskiego Szczytu z Królewskiej Akademii Charisu oraz tryskającego pomysłami rzemieślnika Ehdwyrda Howsmyna. Wynalazek ów nosił nazwę dalmierza. Alyk Cahnyrs zapoznał się z dokumentacją przygotowaną przez doktora Zhaina Frymyna, specjalistę od optyki, ale w dalszym ciągu miał tylko ogólne pojęcie, jak działa ta rzecz – która wyglądała jak dwugłowa wersja peryskopów stosowanych na pokładzie galeonów klasy Rottweiler, aczkolwiek z górnymi soczewkami na końcach osiemnastostopowego wysięgnika. Najważniejsze było oczywiście to, że jakimś cudem działa i że jej dokładność wynosi sto metrów na dziesięć mil.

Pod wieloma względami była to informacja mogąca zaciekawić tylko uczonych, jako że żaden będący w ruchu okręt nie miał szans trafić innej jednostki z odległości szesnastu tysięcy jardów. Nawet przy założeniu, że ludzki wzrok mógłby dostrzec cel, nie było mowy o trafnym strzale w ruchomy cel. A jednak dokładny dystans był istotny. Zdarzało się, że nawet najbardziej doświadczeni artylerzyści źle coś ocenili, a znajomość dystansu – w odróżnieniu od zgadywania – pozwalała artylerzystom na dokładne namierzenie celów. Wprawdzie nie gwarantowało to celnego strzału, ale przynajmniej niwelowało jedną niewiadomą w tym równaniu.

W obecnej sytuacji jednak...

– Przekazać wiadomość do *Bayport* – powiedział, a następnie dmuchnął w inną tubę głosową, aby wydać gwizd na jej drugim końcu.

– Tutaj pokład działowy, mówi trzeci oficer – zgłosił się ktoś.

– Tu mówi kapitan. Macie cel na oku?

– Tak, sir. Bateria Świętego Charlza znajduje się w zasięgu ognia pierwszej baterii.

– Doskonale. Niestety na razie nie wydam rozkazu ostrzału.

– Rozumiem, sir. – Tym słowem towarzyszyło coś w rodzaju cichego chichotu. – Myślę, że młody Paitryk będzie musiał tymczasem zabawić się z bateriami na wyspie Sharyn.

– Byle tylko nie zmarnował za dużo amunicji – upomniał Dahnela Cahnyrs.

Uzbrojenie HMS *Eraystor* zostało podzielone na baterie pod względem ich pola rażenia. Najgrubiej opancerzone kazamaty kanonierki tworzyły podłużną nadbudówkę przypominającą dwa zakończone tępo trójkąty połączone podstawami i mocno pochyłe, by zniwelować wpływ fal, które mogłyby sięgać furt działowych okrętu klasy Delthak. Działa rozmieszczono na burtach, ale pięć armat w części dziobowej mogło ostrzeliwać cele znajdujące się mniej więcej o trzydzieści stopni od linii wyznaczonej przekrojem wzdłużnym jednostki, natomiast pięć dział rufowej sekcji mogło uzyskać podobne odchylenie, ale w przeciwnym kierunku. Na tej podstawie powstał logiczny podział oparty na numeracji: pierwsza i druga sekcja (przód) oraz trzecia i czwarta sekcja (tył). Wszakże na każdej burcie znajdowało się jedenaście dział. Te centralne, w najgrubszej części kadłuba, miały donośność niemal taką samą jak pierwsza i druga sekcja oraz niemal taką samą jak trzecia i czwarta. W efekcie były przypisane do obu sekcji po odpowiednich burtach okrętu, przy czym kontrolę przejmowała ta z nich, po której stronie znajdował się cel.

Dahnel Bahnyface był oficerem artyleryjskim HMS *Eraystor*, a zarazem trzecim oficerem, co stanowiło nową pozycję plasującą się pomiędzy kapitanem a działomistrzem, którym zgodnie z tradycją zostawał zawsze trzeci oficer. Dawny działomistrz był obecnie tylko kanonierem, a służył jako główny pomocnik i doradca oficera artyleryjskiego. W trakcie akcji każda sekcja uzbrojenia była przypisana jednemu z pozostałych oficerów. Czy też – w wypadku trzeciej sekcji – nie oficerowi, lecz kadetowi, któremu brakowało dwóch lat, aby móc się ubiegać o stopień porucznika.

– Nie sądzę, abyśmy mieli ją roztrwonić, sir – powiedział do kapitana Bahnyface. – Szczególnie gdy chodzi o sekcje rufowe.

– Jesteś pewien, że damy radę zaatakować tę baterię z tej odległości?
– zainteresował się Cahnyrs.

– Na tyle, na ile można być czegokolwiek pewnym, sir. – Cahnrys oczami wyobraźni zobaczył wzruszenie ramion chłopaka. – Fala nie jest duża, a w dodatku nie będziemy strzelać do ruchomego celu. Nie mogę zagwarantować wielu celnych trafień, ale kilka na pewno zaliczymy, sir!

– W takim razie otwórzcie ogień!

– Mój panie!

Major Kylpaitryc celowo oderwał wzrok od heretyckiej kanonierki. Przy odległości ponad czterech i pół mili dymiący potwór był wciąż tylko plamką w oddali, lecz i tak było w nim coś niezaprzeczalnie groźnego, gdy tak posuwał się przed siebie miarowym ruchem. Zapewne dlatego, że za nic miał prąd i wiatr, a słup dymu walił za rufę. A zresztą może chodziło o sam dym, gęsty i nienaturalny.

Bądź też, pomyślał major ponuro, grozą napawa mnie fakt, że ta kanonierka płynie prosto na pół setki ciężkich dział i nic sobie z tego nie robi.

Cokolwiek było na rzeczy, uznał, że koniec z gapieniem się na tę jednostkę. Dlatego właśnie patrzył w przeciwnym kierunku, gdy obserwator zwrócił się do Bauzhynga.

Usłyszawszy okrzyk, odwrócił się gwałtownie i natychmiast rozszerzył oczy ze zdziwienia, widząc, że z kanonierki bije w niebo pióropusz dymu artyleryjskiego. W dalszym ciągu płynęła niemal wprost na baterię, lecz zdążyła już obrócić się odrobinę na sterburtę, aby wprowadzić do akcji swoje przednie działa. A znajdowała się na tyle daleko, że grzmot towarzyszący wystrzałowi z tychże dział nie dotarł jeszcze do uszu majora, kiedy już sześć sześciocalowych pocisków spadło z nieba z sykiem.

– Całkiem nieźle, Alyku! – skomentował Zhaztro, gdy pociski eksplodowały. Musiał podnieść głos, i to znacznie, aby przebić się przez solidne zatyczki do uszu, które chroniły słuch całej załogi HMS *Eraystor* przed ogłuszającym hałasem robionym przez artylerię.

Trzy pociski wystrzelone przez porucznika Bahnyface'a spadły za blisko, powodując wysokie kolumny spienionej wody, jednakże trzy pozostałe wybuchły ogniście, niszcząc taras baterii Świętego Charlza. Wątpił, aby uczyniły poważne szkody po drugiej stronie. No chyba że udało się któremuś trafić w stanowisko bojowe, na co jednak szanse były praktycznie równe zeru. Tak więc dobrze chroniona bateria nie ucierpiała zbyt wiele. W gruncie rzeczy bardziej skutecznym mógłby się okazać jeden z napędzanych żaglami galeonów artyleryjskich, a to dlatego że – w przeciwieństwie do szybszego, lecz mającego niższą burłę HMS *Eraystor* – był w stanie zasypać ogniem wnętrze baterii, a nie tylko jej tarasy. Niestety przy tym wietrze i prądzie, z których żaden im nie sprzyjał, ustawienie galeonu artyleryjskiego w odpowiedniej pozycji do strzału zabrałoby za dużo czasu i samo w sobie stanowiłoby ryzyko. Zresztą czy wyrządzali faktyczne szkody wrogowi czy też nie, przynajmniej dali wrogowi dowódcy do myślenia, jak by to ujął cesarz Cayleb.

Naprawdę chciałbym, żeby odpowiedzieli ogniem, póki znajdujemy się tak daleko, pomyślał, stając na odsłoniętym mostku swego flagowca z lornetką przy oczach. Wtedy mógłbym ocenić ich zasięg i precyzję, dzięki czemu wiedziałbym, w jakiej odległości od nich powinienem się trzymać. Nie zaszkodziłoby też się dowiedzieć, jak sobie radzą te przekłete fulminy z naszym poszyciem.

Na tę ostatnią myśl skrzywił się boleśnie, lecz nie opuścił lornetki, wolał bowiem ukryć przed podwładnymi, a szczególnie przed Alykiem Cahnyrsem, własne obawy. Nie chodziło o to, że czuł się niepewnie, wszakże jako doświadczony dowódca naoglądał się dość porażek, aby starczyło mu na całe życie.

– Ano całkiem nieźle, sir – zgodził się z nim stojący obok Cahnyrs, także spoglądając przez lornetkę. – Jestem jednak pewien, że Dahnela stać na znacznie więcej.

– O tak – potwierdził Zhaztro. – Na razie działa są zimne, a dystans duży. Dowódcy obsad muszą znaleźć się w swoim żywiole. – Uśmiechnął się blade. – Na szczęście HMS *Eraystor* jest o wiele stabilniejszy niż jakikolwiek galeon.

Działa kanonierki rozbrzmiały ponownie.

To będzie dobre osiem i pół tysiąca jardów, pomyślał major Kylpaitryc, gdy już opadł wokół niego pył wzbity przez upadek ostatniego pocisku. A właściwie nie pył, tylko ziemia i szczątki. Większość z nich była niewielka, jednakże parę sporych także spadło na chroniony workami z piaskiem dach jego punktu obserwacyjnego. Nie spodziewałem się, że otworzą ogień z tak dużego dystansu. Ani że będą mierzyć z aż taką precyzją.

Uniósł lunetę do oka i przyjrzał się raz jeszcze kanonierce obitej łożem, kiedy wreszcie gęste chmury ciemnego dymu prochowego rozwiały się za rufą – po części dzięki wiatrowi, a po części dzięki temu, że okręt nie przestał się poruszać. Z tego, co zobaczył, wynikało, że czarne palce dział wcale nie cofnęły się w głąb, lecz przeciwnie: wyrzuciły z siebie nowe ogromne kule ognia.

Na Langhorne'a! Kylpaitryc poczuł na dnie żołądka lodowaty ucisk. Raporty z Geyry donosiły, że potrafią strzelać szybko, nie sądziłem jednak, że aż tak szybko! Nie minęło przecież więcej niż pół minuty...

Fultyny baterii Świętego Charlza, a szczególnie gigantyczne dziesięciocalówki, nie były w stanie dorównać tamtym szybkostrzelnością. W najlepszym razie oddawały jeden strzał co kilka minut. Oczywiście na brzegu znajdowało się znacznie więcej armat, niż mogła mieć na swoim pokładzie jakakolwiek kanonierka, niemniej nie dało się ich wszystkich skierować na jeden cel. No i w przeciwieństwie do okrętu siły lądowe pozostawały przykute do jednego miejsca.

A na dodatek mamy na głowie nie jedną kanonierkę, ale aż pięć tych cholerstw!

Nie podobało mu się zwłaszcza to, że pociski heretyków charakteryzowała wielka siła. Jeśli wierzyć Desnairczykom, którzy przechwycili jeden z heretyckich pocisków w Geyrze, baterie burtowe kanonierek strzelały wyłącznie sześciocalowymi pociskami, a zatem znacząco mniejszymi niż te używane na galeonach artyleryjskich. Zakładając, że pomiary nie zostały sfalszowane, Cesarska Flota Charisu zdołała stworzyć sześciocalowy pocisk, który niósł ładunek co najmniej tak duży jak w wypadku pocisku dziesięciocalowego.

To okaże się bolesne przy gęstszym ostrzale, pomyślał, opuszczając

lunetę. Natychmiast musiał schować głowę w ramiona, kiedy kolejne cztery wysokie kolumny spienionej brudnej wody wystrzeliły w górę z Głównego Kanału Żeglugowego. Dwa pociski zagłębiły się w tarasie, po czym eksplodowały, sprawiając, że na jego głowę posypał się znowu deszcz odłamków.

HMS *Eraystor* płynął naprzód, aczkolwiek z coraz mniejszą prędkością. Ostrzeliwał baterię Świętego Charlza z dystansu ośmiu tysięcy czterystu jardów, znajdując się w odległości dwunastu tysięcy jardów od baterii Świętego Rahnylda na wschodnim krańcu wyspy Sharyn oraz dziesięciu i pół tysiąca jardów od baterii Świętej Agthy u przylądka Cut Bait na Wyspie Wschodniej. To sprawiało, że okręt był poza zasięgiem pozostałych baterii, chociaż odległość do baterii Świętej Agthy spadała tak samo jak odległość do baterii Świętego Charlza.

Przy prędkości sześciu węzłów okręt ten będzie potrzebował godziny na to, aby znaleźć się w odległości umożliwiającej skuteczne zaatakowanie baterii Świętego Charlza, kiedy to – przy założeniu, że nie zmieni po drodze kursu – znajdzie się mniej niż tysiąc jardów od luf harchońskich dział. Była to otrzeźwiająca myśl, szczególnie że działa te jak na razie nie oddały ani jednego strzału.

– Niech *Bayport* zmniejszyć prędkość! – rozkazał admirał Zhaztro. – Kapitan Gahnzahlyz ma zachować dystans co najmniej tysiąca jardów do HMS *Eraystor*.

– Tak jest! *Bayport* ma zmniejszyć prędkość, a kapitan Gahnzahlyz ma zachować dystans co najmniej tysiąca jardów do HMS *Eraystor* – powtórzył sygnalista.

Zhaztro potwierdził skinieniem, na co sygnalista wraz z pomocnikiem zaczął wyciągać z podręcznej torby chorągiewki sygnałowe.

Z pokładu kanonierki ponownie oddano strzał; jego echo sprawiło, że Zhaztro poczuł wewnętrzne drżenie, które niosło się od podeszew stóp w górę. Kapitan Cahnyrs nachylił się do niego bliżej i wykrzyczał mu prosto w ucho:

– Kupujemy czas dla Lynkyna, żeby mógł ocenić sytuację, zanim wkroczy do akcji, sir?

W kolejnej chwili ciszy pomiędzy eksplozjami admirał odpowiedział:

– To nigdy nie zaszkodzi. Nie będę udawał, że ucieszy mnie, gdy ci dranie wreszcie odpowiedzą i pozwolą nam się zorientować, czym dysponują.

Major Kylpaitryc zakasłał i splunął siarczyście, po czym wyciągnął z kieszeni zegarek i spojrzął na cyferblat.

Pół godziny? Potrząsnął głową, czując się jak bokser, który zebrał zbyt wiele ciosów. Niemożliwe... Musiało upłynąć więcej niż tylko trzydzieści minut.

Oczywiście wiedział, że to tylko mylne wrażenie.

Burta kanonierki zniknęła za kolejną chmurą ognistego dymu i dwa sześciocalowe pociski poszybowały ze świstem w stronę tarasu. Pierwszy trafił w zewnętrzną warstwę stropu w części zachodniej, robiąc spory wyłom w murze wspierającym gruby ziemny wał.

Cegły się posypały, podniosły się krzyki żołnierzy, a Kylpaitryc zaklął. Każde z dział baterii Świętego Charlza zostało umocowane na osobnym stanowisku, mianowicie w komorze o łukowatym sklepieniu wzniesionej z solidnych cegieł i przysypanej co najmniej dwudziestoma stopami ciężkiej ziemi. Komory te były odporne na wszystko, nie licząc bezpośredniego trafienia – które właśnie nastąpiło. Co gorsza, przekłuty pocisk nadleciał od tyłu, gdzie komora otwierała się na niewielki plac apelowy baterii Świętego Charlza. Ośmiocalowy fultyn zatoczył się w bok, spadając z łoża i miażdżąc na śmierć jednego z działonowych tuż przed tym, zanim cała komora runęła, grzebiąc zwłoki wraz z połową obsady.

Wykrzykiwane rozkazy sprawiły, że żołnierze rzucili się przed siebie, nie zwracając uwagi na heretycki ostrzał, i opuściwszy własne bezpieczne kryjówki, zaczęli rozpaczliwie kopać w poszukiwaniu pogrzebanych żywcem towarzyszy. Kylpaitryc tylko potrząsnął głową, starając się odzyskać jasność myślenia.

Nieubłagane zbliżanie się kanonierki było więcej niż przerażające. Dystans zmniejszył się z ponad ośmiu tysięcy jardów do niecałych trzech tysięcy, przy czym przekłuty okręt ustawił się burtą do baterii Świętego

Charlza. Obecnie jedenaście dział pluło pociskami trzy razy na minutę, zasypując umocnienia ziemne kulami i przepelniając powietrze dymem i kurzem.

Jak długo jeszcze Bauzhyng zamierzał czekać? Heretycy znajdowali się przecież w jego zasięgu, wynoszącym pięć tysięcy jardów, a tymczasem on stał jakby nigdy nic i spoglądał przez szczelinę obserwacyjną na kanał. Kurz osiadł na jego nieskazitelnym mundurze, a z twarzy spływała krew w miejscu, gdzie ułomek cegły dosięgnął jej przez wąski otwór, ryjąc całowwą ranę tuż poniżej kości policzkowej. Mimo to oficer miał spokojne oblicze, wydawał się zgoła zamyślony. Ahdem Kylpaitryc uzmysłowił sobie nagle, że podziwia tego aroganckiego służbistę, który dowodził baterią Świętego Charlza.

Gdy jeszcze jedna kanonierka heretyków przyłączyła się do ostrzału, zasypując gradem pocisków fortyfikacje, uszu Kylpaitryca doleciały wzmożone okrzyki załogi. Okręt był już wystarczająco blisko, by zacząć nadweręzać także ziemne umocnienia. Teraz Bauzhyng już na pewno...

– Wszystkie baterie, ognia! – rzekł Kwaichee Bauzhyng.

– Ci dranie mają tam działa, prawda? – zapytał raczej zrozpaczonym tonem Alyk Cahnyrs.

– Jestem tego pewien! – odparł Zhaztro. – Wcześniej lub później będą musieli ich użyć!

Po trzydziestu minutach ciągłego ostrzału czuł się tak, jakby ktoś wytrząsnął z niego wszystkie wnętrzności i rzucił na płaski kamień, aby skruszał. Jak na razie HMS *Eraystor* wystrzelił prawie czterysta sześciocalowych pocisków w stronę baterii Świętego Charlza. Na pokładzie okrętu znajdowało się tylko sto dwadzieścia pocisków na jedno działło, co oznaczało, że zużyciu uległo już piętnaście procent dostępnej amunicji. Co stanowiło zarazem dwadzieścia pięć procent całego zapasu standardowych pocisków. Mimo to Harchończycy nie odpowiedzieli ani jednym strzałem!

Zhaztro uznał, że ktokolwiek dowodzi baterią nabrzeżną, jest naprawdę twardym zawodnikiem. Jako naprawdę twardy zawodnik potrafił to docenić – poczuł podziw dla swego przeciwnika. *Ten*

skurczybyk, pomyślał, *chce nas zwabić jak najbliżej, zanim zacznie strzelać.*

Admirał uniósł znów lornetkę do oczu, spojrzał przez kłęby dymu i uśmiechnął się blado, widząc, jak kolejne eksplozje niszczą umocnienia na brzegu. Przy obecnej widoczności nie był w stanie dostrzec szczegółów, jednakże czuł pewność, że ani jeden pocisk nie chybił. Dystans w tej chwili wynosił tylko półtorej mili, tak więc nawet jeśli artylerzyści nie widzieli dobrze celu, ten przynajmniej był nieruchomy. Z tak małej odległości strzelali celnie i skutecznie, wdzierając się coraz głębiej w ziemne umocnienia chroniące armaty Harchończyków. Poznać to było po pomarańczowych kulach ognia wirujących pośród wąwozów otwartych w zniszczonym ostrzałem stropie baterii. Zhaztro było obojętne, jaką taras ma szerokość. Armaty nabrzeżne w końcu odpowiedzą ogniem, bądź zginą zasypane, a wtedy...

Wszystkie działa baterii Świętego Charlza zagrzmiały równocześnie, powodując równo trzydzieści cztery obłoki dymu, które natychmiast zaczęły się ze sobą zlewać.

– Taaak! – usłyszał czyjś okrzyk Ahdem Kylpaitryc. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że głos krzyczącego należy do niego.

Każde działo na południowo-wschodnim krańcu baterii pluło ogniem i dymem. A były ich tam trzy tuziny – trzy tuziny fultynów, z czego tylko jeden wypadł z walki, zniszczony przez bezpośrednie trafienie, drugi zaś nie mógł oddawać strzałów, gdyż zawało się sklepienie jego komory.

Dwanaście armat było ośmiocalówkami, które strzelały ważącymi po sto funtów litymi kulami. Kylpaitryc nie oczekiwał po nich zbyt wiele, zważywszy na grube poszycie kanonierek, ale nie spodziewał się też, że heretycy zbliżą się na dwa i pół tysiąca jardów do brzegu. Przy tej odległości nawet lite kule mogły przebić wzmocnione poszycie, a przecież w dodatku działa te były o trzydzieści procent bardziej szybkostrzelne niż dziesięciocalówki.

Tych ostatnich natomiast było dwadzieścia dwie. Każda kula ważyła ponad sto pięćdziesiąt funtów... i tylko trzy chybiły celu.

Sir Hainz Zhaztro uznał, że przypomina to wnętrze piekła. Albo przynajmniej jednego z palenisk Ehdwyrda Howsmyna, w które setka szaleńców łomocze młotami od zewnątrz.

Jakkolwiek to wyglądało, nie umywało się nawet do tego, co wydarzyło się w Geyrze. Nawet pod sam koniec, gdy odległość do nabrzeży Geyry zmniejszyła się do czterystu jardów, obrońcy trafiali tylko z rzadka – głównie z tego powodu, że rozprawił się z ich bateriami na długo przed tym, zanim znalazł się w ich zasięgu. A najcięższy pocisk, jaki wówczas dosięgnął poszycia jego flagowca, pochodził z lufy jednej z desnairskich czterdziestofuntówek. Teraz HMS *Eraystor* kołysał się pod wpływem jednoczesnych uderzeń ponad czterech i pół tony czystego żelaza.

Oczywiście nie wszystkie pociski trafiły w jedno miejsce – i chwała Bogu Jedynemu! Sam admirał wraz z kapitanem Cahnyrsem oraz resztą załogi mostka zdążył się schronić w kiosku, i to już wtedy, gdy dystans wyniósł dwie mile. Bardzo dobrze, że tak się stało. Zhaztro właśnie spoglądał przez jedną ze szczelin obserwacyjnych, gdy trzystufuntowa kula uderzyła w otwarty mostek pod kątem niemal prostopadłym do opancerzenia. Drewno i stal skruszyły się pod jej ciężarem, sypiąc na wszystkie strony ułomkami, które były zdolne przeciąć w pół każdego, kto by stał na zewnątrz. Kakofonii odgłosów towarzyszących sieczeniu poszycia przez dziesiątki pocisków wprost nie sposób opisać.

Trzej artylerzyści HMS *Eraystor*, którzy weszli w kontakt z tymże poszyciem, zostali poderwani w powietrze i obróceni kilka razy, kiedy jeden z dziesięciocalowych pocisków wywołał wstrząs wzmocnionej stali. Dwaj tylko doznali oszołomienia; trzeci, który wyrznął głową we własne działo, skończył z czaszką rozłupaną na dwoje.

Ani jeden pocisk oddany na brzegu nie przebił jednak poszycia kanonierki, aczkolwiek osłony kazamatów i pokładu uległy wgięciu i porysowaniu. Miejscami doszło do wyszczerbienia powłoki, na szczęście jednak spodnia, elastyczna powłoka z howsmynowanej stali wytrzymała. Zhaztro przyglądał się wszystkiemu z zatroskaną miną. Charisjańscy szpiedzy donosili, że porucznik Zhwaigair, diabelnie zmyślny człowiek, ten sam, który dla hrabiego Thirsku wynalazł galery śrubowe, wpadł na

pomysł, jak przebić nieprzebijalne poszycie okrętu. Nazwał swoją metodę rozbijaniem, a polegała ona na tym, że należało zbliżyć się jak najbardziej z jak najcięższym działem i walić raz po raz, aż nity, a nawet wręgi koniec końców zaczną się odkształcać. Czytając te raporty po raz pierwszy, Zhaztro nie był pod specjalnym wrażeniem. Teraz jednak, gdy jego flagowiec kołysał się od ponawianych ataków, zaczął się zastanawiać, czy Zhwaigair nie wpadł przypadkiem na właściwy trop.

Członkowie obsad dział baterii Świętego Charlza uwijali się wokół swoich dział z szybkością, jaką wpoił im bezwzględnie pan stopy Kwaichee Bauzhyng. Chodziło wszakże o coś więcej niż tylko wyćwiczone zachowania. Ta przeklęta kanonierka bombardowała ich fortecę przez ponad pół godziny, z każdą chwilą coraz bardziej celnie, i zabijając bądź raniąc ludzi, których znali – przyjaciół – podczas gdy oni mieli zakaz reagowania na to w jakikolwiek sposób. Wreszcie nadeszła ich kolej. To dlatego z takim zacięciem rzucili się ładować armaty.

Heretycy zdążyli oddać kolejną salwę, zanim powolne, ładowane odprzodowo działa były gotowe; przez to kolejna ośmiocalówka rozprysła się w drobny mak pod uderzeniem sześciocalowego pocisku, który wpadł do środka jej komory, zamieniając metal i ludzkie ciała w gmatwaninę stali, kości i krwi. Pomimo wiejącego wiatru gęsty dym prochowy – wznoszący się zarówno nad baterią Świętego Charlza, jak i nad kanonierką – zbił się w nieprzeniknioną zasłonę. A jednak komin i maszt okrętu były widoczne ponad sinym kłębowiskiem. I to wystarczyło.

Działa naładowano ponownie w okamgnieniu, co nie miało nic wspólnego z ryzykiem chłosty w razie ociągania się obsady. Chwilę później bateria Świętego Charlza plunęła znowu ogniem i dymem.

Trzystufuntowy pocisk wyrznął dokładnie w obrotową podstawę trzeciej sześciocalówki na bakburcie. Tarcza wytrzymała, ale uległa znacznej deformacji pod wpływem uderzenia. Zakleszczyła się także,

unieruchamiając armatę. Widząc to, kanonier zaklął z frustracji, zdawszy sobie sprawę z konsekwencji.

Dalsze pociski trafiały do celu, niszcząc osłony wentylatorów i podajniki łańcuchowe, a także wybijając kolejne dziury w puszczającym dym kominie. Odsłonięty dalmierz umieszczony na szczycie mostka HMS *Eraystor* zniknął w chmurze dymu, a sygnalizator mostka rozpadł się, posyłając na wszystkie strony chorągiewki sygnałowe, które w tym momencie przypominały rozpierzchające się, przestraszone wyverny. Długi na cztery stopy sterburtowy odcinek trójnogiego masztu kanonierki zniknął nagle za sprawą jeszcze jednego pocisku, który poszybował za wysoko.

Harchończycy z premedytacją mierzyli niżej, chcąc, aby posyłane w stronę okrętu żelazo uporało się wreszcie ze wzmocnioną burta albo przynajmniej wpadało do wody tuż przy niej. Ludzie hrabiego Thirsku dokładnie przeanalizowali rozmieszczenie wzmacniających płyt HMS *Dreadnought*. Właśnie ta analiza podsunęła Zhwaigairowi pomysł metody rozbijania poszycia, ten bowiem szczególną uwagę zwrócił na sposób zabezpieczenia poszczególnych płyt. Jednakże porucznik zauważył też, że o ile wzmocnione poszycie ciągnie się także pod linią wody, o tyle osłaniało nie więcej niż trzy stopy zanurzonego kadłuba. Bauzhyng wziął to sobie do serca. Stąd dał rozkaz, by mierzyć prosto w heretyckie poszycie, zgodnie z radami porucznika Zhwaigaira, jeśli jednak istniałoby ryzyko chybienia, zalecił, żeby pociski leciały niżej raczej niż wyżej – i to pod takim kątem, aby możliwe stało się wybicie dziury w cienkim poszyciu kanonierki, które biegło pod pasem opancerzenia.

Bauzhyng nie miał złudzeń, że jego plan powiedzie się w stu procentach, był jednak dobrej myśli. Nawet najlepiej zabezpieczony okręt zatonie, jeśli zamiast pruć w widoczne burty, zacznie się celować poniżej linii wody z zamiarem zrobienia dziur w poszyciu, żeby jednostka nabrała wody.

Kylpaitryc krztusił się i ronił łzy, znajdując się w samym centrum chmury dławiącego dymu, który drażnił mu nos i zatoki. Ogień baterii

Świętego Charlza zmniejszył się nieco – po dwudziestu pięciu minutach nieprzerwanej akcji artylerzyści zaczęli się męczyć, przede wszystkim jednak musieli ograniczyć ostrzał z powodu przegrzania luf. Dwie ośmiocalówki zdążyły do tej pory pęknąć, aczkolwiek na lufie, dzięki czemu straty nie były tak katastrofalne, jak mogły być, dzięki niech będą Langhorne'owi. Major był szczerze zdumiony tym, że działa okazały się aż tak wytrzymałe. Bateria Świętego Charlza została bowiem wyposażona w starszej daty żelazne fułtyny (choć w ich wypadku oczywiście trudno było mówić o starości jako takiej), te zaś miały znacznie gorszą reputację od nowszych stalowych dział, zwłaszcza jeśli chodzi o pękanie.

Mimo wszystko Harchońcy nie wstrzymali ognia ani na chwilę, nie bacząc na zawodność dział. Kylpaitryc poczuł przepelniającą go ogromną dumę. Nie mógł wykluczyć, że z zachowaniem działonowych miał coś wspólnego słynny flegmatyczny upór, dzięki któremu harchońscy chłopci pańszczyźniani byli w stanie przeżyć wszystko, co robili im panowie. Z drugiej strony, być może wcale nie o to chodziło.

Tak czy owak Kylpaitryc w życiu nie spodziewał się takiej nawały ognia, dymu, eksplozji i wstrząsów. Heretyckie bombardowanie wydawało się jedną litą ścianą ołowiu, który co raz naruszał ziemne umocnienia niczym młot Kau-yunga. Jeszcze sześć armat ucierpiało od pocisków heretyków czy też zostało uciszone przez lawinę cegieł i ziemi, gdy kolejne umocnienia zapadały się pod własnym ciężarem. Zarówno on sam, jak i Bauzhyng zdawali sobie sprawę, że bateria Świętego Charlza ulegnie kompletnej destrukcji, jeżeli tylko reszta przeklętych kanonierek dołączy do bitwy.

Aby stawić czoło czemuś podobnemu, nie wystarczała rezygnacja ani fatalizm; trzeba było czegoś, co on nazywał czystą odwagą.

Kanonierka szarpnęła się do przodu, znalazłszy się pod ostrzałem z obu stron, jako że do bitwy przyłączyła się bateria Świętej Agthy, która leżała w odległości siedmiu i pół tysiąca jardów i mieściła się nieco ponad poziomem wody, skąd – korzystając z ostrzejszego kąta – mogła sprawniej zasypywać poszycie heretyckiej jednostki gradem pocisków, licząc na to, że trafią one w cieńsze elementy (jak wskazywały logika i raporty Dohlarian sporządzone na podstawie analiz budowy HMS *Dreadnought*). Niestety spory dystans, słaba widoczność i sześciocalowe pociski mknące z powrotem w stronę artylerzystów na lądzie stawiały jej

działania pod znakiem zapytania. Chociaż nie dało się ukryć, że obecnie heretycka kanonierka znajduje się pod ostrzałem ponad setki ciężkich dział. Z każdą chwilą było ich mniej, sądząc po gejzerach wody wystrzeliwujących w górę wokół HMS *Eraystor*, lecz na pewno nie za mało, aby wyrządzić poważne szkody i być może dopiąć swego.

Z powodu dymu trudno było wypatrzeć szczegóły. Bębenki uszu były nieustannie rozrywane przez grzmot dział i eksplozje padających pocisków. Jednakże zdaniem Kylpaitryca ostrzał heretyków słabł powoli. Nie tyle zaczęli rzadziej oddawać strzały, ile mieli wyraźnie coraz mniej nadających się do użytku dział. Ta myśl sprawiła, że major wyszczerzył zęby w uśmiechu. *Jeśli uda nam się zmasować atak, jeśli upośledzimy główną jednostkę wroga, przeciwnik da sobie spokój.* Z realistycznego punktu widzenia tylko na to mogli liczyć obrońcy Zatoki Rhaigaira.

– Trzy cale wody w zębie, sir! – zameldował porucznik Tahlyvyr przełożonemu, Alykowi Cahnyrowi, za pomocą tuby głosowej. – Pompy sobie z tym radzą... na razie.

– Zrozumiałem – odparł Cahnyrs. – Miej na to oko, Anthynee.

– Tak jest! – odpowiedział pierwszy mechanik HMS *Eraystor*.

Cahnyrs zamknął osłonę tuby głosowej i spojrzał na stojącego obok Zhaztra.

– Idzie im coraz lepiej – stwierdził ponuro dowódca flagowca.

– Nie dość dobrze jednak... przynajmniej na razie – skwitował Zhaztro, a Cahnyrs potwierdził jego słowa ruchem głowy.

Niemal się nie słyszeli pośród harmidru, jaki ogarnął okręt. W tym momencie Harchończycy zaczęli mierzyć do nich za pomocą amunicji wybuchowej, przez co na kiosk spadł grad odłamków, a także fragmentów desek, rozbryzgów wody, kawałków poszycia i Bóg Jedyiny raczy wiedzieć, czego jeszcze. Dystans zmniejszył się do dziewięciuset jardów, a ostrzał zdawał się przybierać na sile z każdym kolejnym jardem pokonanym przez HMS *Eraystor*. Już cztery pokładowe działa zostały wyłączone z walki. Uszkodzenia wentylatorów i komina sprawiły, że zmniejszył się cug do palenisk, a to z kolei spowodowało, że ciśnienie pary spadło. Wszystko, co znajdowało się na pokładzie i nie

było chronione wzmocnionym poszyciem, zostało zmiecione, jakby po okręcie przeszedł huragan. Mimo to płynął on dalej, nadal prowadząc ostrzał baterii nabrzeżnych.

Przez dym, ogień, mgiełkę wodną i pył nie sposób było niczego dojrzeć. Szczeliny obserwacyjne praktycznie stały się nieużyteczne. Nawet trzy peryskopy, które wystawały z dachu kiosku, nie zapewniały widoczności, ponieważ zostały pouszkodzane. Mimo wszystko Zhaztro miał wrażenie, że bateria Świętego Charlza traci działa. Nie mógł mieć zastrzeżeń co do waleczności i odwagi ich załóg, czuł jednak, że choć jego okręt właśnie wpłynął w zasięg zachodniej nabrzeżnej baterii, z jakiegoś powodu obrywał jakby rzadziej ze strony bakburty. Bateria Świętej Agthy była większa i wyposażona w więcej dział, tak że zaliczała więcej celnych uderzeń w sterburtę. Jednakże od strony baterii Świętego Charlza nadlatywało zdecydowanie mniej pocisków, co znaczyło, że albo Harchończycy mają trudności z namierzeniem celu przy słabej widoczności, albo ludzie porucznika Bahnyface'a rozprawili się z ich armatami jak ta lala.

Przynajmniej mam nadzieję, że tak jest, dodał w myślach. Jeśli nie zajdzie nic nieprzewidzianego, rozprawimy się z nabrzeżnymi bateriami w ciągu następnych dwudziestu minut czy coś koło tego. Aczkolwiek Bóg Jedyny wie, w jakim stanie będzie nasz okręt potem. A nie wolno nam zapomnieć o reszcie eskadry. Ciekawe, jak wprowadzimy do zatoki pozostałe jednostki, jeśli te cholerne baterie wreszcie nie umilkną. Nawet okręt klasy Rottweiler miałby kłopot w takich warunkach, a pierwszy lepszy galeon zostałby pozbawiony masztu już w pierwszych dziesięciu minutach. Dlatego tylko okręty klasy City mogą tu wpłynąć, jeśli myślimy poważnie o zwycięstwie.

Przywołał się w duchu do porządku. *Oczywiście, że myślimy poważnie o zwycięstwie! Wygramy w ten czy inny sposób. Ani myślę pozwolić tym draniom zadać sobie bobu! Niemniej nie mogę powiedzieć, aby to była druga Geyra. Gdyby Desnairczycy wtedy wykazali się taką dyscypliną i taką precyzją...*

– Cholera! – zawołał z goryczą major Kylpaitryc.

Cokolwiek stało się z ostrzałem wiodącej kanonierki, straciło nagle na znaczeniu. Druga jednostka tej samej klasy, posuwająca się uporczywie naprzód i niemal niewidoczna w kłębach dymu, otworzyła bowiem właśnie ogień w stronę baterii Świętego Charlza.

– Kurwa, tuż za pierwszą kanonierką pojawiła się druga! – obwieścił sygnałowiec Bauzhynga.

Musiał krzyczeć, aby ktokolwiek go usłyszał, ani na moment jednak nie uniósł głowy znad zamontowanej na trójnogu lunety, która skierowana była w stronę masztu sygnałowego baterii Świętego Rahnylda na wschodnim krańcu wyspy Sharyn, skąd załoga garnizonu miała dobry widok na zbliżających się heretyków.

Biorąc pod uwagę meldunki w czasie bitwy, ten był stosunkowo mało oficjalny, szczególnie że składał go harchoński podoficer w obecności pana stopy. Mimo to Kwaichee Bauzhyng tylko skinął głową, po czym odkrzyknął:

– Dziękuję, sierżancie!

W innych okolicznościach major Kylpaitryc byłby zamrugął ze zdziwienia. Tymczasem zaledwie poruszył nieznacznie ustami, walcząc z przelotnym rozbawieniem. Które zniknęło w mgnieniu oka, kiedy doszło do kolejnych eksplozji. Bateria Świętego Charlza ucierpiała ponownie. Ponad ćwierć dział nie nadawała się już do użytku, aczkolwiek mogła zostać włączona znów do akcji – gdyby tylko ci przekłęci heretycy przestali prowadzić wreszcie ostrzał!

Wszakże kanonierki nadpływające za HMS *Eraystor* wyraźnie nie przeczyły takiej możliwości. No chyba że zadziała ostatni, rozpaczliwy plan obrońców.

– Boja przed dziobem! – zakrzyknął zniecierpliwiony obserwator przy peryskopie skierowanym na sterburkę.

Alyk Cahnyrs złapał uchwyty peryskopu z widokiem na wprost dziobu i zmienił jego położenie, tak aby spojrzeć we wskazaną stronę.

– Liczne boje! – dodał obserwator.

Cahnyrs poczuł, jak sztywnieją mu ramiona.

– Co najmniej tuzin, sir – zameldował, zwracając się do Zhaztra. – Może więcej, trudno to ocenić dokładnie przez ten dym. Najwyraźniej stanowią oznaczenie czegoś pośrodku kanału.

– Może *seijinowie* jednak się mylili co do dohlariańskich bomb morskich – wtrącił komandor Pharsaygyn z poważną miną.

– Skoro tak, lepiej zmienmy kurs w ciągu najbliższych czterech minut, admirale. W przeciwnym razie wpłyniemy w sam środek tego gówna! – rzekł głuchym tonem Cahnyrs.

Ciekawe, czy te skurwiele w ogóle zauważą boje, zastanowił się Kylpaitryc.

Nie sposób było tego odgadnąć – ani nawet, czy heretycy spoglądają we właściwą stronę. Skoro już o tym mowa, nie było nawet wiadomo, czy heretycy zdawali sobie sprawę z istnienia bomb morskich. Z jakiegoś powodu jednak major wątpił, aby było inaczej. Albowiem – jeśli Charisjanie coś zdołali udowodnić – to że ich szpiedzy są niezwykle uzdolnieni, i to dosłownie wszędzie, gdzie zostaną rzućeni. Zatem tak, musieli coś wiedzieć o istnieniu nowej broni.

Właśnie dlatego zasugerował, aby rozmieścić boje. Ku jego zdziwieniu admirał przystał na tę propozycję bez oporów. W efekcie – o ile tylko Kylpaitryc się nie mylił – kanonierka już niebawem natknie się na oznaczoną gęsto część zatoki.

Pozostawało pytanie, jak heretycy się zachowają. A mogło to być bardzo interesujące, zważywszy, że boje zostały umieszczone tam, gdzie zostały umieszczone, w określonym, podstępny cel. Naturalna reakcja, polegająca na próbie uniknięcia oznaczonego terenu, sprawi, że kanonierka odwróci się do baterii Świętego Charlza rufą, a tym samym skieruje się w stronę mielizny, na której przedłużeniu wzniesiono brzegowe umocnienia. Gdyż – w tym czasie, gdy kładzono boje mylnie wskazujące na zaminowany teren – zdjęto przy okazji boje, które oznaczały mieliznę. A wszystko to w nadziei, że dojdzie do powtórki tego, co przytrafiło się heretykom na mieliźnie Shingle minionego roku. Jeżeli plan się powiedzie i szczęście dopisze obrońcom, kanonierka wyrznie o mieliznę z taką siłą, że rozedrze sobie poszycie. A nawet jeżeli nie,

unieruchomiona zostanie rozdarta na strzępy przez zmasowane siły obu baterii lądowych.

Przy czym, dodał chmurnie w myślach major, jeśli heretycy nie zmienią kursu i ruszą na nas całą chmarą, będziemy mieć przesrane.

Hainz Zhaztro spojrział na kapitana flagowca z zaciętą miną.

Prawda czy fałsz? – zastanawiał się gorączkowo. Prawdziwe bomby morskie czy tylko zwykły blef? I w którą stronę skrócić, aby ich uniknąć, jeśli naprawdę tam są? Gdzieś tu znajduje się przeklęta mielizna... Jak, do cholery, mamy jej uniknąć, jeśli zaczniemy robić uniki w trakcie bitwy?

Myśli przemykały mu przez głowę z prędkością błyskawicy. Na ramionach czuł brzemień odpowiedzialności nie mniejsze niż w cieśninie Darcos. Widział wyraz twarzy Cahnyrsa i wiedział, że kapitan pragnie ominąć strefę zagrożenia szerokim łukiem. Admirał nie winił go za to, uważał bowiem, że do kapitana należy ostateczna decyzja.

I tak było. Z tym że w tym wypadku decyzja jednego człowieka wpłynie na los większej liczby okrętów. Zresztą o ile decyzja należała do Cahnyrsa, to jednak odpowiedzialność w całości spadała na niego.

Hainz Zhaztro wziął głęboki oddech i spojrział kapitanowi prosto w oczy.

– Zapomnij o bombach morskich, Alyku – rzekł głucho. – Utrzymaj kurs i pruj dalej przed siebie.

.IV.

HMS *Skrzydło*, 18

HMS *Huragan*, 30

Kanał Bennetta

oraz

HMS *Przeznaczenie*, 54

Przy mieliźnie Shipworm

Zatoka Saram

Umiejętność czytania w myślach to dobra rzecz, sir – zauważył Zosh Hahlbyrstaht, stając obok Hektora Aplyna-Ahrmahka, który spoglądał na północny zachód pod wiatr, w kierunku zawieszzonego nisko, umorusanego przy tej pogodzie żagla, przemieszczającego się stopniowo po kanale Basset. – Jest dostępna tylko dla admirałów czy raczej dla baronów? – Potrząsnął głową. – Jakkolwiek brzmi odpowiedź, jestem pod wrażeniem człowieka, który potrafi przewidzieć, jakie działania podejmie druga osoba. Pewnie ma wiele szczęścia w zakładach sportowych...

– Cóż – odparł Hektor oschle, nie przestając wpatrywać się w lornetkę, którą dla stabilizacji wsparł o ramię Stywyrta Mahlyka. Miał bowiem kłopoty z utrzymaniem w jednej ręce zarówno lornetki, jak i tym bardziej lunety. – Nie wiem, czy potrafi czytać w myślach czy nie, ale mam całkowitą pewność, że nigdy nie postawił na właściwą drużynę. Powiem jednak tyle: jako kadet na HMS *Przeznaczenie* przekonałem się, że wie, co myśli każdy członek załogi. – Wyprostował się i opuścił lornetkę, z wdzięcznością kiwając głową Mahlykowi. – Nigdy nie widziałem, żeby jakikolwiek marynarz wykręcił jakiś numer pod jego nosem. A niejednego tego próbował, możesz mi wierzyć; przypominało to właściwie przeciąganie liny... Nie było też ważne, co mnie gnębi. On zawsze o tym wiedział, i to nawet przede mną!

– Tak samo jest ze sternikami, jeśli wolno mi się wtrącić – rzucił

Mahlyk i posłał młodemu dowódcy dosyć ostre spojrzenie. – Zdaje się, że członkowie Zakonu Pasquale mówią o tym „zaraźliwa” umiejętność.

– Jako że mnie nikt nigdy nie oskarżył o to, że czytam cudze myśli, doprawdy nie wiem, do czego pijesz – rzekł Hektor, odwracając się.

Z nieobecnym wyrazem twarzy zawiesił sobie lornetkę na szyi, nie spuszczając spojrzenia z majaczących na wodzie żagli, które odcinały się na tle łagodnego popołudniowego słońca. Naturalnie żaden z towarzyszących mu mężczyzn nie miał pojęcia, jak dobrze i ostro je widzi.

Stał tak w bezruchu przez niemal całą minutę, po czym wreszcie otrząsnął się z zadumy i popatrzył na Hahlbyrstahta.

– Niech Lawrync wespnie się jeszcze raz na górę i policzy ich ponownie. Stąd na pewno nie widać wszystkich, ale chcę znać liczby jak najbliższe prawdy. A później pošlemy sir Dunkynowi kolejną wiadomość, póki jest dość światła, żeby *Dziedzic* był w stanie przekazać nasze sygnały.

– Chłopak ma prawdziwy talent, nieprawdaż, sir? – zapytał kapitan Lathyk, spoglądając na trzymaną w ręku kartkę ze spisana wiadomością. – Skupia się na konkretach, mówi, co wie, a także czego nie wie. – Podniósł spojrzenie i pokręcił głową. – Znam dowódców trzykrotnie od niego starszych, którzy nie zdają sobie sprawy z wagi tej ostatniej informacji.

– Przypuszczam, że miał dobrego mentora – zauważył baron Sarmouth z uśmiechem. Stojąc, przyglądał się mapie rozłożonej na stoliku pomiędzy nimi, podczas gdy lampy zawieszane na łańcuszkach kołysały im się lekko nad głowami. – W każdym razie to miłe, gdy strona robi to, czego się po niej spodziewasz.

– Można to tak ująć... – zgodził się Lathyk z kwaśną miną, po czym machnął kartką. – Komuś zabrakło tu wyobraźni. Płyną prosto na nas? – Potrząsnął głową. – Przecież to najlepszy sposób, żeby dać się wybić do nogi.

– Co racja, to racja, Rhobairze – skwitował baron Sarmouth, stukając palcem w mapę. – Ale w gruncie rzeczy nie mają większego wyboru. No

chyba żeby któryś z tych galeonów chciał wdać się w taniec z sir Hainzem.

Ponieważ Lathyk przybrał minę jasno świadczącą o tym, jakie ma zdanie w tej sprawie, baron Sarmouth prychnął głośno.

– Tak właśnie myślałem – dodał. – Nie zapominaj też, że jak na razie widzieli tylko szkunery. Zapewne domyślają się, że musimy tu gdzieś być, ale nie mają co do tego pewności. Niewiadomą pozostaje nasze położenie i nasza liczebność. Równie dobrze mogą się na nas natknąć za kwadrans, jak nigdy, jeśli te szkunery tylko pozorują komunikację z flotyllą galeonów, które tak naprawdę znajdują się zupełnie gdzie indziej i są zajęte zupełnie czymś innym. Przypomina to trochę przypadek Desnairczyków na Morzu Markowiańskim, prawda? Założę się, że niejeden się wtedy zawstydził, gdy fakty wyszły na jaw! A nie sądzisz chyba, że hrabia Thirsku czy też Raisahndo zadali sobie ten trud i próbują ich naśladować?

Admirał uśmiechnął się, kapitan flagowca zaś parsknął i pokręcił głową.

– Ano nie sądzę, mój panie. Gdyby byli tak głupi, kraken już od dawna powiewałby nad Gorath.

– Otóż to – potaknął baron Sarmouth. – Nie wierzę, aby choć przez chwilę myślał, że robimy właśnie to, ale przecież powinien to wziąć choćby pod uwagę, szczególnie że wszyscy, ale to wszyscy na świecie mają świadomość, do czego jesteśmy zdolni. Poza tym doskonale się orientuje, gdzie były te kanonierki, kiedy wypływał z portu. I choć my mamy przewagę pokrytych miedzią burt, różnica w naszej prędkości jest mniejsza niż ta między galeonami i parowcami. O ile nie postanowi zatopić ich, nie opuszczając nawet zatoki, będzie musiał dokądsz zabrać te swoje okręty, Rhobairze. Nie mając pojęcia, co jest naszym największym atutem, może co najwyżej wybrać drogę ucieczki i trzymać kciuki, aby okazała się właściwa. Ostatnie zaś, na co może sobie pozwolić, to wahanie podczas gdy kanonierki zbliżają się do jego kotwicowiska. Już lepiej mu będzie podjąć walkę i spróbować się przebić do Gorathu, nawet jeśli oznacza to stawienie czoła całej eskadrze na tak małej przestrzeni, niż pozostać bezczynnym i znaleźć się pomiędzy młotem i kowadłem.

– Kiedy tak to ująć, chyba jednak nikomu nie zabrakło wyobraźni

w takim stopniu, w jakim sądziłem – przyznał Lathyk. – Aczkolwiek ja starałbym się raczej przedrzeć na pełne morze pod osłoną ciemności.

– Ha! To jest myśl! Z drugiej strony pokona cieśninę Cutfish przed świtem, a to przecież najwęższa część trasy. Później będzie jeszcze musiał poradzić sobie na Broken Hawser Rock, zanim dotrze do zatoki. Dlatego... gdybym był na jego miejscu... wolałbym płynąć w ciemnościach jakieś osiemdziesiąt czy dziewięćdziesiąt mil, zakładając, że łatwiej będzie umknąć przed naszymi szkunerami po ciemku na otwartym morzu. Tak czy owak decyzja nie należy do łatwych. Zatem ciekawe, jak będzie: czy spróbuje nam umknąć w świetle dnia po tej stronie cieśniny Cutfish, czy raczej zaryzykuje możliwość, że dopadniemy go po ciemku?

Baron Sarmouth ponownie popukał w mapę, tak że ramiona cyrkla dotknęły cieśniny Cutfish pomiędzy Tybor Rock na południowym krańcu mielizny Shipworm i najbardziej na północny wschód wysuniętym koniuszkiem wyspy Shyan.

– Z pewnością najchętniej przeprowiłby się przez kanał i wypłynął w morze, kierując się do rodzimego portu w Gorathu, w nadziei, że nawet nie zobaczy żadnego z naszych galeonów. Trudno jednak oczekiwać, aby był aż tak naiwny. Niewątpliwie jest gotowy na walkę z nami i jak się domyślam, zamierza ją prowadzić z jak najmniejszego dystansu. Co w cieśninie Cutfish rozumie się samo przez się, gdy się nad tym zastanowić. Odcinek ten ma zaledwie piętnaście mil szerokości, i to nawet przy przypływie, który bez wątpienia będą preferować jego galery śrubowe. Ten rodzaj okrętów został zaprojektowany do szybkiego abordażu, nie zaś do walki z daleka, jak nasze HMS *Błyskawica*, *Seamount*, *Zhenyfyр Ahrmahk* i *Góra Lodowa*, które lubią szerokie wody i sprzyjające wiatry. Zatem tak, to mogłoby się Hahlyndowi udać, gdybyśmy nierozsądnie postanowili doprowadzić do konfrontacji w ciemnościach. Zarazem mały dystans oznacza, że nie będą mieć wiele miejsca na ominięcie nas, zwłaszcza że po ciemku manewrowanie takimi okrętami nie należy do najłatwiejszych. Trudno choćby liczyć, aby ktokolwiek odbierał sygnały! Pamiętajmy, że Chłopcy Świątyni nieraz w przeszłości dostali łupnia w ciemnościach nocy. Jak na przykład na wspomnianym Morzu Markowiańskim.

Tym razem uśmiech barona Sarmouth był lodowaty.

– Mimo wszystko nadal uważam, iż może uznać, że ciasny akwen i kiepska widoczność poskutkują upośledzoną manewrowością w naszym wykonaniu... oraz w ich... i że jedyną prawdziwą szansą dla nich będzie podjęcie walki. To dlatego Hahlynd zbliża się o tak późnej porze. Liczy na to, że złapię przynętę i postanowię go zaskoczyć w mrokach nocy. Oczywiście możemy zrobić coś innego. Gdyby nasze poszycia pod linią wody nie były obłożone miedzią, a także gdyby Hektor i pozostali nie mieli na niego oka, zapewne spróbowałbym go zaskoczyć, byle nie wy dostał się z cieśniny Cutfish i nie zmusił nas do ścigania go na otwartym morzu. Prawda jest jednak taka, że nie wy dostanie się na pełne morze, nawet jeśli opuści cieśninę Cutfish i wpłynie do zatoki. Biorąc to wszystko pod uwagę, wcale mi się nie śpieszy, aby położyć temu kres. W przeciwieństwie do niego bowiem dysponujemy nieograniczoną ilością czasu. Poza tym ani myślę wdawać się w przepychanki z galerami śrubowymi po nocy! Jak dotąd żadna z nich nie posłała w naszą stronę tej przeklętej torpedy Zhwaigaira i niech tak zostanie!

– Ma pan rację, sir – zgodził się Lathyk. – Co zatem poczniemy?

– Niegłupie pytanie, Rhobairze.

Baron Sarmouth rzucił cyrkiel na mapę i wyprostował się, krzyżując ramiona na piersi i marszcząc czoło. W rzeczywistości spoglądał na całkiem inną mapę, którą Sowa właśnie wyświetliła mu wprost na soczewkach kontaktowych, przedstawiając dokładnie położenie i kursy wszystkich jednostek znajdujących się w promieniu stu pięćdziesięciu mil od HMS *Przeznaczenie*.

W tej właśnie chwili Raisahndo i jego czterdzieści trzy galeony, dwanaście galer śrubowych i jedenaście brygów i szkunerów znajdowało się w odległości dziewięćdziesięciu mil od nich. W miarę jak wiatr się uspokajał, prędkość dohlariańskich jednostek malała odpowiednio, Raisahndo wszakże nie kazał wciągnąć na maszt żadnego żagla więcej, co znaczyło, że ma zamiar pokonać cieśninę Cutfish po ciemku. Lecz – jak słusznie wytknął to przed momentem baron Sarmouth – nie wszystkie kadłuby tej floty były pokryte miedzią.

Prawda bowiem była taka, że wyłącznie Cesarska Flota Charisu miedziowała wszystkie swoje okręty, nawet frachtowce, a także kanonierki, których burty pod linią wody specjalnie objano drewnem,

aby było jak przymocować miedziane płyty bez konieczności używania żelaznych nitów. Było to bardzo kosztowne, jednakże dopóki Królewska Akademia nie wynajdzie farb antykorozyjnych, co nie miało się wydarzyć w najbliższej przyszłości, był to jedyny sposób ochrony zanurzonego kadłuba przed obrastaniem. Gdyż – choć żelazny kadłub był raczej odporny na próby przegryzienia – nie miał specjalnie jak się bronić przed porastaniem i wszelakimi małżami. Z kolei ponad jedna czwarta okrętów Raisahnda nie dysponowała tą przewagą i po dłuższej trasie traciła na prędkości węzeł albo nawet dwa węzły więcej niż charisjański galeon tej samej wielkości i powierzchni żagli.

Tak więc raczej nie ucieknie, gdy sprawy przybiorą zły obrót. A przybiorą, chyba że pomyliłem się w obliczeniach. Niemniej – tak jak powiedziałem Rhobairowi – przeciwnik znalazł się w nie lada tarapatach. Jedyna droga ucieczki jest pilnowana, a on, aby ją pokonać, będzie musiał się zmierzyć z nami.

Tylko że do tego nie dojdzie.

Na moment opanowało go uczucie żalu, które jednak szybko stłumił. Caitahno Raisahndo być może był honorowym i przyzwoitym człowiekiem. Hrabia Thirsku także, ale nawet to nie zapobiegło wydarzeniom, które spotkały Gwyllyma Manthyra i jego ludzi. Nic też nie było w stanie zmienić faktu, że Dohlar od samego początku z entuzjazmem kibicuje Kościołowi Matce.

A za takie rzeczy trzeba zapłacić wysoką cenę, pomyślał ponuro. Nie podoba mi się, że to właśnie ja będę musiał ją odebrać, nieważne jednak. Czasami człowiek musi zrobić to, co mu się nie podoba.

– Jutro rano w porze śniadania powinniśmy znajdować się tutaj – odezwał się w końcu, opuszczając rękę, aby palcem wskazującym wymierzyć w punkt na mapie leżący trzydzieści mil na północ północny wschód od ich obecnej pozycji. – To wystarczająco daleko, aby nikt z wyspy Shipworm nie mógł donieść o naszej pozycji. Zakładając, że Hektor nie stracił nic ze swojej młodzieńczej efektywności, około południa będziemy dokładnie tam gdzie trzeba, by podjąć walkę.

Kapitan flagowca wykręcił szyję, żeby powieść wzrokiem za czubkiem palca barona Sarmouth, po czym skinął głową.

– Tak jest – powiedział. – Nie ma sprawy.

– Chciałbym, żeby ci dranie wreszcie się objawili, sir – rzekł cicho kapitan Trahvys.

Razem ze swoim przełożonym stał na pokładzie rufowym HMS *Huragan*. Twarze obu mężczyzn były podświetlone przez lunę bijącą od busoli, a sam okręt wpływał właśnie, zachowując wszelką ostrożność, w cieśninę Cutfish. Dowódca flagowca skrzywił się nagle, założył ręce za plecy i zaczął się kołysać na piętach, odwracając spojrzenie od kompasu i spoglądając w bezdenne mrok nocy. Na żaglach lśnił tylko słaby blask gwiazd rozsianych na firmamencie, noc bowiem była bezksiężycowa, a każde źródło światła zostało zgaszone, nie licząc wspomnianego wyżej światła busoli oraz pojedynczej latarni z niebieskim szkłem, jaką każdy galeon miał na rufie celem ustalenia pozycji. Wszystkie działa były naładowane, ich obsady zaś spały – czy też starały się spać – obok armat, ignorując chłód. Wokół panowała cisza właściwa dla płynącego okrętu. Caitahno Raisahndo zastanawiał się, czy kapitan Trahvys także ma nerwy napięte jak postronki.

– Zakładając, że w ogóle mają taki zamiar – dorzucił kapitan Trahvys.
– Bo jakoś nie widzi mi się, aby mieli nam tylko pomachać, kiedy będziemy ich mijać w drodze do Gorathu.

– Jestem tego samego zdania – zapewnił podwładnego Raisahndo. – Między nami mówiąc, spędzę na klęczkach parę godzin, jeśli tylko uda nam się prześlizgnąć obok nich bez zwracania na siebie uwagi barona Sarmouth. – Było to wyznanie, jakiego nie uczyniłby w obecności pierwszego lepszego człowieka, zatem kapitan Trahvys kiwnął głową z wdzięcznością. – Niestety – podjął admirał – jestem więcej niż pewien, że nie będzie nam to dane.

– Przykro mi to powiedzieć, sir, ale może pan mieć rację – wymamrotał kapitan flagowca.

Raisahndo tylko wzruszył ramionami.

– Czasami człowiek ma związane ręce, Lewk. Nie wątpię, że nasi chłopcy dadzą z siebie wszystko, gdy przyjdzie pora. Nie mylisz się co do jednego: to idealne miejsce do walki, szczególnie że mają w niej wziąć udział galery śrubowe admirała Hahlynda. Może nawet uda im się użyć tych przeklętych torped, które do tej pory były wykorzystywane

wyłącznie na ćwiczeniach.

Trahvys skinął głową. Jednostki Pawala Hahlynda zostały uzbrojone w tak zwane torpedy z trzystufuntowymi ładunkami zaopatrzonymi w zapalniki uderzeniowe. Przy założeniu, że będzie taka możliwość, zostaną one ustawione pod kątem, stercząc za burty na podobieństwo staromodnych włóczyń jazdy. Kiedy podejda odpowiednio blisko pod osłoną ciemności i wbiją je w burtę charisjańskiego okrętu, żadna osłona na świecie nie zdoła uratować ofiary!

– Nawet w razie braku galer śrubowych najlepsze szanse na zadanie strat wrogowi miałyby te galeony, które podejda odpowiednio blisko. Rzecz jasna, nad tym, co się rozpęta, nikt nie będzie miał kontroli. Tak się jednak składa, że zamieszanie na ogół pomaga uciekającemu, nie zaś temu, kto próbuje uciekać. Zresztą nie oszukujmy się. Mam świadomość tego, co mówiłem wcześniej, lecz przecież tak naprawdę wcale nie chcemy doprowadzić do walki. Chodzi nam o to, aby uciec Charisjanom, a na to trzeba nam otwartej przestrzeni. Jeśli baron Sarmouth będzie łaskaw ujawnić obecność swej eskadry w ciągu najbliższych kilku godzin i da nam możliwość walki na naszych warunkach, bynajmniej nie będę się skarżył! Zrobiłem, co w mojej mocy, aby go do tego nakłonić. Gdybyśmy jednak zamienili się miejscami... – Pokręcił głową. – Siedziałbym sobie spokojnie gdzieś tam i czekał, aż się pokażemy. Nie byłoby mowy o żadnej nocnej utarczce, wszystko pozostawiłbym światłu dnia.

Kapitan Trahvys chrząknął potakująco, a Raisahndo dla odmiany skrzywił się pod osłoną mroku. Był bardziej zdenerwowany, niżby chciał przyznać. I nie powiedział tego wszystkiego, co właśnie powiedział, przez wzgląd na dowódcę flagowca – w istocie próbował przekonać samego siebie, że faktycznie mają jakieś szanse na zrealizowanie swego planu. Prawda bowiem była taka, że za dnia czy po nocy jakiegokolwiek starcie okaże się przykrym doświadczeniem dla Eskadry Zachodniej, na co on pomimo najszczerzych chęci nie mógł nic poradzić. Zdolny admirał zazwyczaj znajdował sposób na rozprawienie się z przeciwnikiem, pod warunkiem że jego flota była potężniejsza lub szybsza od floty wroga.

Pechowo w wypadku Eskadry Zachodniej nie było o tym mowy.

– Cóż, świt nastąpi za trzy godziny – rzucił, a obłoczek pary wypuszczony z ust zalśnił w blasku bijącym od busoli. – Zakładając, że ci dranie nie objawią się w tym czasie, dobrym pomysłem będzie

nakarmienie ludzi tak na wszelki wypadek.

– Są wciąż z nami, jak widzę. O czasie! – zauważył porucznik Hahlbyrstaht, gdy słońce wychyło się za horyzontu, złocąc odległe żagle. – I w miejscu, które przewidziałeś, panie. Przypomina mi to trochę Cieśninę Fernu w zeszłym roku...

– Nie powinniśmy o tym rozmawiać, Zosh – odparł Hektor.

Napomniany oficer skinął głową skruszony.

– Oczywiście, sir – rzekł służbiście, po czym zaraz się wyszczerzył. – Co nie zmienia faktu, że daliśmy im wtedy popalić. Nie ja jeden na pokładzie tak myślę. Czy to jego wysokość nauczył cię, panie, jak wyczuć wroga na odległość?

– Nie. Aczkolwiek czasami wydaje mi się, że to sztuka, której sir Dunkyn nauczył Cayleba, gdy ten był jeszcze kadetem. – Hektor uśmiechnął się, słysząc w słuchawkach prychnięcie cesarza, który przebywał w odległym Siddarze. Zaraz też wzruszył ramionami. – W tych okolicznościach naprawdę nietrudno było przewidzieć, w jakim miejscu ich zastaniemy.

– Być może, ale trzymanie się blisko i niewypadnięcie na tę dwójkę po ciemku było niemałym wyzwaniem – skontrował Hahlbyrstaht, wskazując na żagle dwóch dohlariańskich brygów, płynących mniej niż cztery mile od HMS *Skrzydło*. Najbliższe galeony znajdowały się w odległości co najmniej ośmiu mil. – Czuję lekkie zmartwienie. Chociaż oczywiście wiem, że dwa do jednego to nic dla takich morskich wyg jak my. – Pstryknął palcami pogardliwie. – Mimo wszystko mogło być wesoło!

– Właśnie dlatego zaufałem całkowicie naszym obserwatorom. – Hektor znowu się uśmiechnął. Tym razem jego uśmiech był szerszy i drapieźniejszy. – Admirał wpoił mi przekonanie, że lekka obawa czyni cuda i sprawia, iż człowiek staje się ostrożniejszy, niż gdyby czuł się nazbyt pewny swego. – Potrząsnął głową i przestał się uśmiechać. – Czasami zastanawiam się, czy on w ogóle zdaje sobie sprawę, jaka to odpowiedzialność, powiedzieć coś takiego dziesięcioletniemu kadetowi.

– Odpowiedzialność? – powtórzył Hahlbyrstaht. – Baron Sarmouth

jest najbardziej odpowiedzialnym człowiekiem, jakiego znam.

– Och, chyba tak – przyznał Hektor. Następnie odwrócił się, aby spojrzeć w kierunku północno-wschodnim. Musiał przy tym ochronić oczy przed blaskiem słońca dłonią zdrowej ręki. – Mam nadzieję, że *Dziedzic* znajduje się tam, gdzie powinien?

– Tak jest. Przynajmniej znajdował się tam, gdy ostatnio sprawdzałem. – Hahlbyrstaht zaśmiał się cicho. – Było to jeszcze przed tym, zanim to cholerne słońce zaczęło świecić nam prosto w oczy. Myślę, że bez problemu odczyta nasze sygnały, aczkolwiek odszyfrowanie odpowiedzi może być już nieco trudniejsze.

– Skoro wszystko jest jak należy, przekazmy tę informację admirałowi za pośrednictwem komandora Cupyra. – Hektor się skrzywił. – Powinniśmy poznać reakcję admirała za około godzinę.

.V.

W pobliżu mielizny Shipworm Zatoka Dohlariańska

Domyślam się, że nikt nie sprecyzował powodów opóźnienia? – Lathyk zwrócił się z pytaniem do Zhonesa, nie odrywając wzroku od zegara HMS *Skrzydło*.

– Obawiam się, że nie... sir – odparł kadet Ahrlee Zhones.

Młody mężczyzna, który miał jasne włosy i nosił okulary, musiał poczekać jeszcze dziesięć miesięcy na awans na chorążego, a mimo to pełnił obowiązki porucznika flagowego barona Sarmouth, odkąd książe Darcos opuścił pokład HMS *Przeznaczenie*.

– Jeśli pan sobie życzy, sir, mogę wysłać zapytanie – dodał młodzik, całym sobą pokazując, że to ostatnie, co chciałby zrobić.

Kapitan flagowca to zauważył i wykrzywił ledwie zauważalnie wargi. Całkiem niedawno Zhones był sygnalistą HMS *Przeznaczenie* i raczej nie miał zamiaru zniżyć się znów do tej funkcji.

– Nie, nie trzeba – machnął ręką Lathyk. – To z pewnością nic poważnego. Chociaż – dodał, przenosząc spojrzenie na admirała – szkoda, że nie otrzymaliśmy tej wiadomości przed trzema kwadransami.

– W idealnym świecie tak by było. – Baron Sarmouth ponownie schylał się nad mapą, pracowicie mierząc odległości. – W prawdziwym jednak – skończył mierzyć i posłał Zhonesowi blady uśmiech – dochodzi do sytuacji, które nie są po naszej myśli. Z tego, co pamiętam, jego wysokość ujął to kiedyś dosadniej... Przypuszczam, że w tym wypadku ktoś po prostu musiał odczekać, aż słońce przestanie mu świecić prosto w oczy. – Wzruszył ramionami. – Na szczęście, Rhobairze, mamy wciąż czas. Najbardziej liczy się to, że wiadomość do nas dotarła i że znajdujemy się jakieś sześćdziesiąt mil na północ północny wschód od Raisahnda, zakładając, że nie zmienił on kursu ani prędkości. No i że wiatr nadal nam sprzyja – dorzucił z wielkim zadowoleniem.

– To prawda, sir – zgodził się z przełożonym Lathyk, spoglądając w dół na mapę.

– Zatem chciałbym, abyśmy jak najszybciej skierowali się na południe południowy wschód – oświadczył baron Sarmouth, zataczając palcem wskazującym łuk na mapie. Ruchem tym objął odcinek około dwudziestu mil na południe, po czym skręcił gwałtownie na zachód. – Jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli... a jak przed chwilą ustaliliśmy, w prawdziwym świecie rzadko tak się dzieje... powinniśmy się natknąć na naszych dohlariańskich przyjaciół gdzieś tutaj.

Postukał miejsce na mapie leżące trzydzieści mil na południe od mielizny Shipworm i pięćdziesiąt mil na zachód od wyspy Shyan. Widząc to, Lathyk spochmurniał i przeliczył coś szybko w myślach, następnie zaś skinął głową.

– Dojdzie do tego około piętnastej, sir – stwierdził z pewnym podziwem. – Będziemy mieli dość dnia, aby się z nimi rozprawić.

– To zależy od tego, jak szybko nas zauważą i jakie kroki poczynią, gdy to się stanie. – Baron Sarmouth poruszył nieznacznie ramieniem. – Obawiam się, że związanie ich walką może być trudniejsze, niż nam się wydaje. Na szczęście nie zabraknie nam miejsca, aby to zrobić.

Lathyk ponownie kiwnął głową. Każdy inny dowódca nakazałby zmianę kursu w celu przechwycenia Raisahnda jak najszybciej. Wszelako baron Sarmouth dał mu jasno do zrozumienia, że życzy sobie zmierzyć się z Dohlarianami na otwartym morzu. W takiej bitwie Cesarska Flota Charisu będzie mogła w pełni rozwinąć skrzydła – w przeciwieństwie do Królewskiej Floty Dohlaru. Zbliżająca się wichura może bowiem ograniczyć wartość bojową galer śrubowych. W chwili obecnej fale miały wysokość co najwyżej sześciu stóp, jednakże wiatr zdawał się przybierać na sile, w miarę jak zmieniał się stopniowo na coraz bardziej zachodni. W efekcie nawet sześć stóp sprawi większy kłopot płaskodennym okrętom niż przystosowanym do warunków morskiej żeglugi galeonom. Być może nie miało to specjalnego znaczenia, lecz baron Sarmouth i tak wziął to pod uwagę.

Poza tym, jeśli Eskadra Zachodnia znajdzie się na pełnym morzu, ciężko mu będzie znowu gdzieś się schować, zanim go dopadną i zaczną kęsać.

– Tak jest, sir – potwierdził Lathyk. – Natychmiast zajmę się

wydawaniem rozkazów.

– Uwaga na głowę, sir!

Hektor Aplyn-Ahrmahk rzucił się w tył, gdy Stywyrzt Mahlyk złapał go za tunikę i pociągnął mocno. Moment później ciężki blok spadł na pokład z wielką siłą zdolną zmiażdżyć czaszkę człowieka dokładnie w tym miejscu, gdzie kapitan przed chwilą stał. Podskoczył jeszcze w powietrzu, rozrywając dwie czy nawet trzy stopy smołowanej juty.

– Dziękuję, Stywyracie – powiedział Hektor, nie odrywając ani na chwilę spojrzenia od chmur dymu unoszącego się znad dohlariańskiego brygu.

Był to w większości dym prochowy, ale też pochodzący z palącego się drewna. Mieszając się w powietrzu, wydobywał się z luku na śródokręciu. Co najmniej jedna trzecia załogi walczyła z płomieniami, reszta jednak zajmowała się innymi sprawami. Hektor zobaczył, jak – lekko licząc – sześciu mężczyzn o czerwonych oczach wychynęło z kłębow dymu walących od strony furt działowych. W przeciwieństwie do poprzedniej potyczki HMS *Skrzydło* z dohlariańskim brygiem, w tym wypadku dystans był odpowiedni do tego, by włączyć do akcji karonady – spienione kolumny wody tryskały w górę wokół szkunera, ilekroć gładkolufowy pocisk przebił powierzchnię.

Jak dotąd tylko jeden z tych pocisków dosięgnął HMS *Skrzydło* – dzięki niech będą Bogu Jedynemu. Całe szczęście też, że zawsze przed potencjalną bitwą kapitańska kajuta była ogałacana ze wszystkich sprzętów, które trafiały pod podkład; w przeciwnym razie konieczne by było wyposażenie jej od nowa. Przy czym największą stratą byłby portret Irys. A jednak Hektor chętnie oddałby wszystkie swoje rzeczy, byle tylko odwrócić wypadki. Pocisk zapalający pochłonął trzy ofiary śmiertelne i czterech rannych. Efektem było także kilkanaście połamanych desek i para mocno zniszczonych elementów żebrowania. Losy bitwy ważyły się przez długą chwilę.

Jednakże HMS *Skrzydło* stanął na wysokości zadania. Choć nawet z pomocą SAPK-ów trudno było się zorientować w tym dymie i zamieszaniu, wszystko wskazywało na to, że Dohlarianie są stroną

przegrywającą. Hektor dziwił się, że bryg wciąż odpowiada ogniem po tym, jak został trafiony przez co najmniej trzy trzydziestofuntowe pociski, a także dwa czternastofuntowe. Dohlarianie byli wszakże znani ze swej wytrzymałości. Mimo że ich okręt stał w płomieniach, mimo że dysponowali mniejszą liczbą dział, mimo że poziom wody podnosił się w żęzie, w dalszym ciągu parli przed siebie, chcąc minąć HMS *Skrzydło* i zająć dogodną pozycję, by rozprawić się z resztą eskadry barona Sarmouth. Hektor łudził się, że na ich miejscu zachowałyby się podobnie, ale...

Miecz Sprawiedliwości zniknął w kuli ognia, kiedy płomienie w końcu dotarły do magazynu prochowego.

– I to by było na tyle, jeśli chodzi o nierozwiązane zagadki. – Caitahno Raisahndo powściągnął gorycz, stając przy świetliku kajuty.

Usiłował nie myśleć, ile kosztowało go zdobycie tych informacji – niepełnych informacji – które Gahryth Kahmelka właśnie nanosił na mapę. Dowódca wolałby naturalnie kompletny raport, lecz ten był poza zasięgiem ludzi zbudowanych z krwi i kości.

Zresztą nawet to, czego się właśnie dowiedział, mówiło samo za siebie.

Kahmelka stał u jego boku, a Ahrnahld Mahkmyn po przeciwnej stronie stołu. Ten ostatni trzymał w pogotowiu notes i pióro. Gdyby Raisahndo chciał ocenić, który z nich sprawia wrażenie mniej zmartwionego, musiałby wskazać na oficera flagowego, aczkolwiek przypuszczał, że pozory jak zwykle mylą. Mahkmyn był za bystry, żeby nie uświadamiać sobie, w jak złej sytuacji się znaleźli. Zarazem był też za młody – i za niski stopniem – aby swobodnie okazywać swoje zaniepokojenie w obecności przełożonych.

Blask wpadający przez świetlik bezlitośnie rozjaśniał pokryte znacznikami fragmenty mapy, podczas gdy HMS *Huragan*, skrzypiąc boleśnie, płynął przed siebie. Raisahndo przysłuchiwał się charakterystycznym odgłosom, znanym każdemu marynarzowi, i zastanawiał się, czy jego jednostka wie, co ją czeka.

Miał nadzieję, że nie. I ze wszystkich sił starał się stłumić podsuwane mu przez wyobraźnię jęki – nie tylko ludzi, ale też desek – które

niebawem zastąpią tę miłą dla marynarskiego ucha ciszę.

Nadal możesz wydać rozkaz złamania szyku i rozpierzchnięcia się na akwenie, pomyślał. Masz na to całe dwadzieścia mil; flota przeciwnika płynie może o węzeł albo dwa szybciej niż ty, wszystko przez te miedziane osłony. Poza tym wroga eskadra jest mniej liczna. Charisjanom nie starczy okrętów, żeby rzucić się w pogoń za nami wszystkimi; dzięki temu choć części z nas uda się umknąć.

Na nieszczęście jednak drogi ucieczki były ograniczone.

O ile nie postanowi zawrócić tam, skąd przyплыł – co byłoby swego rodzaju samobójstwem, tyle że rozciągniętym w czasie, zważywszy na to, co do tej pory musiało spotkać Rhaigair – może się skierować jedynie na wschód lub południowy wschód. Tylko to dawało jakiegokolwiek nadzieje na ocalenie.

Cypel wyspy Shyan nie pozwalał mu na zawrócenie na południe... chyba że Raisahndo chciałby zaryzykować utknięcie na szerokim na czterdzieści mil odcinku wód rozciągającym się pomiędzy Mussel Shell Ledge i Broken Hawser Rock. Jak łatwo się domyślić, ani mu to było w głowie; doskonale wiedział, że miejscowi rybacy nie bez powodu nazywają to miejsce Cieśniną Topielca. Niestety dla niego wiatr nie przestawał się zmieniać. Nie tylko przybierał na sile, ale wiał coraz bardziej z północy północnego wschodu – o dobre sześć albo nawet sześć i pół stopnia mocniej w porównaniu z minionym dniem. Jeśli nie nastąpi cud (który był raczej mało prawdopodobny, skoro obrońcy Kościoła Matki już od dłuższego czasu nie cieszyli się wsparciem Boga Jedyne), wiatr w końcu zmieni się na dobre, a wtedy baron Sarmouth z łatwością dopadnie ich, zanim miną Broken Hawser Rock.

Caitahno Raisahndo świetnie wiedział, jak nieprzyjemne będzie znalezienie się w Cieśninie Topielca po zawietrznej, z wiatrem przybierającym na sile i coraz bardziej burzącym się morzem. Nie wspominając o wrogiej eskadrze czającej się po nawietrznej.

Nie mógł też uciekać na północ ani na północny wschód. Mielizna Shipworm rozciągała się dokładnie na kierunku północnym. Nie był w stanie jej przeciąć, a nie uśmiechało mu się uwięzienie między nią i potężniejszą armadą.

Północny wschód odpadał z tego względu, że wtedy musiałyby żeglować praktycznie pod wiatr. Galery śrubowe byłyby do tego zdolne, pod

warunkiem że wiatr nareszcie by się uspokoił, jego rejoyce jednak nie dałyby rady iść bardziej z wiatrem.

Z kolei właśnie w tym momencie eskadra barona Sarmouth tkwiła idealnie umiejscowiona nieco na wschód, blokując drogę ucieczki w tym kierunku, jak i w każdym innym.

Wszystko to razem znaczyło, że jakkolwiek szeroko rozproszyłaby się jego eskadra, nie zdołałaby uniknąć przechwycenia. Wydając taki rozkaz, sprawiłby tylko, że jego flota zamieniłaby się w bezładną masę uciekających jednostek niezdolnych do wzajemnej pomocy w razie potrzeby.

Powtórka z Rify Armagedonu, pomyślał. Ze mną w roli Malikaia tym razem.

Z drugiej strony, szacunki jego zwiadowców głosiły, że Charisjanie mają nie więcej niż trzydzieści galeonów – trzydzieści pięć w porywach – podczas gdy on dysponował aż czterdziestoma trzema. To prawda, że jedna z wrogich jednostek dorównywała przejętemu *Dreadnoughtowi*. To znaczy co najmniej jedna. I że część okrętów przeciwnika zaliczała się do rodzaju okrętów artyleryjskich, które miały znacznie lepsze uzbrojenie nawet od HMS *Huragan*. Niemniej czterdziestoprocentowa przewaga liczebna pozostawała czterdziestoprocentową przewagą liczebną, zwłaszcza dopóki Raisahndo sprawował nad swoją eskadrą kontrolę taktyczną – przynajmniej do czasu rozpoczęcia walki. A w grę wchodził jeszcze tuzin galer śrubowych Hahlynda.

Cokolwiek byś zrobił, nie dostaniesz lepszych kart, pomyślał. Nie ma mowy o uniknięciu potyczki. Pora połknąć tę żabę i zrobić dobry użytek z okrętów i marynarzy... Przekonując się tak w duchu, usiłował zapomnieć, jaką przewagą dysponował Malikai na Rifie Armagedonu.

– No dobrze – odezwał się na głos, odrywając wzrok od mapy. – Jest nas prawie dwa razy więcej od nich, jeśli wziąć pod uwagę galery śrubowe. Nasi szpiedzy twierdzą, że wróg dysponuje co najmniej sześcioma galeonami więcej niż te, które zostały dostrzeżone. To bardzo możliwe. Nie da się jednak wykluczyć, że wspomniana szóstka w dalszym ciągu pilnuje Kanału Północnego. Jeśli tak jest, powinniśmy na nie uderzyć jak najszybciej, to znaczy zanim zdążą ruszyć tutaj jako wsparcie. Jeśli uda nam się przebić i jeśli pokonamy dodatkowe pięćdziesiąt mil na wschód, czy coś koło tego, zostawimy za sobą Broken

Hawser Rock bez względu na kierunek wiatru. A wtedy, pod osłoną ciemności i, Bóg Jedyny da, złej pogody, chociaż część naszych zawinie bezpiecznie do portu.

Kahmelka potaknął skinieniem z poważną miną, lecz spokojnym wzrokiem.

– Nie pora na cackanie się – podjął ponurym tonem Raisahndo. – Skoro tak mu zależy na starciu z nami, będzie miał to swoje upragnione starcie. Im szybciej do niego dojdzie, tym lepiej z naszego punktu widzenia. – Przeniósł spojrzenie na porucznika Mahkmyna. – Wyślemy wiadomość, Ahrnahldzie.

– Słucham, sir.

– Do wszystkich galeonów: stawiać wszystkie żagle, kurs północny wschód-wschód. Do admirała Hahlynda: rozkazy dla galer śrubowych pozostają bez zmian. Do wszystkich jednostek: szykować się do bitwy.

– Podjął decyzję, sir – powiadomił przełożonego Lathyk, stając obok admirała na pokładzie rufowym HMS *Przeznaczenie*.

Przez chwilę obserwowali w milczeniu majaczące na horyzoncie żagle Eskadry Zachodniej, kierujące się na północny wschód, ostro pod wiatr. Z kolei HMS *Przeznaczenie* i pozostałe okręty Charisjan miały wiatr od rufy, co właściwie dla galeonu było idealną sytuacją. Przynajmniej w tym konkretnym momencie.

– Jeżeli nie zawodzi mnie inteligencja, podjął decyzję, co robi w takim wypadku jak ten, na długo przed tym, zanim opuścił Rhaigair – odparł baron Sarmouth. – Nie będę udawał, że nie uczyniłem wszystkiego co w mojej mocy, aby go do tego zachęcić, lecz bez względu na to on doskonale wiedział, jakie ma opcje, wyruszając w drogę. –

Spojrzenie admirała stwardniało. – Szkoda tylko, że nie walczy po naszej stronie

Rozejrzał się wokół siebie. Szeroki pokład wyglądał nieskazitelnie w ostry, jasny słońcu. Jednakże to się mogło zmienić jeszcze tego samego wieczoru.

Otrząsnął się z podobnych myśli i podniósł wzrok na olinowanie. Proporzec na szczycie masztu był doskonale widoczny, jeszcze

nieusztyniony przez wiatr, ale już częściowo rozwinięty – powiewał na całej swojej długości. Admirał ocenił wyćwiczonym okiem, że płyną z prędkością dwudziestu pięciu, może trzydziestu mil na godzinę. Raisahndo nawet z dodatkowym żaglem nie mógł rozwijać prędkości większej niż pięć węzłów, zważywszy, że ustawił swoje jednostki praktycznie pod wiatr. Najwyraźniej nie zamierzał pozwolić, aby baron Sarmouth ustawił się z wiatrem do niego przed rozpoczęciem bitwy. Mało prawdopodobne, aby liczył na to, że uda mu się w ten sposób ominąć Charisjan, skoro mielizna Shipworm leżała dokładnie na jego obecnym kursie. Jednakże biorąc pod uwagę wiatr, wydawało się Dohlarianinowi właściwym posunięciem.

Czy słusznie, to się dopiero miało okazać. W każdym razie szanse były wyrównane i jeśli w ogóle ktoś wygra ten wyścig...

Sarmouth musi próbować szczęścia z wiatrem, ale w takim wypadku będzie musiał odbić mocno na sterburtę, idąc jeszcze ostrzejszym halsem, co wydłuży znacznie drogę do miejsca, w którym mają się spotkać obie flotylle. W przeciwnym razie – oraz jeśli Raisahndo zdoła jednak ustawić się w lepszej pozycji, a przy tym ominąć mieliznę Shipworm – uniknięcie walki może być realne pomimo wszystko. Przy przewadze, jaką dawały miedziane osłony i takielunek, okręty barona Sarmouth były w stanie rozwinać prędkość większą o co najmniej węzeł niż Dohlarianie przy tej samej powierzchni żagli. Z drugiej strony admirał miał dalszą drogę do pokonania, jeśli chciał zająć pozycję na nawietrznej. Przemyślawszy to wszystko, kiwnął do siebie głową.

– No dobrze, Rhobairze. Skoro tak mu się śpieszy na nasze spotkanie, wypada wyjść mu naprzeciw. Rozwińmy pozostałe żagle, kurs na zachód północny zachód.

– Dlaczego czuję się tak mały i nic nieznaczący, sir?

Zosh Hahlbyrstaht i Hektor Aplyn-Ahrmahk stali ramię w ramię na relingu HMS *Skrzydło*. Pompy pracowały miarowo, aczkolwiek dość wolno, młoty natomiast, piły i topory wydawały głuche odgłosy za ich plecami, podczas gdy pokładowy cieśla z pomocnikami naprawiali szkody. Hektor dopiero co wrócił z wizyty w okrętowym lazarecie.

Wszystko wskazywało niestety na to, że straci dwóch rannych. Na tę myśl zacisnął mocno wargi, czując ból silniejszy niż jakikolwiek doświadczony w życiu fizycznie. Zdawał sobie jednak sprawę, że HMS *Skrzydło* wyszedł z potyczki obronną ręką. A już na pewno był teraz w lepszym stanie niż *Miecz Sprawiedliwości*. Siedemnastu członków załogi tego ostatniego zostało wyłowionych z lodowatego morza, z czego trzech już poddało się poważnym oparzeniom i wyzionęło ducha.

Hektor na razie nie chciał o tym myśleć. Miał świadomość, że będzie go to dręczyć w snach, a raczej w koszmarach. Tymczasem wolał nie zaprzętać sobie tym głowy i po prostu patrzył razem z podwładnym na rozpościerającą się przed nimi scenę, która musiała wywołać podziw w każdym marynarzu.

Osiem dziesiątek galeonów sunęło ku sobie niczym dwie wielkie pływające wyspy bądź też odległe ośnieżone szczyty górskie. W ostrym słońcu środka dnia żagle błyszcząły mocno, rażąc kolorem cyny, beżu czy też szarości, sporadycznie zaś nawet bieli – tam gdzie płótno zostało niedawno zmienione na nowe. Flagi łopotały na wietrze, oślepiając jeszcze bardziej wyrazistymi barwami, które odcinały się od błękitu nieba i stopniowo gęstniejących chmur gnanych wiatrem. Podmuchy rozpędzonego powietrza szalały w olinowaniu i szarpały odzienie marynarzy; mewy i wyverny krążyły w górze i pikowały, wydając piski, a galeony nieprzerwanie zbliżały się do siebie w pełnej majestatu ciszy. Obaj mężczyźni wiedzieli, że nieodległa bitwa przejdzie do historii.

To absurdalne, pomyślał Hektor. Ale też nieuniknione. Zaledwie przed siedmioma laty mielibyśmy tutaj dwie floty galer, które przemierzczałyby się za sprawą wiosel i siły ludzkich mięśni, by doprowadzić do bezpośredniego starcia marynarzy w wyniku abordażu. Tymczasem dziś mamy pływające zamki, kołyszące się pod zwojami żagli i parszające wodą, podczas gdy z furt działowych sterczą rzędy szczerzących się luf armatnich.

Na przestrzeni minionych siedmiu lat zaszły istotne zmiany w sposobie prowadzenia bitew morskich – zmiany, które wydawały się zdumiewające zwłaszcza w oczach oficerów mających tyle lat co Hahlbyrstaht czy Hektor i będących ich świadkami na bieżąco. Obaj zdawali sobie sprawę, że podczas gdy te dwie ogromne floty prą na siebie, nie mając w swoim składzie jednostki starszej niż sześćioletnia i dysponując tysięcznymi załogami i nie mniej licznymi działami,

napędzane parą kanonierki sir Hainza Zhaztra rozprawiają się z Rhaigairem niecałe trzysta mil na północ. A jedynym powodem tego, że Dohlarianie zdecydowali się podjąć walkę w tym miejscu, zamiast trzymać się kotwicowiska i go bronić, było to, że galeony, jakiegokolwiek galeony na Schronieniu, nie miały szans przetrwać choćby dziesięciu minut w walce z jednostką klasy City.

Tymczasem – czy wróg to wie czy nie – za nimi płyną okręty jeszcze potężniejsze, uzmysłowił sobie w myślach Hektor.

– Mały i nic nieznaczący czujesz się zapewne dlatego, że HMS *Skrzydło* to tylko szkuner, a więc jako jednostka morska również mała i nic nieznacząca – odpowiedział na głos na zadane pytanie. Równocześnie gestem zdrowej ręki objął rozpościerające się przed nimi morze żagli. Opuściwszy dłoń, podjął: – To ostatni taki widok... Och, może jeszcze gdzieś dojdzie do jakiejś bitwy, ale nie licząc eskadry hrabiego Thirsku, to praktycznie ostatnia taka flota w rękach Kościoła Matki. Nie spodziewam się, aby hrabia Thirsku wypłynął nam na spotkanie, gdy pozeglujemy do Gorathu. Na pewno nie po tym, co... jak wierzę... admirał Zhaztro uczynił w Rhaigairze. – Potrząsnął głową z jakimś smutkiem. – Galeony znikną z powierzchni Schronienia, tak jak wcześniej kusze. Po zakończonej wojnie nikt już nie stworzy nowej floty galeonów.

– Wiem. – Hahlbyrstaht westchnął. – I zdaję sobie sprawę z tego, że właściwie jako ktoś, kto przesłużył swoje na galeonach, i to często przy złej pogodzie, nie powinienem się nad nimi rozczulać. Trudno bowiem o gorsze przeżycie! Do tego przecież wcale nie mają za sobą wielowiekowej tradycji i... A niech to, sir! I tak będę za nimi tęsknił!

– Życie marynarza jest ciężkie do bólu, Zosh – powiedział Hektor. – To prawda, że galeon jest ładniejszy od jakiegokolwiek parowca. Przynajmniej na razie. Z drugiej strony wyobrażam sobie, co by wybrał pierwszy lepszy marynarz: bieganie po pokładzie w wietrze i deszczu czy szufłowanie węgla pod pokładem, gdzie jest sucho i cicho, choćby nie wiem co.

– Patrzy pan na sprawę pragmatycznym okiem, sir – poskarżył się Zosh.

– Charisjanie tacy już są. – Hektor wzruszył ramionami. Minę miał na poły dumną, na poły zawiedzioną. – Chodzi mi o to, że jesteśmy

pragmatykami. Takimi nas stworzył Bóg Jedyny.

Wrogie eskadry sunęły w swoją stronę z nieubłaganą, przerażającą konsekwencją. Nawet teraz ich prędkość wynosiła dziesięć mil na godzinę. Zdaniem Dunkyna Yairleya to wystarczyło, aby każdy – nawet najbardziej doświadczony – marynarz popuścił w spodnie.

Zdumiał się więc, stwierdziwszy, że on sam ma suche dłonie i niemal normalny puls. Zastanowił się, co jest tego przyczyną. Raczej nie nagły fatalizm, skoro przez lata toczonych na morzu bitew zawsze w oczekiwaniu na walkę czuł motyle w brzuchu. Może więc nareszcie pojął powody – prawdziwe powody – czemu robi to, co robi, ryzykując jedyne życie, jakie dostał w darze od Stwórcy? Czy raczej chodziło o poczucie obowiązku? Bądź o świadomość, że to faktycznie ostatni ruch wykonany przeciwko Grupie Czworoga?

Niewykluczone, że odpowiedź jest prostsza, pomyślał, przechadzając się tam i z powrotem po pokładzie rufowym HMS Przeznaczenie. Niewykluczone, że jestem taki spokojny, ponieważ doskonale wiem, gdzie tym razem znajduje się każdy z tych drani. Och, gdy zacznie się walka, widoczność spadnie niemal do zera, lecz tymczasem – po raz pierwszy, odkąd objąłem dowodzenie na swym pierwszym okręcie – wiem, o co toczy się gra, kto stanie naprzeciwko mnie i jak dopaść jeden po drugim każdy wrogi okręt... To nie powstrzyma zabłąkanej kuli armatniej od urwania mi głowy, jak przypuszczam, ale przynajmniej ani przez chwilę nie będę musiał się zastanawiać, skąd owa kula nadleciała!

Zaśmiał się pod nosem na tę myśl. Jego uwadze umknął fakt, że marynarze – widząc dobry humor admirała – rozluźnili się i także poweseleli.

– Zamierzają ustawić się do nas po nawietrznej, sir – zameldował kapitan Trahvys z nieszczęśliwą miną.

– Są szybsi i lepiej poinformowani, bo ci ich przekłeci zwiadowcy zaczęli im przekazywać informacje chyba zaraz po tym, jak wpłynęliśmy

do kanału Basset. – Raisahndo wzruszył ramionami. – Biorąc pod uwagę każdą przewagę z osobna i wszystkie naraz, chyba tylko ośliniony idiota nie zdołałby się ustawić na nawietrznej.

Trahvys uniósł brew, a admirał zaśmiał się szczekliwie.

– Och, Lewk, ciężko na to pracowałem! Sam bym się tego domyślił, i to w mgnieniu oka, gdyby tylko mi na to pozwolili. Ale kiedy ostatnio widziałeś, żeby jakiś Charisjanin zrobił coś równie głupiego?

– Raczej nigdy, sir – odparł po chwili milczenia kapitan flagowca.

Raisahndo skinął głową.

– No więc sam widzisz.

Stojąc w bezruchu, przyglądał się długiej linii majestatycznych okrętów. Pomyślał, że w sumie na ich pokładach znajduje się co najmniej pięć tysięcy dział. Langhorne jeden wiedział, ilu oficerów i żołnierzy płynie na nich powoli w stronę zagrożenia. Raisahndo nawet nie próbował snuć domysłów. Teraz nie potrzebował już lunety, aby wypatrzeć szczegóły. W dodatku szyk floty barona Sarmouth dobitnie świadczył o zamiarach admirała.

Charisjanie nadciągali w długiej zwartej kolumnie. Wszystkie jednostki były potężne, lecz Raisahndo czuł się najbardziej zaniepokojony przed dwie, które płynęły na czele. Fakt, że Charisjanie malowali swoje okręty w taki sam sposób: kadłub na czarno, z białym pasem wzdłuż furt działowych, sprawiał, że trudno było je od siebie odróżnić. Wszakże jednostki płynące na przedzie miały tylko jeden rząd takich otworów, co wskazywało, że są to okręty klasy Dreadnought.

Raisahndo nie dziwił się, że baron Sarmouth umieścił je na czele. *Haigyl pokazał, co taka kanonierka potrafi, a tutaj znalazła się nie jedna, tylko dwie, do tego w doborowym towarzystwie innych charisjańskich jednostek. Bardzo bym chciał, aby ktoś mnie zapewnił, że dalej w kolumnie nie ma więcej tych przeklętych kanonierek!*

Najwyraźniej baron Sarmouth zamierzał zacząć od mocnego uderzenia, w nadziei że uda mu się dokonać znacznych zniszczeń wśród wroga. Nawet jeśli były szanse na to, że flota Raisahnda przetrwa ten atak, Caitahno niespecjalnie w to wierzył.

– Wiesz – odezwał się, mrużąc oczy – chyba najwyższa pora pozwolić im ustawić się na nawietrznej.

– Że co?

– Powiedziałem, że już jest najwyższa pora pozwolić im ustawić się na nawietrznej – powtórzył Caitahno Raisahndo, aby spojrzeć kapitanowi flagowca prosto w twarz. – Nie jesteśmy w stanie temu zapobiec, chociaż wycelował wyżej, niż przewidywałem. Nie mam pojęcia, czy ich dowódca przekalkulował, czy też woli mieć wciąż dużo miejsca, zanim ostatecznie przypuści atak, ale... Coś mi mówi, że dał nam więcej miejsca, niż powinien.

Trahvys przyglądał się przełożonemu przez moment, po czym przeniósł znów spojrzenie na kolumnę charisjańskich okrętów i dopiero wtedy wolno pokiwał głową.

– Melduje się wachtowy, sir! – obwieścił Sylvyst Raigly, steward Dunkyna Yairleya, wkraczając na pomost rufowy.

Jak zawsze, gdy majaczyła możliwość walki, Raigly był obwieszony pistoletami, mieczami, sztyletami, a nawet granatami. Można było śmiało założyć, że ma przy sobie jeszcze inne niebezpieczne narzędzia.

Całe szczęście, że Stywyrta oddałem Hektorowi, aby pilnował jego pleców, pomyślał baron Sarmouth. Gdyby Stywyrta i Sylvyst znaleźli się w jednym miejscu po wybuchu, Bóg Jedyiny raczy wiedzieć, ile ofiar zginęłoby od latających noży.

– Dziękuję – powiedział na głos, prostując się i odsuwając od relingu, przez który przyglądał się HMS *Cesarzowa* płynącemu tuż za HMS *Przeznaczenie*. Odwrócił się przodem do nowo przybyłego mężczyzny i dłonią wykonał gest zapraszający go bliżej. Sylvyst zniknął tak samo nagle, jak się pojawił, po czym zostali tylko we dwóch: admirał i wachtowy o brązowych włosach i oczach. – Ahbaht – przywitał tego drugiego pierwszy.

Młodzik stanął na baczność i przyłożył dłoń do piersi w salucie.

– Mój panie! – szczechnął czternastolatek. – Kapitan Lathyk przesyła swoje uszanowanie i zawiadania, że wróg zmienił kurs. Kapitan Lathyk kazał przekazać, że miałaś rację, panie!

Ahbaht nie do końca rozumiał znaczenie ostatniego zdania, jednakże baron Sarmouth tylko skinął głową.

– Przekaż moje uszanowanie kapitanowi i powiedz, że niebawem dołączę do niego na pokładzie.

– Tak jest! Uszanowania dla kapitana. Baron Sarmouth dołączy do niego na pokładzie.

Dowódca pokiwał głową na potwierdzenie, na co Ahbaht zasalutował ponownie i oddalił się.

Baron Sarmouth stał jeszcze przez chwilę, podziwiając kolumnę galeonów płynących za HMS *Przeznaczenie* i nasłuchując pisków mew i wyvern, które nieprzerwanie kołowały mu nad głową. Wiedział, że wkrótce skrzydlate zwierzęta znikną – odstraszy je huk dział i wybuchy. Otrząsnął się z tych nieprzyjemnych myśli i ruszył za wachtowym, opuszczając pomost rufowy, by dostać się do kabiny, która jeszcze niedawno była jego kajutą. Obecnie cały okręt stanowił jedną długą obszerną jaskinię: każdą gródź usunięto, aby powstała wolna przestrzeń. Pokład posypano piaskiem, aby zniwelować efekt ślizgania się, i co kilkanaście kroków ustawiono wiadra z wodą, aby było czym gasić pożary. Linia furt działowych wpuszczała powietrze i światło, jeżąc się lufami armat z drugiej strony. Baron Sarmouth czuł, jak wiatr przeczesuje mu włosy niewidzialnymi palcami, i słyszał chrzęszczący mu pod stopami piach, gdy ruszył wzdłuż gotowych do akcji artylerzystów, którzy stali wyprostowani na baczność obok swoich dział. W rękach trzymali sprzęt do obsługi armat, u swego boku mieli kordelasy i pistolety, na podorędziu karabiny z nałożonymi bagnetami – wszystko na wypadek gdyby broń osobista była potrzebna. Marynarze z szacunkiem pochyłali głowy, kiedy ich mijał.

Gdy wyłonił się na pokład, kapitan Lathyk powitał go słowami:

– Oni to zrobią, sir!

– Oczywiście, że tak. – Baron Sarmouth pokręcił głową. – Jak tylko stało się jasne, że nie zdołają się ustawić na nawietrznej, zrozumiałem, że postarają się bardziej chronić.

– Naturalnie, sir. – Lathyk uśmiechnął się łobuzersko. – Rzecz w tym, że udało się to panu przewidzieć co do minuty. Ja obstawiałem, że jeszcze się wstrzymają.

– Cóż, najwyraźniej nie ma pan zaufania do swego admirała, kapitanie. Tymczasem z moją głową wszystko jest w porządku. Chyba udowodniłem, że nie brak mi odwagi cywilnej, aby zdecydować się na

ruch, który może zostać uznany za defetystyczny przez Inkwizycję.

Baron Sarmouth podszedł do relingu na bakburcie i rzucił spojrzanie ponad morskim przestworem. Jednostka płynąca na czele dohlariańskiej kolumny zawróciła, zmieniając kurs z północnego wschodu-wschodu na południowy wschód. Za nią ruszyła reszta galeonów wroga, zawracając w tym samym miejscu.

Nieźle to sobie Raisahndo wyliczył, pomyślał baron Sarmouth. Powinien był jednak zarządzić równoczesny odwrót. Gdyby to zrobił, zapewniłby okrętom płynącym na samym końcu większy margines bezpieczeństwa. Baron Sarmouth domyślał się, czemu tak się nie stało. Wykonanie takiego manewru przy flocie liczącej ponad czterdzieści jednostek było równie łatwe jak przepędzenie stada nieudomowionych smoków przez ulice Tellesbergu w środku dnia. Mając zgrabną kolumnę, Dohlarianin nie chciał ryzykować jej rozsypania, groziło to bowiem utratą kontroli nad wszystkimi okrętami w ogniu walki. Sygnalizatorzy mieli niemały problem, ledwie w powietrze wznosił się dym prochowy, ponieważ kolumna była na dziesięć mil długa. Sztuka zapanowania nad eskadrą wydawała się jeszcze trudniejsza, gdy w grę wchodziła większa samodzielność poszczególnych jednostek. Tymczasem w razie zachowania zwartej linii okrętów sprawa była znacznie prostsza. Cała zabawa polegała teraz na powtarzaniu manewru, który wykonał okręt z przodu – komunikacja za pomocą sygnałów przestała mieć znaczenie, liczyła się tylko odwaga pozwalająca na trzymanie się rufy poprzedzającego okrętu, podczas gdy świat ginał w tumultcie dymu, ognia, przerażenia i śmierci.

Zarazem jednak, o ile taką kolumną było łatwiej dowodzić, trzeba się było liczyć z jej większym bezwładem. Raisahndo pragnął zachować jak najściślejszą kontrolę, obawiał się bowiem przeistoczenia floty w bezładne skupisko jednostek morskich. Mimo wszystko – będąc na jego miejscu – baron Sarmouth wydałby rozkaz równoczesnego zwrotu, godząc się na ryzyko, że kolumna zamieni się w jeden wielki bałagan, przynajmniej do czasu, aż poszczególni kapitanowie zapanują nad sytuacją. Dzięki temu zyskałby cenny czas i przewagę.

Oczywiście, jak tylko dowódcy zorientują się, co się dzieje – a w grę wchodziła ni mniej, ni więcej, tylko ucieczka – trudno będzie powstrzymać ich przed rozpierzchnięciem się na wszystkie strony. Marynarzom nie można było odmówić odwagi – Bóg Jedyńy świadkiem,

że w cieśninie Kaudzhu nie było żadnego tchórza! – lecz każdy z nich miał świadomość, że eskadra znalazła się w nie lada tarapatach. Jak więc zapobiec...?

Potrząsnął głową, zastanawiając się, jak sam by postąpił w takiej sytuacji. Łatwo rozmyślać o kimś innym, kto traci opanowanie w sytuacji podbramkowej, co by jednak było, gdyby to on znalazł się w położeniu Dohlarianina?

Na szczęście mi to nie grozi, skwitował w duchu i odwrócił się do Lathyka.

– Jeszcze kwadrans, Rhobairze – powiedział. – Niech się najpierw porządnie zdeklarują.

– Tak jest, sir. – Lathyk skinął głową, po czym pstryknął palcami na dwunastoletniego kadeta, który stał obok, z kilkoma sygnalistami. – Musimy przekazać wiadomość admirałowi Darysowi, Rychtyrze – rzekł, uśmiechając się blado. – Będzie nam niebawem potrzebny.

– Tak jest, sir!

Caitahno Raisahndo obserwował kolumnę Charisjan i walczył z pokusą nadziei.

Dowodzenie flotą w pełnym morzu w obliczu wroga przypominało taniec, którego kroki wszyscy znają. Jeden i drugi admirał wiedział, jakie możliwości stoją przed przeciwnikiem w dowolnym momencie. Pod warunkiem że prawidłowo odczytali nawzajem swoje intencje, trudno było o jakiegokolwiek niespodzianki.

Będąc na miejscu barona Sarmouth, Dohlarianin wiedziałby, że Eskadra Zachodnia nie miała innego wyjścia, jak tylko skierować się na południe, ledwie stało się jasne, że Charisjanie zamierzają ustawić się na nawietrznej. Charisjański admirał powinien zadać sobie jedno pytanie, mianowicie kiedy właściwie Raisahndo wykona swój ruch. Poza tym nie było wątpliwości, że będzie starał się uniknąć walki za wszelką cenę. A jedynym sposobem na uniknięcie walki było – gdy już się okazało, że nie uda mu się znaleźć po nawietrznej w stosunku do kolumny barona Sarmouth – dokonanie zwrotu i pójście bardziej pod wiatr, równocześnie rozwijając maksymalną prędkość. W gruncie rzeczy

mógł teraz uciec Charisjanom, pod warunkiem że baron Sarmouth mu na to pozwoli. Podczas gdy obie eskadry starały się zająć korzystną pozycję względem wroga, przesunęły się na wschód dostatecznie daleko, by móc ominąć Broken Hawser Rock w odległości co najmniej kilku mil. W takiej sytuacji przy dużej dozie szczęścia – lub w razie ataku głupoty, który by dopadł barona Sarmouth – Caitahno Raisahndo miałyby wystarczającą przewagę, aby precyzyjnie się chyłkiem tuż obok południowego krańca charisjańskiej kolumny, to znaczy pomiędzy ostatnimi galeonami a Broken Hawser Rock. W takim wypadku niewykluczone, że udałoby mu się trzymać z dala od Charisjan co najmniej do zmroku.

Tak się jednak składa, że nie wszystko jest równie prawdopodobne...

Kiedy ta myśl przemykała mu przez głowę, charisjańska kolumna – w której było nieco więcej okrętów, niż przypuszczał, aczkolwiek co najmniej sześć znajdowało się gdzie indziej – posuwała się nadal przed siebie w kierunku zachód północny zachód. Zupełnie jakby baron Sarmouth nawet nie zauważył jego zmiany kursu!

Jeśli nie zorientuje się lada moment, znajdzie się na straconej pozycji, pomyślał Caitahno Raisahndo, nadal nie wierząc własnym oczom. Ma na to góra dziesięć minut; w przeciwnym razie nie zdąży zawrócić okrętów i nas wyprzedzić.

Aczkolwiek w rzeczywistości baron Sarmouth mógł zawsze – zorientowawszy się, że Dohlarianie uciekają – zarządzić pościg. Wszakże szanse na to, że charisjański admirał okaże się tak głupi, były mniej więcej takie same jak to, że Langhorne pojawi się na powierzchni Schronienia w ciągu najbliższych pięciu minut. Pościg taki, zakładając, że każdy kapitan będzie decydował za siebie i swój okręt, byle tylko dopaść wroga, pozwoliłby na to, aby eskadra Charisu zrównała się z wrogiem i go wyprzedziła, szczególnie że eskadra Dohlarian była bardziej zwarta. Naturalnie w pewnym momencie przestałaby taka być i wtedy stałoby się jasne, co czeka ogara, który dopadł jaszczurodrapa. Ale nie. Oficer pokroju barona Sarmouth nie mógł popełnić takiego błędu, zwłaszcza w obliczu eskadry, która wyraźnie przewyższała go liczebnie. Fakt: charisjańskie okręty, a już na pewno kanonierki były wytrzymalsze niż przeciętna jednostka wroga, wszakże gdyby admirał rzucił je na pożarcie w starciu, gdzie liczebność i dyscyplina szły ze sobą w parze...

– Teraz, Rhobairze, tak myślę...

– Tak jest, sir! Rychtyrze!

– Robi się, sir. – Trynt Rychtyr potaknął służbiście.

Barwne chorągiewki, które zostały przypięte już kwadrans wcześniej, trafiły w końcu na maszt.

– Sygnał z flagowca, sir! – zawołał porucznik Fraid Stedmyn. – Dla nas – dodał znacząco, spoglądając w górę na kadeta przycupniętego na szczycie bezanmasztu HMS *Błyskawica*.

– Doprawdy? – Doniphon Cumyngs, pierwszy oficer, uniósł brew i pobiegł spojrzeniem we wskazanym kierunku. – Dziwne, że nikt inny tego nie zauważył – dorzucił na tyle głośno, by kadet nie mógł udawać, że tego nie usłyszał.

Pechowy młodzik chwycił lunetę i przyłożył ją sobie do oka, aby przyjrzeć się uważnie majaczącym daleko chorągiewkom sygnałowym. Na ten widok Tymothy Darys poczuł nieodpartą chęć, aby się uśmiechnąć. Z jednej strony nie było w tym nic śmiesznego, z drugiej wszakże – jak najbardziej. Stedmyn sam był sygnalistą, zanim Darys uczynił zeń pierwszego oficera. Admirał miał go za pracowitego, sumiennego marynarza, a do tego człowieka niemal tak bystrego, za jakiego ten sam się uważał (Fraid Stedmyn pod tym względem miał o sobie bardzo wysokie mniemanie). Niestety Stedmyn nie potrafił cedować obowiązków na innych.

Chociaż w tym wypadku bynajmniej nie było to jego zadanie; sygnalistów na pokładzie nadzorowali bowiem pospołu kapitan Sympsyn i porucznik Cumyngs.

To jednak nie znaczyło jeszcze, że młody Braiahn nie dostanie po dupie, gdy Cumyngs znajdzie chwilę. Pierwsi oficerowie nie tryskali wyrozumiałością w stosunku do kadetów, którzy zawstydzili ich w obecności przełożonego. Było to prawdą w wypadku Cumyngsa, który wiedział, że już niedługo znajdzie się po przeciwnej stronie stołu

w mesie, siedząc oko w oko z admirałem. Fakt, że Cumynys i Stedmyn nie cierpieli się chronicznie, tylko przydawał całej sprawie pikanterii.

– Numer naszej eskadry, sir – zameldował Braiahn, który najwyraźniej nie miał ochoty podzielić się tą konkretną informacją w świetle znaczącej uwagi Stedmyna. Niestety procedury sygnalizacyjne Cesarskiej Floty Charisu nie pozostawiały mu wyjścia. – Numer osiemdziesiąt i numer pięćdziesiąt dziewięć.

Jego pomocnik stojący u podstawy masztu prędko przerzucił kartki w książeczce, uważając przy tym, aby przypadkiem nie spojrzeć na nikogo. W końcu odchrząknął i oderwał wzrok od książeczki.

– Wykonać wcześniejsze rozkazy. Kurs południowy zachód południe.

– Dziękuję – rzekł lodowatym tonem Cumynys i odwrócił się do kapitana Sympsyna, który z zaciekawionym wyrazem twarzy przysłuchiwał się całej wymianie zdań. – Wykonać wcześniejsze rozkazy. Kurs południowy zachód południe.

– Dziękuję.

Wbrew poważnemu tonowi w jego oczach mógł mignąć ognik rozbawienia, gdy potwierdzał otrzymanie informacji. Jeśli nawet tak było, w chwili gdy przekazywał informację admirałowi, minę miał zupełnie poważną.

– Rozumiem. – Admirał skinął głową. – Wygląda na to, że baron Sarmouth miał rację. Cóż, kapitanie. Do dzieła zatem!

– Sir!

– Widzę, Lewk – powiedział Raisahndo i wyrznął pięścią w reling, przeklinając w duchu, kiedy formacja charisjańskich okrętów w końcu zmieniła układ.

Ostatnie osiem galeonów w kolumnie zmieniło raptownie kurs, połykając kolejne jardy w miarę, jak kierunek z północ północny zachód przechodził w południowy zachód południe. Caitahno Raisahndo zazgrzytał zębami, wspomniawszy swoją wcześniejszą myśl o krokach tańca.

Uniósł do oka lunetę i zacisnął szczęki, po raz pierwszy przyjrząwszy

się lepiej ariergardzie Charisjan. Okazało się bowiem, że kanonierki znajdowały się nie tylko na czele kolumny barona Sarmouth. Raisahndo miał przed sobą bądź dodatkowe kanonierki, bądź okręty artyleryjskie – tej ostatniej możliwości nie dało się wykluczyć, skoro baron Sarmouth wszystko zaplanował sobie z góry. Tak czy owak dwa okręty zamykające teraz kolumnę płynącą na południowy zachód miały w burtach tylko jedną linię furt działowych wymierzonych teraz ni mniej, ni więcej, tylko w jego stronę. Na zbliżeniu Raisahndo widział wyraźnie ślady rdzy w miejscach, gdzie wiatr i woda rozprawiły się z warstwą czarnej farby.

Dalej zaś...

– Sygnał do admirała Hahlynda – rzucił nagle, opuszczając lunetę.

– Słucham, sir!

– Podejść do wroga od nawietrznej!

– No dobrze, Ahlfrydzie – powiedział chmurnie Pawał Hahlynd. – Wygląda na to, że przyjdzie nam spróbować powtórnie.

– Można tak to ująć, sir! – odparł kapitan Ahlfryd Mahgyrs w momencie, w którym HMS *Miecz* zwrócił się ku wrogowi.

Pokład zadrżał, gdy marynarze przy wałach zwiększyli tempo obracania śrub. Prędkość była nie mniej ważna niż manewrowość. Okręt poddawał się presji żagli. Woda pryskała spod dziobu, lśniąc niczym diament w słońcu na ułamek sekundy przed tym, zanim woda chlusnęła na deski, mocząc wszystko i wszystkich. Obaj zrozumieli, że naciskają zbyt mocno, co zagraża okrętowi i ich bezpieczeństwu. Galery śrubowe były genialnymi jednostkami morskimi, jednakże brzemień uzbrojenia i opancerzenia ciążyło im niebotycznie, wystawiając na szwank samą konstrukcję. Co najistotniejsze jednak, miały kruchą budowę – co najmniej połowa członków załogi widziała na własne oczy, jak taki okręt łamie się wpół i znika w odmętach w ciągu kwadransa przy fali niewiele wyższej niż dzisiejsza.

– Nie powiem, żebym się świetnie bawił za pierwszym razem – skomentował kapitan flagowca Hahlynda na tyle cicho, aby nikt inny nie usłyszał go przez szum wiatru, wody i wykrzykiwanych rozkazów. – Jeśli mam być szczery, nie robiłbym sobie większych nadziei, sir...

– Złotousty, jak zwykle. – Hahlynd uśmiechnął się krzywo. Chwilę później wzruszył ramionami. – Cóż, w pełni podzielam twoje zdanie. Postaraj się jednak na to spojrzeć w ten sposób: zakładając nawet, że uda nam się ich ominąć, będziemy musieli pokonać całą zatokę, zanim dotrzemy do Gorathu. Zważywszy na to, jakiej pogody możemy się spodziewać o tej porze roku, będzie to wcale nie mniejsze wyzwanie.

– I to miało być pocieszenie, sir?

– Na lepsze mnie nie stać, obawiam się. – Hahlynd ponownie uniósł lunetę do oka, aby zlustrować charisjańskie galeony, podczas gdy jego galery śrubowe mknęły im na spotkanie pośród lodowatego wiatru i rozbryzgów nie mniej zimnej wody.

– Muszą być bardzo nieszczęśliwi, sir – skomentował kapitan Sympsyn, zerkając na żagle swojej kanonierki z taką miną, jakby się zastanawiał, czy da się je wybrać.

– O, na pewno – potwierdził Tymythy Darys.

Admirał nie patrzył na swego kapitana flagowca w tym momencie; w dalszym ciągu spoglądał przez peryskopy przymocowane do wewnętrznej strony siedmiostopowego pancernego nadburcia HMS *Błyskawica*. Musiał je ustawić niemal równoległe do kilu, gdyż galery śrubowe – korzystając z napędu niezależnego od wiatru – nacierały na jego flagowiec czołowo. W końcu wyprostował się i w zamyśleniu potarł brodę.

– O, na pewno – powtórzył. – Nie sądzę jednak, aby to miało ich spowolnić. Zresztą domyślam się, co zamierza Raisahndo.

Sympsyn potaknął z niezadowoloną miną. Wyposażone w śruby obok żagli galery były szybsze od dohlariańskich galeonów pomimo mniejszych rozmiarów. Fala sięgała już kilkunastu stóp, w związku z czym większe, cięższe i głębiej zanurzone galeony powinny poruszać się z większą prędkością niż małe i kruche jednostki. Tymczasem Raisahndo – wbrew panującemu na morzu warunkom – chciał wycisnąć z nich ostatnie poty. Najwyraźniej postanowił, że poniesie ryzyko w imię zrealizowania planu bitewnego Królewskiej Floty Dohlaru.

Albowiem niewątpliwie taki istniał.

– Próbują przeciąć nasz kurs – rzekł admirał tyleż do siebie, co do dowódcy flagowca. – Pytanie, czy będą trzymać dystans, dopóki nie znajdą się w odległości odpowiedniej do rozpoczęcia ostrzału, po tym jak wezmą się za nas ich galeony, czy raczej postanowią się zbliżyć i spróbują zniszczyć nam takielunek, aby nas spowolnić, zanim dojdzie do kontaktu.

– Być może jedno i drugie, sir – odparł Sympsyn. – Na ich miejscu spróbowałbym dobrać się do naszych masztów i olinowania, dopóki moje galeony nie znajdą się w odpowiedniej odległości. – Wzruszył ramionami. – Równie dobrze może z tego nic nie wyjść, ale spróbować nie zawadzi. Jeśli kierować się wydarzeniami w cieśninie Kaudzhu, możemy się spodziewać, że postarają się nas zalać frontalnym atakiem.

Darys kiwał głową, nie odrywając dłoni od brody. Ocalona garstka marynarzy Kahrltyna Haigyla zgadzała się co do jednego: że galery śrubowe natarły na *Dreadnoughta*, trzymając się poza zasięgiem jego ognia, po czym rozpoczęły ostrzał, celując w ster, co w końcu się opłaciło. Darys nie wątpił, że tutaj Dohlarianie spróbują tego samego – jeśli tylko dostaną taką szansę. Niemniej istniała ogromna różnica między samotnym galeonem pozbawionym wsparcia a tym, czemu czoło musieli stawić Dohlarianie tego popołudnia.

Właściwie różnica była nawet większa, niż przypuszczali.

– Myślę, że właśnie tak zechcą postąpić – zgodził się z przedmówcą. – Chociaż – dodał zaraz – wątpię, aby mieli coś przeciwko temu, żebyśmy zapragnęli uniknąć konfrontacji i po prostu przepuścili ich galeony bokiem.

– W takim razie wszyscy naraz dostaliby ataku serca, sir – zauważył oschłym tonem Sympsyn. – To by umożliwiło nam rozprawienie się z nimi wszystkimi jednocześnie bez oddania ani jednego strzału.

Darys zaśmiał się cicho, w duchu jednak przyznał kapitanowi flagowca rację. Cokolwiek mówić, Królewska Flota Dohlaru i Cesarska Flota Charisu żywiły do siebie wzajemny szacunek. I to głęboki.

Chyba żadna ze stron nie zechce ustąpić, pomyślał z westchnieniem. *W naszym wypadku dochodzi do tego jeszcze jedna sprawa: co by powiedział na to sir Dunkyn.*

Admirał parsknął. *Z dwojga złego chyba wolałbym już oberwać kulą!*

I to by było na tyle, gdy chodzi o spodziewany wynik, pomyślał Pawal Hahlynd z pewnym rozbawieniem.

Na przestrzeni miesięcy dzielących tę chwilę od wydarzeń w cieśninie Kaudzhu część oficerów pod dowództwem Caitahna Raisahnda była pewna, że Charisjanie nigdy więcej nie wydadzą na pastwę galer śrubowych swoich galeonów, skoro wiadomo już, jakie zagrożenie stanowią dla niedozbrojonych okrętów te dohlariańskie jednostki. Oficerowie ci przekonywali, że charisjańskie galeony odpuszczą walkę i postawią na utrzymanie czystego pola – abstrahując od tego, co uczynią kanonierki. Co więksi optymiści byli zdania, że sama obecność galer śrubowych będzie wystarczająca do tego, by galeony nie wypłynęły w morze, pozostawiając na polu walki same kanonierki. Hahlynd ani przez moment w to nie wierzył. Charisjańscy marynarze nie tak zostali skonstruowani. Mimo wszystko łudził się, że może chociaż zachowają większą ostrożność po tym, co ich spotkało w cieśninie Kaudzhu. Teraz stracił płonne nadzieje.

Charisjanie zakręcili, ale tylko po to, aby mieć możliwość oddania salwy burtowej. Dystans wynosił obecnie nieco tylko ponad dwa tysiące czterysta jardów. Niemniej galery śrubowe mogły skutecznie wycelować z odległości nie większej niż sześćset jardów, przynajmniej w tych warunkach atmosferycznych. Charisjanie mieli większe i cięższe okręty – w gruncie rzeczy dwakroć dłuższe, z odpowiednio wydłużoną stępką – a to czyniło je znacznie stabilniejszymi platformami artyleryjskimi. Gdy dodać do tego gwintowane działa, których główną zaletą był większy zasięg... Hahlynd przyglądał się, jak okręt na czele zmienia pozycję, ukazując w całej okazałości swą sylwetkę i... furty działowe. Najbliższa mu jednostka poszła w jego ślady, prezentując taki sam profil. Kiedy manewr zaczął wykonywać trzeci okręt, Hahlynd zacisnął nerwowo szczęki. Okazało się, że ta jednostka nie ma wiele mówiących śladów rdzy, aczkolwiek...

– Wiadomość dla admirała Raisahnda – rzekł.

– Słucham, sir.

– Potwierdzam, że dwa galeony na czele są artyleryjskie. Poza tym co najmniej dwa trzypokładowe okręty. – Po tych słowach ktoś wciągnął

głośno powietrze do płuc, on jednak nie odjął lunety od oka i nie przestał przyglądać się charisjańskim okrętom. – I jeszcze coś – dodał.

– Słucham, sir.

– Wkraczam do akcji.

– Zatem spróbują użyć galer śrubowych jako taranów – podsumował Lathyk.

Razem z baronem Sarmouth stał na olinowaniu bezanmasztu HMS *Przeznaczenie*. Dla bezpieczeństwa obaj mężczyźni obejmowali jedną ręką szoty, trzymając przy oczach lornetkę.

– Moim zdaniem Hahlynd właśnie podjął samodzielną decyzję – oznajmił baron Sarmouth po chwili milczenia. – Raisahndo w dalszym ciągu myśli o ucieczce; jest zbyt inteligentny, aby spróbować czegoś innego. O, z pewnością byłby zachwycony, gdyby udało mu się nam zaszkodzić, jednakże Hahlynd miał tylko za zadanie otworzyć przejście dla ich galeonów i utrzymać je otwarte tak długo, jak się da. Jednym ze sposobów, aby to zrobić, jest związanie walką Tymythy'ego i zmuszenie go do wykonania ruchu przeciwko galerom śrubowym, zamiast im pozwolić zbliżyć się zanadto, jak to miało miejsce w wypadku *Dreadnoughta*. Właściwie nie da się wykluczyć, że chcieli tylko zablafować i mylnie zasugerować ucieczkę, zamiast doprowadzić do powtórki z cieśniny Kaudzhu.

– Do tego na pewno nie dojdzie, sir – oświadczył głucho Lathyk.

– Oczywiście, że nie. Z tym że wróg wie to równie dobrze jak my. – Baron Sarmouth nawet na moment nie odjął lornetki od oczu. – Nie znaczy to jednak, że nie mogli spróbować. Gdyby ta sztuczka się udała, byłaby warta ceny wszystkich galer śrubowych razem wziętych. Podejrzewam, że przeszacowali swoje szanse. Jeśli się nie mylę, Hahlynd poniewczasie zrozumiał, co Tymythy ma jeszcze na stanie.

Lathyk przytaknął chrząknięciem, a baron Sarmouth zastanowił się, jakie to myśli przebiegają w tej chwili przez głowę Pawalowi Hahlyndowi.

Dohlariański admirał zdawał sobie sprawę z przewagi sił wroga tak samo dobrze jak każdy oficer po stronie Charisjan. Musiał też wiedzieć,

że ten dzień przejdzie do historii jako koniec Królewskiej Floty Dohlaru. Zobaczył *Dreadnoughta* w akcji, i to z bliska. Po czymś takim nie mógł mieć złudzeń, jak potoczą się wypadki, kiedy do Zatoki Dohlariańskiej wpłynęła pierwsza napędzana parą kanonierka. Hahlynd miał głowę nie od parady, a przy tym był najbliższym sojusznikiem hrabiego Thirsku. Skoro już o tym mowa – Greyghor Whytmyn, żonaty z młodszą córką hrabiego, dziewczyną imieniem Hailyn, był powinowatym Hahlynda. Zatem tak samo jak jego przyjaciel hrabia Hahlynd musiał się domyślać, z jakiego powodu Whytmyn został wezwany do Syjonu. Wiedział – musiał wiedzieć – że Grupa Czworoga przegrywa i że Dohlar niebawem zapłaci wysoką cenę za to, że sprzyjał Świątyni. Nic z tego nie zmniejszyło woli wygranej w Pawalu Hahlyndzie. Zupełnie jak w wypadku Lywysa Gardynyra. Admirał zamierzał wypełnić swój obowiązek, także do ostatniej kropli krwi.

Szlag, szkoda, że musimy zabijać takich ludzi, aby dobrać się do skóry Clyntahnowi, pomyślał z goryczą baron Sarmouth. Temu draniowi nie wystarcza, że morduje miliony niewinnych „heretyków”. Co to, to nie! Zmusza nas do zabijania ludzi honoru, jeśli chcemy go wreszcie powstrzymać.

Teraz przyszła pora, by wysłać na łono Boga Jedyne go co najmniej kilka tysięcy takich osób...

Opuścił lornetkę, lecz nie oderwał spojrzenia od nagle małych zagli galer śrubowych, które nieustraszenie płynęły na spotkanie eskadry admirała Darysa.

– Chyba najwyższa pora, abyśmy się włączyli do zabawy, Rhobairze – powiedział.

– Tak jest, sir. Już każę wydać rozkazy.

– Zaraz nas zaatakują, sir – stwierdził przejęty kapitan Trahvys.

Caitahno Raisahndo tylko skinął głową.

– Baron Sarmouth od samego początku to planował – powiedział. – Mocno ryzykuje, ale w przeciwieństwie do nas ma w odwodzie całą flotę, nawet jeśli straci tę eskadrę. Jeśli zaś mu się powiedzie...

Stali na pokładzie rufowym HMS *Huragan* i przyglądali się robiącej

wrażenie scenie. Dwie potężne eskadry zbliżały się do siebie z każdą chwilą. Baron Sarmouth w końcu złamał kolumnę, a każda eskadra w jej składzie wykonała zwrot równocześnie. Obecnie więc na Dohlarian nacierały cztery krótkie, zwarte kolumny okrętów, gotowych w każdej chwili do zawrócenia i utworzenia jednej linii bojowej po nawietrznej bądź zawietrznej, cokolwiek będzie korzystniejsze, kiedy wreszcie wyprzedzą dohlariańskie jednostki. Caitahno nie miał wątpliwości co do tego, jakie działania zamierza podjąć charisjański admirał.

Zmusił mnie do ustawienia się jak najbardziej z wiatrem i był w tym celu gotów stracić nawet własną przewagę. Chociaż tak naprawdę to ostatnie wcale mu nie groziło. W każdym razie dlatego utrzymywał od początku taki, a nie inny szyk: aby móc wydzielić ostatni dywizjon i postać go tam, gdzie mógłby zapobiec naszej ucieczce. Niemożliwe jednak, aby był pewien, że to mu się uda. Po prostu postawił wszystko na jedną kartę. Z jakiego innego powodu odesłałby najlepiej uzbrojone okręty na koniec kolumny? Jeżeli Pawal się nie myli – jeżeli te przekłete kanonierki naprawdę mają w obstawie trójpokładowce – to jest to istotnie mistrzowskie posunięcie po stronie wroga. Rzucił nam przynętę, ryzykując, że ją dopadniemy, zanim on zdoła do nas dotrzeć, ale tylko dlatego, że nie będziemy mieli wyjścia oprócz przebicia się przez galery. A to nas spowolni. Samo manewrowanie potrwa swoje, a do tego należy się liczyć ze stratami, no chyba że jednak nie zdecyduję się porzucić uszkodzonych okrętów na pastwę Charisjan. Nie da się zaprzeczyć, że są oni szybsi i że – jeśli powstrzymają nas na godzinę, ba, nawet na pół godziny! – dopadną naszej ariergardy. A wtedy...

Wyrwał się z zamyślenia i odezwał głosem twardym jak stal:

– Postawić więcej żagli. Podejść jak najbliżej wroga!

– Dzisiaj jest jakoś inaczej – stwierdził cicho porucznik komandor Kylmahn. – Nie wydaje mi się, aby te przekłete galery śrubowe miały się dziś dobrze bawić.

– Święte słowa – zgodził się z przedmówcą sir Bruhstair Ahbaht, nie odrywając spojrzenia od dohlariańskiej eskadry.

Uznał, że w głosie jego szefa sztabu zabrzmiała brzydka nuta. Tak

jakby ów nie mógł się doczekać wywarcia pomsty na wrogu. Osobiście nie winił o to Kylmahna – nie mógł go winić po tym, co zaszło w cieśninie Kaudzhu. Zarazem był zdziwiony, że nie żywi podobnych odczuć. A może jednak...? Tak czy owak potrafił sobie wyobrazić, co Dohlarianie myślą, wystawiając się na atak tak dobrze uzbrojonych jednostek Charisjan.

Nie ma wśród nich tchórzy, pomyślał. Ani rzeźników. To wszystko zwykli ludzie, zwykli marynarze. Mężczyźni, którzy w domach zostawili rodziny; zbyt wielu z nich nie ujrzy już nigdy swych żon i dzieci. Czym oni się różnią od moich żołnierzy, którzy nie zrejterowali przed bitwą w cieśninie Kaudzhu?

Opuścił lornetkę i spojrzał na żagle HMS *Powódź*. Kanonierka ta płynęła na czele drugiej eskadry barona Sarmouth, na którą oprócz niej składały się jeszcze sześćdziesiątkiosemki: *Dynzayl Tryvythyn*, *Turbulent*, *Windykator*, *Sand Point* i *Bruxtyn*. Kierowały się na południowy zachód. Jeśli wszystko pójdzie po myśli barona Sarmouth, jednostki te włączą się do akcji mniej więcej w tym samym czasie, jak pierwsze galeony Dohlarian wdadzą się w walkę z nawet potężniejszą eskadrą admirała Darysa. Wówczas baron Sarmouth przeprowadzi swoją eskadrę przez tyły Dohlarian i uderzy z zawietrznej.

Albo i nie, pomyślał. Miał jednak świadomość, że w takim wypadku Raisahndo musiałby jakimś cudem przedrzeć się obok Darysa, nie dając się wciągnąć w potyczkę.

A to jest niemożliwe, skonstatował w myślach sir Bruhstair Ahbaht z ponurym uśmiechem na twarzy. Z jego oczu biła przesycona smutkiem satysfakcja. Kompletnie niemożliwe...

– Ognia!

Długi szereg potężnych armat szarpnął się w tył przy wtórze ogłuszającego grzmotu, a wysoka, czarna burta HMS *Błyskawica* zniknęła za ścianą płomieni i dymu. Drugi w kolumnie HMS *Seamount* także oddał salwę, co skończyło się tym, że nad powierzchnią wody pognały ze świstem trzydzieści dwa ciężkie pociski.

– Wpis do dziennika pokładowego – zwrócił się kapitan Trahvys do kwatermistrza HMS *Huragan*, wyciągając zegarek z kieszeni. Otworzył kopertę i szybko zatrzasnął z powrotem. – Do otwarcia ognia przez wroga doszło o szesnastej siedemnaście.

Pawal Hahlynd przyglądał się, jak płynące na czele charisjańskiej kolumny galeony znikają w gigantycznej chmurze ciemnobrązowego dymu. Poza nimi nie wystrzelił żaden okręt zajmujący pozycję naprzeciwko jego galer śrubowych. Nie ulegało kwestii, że żadnemu nie brakuje amunicji, lecz dzięki temu zaniechaniu działania Hahlynd miał okazję dobrze się przyjrzeć im wszystkim – przekonał się teraz na własne oczy, że każda jednostka jest równie potężna jak to, czym dysponowała Królewska Flota Dohlaru. Nie licząc kanonierek, każda miała na pokładzie co najmniej sześćdziesiąt dział, a niektóre należały do klasy okrętów nieznanych nawet dohlariańskim oficerom. Domyślał się, z czym ma do czynienia – szpiegzy Inkwizycji uzyskali informacje na temat klasy Zhenyfyr Ahrmahk – lecz przecież te okręty miały zostać przerobione na kanonierki, co oznaczało ograniczenie do jednego pokładu działowego, ponieważ tylko one były dostatecznie duże i silne, aby udźwignąć ciężar opancerzenia klasy Rottweiler.

Tymczasem te, na które właśnie patrzył, z całą pewnością miały trzy kompletne pokłady działowe, wliczając w to karonady na górnym pokładzie. Ogółem dziewięćdziesiąt osiem dział – tyle miała na swoim pokładzie jednostka klasy Zhenyfyr Ahrmahk. Samo patrzenie na tę potęgę sprawiało, że człowiekowi lodowaciała skóra na całym ciele. Och, Hahlynd zdawał sobie sprawę z tego, że kanonierki są jeszcze bardziej niebezpieczne – mimo to właśnie te galeony, z wysokimi burtami przypominającymi czarne klify i z czterdziestką dział szczerzących się drapieźnie z otwartych furt działowych, sprawiały groźniejsze wrażenie niż płaskie, dziwne kanonierki.

Cokolwiek podpowiadał mu instynkt, trójpokładowce były wyposażone w standardowe gładkolufowe trzydziestofuntówki Cesarskiej Floty

Charisu, a nie gwintowane sześćofuntówki Rottweiler – przy czym ich donośność wynosiła wciąż około mili. To dlatego wstrzymały się od oddania salwy, czekając, aż jakiś nieszczęśnik zbliży się na odpowiednią odległość. Z chwilą gdy to się stanie, grad pocisków zamieni śmiałka w kupę połamanych, dymiących desek. I zabierze to co najwyżej kilka minut.

Szanse na przetrwanie takiego ostrzału miały wyłącznie galery śrubowe Hahlynda. Gdyby galeony czekały, aż dołączą do nich płaskodenne okręty celem udzielenia wsparcia, skończyłoby się to masakrą zwykłych jednostek.

I właśnie z tego względu Hahlynd nie mógł sobie pozwolić na oczekiwanie – wbrew temu, co głosiły pierwotne rozkazy.

Kanonierki dobiorą nam się do skóry, a na dobre rozprawią się z nami trójpokładowcami, pomyślał. Takie plany ma wobec nas baron Sarmouth. Jeśli zdołam się dostać bliżej w odpowiednio krótkim czasie...

Potężna, podwójna salwa burtowa runęła do morza, wyrzucając w powietrze trzydziestostopowe kolumny wody bielszej niż śnieg. Wznosiły się w górę niczym las tytanicznych prawiedębów, wysokie i przerażające. *Strzała* i *Włócznia*, jego galery śrubowe, mogły tylko na to patrzeć. Wodne rozbryzgi taranowały pomniejszych jednostki, a śrubowi rozpaczliwie próbowali wypełniać swoje obowiązki, mimo że ich okręty poddawały się sile napiętych do granic żagli. Każdy marynarz z osobna i wszyscy razem wiedzieli, że takie przesadne wyciskanie ostatnich potów jest nieroztropne w tych warunkach: ich kadłuby doznawały tak silnych naprężeń, że lada moment mogło dojść do uszkodzeń, i to zanim pierwszy trafny strzał je zniszczy. A jednak nikt się nie zawahał ani na chwilę. Mknęli przez fale z prędkością prawie dwunastu węzłów, wchodząc w zasięg artylerii wroga i pochylając się tak mocno z wiatrem, że relingi na bakburcie były praktycznie skąpane w białej pianie. Lecz nawet przy tej prędkości potrzebowali pełnych sześciu minut, aby kanonierki znalazły się w ich zasięgu. W tym czasie doskonale wyszkoleni artylerzyści Cesarskiej Floty Charisu mogli bez trudu oddać kolejne dziesięć salw.

– Jaj im nie brakuje – stwierdził cicho Zosh Hahlbyrstaht.

Fakt, że HMS *Skrzydło* znajdował się na północny zachód od głównych sił Dohlaru, gwarantował, że nie grozi mu nic ze strony floty Caitahna Raisahnda. Zarazem przesądzał o tym, że z jego pokładu praktycznie nic nie było widać. Właśnie dlatego obaj, Zosh i Hektor, wspięli się na szczyt masztu głównego szkunera.

Pierwszy oficer nie był zadowolony, gdy dowódca zaczął wspinaczkę, jednakże miał dość oleju w głowie, aby się nie odzywać. Zresztą prawda była taka, że książę Darcos nawet tylko z jedną sprawną ręką był zwinny jak jaszczuromałpka. W końcu uganiał się po olinowaniu okrętu wojennego od dziesiątego roku życia, nie bał się wysokości od urodzenia, a jego zdrowe ramię nabrało mięśni, odkąd stracił władzę w drugiej ręce.

Hahlbyrstaht wiedział to wszystko. Znał też jednak stare marynarskie powiedzenie: „Jedna ręka dla siebie, druga dla okrętu”. A to było trudne do zastosowania w razie osoby jednoręki, w razie gdyby pokład niebezpiecznie się przechylił.

Tak czy owak z nowego punktu obserwacyjnego mieli świetny widok na wszystko. Hektor przyglądał się z ponurą miną, jak galery śrubowe wroga atakują.

– Nikt nigdy nie mówił, że brakuje im jaj – odparł, gdy burty kanonierek spowiły się znów w dym. Brązowe kłęby owionęły resztę jednostek, po czym rozwiały się za burtą. – Niestety to za mało, aby wyszli cało z tej sytuacji – dodał ze wzruszeniem ramion. – Na ich miejscu chyba wycofałbym z akcji galery śrubowe, kazał im zmniejszyć prędkość i poczekać na wsparcie galeonów. Aczkolwiek rozumiem, czemu Hahlynd robi to, co robi. Domyślam się też, że Raisahndo od samego początku miał właśnie to w planach. Zupełnie jakby chciał skierować swoje galery śrubowe pod nos admirała Darysa, zanim reszta eskadry dopłygnie w to miejsce. Dzięki temu nasza uwaga może zostać odwrócona i...

Urwał nagle, a jego mina z ponurej stała się kamienna. Przed chwilą na jego oczach HMS *Włócznia* nadział się na rozpędzone siłą armatniego wyrzutu sześciocalowe pociski. Wszystkie jednostki pozostające pod dowództwem sir Dunkyna Yairleya – zarówno kanonierki, jak i okręty artyleryjskie – zostały wyposażone w amunicję przeciwpancerną, którą

baron Morskiego Szczytu i księżę Delthaku zaprojektowali specjalnie z myślą o gwintowanych działach. Pociski te zostały pomyślane raczej jako metoda ostrzału kamiennych fortyfikacji aniżeli unicestwiania okrętów wojennych, niemniej jak się okazało, sprawdzały się także w tej roli.

Oba pociski przebiły osłony HMS *Włócznia*, przedarły się w głąb kadłuba i eksplodowały w jego trzewiach. Okręt miał pod pewnym względem szczęście: to znaczy wybuch nie sięgnął magazynu prochowego, dzięki czemu galera nie wyleciała od razu w powietrze. Ale i tak eksplozje były wystarczająco silne, aby dać sobie radę z okrętem, który przecież doznawał od dłuższego czasu potężnych naprężeń.

Kadłub przełamał się wpół, wirujące śruby pospołu z wypełnionymi wiatrem żaglami zaś pociągnęły go na dno.

Nikt nie przeżył. Nawet jeśli ktoś wciąż żywy wpadł do lodowatej wody, umarł z wyziębienia, zanim nadeszła pomoc.

Czterdzieści sekund później HMS *Strzała* zachwiał się na falach i zakreślił młynka, kiedy i w niego uderzył pocisk. Ten jednak nie trafił w opancerzenie i nawet nie eksplodował. Naruszył za to maszt znajdujący się dziesięć stóp nad pokładem, przez co osiem stóp grubego pala rozprysło się w drzazgi. W efekcie maszt runął pod ciężarem ożaglowania, a wiatr dokończył dzieła.

Okręt wywrócił się niemal do góry dnem, a zniszczony maszt wypadł za burtę, aczkolwiek pozostał do niego przytwierdzony za pomocą olinowania – co skończyło się tym, że zaczął tłuc w kadłub niczym taran. Zalśniły topory i szable marynarskie, gdy członkowie załogi rzucili się odcinać olinowanie, aby uwolnić okręt od zabójczego balastu. HMS *Cep* i HMS *Katapult*a zostały zmuszone wykonać unik, aby nie zderzyć się z rozszalałą jednostką i móc kontynuować atak.

– Pozostałe galeony stawiają dodatkowe żagle, sir! – zameldował kapitan Sympsyn admirałowi Darysowi, krzycząc prosto w jego ucho.

Gdy admirał odwrócił się do niego, Sympsyn wskazał obserwatora na maszcie, który był widoczny pomimo kłębow dymu spowijających pokład HMS *Błyskawica*.

– Wszystkie?

– Tak jest! – potwierdził Sympsyn.

Darys zaczerpnął głęboko tchu i tylko cudem się nie rozkaszał od krztuszącego dymu.

Mam nadzieję, że Dunkyn nie przeliczył się co do tego, jak blisko zdoła podejść skurwieli, pomyślał. Jeżeli mu się to nie udało, sprawy mogą wziąć w łeb.

– Chcą się na nas rzucić i doprowadzić do ogólnego zamieszania. Próbują złamać nasz szyk i podplłynąć na tyle blisko, aby abordaż był możliwy – ocenił ponurym tonem. Sympsyn zgodził się z nim skinieniem.
– Jaki dystans? – zapytał bez uśmiechu. – Nic nie widzę przez ten dym!

– Ich forpoczta znajduje się jakieś dwie mile za galerami śrubowymi – odpowiedział Sympsyn. – Jeśli wierzyć mojemu człowiekowi – wskazał znów na obserwatora – a nie mam powodów mu nie wierzyć, gdyż to doświadczony marynarz i zaufany żołnierz, dystans się zwiększa z powodu tego, że galery śrubowe płyną naprawdę szybko. Tak więc główne siły wroga znajdują się kolejną milę z tyłu. – Dowódca flagowca wzruszył ramionami. – Wygląda na to, że Raisahndo usiłuje nas jak najszybciej dogonić, ale sprawia mu to pewne kłopoty.

Darys zmarszczył czoło. Jego umysł pracował na tak wysokich obrotach jak wirujące wiatraczki Rhaiyana Mychaila, kiedy zastanawiał się nad czynnikami takimi, jak dystans i siła wiatru. Jeśli Raisahndo kazał stawiać żagle w przybierającym na sile wietrze, najwyraźniej zamierzał ryzykować, choć wiedział, że każdy okręt z upośledzonym olinowaniem stanie się łatwą ofiarą dla Charisjan. Zatem mogła go jeszcze czekać niemiła niespodzianka. Poza tym nawet przy podniesionych żaglach nadal będzie powolniejszy niż galery śrubowe.

Niech to będzie dziesięć węzłów w tych warunkach i przy tym wietrze, pomyślał. To daje trzy mile od nas do ich szpicy. Zanim się z nami zrównają, minie dwadzieścia minut i jeszcze kolejne sześć w wypadku ich głównych sił. A to oznacza...

– Zakończmy zabawę z galerami śrubowymi – rzucił. – Artylerzyści mają jeszcze kwadrans. Potem zmieniamy kurs.

– Tak jest, sir!

Gdy HMS *Halabarda* zadrżał, Pawal Hahlynd nie zmienił wyrazu twarzy. Przez moment wydawało się, że okręt otrząśnie się po uderzeniu. Wtem jednak charisjański pocisk eksplodował i pokład zakołysał się gwałtownie. Maszt złamał się wpół i runął, miażdżąc i raniąc ludzi, na tym się jednak nie skończyło. Okręt zaczął natychmiast schodzić z kursu, i to znacznie szybciej, niż powinno być w wypadku galery śrubowej. Hahlynd zrozumiał to i zacisnął mocno szczęki.

Załatwiło wały, pomyślał, usiłując przepędzić przed oczu scenę, jaka musiała się rozgrywać w ciasnej przestrzeni pod pokładem, gdzie śrubowi stali ściśnięci jak sardynki w puszcze, w pocie czoła napędzając jednostkę. Wybuch w takim miejscu z pewnością posiekał ludzi na kawałki i wysmarował grodzie ich krwią.

Cóż, zabici dołączyli do zacnego grona. HMS *Strzała* niby dalej unosił się na falach, chociaż tak naprawdę powoli tonął. Zawalony maszt musiał narobić równych szkód jak młot w wypadku kosza z wikliny, zanim załoga zdążyła go odciąć. HMS *Cep* także utrzymywał się na powierzchni, aczkolwiek ledwo, ledwo. Chyba były to jego ostatnie podrygi. Tak, nie ulegało kwestii, że ten okręt tonie. HMS *Arbalesta* eksplodował równie malowniczo jak HMS *Włócznia*, natomiast opancerzona cytadela HMS *Szabla* został naszpikowany sześciocalowymi pociskami, które przebiły osłony na dziobie i niemal momentalnie eksplodowały. HMS *Kordelas* wypadł z akcji z powodu pożerających go płomieni, a w wypadku HMS *Sztylet* – o ile cytadela pozostała w jednym kawałku, o tyle sterburta została uszkodzona przez wybuch zupełnie jak bok zwierza drapniętego pazurem jaszczurodrapa. Hahlynd widział krew spływającą ze szpigatów, co było widowym dowodem poniesionych ofiar w ludziach. Mimo że HMS *Sztylet* płynął wciąż przed siebie, wykazując się wzruszającą odwagą, jego wartość bojowa była znikoma.

Wliczając w to HMS *Halabarda*, ponad połowa galer śrubowych przepadła w tej potyczce. Dokładnie siedem z dwunastu. Hahlynd pomylił się co do tego, jak długo trójpokładowce będą prowadzić ostrzał. Wcale nie korzystały one bowiem z armat na dolnym pokładzie – jak

robił to HMS *Huragan* – lecz używały wielkokalibrowych dział obrotowych zamontowanych na górnych pokładach. O ile jednak HMS *Huragan* miał parę ośmiocalowych fultynów, o tyle każdy charisjański okręt mógł się pochwalić co najmniej trójką takich armat – do tego charisjańskie działa były dłuższe i zgrabniejsze niż dohlariańskie, dzięki czemu ich lufy wystawały daleko za burty, gdy przystępowały do akcji.

W dodatku strzelały znacznie szybciej niż jego własne stuściędziesięciofuntówki. I chyba co najmniej dwa razy szybciej niż działa charisjańskich kanonierek. Zatem to musiały być ładowane odtylcowo, takie same jak na tych przeklętych pancernych parowcach. Chwała Bogu Jedynemu, że Charisjanie mieli ich tylko sześć, tak diabelnie były celne.

Na dziobie HMS *Maczuga* pokazał się dym i trzy dziobowe działa wystrzeliły pociski równocześnie. Najwyraźniej dowódca zignorował zakaz odpalania wszystkich trzech armat naraz. Tymczasem obostrzenie to miało nawet więcej sensu w obecnych warunkach bojowych w pełnym morzu. Co z tego jednak, skoro kapitan Clymyns uznał, że – cokolwiek jeszcze się wydarzy – jego okręt i tak nie przetrwa tej bitwy. Kanonierka nie dopuściła go do siebie od tej strony, którą sobie wybrał. Za to zmyślnie przymusiła go do tego, by podpłynął prosto w pole rażenia. Wszakże on, mimo że znajdował się wciąż pod ostrzałem, dopiął swego i teraz wisiał jej na ogonie, w odległości zaledwie dziewięćdziesięciu jardów, odwrócony do wrogich luf opancerzonym dziobem. Strzelał przy tym nieprzerwanie. Jego artylerzyści nie tylko znali się na swojej robocie, ale też mieli tyle samo determinacji co on. Ani jeden pocisk nie chybił. Hahlynd na własne oczy widział, jak lita kula trafia w poszycie i... odbija się od niego jak kamyk. Cała trójka dziesięciocalowych pocisków z wizgiem – i zdziwieniem – zrykoszetowała. Jeden z nich rozpadł się na co najmniej pięć części.

A wtedy cztery działa kanonierki oddały równoczesną salwę.

HMS *Maczuga* rozleciał się na kawałki w kuli ognia i chmurze dymu. Szczałki poszybowały w niebo, ciągnąc za sobą smugi dymu i osiągając pułap trzystu stóp, zanim spiralą opadły w lodowate wody zatoki, wzbijając przy tym pióropusze wody. Hahlynd usłyszał, że stojący obok niego Ahlfryd Mahgyrs przeklina siarczyście.

– Clymyns sobie na to nie zasłużył... – Rozpoznał własny głos.

Zastanowił się, po co w ogóle się odzywa. Żadne słowa przecież nie mogły zmienić stanu rzeczy. Mimo to mówił dalej: – Myślę, że za około dwie minuty znajdziemy się w odpowiedniej odle...

Wystrzelony przez dziobowe działo obrotowe HMS *Zhenyfyfyr Ahrmahk* sześciocalowy pocisk przebił się przez pancierz czołowy HMS *Miecz*, jakby to było masło. Nastąpiła eksplozja, podczas której przygotowane ładunki do dziesięciocalówek wybuchły jednocześnie. W tej samej chwili przednie czterdzieści stóp flagowca pod dowództwem Pawala Hahlynda zniknęło w chmurze dymu, szczątków i morskiej piany.

– Zmieniają kurs, sir – rzekł z ciężkim sercem kapitan Trahvys. Caitahno Raisahndo tylko na niego spojrział. W odpowiedzi na to spojrzenie kapitan flagowca wzruszył ramionami. – Idą na wiatr. Nie rozwijają więcej żagli, ale...

Ponownie wzruszył ramionami, a Raisahndo skinął głową.

To zrozumiałe, że kanonierki idą pod wiatr. I tak wystarczająco zmitrężyły, rozprawiając się z galerami śrubowymi Hahlynda – z których zostały tylko dwie. Raisahndo nie winił ich dowódców, że starają się za wszelką cenę zejść z linii ognia Charisjan, zamiast zmniejszyć dystans. Było przecież jasne, że w żaden sposób nie zaszkodzą przeklętym parowcom, cokolwiek by robili. Najlepsze, na co mogli liczyć, to że uda im się opóźnić drani, przekonać ich, by nieco więcej czasu przeznaczyci na sianie zniszczenia w nadziei, że bardziej tradycyjne jednostki poradzą sobie z blokadą.

Nic z tego jednak nie miało się stać. Kanonierki i towarzyszące im okręty właśnie się odwracały, aby uciec przed resztą jego eskadry – przy czym ruch ten został wyliczony z zabójczą precyzją. Nawet nie rozwinięły więcej żagli, ponieważ wcale nie chciały trzymać się od niego na dystans w nieskończoność. Plan był taki, by wyczekać dostatecznie długo, zanim w końcu eskadra barona Sarmouth nadpłynie od tyłu, domykając pułapkę.

A on, Caitahno Raisahndo, nie mógł na to nic poradzić.

Okręty wroga wyprzedzały go z dużą prędkością, mimo że sam miał podniesione wszystkie żagle. Znalazły się tak blisko, że obserwatorzy

Raisahnda byli w stanie wreszcie potwierdzić, iż ani jeden okręt z pierwszej linii Charisjan nie jest kanonierką. Dohlariański admirał skrzywił usta z goryczą. *To podobne do tych przebiegłych drani: wmówić mi, że okręty artyleryjskie to kanonierki, po to bym nadzieiał się na prawdziwe kanonierki!* – pomyślał. *Nie wspominając o tych przeklętych trójpokładowcach. Aczkolwiek nawet one nie uczynią wielkiej różnicy...*

Do tego dochodził fakt, że – jak się okazało – okręt płynący na czele najbliższej charisjańskiej eskadry także był kanonierką.

Zamierzają wbić to zgrupowanie w nasze plecy, jakby to był sztylet, podczas gdy ich przyjaciele z przodu zastępują nam drogę, umożliwiając tę krwawą jatkę. Tymczasem trzecie zgrupowanie nadciąga od zwieterznej, i to szybko. Czuję się jak kraken w sieci, który czeka, kiedy spadnie na niego cios topora.

– Wybierać żagle – wydał rozkaz Caitahno Raisahndo. Gdy Trahvys posłał mu pytające spojrzenie, admirał tylko wzruszył ramionami. –

Przegraliśmy ten wyścig, Lewk. Przy tej prędkości dojdzie wkrótce do złamania naszego szyku. Pora, abyśmy przygotowali się do walki i przeorganizowali sзык. Po co ryzykować dalsze szkody? Tak się składa, że ci dranie, chcąc nas dopaść, będą musieli wpłynąć w zasięg naszej artylerii.

– Tak jest, sir – odparł spokojnym głosem Trahvys, zupełnie jakby sobie nie zdawał sprawy, jakie konsekwencje niesie decyzja admirała.

– Skoro już przy tym jesteśmy, niech eskadra zmieni kierunek na północ północny zachód – dodał Raisahndo, uśmiechając się blado. –

Przekonamy się, ile zajmie tym przeklętym kanonierkom dogonienie nas.

– Tak jest, sir! – Trahvys zasalutował, po czym gestem wezwał do siebie sygnalistę.

Raisahndo natomiast odwrócił się do komandora Kahmelki.

– Zejdź pod pokład – rzekł cicho. – Zabierz ze sobą Ahrnahlda. Wspólnie dopilnujcie, aby wszystkie poufne dokumenty i szyfry znalazły się za burtą, w towarzystwie jednego albo dwóch kartaczy.

– Tak jest. – Kahmelka nie mrugnął nawet okiem. – Wróg nie znajdzie niczego, co mógłby wykorzystać, sir – zapewnił.

– Świetnie, Gahryth. Świetnie. Wiem, że mogę na tobie polegać. – Admirał poklepał podwładnego po ramieniu. – Gdy już będziesz pod

pokładem, poproś ojca Symyna, aby dołączył do mnie na pokładzie rufowym. – Uśmiechnął się smutno. – Myślę, że przyda nam się ktoś, kto wyjedna u Boga Jedyne przychylne nastawienie...

.VI.
Pałac królewski
Gorath
Dohlar

A to dopiero cholerna katastrofa! – warknął Aibram Zaivyair, machając trzymanym w rękę dokumentem, po czym rzucił plik kartek na stół, aż puścił spinacz i wszystkie się rozsypały po blacie. – Może zechcesz mi wyjaśnić, jak do tego doszło, mój panie?

Lywys Gardynyr siedział na krześle naprzeciwko mężczyzny, który był jego przełożonym – to znaczy przynajmniej teoretycznie nim był. Aibram Zaivyair, książę Thorastu, a zarazem minister marynarki Dohlaru i głównodowodzący Królewską Flotą Dohlaru, nie postawił nogi na pokładzie okrętu od trzydziestu lat. Wcześniej zaś dochrapał się swojego stanowiska jeszcze wtedy, gdy powszechna była opinia, że ma sens przenoszenie oficerów armii do marynarki wojennej.

Od tamtej pory nie zauważył różnicy między armią i flotą, pomyślał kwaśno hrabia Thirsku. Bo i nie musiał – dzięki swemu urodzeniu oraz kontaktom mógł udawać, że zna się na tym, co robi. W dodatku od samego początku siedział w kieszeni Clyntahna.

– No? – ponaglił rozmówcę książę Thorastu. Odkąd hrabia Thirsku wrócił na służbę, stał się jeszcze bardziej konfrontacyjny. Zdaniem Gardynyra chodziło o to, że z powodu okoliczności „śmierci” jego krewnych dotychczasowy patronat niebawem miał się skończyć. Zakładając, że jeszcze to nie nastąpiło. – Zadałem pytanie! – szczechnął poirytowany książę Thorastu.

Hrabia Thirsku przechylił lekko głowę, jakby rozpatrywał zachowanie niegrzecznego dziecka. Nie miało bowiem sensu udawać, że jest w stanie spacyfikować księcia.

– Mam tego świadomość, mój panie – odparł Gardynyr, a książę Thorastu pociemniał na twarzy. – Sądziłem jednak, że pytanie jest retoryczne, skoro raport, który otrzymaliśmy od Harchończyków, ze

szczegółami opisuje wydarzenia. Heretycy wprowadzili do Zatoki Rhaigaira te same kanonierki, które zrównały z ziemią Geyrę, i uczynili to samo z nami. W sposób, przed którym zarówno admirał Raisahndo, jak i ja przestrzegaliśmy, domyślając się, że nastąpi to wcześniej lub później, jeżeli pozostawimy Eskadrę Zachodnią w takiej bliskości wyspy Szpon. Zważywszy na to, że przedarli się przez zmasowany ogień kilkuset ciężkich dział, w tym wielu nowych fultynów, a także że całkowicie unicestwili sporą część rhaigairskiego nabrzeża, nie tracąc ani jednego okrętu, chyba nietrudno sobie wyobrazić, jaki był efekt tych działań.

– Posłuchaj no mnie, ty cholerny...

– Dość tego, Aibramie!

Te trzy słowa nie padły głośno, lecz zadziałały niczym uderzenie bata. Księżę Thorastu opadł na oparcie krzesła, z niedowierzaniem przyglądając się człowiekowi, który je wypowiedział. Samyl Cahkrayn, księżę Fernu, a zarazem główny doradca Dohlaru, zmierzył księcia Thorastu twardym spojrzeniem.

– Sytuacja jest zbyt poważna, żebym ci pobłażał – rzekł księżę Fernu.

– Wszyscy w Dohlarze wiedzą, z jaką mocą nienawidzisz hrabiego Thirsku. Tym razem jednak nie chodzi o niego ani o ciebie. Chodzi o to, co właśnie spotkało naszą flotę oraz jaki los czeka całe królestwo! Skoro tego nie rozumiesz i nie zamierzasz wnieść nic konstruktywnego do dyskusji, radzę, abyś znalazł sobie inne zajęcie, podczas gdy my tutaj będziemy się głowić.

Księżę Thorastu zrobił wielkie oczy. Moment później zmrużył je w wąskie szparki, miotając spod powiek błyskawice furii. W końcu pochylił się głęboko nad blatem, wyciągnął przed siebie palec wskazujący i już otwierał usta, aby zareagować, gdy rozległ się głos kogoś innego.

– Mój panie, księżę Fernu być może nie wyraził się na tyle elokwentnie, na ile go stać, niemniej nie można mu odmówić racji. W chwili obecnej szukanie winnych tego, co wydarzyło się trzy tysiące mil stąd, niespecjalnie pomoże nam zdecydować, jakie kroki powinniśmy poczynić.

Minister marynarki zamknął usta, przybierając kamienny wyraz twarzy.

– Za pozwoleniem, eminencjo – powiedział po długiej, przepełnionej napięciem chwili milczenia. – Uważam, że dotarcie do sedna tej niekompetencji, jeśli wręcz nie zdrady, która umożliwiła taki bieg wydarzeń, jest kluczowe, jeśli chcemy nie dopuścić do czegoś podobnego w przyszłości. To jedyny powód, dla którego naciskałem tak mocno.

– Nie wątpię w to.

Obiektywny obserwator miał wszelkie prawo pomyśleć, że biskup egzekutor Wylsynn Lainyr bynajmniej nie jest przekonany co do prawdziwości ostatniego zdania wypowiedzianego przez księcia Thorastu. Świadczył o tym wyraźnie jego oschły ton. Księżę Thorastu zamrugął, lecz powstrzymał się przed reakcją słowną. Tymczasem Lainyr nachylił się, by położyć dłoń na swoim egzemplarzu raportu. Gdy biskup egzekutor zwracał się do hrabiego Thirsku, pierścień z rubinem świadczący o jego pozycji zaśnił w blasku lampy.

– Chyba wszyscy rozumiemy, dlaczego księżę Thorastu jako minister marynarki odpowiadający tylko przed jego wysokością poczuł zaniepokojenie sprawami natury... proceduralnej. W świetle tego nie sposób zaprzeczyć, że naturalną kolejną rzeczą będzie zwołanie odpowiedniego ciała, które przyjrzy się z należną uwagą i we właściwym czasie wszystkim decyzjom i czynom będącym przyczyną obecnego stanu rzeczy. Niemniej teraz bardziej mnie interesuje, co pocniemy z tym fantem. Pozwolisz, że zapytam cię o twoje zdanie?

Hrabia Thirsku pewnym siebie wzrokiem odpowiadał na spojrzenie wysokiego, czarnowłosego duchownego Zakonu Langhorne'a, który na co dzień zajmował się sprawami Dohlaru w imieniu Kościoła Matki. Wprawdzie stolec w Gorathu okupował arcybiskup Trumahn Rowzvel, to jednak nie znaczyło, że jego przełożonym jest właśnie Lainyr, który – jak każdy biskup egzekutor – wiedział lepiej, co dzieje się w arcybiskupstwie, od samego arcybiskupa.

Ponieważ Lainyr był przede wszystkim urzędnikiem Kościoła Matki, nieobca mu była biurokracja. Trzeba jednak jasno powiedzieć, że dobro Kościoła Matki przedkładał ponad wszystko, w związku z czym najbardziej interesowało go sprawne działanie tej instytucji, nie zaś wytykanie jej błędów. Przekładało się to bowiem niemal bezpośrednio na jego zakres władzy i dobrostan. W Dohlarze pojawił się jako następca Ahraina Mahrlowa, gdy ten odszedł na łono Boga Jedynego; awans

spotkał go dzięki temu, że Grupa Czworka miała go za oddanego i lojalnego podwładnego, który idealnie pasuje do dobrze naoliwionych trybów maszyny, jaką był Kościół Matka prowadzący świętą wojnę.

Hrabia Thirsku nie był zdziwiony, widząc kwaśną minę księcia Thorastu, któremu nie spodobała się interwencja biskupa egzekutora. Obydwaj, hrabia i biskup egzekutor, pozostawali w konflikcie co najmniej od czasu, gdy Lainyr pojawił się w Dohlarze. Hierarcha nie robił tajemnicy z tego, że nie podoba mu się, iż Gardynyr ani myśli naginać prawdy pod dyktando duchownych, którzy patrzyli tylko, aby nie podpaść Zhaspahrowi Clyntahnowi. Zarazem trzeba było przyznać, że biskup egzekutor wcale nie nienawidził hrabiego Thirsku, jak czynił to ojciec Ahbsahlahn Kharmych, intendent arcybiskupa Trumahna. Będąc schuelerytą jak wszyscy intendenci, Kharmych otwarcie przejawiał brak zaufania wobec hrabiego, a nawet okazał całkiem jawnie swój gniew na samą sugestię, że jeńcy schwytani przez flotę hrabiego Thirsku mogliby nie zostać przekazani do Syjonu, gdzie czekała ich Kara Schuelera w pełnej rozciągłości. Przed usunięciem ze stanowiska doradcy i dowódcy uratowały hrabiego wyłącznie raporty Staiphana Maika, podkreślające, jak bardzo Lywys Gardynyr jest potrzebny Królewskiej Flocie Dohlaru. Tylko dzięki temu wielki inkwizytor powstrzymał się przed wykonaniem ruchu przeciwko hrabiemu i jego bliskim. Hrabia Thirsku miał jednak świadomość, że słowa Kharmycha tylko dodatkowo zwiększyły podejrzliwość Zhaspahra Clyntahna wobec niego, co pociągnęło za sobą wzmożone uczucie nienawiści.

W świetle powyższego nieobecność Kharmycha na tym spotkaniu była tym bardziej znacząca. Hrabia Thirsku zwrócił na to uwagę na samym początku, aż do tej chwili jednak nie spodziewał się, że Lainyr stanie po jego stronie w potyczce na słowa z księciem Thorastu, który należał do grona najzacieklejszych zwolenników świętej wojny.

To oznacza, że jest nawet bardziej przestraszony, niż sądziłem, pomyślał hrabia Thirsku. I chyba zależy mu na poradzie z prawdziwego zdarzenia, nie zaś na lizaniu tyłka... To było coś nowego.

– Eminencjo... To, co zrobimy... co możemy zrobić... w ogromnej mierze zależy od tego, czy właściwie zinterpretujemy ostatnie wydarzenia. Nie sposób się bronić, kiedy nie wiadomo, przeciwko czemu dokładnie ma być ta obrona. Święta wojna wykazała to dobitnie wiele razy.

Choć mina księcia Thorastu była zdolna skwasić mleko, Lainyr jakby nigdy nie pokiwał głową.

– Chcesz powiedzieć, synu, że ty to wiesz?

Oczywiście, że tak, ty głupcze, odpowiedział mu w duchu hrabia Thirsku, nie zdradzając się mimiką. *Przecież dopiero co to właśnie powiedziałem.*

Raporty nadal były niepełne. Hrabia Thirsku czuł niemiłą świadomość, że wraz z upływem czasu odkryje, że wielu oficerów, których przysposobił do pracy we flocie królewskiej, poległo w trakcie ostatnich działań. Jak na razie nie dotarły do nich listy z nazwiskami poległych marynarzy Eskadry Zachodniej, a tylko zestawienia ofiar w Rhaigairze i poszczególnych bateriach nabrzeżnych. Faktem pozostawało jednak, że ani jeden z galeonów Caitahna Raisahnda nie wyszedł cało z potyczki, która – jak przewidywał – otrzyma nazwę bitwy przy mieliźnie Shipworm. Tylko trzy brygi admirała jakimś cudem uciekły przed swymi charisjańskimi odpowiednikami, przy czym jeden z nich, zaciekle ścigany przez szkunery wroga, dotarł do zatoki Fairstock i zyskał schronienie wśród tamtejszych baterii nabrzeżnych. Wiadomość nadesłana przez kapitana HMS *Morski Smok* była nie dość, że niekompletna, to jeszcze mało zrozumiała – świadczyło to niezbiecie, że dowódca okrętu przeszedł ciężkie chwile i do czasu sporządzenia notatki dla przełożonych nie doszedł jeszcze do siebie. Nie dziwiło to hrabiego Thirsku – w końcu mężczyzna ten był tylko porucznikiem, a wydarzenia go zwyczajnie przytłoczyły. Już samo to, że zbiegł przed Charisjanami, było swego rodzaju cudem. Nie można więc było mieć do niego pretensji, że złożył mniej niż doskonały raport. Tak się składało, że na pewien czas był to jedyny raport z pola bitwy, i tylko to się liczyło.

Tym samym mamy dowód, że szkunery heretyków nie są w stanie przełamać naszej obrony, pomyślał z niejaką satysfakcją hrabia Thirsku.

Oczywiście sprawa z pancernymi kanonierkami przedstawiała się zupełnie inaczej. Jeśli wierzyć słowom barona Żłocistej Trawy, w Rhaigairze baterie nabrzeżne w kanale dały silny odpór charisjańskiej flocie. Rzecz jasna trzeba było wziąć poprawkę na to, że autor tego raportu jest Harchończykiem, gdyż Harchończycy byli znani z tego, że – przyłapani ze spodniami wokół kostek – kłamali jak najęci, byle ratować swoją skórę. Zdumiewające, jak często przedstawiali samych

siebie jako heroicznym i walecznym, podczas gdy tak naprawdę dokonywali „taktycznego odwrotu”, który to taktyczny odwrot zadziwiająco przypominał paniczną ucieczkę z pola bitwy.

Jednakże w tym wypadku generał Cahstnyr, dowódca garnizonu bazy floty Dohlaru i baterii broniących kotwicowiska, w pełni poparł ocenę barona Złocistej Trawy. Bardzo możliwe, że próbował ratować własny tyłek, aczkolwiek cieszył się przecież reputacją oficera pokroju Fahstyra Rychtyra. A co jeszcze ważniejsze, takie samo stanowisko zajął kapitan Kharmahdy, którego hrabia Thirsku znał osobiście i miał za solidnego, godnego zaufania człowieka.

Jeśli wierzyć tym trzem mężczyznom, płynąca na czele kanonierka Charisjan była właściwie kupą złomu, kiedy dotarła do Rhaigairu, prowadząc resztę floty. Ciężkie działa broniące głównego kanału żeglugowego zniszczyły ją nie do poznania: wszystkie nieosłonięte pancernem elementy konstrukcji uległy zniszczeniu, komina nie wyłączając. W opinii Kharmahdy’ego znaczna część kadłuba chronionego przez pancierz także ucierpiała.

Kharmahdy przyznał uczciwie, że zniszczenia pozornie wywołane przez pożar mogły być w istocie – jako się rzekło – pozorne. Nie dało się bowiem wykluczyć, że to sadza ze zniszczonego komina była powodem wszystkich czarnych plam. Nawet to, że pompy tej jednostki pracowały pełną parą, nie znaczyło jeszcze, że była ona bliska zatonięcia. Tak czy owak faktem pozostawało, że kanonierka – pomimo oznak zniszczenia jakby nigdy nic brała udział w bombardowaniu wysuniętych baterii Rhaigairu, nie pozostając w tyle za innymi charisjańskimi okrętami.

– Eminencjo – odezwał się w końcu hrabia Thirsku. – Minie sporo czasu, zanim ogarniemy, co właściwie tam się wydarzyło. Część faktów jednak wydaje mi się bezsporna.

Usiadł prościej, unosząc dłoń ze zwiniętymi palcami. Lewą rękę pozostawił tam, gdzie była, to znaczy na kolanach. Odzyskał w niej czucie i mógł nią poruszać, jednakże ból barku przy każdej próbie zniechęcał go do jej używania.

– Po pierwsze – powiedział, prostując palec wskazujący – choć harchońskie baterie robiły co w ich mocy, nie były w stanie powstrzymać napędzanych parą kanonierek przed rozpanoszeniem się w Zatoce Rhaigaira. Z raportów, które nawiasem mówiąc, uważam za prawdziwe,

eminencjo – urwał na moment i wbił spojrzenie w Lainyra, który w końcu skinął głową, świadom, że Gardynyr mógł powiedzieć: „tym razem”, ale nie powiedział – wynika, że Harchończycy wykazali się męstwem i opanowaniem w obliczu skuteczności wroga. Od generała Cahstnyra wiemy, że heretycy musieli się zbliżyć na odległość mniejszą niż trzysta jardów, aby wreszcie stłumić ogień baterii Świętego Thyrmyna. Jak dotąd nie dysponujemy zestawieniem ofiar po naszej stronie, o stronie harchońskiej nawet nie wspominając, w każdym razie Bauzhyng walczył dopóty, dopóki nie zniszczono jego ostatniego dział. Major Kypaitryc, nasz własny oficer łącznikowy, doniósł, że tenże Bauzhyng ładował i strzelał osobiście, aż heretycki pocisk wylądował na jego stanowisku ogniowym, zabijając go na miejscu wraz z prawie wszystkimi członkami obsady. – Zacerpnął tchu, po czym podjął: – Po drugie – w górę powędrował drugi palec – choć jeszcze raz chcę podkreślić, że Harchończycy zrobili naprawdę dobry użytek ze swoich dział, działa te okazały się niewystarczające, aby powstrzymać heretyków. Jest to o tyle istotne, że szczególnie bateria Świętego Thyrmyna otrzymała nowe wyposażenie, wśród którego znalazły się dziesięciocalowe fultyny, natomiast bliskie podejście kanonierek pozwoliło na wcielenie w życie zaproponowanego przez porucznika Zhwaigaira „skomasowanego ataku” na nie. Z tego, co wiemy, wyrządzone szkody przekroczyły te, które Desnairczycy zadali wrogowi w Geyrze. Niestety to nie wystarczyło. Najwyraźniej nawet sprawnie obsługiwane działa strzelające dziesięciocalowymi kulami z odległości trzystu jardów albo nawet mniejszej nie były w stanie przebić pancerzy heretyków.

– Wybacz, synu – wtrącił Lainyr – ale czy raport barona Złocistej Trawy nie sugerował, że koniec końców doszło do przebicia opancerzenia heretyków?

– Owszem, eminencjo – przyznał hrabia Thirsku. – Wszystko wskazuje na to, że kadłub kanonierki został naruszony poniżej linii wody, a może nawet „skomasowany atak” przyczynił się do przecieków, gdyż zauważono działającą miarowo pompę, która wybierała wodę. Poprawię się zatem: najwyraźniej nawet sprawnie obsługiwane działa strzelające dziesięciocalowymi kulami z odległości trzystu jardów albo mniejszej nie były w stanie spowodować szkód, które pozwoliłyby wyłączyć wroga z walki. – Lekko wzruszył ramionami. – Możliwe, że o to

chodzi, choć w niczym to nie zmienia mojego werdyktu. A ten jest następujący: w przeciwieństwie do nas heretycy byli w stanie nas unieszkodliwić. – Urwał, pozwalając, aby ostatecznie zdanie dobrze zapadło w pamięć słuchaczom. Dopiero gdy to się stało, wyprostował trzeci palec. – W obliczu takiego zagrożenia w pełni popieram decyzję admirała Raisahnda, aby wysłać Eskadrę Zachodnią w morze i spróbować się przedrzeć do Gorathu. Rozumiem, że niektórym może się wydawać, iż powinien on być zostać w Rhaigairze i wykorzystać swoje galeony do obrony kotwicowiska. To wszakże okazałoby się wielkim błędem.

Książę Thorastu poruszył się na swoim krześle. Ramiona miał ewidentnie sztywne z napięcia, a spojrzenie zapalczywe. Hrabia Thirsku jednak trzymał wzrok wbity w Lainyra i nawet nie zerknął w stronę księcia.

– Ostrzał zdolny uciszyć ciężkie działa chronione przez nowoczesne ziemne obwałowania poradziłby sobie z drewnianą konstrukcją okrętu bez najmniejszego trudu. A pancierz zdolny przetrwać ostrzał fultynów z tak małej odległości z pewnością nie ucierpiałby w ogóle od jakichkolwiek armat, jakie noszą pokłady naszych jednostek. –

Ponownie wzruszył nieznacznie ramionami. – Mówię to wszystko z ogromną przykrością, eminencjo, ale jestem świadom, że moje chęci i niechęci nie mają wpływu na fakty. Gdyby admirał Raisahndo wysłał swoje galeony, aby broniły one Rhaigairu, okręty te zostałyby unicestwione.

– Chyba nie twierdzisz, mój panie, że wysłanie ich w pełne morze zmieniło to w jakikolwiek sposób? – zapytał znienacka Shain Hauwyl, książe Saltharu.

Był to mężczyzna o dziesięć lat starszy od hrabiego Thirsku, lecz choć wydawał się mniej podatny na uprzedzenia niż książę Thorastu, mimo wszystko czuł większe powinowactwo z księciem aniżeli z hrabią. Było to chyba nieuniknione, skoro obaj książęta byli kuzynami, a sam książę Saltharu także dał się poznać jako zaciekle zwolennik świętej wojny.

– W żadnym razie, eminencjo – odparł hrabia Thirsku. – Twierdzę tylko, że decyzja admirała była dobra, nie zaś, że przyniosła oczekiwany przez nas skutek. Nie udało mu się wyrwać z pułapki, mimo że próbował, słusznie uznawszy, że to jedyny sposób, aby wyprowadzić stamtąd nasze galeony i ich załogi, by mogły dalej służyć sprawie świętej

wojny. Pozwolę sobie w tym miejscu dodać, że wedle raportu admirał Raisahndo i jego ludzie zdołali zadać poważne straty heretykom, podejmując z nimi walkę. Prawdę powiedziawszy, gdyby nie kanonierki na stanie Cesarskiej Floty Charisu, nasi mogli równie dobrze przedrzeć się skutecznie do Gorathu. Cokolwiek niektórzy sobie myślą – dorzucił hrabia nieco twardszym głosem, co nie uszło uwagi obecnych. – Eskadra Zachodnia walczyła dzielnie i przegrała niezasłużenie, moi panowie. Żadna jednostka nie wyrwała się z szyku, żadna nie zbiegła z pola bitwy. Osobiście jestem bardzo dumny z naszych dowódców i marynarzy.

Tym razem odwrócił głowę i spojrzał księciu Thorastu prosto w oczy. Z jego spojrzenia bił chłód.

– Wszystko pięknie, ładnie – odezwał się książę Saltharu, machając ręką przepraszając, gdy hrabia Thirsku posłał mu nieprzychylnie spojrzenie. – Nie zamierzam podważać odwagi naszych ludzi, hrabio. Jeśli odniosłeś takie wrażenie, przepraszam.

Hrabia Thirsku uznał, że książę, o dziwo, mówi szczerze. Na co książę Thorastu nigdy by się nie zdobył...

– Zmierzam do tego – kontynuował książę Saltharu – że jakkolwiek odwagą się wykazali nasi marynarze, ponieśli porażkę. Z tego, co zrozumiałem, wraz z klęską eskadry admirała Raisahnda, nasza flota praktycznie przestała istnieć.

– Nie do końca – skontrował hrabia Thirsku. Książę Saltharu przypatrzył mu się niedowierzającym wzrokiem, na co hrabia uśmiechnął się krzywo. – Nadal mamy na stanie jakieś czterdzieści galeonów i co najmniej trzydzieści galer śrubowych. Wprawdzie brakuje nam marynarzy, ale mamy jednostki, o których właśnie wspomniałem, a w nadchodzących pięciodniach powinniśmy złożyć zamówienia na nowe cięższe galery śrubowe. Niestety tak się składa, że nawet one nie będą miały szans w starciu z kanonierkami Charisjan. Zdaję sobie sprawę, że nikt z was nie chce o tym słuchać, i zapewniam, że sam mówię to z największą przykrością, niemniej tak właśnie przedstawia się prawda.

– Co więc radzisz? Schować się pod stołem i stamtąd nie wychodzić? – rzucił na poły kpiąco, na poły pogardliwie książę Thorastu.

– Ależ skąd – zaprzeczył hrabia Thirsku cichym głosem, pełnym szacunku w przeciwieństwie do głosu księcia. – Nie twierdzą nic ponad

to, że nasze okręty nie są w stanie skutecznie stawić czoła napędzanym parą kanonierkom heretyków.

– Wybacz, synu – wtrącił biskup egzekutor – ale czy dobrze rozumiem, że twoim zdaniem nie mamy co marzyć o wygranej walce z heretykami?

– Eminencjo, nie będę udawał, że sytuacja jest bardzo niekorzystna. – Hrabia Thirsku potrząsnął głową, nie zmienił jednak wyrazu twarzy. – Obawiam się nawet, że nie zdajemy sobie z tego sprawy w pełnej rozciągłości. Jest wszakże jedna dobra wiadomość: wszystko wskazuje na to, że parowce Charisjan są stosunkowo mało mobilne. Właściwie jestem przekonany, że właśnie dlatego tak się trzymają wyspy Trove. Moim zdaniem pragną tam założyć bazę dla przynajmniej części kanonierek. Jeśli im się to uda, znajdą się tysiąc pięćset mil morskich od Gorathu. To chyba nadal za dużo, aby mogły swobodnie tam popłynąć, przynajmniej z tego, co widzieliśmy do tej pory. Niemniej baza na wyspie Trove pozwoli im połączyć przesmyk Mahthyw, kanał Trosan oraz kanał Hilda. Co w gruncie rzeczy oznacza umożliwienie ruchu z Dohlaru w którekolwiek miejsce nad zatoką. W tym zatokę Tanshar, co będzie się wiązało z konsekwencjami dla generała Rychtyra i jego logistyki oraz dla nas, gdy idzie o wsparcie dla południowej części Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów.

– Sugerujesz, że heretycy uniemożliwią nam przerzucanie wsparcia dla naszych oddziałów biorących udział w świętej wojnie? – Lainyr wyglądał na mocno wstrząśniętego.

Hrabia Thirsku nie mógł go za to winić.

– Nie do końca – powtórzył wcześniejszą kwestię hrabia Thirsku. – Przesmyk Mahthyw jest na jakieś dwieście mil szeroki. Skoro już o tym mowa, kanał Trosan jest szeroki na ponad trzysta mil, a heretycy przecież nie mają nieskończonej liczby tych kanonierek. Pomijając prędkość i wytrzymałość tych jednostek, każda z osobna może patrolować wyłącznie okolicę o promieniu od piętnastu do dwudziestu mil. Ich maszty są za niskie, aby ze szczytu było widać cokolwiek więcej. W gruncie rzeczy wątpię nawet, żeby przy najlepszej widoczności obserwatorzy byli w stanie sięgać wzrokiem aż tak daleko. Dzięki temu mogą zauważyć tylko niektóre cele, na pewno nie wszystkie. Z kolei dym z ich palenisk będzie widoczny dla przepływających w oddali okrętów

wcześniej niż te okręty dla nich. Tak więc nie ma konieczności konstruowania coraz szybszych jednostek; wystarczy, że taka jednostka zmieni kurs, zanim zostanie dostrzeżona. – Hrabia Thirsku pokręcił głową. – Zatem nie, eminencjo. Jedyne zagrożenie, jakie stanowi dla nas zajęcie przez Charisjan wyspy Trove, jest takie, że zostaniemy pozbawieni nad nią kontroli i że przerzucą tam swoje lekkie krążowniki

– A co przeszkodzi im w przemieszczeniu się żabimi skokami z wyspy Trove bliżej Gorathu? – zapytał Lainyr. – Po drodze są jeszcze przecież Wyspa Smocza i Wyspa Jaszczurcza.

– W obecnej sytuacji nie ma wielu przeszkód – przyznał hrabia Thirsku bez mrugnięcia okiem, w duchu wyrażając szacunek dla osoby, która zadała tak inteligentne pytanie. Nigdy nie przypuszczał, że Lainyr ma wyobraźnię. – Przykro mi, że muszę to powiedzieć, ale w przeciwnym razie nie wywiązywałbym się należycie ze swoich obowiązków. Oczywiście nasi marynarze są gotowi bronić tych wysp do ostatniej kropli krwi, co jednak nie zmienia faktu, że wszystkie wysiłki powinniśmy skupić na obronie głównych portów.

– Uważasz, synu, że da się obronić główne porty królestwa?

– Na pewno powinniśmy spróbować, eminencjo. – Hrabia Thirsku pokazał w uśmiechu wszystkie zęby.

– Naprawdę? A jak, jeśli łaska?

– Właśnie instalujemy superciężkie fultyny we wszystkich nabrzeżnych bateriach wartych obrony. Najpotężniejsze z nich będą miały dwunastocalowe lite kule, ale już złożono mi obietnicę, że mogą liczyć nawet na piętnastocalówki. Nie spodziewałbym się ich jednak zbyt szybko, nawet przy założeniu, że Zakłady Świętego Kylmahna zdołają je w końcu wyprodukować. Nie zapominajmy bowiem, że heretycy mogą w każdej chwili przerwać szlaki zaopatrzeniowe na zatoce Tanshar. Na szczęście już w tej chwili dysponujemy pokaźną liczbą dwunastocalówek. Większość z nich powstała w Dohlarze; obawiam się, że piętnastocalówki przekraczają nasze możliwości... zrozumiałe więc, że w tej sprawie polegamy na Zakładach Świętego Kylmahna. Gdy my tutaj sobie rozmawiamy, odlewnie działające na zlecenie floty pracują pełną parą, by tak rzec, i produkują kolejne egzemplarze. Przede wszystkim trafiają one do fortyfikacji w zatoce Gorath, ale w miarę otrzymywania kolejnych będziemy je kierować także do innych liczących się portów. Osobiście

jestem za tym, aby postawić na kilka znaczących miast portowych i dobrze je dobroić, zamiast rozpraszać działa. Skuteczność wymaga skomasowania ognia, gdyż choć armaty mają swoją siłę, to jednak strzelają dosyć wolno.

Lainyr skinął głową, aby pokazać, że to rozumie, a hrabia Thirsku wzruszył ramionami.

– Poza działami porucznik Zhwaigair zamierza włączyć do obrony także nowe rakiety. Nie poznamy ich faktycznej skuteczności, dopóki nie użyjemy ich na polu bitwy, wiemy jednak, że zaprojektowano je tak, aby spadały pod bardzo ostrym kątem... niemal tak ostrym jak w wypadku kątówek... a do tego będą przenosiły cięższe głowice, jak powiada brat Lynkyn. Opisana trajektoria umożliwi atakowanie pokładów kanonierek, które przecież muszą być słabiej opancerzone niż kadłub. Głowice to będzie coś w rodzaju wielkokalibrowych pocisków, a nawet litych kul. Z tego powodu nie można liczyć na znaczną donośność, ale faktem jest, że powstały one w oparciu o przeciwpancerne pociski, które znaleźliśmy w magazynach amunicji *Dreadnoughta*.

– Rozumiem.

– Tak jak wspomniałem, na razie nie wiadomo, czy te rakiety okażą się skuteczne – dodał hrabia Thirsku tonem człowieka, który stawia na całkowitą szczerłość. – Możemy mieć taką nadzieję. Jeśli nie okaże się ona płonna, produkcja rakiet pójdzie nam szybciej niż odlewanie nowych dział. A jeśli uda nam się wprowadzić do produkcji także nowe bomby morskie i rozmieścić je w odpowiednich miejscach, a następnie osłonić je bezpośrednim ogniem św. kylmahnów i rakiet, otrzymamy obronę znacznie skuteczniejszą niż ta, którą mieliśmy w Rhaigairze. Jestem przekonany, że gdy Charisjanie odkryją, że posiadamy bomby morskie, zaczną sobie poczynać na morzach znacznie ostrożniej. Wracając zaś do kanonierek, jeszcze raz powtórzę, że moim zdaniem nie mają ich wiele na stanie. Dlatego z niechęcią powitają myśl o możliwej utracie jednej albo większej ich liczby. Na koniec powiem też, że nawet jeśli obrona okaże się mniej skuteczna, niżbym chciał, to i tak nie sposób wymagać, aby jakikolwiek człowiek wymyślił coś lepszego.

Lainyr błysnął oczami, a hrabia Thirsku skarcił się w duchu za to, że użył sformułowania „jakikolwiek człowiek”. Nie zamierzał jednak pogarszać sytuacji tłumaczeniem się.

– Tymczasem – podjął jakby nigdy nic – nawet jeśli wróg umieści kanonierki na wyspie Trove, będzie mu nadal brakować lekkich krążowników, a także pełnowymiarowych galeonów. Jeśli przyjąć za pewnik dane przekazane przez kapitana HMS *Smok Morski*, możemy założyć, że Charisjanie będą cierpieć braki przez wiele miesięcy, może nawet dłużej. A to oznacza, że w najbliższym czasie będziemy mogli swobodnie przerzucać nasze okręty, ludzi i sprzęt.

Lainyr tak jakby się odprężył i pokiwał raźniej głową.

– To brzmi całkiem nieźle, synu!

– Miło mi to słyszeć, eminencjo – odparł hrabia Thirsku. Nie dodał, że jego wynurzenia przypominają właściwie wrózenie z fusów. W tym akurat momencie nie było większego sensu o tym wspominać.

– Jak już powiedziałem, eminencjo, nie ma co udawać, że nie znajdujemy się w poważnych tarapatach. Nie będę kłamał, że cuda są możliwe. W końcu marynarze to tylko ludzie z krwi i kości. Jedno wszakże mogę zagwarantować: Królewska Flota Dohlaru jest gotowa walczyć do upadłego w obronie królestwa i świętej wojny. Jeżeli heretycy zaatakują nasze porty, stanie się to po trupach, zarówno ludzi, jak i naszych jednostek pływających.

.VII.
Świątynia
Syjon
Ziemie Świątynne

Mam serdecznie dość tych bohaterskich obron, które gównem dają – rzekł nieprzyjemnym tonem Zhaspahr Clyntahn. Powiódł wzrokiem po wystawnie urządzonej komnacie i walnął mięsistą dłonią w stół. – A to, że ten tchórzliwy cudak hrabia Thirsku zamierza chować się za swoimi działami i bombami morskimi, zamiast zrobić coś użytecznego, uwieramnie w boku jak szlag! – Dłoń plasnęła o blat ponownie. – Sam przyznał, że jest gotów oddać kontrolę nad Zatoką Dohlariańską i zatoką Tanshar bez oddania jednego strzału. Ten człowiek to zdrajca!

– Z całym szacunkiem, Zhaspahrze, ale się nie zgadzam – powiedział głucho Allayn Maigwair. Wielki inkwizytor błysnął ślepiami, ale głównodowodzący sił Kościoła Matki tylko wzruszył ramionami. – Fakt, że hrabia Thirsku i Dohlarianie nadal walczą po naszej stronie w tej świętej wojnie, jest więcej niż wymowny. Armia Thesmaru stanęła u ich granic, w Reskarze. Królewska Armia Dohlaru prowadzi walki na własnym terenie, niszcząc swoje drogi i kanały, paląc swoje gospodarstwa i wioski, a wszystko w imię spowolnienia marszu heretyków. Twoi własni szpiedzy, Zhaspahrze, ostrzegali cię, że Cayleb i Stohnar mogą ruszyć na południe zamiast na północ jeszcze tego lata. Cóż, prawda jest taka, że bez oporu Dohlarian ten marsz okazałby się dla heretyków bułką z masłem! Chyba masz świadomość, jakie ofiary ponoszą Dohlarianie na lądzie i na morzu. Dopiero co widziałeś raporty z bitwy morskiej, w której zniszczeniu uległa niemal cała flota Dohlaru! Jak na razie nie mam dokładnych liczb, ale wyobrażam sobie, że ofiary idą w tysiące, jeśli nie w dziesiątki tysięcy. Moi oficerowie łącznikowi z prowincji Stene donieśli mi, że wszystkie, nie licząc jednej, galery śrubowe poszły na dno, i że taki sam los spotkał co najmniej dziewięć dohlariańskich galeonów. To równa się jednej trzeciej Królewskiej Floty Dohlaru. Ta jedna trzecia przestała istnieć, a nie została przejęta przez

wroga czy też się poddała z własnej woli. Inkwizycja ma informacje, że zatonął jeden charisjański galeon, a dwa albo trzy dalsze spłonęły z ręki Charisjan po bitwie, były bowiem zbyt zniszczone, aby miało sens je naprawiać. To wszystko oznacza, że nasi sprzymierzeńcy walczą dzielnie nawet wtedy, gdy ich baza operacyjna wylatuje praktycznie w powietrze, bombardowana przez przepływające nieopodal jakby nigdy nic kanonierki, którym niestraszne są pociski z najcięższych dział. I co? I hrabia Thirsku nadal snuje plany, jak bronić portów Dohlaru! Naprawdę muszę ci przypominać, co Desnairczycy zrobili po tym, co spotkało ich w Lesie Kyplyngyra i w Geyrze?

Clyntahn zacisnął leżące na stole dłonie tak mocno, że aż pobieleły mu kostki. Rhobair Duchairn wstrzymał oddech. Wielki inkwizytor znienawidził Lywysa Gardynyra nawet mocniej po tym, jak zginęli wszyscy jego bliscy. Skarbnik Kościoła Matki podejrzewał, że z tą nienawiścią może mieć coś wspólnego strach odczuwany przez Zhaspahra.

Mogłoby się wydawać, że nawet ktoś taki jak Zhaspahr w końcu zrozumie, iż człowiek, który stracił przez niego całą rodzinę, raczej zmieni dotychczasowy stosunek. Tymczasem Clyntahn pieścił się, ponieważ utracił jedyną przewagę, jaką miał nad hrabią.

– Możesz sobie mówić, co chcesz, Allaynie – warknął wielki inkwizytor. – Ja i tak nie ufam temu skurwielowi. Nigdy mu nie ufałem, nigdy, odkąd skrewił na Rafie Armagedonu. Masz go zdjąć ze stanowiska dowódcy Królewskiej Floty Dohlaru. Co tam! Masz go sprowadzić do Syjonu, aby się wytłumaczył z podjętych przez siebie wątpliwych decyzji!

– Zhaspahrze... Jeśli usuniemy ze stanowiska najzdolniejszego dowódcę floty, jakiego mamy po swojej stronie... jakiego kiedykolwiek mieliśmy po swojej stronie... nie sprawi to, że jego podwładni będą dalej chętnie walczyć za naszą sprawę! – odparował Maigwair.

– Nic mnie to nie obcho... – zaczął wściekle Clyntahn, ale zamilkł, słysząc nieoczekiwany głos.

– Allayn ma rację – powiedział Zhasyn Trynair.

Wielki inkwizytor zamknął usta i zwrócił na Trynaira pałające spojrzenie. Kanclerz Kościoła Matki jednak tym się wcale nie przejął.

– Nie mówię tu o tym, czy hrabia Thirsku jest godny zaufania czy nie

– podjął kanclerz. – Nie mam wystarczających informacji i nie wykluczam, że Inkwizycja je posiada, dzięki czemu masz pełne prawo mu nie ufać. Chcę tylko wtrącić, że moje źródła w Dohlarze twierdzą, iż panuje tam strach i niepewność, a to grozi wybuchem paniki w królestwie. Tymczasem książę Fernu, hrabia Thirsku i książę Saltharu robią wszystko, aby obronić Dohlar. I co jeszcze ważniejsze, poddani króla Rahnylda o tym wiedzą. Mają hrabiego Thirsku za gwaranta dobrostanu królestwa. Gdybyśmy go teraz zdjęli ze stanowiska, kiedy sytuacja jest tak niepewna, moglibyśmy doprowadzić do tego samego, co stało się w Desnairze.

Aż dziw, że spojrzenie Clyntahna nie spopielilo kanclerza na miejscu. Tymczasem Trynair przyglądał się wielkiemu inkwizytorowi jakby nigdy nic – zupełnie jakby nadal był członkiem Grupy Czworga.

Duchairn chrząknął cicho. Clyntahn przeniósł wzrok na niego; wyglądał przy tym jak jaszczurodrap obserwujący ofiarę. Duchairn tylko pokręcił głową.

– Zhaspahrze – powiedział. – Stoisz na czele Inkwizycji. Kwestie lojalności czy to duchowej, czy doktrynalnej to twoja działka. W tym jednak momencie rację ma Allayn pospołu z Zhasynem. Jak wiesz, nigdy nie popierałem twoich zastrzeżeń co do lojalności hrabiego Thirsku. Do tej pory nie zmieniłem zdania w tej sprawie. Jednakże nawet zakładając, że się co do niego nie mylisz, to, co hrabia Thirsku proponuje razem z księciem Fernu, jest najrozsądniejsze i najefektywniejsze w obecnej sytuacji. Może się okazać, że to nie wystarczy, tak samo jak może się okazać, że hrabia Thirsku jest słabszy, niżbyśmy wszyscy czterej chcieli. Niemniej w tych warunkach po prostu nie da się zrobić nic więcej. Dlatego usunięcie człowieka, który stoi za jedynym sensownym planem i który utrzymuje resztki tej floty w kupie, może nam tylko zaszkodzić.

W pełni opanowany przyglądał się dalej wielkiemu inkwizytorowi, spodziewając się, że ten w każdej chwili może wybuchnąć.

– ...a potem te tchórzliwe, zarzygane ryje mówią mi, iż jeśli uważam, że mam lepszego kandydata, który wycisnie z Dohlarian więcej,

powiniennem im go przedstawić!

Wyllym Rayno stał w ogromnym gabinecie Zhaspahra Clyntahna, przyglądając się, jak wielki inkwizytor zamaszystym krokiem pokonuje przestrzeń od ściany do ściany, gotując się z wściekłości. Jego sutanna tylko furkotała, kiedy się obracał, a drugi podbródek dygotał jak galareta przy każdym ruchu. Oblicze wielkiego inkwizytora było pociemniałe z gniewu. Być może dał się przekonać do tego, by nie ściągać hrabiego Thirsku do Syjonu, jednakże Rayno znał go nie od dziś i widział, że Clyntahn nakręca się niebezpiecznie, coraz bliższy zmianie decyzji w tej sprawie. A to mogłoby się okazać niefortunne, i to pod wieloma względami.

Nie tylko z punktu widzenia świętej wojny.

– Wasza dostojność – zaczął bardzo ostrożnie Wyllym – moje raporty potwierdzają informacje przekazane na spotkaniu przez wikariusza Zhasyna...

Clyntahn zatrzymał się i okręcił na pięcie, aby popatrzeć na Wyllyma. Arcybiskup, przyszpilony spojrzeniem wielkiego inkwizytora, wzruszył niezdarnie ramionami, nie zmienił jednak wyrazu twarzy. Nie znaczyło to wszelako, że nie zacisnął dłoni ukrytych w rękawach sutanny.

– Coś ty powiedział? – zapytał lodowatym tonem Clyntahn.

– Powiedziałem, że... moje raporty, w tym od biskupa Staiphana, potwierdzają wnioski wikariusza Zhasyna. Nie bronię tutaj nikogo, wasza dostojność, kto by zaczął tracić wiarę. Mówię tylko, że strach i niepewność biorą górę nad ludźmi. To chyba rozumiały, skoro wszyscy naocznie się przekonali, ku własnemu przerażeniu, że Shan-wei znów grasuje na powierzchni Schronienia.

– Twierdzisz, że powiniennem położyć uszy po sobie? Że powiniennem zostawić tego tchórzliwego, zdradzieckiego gnojka na jego miejscu, pozwalając mu dalej dowodzić tą przeklętą flotą, nawet jeśli to oznacza, że nie podniesie kotwicy na ani jednym okręcie i zwyczajnie będzie patrzył, jak heretycy robią, co chcą, w Zatoce Dohlariańskiej? – Wielki inkwizytor obnażył zęby. – Żeby uniknąć nieporozumień, dodam, że to oznaczałoby również swobodne ruchy wroga na Morzu Harchońskim. A nie sądzę, aby twoi przyjaciele z Harchongu byli specjalnie zadowoleni, gdy ich miasta zaczną płonąć na podobieństwo Rhaigairu. Chociaż Chiang-wu to wyspa, czyż nie?

– Wasza dostojność, mam krewnych w Tiegelkampie i w prowincji Stene, ale nie na wyspie Chiang-wu. – Rayno spojrział Clyntahnowi prosto w oczy. – Mimo to wolałbym nie oglądać żadnych harchońskich miast w ogniu. Niemniej w obliczu obecności heretyków w Zatoce Dohlariańskiej uważam za szczególnie istotne, aby pozostawić na stanowisku dowódcy Królewskiej Floty Dohlaru człowieka, który cieszy się zaufaniem obywateli. Jeśli dostaniemy dowody... albo choćby będziemy mieć uzasadnione podejrzenia... że nie robi wszystkiego, co w jego mocy, będziesz miał wszelkie prawo, wasza dostojność, pojmać go i sprowadzić do Syjonu. Grunt, że – arcybiskup pozwolił sobie na uśmiech – ta panika nie będzie trwać wiecznie. W ten czy inny sposób ustąpi, gdy Bóg Jedyiny pospołu z Schuelerem pokażą nam, w którym kierunku powinniśmy się zwrócić. Gdy to nastąpi, przyjdzie pora rozprawić się z hrabią Thirsku. Tymczasem, ufając mu czy nie, musimy wykorzystać go do swoich celów.

– A jeśli hrabia Thirsku odwdzięczy się, gryząc naszą dłoń? – zapytał gburowato Clyntahn, który wydawał się wreszcie uspokajać.

– Chyba musimy zawierzyć Bogu Jedynemu i czujności biskupa Staiphana – odparł Rayno, zadowolony, że trącił właściwą strunę.

Wielki inkwizytor wyraźnie się odprężył na wzmiankę o Staiphanie Maiku.

Nie kto inny jak Zhaspahr Clyntahn dobrał hrabiemu Thirsku intendenta w osobie biskupa Staiphana, nie dziwota więc, że miał do niego niemal kompletne zaufanie. Raporty Maika od samego początku podkreślały operatywność i lojalność hrabiego wobec Korony, uznając przy tym wątpliwości wielkiego inkwizytora dotyczące strony duchowej. Mimo że sam Maik nie widział żadnych śladów niespolegliwości, trzymał oczy szeroko otwarte. Wyllym Rayno był pełen podziwu dla biskupa za to, że ten zdołał tyle osiągnąć wbrew jawnej niechęci Clyntahna do hrabiego. Dlatego wziął nawet na siebie cenzurowanie co bardziej jadowitych raportów Ahbsahlahna Kharmycha, byle wysiłki Maika nie poszły na marne. Cokolwiek bowiem myślał sobie Zhaspahr Clyntahn, hrabia Thirsku był w tym momencie kluczowym elementem świętej wojny.

Niestety Rayno zauważał, że intendent stał się sojusznikiem hrabiego w jego konfrontacji z księciem Thorastu. Oczywiście było to

nieuniknione, jeśli biskup Staiphan miał należycie wykonać swoje zadanie, niemniej na przestrzeni ostatnich kilku miesięcy, a już szczególnie od śmierci członków rodziny hrabiego, Rayno zaczął wyczuwać nawiązującą się nie porozumienia pomiędzy admirałem i intendentem.

To było niepokojące, lecz gdyby wspomniał Clyntahnowi o swoich obawach co do lojalności Maika, wielki inkwizytor zażądałby przejrzenia całej korespondencji. To zaś okazałoby się... niewygodne, ponieważ raporty nie w pełni się pokrywały z tym, co Rayno przekazywał przełożonemu. W normalnych okolicznościach nie przejmowałby się tym zbyt – Clyntahn od lat miał świadomość, że jego adiutant od czasu do czasu ugrzeczniał informacje, lecz ufając Wyllymowi kompletnie (w końcu Wyllym był od niego całkowicie uzależniony), nie sprzeciwiał się takim praktykom. Co więcej, godził się z tym, że w jego otoczeniu potrzebny jest człowiek, który będzie wiadomości odpowiednio cenzurował, aby zmniejszyć liczbę napadów wściekłości wielkiego inkwizytora.

Niestety napady te stały się coraz częstsze. Dlatego arcybiskup wolał nie ryzykować szczerości, aby nie przekonać się na własnej skórze, jak Zhaspahr Clyntahn zareaguje na fakt, że Wyllym od dawna ukrywa przed nim dowody potencjalnej zdrady hrabiego Thirsku, a może nawet także Maika.

Rayno uznał, że najlepiej będzie również nie wspominać, jak silnie jest zaangażowany biskup Staiphan w strategię defensywną głoszoną przez hrabiego. Zważywszy na obecny nastrój wielkiego inkwizytora, nie sposób było przewidzieć, jak mógłby zareagować na taką informację. *W najlepszym razie zażądałby powrotu Maika do Syjonu. W najgorszym zaś...?*

Arcybiskup wolał o tym nie myśleć, tak samo jak oddalał od siebie wiedzę, że hrabia Thirsku oraz Ahlverez – ze wszystkich osób! – spotkali się ze sobą po kryjomu. Wyjawienie tej informacji wielkiemu inkwizytorowi w jego obecnym stanie poskutkowałoby wybuchem większym niż ten, który zniszczył Rafę Armagedonu. W dodatku informacja ta była niepotwierdzona, ba, wręcz niepewna, a przez to podejrzana, gdyż pochodziła od Kharmycha, który namiętnie nienawidził obu mężczyzn i był zdolny do fabrykowania dowodów przeciwko nim. Jakkolwiek spojrzeć, Inkwizycja była znana z fabrykowania dowodów

przeciwko ludziom, których miała za winnych, zamiast przeprowadzić długotrwały i kosztowny proces gromadzenia faktów, a tak się składało, że Kharmych przez ponad dwadzieścia lat był inkwizytorem, zanim objął obecne stanowisko. Znał zatem wszystkie sztuczki i był tego rodzaju człowiekiem, który bez wyrzutów sumienia po nie sięgnie z powodów czysto osobistych. Właśnie dlatego Rayno nie przekazał na bieżąco raportu Kharmycha. A skoro tego nie zrobił wtedy, niezręcznie by mu to było robić teraz, kiedy to Clyntahn bez dwóch zdań uznałby tę zwłokę za dowód na to, że arcybiskup postanowił utajnić dowody na niełojalność hrabiego Thirsku na długo przed bitwą przy mieliźnie Shipworm.

No i była jeszcze jedna drobna sprawa... Co będzie, jeśli jednak – wbrew wszystkiemu – się okaże, że raport Kharmycha nie kłamał? Jeśli Clyntahn zawezwie Maika do Syjonu, a ten odmówi przyjazdu, Gardynyr zaś i Ahlverez zapewnią mu ochronę, może się to źle skończyć. O ile Inkwizycja nie wykaże się skutecznością i nie aresztuje ich natychmiast, w najlepszym razie rozpęta się wojna domowa bądź powtórka z tego, co wydarzyło się w Desnairze. W najgorszym zaś – powstanie nowy Corisand, a nawet Siddarmark, i to na kontynencie.

W głębi ducha Wyllym Rayno czuł dręczącą obawę, że święta wojna już jest przegrana, wszelako nie widział innej możliwości, jak tylko walczyć do samego końca, licząc na wstawiennictwo archaniołów. A niestety po tym, do czego doszło w więzieniu Św. Thyrmyna, niemal całkowicie stracił wiarę w interwencję tych ostatnich.

Nie, to nieprawda, odezwał się cichy głosik w głębi jego jestestwa. Nadal jesteś przekonany, że archaniołowie nie pozwolą zwyciężyć siłom zła...

Po prostu Wyllym Rayno utracił pewność, że dobrą stroną w tym sporze jest Grupa Czworga.

.VIII.
HMS *Gwylym Manthyr*
Zatoka Howella
oraz
Pałac cesarski
Tellesberg
Stary Charis
Imperium Charisu

Potęźna jednostka mknęła przez granatowy przestwór niczym rakurai Langhorne'a. Była gigantyczna, większa od czegokolwiek, co zbudowano na Schronieniu: liczyła czterysta pięćdziesiąt stóp od dziobu do rufy, co dawało długość czterystu trzydziestu stóp na wysokości linii wody. To znaczyło, że jest dwukrotnie większa od galeonu klasy Zhenyfyhr Ahrmahk, a nawet kanonierki klasy Rottweiler. Od dziobu po rufę mierzyła ona siedemdziesiąt osiem stóp. Dziesięciocalowe działa, zamontowane na jej pokładzie parami, po jednej na dziobie i na rufie, co dawało w sumie cztery sztuki, stanowiły najcięższe uzbrojenie okrętu, jakie widział świat. Oprócz nich było jeszcze czternaście osadzonych w kazamatach ośmiocalówek i dwanaście czterocalówek ukrytych za osłonami pokładu głównego. Po obu stronach jej dziobu w niebo strzelały wysokie strugi białej piany, gdy cięła Zatokę Howella z prędkością dwudziestu węzłów, zdolna w porywach osiągnąć nawet dwadzieścia pięć węzłów.

Wiatr wiał z południowego zachodu, aczkolwiek niezbyt mocno, tak że panował nieprzerwany ukrop, a morze było płaskie jak deska. Co innego powiew wywołany przez pęd płynącego szybko okrętu. Gęsty obłok czarnego dymu węglowego wydobywający się z bliźniaczych kominów wisiał ciężko nad powierzchnią wody, rozpierzchając się leniwie. Ciemna chmura unosiła się daleko za okrętem, stanowiąc lustrzane odbicie białego kilwateru.

Kapitan Halcom Bahrns stał na otwartym skrzydle mostka nawigacyjnego, trzymając dłonie zaciśnięte na relingu przed sobą. Tunika jego munduru opinała mu ciasno pierś, a jej poły – i rękawy – powiewały wskutek dużej prędkości.

Boże Jedyne, pomyślał kapitan. Ten okręt istnieje naprawdę! Nie mogę w to uwierzyć, mimo że stoję na jego pokładzie.

Niemal się załamał, gdy kazano mu przekazać HMS *Delthak* w ręce Pawala Blahdysnberga i wrócić do Starego Charisu. Wbrew początkowym obiekcjom pokochał każdy nit, każdą płytę poszycia niezgrabnej jednostki, którą mu przydzielono, a ona ani razu nie zawiodła jego zaufania, spisując się zawsze na medal. Halcom Bahrns uważał, że wielką niesprawiedliwością jest odebrać mu dowództwo nad nią i odesłać do domu bez żadnego wyjaśnienia. Zherald Cahnyrs, drugi oficer HMS *Delthak*, miał mu towarzyszyć, a był zbyt dobrze wyszkolony, aby wyrazić na głos swoje rozczarowanie, które nie ustępowało rozczarowaniu Bahrnsa.

Obydwaj, kapitan i porucznik, poznali powód swego odwołania dopiero wtedy, gdy zameldowali się u barona Skalistego Szczytu – nie w Tellesbergu ani nie na wyspie Zamek, nawet nie w Zatoce Królewskiej, jak się spodziewali, tylko w Lareku, u ujścia rzeki Delthak.

Halcom Bahrns wszedł tam na pokład HMS *Niszczyciel* – to znaczy flagowca barona Skalistego Szczytu – i zapatrzył się na olbrzymią jednostkę zacumowaną w doku. Na jej pokładach roilo się od skutników.

Bahrns nie wierzył własnym oczom.

– To niespodzianka, prawda, kapitanie? – zapytał jednonogi admirał, uśmiechając się łobuzersko.

– O tak, sir – odparł Bahrns, kiwając głową. – I to pod wieloma względami! Nigdy nie sądziłem, że ktoś weźmie pod uwagę moją kandydaturę, gdy przyjdzie do obsadzania stanowisk dowódców tych jednostek. Zresztą nawet gdyby przyszło mi to do głowy... – Urwał i potrząsnął głową.

Baron Skalistego Szczytu prychnął głośno. W dźwięku tym pobrzmiwała nagana, ale też rozbawienie i tak jakby satysfakcja.

– Po pożarze w Delthaku nie dziwię się, że to dla ciebie niespodzianka – powiedział admirał. – Mam nadzieję, że Clyntahn, Maigwair, a nawet

hrabia Thirsku będą mieli takie same odczucia jak ty. Bo z całą pewnością postaraliśmy się o to, aby ich zadziwić!

– Chyba rozumiem powód tych starań, sir... Czy to jednak znaczy, że pożar był mniej niszczycielski w skutkach, niż mówiły plotki?

– Niestety nie. – Wszelkie rozbawienie zniknęło z głosu admirała jak ręką odjął. – W gruncie rzeczy straty były nawet większe, niż początkowo myśleliśmy. A przecież trzeba było nieprzerwanie produkować działa dla naszej armii. Bo... choć przyznaję to z niechęcią jak każdy oficer floty... ważniejsza nawet od artylerii marynarki wojennej była artyleria lądowa. Przypuszczam – dodał, obdarzając Bahrnsa ostrym spojrzeniem – że rozumie pan to lepiej od większości ludzi, kapitanie.

– Owszem – potaknął Bahrns i zacisnął szczęki. – Hrabia Hanthu czyni cuda, lecz jego ludzie płacą za to własną krwią, i to obficie. Oczywiście przyznaję, że nie ma na świecie człowieka, który radziłby sobie w tej roli lepiej niż hrabia Hanthu. Wszyscy wiemy, że cena byłaby jeszcze wyższa, gdyby na jego miejscu znalazł się ktoś inny. Rzecz jednak w tym, że ja znam tych ludzi. Dla mnie to nie są tylko suche nazwiska na liście strat. Dlatego jestem gotów uczynić wszystko, aby obniżyć tę cenę jeszcze bardziej.

– Ja też, kapitanie, ja też. – Baron Skalistego Szczytu położył Bahrnsowi dłoń na ramieniu. – Jeśli mam być szczery, właśnie to, że tak skutecznie koordynowałeś nasze działania z działaniami armii, zaczynając od wielkiego rajdu po kanałach, a kończąc na kampanii Seridah, sprawiło, że gdy przyszła kolej znaleźć dowódcę naszego nowego cacka, pomyślałem zaraz o tobie.

Bahrns poczuł, że twarz mu czerwienieje, ale na szczęście admirał mówił dalej, nie czekając na jego reakcję.

– Tak czy owak – rzucił rażno, zdejmując dłoń z ramienia kapitana i kładąc ją z powrotem na poręczy – biorąc pod uwagę pożar w Delthaku i fakt, że musimy dostarczyć działa armii lądowej, co najmniej cztery miesiące miną, zanim ukończymy uzbrajanie okrętów tej klasy. Na szczęście wystarczyło ocalić dwie dziesięciocalówki z zakładów i dodać do nich sprawdzone już armaty, aby utworzyć główną baterię dla okrętu klasy Król Haarahld, który widzisz przed sobą. – Wskazał brodą ogromną jednostkę. – Od księcia Delthaku wiem, że będzie gotowa do

testów za trzy pięciodnie.

– Domyślam się, że ma już kapitana? Nie ona jedna zresztą... Przecież bardziej sensowne jest przydzielenie dowództwa komuś, kto jest związany z tym projektem od samego początku.

– Owszem, kapitanowie zostali wyznaczeni. Bynajmniej nie robiliśmy tego na chybił trafił. Ta konkretna jednostka dostała się pod rozkazy Zhorja Mahlruneego. Zdaje się, że zna go pan, kapitanie.

– Zgadza się, sir. Znamy się z Zhorjem bardzo dobrze. – Bahrns nagle zmarszczył czoło. – Gdy byłem dzieckiem, Zhorj został pierwszym oficerem na HMS *Morska Dzierzba*. Czy wolno mi zapytać, dlaczego nie służy dalej na tym okręcie? To jeden z najlepszych marynarzy, jakich znam!

Z jego głosu biła troska, co słysząc, baron Skalistego Szczytu westchnął.

– Przykro mi, kapitanie... Sądziłem, że pan wie. Zhorj Mahlrune został odwołany do rodzinnego Chisholmu. Nie było to po naszej myśli ani po jego, wszakże... Stracił w wypadku żonę.

– Ahnalee nie żyje? – Bahrns wgapił się w admirała.

Ahnalee Mahlrune była wdową po innym oficerze; Zhorj ożenił się z nią przed niespełna dwoma laty. Wychowywali razem trójkę dzieci, z czego dwoje pochodziło z jej pierwszego małżeństwa.

– Obawiam się, że tak – potwierdził admirał. – Głupia sprawa, bardzo pechowa... Na pewno pan słyszał, że Zhorj po ślubie ściągnął do Chisholmu swoich rodziców?

Baron Skalistego Szczytu przechylił pytająco głowę, Bahrns odpowiedział skinieniem. Wiedział, że rodzice Zhorja byli w mocno podeszłym wieku, a jego jedyny brat służył w marynarce, także pełniąc rolę oficera. Właśnie dlatego, że obydwaj byli ciągle w morzu, Ahnalee postanowiła zaopiekować się parą staruszków.

– Niestety go przytłoczyło – podjął baron Skalistego Szczytu. – Niemniej, ponieważ jego brat służy pod baronem Sarmouth w pełnym morzu, to właśnie on musiał się zatroszczyć o rodzinę. W tych okolicznościach poprosił o urlop i przeszedł w stan spoczynku, za moją zgodą, ma się rozumieć. Zdarzają się bowiem sytuacje, gdzie priorytety są jaśniejsze niż słońce... i to była jedna z tych sytuacji. W każdym razie zostaliśmy z ręką w nocniku, ale Zhorj na szczęście zaproponował kogoś

na swoje miejsce: pana. Prawdę powiedziawszy, kiedy został pan odwołany, myśleliśmy, aby przydzielić panu jeden z okrętów klasy City, początkowo więc nie zamierzałem skorzystać z tej sugestii. Zresztą dopiero gdy był pan w drodze, książę Delthaku poinformował nas, że jednak ocalono dość dział, aby wyposażyć jeden okręt klasy Król Haarahld. Para cesarska postawiła na ten konkretny okręt, dlatego więc szukamy dla niego kapitana.

Mina Bahrnsa mówiła sama za siebie – oficer chciał zadać pytanie, jakiego nie wypadało mu zadać. Widząc to, admirał wybuchnął śmiechem.

– Tak się składa, że budowa tego okrętu w niczym nie ustępuje pozostałym. Jedyną drugą możliwością był HMS *Król Haarahld VII*, wszakże jego kotły parowe nie pracowały, nazwijmy to, prawidłowo. – Admirał wzruszył ramionami. – To nieczęsty zarzut pod adresem zakładów w Delthaku, niemniej czasami nawet ich pracownicy dają ciała. Właściwie odkryliśmy, że trzeba je rozebrać i zmontować od nowa, co jednak przestało mieć znaczenie, gdy stało się jasne, że i tak brakuje dla nich dział pokładowych. Sprawy zamarły na jakiś czas, aż okazało się, że da się skompletować artylerię dla jednej jednostki. Rozumiesz zatem, że priorytetem stało się znalezienie dowódcy. Bo przecież – dodał, pokazując zęby w uśmiechu – nie chcemy, aby ktokolwiek w Zatoce Dohlariańskiej źle odebrał naszą wiadomość.

– Tak jest, sir – powiedział tylko Bahrns, nie odrywając wzroku od napisu namalowanego złotymi literami na przypominającej klif burcie dziobowej okrętu.

Napis głosił: HMS *Gwylm Manthyr*.

– No i jak tam, kapitanie? – Mężczyzna stojący obok Halcoma Bahrnsa musiał podnieść głos, aby zostać usłyszanym przez szum wiatru i wody. Dowódca odwrócił się do niego z uprzejmym zainteresowaniem. – Dobrze rozumiem, że okręt ci się spodobał?

Halcom Bahrns uśmiechnął się szeroko.

– Och, rozumiesz doskonale, wasza książęca mość! – odpowiedział niedawno wyniesionemu do tytułu arystokratycznego księciu Delthaku.

– Na Langhorne’a! Sądziłem, że HMS *Delthak* jest niesamowity, gdy objąłem nad nim dowodzenie, ale to...! – Zatoczył szeroki łuk jedną ręką, obejmując tym gestem długie, śmiercionośne lufy armat, spienioną wodę tryskającą spod dziobu, świst wiatru w olinowaniu masztu sygnalizacyjnego i szeroki pokład wibrujący do wtóru mocnego pulsu potężnych silników, a zarazem stabilny niczym opoka, mimo że przemierzali właśnie z zawrotną prędkością otwarte wody zatoki. Opuściwszy rękę, potrząsnął głową z zachwytem. – Teraz już pojmuję, czemu wszystko było trzymane w tak ścisłej tajemnicy – podjął. – Nigdy bym się jednak nie spodziewał takiego efektu końcowego. Ten okręt sam w sobie jest potężniejszy od każdego innego okrętu wojennego na Schronieniu!

– To drobna przesada – zauważył Ehdwyrd Howsmyn. – Poza tym ta jednostka nie powstała po to, by prowadzić ruchy zaczepne względem wrogich flot. Jeśli mam być szczery, to chyba kolejny powód, dla którego baron Skalistego Szczytu postanowił mianować cię jej kapitanem. Podejrzewam, że jego cesarska wysokość chce, abyś został pukaczem hrabiego Sharpfieldu, gdy przyjdzie pora złożyć wizytę w Gorathu.

– Wprost nie mogę się tego doczekać! – zapewnił Bahrns z poważną miną.

– Jak my wszyscy. – Książę Delthaku pokiwał głową. – HMS *Gwylym Manthyr* nie ma przede mną tajemnic... – Przez moment przyglądał się rozległym wodom zatoki. – Niemało osób czekało, aż imiennik słynnego Gwylyma Manthyra zabierze głos w tej wojnie. Niech pan nas nie zawiedzie, kapitanie.

– W żadnym razie. – Bahrns nie spuścił wzroku pod spojrzeniem Howsmyna. – Imperium Charisu może na mnie liczyć.

– Gdybym wiedział, że Tahnguchi skróci ten czas o trzy całe pięciodnie w stosunku do własnych szacunków, zaczekałbym z naszą wizytą w Rhaigairze do czasu pojawienia się tego okrętu, Ehdwyrdzie – powiedział sir Dunkyn Yairley, przeglądając przekazywane przez SAPK-i obrazy HMS *Gwylym Manthyr* w trakcie ostatecznych testów. – Wówczas zginęłoby znacznie mniej ludzi...

– Jeśli dobrze pamiętam, Dunkynie – wtrącił z Siddaru cesarz, przybierając nieco kwaśny ton głosu – Lewk Cohlmyń jest dowódcą naszej floty w Zatoce Dohlariańskiej. Popraw mnie, jeśli się mylę, ale to on odpowiada za zgranie wszystkich działań w czasie.

– Cóż, to akurat się zgadza, wasza wysokość. Niemniej zawsze mogłem próbować go przekonać do zwłoki, zamiast wisieć mu nad uchem i popędzać. Namawiałbym do wstrzymania się z podjęciem akcji z całych sił, gdybym tylko wiedział, że ten okręt się pojawi!

– Dunkynie, nawet gdybyśmy znali dokładną datę wciągnięcia HMS *Gwylym Manthyr* na służbę, na dwoje by babka wróżyła – oznajmił Domynyk Staynair. – Każdy dzień zwłoki z naszej strony oznaczałby jeden dzień więcej dla Dohlarian, którzy w tym czasie pracowaliby dalej nad projektem i produkcją tych swoich bomb morskich. A przecież nawet okręt klasy Król Haarahld nie ma pancernego dna. Do tego doszły rakiety obrony wybrzeża Zhwaigaira i te przeklęte dwunastocalówki, które Duchairn i Maigwair zarezerwowali dla barona Złocistej Trawy i Cahstnyra. A jak mi się zdaje, pierwsze rakiety pojawiłyby się wczoraj rano, podczas gdy na pierwsze dwunastocalówki trzeba by jeszcze poczekać pięciodzień.

Baron Sarmouth potwierdził te informacje z niechętną miną, baron Skalistego Szczytu zaś wzruszył ramionami.

– HMS *Gwylym Manthyr* to okręt jak każdy inny, nie chroni go żadna magia. Wątpię, aby Dohlarianie zdołali go jakoś znacząco zniszczyć, ale niewykluczone, że nie mam racji... szczególnie gdy wziąć pod uwagę istnienie rakiet. Bo kiedyśmy projektowali tę jednostkę, nikt nie myślał o zmasowanym ogniu dwustufuntowych głowic. Krótko mówiąc, zwłoka z naszej strony oznaczałaby, że wróg mógłby wprowadzić do akcji nowe rodzaje broni, zanimbyśmy uderzyli na Rhaigair.

– Myślę, że jest w tym dużo racji – potaknął Merlin. Baron Sarmouth zwrócił spojrzenie na obraz *seijina* rzucony wprost na jego soczewki kontaktowe, co widząc, Merlin wzruszył ramionami. – Nie zapominajmy, jak oberwał HMS *Eraystor* od dziesięciocalówek, zanim Zhaztro wykończył ostrzeliwujące go baterie.

– No dobrze – odezwał się po chwili milczenia baron Sarmouth. – Tyle muszę przyznać. Niemniej nadal żałuję, że nie byłem w stanie wysłać HMS *Gwylym Manthyr* do akcji, choćby samego, żeby rozprawił się

z baterią nabrzeżną Rhaigairu, kiedy Hainz ze swoją eskadrą czekał na galeony Raisahnda niedaleko mielizny Shipworm. Na Langhorne'a! Nawet ktoś taki jak Caitahno Raisahndo zapewne by się poddał, zobaczywszy, co na niego czyha!

Merlin zaśmiał się ponuro, a Cayleb prychnął, mimo że baron Sarmouth wcale nie mówił od rzeczy. Eskadra Zachodnia, wchodząca w skład Królewskiej Floty Dohlaru, najzwyczajniej w świecie przestała istnieć w wyniku bitwy przy mieliznie Shipworm; z miejsca starcia nie uciekł ani jeden okręt, który miałby na pokładzie więcej niż dwadzieścia dział, co czyniło zeń w najlepszym razie bryg. A jednak Królewska Flota Dohlaru nie sprzeniewierzyła się swojej tradycji. W chwili gdy ocalałe galeony Caitahna Raisahnda opuściły bandery, zaledwie jedenaście z nich nadawało się wciąż do użytku. Gwoli ścisłości tylko dwadzieścia sześć galeonów i jedna uszkodzona galera śrubowa unosiły się w tamtym momencie na wodzie.

Nie dotyczyło to flagowca...

Oczywiście dohlariańskie jednostki nie ginęły same. Charisjanie – chcąc dorwać okręty wroga – musieli wystawić się na nieprzyjacielski ostrzał, mimo że dysponowali jedynie trzema kanonierkami. Tymczasem zniszczenia, jakie zadają sobie zwykle, zbudowane z drewna okręty, potrafią być wstrząsających rozmiarów. Dwa charisjańskie galeony po prostu wyleciały w powietrze. Cztery zatoneły, gdy woda wdarła się przez naruszone kadłuby. Kolejna piątka odniosła zbyt duże zniszczenia, ażeby nadawać się do dalszej służby. Baron Sarmouth wolał spalić jeden z tych zniszczonych okrętów na miejscu, zamiast wlec wrak na wyspę Szpon. Pozostałe cztery dopłynęły tam jakoś o własnych siłach, po czym zostały odarte z uzbrojenia i użytecznych elementów, a następnie także szczyły w płomieniach.

Przed rokiem czy przed dwoma laty co najmniej dwa z tych okrętów starano by się naprawić – dziś jednak nie miało to najmniejszego sensu. Wraz z unicestwieniem Eskadry Zachodniej jedynym przeciwnikiem Cesarskiej Floty Charisu pozostawała eskadra pod dowództwem hrabiego Thirsku w Gorathu. Nawet siejący postrach desnairscy piraci byli tylko cieniem dawnych siebie. Wiadomość Hainza Zhaztra kierowana do Geyry skłoniła cesarza Mahrysa i jego doradców do przemyślenia swego poparcia dla tej strategii. Jak również wszystkiego innego, co by mogło sprowokować kolejną wizytę floty Imperium

Charisu.

Zhaspahr Clyntahn dostał szału, kiedy się dowiedział, że Desnairczycy – którzy zdążyli już wycofać się z szeregów świętej wojny na lądzie – uczynili to samo na morzu, tyle że po cichu. Na szczęście dla Mahrysa stolica Desnairu znajdowała się poza zasięgiem Clyntahna, który przecież nie chciał wydać rozkazu aresztowania cesarza i boleśnie się przekonać, że jego Inkwizycja nie jest w stanie tego zrobić. Wielki inkwizytor nie zamierzał podejmować takiego ryzyka – przynajmniej do czasu, aż rozprawi się z Charisjanami i ich sojusznikami. Wówczas zaczęłoby postrzegać sytuację inaczej, aczkolwiek nikt nie wątpił, że Zhaspahr Clyntahn ma naprawdę długą pamięć.

To z pewnością sprawia, że cesarz Mahrys już tak nie kibicuje Grupie Czworga w jej działaniach na frontach świętej wojny, pomyślał Merlin z niejaką satysfakcją.

Tak naprawdę jednak sprawa sprowadzała się do tego, że po latach intensywnego rozwoju Cesarska Flota Charisu miała więcej – i to znacznie więcej – okrętów, niżby potrzebowała. A w dodatku – dzięki wynalezieniu napędu parowego, stalowych kadłubów i gwintowanych dział – okręty te w ogromnej mierze były przestarzałe. Nie miało sensu naprawianie uszkodzonych galeonów, które i tak wycofano by ze służby na przestrzeni najbliższych paru lat.

– Wiecie... – przemówiła Nynian Rychtair, która siedziała na podłokietniku fotela Merlina – zastanawiam się nad tym od dłuższego czasu, pozwolę więc sobie wreszcie zapytać na głos: czemu, w imię Kohdy'ego, w ogóle powołaliście do życia te okręty klasy Król Haarahl? – Potrząsnęła głową i pacnęła się w czoło. – To znaczy rozumiem, że potrzebowaliście tego, co Cayleb nazywa pukaczami, i że okręty klasy City nie mają odpowiedniego zasięgu. Lecz przecież w Rhaigairze jakoś sobie poradziły, a sir Dunkyn dobitnie pokazał, że jego piechota morska potrafi zdobywać kolejne wyspy jako wysunięte stacje zaopatrzenia w węgiel, kiedy tylko chcą. Po co więc konstruować coś tak gigantycznego? I tak szybkiego? Kapitan Bahrns wyciągnął z HMS *Gwylym Manthyr* dwadzieścia sześć węzłów, ani trochę nie nadwierzając silników.

– Nynian, okaz trochę szacunku! – rzucił Merlin ze zboląłą miną i zadrzał teatralnie.

– Jasne. – Kobieta przewróciła oczami i pacnęła go w ciemność. – Ponawiam swoje pytanie. Nigdy wcześniej nie słyszałam o takiej przesadzie, to znaczy dopóki nie wpadłam w to... złe... towarzystwo. Tymczasem okręty klasy Król Haarahld właśnie tym mi się jawią, najzwyczajszą przesadą. W dodatku pochłoneły tyle środków...

– Ten ostatni argument wydaje się zasadny – wtrącił hrabia Sosnowej Doliny, zanim Merlin zdążył się odezwać. Cesarski główny doradca siedział wygodnie w łóżku, wsparty plecami o poduszki i z książką na kolanach. Na szafce nocnej stał kubek gorącej czekolady. – Ale musisz pamiętać, Nynian, kiedy zrodził się pomysł na nie. – Wzruszył ramionami. – Zaczęliśmy pracować nad tą klasą okrętów, zanim Clyntahn przystąpił do akcji Miecz Schuelera w Republice Siddarmarku. W tamtym czasie nadal koncentrowaliśmy swoje wysiłki na marynarce wojennej, ponieważ przy ówczesnym stanie armii lądowej nie mieliśmy co marzyć o zaatakowaniu kontynentu. W momencie gdy armia wysunęła się na pierwszy plan, realizacja projektu była dalece zaawansowana, a poza tym armia nie potrzebowała płyt pancernych, maszyn parowych ani całej reszty, która kończyła w stoczniach. W związku z tym wysunięty przez ciebie argument marnotrawstwa materiałów jednak nie ma racji bytu.

– No dobrze, zgoda – poddała się Nynian. – Ale patrząc na to z jeszcze innej strony, zamiast jednego okrętu klasy Król Haarahld moglibyście zbudować dziesięć okrętów klasy City.

– Owszem – potwierdziła Sharleyan ze swej komnaty sypialnej w tellesberskim pałacu. – I rozważaliśmy taką możliwość. Zdziwiasz mnie jednak, Nynian...

– Ja?

– Tak. Właśnie ty ze wszystkich ludzi powinnaś znać znaczenie myślenia długofalowego.

Nynian uniosła brwi, a Sharleyan zaśmiała się cicho.

– To był twój pomysł, Merlinie. Może byś więc wyjaśnił?

– W porządku. – Merlin odchylił się na oparcie fotela i posłał Nynian szeroki uśmiech. – Aczkolwiek nie sądzę, aby było mi łatwo przekonać takiego szczura lądowego i ignoranta w sprawach morskich. Co innego gdybym miał do czynienia z prawdziwym wilkiem morskim...

Nynian zmiażdżyła go wzrokiem, uniosła żartobliwie jedną pięść

i udała, że bierze zamach. Merlin wyciągnął ręce w górę w geście poddania.

– Wybacz! – zawołał przy wtórze śmiechów rozlegających się w słuchawkach komunikatorów. – Nie mogłem się powstrzymać. Wracając do tematu jednak... – Spowaźniał momentalnie. – Sharleyan dotknęła prawdziwego powodu, dla którego okazałem poparcie dla projektu Dustyna i Ehdwyrda, gdy wspomnieli o nim po raz pierwszy. Pierwotnie zamierzałem się sprzeciwić... myśląc podobnie jak ty, Nynian. Bardzo szybko jednak objawił mi się inny aspekt tego problemu.

– Jaki? – zapytała, łagodnie opuszczając pięść. Ton głosu także miała już poważny.

– Na czym zasadza się nasza strategia? – odpowiedział pytaniem na pytanie Merlin.

Nynian Rychtair zmarszczyła czoło.

Była to kwestia, którą członkowie wewnętrznego kręgu dyskutowali nieraz w przeszłości, zarówno przed tym, jak do nich dołączyła, jak i potem. Miała tego pełną świadomość. O ile odpowiedź na nie wydawała się pozornie prosta, w rzeczywistości sprawa była niezmiernie skomplikowana.

Początkowo Charisowi zależało wyłącznie na przetrwaniu, chociaż duże znaczenie miało też dążenie Maikela Staynaira do zaprowadzenia wolności sumienia. Naturalnie przetrwanie Charisu równało się klęsce Grupy Czworoga. Dlatego w miarę jak święta wojna przybierała na sile i stawała się coraz bardziej krwawa, przetrwanie nowo powstałego imperium wysunęło się na plan pierwszy w oczach wszystkich obywateli. Dlatego Charisjanie – nie licząc najbardziej zatwardziałyh lojalistów Świątyni, których liczba wszakże stopniowo się zmniejszała z każdym rokiem – zaczęli domagać się odłączenia od Kościoła Matki i upadku Inkwizycji. To z kolei (jakkolwiek trudne do zaakceptowania przez wielu obywateli, samych reformistów nie wyłączając) oznaczało, że chodzi o coś więcej niż tylko zwykłe odparcie ataku Armii Boga. Powoli stawało się jasne, że stroną w tej walce jest nie tylko Grupa Czworoga, ale też instytucja Kościoła Matki, gdyż tylko jej pokonanie pozbawi władzy Zhaspahra Clyntahna.

Były to imperatywy bliskie wszystkim Charisjanom, podobnie jak nieco później także wszystkim obywatelom Republiki Siddarmarku,

którą Zhaspahr Clyntahn również brutalnie najechał. Nimue Alban jednak miała inny imperatyw, ten sam, który stał się bliski członkom wewnętrznego kręgu, a mianowicie, że trzeba doprowadzić do kompletnego upadku cały Kościół Boga Oczekiwanego. Takie było jej zadanie, jej misja, i to od czasów śmierci prawdziwej Nimue Alban, która walczyła o to samo: aby znieść Zakazy, nagłośnić prawdę o „archaniołach”, uwolnić ludzką rasę od pęt, jakie nałożył na nią Eric Langhorne uważający technologię za przyczynę wszelkiego zła, a wreszcie uświadomić niedobitkom ludzkości faktyczne zagrożenie – Gbaba.

Nynian wzięła głęboki oddech i zaczęła mówić.

– Idealnie byłoby zmusić Grupę Czworka... teraz już chyba Grupę Trojga... do złożenia broni i oddania w nasze ręce Świątyni, abyśmy mogli przekonać się nareszcie, co znajduje się w jej podziemiach. – Skrzywiła się boleśnie. – Niestety prawdopodobieństwo, że to nam się uda, równa się praktycznie zeru.

– Otóż to. – Merlin wzruszył ramionami. – Zresztą nawet gdybyśmy dostali się do tych podziemi po dobroci, mogłoby nam to niewiele dać. Już przed tym, zanim Paityr przedstawił nam Kamień Schuelera, zdawaliśmy sobie sprawę, że nie możemy ot tak wparować do Świątyni i zacząć wduszać przyciski. – Uśmiechnął się blade. – Pomijając niemal pewny fakt, że paranoicy tacy jak Chihiro i Schueler zamontowali zabezpieczenia uniemożliwiające świadome bądź nieświadome wyłączenie wszystkich systemów, powinniśmy spokojnie założyć, że co najmniej jeden z „archaniołów” zastawił pułapkę na niezapowiedzianego gościa. Aż strach pomyśleć, co jeszcze nas tam czeka! A także, jak by zareagowali prawdziwi wyznawcy w Syjonie, gdyby „boskie” udoskonalenia nagle przestały działać. Mam tu na myśli głównie oświecenie i zrobotyzowaną służbę. Zważywszy, że prawdziwych wyznawców jest w Syjonie tylu co mieszkańców, sprawa byłaby naprawdę poważna. Inna rzecz, czy wikariusze, nawet ci, którzy wypierają się Clyntahna, pozwoliliby heretykom sprofanować Świątynię? Obawiam się, że nie. Być może stawiliby tylko bierny opór, ale coś mi mówi, że znaleźliby się też tacy, co stanęliby na schodach Świątyni, broniąc do niej dostępu i zmuszając nas do użycia siły, a to ostatnie, co chcielibyśmy zrobić, prawda? Na razie mamy przewagę moralną nad Zhaspahrem Clyntahnem, który, nawiasem mówiąc, robi

wszystko, aby się pograżyć. To by się jednak bardzo szybko zmieniło, gdybyśmy ściągnęli do Syjonu heretyckie oddziały, które by zaatakowały Świątynię i...

Ponownie wzruszył ramionami, bynajmniej jednak nie nonszalancko, a jego szafirowe oczy pociemniały i stały się głębsze od morskiej otchłani.

– Coś takiego spowodowałyby odpowiedź fanatyków. A fanatyzm to dzieci z bombami przytroczonymi do pleców, rzucające się na wroga z poduszczenia rodziców. Wszyscy wiemy, ile takich przypadków miało miejsce. Wystarczy spojrzeć na to, co działo się w Glacierheart, prowincji Tarikah czy Hildermoss. – Merlin potrząsnął głową. – Syjon to największe miasto na Schronieniu. Liczba ofiar mogłaby sięgnąć miliona albo więcej, nawet jeśli koniec końców byśmy wygrali. Zakładając, że platforma bombardująca nie jest zaprogramowana, by strzec fizycznej integralności Świątyni, nawet jeśli miałyby to oznaczać unicestwienie atakującej armii czy floty... Osobiście jestem przekonany, że tak to właśnie wygląda, bo... choć sam nie jestem szalonym masowym mordercą... właśnie w ten sposób bym wszystko ustawił.

– Skoro nie możemy zająć Syjonu siłą – wtrącił cicho Cayleb, przyciągając do siebie spojrzenie Nynian – szanse na to, że przekreślimy Pismo z jego zapisami dzięki unicestwieniu Grupy Czworoga, zmniejszają się z niewielkich na żadne. Kiedyśmy zaczynali... to znaczy kiedy członkowie wewnętrznego kręgu zdali sobie sprawę, o co toczy się ta gra... myśleliśmy, że wystarczy zepchnąć Kościół Matkę na pozycję defensywną, przetrącić krzyż Inkwizycji i stworzyć sytuację, w której Kościół Charisu stopniowo wyrośnie na zastępcę swego poprzednika, dezawuuując autorytet tego ostatniego. Zapowiadała się walka na dziesiątki lat, ba, całe pokolenia; walka pokojowa, podważająca wymowę Zakazów i całego pisma poprzez dawanie przykładu i stopniową reinterpretację. Sądziliśmy, że mamy mnóstwo czasu na rozpracowanie platformy bombardującej. Lecz Paityr przedstawił nam Kamień i obietnicę Schuelera, że „archaniołowie” powrócą. Tym sposobem zostały nam narzucone ramy czasowe, z których istnienia wcześniej nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy.

Nynian skinęła głową z poważną miną. Nic z tego nie było dla niej nowością, aczkolwiek po raz pierwszy miała okazję przeanalizować ewolucję poglądów Charisjan, które były już ukształtowane, kiedy

postanowili sobie wzajemnie pomóc.

– Tak naprawdę nie wiemy, czy „archaniołowie” faktycznie powrócą – podjął Merlin. – Jeśli istotnie tak się stanie, nie mamy pojęcia, jak to się odbędzie. Jedną możliwością jest taka, że CZAŁO wszystkich „archaniołów” wyłonią się z krypt pod Świątynią. Osobiście nie skłaniam się ku tej wersji, gdyż znając ich, podejrzewam, że gdyby przygotowali CZAŁO, od samego początku kontaktowaliby się z mieszkańcami Schronienia. My zyskaliśmy umiejętność budowania CZAŁO w Jaskini Nimue, gdy Nahrman wspólnie z Sową odkryli tajniki tego procesu. Jestem niemal pewien, że Chihiro i Schueler także posiadli tę umiejętność po śmierci Langhorne’a. Niewykluczone, że też musieli się naszperać, nie mniej niż Nahrman i Sowa, ale równie prawdopodobne jest to, że wiedza ta była im dostępna przez cały czas. W każdym razie mieli możliwość stworzyć CZAŁO przed Wojną z Upadłymi albo w jej trakcie, to znaczy gdyby tylko chcieli. To by natomiast znaczyło, że ich armie poprowadziliby prawdziwi archaniołowie i aniołowie zamiast zwykłych śmiertelników, takich jak *seijin* Kohdy. Pomyśl, jak by to wzmocniło władzę Kościoła Matki, szczególnie gdyby ci archaniołowie czy też ich następcy stanowili twarz tej instytucji. – Pokręcił głową. – Zatem nie, nie ma żadnych CZAŁO pod świątynią. Gdyby tam byli, Nimue Alban po przebudzeniu nie działałaby dosłownie nic.

Nynian ponownie skinęła głową, wzdrygając się wewnętrznie na myśl, jaki koszmar czekałby po obudzeniu Nimue – Merlina – w razie takiego rozwoju wydarzeń.

– Zatem jeśli mają powrócić, odbędzie się to w jakiś inny sposób, tylko że nie bardzo wiem jaki. Ale powtarzam, tak naprawdę nie możemy mieć pewności, czy to się kiedykolwiek stanie. Nie zapowiada tego ani Pismo, ani Świadectwa, ani Komentarze. Także Schueler nie zająknął się na ten temat. Zakładając więc, że w kościelnych archiwach nie ma czegoś, czego nie odkrył nawet ojciec Paityra... co wydaje mi się raczej mało prawdopodobne... musimy przyjąć, iż jedynym dowodem na powtórne pojawienie się „archaniołów” są ustne przekazy w rodzinie Wylsynna, teoretycznie pochodzące od Schuelera, aczkolwiek niemające nic wspólnego z jego oficjalną wiadomością.

Merlin się skrzywił, okazując w ten sposób swoją frustrację i troskę.

– Mając to wszystko na uwadze, byłbym skłonny zbagatelizować tę

kwestię, składając wymysły na karb historii ostatnich kilkuset lat. Niestety od Paityra wiemy, że zawołowane aluzje na temat powrotu „archaniołów” znajdują się także w rodzinnych zapiskach Wyłsynnów, poczynając od okresu dwudziestu lat po Wojnie z Upadłymi. Jeśli więc ma to być jakaś legenda, powstała ona zadziwiająco blisko kluczowych wydarzeń. Dlatego moim zdaniem nie wolno nam zlekceważyć tej sprawy, gdyż mogłoby to mieć poważne konsekwencje.

– Zgoda – potaknęła Nynian. – I właśnie dlatego tak usilnie staramy się wypędzić tego dzinna z butelki. – Uśmiechnęła się blado, używając wyrażenia, które zaszczeplił jej Merlin. – Dobrze mówię?

– Dobrze – potwierdził Merlin skinieniem. – Mamy przed sobą sytuację zero-jedynkową. Albo „archaniołowie” wrócą w ten czy inny sposób, albo nie wrócą. Nawet jeśli tego nie zrobią, musimy odkryć sposób, jak zneutralizować to, co tkwi pod Świątynią, oraz cały system platform bombardujących. Jest to konieczne, jeśli mamy zapobiec najgorszemu. Oczywiście znajdujemy się pod większą presją czasu, jeżeli powrót „archaniołów” jest realny. – Przerwał na moment. – Sukces stoi pod znakiem zapytania. Jeśli nie uruchomimy siłowni w Jaskini Nimue odpowiednio szybko, aby mieć spory zapas czasu, będziemy mieli przesrane. Z kolei ukończenie przedsięwzięcia w samą porę pozwoli nam się nie przejmować tym, czy „archaniołowie” wrócą czy nie. – Na jego ustach pojawił się zimny uśmiech. – Dajcie mi pięć lat i technologię sprzed zniszczenia Starej Ziemi, a ja postaram się, aby cokolwiek, z czym pojawią się „archaniołowie”, wyleciało w powietrze. Dodam, że nic nie sprawiłoby mi większej satysfakcji! – Ponownie na chwilę przerwał. – Skoro to jednak niemożliwe, musimy się zadowolić szansą na to, że jakikolwiek „archanioł” się pojawi i w jakiegokolwiek postaci, nie będzie tak szalony jak Langhorne, który unicestwił Enklawę Aleksandria. Osobiście jestem przekonany, że żaden z nich by nie wracał, gdyby mu nie zależało na przeżyciu ludzkiej rasy. Oczywiście wymordowanie ludzi stałoby z tym w jawnej sprzeczności... Właśnie dlatego dążymy do tego, aby wypuścić dzinna z butelki. Od samego początku byliśmy zdecydowani propagować łamanie Zakazów, nawet jeśli one same nadal były utrzymywane w mocy. Ostatnie ostrzeżenie Paityra czyni tę sprawę jeszcze pilniejszą, ponieważ jeśli uda nam się rozprzestrzenić nowe technologie na całym Schronieniu, jedynym sposobem na okiełznanie nas będzie użycie rakurai zdolnego objąć całą

planetę, a to przecież dobitnie by pokazało, że plan Langhorne'a nie wypalił. Rzecz jasna daleki jestem od snucia domysłów, jak by na to zareagował, zakładam jednak, że nie jest kompletnym szaleńcem i jako taki przystałby na poniesienie Zakazów, chociaż pewnie chciałby, aby to lądowanie było tak miękkie, jak to tylko możliwe. – Merlin pokiwał do siebie głową. – Oto powód, dla którego linie kolejowe Ehdwyrda i parowce floty handlowej stanowią większe zagrożenie dla Kościoła Matki na dłuższą metę niż jakikolwiek najpotężniejszy nawet okręt wojenny czy działo. Nie możemy jednak przymykać oczu na fakt, że czasem fanatycy przedkładają kwestie religijne nad ekonomiczne. Zapewniam was, że tak było na Starej Ziemi! Naturalnie konsekwencje były zawsze katastroficzne, a dany kraj popadał rychło w kłopoty, co jednak nie gwarantuje, że i na Schronieniu nie pojawi się „kontrreformacja”, która spróbuje opóźnić postęp, rzucając kłody pod nogi. A to... zważywszy, jak niewiele czasu dzieli nas od zapowiedzianego powrotu... na pewno nie wyjdzie nam wszystkim na zdrowie. – Powiódł wzrokiem po twarzach rozmówców. – Stąd okręty klasy Król Haarahld.

Merlin znowu odchylił się na oparcie fotela i uniósł ręce w górę, jakby właśnie podzielił się z nimi genialnym pomysłem.

Nynian zmarszczyła brwi.

– O czym ty mówisz? – zapytała tonem sugerującym, że domyśla się prawdy, lecz wciąż nie mieści się jej to w głowie.

– Okręt klasy Król Haarahld jest, jak wyjaśnił to Domynkowi kapitan Bahrns, potężniejszy niż jakikolwiek inny okręt wojenny pływający po morzach Schronienia – zwróciła się do Nynian cesarzowa Sharleyan. – Szybszy, większy, groźniejszy od czegokolwiek, co można spotkać pośród fal, a przy tym niemożliwy do skonstruowania, gdy nie skorzysta się z innowacji Ehdwyrda: wszystkich i w pełni. Obecnie zwolennicy Świątyni mogą śmiało twierdzić, że nic, czego byśmy używali, nie przekracza ich możliwości. Być może nie są w stanie wyprodukować broni równie skutecznej jak nasza, ale łatwo przychodzi im uwierzyć, że śmiało mogą stawić czoło naszej armii i flocie, jeśli tylko ich żołnierze i marynarze będą wyposażeni w ich najnowsze wynalazki.

Nynian skinęła wolno głową. Nagle otworzyła szerzej oczy i wyraz zrozumienia wykwitł na jej pięknej twarzy.

– Wiedziałem, że w końcu zajarzysz – rzucił Merlin, obejmując ją ramieniem.

– Zwolennicy Świątyni, idąc w nasze ślady, sami stali się propagatorami technologii!

– Otóż to. – Cayleb uśmiechnął się z ponurą, lecz głęboką satysfakcją. – Tak dla jasności, najchętniej wysłałbym te okręty do Zatoki Świątynnej, ale wiem, że to niemożliwe... cokolwiek bym mówił tym, którzy nie mają pojęcia, o co tak naprawdę toczy się ta wojna. Ale kiedy HMS *Gwylym Manthyr* przepłynie jakby nigdy nic obok każdej wrogiej jednostki, nic sobie nie robiąc z jej uzbrojenia; kiedy dotrze z Tellesbergu do wyspy Szpon, zatrzymując się po drodze tylko na pojedyncze tankowanie i płynąc z prędkością dwudziestu węzłów co najmniej; wreszcie kiedy dotrze do Gorathu i rozniesie w pył tamtejsze fortyfikacje... To nie będzie tylko zadośćuczynienie, któreśmy z Sharleyan obiecali Gwylymowi. To znaczy będzie to zadośćuczynienie, czego nie omieszkamy podkreślić przy sposobnej okazji, ale poza tym będzie to też lekcja obrazowa dla Zhaspahra Clyntahna i reszty tych drani, którym się wydaje, że pozjadali wszystkie rozumy! Będzie to przestroga dla każdego człowieka, który bez wyrzutów sumienia morduje naszych obywateli lub choćby ich przekazuje w ręce rzeźników. Oto, co zamierzamy, jako para cesarska Imperium Charisu, a nie tylko jako członkowie wewnętrznego kręgu. – Zacerpnął tchu, by się uspokoić. – Zarazem będzie to też inna lekcja, której nie zlekceważy żaden władca mający choć odrobinę oleju w głowie. Mianowicie: bez adekwatnej technologii nie sposób bronić swojej suwerenności przed tymi, którzy ją posiadli i wdrożyli, a nikt... poczynając od Mahrysa z Desnairu, przez Rahnylda z Dohlaru, aż do cesarza Waisu i jego biurokratów, ba, nawet do tego kretyna Zhamesa z Delferahku... nie może być pewien, czy jego sąsiad właśnie nie przeszedł na drugą stronę. Nie muszę dodawać, że już my się postaramy, aby wszyscy oni dowiedzieli się, że my przeszliśmy i że nawet ktoś taki jak Greyghor z Republiki Siddarmarku musi się zastanowić, co będzie, jeśli kiedykolwiek powstanie między nami jakaś niezgoda. – Skupił wzrok na Nynian siedzącej wciąż na podłokietniku fotela Merlina. – Temu właśnie mają służyć okręty klasy Król Haarahld, Nynian – oświadczył władcym głosem. – Wykonają swoje zadanie w Gorathu... tak samo, jak wykonałyby je okręty klasy City, jak raczyłaś zauważyć. Rzecz w tym

jednak, że nie są wcale pukaczami hrabiego Sharpfieldu, lecz... Merlina, a te drzwi, w które mają zapukać, to coś o wiele ważniejszego niż sam Gorath.

.IX.
Twierdza Skalistego Wybrzeża
Księstwo Skalistego Wybrzeża
Chisholm
oraz
Pałac w Manchyrze
Manchyr
Corisand
Imperium Charisu

Z całym należnym szacunkiem, ojcze! – rzekł ostrym tonem Zhasyn Seafarer, księżę Skalistego Wybrzeża. – Mam dość czekania, aż ojciec Zhordyn coś zrobi. Musimy wiedzieć, kiedy... a właściwie, na Schuelera, czy!... czy hrabina Swayle zamierza poprzeć naszą taktykę! – Potoczył wokół siebie wściekłym spojrzeniem pociemniałych oczu. – Naprawdę myślałem, że mamy to już za sobą. Księżę Czarnego Konia i ja poczynaliśmy sobie, zakładając jej poparcie, a nawet udało nam się przeciągnąć na naszą stronę co znaczniejsze osoby w należących do nas księstwach. Tymczasem teraz się dowiaduję, że hrabina Swayle jest nadal niezdecydowana? – Zrobił nieszczęśliwą minę. – Przecież to ona skontaktowała się z nami pierwsza, właśnie poprzez ojca Zhordyna. Jeżeli się rozmyśliła, powinniśmy o tym wiedzieć. Tym bardziej zresztą, jeśli trzyma się planu i...

– Rozumiem, że komunikacja trochę szwankuje, mości księżę. – Ojciec Sedryk Mahrtynsyn uniósł dłoń w uspokajającym geście. – Rozumiem też, że trudno realizować plany, gdy nie zna się zamiarów sojuszników. Niemniej ojciec Zhordyn to wierny i lojalny syn Kościoła Matki, tak samo jak hrabina Swayle jest wierną i lojalną córką Kościoła Matki. Doprawdy nie ma powodów sądzić, że ich zapał osłabł!

– Nie o ich zapał mi chodzi, ojcze!

Książę poderwał się z krzesła i podszedł do okna zamaszystym krokiem. Na zewnątrz panowało właśnie szare i zimne popołudnie, tym bardziej nieprzyjemne, że wiał silny wiatr i zaczął deszcz. Książę wpatrywał się w szybę, usiłując wziąć się w garść. Gdy szkło niebezpiecznie zadrżało pod wpływem silniejszego podmuchu, arystokrata odwrócił się do duchownego.

– Chodzi mi o to, czy w ogóle mają zamiar cokolwiek zrobić! – powiedział już spokojniej. – Jak również o to, że na obecnym etapie nie mamy pojęcia, czy rozmówiła się z hrabią Świętego Drzewa celem podjęcia działań ani jak układają się jej kontakty z hrabią Mandigora. Jeśli ten ostatni chce się do nas przyłączyć, powinien zapewnić bezpieczeństwo na północnej granicy hrabstwa Smoczego Wzgórza. Podejrzewam, że we trójkę, to znaczy hrabiowie Smoczego Wzgórza, Świętego Drzewa i Mandigora, powinni być w stanie przekonać księcia Zielonego Drzewa, aby ten się do nas przyłączył... względnie zneutralizować go w razie odmowy.

Sfrustrowany zmarszczył brwi i podszedł do będącego nowinką techniczną piecyka, dzięki któremu w pomieszczeniu było cieplej niż na zewnątrz. Otworzył drzwiczki, dorzucił parę bryłek węgla i na powrót zajął miejsce przy oknie.

– Na pewno się ze mną zgodzisz, ojczy, że bardzo ważne jest, abyśmy mieli pewność co do poparcia na dalekim wschodzie – burknął, znowu wpatrując się w siekający deszcz. – Hrabia Smoczego Wzgórza milczy jak zaklęty! Dał mi jasno do zrozumienia, że w jego opinii przejawiam nadmierny entuzjazm. Tak sobie myślę, że jeśli Rebkah i ojciec Zhordyn zdołają go przekabacić, to będzie naprawdę coś! Ale prawdziwe wrażenie robi na mnie sytuacja, w której pospołu przekabacą także hrabiów Mandigora i Świętego Drzewa. Jeśli i mnie uda się przeciągnąć na naszą stronę choćby książąt Serca Gór i Latarni, powinniśmy przejąć kontrolę nad całym terenem na południowy zachód od Crown Demesne. A to więcej niż ćwiartka królestwa! Przyznasz chyba, że jest różnica między czymś takim a tym, co możemy razem osiągnąć książę Czarnego Konia i ja. Oczywiście gdy jesteśmy pozbawieni jakiegokolwiek wiedzy na temat tego, co się dzieje, ba, nawet na temat zamiarów, Pait i ja sami nie możemy wiele zrobić... Nie minie wiele pięciodni, a hrabia Białej Skąły i Kahlyns zaczną gromadzić siły do wypadu na kontynent. Gdy to się stanie, otworzy się okienko, niezbyt duże, w najlepszym razie kilka

miesiące, do czasu, aż ten nieszczęsny skurwiol Kahlyns wyszkoli nową armię w miejsce starej. Dlatego musimy być gotowi do czynu, jak tylko zwietrzymy swoją szansę. A żeby to było możliwe, powinniśmy móc planować z uwzględnieniem zamiarów naszych sojuszników. Ot co.

Mahrtynsyn skinął głową – bynajmniej nie tylko po to, by uspokoić rozgorączkowanego mężczyznę. Zdarzało się, że Zhasyn Seafarer zachowywał się jak naburmuszony nastolatek, który koniecznie chce postawić na swoim, nie oglądając się na konsekwencje. Tym razem jednak nie był to ten przypadek; schueleryta w pełni podzielał frustrację rozmówcy.

Co nie przeszkadzało mu rozumieć powodów, dla których Rebkał Rahskail, wdowa po hrabim Swayle, oraz jej spowiednik, Zhordyn Rydach, wahali się z ostatecznym potwierdzeniem swoich zamiarów wobec księcia Skalistego Wybrzeża. Z kolei domaganie się tego ostatniego, aby był informowany o wszystkim na bieżąco, przyprawiało go o lekkie zdenerwowanie. Tak czy owak, księżę miał rację – i obawy Mahrtynsyna ani powody wahania nie miały tu większego znaczenia. Liczyły się czyny!

A cokolwiek inni sobie myśleli, włączając w to samego Zhasyna Seafarera, właśnie jego, Mahrtynsyna sprawą było podjąć działania gwarantujące końcowy sukces. Jego przełożeni w Syjonie wyrazili się w tej sprawie niezwykle jasno. Wiedział, że nie będą z niego zadowoleni, jeżeli nie podejmie właściwych działań i nie zapnie wszystkiego na ostatni guzik.

W wieku czterdziestu siedmiu lat – aczkolwiek wyglądał na znacznie mniej – Sedryk Mahrtynsyn miał za sobą prawie trzydzieści lat służby w szeregach Inkwizycji. Gdyby został proboszczem, miałby problem, wyglądając tak młodo, w parafii bowiem trzeba roztaczać aurę autorytetu i dojrzałości. W Inkwizycji było odwrotnie: młody wygląd przydawał mu się, kiedy musiał infiltrować różne grupy podejrzanych. W dodatku został obdarzony jasnymi włosami, niebieskimi oczami i dobrodusznym obliczem, na którym wiecznie malował się wyraz łagodnego zdumienia – równie zdradliwy (i przydatny) jak pozorna młodość. Latami pracował nad tą swoją maską, jednakże obecnie stała się ona jego drugą naturą. W tej konkretnej chwili wszakże typowa dla niego mina zniknęła, a w niebieskich oczach pojawił się błysk przenikliwej inteligencji. Mahrtynsyn skupił się w głębokim

zastanowieniu.

Był gotów przyznać, że ksiązę Skalistego Wybrzeża nie jest najbardziej cierpliwym ani sumiennym konspiratorem. Miał swoje powody, aby trzymać go na krótkiej smyczy, nie dziwota więc, że zarówno hrabina, jak i jej spowiednik żywili pewne obawy, które wiązały się właśnie z porywczością księcia. Tak się jednak składało, że wkraczali w etap, gdzie gorliwość zaczęła być zaletą zamiast wadą, a zresztą znalazł się tutaj na polecenie samego Zhaspahra Clyntahna, który oczekiwał po nim, że stanie się głosem rozsądku księcia Skalistego Wybrzeża.

Nie miał wątpliwości, że uda mu się powściągnąć zapalczywość arystokraty, zwłaszcza że ten wykazał się niemałą samokontrolą. Ksiązę zdawał się pojmować – przynajmniej na poziomie intelektualnym – że tym razem para cesarska Imperium Charisu stłumi rebelię na dobre i bez pardonu. Oczywiście nadal jakąś część siebie uważał, że wysokie urodzenie i rodzinne koneksje ochronią go, w razie gdyby sprawy przybrały naprawdę zły obrót, jak to bywało w przeszłości, wszelako w głębi ducha wiedział, że jeśli razem ze współspiskowcami wywoła rebelię i ta zostanie stłamszona, Sharleyan postara się o to, aby większość głów spadła z ramion.

Pewne było jedno: chcąc osiągnąć sukces, musieli się wymieniać informacjami i wymyślać plany. Mahrtynsyn zgadzał się z tym w całej rozciągłości. Miał swoje obawy, i to poważne, nie wiązały się one jednak z zasobem informacji dostępnych księciu ani z obmyśleniem przez niego całościowego planu. Problemem było to, że ksiązę był zwolennikiem załatwiania spraw po bożemu, w cztery oczy. Desnairczycy ukuli nawet powiedzenie „twarzą w twarz”, to znaczy bez zbędnych świadków. I ksiązę Skalistego Wybrzeża był wyznawcą właśnie tej metody. Skóra cierpła mu na samą myśl, że mógłby cokolwiek powierzyć papierowi, który następnie wpadłby w niepowołane ręce.

Niestety nie było szans na to, aby hrabina Swayle pojawiła się osobiście w księstwie Skalistego Wybrzeża o tej porze roku. Ani też żeby ksiązę Skalistego Wybrzeża udał się do niej. Zgoda, ci dwoje byli bliskimi kuzynami. Mimo to wyłącznie niezwykle poważna sprawa rodzinna mogłaby być powodem podróży, która by liczyła tysiąc sześćset mil, i to pośród śniegu i lodu, jakie były typowe dla kwietnia w Chisholmie. Zwykła wizyta u krewniaka – jakkolwiek silnym

uczuciem by się go darzyło – zwyczajnie nie wchodziła w grę. Do tego, wzięwszy pod uwagę niechęć panującą na linii książe Skalistego Wybrzeża–Korona, jak również fakt, że pułkownik Barkah Rahskail, zmarły niedawno hrabia Swayle, został stracony za zdradę, jakiegokolwiek jawne kontakty pomiędzy księstwem Skalistego Wybrzeża a hrabstwem Swayle były wykluczone, niosły bowiem zbyt duże ryzyko.

W istocie Mahrtynsyn doskonale wiedział, jaki użytek może zrobić Inkwizycja z listów, bez względu na to, jak dobrze byłyby zaszyfrowane, i dlatego wcale nie był zachwycony całą tą odbywającą się korespondencją. Prawdą było bowiem, że w łamaniu kodów i szyfrów inkwizytorzy byli najbardziej biegli ze wszystkich ludzi na Schronieniu. Nie ulegało jednak kwestii, że również heretycy szpiedzy nieźle sobie radzą na tym polu. Nie dało się nie zauważyć, że ci ostatni mogli zawdzięczać swoje umiejętności konszachtom z demonami. Jakkolwiek niepokojąca była to myśl i jakiegokolwiek implikacje religijne by za sobą pociągała, najważniejsze były jednak względy czysto praktyczne.

Pomijając wszystko inne, kuzynostwo miało pewne cechy wspólne. Oboje byli narwani i pozbawieni uncji subtelności. Hrabina Swayle nienawidziła Sharleyan Tayt Ahrmahk i Cayleba Ahrmahka całym swoim jestestwem. O ile książe Skalistego Wybrzeża był człowiekiem wierzącym, o tyle fanatyzm hrabiny przerażał nawet Mahrtynsyna. Służba Bogu Jedynemu wymagała przecież używania rozumu, tymczasem kobieta ta postępowała często bezmyślnie i bez umiaru. Inkwizycja doskonale o tym wiedziała i – tak jak Mahrtynsyn został przypisany księciu Skalistego Wybrzeża – ojciec Zhordyn Rydach miał mieć oko na hrabinę. Najwyraźniej udało mu się ją okiełznać, co należało mu poczytać na plus, niemniej niestety raz powściągnąwszy cugle, Rydach nie zamierzał ich ponownie popuścić, żeby przypadkiem jego podopieczna nie wysłała zbyt mocnych sygnałów do narwanego kuzyna.

Mahrtynsyn uznał jednak w tym momencie, że to książe ma rację, nie inkwizytor. *Jeśli marzy nam się sukces, pora wyłożyć karty na stół i zacząć snuć realne plany.*

Niespecjalnie podobała mu się ta konkluzja. Od dawna wszakże był świadom, że prędzej czy później ta chwila nastąpi. I że będzie to najbardziej niebezpieczny moment w całej jego karierze w Chisholmie.

– Mości książe – odezwał się w końcu. – Rozumiem, co chcesz

powiedzieć, i zapewniam, że podzielam twoje obawy. Co więcej, w pełni się zgadzam, że powinniśmy sprecyzować nasze plany tak szybko jak to możliwe, skoro mamy być zvarci i gotowi, gdy generał Kahlyns przyśle księciu Eastshare posiłki spoza granic królestwa. Gdyby tylko była możliwość waszego spotkania w cztery oczy, bez przyciągania niechcianej uwagi, pierwszy bym takie spotkanie zaaranżował. Niestety nie widzę na to najmniejszej szansy. A ty?

– Nie – przyznał książę Skalistego Wybrzeża.

– W takim razie pozostaniemy zdani na pisemne wiadomości, z którymi wiąże się ogromne ryzyko. Doskonale zatem rozumiem, czemu hrabina i jej spowiednik są tak niechętni powierzeniu czegokolwiek papierowi. Listy mogą wpaść w ręce heretyków. Może więc to ja powinienem być łącznikiem między wami? Jestem znacznie bardziej niewidzialny niż ty czy hrabina. Mógłbym wymyślić jakiś pretekst swojej podróży do hrabstwa Swayle. Na przykład jako twój osobisty posłaniec, co nie powinno wzbudzić większych wątpliwości. Ryzyko oczywiście pozostanie, ale przynajmniej przywiózłbym z powrotem ustne odpowiedzi na zadane przez ciebie pytania. Przypuszczam, że hrabina i ojciec Zhordyn nie czuliby się tak spięci...

– Ojczy – rzekł o wiele cieplejszym tonem książę Skalistego Wybrzeża.

– Ufam ci całkowicie. Możesz zostać moim posłańcem, a nawet prokurentem, jeśli taka twoja wola. Nie chodzi jednak tylko o mnie i o nią. Musimy wiedzieć, co myślą pozostali. Musimy opracować koherentny plan, który połączy wysiłki nas wszystkich w jedną strategię. Bo przecież chyba nie chcemy działać chaotycznie i wchodzić sobie wzajemnie w paradę? To by się mogło skończyć dążeniem do przeciwstawnych celów... Wiele punktów wspólnej strategii będzie wymagało indywidualnej realizacji, aczkolwiek oczywiście wszystko musi być skoordynowane ze sobą. Najbardziej liczy się czas; sukces zależy od tego, czy osiągniemy poszczególne cele odpowiednio szybko, zanim druga strona zdąży zareagować. Wszelkie bardziej długofalowe plany będą zależeć od tego, jak przebiegnie pierwsza faza. Jak tylko ustanowimy bazę w tej części królestwa, a nasze sukcesy przyciągną więcej zwolenników, przyjdzie pora na myślenie o przyszłości. Losy projektu nie będą tak szybko przesądzone, skoro co dzień pojawiają się nowe możliwości, ale też nowe zagrożenia. Właśnie dlatego jestem daleki od snucia dalekosiężnych planów. Wcześniej musimy się koniecznie

wszyscy dogadać i ustalić strategię. To kluczowa sprawa, z czego oczywiście wynika, że komunikacja i rozmowy są najważniejsze. Współpraca to jedno, najpierw jednak wypadałoby się zastanowić, w jaki sposób chcemy ze sobą współpracować. – Potrząsnął głową i znowu zapatrzył się na zacinający deszcz. – Przykro mi to mówić, ale wątpię, abys był w stanie, ojcze, zapamiętać taką masę szczegółów i przekazać je na miejscu bez przekręcania. Jestem ci bardzo wdzięczny, że chcesz podjąć się tej podróży i tej misji, lecz nadal uważam, że powinniśmy raczej opracować sposób wymiany korespondencji, choć najchętniej w ogóle nie uciekalibyśmy się do listów. Pominąwszy wszystko inne, bynajmniej nie chciałbym cię widzieć w roli posłańca. Mam zaufanych ludzi, którzy sprawdzą się w tej roli doskonale, a przecież bliskie pokrewieństwo z hrabiną pozwala mi na pisanie do niej i otrzymywanie odpowiedzi, i to nawet o tej porze roku. Po namyśle dodam, że jeśli tylko Rebkah na to przystanie, możemy wykorzystywać wyverny pocztowe zamiast gońców.

Mahrtynsyn zwrócił uwagę na fakt, że ksiązę Skalistego Wybrzeża nie użył sformułowania: „Jeśli zdołasz przekonać tego przesadnie ostrożnego klechę, żeby pozwolił jej na korespondencję ze mną”. Przekaz jednak był całkowicie jasny. Ksiązę Skalistego Wybrzeża na wszelki wypadek dodał:

– Chciałbym, abys skłonił hrabinę i ojca Zhordyna, żeby się zadeklarowali, na co są gotowi, a na co nie, a także jak przebiegają ich negocjacje z hrabiami Świętego Drzewa i Mandigora, zakładając, że w ogóle jakieś trwają. To absolutne minimum informacji, jakie są mi potrzebne. Przydałaby mi się również wiedza na temat tego, co jej zdaniem dzieje się w Maikelbergu. Abstrahując od tego, co przydarzyło się Barkah, powinna wciąż mieć tam swoje kontakty. – Wzruszył ramionami. – Tak czy owak musimy się zastanowić, kiedy i jaki ruch wykonać.

Mahrtynsyn zastanawiał się w milczeniu nad wszystkim, co usłyszał, ponuro przetrawiając te rewelacje i żałując, że właściwie nie ma powodów z niczym się nie zgodzić.

– A więc dobrze, mości ksiązę – powiedział z westchnieniem. – Nie będę udawał, że to mnie cieszy, ale potrafię dojrzeć potrzebę tam, gdzie ona faktycznie jest. Znajdź posłańca. Ja napiszę list do ojca Zhordyna, a kiedy zatwierdzisz treść, każę zaszyfrować wiadomość.

Jak to ładnie z twojej strony, ojczu, pomyślała Nimue Chwaeriau.

W tej właśnie chwili stała na swoim stanowisku przed drzwiami komnaty dziecięcej w manchyrskim pałacu, podczas gdy księżę Corisandu, jego główny doradca oraz przewodniczący rady regencyjnej od mniej więcej godziny zachwycali się – odpowiednio – swoimi siostrzenicą, siostrzeńcem i wnukami.

Księżę Daivyn nadal uważał, że bliźnięta są zbyt kruche i wrażliwe, aby brać je na ręce. Sama myśl o tym, że mógłby któreś z nich potrzymać, przyprawiała go zgoła o atak paniki. Pozwolił tylko na to, aby siostra umieściła mu syna na kolanach, gdy już zajął miejsce w przepastnym fotelu, gdzie upuszczenie dziecka na ziemię praktycznie nie wchodziło w grę. Siedział potem w bezruchu, jakby się obawiał, że głębszy oddech może doprowadzić do samoistnej eksplozji małego Hektora.

Zdaniem Nimue było to rozczulające. Zapewne dlatego, że sama początkowo zauważyła u siebie identyczną reakcję na niemowlęta. Obywatele Federacji Terrańskiej zaprzestali rozmnażania, zanim Nimue wkroczyła w wiek dojrzewania, przez co praktycznie została pozbawiona kontaktów z małymi dziećmi.

Hrabia Corisu i hrabia Skalnego Kowadła z kolei byli starymi wyjadaczami, jeśli chodzi o zadawanie się z berbeciami oraz z nierzadko interesującą zawartością ich pieluch. Kiedy Nimue stała pod drzwiami, przebywający w środku przewodniczący rady regencyjnej śpiewał – okropnie fałszując – kołysankę księciu Hektorowi Merlinowi Haarahldowi Aplynowi-Ahrmahkowi, podczas gdy wspomniany księżę głośno skarżył się na stan spraw we wszechświecie, a jego główny doradca pomagał jego matce zmienić pieluszkę księżniczki Raichyndy Sharleyan Nimue Aplyn-Ahrmahk.

Chyba dobrze się stało, że żaden inny wielmoża księcia Daivyna nie był świadkiem tego spektaklu.

Nimue była zwarta i gotowa, by jeszcze tego samego wieczoru pełnić służbę w komnacie dziecięcej, śpiewając kołysanki, poklepując plecki w oczekiwaniu na beknięcie, a nawet zmieniając pieluchy. Na razie jednak dzieliła uwagę pomiędzy swoje obowiązki strażniczki komnaty

dziecięcej oraz obrazy z SAPK-ów, które wyświetlały się na jej soczewkach kontaktowych automatycznie. Wiedziała, że Nahrman i Sowa przeglądają te same dane w tym samym momencie, lubiła wszakże trzymać rękę na pulsie. Dlatego też zaprogramowała SAPK-i pilnujące księcia Skalistego Wybrzeża w taki sposób, aby wychwytywały określone frazy i słowa klucze, informując ją o tym natychmiast.

Teraz uznała, że nadszedł czas, by siatka *seijinów* w Chisholmie złożyła raport hrabiemu Białej Skały i sir Ahlberowi. *Skoro Mahrtynsyn istotnie jest gotów powierzyć to i owo papierowi, szkoda by było, abyśmy pozostali nieświadomi treści tych wiadomości. Poza tym chcę, dodała w myślach, sprawdzić, co u lady Karyl i jak też radzą sobie jej gwardziści.*

Trzeba się tylko zastanowić, jak by tu wytłumaczyć nieobecność kapitan Chwaeriau tym razem?...

.X.
HMS *Gwylym Manthyr*
Tellesberg
Stary Charis
Imperium Charisu

No i jak ci idzie, Zhamesie? – Halcom Bahrns uniósł brwi, popatrując na porucznika komandora Zhamesa Skahta, będącego zarazem głównym inżynierem.

– Najlepiej jak tylko może, sir – odpowiedział radośnie Skaht.

Ukończywszy pięćdziesiąty pierwszy rok życia, był o siedemnaście lat starszy od swego przełożonego, aczkolwiek oficerem marynarki wojennej został zaledwie przed rokiem. W normalnych okolicznościach nie miałyby szans dochrapać się stopnia porucznika komandora, o członkostwie w ramach dowództwa nie wspominając. Tymczasem to właśnie brak doświadczenia wojskowego zapewnił mu tę pozycję i był powodem zaufania, jakie pokładał w nim kapitan. Albowiem – i to miało największe znaczenie – zamiast robić karierę w strukturach armii czy floty, pracował jako rzemieślnik w zakładach Ehdwyrda Howsmyna. Dzięki temu miał rozeznanie w maszynerii zamontowanej na pokładzie HMS *Gwylym Manthyr*, i to o wiele lepsze niż jakikolwiek oficer marynarki, który zjadł zęby, służąc na galerach i galeonach. Zhames Skaht był jednym z projektantów tej jednostki, a pozostali „mechanicy” przypisani do okrętów klasy Król Haarahld mieli bardzo podobną do niego przeszłość i doświadczenie.

Ta świadomość w wielkiej mierze uspokajała Halcoma Bahrnsa, który mógł bez obaw rozważać stojące przed nimi zadanie. Najważniejsze jednak dla niego było to, że skoro Zhames Skaht twierdzi, iż okręt jest gotowy do eksploatacji, to ewidentnie tak jest – przynajmniej od strony mechanicznej.

Resztą będziemy się zajmować na bieżąco, pomyślał i zaraz prychnął. To nic nowego! Identycznie sytuacja wyglądała z HMS Delthak, który

jednak był nieco mniejszy od HMS Gwylym Manthyr, to znaczy tylko o jakieś dwanaście czy trzynaście ton...

Rozparł się na krzesło w przestronnej dziennej kajucie – na tej jednostce wszystkie pomieszczenia były przestronne, szczególnie w oczach człowieka, który pierwsze kroki w marynarce stawiał na ciasnych i zatłoczonych galerach – zapalił fajkę i przez otwarty bulaj wyjrzał na doki Tellesbergu oświetlone blaskiem gazowych latarni. Z myśli nie schodziło mu zadanie, które stało przed nim i przed jego załogą.

Miał pod sobą siedmiuset oficerów i marynarzy, a wszyscy oni na razie przysposabiali się do służby na HMS *Gwylym Manthyr*. Na szczęście artylerzyści już wcześniej zostali przeszkoleni w obsłudze nowych dział na terenie lądowego ośrodka założonego przez księcia Delthaku i barona Skalistego Szczytu. Szkoła Artyleryjska im. Urvyna Mahndrayna była pierwszą taką placówką na Schronieniu. Oczywiście szkolenie na lądzie nie przypominało tego odbywającego się na morzu, niestety zawilóści współczesnej sztuki artyleryjskiej nie pozwalały już na poznawanie jej tajników w trakcie służby, a nawet walki. Do tego dochodził fakt, że HMS *Gwylym Manthyr* miał być najsolidniejszą platformą artyleryjską ze wszystkich okrętów pływających na wodach Schronienia.

Bahrns był więcej niż zadowolony z poziomu wyszkolenia swoich podwładnych, mimo że pomysł uczenia artylerzystów na lądzie zamiast na morzu wydawał mu się najbardziej rewolucyjny ze wszystkiego, co Cesarska Flota Charisu wymyśliła w ostatnich dziesięciu latach. Niepokoiła go tylko jedna sprawa: musiała być różnica między indywidualnie wyszkolonymi marynarzami, artylerzystami i palaczami, nawet będącymi mistrzami w swoim fachu, a załogą, która przeciwiczyła wszystko jako całość.

Nie doszukuj się problemów, upomniał się w duchu. Dowódcy od niepamiętnych czasów muszą radzić sobie zarówno z doświadczonymi marynarzami, jak i z nieopierzonymi żółtodziobami, a nawet szcurami lądowymi, których zawsze jest więcej niż wilków morskich. Jedyne kłopot w tym, że choć czeka cię podróż licząca czternaście tysięcy mil, będziesz dysponował zaledwie pięcioma pięciodniami na szkolenie tej bandy.

Prychnął ponownie, a następnie wydmuchnął idealne kółko dymu nad

głowę. Przyglądał mu się, jak unosi się pod sufit, a w końcu przeniósł spojrzenie na Zhamesa.

– Skoro tak, chyba mogę zameldować admirałowi, że jesteśmy gotowi do wyruszenia w drogę.

Boże Jedyne, jaki to piękny okręt, pomyślała Sharleyan Ahrmahk, gdy do wtóru dźwięków trąbek rzucających złote rozbłyski wysiadała z powozu pośród wiwatów poddanych. Ruszyła szpalerem gwardzistów cesarskich ku podwyższeniu, ochraniana przez depczącego jej po piętach Edwyrda Seahampera. Nie potrafiła oderwać oczu od okrętu, który cumował samotnie u brzegów Tellesbergu, w pełni świadoma, że to najwspanialsza jednostka, jaką kiedykolwiek widziała na oczy.

HMS *Gwylm Manthyr* znacznie się różnił od galer, z których jeszcze niedawno słyneły wszystkie floty Schronienia, ale też od galeonów, które teraz przyćmiewał swoimi rozmiarami. Wyrastał z fal niczym klif, a jego surowe piękno zasadzało się na kanciastości kształtów. Komuś innemu mógł przypominać wyspę strzeżoną przez mury i wieże. Pojedynczy maszt wystrzeliwał w górę nie po to, by zapewnić podporę żaglom, lecz aby było na czym wywieszać flagi sygnałowe. Bocianie gniazdo znajdowało się ponad sto stóp nad poziomem wody, podczas gdy kominy przypominały smocze łuski i były tak samo jak one aroganckie w swej wyrazistości. Kadłub – w odróżnieniu od czarnych galeonów i kanonierek – był granatowy, natomiast nadbudówki i kominy pomalowano na kolor zwany przez Ahlfryda Hyndryka i Ehdwyrda Howsmyna „gołębim”. Jedynie szczyty kominów i maszt pozostały czarne jak smoła – zapewne dlatego, że dym i tak miał je przyczernić.

Działa ukryte w kazamatach – choć groźne i mordercze już na pierwszy rzut oka – nie były pozbawione swoistego piękna, które wynikało z czystej użyteczności. Tak samo było w wypadku pełnych gracji smukłego dziobu i ostrego jego zakończenia. Unoszący się na falach HMS *Gwylm Manthyr* zdawał się morskim stworzeniem w swoim żywiole.

Niebo nad Tellesbergiem stanowiło błękitną kopułę, tylko tu i ówdzie maźniętą bielą cumulusów. Chmury gromadziły się nad południowym

i wschodnim horyzontem i przesuwały się niezauważenie na północny zachód, nabierając objętości i ciemniejszej barwy. Ptaki morskie oraz wyverny szybowały na szeroko rozłożonych skrzydłach nad wodami zatoki, pokrzykując do siebie i pikując drapieżnie na smakowite kąski unoszące się na powierzchni. Wokół ogromnego okrętu kołysały się na wodzie mniejsze jednostki, zachowując pełen szacunku dystans, zarazem jednak sprawiając wrażenie pełnoprawnych bywalców zatoki.

Z bliźniaczych kominów HMS *Gwylym Manthyr* dobyły się kolumny dymu, po czym buchnęła bielsza od nich para, jak tylko otwarto zawory bezpieczeństwa. Sharleyan pomyślała, że okręt jest gotów, ba, chętny do drogi.

Maikel Staynair, jego brat Domynek Staynair oraz Halcom Bahrns – dwaj ostatni w mundurach galowych z mieczami przypasanymi u boku – zajmowali swoje miejsca na podwyższeniu, na które Sharleyan właśnie wstępowała. Mężczyźni uklonili się jej głęboko, po czym cesarzowa ucałowała pierścień arcybiskupi.

Następnie Sharleyan Ahrmahk odwróciła się twarzą do gapiów zebranych na nabrzeżu, a ludzie – przynajmniej ci stojący bliżej – zamarli, aby zaraz szturchnięciami i burknięciami przekazać tym, którzy stali dalej, że pora się uciszyć i wysłuchać jej wysokości.

Sharleyan odczekała, aż wszyscy się uspokoją, po czym wyciągnęła rękę do Maikela Staynaira.

– Może ty zaczniesz, wasza dostojność – powiedziała.

Arcybiskup zbliżył się do niej i uniośł obie ręce nad głowę.

– Módlmy się – zaintonował. Przez tłum przeszedł szmer i coś w rodzaju fali, gdy wszyscy jak jeden mąż sięgnęli po nakrycia głów, aby je zdjąć. – Boże Jedyny – zwrócił się arcybiskup do Stwórcy, a jego dźwięczny głos dał się wyraźnie słyszeć na tle szumu wiatru i łopotania flag, jak również to cichnących, to przybierających na sile pisków ptactwa i wyvern. – Kierujemy swe myśli ku Tobie w ten oto dzień, prosząc Cię, abys pobłogosławił ten okręt, jego załogę i naszą wspólną misję. Rozumiemy, jak boli Cię, że jedne Twoje dzieci przelewają krew drugich Twoich dzieci, zarazem wszakże jesteśmy pewni, że pojmujesz wagę testu, przed jakim stanęliśmy. Dziękujemy Ci, że jak dotąd zawsze byłeś po naszej stronie i że nie opuściłeś nas w trakcie naszej walki o przetrwanie, o to, by wypełniać Twoją wolę za pomocą swojej woli,

którą nas obdarzyłeś. Dziękujemy Ci, że możemy bronić tych, których zepsuci do szpiku hierarchowie z Syjonu chcieliby zamęczać torturami na śmierć w imię Twoje, opacznie interpretując Twe pragnienia. Jednym z zamęczonych przez nich ludzi był człowiek, którego imię nadaliśmy temu okrętowi. Prosimy Cię, abyś towarzyszył nam do samego końca tej drogi, którą obraliśmy, i błagamy, abyś chronił wszystkich żołnierzy i marynarzy, którzy w nadchodzących pięciodniach i miesiącach będą nas bronić. Nie opuść ich ani na chwilę, zapewnij im zwycięstwo, nie pozwól jednak zapomnieć im pośród tryumfu, że nawet nasi śmiertelni wrogowie są Twymi dziećmi i naszymi braćmi. Nie pozwól na zbędny rozlew krwi, na zbędne okrucieństwo, na zbędną pychę i ustrzeż ich przed uczuciem nienawiści, która potrafi zbrukać najbardziej kryształową duszę. Zanosimy swoje modły do Ciebie, tak jak nas nauczyłeś, nie przestawszы wierzyć w Twą dobroć i miłość, jesteś bowiem Ojcem nas wszystkich. Amen.

– Amen! – Chóralna odpowiedź gapiów zgromadzonych na nabrzeżu i na ulicy dalej nadeszła niczym pomruk zbliżającej się burzy.

Sharleyan postąpiła krok do przodu, zacisnęła dłonie na barierkach ozdobionych chorągiewkami, odczekała, aż czapki i kapelusze trafią z powrotem na głowy gapiów oraz ucichnie szmer rozmów wywołanych wystąpieniem arcybiskupa Maikela. Nie musiała czekać długo. Wszyscy uspokoili się w okamgnieniu i wbili w nią wzrok. Cesarzowa pozwoliła milczeniu trwać jeszcze chwilę celem zbudowania napięcia. W końcu, uznawszy, że mieszkańcy Tellesbergu są na to gotowi, przemówiła.

– Rodacy!

Głos miała słodszy i lżejszy od głosu Maikela Staynaira. Jednakże od maleńkości przysposabiano ją właśnie do takich chwil i dzięki temu rozbrzmiał on zadziwiająco czysto i dźwięcznie. Mimo to osoby stojące najdalej nie mogły liczyć na to, że ją usłyszą. Tłum, który przybył, aby być świadkiem podniesienia kotwicy przez HMS *Gwylım Manthyr*, stał ciasno zbity na całym nabrzeżu, które ciągnęło się na wieśset jardów, ale też wlewał się w dochodzące do doków uliczki. Żaden człowiek nie był w stanie mówić na tyle głośno, aby jego słowa poniosły się do uszu wszystkich bez wyjątku zebranych. Przewidziawszy to, Maikel Staynair rozstawił wśród ciżby duchownych i członków laikatu, których zadaniem było przekazywanie istoty wystąpienia arcybiskupa i cesarzowej tym, co nie mieli szans ich usłyszeć z pierwszej ręki. Sharleyan zdawała sobie

sprawę, że musi robić liczne pauzy i stosować powtórzenia, ażeby owi pomocnicy nadążali w pełni za tokiem jej wypowiedzi. Tego także nauczono ją we wczesnej młodości.

– Rodacy! – powtórzyła. – Trzy i pół roku temu cztery okręty Cesarskiej Floty Charisu stanęły do nierównej walki z wrogiem, nie mając szans wyjść z tego cało. Choć ucierpiały w sztormie, choć stanęły oko w oko z całą flotą wrogich jednostek, nie poddały się, lecz przystąpiły do walki. Ich kapitanowie mieli świadomość nieuchronnego końca, ale nie ugięli się pod presją. Postanowili kupić trochę czasu swoim siostrzanym jednostkom, które nieuszkodzone na tamtą chwilę miały szansę wyjść z tego starcia obronną ręką... pod warunkiem że wspomniane cztery okręty poświęcą się. I tak też się stało. Służący na nich marynarze walczyli za Charisjan przeciwko ludziom, którzy kompletnie wypaczyli idee Kościoła Matki.

Urwała, aby pomocnicy mogli przekazać jej słowa dalej.

– Od tamtej pory w każdą wrześniową środę wspominamy te okręty podczas nabożeństw odprawianych we wszystkich kościołach Imperium Charisu. Nie zapomnimy ich po wsze czasy. Nie zapomnimy HMS *Skalisty Szczyt*, HMS *Dama*, HMS *Lawina* i HMS *Tancerz*, dopóki istnieć będzie Cesarska Flota Charisu, Imperium Charisu i Kościół Charisu, albowiem służący na ich pokładach marynarze, wasi braci, wasi mężowie, wasi ojcowie, wasi synowie, walczyli za nas. Okręty zamieniły się w tonące wraki, trzy czwarte ich załóg poległo, a ranni ocalańcy poddali się wrogowi, jak nakazuje honorowy obyczaj.

Ponownie urwała, pozwalając, aby jej słowa zapadły w duszę słuchaczy. Następnie podjęła znacznie twardszym głosem:

– Poddali się, lecz... Lecz wróg sprzeniewierzył się zapisom Pisma mówiącym o sposobie, w jaki należy traktować jeńców wojennych, i potraktował ich wszystkich jak zwykłych przestępców, a nawet gorzej. Odmówiono im praw i przywilejów jenieckich. Skazano na spędzenie zimy w zamienionych na więzienia wrakach w zatoce Gorath... bez zimowego odzienia, bez ciepłych koców, bez należytej diety, ba, nawet bez opieki uzdrowicieli, a wszystko to na wyraźny rozkaz intendenta Dohlaru. Ćwierć ocalańców szeszła w wyniku takiego traktowania, ci zaś, co przeżyli, trafili w ręce rzeźnika, który śmie się nazywać wielkim inkwizytorem Kościoła Matki. Zostali przetransportowani do Syjonu,

a tam zakatowani na śmierć... niemal wszyscy. Ci, co przeżyli kolejno morderczą bitwę, zimno, głód, choroby, podróż do Syjonu w strasznych warunkach, a na koniec także tortury Inkwizycji, zostali wydani na Karę Schuelera. Ponieśli śmierć w płomieniach, po tym wszystkim, czego doświadczyli wcześniej. A żeby nie mogli wykrzyczeć prawdy o swych prześladowcach, obcięto im języki, zanim trafili na stos!

Sharleyan zabrakło tchu. Oczy miała pociemniałe z gniewu, gdy pomocnicy przekazywali jej słowa w absolutnej ciszy, którą przerywały tylko sporadyczne piski wyvern i mew.

– Ja o nich nie zapomniałam. I nigdy nie zapomnę. – Wyćwiczony głos cesarzowej zadrżał, przesycony bólem i żalem, który też zamglił jej spojrzenie. – Dlatego opowiem swojej córce o odwadze tych ludzi, o ich oddaniu i poświęceniu. Nie pozwolę, aby kiedykolwiek zapomniała, co dla nas uczynili wszyscy ci mężczyźni, wasi mężowie, bracia, ojcowie i synowie.

Tym razem wśród tłumu podniosły się – najpierw pojedyncze, potem coraz częstsze – głosy potwierdzenia. Sharleyan poczekała, aż znowu ucichną, i odezwała się ponownie, tym razem głosem twardym jak stal.

– Nie pozwolę, aby ktokolwiek z nas zapomniał, co tym ludziom uczyniono. Ich cierpienie, ich śmierć warte są najwyższej ceny. Kara czeka tych, którzy śmieli podnieść rękę na naszych rodaków... czy to bezpośrednio, czy niebezpośrednio, tylko wydając rozkazy. Będzie to coś więcej niż zemsta. Coś więcej niż wymierzenie sprawiedliwości. Pokażemy całemu światu, że odtąd nikt nigdy nie będzie torturować i mordować Charisjan bezkarnie. Że Imperium Charisu dosięgnie każdego oprawcę, kimkolwiek by był, gdziekolwiek by się ukrył. Że nie spoczniemy, póki winni nie odpowiedzą za swoje czyny, płacąc najwyższą cenę. Ci, którzy stali za masakrą w Feraydzie, już ponieśli nauczkę. Tak samo jak inkwizytorzy przypisani do poszczególnych armii Kościoła Matki. Teraz przyszła pora na katów naszych marynarzy i na samego rzeźnika z Syjonu! Prędzej czy później Zhaspahr Clyntahn zrozumie swój błąd i na własnej skórze przekona się, że nie wolno robić tego, co on robi od dłuższego czasu.

Okrzyki zgody wybuchnęły z nową siłą. Wyraźnie dało się poznać wściekłość buzującą w ludziach. Były to zaledwie pierwsze drgania nadchodzącego trzęsienia ziemi. Kiedy Sharleyan wychyliła się za

barierki, zapadła cisza jak makiem zasiał.

– Wszystkim wiadomo, do czego doszło w Zatoce Dohlariańskiej po bitwie w cieśninie Kaudzhu – powiedziała cesarzowa mocnym głosem. –

Wszystkim wiadomo, że przy tej okazji ocalono ludzi skazanych na śmierć w męczarniach w Syjonie. Wszystkim wiadomo też, że hrabia Sharpfieldu, baron Sarmouth i admirał Zhaztro unicestwili eskadrę, która zadała nam takie straty w cieśninie Kaudzhu. Nie muszę chyba dodawać, że dziś ten okręt... – wyciągnęła przed siebie rękę, wskazując na gigantyczną jednostkę unoszącą się na wodach zatoki za jej plecami – wyrusza w drogę do Zatoki Dohlariańskiej, gdzie dołączy do hrabiego Sharpfieldu i barona Sarmouth. HMS *Gwylym Manthyr* pokona ten dystans w niespełna miesiąc, a na miejscu zwróci się bezpośrednio przeciwko Dohlarowi. – Powiodła spojrzeniem po zebranych. – Rodacy! Okręt ten nie bez powodu nosi tę nazwę! Nie bez powodu będzie naszym grotem i młotem, który zamieni Gorath w kupę gruzu. Nie bez powodu Zhaspahr Clyntahn i jego rzeźnicy będą drzeć na samą wzmiankę o HMS *Gwylym Manthyr*! – Łzy przesłoniły jej oczy i uczyniły jej głos bardziej matowym, jednakże ani trochę cichszym. Pobrzmiwały w nim stalowe i ogniste nuty, nuty żalu i dumy, dumy biorącej się stąd, że zarówno Sharleyan Ahrmahk, jak i wszyscy Charisjanie są tym, kim są. – To nic, że oprawcy naszych przyjaciół, krewniaków, wojowników i obrońców wycięli im języki z ust! To nic, że uciszyli ich w obliczu nieuchronnej śmierci! Dziś zyskają swój głos na nowo! Dziś *Gwylym Manthyr* ponownie przemówi w stolicy Dohlaru, a jego słowa, wypowiedziane w jego własnym imieniu i w imieniu swoich ludzi, rozniosą się szerokim echem poza granicami Gorathu, poza granicami Dohlaru. A ci, którzy je usłyszą, zrozumieją, że... jak kocham Boga Jedynego... przyjdziemy po nich już niebawem!

Trzęsienie ziemi rozpoczęło się na dobre. Ogłuszający ryk tysięcy gardeł poniósł się nad Tellesbergiem, a był to głos nie tylko tego tłumu, nie tylko jednego miasta, ale całego imperium! Cesarzowa Sharleyan wyraziła nie tylko myśli, lecz także uczucia każdego Charisjanina.

Bardzo możliwe, że ten ryk dał się słyszeć również w Syjonie. I że natchnął trwogą serce Zhaspahra Clyntahna, o ile ten człowiek w ogóle miał jeszcze serce.

.XI.
Siedemdziesięciostopowe Wzgórze
Droga do Farmy Cahrswyla
Thorast
Dohlar

Gdybym nie zobaczył tego na własne oczy, tobym nigdy nie uwierzył! – rzekł niemal nabożnym tonem Rohsyndo Mylyndyz.

– Gdybyś czego nie zobaczył? – zainteresował się kapral Ahskar Mahkgyl, dowódca pierwszej drużyny czwartego plutonu.

W tym konkretnym momencie nikt do nich akurat nie strzelał. Kapral kulił się w swojej jaszczurzej norze, wśród żołnierzy Cesarskiej Armii Charisu nazywanej lisią norą, i próbował przeżuć wyjątkowo oporny kawałek suchara. Jak na razie był daleki od sukcesu.

– Tego.

Mylyndyz pokazał w dół południowo-zachodniego zbocza wzgórzka, na którym rozłożył się mocno sponiewierany regiment piechoty drugiej kompanii pułkownika Mahryahno Hyrtatha. Mahkgyl zmienił pozycję, wystawił bardziej głowę, ocienił oczy brudną ręką przed blaskiem zachodzącego słońca i spojrzał we wskazanym przez szeregowego kierunku. Przez moment mrużył oczy, a następnie je rozszerzył.

– Na kości Schuelera! – mruknął. – Ja to widzę, a i tak nie wierzę! Jak mu się to, na Shan-wei, udało?

– Nie wiem, ale na pewno nie będę się skarżył – odparł Mylyndyz podobnym tonem, jakiego użył, rzucając początkową uwagę.

– Jak na mieszcucha prosto z Gorathu masz wyjątkowo rację – skwitował Mahkgyl.

Wzgórek był tym, czym był, czyli wzgórzkiem, nie jakąś tam górą. Wedle mapy wystawał siedemdziesiąt stóp ponad okoliczny teren, aczkolwiek zdaniem Mahkgyla było to wyolbrzymienie. Tak czy owak nadawał się na punkt dowodzenia w tej okolicy. Pagórek znajdujący się

trzy mile na północny zachód, gdzie okopała się czwarta kompania Wahlysa Sahndyrsyna, mierzył sobie o trzydzieści pięć stóp więcej, jednakże Siedemdziesięciostopowe Wzgórze było bardziej strome.

Obecnie Mahkgył i Mylyndyz przyglądali się, jak ciemne sylwetki ośmiu żołnierzy pną się mozolnie pod górę. Postać na czele tej grupy była zwalista, wysoka co najmniej na sześć stóp, a miała na sobie kilt górala z Saltharu. W drugiej kompanii był tylko jeden taki człowiek, którego tożsamość potwierdzał w tym wypadku charakterystyczny kilt. Pomijając oczywistości, w całej drugiej kompanii nie było nikogo poza nim, kto by ściał tu do nich ten cud.

Trochę to trwało, a to dlatego, że zachodnie zbocze było bardziej strome od wschodniego. Było to niefortunne z wielu powodów, z których najpoważniejszy miał coś wspólnego z tym, kto czał się w krzakach po wschodniej stronie, a kto aż trzy razy w ciągu ostatnich dwóch dni próbował wspiąć się na szczyt. Parudziesięciu śmiałków nadal leżało na zboczu, sztywnych i nieruchomych, rozsiewając wokół delikatną woń rozkładu, która unosiła się na wiejącej ze wschodu bryzie. Zza wzgórza od czasu do czasu odzywało się działo kątowe, mierząc w lasek w nierównych odstępach czasu. Nie tyle, by załatwić jakichś heretyków, ile by zmusić ich do zaniechania prób kolejnego ataku.

Mahkgył miał poważne wątpliwości co do tego, czy taki ostrzał coś da, w razie gdyby heretycy jednak postanowili przypuścić następny atak – szczególnie że zdawali się gotowi rozmieścić w lasku snajperów, nie zważając na ostrzał kątówki. Z drugiej strony uważał, że nieregularne salwy nie mogą zaszkodzić.

Zadaniem drugiej kompanii – a zwłaszcza czwartego plutonu – było pilnowanie drożności traktu od Farmy Cahrsyła do Farmy Saiksyna. Chociaż słowo „trakt” na określenie piaszczystej bitej wiejskiej dróżki, nadającej się z ledwością pod koła wozów, było pewną przesadą. Tak się jednak złożyło, że ta nieroszcząca sobie zaszczytów polna droga nabrała wielkiej wagi, gdy awangarda heretyków odcięła trakt w pełnym tego słowa znaczeniu, pomiędzy Bryxtynem i Waymeetem, przed ośmioma dniami. Krążyły plotki, że na przestrzeni minionego tygodnia heretycy zajęli także Mahrakton, leżące trzydzieści parę mil na północny zachód od Bryxtynu, i odcięli kanał Sairhalk Switch na południe od Waymeetu. To czyniło nieszczęsny pas gołej ziemi biegnący do południowego podnóża wzgórka, na którym rozłożył się czwarty pluton, jedynym

prześciem na północ od bagien Kettle Bottom między traktem łączącym Waymeet i Fronzport z traktem łączącym Bryxtyn i Shan. Jeśli zaś prawdą było, że heretycy faktycznie kręcili się nieopodal fortecy...

Ani Mahkgył, ani Mylyndyz woleli o tym nie myśleć, aczkolwiek ich obecne położenie miało wiele wspólnego z taką możliwością. Regiment pułkownika Mahryahno Hyrtatha otrzymał rozkaz okopania się na swoich pozycjach celem upilnowania drogi i od trzech dni nic innego nie robił. Na szczęście heretycy, którym musiał stawić czoło, byli równie wycieńczeni jak członkowie regimentu. Zakładając, że Mahkgył miał rację, heretycy właśnie przemieszczali swoje świeże oddziały za tym przeklętym laskiem. Tymczasem regiment, który miał zmienić ludzi Hyrtatha, był w drodze tylko teoretycznie. W każdym razie Ahskar Mahkgył nie zamierzał cieszyć się na to przedwcześnie.

Półowa regimentu stacjonowała kawalek na północ, pozostawiając drugą kompanię z zadaniem utrzymania Siedemdziesięciostopowego Wzgórza, podczas gdy pierwsza kompania kapitana Tybahlda Hwairty oraz trzecia kompania kapitana Daivyna Sebahsteana miały utrzymać Farmę Cahrsywla i zabezpieczyć prawą flankę Hyrtatha. Obie kompanie, pierwsza i trzecia, cierpiały na nawet większe niedobory w ludziach niż druga kompania i z tego właśnie powodu zostały połączone pod wodzą kapitana Hwairty. Aczkolwiek mogło mieć z tym coś wspólnego to, że kapitan Sebahstean został odtransportowany na tyły na noszach – dopiero potem jego sześćdziesięciu podwładnych trafiło pod komendę kapitana Hwairty. Nie dało się jednak powiedzieć, że druga kompania jest w lepszym stanie; liczebność czwartego plutonu spadła z trzydziestu siedmiu do trzydziestu jeden ludzi, co jednak i tak czyniło go najsilniejszym plutonem drugiej kompanii. Nie sposób bowiem ukryć, że cały regiment Hyrtatha został paskudnie przetrzebiony w trakcie wycofywania się z linii Farma Stryklyra–Atlyn.

Generał Rychtyr starał się jak mógł, aby obronić tę linię, która stanowiła ostatni mocny punkt obrony przed dohlariańską granicą. Rzecz w tym jednak, że heretycy pod osłoną ognia swojej przeklętej artylerii zdołali przedrzeć się przez przeszkody wzdłuż kanału. Potem atak Siddarmarczyków doprowadził do powstania wyłomu, równoczesny atak z flanki zaś przypuszczony przez konną piechotę Imperium Charisu i regiment siddarmarckich dragonów przyczynił się do okrążenia Atlynu. Armia Seridahn, mając przełamany front i sypiącą się prawą flankę,

została zmuszona się wycofać – ponownie. Zagłębiła się więc na czterdzieści mil, wkraczając na teren księstwa Thorast – czyli na ziemię Dohlaru, i to po raz pierwszy w ciągu całej świętej wojny – i tam dopiero zdołała się przeorganizować.

Byłoby znacznie lepiej, gdyby nowo powstała linia znajdowała się na terenie łatwiejszym do obrony, lecz generał był przede wszystkim zmuszony utrzymać połączenie pomiędzy drogami wiodącymi do Bryxtynu i Waymeetu, przez co nie miał specjalnego wyboru. Gdyby heretycy zajęli obie fortece, mogliby swobodnie korzystać z traktów, zamiast ograniczać się do polnych dróg, jakie miała chronić druga kompania. Tym samym pozbyliby się kaftana bezpieczeństwa, jaki narzuciła im Armia Seridahn swoim powolnym, lecz uporczywym wycofywaniem się. Odzyskaliby także możliwość stosowania dowolnych manewrów.

Jednym słowem: sytuacja byłaby naprawdę kiepska.

Wszelako – bez względu na to, jak dobrze ogarniali sytuację Mahkgyl z Mylyndyzem – byli nadal przykuci do tego cholernego wzgórza, żałując, że oddział wspinający się po bardziej stromym zboczu nie może skorzystać z drogi, której pilnują. Z tamtej strony bowiem podejście byłoby znacznie łatwiejsze. Niestety heretycy nabrali paskudnego zwyczaju czajenia się w koronach drzew i strzelania ze snajperek do wszystkiego, co by się na tej drodze pojawiło. Owszem, światło nie było najlepsze nawet dla heretyckich snajperów, i pogarszało się z każdą chwilą. Skoro już o tym mowa, od paru godzin nie rozległ się ani jeden strzał wzdłuż linii drugiej kompanii. Mahkgyl i Mylyndyz mogli więc obserwować gnającego konnego posłańca, nie przyciągając w swoją – ani jego – stronę żadnego strzału. Niewykluczone, że nękająca heretyków artyleria jednak zrobiła swoje. Z drugiej strony sam fakt, że nikt nie oddał strzału, nie znaczył jeszcze, że żaden heretyk się tam nie czai, wyczekując smakowitszego kąska. Takiego jak ośmioosobowa grupka nadchodząca od zachodu.

Ósemka mężczyzn dotarła na szczyt niezbyt przecież wysokiego wzgórza dopiero po dwudziestu pięciu minutach – czego powodem jednak była nie tylko stromość podejścia. Główną przyczyną były cztery duże, przykryte pokrywką garnki niesione na wspartych o ramiona par żołnierzy kijach. Zważywszy na to, że obydwaj, Mahkgyl i Mylyndyz, domyślali się, co znajduje się w tych garnkach, żywili oni pełne poparcie

dla przesadnej, wydawałoby się, ostrożności żołnierzy.

Zanim ci wspięli się na sam szczyt, słońce zdążyło zejść, pograżając okolicę w półmroku. Mimo tego utrudnienia ósemka żołnierzy minęła najwyższy punkt wzniesienia i zaczęła ostrożnie schodzić w kierunku jaszczurzych nor pierwszej drużyny. Kiedy na wschodzie pojawiły się pierwsze blade gwiazdy, zachodni horyzont nadal płonął czerwienią. Dlatego Mahkgyl dołożył starań, aby nie odciąć się na tle gasnącego blasku, witając mężczyznę idącego na czele grupki.

– Sierzancie, gdy mówił pan, że postara się o więcej jedzenia, sądziłem, że chodzi panu o coś w tym stylu – machnął niedojedzonym sucharem przed twarzą giganta w kilcie. – Nie miałem pojęcia, że ma pan na myśli prawdziwe jedzenie!

– Posłuchaj no, chłopcze. – Brahdryk Clahrksyn, najstarszy stopniem podoficer czwartego plutonu, miał donośny, basowy głos, który ładnie korespondował z noszonym przezeń kiltem. – Jestem słownym człowiekiem. Pamiętasz, jak mi uratowałeś życie w zeszłym pięciodniu? No więc obiecałem potem, że ci się odwdzięczę, czy nie obiecałem?

– Obiecał pan. – Mahkgyl uniósł pokrywkę, zajrzał do środka i wziął głęboki wdech. – Na Sondheima, jak to cudownie pachnie! – Odłożył pokrywkę starannie na miejsce, po czym znowu wbił spojrzenie w Clahrksyna. – Sierzancie, zrobił pan znacznie więcej, niż tylko się odwdzięczył! Chyba nie jestem jeszcze gotowy przyjąć za pana kulki, ale może pan liczyć, że jak polecą w pańską stronę granat, to odrzucę!

Clahrksyn się wyszczerzył w uśmiechu.

– Ha! Mam nadzieję, że mi nie odmówisz, kiedy następnym razem będę potrzebował kogoś do kopania latryn.

Mahkgyl odpowiedział podobnym grymasem.

– Powinno mi starczyć zapachu na jakieś pięć minut...

– Ujmujące. – Clahrksyn skinął głową w stronę swoich podwładnych, którzy wciąż sapali po wspinacze. – Zanieście to kucharzowi i przypilnujcie porządku w kolejce przy wydawaniu – rozkazał. – Ja za chwilę do was dołączę.

– Robi się, sierzancie – odpowiedział jakiś kapral, którego nie znał ani Mahkgyl, ani Mylyndyz. Na ramieniu nosił opaskę kwatermistrza. Zwracając się do pozostałych, dorzucił: – Tylko pamiętajcie, potrzebuję te garnki z powrotem. W przeciwnym razie będę musiał poświęcić więcej

niż jedną butelczynę, żeby porucznik Tuhtyl nam wybaczył.

– Nie marudź! – Clahrksyn potrząsnął głową. – Po pierwsze, dobry alkohol to dobry alkohol. A po drugie, przecież obiecałem, że dostaniesz swoje garnki z powrotem. Co, może mi nie u...

Czteropółcalowy pocisk mózdzierza, który wybuchł niemal idealnie nad głową Clahrksyna, miał pole rażenia o promieniu czterdziestu pięciu stóp. Przeżył tylko Mylyndyz i dwóch członków ośmioosobowej grupki żołnierzy.

Kapitan Hovsep Zohannsın wsunął zegarek z powrotem do kieszeni i odciągnął kurek pistoletu. Wszystkie plutony czwartej kompanii miały ruszyć natychmiast po morderczym ostrzale mózdzierzy – z tym że Zohannsın dowodził tymi ludźmi od prawie dwóch lat. I wiedział, że żaden jego podwładny nie ruszy, dopóki on się nie upewni, że już po wszystkim. Gdyby kompanie pomocnicze działały tak skutecznie jak powinny, bombardowanie skończyłoby się wtedy, kiedy trzeba. Niestety nie zawsze tak było; dlatego właśnie kapitan obserwował eksplozje, które przesunęły się tam i z powrotem po całym wzniesieniu.

Spostrzegłszy, że słońce szybko gaśnie, skrzywił się na poły z zadowoleniem, na poły ze smutkiem. Nocny atak to doskonała okazja do rozpętania chaosu, a co za tym idzie, utracenia kontroli nad sytuacją. To był właśnie powód smutku Zohannsına. Niemniej powyższe stwierdzenie dotyczyło tyleż obrońców, co napastników, a przecież Cesarska Armia Charisu, a już zwłaszcza Armia Thesmaru, doprowadziła nocne ataki do perfekcji. Charisjańska taktyka wszczynania chaosu pośród ciemności nie miała sobie równych, co heretycy skwapliwie wykorzystywali. Próby czynione przez czwartą kompanię za dnia, a mające na celu zdobycie wzgórza, spełzły na niczym, jednakże Dohlarianie okopani na swoich pozycjach nie mieli jeszcze szans dać pokazu swej strategii – strategii, której Armia Thesmaru nauczyła się obawiać. Zohannsın bynajmniej nie miał zamiaru im niczego ułatwiać. Jeśli tylko wszystko przebiegnie tak dobrze, jak przewidział major Edmyndsın, to...

Wybuchy i eksplozje ustały nagle, aczkolwiek nie w jednym

momencie. Pół tuzina pocisków przeciwpiechotnych rozprysło się w powietrzu, zasypując wzgórze szrapnelami. W końcu jednak zaległa cisza, w której dym i pył unosiły się w niebo, zakrywając gwiazdy.

Zohannsyn policzył wolno do dziesięciu, czekając, czy nie nastąpi jakaś spóźniona eksplozja. Następnie pociągnął za spust.

– Gdzie, do diabła, jest Clahrksyn? – ryknął porucznik Ahmbrohs Tyrnyr, usiłując przekrzyczeć pomruki i nie podnosząc się z kucek w okopie.

Punkt dowodzenia miał po drugiej stronie wzgórza, gdzie padała większość pocisków wystrzeliwanych z heretyckich kątówek. Mimo że znajdował się na zachodnim zboczu, czuł, jak grudki ziemi i kępy trawy podrywają się w powietrze i opadają z głośnym plaskiem. Tymczasem jeszcze głośniejsze i gniewniejsze eksplozje dobywały się z za jego pleców, gdzie lądowała największa masa heretyckich pocisków próbująca się rozprawić z lżejszymi działami Dohlaru, które nękały lasek. W pewnym momencie poczuł, jak jakieś szczątki bębnią mu o hełm, i zakasłał, dusząc się dymem i pyłem, który zaczął wypełniać mu płuca.

– Co?! – odkrzyknął sierżant Ahntohno Bahndairo, nachylając się tak blisko, że wargami niemal dotknął ucha Tyrnyra.

– Pytałem, gdzie, do diabła, jes...! – odpowiedział gromko Tyrnyr, przykładając dłonie do ust na podobieństwo megafonu. Wtem bombardowanie ustało równie nagle, jak się rozpoczęło. Mimo to Tyrnyr dokończył wrzaskiem: – Clahrksyn!

Bahndairo wzdrygnął się, kiedy mu zapiszczało w uchu, zaraz jednak pomyślał, że nagła cisza jest jeszcze gorsza niż donośny ostrzał przed chwilą. Chociaż nie była to do końca cisza. Różne szczątki plaskały o stalowe hełmy i o ziemię jeszcze przez dobre pięć sekund, a krzyki rannych rozlegały się nawet dłużej i nic ich nie mogło stłumić. Większość oczywiście dobywała się z gardeł podwładnych Tyrnyra. Uświadomiwszy to sobie, młody porucznik poczuł ból, niemający jednak nic wspólnego z bólem fizycznym. Słyszeć było także inne krzyki, nieco słabsze, lecz nie mniej przenikliwe. Dobiegały one z obu flank, gdzie inne plutony drugiej kompanii też niezgorzej oberwały.

– Nie wiem, gdzie on jest, sir – zameldował Bahndairo, przekrzykując jęki i zawodzenia. Sierżant był równocześnie chorążym czwartego plutonu, a przy tym drugim co do ważności podoficerem. Pozostawał w bliskiej relacji z Brahdrykiem Clahrksynem. Może właśnie dlatego, gdy już odciągał kurek karabinu, odezwał się schrypniętym głosem: – Powiedział, że zorganizuje coś ciepłego do jedzenia dla chłopców. Kiedy ostatnio go widziałem, zbierał się, żeby o tym pomówić z porucznikiem Tuthylem. – Pomimo napięcia Bahndairo zdobył się na uśmiech. – Idąc, zabrał moją ostatnią butelkę sikacza. Kazał panu przekazać, że wróci w porę na kolację. Przypuszczam, że nie chciał, aby pan wiedział, co kombinuje. Dzięki temu nie mógłby się pan niczym zdradzić przed kapitanem, w razie gdyby ten o coś pytał.

Tyrnyr prychnął głośno. To, co usłyszał, zgadzało się z jego opinią na temat sierżanta. To właśnie Clahrksyn uświadomił młodemu oficerowi, jak istotne jest ciepłe jedzenie dla żołnierzy, szczególnie gdy trawią oni czas i zasoby energii na wyczekiwanie przed bitwą. Cywile także sięgają po jedzenie w ciężkich chwilach, takich jak na przykład stypy. Ta prosta czynność bowiem w jakiś sposób utwierdza człowieka w przekonaniu, że mimo wszystko życie się nie skończyło.

W obecnej chwili porucznik – starszy i mądrzejszy – z kamienną miną wysłuchiwał wrzasków i jęków swoich ludzi, zastanawiając się, czy zrozumieli już w pełni nieprawdziwość tej obietnicy pod ostrzałem heretyckich kątówek.

– Poszukaj kapitana Ahndairsyna! – zwrócił się do Bahndaira. – Powiedz mu, że mocno oberwaliśmy i że jeśli heretycy nie zaprzestaną ostrzału, będą nam potrzebne posiłki. – Skrzywił się na niezamierzoną grę słów. – Znaczy pomoc.

– Lepiej będzie, jak pan sam go poszuka – zaproponował Bahndairo. – Ja wezmę Hainza i postaram się...

– Pójdziecie, gdzie wam kazałem, sierżancie! – warknął Tyrnyr. – Muszę mieć kogoś zaufanego, kto wyprostuje tę sytuację! Kogoś, komu będzie mógł zaufać także kapitan. Poza tym bardzo możliwe, że wcale nie...

Na przeciwnym krańcu drogi eksplodowała samotna flara, rażąc mu oczy czerwienią. Nie zastanawiając się wiele, Tyrnyr stuknął sierżanta w ramię.

– No, dalej!

Bahndairo obejrzał się na niego i przez chwilę mu się przyglądał. Porucznik ledwie go widział – do tej pory zdążyły zapaść niemal kompletne ciemności, a sytuację pogarszał jeszcze wszechobecny dym i pył – jednakże domyślał się, co by dojrzał w oczach sierżanta, gdyby oświetlenie było lepsze. Bahndairo wahał się jeszcze przez sekundę, nasłuchując cichnących jęków rannych żołnierzy. W końcu jednak skinął zamasyście głową.

– Tak jest! – burknął niechętnie.

Wygramolił się z okopu i pognął w stronę punktu dowodzenia.

Tyrnyr, odprowadzając go spojrzeniem, uśmiechnął się krzywo. Domyślał się, skąd ten niechętny ton podwładnego – w końcu sam także odebrał tę mało logiczną lekcję.

Powiódł spojrzeniem za oddalającym się sierżantem, któremu najprawdopodobniej właśnie ocalił życie swoim rozkazem, a następnie sam opuścił okop i przywołał do siebie kaprała Hainza Dyrwynta. Czternastu ludzi z drużyny tego ostatniego miało zwolnić drużynę Mahkgyła za cztery godziny, ale wszystko wskazywało na to, że przyjdzie im to zrobić wcześniej.

– Chodźmy – rzucił głucho Tyrnyr.

Podwładni Dyrwynta zostawili swoje jaszczurze nory i ruszyli za porucznikiem w górę zbocza.

Porucznik Pyaitroh Ahldyrs wyprostował się, gdy w górze rozbłysła flara kapitana Zohannsyna. Żołnierze pierwszego plutonu, którym dowodził, niespełna dwie godziny wcześniej przedarli się w milczeniu przez zarośla na skraju drogi na Farmę Cahrswyła. W trakcie ucierpiało sześciu z nich – ślepy ostrzał nigdy nie był tak skuteczny, na jaki wyglądał. Zwłaszcza że dohlariańskie zapalniki pozostawiały wiele do życzenia i znaczna część pocisków przeciwpiechotnych wybuchała za wysoko lub za nisko, a czasem nawet już po upadku na ziemię. Oczywiście bombardowanie tak czy inaczej było powodem zdenerwowania dla żołnierzy, którzy powitali rozbłysk flary z wielką ulgą. Pierwszy pluton był jednostką doświadczoną w boju. Żołnierze nie

wyczekiwali walki wręcz niczym jacyś nowicjusze, ale wiedząc, że mają ją przed sobą, woleli mieć wszystko z głowy jak najszybciej. Teraz, widząc prostującego się porucznika, poszli w jego ślady. Ahldyrs usłyszał ciche kliknięcia odbezpieczanej broni. Sam dobył rewolweru, wysunął cylinder i wsunął nabój do komory, która normalnie pozostawała pusta. Następnie skinął głową sierżantowi Sahbahtynowi.

– Idziemy, Zhulyo – powiedział.

Rohsyndo Mylyndyz oderwał twarz od ziemi wyściełającej jego jaszczurzą norę i zmusił się do tego, by wstać. Widział, jak Mahkgyl pada, a że naoglądał się śmierci w minionym roku, wiedział, że od teraz to on dowodzi resztkami pierwszej drużyny.

Żołnierzy była garstka, a co gorsza mieli oni znajdować się na szczycie wzgórza tylko przez jakiś czas. Aż...

– Czekaście! – zawołał słabo, gdy ucichła kakofonia przenośnych kątówek. – Odliczajcie i czekajcie!

Porucznik Tyrnyr, potykając się, wspiął się na szczyt wzgórza. Przeklinał przy tym ciemności ile wlezie. Oberwało się także dymowi i pyłowi. Na wschodnim zboczu znajdowały się jaszczurze nory dla jego całego plutonu – nie zostały jednak przewidziane jako stałe stanowiska, a to dlatego, że przenośne kątówki heretyków z łatwością uczyniłyby sobie z nich cel. Dohlarianie zaś ani myśleli ułatwiać sprawy wrogowi. Porucznik potrzebował tam obserwatora; na tyle daleko w dole, aby widział cały teren także u podnóża wzgórza, a przy tym odpowiednio schowanego, aby nie odcinał się na tle nieba. Reszta plutonu zdążyła się już okopać po drugiej stronie szczytu, gotowa ruszyć do akcji w chwili właściwego ataku.

Taki plan sprawdził się już trzykrotnie. Drużyna z punktu obserwacyjnego mogła powiadomić drużynę rezerwową i wezwać ją w charakterze posiłków na linię obrony, zanim heretycy zdążą minąć ziemię niczyją pomiędzy laskiem i wzgórzem.

Trzeba się było domyślić, że przy czwartej okazji spróbują czegoś innego! – warknął na siebie w duchu Tyrnyr. Jedno bowiem było pewne: heretycy mieli dobrze poukładane w głowach.

– Do okopów, chłopcy! – zawołał do sapiących za nim żołnierzy.

Jeden z nich wysapał potwierdzenie przyjęcia rozkazu, co Tyrnyr powitał zadowolonym chrząknięciem. Wiedział, że jego podwładni ruszyliby w stronę jaszczurzych nor, nawet gdyby nie kazał im tego robić. Każdy miał przypisane własne stanowisko. Tyrnyr i Clahrksyn postarali się o to i dopilnowali, aby każdy z żołnierzy był w stanie doń dotrzeć nawet po omacku. Tyle że ćwiczenia odbywały się bez wtóru wrzasków i jęków rannych z pierwszej drużyny. Niestety w tych okolicznościach nie mogli sobie pozwolić na przerwę, aby udzielić pomocy konającym towarzyszom.

Porucznik skrzywił się wewnątrz na takie podejście, mimo że nie wyraził swych myśli na głos, a tylko w duchu. Otrząsnąwszy się z wyrzutów sumienia, ruszył dalej przed siebie, przygotowując się na widok, jaki ujrzy, zanim dotrze do swojej kryjówki.

Pierwszy pluton wspinał się pod górę niczym milcząca, mordercza fala. Były chwile, gdy należało użyć bojowego zawołania typowego dla Charisjan. Nie tym razem jednak.

Porucznik Ahldyrs kiwnął głową z zadowoleniem, gdy pierwsze race rozbłysły jaskrawo nad wzgórzem. Zerknął w lewo. Porucznik Phylip Claityn i jego trzeci pluton zajmowali pozycje na flance, dzięki czemu z miejsca, w którym się znajdował, mógł dostrzec skrzydło wysunięte najbardziej w prawo. Trzeci pluton oddalał się z wolna, ruszając w kierunku pozycji znajdujących się pomiędzy podnóżem Siedemdziesięciostopowego Wzgórza a Farmą Cahrswyła, aby odpowiadać na ewentualne kontrataki dohlariańskiej piechoty okopanej wokół dużego budynku gospodarczego. Jeszcze dalej na prawo porucznik Faidryko Vahalhkys i jego czwarty pluton powinni wcisnąć się między dwa wzgórza, Siedemdziesięciostopowe i Stustopowe, trzy mile na północny zachód. Wreszcie porucznik Dahnahtelo Dragonsbane ze swoim drugim plutonem wspinał się właśnie na górę równie szybko jak

ludzie Ahldyrsa.

Zwiadowcy donieśli, że jest tylko jeden pluton Dohlarian na samym wzgórzu, aczkolwiek u jego podnóża wyraźnie rozłożyło się ich jeszcze dwa czy trzy. Największe skupienie dohlariańskich żołnierzy znajdowało się na północy, gdzie droga kierowała się ku Farmie Saiksyna. W tym momencie stanowili oni zmartwienie czwartego plutonu, ponieważ Ahldyrs koncentrował swoją uwagę na szczycie wzgórza, którego obrońcy pokazali, co potrafią, podczas trzech wcześniejszych ataków.

Szkoda, że nie miałem czasu przeorganizować ludzi, pomyślał porucznik, pilnując się po ciemku, aby nie wpaść w króliczą jamę. Dranie zdążyli się okopać, zanim uderzyliśmy po raz pierwszy, a jak wiadomo, w takiej sytuacji przewaga leży po stronie okopanego strzelca, a nie atakującego pod górę piechura.

Pod tym względem miał całkowitą rację. Zdawał sobie jednak sprawę, że Aikymohto Mahkgavysk i jego trzecia kompania nie mieli wyjścia, jak tylko przypuścić zaplanowany atak. Armia Seridahn znalazła się wreszcie na otwartej przestrzeni, zmuszona cofać się przed Cesarską Armią Charisu, której ukształtowanie terenu zdecydowanie sprzyjało. Ostatnie, co było potrzebne hrabiemu Hanthu, to pozwolić, aby sir Fahstyr Rychtyr odzyskał równowagę i ponownie schronił się ze swoimi ludźmi w przygotowanych umocnieniach. Zmuszenie go do ciągłego ruchu, niepozwolenie na złapanie oddechu, warte było ryzyka, a nawet utraty kilku żołnierzy, jakkolwiek by to było bolesne.

Jednakże to trzecia kompania szła na czele nacierającego czwartego batalionu, i to odkąd Dohlarianie musieli oddać swoje pozycje wokół Atlynu. Na odcinku tych pięćdziesięciu mil Mahkgavysk poniósł niemałe straty, zatem gdy Dohlarianie ze wzgórza dali jasno do zrozumienia, że zamierzają stawiać opór, major Edmyndsyn ściągnął z powrotem trzecią kompanię i wyznaczył jej zadanie oczyszczenia tego miejsca dla kapitana Zohannsyna.

A więc teraz kolej na nas, pomyślał Ahldyrs, dotarłszy na dół zbocza i rozpoczynając ponowną wspinaczkę – tym razem piętnaście jardów za plecami ostatniego człowieka z jego prowadzącej drużyny.

Lufy karabinów rozbłyskały w ciemnościach do wtóru ogłuszających trzasków, kiedy porucznik Tyrnyr wślizgiwał się do swojej jaszczurzej nory. Wątpił, aby jego strzelcy widzieli, do czego strzelają, ale nie wykluczał tego całkowicie. I cieszył się, że słyszy strzały, te oznaczały bowiem, że przynajmniej część pierwszej drużyny nadal żyje i bierze udział w akcji.

– Dajcie im popalić, chłopcy! – krzyknął. – Dwadzieścia minut! Tyle musimy ich utrzymać na miejscu!

W głębi ducha wiedział, że równie dobrze mógłby prosić swoich podwładnych, aby nie pozwolili wrogowi ruszyć się przez dwadzieścia lat. Rezerwa regimentu powinna wesprzeć drugą kompanię w ciągu dwudziestu minut – aczkolwiek za dnia.

A także, dodał w myślach Ahldyrs, bez heretyków po drodze.

Równocześnie usłyszał ostrzał karabinowy po swojej lewej.

Wyprostował się, wyciągnął szyję i zaklął siarczyście, zobaczywszy, jak oślepiające błyski zalewają trakt biegnący na północ od Siedemdziesięciostopowego Wzgórza. W dole wzgórza także rozległy się trzaski i zajaśniały rozbłyski, które swą siłą rozświetliły płomienie wylotowe z luf pozostałych plutonów drugiej kompanii. Niestety heretykom udało się już przejść na drugą stronę. W tej chwili flanką ich ataku oddalała się od wzgórza. Skurwiele zajmowali miejsca pomiędzy drugą kompanią i resztą regimentu...

Coś świsnęło koło ucha porucznika, który natychmiast schował się z powrotem w okopie. Poczuvszy się bezpieczniej, wściekle wyrzwał pięścią w ziemną ścianę. Jeśli heretykom udało się dostać na drugą stronę czy choćby zapobiec wykorzystaniu jej przez odwody...

Pierwszy pluton ruszył tyralierą w górę zbocza, nie oddając ani jednego strzału, gdyż to mogłoby zdradzić pozycje poszczególnych żołnierzy.

W przeciwieństwie do innych armii – nawet Królewskiej Armii Dohlaru, która wyrosła na jedną z najlepszych armii na Schronieniu – w Cesarskiej Armii Charisu dowódcy rzadko mówili młodym oficerom, co mają robić. Po to były intensywne szkolenia, wpajanie podstawowej

doktryny, a także poddawanie prawdziwych problemów polowych pod rozwagę. Zatem w chwili próby oficerowie wiedzieli, co powinni uczynić, aczkolwiek nie zawsze mieli jasność co do tego, jak osiągnąć zakładany cel. Oczekiwano od nich, że będą znali intencje przełożonych i że dołożą wszelkich starań, aby je spełnić. Co do środków, mieli całkowicie wolną rękę: pozwalano im myśleć, adaptować się do sytuacji, a nawet improwizować i pokonywać przeszkody na bieżąco, w miarę jak się pojawiały. To samo dotyczyło też sierżantów, kaprali i szeregowców.

Dzięki temu Cesarska Armia Charisu mogła atakować w ciemnościach, podczas gdy żadna inna armia nie byłaby w stanie zachować w takich warunkach zwartości i ryzykowałaby utratę kontroli, jakże częstą w trakcie nocnej akcji. Rozumiało to bardzo niewielu oponentów – nie wyłączając Allayna Maigwaira, który okazał się znacznie lepszym strategiem, aniżeli ktokolwiek w Charisie mógł przypuszczać przed tym, zanim Charisjanie zetknęli się na polu bitwy z Armią Boga. W ich oczach utrata kontroli równała się chaosowi, a Gwardia Świątynna zrozumiała na długo przed tym, zanim ktokolwiek słyszał o Armii Boga, że żaden zorganizowany oddział nie przegrał jeszcze ze znacznie liczniejszym tłumem. Jednakże pierwszy pluton czwartej kompanii ósmego regimentu czwartej brygady piechoty Cesarskiej Armii Charisu na pewno nie był niezorganizowany. Został zdecentralizowany i podzielony na poszczególne drużyny. Nazywanie go tłumem było wielkim nieporozumieniem.

– Nie stawać! Nie stawać! – darł się kapral Zherald Tohmys, kiedy oślepiające błyski dohlariańskich karabinów, jakże podobne do ognistych jaszczurów, jaśniały na tle czarnego wzgórza. Wyciągnął przed siebie rękę, złapał uprząż Haarahlda Kyngsfyrda i szarpnął chwiejącego się na kolanach szeregowca trzeciej drużyny do tyłu. – Masz się wspinać na to cholerne wzgórze, a nie całować ziemię!

Gdzieś z przodu wybuchł pierwszy granat.

– Z lewej! – wrzasnął ktoś. – Nadchodzą z lewej!

Ostrzeżenie zamieniło się w przenikliwe wycie śmiertelnie rannego człowieka zaraz po tym, jak eksplodował heretycki granat.

Znienacka okolica zamieniła się w aksamitny koc mroku przekłuty tylko miejscami przez rażące błyskawice ognia karabinowego. W ciemnościach dały się słyszeć grzmoty granatów, okrzyki ostrzegawcze, ryki rozkazów i wrzaski wściekłości.

Drugi pluton został unicestwiony, za wysoką cenę jednak. Ahmbrohs Tyrnyr otworzył usta, by wydać z siebie ostrzegawczy okrzyk, wyrывая jednocześnie rewolwer z ręki poległego heretyka. Złapał go oburącz, odciągnął kurek. Miał tylko dwadzieścia naboji, ale póki nimi dysponował...

Wtem dostrzegł ruch. Na tle migoczących świateł pojawiła się ciemna sylwetka. Poruszała się – a przecież wyraźnie kazał wszystkim swoim ludziom trzymać się swoich jaszczurzych nor, aby każdy żołnierz wiedział, że to, co się porusza, musi być wrogiem.

Rewolwer ryknął... Tyrnyr przypomniał sobie podstawową zasadę walki w ciemnościach i zacisnął mocno powieki, aby nie dać się oślepić własnej broni. Kiedy moment później otworzył oczy, zobaczył, że w oddali wyrosła druga postać. A może była to wciąż ta sama postać, a on chybił za pierwszym razem? Nie miało to znaczenia. Wymierzył, wstrzymał oddech, oddał strzał. Rewolwer znowu zagrzmiał, a Tyrnyr ponownie rozwarł powieki, rozpaczliwie szukając wzrokiem kolejnego celu. Doskonale wiedział, że oddane przezeń strzały zdradziły jego pozycję każdemu heretykowi w tej okolicy.

Coś drgnęło na skraju jego pola widzenia. Obrócił się gwałtownie i zatoczył łuk bronią, unosząc odruchowo lufę. Zanim zdążył wymierzyć, jęknął, gdy czternastocalowy bagnet przebił mu na wylot lewe ramię. Oparł się plecami o tylną ścianę okopu i nacisnął spust.

Odległość wynosiła niecałe trzy stopy. Kula trafiła w cel z siłą niemal ośmiuset funtów. Mgnienie oka później porucznika ogarnęła prywatna ciemność, gdy mężczyzna, którego właśnie zabił, runął twarzą do przodu, waląc go przy tym skrajem hełmu w czoło i pozbawiając świadomości.

.XII.

Kwatera główna Armii Seridahn

Kraisyr

Thorast

Dohlar

Jak źle to wygląda, Fahstyrze? – zapytał cichym głosem Pairaik Metzlyr.

Razem z sir Fahstyrem Rychtyrem, pułkownikiem Ahskarem Mohrtynsynem i generałem Clyftynem Rahdgyrzem stał w gabinecie tego pierwszego. Sir Fahstyr, który zarekwirował biuro burmistrza Kraisyru, gapił się na mapę rozłożoną na stole. Poza nimi w pomieszczeniu nie było nikogo innego, jednakże zza półotwartych drzwi dolatywały liczne głosy. Można się było spodziewać, że klerkowie generała pojawią się w środku lada moment, aby podzielić się dalszymi wieściami o katastrofie.

– Obawiam się, ojcze, że gorzej być nie może – odparł ponuro Rychtyr.

Podobnie jak intendent odezwał się niezbyt głośno, lecz przynajmniej spojrział Metzlyrowi prosto w oczy. Następnie wyprostował ramiona i przecesał siwiejące jasne włosy z ciężkim westchnieniem.

– Nie tylko dostali się na drugą stronę tej drogi, ale też zajęli zarówno Farmę Saiksyna, jak i Cahrswyla – dodał, nie zmieniając wyrazu twarzy. – A to znaczy, że kontrolują odcinek drogi od Farmy Cahrswyla aż do Kraisyru. Tym samym dla nas, gdybyśmy chcieli wykonać jakiś ruch, pozostają tylko moczary. – Potrząsnął głową. – Nie jestem w stanie utrzymać linii frontu, ojcze. Przynajmniej dopóty, dopóki nie dostaną się na drugą stronę drogi wiodącej od Waymeetu do Fronzportu. Zdaniem brygadiera Brynygaira ich prawa flanką znajduje się niecałe dziesięć mil od drogi prowadzącej od Bryxtynu do Shanu.

– Mogą być tak blisko, jak mówisz, panie, lecz na pewno nie dotarli jeszcze do samej drogi – wtrącił generał Rahdgyrz oschle. Oczy jednorękiego dowódcy, a właściwie jedno oko, gdyż drugie było

przesłonięte kawałkiem czarnego materiału, wyzierało zaczepnie ze szczupłej twarzy opatrzonej wydatnym nosem.

– To prawda, Clyftynie – zgodził się z nim Rychtyr.

Posłał uśmiech wysokiemu i szczupłemu generałowi, który zgodnie z obyczajem miał włosy splecione w długi, gruby warkocz, który opadał mu na plecy. Uzupełnieniem warkocza była obfita broda sięgająca aż do piersi. Z jednego i drugiego powodu przypominał *seijina* z witrażu – zupełnie jakby jakiś bohater Wojny z Upadłymi zstąpił znów na ziemię i ujął miecz w dłoń. Wrażenie to nie było bynajmniej tylko powierzchowne.

Rahdgyrz stał się podwładnym Rychtyra po śmierci sir Ohtysa Godwyla, którą ten poniósł w wyniku heretyckiego bombardowania. Od tamtej pory Rychtyr zdążył podziękować za niego Bogu Jedynemu przy więcej niż jednej okazji. Obydwaj znali się od ćwierć wieku, to jest znacznie dłużej, niż trwała święta wojna, dzięki czemu Rychtyr mógł mieć pewność, że nie ma na Schronieniu człowieka bardziej oddanego Kościołowi Matce. Rahdgyrz był jednym z pierwszych ochotników, którzy zgłosili się dobrowolnie na służbę w trakcie początkowej, jak się okazało katastrofalnej w skutkach, kampanii morskiej. Prawe podudzie stracił na pokładzie galery *Święty Taitys*, gdzie służył pod rozkazami hrabiego Thirsku i brał udział w bitwie w cieśninie Crag. Dla większości ludzi byłby to powód do pożegnania się z wojskiem, jednakże Clyftyn Rahdgyrz wrócił do czynnej służby, jak tylko otrzymał sztuczną nogę. Rozprawił się z wszystkimi obiekcjami, twierdząc, że nadal może jeździć konno nie gorzej niż kiedykolwiek wcześniej, a poza tym generał rzadko kiedy chodzi piechotą! Postawił na swoim, jak niemal zawsze, po czym... stracił lewe przedramię pod rozkazami sir Rainosa Ahlvereza w Alyksbergu. Przeszedł w stan spoczynku tylko na trzy miesiące, by wrócić na pole walki przed Thesmarem, za to tuż po tym, jak Ahlverez wyruszył na spotkanie klęski w Lesie Kyplyngyra. Kiedy hrabia Hanthu przypuścił kontratak ze strony Thesmaru, generał walczył zaciekle jak wielki smok. I jak można się było spodziewać, ponownie odniósł rany. Pozbawiony prawego oka uparł się oczywiście, że nie zrzeknie się dowództwa.

Z tego, co sir Fahstyr Rychtyr wiedział, generał ani razu nie poskarżył się na ułomności, które stały się jego udziałem w służbie Kościoła Matki. Nie bez powodu żołnierze nazywali go Jaszczurodrapem.

Rychtyr wiedział, że może na nim w pełni polegać.

– To prawda – powtórzył teraz. – Heretycy nie dotarli jeszcze do samej drogi. Są jednak niebezpiecznie blisko. – Postukał palcem w mapę. – Brygada Brynygaira postarała się o to, aby utrudnić im marsz. Na szczęście teren sprzyja naszym. Niestety obawiam się, że to tylko kwestia czasu, kiedy heretycy zaczną znów krzyżować nam szyki.

– Wysłałem już posiłki w postaci oddziałów Gairwyla i Kluneego – powiedział Rahdgyrz obrażony i także postukał mapę palcami zdrowej ręki. – Co do terenu jednak masz rację. Wiem, że lasy tam nie są zbyt gęste, a rzeki to właściwie strumienie, jak to latem. Aczkolwiek Chydor wciąż jest głęboka, a brodów strzegą ludzie Brynygaira. Gdy Gairwyl zbliży się do jej brzegu, będzie w stanie wykorzystać każdą przewagę, jaka mu się nadarzy. Jeśli zajdzie taka potrzeba, mogę mu wysłać wsparcie w postaci dwóch regimentów w ciągu... góra sześciu godzin.

– Wiem, że możesz, i wiem, że byś to zrobił, upierając się, aby zająć miejsce na ich czele, z mieczem w dłoni. – Rychtyr uścisnął ramię generała. – Wiem też, że twoi ludzie są gotowi oddać za ciebie życie. Z tym że potrzebujemy ich żywych, nie martwych. Niech opóźnią marsz heretyków o kolejne dwa dni. Obaj bowiem wiemy, że każda następna godzina graniczyłaby z cudem.

– Ale... – zaczął Rahdgyrz, nie chcąc ustąpić tak łatwo.

Metzlyr uniósł rękę, uciszając go w pół zdania.

– Skoro nie jesteśmy w stanie powstrzymać ich przed dostaniem się na drugą stronę traktu, jaki masz plan, Fahstyrze? – Tym razem to intendent położył rękę na barku Rychtyra. – Nie chcę stawiać cię w trudnym położeniu, mój synu... Zdaję sobie sprawę, że w takiej chwili musisz myśleć o swoich podwładnych. Znam cię jednak na tyle dobrze, aby mieć pewność, że zdążyłeś już pomyśleć o wszystkich opcjach w obliczu nadciągającej katastrofy.

– Możemy uczynić tylko jedno, ojczy – powiedział Rychtyr, decydując się na szczerą. – Trzeba nam się wycofać, i to nie tylko kilka mil. Teren leżący wzdłuż kanału jest zbyt płaski, zbyt otwarty, a heretycy mają zbyt dużą mobilność. Skoro już o tym mowa, tam jest za dużo tych polnych drózek, a jak wiadomo, konna piechota świetnie sobie radzi w takiej okolicy. Dlatego chciałbym wycofać swoje oddziały na tyle daleko, aby móc utworzyć od nowa linie obrony. Najlepiej pomiędzy

Lasem Duhnsmyr a Lasem Kaiylee.

Metzlyr pokiwał głową potakująco, mimo że czuł głęboki niepokój. W grę wchodziło wycofanie się na co najmniej sześćdziesiąt mil. Coś takiego było... niewyobrażalne.

W dodatku dowódca odezwał się znowu.

– No i – dodał jakby nigdy nic – trzeba ewakuować Bryxtyn i Waymeet, zakładając, że wciąż mamy na to czas.

– Ewakuować? – Rahdgyrz otworzył szerzej oczy. – Przecież to są fortece! Nie możemy ich, ot tak, oddać w ręce heretyków!

– Tak się składa, że nie jesteśmy w stanie powstrzymać heretyków przed objęciem ich w posiadanie w dowolnie przez nich wybranym momencie – odparł Rychtyr. – Ba, właściwie heretycy nie muszą nawet ich zajmować. Forteca Waymeet blokuje skrzyżowanie dwóch kanałów: kanału Sheryl–Seridahn i kanału Sairhalik Switch, odkąd jednak heretycy przejęli farmę na Brzegu Kanału – postukał jeszcze inne miejsce na mapie, znajdujące się trzydzieści pięć mil na południe od Waymeetu – praktycznie otoczyli Switch. A w ogóle to przecież zaprzestali używania kanałów! Opanowanie miasta pozwoli im zachować przewagę zarówno strategiczną, jak i logistyczną, nie wspominając już o tym, że Bryxtyn nie jest położony nad żadnym kanałem. Owszem, i Waymeet, i Bryxtyn można określić mianem fortecy z prawdziwego zdarzenia, lecz nie zapominajmy, że zostały one wzniesione w przeszłości, gdy miały stawiać opór dawnej armii Republiki Siddarmarku, nie zaś współczesnej charisjańskiej artylerii. Jeśli brać pod uwagę ich znaczenie dla świętej wojny, to są tylko dwoma miejscami na mapie, niczym więcej. No ale generał Iglaisys obsadził Bryxtyn siedmioma tysiącami żołnierzy, podczas gdy generał Symyngtyn przewidział ich dla Waymeetu aż dziesięć tysięcy. Daje to w sumie siedemnaście tysięcy, a przecież jeszcze niedawno, przed ostatnim atakiem heretyków, dysponowaliśmy zaledwie czterdziestoma pięcioma tysiącami ludzi ogółem. Jeśli pozostawimy tamte siedemnaście tysięcy tam, gdzie znajdują się obecnie, nie odegrają żadnej roli w świętej wojnie. Z kolei... jeśli Iglaisys i Symyngtyn wycofają się, to znaczy jeśli uda im się wycofać, zanim heretycy odetną im drogę... znacząco zwiększą nasze siły. Mowa, było nie było, o niemal czterdziestu procentach. – Pokręcił głową. – Zapewniam, że ci żołnierze przydadzą

nam się o wiele bardziej w polu, niż siedząc za murami, które nie wytrzymają oblężenia dłużej niż dwa pięciodnie, szczególnie jeśli atakującym będzie hrabia Hanthu.

– Sir, zaklinam się, że zadamy heretykom wielkie straty, zanim zdążą przeciąć trakt! – Rahdgyrz przemówił głosem pełnym szacunku, aczkolwiek na jego twarzy wypisany miał niesmak, a nawet desperację. – Oczywiście, że moi podwładni będą ginąć tam, gdzie im każę, ale... Czyż nie powinniśmy bronić właśnie naszych najpotężniejszych fortec?

– Clyftynie... – odezwał się Rychtyr. – Nie zarzucimy walki. Będziemy walczyć, masz na to moje słowo. Jednakże, zważ, roztropny dowódca nie pcha się do bitwy, której nie może wygrać. A heretycy nie tylko przełamali nasz front, oni także przejęli nasze szlaki komunikacyjne. Co oznacza, że są w stanie przerzucać swoje siły i swój sprzęt szybciej od nas. Na Shan-wei! Byli w stanie robić to także wcześniej, skoro tyle konnej piechoty i dragonów dołączyło do hrabiego Hanthu! Aczkolwiek obecnie idzie im to jeszcze szybciej. Z ostatniego raportu Brynygaira wynika, że niczym innym się nie zajmują, odkąd odcięli drogę na Farmę Cahrsywyla.

Rychtyr potrząsnął głową z nieszczęśliwą miną, choć spojrzenie miał zacięte.

– Możemy upuścić im krwi, zanim odetną trakt. Z twoją pomocą na flance powinniśmy nawet zadać wrogowi większe straty, niż sami poniesiemy. Zwłaszcza że teren jest taki, jaki jest. Problem jednak w tym, że ich jest tak wielu, że nawet duże straty nie zrobią na nich wrażenia. W naszym wypadku jest inaczej. Mamy za mało ludzi już na starcie. Właśnie dlatego muszę rozwiązać oba garnizony i włączyć je w skład sił polowych. Możemy śmiało zakładać, że hrabia Hanthu dysponuje osiemdziesięcioma tysiącami ludzi. Może nawet dziewięćdziesięcioma. Do tego ma proporcjonalnie więcej konnych niż my. Potrzebne mi wsparcie, potrzebne mi naturalne przeszkody na obu flankach. Takie jak te. – Położył palec na mapie, wskazując miejsce na zachód od Shandyru.

Rahdgyrz pochylił się nad stołem. Momentalnie poszedł w jego ślady Metzlyr, który schwycił pewniej swoje berło i mrużąc oczy, także przyjrzał się mapie. I zaraz oderwał od niej wzrok, biorąc głęboki wdech.

– Obawiam się, że masz rację, synu – zwrócił się do Rychtyra. –

Wolałbym nie oddawać przeciwnikowi pola, zwłaszcza że twoja armia tak dzielnie się spisała w ostatnich potyczkach. Zarazem wolałbym też nie być świadkiem, jak ta armia zostaje wycięta w pień, i to nadaremno, nie powstrzymawszy uprzednio heretyków. Bogobojny człowiek zawsze jest gotów oddać życie w imię Boże... ale nie w przypadku, gdy jego śmierć nic dobrego nie przyniesie.

– Zatem, ojcze... pokierujesz ewakuacją Bryxtynu i Waymeetu? – zapytał cicho Rychtyr.

Metzlyr odpowiedział skinieniem.

– Uczynię, co trzeba, synu – powiedział ze smutnym uśmiechem. – Podejrzewam wprawdzie, że w Gorathu niektórzy nie będą z tego zadowoleni, niemniej przekonałeś mnie w całości. Skoro już o tym mowa, jeśli tylko mnie poprzesz, roześlę wici do innych twierdz w królestwie z prośbą o posiłki. Jest bowiem tak, jak mówisz: nie na wiele się zdadzą żołnierze siedzący za murami fortec, które heretycy mogą zwyczajnie ominąć lub rozwalić w proch.

Jedynie oko Rahdgyrza słało nieszczęśliwe błyski, miotając się pomiędzy dowódcą i intendentem. Widząc to, Rychtyr uściśnął ramię mężczyzny.

– Clyftynie, wiem, że nie zgadzasz się tym razem ze mną, ale musisz wyjść w pole i walczyć niczym sam Chihiro. Obyś kupił mi tyle czasu, ile trzeba. Siej zniszczenie, zostaw za sobą morze ofiar i spowolnij wroga na tyle, na ile się da. Niech trakt będzie przejezdny, dopóki nie pojawi się generał Iglaisys ze swoim bryxtyńskim garnizonem. Tylko pamiętaj, do samego końca nie daj się związać otwartą walką. Nie mam pewności, czy możemy liczyć na Bryxtyn, a nie chciałbym, abyś poniósł straty niepotrzebnie. Musisz mi obiecać, że będziesz heretyków kąsał boleśnie, lecz nie wczepisz się w nich zębiskami na dobre. Obiecujesz?

– Oczywiście, sir. – Rahdgyrz odezwał się schrypniętym głosem, ale nie uciekł spojrzeniem przed przełożonym. – Na mnie i moich podwładnych zawsze możesz liczyć. Biorę Langhorne'a na świadka, że gdy generał Iglaisys nadciągnie z posiłkami, my wciąż będziemy stać na tym trakcie!

– Wierzę, że tak będzie, Clyftynie – potaknął Rahdgyrz z odrobiną humoru w głosie.

Następnie cofnął się od stołu, zasalutował i kuśtykając, opuścił

gabinet bez oglądania się za siebie.

– Nie jest zadowolony – zauważył Mohrtynsyn.

Rychtyr westchnął ciężko.

– Ano nie jest – potwierdził słowa swego szefa sztabu, by zaraz przenieść wzrok na Metzlyra. – Ja też nie jestem. Jednakże... jeśli jest na świecie ktoś, komu ta sztuka może się udać... to właśnie z nim rozmawialiśmy.

– A zatem przeniesiemy się do Chydoru – oświadczył Clyftyn Rahdgyrz. – Potrzebne mi są jeszcze co najmniej trzy regimenty. Sprawdź, które są najbliżej, i wydaj rozkaz do wymarszu.

– Tak jest! – Pułkownik Mahkzwail Mahkgrudyr, starszy adiutant Rahdgyrza, energicznie pokiwał głową. – Jedno pytanie: jak szybko sir Fahstyr zdoła przysłać nam swoje posiłki?

– Nie zrobi tego – odparł z ciężkim sercem dowódca. Mahkgrudyr wybałuszył oczy. Obydwaj byli do siebie bardzo podobni pod wieloma względami, dlatego Rahdgyrz uniósł rękę, zanim jego adiutant zdążył zaprotestować. – Mnie także się to nie podoba. Nie muszę chyba dodawać, że najmniej zachwycony jest sir Fahstyr. Niemniej naszym zadaniem jest utrzymać trakt przejezdny do chwili pojawienia się generała Iglaisysa z garnizonem ewakuowanym z Bryxtynu.

– Ewakuowany garnizon – powtórzył Mahkgrudyr lekko niedowierzającym tonem, jakby nie dosłyszał albo nie mógł uwierzyć w to, co doleciało jego uszu.

– Właśnie – potaknął Rahdgyrz ostro. – Generał postanowił, przy całkowitym poparciu ojca Pairaika, że oba garnizony są nam bardziej potrzebne w polu niż za murami, i to w fortcach stojących za plecami heretyków.

– Sądziłem, sir, że chodzi o to, by gdzieś podjąć walkę – wtrącił cierpko Mahkgrudyr.

– Dosyć! – warknął Rahdgyrz, pocierając opaskę na oku, drugim zaś łypiąc na adiutanta. – Tak brzmią rozkazy, a naszym zadaniem jest je wykonać, zrozumiano?

– Tak jest, sir – odparł Mahkgrudyr po chwili wahania. Szybko jednak się otrząsnął. – Przypilnuję, żeby nasi klerkowie zajęli się rozpisywaniem ruchów poszczególnych jednostek.

– Świetnie, Mahkzwailu, świetnie. – Rychtyr poklepał pułkownika po plecach. – Ja także mam coś do napisania, skoro już o tym mowa.

– Rozumiem, sir.

Mahkgrudyr zdążył już odzyskać równowagę ducha. Przytknął pięść do piersi w salucie, obrócił się i wyszedł. Rychtyr usadowił się na składanym polowym krzeselku za swoim biurkiem polowym. Otworzył szufladę, wyciągnął kartkę cienkiego papieru stosowanego w wypadku wiadomości nadawanych wyverną pocztową i zanurzył czubek pióra w kałamarzu.

Może i dobrze się stało, że pułkownik Mahkgrudyr nie mógł zobaczyć jego miny w tym momencie. Albowiem Rychtyr siedział przez kilka długich minut z cierpieniem widocznym w jego jedynym zdrowym oku – z cierpieniem niemającym nic wspólnego z ranami odniesionymi na służbie Kościoła Matki. Dopiero po tym czasie zaczął niechętnie kreślić słowa na papierze.

Wasza dostojność, drogi biskupie, z ciężkim sercem i wielkim żalem, po wielu godzinach modlitewnej medytacji, sięgam po pióro, aby ci napisać, że...

MAJ

ROKU PAŃSKIEGO 898

.I.
Swayle
Hrabstwo Swayle
Twierdza Rydymak
Hrabstwo Cheshyr
oraz
Twierdza Skalistego Szczytu
Księstwo Skalistego Szczytu
Chisholm
Imperium Charisu
oraz
Jaskinia Nimue
Góry Światła

Pani, dziękuję, że zechciałaś mnie przyjąć.

Wysoki, ciemnowłosa mężczyzna miał szarozielone oczy, wyraziste siwe bokobrody i twarz o zdecydowanych, szlachetnych rysach. Był schludnie ubrany i starannie ostrzyżony, aczkolwiek ewidentnie nie pochodził z arystokracji. Jego wygląd nie zwodził, przeciwnie, wskazywał jasno na to, kim jest ów człowiek. A był on ni mniej, ni więcej, tylko uzdolnionym rzemieślnikiem i poważanym członkiem Gildii Rusznikarzy. Jako takiemu nie brakowało mu pewności siebie wynikającej z powszechnego szacunku, jakim go darzono.

Gdy prostował się po złożonym pocałunku na dłoni Rebkah Rahskail, szarozielone oczy miał ciemne i przepełnione goryczą.

– Ależ zawsze jesteś u mnie mile widziany, mistrzu Clyntahnie. Siadaj, proszę. – Wdowa po księciu Swayle machnęła ręką, którą jej gość przed chwilą uwolnił z uścisku, i wskazała w ten sposób wygodny fotel, ustawiony naprzeciwko jej siedziska, dzięki czemu mogli zająć miejsca

na wprost siebie, rozdzieleni tylko żeliwnym piecykiem, który został połączony rurą ze staromodnym, ogromnym, aczkolwiek ani trochę wydajnym kominkiem.

Był wprawdzie maj, lecz w Chisholmie nawet w maju panowały srogie mrozy. I tego roku pogoda także się zbuntowała. O szyby świetlicy tłukł deszcz ze śniegiem, a na posadzce widniały mokre plamy poczynione przez zimowe buty gościa. Mężczyzna zajął miejsce siedzące tylko z lekkim wahaniem, które wszakże zdradziło jego niskie pochodzenie, gdyż nikt szlachetnie urodzony nie miałby z tym problemu w obecności stojącej wciąż arystokratki. Księżna przyglądała mu się spod powiek, nienachalnie, lecz badawczo.

Mistrz Clyntahn emanował gniewem silniej niż piecyk ciepłem, co jednak było oczywiste chyba tylko dla niej – a to dlatego, że sama także była przepełniona wściekłością. Księżna wątpiała, aby powody targających nimi silnych emocji były podobne. Zresztą nie miało to większego znaczenia. Liczyło się tylko to, że mistrz Clyntahn – noszący imię od pewnego czasu niecieszące się sympatią wśród Chisholmczyków – jest przedstawicielem fachu, który niebawem zaniknie, pociągając za sobą bogactwo i status rzeczzonego.

Trzy lata temu Zhonathyn Clyntahn przegrał w wyścigu o stanowisko przełożonego Gildii Rusznikarzy w Cherayth. Nie był to jego najlepszy dzień, wszakże przyjął porażkę nie najgorzej, być może dzięki temu, że Korona zaoferowała mu objęcie pozycji nadzorcy – jednego z trzech – w Wytwórni Karabinów Maikelberg. Jako szef, odpowiadający bezpośrednio przed Styvynem Nezbytem, Charisjaninem pełniącym rolę kierownika tych zakładów, zarabiał dwakroć tyle co przedtem, aczkolwiek może nie tyle samo, ile mógłby zarobić, gdyby zdecydował się działać na własną rękę podczas tego boomu na broń palną. Naturalnie takich – nomen omen – wolnych strzelców nie było obecnie zbyt wielu, a w miarę rozwoju zakładów w Maikelbergu miało ich być coraz mniej. To właśnie stanowiło powód, dla którego mistrz Clyntahn zjawił się w siedzibie księżnej w to lodowate majowe popołudnie.

– Za twoim pozwoleniem... – zaczęła Rebkah – nie będę owijać w bawełnę i przejdę od razu do rzeczy. Od naszego wspólnego znajomego wiem, że nie jesteś zachwycony stanem spraw tutaj, w królestwie.

Obserwowała go uważnie, gdy celowo wypowiedziała słowo

„królestwo” zamiast „imperium”. Na twarzy Clyntahna, obok gniewu, pojawiła się iskierka zaniepokojenia, która jednak bardzo szybko zgasła.

– To prawda – przyznał, unosząc brodę wysoko. – Tak samo jak to, że i ja wiem od naszego wspólnego znajomego, że ty również nie jesteś zachwycona stanem spraw tutaj. Gdybym miał wierzyć jego słowom, jesteś nawet mniej zachwycona ode mnie. Daleko mi do podważania słów duchownego, niemniej coś mi mówi, że moje niezadowolenie jednak przewyższa twoje, pani.

– Byłaby to niewątpliwie prawda – Rebkah odezwała się głosem lodowatym jak powietrze za oknem – gdyby nie to, że na własne oczy widziałam, jak mój mąż umiera na szubienicy skazany przez tę zdradziecką dziwkę na tronie.

Choć ostatnie słowa padły tonem niemal konwersacyjnym, przebijał z nich chłód ostatniego kręgu piekieł i to sprawiło, że mistrz Clyntahn zacisnął szczęki.

– Proszę o wybaczenie, pani. Nie chciałem być niewrażliwy ani nic z tych rzeczy. Jeśli tak to odebrałaś, jestem ci winien przeprosiny.

– Przeprosiny nie są potrzebne – zaoponowała. – Nie było moim zamiarem cię do nich przymuszać. Chodzi mi po prostu o to, że niektórzy z nas zostali doświadczeni ciężiej niż inni.

– Rozumiem. – Mistrz Clyntahn pokiwał głową. – Nie zaznałem podobnej krzywdy, więc nie jestem w stanie wyobrazić sobie głębi twego bólu, niemniej mogę cię zapewnić, pani, że od dziecka mam niezwykle bujną wyobraźnię.

Rebkah skinęła głową, mimo że przez cały czas miała w pamięci ostrzeżenie udzielone jej przez ojca Zhordyna. Wbrew swemu nazwisku mistrz Clyntahn sympatyzował raczej z reformistami aniżeli z lojalistami Świątyni, a jego niechęć do Sharleyan i Cayleba Ahrmahków miała więcej wspólnego ze zmianami społecznymi zachodzącymi ostatnio w Chisholmie aniżeli z przekonaniami religijnymi.

Ale to nic, powiedziała sobie. Prawdziwa córa Boża poradzi sobie z takim materiałem, jaki zesłał jej Bóg.

– Tak czy owak – podjęła – najbardziej zainteresowało mnie to, gdy nasz wspólny przyjaciel powiedział, że ty i twoi przyjaciele w Cherayth macie więcej wspólnego z nami, niż mogłoby się na pozór wydawać. Choć

naturalnie stan, do jakiego zostało sprowadzone nasze królestwo ostatnimi czasy, jest powodem do zmartwienia dla praktycznie każdego człowieka dobrej woli.

– O tak – potwierdził mistrz Clyntahn. – Nie wątpię, iż zdaniem niektórych przymierze zawarte między arystokracją Chisholmu a zwykłymi obywatelami takimi jak ja jest rzeczą nader nieprawdopodobną, a jednak w naturze wszystko jest możliwe. Stulecia trwało, zanim Chisholm osiągnął ten poziom bogactwa, jakim cieszył się przed nastaniem tej przeklętej świętej wojny. Dekady zabrało, nim osiągnęliśmy pokój i bezpieczeństwo... Żle się dzieje, że ludzie wyrzynają się nawzajem w imię Boga, jeszcze gorzej zaś, że niszczone jest tkanka naszego społeczeństwa! Wszelkie związki biznesowe, gospodarcze są zrywane, jakby były nic niewarte! – Oczy zapłonęły mu gniewem. – To nienormalne. Gorzej nawet! Coś takiego doprowadzi do urzeczywistnienia haseł głoszonych w Siddarze! A jakby tego było mało, wszystkie te nowe prawa dotyczące pracy dzieci, i cała reszta tego gówna, sprawią, że przekreślone będzie znaczenie rodziny, które przecież wyraźnie zostało określone przez Boga Jedyne u zarania świata. Rozumiem, że ktoś chce uwolnić dzieciarnię z manufaktur i odsunąć ją od maszynierii, ale żeby odebrać gildiom prawo nadzoru nad własnymi czeladnikami? Żeby nakazać im przyjmowanie do zawodu byle kogo? Żeby odmawiać nam obowiązującego od wieków prawa do ustalania wysokości tygodniówek i...

Rebkah kiwała głową z powagą, choć nie potrafiła powstrzymać rodzącego się na jej wargach uśmiechu, gdy z każdym słowem tej tyrady powód wizyty mistrza Clyntahna stawał się dla niej coraz bardziej jasny. Jak każdy martwiła się zmianami społecznymi zachodzącymi w Chisholmie, lecz dopiero teraz tak naprawdę zrozumiała, co skłoniło mistrza Clyntahna do zwarcia z nią szeregów. Chodziło ni mniej, ni więcej, tylko o to, że zagrożeniu uległa pozycja gildii, a tym samym jego własna!

Ciekawe, czy bardziej mu żal pieniędzy czy prestiżu. Gdyby mnie ktoś pytał, powiedziałabym, że raczej tego pierwszego. Przynajmniej na taki rodzaj człowieka wygląda mi mistrz Clyntahn. Zresztą wszystko jedno, z jakiego powodu zdecydował się posłużyć nam za pośrednika w rozmowach z innymi rzemieślnikami.

Rebkah wątpiła, aby mistrz Clyntahn i jemu podobni mieli pojęcie, co

tak naprawdę szykuje dla nich jej kuzyn Zhasyn, w miarę jak znaczenie Korony coraz bardziej się zmniejsza. Jej samej te sprawy niespecjalnie obchodziły. Za punkt honoru postawiła sobie tylko jedno: doprowadzić do upadku Sharleyan Ahrmahk. Niestety istniało poważne ryzyko, że zarówno ta morderczyni, jak i jej mąż apostata zdążą ukryć się w Starym Charisie – przynajmniej do czasu, aż Zhaspahr Clyntahn pospołu z Kościołem Matką wyciągnie tam po nich ręce z zamiarem wymierzenia Kary Schuelera. Rebkah domyśliła się tego już dawno temu. Nie przeszkadzało jej to jednak zbytnio. Co więcej, pod pewnymi względami takie rozwiązanie jej nawet odpowiadało. Śmierć byłaby dobrodziejstwem dla tej suki. Co innego przyglądanie się, jak wniwecz obraca się wszystko to, czemu jej ojciec i ona sama poświęcili całe swoje życie.

A jeśli nawet to się nie uda, wystarczy mi, że w procesie podcinania nam skrzydeł zginie tyłu Charisjan, że korona już zawsze będzie ciążyć na jej przeklętej głowie. Albowiem, jakkolwiek na to spojrzeć, jesteśmy dziedzicami króla Sailysa i wojny wypowiedzianej przez niego arystokracji. Zanim skończę z tą heretycką dziwką, będzie miała ręce splamione krwią do tego stopnia, że nawet jej prawnukowie będą zmuszeni zaglądać we wszystkie kąty z obawy przed spiskami, a to dzięki rządowi terroru tej przeklętej pary rzeźników.

Pomimo buzujących jej w głowie myśli Rebkah siedziała spokojnie, z udawaną uwagą przysłuchując się słowom gościa. W żaden sposób nie dawała po sobie poznać kotłującej się w niej wściekłości. Nawet ojciec Zhordyn nie miał pojęcia, co tak naprawdę ją napędza. Wiedziała to na pewno dzięki licznym rozmowom ze swoim spowiednikiem. I zamierzała się postarać, aby to jedno się nie zmieniło. Postawiła sobie za punkt honoru, że przywróci Chisholm na łono Kościoła Matki i zadba, by na Schronieniu wszystko toczyło się zgodnie z planem Bożym. Była gotowa dopiąć swego, nawet gdyby za upadek Sharleyan Ahrmahk miała zapłacić własną nieśmiertelną duszą. Była gotowa przez wieczność śmiać się, stojąc u boku Shan-wei.

– ...porozmawiałem więc z pozostałymi, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności rzecz jasna – powiedział właśnie mistrz Clyntahn, nareszcie się uspokajając. – Wszyscy są zgodni, że powinienem przystać na propozycję ojca Zho... to znaczy naszego wspólnego przyjaciela i wymienić z tobą opinie, pani.

– Zaszczyca mnie twoje zaufanie – stwierdziła Rebkah, zupełnie jakby go słuchała, zamiast dywagować w myślach na interesujące ją tematy. Właściwie to wcale nie musiała słuchać wywodu mistrza Clyntahna, ponieważ ojciec Zhordyn zapoznał ją z tokiem jego rozumowania i jego motywami. – Mam nadzieję, że przybyłeś do mnie nie tylko po to, aby wymienić opinie.

– Nie zdeklaruję się w imieniu pozostałych, dopóki nie poznam więcej szczegółów, pani. – Mistrz Clyntahn popatrzył jej prosto w oczy. – Co do mnie, podjąłem decyzję, zanim wspiąłem się do powozu, aby tutaj przyjechać. Nie mam pojęcia, czy na coś się przydam, w razie gdyby inni odmówili swojej pomocy, ale tak czy owak uczynię wszystko, na co mnie stać, a nawet więcej. Niniejszym daję ci na to słowo.

– Rozumiem – powiedziała wolno i uśmiechnęła się do niego ciepło po raz pierwszy, odkąd wszedł do jej świetlicy.

Przez chwilę siedziała w milczeniu, przysłuchując się wyjącemu wichrowi i drzeniu szybek w oknie, a także napawając się falą ciepła bijącego od piecyka – charisjańskiego piecyka – w którego wnętrzu płonął węgiel z taką samą mocą, jak w niej płonął gniew. W końcu zaczerpnęła głęboko tchu i powiedziała:

– Naszym celem jest pozbycie się tyrana w postaci Taytówny na tronie. Na pewno będzie to trudne, ale mamy potężnych sojuszników. Nie mam uprawnień, by podzielić się z tobą nazwiskami konkretnych osób, zupełnie jak ty, lecz mogę cię zapewnić, że mowa jest o najpotężniejszych wielmożach tego królestwa. Tak się jednak pechowo składa, że ich ziemie, a zatem i wpływy znajdują się poza granicami Cherayth. Gdy wreszcie wzniesiemy sztandar, będziemy mieć silną bazę w zachodniej części Chisholmu, skąd łatwo będzie rozszerzyć działania, a także bronić się w razie potrzeby. Mówię to z wielką przykrością, ale we wschodniej części nie mam tak dużego poparcia, tak samo jak w miastach. Na szczęście wy, rzemieślnicy, cieszycie się poważaniem właśnie w miastach, nawet pośród rajców. Jako szanowani członkowie społeczności dysponujecie tym, czego brakuje naszym sprzymierzeńcom z zachodu.

Mistrz Clyntahn pobladł nieco na jej szczerość, lecz nawet się nie skrzywił, co księżna skwitowała uśmiechem aprobaty.

– Rzecz jasna, jest jeszcze kwestia armii – podjęła. – Oczywiście

większość świeżo zwerbowanych oddziałów wyruszyła już do republiki Siddarmarku bądź zaokrętuje się w najbliższych pięciodniach. Można się spodziewać pozostania na miejscu kadry szkoleniowej, która wszakże będzie skupiona w księstwie Eastshare, Cherayth, Lake City i Port Royal. Zanim jej członkowie zdołają się zorganizować, by wystawić siły przeciwko naszym zachodnim sojusznikom, zdążymy umocnić tam swoje pozycje. W gruncie rzeczy, ponieważ to my wybierzemy czas i miejsce ataku, powinniśmy móc uporać się wcześniej ze wspomnianą kadrą szkoleniową, zanim ta zda sobie sprawę z tego, co się dzieje. Co do kwestii stricte technicznych zaś... Jestem pewna, że twoja pozycja w zakładach w Maikelbergu czyni z ciebie osobę najbardziej świadomą przewag, jakie ma nowoczesna broń. Dodam tylko, że i my orientujemy się co do tego. Właśnie z tego powodu skontaktowałam się z paroma oficerami, będącymi znajomymi mego świętej pamięci męża. Albowiem nie wszyscy jeszcze o nim zapomnieli, tak samo jak o księciu Doliny Halbhook. Wiele osób nadal ma w pamięci poświęcenie, jakim ci dwaj zapłacili za obronę swoich ideałów. Jedną z tych osób jest ktoś z kwatermistrzostwa, kto obiecał nam przekierować w nasze ręce kilka tysięcy sztuk długiej broni palnej. Nie będą to oczywiście nowinki techniczne. Mowa o zapadkowych mahndraynach, które... jak mi wyjaśniono... nie strzelają równie szybko jak nowocześniejsze modele. Mimo to lepszy rydz niż nic. W tym wypadku te mahndrayny okażą się lepsze od ładowanych odprzodowo, a co więcej, przekazanie ich nam pozostawi kadrę szkoleniową praktycznie z pustymi rękami. Nie można też wykluczyć, że dwa albo nawet trzy regimenty spośród nich przyłączą się do nas przez wzgląd na pamięć męża i wspomnianego księcia. Było nie było – uśmiechnęła się bez cienia radości – zostali szkoleniowcami właśnie dlatego, że nikt im nie ufał jako dawnym przyjaciółom mego męża.

Mistrz Clyntahn potaknął, wyraźnie usatysfakcjonowany wyjaśnieniami, a także spokojem i pewnością siebie księżnej.

– Zakładając, że dołączysz do nas ze swoimi przyjaciółmi, zamierzamy rozmieścić kilkaset tych karabinów w samym Cherayth. Nie chcemy jednak, abyście położyli na nich ręce, zanim będziemy gotowi do ataku na stolicę. Dopiero gdy wszyscy ich żołnierze staną w polu do walki przeciwko nam, będziecie mogli sięgnąć po broń i przejąć stolicę, aby zamknąć jej bramy do czasu, aż ich armia zostanie pokonana w boju. Nie

wątpimy, że uda nam się przejąć Cherayth także bez niczyjej pomocy, ale oczywiście będzie to łatwiejsze, gdy ktoś w naszym imieniu opanuje miasto wcześniej, tym samym zapobiegając niepotrzebnym stratom wśród cywilów.

Urwała, odchyliła się na oparcie fotela i splotła dłonie na podolku.

– Przedstawiłam ci tylko ogólny zarys. Jeśli twoi przyjaciele okażą zainteresowanie naszym planem, wyposażę cię w szczegóły. Możesz mi jednak zaufać: poświęciliśmy tej sprawie kilka lat naszego życia i nie zamierzamy ponieść porażki. Zwycięzimy, mistrzu Clyntahnie. Nie ma co do tego wątpliwości. – Spojrzała rozmówcy prosto w oczy. – Powiedz mi zatem, co myślisz: czy twoi przyjaciele będą zainteresowani szczegółami?

Och, z pewnością, pani! – pomyślała Merch O Obaith, przysłuchując się powyższej rozmowie dzięki SAPK-owi zainstalowanemu na gzymsie kominka u księżnej wdowy. Równocześnie sterowała skimmerem, oddalając się w stronę twierdzy Rydymak. *I wielkie dzięki za wyjawienie tych szczegółów przy okazji także nam. Ciekawam bardzo, iluż to „przyjaciół” mistrza Clyntahna zdążył do tej pory zidentyfikować sir Ahlber. Założę się, że Nahrman i Sowa dysponują już wszystkimi nazwiskami, nawet jeśli sir Ahlber wciąż jest w lesie. Tak czy owak – gdy idzie o zdrajców – każdy wytropiony to osobny sukces godny uczczenia.*

Czasami czuła wyrzuty sumienia, że tak bezwstydnie wykorzystuje SAPK-i i Sowę. Jednakże naprawdę czasami. Podobnie jak Merlin Athrawes stała się gorącą orędowniczką sprawy Sharleyan i Cayleba Ahrmahków. I tak samo jak Merlin ani myślała pozwolić, aby ktoś wymordował ludzi, których pokochała całym sercem.

Z rzadka zastanawiała się, czy Nimue Alban zawsze była taka bezpośrednia i czy ona sama nie zdawała sobie z tego sprawy z powodu zbyt wielkiego zaaferowania sprawą konfliktu z Gbaba i nierówną wojną. A może to właśnie ta wojna – i świadomość, jak się skończy wbrew wszelkim wysiłkom z jej strony – uczyniła Nimue równie bezpośrednią?

W każdym razie księżną wdowę czekało parę niemiłych

niespodzianek. Pierwszą z nich miał się okazać pułkownik Brekyn Ainsail, ów przyjaciel, który obiecał jej z dobroci serca (oraz w imię przyjaźni ze straconym księciem) kilkaset sztuk mahndraynów. Tak się bowiem składało, że Ainsail był raczej najemnikiem z natury i że marki sypnięte przez księcia Skalistego Wybrzeża przemówiły doń znacznie mocniej aniżeli jakiegokolwiek odwołania do lojalności – czy to wobec pamięci przyjaciela, czy to wobec Świątyni. Jak również, że Ainsail nie miał pojęcia o duchu zmarłego księcia ze Szmaragdu i elektronicznym awatarze dawno nieżyjącej kobiety, śledzących uważnie każdą płatność, każdy sfalszowany dokument, każde lewe zamówienie i każdą skrzynię z zapakowaną bronią. Ci dwoje doskonale wiedzieli, gdzie znajduje się każda sztuka broni, skąd się wzięła i w jaki sposób. Oczywiście wyjaśnienie tego przed sądem nastęrczyłoby pewnych trudności, niemniej Merch nie wątpiła, że Ainsail dorzuci swoje trzy grosze. A kiedy już pułkownik zrozumie, jak został wplątany, z pewnością chętnie przyjmie każdą ofertę złożoną mu przez Imperium Charisu. Szybciutko wyjawi, gdzie ukrył broń, co rozwiąże sprawę tego, jakim cudem wiedzą o tym w Charisie.

To niewątpliwie zrobi niemałe wrażenie na paru osobach, dodała w myślach i uśmiechnęła się nieprzyjemnie. Szczególnie gdy grupka zdrajczyków stawi się w określonych miejscach, gdzie zamiast darmowych karabinów będzie na nich czekał pluton piechoty. A to ci dopiero!

Tak, wszystko może pójść jeszcze nie tak, przyznała sama przed sobą, kiedy w dole pokazały się Wzgórza Zachodzącego Słońca. Osobiście wolałaby wykonać ostateczny ruch, gdy już będą mieli uzbierane dość dowodów przeciwko kluczowym graczom, wszakże Sharleyan chciała to rozegrać inaczej. Merch rozumiała cesarzową i zgadzała się co do tego, że należy wytropić zdrajców w szeregach chisholmskiej arystokracji i rozprawić się z nimi raz na zawsze, zamiast wracać do tego co dekadę lub dwie. Niemniej martwiło ją, że w trakcie urzeczywistniania planu może ucierpieć zbyt wiele przypadkowych osób.

I właśnie ta obawa była powodem, dla którego tego wieczoru znalazła się tu, gdzie się znalazła.

Pogoda w Cheshyrze była tylko nieznacznie lepsza niż w księstwie Swayle, za to węgiel kosztował tutaj o wiele więcej. Czy też raczej tutejsi mieszkańcy mieli po prostu mniej środków na zbyciu, aby się w niego zaopatrzyć.

Aczkolwiek ostatnimi czasy sytuacja nieco się polepszyła. Wprawdzie nikomu nie przybyło pieniędzy, lecz lady Cheshyr zdołała sprawić, że węgiel pierwotnie przeznaczony dla parowców zakotwiczonych w Zatoce Dohlariańskiej został wysłany do zatoki Cheshyr. Może nie była specjalnie bogata, ale nie brakowało jej przyjaciół w stolicy. W efekcie jej poddani mogli nabyć węgiel w cenie dziesięciokrotnie niższej niż rynkowa. A jeśli kogoś nie było stać nawet na to, dostawał opał za darmo.

Nie bez powodu mieszkańcy Cheshyru uwielbiali Karyl Rydmakyr.

Rozumiał to sierżant Ahzbyrn Ohdwiar. Znał lady Karyl – lady K, jak zwał ją podówczas cały regiment – od prawie trzydziestu lat. Ohdwiar liczył sobie obecnie czterdzieści pięć lat, aczkolwiek nikt by mu tyle nie dał, patrząc na jego muskularną sylwetkę i imponującą sprawność fizyczną. Mężczyzna mógł się pochwalić kruczoczarnymi włosami, ciemnobrązowymi oczami, szramą na policzku i... jedną krótszą nogą. O ile ciemne włosy i oczy zawdzięczał urodzeniu, o tyle szramy i krótszej nogi nabawił się w służbie pod rozkazami Styvyna Rydmakyrą jeszcze w armii króla Sailysa. Przesłużył w armii dwadzieścia sześć lat – i dopiero pewien niefortunny wypadek w trakcie ćwiczeń sprawił, że odszedł do cywila. Przez jakiś czas nie umiał znaleźć sobie miejsca, ale w końcu osiadł w Rydymaku, gdzie przygarnęła go pod swoje skrzydła wdowa po jego dawnym dowódcy. Dostał od niej dach nad głową i pobory w zamian za „ochronę”, mimo że jako kaleka niespecjalnie nadawał się na gwardzistę.

Aczkolwiek, dodał teraz w myślach, są kaleki... i kaleki.

On sam właśnie robił dwusetną pompkę.

I zamierzał na tym poprzestać. Obniżał się gładko, z wyprężonym jak struna kręgosłupem, dotykał nosem posadzki, po czym dźwigał się znów w górę tak samo bez wysiłku jak przedtem. Mimo że utykał na jedną nogę, najbardziej ze wszystkiego lubił biegać, gdyż uważał, że to robi dobrze na serce. Jako że miał kuzynkę z Zakonu Pasquale, przed przeszło dekadą posługiwał się programem ćwiczeń opracowanym

specjalnie na jego potrzeby przez fachowca w tej dziedzinie. Oczywiście po wypadku musiał zarzucić najbardziej forsowne ćwiczenia, nigdy jednak nie pożegnał się z reżimem na dobre i nadal ćwiczył w czterech ścianach swojego lokum, podobnie jak niemało innych kalekich gwardzistów, którzy znaleźli schronienie w murach Rydymaku.

Na szczęście – mimo że w twierdzy panowały wciąż przeciągi – istniała też wewnętrzna instalacja hydrauliczna, dzięki której nawet w srogą chisholmską zimę można było korzystać ze wspólnej łaźni, gdzie zawsze panował miły gorąc. Przyczyna takiego stanu rzeczy była prozaiczna: w przeciwnym razie łaźnia co roku zamarzałaby na co najmniej cztery miesiące. A tak, dzięki napływowi węgla z Glacierheart, można w niej było zażywać bezpiecznie kąpeli.

Sierżant skończył ćwiczyć i wstał. Odczekał, aż uspokoje mu się oddech, a ciało ochłodzi z wysiłku, aczkolwiek już marzyła mu się wizyta w ciepłej łaźni. O tak późnej porze powinien mieć łaźnię całą dla siebie, no chyba że Clairync Ohsulyvyn albo Dynnys Mykgylykudi, których znał od dwudziestu lat, także postanowią z niej skorzystać. W porównaniu z nimi Zhaksyn Ohraily był żołnierzem z mlekiem pod wąsem – miał zaledwie trzydzieści osiem lat. Właśnie dlatego pełnił nocną straż przed drzwiami komnaty lady K, podczas gdy jego starsi wiekiem towarzysze broni wylegiwali się w miękkich łóżkach.

Ohdwiar zaśmiał się cicho i otworzył drzwi sypialni prowadzące do niewiele większego saloniku. Zamierzał skorzystać z ręcznika, który zostawił na oparciu krzesła przed rozpoczęciem wieczornej gimnastyki, jednakże...

– Tego szukacie, sierżancie?

Ohdwiar zamarł, usłyszawszy nieoczekiwane pytanie zadane sopranem. Następnie przekroczył próg saloniku i wyciągnął rękę, aby odebrać ręcznik od równie nieoczekiwanego gościa. Posłał kobiecie pełne dezaprobaty spojrzenie, ona jednak uśmiechnęła się tylko jak chochlik, a jej niebieskie oczy – ciemniejsze nawet od oczu Dynnysa Mykgylykudiego – zalśniły kpiarsko.

– Nie chciałbym, aby to zabrzmiała jak skarga – powiedział sierżant nieco zbyt ostrym tonem – ale nie bez powodu mieszkania mają drzwi. Zamykane na klucz, skoro już o tym mowa.

– To oczywiste, Ahzbyrnie. W przeciwnym razie kiedy bym używała

wytrychu?

Ohdwiar westchnął. Wiedział, że określenie wieku *seijina* jest praktycznie niemożliwe, a jednak w tym wypadku miał nieodparte wrażenie, że Merch O'Obaith jest niezwykle młodym przedstawicielem tej kasty. W swej karierze podoficera naoglądał się bowiem wyszczekanych gówniarzy i umiał kogoś takiego rozpoznać na odległość.

Gdy się nad tym dobrze zastanowił, musiał przyznać sam przed sobą, że przez wiele lat z rzędu spoglądał na takiego wyszczekanego gówniarza, patrząc we własne lustro.

– Przypuszczam, że masz rację – wyartykułował starannie, zamiast wydać z siebie jeden z dźwięków, który pchał mu się na usta od dłuższej chwili. Później sięgnął rękami do głowy i wytarł do sucha spoczone, a także niestety siwiejące i wypadające włosy. – Czy mam rozumieć, że złożyłaś mi wizytę wyłącznie celem poćwiczenia, jak radzisz sobie z wytrychem?

– Nie cieszysz się na mój widok? – zapytała *seijinka*, nadając swemu głosowi urażone brzmienie. Przy tym chyba nawet zadrżała jej dolna warga.

– Ależ cieszę się. Jak wyverna z wiosny – zapewnił ją w odpowiedzi.

– No, teraz lepiej – wyrzuciła z siebie z ulgą, która go doprowadziła do śmiechu.

Ohdwiara zrekrutował kompan *seijinki*, nie kto inny jak *seijin* Cennady. To samo było prawdą w wypadku pozostałych gwardzistów przybyłych do zatoki Cheshyr. Wszakże osobą do kontaktów pozostała ona, Merch. Kontaktowali się wyłącznie z nią, będąc na służbie ich cesarskich mości. Ohdwiar nie miał wątpliwości co do tego, że Merch jest diabłem wcielonym. W gruncie rzeczy to samo myślał o wszystkich innych *seijinach*, jacy kiedykolwiek chodzili po Schronieniu. Zarazem jednak Merch przypominała mu jego dawno zmarłą żonę. Nie pod względem fizycznym – Mahrglys była bowiem wysoką kobietą, przewyższała *seijinkę* Merch o dobre pięć cali, mimo że ta bynajmniej nie była karlicą, a do tego miała złociste włosy i szare oczy. Co do charakteru wszakże... Obydwie były do siebie tak podobne, że często przyprawiało to Ohdwiara o cierpienie.

– Dosyć tych żartów, moja pani – powiedział, używając sformułowania, które jak wiedział, działało jej na nerwy, aczkolwiek nie

tylko z tego powodu. W końcu była *seijinką* czy nią nie była? – Domyślałam się, że chodzi o coś więcej niż zwykła wizyta towarzyska?

– Owszem – potwierdziła, siadając na jego stole ze skrzyżowanymi nogami. Obserwował to z niejakim zaniepokojeniem, ponieważ *seijinka* Merch w żadnym razie nie zaliczała się do kobiet lekkich jak piórko. –

Tak naprawdę przybyłam w odwiedziny do lady Karyl. Mam dla niej kilka wiadomości od jej wysokości, a jedną nawet od hrabiego Białej Skały. Pomyślałam sobie jednak, że skoro już tu jestem, sprawdzę, co u ciebie i pozostałych szarych jaszczurodrapów.

Ohdwiar prychnął. Nie miał pojęcia, który z *seijinów* ochrzcił jego i innych gwardzistów tym mianem, lecz w głębi ducha aprobował to przezwisko. Coś takiego stanowiło zawołany komplement pod adresem starego wojaka.

– Niewiele się zmieniło od twojej ostatniej wizyty – powiedział po chwili milczenia. – Wypatrujemy sobie oczy, odkąd dostaliśmy od ciebie tamtą wiadomość. – Skrzywił się i pokręcił głową. – Księżę Skalistego Wybrzeża istotnie wydaje się mało pojętny.

– Cóż, szpiegów mu nie brakuje – zauważyła *seijinka* Merch. – Prędzej czy później znów spróbuje któregoś z nich podstawić lady Karyl. Bo przecież – uśmiechnęła się do niego szeroko – nie od dziś wiadomo, że lady Karyl ma miękkie serce i z radością przygarnia przybłądy i szare jaszczurodrapy.

Ohdwiar prychnął ponownie, tym razem głośniej.

– Ile wysiłku kosztowało cię zniechęcenie ostatniej kandydatki? – zapytała *seijinka* jakby nigdy nic.

– Wcale nie tak dużo – odparł, odpowiadając grymasem wyszczerzonych zębów. – Zdarzyła się dziwna rzecz. Kiedy lady K przeprowadzała rozmowę z kandydatką, pojawiła się Zhorzhyna z informacją, że z kuchni zniknęła srebrna solniczka... właśnie wtedy, gdy kandydatka czekała na to, by stanąć przed lady K. Rychło wyszło na jaw, że solniczka znajduje się w torebce kobiety. Która nie miała pojęcia, jak ten przedmiot się tam znalazł.

– Och, ale z ciebie szczwany lis, Ahzbyrnie! To mi się podoba!

– Cóż, może i ta dziewczynina była przebrzydłym szpiegiem, ale jakoś ani ja, ani moi chłopcy nie mieliśmy ochoty przetrącać jej kolan. Takie wyjście okazało się najlepsze dla wszystkich. Poza tym często nam

powtarzasz, żebyśmy się nie wychylali i trzymali głowy nisko dla niepoznaki. Trudno by było na to liczyć, gdybyśmy co pięciodzień zrzucali jakąś kobiecinę z blanek.

– Hmm, to prawda – przyznała z powagą *seijinka*. Jednakże jej błękitne oczy błyszczały. Lubiła sierżanta Ohdwiara. Przypominał jej pewnego sierżanta wygę jeszcze z Ziemi, którego знаła przed tysiącem lat. – No dobrze... Nie tylko chciałam się upewnić, czy aby nie zrzucasz z blanek nieuczciwych kandydatek na pokojówki. Nie tylko chciałam napić się herbaty w miłym towarzystwie lady K. Chodzi mi po głowie coś jeszcze...

– Ciekawe co – rzekł ostrożnie Ohdwiar.

– Mam nadzieję, że znalazłeś tę kryjówkę, o której rozmawialiśmy ostatnio, bo już za dwa pięciodnie w zatoce Cheshyr pojawi się łódź rybacka. Przywiezie ona tylko jednego człowieka, mężczyznę nazwiskiem Dagyr Cudd, który będzie potrzebował pomocy w ściągnięciu swego połowu na brzeg.

– Cóż to będzie za połów, jeśli wolno mi spytać?

– Och, tylko kilka skrzyń z karabinami. I parę z amunicją. Tego typu rzeczy. – *Seijinka* wykonała lekceważący ruch ręką. – A, byłabym zapomniała. Dynnys powinien być uszczęśliwiony. Jeśli mnie pamięć nie myli, na pokładzie powinny się znaleźć także moździerze. – Posłała sierżantowi anielski uśmiech. – Mam nadzieję, że twoi chłopcy zaopiekują się tymi zabaweczkami jak należy.

– Czy odszyfrowałeś już list, wasza dostojność? – zapytał Sedryk Mahrtynsyn.

– Właśnie kończę, ojciec – odparł Zhasyn Seafarer, siedzący przed rozpalonym kominkiem. Poruszył plikiem kartek trzymany w ręku, aby padło na nie światło lampy, po czym zagłębił się w lekturze na dobre kilka minut. W końcu oderwał wzrok od papieru i uniósł uśmiechnięte oczy. – Naprawdę nie jestem w stanie wyrazić wdzięczności, jaką czuję za to, że zgodziłeś się być naszym posłańcem, ojciec – powiedział ciepłym tonem. – Rebkah prosi mnie, abym cię zapewnił, że jest ci równie wdzięczna jak ja. Oczywiście oboje zdajemy sobie sprawę z ryzyka, jakie

ci grozi.

– Z całym szacunkiem, wasza dostojność, ale to ryzyko ponoszę nie tylko dla was – zauważył niższy rangą duchowny z krzywym uśmiechem. – Rzecz jasna czuję się zaszczycony, że mogę wam obojgu służyć, ale nie jestem pewien, czybym ryzykował wyłącznie dla doczesnej nagrody.

– Święte słowa, ojcze, święte słowa – potaknął z prostotą książę Skalistego Wybrzeża.

– Pozwolę sobie zapytać, czy list przynosi jakieś dobre wieści...

Przez wzgląd na własne bezpieczeństwo Mahrtynsyn nigdy nie znał treści listów, które prznosił w obie strony. Jeśli o niego chodziło, była to zwykła korespondencja między kuzynostwem, dla którego miał szczęście pracować. Tak brzmiała jego oficjalna wersja – i faktycznie: dopóki nie znał treści listów, nie groziło mu, że się zdradzi w razie przesłuchania.

– O tak, i to niemało! Obawiam się jednak, że większość z nich zatrzymam dla siebie, ojcze. Bez pozwolenia księżnej nie mogę ich ot tak ujawnić, niemniej wolno mi powiedzieć, że hrabia Świętego Drzewa nareszcie przestał się wahać.

– To cudowna wiadomość, wasza dostojność! – wykrzyknął Mahrtynsyn.

Schueleryta od dawna zastanawiał się, co ostatecznie postanowi sir Bryndyn Crawfyrd, który miał zaledwie trzydzieści kilka lat i nie dał się jak na razie poznać jako aktywny oponent Imperium Charisu. Zarazem też nie był specjalnym zwolennikiem Świątyni. Mimo wszystko niepokoiły go zachodzące zmiany, a najpewniej ostatnią kroplą było to, że miał zostać szwagrem obecnego hrabiego Swayle. Gdyby wraz ze swym księstwem przyłączył się do spisku, wschodnia granica hrabstwa Swayle byłaby chroniona, a do tego terytorialny zasięg powiększyłby się o kolejne trzysta mil w kierunku Cherayth. Co zaś jeszcze ważniejsze, hrabstwo Saint Howan zostałoby otoczone i dostałoby się między hrabstwa Świętego Drzewa i Swayle na północy oraz księstwo Czarnego Konia na zachodzie, dzięki czemu mogliby w pełni polegać na sir Dynzaylu Hyntynie, który jako hrabia Saint Howan był winien lojalność Sharleyan Ahrmahk. Było nie było, to on pełnił funkcję skarbnika Korony.

– Tak, to istotnie dobra wiadomość – przyznał książę Skalistego

Szczytu. – Ale jest też lepsza...

– Lepsza, wasza dostojność? – Wzrok Mahrtynsyna zajaśniał.

Widząc to, księżę się uśmiechnął.

– Po pierwsze, pod twoją nieobecność zorganizowałem polowanie na śnieżne jaszczury. Wśród uczestników znalazł się księżę Latarni, z którym przeprowadziłem dłuższą rozmowę w jednej z chatowni.

– Czyżby księżę zgodził się do nas przystąpić, wasza dostojność? – zapytał podekscytowany Mahrtynsyn.

– Niezupełnie. Przynajmniej na razie. To ostrożny człowiek, jak wiesz. Podejrzewam, że już wcześniej był zaangażowany w pewną próbę okiełznania zapędów pary cesarskiej, choć nikt oczywiście niczego mu nie udowodni. Nie dziwi mnie więc, że nie rzucił się nam prosto w ramiona.

Mahrtynsyn skinął głową. Nazwanie sir Bahnyvyła Kyvlokyňa „ostrożnym człowiekiem” było poważnym niedomówieniem. Kyvlokyń liczył sobie czterdzieści kilka lat i zdecydowanie nie dał się związać żadnym regułem. Nieco go martwiła erozja przywilejów arystokratycznych, aczkolwiek był skłonny się pogodzić z nieuchronnymi zmianami, pod warunkiem że pozostanie na szczycie drabiny społecznej.

– Nie jestem pewien, czy uda nam się zyskać jego poparcie, lecz wiem, że możemy przynajmniej liczyć na brak przeszkód z jego strony, gdy w końcu wykonamy swój ruch. Wierzę, że w określonych, sprzyjających okolicznościach zrobi dla nas nawet więcej. Pozostaje w kontakcie z księżną Swayle oraz z księciem Czarnego Konia, a także ze mną, przy czym nie zdradza się z tym faktem przed Zhustynem ani Stoneheartem.

– Wasza dostojność! – zakrzyknął Mahrtynsyn, lecz księżę Skalistego Wybrzeża zbył go machnięciem ręki.

– Nikt z nas nie puścił pary z ust w obecności niewłaściwej osoby, ojcze – zapewnił. – Sir Bahnyvyl nie ma niczego na piśmie. Nawet gdyby chciał nas zdradzić, nie dysponuje żadnymi dowodami, a zwykle plotki nigdy nie interesowały możnych tego królestwa, nawet za czasów Sailysa i Sharleyan. Poza tym, choć jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy, przyjdzie taka chwila, gdy sam poczuje, iż powinien zbratać się z nami.

– Dlaczegoż to?

– Zamieniłem parę słów z księciem Serca Góry. Ponieważ sparzył się w przeszłości już kilkakrotnie, woli dmuchać na zimne tym razem, zwłaszcza że częścią tej układanki jest ten drań Cayleb. Słusznie wytknął nam, że nawet jeśli odniesiemy sukces, to Sharleyan zawsze może pożyczyć wojsko... albo marynarkę wojenną... od męża i przypuścić na nas kolejny atak. Naturalnie, zakładając, że tryumf będzie nasz, przeorganizujemy naszą armię tak, aby charisjańscy żołnierze przeżyli niemłą niespodziankę. Co jednak ważniejsze... przynajmniej moim zdaniem... ksiązę Serca Góry jest przekonany, że ksiązę Czarnego Dna jest już po naszej stronie.

Mahrtynsyn pokiwał wolno głową. Sir Vyrnyn Atwatyr, ksiązę Czarnego Dna, był arystokratą ze starej szkoły. Jak dotąd unikał wszelkich spisków wymierzonych w nowych władców, gdyż miał dla nich wielkie poważanie i nie chciał być świadkiem, jak ich armia maszeruje po terytorium Chisholmu. Ów siedemdziesięcioośmiolatek był zarazem gorliwym zwolennikiem lojalistów Świątyni, o czym już nie każdy wiedział. Co więcej, zarówno jego dwaj synowie, jak i jego jedyny wnuk opuścili ten padół przed nim, przez co jego dziedzicem został bratanek w bocznej linii, za którym nawiasem mówiąc, ksiązę nie przepadał. Cóż z tego jednak, skoro zdrowie przestało mu dopisywać ostatnimi czasy. Poczul na karku tchnienie śmierci, co z kolei skłoniło go do zawarcia przymierza ze Stwórcą. Niewątpliwie nie miał on zbyt wiele do stracenia w świecie doczesnym. Tak więc zasugerowałem księciu Czarnej Góry, że ksiązę Latarni jest nam oddany bardziej od niego na chwilę obecną. Obaj to starzy wyjadacze; żaden nie pójdzie do drugiego dopytywać, jak naprawdę przedstawia się sytuacja. Dzięki temu obydwaj są teraz przekonani, że ten drugi udzielił nam swego pełnego poparcia. To oczywiście jest dla nich powodem do zmartwienia. Ksiązę Latarni ma na głowie księżną Swayle i hrabiego Świętego Drzewa, gdyby do tego doszedł jeszcze ksiązę Serca Góry i ksiązę Czarnego Dna, byłby praktycznie otoczony. Podobnie sprawa skończy się dla księcia Latarni w odwrotnym przypadku: na południowym wschodzie znajdzie się ksiązę Czarnego Dna, na południu ksiązę Cheshyru, a ja po drugiej stronie Lake City. Niegdyś liczyłem na wsparcie władcy tej ostatniej domeny, ale to było, zanim stary Symyn wyzionął ducha w zeszłym roku. Niestety odkąd Paitryk wbił nam nóż w plecy w Tellesbergu i zaczął się podlizywać Caylebowi i Sharleyan, sytuacja zmieniła się, i to znacznie.

Być może myślę się co do Paitryka, który zdążył już oficjalnie odziedziczyć tytuł i musi stawiać czoło tyranii Sharleyan, nie zamierzam jednak zdradzić się przed nim ani słowem. Z drugiej strony, dysponuje ledwie jedną trzecią mojej populacji i ma może trzy dziesiątki gwardzistów, a to dzięki obostrzeniom narzuconym jeszcze przez Sailysa. Ja z kolei mogę śmiało liczyć na tysięczną gwardię. Jeśli zechcę, skoszę jego księstwo jak sierp zboże, z czego zarówno on, jak i księżę Serca Góry zdaje sobie sprawę.

Mahrtynsyn nabrał podziwu dla księcia Skalistego Wybrzeża. Nikt nie mógł go wziąć przez przypadek za geniusza, niemniej jasne było, że wie, co mówi. Duchowny był pod wrażeniem skupienia, z jakim arystokrata podszedł do sprawy, jak również tego, że podejmując działania, popełnił tak mało błędów.

– Kolejna dobra wiadomość od księżnej Swayle jest taka, że nawiązała ona kontakt z Elahnah Waistyn.

– Czy to aby roztropne, wasza dostojność?

Mahrtynsyn zastanowił się, czy przypadkiem nie nazbyt pochopnie pochwalił księcia w duchu. Elahnah Waistyn, wdowa po księciu Doliny Halbhook, była powinowatą cesarzowej Sharleyan, a konkretnie jej ciotką po kądzieli. Zarazem była też siostrą księcia Eastshare. Jej mąż, księżę Doliny Halbhook, został potępiony jako zdrajca już po śmierci, tyle więc miały ze sobą wspólnego te dwie kobiety, Elahnah Waistyn i Rebkah Rahskail. Nie dało się również ukryć, że ich mężowie przez długie lata pozostawali bliskimi przyjaciółmi. Mimo wszystko nawiązanie kontaktu z uwikłaną w trudne relacje i zależności księżną wdową nie było zdaniem duchownego najlepszym pomysłem.

– Nie musisz się o nic martwić! To Elahnah skontaktowała się z Rebkah, nie odwrotnie! Ta druga, jako że nie zamieniły ze sobą słowa od egzekucji Barkaha, była raczej zdziwiona zaproszeniem do siedziby księcia Doliny Halbhook. Na miejscu nie puściła pary z ust na temat jakiegokolwiek spisku. Niemniej Elahnah w dość jasnych słowach wyraziła swoje poparcie dla idei przywrócenia władzy Kościoła Matki tutaj, w Chisholmie. Z pewnością wciąż opłakuje Byrtryma, a szczególnie to, w jaki sposób umarł. Nawet to jednak nie zachwiało jej wiarą, dzięki czemu możemy być pewni, iż... jeśli tylko uczynimy to we właściwym momencie... powinna nam udzielić swego, choćby

pasywnego, poparcia. Zresztą Sailys przypomina Byrtryma pod więcej niż jednym względem. Jak wiesz, ojciec, podzielał przekonania Byrtryma, a po śmierci ojca praktycznie nie kontaktował się z Sharleyan. Wiem, ku czemu skłania się sercem, tak więc, nawet jeśli wygląda na to, że cały zachód sprzymierzy się z nami, nie będzie miało znaczenia, ku czemu skłania się rozumem.

Mahrtynsyn odetchnął z ulgą. Nie miał równej pewności jak księżę Skalistego Wybrzeża, że młody księżę Doliny Halbhook faktycznie sercem jest z lojalistami Świątyni, zawsze jednak istniało prawdopodobieństwo, że akurat w tej sprawie się myli. Ponieważ księżę Doliny Halbhook miał bliskie związki z parą cesarską, raczej nie wchodził w grę kontakt z nim zainicjowany przez agentów wielkiego inkwizytora. W związku z tym Mahrtynsyn miał raczej słabe rozeznanie w sytuacji. Tym chętniej nadstawiał ucha księciu Skalistego Wybrzeża, gdy ten mówił, że właściwie całe południe i cały zachód są po ich stronie. Poparcie księcia Doliny Halbhook w takim wypadku naprawdę przeważałoby szalę na ich korzyść.

Już teraz było jasne, że Ahdem Zhefry, hrabia Cross Creek, w żadnym razie nie przyłączy się do nich z własnej woli. Po pierwsze, zawsze popierał Sharleyan i Koronę, a po drugie, hrabia Białej Skały został jego szwagrem już po tym, jak wcześniej objął stanowisko głównego doradcy, gdy baron Zielonej Doliny ucierpiał w ataku skrytobójców Zhaspahra Clyntahna! Gdyby jednak wszyscy trzej, hrabia Świętego Drzewa, księżę Latarni i księżę Doliny Halbhook, dołączyli do spisku, nie tylko hrabia Cross Creek zostałby otoczony z trzech stron przez wrogów, ale ten sam los spotkałby też wschodnią granicę księstwa Tayt.

Wygląda na to, że plan księcia Skalistego Wybrzeża naprawdę się powiedzie, pomyślał schueleryta, uśmiechając się wewnętrznie.

Czynił starania w tym kierunku od ponad dwóch lat, aczkolwiek nigdy nie wierzył w ostateczny sukces swoich wysiłków. Ale i tak był gotów dać z siebie wszystko, albowiem wierzył nie tylko w Kościół Matkę, ale też w Boga Jedynego, i uważał, że każdy człowiek powinien mieć choć jedną rzecz, za którą jest w stanie umrzeć. Sedryk Mahrtynsyn był zdecydowany oddać życie za sprawę świętej wojny. Tylko że, jako się rzekło, nie spodziewał się sukcesu.

Aż do dzisiaj.

– Wasza dostojność, jestem pod wrażeniem. Wszystko zaczyna się układać w jedną spójną całość. To z pewnością znak od Boga, że udało nam się dopiąć sprawy na ostatni guzik w tym samym momencie, gdy generał Kahlyns wysłała nowe oddziały na front.

– Naturalnie – zgodził się z duchownym ksiązę Skalistego Wybrzeża.
– Nie zapominajmy jednak, że Bóg i archaniołowie pomagają tym, którzy pomagają samym sobie. Jakąkolwiek liczbę poddanych zaangażujemy w naszą sprawę, będziemy i tak w mniejszości... przynajmniej na początku. Rozmawiałem o tym z księciem Czarnego Konia. Ustaliliśmy, że najpierw my dwaj rzucimy wyzwanie Imperium Charisu, po czym dopiero dołączą do nas pozostali. Niech to wygląda tak, jakby kaskada poparcia nastąpiła w wyniku ogłoszenia słuszných postulatów, anizeli jakbyśmy spiskowali od dawna za czyimiś plecami. Dzięki temu w ciągu około pięciodnia zdeklarujemy się wszyscy, czego efekt zadziała oczywiście na naszą korzyść.

– Rozumiem i popieram ten pomysł – potaknął Mahrtynsyn.

– Jak na razie mamy pięć postulatów – podjął ksiązę, otwierając zamykaną na klucz szufladę i wyciągając ze środka pojedynczy arkusz papieru. – Konsultowałem je już z tobą na wcześniejszym etapie, jednakże chciałbym cię zapoznać z ostateczną wersją, przynajmniej na tę chwilę.

– Oczywiście. – Mahrtynsyn odchylił się na oparcie krzesła, ukrył dłonie w rękawach sutanny i przechylił głowę, dając znak, że słucha.

– Po pierwsze – zaczął ksiązę Skalistego Wybrzeża – małżeństwo Sharleyan z Caylebem jest nieważne, gdyż zostało zawarte bezprawnie. Tradycja Chisholmu wymaga, ażeby wybór małżonka następcy bądź następczyni tronu został zaaprobowany przez izbę lordów. Tymczasem nikt się do niej nie zwrócił z żadną propozycją, ba, izba lordów została całkowicie zignorowana w tym procesie. Sharleyan jakby nigdy nie stanęła przed członkami parlamentu i ogłosiła swoją decyzję.

Milczał przez moment, marszcząc brwi.

– Po drugie... Skoro małżeństwo Sharleyan jest nieważne, tak samo nieważna jest unia między Chisholmem i Charisem. Znaczy to, że Chisholm nigdy nie wszedł w skład tworu nazywanego przez niektórych Imperium Charisu.

Zamilkł ponownie i tym razem przygryzł wargę.

– Po trzecie... Sharleyan i Cayleb nie zadowolili się bezprawnym małżeństwem i bezprawną unią, na dodatek chcieli jeszcze pozbawić chisholmską arystokrację odwiecznych przysługujących jej praw, które niegdyś spróbował nam odebrać siłą król Sailys.

Pokiwał do siebie głową, jakby dla wzmocnienia efektu własnych słów.

– Po czwarte ta niechlubna „unia” przywiodła Chisholm do wojny z Kościołem Matką, której żaden Chisholmczyk nigdy by nie poparł. Skutkiem tego poniosły śmierć tysiące poddanych Sharleyan, którzy w przeciwnym razie dalej cieszyliby się życiem w pokoju. Poza tym... nawet zakładając, że pewni hierarchowie Kościoła Matki istotnie są winni zaniedbań czy nawet zbrodni... najgorszym pomysłem z możliwych było popełnienie paru innych zbrodni w imię walki z korupcją tej instytucji. Należało bowiem zastosować normalny tryb, w którym określone osoby powinny się zwrócić z interpelacją do sądu kościelnego, jak nakazuje Pismo oraz archaniołowie.

Urwał, aby zaczerpnąć tchu.

– Po piąte wreszcie... Sharleyan i Cayleb pospołu, chcąc zyskać sojuszników dla swych niecznych celów, sięgnęli po wsparcie nie tylko mętów społecznych, nie tylko biedoty wiejskiej i miejskiej, ale nawet chłopów pańszczyźnianych, którym pierwaj zdjęli jarzmo z szyi, i kupą wystąpili przeciwko dobru królestwa jako takiego, zastępując tłumokracją... przez brak lepszego określenia... dotychczasowe panowanie arystokracji, tym samym obracając się nie tylko przeciwko wielmożom, ale także przeciwko drobnym przedsiębiorcom, sklepikarzom i rzemieślnikom, którzy u boku rolników zawsze stanowili kręgosłup Chisholmu.

Skończywszy mówić, złożył arkusz papieru z wypisanymi postulatami i podał go duchownemu.

– Jestem pewien, że wymaga to dopieszczenia pod względem językowym. Osobiście mam się za człowieka czynu, nie słowa. Ufam jednak, że ująłem wszystko dostatecznie jasno i że to będzie dobry początek. A tak między nami – odszukał wzrokiem spojrzenie Mahrtynsyna – to zaszczyt umrzeć za takie cele.

– Jeśli wasza dostojność naprawdę tak uważa – mruknął Nahrman Baytz – to mam dla waszej dostojności ładną małą wysepkę w cieśninie Hsing-wu, którą chętnie odsprzedam jako lokalizację domu wakacyjnego. Radziłbym tylko wznieść budynek, zanim wysepka się rozpuści!

W obecnej chwili Nahrman gościł w jednostce centralnej Sowy. Sztuczna inteligencja umożliwiła eks-księciu korzystanie z niej celem ustabilizowania własnej tożsamości. Odkąd oboje nawiązali tak zażyłe stosunki, Sowa przygotowała coś w rodzaju pokoju gościnnego dla wirtualnej wersji Nahrmana, dzięki czemu mogli teraz większość działań prowadzić wspólnie w hiperheurystycznym trybie.

– Zauważyłam, że ludzie na różnych etapach historii uznawali za godne śmierci różne cele – wtrąciła Sowa. – I z tego, co mi się wydaje, księżę Skalistego Wybrzeża w żadnym razie nie wypada na ich tle gorzej.

– Cóż, być może masz rację – odparł Nahrman. – Nie jestem najlepszą osobą, by to stwierdzić, skoro sam nigdy nie miałem zamiaru umierać za żaden szczytny cel.

– Z moich analiz wynika, że stało się tak tylko dlatego, iż nigdy nie stanąłeś przed taką koniecznością – rzuciła Sowa. – Aczkolwiek muszę ci przyznać jedno: gdy już w końcu musiałeś umrzeć, oddałeś życie za coś więcej niż tylko „szczytny cel”.

– Nie była to kwestia wyboru – zaznaczył Nahrman. – Raczej zwykła automatyczna reakcja.

– A czy teraz, spoglądając wstecz, postąpiłbyś inaczej? – zapytała z uśmiechem Sowa.

– Nie – odpowiedział księżę. Położył wirtualną dłoń na równie wirtualnym ramieniu Sowy i powtórzył: – Nie. Punkt dla ciebie.

– Gdy w grę wchodzi logika, zawsze jestem górą – oświadczyła Sowa. – Niestety w wypadku ludzi logika to ostatnia deska ratunku.

– Cha-cha! Żart! – przyłapał ją uszczęśliwiony Nahrman. – Oj, chyba zmieniasz się pod moim wpływem. Jeszcze trochę, a zaczniesz sypać dowcipami jak z rękawa.

– Mam nadzieję, że komandor porucznik Athrawes okaże mi wtedy miłosierdzie i zarządzi czyszczenie dysków.

Nahrmahn zaśmiał się ponownie, po czym szybko spoważniał i zajął się tym, od czego go oderwano.

W miarę jak spisek krzepł, pojawiała się coraz więcej pisemnej korespondencji. Nie było innego sposobu, aczkolwiek trzeba przyznać spiskowcom, że notatki były palone zaraz po przeczytaniu. Oczywiście SAPK-i strzelały fotki, zanim papier trafił w płomień, przez co niejedna osoba miała się zdziwić, gdy idealna replika oryginalnej wiadomości wypłyne w charakterze dowodu. Nie trzeba było nawet kopiować całości, wystarczyły fragmenty. I to tylko w sytuacji, kiedy znajdzie się racjonalny powód, dla którego taka kopia powstała i została doręczona oskarżycielowi. Znaczyło to między innymi, że spalenie kartki musiało się odbywać w obecności wyłącznie głównego zainteresowanego, a więc bez świadków.

Nahrmahn pomyślał teraz: *Jak to dobrze, że większość zdrajców woli spiskować na osobności. Dzięki temu książę Skalistego Wybrzeża i jego kompani przeżyją niemiłą niespodziankę, gdy przyjdzie pora. I niespecjalnie im pomoże tłumaczenie, że nieprawdopodobieństwem jest, abyśmy byli w posiadaniu tych dowodów, bo przecież je zniszczyli – skoro samo przyznanie się do ich zniszczenia będzie potwierdzeniem, że istniały. Zresztą już sama deklaracja, że się je zniszczyło, będzie równoznaczna z przyznaniem się do winy.*

Nahrmahn zaśmiał się pod nosem, wyobrażając sobie argumenty, jakimi zaczną się przerzucać prawnicy. Możliwe konsekwencje dla systemu prawnego Schronienia okażą się z pewnością niezwykle interesujące. Aczkolwiek oczywiście nie to będzie mieć największe znaczenie koniec końców.

Śmierć przez powieszenie poprzedzi rzetelny, uczciwy proces. Nahrmahn zatarł w duchu rękę. Jego wirtualne oblicze pociemniało, gdy zdał sobie sprawę, że rzetelny, uczciwy proces to znacznie więcej, niż swoim ofiarom gwarantowała druga strona.

Tymczasem przyszła pora, aby tajemniczy *seijinowie* spisali swoje odkrycia. Nahrmahn rozsiadł się na wirtualnym krześle i kartkując swoje notatki, zaczął się zastanawiać, czym charakterem pisma nakreślić poszczególne fragmenty.

Pomyślał przy tym, że niemalże warto było umrzeć, aby prowadzić rozgrywkę na tym poziomie.

.II.
Alkohole Mahkbytha
Plac Mylycynta
Syjon
Ziemie Świątynne

Dzwonek nad drzwiami rozbrzmiał dźwięcznie.

– Dobry wieczór. Czym mogę służyć?

Ahrloh Mahkbyth ledwie zarejestrował głos Zhaka Myllyra. W przeciwnym wypadku – gdyby Zhak nie odezwał się na powitanie klienta – natychmiast oderwałby się od swego zajęcia, które polegało na zastanawianiu się, gdzie, u licha, podziała się cała skrzynka brandy Yukwau.

Chmurnym wzrokiem zmierzył księgę inwentarzową. Nie cierpiał jej prowadzenia, ale na ogół dobrze sobie z tym radził, nie rozumiał więc zupełnie, jak to się stało, że zapodziała mu się taka duża – i cenna – rzecz. W dodatku właśnie teraz, gdy mógł być pewien, że przez charisjańskich piratów handlowych, od których roiło się w Zatoce Dohlariańskiej, raczej nie będzie w stanie uzupełnić zapasów w najbliższym czasie – przynajmniej gdy chodziło o dostawy z Zatoki Alexova. Gdyby Zhak nie był tak godnym zaufania pracownikiem, Mahkbyth byłby go podejrzewał o sprzeniewierzenie skrzynki zacnego trunku na własne potrzeby. Wszakże coś takiego nie mieściło się Mahkbythowi w głowie. Już bardziej prawdopodobne było, że Langhorne zstąpi z nieba na powierzchnię Schronienia w pełnej chwale, aniżeli że Zhak Myllyr okradnie swego mocodawcę. Poza tym ostatnimi czasy nie brakowało bodźców, które czyniły pomyłkę w inwentarzu jak najbardziej możliwą. Dlatego Mahkbyth uznał, że brandy musi gdzieś tu być, trzeba jej tylko dobrze poszukać. A kiedy już ją znajdzie, Bóg Jedyńy świadkiem, że nie pozwoli jej znów umknąć w niebyt.

– Dzień dobry – odpowiedział ktoś Zhakowi. – Macie może ulubiony gatunek *seijina* Kohdy’ego?

Nagle brandy Yu-kwau wyparowała Mahkbythowi z głowy.

Przeciągnął się znudzony, mimochodem zerkając w stronę drzwi. Ziewnął, wzruszył ramionami, a następnie wytarł koniuszek pióra z atramentu i odstawił je na stojak, by w końcu wyjść z biurka, wyprostować się i niby od niechcienia spojrzeć na klienta.

Mężczyzna był dobrze zbudowany i elegancko odziany, miał szare oczy i wysokie czoło oraz jasny zarost z imponującym wąsem. W tym momencie podniósł wzrok, spojrzął na Mahkbytha, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z jego obecności, po czym zaraz wrócił spojrzeniem do ekspedienta.

– W rzeczy samej, mamy – potwierdził Zhak Myllyr. – Jako jeden z niewielu sklepów w Syjonie – dodał. – Obawiam się, że dla większości koneserów ma torfowy posmak, aczkolwiek muszę przyznać, że sam przepadam za tym gatunkiem.

– Tak samo jak ja – wtrącił Mahkbyth. Zrobił parę kroków i wyciągnął rękę do klienta. – Dobrze pana znów widzieć. Nie miałem pojęcia, że gustuje pan w ulubionym gatunku *seijina* Kohdy’ego.

– Witam, witam... – Murphai uśmiechnął się ciepło, wymieniając uścisk przedramienia z właścicielem. – Właśnie niedawno miałem okazję jej skosztować u przyjaciółki. Wyrażała się o tym trunku w samych superlatywach, a mnie samemu smak bardzo przypadł do gustu. To prawda, że ma wyczuwalną nutę torfu, niemniej mnie to akurat pasuje.

– Rozumiem. – Mahkbyth zerknął na ekspedienta i skrzywił się. – Zhak, ja się zajmę panem.

– Ale... – zaczął Myllyr i natychmiast urwał, widząc, że jego mocodawca zdecydowanie kręci głową.

– Ani słowa. Zresztą czy to nie pora obiadu? Potrzebna mi przerwa. Od tego ślęczenia nad księgami dostaje już zeza.

– Skoro tak pan mówi...

– Tak. Tak właśnie mówię. – Mahkbyth sięgnął do kieszeni spodni, wyjął stamtąd monetę będącą równowartością jednej dziesiątej marki i rzucił ją ekspedientowi. – Skoro tak ci mnie żal, możesz mi przynieść w ramach rekompensaty rybę z frytkami od Zhantry’ego. Z dodatkową porcją octu i co najmniej dwoma dużymi piklami. No dalej, jazda stąd!

Myllyr złapał monetę w powietrzu, wyszczerzył się, kiwnął głową

klientowi na pożegnanie i sięgnął po płaszcz.

– Dobrego dnia, panowie!

– Dziękujemy. – Murphai odpowiedział za nich obu.

Myllyr narzucił na siebie płaszcz, okręcił szyję szalikiem i wyszedł za drzwi. Wprawdzie pogoda na zewnątrz była w miarę znośna i nie potrzebował właściwie ani płaszcza, ani szalika – jednakże tylko największy optymista (i głupiec) mógł mieć w Syjonie nadzieję, że dobra aura utrzyma się dłużej niż godzinę czy dwie. Maj się dopiero zaczynał, a choć słońce świeciło jasno w tym momencie, to się mogło w każdej chwili zmienić. Tam gdzie promienie słońca docierały, śnieg, który napadał w nocy, zdążył się stopić, aczkolwiek tu i ówdzie pozostały zlodowaciałe miejsca – te zaś zdeptały skutecznie dziesiątki par stóp mieszkańców. Tylko w największym cieniu śnieg sięgał wciąż do połowy łydki. No i tam, gdzie go zgarnięto z chodników, leżały wielkie sterty. Cokolwiek obiecywało jasne słońce, trzeba się było liczyć z tym, że lód na Jeziorze Pei potrzyma jeszcze długo i że czy to znad jeziora, czy to znad Zatoki Świątynnej zachodni wiatr przyniesie pogorszenie pogody.

Murphai odczekał, aż drzwi zamkną się za ekspedientem, po czym zwrócił się do Mahkbytha.

– Dobrze cię znów widzieć, *seijinie* – powiedział do niego właściciel sklepu, używając całkiem innego głosu niż przedtem. – Przybywasz prosto od Arbalesty?

– Nie – odparł równie poważnie Murphai. – Aczkolwiek przynoszę od niej najświeższe wieści. I przepraszam, że nie pojawiłem się wcześniej. Oboje z Arbalestą uznaliśmy, że najlepiej będzie ograniczyć kontakty z tobą, dopóki się nie upewnimy, iż nikt cię nie obserwuje.

– Zatem teraz już macie tę pewność? – Mahkbyth przechylił głowę, uśmiechając się kpiąco.

Murphai prychnął cicho w odpowiedzi.

– Może i jestem *sejinem*, Ahrlohu – powiedział, używając imienia Mahkbytha zamiast jego pseudonimu stosowanego w obrębie Steru, brzmiącego: Barcor – ale na pewno nie jestem wszystkowiedzący. Na szczęście mam pomocników, którzy poinformowali mnie, iż nic nie wskazuje na to, abyś był śledzony. Bo po prawdzie sam jesteś za dużą rybą, aby wróg mógł mieć nadzieję, że doprowadzisz go do kogoś jeszcze ważniejszego. Gdyby Rayno czy Wynchystair mieli pojęcie, kim jesteś

faktycznie, kazaliby cię aresztować zaraz po powrocie z tej twojej „podróży służbowej”. Która, muszę przyznać, wymagała od ciebie nie lada odwagi.

– Być może. – Mahkbyth wzruszył ramionami. – Za to na pewno był to jedyny sposób, aby nabrać całkowitej pewności. Zresztą pogodziłem się z archaniołami tego samego dnia, którego Arbalesta mnie zwerbowała. Och – dodał, widząc spojrzenie gościa – bynajmniej nie strugam gieroja. Nie uśmiecha mi się zameldować w niebie w najbliższym czasie. Uznałem jednak, że sprawa warta jest ryzyka, i jak na razie nie zmieniłem zdania na ten temat. Aczkolwiek zgadzam się, że Kara Schuelera to coś, czego wolałbym uniknąć.

Gdy mówił te słowa, wyraz twarzy miał nie tyle poważny, ile zacięty i zimny jak lód. Poruszył jedną ręką, a wtedy złoty pierścień z opalem, który nosił na palcu, rozbłysnął w promieniu światła.

– Nie mam pojęcia, jak ci dranie dotarli do Bransolety i Kastanieta za ich życia, ale przekonają się, że kiedy i mnie spróbują dorwać, zdążę się otruć, zanim cokolwiek mi zrobią.

– Osobiście wolałbym, aby nie było takiej konieczności... jeśli pozwolisz, że to powiem – odezwał się Murphai. – Pomijając już fakt, że Arbalesta darzy cię wielką sympatią, zwyczajnie nie chcemy cię stracić. Szczególnie po ciosie, którego doświadczyliśmy ostatnio.

– Rozpuściłem wici, jak tylko usłyszałem o ich aresztowaniu – poinformował Mahkbyth. – Nie miałem jednak czasu sprawdzić, czy wszyscy dostali wiadomość. Poza tym... jeśli część z nas faktycznie znajduje się pod obserwacją... lepiej nie zwracać na siebie uwagi wzajemnymi kontaktami.

– Zgoda. Na pocieszenie powiem ci tyle, że dwie osoby z komórki Bransolety znalazły bezpieczne schronienie w Tansharze. Wydaje mi się – w rzeczywistości wiedział to na pewno – że druga para także jest w drodze. W ich wypadku dystans był dłuższy, a i pogoda nie dopisała.

Mahkbyth przymknął oczy i zgarbił ramiona.

– Żyją tylko dzięki tobie, Ahrlohu. – *Seijin* położył dłoń na ramieniu mężczyzny.

– Oraz dzięki samozaparciu Bransolety i Kastanieta – dopowiedział Mahkbyth głosem szorstkim ze wzruszenia i ze łzami w oczach. – Niech archaniołowie mają pieczę nad ich duszami.

– Amen. – Mimo że miał własne zdanie na temat „archaniołów”, zakończył tę krótką modlitwę całkiem szczerze.

Przez moment panowała cisza, którą pierwszy przerwał *seijin*. Odchrząknął i rzekł:

– Doszły nas dość niesamowite pogłoski na temat tego, co tu się wydarzyło po ich aresztowaniu. Jesteśmy skłonni założyć, że znaczna część nie mija się z prawdą, lecz co do tego, ile dokładnie...

– Jeśli słyszeliście to samo co ja, w pełni się zgadzam, że pogłoski są niesamowite. I to jeszcze jak! – wpadł mu w słowo Mahkbyth.

– Zatem wymienimy się tym, co wiemy – zaproponował Murphai.

– No więc na początek...

Murphai ocenił, że relacja Mahkbytha jest bardzo niedokładna. Czy też niekompletna. To znaczy Mahkbyth był świadom najważniejszych faktów, jednakże zagadką dla niego pozostawało, jak zginęły wszystkie osoby znajdujące się w murach więzienia Świętego Thyrmyna. Murphai wysłuchał wszystkiego z uwagą, kiwając od czasu do czasu głową, po czym – gdy Mahkbyth skończył mówić – zaczerpnął głęboko tchu.

– Czyli słyszeliśmy mniej więcej to samo – skwitował. – Chcę cię tylko zapewnić, że to nie Diallydd Mab ani żaden inny *seijin* przemaszerował przez to więzienie, niosąc sprawiedliwość. Rzecz nie w tym, że nie chcielibyśmy tego zrobić, tylko... rozumiesz... Jeżeli nie mamy rzucić otwartego wyzwania Inkwizycji, tu, w Syjonie, nie możemy działać aż tak aktywnie. Wiedz także, iż to nie Grimaldi zaatakował Inkwizycję w imię Shan-wei. Aczkolwiek – dodał po chwili namysłu – to nie był najgorszy ruch Rayna.

– Zatem twierdzisz, że to on stoi za tą konkretną historią?

– Pewności nie mam, ale coś mi podpowiada, że tak. Zważ, że Clyntahn cechuje się znacznie mniejszą subtelnością. – Murphai pogładził się po brodzie w zamyśleniu. – W pierwszym odruchu będą wszystkiemu zaprzeczać. W drugim spróbują wzmocnić kręgosłup swoich popleczników, twierdząc, że to Grimaldi zaatakował Kościół Matkę. Co oczywiste, taka wiadomość rozpowszechniana wyłącznie w gronie Inkwizycji wycieknie na zewnątrz, choć będzie ściśle poufna.

Inkwizytorzy to tylko ludzie, którzy kłapią jadaczką tak samo jak każdy inny człowiek, szczególnie gdy historia jest tak smakowita. Na koniec zaś, co do tego jestem więcej niż przekonany... gdy już wyciekną plotki o Grimaldim... wierni usłyszą, że Inkwizycja wstrzymała się z ujawnieniem prawdy na czas prowadzenia śledztwa. Bo któż jest bardziej uprawniony do przeprowadzenia dochodzenia w sprawie potencjalnego udziału siły nieczystej, jak nie strażnicy Pisma?

– Wierzę, że masz rację, ale czy twoim zdaniem to się uda? – Mahkbyth pozostał sceptyczny.

– Mieszkasz w Syjonie dłużej niż ja – zauważył Murphai. – Jak twoim zdaniem zareaguje przeciętny mieszkaniec?

Przez kilka sekund Mahkbyth marszczył tylko czoło. Później mars przeszedł w brzydki grymas.

– No tak – westchnął. – Ci, którzy już mają powody niedowierzać Clyntahnowi, zignorują ujawnione informacje. Choć jest ich z dnia na dzień coraz więcej, nadal pozostają w mniejszości. Natomiast ci, którzy wierzą we wszystko, co Clyntahn mówi, zaczną się domagać jakiegoś potwierdzenia, szczególnie że plakaty będą głosić zgoła co innego. – Obrzucił uważnym wzrokiem *seijina*. – W sumie ciekawe, dlaczego plakaty jeszcze nie podały żadnego wytłumaczenia ostatnich wydarzeń. Nie wiesz tego przypadkiem?

– Ja? – Murphai odpowiedział niewinnym spojrzeniem. – Nie było mnie w Syjonie od naszego ostatniego spotkania!

– To żadna odpowiedź – stwierdził Mahkbyth. – Aczkolwiek domyślam się, że innej nie dostanę.

Murphai uśmiechnął się do niego.

– Zapewne nie. W każdym razie na miejscu tych od plakatów wstrzymałbym się z propagowaniem prawdy do chwili, aż sam bym wiedział, co jest prawdą, a co nią nie jest. Podejrzewam bowiem, że te plakaty odniosły taki sukces właśnie dlatego, iż informacje w nich zamieszczane zawsze były prawdziwe. – *Seijin* wzruszył ramionami. –

W wypadku równie niesamowitej sprawy jak ta ludzie odpowiedzialni za rozwieszanie plakatów powinni dwa razy się upewnić, zanim rozpowszechnią jakąś informację. No i powinni też zastanowić się, co z daną informacją uczyni Inkwizycja. Wyobrażam też sobie, chociaż pewności nie mam, że plakaciarze, nazwijmy ich, mają nie lada uciechę

z tego, że Clyntahn i Rayno obgryzają paznokcie, zamartwiając się, co i kiedy trafi do publicznej informacji. Powiedziałbym nawet, że ci dwaj cierpią ostatecznie na murowaną bezsenność!

Mahkbyth parsknął śmiechem na potwierdzenie. Bardzo szybko jednak opanował się i rzucił okiem przez okno na ulicę. Nawet w maju dni były krótkie w Syjonie, także wtedy, gdy pogoda wyjątkowo sprzyjała. Nic dziwnego więc, że zachodnia strona placu leżała spowita półmrokiem.

– Niedługo wróci Zhak z moim obiadem – powiedział. – Niewykluczone, że donosi na mnie Inkwizycji, ale przede wszystkim jest z niego solidny pracownik. Może więc spotkamy się późniejszym wieczorem u mnie w domu, gdzie dokończymy tę pogawędkę?

– Zobaczą, co da się zrobić – odparł Murphai. Swobodnym ruchem zajął miejsce u boku Mahkbytha przy oknie, spodziewając się w każdej chwili powrotu ekspedienta. – Na razie jednak wiedz jedno: Arbalesta nie przysłała mnie tu wyłącznie po to, abym sprawdził, co u ciebie. Ma dla ciebie zadanie.

– Naprawdę? – W niebieskich oczach Mahkbytha zalśnił błysk. – Chodzi o Rayna? Nareszcie mogę mu się dobrać do dupy?

– Nie, nie chodzi o Rayna. – Murphai pokręcił ze smutkiem głową.

– Z całym szacunkiem, ale Arbalesta musi nam pozwolić się nim wreszcie zająć – powiedział Mahkbyth podekscytowanym tonem. – Nic innego nie dotknie Clyntahna bardziej... jeśli nie liczyć zabicia samego tego skurczybyka. Poza tym w ten sposób wiadomość dotarłaby do całej Inkwizycji. Być może zataili skutecznie to, co się wydarzyło w więzieniu, ale wszyscy... poczynając od najzwyklejszego laika, a skończywszy na biskupach inkwizytorach... wiedzą, że dwoje naszych zostało pojmanych. Przez coś takiego znacznie straciliśmy w oczach mieszkańców Syjonu.

– Zgadza się z tobą, lecz straty w ludziach są nieuniknione – powiedział Murphai. – Myślę, że wzięły nad tobą górę emocje. Osobiście znałeś Bransoletę i Kastanieta, a one choć nie miały pojęcia, kim jest Barcor, doskonale wiedziały, kto to taki Ahrloh Mahkbyth.

– Oczywiście, że chodzi tutaj o emocje! I to od samego początku! Gdyby było inaczej, w ogóle nie wstępowałbym do Steru. To, że jestem emocjonalny, nie przekreśla mnie jeszcze, prawda? Przekaż Arbaleście, że muszę załatwić Rayna. Po wszystkim przypnę mu do sutanny

karteczkę, że to rewanż... zemsta... za to, co uczynili naszym dwóm siostram. Ciekawe, co powie na to Inkwizycja!

– Bardzo chętnie bym się o tym przekonał – rzekł Murphai ze szczerością w głosie. – Obawiam się jednak, że Arbalesta ma rację. Na razie Rayno jest nam potrzebny na swoim stanowisku. Choć może na to nie wygląda, stanowi element moderujący w Grupie Czworka. Bóg Jedyńcy tylko wie, co by uczynił Clyntahn, gdyby go nagle zabrakło. Osobiście przewiduję, że urządziłby krwawą łaźnię. – *Seijin* zacisnął wargi w wąską kreskę. – Pod pewnymi względami nie byłoby to najgorsze rozwiązanie. Może nawet przyczyniłoby się do ostatecznego upadku Grupy Czworka. Gdyby zarządził czystki po tym, jak Pięść Boga usunie Rayna, to bez wątplenia obniżyłoby to poziom zaufania względem niego wszystkich mieszkańców Syjonu, zwłaszcza że zabrakłoby Rayna, który dotąd starał się zawsze załagodzić sytuację. Pomyśl jednak, ile innych Bransolet i Kastanietów zginęłoby po drodze.

– Co do tego zgoda – przyznał niechętnie Mahkbyth. – Niemniej przyjdzie taki czas, że po prostu będzie trzeba to zrobić. Mówię poważnie: musimy jakoś podciąć Inkwizycji skrzydła, bo ostatnio morale w jej szeregach zbyt wzrosło.

– Koniec końców to wieść o tym, co naprawdę wydarzyło się w więzieniu Świętego Thyrmyna, skutecznie rozprawi się z morale Inkwizycji – oznajmił Murphai. – Oczywiście to nie znaczy, że Arbalesta nie uważa, by trzeba było wreszcie wymierzyć Clyntahnowi prztyczka w nos. Po prostu jej zdaniem nie możemy do tego celu wykorzystać Rayna. Przynajmniej na razie. Ona chce go sobie zachować na specjalną okazję.

– Jaki więc to ma być prztyczek? – zainteresował się Mahkbyth, mrużąc oczy. – Sądzę, że w pewien sposób wyjątkowy, skoro ty jesteś posłańcem.

– Och, nie myśl, że musiała mnie zmuszać. – Murphai się roześmiał. – Tym razem zgłosiłem się na ochotnika. Przez jakiś czas jednak ważyła się szala, czy będę to ja czy Merlin.

– Naprawdę? – Błysk w oczach Mahkbytha powrócił, może nie tak jasny jak przedtem, ale zawsze.

– Naprawdę – potwierdził Murphai. – Wszystko wskazuje na to, że wielki inkwizytor nadal się nie otrząsnął po wypadkach w więzieniu

Świętego Thyrmyna. W każdym razie uznał, że przykręci wszystkim śrubę. Jeśli mam być z tobą całkowicie szczery, chyba przymierza się do zrobienia porządku na samej górze. Chciałbym wierzyć, że sam postanowi rozprawić się z Raynem, oszczędzając nam roboty. Jakoś bym się nie zmartwił, widząc drogiego arcybiskupa na placu Męczenników.

– Sam przyniosę zgniłe pomidory.

– Tak sobie właśnie myślałem. Jednakże nie licz, że nastąpi to prędko. Z innej beczki: sytuacja w Krainach Granicznych pogorszyła się do tego stopnia, że do Syjonu został wezwany sam inkwizytor generalny Wylbyr. Na konferencję w cztery oczy z wikariuszem Zhaspahrem.

– Zdaniem Arbalesty Clyntahn skaze Edwyrdsa na Karę Schuelera? – Mahkbyth nie zdołał pozbyć się sceptycyzmu z głosu, za co Murphai nie mógł go winić.

– Wyobrażam sobie, że uśmiercenie człowieka, którego osobiście wybrał do zadania przywrócenia Republiki Siddarmarku na łono Kościoła Matki, byłoby raczej demoralizujące dla wierchuszki – powiedział *seijin*. – Możliwe, że Clyntahn jest bardzo bliski podjęcia takiej decyzji... na pewno bliższy niż jeszcze miesiąc temu... lecz nie, raczej nie możemy na to liczyć. Przypuszczam, że skończy się ostrą połajanką, po czym inkwizytor generalny zostanie odesłany precz, by rozniecić od nowa płomień wiary w swoich podwładnych z Krain Granicznych, prowincji Tarikah i Marchii Zachodniej.

Uśmiechu, który wymienili w tym momencie, nie powstydzili się najprawdziwszy kraken.

– Tak czy owak stanie się inaczej – odezwał się Murphai po chwili milczenia. – Tak się bowiem składa, że poznamy trasę przejazdu Edwyrdsa. Będziemy wiedzieć, kiedy, gdzie i jak zjawi się w Syjonie. A gdy to nastąpi, członkowie Steru będą już na niego czekali.

– Pozbędziemy się Edwyrdsa? – zapytał powoli Mahkbyth, zupełnie jak człowiek, który nie jest pewien, czy się przypadkiem nie przesłyszał.

– Ty pozbędziesz się Edwyrdsa – poprawił go *seijin*. – I to tutaj, w Syjonie, a nie w Krainach Granicznych czy w Republice Siddarmarku, gdzie winą zostałby obarczony Diallydd Mab. Nie może być wątpliwości co do tego, kto zamordował inkwizytora generalnego. I wiesz co? Ten pomysł z przypięciem karteczki do sutanny Rayna?... Myślę, że byłoby świetnie, gdybyś przypiął ją do sutanny Edwyrdsa.

.III.
Lake City
Prowincja Tarikah
Republika Siddarmarku

Milczący, sprawni służący zabrali naczynia ze stołu, po czym steward hrabiego Tęczowych Wód nalał jemu i jego siostrzeńcowi brandy do kieliszków, pilnując, aby rytuałowi stało się zadość. Kiedy skończył i wyprostował się z karafką, spojrzął na swego mocodawcę pytająco. W odpowiedzi hrabia uniósł tulipanowy kieliszek do arystokratycznego nosa, skinął aprobującą głową, po czym gestem wskazał, gdzie należy odstawić karafkę z resztą brandy. Steward posłusznie postawił karafkę obok siostrzeńca hrabiego i natychmiast opuścił pomieszczenie w ślad za służącymi.

Hrabia uśmiechnął się wówczas wyrozumiale, obserwując, jak baron Pieśni Wiatru wyciąga swoją fajkę i pytająco unosi brew.

– Ależ tak, tak. – Hrabia Tęczowych Wód pokiwał głową. – Skoro musisz niszczyć sobie smak wyśmienitej brandy za pomocą tytoniu, proszę cię bardzo, rób to.

– Tytoń nie niszczy smaku alkoholu, wuju, tylko go uwydatnia.

Hrabia prychnął. Wszystkie kroki tego tańca mieli wyćwiczone do perfekcji. W dodatku hrabia Tęczowych Wód – choć nigdy by tego nie przyznał głośno – miał słabość do woni tytoniu siostrzeńca.

Baron upił solidny łyk brandy, po czym dopiero zabrał się do nabijania fajki. Ugniótł tytoń, a następnie wsunął rękę za pazuchę w poszukiwaniu zapalniczki, którą ostatnio zaczęli wytwarzać rzemieślnicy z Harchongu na podstawie egzemplarzy zdobytych na heretykach. Naturalnie heretycka wersja była prosta, pozbawiona wszelkich ozdób, zapewne odbita od sztancy na jakiejś bezdusznej maszynie przez mechanika z żalobą za paznokciami, gdzieś w trzewiach zadymionej, cuchnącej fabryki. Harchońska wersja, przeciwnie – była bogata w ozdoby, a powstała w rękach wysoko opłacanego rzemieślnika

artysty o wysublimowanym guście w czterech ścianach wysmakowanego warsztatu, gdzie jaśniało światło, a do pracy przygrywała harfiarka będąca jednocześnie muzą. Ta, którą przypalił fajkę baron Pieśni Wiatru na przykład, nosiła ryt myśliwski, z przeżącym się jeleniem. Oczy zwierzęcia były zrobione z okruchów rubinu, a samą jego sylwetkę otaczały ujadające ogary.

Za te same pieniądze i w tym samym czasie heretycy zapewne wyprodukowałyby dwie setki takich zapalniczek, pomyślał baron, przesuwając opuszką kciuka po kółku. Knot zajaśniał ogniem. Baron w myślach dodał: Naturalnie nie ma sensu o tym wspominać na głos. Kto by tam słuchał wuja Taychaua, który nawołuje do odejścia od luksusu i skupienia się na prozie codzienności, takiej jak przeżycie.

– A więc, krewniaku – odezwał się hrabia, gdy jego siostrzeniec wreszcie rozparł się na krześle z zapaloną fajką w zębach – co myślisz o planie podróży inkwizytora generalnego przedstawionym przez biskupa Merkyla?

Baron nie zdziwił się specjalnie, że jego wuj od razu przeszedł do rzeczy. I ucieszył się, że hrabia zwrócił się doń per „krewniaku”, co znaczyło, że pyta o jego prywatną opinię, nie zaś zdanie dowódcy Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów.

– Myślę, że plan był na tyle dokładny, na ile to możliwe – zaczął. – Aczkolwiek wydaje mi się, że miał dziury – dodał po chwili namysłu. Widząc, że wuj zachęca go gestem, aby rozwinął myśl, wrzucił lekko ramionami. – Uważam, że inkwizytor generalny winien rozmówić się na temat stanu spraw Inkwizycji w Republice Siddarmarku. Oraz w Krainach Granicznych, skoro już o tym mowa, bo przecież i tam sięga jego władza od niedawna. Tak tylko między nami dwoma, nie zdziwię się, jeśli Wylbyr nasłucha się co niemiara, jeśli chodzi o postępowanie inkwizytorów w obozach Kościoła Matki w Republice Siddarmarku.

Hrabia sarknął, pociągnął łyk brandy i zrobił minę, w której mieszał się niesmak, smutek i pewna doza rozbawienia.

Pomimo wysiłków podejmowanych przez inkwizytorów wyznaczonych do ewakuacji obozów Kościoła Matki ponad jedna trzecia tychże została przejęta przez wroga i wyzwolona, i to już w zeszłe lato. Co więcej – także pomimo wysiłków wspomnianych inkwizytorów – echem rozeszła się wieść o tym, jak doszło do tych przejęć i aktów wyzwolenia. Fakt, że

tylu lojalnych szeregowych członków Inkwizycji odmówiło wykonania rozkazu wielkiego inkwizytora i zamiast poddać masakrze osoby przetrzymywane w obozach, pozwolili na ich wyzwolenie, w żaden sposób nie osłodził klęski wielkiemu inkwizytorowi. To prawda, że o nieposłuszeństwo w głównej mierze oskarżano strażników wyłonionych z szeregów Armii Boga, jednakże hrabia Tęczowych Wód dzięki swoim źródłom w Syjonie wiedział, że co najmniej sześciu inkwizytorów także zostało ukaranych – w dwóch przypadkach Karą Schuelera – za własną słabość (czy też może nieudaną próbę ukrycia własnej słabości).

Zdaniem hrabiego to źle wróżyło na przyszłość. Im wszystkim, ale przede wszystkim Wylbyrowi Edwyrdowski, który został wezwany do Syjonu.

Ciekaw jestem, czy ten głupiec czuje chociaż lekkie zaniepokojenie? – zastanowił się w myślach hrabia, nurkując wzrokiem do kieliszka. I natychmiast się rozpogodził, gdy taka możliwość wydała mu się prawdopodobna.

– Sądzę, że się nie mylisz, krewniaku – rzekł, nadal wpatrując się w rubinowy płyn. W końcu jednak, po jakichś dziesięciu sekundach, podniósł spojrzenie na siostrzeńca. – A jaką masz opinię na temat ostatnich wydarzeń w samym Syjonie? – zapytał.

Baron Pieśni Wiatru zaciągnął się głęboko dymem z fajki i napełnił nim płuca do granic. Przetrzymał go przez chwilę, a potem wypuścił w postaci idealnego kółka, które odprowadził wzrokiem w drodze pod sufit. Lodowaty wiatr świszczący w belkach stropowych odzwierciedlał szalejącą na zewnątrz wiosenną burzę śnieżną, która nawiedziła Lake City, zarazem zaś stanowił odpowiednie tło dla ciszy, jaka zaległa w pomieszczeniu. Baron nie odzywał się, dopóki kółko z dymu nie dosięgło krokwi i nie zniknęło. Dopiero wtedy opuścił oczy, by ponownie spojrzeć na wuja.

– Żadnej – wyznał szczerze. – Kompletnie nie wiem, co o tym myśleć. Nawet fakt, że te przeklęte plakaty nie zająknęły się ani słowem o niczym, nie przekonuje mnie do tego, co mówią niektórzy: że nic w ogóle się nie wydarzyło. Niby powinno tak być, ale pogłoski są zbyt uporczywe, a w dodatku pochodzą ze źródeł, które trudno ignorować. No i... jeśli mam być całkowicie uczciwy wobec siebie i wobec ciebie, wuju... nasi, hmm, przyjaciele w Syjonie wydają się przestraszeni nie na żarty.

– Odetchnął głęboko. – Naoglądaliśmy się dość dowodów, by wiedzieć, że... czy za sprawą sił demonicznych czy nie... tak zwani *seijinowie* są zdolni do ponadludzkich wyczynów, a wszystko, co robią, robią na rzecz heretyków. Skoro coś takiego miało miejsce w sercu Syjonu, aż strach myśleć, co zaczniesz się wyprawiać poza Syjonem.

Hrabia Tęczowych Wód potaknął z powagą słowom siostrzeńca. Wcześniej nigdy go nie pytał o zdanie na temat nieprzyjemnych poglądów; tym bardziej więc się ucieszył, że chłopak odpowiedział szczerze, bez kręcenia – przynajmniej w cztery oczy. Co zaś jeszcze ważniejsze, wnioski, do których doszedł, pokrywały się z wnioskami osiągniętymi przez hrabiego.

– Obawiam się, że możesz mieć rację – powiedział hrabia Tęczowych Wód. – Jestem w posiadaniu dodatkowych, tajnych raportów na temat tego, co wydarzyło się ostatnio w Syjonie, a także w Dohlarze, i co spędza mi sen z oczu. – Młodzieniec zmrużył oczy, co widząc, hrabia potrząsnął ze smutkiem głową. – Nie, chłopcze, nie podzielę się nimi z tobą ani nawet z hrabią Jedwabnych Wzgórz. Po pierwsze, raporty nie zawierają informacji ważnych dla nas przez pryzmat Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów. Po drugie, lepiej dla ciebie będzie, jeśli będziesz mógł szczerze odpowiedzieć, że nic nie wiesz o osobach, które składają mi te raporty. – Uśmiechnął się przelotnie i raczej blade.

Obiecałem twej matce, że wrócisz do domu cały i zdrowy. I wolę mieć na głowie jedynie heretyków, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Zmrużone przed chwilą oczy rozszerzyły się gwałtownie i młodzieniec zastanowił się głęboko. Obaj, wuj i siostrzeniec, aż nadto dobrze zdawali sobie sprawę z tego, jakie konsekwencje ich czekają, w razie gdyby zawiedli Kościół Matkę czy choćby Zhaspahra Clyntahna. Tymczasem słowa hrabiego dobitnie pokazywały, że zamierza on być jeszcze bardziej ostrożny niż dotąd.

O co tak naprawdę chodzi? – próbował domyślić się baron Pieśni Wiatru. Co też mogą mówić te raporty? I kto je sporządził? Nie wierzę, aby wuj Taychau otwarcie spiskował przeciwko Inkwizycji czy choćby wikariuszowi Zhaspahrowi. Przecież i wielki inkwizytor, i wszyscy jego podwładni są przedstawicielami Boga Jedynego na Schronieniu! Zdaję sobie sprawę, że wuj potępia ekscesy hierarchów w Syjonie, jak również milczenie Kościoła Matki w tej sprawie, lecz przecież nigdy nie wystąpiłby przeciwko oblubienicy Stwórcy. Chyba że...

Wtem przeszedł go dreszcz, który nie miał nic wspólnego z zimnem panującym za oknem. Do głowy przyszła mu bowiem następująca myśl: *A może wuj Taychau zaczął mieć wątpliwości co do tego, po czyjej stronie tak naprawdę stoi Bóg?*

– No cóż – odezwał się znowu hrabia Tęczowych Wód. – Na sytuację w Syjonie niewiele poradzimy, zresztą mamy pełne ręce roboty tutaj, na miejscu. Zapoznałem się z twoim raportem na temat postępów czynionych przez hrabiego Jedwabnych Wzgórz w sprawie przekazanej w ręce biskupa polowego Tahrensa. Szkoda, że nie może zabrać ze sobą na południe więcej artylerii, aczkolwiek przypuszczam, że warunki pogodowe i stan traktów nie pozwoliłyby i tak na przerzucenie wystarczającej liczby armat na nowe pozycje. Chciałbym poznać nieco szczegółów, zwłaszcza liczb i szkiców, które rzuciłyby światło na treść tego raportu, niemniej już teraz mogę powiedzieć, że wszystko zdaje się przebiegać w najlepszym porządku. Z twoich słów domyślam się, że uważasz podobnie?

– Owszem – potaknął młodzieniec. – Aczkolwiek należy się spodziewać, że odwilż w pierwszej kolejności dotknie naszą południową flankę. Tak jak wspomniałem na piśmie, hrabia Jedwabnych Wzgórz przewidział, że heretycy ze Skalistego Klifu są gotowi przypuścić atak na jego wysunięte pozycje, i to już w ciągu najbliższych pięciodni. Głównie dlatego był taki niezadowolony, że musiał je nieoczekiwanie oddać pod dowództwo Armii Boga. Jednakże, co oczywiste, zdawał sobie równocześnie sprawę, że warunki są dla niego niekorzystne, przede wszystkim za sprawą zniszczeń w sieci kanałów i traktów na froncie. Z tego powodu kazał swoim podwładnym wtajemniczyć we wszystko dowódców Armii Boga, zanim ci podejmą pierwsze decyzje. Nie muszę chyba wspominać, że zawczasu kazał zrobić kopie map z przeznaczeniem dla arcybiskupa polowego Gustyva i jego sztabu. W moim mniemaniu obawia się tego, że gdy heretycy zorientują się, iż przerzucą znaczne siły na południe, mogą zdecydować się na wcześniejszy atak. Aczkolwiek... jeśli tylko raporty naszych agentów nie mijają się z prawdą, a nic na to nie wskazuje... heretycy bynajmniej nie mają zamiaru atakować go w trakcie zdawania władzy nad oddziałami biskupowi polowemu Tahrensowi. Co do pogody, w Marchii Zachodniej i Sardahnii jest ona niewiele lepsza niż tutaj. – Baron uczynił gest obejmujący powałę, pod którą hulały przeciągi. – Wprawdzie tam pada więcej deszczu, a mniej

śniegu, co jednak nie znaczy, że heretykom uda się wyrzucić jakąkolwiek znaczącą presję na biskupa połowego Tahrensa, przynajmniej do czasu, aż grunt okrzepnie, a ich konna piechota zyska znów możliwość przemieszczania się suchą nogą. Wszystko jednak wskazuje, że przez zimę zdołali zapanować nad logistyką, a sądząc z tego, co udało im się osiągnąć wprost naprzeciw jego obecnych pozycji, można sobie łatwo wyobrazić, że na południu sytuacja przedstawia się jeszcze gorzej dla nas. Tak więc, jak tylko pogoda się polepszy, heretycy naprą na niego z całych sił, czego od początku się obawialiśmy. – Zakończył tę przemowę wzruszeniem ramion. – Nie twierdzę, że hrabia Jedwabnych Wzgórz jest zachwycony rozkazami, które dostał, ani że jest przekonany, iż heretycy spoglądają na południe. W każdym razie na pewno nikt nie może mu zarzucić, że robi co w jego mocy.

Popatrzył wujowi prosto w oczy, a hrabia Tęczowych Wód raz jeszcze pokiwał głową z wielką powagą i namaszczeniem. Nie był w stanie winić hrabiego Jedwabnych Wzgórz za jego sceptycyzm. Dopóki jednak dostępne im raporty były mniej szczegółowe niż te, które otrzymywali heretycy, wszystkie osoby powiązane z Inkwizycją dochodziły do tych samych wniosków.

Niewykluczone jednak, że nie mam pełnego obrazu sytuacji, bo ktoś coś przede mną zataja, dodał w myślach hrabia Tęczowych Wód. Szkoda, że nie mogę przetłumaczyć wikariuszowi Zhaspahrowi, czym grozi ukrywanie informacji przed własnymi dowódcami!

Oczywiście było to niemożliwe. Na szczęście Inkwizycja miała rozległe, także laickie źródła. Pod wieloma względami był to postęp. Hrabiemu marzyło się jednak, aby wnioski były znośniejsze.

Heretycy w dalszym ciągu umacniali swoje siły na północy, nie tylko tam jednak – również w południowych prowincjach zauważono wzmożony ruch. Silniejszy nawet od tego, co hrabia przewidywał, opracowując plany, które opierały się na informacjach pozyskanych z Syjonu.

Zawsze jednak istniało prawdopodobieństwo, że to on miał rację, prawda?...

Cóż, westchnął w duchu. Gdyby dowodzenie było takie proste, generałem mógłby być pierwszy lepszy chłystek.

– Ruchy heretyków sugerują, że wikariusz Allayn prawidłowo

odczytał ich intencje, przynajmniej te doraźne. – Hrabia Tęczowych Wód odezwał się głośno, jakby na użytek osób trzecich. Obaj bowiem, wuj i siostrzeniec, doskonale wiedzieli, że Allayn Maigwair jest mniej przekonany co do tych intencji niż inne osoby w Syjonie. – Nie muszę chyba przypominać, że nadmierna pewność siebie potrafi się zwrócić przeciw pyszałkowi – dodał. – Szczególnie mając w pamięci to, co przytrafiło się Armii Shiloh, nie powinniśmy ot tak przyjmować na wiarę położenia wroga. Albowiem może być w rzeczywistości inne od tego, które wróg próbuje nam wmówić.

– Zgoda, wuju. – Baron zaciągnął się znów dymem z fajki, po czym pokręcił głową. – Pomimo wszystko jednak uważam, że heretyckie oddziały znalazły się raczej na północy. – Wydmuchnął dym i wydał z siebie przeciągłe westchnienie. – Dlatego, choć nie bagatelizuję sytuacji na południu, skupiłbym jednak uwagę na północnych prowincjach. Gdzie na szczęście mamy spore siły, no może z wyjątkiem Dohlaru. Jeśli mam być szczery, niepokoi mnie kwestia logistyki hrabiego Jedwabnych Wzgórz na południe od Usheru. Zważywszy na ostatnie wydarzenia w zatoce, obawiam się, że będzie miał spore kłopoty z transportem czegokolwiek z Harchongu Południowego, a przecież Dohlar właściwie nie jest w stanie odstąpić nic ze swojej produkcji.

– Hm... Boję się, że masz całkowitą rację, Medyngu.

Hrabia Tęczowych Wód upił łyżeczek brandy i odchylił się na oparcie krzesła, składając głowę na miękkiej poduszce.

Tuż po porażce Zachodniej Eskadry Królewskiej Floty Dohlaru w starciu z Cesarską Flotą Charisu charisjańscy korsarze zalali Malansath Bight, co skończyło się tym, że zamknięciu uległa cała zatoka – przynajmniej dla okrętów Kościoła Matki. Te nieznaczące ilości broni i prowiantu, które docierały do Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów z Harchongu Południowego, musiały teraz korzystać z trasy przez kanał Sherach, rzekę Altan, zatokę Hankey, dalej zaś wzdłuż wybrzeża Dohlaru aż do Dairnythu, skąd dostawały się na rzekę Fairmyn, kanał Charayan bądź też kanał Dairnyth–Alyksberg i wreszcie do samego garnizonu w Alyksbergu. Niestety pierwszy z wymienionych wyżej kanałów miał przepustowość co najwyżej dziesięciu ładunków naraz, które mogłyby pokonać zatokę, gdyby tylko nie Charisjanie. Co więcej, wymuszony utratą kanału Sheryl–Seridahn odcinek trasy wzdłuż wybrzeża sprawił w praktyce, że Kościołowi Matce zaczęło

brakować statków towarowych. Arytmetyka bowiem nie dała się oszukać: skoro galeonowi podróż w obie strony zabierała teraz dwa razy dłużej, to tak jakby Kościół Matka dysponował o połowę mniejszą liczbą okrętów.

A przyszłość miała przynieść jeszcze pogorszenie tej sytuacji. Za parę pięciodni te przekłete korsarskie frachtowce zaczną szaleć na zatoce Tanshar oraz zatoce Bess. A gdy to nastąpi, całe królestwo Dohlaru, jak również wszystko na południe od niego, dostaw z Harchongu Południowego nie wyłączając, zostanie odcięte od kontynentu.

Co w sumie uprawomocni gdybanie Clyntahna o południowej ofensywie. Osobiście sądziłem raczej, pomyślał hrabia Tęczowych Wód, że wystarczy im zneutralizowanie Dohlaru i równoczesne rzucenie głównych sił w moją stronę, to znaczy do prowincji Tarikah i Marchia Zachodnia. To by nie wymagało całkowitego rozprawienia się z Dohlarem, gdzie teraz niewątpliwie napotkają wzmożony opór, skoro powoli docierają do bardziej zaludnionych rejonów królestwa. Fakt, że przyjdzie im się zmierzyć z powstańcami, sprawi, że ich siły ulegną rozproszeniu, tak samo jak to było z Armią Boga w republice Siddarmarku. Po co więc chcą zwiększać straty, aby wymusić oficjalne złożenie broni? Szczególnie że w tym czasie mogliby rozprawić się na dobre z Armią Pana Wszchemogącego i Archaniołów. Bo niewątpliwie to my stanowimy największe zagrożenie dla republiki, przynajmniej do czasu, aż Armia Boga odbuduje swoje siły po wydarzeniach minionego roku.

Hrabia postanowił nie zagłębiać się w kwestię, która zaświtała mu w głowie, mianowicie – że polityka tolerancji Imperium Charisu znacznie zmniejszy powstańczy opór. Ani tym bardziej, że polityka Clyntahna Zhaspahra prowadzona w podbitej Republice Siddarmarku uczyniła więcej złego niż dobrego pod tym względem. Uznał bowiem, że to nie jego sprawa ani nie jego odpowiedzialność.

Tylko że nie wziąłem jeszcze pod uwagę wrogiej floty, nieprawdaż? Pokręcił głową w duchu, upominając się za to niedopatrzenie. Jeśli na całym Schronieniu był człowiek, który udowodnił, że wie, jak korzystać z armii i floty w ramach jednej strategii, tym człowiekiem niewątpliwie był Cayleb Ahrmahk. W gruncie rzeczy nadal nie mam pojęcia, czy on zamierza podbić Dohlar w tym roku czy nie. Sam fakt, że nie wzmacnia armii hrabiego Hanthu na tyle mocno, na ile to czyni z innymi armiami, wskazywałby, że nie jest to jego intencją, jednakże z drugiej strony wcale

nie ma takiej potrzeby, jeśli raporty Inkwizycji są słuszne. Zważywszy na to, jak daleko został wyparty Rychtyr, przez obecność charisjańskiej floty w zatoce Bess święta wojna została praktycznie pozbawiona udziału gracza, jakim był do tej pory Dohlar. A przecież do tej zatoki mają bezpośredni dostęp od strony Chisholmu...

Westchnął. Instynkt wciąż mu podpowiadał, że atak przyjdzie z północy, z baronem Zielonej Doliny i księciem Eastshare na czele, niemniej nie mógł zignorować argumentów przemawiających za możliwością ataku od południa. Zresztą cokolwiek sobie myślał, wytyczne z Syjonu i tak były całkowicie jasne.

Na szczęście, pomyślał, jeśli nawet hrabia Jedwabnych Wzgórz wykona ten ruch i się przemieści, moja flanką nie pozostanie całkiem odstępiona. To zrozumiałe, że wolałbym, aby moje oddziały osłaniały Talmar i Selyk, ale nie mogę odmówić Teagmahnowi zdolności dowodzenia – w końcu miał rok, aby ją doszlifować. Naturalnie cała reszta tej Armii Środka będzie się składać z dyletantów i żółtodziobów, lecz przynajmniej dowódca okaże się godny podmiiany hrabiego Jedwabnych Wzgórz. A po pięciodniu ogólne dowodzenie i tak przejmie Walkyr. Trudno o lepszego dowódcę, który umiałby wcielić nowe oddziały do starej armii, tak aby stały się jej jednorodną częścią. Zatem sprawy mogłyby wyglądać znacznie gorzej. Z tym że...

– Cóż – wyrwał się z zamyślenia i odezwał na głos tonem bardziej chmurnym niż zazwyczaj. – Cała ta sytuacja w Zatoce Dohlariańskiej czyni z Kanału Świętego Langhorne'a kluczowy element łączący Ziemię Świętą i Armię Pana Wszechmogącego i Archaniołów. Z tego właśnie powodu jestem absolutnie przekonany, że gdy tylko pogoda pozwoli, będziemy potrzebni i na północy, i na południu.

Baron Pieśni Wiatru skinął głową. Żaden z mężczyzn nie zająknął się słowem na temat tego, że Kanał Świętego Langhorne'a bynajmniej nie byłby teraz kluczowym elementem, gdyby minionego roku Cesarska Flota Charisu nie zajęła jakby nigdy nic przesmyku Hsing-wu. Nawet obecnie prowiant, sprzęt i wyposażenie trzeba było przemieszczać saniami do oddziałów pilnujących północnej flanki Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów, korzystając z traktu, który biegł równolegle do przesmyku. Niestety, gdy przyjdą roztopy, wiosenne powodzie sprawią, że trakt ten zostanie wyłączony z użytku na parę pięciodni, za to podniesione wody przesmyku okażą się jak najbardziej

spławne dla Charisjan. A jak już wcześniejsza historia pokazała, Charisjanie jak nikt inny pojmowali znaczenie takich operacji.

I nie dziwota, dodał w myślach baron nieświadom tego, jak podobnym torem biegną myśli jego i wuja. To oczywiste, że heretycy radzą sobie ze wszystkim tak dobrze, nie wyłączając przeklętych nowych rodzajów broni oraz wszelkich innych wątpliwych wynalazków.

Ale – nawet jeśli tak było – hrabia Tęczowych Wód rozumiał bieżącą sytuację lepiej niż jakikolwiek dowódca w przeszłości. Kwestią do rozstrzygnięcia pozostawało tylko, czy rozumie ją wystarczająco dobrze.

Lepiej, żeby tak było, dodał w myślach baron Pieśni Wiatru. Albowiem Dohlar z pewnością upadnie, a skoro hrabia Jedwabnych Wzgórz zostanie odepchnięty daleko od Gór Węża, heretycy bez wątpienia spróbują natarcia na Jhurlahnk i Usher, aby także z tamtej strony uderzyć na Kanał Świętego Langhorne'a. To znaczy, że będziemy musieli zadać im znaczące straty na obu flankach, gdyż w przeciwnym razie – jeśli uda im się dotrzeć do tego kanału z obu stron – przyjdzie nam się wycofać, i to tak daleko, że będziemy mogli tylko pomarzyć o tym, aby rzucić kiedyś do walki wszystkie swoje siły. Nie będziemy w stanie rozerwać pierścienia okalającego Ziemię Świętą i Harchong Północny, nawet gdybyśmy mieli to szczęście i wycofali się w jakim takim porządku...

Baron zajął się wytrzepywaniem tytoniu z fajki, byle tylko nie musieć dalej o tym wszystkim myśleć.

.IV.
Pałac królewski
Gorath
Dohlar

Trzej mężczyźni, siedzący przy dużym, wypolerowanym na błysk stole, poderwali wzrok, kiedy rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi. Moment później w progu pokazał się dość wysoki szatyn po pięćdziesiątce.

– Przybył biskup egzekutor z ojcem Ahbsahlahnem, wasza dostojność
– oznajmił cicho.

– Aha. – Samyl Cahkrayn, książę Fernu, powiódł wzrokiem po swych kompanach, po czym znów utkwiał spojrzenie w mężczyznę przy drzwiach. – Dziękuję, Lawryncu – dodał. – Proszę, wprowadź ich do środka.

– Oczywiście, wasza dostojność.

Lawrync Servahntyż od niemal osiemnastu lat pełnił funkcję osobistego sekretarza księcia Fernu. Przez ten czas naoglądał się przeróżnych rzeczy, w związku z czym właściwie nic nie było go w stanie wyprowadzić z równowagi. Jednakże tym razem w jego piwnych oczach czaiło się coś jakby niepewność, gdy kłaniał się swemu mocodawcy. Cokolwiek pojawiło się w jego spojrzeniu, zniknęło, zanim na dobre się wyprostował. Moment później Lawrync wycofał się za próg i zamknął bezgłośnie drzwi.

Dwadzieścia sekund później otworzyły się one znowu. Wszyscy obecni podnieśli się z krzeseł jak jeden mąż, kiedy Lawrync wprowadzał do środka biskupa egzekutora Wylsynna Lainyra i ojca Ahbsahlahna Kharmycha.

– Wasza dostojność, biskup egzekutor Wylsynn i ojciec Ahbsahlahn.

Po tej krótkiej prezentacji książę Fernu podszedł, aby ucałować pierścień na wyciągniętej ręce Lainyra.

– Witam, eminencjo – wymruczał główny doradca Dohlaru, prostując

plecy. – Dziękujemy, że zechciałeś nas zaszczyścić swoją obecnością.

– To ja czuję się zaszczycony, że zechcieli mnie przyjąć tak zaciekli obrońcy Kościoła Matki – zrewanżował się Lainyr.

Książę Thorastu i książę Saltharu zbliżyli się także, aby kolejno musnąć wargami pierścień biskupa egzekutora. Następnie gospodarz wskazał dostojnemu gościowi honorowe miejsce na krańcu długiego stołu. Kharmych, intendent biskupa egzekutora, który był o siedem lat młodszy od swego przełożonego, za to o głowę i pół odeń wyższy, mimo że biskup egzekutor nie należał do niziołków, zajął miejsce po prawej stronie Lainyry. Servahntyz w tym czasie podszedł do sekretarzyka i zaczął go otwierać, przygotowując się do robienia notatek, jednakże został powstrzymany w pół ruchu przez gest Lainyry. Książę Fernu uniósł pytająco brew, na co biskup egzekutor potrząsnął lekko głową.

– To będzie wszystko, Lawrync – powiedział książę Fernu. – Dzisiejsze spotkanie nie wymaga robienia notatek.

– Oczywiście, wasza dostojność – odparł Servahntyz. Zamknął sekretarzyk i skłonił się przed oboma gośćmi. – Eminencjo... Ojczy... – bąknął, po czym prędko opuścił komnatę rady, zamykając za sobą ozdobnie rzeźbione drzwi.

Przez sekundę czy dwie panowała cisza, którą przerwało dopiero chrząknięcie Lainyry.

– Dziękuję, że zechciałeś mnie przyjąć tak prędko – zwrócił się do księcia Fernu.

– Ależ eminencjo... Jesteś biskupem egzekutorem Dohlaru – zauważył oschle książę Fernu. – To oczywiste, że zawsze mamy dla ciebie czas.

– Tak, wiem. – Lainyr uśmiechnął się przelotnie. – Wiem też, że nie zawsze jest to takie proste, ponieważ wszyscy trzej macie napięte harmonogramy i nie cierpicie na nadmiar czasu. Szczególnie w zaistniałych okolicznościach... – dodał. – Dlatego nie zdecydowałbym się wam zawracać głowy, gdyby nie pojawiła się naprawdę ważna sprawa.

– Co to za sprawa, eminencjo? – zapytał książę Fernu w przerwie, którą biskup uczynił celowo, aby można było wtrącić pytanie zachęcające go do rozwinięcia wątku.

– Otrzymałem list – poinformował Lainyr. – Przyszedł w ubiegłym

pięciodniu. Szósty dzień z rzędu medytowałem i modliłem się, szukając inspiracji, co powinienem uczynić.

Książę Fernu skinął głową, mimo iż wiedział doskonale, że „medytacja i modlitwa” oznaczała oczekiwanie na odpowiedź z Syjonu, co dalej. Książę nie miał pojęcia, co zawierała depesza biskupa egzekutora, jednakże dzięki przekupionym pracownikom stacji semaforowej podlegającej kontroli Kościoła Matki dowiedział się, że Lainyr istotnie przesłał długą, zaszyfrowaną wiadomość do Świątyni, adresowaną na ręce Zhaspahra Clyntahna, Zahmsyna Trynaira oraz Allayna Maigwaira. Samo to stanowiło powód do niepokoju, niezbyt silnego jednak, skoro wszem wobec było wiadomo, że Kościół Matka toczy wojnę i ją przegrywa. Tak się jednak złożyło, że w ślad za wiadomością biskupa egzekutora w eter poszła także druga, napisana przez ojca Ahbsahlahna, który skierował swe słowa bezpośrednio – i wyłącznie – do wielkiego inkwizytora. A to już zaalarmowało księcia Fernu na dobre.

A fakt, że sporządzenie odpowiedzi przez adresatów zajęło im aż trzy dni, przyczynił się do tego, że Samyla Cahkrayna rozboleła ze zmartwienia głowa.

– Medytowałem i modliłem się – powtórzył uroczyście Lainyr – aż uznałem, że moim obowiązkiem jest podzielić się z wami treścią otrzymanego listu.

– Z nami czy ze mną, eminencjo? – zapytał książę Fernu, zanim zdążył się ugryźć w język.

Pytanie było nie na miejscu, gdyż biskup egzekutor wyraźnie poprosił o spotkanie z wszystkimi trzema książętami. Mimo wszystko dyplomacja wymagała takich tańców. Książę Fernu zastanowił się, czy hierarcha jest nimi równie zmęczony jak on.

– Głównie z tobą i z księciem Saltharu, aczkolwiek sprawa może dotyczyć także księcia Thorastu, jak mi się wydaje.

– Słuchamy zatem, jak możemy być ci przydatni, eminencjo.

– Dziękuję, wasza dostojność.

Lainyr sięgnął za połę sutanny i wydobyl stamtąd dwie złożone we czworo kartki zapisane odręcznie. Rozłożył je z uwagą, po czym rozprostowane położył na blacie przed sobą i na dokładkę jeszcze przejechał po nich dłonią, aby zniwelować zagięcia. W końcu podniósł wzrok na obecnych.

– Oto list napisany do mnie przez sir Clyftyna Rahdgyrza. Bez wątpienia kosztował go wiele wysiłku. Po dłuższym zastanowieniu uznałem, że niektóre jego partie podpadają pod tajemnicę konfesjonału.

– Biskup egzekutor potrząsnął lekko głową. – Sir Clyftyn wyraźnie przeżywał rozterkę, czy w ogóle do mnie pisać, w związku z czym pozwolę sobie pozostawić jego wewnętrzne wynurzenia pomiędzy nim, mną, Kościołem Matką i Bogiem Jedynym. Ufam, że uszanujecie moją decyzję w tej materii.

– Oczywiście, że tak, eminencjo – zapewnił go książę Fernu głosem tak poważnym i szczerym, jakby w ogóle miał coś do powiedzenia w tej sprawie.

– Dziękuję, synu.

Lainyr uśmiechnął się przelotnie, zaraz jednak nadał nozdrza i odchyliwszy się na oparcie krzesła, poruszył ramionami.

– Zakładam, że wiecie – spojrzał kolejno na księcia Fernu i księcia Saltharu – iż sir Clyftyn przyjaźni się od dawna z sir Fahstyrem Rychtyrem.

Książę Fernu potaknął skinieniem, a Lainyr ponownie pogładził list przed sobą.

– Wspominam o tym nie bez powodu. Uważam bowiem, że ta długoletnia przyjaźń miała duży wpływ na wątpliwości autora listu. Na wszelki wypadek przypomnę wszystkim obecnym, że słowa te – gestem obu rąk pokazał kartki leżące na stole – napisał dobry przyjaciel, człowiek honorowy i osoba żywiąca silne przekonania. Nie zaś wróg, polityczny oponent czy też ktoś, kto ma z kimś innym na pieńku. Krótko mówiąc, sir Clyftyn nigdy nie wyraziłby się negatywnie o swym przyjacielu, gdyby nie był pewien, że to jego obowiązek względem Stwórcy i archaniołów.

Urwał, a książę Fernu pobiegł spojrzeniem do pozostałych doradców. Momentalnie jednak popatrzył znowu na Lainyra.

– Czy mamy rozumieć, że sir Clyftyn w swoim liście krytykuje sir Fahstyra? – zapytał ostrożnie.

– Obawiam się, że tak. – Biskup egzekutor miał poważny wyraz twarzy, jednakże jakby dla złagodzenia efektu uczynił uspokajający gest.

– Oczywiście sir Clyftyn w żadnym razie nie podważa oddania sir Fahstyra... Stwórcy, Kościołowi Matce i Koronie. Jeśli już, to je tylko

wychwała. Zarazem jednak sir Clyftyn wyraża głębokie zatroskanie, niektórymi ostatnimi decyzjami sir Fahstyra. Jak mi się wydaje, tłumaczy to brzemieniem, które sir Fahstyr poczuł na swoich ramionach w miarę trwania świętej wojny.

– Rozumiem.

Książę Fernu także odchylił się na oparcie. W głowie miał gonitwę myśli. W rzeczy samej był świadom wieloletniej przyjaźni między Rahdgyrzem i Rychtyrem i nigdy by nie przypuszczał, że ten pierwszy włoży Inkwizycji w dłoń broń przeciwko temu drugiemu.

Choć może nie do końca to zrobił... A przynajmniej tak myślał. Tak czy owak mogłeś się tego spodziewać, Samylu, powiedział do siebie w duchu. Zawsze wiedziałeś, jak przesadnie oddany Kościołowi Matce jest Rahdgyrz. Jeśli w całym królestwie jest ktoś, kto nie podważa wersji rzeczywistości głoszonej przez Zhaspahra Clyntahna, człowiekiem tym jest właśnie Clyftyn Rahdgyrz. Do tego wydarzenia na froncie świętej wojny muszą dla niego stanowić gorycz nie do przełknięcia. Jego zdaniem zawiedliśmy Boga, co jest niedopuszczalne. No i w dalszym ciągu uważa Kościół Matkę za niepokalaną córę, którą sławi Pismo, nie zaś instytucję, która dostała się w łapy Clyntahna. Cokolwiek tam sobie Rahdgyrz uroił, nie postrzega tego jako zdrady przyjaciela. Gdyby chciał po prostu wepchnąć Rychtyra w objęcia Inkwizycji, napisałby do Kharmycha, nie do Lainyra. Nie, w swoim mniemaniu Rahdgyrz jest wiernym synem Kościoła Matki, który po prostu zwraca uwagę pasterza dohlariańskich owieczek na jedną z nich, święcie przekonany, że biskup egzekutor wysłucha go pełen współczucia dla ludzkiej słabości.

– Które konkretnie decyzje sir Fahstyra budzą niepokój generała Rahdgyrza, eminencjo? – zapytał po długiej chwili milczenia.

Celowo zaakcentował stopień wojskowy, co sprawiło, że Lainyr zamrugał.

– Sir Clyftyn – ton głosu biskupa egzekutora świadczył, że Lainyr zignorował aluzję księcia Fernu, jakoby oficer Królewskiej Armii Dohlaru powinien raczej przedłożyć swoje obawy starszym stopniem przełożonym aniżeli duchownemu – martwi się, że znużenie sir Fahstyra przełoży się na brak woli walki. Powiniennem jednak zaznaczyć, że zdaniem sir Clyftyna ta niechęć generała Rychtyra do związania heretyków walką bierze się raczej z wysokiej liczby ofiar po jego stronie

aniżeli z tchórzostwa. Sir Clyftyn zgadza się co do tego, że sir Fahstyr jest prawym, bojącym się Boga człowiekiem, jak również dzielnym żołnierzem, co jednak nie zmienia faktu, że dostrzega jego znużenie. Znużenie dowódcy, który naoglądał się zbyt często, jak jego podwładni giną wyrzynani przez heretyków. Jeśli to prawda, jeśli istotnie żałoba po wielu podwładnych wpływa negatywnie na jego zdolność osądu, nie sposób się temu dziwić. Zważywszy na długość jego służby, jak również stres, w jakim musiał działać przez cały ten czas, trudno oczekiwać, aby sir Fahstyr pozostał niewzruszony.

Za bardzo się starasz, eminencjo... – pomyślał książę Fernu. Gdybyś naprawdę miał tak dobre zdanie o Rychtyrze, czy też raczej gdyby tak dobre zdanie o nim mieli twoi przełożeni, nie potrzebowałbyś aż sześciu dni, by zwrócić naszą uwagę na tę sprawę. Oczywiście więc, że nasuwa się nam pytanie, jaki był powód tej zwłoki. I dlaczego ten imbecyl Clyntahn z pianą na ustach nie domaga się odesłania Rychtyra do Syjonu.

– Nie wątpię, że generał Rychtyr musiał się zmierzyć z nie lada stresem, eminencjo – oznajmił książę Fernu na głos. – Archanioł Bédard przestrzegła nas, na ile sposobów stres i zmęczenie mogą wpływać na nasze sądy. Może mógłbyś więc sprecyzować, które dokładnie decyzje sir Fahstyra budzą niepokój twój oraz oczywiście sir Clyftyna.

– Myślę, że wystarczy ten jeden przykład. Sir Fahstyr postanowił nie podejmować walki o Bryxtyn i Waymeet, tylko oddać je w ręce heretyków, ot tak. – Słowa te wypowiedział nie biskup egzekutor, lecz Kharmych, który odezwał się po raz pierwszy od początku rozmowy.

Intendent liczył sobie zaledwie trzydzieści parę lat, był szatynem i miał bardzo jasną karnację. Jako rodowity mieszkaniec episkopatu Świętej Cehseely na brzegu przesmyku Hsing-wu niezbyt dobrze czuł się w klimacie Dohlaru, gdzie lata potrafiły być uciążliwie upalne. Nie to jedno wszakże czyniło obecną misję trudną dla niego. Kharmych był człowiekiem gwałtownym, któremu daleko było do tolerancyjności. Nie należał też do osób specjalnie taktownych. Mimo że Lainyr posłał mu nieprzychylnie spojrzenie, nie spuścił oczu ani nawet się nie zawstydził.

– Żadna z tych fortec nie została jeszcze zaatakowana, a on już zarządził ewakuację garnizonów – mówił dalej intendent. – A przecież mieli okazję związać heretyków walką!

– Tak to przedstawił sir Clyftyn? – zapytał książę Fernu po chwili

ciszy.

– Sir Clyftyn wspomniał o tej decyzji i wyraził swoje nią zaniepokojenie – potwierdził Lainyr, ubiegając tym razem Kharmycha. Intendent wreszcie zauważył ostry wzrok przełożonego i zmilczał.

– A czy sir Clyftyn jest zdania, że zarówno Bryxtyn, jak i Waymeet miały szansę się bronić przez dłuższy czas? – Do rozmowy wtrącił się książę Saltharu, który pochylił się na krześle lekko w przód.

– Nie, wasza dostojność. Na pewno nie przez dłuższy czas. – Lainyr przyznał to z wyraźnym trudem, lecz nadal nie pozwolił Kharmychowi go wyręczyć w odpowiedzi. Intendent tylko poruszył się na krześle, robiąc jeszcze bardziej niezadowoloną minę. – Co zaś do kwestii opinii ojca Ahbsahlahna – dodał biskup egzekutor, patrząc prosto na księcia Saltharu – to sir Clyftyn bynajmniej nie sugerował, że Bryxtyn i Waymeet nie musiałyby się długo bronić same, zanim nadeszłyby posiłki. Wyszedł jednak z założenia, że przynajmniej heretycy zostaliby związani walką na pewien czas, dzięki czemu generał Rychtyr mógłby ustanowić nowy front pomiędzy, powiedzmy, Kraisyrem i traktem na Bryxtyn. Tym bardziej że akurat pod ręką była ekipa robotników, którzy mogli zapewnić nowe okopy i umocnienia, gdyby dano im pięćdziesiąt czy dwa. Tak jak wspomniałem, jest to zdanie sir Clyftyna...

– Ach tak. – Książę Saltharu odchylił się znowu na oparcie krzesła i pogładził się po sumiastym wąsie. – Jestem pełen podziwu i szacunku dla odwagi sir Clyftyna i jego zdolności taktycznych, eminencjo. Dał ich dowody nie raz i nie dwa. Niemniej czuję się w obowiązku napomknąć, że odległość między Kraisyrem a traktem na Bryxtyn wynosi w linii prostej dziewięćdziesiąt mil. W chwili gdy sir Fahstyr i ojciec Pairaik zarządzali ewakuację obu garnizonów, Armia Seridahn liczyła zaledwie trzydzieści osiem tysięcy żołnierzy. To by dawało czterech żołnierzy na jard frontu, gdyby zamierzał go utrzymać dłużej.

– Sir Clyftynowi nie chodziło o utrzymanie całego frontu, wasza dostojność! – rzucił Kharmych tonem człowieka, który nie był zdolny powstrzymać się od komentarza, i to pomimo karcącego spojrzenia przełożonego.

– Nie twierdzę, że mu o to chodziło, ojcze – odparł książę Saltharu. – Niemniej tak przedstawiają się fakty. I obawiam się, że przedyskutowałem to z nim szczegółowo na długo przed tym, zanim

heretycy opuścili Marchię Południową. W razie potrzeby służyć na dowód korespondencją. Mówiąc jednak w skrócie, doszliśmy do wniosku, że zapewnienie wystarczającej gęstości oddziałów celem utrzymania tak rozciągniętej linii frontu wymagałoby zastosowania węzłowego rozmieszczenia sił. Nigdy by nie miał dość ludzi w jednym miejscu, aby stawić czoło heretykom, gdyby nie skupił ich w oddziałach i potraktował jak koraliki nanizane na sznur. Z drugiej strony wszakże nie mógł tego zrobić, ponieważ w ten sposób powstałyby małe, oddalone od siebie oddziały, które nie byłyby w stanie udzielić sobie nawzajem pomocy. Przewaga liczebna heretyków wynosiła co najmniej trzy do jednego. W razie okopania się na węzłowych pozycjach hrabia Hanthu nie miałby najmniejszego problemu z przeprowadzeniem swoich sił pomiędzy takimi oddziałami, by następnie uderzyć na nie kolejno. To zaś skończyłoby się unicestwieniem Armii Seridahn w ciągu pięciodnia czy dwóch.

W oczach Kharmycha pojawił się błysk – co widząc, księżę Fernu przybrał neutralny wyraz twarzy.

– Owszem, podobna strategia wiązała się z ryzykiem, wasza dostojność – przyznał Lainyr – jednakże w efekcie uwaga przynajmniej części heretyckich sił zostałaby odciągnięta. – Księżę Saltharu uprzejmie przechylił głowę, a biskup egzekutor tylko wzruszył ramionami. – Od ucieczki z Thesmaru było kilka takich przypadków. Co więcej, Kościół Matka na to liczył. Ideą było zmuszenie heretyków do walki w danym miejscu, sprawne wycofanie się i powtórzenie manewru w innym miejscu. Czy nie tak?

Ton Lainyra stał się ostrzejszy, aczkolwiek nadal daleko mu było do wrogości Kharmycha.

– Tak, eminencjo. Ja również od samego początku tak właśnie rozumiałem proponowaną taktykę. I to właśnie powiedziałem wikariuszowi Allaynowi: bez posiłków w ludziach i sprzęcie nie mamy szans zastosować innej strategii. Niemniej do sukcesu potrzebne były zwarte linie oraz solidne flanki. Z przykrością bowiem muszę dodać, że mniej bagnisty teren oraz bardziej płaskie ukształtowanie powierzchni na zachód od granicy sprzyjało heretykom. A to automatycznie dawało im przewagę, jeśli chodzi o atak na nasze flanki bądź przedarcie się między naszymi węzłami i rozprawienie się z nimi pojedynczo. Jediną szansą dla nas było ograniczenie mobilności wroga i doprowadzenie do

starcia na korzystniejszym dla nas terenie... rzecz niemożliwa przy tej długości frontu, za którą optował sir Clyftyn, jeśli dobrze cię zrozumiałem.

Lainyr potaknął skinieniem, aczkolwiek jego mina świadczyła, że nie podoba mu się kierunek, w którym zmierza ta rozmowa. Był wyraźnie zły na księcia Saltharu, iż swoją wypowiedzią zwrócił ją na te tory.

Książę Fernu starał się udawać uprzejme zainteresowanie, ale przychodziło mu to z najwyższym trudem. Tak naprawdę chciał się wyszczerzyć do księcia Saltharu i poklepać go po plecach z aprobatą. Książę Saltharu najwyraźniej był starej daty i miał poważne kłopoty z ogarnięciem strategii wymuszonej na polu walki przez wprowadzenie przez Charisjan nowego typu broni, z pewnością jednak nie dało mu się zarzucić głupoty. To nic, że przestał być na bieżąco; nadal miał głowę nie od parady. Zarazem fakt pozostawał faktem: książę Saltharu zaliczał się do najzagorzalszych zwolenników świętej wojny. Owszem, zdarzało się, że krytykował niektóre decyzje militarne Kościoła Matki, lecz zawsze miał na względzie końcową wygraną. W jego osobie, jako członka rady króla Rahnylda, ludzie tacy jak Lainyr czy Kharmych mieli oddanego poplecznika. Tym bardziej więc jego obecna postawa była solą w oku dla biskupa egzekutora.

Rzecz jasna Lainyr nie zna Shaina tak długo jak ja, pomyślał książę Fernu z przekąsem. To prawda, że jest lojalnym synem Kościoła Matki, lecz problem z człowiekiem głębokiej wiary jest ten, że... hmm... jest on człowiekiem głębokiej wiary. Gdy zacząć wymagać od niego zbyt wiele, nadwerężyć jego przekonania i wiarę w Bożą wolę, może dojść do najgorszego. Szczególnie wtedy, gdy w grę wchodzi desperacja drugiej strony. A w twoim wypadku przecież wchodzi, nieprawdaż? Jak to ujął Cayleb? „Gdy wiesz, że zawiśniesz w ciągu pięciodnia, potrafisz się nadzwyczajnie skupić”?... Główny doradca Dohlaru prychnął cicho. Taa, Cayleb Ahrmahk może i jest heretykiem, przynajmniej pod pewnymi względami, ale nie sposób mu odmówić giętkości języka.

Lainyr nie był jedynym człowiekiem, którego zdołowała wypowiedź księcia Saltharu.

– Ależ kiedyś w końcu będzie musiał powstrzymać heretyków, wasza dostojność! – Kharmych odezwał się tonem ostrzejszym, niżby wypadało w sytuacji, gdy duchowny – nawet wyższy rangą duchowny – zwracał się

do księcia i dowódcy armii Kościoła Matki, całkiem niedawno zaangażowanej w walkę z wrogiem.

Mimo to, zauważył księżę Fernu, biskup egzekutor ani myślał przywołać swego psa gończego do porządku.

– Zresztą – podjął intendent – z każdą milą pokonaną przez heretyków coraz więcej wiernych synów i cór Kościoła Matki trafia w ich szpony! – Kharmych zerknął kątem oka na księcia Thorastu. – Wróg zagłębił się na sto mil, jest już w jednej trzeciej księstwa Thorast. A kiedy generał Rychtyr porzucił... chciałem powiedzieć: odmówił obrony Shandyru, praktycznie oddał hrabiemu Hanthu największe miasto wschodniego Thorastu. Skoro nie był gotowy bronić tego miasta, co jeszcze odpuści?

Tym razem spojrzął na księcia Thorastu otwarcie, wyraźnie zapraszając go do zabrania głosu. W odpowiedzi księżę Thorastu poprawił się na krześle.

– Uwierz mi, ojcze – odezwał się poważnym głosem i z poważną miną – że w pełni rozumiem, do czego zmierzasz. Zapewniam cię, że sama myśl o moich poddanych w szponach herezji, choćby tylko przejściowo, jest mi więcej niż niemiła.

Kharmych rozpromienił się i spojrzął tryumfalnie na księcia Fernu i księcia Saltharu. Okazało się jednak, że księżę Thorastu jeszcze nie skończył.

– A jednak – ciągnął tak samo poważnie jak poprzednio – jako wojskowy jestem zmuszony zgodzić się z księciem Saltharu. Generał Rychtyr w genialny sposób opóźnił postęp sił heretyków, szczególnie po dość raptownych działaniach podjętych przez Armię Sprawiedliwości w trakcie przegranej kampanii Shiloh. – Pokręcił głową. – Przy zmasowanym ataku na królestwo, zwłaszcza zaś na naszą flotę, która jest mi wyjątkowo bliska, dalecy jesteśmy od dokładnego oszacowania strat poniesionych w Republice Siddarmarku. Nasza linia brzegowa, eminencjo – zwrócił się do Lainyry – liczy ponad pięć i pół tysiąca mil. Zarazem cała nasza granica lądowa, biegnąca z północy na południe, mierzy ledwie tysiąc mil. Nie muszę chyba dodawać, że po zniszczeniu Eskadry Zachodniej heretycka flota może z łatwością zagrozić każdej mili naszego wybrzeża. – Wzruszył nieznacznie ramionami. – Naszym obowiązkiem... moim obowiązkiem jako sługi Korony i członka rady

królewskiej... jest bronić poddanych jego wysokości, a nie tylko mego własnego księstwa. Zagrożeni z tyłu stron możemy tylko grać na zwłokę, odbudowując armię i flotę, by zmierzyć się z wrogiem znów na równych warunkach. Do tego czasu jednak powinniśmy się ograniczyć wyłącznie do taktyki przyjętej przez generała Rychtyra. Dopiero gdy odzyskamy siły... lub też Kościół Matka na innych frontach zmusi heretyków do przemyślenia swego stanowiska tutaj, na południu... nie tylko podejmiemy od nowa walkę, lecz wręcz przypuścimy ofensywę, doprowadzając do zwycięstwa w świętej wojnie. Jak powiedziałem, dopóki to nie nastąpi, powinniśmy wszyscy brać generała Rychtyra za wzór. Jestem pewien, że cała Armia Seridahn pokłada w nim wielkie nadzieje. Gdybyśmy go teraz usunęli, uszczerbek zadany morale żołnierzy byłby nie do nadrobienia.

Kharmych odchylił się na oparcie z wyrazem twarzy wskazującym na mieszanię gniewu, frustracji i zdumienia. Książę Fernu ukrył kpiący uśmieszek.

Nie spodziewałeś się czegoś takiego, co, ojczulku? – pomyślał. Też bym się nie spodziewał, gdyby nie to, że razem z Shainem popracowałem nad nim przez parę godzin. Pewnie nic byśmy nie zdziałali, gdyby sobie uświadomił, że hrabia Thirsku jest autorem analizy, którą właśnie wyartykułował zamiast Shaina. I gdyby bogactwo księstwa Thorast nie było skupione na zachodzie, w pobliżu Erektionu i jeziora Sheryl. Pomijając Shandyr, na wschodzie są tylko pola i lasy, a z tych nie wyciągnie się za dużo podatków. Ostatecznie jednak wyszedł na swoje, prawda? I co teraz zrobisz?

Główny doradca Dohlaru nie spuszczał wzroku z Kharmycha, lecz tak naprawdę całą uwagę poświęcał Lainyrowi. Uznał bowiem, że choć intendent jest barometrem przekonań Zhaspahra Clyntahna, to jednak Lainyr może być źródłem informacji na temat polityki całej Grupy Czworga.

– Wasza dostojność – zaczął Kharmych, ponownie nachylając się do przodu. – Domyślam się, że twoje słowa płyną z głębi serca, ale...

Lainyr mu przerwał.

Minę miał kamienną, a spojrzenie twarde. Położył dłoń na ramieniu intendenta i zwrócił się w stronę księcia Fernu.

– Jak widzę, poświęciliście temu zagadnieniu sporo uwagi – rzekł,

szczerząc zęby w grymasie, który trudno było nazwać uśmiechem. – Mimo że nie mogę się z wami zgodzić w całej rozciągłości, to jednak Dohlar jest waszą ojczyzną. Duchowy dobrostan poddanych króla Rahnylda spoczywa na moich ramionach, a także na barkach arcybiskupa Trumahna i ojca Ahbsahlahna. Wszakże sprawy doczesne to bolączka króla Rahnylda oraz wasza. Nikt nie podważa oddania, z jakim Dohlar zaangażował się w świętą wojnę, i to już na samym początku. Jeśli odnieśliście wrażenie, że to robię, zapewniam, że nie było to moim zamiarem. Skoro władze Dohlaru są zadowolone ze strategii przyjętej przez generała Rychtyra, ja również jestem zadowolony. Nikt nie chce kwestionować lojalności generała wobec Boga Jedynego i Kościoła Matki. Wierzę jednak, że sir Clyftyn może mieć rację co do przytłaczającego znużenia, które go opanowało, i dlatego... jako pasterz owieczek... błagam was, abyście mieli na niego baczenie. Nie przeciążajcie go obowiązkami ani nie nadwerężajcie jego wytrzymałości. Pomijając to, co przed chwilą powiedziałem, toczenie wojny tu, w Dohlarze, pozostawiam w całości wam.

Oho, ktoś w Syjonie trzęsie portkami, pomyślał książę Fernu. Ciekawe kto. Pachnie mi to Trynairem, aczkolwiek Clyntahn chyba też boi się bardziej, niż sądziłem. Niewykluczone, że dotarło do niego wreszcie, jak poważny błąd popełnił tą akcją z rodziną hrabiego Thirsku.

W każdym razie decyzja, by zmniejszyć naciski, skoro doradcy króla Rahnylda popierają generała Rychtyra, najwyraźniej miała swoje źródło w Syjonie i na pewno nie pochodziła od arcybiskupa Trumahna ani biskupa egzekutora Lainyra. Było to interesujące. Bardzo interesujące...

Ogarnął ich strach, że okazemy się kolejnym Desnairem. Prawda jest bowiem taka, że nas potrzebują bardziej niż Desnairczyków. Ale to nie wszystko. Owszem, mamy swoje problemy, lecz nie stoimy na krawędzi. Nie sposób jednak nie zastanowić się nad tym nagłym przejawem rozsądku u Clyntahna. Dohlar obecnie stanowi nie tylko południową flankę. Przede wszystkim znajdujemy się bliżej Syjonu i Ziemi Świętych – a także Armii Pana Wszchemogącego i Archaniołów – niż Desnair. A to znaczy, że wielki inkwizytor spokojnie mógłby zastosować względem nas zasadę raczej kija niż marchewki. Co przekłada się na to, że nie powinien aż tak bardzo martwić się tym, że możemy zakończyć swój udział w świętej wojnie. Hmm... Wszystko tymczasem wskazuje, że się martwi. Skąd więc to nagłe cackanie się z nami? Dlaczego Clyntahn

swoim zwyczajem nie wysuwa żądań? Dlaczego zwyczajnie nie usunie Rychtyra, a nas nie potraktuje podobnie, jak potraktował hrabiego Thirsku, grożąc mu otwarciem i realizując swoje groźby? Czyżby ostatnio nie był już taki pewien władzy Inkwizycji w Dohlarze? Czy też chodzi o coś innego? Coś związanego z letnią kampanią, o czym na razie milczy w rozmowach z nami?

– Eminencjo – odezwał się na głos. – Ani przez moment nie myślałem, że kwestionujesz odwagę i lojalność sir Fahstyra. – Pokręcił głową z uśmiechem. – Nikt, kto go zna, nie mógłby tego zrobić. Zrozumiałe jednak, że niektórzy, w tym dobry przyjaciel generała Rychtyra, taki jak sir Clyftyn, czują troskę w związku z brzemieniem, które sir Fahstyr dźwiga od tak dawna. Fakt, że podzielił się swymi obawami z tobą i że ty, jako pasterz całego arcybiskupstwa, podzieliłeś się nimi z nami, poświadcza, jak głębokim szacunkiem generał Rychtyr jest darzony przez wszystkich, co go znają.

Główny doradca Dohlaru uśmiechnął się znowu, równocześnie składając wdzięczny ukłon.

– Zapewniam cię, eminencjo – zakończył – że nie zapomnimy ani o jego brzemieniu, ani o swojej odpowiedzialności... jak to ująłeś... za doczesne sprawy poddanych króla Rahnylda.

.V.
Pałac lorda protektora
Siddar
Republika Siddarmarku
oraz
Wyspa Szpon
Morze Harchońskie

Gratulacje, Caylebie! – powiedział Greyghor Stohnar, lord protektor Republiki Siddarmarku, wyciągając przy tym z uśmiechem rękę na widok wkraczającego na salę cesarza Imperium Charisu, któremu towarzyszyła Aivah Pahrsahn. Stawkę zamykał oczywiście Merlin Athrawes. – Właśnie czytałem kopię raportu barona Sarmouth, którą nam przesłałeś. My tutaj, w republice, nie mamy zastosowania dla tytułów arystokratycznych, jednakże uważam, że ten akurat człowiek zasługuje na coś więcej niż marny tytuł szlachecki barona!

– Tak, cóż, dobrze się spisał, czyż nie? – odparł Cayleb, wymieniając z lordem protektorem solidny uścisk przedramienia. – Nie sędzę jednak, aby specjalnie mu zależało na tym, aby od teraz wszyscy zwracali się do niego per „hrabio Shipworm”.

Stohnar roześmiał się, a Cayleb za to skrzywił.

– Ucierpiał bardziej, niżbyśmy sobie życzyli, lecz masz rację. Nienawidzę, gdy ginie choć jeden człowiek więcej, niż to absolutnie konieczne. Jeśli wszakże spojrzeć na całą sytuację obiektywnie i bez emocji, eliminacja eskadry Raisahnda warta była każdej kropli przelanej krwi. A tak się składa, że ani baron Sarmouth, ani hrabia Sharpfieldu nie mają w zwyczaju zasypiać gruszek w popiele.

– Przyznam, że spędziłem miniony wieczór nader miło – wtrącił Daryus Parkair, seneszał Republiki Siddarmarku. – Przy butelce dobrej chisholmskiej whiskey zastanawiałem się, jaki impakt wywrą działania barona Sarmouth na logistykę hrabiego Jedwabnych Wzgórz. – Seneszał

uśmiechnął się przebiegle, składając pocałunek na wyciągniętej dłoni madame Pahrsahn. – Szczególnie że ten nadweręża się na froncie Sardahn dzięki twym, pani, podstępным działaniom.

Cmoknął ją w grzbiet dłoni jeszcze raz, po czym obdarzył szerokim uśmiechem, ona zaś odpowiedziała tym samym w uznaniu dla komplementu. Ktoś, kto przebywał w odległej jaskini w Górach Światła, prychnął niegrzecznie w jej ucho, ona jednak zignorowała to kompletnie. Ktoś przecież musiał dać twarz odnoszącej sukcesy strategii – i na pewno nie mógł to być pewien książę, który nie żył od dobrych kilku lat.

– Nasze raporty wskazują, i to bez cienia wątpliwości, że nie otrzymuje wystarczającej ilości zaopatrzenia, by mógł zająć Góry Węża i bronić przełęczy Tymkyn – rzekł zadowolonym tonem Parkair. – To oznacza, że Teagmahn oraz Walkyr, który zdążył dotrzeć do Glydahru, będą musieli dzielić się z nim swoimi zapasami. W efekcie zabraknie mu materiałów, na które liczył, ale też Walkyr nie będzie w stanie rozbudowywać sił równie sprawnie, jak by chciał. Republika Siddarmarku od zawsze była potęgą lądową, przyznaję więc, że nie doceniałem, jak istotny może być transport morski. Zapewne dlatego, że jak dotąd nie było nigdy na Schronieniu wojny takiej jak ta. Wszakże wy, Charisjanie, daliście mi lekcję, ba, daliście mi kilka lekcji. A ta, którą właśnie odebrali od barona Sarmouth Chłopcy Świątyni, musiała być jeszcze boleśniejsza.

– Co prawda, to prawda – skwitował Cayleb. – Stary Charis właściwie nigdy nie dysponował armią z prawdziwego zdarzenia, ale trzeba przyznać, że nawet Chisholmczycy Sharleyan musieli się wiele nauczyć na temat transportu lądowego, szczególnie kanałami. Okazaliście się, drodzy Siddarmarczycy, świetnymi nauczycielami w tym zakresie.

Parkair skłonił głowę na zgodę.

– Niestety, w miarę jak kanały są niszczone w trakcie wycofywania się obu stron, transport morski pozostaje jedynym rozwiązaniem. A kiedy lód stopnieje w przesmyku i wasze okręty zaczną znów szaleć na jego wodach, ci dranie spostrzegą, że znaleźli się między przysłowiowym młotem i kowadłem.

– O tak – potaknął Cayleb z uśmiechem.

Zaraz jednak spowaźniał, gdy Merlin wysunął jedno ciężkie krzesło od stołu i usadził na nim madame Pahrsahn.

– O tak – powtórzył cesarz. – Aczkolwiek to zbyt duże uproszczenie, zarówno z ich punktu widzenia, jak i z naszego. Możemy zaatakować wroga wyłącznie od przodu, o czym ów doskonale wie. – Skrzywił się, jakby ugryzł cytrynę. – Decyzja o przeniesieniu hrabiego Jedwabnych Wzgórz ułatwia nam sprawę, lecz to jeszcze nie znaczy, że te jego przeklęte umocnienia jakimś cudem znikną. Być może Walkyr nie okaże się równie dobrym obrońcą jak Armia Pana Wszechmogącego i Archaniołów, ale jedno nie ulega kwestii: jego ludzie będą walczyć zadziornie i pozbawią życia o wiele więcej naszych żołnierzy, niżbyśmy chcieli. – Urwał na chwilę. – Osobiście wolałbym, żeby Walkyr się tam zadomowił, zanim po cichu ściągniemy posiłki na brzeg przesmyku po prawej stronie barona Zielonej Doliny. A wtedy, po połączeniu Armii Hildermoss i nowego zaciągu z Chisholmu, dysponowalibyśmy siłami desantowymi, które moglibyśmy wysłać na brzeg Ziem Świątynnych... tak samo jak zrobiliśmy to okreśłą drogą z Corisandczykami w Manchyrze. Nie byli w stanie zebrać wystarczająco wielu ludzi, aby nas powstrzymać przed zaatakowaniem Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów bez odsłonięcia Kanału Świętego Langhorne'a. A że teraz nasz przeciwnik skierował praktycznie wszystkich żołnierzy w charakterze wsparcia dla sił hrabiego Tęczowych Wód na jego prawej flance, zabraknie mu rezerw, które mógłby wystawić przeciwko nam. Czyli znów powtórzy się sytuacja z Corisandu, której doświadczył generał Gahrvai.

– Zbyt piękne, aby było prawdziwe, prawda? – mruknął Parkair.

Cayleb pokiwał głową.

– Po pierwsze, nie możemy liczyć na to, że przekierują wszystkie siły na potrzeby Walkyry. Jak właśnie mówiliśmy, to, co dzieje się w Zatoce Dohlariańskiej, zmusi wroga do pewnego przewartościowania swojej logistyki. Niewykluczone, że dojdzie on do wniosku, iż powinien przerzucić raczej artylerię i amunicję aniżeli ludzi. Po drugie zaś... i ważniejsze... Góry Światła stanowią znacznie większą przeszkodę niż w przeszłości Mroczne Wzgórze. Poza tym jeśli nie odetniemy za wrogiem Kanału Świętego Langhorne'a, co i tak by znaczyło, że musielibyśmy przedrzeć się przez wrogi front w którymś miejscu, na pewno nie uda nam się wziąć Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów głodem, tak jak to uczyniliśmy w wypadku generała Gahrvaia. Jeżeli nie uda nam się wykończyć przeciwnika w polu przed

nastaniem zimy, albo przynajmniej połączyć się z siłami barona Zielonej Doliny za Górami Światła, żeby to nasi nie poumierali z głodu w trakcie zimy, trzeba będzie ich wycofać, a to nie będzie łatwe.

– Przyznaję, że akcja byłaby warta wysiłku, gdyby miała szansę powodzenia – powiedział sucho Stohnar, opadając na swoje miejsce za stołem. – Ale masz rację. Tyle rzeczy może pójść nie tak. Czasami po prostu lepiej przypuścić frontalny atak, nawet jeśli koszta mogą być wysokie. Na wojnie liczy się zwycięstwo. I będzie ono nasze, jeśli tylko nie zdarzy się cud, na który ci dranie nie zasługują, Caylebie.

– W pełni się z tobą zgadzam – potaknął cesarz Imperium Charisu, zajmując miejsce naprzeciwko. Pozornie nie zwracał uwagi na nieopuszczającego jego boku Merlina. – Niestety mam niemal pewność, że poniesiemy liczne straty. Szkoda, że hrabia Tęczowych Wód nie jest równie niekompetentny jak Kaitswyrth.

– Zdaję sobie sprawę, że księżę Harless podszedłby sceptycznie do moich następnych słów – wtrącił Parkair – niemniej uważam, iż raczej nie można oczekiwać, aby w jednym pokoleniu pojawiło się dwóch równie niekompetentnych dowódców jak wspomniany Kaitswyrth.

– Obawiam się, że to prawda – dodał Samyl Gahdarhd, strażnik pieczęci Republiki Siddarmarku.

– W takim razie bądźmy wdzięczni, że zdarzył nam się chociaż jeden taki – powiedziała Aivah.

– Gdyby trafił się kolejny, trzeba by się mocno zastanowić, po której stronie jest Bóg w tej rozgrywce – wymamrotał arcybiskup Dahnyld Fardhym. – Aczkolwiek ze zrozumiałych względów nie jestem w tej materii najbardziej obiektywnym człowiekiem...

Wszyscy roześmiali się cicho, a Stohnar pokazał zęby w uśmiechu.

– Co do tego niewątpliwie wszyscy się zgadzamy, Dahnyldzie – zwrócił się do arcybiskupa.

– Zdecydowanie – potwierdził Cayleb. – Skoro już przy tym jesteśmy, chciałbym się z wami podzielić jeszcze jedną wiadomością, zanim przejdziemy do analizy raportów nadesłanych przez księcia Eastshare, barona Zielonej Doliny i generała Stohnara.

– Masz na myśli inny dowód na to, że Bóg faworyzuje nas, a nie Clyntahna? – Lord protektor odchylił się na oparcie krzesła i skrzyżował nogi. – Takie wiadomości są zawsze mile widziane, Caylebie!

– Cóż, właściwie... Wiadomość powinien raczej przekazać Merlin... albo Aivah. – Cesarz zatoczył ramieniem koło, wskazując wymienione osoby. – Chodzi o szpiegowską gadkę, o której wspomniał Daryus, rozumiecie.

– Rozumiemy – przytaknął Henrai Maidyn, skarbnik Republiki Siddarmarku, a zarazem także jej naczelny szpieg.

Maidyn był nieustannie zdziwiony – mile, ale jednak zdziwiony – niezwykłą wydajnością charisjańskiej statki szpiegów, wspieranej przez *seijinów*. Jak na razie zachwycała go ta sprawność, wszakże miał świadomość tego, że z chwilą zakończenia wojny z Grupą Czworoga nawet najbardziej zaprzyjaźnieni sojusznicy będą musieli zacząć mieć wzajemnie na siebie oko. Albowiem wraz z końcem świętej wojny rozgrywka na szczytach władzy nie ustanie, zmieniają się tylko jej gracze. Z tego powodu Maidyna martwiła możliwość, że również wtedy, w wypatrywanej z utęsknieniem przyszłości, charisjański wywiad będą wspierać *sejinowie*.

– Madame Pahrsahn? – przerwał milczenie Stohnar.

– Nasi agenci donoszą, że rada Dohlaru, a przynajmniej dwaj jej najważniejsi członkowie, księżę Fernu i księżę Saltharu, nie tak całkiem się poddają żądaniom Grupy Czworoga – zaczęła Aivah. – Ich opór trudno uchwycić. Z całą pewnością nie sprzeciwiają się Świątyni otwarcie. W każdym razie Clyntahn chciałby, aby generał Rychtyr został usunięty ze stanowiska dowódcy Armii Seridahn na rzecz kogoś mniej agresywnego. Z kolei księżę Fernu i księżę Saltharu wzięli generała Rychtyra w obronę. Co więcej, przekabacili w tej sprawie księcia Thorastu, i to mimo że hrabia Hanthu wkroczył w głąb jego księstwa.

– Chyba cieszy mnie nowina, że księżę Fernu i jego kompani nareszcie wyhodowali sobie wystarczająco duże jaja... Madame Aivah zechce mi wybaczyć to sformułowanie... i są gotowi przestać lizać dłoń Clyntahna jak jakieś szczeniaczki! – warknął Stohnar. – Z drugiej strony nie mam nic przeciwko temu, żeby zastąpili Rychtyra kimś bardziej agresywnym. Hrabia Hanthu schrupałby go na śniadanie tak czy siak!

– To prawda – potaknęła z uśmiechem Aivah. – Niemniej to tylko jedna z wiadomości. I nawet nie najważniejsza... Mamy sygnały... podkreślam: sygnały, nic więcej... że hrabia Thirsku i generał Ahlverez

być może rozpatrują strategię wyjścia w oderwaniu od osoby księcia Fernu.

Lord protektor wyprostował się gwałtownie na krześle, a seneszał otworzył szerzej oczy.

– Naprawdę? – zapytał Stohnar po chwili milczenia. Aivah potaknęła skinieniem, na co Stohnar z kolei zmarszczył czoło. – Wspomniałaś, że to tylko sygnały. Jak silne twoim zdaniem?

– Pewne jest, że odbyli już kilka spotkań ze sobą – odparła. – Biorąc pod uwagę wzajemną niechęć między nimi, poprzedzającą kampanię Shiloh, już samo to wiele mówi. Fakt, że się spotkali, i to po kryjomu, gdy Kościół Matka spogląda na wszystko czujnym i chmurnym okiem, a wiadomy los spotkał rodzinę hrabiego Thirsku, musi mieć nie lada znaczenie. Jeszcze ważniejsze zaś jest to, kto doprowadził do tych spotkań.

– Ach tak? – Maidyn zainteresował się nagle. – Mianowicie kto taki?

– Staiphan Maik – rzuciła Aivah jakby nigdy nic.

Parkair zaklął pod nosem.

– Intendent hrabiego Thirsku? – sprecyzował Stohnar, jak gdyby chcąc się upewnić, że nie przesłyszał się tym razem.

– Owszem. – Aivah skinęła głową. – Wszystko wskazuje na to, że Maik pękł po tym, co przytrafiło się bliskim hrabiego Thirsku. – Ton głosu miała poważny. – Może i jest schuelerytą, ale najwyraźniej przynależność do Zakonu Schuelera nie pozbawiła go sumienia, jak to miało miejsce w wypadku wielu innych współpracowników Clyntahna.

– Pomijając to, co przytrafiło się rodzinie hrabiego Thirsku – wtrącił Merlin – i jaki wpływ wywarło na Maika, człowiek ten jest duszpasterzem na wskroś. Czuje się odpowiedzialny nie tylko za duchowość członków Królewskiej Floty Dohlaru. Myślę, że na sercu leży mu los całego królestwa, w razie gdyby sprawy nie zmieniły kursu.

– I bardzo słusznie – rzekł ostro Parkair. Wszyscy Charisjanie wbili w niego wzrok, on zaś wzruszył ramionami. Wcześniejsze rozbawienie seneszala zniknęło całkowicie. – Nie zapominajmy, skąd się wzięła większość Armii Shiloh... a przynajmniej jej najskuteczniejsza część. Nie zapominajmy także, co Rychtair zrobił w Marchii Południowej, a Ahlverez w Alyksbergu. Obaj wbili nam w plecy sztylet, i to całkiem ostry. Prawdą jest to, co powiedziała twoja małżonka w przemówieniu

opublikowanym we wszystkich gazetach, wasza wysokość – zwrócił się do Cayleba. – Takie czyny mają swoją cenę.

– Nie przeczę temu – powiedział Cayleb po krótkiej chwili zastanowienia. – Myślę jednak, że wszyscy musimy przyznać, iż Królewska Armia Dohlaru, tak samo jak Królewska Flota Dohlaru... pomijając to, co przydarzyło się Gwyllymowi i reszcie... pogrywała mimo wszystko czyściej niż Armia Boga czy wojska Desnairu.

Ostatnie zdanie zabrzmiało raczej jak pytanie, a w dodatku Cayleb uniósł lekko brew, popatrując na seneszala.

– Jest duża różnica między „czyściej” i „czysto”, wasza wysokość – burknął Parkair. Moment później nadał nozdrza, biorąc głęboki oddech. – Tak czy owak, masz słuszność. Jest dokładnie tak, jak powiedziałaś: nie wolno nam stracić choćby jednego człowieka więcej, niż jest to absolutnie konieczne. Skoro pojawiła się szansa na wykluczenie Dohlaru z wojny, chyba powinniśmy ją wykorzystać.

– Cokolwiek będzie się działo, nie jest to decyzja na już – wtrąciła Aivah, praktyczna jak zwykle. – Niemniej powinniśmy mieć ją na uwadze. Tymczasem uważam, że należy rozważyć implikacje wyrzucenia Dohlaru poza nawias.

– Implikacje? – powtórzył Gahdarhd takim tonem, jakby się domyślał, do czego zmierza madame Pahrsahn.

Kobieta skinęła potakująco głową.

– Tak, implikacje. Po tym, jak baron Sarmouth wygrał pod mielizną Shipworm, a szczególnie po tym, jak *Gwyllym Manthyr* wzmocnił eskadry hrabiego Sharpfieldu i barona Sarmouth dalej na wschodzie, Dohlar zostanie w praktyce wyeliminowany z gry, tak jak się to stało z Desnair. Teoretycznie hrabia Hanthu mógłby poprzestać na Shandyrze i ograniczyć się do defensywy, i nawet wtedy Dohlar, a także Harchong Południowy nie byłyby w stanie uczynić nic, co by zapobiegło wydarzeniom w prowincjach Tarikah i Skalistego Klifu tego lata. Dopóki Dohlar, przynajmniej w założeniu, nadal uczestniczy w świętej wojnie, może to nie być czytelne dla każdego... co jednak będzie, gdy Dohlarianie oficjalnie wycofają się ze świętej wojny? Chyba wszyscy się zgadzamy co do tego, że zależy nam na jasnej deklaracji, która będzie zrozumiała dla wszystkich stron, a nie na jakimś tam „no to przestajemy brać udział w walkach”, jak to było w przypadku Desnairu. – Powiodła

wzrokiem po twarzach wszystkich zebranych, a kiedy dostrzegła w ich oczach aprobatę, podjęła: – Taki ruch ze strony kontynentalnej domeny... w gruncie rzeczy akt złożenia broni... z pewnością wywarłby wielki wpływ na morale mieszkańców Krain Granicznych, Harchongu Północnego, a także Ziem Świątynnych. Clyntahn bez wątpienia będzie szalał z gniewu i ciskał anatemy na każdego, kto się nawinie, jednakże wątpię, aby miał się posunąć do przykładowego ukarania wybranych Dohlarian, którzy „zdradzili Kościół Matkę”. – Urokliwa twarz madame Pahrsahn wykrzywiła się w brzydkim wyrazie niesmaku. – Coś takiego będzie też gorzką pigułką do przełknięcia dla hrabiego Thirsku i Ahlvereza. Jakkolwiek Clyntahn się zachowa, nie zdoła ukryć, że najskuteczniejszy sojusznik Kościoła Matki, sojusznik z kontynentu, a nie z którejś wyspowej domeny zamieszkaney przez barbarzyńców, ba, sojusznik, którego flotę Grupa Czworoga określiła mianem godnej Cesarskiej Floty Charisu, że ten sojusznik wycofał się z gry. W takiej sytuacji, na moje oko, zarówno hrabia Thirsku, jak i Ahlverez oraz być może nawet Maik wyprą się Grupy Czworoga, otwarcie przyznając, że jej członkowie są winni zepsucia w łonie Kościoła Matki, co jak wiemy, jest prawdą.

Zakończyła dobitnie, co Stohnar skwitował zdecydowanym skinieniem głowy.

– Racja – powiedział. – Zgadzam się z Daryusem w sprawie ceny za wcześniejsze działania Dohlaru. Zresztą chyba nie jesteśmy odosobnieni w swojej opinii. Jeśli ci trzej odważą się otwarcie wyprzeć Clyntahna i jego kumpli, będzie to spory zadatek na poczet sumy, o której myślimy. Takie jest moje zdanie.

– Wiem, że niełatwo to zaakceptować – przyznał półgłosem Cayleb. – Szczerze powiedziawszy, ani dla mnie, ani dla Sharleyan nie będzie to łatwy wybór. Dlatego nie zamierzam nic robić, dopóki hrabia Thirsku i Ahlverez nie zdecydują się na podjęcie działań i nie wprowadzą w życie swoich planów. Możecie mi zaufać – dodał ponurym tonem – jeśli ich próba się nie powiedzie, Clyntahn sprawi, że cały Dohlar słono za to zapłaci, więcej nawet, niżbyśmy sobie życzyli.

– Otóż to, wasza wysokość – zgodził się Fardhym. Arcybiskup miał zafrasowaną minę; powodem były nie toczące go wątpliwości, lecz obawa o życie ludzi, którzy byli dziećmi Boga Jedynego bez względu na kraj pochodzenia. – Chyba nikogo nie urażę, mówiąc, że kilka kolejnych wśród

spędzę na modlitwach za nich i za powodzenie ich planu.

– Jestem pewien, że Maikel będzie robił to samo w Tellesbergu – powiedział Cayleb. – Niestety nie dysponuję takimi kontaktami jak wy dwaj, niemniej i tak chyba też padnę na klęczki, aby dołączyć się do waszych modlitw.

Po tych słowach zapadła cisza, która trwała kilka długich sekund, aż wreszcie Stohnar poprawił się na krześle i odetchnął głęboko.

– To były chyba najlepsze wieści, jakie słyszałem ostatnimi czasy – przyznał. – Tak się jednak składa, że na terenie Republiki Siddarmarku mamy pewne problemy. Tak więc lepiej przejdźmy do tych raportów z północnego frontu, jeśli chcemy skończyć przed kolacją. Pierwsze, co chciałbym przedyskutować, to sytuacja zaopatrzeniowa Armii Tarikah. Wiem, że baron Zielonej Doliny nie zgłaszał zastrzeżeń, lecz...

Pewna część gapiów wyległych na przystań ma poważne kłopoty z uwierzeniem własnym oczom, pomyślał hrabia Sharpfieldu. Nie dziwiło go to. Sam także nie wierzył w to, co widział.

HMS *Gwylm Manthyr* odczekał, aż zrobi się widno, zanim przeciął Cieśninę Muszli, a następnie przez Kanał Północny popłynął do zatoki Hardship. Wybór padł na Kanał Północny, gdyż ten był szerszy i nieco głębszy niż kanał Wąż, a Halcom Bahrns ani myślał osadzić swój wspaniały okręt na mieliźnie. Mimo znacznych rozmiarów jednostka ta była zanurzona tylko o trzy stopy głębiej niż kanonierka klasy Rottweiler, czemu jednak trudno było dać wiarę, patrząc na nią. Dlatego hrabia w żaden sposób nie winił Bahrnsa za podjętą decyzję.

Powitalne salwy armatnie rozległy się na brzegu, na co wpływająca jednostka odpowiedziała oddaniem salwy z bakburtowych czterocalówek. Okrzyki wznoszone przez ludzi na lądzie zlewały się w jedno z salwami i nawet hrabia Sharpfieldu, zapominając o godności wiążącej się z jego stanowiskiem, dołączył do chóru gapiów. Oczywiście w tych okolicznościach nikt nie miał mu tego za złe.

Gigantyczny szary potwór sunął po wodach zatoki z majestatycznym wdziękiem, tnąc niewielkie fale. Nikt, kto go widział, nie mógł mieć cienia wątpliwości, że oto jest pogromca Królewskiej Floty Dohlaru.

Hrabia Sharpfieldu nie był wyjątkiem; pod pewnymi względami jednak cieszył się bardziej od innych, że *Gwylymowi Manthyr* towarzyszą dalsze cztery kolumny dymu.

Każda unosiła się nad jednostką tylko o dwadzieścia stóp krótszą niż HMS *Gwylym Manthyr*. Nie były to okręty wojenne. Co więcej, żaden z wysokich kadłubów nie był opancerzony. Ich jedyny sposób obrony polegał na prędkości – nie było na Schronieniu okrętu wojennego, który by je doścignął. Mimo to pod wieloma względami były dla wrogów Imperium Charisu jeszcze groźniejsze niż HMS *Gwylym Manthyr*.

Zwycięskie okręty. Tak ochrzcił je cesarz Cayleb, po tym jak książe Delthaku, który podówczas wciąż był tylko zwykłym mistrzem Ehdwyrdem Howsmynem, wystąpił z propozycją ich projektu. Nazwa pasowała do nich jak ulał. Jednostki, na które patrzył teraz hrabia Sharpfieldu, tak naprawdę były pierwszymi oceanicznymi frachtowcami napędzanymi siłą pary. Wszystkie cztery, tak samo jak dalsza ósemka, która płynęła za nimi, miały stalowe szkielety, ale drewniane poszycie. Kolejna partia, która była już na ukończeniu, miała mieć zarówno stalowe kadłuby, jak i stalowe wręgi. Plan zakładał, że będą one nawet szybsze niż pierwsze egzemplarze, lecz hrabia Sharpfieldu nie zamierzał się skarżyć. Każda taka jednostka mogła przewieźć w swoich ładowniach ponad tysiąc ton ładunku, czyli pięć razy więcej niż największy galeon na Schronieniu. Dystans wchodzący w grę wynosił dziesięć tysięcy mil przy stałej prędkości trzynastu węzłów, bez względu na warunki atmosferyczne, w tym siłę wiatru. Potrzeba do tego było tylko jednej ładowni węgla.

Hrabia Sharpfieldu nie wiedział dokładnie, co płynące jednostki miały na swoim pokładzie, ponieważ – tak samo jak HMS *Gwylym Manthyr* – przemieszczały się one szybciej niż nadane z portu matki wiadomości. Miał tylko jakieś takie pojęcie na temat załadunku, ale to wystarczyło, aby uśmiechał się do siebie pod nosem.

HMS *Gwylym Manthyr* zwolnił jeszcze bardziej, gdy Bahrns zarządził całą wstecz. W końcu okręt zatrzymał się na spokojnych wodach zatoki. Moment później wytrysnęła w górę fontanna białej piany, gdy marynarze rzucili kotwicę.

No, przyszła pora, abym obejrzał swoją nową zabawkę, pomyślał hrabia Sharpfieldu, zstępując po stopniach. A nie ma jeszcze Dnia Boga!

Zachichotał na tę myśl, przelotnie jednak, gdyż momentalnie opanowała go znów powaga.

Hmm, może to nie do końca tak... Dzień Boga przypada dopiero w lipcu, ale przecież Pismo naucza nas, że każdy dzień jest dniem Boga Jedyneho. A Ów właśnie pokazuje tym draniom w Syjonie, po czyjej tak naprawdę jest stronie. HMS Gwylym Manthyr tylko powtórzy ten przekaz, gdy znajdzie się w zatoce Gorath. Wtedy wszystko będzie jasne dla wszystkich.

.VI.
Obóz Mahrtyna Taisyna
Traytown
Prowincja Tarikah
Republika Siddarmarku

Nie podoba mi się to, co słyszę, o tych przeklętych rakietach, Kyncie – oznajmił cicho Ruhsyl Thairis. Było chłodne popołudnie, a księżę Eastshare i baron Zielonej Doliny jechali konno trudno przejezdną teraz drogą Dahltyna Sumyrsa, prowadzącą na wskroś rozległego obozu Mahrtyna Taisyna. Kierowali się ku budynkowi kwatery barona. – Jeśli naprawdę są takie dobre, jak to sugerują *seijinowie* w swoich raportach, oberwiemy w tym roku gorzej niż w poprzednim.

– Owszem – zgodził się z nieszczęśliwą miną baron Zielonej Doliny. Przy każdym zdaniu z ich ust dobywały się obłoczki pary. – Postawmy jednak sprawę jasno, Ruhsylu. Wiemy to nie od dziś. Cóż, przyjdzie nam zapłacić wyższą cenę, niż myśleliśmy. Powinniśmy się jednak cieszyć, że wieści o tych rakietach dotarły do naszych uszu.

– Oraz z tego, że księżę Delthaku wyposażył nas w rakiety własnej produkcji – dopowiedział księżę Eastshare, kiwając energicznie głową.

– Właśnie. W dodatku to załamanie pogody da nam co najmniej kilka pięciodni na dostarczenie ich na front.

– Brawo! To się nazywa zdrowe podejście! Musimy dostrzegać dobre strony wszędzie, gdzie się tylko da. – Księżę Eastshare roześmiał się z kwaśną miną.

– Człowiek nie ma wpływu na pogodę; może ją co najwyżej przeklinać.

– Baron Zielonej Doliny zacytował stare chisholmskie przysłowie. – Skoro ta zima nie chce odejść i znów musimy się mierzyć z kilkustopową pokrywą śnieżną, niech to przynajmniej na coś się przyda!

– Święte słowa.

W końcu dobrnęli pod drzwi kwatery. Eskortujący ich żołnierze

zacieśnili wokół nich szyki. Eskorta nie należała do najmniej licznych, gdyż Cesarska Armia Charisu ani myślała ryzykować życie dowódców – ostatnia (na szczęście nieudana) próba zamachu na księcia Eastshare miała miejsce przed niecałymi trzema miesiącami. Baron Zielonej Doliny znalazł się w niebezpieczeństwie ponad rok temu i od tamtej pory nie musiał się o siebie bać, gdyż – choć wciąż nie brakowało fanatyków gotowych porwać się na misję samobójczą – ochrona barona nie miała sobie równych. Po tym, jak przez dłuższy czas nikomu nie udało się doń zbliżyć na mniej niż sto jardów, Wyllym Rayno uznał, że z pożytkiem dla świętej wojny będzie zaangażowanie ochotników tam, gdzie mieli choćby śladowe szanse powodzenia.

Obaj dowódcy zeskoczyli na ziemię z siodeł dopiero wtedy, gdy kapitan straży przybocznej dał im na to przyzwolenie. Oddawszy wodze w ręce adiutantów, zaczęli wspinać się po schodkach prowadzących na zasypany śniegiem ganek kwatery głównej. Kapitan Bryahn Slokym, który zdążył oddać wierzchowca barona pod opiekę stajennego, wyprzedził ich dziarskim krokiem i otworzył przed nimi z rozmachem drzwi. Następnie odstąpił na bok, stanął na baczność i zasalutował.

– Kapitanie – zwrócił się do niego książę Eastshare, odwzajemniając salut. – Gratuluję awansu.

Uśmiechnął się do niego i poklepał go po ramieniu.

– Dziękuję, wasza dostojność – odparł Slokym, po czym ruchem brody wskazał krocącego w ślad za księciem majora. – Nie ja jeden wszakże ostatnio awansowałem. To chyba częsta przypadłość u bezpośrednich podwładnych dowódców.

– Naprawdę? – zapytał major Lywys Braynair, udając, że robi wielkie oczy ze zdziwienia.

Wymienili ze Slokymem uścisk przedramion, po czym ten drugi powiedział:

– Tak przynajmniej słyszałem, sir.

– No, Kynt, zanadto pozwalasz swawolić swojemu adiutantowi – zauważył książę Eastshare, obdarzając kapitana chmurnym spojrzeniem.

– A ty niby trzymasz Lywysa krótko? Jeśli tak, chętnie się tego od ciebie nauczę – odpowiedział z niewinną miną baron Zielonej Doliny.

– Cóż, przypuszczam, że dopóki będą się wywiązywać ze swoich

obowiązków... i dopóki nie zabraknie im dla nas gorącej czekolady albo chociaż tej barbarzyńskiej herbaty fasolowiśniowej... pozwolę im zachować obecne stopnie – odparł książe.

Słokym wykonał zapraszający gest ręką i przytrzymał skrzydło drzwi, przepuszczając przełożonych przodem. Następnie dołączył do obydwu w gabinecie barona Zielonej Doliny, gdzie – niespodzianka! – czekały już kubki z gorącą czekoladą i herbatą fasolowiśniową. Nie wspominając rzecz jasna o świeżych pączkach.

– No, to rozumiem – mruknął książe Eastshare, kiedy obaj dowódcy rozdiali się już z płaszczy, kapeluszy, rękawiczek i szalików. Przez moment chuchał w złączone dłonie, po czym usadowił się na krześle i z wdzięcznością przyjął z rąk swego adiutanta kubek gorącej czekolady.

Baron Zielonej Doliny parsknął śmiechem i także zajął swoje miejsce.

Pod wieloma względami ich dzisiejsze spotkanie było czystą formalnością. Książe Eastshare pozostawał na bieżąco z najaktualniejszymi planami, do których dorzucił i swoje trzy grosze. Obydwaj mieli na ich opracowanie znacznie więcej czasu, niżby sobie życzyli. Nie wspominając o tym, że hrabia Tęczowych Wód zmusił ich dwóch do wprowadzania ciągłych zmian i ulepszeń.

Cokolwiek powiedzieć, nie ma to jak rozmowa twarzą w twarz. Nawet najstaranniej napisana wiadomość mogła być przyczyną nieporozumienia, a bez kontaktu osobistego takie nieporozumienie bardzo trudno odkręcić. To akurat Ruhsyl Thairys rozumiał doskonale i baron Zielonej Doliny był mu za to wdzięczny, darząc przełożonego tym większym szacunkiem. Książe Eastshare nie był członkiem wewnętrznego kręgu. Nie miał dostępu ani do SAPK-ów (których raporty *seijinowie* przekazywali mu wprawdzie na bieżąco, aczkolwiek nie w czasie rzeczywistym), ani do komunikatorów, dzięki którym członkowie wewnętrznego kręgu mogli porozumiewać się ze sobą w dowolnej chwili. Baron Zielonej Doliny miał nad księciem Eastshare zarówno pierwszą, jak i drugą przewagę, ale musiał przyznać, że książe radzi sobie doskonale i bez nich. Doskonale, a może nawet jeszcze lepiej.

A że książe Eastshare miał świadomość wagi przeprowadzanych w cztery oczy konferencji, dokonał objazdu wszystkich kwater swoich dowódców. Co – należy dodać – w okresie zimowym w tym zakątku świata było nie lada wyczynem. Oczywiście najważniejsza rozmowa

czekała go w obozie Taisyna. Jak tylko tutaj skończą, przemieści się do swej kwatery głównej w Glacierheart, co zabierze mu pełne trzy pięciodnie, mimo łodzi i kanałów oraz ciągnionych przez śnieżne jaszczury sań i utrzymanych w dobrym stanie traktów.

Niewykluczone, że te trzy dodatkowe pięciodnie zaowocują czymś przydatnym, pomyślał baron Zielonej Doliny.

Odchylił się na oparcie krzesła, ujął w jedną dłoń kubek z herbatą fasolowiśniową, w drugą zaś pączka i zapatrzył się na ścienną mapę. Zawierała ona mnóstwo przydatnych informacji. Pierwszy lepszy szpieg Inkwizycji dałby sobie odjąć ramię, byle móc ją przestudiować i zrobić notatki. Tymczasem spojrzenie barona Zielonej Doliny stało się bardziej drapieżne, gdy oczami podążył na południe, ku frontowi ciągnącemu się od przesmyku Hsing-wu aż do Zatoki Dohlariańskiej.

Zwodniczy plan Nahrmahna Baytza okazał się trafniejszy, niżby zmarły Szmaragdczyk mógł sobie życzyć, nawet biorąc pod uwagę, że człowiek ten nie był najbardziej skromną osobą na Schronieniu, aby ująć rzecz delikatnie.

Baron Zielonej Doliny żywił wielki szacunek dla Gustyva Walkyra. Ten arcybiskup polowy nie był tylko niezwykle inteligentnym mężczyzną i bystrym dowódcą; był także człowiekiem o głębokim współczuciu, kimś, kogo niezmiernie martwiło, iż musi toczyć taką, a nie inną wojnę. Baron Zielonej Doliny był wręcz gotów uznać, iż bardzo dobrze świadczył o Allaynie Maigwairze fakt, że ktoś taki jak Walkyr jest oddany głównodowodzącemu siłami Kościoła Matki także na osobistym poziomie. Zwłaszcza że Walkyr musiał wiedzieć, że Zhaspahr Clyntahn ma oko na Maigwaira.

Baron spodziewał się, że Walkyr zrobi dobry użytek ze swojej pozycji, swoich umocnień, swojej artylerii i wyrzutni rakiet – lepszy niż ktokolwiek inny. Przyznawał jednak zarazem, że hrabia Jedwabnych Wzgórz nie zachowałby się inaczej na jego miejscu, przy czym ludzie Walkyra, jakkolwiek lojalni i waleczni, nie mogli się jednak równać z ludźmi hrabiego Jedwabnych Wzgórz. Albowiem niedawni harchońscy chłopci pańszczyźniani minione dwa lata spędzili na prześciganiu swoich mistrzów, w efekcie czego posiadli umiejętności, o jakich przeciętny Chłopiec Świątyni mógł tylko pomarzyć. Naturalnie wyszkolenie pozostawiało wciąż wiele do życzenia, a nowym żołnierzom brakowało

wyrafinowania, jakim charakteryzowały się dawne oddziały Armii Boga – z całą pewnością umiające działać zarówno jako część większej całości, jak i pojedyncza jednostka bojowa. Niemniej w obecnej chwili to właśnie Harchończycy stanowili prawdziwy trzon Armii Boga, a ich wytrzymałość i zwartość czyniła z nich nadzwyczaj trudnego przeciwnika. Harchońscy żołnierze wierzyli we własne siły, mieli zaufanie do przydzielonej im broni, a także szanowali swych oficerów, co niewątpliwie było zasługą hrabiego Tęczowych Wód, albowiem żaden Harchończyk nie szafował szacunkiem zbyt łatwo. Cechował ich upór w każdych okolicznościach, przede wszystkim jednak pragmatyzm.

Baron Zielonej Doliny byłby o wiele szczęśliwszy, gdyby Armia Pana Wszechmogącego i Archaniołów czuła pewność, że wygra. Coś takiego bowiem może się obrócić przeciwko każdej armii. Przytłaczający tryumf, taki jak odniesiony przez niego samego, gdy w porę zapobiegł przedarciu się Bahrnabaia Wyrshyma przez Przełęcz Sylmahna, uczynił znacznie więcej złego nadmiernie pewnej swego armii, aniżeli uczyniłby wojsku liczącemu się z rzeczywistością.

Armia Pana Wszechmogącego i Archaniołów stąpała twardo po ziemi, trudno więc ją było oskarżać o nadmierną pewność siebie, aczkolwiek należało przyznać, że daleka jest również od zakładania przegranej. Jednym z najznacześniejszych dokonań hrabiego Tęczowych Wód – a Bóg Jedyńy świadkiem, że człowiek ten miał na koncie więcej dokonać, niżby baron Zielonej Doliny sobie życzył – było stworzenie armii, która nadal wierzyła w zwycięstwo, i to mimo świadomości, że spotka się w polu z wrogiem, który ma lepsze wyposażenie i większe doświadczenie bojowe. Już samo to byłoby wystarczająco złe z punktu widzenia barona Zielonej Doliny, jednakże hrabia Tęczowych Wód na tym nie poprzestał. Za przykładem sir Fahstyra Rychtyra, któremu udało się spowolnić marsz Hauwerda Breygarta, wpoił swoim podwładnym przekonanie, że nawet wycofujące się wojsko może wypełnić swoją misję. Jednym słowem: nawet fakt konieczności oddania pola nie oznaczał, że armia została pokonana, przynajmniej dopóty, dopóki zachowała ona zwarte szeregi i wolę walki, a wycofanie się z pola walki nie było w gruncie rzeczy ucieczką, lecz powodem do znalezienia nowych pozycji, umożliwiających podjęcie dalszych działań. Tym sposobem przekonał swoich podwładnych, że tak długo, jak istnieje armia, tak długo, jak stanowi ona stronę w wojnie, wypełnia misję obrony Boga Jedyńego.

Bardzo żałuję, pomyślał baron Zielonej Doliny, że hrabia Tęczowych Wód uświadomił sobie, że defensywa bywa najlepszą ofensywą, jeśli jest prowadzona umiejętnie – trudno jednak spodziewać się czegoś innego po człowieku równie inteligentnym. Cóż, nie mam innego wyjścia, jak tylko pogodzić się z tym faktem. Dlaczego jednak ten skurczybyk zdołał do tego przekonać całą swoją armię? To za dużo nawet jak dla mnie.

Cokolwiek jeszcze przyniesie przyszłość, trudno było oczekiwać, że Armia Pana Wszechmogącego i Archaniołów rozsypie się ot tak. Bardziej prawdopodobne było to, że jej następnym ruchem będzie pełne oporu, waleczne wycofanie się trasami, które podwładni hrabiego Tęczowych Wód, a dowódcy poszczególnych oddziałów, zakreślili wyraźnie na mapie. A to niestety wiązało się z możliwością, że wielu Charisjan i Siddarmarczyków przy tym ucierpi. Kynt Clareyk nie mógł nie podziwiać dowódcy, który zwalczył uprzedzenia dotyczące swego pochodzenia i zyskał poważanie wśród niedawnych chłopów pańszczyźnianych, stuleciami i od pokoleń wykorzystywanych przez rodziny takie jak jego, co poskutkowało stworzeniem trzonu Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów z praktycznie niepiśmiennego chłopstwa – aczkolwiek bynajmniej nie musiało się to mu podobać.

Głównie z tego względu tak się cieszył, że propozycja Nahrmahna zadziałała. W momencie gdy ofensywa Sprzymierzonych się rozpocznie, dywizje Armii Boga pod dowództwem Gustyva Walkyra, wspierane przez sto pięćdziesiąt tysięcy chłopów pańszczyźnianych z Krain Granicznych, będą pilnować długiego na prawie dziewięćset mil frontu Kościoła Matki, poczynając od południowego krańca Wielkiego Lasu Tarikah, a kończąc na wznoszących się na północy Górach Czarnej Wyverny. Jego ludzie będą po obu stronach wspierani przez Harchończyków, którzy okazali się słabym ogniwem sił obronnych Kościoła Matki. Naturalnie Sprzymierzeni zamierzali to wykorzystać; sam baron Zielonej Doliny wprost nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie wkroczy do akcji. Przewidywał, że nadchodząca kampania okaże się jedną z bardziej krwawych w historii świętej wojny, przynajmniej po stronie Imperium Charisu, zarazem jednak miał nadzieję, że będzie to kampania decydująca, która przesądzi o wszystkim bez względu na to, co uczyni – lub czego nie uczyni – Taychau Daiyang. W każdym razie baron Zielonej Doliny i jego ludzie byli przygotowani na praktycznie każdą okoliczność.

Lód na kanałach topniał, kanonierki Cesarskiej Floty Charisu, w tym oryginalne okręty klasy Delthak, już niebawem znów zaczną pływać po rzekach i kanałach na tyłach armii, a pierwsze kanałowe napędzane parą barki wkroczą do akcji wraz z roztopami. Przesmyk Hsing-wu powinien być znów spławny w ciągu następnych trzech czy czterech pięciodni – czego flota nie mogła się doczekać. Galeony i kanonierki klasy City w liczbie sześciu gotowe były pokonać przesmyk natychmiast, jak tylko przyjdą rozkazy zdobycia, spalenia bądź zniszczenia każdego ładunku, na jaki trafią. A jeśli nie będzie żadnych zapasów do przejęcia, równie dobrze będą mogły zabawić się z przybrzeżnymi szlakami Świątyni znajdującymi się pod ochroną baterii rozmieszczonych w co większych zatoczkach wzdłuż cieśniny.

Zupełnie jak księżę Eastshare, był mocno nieszczęśliwy z powodu nowych rakiet, których projekt opracował i wdrożył do produkcji Lynkyn Fultyn, chcąc doposażyć artylerię Kościoła Matki. Tak samo nie podobało mu się, że odkąd odlewnie Kościoła Matki zaczęły wreszcie produkować stal dobrej jakości, przybyło na froncie dział polowych i kątowych, a także prostych moździerzy. Mimo wszystko to artyleria barona Zielonej Doliny miała większą moc – relatywnie i faktycznie – w porównaniu z artylerią Świątyni. Praktycznie cała charisjańska piechota została wyposażona w zaopatrzone w magazynki karabiny M96, natomiast więcej niż połowa żołnierzy piechoty Republiki Siddarmarku miała znów do dyspozycji zapadkowe mahndrayny, z czego jedna trzecia przeszła konwersję już na miejscu. Sahndrah Lywys wymyśliła także pociski wypełnione materiałem D, które niebawem miały wejść do produkcji, aczkolwiek raczej nie było szans, aby znalazły się na wyposażeniu jego oddziałów w początkach kampanii. Nie można było też zapomnieć o tym, że jedna trzecia amunicji używanej przez piechotę była bezdymna, co z pewnością miało się okazać przykrą niespodzianką dla Świątyni.

Tymczasem wytwórnice w Siddarmarku zyskały drugie życie po akcji Miecz Schuelera, dzięki czemu ich produkcja znów zaczęła się piąć w górę. Siddarmarckie wersje broni zaprojektowanych przez Charisjan, jak również prototypy, które niczego nie zawdzięczały Imperium Charisu, powoli przedostawały się na pole bitwy, i to w coraz większej liczbie. Baron Zielonej Doliny bardzo się cieszył z rosnących liczb, ale przede wszystkim cieszyło go, że Siddarmarczycy złapali „bakcyła

innowacji”, jak mówił o tym Merlin. Jednym z powodów tej radości był Ahntahn Sykahrelli.

Sykahrelli, rzemieślnik pracujący w manufakturze prowincji Midhold jeszcze przed akcją Miecz Schuelera, zaciągnął się do Armii Republiki Siddarmarku, zanim pierwszy członek piechoty morskiej Imperium Charisu postawił stopę na przystani Siddaru. Od tamtej pory przeszedł wszystkie szczeble kariery, aż w końcu osiągnął stopień majora i nareszcie mógł zastosować swoją wiedzę techniczną z pożytkiem dla artylerii. Czegóż to nie zdążył się naoglądać! Podczas kampanii w Przełęczy Sylmahna był tylko sierżantem, lecz po tym, jak wszyscy oficerowie jego baterii zostali ranni lub zabici, objął dowodzenie nad swoją jednostką, która to stała się kluczowym elementem ostatniej linii artylerii pilnującej frontu pod Seraborem, dopóki baron Zielonej Doliny nie dotarł na miejsce z posiłkami dla Trumyna Stohnara. Poprowadził niedobitki co najmniej trzech baterii, liczące ogółem tyle, ile trzeba, by sformować jedną pełną baterię, w czego wyniku został awansowany na kapitana i udekorowany Krzyżem Odwagi, najwyższym odznaczeniem w Siddarmarku.

Nic dziwnego, że człowiek o takim doświadczeniu w lot pojął implikacje wynikające z faktu, że Świątynia wprowadziła na pole bitwy nowy rodzaj rakiet. Zarazem poczuł się tym faktem zainspirowany do tego stopnia, że – z użyciem lepszych materiałów wybuchowych oraz lywysitu, dostarczonego przez Charisjan – opracował projekt ręcznych rakiet. Pierwotna wersja była na tyle lekka, że można ją było oprzeć o ramię i strzelać w pojedynkę, pod warunkiem że zapanowało się jakoś nad odrzutem. Baron Zielonej Doliny nie miał cienia wątpliwości, że raczej prędzej niż później znajdzie się na to sposób – nawet jeśli nie wpadnie na niego sam Sykahrelli, pomocą posłuży ktoś z zakładów w Delthaku. Na razie jednak kazał zwiększyć rozmiary nowej broni i przystosować ją do użycia zespołowego, gdyż grzechem byłoby nie wykorzystać czegoś równie mobilnego i potężnego. Poza tym była szansa na całkiem sporą liczbę tych rakiet w dość krótkim czasie, co musiało utrzymać nosa zarówno Chłopcom Świątyni, jak i Harchończykom.

O tak, pomyślał, odrywając wreszcie wzrok od mapy i przenosząc go z powrotem na przełożonego. Ani jednym, ani drugim to się na pewno nie spodoba... Tak samo jak Korpus Balonów i wszystkie inne niespodzianki, które dla nich szykujemy. Mam gdzieś, jakie wynalazki opracowała

w tym czasie druga strona. Koniec końców to nasi chłopcy sprawią manto tamtym, aż się będzie kurzyło. Zapewne stracimy w tym roku wielu dobrych żołnierzy, lecz nim dobiegnie końca, w imię Boga zwyciężymy. Co do tego nie ma dwóch zdań.

– No dobrze, Bryahnie – zwrócił się do swego adiutanta. – Skoro już nas umościłeś wygodnie, skoro mamy co pić i co jeść – wskazał na kubek i okruszki zdobiące jego tunikę – może byś wreszcie zaczął i przedstawił obecną sytuację w ogólnym zarysie? A później, tak sobie myślę, na miejscu będzie chyba uaktualnienie danych dotyczących Ayaltnu i Sairmeetu w kontekście ruchów hrabiego Tęczowych Wód.

Przechylił pytająco głowę w stronę księcia Eastshare, który pokiwał zgodnie.

– Świetny początek – przyznał książę. – Jak mi się jednak zdaje, wasze patrole zdobyły na wrogu nowy projekt miny, czy tak?

– Owszem – potwierdził baron Zielonej Doliny, chmurniejac. – Aczkolwiek jest to raczej skrzyżowanie klasycznej miny z kierunkową.

– Naprawdę? – zdziwił się książę Eastshare. – Na podstawie raportów, które do mnie dotarły, wyrobiłem sobie przekonanie, że chodzi raczej o fontanny – wyjaśnił, posługując się wymyślonym przez Cesarską Armię Charisu określeniem na podskakujące miny, które Charis wprowadził do użytku kilka lat wcześniej. Baron Zielonej Doliny ściągnął brwi.

Nie cierpiał tego wynalazku nawet wtedy, gdy Charisjanie mieli na niego monopol, wszakże okazał się on zbyt przydatny, by z niego zrezygnować, kiedy Cesarska Armia Charisu miała do czynienia z przewagą liczebną wroga.

– Rozumiem, skąd u ciebie takie wrażenie – powiedział głośno. – Jak dotąd jednak nikt nie wie, jak je odpalać samodzielnie. Dlatego idą zawsze w parze z klasycznymi minami i setką starych kul muszkietowych zalanych smołą albo żywicą. Gdy ładunek wybucha, rozsiewa kule stożkowato. Czy też półsferycznie, gdy się nad tym lepiej zastanowić... – Wzruszył ramionami. – Tak czy owak, ta rzecz przyprawi nas o niemało siwych włosów.

Książę Eastshare wydał z siebie pomruk niezadowolenia. Podobnie jak baron Zielonej Doliny, był świadom konsekwencji wprowadzenia do walki czegoś takiego jak klasyczne miny przeciwpiechotne. Miał nawet

zamiar sprzeciwić się ich wykorzystaniu, wszakże żaden dowódca godzien swych podwładnych nie mógł ot tak zrezygnować z równie skutecznej broni, szczególnie gdy jego podwładni mieli się znaleźć w mniejszości... jeden na stu albo nawet gorzej. Praktyka pokazała, że wynalazek był piekielnie przydatny. W gruncie rzeczy to dzięki niemu... i może jeszcze paru innym zbiegom okoliczności... ksiązę Eastshare zdołał powstrzymać Cahnyra Kaitswyrtha po tym, jak ten dokonał masakry na Mahrtynie Taisynie i jego ludziach. Wszystko jednak wskazywało na to, że zamartwiał się niepotrzebnie, gdyż sprawa miała znaleźć swój szczęśliwy koniec – w każdym razie baron Zielonej Doliny uparł się, by opracować saperskie metody oczyszczania przedpola, dzięki czemu mogły one wejść nareszcie do powszechnego użytku. Niestety był to powolny proces, dzięki czemu to Armia Pana Wszechmogącego i Archaniołów miała być górą w zbliżającej się kampanii. Albowiem cokolwiek spowalniało marsz Sprzymierzonych – szczególnie zaś charisjańskiej piechoty konnej – musiało działać na korzyść hrabiego Tęczowych Wód.

– Cóż, nie powiem, aby ta nowina specjalnie mnie uradowała – stwierdził. – Można się jednak było tego spodziewać. No i przynajmniej twoi ludzie postarali się, aby nie było to dla nas wielkie zaskoczenie. To już coś. Ba, to całkiem sporo. Czy to zasługa twoich zwiadowców?

– Tak – potwierdził baron Zielonej Doliny, a następnie się uśmiechnął. – Jakoś nie mogę się otrząsnąć z podejrzenia, że hrabia Tęczowych Wód nie chciał rozmieścić ich tak wcześnie. Zdaje sobie sprawę ze skuteczności naszych patroli, a do tego jest za bystry, aby nie chcieć nam sprawić niespodzianki.

– Zatem chodzi o jakiegoś dowódcę średniego szczebla, który stara się dopaść ich, zanim ty zaskoczysz go pierwszy?

– Takie jest moje zdanie.

Z kolei baron Zielonej Doliny miał co do tego zupełną pewność. I o ile był wdzięczny za to ostrzeżenie, to jednak wolałby, aby hrabia Tęczowych Wód nie rozbudził w swych dowódcach frontowych aż takiej niezależności myślenia, żeby było ich stać na coś takiego. *Seijinowie* byli w stanie odkryć nowe rodzaje broni w porę, aby wziąć je pod uwagę przed zbliżającą się kampanią. Właściwie raport był już gotowy, zanim zwiadowcy znaleźli pierwszy egzemplarz i ściągnęli go do bazy, aby tam

przeszedł badania. Osobiście baron wolałby polegać wyłącznie na *seijinach*, zamiast musieć sobie radzić z żołnierzami, którzy odkryli, co to inicjatywa. I którzy przestali się obawiać gniewu przełożonych w razie przyłapania na przejawianiu tejże.

– No cóż, dziękujemy Andropowowi za drobne łaski! – rzekł filozoficznie książę Eastshare. Odchylił się na oparcie krzesła i ręką, w której trzymał pączka, machnął na stojącego obok mapy kapitana. – Kapitanie, proszę mi wybaczyć – dorzucił. – Postaram się trzymać buzię na kłódkę, dopóki nie skończysz zdawać relacji z tego, co dzieje się w prowincji Tarikah. – Uśmiechnął się łobuzersko. – Może pomoże mi w tym pamięć dni, w których to mnie przerywano, kiedy zdawałem raport jako młodszy stopniem oficer.

– Zapewniam waszą książęcą mość – oświadczył uroczyście Slokym – że żadne pytania waszej książęcej mości nie będą mi przeszkadzać.

– Oficerowie, którzy oszukują swoich przełożonych, zazwyczaj źle kończą... – mruknął książę Eastshare do nikogo w szczególności, gapiąc się w sufit.

– Słyszałem to, wasza dostojność – powiedział Slokym i zaraz przyłożył czubek wskaźnika do miejsca, w którym zaznaczono miasto Ayaltyn. – Zacznę od tego, sir, że Harchończycy umacniają swoje siły w bunkrach Ayaltynu. A skoro tak, możemy się spodziewać, że robią to samo także w innych miejscach. Przypuszczamy, że to efekt testów, które przeprowadzili Rungwyn i Zhyngbau. – Skrzywił się mocno. –

Cokolwiek za tym stało, okazał się trudniejszym celem dla naszej artylerii, aniżeli zakładaliśmy. Niestety linia rzeki jest nam niezbędna, tak więc nie ma mowy, abyśmy zignorowali obronę Ayaltynu. Z tego powodu przesunęliśmy Czwarty Konny na zachód i daliśmy brygadierowi Tymkynowi dwa dodatkowe bataliony wyposażone w działa polowe M97 i około setki nowych rakiet mistrza Sykahrellego, nie wspominając o całej kompanii inżynieryjnej dysponującej ładunkami wybuchowymi i nowymi miotaczami ognia. Do tego...

Dziarsko przesunął wskaźnik na mapie, mówiąc z dużą dozą pewności siebie, i to bez zerkania w notatki. Książę Eastshare, generał Ruhsyl Thairys, przysłuchiwał się jego słowom z wielką uwagą.

CZERWIEC
ROKU PAŃSKIEGO 898

.I.
Syjon
Ziemie Świątynne

Głosy tysięcy dzwonów bijących w Mieście Boga poniosły się na skrzydłach wiatru wiejącego znad Jeziora Pei, dając się słyszeć w każdym zakątku Syjonu. Donosiły one o Bożej miłości względem wszelkiego Stworzenia, a ich dźwięk był tym miłszy, że rozbrzmiewał w ten czas zmartwienia i rozpacz. Obiecywał ludziom ukojenie i ostateczne zwycięstwo, jakkolwiek by cierpieli tutaj, na tym padole. Zaledwie dwa tygodnie dzieliły synów i córki Boga Jedynego od najświętszego dnia w roku, dnia nazywanego na Schronieniu „Dniem Boga” – ulice były powoli dekorowane chorągwiami, kwiatami i wizerunkami archaniołów i męczenników, a kościoły przechodziły ponowny proces oczyszczenia i uświęcenia w oczekiwaniu na zbliżające się radosne uroczystości. Boży lud potrzebował odmiany po ostatnich strasznych wiadomościach z Zatoki Dohlariańskiej, jak również po niespodziewanych majowych śniegach; potrzebował zapewnienia, że nie przestał być wybrańcem Stwórcy i nigdy nim być nie przestanie.

Wiatr niosący radosne dźwięki był na tyle porywisty, że wywoływał chłód nawet w czerwcowym rażącym słońcu, wszakże wybrani specjalnie na tę okazję strażnicy Świątyni, jak również szeregowi inkwizytorzy dzierżyli to bez mrugnięcia powieką, stojąc karnie na nieskazitelnym, wyłożonym marmurem nabrzeżu zaanektowanym czasowo na użytek Świątyni. Przystań sprawiała wrażenie morza bieli i spokoju. W promieniach słońca lśniły wypolerowane na błysk ostrza halabard, które strażnicy Świątyni wciąż nosili przy ceremonialnych okazjach; to samo można było powiedzieć o lufach bardziej użytkowych karabinów i pistoletów, może nie tak błyszczących, lecz i tak rzucających się w oczy. Nad głowami wybrańców łopotały sztandary: zielono-złoty sztandar Kościoła Matki oraz purpurowo-pomarańczowy Inkwizycji.

Wylym Rayno miał dołączyć do tego grona, wszakże wielki inkwizytor zmienił zdanie w ostatniej chwili.

Zapewne dlatego, pomyślał Rayno, obserwując przystań z dachu Aneksu Świątynnego przez zamontowaną tam na stałe lunetę, że wbrew towarzyszącej tej okazji pompie Zhaspahra Clyntahn bynajmniej nie jest zadowolony z wizyty człowieka, którego strażnicy Świątyni wkrótce powiodą na jego pierwszą audiencję.

Mimo wszystko Rayno nie mógł być pewien, że w istocie taki był powód. Poza wątpliwością pozostawało to, że wyszedłszy ze świątynnej kaplicy poświęconej archaniołowi Schuelerowi po cośrodowej mszy, zastał u siebie na biurku instrukcję informującą o zmianie planów.

Czy to jest dowód na małostkowość Zhaspahra? – pomyślał arcybiskup, przesuwając lunetę tak, aby zobaczyć nadpływający okręt, który wciąż znajdował się dobre dwie mile od brzegu. Podobnie jak większość sprzętów zagrających Świątynię, i ta luneta stanowiła relikw; wyposażona w przejrzyste soczewki, które dawały wielkie powiększenie, nie przypominała niczego, co by mogły skonstruować ludzkie ręce. Rayno pokręcił gałką, aby ustawić ostrość, i nagle okręt wydał mu się na wyciągnięcie ręki pomimo sporego przecież dystansu. Uśmiechnął się, widząc, jak biała piana pryska na okryty purpurowym sztandarem dziób szkunera.

Na jego pokładzie musi panować przejmujące zimno, pomyślał. Gdy tak skacze na niespokojnych, wysokich falach... Ta myśl rozbawiła arcybiskupa, szczególnie że – jak było wiadomo wszem i wobec – inkwizytor generalny Wylbyr cierpiał na chorobę morską, a poza tym nie znajdował się obecnie w łaskach Clyntahna.

Rayno znów poruszył lunetę, aby odnaleźć na pokładzie pozieleniałą twarz Edwyrdsa czepiającego się relingu. Pomyślał przy tym, że oczywiście koniecznością będzie udawanie wzajemnej sympatii i wzajemnego szacunku, zanim Wylbyr ponownie zostanie strącony w niebyt. Sam Rayno najchętniej zastąpiłby inkwizytora generalnego kimś, kto miał o czymkolwiek pojęcie, wszelako to wymagałoby moderowania wymowy większości rozkazów Zhaspahra, co koniec końców nie wyszłoby nikomu na dobre. Jakiś śmiałek być może zdołałby powstrzymać krwawienie, lecz przed upływem trzeciego pięciodnia wróciłby tam, skąd przyszedł, skazany przez wielkiego inkwizytora na Karę Schuelera.

Mars, który pojawił się na czole arcybiskupa, był znacznie głębszy niż

ten, na który by sobie hierarcha pozwolił w obecności świadków. Zhaspahr Clyntahn uparł się ostatnimi czasy tropić każdy – nawet najdrobniejszy – przejaw herezji, który następnie miał zostać wykorzeniony do szczytu. Powiedzmy, że okazywał odrobinę umiarkowania tu, w Syjonie, i na Ziemiach Świątynnych, wszelako było z tym coraz gorzej, odkąd postanowił, że nie odda ani piędzi ziemi więcej. A już szczególnie zaparł się, aby wyrugować herezję z Republiki Siddarmarku, w dalszym ciągu okupowanej przez siły Kościoła Matki, oraz w Krainach Granicznych, gdzie lojalne dzieci Kościoła Matki stały w obliczu zagrożenia ze strony heretyków, zda się wygrywających świętą wojnę.

Rayno zgadzał się co do tego, że z naporem herezji trzeba coś zrobić, jednakże z raportów inkwizytorów wynikało dobitnie, że represje zarządzone przez inkwizytora generalnego tylko podsycają płomień reformy. Nawet te osoby, które nie miały najmniejszej ochoty przystąpić do schizmatyków, zaczęły się zastanawiać, czy przypadkiem Bóg nie potępia nadmiernej zaciekłości Inkwizycji. Zdarzało się nawet tutaj, w Syjonie, że ludzie wieczorami zanosili modły, ażeby Inkwizycja się opamiętała i stąpiła nieco ostrze wymierzone w heretyków.

Tak czy owak wielki inkwizytor odmówił – i to stanowczo – przyznania, że nadmierna zaciekłość przynosi więcej szkody niż pożytku.

Zdaniem Rayna wielki inkwizytor zwyczajnie się bał i dlatego nie dawał zgody na zmianę metod, chociaż oczywiście nigdy, przenigdy nie przyznałby się do własnego strachu. Tymczasem trucicielskie obawy zakradały się coraz głębiej w jego duszę, czego efektem było to, że chciał się wyżyć na ludziach, których niedostatki i porażki dodatkowo podsycały jego strach. Wyllym Rayno wiedział, o czym mówi, ponieważ sam także zaznał obezwładniającej obawy pożerającej jego serce niczym robak jabłko, od środka. Aczkolwiek była różnica pomiędzy strachem jednego i drugiego hierarchy. Rayno był gotów przyznać sam przed sobą, że się boi. Clyntahn przeciwnie; otoczył się swego rodzaju bańką, w której obrębie dopuszczalne były dyskusje, jak jeszcze można ukrócić herezję, do jakich jeszcze metod się uciec, które by gwarantowały sukces, zabronione natomiast było podważanie przekonania, że tryumf Kościoła Matki jest pewny i nieunikniony.

Rayno miał nawet wątpliwości co do tego, czy Clyntahn pozwala

Duchairnowi i Maigwairowi otwarcie przedstawiać mu sytuację finansową i militarną Kościoła Matki. Co zaś się tyczy jego samego, Rayno na razie cieszył się ograniczoną swobodą wydawania opinii, lecz podejrzewał, że to się zmieni, i to już w najbliższym czasie.

Boże, trzeba nam cudu, pomyślał teraz, nie spuszczać oka ze zbliżającego się szkunera inkwizytora generalnego i wciąż mając w pamięci pełne rewerencji zachowanie wiernych podczas niedawnej mszy. W trakcie liturgii ludzie chórem powtarzali słowa Pisma i zanosili pod samo sklepienie hymny wychwalające Boga Jedyneho i Jego archaniołów. W dzień taki jak ten, w taką środę, krótko przed nadchodzącym Dniem Boga, dopiero co wyszedłszy z kościoła, gdzie Stwórca był wszechobecny, Wyllym Rayno wierzył, że cud jest możliwy.

Panie, zwrócił oczy ku niebu, nie poskąpiłeś cudów heretykom. Daj nam choć jeden. Pokaż nam, że jesteśmy Twoimi wybranymi, że nas nie opuścisz...

Zdrętwiał z przerażenia, widząc, że szkuner zamienił się w kulę ognia obejmującą całe jego pole widzenia. Na własne oczy zobaczył, jak dwóch mężczyzn, dwóch duchownych niższych rangą, znajdujących się na pokładzie, jakby nigdy nic znika w paszczy pożaru, który rozpętał się zniecka.

Rayno odskoczył od lunety, dzięki czemu kula ognia zmniejszyła się do wielkości łebka od szpilki – mimo to jednak nic nie zmniejszyło szoku arcybiskupa, który doskonale wiedział, że okręt przestał istnieć w okamgnieniu. Domyślał się, że wśród szczątków, które poszybowały wysoko w niebo wśród nagłej ciszy, przerywanej tylko przez dzwoniące wciąż radośnie dzwony za jego plecami, znajdują się między innymi pourywane i nadpalone fragmenty ciał obydwu duchownych.

Dopiero jedenaście sekund później rozbrzmiał głuchym echem huk eksplozji, która przetoczyła się przez Syjon niczym rzucona gromko klątwa samej Shan-wei.

Zhozuah Murphai przyglądał się tej samej kolumnie ognia i dymu, aczkolwiek z innego kąta widzenia, gdyż znajdował się nie na dachu, jak arcybiskup Wyllym, lecz na poziomie przystani. Jego reakcja także była

odmienna. Kiedy dostrzegł, że dzięki wiatrowi kolumna przybiera spiralny kształt i skręca w stronę Syjonu, skąd mógł ją zobaczyć każdy mieszkaniec, poczuł wewnątrz ciepło takie, jakby połknął słońce.

Ahrloh Mahkbyth był gorzko rozczarowany, gdy usłyszał, że Ster nie zdoła jednak osiągnąć Wylbyra Edwyrdsa po przybiciu do brzegu. Ochrona, którą przydzielono inkwizytorowi generalnemu, na to nie pozwalała; liczba strażników Świątyni przytłaczała i nie pozwalała na przedarcie się zamachowca. Decydenci Kościoła Matki niewątpliwie wynieśli naukę z sukcesów Pięści Boga i Diallydda Maba. Istniały tylko niewielkie szanse na to, że ludzie Mahkbytha dopadną Wylbyra, zanim opuści on Syjon, koniec końców stało więc na tym, że zajmie się nim Murphai. Było nie było, CZAO nie potrzebował powietrza. Zatem to właśnie on przytwierdził ładunek – dostarczony przez Sowę, a niemożliwy do odtworzenia przez doktor Lywys jeszcze przez długie lata – do kilu szkunera, podczas gdy jednostka ta czekała na swojego pasażera, który miał przyplłynąć szalupą w Brouhkamp, stolicy episkopatu Schuelera po drugiej stronie Jeziora Pei. Murphai doceniał ironię faktu, że ładunek znalazł się na miejscu niejako pod patronatem tego archanioła.

Zrobił, co miał zrobić, dwa dni wcześniej, krocząc po dnie zatoki. Oczywiście mógł zlecić wykonanie tego zadania pierwszemu lepszemu SAPK-owi, nie zamierzał jednak pozbawiać się tej satysfakcji. Przez dwa lata naoglądał się zbyt dużo okrucieństw w wykonaniu Wylbyra Edwyrdsa, aby pozwolić czynić honory komuś innemu.

Tego popołudnia jednak był tylko widzem. Postarał się o to, aby znaleźć sobie dobry punkt obserwacyjny, z dala od Świątyni, lecz z doskonałym widokiem na przystań. W tym czasie pozostałe zespoły zajmowały swoje miejsca. Wszystkiego doglądali z Jaskini Nimue księżę Nahrman i Sowa, którzy w odpowiednim momencie podpalili wirtualny lont.

Murphai żałował, że nie ma z nim Mahkbytha, aby i on mógł poczuć tryumf tej chwili, wszelako wiedział, że nie można mieć wszystkiego. Nawet jeśli Mahkbythowi było smutno, mógł sobie zawsze poprawić humor myślą, że to on był współtwórcą właśnie realizowanego planu.

Poza tym ten były strażnik Świątyni nie nadawał się na gapia; był raczej człowiekiem czynu.

Szczególnie gdy idzie o pewne sprawy...

Biskup Zakryah Ohygyns właśnie pocałował swoją żonę, uściskał dzieci, zawołał osobistego gwardzistę i wyszedł przez drzwi, aby udać się do swego biura, gdy jego uszu doleciał huk eksplozji. Naturalnie nie od razu zrozumiał, że doszło gdzieś do wybuchu. Jego pierwsza myśl była następująca: *Taki odgłos w Syjonie, w samym środku słonecznej środy?...*

Był świadom, jak bardzo jego żonie nie podoba się to, że większość czasu spędza w biurze. Jej zdaniem – jako biskup Kościoła Matki – powinien być dla rodziny chociaż we środy. Niestety nawet w dzień święty praca go często wzywała. Kończył odprawiać mszę, gnał do domu, aby zjeść z bliskimi obiad, po czym prędko wracał do biura. Oczywiście kobieta, będąc wierną córą Boga Jedynego, nie śmiała się na nic skarżyć – zwłaszcza w samym środku świętej wojny. Ubolewała jednak, że wojna trwa już któryś rok z rzędu, a ona i dzieci coraz rzadziej widują męża i ojca. I z chęcią powitałaby dzień, w którym inkwizytor generalny nareszcie odciąży Ohygynsa z części obowiązków choć w środy. Tymczasem nie skarżyła się ani mężowi, ani nikomu innemu, ale otwarcie dawała do zrozumienia temu pierwszemu, że nie jest zadowolona. To z kolei wpędzało go w wyrzuty sumienia. Był jednak pewien, że nic się nie zmieni, dopóki nie zakończy się święta wojna.

Może wtedy uda mi się przekonać arcybiskupa Wyllyma, że zasłużyłem sobie na urlop, pomyślał, przystając na chodniku z jedną nogą na stopniu powozu i obracając się, aby odkryć, skąd ten nagły grzmot z jasnego nieba. Sześciu strażników Świątyni, otaczających jego powóz, również zamarło, natomiast woźnica, który siedział w koźle, na wpół wstał ze swego miejsca, sądząc, że zobaczy coś więcej niczym kogut z grzędy.

Moglibyśmy pojechać do jej brata do Malantoru... myślał dalej biskup, równocześnie zastanawiając się, co też tak naprawdę usłyszał. Bóg Jedynej świadkiem, że plaże są o wiele ładniejsze – i cieplejsze – nad zatoką Tahlryn aniżeli w Zatoce Świątynnej czy nad Jeziorem Pei. Poza tym minęły lata, odkąd ostatnio wybraliśmy się gdzieś całą rodziną!

W gruncie rzeczy moja połowica ma rację: nawet Pismo naucza, że mężczyzna ma obowiązki przede wszystkim względem rodziny, a dopiero potem...

– Za nasze siostry! – zakrzyknął ktoś.

Ohygyns właśnie zaczął się odwracać bardziej, gdy trzy granaty wypełnione materiałem D, rodem z zakładów w Delthaku, wybuchły jednocześnie. Z ósemki mężczyzn przy powozie przeżyło dwóch.

Zakryaha Ohygynsa nie było pośród nich.

Ojciec Mairydyth Tymyns podniósł wzrok znad bieżącego wydania „Dekretów Schuelera” i zaklął pod nosem. Na miłość Boga Jedynego, była środa! Chyba w dzień święty duchowny ma prawo pochylić się nad lekturą prawomyślniej gazety, żądając wyłącznie tego, aby mu nie przeszkadzano?

– O co ten hałas, Zheromie? – zapytał z irytacją.

Ponieważ nie otrzymał odpowiedzi, zaklął ponownie, odłożył gazetę i podniósł się z krzesła. Najwyraźniej Zherom Slokym upuścił coś w westybulu, co jednak było do niego niepodobne. Ten szpakowaty, dobrze zbudowany zakonnik służył mu od wielu lat i zawsze cechował się gracją ruchów oraz spolegliwością. Co zaś do kwestii heretyków, miał o nich takie samo zdanie jak jego mocodawca: do Shan-wei z nimi! Pasowali zatem do siebie jak ulał: zakonnik służył Tymynsowi za połączenie ochroniarza i lokaja, na zewnątrz zaś pełnił funkcję osobistego gwardzisty.

– Zheromie! – Tymyns podniósł głos, a następnie przekrzywił głowę, gdy dźwięk, odebrany przez większość ludzi jako grzmot, poruszył szybkości jego skromnej kwatery przydzielonej mu przez Kościół Matkę.

No więc?... zastanowił się w duchu. Niemożliwe, aby to był grzmot, nie w taki ładny dzień...

ŁUP!

Zasuwka broniąca drzwi jego biblioteki wyłamała się z trzaskiem pod ciężarem stopy w ciężkim bucie. Drewniane skrzydło otwarło się na oścież, waląc o ścianę, a przez próg wpadł do środka nie kto inny jak

Zherom Slokym. Bynajmniej jednak nie przybył na zawołanie Tymynsa. Nie zamierzał też niczego wyjaśniać mocodawcy – było to niemożliwe z gardłem poderżniętym od ucha do ucha. Lokaj runął na podłogę, która zaraz zabarwiła się czerwienią od jego krwi roztaczającej w powietrzu metaliczny, miedziany odór.

Tymyns w dalszym ciągu gapił się na zwłoki i nawet nie drgnął, gdy w bibliotece pojawili się jacyś postawni mężczyźni, którzy zaraz rzucili się ku niemu i złapali go za ręce.

Zdał sobie sprawę, że napastników jest czterech. Wszyscy mieli na twarzy maski i fartuchy – długie, grube fartuchy rzeźnicze. Jakąś częścią umysłu Tymyns skonstatował, że powinni wyglądać komicznie, jednakże wcale tak nie było. Zwłaszcza że dotychczasową biel zdobiły wielkie plamy krwi tętnicznej Slokyma.

No tak, w umyśle Tymynsa pojawiła się kolejna myśl. Fartuchy miały ich ochronić przed zachlapaniem ubrań krwią Slokyma! Teraz po prostu je zrzucą i wmieszają się w tłum na ulicy jakby nigdy nic...

Procesy myślowe w jego głowie nagle ożyły, gdy uświadomił sobie, co jeszcze mają zamiar uczynić ci mężczyźni. Właśnie otwierał usta do krzyku, gdy dwie pary rąk wykręciły mu ramiona za plecami, boleśnie i nadzwyczaj sprawnie. Tymyns zaczął się więc w uścisku intruzów, walczył, chcąc się wyrwać, ale trzeci z napastników włożył mu palce w czuprynę i pociągnął z całych sił, odchylając mu głowę do tyłu, aby umieścić w jego ustach zwitek jakiegoś materiału.

Rozpaczliwy, aczkolwiek spóźniony okrzyk schueleryty wypadł jako cichy jęk, praktycznie niesłyszalny. Oczy duchownego powiększyły się nagle na widok czwartego mężczyzny, tego z zakrwawionym sztyletem w dłoni. Pewien, że zaraz zginie, Tymyns zobaczył jednak, że nożownik sięga za pazuchę i wyjmuje kopertę. Po tym jak upuścił ją na zwłoki Slokyma, zwrócił się twarzą do Tymynsa.

– Wiadomość dla ciebie od naszych sióstr, ojcie – powiedział zimnym tonem Ahrloh Mahkbyth.

Tymyns zagulgotał desperacko, wybałuszonymi oczami błagając o łaskę, jakiej nigdy nie okazał drugiemu człowiekowi. Moment później ktoś odchylił mu głowę jeszcze bardziej do tyłu, po czym jego szyi dotknęło zimne ostrze.

– To nie mogła być Pięść Boga! – pieklił się Zhaspahr Clyntahn, wodząc wściekłym wzrokiem po komnacie. – Niby jak, na Shan-wei, mogłaby to być ona? Ten szkuner był własnością Inkwizycji! Członkami załogi byli wyłącznie inkwizytorzy i schuelerycy z laikatu! Wszyscy składali ślubowanie Zakonowi Schuelera! A ochroniarze biskupa Wylbyra sprawdzili każdy cal kwadratowy, zanim pozwolili mu wsiąść na pokład! – Wielki inkwizytor miał purpurową twarz i rozpłomienione oczy. – Ktoś chce mi wmówić, że jakimś cudem fanatyczny heretyk wniósł na pokład bombę wystarczająco dużą, aby wyrządziła takie szkody?!

Rhobair Duchairn i Allayn Maigwair unikali się nawzajem wzrokiem. Zahmsyn Trynair, na swoje szczęście, przebywał poza Syjonem z misją dyplomatyczną. W przeciwnym razie obecnie kuliby się w kącie, udając mysz.

– Mówię wam, że ci kłamliwi dranie tylko przypisują sobie zasługę, która wcale nie jest ich!

Clyntahn opadł na krzesło, ale nie spuścił oka z podwładnych, samym spojrzeniem zachęcając ich, aby mu się sprzeciwili. Napięta cisza przedłużała się morderczo.

– Wiem, co masz na myśli, kiedy mówisz o ochronie, jaka otaczała biskupa Wylbyra – rzekł wreszcie Maigwair. Dobierał słowa niezwykle starannie, a jego głos miał uspokajające brzmienie. – I zgadzam się z tobą w zupełności, iż niemożliwością jest, aby skrytobójca przemycił cokolwiek przez ten zwarty krąg. Niemniej co najmniej sześciu innych hierarchów ucierpiało dzisiaj w Syjonie, a biskup Wylbyr niewątpliwie nie żyje. Szkuner, na którego pokładzie przebywał, wyleciał w powietrze na oczach wszystkich, którzy wylegli na brzeg, aby go powitać. Nie da się ukryć, że fakt jego przybycia do Syjonu był powszechnie znany. Ba, na brzegu czekał na niego komitet powitalny. – Głównodowodzący siłami Kościoła Matki pokręcił głową. – Nie da rady udawać, że nie zginął, gdy doszło do wybuchu! To oznacza, że musimy wydać jakieś oświadczenie, musimy w jakiś sposób wytłumaczyć, co się wydarzyło, skoro nie chcemy odpowiedzialnością obciążyć Pięści Boga.

– Mielśmy do czynienia z wypadkiem – warknął Clyntahn,

pochylając się do przodu, aby mięsistą dłonią walnąć w blat stołu konferencyjnego. – Bo przecież nie mamy pewności, czy Pięść Boga – te dwa słowa wypluł z siebie niczym jad wyssany z rany – była w to w ogóle zamieszana. Mówię tu także o śmierci Ohygynsa i pozostałych!

Maigwair nie zdołał się powstrzymać, żeby nie przewrócić oczami. Widząc to, Clyntahn zagotował się ze złości.

– No dobrze – odezwał się po chwili. – Przyznaję, że prawie na pewno byli to ci przekłeci terroryści! Niemniej skoordynowanie zamachów w czasie musiało być czystym zbiegiem okoliczności, niczym więcej. Aczkolwiek dotknęło nas to boleśnie pomimo wszystko. Ci dranie chcą, żeby to wyglądało na zorganizowaną akcję, dzięki czemu wydadzą się groźniejsi, niż są w istocie. Ale ja powtarzam: to był czysty zbieg okoliczności! Heretycy usiłują interpretować wypadek na swoją korzyść.

– Wypadek? – zapytał Maigwair.

Clyntahn ponownie wyrznął dłonią w stół.

– Tak, do licha! Wypadek. Otoczenie biskupa Wylbyra miało przy sobie broń, a co za tym idzie, także amunicję. Na pokładzie szkunera znajdowały się armaty! W ładowni musiał być więc proch i lont. Jakiś cudem doszło do zaprószenia ognia i...!

Maigwair zacisnął szczęki. Duchairn zgrzytnął zębami. Wciąż miał w pamięci inny „wypadek”, gdy do eksplozji doszło w Sarkhanie, kiedy to zarówno Zhaspahr Clyntahn, jak i Wylbyr Edwyrds utrzymywali zgodnie, że nie może być mowy o zbiegu okoliczności. A na tamtej barce kanałowej znajdowało się znacznie więcej prochu, który by usprawiedliwił przypadkowy wybuch. Tymczasem na szkunerku Edwyrdsa zmieściło się tylko sześć wilków: obrotowe półfuntówki, najzwyczajniejsza broń przeciwpiechotna, tyle że o większym kalibrze od muszkietów. Nie miał pojęcia, jaką ilość prochu to oznaczało – Maigwair musiał to wiedzieć, co wyjaśniało, skąd u niego takie niedowierzanie – z pewnością jednak nie taką, aby możliwa była aż taka eksplozja. Nurkowie zdążyli już potwierdzić, że szczątki szkunera są znajdowane w promieniu dwustu jardów i że główna część kadłuba dosłownie zniknęła. Roztrzaskany dziób i rufa znalazły się w odległości prawie czterdziestu jardów od siebie, w samym centrum szczątków. Niemożliwe, żeby sprawił to zapas prochu dla marnych sześciu wilków.

– Jestem przekonany, że mało kto uwierzy w bajeczkę

o przypadkowym wybuchu prochu. Wersja z zamachem jest znacznie bardziej prawdopodobna – oznajmił Maigwair po chwili milczenia. Zdaniem Duchairna był to z jego strony przejaw odwagi, ale też brawury. Clyntahn odsłonił dziąsła, lecz naczelny dowódca sił Kościoła Matki kontynuował: – Nie twierdę, że nie mogło być tak, jak ty mówisz, Zhaspahrze. Próbuję tylko powiedzieć, że nawet jeśli to był wypadek, mało kto w niego uwierzy.

– Do czego zmierzasz? – warknął Clyntahn.

– Ano to do tego, że pewne osoby mogą uznać, iż celowo im mydlimy oczy, bo sami nie chcemy zaakceptować prawdy. – Maigwair popatrzył wielkiemu inkwizytorowi prosto w oczy. – Oczywiście będzie to dotyczyło tylko tych wyjątkowo słabych duchem osób, ale...

– Inkwizycja wie, jak sobie radzić ze słabymi duchem!

– W to akurat nie wątpię, niemniej uważam, że to nie najszcześniejsze podejście... bo po fakcie... Co innego zapobiegawczo. Chcę tylko podkreślić, że w Syjonie zaroilo się od plotek po tym, co się stało w Zatoce Rhaigaira. Cały Syjon aż huczy od informacji o pozostałych mordercach. Nawet jeśli terroryści to przemilczą, każdy, kto ma choć odrobinę oleju w głowie, połączy wybuch z poszczególnymi zamachami i dojdzie do wniosku, że akcja była zaplanowana. Po prostu taka jest ludzka natura, Zhaspahrze. Dopóki więc nie będziemy w stanie przedstawić dowodów popierających odmienną teorię... Zapytam zatem wprost: czy jesteśmy gotowi narazić się na to, że wierni pomyślą, iż naginamy rzeczywistość wedle własnego widzimisie? Na brzeg wyległa połowa mieszkańców, czemu trudno się dziwić, skoro była to pierwsza ładna środa od miesiąca. Wszyscy ci ludzie widzieli eksplozję na własne oczy. Jeżeli dojdą do wniosku, że ich okłamujemy w tej sprawie, mogą nam już nie zaufać w przyszłości. Szczególnie jeśli heretycy rozpowszechnią inną wersję zdarzeń...

Clyntahn przymierzał się do odwarknięcia, lecz o dziwo, powstrzymał się w ostatniej chwili. Oparł się kłykciami o blat i poprawił na krześle z miną tak paskudną, jakiej Rhobair Duchairn jeszcze nigdy u niego nie widział.

– Co więc proponujesz? – wyrzucił z siebie wielki inkwizytor, przerywając nareszcie milczenie.

– Proponuję, abyśmy wybrali mniejsze zło. Mianowicie powiedzmy

wiernym, że to ci terroryści odpowiadają za śmierć biskupa Wylbyra i pozostałych hierarchów, nawet jeśli naszym zdaniem to nieprawda.

– Nie zamierzam dać tym draniom satysfakcji!

– Zhaspahrze...Heretycy i tak przypiszą sobie zasługę. Właściwie już to zrobili. A wśród mieszkańców Syjonu są ludzie, słabi ludzie, którzy uwierzą w takie obwieszczenia, nawet gdybyśmy im zaprzeczali. Jaką więc mamy alternatywę? Nawet jeśli powiemy, że sprawcą był proch w ładowni, nawet jeśli ktoś w to uwierzy, ludzie będą się zastanawiać, jak to możliwe, że do wybuchu doszło w tym samym czasie co do zamachów na ładzie, no i jakim cudem jakiś tam wybuch uczynił aż tak potworne straty. A jeśli zaczną się nad tym zastanawiać, jeśli uznają, że to jednak nie byli terroryści, pomyślą, że w sprawę zaangażowane były zgoła inne siły. Naprawdę chcesz, aby dzieci Boga Jedyneego myślały, że heretykom sprzyjają demony? I to w takiej bliskości Świątyni, zaledwie dwie mile od brzegu?

Cisza, która zapadła po tych słowach, była absolutna. Duchairn zmówił w duchu krótką modlitwę za swego kolegę, widząc, że Clyntahn patrzy na niego z mordem w oczach. Mimo to Maigwair nie oddał pola, nie wycofał się. Milczenie się przedłużało, aż wreszcie Duchairn zdał sobie sprawę, że argumenty chyba trafiły do wielkiego inkwizytora.

Bo to są bardzo dobre argumenty, nieprawdaż, Zhaspahrze? – pomyślał skarbnik. Nie podobają ci się, ba, wywołują w tobie strach, lecz nie można odmówić Allaynowi racji. Tym bardziej że to nie pierwszy raz, gdy demoniczne siły podjęły działania w sercu Syjonu. Wolałbyś nie przyznawać tego nawet przed samym sobą, co?

Istotnie, Clyntahn zwyczajnie odmówił zaakceptowania faktów, jeśli chodzi o to, co zdarzyło się w więzieniu Świętego Thyrmyna. Pozostał przy swoim zdaniu nawet w obliczu wyłącznie dwóch pozostałych członków Grupy Czworoga. Skoro już o tym mowa, Inkwizycja także odmówiła choćby przyznania, że w ogóle coś się stało. Tymczasem Duchairn i Maigwair zdążyli do tej pory potwierdzić, że wszyscy więźniowie zmarli – nagle i jednocześnie – w tajemniczych okolicznościach. Wiedzę o tym obaj zawdzięczali swoim sprawdzonym kontaktom, którym ufali bezgranicznie. Co gorsza, podobna, aczkolwiek nieco wypaczona wersja zdarzeń, rozeszła się po mieście, i to wbrew działaniom Inkwizycji pragnącej stłumić wszelkie plotki.

A teraz znowu to.

Jak dotąd Duchairn nie zapoznał się oficjalnie z odezwą Pięści Boga, która została rozpowszechniona w Syjonie – najpewniej w ten sam sposób, w jaki rozpowszechnieniu uległy heretyckie plakaty, którym Clyntahn nie zdołał położyć tamy. Skarbnik nie zamierzał się jednak przyznawać, że ją widział – tak samo jak nie zamierzał ani słowem zająknąć się na temat tych przeklętych plakatów, które stały ością w gardle Clyntahnowi. Nie był wszakże w stanie zapomnieć słów, które wryły mu się w pamięć:

Do wielkiego nierządnika

Bądź pozdrowiony! Dziękujemy Ci za sprowadzenie biskupa Wylbryra do domu, dzięki czemu mogliśmy odesłać go w dalszą drogę razem z innymi. Biskup Zakryah, ojciec Mairydyth, brat Zherom, ojciec Charlz, siostra Tyldah i brat Hahnz także będą mogli wreszcie odpowiedzieć przed Bogiem Jedynym i przed archaniołami za swoje czyny. Wątpimy, aby ta spleta zaległego długu okazała się dla nich przyjemnością, lecz jesteśmy pewni, że dług ich wszystkich razem wziętych był mniejszy od tego, który ciąży na Tobie.

Inkwizycja ma najwięcej na swoim sumieniu i przyjdzie jej jeszcze odpokutować za swoje grzechy przed majestatem Langhorne'a. Nade wszystko będzie musiała zapłacić za dopuszczenie do tego, by zepsucie i korupcja sprofanowały urząd wielkiego inkwizytora. Kręgosłup Kościoła Matki, instytucja stworzona, by nawracać, w razie gdy jakaś owieczka zbłądzi na manowce, nigdy nie była pomyślana jako narzędzie w rękach chorobliwie ambitnego, aroganckiego, egoistycznego, złego na wskroś człowieka, który wywyższa się nad Stwórcę. Uznałeś za właściwe torturować, głodzić i mordować niezliczone dzieci Boże w imię własnych niezdrowych pragnień, uczyniłeś Świętą Inkwizycję swym narzędziem pychy i stałeś się największym rzeźnikiem na Schronieniu od czasów Wojny z Upadłymi.

Pięść Boga poprzysięgła, że Cię powstrzyma. Nie spoczniemy, dopóki nie splecisz swego długu co do grosza przed Bogiem Jedynym i przed archaniołami, których wolę wypaczasz z każdym zaczerpniętym

i wypuszczonym oddechem.

Postanowiłeś zamęczyć na śmierć nasze siostry: Zhorzhet i Marzho. To tylko dwie osoby z milionów, które pozbawiłeś życia. Masz na rękach krew ich wszystkich. Na szczęście ich dusze zawarły już przymierze z Bogiem Jedynym. Na szczęście one dwie, w przeciwieństwie do masy pozostałych, mają swoich obrońców. Pomścimy nasze siostry. Nie zbrukamy się w oczach Boga Jedynego, poddając się pragnieniu tortur z nienawiści i upodobania do okrucieństwa, jak Ty to czynisz, a jednak wymierzmy należną Ci karę, jak nakazują pospołu Schueler i Langhorne. Na początek odbieramy Ci biskupa Wylbyra Edwyrdsa i innych, którzy zginęli tego samego dnia co on. Niech będą rekompensatą za śmierć nie tylko naszych sióstr, ale także tych wszystkich, których Wylbyr na Twój rozkaz wymordował w Republice Siddarmarku i w Krainach Granicznych. Służąc Tobie, nie Bogu!

Ta siódemka to tylko początek; po nich przyjdą następni. W swoim czasie zjawimy się po Ciebie, kacie niewiniątek! Wiedz jeszcze jedno: nie ma takiej groźby, nie ma takiej łapówki, nie ma takiej prośby, która by odmieniła nasze serca. Nie ma też miejsca, w którym mógłbyś się przed nami ukryć. Jakiegokolwiek kłamstwa będziesz szerzył, wiesz równie dobrze jak my – i jak inkwizytorzy więzienia Świętego Thyrmyna – po czyjej stronie Bóg Jedyiny jest naprawdę. Przyjdzie taki dzień, że Stwórca sam wepchnie Cię w nasze ręce!

Nie dziwota, że Clyntahn za wszelką cenę chciał zaprzeczyć udziałowi Pięści Boga w zabójstwie Edwyrdsa. Jednakże to Maigwair miał rację. Być może znaleźliby się ludzie, którzy daliby wiarę słowom wielkiego inkwizytora, wszelako byłaby ich garstka. Większość miałaby wątpliwości. A raz zasiane ziarno wątpliwości rychło wypuściłoby pędy i owoce i już nikt nigdy nie uwierzyłby Zhaspahrowi Clyntahnowi.

I tak na dłuższą metę było to nie do uniknięcia. Szczególnie że los zaczął się uśmiechać do Charisjan i ich sojuszników coraz bardziej. Łańcuch klęsk Kościoła Matki stał się faktem. Mieszkańcy Syjonu, wierni Kościoła Matki – wszyscy popadali w coś, co Duchairn nazywał „syndromem oblężonej twierdzy”. Garbili ramiona, kulili głowy pod

naporem porażek Armii i Floty Boga. Istniała szansa, że zniosą najgorsze, nie przyznając się do desperacji nawet przed samymi sobą. Istniała szansa, że nie przestaną wierzyć w ostateczne zwycięstwo. Co jednak liczyło się najbardziej: nikt już nie miał Kościoła Matki i Inkwizycji za instytucję niezwyciężoną, której tryumf jest dany przez Boga Jedyneho. Ludzie oswoili się z myślą o przegranej. Coraz powszechniejsze stało się przekonanie, że wygrana będzie wymagać bezpośredniej interwencji Boga i Jego archaniołów.

Duchairn i Maigwair zdawali sobie z tego sprawę. Clyntahn zdecydował się chować głowę w piasek, lecz nawet on w głębi ducha musiał wiedzieć, jak naprawdę przedstawia się sytuacja.

Mimo to nigdy się do tego nie przyzna, pomyślał skarbnik Kościoła Matki z wielkim smutkiem. Przenigdy. Nie może tego zrobić, zwyczajnie nie może tego zrobić, ponieważ wie, że przynajmniej w jednym Pięć Boga się nie myli. Całe to szaleństwo, sianie zniszczenia, śmierć milionów może się skończyć tylko w jeden sposób: jego śmiercią. Zhaspahr Clyntahn będzie temu zaprzeczał, póki mu starczy tchu w piersi, prędzej czy później jednak przyzna to sam przed sobą, gdyż te miliony ofiar nie zasługują na nic innego. Zhaspahr Clyntahn będzie wołał, że jest wiernym synem Boga Jedyneho, wiernym synem Kościoła Matki, wszakże przetrwanie tej instytucji nie ma nic wspólnego z przetrwaniem jego osoby. Cokolwiek będzie twierdził, wszystkie jego poczynania wiodą prosto do jego śmierci, jakkolwiek myśl ta jest mu niemiła. Bez względu na to, co mówi Pismo na temat poświęcenia, w Zhaspahrze Clyntahn nie ma ani krzty miłości do gatunku ludzkiego; on by najchętniej pociągnął cały świat za sobą, pozostawiając tylko trupy i zgliszcza.

– W porządku, Allayne – przemówił nieoczekiwanie wielki inkwizytor. Jego głos brzmiał jak tłuczone szkło. – To nie Pięć Boga. Cokolwiek ci terroryści zrobili, śmierć Wylbyra nie jest skutkiem ich działań. W tym jednym chyba masz rację. rzeczywiście będzie lepiej pozwolić, aby przypisali sobie zasługę w tym wypadku, aniżeli pozwolić ludziom myśleć, że heretycy mają po swojej stronie demony. I to gdzie! W samym Syjonie! Czym innym jest jednak przyzwolenie, aby ta wersja się rozpowszechniła, a czym innym otwarte jej poparcie. Oficjalne stanowisko, jakie zajmie Inkwizycji, sprowadzi się do milczenia. Ani nie potwierdzimy, ani nie zaprzeczymy, że doszło do zamachu. A gdyby ktoś nas pytał, odpowiemy, że nie sposób stwierdzić przyczyny eksplozji.

Założymy możliwość, że ręce w niej maczali jacyś bezbożni skrytobójcy, którzy tego samego dnia uśmiercili tyle innych bogobojnych mężczyzn i kobiet. Zarazem dodamy, że równie dobrze mógł to być zwykły wypadek, pożar w ładowni szkunera, o czym świadczą pozyskane przez nas dowody. Jeśli to według ciebie za mało, pieprz się sam!

Ostatnie słowa Clyntahn wysyczał jadowicie. Duchairn aż wstrzymał oddech. Gdyby choć przez chwilę wątpił, że Allayn Maigwair już jest trupem w myślach wielkiego inkwizytora, porzuciłby wszelkie wątpliwości właśnie w tym momencie. Tymczasem naczelny wódz sił Kościoła Matki jakby nigdy nic skinął głową, nie zmieniając wyrazu twarzy, na której malował się anielski spokój.

– Dobrze, Zhaspahrze – rzekł. – To mi wystarczy. Przynajmniej na tę chwilę. Rozwiązanie nie jest idealne, ale zadowolające na pewno. Rzecz w tym, że w tej sytuacji nie ma idealnego wyjścia. Ani nawet jako takiego. Dzięki twojej decyzji Armia Pana Wszechmogącego i Archaniołów będzie mieć czas na odniesienie spektakularnego zwycięstwa. A gdy do tego dojdzie, gdy heretycy poniosą bolesną porażkę, która obniży ich morale, podniesie zaś to wśród wiernych synów Kościoła Matki, wewnętrzna dynamika w Syjonie zmieni się i ludzie przestaną wychodzić z założenia, że wieści są prawdziwe tylko wtedy, gdy są złe.

Clyntahn warknął coś niezrozumiale, wstał raptownie z krzesła i wypadł z komnaty jak burza.

Maigwair i Duchairn odczekali, aż oddali się korytarzem, po czym także wstali, aczkolwiek bardziej dystyngowanie, i ruszyli ku drzwiom wolnym krokiem. Żaden z nich nie chciał znaleźć się w takiej chwili zbyt blisko przełożonego. Obydwaj za to milczeli, mając dość rozumu w głowie, aby nie odzywać się tam, gdzie ściany mają uszy. Z drugiej strony – nie musieli nic mówić, jednemu i drugiemu bowiem było wiadome, co tak naprawdę powiedział przed momentem Maigwair w próbie przekabacenia Zhaspahra.

Zwycięstwo Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów stało pod potężnym znakiem zapytania. Wraz z każdym mijającym pięciodniem szanse na to, że hrabia Tęczowych Wód wygra, były coraz mniejsze.

.II.
Zatoka Św. Haarahlda
Wyspa Biała Skąła
Wybrzeże Dohlaru
Zatoka Dohlariańska

Przykro mi, że przeszkadzam ci w śniadaniu, ojcze, ale chyba powinienes to usłyszeć.

Sir Hahndyl Jyrohnm oderwał wzrok od jajecznicy i zmarszczył czoło. Mając siedemdziesiąt sześć lat, wołał, gdy mu nie przeszkadzano w codziennych przyjemnościach, o czym jego syn Lainyl wiedział lepiej niż większość ludzi. Oznaczało to zatem, że tym razem musiał mieć naprawdę dobry powód, aby wparować bezceremonialnie do jadalni.

Sama myśl o „dobrym powodzie” sprawiła, że sir Hahndyl nagle stracił cały apetyt.

– Co mianowicie? – zapytał starzec.

– Przyszli do mnie Ahndru i Zhilbert Ashtyn. Obaj twierdzą, że widzieli heretyckie kanonierki. – Widząc, że oblicze staruszka zastyga w ponurą maskę, Lainyl pokiwał głową. – Wszystkie – dodał. – W tym tę największą, o której krążą plotki. Nie tylko tamte, które wypłynęły z Chelmsport.

– Powiadasz, że masz ich obu w swoim gabinecie? – Sir Hahndyl zdążył odsunąć się razem z krzesłem od jadalnianego stołu. – Mam nadzieję, że posłałeś też wiadomość do majora?

– Oczywiście, ojcze. Chociaż nie spodziewam się, aby to coś dało...

Major Samyl Truskyt ostrożnie wysiadł z powozu i jedna po drugiej umieścił dłonie w zagłębieniach obu kul.

Słońce świeciło jasno, lecz w powietrzu nadal unosił się chłód,

a poranna mgła snuła się tuż nad wodami Zatoki Świętego Haarahlda. Nie było to nic nadzwyczajnego o tej porze roku na wybrzeżu Dohlaru – tak przynajmniej zawsze słyszał. Truskyt spędzał swoją pierwszą wiosnę na wyspie Biała Skała, co nie znaczyło jednak, że zamierzał wątpić w słowa lokalnych mieszkańców. Szczególnie że naoglądał się wystarczająco dużo tutejszych mgieł, aby wiedzieć, że i ta opadnie w ciągu najbliższej godziny, zakładając, że wcześniej nie wzmoże się wiatr i jej nie przepędzi.

Mahtylda, żona Truskyta, nazywała go „rannym ptaszkiem”, aczkolwiek bez specjalnego zachwyty. Ona sama zaliczała się raczej do „sów”. Jej mąż wszakże przepadał za porankami; ulubioną porą dnia był w jego wypadku świt. Swego czasu był uzdolnionym jeźdźcem, który uwielbiał przejażdżki konne o brzasku, i jeszcze do niedawna w życiu nie dałby się zamknąć w dusznym powozie, gdyby mógł się nacieszyć rześkim powietrzem, jakie towarzyszy zaraniu dnia. Oczywiście to było jeszcze przed tym, zanim w thesmarskim zamachu stracił obie nogi na wysokości kolan. Wypadek ten był dla niego podwójnym nieszczęściem, nic dziwnego więc, że Truskyt pozostawał nadal mocno rozgorzeczony. Gdy się nad tym zastanawiał głębiej, musiał przyznać, że ten szczer księżę Harlessu do pewnego stopnia wyświadczył mu przysługę: dzięki temu, co mu się przytrafiło, nie znalazł się później w Lesie Kyplyngyra...

Z Lasu Kyplyngyra powrócił tylko jeden jego oficer i sześciu szeregowców z ogółem dwustu trzydziestu żołnierzy pod dowództwem generała Ahlvereza. Bardzo możliwe więc, że Mahtylda miała rację, twierdząc, że utrata obu podudzi nie była najgorszą rzeczą, jaka mogła mu się przydarzyć. Mimo to jednak Truskyt wciąż podchodził do tej sprawy bardzo emocjonalnie. Na ogół ubolewał nad tym, że musi jeździć powozem zamiast konno, ale tego dnia bynajmniej nie to stanowiło główny powód jego zmartwienia.

Tymczasem sierżant Pahrkyns zeskoczył z kozła, gdzie jechał obok woźnicy, i jakby nigdy nic przyglądał się, kiedy Truskyt walczył z kulami. Zhozaphat Pahrkyns służył majorowi od bardzo dawna. Już w Thesmarze był jego podkomendnym, i tam też odniósł poważne rany obok swego dowódcy, którego starał się ściągnąć z linii ognia w bezpieczne miejsce. Wprawdzie nie utracił żadnej części ciała, ale stracił czucie w lewej ręce, dzięki czemu major miał w nim kompana podczas rekonwalescencji. Skończyło się tym, że ani Truskyt, ani

Pahrkyns nie nadawali się więcej na pole bitwy. Truskyt wylądował jako dowódca artylerii na wyspie Biała Skała, jego podwładny zaś nadal mu towarzyszył w podwójnej roli sierżanta baterii i ochroniarza. Truskyt nierzadko określał go w myślach mianem „niańki”, choć oczywiście żaden z tych dwóch mężczyzn nie użyłby podobnego słowa na głos.

Zanim tu trafili, nie mieli zielonego pojęcia o artylerii, od tamtej pory jednak postarali się nadrobić swoje braki. Tak się złożyło, że mieli na to aż nadto czasu, gdyż ich placówka bynajmniej nie zaliczała się do tych najbardziej wymagających, gdzie co dzień mnóstwo się dzieje. Tak więc Truskyt objął nowe obowiązki bez uprzedzeń, z radością oddawał się wędkowaniu w wolnych chwilach, no i miał nadzieję, że będzie w domu, kiedy w sierpniu Mahtyllda wyda na świat ich trzecie dziecko. Żona nie ukrywała swej radości z faktu, że Bóg zwrócił go jej w jednym kawałku, no i z nienaruszoną męskością, on zaś nie zamierzał udawać, że i jego to nie cieszy.

Mógł przynajmniej wysłać do Armii Seridahn oficera o obu zdrowych nogach. To już było coś.

Posuwając się o kulach, chrząścił na ścieżce wysypanej pokruszonymi muszlami, aż wreszcie dotarł pod drzwi wiodące do ratusza. Miasteczko noszące nazwę na cześć Świętego Haarahlda było zdaniem Truskyta w gruncie rzeczy zwykłą wioską, ewidentnie jednak miało miejskie ambicje, gdyż ratusz wyróżniał się spośród kilkuset zwyczajnych budowli ostentacyjnością, która kłóciła się z wielkością miejscowości zamieszkaną przez tysiąc dusz. Z drugiej strony w miasteczku mieściła się również lokalna siedziba Gildii Rybaków, której przewodził nie kto inny jak Lainyl Jyrohm, będący zarazem burmistrzem. Truskyt nigdy nie zdołał dojść do tego, że Lainyl został burmistrzem, bo był szefem gildii, czy może raczej na odwrót? Jakkolwiek przedstawiała się prawda, nie mógł zaszkodzić mu fakt, że miał ojca, który był największym posiadaczem ziemskim na całej wyspie, co w gruncie rzeczy nie było taką dużą sprawą: wyspa Biała Skała mierzyła sobie osiemdziesiąt mil w najszerszym miejscu, jej długość zaś wynosiła sto pięćdziesiąt mil, co wiele chyba mówiło. Tak czy owak nie dało się zaprzeczyć, że Lainyl przez dziesięć lat pracował jako rybak, po czym dopiero awansował na szefa gildii, i że nie dało mu się odmówić pracowitości, którą przejawiał na obu zajmowanych przez siebie stanowiskach.

Pahrkyns wyminął majora i wbiegłszy po niskich stopniach, otworzył

drzwi przed przełożonym. Truskyt skinął w podzięcie głową i z wysiłkiem przekroczył próg. Tymczasem ze swego gabinetu zdążył już wyjść Lainyl, który zostawił za sobą lekko uchylone drzwi – za nimi Truskyt wypatrzył raczej niespokojnych trzech mężczyzn. Byli to: sir Hahndyl, Ahndru Ashtyn i jego syn Zhilbert.

– Przykro mi, że musiałem ściągnąć pana tutaj przez coś takiego, majorze – odezwał się Lainyl.

– Praca to praca – stwierdził Truskyt i uśmiechnął się krzywo. – Problem tylko w tym, że nie bardzo wiem, co którykolwiek z nas mógłby w tej sytuacji zrobić.

– Ja również nie mam pojęcia – przyznał uczciwie Lainyl. – Na razie siwieję ze zmartwienia i zastanawiam się, czyby nie przekazać wiadomości na stały ląd. – Prychnął nieoczekiwanie. – Uznałem jednak, że to pan jest tutaj przedstawicielem armii. Nie pozostaje mi nic innego, jak zrzucić wszystko na pańskie barki.

– Godna pochwały zapobiegliwość – rzucił oschle Truskyt, krocząc niezdarnie obok Lainyla. – Z takim nastawieniem z pewnością zrobiłby pan szybką karierę w wojsku... Proszę tylko nie zapominać, że skoro jestem oficjalnym przedstawicielem armii, moim zadaniem jest pisanie oficjalnych raportów. A te na ogół zawierają informacje na temat tego, kogo wyznaczyłem do jakiego zadania.

Lainyl się roześmiał. Następnie pchnął drzwi, otwierając je na oścież, i wprowadził Truskyta do środka. Major przywitał się najpierw z jego ojcem, który odpowiedział uściskiem przedramienia, gdy Truskyt nareszcie wyplątał dłoń z uchwytu kuli.

Technicznie biorąc, sir Hahndyl nosił najwyższy na wyspie tytuł arystokratyczny. Był bowiem jedynym wielmożą na Białej Skale. To oznaczało, że czasem okoliczności wymagały od niego, by posługiwał się tytułem baroneta przed swoim nazwiskiem. Było to zarazem wyjaśnienie, dlaczego pełnił też funkcję gubernatora wyspy – przynajmniej odkąd Dohlar i Harchong pospołu uznały, że to król Rahnyld będzie sprawował pieczę nad całym dohlariańskim wybrzeżem wyspy aż do końca świętej wojny. Sprawowanie urzędu gubernatora nie było wdzięcznym zadaniem, aczkolwiek na szczęście – do całkiem niedawna – była to czysta formalność. Truskytowi to nie przeszkadzało; darzył starego Jyrohma sympatią, zdawał sobie jednak sprawę, że nie

należy on do osób, którym podejmowanie decyzji przychodzi z łatwością.

– Jak rozumiem – Truskyt zwrócił się do Ahndru Ashtyna – tobie, panie, zawdzięczamy to spotkanie?

– Skądże znowu! – zaprzeczył siwiuteńki sześćdziesięciolatek, który wyglądał na wiele starszego, niżby wskazywała jego metryka.

Mężczyzna ten, spędziwszy pięć dekad na zarzucaniu i wyciąganiu sieci, miał zgrubiałe, pokryte odciskami dłonie. Jego syn Zhilbert liczył sobie zaledwie trzydzieści sześć lat i mógł się poszczycić bujną czupryną czarnych włosów, które odziedziczył po ojcu. Obydwaj mieli piwne oczy i postawną sylwetkę.

– Tak, wiem – uspokoił go Truskyt. – Niemniej wraz z sir Hahndylem musimy stworzyć raport, który prześlemy do Gorathu z wyszczególnieniem wszystkiego, co widziałeś. Może w takim razie zabierzemy się do roboty? Opowiedz, co widziałeś, proszę.

– Tyle chyba mogę zrobić – odrzekł Ahndru. – Aczkolwiek pójdzie mi szybciej i składniej, jeśli zwilżę czymś gardło... Niech Shan-wei porwie tę przekłętą mgłę snującą się nad zatoką! – Kiedy staruszek zadygotał teatralnie, jego syn przewrócił oczami.

– Mogłem się tego spodziewać. – Lainyl westchnął, po czym otworzył szafkę przy biurku i zaczął wyciągać szklaneczki do whiskey. – Na szczęście, mając tyle do czynienia z rybakami, jestem przygotowany i na tę okoliczność. Ahndru, na początek zaoferuję ci tylko jedną szklaneczkę czegoś mocniejszego. Tyle musi ci wystarczyć, dopóki nie skończysz opowiadać, rozumiemy się?

– Co jak co, ale zachęcić człowieka, żeby przeszedł do rzeczy, to ty potrafisz! – Ahndru zaśmiał się głośno, a następnie pociągnął solidny łyk trunku.

Pozwolił, aby złocisty płyn spłynął mu do gardła, westchnął przeciągle i przeniósł znów spojrzenie na Truskyta. Natychmiast przybrał też poważny wyraz twarzy.

– Spostrzegliśmy je o zachodzie słońca wczoraj – zaczął opowiadać. – Byliśmy akurat na Zhaney Su, pomagaliśmy Hairahmowi sprawdzić boje w Homarowej Zatoczce. Pułapki trzeba było przenieść po tym wietrze, co tak dał we środe...

Truskyt skinął głową. Obydwaj Ashtynowie byli rybakami, w sumie mieli do dyspozycji cztery łodzie. Nie zajmowali się połowem homarów.

Jednakże w tak małej społeczności, jaką była wyspa Biała Skała, jeden pomagał drugiemu w potrzebie. W Homarowej Zatoczce, która stanowiła najbardziej na północny wschód wysunięty kraniec mulistego wału, zwanego dohlariańskim wybrzeżem wyspy, roilo się od homarów i pajęczokrabów.

– No więc to tam je spostrzegliśmy – powtórzył stary Ashtyn. – Było ich w sumie pięć, z czego jedna była o wiele większa od reszty. –

Potrząsnął głową z przerażeniem w oczach. – W życiu nie widziałem takich ogromnych armat! Każdy, do kogo popłynie ta cholera, pożałuje, że się w ogóle urodził.

– Zapewne – zgodził się ze starszkiem Truskyt, popijając whiskey ze swojej szklaneczki. – A więc to było wczoraj wieczorem, tak?

– Tak. – Stary Ashtyn potwierdził skinieniem głowy. – Zabraliśmy się stamtąd, ledwie je zobaczyliśmy. Nie byliśmy pewni, czy po ciemku czegoś nam nie zrobią. – Wzruszył ramionami. – Wiatr zamarł, akurat jak opływaliśmy przylądek Tobys, no tośmy zostawili Zwana i Hektora, żeby mieli na nie oko, a sami powiosłowaliśmy zawiadomić o wszystkim Lainyla, znaczy się, burmistrza. – Pomimo wyraźnego zaniepokojenia Ahndru posłał szefowi gildii szeroki uśmiech; w końcu znał go od dzieciństwa.

– Dobrze zrobiliście – pochwalił go szczerze Truskyt i zaraz zapewnił: – Wątpię, aby interesowała je Zatoka Świętego Haarahlda. – Postanowił zatrzymać dla siebie informację, że w przeciwnym razie znajdujące się na wyposażeniu dwudziestopięćofuntówki nie byłyby w stanie obronić dohlariańskiego wybrzeża wyspy. – Mam świadomość, że woda tu jest głęboka, dzięki czemu to świetne miejsce na kotwicowisko, pod warunkiem że wiatr nie wieje z północnego wschodu, ale nie zapominajmy, że Charisjanie już są w Chelmsport, a nawet Trove. Nie sądzę, aby chcieli do tego...

– Burmistrzu!

Przez drzwi wpadł do środka klerk Lainyla. Truskyt poderwał spojrzenie, zdumiony nagłym pojawieniem się kogoś obcego, ten wszakże już ciągnął Lainyla w stronę okna.

– Co to ma zna... – zaczął Lainyl na moment przed tym, zanim rozbrzmiał donośny dźwięk nabrzeżnego dzwonu, który w normalnych okolicznościach budził do życia miejscową łódź ratunkową.

– Patrzcie! Patrzcie! – zawołał klerk i wszyscy zebrani powiedli wzrokiem za jego wycelowanym palcem.

Lainyl zamarł. Truskyt zauważył, jak cała krew odpływa z twarzy burmistrza, zanim sam zaczął się podnosić o kulach. Pahrkyns znalazł się u jego boku w okamgnieniu i pomógł mu wstać, pozwalając się wesprzeć na swoim zdrowym ramieniu. W innych warunkach Truskyt nie skorzystałby z takiej pomocy, rozeźlony samym faktem, że w ogóle jej potrzebuje. Tymczasem tylko mruknął podziękowanie i pokuśtykał w stronę okna tak szybko, jak było to możliwe.

– Co... – rzucił, lecz nie dokończył.

Skrawkiem umysłu zauważył, że mgła się uniosła, i zrozumiał, że się przeliczył, i to znacząco.

– No, teraz już na pewno nas zobaczyli – oznajmił Halcom Bahrns oschłym tonem, kiedy nareszcie ustąpiła mgła.

Ucieszył się, że się przejaśniło i jest lepsza widoczność, aczkolwiek Zatoka Świętego Haarahlda była rozległa, a przy tym naprawdę głęboka – jej dno opadało gwałtownie na podobieństwo klifu, zupełnie jakby waleniszczyciel odgryzł potężny kawał mielizny po dohlariańskiej stronie Cieśniny Fernu. Jeśli wierzyć mapom, głębokość wody w tym miejscu, niespełna tysiąc metrów od miasta, sięgała sześciu sążni.

Taka głębokość była odpowiednia nawet dla HMS *Gwylm Manthyr*, co jednak nie do końca uspokoiło Bahrnsa, który obawiał się, że będzie musiał zbliżyć się do wyspy Biała Skala nocą. Na szczęście nie było to konieczne. Kanonierki donikąd się nie śpieszyły. Pokonały cieśninę przy prędkości jednego czy dwóch węzłów, niezauważone przez mieszkańców wyspy, po czym rozpoczęły oczekiwanie, aż mgła opadnie.

– To raczej pewne, kapitanie – odparł sir Dunkyn Yairley jeszcze bardziej oschle. Stał obok Bahrnsa na sterburtowym skrzydle wysokiego mostka HMS *Gwylm Manthyr*, na zewnątrz oszklonego kiosku, i przez lornetkę przyglądał się odległemu o trzy mile brzegowi, który właśnie dał się zobaczyć wyraźniej. – Trudno przeoczyć taki widok.

Bahrns prychnął śmiechem na tę uwagę, a baron Sarmouth opuścił lornetkę, której tak naprawdę wcale nie potrzebował, i obrócił się, aby

rzucić spojrzenie poza maszt i kominy na cztery pozostałe jednostki klasy City, które sapiąc, płynęły jego śladem. HMS *Barcor* i HMS *Żelazne Wzgórze* – oba okręty klasy Victory – znajdowały się najbliżej nich, podczas gdy HMS *Gairmyn*, piąta kanonierka Hainza Zhaztra, włókł się za nimi, mając oko na pięć galeonów wypełnionych po brzegi wydajnym węglem z Glacierheart.

Baron Sarmouth ponownie zwrócił spojrzenie na Zatokę Świętego Haarahlda i uśmiechnął się pod nosem. Jego zdaniem nazwa była więcej niż odpowiednia... Dzięki SAPK-om mógł patrzeć z lotu wyverny na siedzibę Lainyla Jyrohma, co go bardzo cieszyło, bo reakcja burmistrza była zaiste godna odnotowania. Tak samo jak reakcja majora Truskyta. Dość szybko uśmiech Dunkyna Yairleya przeszedł w grymas przypominający raczej wdzięczność, kiedy baron uświadomił sobie, że Truskyt jest nazbyt zrównoważony, aby zareagować pochopnie. Na to właśnie liczył, korzystając z pozwolenia hrabiego Sharpfieldu, dzięki któremu mógł przemieścić eskadrę z wyspy Trove do Zatoki Świętego Haarahlda.

Odległość pomiędzy Chelmsport i Cieśniną Fernu wynosiła dobrze ponad siedemset mil, biorąc pod uwagę ukształtowanie linii brzegowej po dohlariańskiej stronie, i nie miało znaczenia, czy eskadra ruszy na północ czy na południe. Nie dotyczyło to galeonów ani szkunerów, które na terenach łowieckich znalazłyby się nieco później. W wypadku mających niewielki zasięg operacyjny okrętów klasy City wyglądało to jednak inaczej. Tymczasem – dopóki baron Sarmouth nie dowie się oficjalnie o nadejściu Zhaztra, bez konieczności tłumaczenia się z wewnętrznych kręgów, SAPK-ów i osobistych komunikatorów – nie było możliwe przeforsowanie jako bazy wyspy Biała Skała w zamian za wyspę Trove. Pisząc raport dla hrabiego Sharpfieldu, skupił się na licznych zaletach pierwszej z wymienionych wysp, wszakże – dopóki eskadra Raisahnda nie przestanie być problemem i dopóki pancerne parowce będą dostępne – próba zajęcia wyspy leżącej tak blisko Dohlaru i rozprawienia się z silną eskadrą w zatoce Gorath raczej nie wchodziła w grę.

No ale sytuacja zdążyła się zmienić, pomyślał, obserwując, jak w miarę upływu czasu wybrzeże nabiera kształtów i wyrazistości.

Na oczach barona Sarmouth pierwsi żołnierze schodzili po siatkach do barek desantowych, które kołysały się na wodzie u kadłubów HMS

Barcor i HMS *Żelazne Wzgórze*. Jednostki desantowe zostały wyposażone w napędzane parą koła łopatkowe, które przypląnęły na pokładzie JMS *Żelazny*, jednego z okrętów klasy *Victory*, na wyspę Szpon, gdzie też doszło do ich instalacji. Dunkyn Yairley wolałby z wielu względów napęd śrubowy, jednakże koła były łatwiejsze w montażu i zajmowały mniej miejsca. Nawet baron rozumiał, że w razie niespodzianego wejścia na mieliznę łatwiej jest stracić śruby niż koła łopatkowe. Na pokładzie wszystkich kanonierek znajdowały się dwa bataliony, kolejne dwa zaś płynęły na pokładzie galeonów. Ogółem cztery tysiące żołnierzy Cesarskiej Floty *Charisu* stanowiło nie lada siłę w porównaniu z obsadą wyspy *Biała Skała*, której garnizon liczył co najwyżej dwustu ludzi. Do pewnego stopnia była to przesadna przewaga, aczkolwiek baron *Sarmouth* nie miał nic przeciwko temu, skoro gwarantowało to takie, a nie inne zachowanie majora *Truskyta*.

Tak, wiele się pozmieniało, powiedział sobie teraz w duchu Dunkyn Yairley. Już się nie mogę doczekać, aby się dowiedzieć, jak zareagują na to w stolicy Dohlaru. Chociaż trzeba przyznać, że będą tam mieli więcej powodów do reagowania niż tylko ten jeden...

– Nie, nic – powiedział na głos, gdy kapitan *Bahrns* uniósł pytająco jedną brew, słysząc, że admirał *parska* cicho śmiechem. Nie mógł przecież powiedzieć dowódcy swego flagowca, że w przeciwieństwie do wszystkich zobaczy reakcję wroga na bieżąco. – Tak tylko naszła mnie pewna myśl...

.III.
Shandyr
Thorast
Dohlar

Sir Hauwerd Breygart otworzył oczy, gdy czyjaś ręka potrzęsnęła nim za ramię. Za pięćdziesiąt lat skończy pięćdziesiąt lat, ale już teraz czuł brzemię swojego wieku. Z drugiej strony – fakt, że ktoś zerwał parę kartek z kalendarza, nie znaczył jeszcze, że mężczyzna ten stracił nawyki trzydziestoletniej kariery wojskowej. Breygart w dalszym ciągu miał lekki sen i budził się w okamgnieniu.

Usiadł gwałtownie na pryczy, spuścił stopy za jej krawędź i wstał. Przeciągnął się, a następnie rozmasował sobie krzyże obiema dłońmi. Z jakiegoś powodu była to część ciała, która postarzała się szybciej niż pozostałe – tym bardziej więc tęsknił za wygodnym łóżkiem, które musiał zostawić w kwaterze w Shandyrze. Niestety sytuacja wymagała jego obecności bliżej frontu, gdzie na szczęście miał do swojej dyspozycji porządny namiot, co i tak było poprawą w stosunku do warunków, jakie przyszło mu znosić podczas obrony Thesmaru.

I to znaczną poprawą, uściślił w myślach.

Niegdyś przetrzebiona i składająca się z przypadkowo zebranych żołnierzy Armia Thesmaru zyskała posiłki w liczbie niemal osiemdziesięciu tysięcy ludzi: dobrze odżywionych i dobrze uzbrojonych. Również sama artyleria otrzymała upragnione działa kątowe: obiecywane od dawna sześciocalówki, a nawet potężniejsze od nich dziesięciocalówki, wyprodukowane na bazie armat klasy Król Haarahld, aczkolwiek bardziej przysadziste i krótsze. Te ostatnie okazały się w praktyce zbyt duże, aby mogły brać udział w działaniach polowych; ledwie zjechały z głównego traktu, stawały się praktycznie bezużyteczne, i to nawet przy podwójnej obsadzie. Jednakże i tak sprawowały się lepiej, niż można by oczekiwać od armat ważących siedemnaście ton, a do tego dawały naprawdę niezły wykop.

Porucznik Karmaikel trzymał w ręce kubek z gorącą herbatą fasolowiśniową. Hrabia przyjął go z wdzięcznością.

– Dziękuję – powiedział, po czym upił solidny, aczkolwiek ostrożny łyk. Napar był gorętszy niż piekło Shan-wei, ale to akurat mu odpowiadało. Odstawił kubek na stolik przy pryczy i sięgnął po buty. –

Zakładam, że gdyby wydarzyło się coś złego, zdążyłbyś mi już o tym zameldować, Dyntyńie?

– Zaczekałbym z tym, aż dopijesz pierwszy kubek, mój panie – odparł Karmaikel z poważną miną.

Hrabia prychnął na to i wzuł prawy but na stopę.

– Jeśli mam być szczery – podjął Karmaikel – wszystko przebiega aż nazbyt sprawnie. Nie mamy żadnych opóźnień w stosunku do grafiku, co samo w sobie budzi mój niepokój...

– Cóż, Dyntyńie – skwitował filozoficznie hrabia Hanthu. – Zdarza się i tak, że wszystko idzie zgodnie z planem. Aczkolwiek, przyznaję, lepiej zawsze zakładać najgorsze i być przygotowanym, że plan weźmie w łeb. Dzięki temu człowiek przeżywa mniej niemiłych niespodzianek. Za to ma nadzieję przyjemnie się zdziwić, przynajmniej od czasu do czasu.

– Otóż to, sir.

Hrabia Hanthu wzuł lewy but na drugą nogę, wstał, chwycił odstawiony przed chwilą kubek i ruszył za swoim adiutantem, opuszczając część namiotu, która służyła mu za prywatne lokum, a która została wydzielona z większego namiotu sztabowego. Parunastu, a może nawet parudziesięciu podwładnych zamarło w pozycji na baczność, gdy Karmaikel odsunął klapę służącą za drzwi pomiędzy oboma pomieszczeniami.

Breygart machnął ręką, w której trzymał kubek.

– Spocznij – rzucił.

Następnie podszedł do ogromnej mapy i zapatrzył się na nią, popijając gorący wciąż napar.

Mapa była bardzo szczegółowa, a to dzięki informacjom zebranych przez jego patrole, jak również dzięki *seijinom*, którzy najwyraźniej mieli swoich ludzi w każdym zakątku Schronienia. Hrabia Hanthu utracił paru zwiadowców w trakcie wykonywania przez nich obowiązków, co niezbyt mu się podobało – który dowódca nie ubolewa

nad stratami w ludziach? – wszakże ich poświęcenie miało ocalić życie znacznej liczbie osób w najbliższych dniach. Tylko kilka elementów było niejasnych; Breygart nie żywił żadnych wątpliwości co do ukształtowania terenu i rozmieszczenia oddziałów Armii Seridahn. Jeśli chodzi o to ostatecznie, wiele by dał, aby rozmieszczenie było w istocie inne, cóż z tego jednak, skoro nic nie mógł na to poradzić. Najważniejsze, że był zorientowany na tyle, na ile to było możliwe.

Tymczasem sir Fahstyr Rychtyr uwijał się jak w ukropie, odkąd stracili ze sobą łączność. Zdążył zająć obecną pozycję: w miejscu, gdzie Kanał Seridahn i główny trakt biegną od lasu Duhnsmyr do lasu Kaiylee, i tam się dobrze okopał. Utrata łączności kosztowała go jakieś cztery tysiące żołnierzy, z czego ponad połowa trafiła do obozów jenieckich – taki był koniec ariergardy, którą zmuszony był pozostawić w tyle. Fakt, że tyłu Dohlarian zdecydowało się poddać, wiele mówił o obecnym poziomie morale w Królewskiej Armii Dohlaru, przynajmniej zdaniem hrabiego Hanthu, który miał pewność, że Rychtyr jest załamany liczbą utraconych żołnierzy. Zarazem nie wątpił w to, że dohlariański dowódca nie ma nic przeciwko tak wysokiej cenie – w jego opinii gra była warta świeczki. Jakkolwiek spojrzeć, aż nadto dobrze wykorzystał dany mu czas.

Stworzył solidny system okopów, redut oraz – niestety – pół minowych ciągnących się na odcinku dwudziestu mil, które dzieliły oba zalesione tereny. Swoje flanki wsparł od północy na przykanałowej wiosce Tyzwail, od południa zaś na Farmie Zhozuah. Większość umocnień czekała na jego przybycie, wzniesiona przez oddelegowaną specjalnie w tym celu siłę roboczą, jednakże z chwilą jego pojawienia się na miejscu doszło do ich rozbudowy i modernizacji.

Co więcej, zarządził on stworzenie równie imponujących umocnień na przestrzeni dzielącej lasy Kaiylee i tak zwany Las Czterdziestomilowy położony jeszcze bardziej na południu, a także pomiędzy tym ostatnim a Lasem Księżycowego Cienia, znajdującym się z kolei ponad sto mil na południowy zachód od linii Tyzwail–Farma Zhozuah. Robotnicy przydzieleni do tej pracy stworzyli także ariergardy za główną linią obrony, z czego te znajdujące się najbardziej z tyłu, wciąż w budowie, dzieliło od bieżącej linii frontu ponad sześćdziesiąt mil. Każde zagłębienie w ziemi zostało zbadane przez wojskowych inżynierów i zaznaczone na mapie. Dowódcy poszczególnych jednostek mieli

doskonale pojęcie, gdzie prowadzić działania opóźniające w razie przerwania frontu – przy czym miejsca najłatwiejsze do obrony zawnaz zostały wyposażone w okopy i wały ziemne.

Hrabia Hanthu doszedł do wniosku, że kompetentny przeciwnik to prawdziwy wrzód na dupie. W dodatku gniewało go to, że nie dostał pozwolenia, by zaatakować, jak tylko będzie gotów, to znaczy – zanim ten przebrzydły Dohlarianin porządnie się okopie. *A niech to, pomyślał rozżłoszczony Breygart. Cayleb powinien wiedzieć, że tak nie traktuje się dowódcy! Powinienem właściwie wysłać temu młodzikowi list i zbesztać go, aż by mu w piętę poszło.*

Ogarnął go pusty śmiech na myśl o tym, jak cesarz zareagowałby na podobną wiadomość. Bo – choć narzekał na opóźnienie – doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jaki jest jego powód. Z punktu widzenia całościowej strategii wstrzymanie się z działaniami jak najbardziej miało sens, co wszakże nie zmieniało faktu, że Armia Thesmaru przy tym cierpiała. Hrabia Hanthu trzymał tylko kciuki, aby nikt we flocie nie okazał się bardziej wrywny od niego samego.

Na szczęście na naszą flotę można liczyć, dodał w myślach. Wynajdujesz sobie problemy, bo nie chcesz dopuścić do siebie myśli, ile ludzi zginie niebawem, i to po obu stronach konfliktu.

Rychtyr nie tylko kopał w ziemi niczym jakiś wściekły jaszczurodrap, on także zwiększał swoje siły, ściągając do siebie kolejne garnizony – i to też spoza Bryxtynu i Waymeetu. Zwiadowcy donosili, że w tej chwili Rychtyr dysponuje sześćdziesięcioma tysiącami żołnierzy zdolnych do służby polowej oraz kolejnymi dwudziestoma może nie w pełnej gotowości bojowej, ale co najmniej uzbrojonymi w sprzęt, jaki zdołał zapewnić książę Saltharu. Zdecydowana większość tych dwudziestu tysięcy była zajęta utrzymywaniem redut na obu flankach i składała się głównie z milicjantów, raczej niezdatnych w razie ciężkiego ataku. Należało się jednak liczyć z tym, że – jeśli tylko morale wśród nich utrzyma się na zadowalającym poziomie – skutecznie obronią umocnienia, a zarazem istotny był fakt, że dzięki ich zaangażowaniu dwadzieścia tysięcy weteranów mogło zostać przydzielonych do innych zadań, co także miało swoje znaczenie. Rychtyr tak czy owak był zmuszony dokonać podziału swoich sił pomiędzy linię Tyzwail–Farma Zhozuah oraz lasy Kaiylee–Czterdziestomilowy, co ogółem dawało front długości trzydziestu pięciu mil. Nawet sześćdziesięciotysięczna armia

przy takim rozciągnięciu nie wydawała się istotną siłą, dlatego właśnie takie znaczenie miały umocnienia, dzięki którym w grę wchodziło ekonomiczne wykorzystanie wszystkich sił. Mimo to hrabia Hanthu był pewien, że zdoła przerwać front w miejscu i czasie przez siebie wybranym – miał na to wystarczająco silną artylerię.

Nawet to jednak, pomyślał ze smutkiem, nie oznacza, że nie poniosę dużych strat.

Tyle dobrego, że dotychczasowe raporty podtrzymywały wcześniejsze doniesienia, mianowicie że Rychtyr nie dostał w swoje ręce rakiet Chłopców Świątyni. Tak się bowiem składało, że cokolwiek wyprodukował Dohlar, szło na potrzeby obrony wybrzeża, natomiast produkcja Ziemi Świątynnych była przewidziana dla Armii Pana Wszchemogącego i Archaniołów. To utrudniało sprawę baronowi Zielonej Doliny i księciu Eastshare, a także hrabiemu Sharpfieldu i baronowi Sarmouth, lecz mimo to hrabia Hanthu i tak czuł satysfakcję, że nie będzie musiał stawić im czoła.

Jeszcze przez kilka minut wpatrywał się w mapę, po czym wyjął zegarek, otworzył go i sprawdził godzinę.

– Może wyjdziemy na zewnątrz, panowie? – rzucił do nikogo w szczególności. Na jego ustach błąkał się zimny uśmiech, kiedy zatrząskiwał zegarek. Upił jeszcze łyk herbaty fasolowiśniowej i skinął głową w stronę „drzwi” namiotu, prowadzących w ciemną dohlariańską noc. – Spodziewam się, że pokaz ogni będzie spektakularny!

Noc była piękna, na swój sposób. Ktoś, kto lubi blask księżyca i rozgwieżdżone niebo, w tym wypadku nie użyłby tego akurat słowa. Jednakże taki na przykład inżynier wojskowy, który ma za zadanie oczyścić drogę przez bomby ziemne – przez mieszkańców Starej Ziemi zwane minami lądowymi – zachwyciłby się egipskimi ciemnościami. Aczkolwiek nawet z jego punktu widzenia kompletny mrok miał swoje niedogodności.

Porucznik Klymynt Hahrlys czołgał się powolutku cały spocony, przy czym jego potliwość nie miała nic wspólnego z wysoką wilgotnością powietrza ani z klaustrofobicznym uczuciem spowodowanym naporem

czarnego firmamentu na nie mniej czarną ziemię. *No*, poprawił się w duchu, *może jednak ma odrobinę wspólnego...* Odłożył trzymane w ręce narzędzie, otarł z umorusanej twarzy pot i osuszył dłoń o nogawkę spodni. Następnie ujął szpikulec ponownie i podjął wędrówkę na brzuchu, ostrożnie badając grunt przed sobą starannie wymierzonym łukiem ramienia.

Doskonale wiedział, że powinien był zostawić to zadanie podoficerom i szeregowcom, ograniczając się do nadzoru. Wiedział też, że kapitan Maizak obedrze go żywcem ze skóry, gdy usłyszy, jak dowódca drugiego plutonu spędził ten wieczór. Miał wpojone, i to głęboko, że oficer wydaje rozkazy. Czuł się w obowiązku dopilnować, aby jego podwładni gładko ze sobą współdziałali w czasie akcji, co wiązało się z utrzymanym na wysokim poziomie szkoleniem, jak również z koniecznością dbania o ich zdrowie i wyżywienie. Tylko wtedy mogli należycie wypełniać swoje zadania. Nie chodziło tu o rycerskość – co kapitan Maizak podkreślił stanowczo po ataku pod Zhonesbergiem, dając zarazem jasno do zrozumienia, że umiejętności dowodzenia okazały się mało przydatne, jeśli dowódca da się wysadzić przed właściwą akcją.

Na szczęście Hahrlys mógł liczyć na to, że jeśli nawet przełożony go złaje, nie włoży w to całego serca. Co więcej, było bardzo prawdopodobne, że podczas gdy Hahrlys robił rozeznanie w polu, jego kapitan czynił to samo.

Zwiadowcy Cesarskiej Armii Charisu zdążyli ustalić, że bomby ziemne w wersji dohlariańskiej były większe od charisjańskich, a także wykonane z drewna. Drewniana konstrukcja czyniła je bardziej podatnymi na przecieki i próchnienie, przez co raczej ich żywotność była stosunkowo krótsza. Hahrlys zakładał, że co najmniej jedna czwarta już zamieniła się w niewypały, a to dzięki deszczowi, który padał nieprzerwanie od pięciodnia. W dodatku spore rozmiary sprawiały, że było je łatwiej wytropić nawet w ciemnościach.

Niestety żadna z tych wiadomości nie polepszyła samopoczucia Hahrlysa.

Cóż, ktoś musi wykonać tę robotę, pomyślał. A tak się składa, że w wojsku „ktoś” równa się najczęściej inżynierowi.

Zdecydowanie wolałby pracować w świetle dnia... z tym zastrzeżeniem, że dohlariańscy snajperzy oślepliby na ten czas i nie

byliby w stanie odstrzelić mu głowy jednym strzałem. Ledwie pomyślał o blasku słońca, wschodni horyzont zmienił barwę na ciemnoszarą, tym bardziej podkreślając czerń, którą Hahrlys miał przed sobą. Na razie zapowiedź świtu w niczym mu nie pomogła, mógł jednak liczyć na to, że za jakieś pół godziny zrobi się jaśniej. Wtedy z większą łatwością znajdzie bomby ziemne. A dohlariańscy snajperzy dojrzą go bez trudu.

Teraz przynajmniej okoliczności mu sprzyjały. Tak samo jak reszcie inżynierów. Było jednak więcej niż pewne, że raczej prędzej niż później któryś z nich – zamiast natrafić na minę za pomocą liczącego pięć stóp szpikulca – doprowadzi do jej detonacji. Ta myśl nie była miła ani Hahrlysowi, ani pułkownikowi Sylwstrowi, który pełnił funkcję dowódcy dziewiętnastego batalionu saperów. Nawet to jednak nie zmieniało faktu, że zadanie trzeba wykonać, mimo iż istnieje ryzyko strat w ludziach. W dobrej armii poczytywano sobie na plus, gdy straty te były możliwie jak najniższe. W zaistniałej sytuacji nikt nie miał wątpliwości, że Hahrlys z podwładnymi ucierpi znacznie mniej niż parę batalionów piechoty próbujących ataku na wskroś pola minowego.

Nie sposób jednak nie zauważyć, dodał kwaśno w myślach, że w tym drugim wypadku ofiarami nie byliby moi ludzie. A skoro tak...

Zatoczył łuk prawym ramieniem, odmierzywszy uprzednio przepisowe osiemnaście cali, po czym raz jeszcze opuścił wygięty koniec szpikulca.

Stuk.

Hahrlys zamarł, słysząc niedający się pomylić z niczym innym stukot stali o drewno.

– Mam cię – szepnął.

W odpowiedzi czyjaś ręka ścisnęła jego prawy obcas.

Kapral Fhranklyn Sygzbee, goniec drugiego plutonu, nazywany przez współtowarzyszy bez złośliwości Niezdarą, nie odezwał się ani słowem na wieść, że porucznik zamierza przeczołgać się po polu minowym po ciemku, z nim w roli kompana. Minę miał jednak wymowną. Hahrlys nie był pewien, czy brak entuzjazmu kaprała wynika z niechęci do bycia wysadzonym czy raczej z niechęci do bycia świadkiem, jak Hahrlys wylatuje w powietrze, co by się wiązało ze złożeniem stosownego meldunku sierżantowi Tylllytsynowi.

Hahrlys zachichotał w myślach. Moment później przyłgął do ziemi całym ciałem i ponownie poruszył ręką, starając się stwierdzić rozmiary

namierzonej bomby ziemnej. Po kilku sekundach macania na oślep nabrał pewności, że zlokalizował ją poprawnie, dzięki czemu mógł ponownie przejechać szpikulcem po ziemi i po drewnianej skrzynce, aby w końcu zaczepić o nią wygięty, ostro zakończony stalowy czubek.

Dopiero wtedy pozwolił sobie na następny ruch. Zbliżył się do drewnianej skrzynki, wykorzystując szpikulce jako punkt odniesienia. Gdy znalazł się na odległość ramienia od jego koniuszka, sięgnął najdalej jak umiał i zaczął macać ostrożnie w poszukiwaniu zapalnika bądź zwalnicza.

Zabawne. Choć nie zrobiło się ani trochę cieplej, poczuł, że jest zlany potem, kiedy jego palce dosięgnęły charakterystycznego pagórka. Na szczęście Dohlarianie dopiero eksperymentowali z minami. Oznaczało to, że nie zawracali sobie głowy wyrównywaniem ziemi po umieszczeniu pułapek na swoim miejscu. Na to akurat, oczywiście, Klymynt Hahrlys nie zamierzał się skarżyć.

Wraz ze swoimi ludźmi wiele godzin spędził na rozbieraniu nieaktywnych bomb ziemnych wyprodukowanych w Dohlarze, a zdobytych w polu przez zwiadowców Armii Thesmaru. Doświadczenie pozwalało mu wyróżnić dwa ich typy, przy czym obecnie miał do czynienia z typem pierwszym, co potwierdziły opuszki jego palców. Drewniana skrzynka mierzyła jakieś czternaście cali długości, dziesięć cali szerokości i sześć cali głębokości, a wypełniona była czarnym prochem ukrytym pod staromodnymi kulami muszkietowymi. Typ drugi był jeszcze paskudniejszy. Drewnianą skrzynkę wieńczyła kopuła ze smoły, która zawierała sześćdziesiąt pięć kul muszkietowych – dzięki takiej, a nie innej konstrukcji rozpryskiwały się one półsferycznie, niemal identycznie jak charisjańskie wymiatacze. Pole rażenia było w ich wypadku znacząco większe niż w typie pierwszym, aczkolwiek koszyk wydawał się bardziej ograniczony niż w wynalazku Charisjan.

Skoro to jest typ pierwszy, zapalnik powinien znajdować się gdzieś tutaj...

Jest! Opuszkami palców wymacał wystający mechanizm naciskowy. W typie pierwszym jako zapalnika używano zamkniętej spłonki, choć za spust robiła prostokątna płytką, którą się odciągało i ustawiało pod kątem prostym w celu uzbrojenia. To zaś znaczyło, że...

– To typ pierwszy – zwrócił się cicho do Sygzbeego. – Namierzyłem

mechanizm naciskowy. Podaj mi klin.

Sięgnął do tyłu lewą ręką, nie cofając prawej dłoni z mechanizmu naciskowego. Ostatnie, czego mu było trzeba w tej chwili, to stracić kontakt z tym cholerstwem i znów po ciemku go szukać.

Coś dotknęło jego lewej ręki. Odruchowo zacisnął palce na idealnie wyprofilowanym klinie, zrobionym z drewna i dotąd znajdującym się w plecaku kaprała. Porucznik poruszył się niezgrabnie, aby ponownie mieć obie ręce na minie, wstrzymał oddech i nad wyraz ostrożnie umieścił klin pod mechanizmem naciskowym. Wepchnął go do końca delikatnym ruchem, po czym wreszcie mógł zaczerpnąć tchu.

– Chorągiewka – rzucił za siebie.

Kapral Sygzbee podał mu długą na cztery cale, pomarańczową chorągiewkę, przymocowaną do osiemnastocalowego „śledzia”. Hahrlys wbił ostry koniec w ziemię tuż obok drewnianej skrzynki, przetoczył się na bok, aby spojrzeć na kaprała, który w tych ciemnościach był tylko rozmytą plamą, pomimo znacznej bliskości, w jakiej się znajdowali.

– Ładunek! – powiedział porucznik.

Sygzbee posłusznie wręczył mu zmodyfikowany granat, który Hahrlys umieścił w kupce ziemi przykrywającej minę.

Wcześniej kapral zdążył przymocować do granatu długi kawałek lontu, odwinętego ze szpulki niesionej przy pasie. Do tej pory rozmieścili w podobny sposób czternaście granatów, z czego wszystkie połączone były tym samym lontem. Hahrlys upewnił się, że ostatni odcinek lontu jest dobrze przytwierdzony do gruntu. Teoretycznie w odpowiednim momencie lont zostanie zapalony i wszystkie granaty wybuchną, załatwiając tym samym znajdujące się obok miny. A w razie gdyby detonacja się nie powiodła, kolorowe chorągiewki miały ostrzec charisjańskich żołnierzy o obecności zabójczych przeszkód na ich drodze. W najgorszym razie zaś klin powinien zapobiec wciśnięciu mechanizmu, dzięki czemu całe ustrojstwo okazałoby się bezużyteczne w chwili, gdyby jakiś żołnierz na nie nadepnął.

No, pod warunkiem że nie przeoczyłem zabezpieczenia w postaci potykacza, możemy uznać zadanie za wykonane, pomyślał Hahrlys.

– No dobra, dość odpoczęliśmy – powiedział na głos.

– Jestem tego samego zdania, sir – odparł bezcielesny, ledwie słyszalny głos. Dolatywał on od lewej strony, gdzie tym samym

zajmowali się kapral Ahlvyn Ahdahmski i szeregowy Zhon Vyrnyn mający za zadanie oczyszczenie północnej flanki przejścia. – Nie chcę marudzić, ale pan, poruczniku, i Niezdara robicie strasznie dużo hałasu.

– To dlatego, że udaje nam się namierzyć te cholerstwa – odparował Hahrlys, wywołując tym parsknięcie śmiechu Sygzbeego. – Nie mówcie mi, że wolicie, aby to oficer odwał za was całą robotę?

– To byłoby dziwne – przyznał Ahdahmski.

– Jeszcze jak – potwierdził Hahrlys. – Zważywszy jednak na to, że zbliżamy się do linii wroga, chyba najlepiej będzie, jak zakończymy tę wymianę zdań, Ahlvynie.

– Oczywiście, sir. – Szept Ahdahmskiego, choć doleciał z odległości mniejszej niż dwadzieścia stóp, był praktycznie niesłyszalny.

Hahrlys skwitował to pomrukiem pełnym aprobaty i znów zaczął pełznąć przed siebie. Miał świadomość, że napomnienie nie było konieczne – przynajmniej na razie. Z jego obliczeń wynikało, że znajdują się wciąż dobre dwieście jardów od najbardziej wysuniętych pozycji Dohlarian. Zawsze jednak istniało ryzyko, że się pomylił bądź że wróg postanowił przesunąć się naprzód, by sprawić przeciwnikowi kłopoty. Było to całkiem możliwe w wypadku tych drani, którzy wszakże na pewno nie chcieli zbliżyć się zaledwie do pola własnych bomb ziemnych.

Cóż, uznał w duchu Hahrlys, jeśli artyleria znalazła się już na swoich stanowiskach, Dohlarianie będą mieć wkrótce inne problemy na głowie, i to bez względu na to, gdzie dokładnie są w tej chwili.

Zanim porucznik Klymynt Hahrlys zdążył pomyśleć coś jeszcze, poczuł i usłyszał, że szpikulec natrafił na coś ponownie. W ciągu dwu sekund, które mu pozostały, zrozumiał, że właśnie znalazł kolejną minę, lecz tym razem nieszczęśliwie zahaczył o jej potykacz, doprowadzając do eksplozji. Moment później zaatakował go grad kul muszkietowych, zabijając na miejscu.

– Ktoś jest przy kau-yungach! – zawołał szeregowy Yaisu Rahdryghyz na widok oślepiającej eksplozji, która rozdarła mrok.

Yaisu stanął jedną trzecią patrolu oddelegowanego z drugiego plutonu kompanii pod dowództwem kapitana Ahbahta Mahrtyneza

wchodzącej w skład regimentu piechoty dowodzonego przez pułkownika Efrahma Acairveraha. Pełnił służbę trzeci dzień z rzędu i wprost nie mógł się doczekać, aż ktoś go zwolni na stanowisku, co miało nastąpić już za kilka godzin. Gdyby go ktoś zapytał, Yaisu nie byłby w stanie podać wielu innych czynności, które budziły w nim mieszaninę napięcia i nudy, kiedy tak siedział tutaj po ciemku, wypatrując sobie oczy, podczas gdy od pięciodni na froncie nie działo się dosłownie nic. Zanudziłby się chyba na śmierć, gdyby nie to, że ci przekłeci heretycy od czasu do czasu wyprawiali się na zwiad, by przedarłszy się przez linię umocnień, poderżnąć gardło jakiemuś nic się niespodziewającemu wartownikowi.

Yaisu był sam ze sobą na tyle szczery, że potrafił przyznać, iż nuda to nie najgorsza rzecz na świecie.

Co z tego, skoro właśnie się skończyła, pomyślał, widząc oślepiający błysk i czując, jak przetacza się nad nim grzmot eksplozji. Dopiero po pewnej chwili podniósł znowu głowę i spróbował dojrzeć cokolwiek pomimo powidoków.

Na przestrzeni ostatnich pięciodni doszło do kilku takich eksplozji. W większości wypadków ofiarami były zbłąkane zwierzęta gospodarskie lub przedstawiciele dzikiej fauny, jednakże zginęło też trzech heretyckich zwiadowców, i to w zasięgu tylko pierwszego plutonu. W związku z tym nie dało się wykluczyć, że i ten wybuch to coś poważniejszego niż jakaś tam pechowa trawiasta jaszczurka czy inne kopytne. Yaisu nadal mrugał, usiłując przyzwyczaić wzrok do nagłej zmiany oświetlenia i ustalić, w którym dokładnie miejscu doszło do wybuchu, gdy ktoś wślizgnął się do jego jaszczurzej nory.

– Gdzie to było? – zapytał go kapral Ahndru Nohceeda.

– Ciężko powiedzieć – odparł Yaisu. – Nie patrzyłem akurat w to miejsce, gdy doszło do eksplozji. Wydaje mi się jednak, że wybuch nastąpił jakieś sto, sto pięćdziesiąt jardów stąd.

– Myślisz, że szlag trafił kolejne zwierzę?

– Skąd miałbym to wiedzieć, na Shan-wei? – obruszył się Yaisu. – Ciemno tu jak w du... W każdym razie, jeśli to był jakiś zwierzak, miał cholerne szczęście. Udało mu się minąć mnóstwo kau-yungów, zanim trafił na swoją nemezis.

– Racja – przyznał kapral. Włożył dwa palce do ust i gwizdnął. –

Raidahndo!

– Tak jest! – odkrzyknął szeregowy Ahbsahlahn Raidahndo ze swojego okopu, znajdującego się piętnaście jardów za jaszczurzą norą Yaisu.

– Biegnij do kwatery głównej. Przekaż porucznikowi Ulyseesowi, że właśnie widzieliśmy...

Niespodziewanie, pośród huku grzmotu, nadszedł świt.

Samotna rakietka rozjarzyła się karmazynem na tle bezksiężycowego nieba dwie mile za frontem Armii Thesmaru. Unoszona w powietrzu przez spadochron błyszczała przez długie sekundy. Wszystko wokół zdawało się wstrzymać oddech, gdy tak opadała wolno, aż wreszcie odezwała się artyleria, która czekała właśnie na ten znak.

Ciężkie działa kątowe znajdowały się na swoich miejscach od prawie miesiąca, przygotowując się na tę chwilę. Każda bateria oddała po jednej salwie, aby móc dokonać namiarów wyznaczonych celów. Nie doszło do zmasowanego bombardowania, które by zdradziło Dohlarianom, o jakie cele dokładnie chodzi, a mierzone strzały zginęły pośród ogólnej kanonady. Obecnie ta starannie przygotowana artyleria – rozciągnięta na odcinku mierzącym niemal dziesięć mil – otworzyła ogień. Eksplozje rozpoczęły się od środka, po czym dopiero rozeszły się na boki – setki ciężkich pocisków kreśliły na czarnym niebie płomienne linie.

Piętnaście sekund później przyłączyły się do nich moździerze znajdujące się tuż za frontowymi pozycjami Charisjan. Wybuchy przeciwpiechotnych pocisków moździerzowych przypominały rozbłyśki zagniewanych słońc i posyłały na ziemię śmiercionośny deszcz szrapneli.

Ostrzał prowadzony z obu linii frontu trwał w najlepsze, podczas gdy pozostali przy życiu inżynierowie nadal prowadzili rozbijanie pola minowego.

Sierżant Gyffry Tyllytsyn delikatnie zamknął powieki porucznika. Przez kolejne piętnaście czy dwadzieścia sekund spoglądał na martwego młodzieńca, którym dotychczas się opiekował. Jego własna twarz zamieniła się w kamienną maskę, wyraźnie widoczną w blasku ognia. W końcu sierżant odetchnął głęboko i ostatni raz poklepał Hahrlysa po

piersi.

Odchrząknął dwukrotnie i w końcu wyrzucił z siebie:

– No dobra!

Jego głos był ledwie słyszalny na tle grzmotu dział.

– Mamy zadanie do ukończenia! Porucznik by tego chciał!

– Chować głowy! Chować głowy! – darł się porucznik Ulysees.

Sierżant Gyairmoh Sahlazhar niczym echo powtarzał jego słowa.

Tu i ówdzie rozlegały się okrzyki przerażenia, coraz częstsze i głośniejsze, w miarę jak grad pocisków heretyckich kątówek przybierał z każdą chwilą na sile, przechodząc od rzadkiego, niegroźnego deszczyku do szaleńczej ulewy tajfunu. Na ogół jednak jego podwładni umieli się zachować. W większości byli to weterani, którzy reagowali automatycznie wiedzeni dyscypliną. Kryli się w swoich jaszczurzych norach albo kulili w umocnionych workami z piaskiem okopach.

Porucznik poczuł, jak jego serce pęcznieje z dumy. Mimo to w ustach czuł posmak goryczy; jego ludzie walczyli tak zaciekle, z takim oddaniem. Nie wstydzili się manewru odwrotu, w czasie którego nie złożyli broni, wiedzieli bowiem, że stanowią jedyną armię, która starła się z heretykami i wyszła z tego starcia cała. Pozostałe – Armia Sylmahn, Armia Glacierheart, Armia Shiloh – wszystkie zostały rozgromione przez Charisjan. Tymczasem Armia Seridahn stawiała heretykom czoło i nie doznała porażki na odcinku siedmiuset mil od Cheryku do linii Tyzwail. Nieraz było blisko przegranej, ale żołnierze zawsze wykrzesali z siebie dodatkowe siły i rzucali się do boju z nowym zapałem.

Wszakże teraz ta zaciekłość, która pozwoliła im tak wiele osiągnąć i tak daleko dotrzeć, zaczęła się wyczerpywać. Ulysees teoretycznie nie miał pojęcia o rozmowach prowadzonych cichcem wtedy, gdy żadnego inkwizytora nie było w pobliżu. Teoretycznie nic nie wiedział o tym, że niektórzy zaczynają nazywać świętą wojnę „wojną Clyntahna”. Teoretycznie nie orientował się, jak żołnierze zareagowali na wieść o tym, co spotkało rodzinę hrabiego Thirsku. Teoretycznie nie był świadomy podupadającego morale wojska od czasu pierwszej porażki

w Zatoce Dohlariańskiej – porażki tym bardziej dotkliwej, że mającej miejsce po uprzednim zwycięstwie w cieśninie Kaudzhu.

Teoretycznie ignorował zataczający coraz szersze kręgi strach wśród podwładnych, którzy zaczęli się nie na żarty obawiać klęski. Teoretycznie sam nic podobnego nie czuł...

Wpadł do bunkra dowodzenia i zajął w kucki miejsce zaraz przy wejściu, aby zliczyć członków drużyny dowodzenia, pojawiających się w pośpiechu za nim. Tymczasem wisząca u sklepienia lampa zaczęła kołysać się gwałtowniej, gdy grad sześcioc- i dziesięciocalowych pocisków przybrał na sile.

Pierwszy etap heretyckiego bombardowania trwał trzy kwadransy. W ciągu czterdziestu pięciu minut na dohlariańskie umocnienia spadły setki pocisków z dział kątowych oraz moździerzy. Heretycka artyleria strzelała na oślep, co jednak nie zmniejszało jej skuteczności: cel był bardzo duży, nie wszystkie pociski więc musiały chybić. A kiedy jakiś sześciocalowy albo jeszcze lepiej dziesięciocalowy pocisk trafił bezpośrednio nawet w podziemny bunkier, konsekwencje tego były zabójcze.

Pomijając grad pocisków i szrapneli, który z równym natężeniem atakował otwarte okopy, jak i jaszczurze nory, przekłęci Charisjanie zastosowali wobec Armii Seridahn pewną innowację. Jedna czwarta pocisków moździerzowych, które spadały z nieba, wypełniona była mieszaniną saletry, węgla, smoły, paku, żywicy, trocin, antymonu i siarki, która dawała głośną, dławiącą i oślepiającą chmurę. Dohlar już wcześniej otrzymywał raporty – niestety niekompletne, jak to często bywało w wypadku raportów Inkwizycji – o „pociskach dymnych” stosowanych przez księcia Eastshare przeciwko Armii Glacierheart już w minionym roku. Gwoli ścisłości należało przyznać, że niewiele oddziałów Armii Boga, które miały pech zetknąć się z nimi na polu bitwy, przetrwało, aby opisać je szczegółowiej – właśnie dlatego Armia Seridahn była na nie nieprzygotowana, gdy przyszło co do czego.

Sztuczne wytwarzanie dymu nie zainteresowało na Schronieniu żadnej armii, być może dlatego, że przy użyciu w boju prochu dymu

wokół było aż nadto. W tym przypadku jednak chmura dymu przesuwająca się stopniowo ze wschodu na zachód wraz ze sprzyjającym Charisjanom wiatrem wywołała dwa skutki. Po pierwsze oślepiła wartowników, takich jak szeregowy Yaisu Rahdryghyz i kapral Ahndru Nohceeda, którzy w przeciwnym razie mogliby wypatrzeć inżynierów. Po drugie zaś wdarła się w głąb okopów i bunkrów, odbierając dech ukrywającym się w nich żołnierzom. To, że dym sam w sobie nie był trujący, nie miało większego znaczenia dla podwładnych generała Rychtyra. Odór bowiem był nie do zniesienia, zapewne zdolny udusić człowieka w określonych okolicznościach. Tak czy owak więc morale Armii Seridahn ucierpiało jeszcze bardziej.

Po trzech kwadransach nieustannego bombardowania ostrzał ucichł, aczkolwiek duszące pociski nie przestały spadać z nieba.

– Wszyscy na zewnątrz! – krzyknął porucznik Ulysees. – Ci dranie pojawią się w ślad za tymi pociskami! Zająć swoje pozycje!

Drugiemu plutonowi nie trzeba było powtarzać rozkazu. Stanowili go weterani, którzy doskonale wiedzieli, jak szybko po ataku artylerii następuje właściwy atak charisjańskiej piechoty. Wygramolili się więc z okopów i zajęli miejsca wzdłuż umocnień.

Wszyscy inni poszli w ich ślady. Wzdłuż linii Tyzwail zaroilo się od ludzi. Karabinierzy przybrali postawę strzelecką, odbezpieczając broń, poprawili bagnety zamocowane na sztorc, ułożyli obok granaty. Korzystając z okazji, uzdrowiciele z Zakonu Pasquale, oznaczeni zieloną opaską ze znakiem kaduceusza, biegali z miejsca w miejsce, szukając rannych i przeciągając ich do zabezpieczonych bunkrów pierwszej pomocy. Zmasowany ostrzał wroga zniszczył wiele bunkrów i łączących je korytarzy, pozostawiając zamiast nich głębokie leje, jednakże nawet to nie zniechęciło dohlariańskich żołnierzy, którzy umościli się na ich dnie, traktując jako zastępnik okopów z prawdziwego zdarzenia.

W ciągu dziesięciu minut na froncie pełno było gotowych na wszystko żołnierzy, tylko z rzadka kaszlących od dławiącego dymu i ocierających załzawione oczy. Czekali oni na przeciwnika, aby zasypać go lawiną ognia.

– W porządku – rzekł admirał Lywys Sympsyn ponurym tonem. Zatrzasnął zegarek i umieścił go z powrotem w kieszeni. – Początek etapu drugiego.

– Tak jest!

W niebo poszybowała kolejna karmazynowa rakietka.

To zabawne, pomyślał porucznik Ulysees pomiędzy gwałtownymi kichnięciami, od których niemalże stracił bębenki w uszach. Gdzie oni, u licha, są?! Ostatnie, co się robi na wojnie, to daje przeciwnikowi czas na przygotowanie się! Przypuszczam, że nawet Charisjanom od czasu do czasu coś nie wychodzi, ale żeby aż tak...?

Rzecz jasna bardzo mu to pasowało. Przy więcej niż jednej okazji żołnierze Cesarskiej Armii Charisu zakradali się na odległość kilkudziesięciu jardów od wybranych pozycji Dohlarian pod osłoną ciemności, po czym atakowali bezlitośnie, używając granatów. Atak był zawsze niespodziewany i okrutny. Tym razem Ulysees otrzymał szansę na przygotowanie swoich ludzi: zdążyli zająć swoje pozycje i je umocnić. *Charisjanie jeszcze pożądują, że dali Armii Seridahn dodatkowy czas, pomyślał.*

Zarazem poczuł zimne ciarki na plecach na myśl, że jednak wokół niego panuje dziwny spokój. Znad pozycji wroga docierały tylko pociski dymne. Coś tu było nie tak... Langhorne świadkiem, że heretycy znali się na rzeczy! Skoro jeszcze nie zaatakowali, musieli mieć po temu dobry powód, czyli...

Pajęczyny płomieni pędziły po niebie od pozycji Armii Thesmaru w stronę Dohlarian niczym ogniste węże. Na ziemi wybuchały bomby ziemne połączone zawczasu lontem przez charisjańskich inżynierów, wyrzucając w górę kaskady ziemi, kul muszkietowych i dymu.

Nieliczni Dohlarianie, którzy jeszcze starali się dojrzeć cokolwiek przez sine kłęby, na własne uszy słyszeli eksplozje. Nawet oni jednak nie mieli pojęcia, co naprawdę oznaczają te odgłosy. Zakładali, że ustrojstwa są aktywowane przez stopy piechociarzy szturmujących ich pozycje. W okamgnieniu podniosły się ostrzegawcze okrzyki, które zmobilizowały obrońców do zwarcia szyków. Nareszcie zapowiadała się walka jak się patrzy. Cokolwiek powstrzymywało heretyków do tej pory, straciło na znaczeniu...

Niestety z chmur dymu nie wyłonił się ani jeden Charisjanin, ani jeden Siddarmarczyk.

Wtem Yahkeem Ulysees usłyszał taki dźwięk, jakby rozdarcie uległ największy żagiel na świecie. Serce zamarło mu w piersi, gdy zdał sobie sprawę, co ten dźwięk oznacza. Co się zaraz stanie.

Już się nie dziwię, że dali nam tyle czasu, pomyślał. Chcieli, żebyśmy powyłazili z bunkrów, zanim...

Sześciocalowy pocisk, który właśnie nadleciał z potępieńczym wizgiem, eksplodował trzysta jardów na prawo od niego. Na szczęście nie wyrządził prawie żadnych szkód. Ale to był tylko jeden pocisk z masy następnych – ponieważ Armia Seridahn uczyniła dokładnie to, czego oczekiwał po niej Hauwerd Breygart, wstrzymując pierwszy ostrzał. Dohlarianie znaleźli się na odkrytym terenie w samą porę, by przyjąć na siebie grad drugiego ostrzału.

– Wycofać się! – ryknął porucznik Ulysees. Zerwał się na nogi i zaczął wściekle machać do ludzi, którzy w ogóle go nie słyszeli pośród wizgu i huku. – Chować się w bu...

Jeden z dziesięciocalowych pocisków wybuchł tuż nad jego pozycją.

Jego ciała nigdy nie zidentyfikowano.

.IV.
Farma Symyna
oraz
Borahn
Thorast
Dohlar

Musi się pan wycofać, sir! – oznajmił stanowczo pułkownik Mahkzwail Mahkgrudyr, adiutant Clyftyna Rahdgyrza. – Ta linia obrony przepadła! Sir Fahstyr będzie potrzebował pańskiej pomocy na linii Borahn.

– Akurat! – odwarknął generał Rahdgyrz. – Sir Fahstyr potrzebuje mnie tutaj! Ktoś musi zmobilizować tych patałachów, żeby zaczęli się zachowywać jak prawdziwi żołnierze!

– Ale linia Borahn została stworzona nie bez powodu, sir! To stamtąd powinien pan wydawać rozkazy...

– Wcale nie. – Tym razem Clyftyn odezwał się głuchym głosem, w którym jednak pobrzmiwały żelazne nuty.

Mahkgrudyr zamknął usta i spojrzał błagalnie na ojca Ahntahna Rahdgyrza.

Intendent Clyftyna wytrzymał jego spojrzenie, po czym przeniósł wzrok na generała. Rysy mu stężały, a on sam ledwie zauważalnie pokręcił głową.

Mahkgrudyr zacisnął szczęki, mimo że od początku wiedział, iż jego apelacja u duchownego nie przyniesie skutku. Nie miał wątpliwości, że ojciec Ahntahn zgadza się z nim, niemniej znaczenie miał także fakt, że schueleryta ten spędził wiele czasu, współpracując z generałem. Zarówno adiutant, jak i intendent zdawali sobie sprawę, że Clyftyn słucha co najwyżej swego sumienia i Boga Jedyneho.

– W porządku. – Pułkownik westchnął w końcu. – W porządku. Ale pozwoli pan chyba, sir, żebym zorganizował panu jakąś kawalerię, aby miała na pana oko?

– Organizuj sobie, co tam chcesz, Mahkzwailu. Na nikogo nie zamierzam czekać.

Pułkownik otworzył usta do protestu, lecz Rahdgyrz zdążył już dać koniowi ostrogę. Wierzchowiec galopem opuścił bity trakt prowadzący poza bramy Farmy Symyna, zostawiając za sobą chmurę pyłu. Ojciec Ahntahn ruszył za nim cwałem. Widząc to, Mahkgrudyr zaklął pod nosem, szarpnął wodzami, doprowadzając swojego konia do rżenia, po czym pogalopował za przełożonymi.

Clyftyn Rahdgyrz pochylił się nad szyją wierzchowca, zmuszając go do jeszcze szybszego pędu. W głębi ducha czuł silny niepokój. W ciągu zaledwie ośmiu dni walk, pomimo zapobiegliwości Rychtyra i determinacji żołnierzy, heretycy odparli Armię Seridahn na ponad dwadzieścia pięć mil. Hrabia Hanthu nawet nie zawracał sobie głowy manewrami flankującymi, które były jego znakiem rozpoznawczym od kontrofensywy w Thesmarze. Zamiast tego natarł wprost na środek linii Tyzwail, atakując najsilniejszy pas obrony Armii Seridahn.

Zmasowane bombardowanie na samym początku oraz sprytny manewr, który sprawił, że obrońcy opuścili bezpieczne kryjówki, wydając się na rzeź heretyków, były przyczyną pierwotnego zwycięstwa. Niestety Dohlarianie nie nauczyli się niczego na własnych błędach i dali się nabrać Charisjanom jeszcze dwukrotnie. Nic dziwnego więc, że za czwartym razem obrońcy już nie tak chętnie wracali na swoje pozycje. Tymczasem tak się złożyło, że heretycy właśnie wtedy natarli na nich z pełną siłą. Oczywiście było to możliwe dzięki temu, że ludzie hrabiego Hanthu okazali się nadzwyczaj skuteczni, jeśli chodzi o dezaktywowanie kau-yungów. Zrozumiało więc, że przetrzebieni przez początkowy silny ostrzał obrońcy, szukający schronienia w resztkach okopów i umocnień, okazali się nieprzygotowani na zdradziecki atak wroga, który wyłonił się z chmury dymu niemal w tym samym momencie, gdy spadł ostatni pocisk.

Dohlarianie zdołali wcześniej pojmać kilku heretyków. Ich przesłuchania – poprzedzające ostateczną Karę Schuelera – ujawniły, że Charisjanie ucierpieli od dohlariańskiego ognia może w pięciu

procentach, ponosząc tylko nieznaczne straty. To dlatego byli w stanie podjąć działania niemal natychmiast, ledwie opadł pył po ostrzale. Nie miało znaczenia, jak bardzo Rahdgyrz nienawidzi heretyków za ich apostazję – musiał przyznać, że taka strategia sprawiła, iż ich straty były co najmniej o połowę mniejsze od możliwych.

Atakujący wyłonili się zza ściany dymu nie w regimentach ani kompaniach, lecz plutonami czy wręcz drużynami. Na ich uzbrojenie składały się granaty i rewolwery, a także te przeklęte powtarzalne śrutówki. Dohlarianie, którzy znacznie ucierpieli w wyniku ostrzału, nie byli dla nich godnym przeciwnikiem. Nawet ci, którzy w przeciwieństwie do reszty nie szukali schronienia po bunkrach, lecz pozostali na swych pozycjach i dzielnie walczyli, zdołali tylko spowolnić wroga, zadając mu niebagatelne straty, zanim w końcu przedarł się przez linię Tyzwail. Rahdgyrz walczył u boku swoich ludzi, dzięki czemu wiedział, że w tych pierwszych godzinach starcia hrabia Hanthu prawdopodobnie stracił do trzech tysięcy żołnierzy. Mimo to atakujący zatriumfowali. Wystarczyło siedemnaście godzin zaciekłych walk – zacieklejszych od wszystkiego, co Rahdgyrz widział w swojej karierze wojskowej – aby przedarli się przez linię umocnień pomiędzy redutą Świętej Stefanii i redutą Świętego Jyrohma, które stanowiły główne punkty linii Tyzwail.

Clyftyn przypuścił wściekły atak na ich północną flankę, rzucając do akcji ostatnie pięć regimentów piechoty wspierane przez dwa regimenty kawalerii i sześć baterii dział polowych. Zdołał może pokonać tysiąc jardów, gdy heretycy wznowili ostrzał z przenośnych dział kątowych. Obsługujący je artylerzyści przeciągnęli je przez zdezaktywowane pole kau-yungów, ziemię zrytą pociskami i zasłaną trupami Charisjan i Siddarmarczyków, i ustawili je na niedawnych pozycjach Dohlarian. Najbardziej wysunięte kątowniki znajdowały się niecałe pięćdziesiąt jardów za heretycką piechotą, lecz i tak zdołały zadać druzgoczące straty nacierającym Dohlarianom.

Clyftyn miał świadomość, że jego podwładni walczyli – i umierali – za niego z nieopisaną odwagą. Parli przed siebie jeszcze przez sto jardów, ale że znajdowali się na otwartym terenie, podczas gdy wróg siedział ukryty za ich niegdysiejszymi umocnieniami, byli bezbronni w obliczu celnego ognia karabinowego i gradu szrapneli.

Złamali szyk, to oczywiste. Pierwszy raz w historii oddziałów dowodzonych przez generała Clyftyna Rahdgyrza nie zostali

powstrzymani, lecz zwyczajnie się rozpierzchli. Uciekli z pola bitwy, oddając je wrogom Boga Jedyne.

Clyftyn przeklinał ich, zaklinał i błagał; kilku zawróciło na jego prośby, większość jednak była na to zbyt przestraszona. Jako doświadczony dowódca nie obwinał ich. Wiedział, że przychodzi taka chwila, gdy zwykły człowiek, człowiek z krwi i kości, nie jest w stanie wytrzymać więcej krzywd. Pomimo tej wiedzy serce mu krwawiło, kiedy patrzył na uciekających z pola bitwy podwładnych. Dobył szabli, dał koniowi ostrogę i poszarżował na heretyków w pojedynkę.

Nie, wróć. Nie w pojedynkę. Byli przy nim jego adiutanci, a także doborowi dragoni. W przepływie jasności umysłu zrozumiał jednak, że co najmniej połowa z nich rzuciła się za nim, aby go powstrzymać, odwieść od tego szaleństwa, uchronić przed śmiercią. Część poległa w próbie zatrzymania go, co tylko wzmogło płomień jego gniewu. Wszakże konieczność dogonienia go została oszczędzona pozostałym. W pewnym momencie jego wierzchowca dosięgła heretycka kula. Runęli obaj, koń i jeździec, lecz pułkownik Mahkgrudyr zdołał w ostatniej chwili wyciągnąć jego nieprzytomne ciało spod końskiego zewłoka. Kilka chwil później znalazł się na tyłach armii.

Mahkgrudyr niewątpliwie uratował mu tym życie. Gdyby także przeżył, generał być może darowałby mu to kiedyś. Być może.

Teraz będzie inaczej, pomyślał chmurnie, nachylając się jeszcze niżej nad końską szyją. Tym razem musi być inaczej. Zawrócimy i powstrzymamy tych drani!

Zostało niewiele czasu. Wiedział o tym. Niemniej Mahkgrudyr miał co do jednego rację. Sir Fahstyr Rychtyr potrzebował tego, aby ktoś kupił mu jak najwięcej czasu, jeśli miał zorganizować sensowną obronę linii Borahn. Czy było to w ogóle możliwe, Clyftyn wolał się nie zastanawiać. Jeżeli jednak istniała taka szansa, sprawcą cudu mógł być wyłącznie jeden człowiek.

Fahstyr Rychtyr.

A skoro tak, Clyftyn zamierzał mu udzielić wszelkiej pomocy, jakkolwiek to się miało skończyć.

– Stać! Stać! – krzyknął pułkownik Efrahm Acairverah.

Tkwiał w miejscu, w którym krzyżowały się drogi biegnące od reduty Świętego Daivyna i Sailyra, dwie mile na wschód od Farmy Symyna i dziesięć mil na północ od traktu Shan–Shandyr, gdzie także dolatywały odgłosy strzałów i wybuchów. Takie właśnie byle jakie trakty były jedyną drogą ucieczki dla większości żołnierzy Armii Seridahn, którzy jak najszybciej chcieli się znaleźć na tyłach zamiast na froncie. Te rozstaje trzeba było utrzymać za wszelką cenę. Ci sami inżynierowie, którzy wcześniej stworzyli linię Slokym znajdującą się dwadzieścia pięć mil od linii Tyzwail, wzniesli prymitywne umocnienia, łącząc w ten sposób kilkanaście bunkrów strzeleckich zapewniających ochronę skrzyżowaniu dróg. Obstawione przez kompanię czy dwie strzelców wyborowych były one w stanie powstrzymać pięćdziesięciokroć tylu przeciwników. Niestety spanikowani uciekinierzy, którzy parli na zachód od strony reduty Świętego Daivyna pośród chmury wzbitego kurzu, nie mieli nic wspólnego z doborowymi żołnierzami Armii Seridahn.

Szarzy na twarzy, nierzadko ranni, zakurzeni i ubłoceni, w brudnych, podartych mundurach, tu i ówdzie osmaleni od prochu – nic niezwykłego po prawie dwóch tygodniach intensywnych walk – przypominali raczej duchy niż ludzi, którzy jeszcze niedawno pilnowali linii Tyzwail.

Niektóre z tych widmowych postaci były bezpośrednimi podwładnymi Acairveraha, nieliczne jednak. Przewiercał je wszystkim gorejącym spojrzeniem na wylot, nie przestając krzyżeć „Stać!”. Chwytał uciekających żołnierzy za paski upręży, szarpał, gdy nie zwracali na niego uwagi. Kilku odwarknęło coś gburliwie, jeden pogroził mu kolbą karabinu, drugi zaś bagnetem. Najbardziej zdeterminowany z nich wszystkich nie poprzestał na groźbie: posłał pułkownika na ziemię łokciem. Acairverah siedział oszołomiony w błocie, patrząc, jak tłoczą się wokół niego dziesiątki par nóg, gotowe w każdej chwili go stratować. Nikt mu nie pomógł wstać. W końcu sam podniósł się na nogi. Żołnierze nadal kierowali się na zachód, opływając go niczym rozstąpione morze. Pułkownik miał świadomość, że jego podwładni w większości zginęli, starał się więc znienawidzić z całych sił tych dezertersów tylko za to, że przeżyli. Nawet jednak w gniewie i rozpacz nie był w stanie. Co ciekawe, uciekinierzy nie porzucili po drodze broni, tylko czepiali się jej kurczowo.

To znaczy, że jeszcze się nie poddali, pomyślał. Nie do końca. Gdyby tak było, porzuciliby wszystko, co spowalnia ich wędrówkę. Tak czy owak, przegrali. Na tę chwilę przynajmniej. Nie da się tego ukryć. Czują się przegrani. Ale gdyby ktoś zdołał im...

– Stójcie, chłopcy! – Usłyszał we własnym głosie błaganie. – Zatrzymajcie się i walczcie razem ze mną!

Żaden nie zwolnił. A potem...

– Zawróćcie! – Ten głos rozbrzmiał niczym grzmot, niczym sam Chihiro, który zstąpił na Schronienie ponownie, by stanąć w szeregach armii walczącej w imię Boga. – Zawróćcie, Dohlarianie! Nie zapominajcie, kim jesteście! Nie zapominajcie, z czego jesteście ulepieni! Nie zapominajcie, za kogo walczycie! Pokażcie Shan-wei, do czego zdolni są ludzie walczący w słusznej sprawie!

Acairverah znał tego człowieka. Każdy w Armii Seridahn go znał. Nic dziwnego więc, że te ludzkie cienie zwolniły krok i wreszcie się zatrzymały. Nikt inny nie zdołałby tego sprawić; nikt z wyjątkiem może samego sir Fahstyra Rychtyra. Nikt inny nie zdołałby się przedrzeć przez pokłady ich zmęczenia i strachu, aby osiągnąć ich serc i dusz.

Dohlarianie zawiedli już kiedyś tego człowieka. Złamali szyk, zbiegli z pola bitwy, mimo że on usiłował zawrócić falę nadciągającej katastrofy. Część uciekających wciąż pamiętała wstyd i poczucie winy, które temu towarzyszyło; pamiętała gorycz... Poderwali teraz spojrzenia jak jeden mąż; zapadnięte oczy wзираły z ich wychudzonych, brudnych twarzy. Patrzył na nich sir Clyftyn Rahdgyrz, trzymający wodze kikutem lewej dłoni, aby prawą móc dobyć szabli. Nagle szarpnął wodze, zmuszając wierzchowca, aby stanął dęba. Zwierzę puściło pianę z pyska, zaczęło drzeć przednimi kopytami powietrze.

– Dalej, chłopcy! – Ponownie rozległ się ten głos, który słyszeli przy okazji dziesiątek bitew. – Za mną!

Mężczyźni, którzy puścili mimo uszu nawoływanie Efrahma Acairveraha, dali posłuch Clyftynowi. Dłonie, które aż dotąd nie wypuściły broni, zacisnęły się na karabinach. Zgarbione porażką ramiona znowu się wyprostowały.

– Jaszczurodrap! – zawołał ktoś. – To jest Jaszczurodrap!

– Kto jest ze mną? – zapytał Clyftyn. – No dalej! Jeszcze ten jeden raz! Jeszcze ta jedna bitwa. Dla mnie... dla Boga! Jesteśmy Mu winni

swoje życie, a dziś jest dzień dobry jak każdy inny, aby umrzeć. No więc? Kto jest ze mną?

– My! – krzyknął ktoś na krawędzi wyczerpania ustami wyschłymi na wiór z pragnienia. – My!

Inni podjęli ten okrzyk. Ucieczka na tyły została powstrzymana. Jakimś cudem zbieranina dezertorów przeistoczyła się w okamgnieniu w jednolitą armię. Acairverah przyglądał się temu zdumiony. Nie było podziału na regimenty, kompanie ani plutony. Nikt przy zdrowych zmysłach nie nazwałby tej grupy ludzi zorganizowanym wojskiem. A jednak nie byli to już rejterujący uciekinierzy.

– W takim razie za mną! – wydał rozkaz Clyftyn, jednakże zanim zdążył dać koniowi ostrogę, złapał go za strzemień jakiś wychudzony sierżant.

– Nie, sir! – powiedział. – My pójdziemy, ale nie pan. Nie może pan zginać!

– Zabierzcie rękę ze strzemienia, sierżancie – rzekł Clyftyn nieomal zwyczajnym tonem.

– Nie, sir. – Sierżant pokręcił głową z uporem, a wtedy generał dojrzał na jego pobrużdżonej, umorusanej twarzy strużki łez. – Nie, sir. Pójdziemy. Zrobimy to dla pana. Klnę się na wszystkie świętości! Pan jednak musi się schronić na tyłach. Potrzebujemy pana! Armia pana potrzebuje!

– Generał Rahdgyrz na tyły! – wzniosły się okrzyki. Żołnierze zaczęli się tłoczyć wokół niego, chwytając go za nogawki, sięgając do strzemion. – Generał Rahdgyrz na tyły! – wołali. – Jaszczurodrap na tyły!

– Nie ma mowy, chłopcy! – odkrzyknął i zdobył się na uśmiech. – Nie pozwolę, żeby cała zabawa wam przypadła! Poza tym żaden z was nie pójdzie nigdzie tam, gdzie go nie poprowadzę. Jasne? Ja i wy mamy umówione spotkanie, o tam. – Wskazał szablą w kierunku reducy Świętego Daivyna. Rzeka uciekinierów napierająca od wschodu zatrzymała się, napotkawszy lity mur ciał. – My wszyscy! Każdy jeden! Niczym się nie różnię od was, niczym się nie różnię od swoich podwładnych! A jeśli Bóg Jedyny uzna, że moje życie ma się skończyć dzisiaj, niech tak będzie. Ale umrę tylko wtedy, gdy będę miał za plecami Armie Boga. Tylko tak będę mógł stanąć przed Jego obliczem...

Sierżant podniósł głowę i spojrzał mu prosto w oczy. Mięśnie na jego

twarży wyraźnie pracowały. Clyftyn uśmiechnął się do podoficera.

– Puśćcie moje strzemię, sierżancie – powtórzył łagodnie.

Podoficer – jakby wbrew własnej woli – cofnął rękę. Wszyscy wokół umilkli; żołnierze jeden przez drugiego odsuwali się od generalskiego wierzchowca. Jednooki Clyftyn z uśmiechem powiódł wzrokiem po wpatrzonych w niego męskich twarzach.

– Dziękuję, sierżancie. Dziękuję wam wszystkim. Dobry Boże, ależ jestem dumny, że stoję na czele was w dzień taki jak ten. – Nagle podniósł głos. – Za mną, chłopcy! – Roześmiał się nieoczekiwanie. – Za mną i, na Boga, tylko się nie ociągajcie!

Dał koniowi ostrogę, aż zwierzę przysiadło na zadzie. Moment później wierzchowiec rzucił się galopem do przodu, a żołnierze, którzy dopiero co uciekali z pola bitwy, którzy dopiero co kazali swojemu generałowi schronić się na tyłach, zawrócili jak jeden mąż i ruszyli prosto w kurz i pył, poprawiając chwyt na broni trzymanej w rękach.

– Niech pan siada, pułkowniku – powiedział sir Fahstyr Rychtyr z naburmuszoną miną.

– Dziękuję, postoję, sir – odparł pułkownik Acairverah spokojnie.

– Postoicie sobie, jak będziecie chcieli się odlać, pułkowniku. A teraz siadajcie, zanim zaryjecie nosem w ziemię!

– Ja... – zaczął Acairverah, ale natychmiast urwał, kołysząc się na dopiero co skombinowanej kuli. Popatrzył na Rychtyra gorejącym wzrokiem oczu wyzierających z bladej, postarzałej o dekadę twarzy. Ostatecznie jednak kiwnął tylko głową. – Chyba ma pan rację, sir – powiedział schrypniętym głosem i usadowił się na krześle, które porucznik Gohzail umieścił tuż za jego plecami.

– Dziękuję – rzekł Rychtyr znacznie łagodniej i odchylił się na oparcie swego krzesła.

Znajdowali się w domu, który Rychtyr zarekwirował na swoją kwaterę w wiosce Borahn. Pomruki i grzmoty artylerii, głównie heretyckiej niestety, służyły im za nieustanne tło. Tyle dobrego, że linia Borahn się utrzymała. Oczywiście, jak długo ten stan rzeczy potrwa,

było całkiem inną sprawą.

Generał zerknął na Pairaika Metzlyra, który stał w saloniku, wyglądając przez okna wychodzące na wschód. Na zewnątrz zdążył zapaść zmrok, choć nie było jeszcze zupełnie ciemno. Na horyzoncie lśniły rozbłyśki wystrzałów karabinowych. Tempo wymiany ognia spadło nieco, zapewne dlatego, że heretycy znów przemieszczali naprzód swoje działa kątowe. Niemniej Rychtyr nie miał złudzeń co do tego, że ulga jest tylko przejściowa. Utarczki dalej trwały, tak samo jak podgryzanie jego osłabionych pozycji.

Opuścił wzrok na wiadomość, którą miał przed sobą na blacie biurka, i zacisnął szczęki. Acairverah wiele ryzykował, godząc się na dostarczenie mu tego listu. W normalnych okolicznościach fakt, że utracił lewą nogę, byłby go oczyścił ze wszelkich zarzutów tchórzostwa. Niestety okoliczności, w jakich się znaleźli, nie były normalne.

Przebiegł wzrokiem tekst. Wydawał się nie tyle napisany odręcznie, ile wydrukowany. Wyglądało na to, że sytuacja w dziedzinie logistyki Armii Thesmar znacznie się poprawiła, skoro hrabia Hanthu dysponował nowomodnym wynalazkiem w postaci „maszyny do pisania”.

I zapewne na ten temat jest cała wiadomość, pomyślał rozeźlony Rychtyr. Ten drań chce mi udowodnić, że świetnie sobie radzi, jakbym tego nie wiedział z pierwszej ręki, widząc, ile pocisków spada na głowy moich żołnierzy! I domyślając się, ile jeszcze kul i granatów ma na swoim wyposażeniu!

Jakiegokolwiek myśli krążyły mu po głowie, treść wiadomości nie miała teraz przed nim tajemnic. Rychtyr zaczął czytać i poczuł, jak na jego sercu zaciska się lodowata pięść.

*Do generała Fahstyra Rychtyra,
dowódcy Armii Seridahn
Od Hauwerda Breygarta, hrabiego Hanthu,
dowódcy Armii Thesmar*

23 czerwca Roku Pańskiego 898

*Generale,
z żalem informuję, że generał Clyftyn Rahdgyrz zginął wczorajszego*

wieczoru kwadrans po dziewiątej.

Z tego, co mi doniesiono, zdołał zaktywować jakieś siedem setek ludzi z różnych regimentów, które rozpierchły się wskutek ciężkiego ostrzału karabinowego i artyleryjskiego. Osobiście poprowadził tych żołnierzy do walki, w wyniku czego ucierpiało dwustu moich podwładnych. Oczywiście wynik tego starcia mógł być tylko jeden: Dohlarianie znowu przegrali. W trakcie bitwy generał Rahdgyrz został ranny w pierś. Pułkownik Mahkgrudyr, jego adiutant, zginął, walcząc u jego boku i starając się go ściągnąć z pola walki celem opatrzenia rany. Niestety ta okazała się śmiertelna. Generał Rahdgyrz oddał ducha Bogu w moim lazarecie. Do samego końca miał zapewnioną opiekę naszych uzdrowicieli, a jeden z naszych kapelanów wystuchał jego spowiedzi i udzielił mu ostatniego namaszczenia.

Do ostatka walczył dzielnie i wiernie, tak samo jak żył, a w ostatnich słowach poprosił mnie, abym przekazał na Pańskie ręce jego przeprosiny, że nie zdołał utrzymać swoich pozycji. Zapewniłem go ze swojej strony, że utrzymanie tych pozycji było niemożliwe i że nikt nie walczył dzielniej niż on, teraz zaś zapewniam Pana, że powiedziałem szczerą prawdę. Mam nadzieję, że zdążył się z nią pogodzić, zanim umarł.

Uważam, że zarówno on, jak i Pan walczyli za złą sprawę. Przyznaję jednak, że generał Rahdgyrz pozostał wierny swemu dowódcy i swemu Bogu do samego końca. Zazdroszczę Panu takiego podwładnego i niniejszym przekazuję na Pańskie ręce moje głębokie kondolencje.

Wierzę mu, pomyślał Rychtyr z przestraczem. Ja naprawdę mu wierzę... Potrząsnął głową zaskoczony, że coś takiego jest w ogóle możliwe. Ogarnęło go nagłe znużenie. Breygart nie rzuca słów na wiatr, nie zachowuje pozorów grzeczności, on tak właśnie myśli, i Boże mój... ma rację!

Rychtyr przymknął oczy, czując nagły ból w całym ciele. Do samego końca łudził się nadzieją. Garstka ocalańców z ostatniego brawurowego ataku doniosła mu, że Rahdgyrz został ranny, nikt jednak nie był naocznym świadkiem jego śmierci. Dlatego Rychtyr pozwolił sobie na

nadzieję. Modlił się... aż do teraz.

Będzie mu brakowało tego giganta. Przyjaźnili się. Mógł zawsze na niego liczyć. Clyftyn Rahdgyrz pociągnął swoich ludzi do kulminacyjnego ataku w akcie desperacji – czy też skruchy okazanej Stwórcy. Mimo wszystko to działanie powstrzymało postępy heretyków na całe dwie godziny. To pozwoliło Rychtyrowi przerzucić cztery regimenty rezerwy w lukę powstałą na froncie przy Farmie Symyna. Wielu żołnierzy zostało tam złapanych w pułapkę, lecz te regimenty pomogły utrzymać to miejsce przez kolejne dwa dni, dzięki czemu osiem tysięcy ludzi, którzy w przeciwnym razie zginęliby lub trafili do niewoli, mogło się przedostać do linii Borahn.

Clyftyn Rahdgyrz okazał się dla nich zbawieniem.

– Stracił pan nogę, pułkowniku – odezwał się cicho Rychtyr, otwierając oczy i spoglądając na zbolełe oblicze Acairveraha. – Mocno nad tym ubolewam. Cóż, ja straciłem prawe ramię i pół serca...

– Żołnierze chcieli, aby schronił się na tyłach, sir. Naprawdę im na tym zależało. On jednak... – Urwał i poruszył szczękami, jakby miał się zaraz rozplakać.

Rychtyr skinął głową.

– Wiem – powiedział delikatnie. – Wierz mi, że dobrze o tym wiem. Nosił przydomek Jaszczurodrap nie bez powodu, pułkowniku. Ta chwila musiała nadejść prędzej czy później. Zawsze o tym wiedziałem... tak samo jak on.

Acairverah zmarszczył czoło, a Metzlyr posłał mu ostre spojrzenie. Nie był to wyraz niezgody na wcześniejsze słowa Rychtyra, lecz raczej przejaw... troski.

– Mój synu – zaczął schueleryta. – Może...

– Chodzi mi tylko o to, ojcze, że kiedy ktoś jest tak oddany Bogu Jedynemu i Kościołowi Matce, a przy tym jest dowódcą frontowym, który w dodatku chce zawsze stać na czele swoich ludzi, mimo że wielokrotnie w przeszłości został ranny... otóż taki ktoś musi się liczyć z tym, że prędzej czy później zginie. – Rychtyr nie mieszał się ani trochę. – Ci, którzy przeżyli kontratak, twierdzą, że jego własne słowa brzmiały „jesteśmy Mu winni swoje życie”. Co do tego jednego miał rację. Wszyscy zawdzięczamy swoje życie Stwórcy, który może nam je odebrać w każdej chwili. Clyftyn nie tylko w to mocno wierzył, ale też nie potrafił sobie

wyobrazić większego poświęcenia. Zawsze był gotów ponieść śmierć w służbie Boga Jedyneho i ni mniej, ni więcej to właśnie koniec końców zrobił.

Metzlyr przypatrywał się Fahstyrowi przez kilka długich sekund, aż wreszcie skinął głową.

On wcale się ze mną nie zgadza, pomyślał Rychtyr. Ani nawet nie uważa, abym naprawdę miał takie zdanie w tej sprawie. Nie mogę jednak zaprzeczyć, że ojciec Pairaik jest dobrym człowiekiem. Na pewno wie, o co mi w gruncie rzeczy chodzi. I obawia się, że Inkwizycja również może na to wpaść.

Generał odchylił się na oparcie swego krzesła, opuścił powieki i zmarszczył nos, zdawszy sobie sprawę z ponurych realiów.

Jego armia rozpadała się na jego oczach. Pomimo dwudziestu pięciu tysięcy rezerwistów, których jakimś cudem wynalazł ksiązę Saltharu i mu przysłał; pomimo o osiem tysięcy mniejszych strat w ludziach będących wynikiem heroicznego czynu Clyftyna – obecnie dysponował siłą w wysokości czterdziestu ośmiu tysięcy żołnierzy, wliczając członków milicji. Wynikało to z tego, że wielu ludzi zagubiło się podczas działań i zostało odciętych od swoich oddziałów. Na szczęście można było liczyć na to, że przynajmniej część z nich w najbliższym czasie się odnajdzie i znów zasili szeregi Armii Seridahn. Nawet przy takim założeniu jednak Rychtyr stracił ponad pięćdziesiąt siedem tysięcy żołnierzy, co stanowiło siedemdziesiąt procent sił, jakimi dowodził przed zaledwie trzema pięciodniami. W dodatku niemal dwie trzecie artylerii również przepadło. Straty hrabiego Hanthu były nie mniej poważne. Zapłacił, i to słono, za zdobycie kolejnych linii fortyfikacji pomimo przewagi artyleryjskiej oraz tego, że – jakkolwiek niechętnie Rychtyr to przyznawał – jego piechota przedstawiała sobą znacznie więcej niż piechota Dohlaru kiedykolwiek.

Tym razem hrabia Hanthu porzucił ostrożność, nie próbował zepchnąć Rychtyra z jego pozycji i jakby całkiem zapomniał o manewrach, które mogły mu zaoszczędzić strat. Zamiast tego wszystkiego zacisnął szczęki na Armii Seridahn i nie zamierzał dać się ofierze strząśnąć. Był gotów wyczekać, aż ta schroni się w ostatniej reducie, po czym wykurzyć ją stamtąd i wyciągnąć siłą, aby zadać ostatni, śmiertelny cios.

Rychtyr miał pełną świadomość, że ów śmiertelny cios nadejdzie już niedługo. Albowiem – jakiegokolwiek straty poniósł hrabia Hanthu – były one znacznie mniejsze od strat poniesionych przez Armię Seridahn. Sir Fahstyr oddalił od siebie bolesną myśl o zgonie Clyftyna. Niemal równie mocno gnębił go fakt, że wróg otrzymał posiłki wielokrotnie liczniejsze, niżby on mógł choćby pomarzyć.

Rychtyr wiedział, jak to wszystko się skończy – o ile nie nastąpi jakiś cud. A nie dało się ukryć, że dotąd Bóg Jedyny i Jego archaniołowie raczej poskąpili cudów swoim obrońcom. Co gorsza, także żołnierze Armii Seridahn doskonale się orientowali w sytuacji. Ich morale obniżyło się praktycznie do zera, za co Rychtyr nie mógł specjalnie winić swoich podwładnych. Inkwizytorzy przydzieleni do poszczególnych oddziałów okazywali coraz większą troskę, coraz większą desperację – a od tego niedaleka już droga do wściekłości. Nie było jednak na to rady. Żołnierze służący pod rozkazami generała Rychtyra nie byli głupcami. Wprawdzie nikt im nie mówił o raportach szpiegów ani powodach, dla których Harchończycy hrabiego Jedwabnych Wzgórz zostali przerzuceni na północ od Alyksbergu, by bronić tamtejszego odcinka frontu. Nawet bez tego wszakże przeczuwali, że zastaną na swojej drodze wyłącznie śmierć i ogień, i nieważne, że dla heretyków ta okolica była drugorzędym teatrem wojny, i to od zawsze.

Nie, nie dla heretyków, poprawił się w myślach Rychtyr. Dla Charisjan. Wiesz o tym od co najmniej dwóch lat. A ostatnio dowiedzieli się o tym także twoi ludzie. W tej wojnie nigdy nie chodziło o herezję ani o nagłe sprzeniewierzenie się pewnego narodu Stwórcy. Nie bez powodu znaczna część żołnierzy mówiła nie o świętej wojnie, lecz o wojnie Clyntahna. Nawet inkwizytorzy nie byli w stanie temu już zapobiec. Co zatem to wszystko znaczy dla ciebie, Fahstyrze? – zapytał samego siebie Rychtyr.

Skoro Charisjanie byli do tego zdolni, skoro potrafili zasiać takie spustoszenie na drugorzędym teatrze wojny, jakie szanse mieli Harchończycy, których czekało stawienie czoła połączonym siłom Imperium Charisu i Republiki Siddarmarku? *Nie trzeba być dowódcą, aby znaleźć odpowiedź na to pytanie, pomyślał Rychtyr. Nie zdziwię się, jeśli nawet najbardziej lojalny żołnierz Armii Boga oraz Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów uzna, że nie warto ginąć za sprawę, która w efekcie nie przyniesie nic dobrego.*

Nie każdy jest Clyftynem, dodał w duchu. Nie każdy może być Jaszczurodrapem wyposażonym w idealnie działający moralny kompas. Ludzie są tylko śmiertelnikami, mają żony, dzieci, krewnych. Osoby, dla których warto żyć. Dlaczego miałbym nimi podsycać płomień tej bezsensownej wojny? Jeśli jednak tego nie zrobię, zawiodę nie tylko ojczyznę, nie tylko Koronę, ale też Kościół Ma...

– Sir Fahstyrze?

Rychtyr opuścił dłoń i rozwarł powieki.

Acairverah zdążył zniknąć. Ulotnił się po cichu, bez pytania. Nigdzie nie było też śladu młodego Gohzaila... Rychtyr zacisnął szczęki, zdawszy sobie sprawę, że to pułkownik Mohrtynsyn wyprosił ich obu milczącym gestem ręki. Mógł być tylko jeden powód, że to zrobił.

– Tak, Ahskarze? – Rychtyr odezwał się spokojnym tonem, udając, że nie wie, co zaraz usłyszy.

– Wybacz, że o to zapytam, sir, ale... jak brzmi dalsza część listu hrabiego Hanthu?

Mohrtynsyn mówił głosem tak cichym, że ledwie słyszalnym. Mimo to Metzlyr poderwał na niego spojrzenie i popatrzył na niego karcąco, jakby spodziewał się czegoś innego po szefie sztabu Rychtyra, niemniej pułkownik ani trochę się nie zmieszał.

– Będziemy musieli na niego odpowiedzieć, tak czy owak, sir – podjął pułkownik, zwracając się do Rychtyra, chociaż nie przestał spoglądać w stronę duchownego. – W razie wyrażenia zgody zyskamy czas na przegrupowanie, co jak nam wszystkim wiadomo, jest w obecnej sytuacji konieczne.

– Owszem – przyznał Rychtyr. – Aczkolwiek chciałbym się dobrze zastanowić przed udzieleniem odpowiedzi sir Hauwerdowi.

– Tak, to zrozumiałe.

Rychtyr odepchnął się od stołu razem z krzesłem, wstał i zaczął przemierzać jadalnię wzdłuż i wszerz, trzymając dłonie splecione za plecami.

Oferta „czasowego wstrzymania ognia” stanowiła najciekawszą część listu. Charisjanie wyobrażali sobie, że obie strony mogłyby wtedy zebrać rannych z pola bitwy, pogrzebać zmarłych, a może nawet dokonać wymiany jeńców – aczkolwiek wszem i wobec było wiadomo, jak małe

szanse ma obywatel Imperium Charisu na przeżycie niewoli. Jakkolwiek by to sobie jednak tłumaczyli, intencje były więcej niż jasne.

– To prawda, że przydałaby nam się chwila wytchnienia, Ahskarze – oznajmił w końcu, zatrzymując się obok Metzlyra, aby także spojrzeć na wschodni horyzont rozjaśniany rozbłyskami. – Bóg Jedyny świadkiem, że ludzie mogą nie wytrzymać napięcia, jeśli hrabia Hanthu będzie na nas dalej napierał, a poza tym chciałbym zdążyć umocnić linie wokół Artynsianu. Mimo to obaj doskonale wiemy, co tak naprawdę chodzi Breygartowi po głowie.

Gdy Mohrtynsyn nic nie powiedział, Rychtyr parsknął cicho.

– Możesz mi wierzyć, Ahskarze, że gdybym mógł kupić tym chłopcom choćby dobrą spokojną, tobym zapłacił za to własną nieśmiertelną duszą. Aczkolwiek przypuszczam, że ojciec Pairaik raczej nie pochwaliłby takiego paktu... – Uśmiechnął się przelotnie do intendenta. – Niestety hrabia Hanthu wie równie dobrze jak my, że jeśli dać żołnierzom wytchnienie od boju, ujdzie z nich większość pary i woli walki. Tak więc to – wskazał na list leżący wciąż na stole – bynajmniej nie jest oferta pozwalająca na zaopiekowanie się rannymi i poległymi, tylko sposób na zachęcenie nas do złożenia broni.

Mohrtynsyn zacisnął szczęki, nie zaprzeczył jednak, co widząc, Rychtyr odwrócił się znowu do okna.

Oczywiście, że właśnie o to chodziło hrabiemu Hanthu. Z podobną propozycją wystąpiłby każdy trzeźwo myślący dowódca, a już zwłaszcza mający równie trzeźwo myślących przełożonych w rodzaju Cayleba i Sharleyan Ahrmahków. Albowiem – gdyby Rychtyr zgodził się na wstrzymanie ognia, choćby czasowe – ucierpiałoby na tym morale Armii Seridahn. Przejściowa ulga w praktyce uniemożliwiłaby ponowne rzucenie się do boju większości żołnierzy. Fakt, że heretycy oferują wstrzymanie ognia, zamiast dalej jakby nigdy nic zabijać przeciwników, mimo że mogli to robić bez trudu, tylko potwierdzał krążącą w Armii Seridahn wersję o „wojnie Clyntahna”. Któż tu bowiem był faktycznie owładnięty zepsuciem? Człowiek, który darował życie, choć nie musiał; czy człowiek, który skazywał na śmierć miliony, i to bez mrugnięcia okiem?

– Tak właśnie to sobie wyobraża, Ahskarze, a ja nie mam zamiaru mu się podać na tacy. Clyftyn nie po to oddał swoje życie, abym ja teraz

zaprzepaścił jego poświęcenie. Zatem nie zgodzę się na zaproponowane warunki. Nie mogę tego uczynić.

– Rozumiem, sir – rzekł Mohrtynsyn po długiej chwili milczenia. Moment później uśmiechnął się krzywo. – Niczego innego się po panu nie spodziewałem. Mimo wszystko moim obowiązkiem było zwrócenie pańskiej uwagi na te kilka szczegółów.

– Naturalnie. – Rychtyr uśmiechnął się nieco szczerzej. – Nie masz w tym sobie ró...

Przerwało mu otwarcie drzwi na oścież. Odwrócił się w tamtą stronę, poirytowany, lecz zaraz zmienił wyraz twarzy, widząc, kto stoi w progu. Przybysz nosił purpurową sutannę świadczącą o przynależności do Zakonu Schuelera, ozdobioną mieczem i płomieniem będącymi symbolami Inkwizycji. Kokarda przy jego czepcu była brązowa, tak samo jak w wypadku ojca Pairaika Metzlyra, co świadczyło, że gość jest duchownym wyższym rangą. Zarazem biała korona wyhaftowana na rękawie sutanny wyraźnie wskazywała, że stoi przed nimi osobisty sekretarz arcybiskupa.

Wprawdzie Rychtyr widział go pierwszy raz na oczy, ale i tak natychmiast rozpoznał, z kim ma do czynienia. Zachowanie Metzlyra tylko to potwierdzało.

– Ojcie Rahndailu! – wykrzyknął intendent. – Co tutaj robisz? Pozwól, że przy tej okazji przypomnę ci, iż wchodząc do gabinetu generała, najpierw się puka!

– Jestem tego świadom, ojcie – odparł przybysz. – Wszelako okoliczności mojej wizyty są raczej... wyjątkowe. – Zwrócił się do Rychtyra. – Sir Fahstyrze, raczy pan wybaczyć najście. Obawiam się jednak, że zadanie, z którym przybywam, wyklucza konwenanse.

– Z jakiegoż to powodu, ojcie... – Rychtyr zawiesił głos i uniósł brwi pytająco, jakby naprawdę nie wiedział, z kim rozmawia.

– Jestem Evryt, sir. Ojciec Rahndail Evryt – odparł duchowny, skłaniając głowę ledwie zauważalnie. – Mam zaszczyt być jednym z zaufanych sekretarzy arcybiskupa Trumahna.

– Rozumiem. Pozwól jeszcze, że zapytam... – zaczął i urwał.

Drzwi otworzyły się raz jeszcze i w progu pokazał się porucznik Gohzail. Ramiona miał wyprężone, szarozielone oczy przepełnione niepokojem, za sobą zaś przywiódł jeszcze jednego oficera. Był to jakiś

kapitan, nieznany bliżej generałowi Rychtyrowi; odziany w purpurową tunikę i czerwone spodnie Armii Boga, nie zaś zieleń i czerwień przysługujące Królewskiej Armii Dohlaru.

– O co chodzi, Zhulyo?

– Proszę o wybaczenie, sir, ale ten człowiek odmówił zaczekania w poczekalni. Uparł się, że musi jak najszybciej dołączyć do ojca Rahndaila. Jeśli się nie mylę, przywiódł ze sobą kilka plutonów dragonów, którzy pozostali na szczęście na zewnątrz.

– Ach tak? – Rychtyr przyjrzał się uważniej kapitanowi. – A czy raczył chociaż wyjaśnić powód swej wizyty?

– Nie, sir. – Gohzail był wyraźnie nieszczęśliwy, że musiał to przyznać na głos. – Pytałem go, lecz...

– Za pozwoleniem, generale – odezwał się Evryt. Gdy już przyciągnął uwagę Rychtyra, wzruszył lekko ramionami. – To zamieszanie wynikło z mojej winy. Powinienem być do tej pory wspomnieć o obecności kapitana Gairybahldy’ego, a także przedstawić go panu osobiście. Źle się stało, że ważność mojej misji tak mnie zaabsorbowała, że do tego stopnia zapomniałem o dobrych manierach. Niniejszym naprawiam swój błąd. Oto kapitan Ahlvyno Gairybahldy. Gdy wyruszałem na front, biskup egzekutor Wylsynn uznał, że przyda mi się eskorta. Oczywiście ma on świadomość, z jakim wysiłkiem księżę Saltharu stara się zapewnić panu posiłki, nie zaprzestając obrony wybrzeża Dohlaru, stąd oddelegowanie żołnierzy Armii Boga przypisanych Inkwizycji. Kapitan Gairybahldy jest dowódcą mojej eskorty.

– Rozumiem – powtórzył Rychtyr. Następnie obdarzył kapitana, który jakby stracił nieco na pewności siebie, zamyślonym spojrzeniem, by w końcu wrócić wzrokiem do Evryta. – Tak czy siak chciałbym wrócić do pytania, jakie miałem zadać, zanim nam przerwano. Czy mogę wiedzieć, co sprowadza cię w strony Borahnu, ojcze?

– Mam za zadanie przekazać panu, generale, oraz ojcu Pairaikowi, że zostaliście wezwani do Gorathu. – Ton głosu Evryta był poważny, a mina chmurna. – Kazano mi to uczynić bezzwłocznie, a następnie odeskortować was obu do stolicy.

– Rozumiem – powiedział Rychtyr po raz trzeci i zerknął na Metzlyra. Intendent sprawiał wrażenie równie niezadowolonego jak on sam. Sir Fahstyr wbił oczy w przybysza i wyciągnął w jego stronę rękę. –

Chciałbym zobaczyć rozkaz księcia Saltharu.

– Przykro mi, ale to polecenie nie wyszło od niego. Ani od żadnego innego laika. – Rysy Evryta jakby stwardniały. – Wzywa was do siebie biskup egzekutor Wylsynn pospołu z ojcem Ahbsahlahnem.

– Z całym szacunkiem dla tych dwóch duchownych, to naprawdę nie najlepsza pora, abym opuszczał swoją armię, ojciec – rzekł spokojnie Rychtyr. – Dopiero co doszły nas słuchy o śmierci generała Rahdgyrza. W czasie walk straciłem niemal jedną trzecią wszystkich dowódców. Właśnie przeorganizujemy się przed kolejnym atakiem heretyków. Moja podróż do Gorathu akurat w tym momencie nie jest dobrym pomysłem.

– Bardzo żałuję, generale. Niestety rozkaz to rozkaz. Będę zatem nalegał, abyśmy wyruszyli w drogę natychmiast.

W jego głosie zabrzmiały żelazne nuty, którym towarzyszyło kamienne spojrzenie szarzielonych oczu. Rychtyr poczuł, że tężeje wewnętrznie, i kątem oka zauważył, że to samo dzieje się z Mohrtynsynem. Spostrzegł także, iż Gohzail robi krok do tyłu, dzięki czemu znalazł się tuż za plecami kapitana Gairybahldy'ego i mógł równocześnie sięgnąć ręką do jego pasa, u którego wisiał zdobyty na jakimś Charisjaninie rewolwer.

Gairybahldy pozornie nie zwrócił uwagi ani na manewr porucznika, ani na to, że Mohrtynsyn opuścił dłoń na rękojeść sztyletu. Mimo to wyraźnie zeszywniał i lekko odsunął ramiona od ciała, dając znać, że nie ma zamiaru sięgać po żadną broń. Obserwując to wszystko, Rychtyr pomyślał, że powietrze w pomieszczeniu zgęstniało na tyle, iż dałoby się je pokroić w bloki i użyć zamiast worków z piaskiem na umocnieniach. Zdaje się, że nawet Evryt miał tego świadomość. Dało się to poznać po sztywno wyprostowanych barkach i pozbawionej wszelkiego wyrazu twarzy. Napięcie było zgoła namacalne. Evryt uświadomił sobie, że podwładni generała Rychtyra mogą przedłożyć lojalność wobec niego nad lojalność wobec Kościoła Matki.

A przynajmniej wobec Grupy Czwojga.

– Pojmuję, że starasz się wypełnić otrzymany rozkaz najszybciej jak to możliwe, ojciec – rzekł naczelny wódz Armii Seridahn. – Oczywiście jako wierny syn Kościoła Matki jestem na każde zawołanie biskupa egzekutora Wylsynna. Mam jednak pewne zobowiązania wobec Dohlaru

i króla Rahnylda. Nie mogę, ot tak po prostu, wyjść przez te drzwi i zostawić żołnierzy zdanych na samych siebie. W najgorszym wypadku musiałbym zadbać o zastępstwo na stanowisku dowódcy. Aczkolwiek nie w sytuacji, gdy heretycy szykują się do kolejnego ataku. Z pewnością to rozumiesz, ojcze.

– Rozumiem przedstawione argumenty, generale. Nie zmienia to jednak faktu, że moja misja, jak przed chwilą wspomniałeś, jest niecierpiąca zwłoki. Przypuśćmy, że zgodzę się poczekać, aż przekażesz dowodzenie w ręce swego zastępcy. Jak długo może to potrwać?

– Odkąd generała Rahdgyrza nie ma już pośród nas, moim bezpośrednim zastępcą jest generał Iglaisys – odparł Rychtyr. – Który obecnie przebywa w St. Torrin. Jak przypuszczam, mijaliście tę wieść w drodze tutaj?

Evryt skinął głową, nie spuszczać wzroku z twarzy sir Fahstyra.

– Zatem zdajesz sobie sprawę, ojcze, że dzieli nas około pięciu mil. – W tej chwili jest zbyt ciemno, abym mógł go wezwać za pomocą wiadomości semaforowej. Goniec powinien dotrzeć do niego w ciągu mniej więcej godziny. Załóżmy, że generał Iglaisys będzie potrzebował godziny lub półtorej na to, aby przekazać dowodzenie w ręce swojego zastępcy, czyli jak mi się zdaje, pułkownika Hylza. Kolejną godzinę zajmie powrót wraz z gońcem tutaj. To daje w sumie trzy i pół godziny. Później będę potrzebował paru godzin na to, aby wprowadzić go w bieżące obowiązki naczelnego wodza Armii Seridahn. To i tak niewiele, zważywszy na to, że mógłby pozostawać niedoinformowany, gdybyśmy nie wymieniali się wiadomościami na bieżąco. – Wzruszył ramionami. – W każdym razie będę w stanie zostawić armię w jego pieczy za jakieś sześć do siedmiu godzin. Co daje nam akurat porę Czuwania Langhorne'a. Wyobrażam sobie, że raczej nie ruszymy w drogę przed świtem. Do tego czasu jednak powinienem być w pełni spakowany i gotowy.

Evryt zerknął na Gohzaila, a następnie na Mohrtynsyna, który stał dalej nieruchomo z kamienną miną. Niezadowolenie sekretarza arcybiskupa było jasne, niemniej zdobył się on na coś w rodzaju uśmiechu, gdy w końcu wrócił spojrzeniem do Rychtyra.

– Jestem duchownym, generale, nie wojskowym. Nie przewidziałem komplikacji, jakie wiążą się z opuszczeniem posterunku przez dowódcę.

Będę oczywiście nalegał, abyśmy wyruszyli w drogę do Gorathu najszybciej jak to możliwe, nie wcześniej jednak, jak zapewni pan ciągłość łańcucha dowodzenia w swojej armii.

– Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia w tej sprawie, ojcze.

– Zapewniam pana, generale, że tak właśnie jest. – Lodowaty uśmiech, który pokazał się na twarzy Evryta, przeczył jego słowom. – Kapitanie – Evryt zwrócił się do Gairybahldy’ego. – Może pan poinformować eskortę, że noc spędzimy na miejscu. Mam nadzieję, że podwładni generała wskażą nam jakieś kwatery.

– Ależ naturalnie. – Rychtyr uśmiechnął się do oficera Armii Boga. – W końcu walczymy po tej samej stronie, czyż nie, kapitanie? Zhulyo... to znaczy porucznik Gohzail dopilnuje, abyście wszyscy spędzili noc pod jednym dachem. Obawiam się, że w tych warunkach oznacza to nocleg w naprędcie postawionym namiocie, aczkolwiek przynajmniej nasi kucharze powinni być w stanie poczęstować was ciepłym posiłkiem. Ufam, że to wystarczy?

– W zupełności, sir – odparł kapitan.

– Miło mi to słyszeć. – Rychtyr przeniósł spojrzenie na Gohzaila. – Zatem pozostawię was w dobrych rękach Zhulya. Postara się, aby było wam wygodnie, po czym dopiero zajmie się pakowaniem moich rzeczy. –

Przez moment przyszpilał młodego porucznika spojrzeniem. – To niezwykle sumienny oficer. Nie ma wątpliwości, że potraktuje swoje zadanie bardzo poważnie.

W oczach Gohzaila błysnęła iskierka buntu, a jego dłoń zacisnęła się na kolbie rewolweru. Jednakże Rychtyr nawet nie mrugnął. Widząc to, porucznik zwiotczał, choć skrzydełka jego nosa w dalszym ciągu wydawały się rozdęte.

– Tak jest, sir – powiedział, potwierdzając nie tylko to, co przed chwilą usłyszał. – Osobiście zajmę się kapitanem i jego ludźmi. Dopilnuję też, aby ich obecność w żaden sposób nie odbiła się na naszych.

– Świetnie, Zhulyo. Doskonale. Kiedy stąd wyjdiesz, poślij gońca do generała Iglaisysa z prośbą, aby się u mnie zameldował.

– Tak jest, sir – powtórzył porucznik, po czym dotknął ramienia kapitana. – Pozwoli pan za mną?

– Jeśli można, ojcze? – Gairybahldy posłał spojrzenie Evrytowi,

a następnie strzelił obcasami, kiedy duchowny skinął przyzwalająco głową. – W takim razie pozostaję do pańskiej dyspozycji, poruczniku. – Zasalutował sir Fahstyrowi... bardziej słuźbiście i z większą wdzięcznością, niż to było normalne w wypadku oficerów Armii Boga w obliczu nie swoich dowódców. – Kapitan Gairybahldy doprasza się zgody na odejście, sir!

– Macie moją zgodę, kapitanie. – Rychtyr odwzajemnił salut i uśmiechnął się zimno. – Już nie mogę się doczekać pańskiego towarzystwa w drodze do Gorathu.

.V.
Wyspa Jaszczurka
Zatoka Hankey
oraz
Pałac królewski
Gorath
Dohlar

Sir, powinien pan to zobaczyć!

Porucznik Bryahn Sathyrwayt odstawił kubek gorącej czekolady i zmarszczył brwi. Sierżant Maikel doskonale wiedział, jak jego przełożony nie lubi, gdy mu się przeszkadza przy śniadaniu. Jednym z przywilejów najstarszego stopniem oficera w „garnizonie” Harlysville było to, że na jego talerzu lądowało całe mnóstwo owoców morza poławianych u brzegów wyspy Jaszczurka – zwłaszcza pajęczokrabów, od których się roiło na mieliznach u północno-zachodniego wybrzeża wyspy. Zanim Bryahn został oddelegowany do Straży Wybrzeża, noszącej tę nazwę nieco na wyrost, nie miał nawet co marzyć o podobnych smakołykach na śniadanie. Tymczasem teraz stały się one jedną z drobnych przyjemności, których wyczekiwał z utęsknieniem każdego ranka.

– Co takiego mam zobaczyć, Ahmbrohsie? – zapytał, podnosząc wzrok znad talerza. – I dlaczego już teraz, a nie po śniadaniu?

– Sir... – Ahmbrohs Maikel był wysokim, wiecznie skrzywionym mężczyzną o pociągłej twarzy i siwych, rzadziejących włosach, który poruszał się z widocznym trudem, odkąd odniósł rany pod Alyksbergiem. – Jeśli o mnie chodzi, może pan najpierw skończyć śniadanie. Obawiam się jednak, że gubernator Alysyn nie będzie tym zachwycony.

Mars na czole Sathyrwayta tylko się pogłębił. Maikel lubił dopatrywać się we wszystkim trudności, a ponadto nie darzył zbytnim szacunkiem dwudziestoletnich oficerów, którzy nigdy nawet nie

powąchali prochu. Zresztą gwoli prawdy, nie miał on w zwyczaju przeszkadzać bez powodu, a nierzadko zdarzało mu się zwrócić uwagę na istotnie ważny fakt, co wuj porucznika, laicki członek Zakonu Sondheim, nazwałby okazją do nauki. Dlatego też Sathyrwayt od razu wiedział, że ostatnie, czym powinien się przejmować w tej chwili, to jego niedojedzone śniadanie.

– No dobrze. – Westchnął, pociągnął jeszcze łyk czekolady i wstał od stołu. – Pokaż, o co chodzi – rzucił, przecinając na wskroś niewielką jadalnię domu, który służył mu za kwaterę w Harlysville.

– Proszę spojrzeć, o tam – rzekł Maikel, wskazując na morze.

Harlysville było położone praktycznie na najdalej wysuniętym na północ cyplu wyspy Jaszczurka i miało przed sobą szeroki na dwadzieścia pięć mil Kanał Ghustahva dzielący Jaszczurkę od znacznie od niej większej Wyspy Smoka, położonej jeszcze bardziej na północ. Wspomniany kanał był głęboki, nadawał się do żeglugi galeonów, w związku z czym na ogół pływał po nim jakiś większy okręt. Oczywiście odkąd heretycy zajęli wyspę Biały Kamień, ruch na nim bardzo się zmniejszył. Miejsce to leżało dziewięćset mil na północ od wyspy Jaszczurka, jednakże charisjańscy korsarze i tak krążyli po kanale Trosan i cieśninie Fern. Te statki, które mimo wszystko korzystały z cieśniny Hankey, nadpływały od strony Harchongu Południowego i trzymały się linii wybrzeża, aby w razie pojawienia się charisjańskiego szkunera natychmiast schronić się w porcie. To zaś oznaczało, że nikt nie korzystał z Kanału Ghustahva jako skrótu.

Cóż więc, zirytował się porucznik Sathyrwayt, może być takie ważne, abym musiał przerywać w połowie śniadanie...

– Dobry Langhornie... – szepnął, robiąc wielkie oczy.

– Fakt, tylko on mógłby nam w tej chwili pomóc, sir – potaknął sierżant Maikel z zadziwiającym spokojem. Gdy Sathyrwayt posłał mu ostre spojrzenie, sierżant wzruszył tylko ramionami. – Oczywiście pluton czeka już w gotowości, sir, a obie dwunastofuntówki są obsadzone. Aczkolwiek nie sędzę, aby to wystarczyło...

Sathyrwayt gapił się przez kilka sekund na podwładnego, po czym przeniósł znów spojrzenie na las masztów, które właśnie wyłaniały się z porannej mgły. Na oko musiał przyjąć, że galeonów jest trzydzieści albo nawet czterdzieści. Najbardziej przerażający był jednak widok dwu

jednostek, które pewnie zmierzały w stronę przystani Harlysville. Bliźniacze kolumny dymu bijące z kominów na ich pokładzie nie pozostawiały złudzeń co do klasy tych okrętów. Porucznik rozpoznałby je w okamgnieniu, nawet gdyby nie zdobiły ich srebrno-niebiesko-czarne sztandary powiewające z rei.

Za nimi płynęły wolniej, aczkolwiek także posapując parą, nieco mniejsze jednostki w liczbie, lekko licząc, dwudziestu czterech. Przypominały frachtowce, z tym że były wyposażone w wysokie kominy oraz jakieś ustrojstwa, które miały wodę za ich rufami. Sathyrwayt miał okazję widzieć napędzane pedałami koła łopatkowe stosowane w wypadku łodzi kanałowych, nigdy jednak w swoim życiu nie zobaczył jeszcze tych mechanizmów, które poruszałyby się tak szybko i tak pewnie jak te, które miał teraz przed oczami.

Maikel klepnął go w ramię i podał mu lunetę, którą ze sobą przyniósł. Porucznik odebrał ją od niego zdętwiałymi dłońmi, uniósł i przyłożył do oka, by momentalnie zeszywnieć na widok odzianych na czarno-niebiesko członków piechoty morskiej Imperium Charisu. Na pokładzie każdej barki znajdowało się co najmniej kilka drużyn żołnierzy, podczas gdy Sathyrwayt miał do swojej dyspozycji dwudziestu siedmiu podwładnych.

– W zupełności się z wami zgadzam, sierzancie – powiedział, opuszczając lunetę. – Może więc pójdziecie na nabrzeże i każecie ludziom zostawić te armaty w spokoju. Zastanawiam się wręcz, czyby ich nie wypchnąć przez ambrazury. W razie korzystnego dla nas rozwoju wydarzeń zawsze będziemy je mogli później wyłowić z morza przy odpływie.

– Jeśli chce pan znać moje zdanie, poruczniku, jest to doskonały pomysł! – ucieszył się Maikel. Sathyrwayt chyba jeszcze nigdy nie widział go tak rozradowanego. – Już pędzę!

– Doskonale zatem. – Porucznik uśmiechnął się blado, oddając mu lunetę. – Ja z kolei zajmę się wysłaniem wiadomości semaforowych do gubernatora Alysyna i kapitana Ohygynsa.

– Tak jest!

Maikel zasalutował, dotykając pięścią swojej piersi, a następnie pobiegł wąską uliczką ku żaloznej baterii nabrzeżnej, która miała osłaniać trzy pirsy portu rybackiego Harlysville. Sathyrwayt natomiast

udał się w stronę stacji semaforowej.

Miał szczerzy zamiar wysłać te wiadomości, bardzo jednak wątpił, aby zaskoczyły one gubernatora wyspy czy dowódcę bazy. Było mało prawdopodobne, aby Cesarska Flota Charisu skupiła swoje wysiłki na takiej dziurze, jaką stanowiło Harlysville, skoro mogła bez trudu zająć całą wyspę. Błędem także byłoby zakładać, że Charisjanie nie skoordynowali swoich działań. Jeżeli płynęli teraz prosto na Harlysville, najpewniej pokazali się już też w Darth.

Rozległ się grzmot i HMS *Gwylım Manthyr* drgnął, a wraz z nim jego piętnaście tysięcy ton. Nacisk odrzutu miotnął nim niczym rozgrzana, potężna pięść. W powietrze wzbił się gęsty brązowy dym, na moment rozblęsnął płomieniami, po czym cztery pociski, dziesięcio- i ośmioletowe, opuściły lufy dział tego flagowca.

Sir Dunkyn Yairley stał na mostku flagowym, pierwszym skonstruowanym kiedykolwiek na okręcie wojennym Schronienia, i spoglądał przez swoją lornetkę. Na szczęście wiał dość silny wiatr, do tego od północy, i dym rozwiewał się szybko. Nawet mimo to jednak widoczność nie poprawiła się wiele, zanim wspomniane pociski uderzyły w staromodne, kamienne fortyfikacje Battery Point. Dlatego admirał nie widział wyraźnie, jak wybuchają, lecz kiedy wreszcie się przejaśniło, z łatwością zobaczył długą na sto jardów wyrwę w umocnieniach.

Jak na HMS *Gwylım Manthyr* zasięg był stosunkowo bliski – liczył zaledwie tysiąc jardów – a w dodatku obrońcy wyspy Jaszczurka bynajmniej nie mieli na stanie nowych i ciężkich fultynów. Gwoli prawdy, nawet gdyby je mieli na wyposażeniu, efekt byłby podobny. Tymczasem nabrzeżne czterdziestofuntówki były równie użyteczne jak kamyki wyrzucane z procy. A jednak ich ostrzał nie ustawał, w miarę jak gigantyczny okręt sunął dostojnie po falach Darth, jedyne akwenu zasługującego na nazwę zatoki, aby zająć upatrzoną wcześniej pozycję. Oczywiście nie przyniosło to żadnego skutku; Halcom Bahrns mógł z czystym sumieniem ignorować pociski, które nie zagrażały ani jemu, ani jego załodze.

Z wielu powodów baron Sarmouth wolałby pozostawić te fortyfikacje

w spokoju. Nie sprawiało mu przyjemności masakrowanie żołnierzy, którzy nie byli w stanie odpowiedzieć skutecznie, a tak się złożyło, że w tej chwili właśnie to robił. Albowiem pociski artyleryjskie, które nie mogły wyrządzić krzywdy jego jednostce, jak najbardziej były zdolne do uszkodzenia pomocniczych galeonów oraz łodzi desantowych. Niebezpieczeństwo z ich strony groziło także żołnierzom piechoty morskiej, którzy w pewnym momencie ataku musieli zejść na brzeg. Jako że Halcom Bahrns nie zamierzał pozwolić, aby cokolwiek im się stało, zbliżył się do Battery Point na niecałe pięć kabli, po czym odwrócił się i otworzył ogień. Obecnie, przy prędkości zaledwie jednego węzła, praktycznie unosił się na falach, podczas gdy jego artyleria metodycznie rozprawiała się ze stanowiskami obrony. Przy tej odległości i stateczności artylerzyści byli w stanie celować idealnie, dzięki czemu masywne pociski osiągały celu bezbłędnie pomiędzy kolejnymi chmurami dymu.

W pewnym momencie Dunkyn Yairley odwrócił wzrok od niszczonej umocnień i zapatrzył się na południowy zachód, w stronę Darthu, jedyne prawdziwego miasta na wyspie Jaszczurka, które było położone po drugiej stronie zatoki tej samej nazwy. Na szczęście ani Styvyn Alysyn, gubernator wyspy, ani Ahlfryd Mahkgentry, burmistrz Darthu, nie był na tyle głupi, by obsadzić obrońcami pozostałe stanowiska. Baron Sarmouth liczył, że tak będzie, aczkolwiek nie mógł być pewien, co w tej sytuacji uczyni burmistrz Mahkgentry. Przynajmniej Alysyn był człowiekiem rozsądnym i bardzo dalekim od pochopnych działań; był z niego typowy biurokrata, który nie miał złudzeń co do zdolności wyspy do obrony przed atakiem okrętu takiego jak HMS *Gwylym Manthyr* czy inny klasy City. Wszelako Mahkgentry nie tylko liczył sobie mniej wiosen, ale też miał bardziej zapalczywą duszę. Był bardziej zaciekły, bardziej wytrwały. I zdecydowanie bardziej niż Alysyn obawiał się, jak zareaguje Inkwizycja na okazane przezeń przejawy defetyzmu. Koniec końców jednak pogodził się z rozkazami Alysyna. Baron Sarmouth, stary cynik, uznał, że stało się tak tylko dlatego, iż w razie czego rozkazy te ochroniłyby mu tyłek przed Inkwizycją.

Z tym że, dodał w myślach ponuro baron Sarmouth, gdy ta wojna Clyntahna nareszcie dobiegnie końca, Inkwizycja raczej nie będzie miała mocy rozprawić się z kimkolwiek. Oczywiście, kontynuował myśl, ludzie tacy jak Mahkgentry na razie wstydzą się przyznać to głośno, a nawet

przed samymi sobą w duchu. Osobiście uważam, że przynajmniej w stolicy Dohlaru powinni znaleźć się ludzie, których na to stać. Bardzo jestem ciekaw, czy chociaż oni zareagują na naszą wizytę u wybrzeży wyspy Jaszczurka właśnie tak, jak przewidział to Cayleb z Sharleyan.

Opuścił lornetkę i zerknął na niebo. Dopiero dochodziła dziesiąta, upał był jeszcze znośny, ale kapitan Ohygyns powinien już niedługo zdać sobie sprawę z tego, że jeśli nie zaprzestanie walki, jego obrona przyczyni się wyłącznie do większej liczby ofiar po jego stronie. Faktem było, że major Anthynee Frughahy, dowódca Obrony Wybrzeża stacjonującej na wyspie Jaszczurka, już to sobie uzmysłowił. Była to stosunkowo nowa formacja, naprędce sklecona przez hrabiego Thirsku z przypadkowych osób, która nie otrzymała praktycznie żadnego wyszkolenia przed tym, jak została wysłana na front. Trudno ją było nazwać formacją bojową, szczególnie że ogólna liczba jej członków nie przekraczała trzystu osób, podczas gdy baron Sarmouth zamierzał posłać na brzeg całą brygadę doświadczonych marines. Operacja ta była mniej więcej w połowie; admirał przyglądał się, jak łodzie desantowe zawracają po drugą partię żołnierzy.

Nawet on jednak miał świadomość tego, że w tym wypadku nie może być mowy o ataku z prawdziwego zdarzenia. Chodziło raczej o uświadomienie żołnierzom, iż ludność cywilna zasługuje na ochronę.

Ponownie uniósł do oczu lornetkę, kiedy z pokładu HMS *Gwylm Manthyr* doleciał kolejny grzmot. Tym razem nawet nie zadał sobie trudu, aby zlustrować brzeg, gdy chmura dymu się rozwiała. Spojrzenie miał utkwione w sygnalizatory ponad wieżą semaforową stoczni, na której w dalszym ciągu powiewała wyzywająco flaga z zieloną wyverną na czerwonym polu.

Było kwestią czasu, gdy flaga ta zostanie opuszczona, a baron Sarmouth będzie mógł nareszcie zarządzić wstrzymanie ognia. Jedyna niewiadoma polegała na tym, jak długo jeszcze i ile będzie niepotrzebnych ofiar po stronie ludzi kapitana Ohygynsa.

– Nie będę ukrywał przed tobą prawdy. – Biskup egzekutor Wylsynn Lainyr zwrócił się do księcia Fernu lodowatym tonem. – Kościół Matka

uważa ostatnie wieści z wyspy Jaszczurka za niepokojące. Bardzo niepokojące.

– Zapewniam cię, eminencjo, że wśród członków rady królewskiej nie ma człowieka, który by nie czuł podobnego niepokoju – odezwał się Samyl Cahkrayn. – Wyspa Jaszczurka znajduje się mniej niż czterysta mil w linii prostej od tego miejsca. Skoro już o tym mowa, pozwól, że przypomnę, iż do przylądka Start jest z niej tylko siedemdziesiąt mil, a z Gorathu zaledwie pięćset mil morskich. Jeśli to prawda, że heretycy przyплыли tymi swoimi przeklętymi parowcami, od stolicy Dohlaru dzielą ich tylko dwa dni podróży. Chciałbym także nadmienić, że nie może być przypadkiem, iż ta akcja odbywa się w tym samym czasie, gdy Armia Seridahn przeżywa takie trudności.

– O to właśnie mi chodzi, wasza dostojność – potwierdził jeszcze bardziej lodowato Lainyr. – Gubernator Alysyn i kapitan Ohygyns są świadomi, że Armia Seridahn musiała się wycofać o prawie sto pięćdziesiąt mil w ciągu zaledwie miesiąca. Mimo tej świadomości, gdy u wybrzeży wyspy Jaszczurka pokazała się heretycka flotka, jakby nigdy nic poddali siebie, swoich żołnierzy i cywilów, tym samym oddając w ręce heretyków bazę morską, która jak słusznie zauważyłeś, znajduje się tylko pięćset mil od miejsca, w którym siedzimy! Trudno nie podejrzewać, że kłopoty Armii Seridahn były powodem upadku morale obrońców tego miejsca.

Cisza przedłużała się, podczas gdy biskup Wylsynn zimno spoglądał w oczy głównego doradcy króla Rahnylda.

– To bardzo poważne oskarżenie, eminencjo – przerwał milczenie książę Saltharu, który siedział obok księcia Fernu. Słyszając to, Lainyr strzelił oczami w jego stronę. Tymczasem głównodowodzący siłami Królewskiej Armii Dohlaru kontynuował jakby nigdy nic: – Jeśli dobrze zrozumiałem, eminencjo, zasugerowałeś właśnie, że gubernator Alysyn i kapitan Ohygyns złożyli broń ze zwykłego tchórzostwa.

Cisza, która nastąpiła po tych słowach, była jeszcze bardziej napięta niż przedtem. W końcu biskup egzekutor Wylsynn odchrząknął i powiedział:

– Tchórzostwo to może zbyt mocne słowo, wasza dostojność.

Ahbsahlahn Kharmych poruszył się na swoim miejscu, okazując niezgodę, jednakże Lainyr zignorował to całkowicie.

– Na razie Kościół Matka zakłada, że ten raport – postukał leżące przed nim kartki palcem wskazującym – jest prawdziwy. Wszelako... nawet gdy przyjąć, że gubernator przedstawił swoje racje szczerze... Kościół Matka jest mniej niż zachwycony sposobem jego rozumowania. Z tego, co napisał, jasno bowiem wynika, że ani przez chwilę nie rozważał poważnej obrony wyspy Jaszczurka. A przecież mógł stawić opór, zamiast zacząć negocjować z baronem Sarmouth już po sześciu godzinach od rozpoczęcia ostrzału. Nazwanie go tchórzem byłoby przesadą, niemniej zauważam w jego postępowaniu wyraźne ślady defetyzmu. Kościół Matka ma święte prawo oczekiwać, że żołnierze, którzy oddali się pod rozkazy Boga Jedynego, będą przynajmniej starali się bronić Jego wiernych dzieci przed zepsuciem i potępieniem.

– Eminencjo – odezwał się książę Fernu, nie pozwalając dojść do głosu księciu Saltharu. – Z całym należnym szacunkiem, ale uważam, iż w obliczu skuteczności obrony prowadzonej przez kapitana Ohygynsa ocena sytuacji dokonana przez gubernatora Alysyna okazała się w pełni racjonalna. Z doniesień wiemy, że działania obronne prowadzone przez kapitana Ohygynsa nie przyniosły ani jednej ofiary wśród heretyków. Z kolei jego artylerzyści, obsługujący działa nabrzeżne, padali jak muchy... jest mowa o co najmniej osiemdziesięciu zabitych i prawie dwustu rannych, jeśli zaś chodzi o armaty, to wszystkie z wyjątkiem czterech zostały zniszczone w wyniku ostrzału wroga. Te dane w moim odczuciu dobitnie pokazują, że gdyby gubernator Alysyn podjął inną decyzję, skończyłoby się to dalszymi ofiarami wśród żołnierzy broniących wyspy Jaszczurka, nie wspominając o zagrożeniu dla cywilnych mieszkańców Darthu.

Biskup egzekutor zmrużył oczy w szparki, słysząc stanowczy ton wypowiedzi księcia, ten wszakże ciągnął niewzruszony:

– Obrona wyspy nigdy nie zakładała stawienia czoła poważnemu atakowi. Książę Saltharu i książę Thorastu nie są w stanie ochronić wybrzeża Dohlaru, że o wysepkach otoczonych wodą ze wszystkich stron nawet nie wspomnę. Wszyscy wiemy, i nie ma co tego ukrywać, że heretycy kontrolują całą Zatokę Dohlariańską. W takiej sytuacji skuteczna ochrona oparta na zasobach królestwa zwyczajnie nie jest możliwa. Trzeba podejmować decyzje, trzeba ratować to, co się da uratować. Niestety stworzenie Obrony Wybrzeża celem zapewnienia choćby małych garnizonów w mniej liczących się portach znacząco

wydrenowało nasze zasoby osobowe. Naturalnie zgadzam się, że każdy człowiek zasługuje, by go chronić przed wpadnięciem w szpony Shanwei, niemniej chciałbym przypomnieć, że wyspa Jaszczurka mierzy z północy na południe tylko dziewięćdziesiąt mil. Cała jej populacja wynosi poniżej jedenastu tysięcy osób. Gorąco ubolewam, że jakiegokolwiek dzieci Kościoła Matki czują na swoich karkach jarzmo heretyków, faktem pozostaje jednak, że liczba mieszkańców wyspy to zaledwie ułamek w porównaniu z dziesiątkami tysięcy ludzi, którzy zdążyli już opuścić księstwo Thorast z obawy przed atakiem hrabiego Hanthu. Chyba nie twierdzisz, eminencjo, że powinniśmy byli wzmocnić obronę wyspy Jaszczurka kosztem znacznie większej liczby poddanych króla Rahnylda i lojalnych dzieci Kościoła Matki żyjących na kontynencie?

Lainyr ukrywał swoje myśli za maską bez wyrazu, wszakże twarz Kharmycha ciemniała z każdym słowem wypowiedzianym przez głównego doradcę.

– Wątpisz w mądrość Kościoła Matki, wasza dostojność? – zapytał w końcu.

– Raczej szukam jasności, ojcze. Dysponujemy ograniczoną liczbą żołnierzy i ograniczoną ilością broni. Nasze manufaktury ledwie sobie radzą z dostarczaniem nowych sztuk broni na front; o zwiększeniu produkcji nie mamy nawet co marzyć. Rozumiemy, czemu nie możemy liczyć na wsparcie Kościoła Matki w tym momencie i dlaczego nagle priorytetem stała się Armia Pana Wszechmogącego i Archaniołów. Jako członek laikatu oraz rady królewskiej bardzo ubolewam nad takim stanem rzeczy, lecz go nie podważam. Tak się jednak składa, że identycznie jak Kościół Matka musimy rozważnie wykorzystywać swoje ograniczone... niezwykle ograniczone... zasoby. Zatem jeżeli arcybiskup Trumahn chciałby, abyśmy zrobili z nich inny użytek, powinniśmy to jasno usłyszeć.

Oblicze Kharmycha pociemniało jeszcze bardziej, ale Lainyr uspokoił go, kładąc mu dłoń na rękę.

– Tak jak wspomniałeś, wasza dostojność – zwrócił się znowu do głównego doradcy – zasoby Kościoła Matki wymagają, aby wykorzystywać je nader ostrożnie. To samo oczywiście dotyczy zasobów Dohlaru. W tych okolicznościach jedyne, co możemy zrobić, to dać

królowi Rahnyldowi i tobie wolną rękę, gdy chodzi o zrobienie użytku z żołnierzy i marynarzy. Nikt nie przeczy, że na kontynencie mieszka znacznie więcej dzieci Boga Jedynego aniżeli na Jaszczurce czy jakiegokolwiek innej wyspie. Moje zastrzeżenia... zastrzeżenia Kościoła Matki mniej mają wspólnego z tym, jak rozdysponowujecie swoje siły, więcej zaś z tym, jak ostatnio zachowują się wasi dowódcy. Szczególnie odkąd doszło do godnego pożałowania wycofania się zarówno armii, jak i floty...

Książę Saltharu zacisnął szczęki, a książę Fernu skinął głową.

– W rzeczy samej musieliśmy się wycofać – przyznał – w trakcie walk za sprawę Kościoła Matki. – Drugą część zdania specjalnie zaakcentował, co sprawiło, że oczy Kharmycha zabłysły oburzeniem. –

Nie ma ważniejszej sprawy niż obrona Kościoła Matki – kontynuował jakby nigdy nic główny doradca króla Rahnylda. – Wszyscy Dohlarianie o tym wiedzą i potwierdzają to swoim postępowaniem. Porty znajdujące się na kontynencie są o wiele lepiej ufortyfikowane aniżeli garnizony takie jak na wyspie Jaszczurka. Żałuję, że książę Thorastu nie był w stanie udzielić tej ostatniej wsparcie. W każdym razie teraz, kiedy rozmawiamy, dochodzi do rozbijania naszych galeonów, dzięki czemu więcej żołnierzy trafi do obrony wybrzeża. Dostaną do rąk karabiny i zasilą szeregi armii. Jestem pewien, że heretycy będą mieli spory problem ze zdobyciem Gorathu czy Bessbergu, skoro natkną się na dobrze uzbrojone garnizony i baterie. Gwoli całkowitej szczerości jednak, którą jestem winien Kościołowi Matce jako jego lojalny syn, muszę powiedzieć, że bez względu na nasze wysiłki nie wróżę nam większych szans w starciu z takimi okrętami jak ten, który skierował działa w stronę Darthu.

Biskup egzekutor wydawał się zdumiony tą konstatacją. Z kolei Kharmych przypominał człowieka, który właśnie połknął muszloroga i poczuł pierwsze użądlenie. Cisza, która zapadła w komnacie rady, aż dźwięczała.

– Mój przedmówca chciał powiedzieć, eminencjo – wtrącił po chwili książę Saltharu – że heretycy do woli używają sobie na nas, czy to bombardując nasze porty, czy wystawiając przeciwko naszym galeonom swoje kanonierki. Z tego powodu książę Thorastu zarządził, ażeby armaty z pokładów naszych okrętów wojennych trafiły w skład baterii nabrzeżnych.

Słyszając to, ksiązę Fernu z trudem powstrzymał się od uśmiechu. Doskonale wiedział, że wspomniany pomysł wcale nie wyszedł od księcia Thorastu. W gruncie rzeczy ksiązę Thorastu w pierwszym odruchu sprzeciwił się propozycji hrabiego Thirsku. Dopiero gdy ksiązę Fernu poparł tego ostatniego, ksiązę Thorastu musiał ulec, i to mimo że zawsze był wrogo nastawiony do wszystkiego, co wyszło od hrabiego Thirsku. W tym wypadku nie miał innego wyjścia, jak przyznać, że to, co spotkało Biały Kamień i ostatnio wyspę Jaszczurka, wymagało podjęcia działań zasugerowanych przez hrabiego.

– Podobnie jak ksiązę Fernu – podjął ksiązę Saltharu – uważam, że wzmocniona obrona tylko wyjdzie nam na dobre. Obecnie nasza flota stara się rozmieścić jak najwięcej bomb morskich, które wspomogą ciężkie gwintowane działa. Przypuszczam również, że rakiety zaadaptowane na potrzeby obrony wybrzeża też okażą się przydatne. Oczywiście nikt nie może tego zagwarantować z całą pewnością. Udana inwazja heretyków musiałaby doprowadzić do przełamania naszej obrony i zniszczenia wszystkich garnizonów, co wydaje się raczej mało prawdopodobne, aczkolwiek rok temu podobny los spotkał Harchończyków i Desnairczyków. Ja jednak zakładam, że bomby morskie okażą się nawet bardziej skuteczne, niż myślimy, dzięki czemu nie podzielimy losu naszych sojuszników. Gdybym się jednak mylił i nasze porty zostały mimo wszystko podbite, trzeba będzie wyciągnąć surowe konsekwencje...

Lainyr zacisnął wargi i zmrużył oczy w szparki, po czym przyjrzał się kolejno każdemu doradcy. Dopiero po dłuższej chwili skinął głową.

– Nie jestem wojskowym. Nie potrafię zatem ocenić, czy czynione przez was kroki zapewnią skuteczną ochronę Dohlarowi i Dohlarianom. Ufam, że tak będzie, i nie mam zamiaru mieszać wam szyków w żaden sposób. Co najwyżej mogę się modlić o wasz sukces. Nadeszła godzina próby, w którą wiele dzieci Boga Jedyneego będzie musiało się poświęcić. Głęboko żałuję, tak samo jak wielki wikariusz, że Dohlarianie płacą taką wysoką cenę za służbę Kościołowi Matce, co wszakże jest niezbędne.

– Dziękuję, eminencjo – skwitował ksiązę Fernu.

Na te słowa biskup egzekutor skinął krótko głową Kharmychowi i zaczął się podnosić zza stołu. Zanim jednak zdążył wstać, główny doradca króla Rahnylda uniósł dłoń, aby go powstrzymać.

– Zostań jeszcze chwileczkę, eminencjo – poprosił grzecznie, choć z jego oczu biła determinacja. – Została nam pewna sprawa do omówienia.

– Ach tak? – zapytał obojętnie Lainyr, nie zmieniając wyrazu twarzy.

– Tak. W ręce księcia Saltharu trafił raport, którego treść lekko nas zaniepokoiła. Liczymy na to, że będziesz w stanie rzucić trochę światła.

– Co to za raport? – Lainyr całkowicie się ukrył za maską obojętności.

– Wedle generała Iglaisysa generał Rychtyr został zwolniony ze stanowiska głównodowodzącego i właśnie jest w drodze do Gorathu otoczony przez eskortę złożoną z członków Armii Boga – powiedział bez ogródek książę Saltharu. – Nie mam z tym nic wspólnego, a jeśli dobrze rozumiem, rozkaz zaniósł sir Fahstyrowi niejaki ojciec Rahndail w imieniu Kościoła Matki.

Napięcie w komnacie rady wzrosło znacznie. Lainyr zajął z powrotem swoje miejsce i złożył dłonie przed sobą na blacie.

– Raport generała Iglaisysa nie mija się z prawdą – przyznał głucho.

– Z całym szacunkiem, eminencjo, ale to ja jestem naczelnym wodzem. Wojskowi odpowiadają przede wszystkim przede mną, w drugiej kolejności przed księciem Fernu, a dopiero potem przed Koroną. Ja osobiście jestem odpowiedzialny za zwycięstwo tej armii nad wrogiem. W razie gdy uznam, że któryś z frontowych dowódców przestał być skuteczny na swoim stanowisku, mam prawo zastąpić go kimś innym. W tym wypadku jednak niczego takiego nie uczyniłem.

– To prawda – potwierdził Kharmych, ubiegając intendenta. Oczy Lainyry zapłonęły gniewem. – Masz nie tylko prawo, ale wręcz obowiązek zastąpić nowym kandydatem każdego, kto utracił skuteczność na froncie. Tak się jednak składa, że nawet frontowi dowódcy, jako dzieci Boga Jedynego, odpowiadają bezpośrednio przed Kościołem Matką, który... pozwól, że ci przypomnę, podzielił się z tobą i z księciem Fernu zastrzeżeniami co do postawy generała Rychtyra. W efekcie tego postanowiłeś zatrzymać go na stanowisku wodza Armii Seridahn, do czego także miałeś prawo. Od tamtej pory Armia Seridahn musiała się wycofać daleko w głąb królestwa, tracąc przy tym wielu dobrych żołnierzy. W dodatku nasi polowi inkwizytorzy donoszą, że morale i zapał tych pozostałych w szeregach pozostawia wiele do życzenia. Właśnie z tego powodu biskup egzekutor Wylysynn wyraził

zaniepokojenie w związku z obniżonym poziomem ducha bojowego wśród obrońców wyspy Jaszczurka. Rozmieszczenie oddziałów należy w całości do ciebie jako do naczelnego wodza, niemniej gdy wśród żołnierzy szerzy się defetyzm i podupada wiara, to już jest sprawa dla Kościoła Matki i dla Inkwizycji.

– Twierdzisz, ojcze, że to generał Rychtyr bardziej niż przydzieleni mu kapelani ponosi winę za spadek morale wśród swoich podwładnych?

Mimo że w głosie księcia Saltharu zabrzmiało wyraźne wyzwanie, Kharmych jakby nigdy nic potaknął skinieniem.

– Koniec końców naczelną dowódca ponosi odpowiedzialność za wszystko, co dotyczy armii, czyż nie tak? Z tego, co mi wiadomo, tak zawsze było, jest i będzie... w świeckim świecie. Zatem tak, generał Rychtyr ponosi znaczną winę za to, że jego żołnierze utracili ducha bojowego. Możliwe jednak, że raporty, które do nas spływają, są niepełne bądź wyolbrzymiają powagę problemu. – Z tonu jego głosu wynikało, że akurat w tę możliwość bynajmniej nie wierzy. – W takim razie nie ma powodów do obaw. Generał Rychtyr już wkrótce obejmie z powrotem swoje stanowisko.

– Mam taką nadzieję, ojcze – rzekł książę Saltharu. – Żołnierze darzą go głębokim szacunkiem, a ja jestem zdania, że nikt nie jest lepiej od niego przygotowany do dowodzenia Armią Seridahn, przynajmniej z militarnego punktu widzenia. Obawiam się też, że usunięcie go ze stanowiska odbije się niekorzystnie na jego podkomendnych.

W oczach Kharmycha coś złowieszczo zaśniło, Lainyr jednak położył mu dłoń na ramieniu, zanim ów doszedł do głosu. Biskup egzekutor przyglądał się księciu Saltharu przez naprawdę długą chwilę, po czym wstał i gestem przywołał do siebie podwładnego.

– Pojmuję twoją troskę, wasza dostojność – rzekł Lainyr chłodno. – I zapewniam, że nie jest moim zamiarem komplikowanie sytuacji Armii Seridahn w tym momencie. Masz moje słowo, że postaramy się jak najprędzej zbadać tę sprawę i podjąć decyzję.

– O nic innego nie prosimy jako lojalni synowie Kościoła Matki, eminencjo – odparł książę Fernu za wszystkich doradców.

– Zatem do zobaczenia – rzucił biskup egzekutor i nakreślił w powietrzu symbol berła Langhorne'a.

Moment później Lainyr i Kharmych energicznym krokiem opuścili

komnatę rady.

Ta komnaty rady była znacznie mniejsza, a mieściła się w zapadłym kącie pałacu. Uczestnicy zebrania zakradli się do niej pojedynczo, cichcem. W tej właśnie chwili książę Fernu odchylił się na oparcie krzesła i omiótł spojrzeniem pozostałych. Była ich tylko trójka: książę Saltharu, sir Zhorj Laikhyrst, baron Yellowstone, będący zarazem ministrem spraw zagranicznych Dohlaru, i Hairahm Kortez, baron Windborne, minister skarbu. I tym razem rzucała się w oczy nieobecność księcia Thorastu.

– Uważam – zaczął niemal szeptem główny doradca króla Rahnylda – że ostatnie wydarzenia zmuszają nas do przewartościowania priorytetów świętej wojny.

– Jako że chodzi o nasze być albo nie być, jestem skłonny się zgodzić – dodał książę Saltharu, czemu książę Fernu przytaknął skinieniem.

Już samo to, że książę Saltharu jest tu obecny w przeciwieństwie do księcia Thorastu, pomyślał główny doradca, wskazuje, o jakie ostatnie wydarzenia chodzi, oraz udowadnia, że w ich wyniku doszło do zmiany sposobu myślenia w stolicy Dohlaru. Nie da się bowiem ukryć, że ten pierwszy do niedawna był zaciekłym zwolennikiem świętej wojny.

– Czy mógłbyś, Samyłu, sprecyzować, o jakie przewartościowanie chodzi?

– Musimy wziąć pod uwagę kilka nowych informacji – odparł książę Fernu. – Nie najmniej ważną z nich jest fakt, że powoli nie stać nas na uzupełnienia zapasów broni. Właśnie dlatego zależało mi twoim stawiennictwie, Hairahmie.

Baron Windborne kiwnął głową ze zrozumieniem, aczkolwiek jego mina w dalszym ciągu świadczyła, że nie jest zadowolony z zaproszenia do pałacu.

– Zanim przejdę do szczegółów – podjął książę Fernu – chciałbym powiadomić was, że razem z Shainem i Aibramem przeanalizowaliśmy plany raz jeszcze i uznaliśmy, że na razie posiłki przeznaczone dla Armii Seridahn powinny pozostać bliżej Gorathu.

Baron Yellowstone zeszywniał lekko, a baron Windborne zmarszczył

czoło. Kosztem wielkiego wysiłku i nadwężenia stanu osobowego praktycznie każdego garnizonu w królestwie udało im się zebrać i uzbroić niemal sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy, nie licząc dodatkowych sił w postaci Obrony Wybrzeża tworzonej przez hrabiego Thirsku z marynarzy, którzy zostali oddelegowani na ląd. Jako że ludzie ci stanowili istną zbieraninę i nie znali się wcześniej, koniecznością było danie im czasu na wspólne ćwiczenia i dotarcie się. Stacjonowali więc nieopodal stolicy, gdzie funkcjonowały manufaktury wytwarzające dla nich broń. Niestety zła sytuacja na froncie wymagała, aby rzucić ich do walki jak najszybciej. Zważywszy na to, że heretycy odcięli wschodni kraniec Zatoki Dohlariańskiej, jedyna realna trasa wiodła w górę rzeki Gorath, przez Kanał Świętego Nytzhana i rzekę Fronz, stamtąd zaś na północny zachód do Fronzport nad jeziorem Sheryl znajdującym się sto mil na tyłach Armii Seridahn. Taka podróż wymagała czasu. Wiele czasu.

– Naturalnie podjęcie tej decyzji nie przyszło nam łatwo – dodał książę Fernu z poważną miną. – Wszakże heretycki atak na wyspę Jaszczurka pokazuje, że wróg zamierza zająć wszystkie nasze porty. Mimo iż zasięg operacyjny ich kanonierek jest ograniczony, już teraz... po utracie wyspy stolica Dohlaru nie jest bezpieczna. Nie mamy złudzeń, że większe kanonierki dysponują nie tylko silniejszą artylerią, ale też większym zasięgiem operacyjnym. Właśnie dlatego nie będziemy się śpieszyć z przekazaniem pod rozkazy księcia Thorastu następnych oddziałów. Najpierw musimy zyskać pewność, że Charisjanie nie planują ataku na nie w najmniej odpowiednim momencie.

Obaj baronowie wymienili spojrzenia, po czym równie wolno skinęli głowami.

– Zakładasz zatem, że raport gubernatora Alysyna wpadł w nasze ręce nie dzięki uprzejmości heretyków, którzy oczekiwali po nas takiej właśnie reakcji? – zapytał po chwili milczenia baron Yellowstone. – Ani że pojawienie się go w tej, a nie innej chwili nie miało nic wspólnego z odwołaniem arcybiskupa Trumahna do Syjonu?

– Nie wykluczam żadnej z tych możliwości – odparł książę Fernu. – Wprawdzie nie mogę się wypowiadać na temat planów arcybiskupa, ale jestem niemal pewny, że usłyszeliśmy o wyspie Jaszczurka od gubernatora Alysyna, ponieważ heretycy pragnęli, aby posiłki przewidziane dla generała Rychtyra pozostały na swoim miejscu.

Jakkolwiek wygląda prawda, musimy liczyć się z tym zagrożeniem i traktować je poważnie, uwzględniając we własnych poczynaniach.

– Czy Kościół Matka myśli tak samo? – zainteresował się baron Yellowstone.

– Tego na razie nie wiemy. Sami doszliśmy do naszych wniosków zaledwie przed paroma godzinami. To spotkanie ma na celu wymianę opinii i skonstruowanie wiadomości, którą można by przekazać hierarchom.

– Co za zaszczyt – skwitował baron zgrzytliwym tonem.

– Tak też sądziłem. – Księżę Fernu uśmiechnął się przelotnie. Bardzo szybko jednak spoważniał. – Muszę dodać, że podjęliśmy jeszcze jedną decyzję. W tych okolicznościach, gdziekolwiek ostatecznie wylądują te posiłki, będą potrzebować najbardziej doświadczonego dowódcy, jakiego możemy im zapewnić. Zwłaszcza teraz, gdy generał Rychtyr został... czasowo odwołany.

– Rozumiem – bąknął baron Windborne. – Kogo konkretnie macie na myśli?

– Naszym kandydatem jest generał Ahlverez – powiedział księżę Fernu głuchym tonem. – Przedyskutowałem to szczegółowo z Shainem i żaden z nas nie był w stanie zaproponować nikogo innego, kto by miał równe doświadczenie w walkach z heretykami. – Powiódł wzrokiem po twarzach obu baronów. – Ani też kto by lepiej zdawał sobie sprawę z zagrożenia, jakim są dla Dohlaru wrogowie królestwa. Wszyscy wrogowie królestwa.

.VI.
Przełęcz Tymkyna
Góry Węża
Prowincja Skaliste Szczyty
oraz
Haidyrberg
Glacierheart
Republika Siddarmarku

W moich stronach czerwiec nie jest taki ładny – zauważył kapitan piechoty Bryntyn Mahklyroh.

Przed chwilą ułożył się wygodnie na rozkładanym krzeselku, w jednej ręce trzymał kufel piwa, w drugiej zaś hot doga, którego zdążył obficie polać musztardą i ketchupem. Serweta zatknięta elegancko za kołnierzyk jego tuniki ochraniała mundur przed skutkami konsumpcji tego, a nie innego posiłku, aczkolwiek katastrofa groziła w każdej chwili, gdyż Bryntyn wymachiwał ręką z hot dogiem – w tej akurat chwili w kierunku Gór Węża i zachodzącego za nimi słońca.

– Błagam, tylko znowu nie opowiadaj o tych zwałach śniegu w Św. Cehseelya! – poprosił kapitan jazdy Gwynhai. – Może jako mieszkaniec prowincji Kyznetzov jestem z południa, jednakże mam rodzinę na północy w prowincji de Castro. Wiem więc, co to jest tona śniegu i zwały lodu!

Bryntyn roześmiał się i odgryzł spory kęs hot doga.

– No dobrze, przyznaję, że nawet tam, gdzie mieszkam, nie w każdą zimę leży gruba na trzydzieści stóp warstwa śniegu. Czasami ma ona tylko dwadzieścia dziewięć stóp... Zresztą skoro tak chcesz do tego podejść, założę się, że ci twoi kuzyni piąta woda po kisielu co roku obcują z wszechobecną bielą. Tak czy owak, nie skłamałem, mówiąc, że tutaj czerwiec jest naprawdę ładny. – Usiadł prościej, odłożył hot doga na talerz i w ten sposób uwolnioną dłońią sięgnął po czipsa ziemniaczanego.

Hmm, pomyślał Gwynhai, jest w tym trochę racji. Nawet ktoś z południa był w stanie docenić zapowiedź nadchodzącego wieczoru. Parę nisko zawieszonych chmur jarzyło się karmazynem na zachodnim horyzoncie, lecz w górze nad głową niebo było granatowe i upstrzone miriadami gwiazd. Księżyc dopiero wyłaniał się zza linii widnokregu na wschodzie. Bryza nadlatująca z tego samego kierunku wydawała się nieco chłodniejsza, niżby sobie życzył ktoś wychowany w prowincji Kyznetzov, kto ciepłe miesiące spędzał na brodzeniu w płyciźnie zatoki Alexov, która znajdowała się niżej, niż położone były Góry Węza, aczkolwiek i tutaj dzień był ciepły, może nawet za ciepły.

I bardzo dobrze, zganił się burkliwie w myślach. Wielka szkoda, że nie zdążyliśmy się całkiem okopać. Takie rzeczy jak słoneczna pogoda i brak deszczu są idealne, gdy przychodzi do wznoszenia umocnień. Tyle dobrego, że zmusiłem Bryntyna, by przypilnował inżynierów i budowniczych.

W jego mniemaniu Bryntyn Mahklyroh był takim samym barbarzyńcą jak wszyscy mieszkańcy Wschodu. Dowodził tego jego prostacki gust – hot dog i piwo! – stojący w jawnej sprzeczności z wysublimowanym podniebieniem Gwynhaia i jego zamożnych, wysoko urodzonych przyjaciół z Harchongu. Na domiar złego Bryntyn rozsiewał zepsucie. Tak długo męczył armijnych piekarzy, aż nauczyli się piec bułki do hot dogów, mimo że znikąd nie był w stanie zdobyć odpowiedniej kiełbaski, którą mógłby włożyć do środka. Kucharze byli co najwyżej w stanie sprokurować dla niego lekko wędzoną parówkę, co widząc, Bryntyn zaczął wiercić dziurę w brzuchu co najmniej paru kwatermistrzom. Większość z nich na pewno do tej pory postradała zmysły. Oczywiście Gwynhai – jako dowódca 321. regimentu piechoty – w ogóle się tym nie przejmował. Albowiem sam był niskiego urodzenia, choć wywodził się z rodziny, która jeszcze przed świętą wojną zrobiła świetny interes na handlu fasolowisnią. Zapewne to wyjaśniało, czemu tak się lubili z Bryntynem. W każdym razie Gwynhai nie miał cienia wątpliwości, że właśnie dlatego zgłosił się na ochotnika do obecnej służby.

Dowódca jazdy Fengli Zhywan, hrabia Czerwonego Słońca, a przy tym dowódca trzeciego zgrupowania południowej części Armii Pana Wszechmogącego, był odpowiedzialny za północną jedną trzecią Przełęczy Tymkyna, gdzie linia frontu wynosiła mniej więcej osiem mil.

Trzecie zgrupowanie składało się z czterech brygad, w tym z piątej tymczasowej brygady będącej maczyną jednostką w stosunku do 321. regimentu piechoty. To dawało hrabiemu Czerwonego Słońca nieco ponad dwanaście tysięcy żołnierzy piechoty, a razem z artylerzystami i członkami jednostek pomocniczych niemal osiemnaście tysięcy ludzi, których zadaniem było pilnować wyznaczonego terenu. W kwestii liczebności nie było to mało. Wręcz przeciwnie. A mimo to i tak równało się to jednemu człowiekowi na jeden jard frontu, gdyby jego linia biegła prosto, jak leci wyverna. Jako że ani Bóg Jedyny, ani Jego archaniołowie nie wyposażyli ludzi w skrzydła, żołnierze hrabiego Czerwonego Słońca musieli wykonywać swoje obowiązki nie w powietrzu, lecz na ziemi, gdzie linia frontu komplikowała się przez pagórki, strumyki, zarośla i Hastings jeden wie co jeszcze. Tak czy owak przez to wszystko z ośmiu mil robiło się ich prawie dwanaście. A tak się złożyło, że dowódca wyznaczył na strażnika lewej flanki piątą tymczasową brygadę pod wodzą kapitana Śnieżnego Szczytu.

Z kolei kapitan Śnieżnego Szczytu wyznaczył do strzeżenia lewej flanki piątej tymczasowej brygady właśnie 321. regiment piechoty. Co oznaczało, że Gwynhai na miejscu tego heretyka hrabiego Wysokiego Wzgórza szczególnie bacznie obserwowałyby pozycje 321. regimentu piechoty. To oczywiście było powodem, dla którego był taki wdzięczny za ładną pogodę i dostatek szpadli.

Gwoli szczerości, Armia Tanshar nieźle sobie poradziła z umacnianiem swoich pozycji na przełęczy, zanim padły rozkazy reorganizacji. Niestety inżynierowie Armii Boga nie należeli do najlepszych w swoim fachu na Schronieniu. Właściwie nie ulegało kwestii, że na palmę pierwszeństwa w tym zakresie zasługują Charisjanie, którzy opracowali także nowe strategie i rodzaje broni. Niemniej obecnie deptała im po piętach Armia Harchongu, a szczególnie Armia Pana Wszechmogącego i Archaniołów. Południowa jej część zaś ostatnie kilka pięciodni spędziła na pogłębianiu, poszerzaniu i umacnianiu fortyfikacji ziemnych, które zaczęli wznosić ludzie biskupa polowego Tayrensa.

Mahklyroh pod wieloma względami nie miał sobie równych. W Armii Boga pełnił funkcję kapitana strzelców, który był odpowiednikiem charisjańskiego porucznika, zaraz po tym, jak został przydzielony do Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów jako jeden z doradców

naczelnego wodza sił Kościoła Matki, Allayna Maigwaira. Z początku był traktowany jak kolejny cudzoziemiec narzucony armii przez bandę barbarzyńców, którzy – co zrozumiałe – nie mieli pojęcia o kunszcie sztuki wojennej w przeciwieństwie do urodzonych wojskowych, jakimi byli Harchończycy. Obecnie nosił stopień majora Armii Boga i stał na czele pierwszej kompanii Yahnpynga Gwynhaia, przy czym jego skośnoocy podwładni skoczyliby za nim w ogień.

Niewielu ludzi Wschodu nadal służyło w południowej części Armii Pana Wszechmogącego. A może raczej wydawali się tak nieliczni z powodu napływu żołnierzy z głębi Harchongu. W każdym razie Mahklyroh najwyraźniej zadomowił się w jej szeregach, a co mniej wyrafinowani byli chłopci pańszczyźniani wprost za nim przepadali. Jego reputacji nie szkodził także fakt, iż zanim trafił do piechoty, był członkiem wojsk inżynieryjnych.

– Tak, Bryntynie – potwierdził Gwynhai. – Pogoda rzeczywiście jest ładna. Chociaż... – Spochmurniał nagle. – Jeśli wierzyć doniesieniom, w każdej chwili można się spodziewać letniej śnieżycy!

– Jako że nic by mi dobrego nie przyszło z nazwania swego dowódcy malkontentem, powstrzymam się od komentarza na temat skutków dostrzegania wyłącznie złych stron czegoś – oznajmił Bryntyn, a następnie wzruszył ramionami. – Nie znaczy to jednak, że nie masz racji. Ale lepiej powiedz mi, czy wiadomo coś więcej o planach hrabiego Wysokiego Wzgórza.

Gwynhai potrząsnął głową.

– Wiesz tyle samo co ja. Nasi zwiadowcy nie dorównują zwiadowcom wroga, niestety. Zresztą chyba nie muszę ci tego mówić. Jedno jest pewne: naprzeciwno nas stanie masa żołnierzy i masa armat. Nic więcej na razie nie wiadomo. Bez wątpienia jednak możemy się spodziewać istnego piekła, gdy przyjdzie co do czego. Obawiam się, że to będzie powtórka z Rafy Armagedonu.

W obliczu jakiegokolwiek innego oficera nie pozwoliłby sobie na taką uwagę. Bryntyn wszakże zgodził się z nim, kiwając głową.

– Tak, co do tego możesz mieć niestety rację – powiedział tonem bardziej ponurym niż przed chwilą. – Dlatego jestem wdzięczny za każdy dzień, kiedy nasi chłopcy mogą sobie pogłębić okopy. Chociaż z drugiej strony jakąś częścią siebie chciałbym, żeby to czekanie wreszcie się

skończyło. Wszyscy wiemy, że to już długo nie potrwa. Lato jest w pełni, heretycy nie mogą stracić więcej czasu. Czasami myślę sobie, że lepiej byłoby walczyć i umierać, niż czekać...

– Hm, to ci dopiero konstatacja – mruknął Gwynhai. – Masz może jeszcze w zanadrzu jakieś pesymistyczne uwagi?

– Och, na pewno jakaś jeszcze przyjdzie mi do głowy – rzucił z uśmiechem Bryntyn. – Właściwie to...

Mahklyroh urwał w pół słowa i szarpnął głową w stronę ciemnego wschodniego horyzontu, który nagle zapłonął niczym wulkan. Oślepiający błysk setek pocisków artyleryjskich przeciął czarne niebo, w okamgnieniu gasząc gwiazdy, a nawet księżyc. Pociski poszybowały w dół, a wtedy ogniem zajęły się pozycje trzeciego zgrupowania. Kwatera Bryntyna znajdowała się trzy mile za linią frontu, lecz mimo to ogłuszający grzmot, od którego zadrzała ziemia, dotarł do nich obu już po czternastu sekundach.

– Jak źle to wygląda? – zapytał Zhouku Seidyng, hrabia Jedwabnych Wzgórz, ledwie wszedł do swojego gabinetu.

Dziki wygwizdowo (przynajmniej wedle cywilizowanych standardów) rozciągające się na zachód od Gór Węża raczej nie oferowało kwatery z prawdziwego zdarzenia, godnej harchońskiego wielmoży. Na szczęście hrabia Jedwabnych Wzgórz przywykł do spartańskich warunków podczas trwania świętej wojny. Jego pawilon, wzniesiony z jedwabiobawełny, porażał skromnością. Kosztował z pewnością mniej, niżby trzeba było wydać na wykarmienie jednej wioski na jego posiadłości... przez rok czy dwa. Mimo to był odpowiedni – odpowiedni, nawet jeśli nie wystarczająco ekskluzywny – i co najważniejsze, zawierał oddzielony parawanem gabinet o powierzchni kilkudziesięciu stóp kwadratowych.

– Mogłoby wyglądać gorzej, mój panie – odparł kapitan jazdy Kaishau Hywanlohng, szef sztabu hrabiego Jedwabnych Wzgórz. – Aczkolwiek oczywiście dysponujemy tylko wstępnymi danymi. – Kaishau wzruszył ramionami. – Otrzymaliśmy od hrabiego Czerwonego Słońca kilka wiadomości dostarczonych przez wyverny pocztowe, lecz jak dotąd nie

mamy żadnych wieści od pozostałych dowódców rozlokowanych na przełęczy.

– No to się wyjaśniło, czemu ci przekłeci sładzy demonów, których wyrzekły się własne matki, wolą atakować w absolutnych ciemnościach, kiedy semafony są bezużyteczne – warknął hrabia Jedwabnych Wzgórz.

Kaishau tylko skinął głową. Doszedł do podobnego wniosku, jednakże coś mu mówiło, że preferencje heretyków mają więcej niż jedną, do tego tak prozaiczną przyczynę.

Szef sztabu był zaprawionym w boju wojakiem, który przesłużył w Armii Harchongu ćwierć wieku, zanim wybuchła święta wojna. Dzięki temu mógł w pełni docenić, jak bardzo zwiększyła się skuteczność Cesarskiej Armii Harchongu za czasów dowódców takich jak hrabia Tęczowych Wód czy hrabia Jedwabnych Wzgórz, skoro już o tym mowa. Przy tym był on człowiekiem na tyle rozsądnym, aby przyznać, ile Armia Pana Wszechmogącego i Archaniołów zawdzięcza swoim mentorom z Armii Boga, jak również wytwórcom produkującym broń na jej potrzeby. Szacując ostrożnie, był skłonny przyznać, że skuteczność wzrosła co najmniej dziesięć, a może nawet piętnaście razy – zwłaszcza w wypadku walki wręcz. A jednak z jakiegoś powodu Cesarska Armia Harchongu pozostała mniej niebezpieczna niż Cesarska Armia Charisu. Heretycy walczyli nocą, ponieważ do tego ich szkolono. Dzięki temu poruszali się w mroku sprawnie i pewnie, przez co piechota hrabiego Jedwabnych Wzgórz zwyczajnie nie była w stanie za nimi nadążyć. Zupełnie jakby Charisjanie działali nie hurmem, tylko wciąż w małych oddziałach... Tak, to musiało wyjaśniać ich zabójczą skuteczność zarówno podczas walki, jak i podczas zwiadu.

– Cokolwiek ich motywuje do walki po ciemku, mój panie – powiedział na głos – chyba dopiero jutro rano dowiemy się czegoś konkretnego od zgrupowań mających swoje pozycje na południe od pozycji hrabiego Czerwonego Słońca. Wszakże z jego dotychczasowych słów wynika, że hrabia Wysokiego Wzgórza postanowił zafundować nam coś bardziej metodycznego aniżeli to, czym potraktował Dohlarian.

– Tak uważasz?

Hrabia Jedwabnych Wzgórz przechylił głowę i uniósł jedną brew, a Kaishau potaknął skinieniem.

Jedno trzeba hrabiemu przyznać, pomyślał. Jest z niego arystokrata

starej daty; jego wola walki na froncie świętej wojny zadziwiłaby chyba samego wielkiego inkwizytora. Do tego hrabia nienawidzi herezji – i heretyków – każdym włókienkiem swojego ciała. Nie jest to wszakże bezmyślna nienawiść. Hrabia Jedwabnych Wzgórz wysłuchuje raportów szpiegów i zwiadowców i nie czuje zbytnej dumy, aby się z nich czegoś uczyć. Grzechy odszczepieńców nie miały tu nic do rzeczy. Godzinami omawiał raporty dohlariańskiego generała, Rychtyra, z Hywanlohngiem i pozostałymi podwładnymi, a mając w pamięci poprzednie ataki hrabiego Hanthu, szczególną wagę przywiązywał do użycia przez wroga dział kątowych.

– Tak, mój panie. Jak dotąd hrabia Czerwonego Słońca nie wspomniał ani słowem o wyrafinowaniu hrabiego Hanthu, by użyć tego słowa z braku lepszego. Ostatnia jego wiadomość przyszła w trzeciej godzinie bombardowania, które koncentrowało się tylko na wycinku naszego frontu. Wszystko wskazuje na to, że zaparł się zasypać biedaków pociskami, choć nie poszerza pola rażenia. Z kolei hrabia Czerwonego Słońca zapewnia, że nie zauważył żadnych działań pozornych z jego strony, które miałyby odciągnąć naszą uwagę i nas zmylić. Nie wierzę, że hrabia Wysokiego Wzgórz nie jest świadom, jak skuteczna okazuje się taktyka hrabiego Hanthu. A zatem: skoro nie wykonuje on działań pozornych, musi mieć ku temu dobry powód. Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to różnica w naszych i dohlariańskich fortyfikacjach.

Hrabia Jedwabnych Wzgórz pokiwał wolno głową i potarł sobie brodę w zamyśleniu, spoglądając na mapę plastyczną, którą skonstruowali dla niego inżynierowie. Przełęcz Tylmahna była doskonałym miejscem, jeśli chciało się pokonać Góry Węża. Z drugiej strony oferowała ona także pewne możliwości obrońcom, większe może nawet niż kręte jaszczurcze przedępy. Dlatego hrabia Jedwabnych Wzgórz był przekonany, że jego ludzie upuszczą krwi heretykom bez względu na to, jak silną mają artylerię ci ostatni. Do tego umocnienia zbudowane przez południową część Armii Pana Wszechmogącego były głębsze i odporniejsze na atak niż wszystko, co generał Rychtyr zmajstrował w obliczu Armii Thesmar.

– Chcesz powiedzieć, że prowadzi coś w rodzaju oblężenia? – zastanowił się na głos hrabia Jedwabnych Wzgórz, nadal pocierając brodę.

– Na to mi wygląda, mój panie. Przynajmniej na razie – zastrzegł się zaraz Kaishau. – Jest o wiele za wcześnie, aby przejrzeć jego strategię.

Nie możemy jednak niczego wykluczyć. Nie ulega natomiast kwestii, że jeszcze nikt nie skonstruował takich fortyfikacji jak kapitan jazdy Rungwyn. Na miejscu wroga nie próbowałbym nawet frontalnego ataku, dopóki nie zniszczyłbym tyłu bunkrów i okopów, ile się da.

– Na to właśnie liczył hrabia Tęczowych Wód – zauważył hrabia Jedwabnych Wzgórz. – Szczególnie że w przeciwieństwie do północnego frontu nie mamy żadnych otwartych flank, które mogliby zająć ich piechociarze. – Prychnął głośno. – I bardzo dobrze, że nie mamy odsłoniętych skrzydeł, zważywszy na to, jak nieprzydatna jest nasza kawaleria!

Jeszcze jeden punkt dla hrabiego, pomyślał Kaishau. Jest na tyle rozsądny i uczciwy, że stać go na to, by odstąpić od arystokratycznej tradycji i dostrzec prawdziwą siłę tkwiącą w piechocie złożonej z byłych chłopów pańszczyźnianych, zamiast zachwycać się nieskuteczną w pewnych warunkach kawalerią. Szczególnie w sytuacji, gdy z raportów wiadomo, że hrabia Hanthu dysponuje nie tylko świetną artylerią, ale też konnicą, przy której harchońska kawaleria może sobie co najwyżej pobrykać.

Na nieszczęście dowódcy harchońskiej kawalerii mieli na ten temat inne zdanie.

– Jestem pewien, że hrabia Wysokiego Wzgórza już się nie może doczekać, kiedy spuści ze smyczy swoje ogary za naszymi plecami – podjął wypowiedź hrabia Jedwabnych Wzgórz. – Najpierw jednak musiałby się przedrzeć przez naszą linię frontu... a tymczasem nas stać na znacznie wyższy odsetek poległych niż jego. – Wzruszył ramionami. – Jeśli dodać do tego umiejętność heretyków do rozmnażania amunicji, pocisków i kul, jakby to były króliki, łatwo się domyślić, że zamierza ich użyć, aby zrobić wyłom w naszej obronie. Jeśli uda mu się ta sztuka, bez trudu dobierze się do naszych flank...

Kaishau pokiwał głową. Na tym etapie były to czyste przypuszczenia – idealnie jednak pasujące do jego przemyśleń.

– Czy mam jeszcze dzisiaj sporządzić wiadomość dla hrabiego Tęczowych Wód, mój panie? – zapytał. – Czy wolisz, abym z tym zaczekał do czasu, aż dostaniemy wieści od dowódców pozostałych zgrupowań?

– Hrabia Tęczowych Wód i tak nie przeskoczy samego siebie –

zauważył hrabia Jedwabnych Wzgórz ze śmiechem. – Wysyłając mu fragmentaryczne rozkazy, utwierdzimy go tylko w przekonaniu, że siedzimy tutaj jak na beczce prochu. – Pokręcił zdecydowanie głową. – Dlatego wiadomość wyślemy mu jutro... rano albo nawet po południu.

– Pańska czekolada, sir – wymamrotał kapral Slym Chalkyr, wślizgując się za księcia Eastshare i stawiając ciężki kubek na skraju blatu. – Może tym razem nie wyląduje na mapie...

Posiadanie długoletnich współpracowników jednak ma swoje minusy, pomyślał książę.

– Wylałem odrobinę kawy na jedną jedyną mapę, i to przed pięcioma miesiącami – powiedział delikatnie... biorąc pod uwagę okoliczności.

– Po czym przez trzy dni narzekał pan na to – przypomniał mu Chalkyr.

Opuszczając gabinet przełożonego równie bezszelestnie, jak do niego wszedł, nie okazał po sobie ani cienia skruchy.

– Gdyby nie było mi żal marnować na niego prochu, już dawno posłałbym go do Shan-wei! – mruknął książę Eastshare.

Odpowiedziało mu ciche parsknięcie z przeciwległego krańca stołu.

– Myślisz, że nie mówię poważnie? – obruszył się książę, przyszpilając majora Braynaira lodowatym spojrzeniem piwnych oczu.

– Nie, sir. I nie chodzi o to, co myślę, tylko o to, co wiem – odparł major. – Przypuszczam, że podobne fantazje nawiedzają pana od czasu do czasu, ale obaj zdajemy sobie sprawę, że Chalkyr to twoja prawa ręka. Nie poradziłby pan sobie bez niego.

– Z tego, co pamiętam, sam włożyłem rano buty i sam zapiąłem rozporek, Lywysie!

– Oczywiście, sir.

Książę Eastshare posłał swemu adiutantowi chmurne spojrzenie, nie wytrzymał jednak długo. Głównym powodem było to, że Lywys Braynair miał rację. W stopniu, z jakiego nie zdawał sobie nawet sprawy.

– Masz szczęście, że w ostatnich pięciodniach dałeś z siebie wszystko – stwierdził książę. – Tylko dzięki temu puszczę w niepamięć twoje

insynuacje, że Szym musi mnie prowadzić za rączkę, bo inaczej zginąłbym jak dziecko we mgle.

– Doceniam to, sir – zapewnił Braynair. – Naprawdę.

Książę Eastshare prychnął i skupił znów uwagę na depeszach, które czytał, zanim obok jego ręki pojawił się kubek z gorącą czekoladą. Szym Chalkyr jak zwykle wyczuł świetnie moment... Depeszy było całe mnóstwo, a książę i jego adiutant przedzierali się przez nie od kolacji, od dobrych trzech godzin.

Odchylił się na oparcie krzesła, upił łyżeczek czekolady, doczytał trzymaną w ręce wiadomość do końca i odłożył ją na kupkę PRZECZYTANE. Następnie zwrócił twarz w stronę Braynaira.

– O ile nie tajesz przede mną jakiejś katastrofy, która wzbudziłaby mój gniew, z tego, co widzę, na razie idzie wszystko dobrze – oznajmił. – Ba! Lepiej nawet, niż sądziłem. Jeszcze trochę i zacznę się martwić, czy to nie sen.

– Wiem, sir. Jak mawia baron Zielonej Doliny, „cokolwiek może pójść nie tak, na pewno pójdzie nie tak”. – Major wzruszył ramionami. – Przypuszczam, że zanim ta kampania się skończy, jego słowa okażą się prawdziwe przy więcej niż jednej okazji, lecz na razie... na razie, sir... wszystko idzie chyba bardzo dobrze.

– Hmm.

Książę Eastshare podniósł się z krzesła, przeciągnął, aż mu strzeliły wszystkie kości, i wreszcie podszedł do ogromnej mapy wiszącej na ścianie. Stał przed nią z dłońmi splecionymi za plecami i kołysał się lekko na piętach, całą uwagę poświęcając wyrysowanemu na niej strzałkom. Armia Westmarch – znajdująca się pod jego rozkazami – oraz Armia Sylmahn dowodzona przez Trumyna Stohnara miały najdłuższą drogę do pokonania, aby móc się zmierzyć z przeciwnikiem. Obecnie obydwie maszerowały w wyznaczonym kierunku, poruszając się na zachód i na północny zachód. Rozpoczęły marsz na długo przed tym, zanim hrabia Wysokiego Wzgórza nakazał swojej artylerii otwarcie ognia na Przełęcz Tymkyna, lecz wciąż dużo czasu je dzieliło od chwili, gdy same będą mogły rozpocząć atak. To jednak nie martwiło księcia Eastshare. Jednym z powodów zachowania takiego dystansu była próba utrudnienia szpiegom Clyntahna doliczenia się stanu osobowego i domyslenia prawdziwego kierunku. Wszakże teraz, gdy działa hrabiego

Wysokiego Wzgórza hulały w najlepsze, nawet ktoś taki jak hrabia Tęczowych Wód musiał już patrzeć we właściwą stronę. A tak się składało, że newralgiczny punkt znajdował się siedemset mil na południowy zachód od obecnej pozycji księcia Eastshare oraz niemal tysiąc mil na południe od pierwszego celu... w związku z czym książę Eastshare naprawdę nie miał powodów do zmartwienia.

Jeśli mam być szczery, pomyślał książę, z początku wydawało mi się, że Kynt i Cayleb przekombinowali tym razem. Powoli zaczynam jednak widzieć, że to się może udać! Aczkolwiek z mojego punktu widzenia każda strategia, która nie pozwala moim chłopcom uderzyć wprost na linię frontu pilnowaną przez wojsko hrabiego Tęczowych Wód, jest – nie przymierzając – genialna!

Stał jeszcze przez chwilę, podziwiając strzałki na mapie, po czym westchnął.

– Były czasy – wyznał nikomu w szczególności, wracając do swojego biurka – że w moim przekonaniu nie było rzeczy ważniejszej od pistoletów i mieczy. Raporty miałem za nic...

– Cóż... Przyznaję, że pistolety i miecze są bardziej interesujące od raportów. Do dziś pamiętam, co na ten temat mówił baron Zielonej Doliny.

– Masz na myśli to jego stwierdzenie, że nie ma w życiu bardziej podniosłej chwili jak wtedy, gdy ktoś do ciebie strzela i... chybia?

– Dokładnie to, sir – potwierdził Braynair. – Trzeba baronowi przyznać, że ma giętki język, prawda?

– Może zawdzięcza to jakości wody w Starym Charisie – zażartował książę Eastshare, po czym klapnął na krzesło i momentalnie spoważniał.

– Kiedy się zastanowić, jego wysokość cesarz Cayleb również jest wygadany jak mała kura.

– O tak, sir. Szczególnie utkwilo mi w pamięci jego „Uderz tam, gdzie się tego nie spodziewają”. – Adiutant pobiegł wzrokiem ku mapie.

.VII.
Lake City
Prowincja Tarikah
Republika Siddarmarku
oraz
Świątynia
Syjon
Ziemie Świątynne

Najnowsze doniesienia od hrabiego Jedwabnych Wzgórz, mój panie.

Hrabia Tęczowych Wód poderwał spojrzenie, gdy jego siostrzeniec umieścił przed nim kupkę depesz. Na zewnątrz padał silny deszcz; odgłos kropli na dachu przypominał tętent rozpędzonej kawalerii. Był środek popołudnia, ale już nie było widać drugiego brzegu jeziora East Wing. W oddali rozbrzmiewał znudzony pomruk burzy, który zdawał się echem grzmotów dochodzących z Przełęczy Tymkyna.

– Domyślam się, że gdyby zawierały coś niespodziewanego, zdażyłbyś mnie o tym poinformować? – zapytał siostrzeńca hrabia Tęczowych Wód, odchylając się na oparcie i sięgając po herbatę.

– Moim zdaniem jedyne, czego się nie spodziewaliśmy, to że hrabia Wysokiego Wzgórz przygotowywał się do tego ataku aż tak długo i aż w taki sposób – odparł baron Pieśni Wiatru, kręcąc głową.

– Mam podobne wrażenie – zgodził się z nim wuj. – Ale, ale... Czy hrabia Jedwabnych Wzgórz załączył raport z obecnego stanu fortyfikacji?

– Owszem. – Baron Pieśni Wiatru przejrzał stertę depesz i triumfalnym gestem wydobyl jedną z nich na wierzch. – Oto on. Przebiegłem go wcześniej wzrokiem i stwierdziłem, że właściwie niczym się nie różni od szacunków inżynierów. Okazuje się, że umocnienia wzniesione pod okiem kapitana jazdy Rungwyna są nawet bardziej wytrzymałe, niż zakładaliśmy.

Hrabia Tęczowych Wód wyciągnął rękę po raport, po czym przejrzał go pobieżnie. Następnie zacisnął wargi i zmarszczył brwi, i wdał się w uważną lekturę. Skończywszy czytać, odłożył raport na stół i znowu upił łyk herbaty.

– Cóż – przemówił w końcu – dobrze wiedzieć, że nasi szpiedzy są coś warci.

Baron Pieśni Wiatru zauważył, że jego wuj powstrzymał się przed dodaniem „choć ten jeden raz” na końcu zdania.

– Jeśli książę Eastshare i baron Zielonej Doliny naprawdę chcą zwiększyć swoje wysiłki na południu, bardzo możliwe, że hrabia Jedwabnych Wzgórz ma rację co do powodów tego ataku artyleryjskiego. Aczkolwiek upływa właśnie czwarty dzień i z tego, co widzę, ostrzał heretycki czyni w naszych umocnieniach mniejsze zniszczenia niż testowy ostrzał Rungwyna. – Napił się znowu herbaty. – Muszę przyznać, że trochę mnie to dziwi. A przy tym cieszy, oczywiście, ale przede wszystkim dziwi. Być może przeceniliśmy skuteczność heretyckiej artylerii. Naturalnie nie zamierzam wyciągać pochopnych wniosków, dopóki nie zmierzmy się z nią w otwartym polu.

Baron Pieśni Wiatru potaknął skinieniem, a hrabia Tęczowych Wód przez kilka długich minut wyraźnie nad czymś się namyślał.

– Najbardziej jednak zdumiewa mnie obecne zachowanie księcia Eastshare i barona Zielonej Doliny, którzy przecież jasno pokazali, że potrafią być elastyczni w obliczu nieoczekiwanej sytuacji. Skoro fortyfikacje hrabiego Jedwabnych Wzgórz są nie do zdobycia, czemu Charisjanie nie zdecydują się na ostrzał innego celu? Tu, na północy, czas kampanii nie jest najdłuższy. Spodziewałbym się raczej, że heretycy dadzą z siebie wszystko, aby osiągnąć upragniony efekt, zamiast pozwolić, by coś ich powstrzymywało.

– To samo sobie pomyślałem – przyznał baron Pieśni Wiatru. – Z drugiej strony uważam, iż błędem byłoby przypisywanie księciu Eastshare i baronowi Zielonej Doliny jakichś nadludzkich mocy. Zarówno oni dwaj, jak i pozostali heretyccy dowódcy są tylko zwykłymi ludźmi.

– Nie zaprzeczysz chyba, że Charisjanie mają za sobą zadziwiająco długie pasmo sukcesów? – wytknął siostrzeńcowi hrabia Tęczowych Wód. – Co do Siddarmarczyków, wycierpieli swoje podczas Akcji

Schuelera, nie wspominając już o przemarszu Armii Boga przez terytorium republiki, co trwało prawie trzy miesiące. Nie licząc jednak tego, co spotkało brygadiera Taisyna nad rzeką Daivyn... przy czym musiało być jasne dla wszystkich oprócz największych bigotów, że ich sprawa jest z góry skazana na niepowodzenie... Charisjanie odnoszą zwycięstwo za zwycięstwem. W tym miejscu muszę dodać, że nie są to jakieś tam mało istotne zwycięstwa, przeciwnie wręcz. Do tego nigdy dotąd nie wykazali się przesadną ostrożnością: realizują swój plan punkt po punkcie bez względu na przeszkody. – Potrząsnął głową. –

Dotychczas to oni zawsze mają inicjatywę w rękach, decydują się na atak na swoich warunkach i zmuszają przeciwnika do reakcji. Ta strategia w ich wypadku sprawdza się, i to jak! Jak widać, ostrożność nie zawsze jest zaletą. Można by wręcz podejrzewać, że to właśnie ostrożność doprowadziła w ich wypadku do kilku morskich porażek. Cóż, rzadko kto triumfuje za każdym razem. Mimo wszystko, Medyngu, coś mi tu nie pasuje. Nadal jestem zdania, że powinni skupić swoje wysiłki tutaj, na północy, próbując zdobyć Kanał Świętego Langhorne'a. Niepokoi mnie ich decyzja, nawet jeśli rozumiem argumenty przemawiające za takim, a nie innym działaniem. Nie pojmuję za to, czemu nie zdecydowali się uderzyć z mańki, skoro prawą rękę mają zablokowaną. Przypomina mi to opowieść o pajęczomałpie i lalce smołowej... Jak wiadomo, baron Zielonej Doliny jest nazbyt inteligentny, aby włożyć obie dłonie do tej samej smoły.

– Wiem, wuju. W innych okolicznościach podzielałbym twój niepokój. Właściwie to podzielał go nawet w tych warunkach. Faktem jednak pozostaje, że heretycy robią dokładnie to, co przewidzieli nasi szpiedzy. Jak zdążyłeś już kilkakrotnie zauważyć, tegoroczna kampania znacznie się różni od poprzednich, i to dla obu stron. Po pierwsze dysponujemy liczebniejszymi armiami, po drugie mamy silniejszą artylerię, a po trzecie Armia Pana Wszechmogącego i Archaniołów oraz Armia Centrum arcybiskupa polowego Gustyva są znacznie lepiej okopane, wyposażone i zaopatrzone niż jakakolwiek armia w przeszłości. W dodatku chciałbym podkreślić, że „pasma sukcesów”, o którym wspomniałeś, Charisjanie zawdzięczają w głównej mierze starannemu wybieraniu swoich celów, a także wykorzystywaniu słabości pewnych dowódców.

– To raczej nie dotyczy przypadku biskupa polowego Bahrnabaia –

rzucił oschle hrabia Tęczowych Wód. – Pamiętam bowiem pewną wyprawę morską, która dostała się w głąb kontynentu dzięki sieci kanałów. Właśnie to miałem na myśli, mówiąc o elastyczności heretyków.

– Znacznie lepiej jest oczekiwać najgorszego, zamiast mieć wygórowane nadzieje – skwitował baron Pieśni Wiatru. – Aczkolwiek to był raczej przejaw desperacji aniżeli czegokolwiek innego. Nie będę tu wyliczał wszystkiego, co mogło pójść nie tak w trakcie tej operacji, powtórzę za to, że gdyby się jej nie podjęli, biskup połowy doprowadziłby rzecz do końca i zajął Serabor, ledwie by otrzymał posiłki. Przyznaję, że plan zadziałał, że był genialny i perfekcyjnie wprowadzony w życie, choć nie sądzę, aby nawet Charisjanie mieli ochotę porwać się na coś takiego. – Urwał na chwilę. – Jeśli zaś chodzi o Armię Shiloh i biskupa połowego Cahnyra, nie może być mowy o niedocenieniu przeciwnika. Aczkolwiek prawdą jest, że nakarmili księcia Harlessu fałszywymi informacjami, dzięki którym dał się zwabić w pobliże fortu Tairys... niemniej stało się tak tylko dlatego, że chciał uwierzyć w zgromadzone przez agentów informacje. Trzeba pamiętać, że skuteczność takiej taktyki zawsze jest uzależniona od poziomu łatwowierności ofiary, a nie da się ukryć, że księżę Harlessu nie był nawet w jednej dziesiątej tak bystry jak ty, wuju. Co zaś do jego podwładnych, wszyscy z wyjątkiem może Ahlvereza ustępują, i to znacznie, inteligencją mnie. – Baron Pieśni Wiatru uśmiechnął się przelotnie. – Biskup połowy Cahnyr przegrał, ponieważ księżę Eastshare miał nad nim przewagę psychiczną, i to już na etapie działań w Ahstynwood nad rzeką Daivyn, na długo przed atakiem pod Aivahnstynem. Cieszę się, iż mogę powiedzieć, że nie znam wielu osób oprócz ciebie, wuju, które miałyby tak silną konstrukcję psychiczną.

– Jak widzę, długie lata studiowania oratorstwa i logiki Shang-mi nie poszły na marne, siostrzeńcze – rzekł hrabia Tęczowych Wód jeszcze bardziej oschle. – Chętnie bym doradził, abyś przepłukał usta wodą z mydłem!

Słyszając, że baron Pieśni Wiatru się śmieje, uśmiechnął się lekko, zaraz jednak spoważniał.

– Masz wiele racji – przyznał. – Szczególnie w świetle tego, co hrabia Jedwabnych Wzgórz napisał na temat wytrzymałości swoich fortyfikacji. I być może nie mylisz się też co do tego, że darzę księcia Eastshare i barona Zielonej Doliny zbyt dużym poważaniem.

– Wuju – odezwał się baron Pieśni Wiatru ze śmiertelną powagą – nie ma na świecie człowieka, z którego zdaniem liczyłbym się bardziej niż z twoim. Pozwól jednak, że zwrócę twoją uwagę na coś jeszcze. Nikt w całej historii Schronienia nie musiał komenderować armiami tak dużymi jak te, które obecnie są w polu. A już na pewno nikt nie starał się skoordynować działań ofensywnych siedmiuset tysięcy żołnierzy postawionych naprzeciwko sił liczących milion czterysta dusz. Każdy, nawet najbardziej doświadczony dowódca, musi to postrzegać jako nie lada wyzwanie. Chyba więc nie powinno dziwić, że postępy heretyków są wolniejsze niż w wypadku barona Zielonej Doliny przedostatniej zimy, gdzie w grę wchodziło zaledwie czterdzieści tysięcy żołnierzy?

– Nie, to akurat nie dziwi mnie w najmniejszym stopniu – powiedział hrabia Tęczowych Wód.

– Cóż, zakładając, że informacje, które zdobył szpieg wielkiego inkwizytora, są zgodne z prawdą, a wszystko na to wskazuje, Charisjanie zamierzają tego lata przedrzeć się przez nasz front na południu i przedostać na północ, gdzie będą mogli nas zająć od tyłu. Nie wolno przy tym zapomnieć, że na południe od Sardahnu i Usheru kampania wojenna może być prowadzona o półtora miesiąca dłużej niż na północ od Sardahnu i Usheru.

– Chcesz powiedzieć, że po prostu będą siedzieć na północy z założonymi rękami?

– Obaj wiemy, że ta kampania ma ogromne znaczenie... – Spojrzenie barona Pieśni Wiatru było więcej niż ponure. – Tak samo jak mamy świadomość, iż Kościołowi Matce coraz trudniej przychodzi kontynuować świętą wojnę. Mimo że utraciliśmy dostęp do najświeższych raportów, możemy śmiało założyć, iż produkcja Charisjan nadal utrzymuje się na wysokim poziomie, a może nawet ma tendencję zwyżkującą. Nie mam cienia wątpliwości, że heretycy marzą tylko o tym, aby tego roku wreszcie rozprawić się na dobre z Armią Pana Wszechmogącego i Archaniołów. W dodatku są świadomi, że czas działa na ich korzyść, nie naszą. Oczywiście ten stan nie będzie utrzymywał się w nieskończoność, ale na razie tak właśnie przedstawia się sytuacja. Być może to tłumaczy, czemu zwlekają z atakiem z mańki. Prawdopodobnie liczą, że zdołają zająć nas od tyłu z prawej strony. Nawet przy tak wolnym tempie ich ofensywy na Przełęczy Tymkyna powinni dotrzeć do Jhurlahnku i Ultynu, zanim pogoda zmusi ich do zawieszenia działań. A wtedy, gdy

już będą mieli pełną kontrolę nad Zatoką Dohlariańską i zatoką Bess, zapewnienie zaopatrzenia oddziałom stacjonującym w Faralasio, Jhurlahnku i Usherze nie będzie już takim wyzwaniem dla charisjańskiej floty.

– Hm... Muszę powiedzieć, że to bardzo pesymistyczna wersja zdarzeń, Medyngu.

Hrabia Tęczowych Wód popijał herbatę zapatrzony w przestrzeń. W końcu odstawił kubek i pokręcił głową.

– Bardzo, ale to bardzo pesymistyczna wersja zdarzeń... aczkolwiek niewykluczone, że realna – powiedział z niechęcią. – Faktycznie wszystko wskazuje, że skoncentrują swoje wysiłki na południu, ale coś mi mówi, że przypuszczają atak również na północy. Spodziewam się tego po nich na podstawie ich dotychczasowych działań i odwagi, jaką od początku prezentują. Jakoś nie potrafię uwierzyć, że baron Zielonej Doliny byłby zdolny odmówić sobie przyjemności udowodnienia nam, iż potrafi przełamać naszą linię obrony. Cokolwiek jednak podpowiada mi instynkt, to raczej ty masz w tym wypadku rację, Medyngu. Jak się domyślasz, nie bez powodu trzymam cię przy sobie i zasięgam twojej rady. W przeciwieństwie do większości moich podkomendnych pozostałeś uparciuchem, trudno cię utemperować i zabronić ci wyrażania na głos dosyć kontrowersyjnych opinii, którymi dzielisz się ze mną czasem nawet wbrew mej woli, w dodatku tonem pozbawionym respektu, na jaki zasługuję.

– Właśnie mi się przypomniało, że mama wspomniała coś o tym, iż zanim wrócisz do domu, woda sodowa uderzy ci do głowy jak nic – wymamrotał baron Pieśni Wiatru.

– Tak, to do niej podobne. – Hrabia Tęczowych Wód uśmiechnął się do swego siostrzeńca i niemal od razu się nastroszył. – Bardzo podobne – powtórzył już innym tonem. – W każdym razie najwyższy czas, abys w zamian za królewską pensję, jaką otrzymujesz, sporządził analizę raportów hrabiego Jedwabnych Wzgórz. Powstrzymując się oczywiście od kontrowersyjnych opinii, za którymi tak przepadasz. Myślisz, że uda ci się to zrobić do jutrzejszej kolacji?

– Myślę, że uda mi się to zrobić nawet wcześniej, wuju. Czy życzysz sobie, abym generalnie poparł analizę sytuacji dokonaną przez hrabiego Jedwabnych Wzgórz?

– Chyba... tak – potwierdził po namyśle hrabia Tęczowych Wód. – Nie zapomnij jednak dopisać tego, co przed chwilą mówiliśmy o strategii barona Zielonej Doliny. Przypuszczam, że wikariusz Allayn jest wystarczająco bystry, aby mógł wyciągnąć własne wnioski...

Ponieważ w jego tonie zabrzmiały ostrzegawcze nuty, baron Pieśni Wiatru skinął potulnie głową. Z rozmów z arcybiskupem polowym Gustyvem jasno wynikało, że wielki inkwizytor mocno się zaangażował w działania wywiadowcze, dzięki którym w ogóle się dowiedzieli o heretyckiej strategii dotyczącej południa. Raczej niemądrze byłoby teraz sugerować, że heretycy są wystarczająco elastyczni, aby odstąpić od pierwotnych planów... bez powodu, jak by to ujął wikariusz Zhaspahr. Coś takiego mogłoby podważyć zaufanie, jakim wielki inkwizytor darzył Armię Pana Wszechmogącego i Archaniołów. A konsekwencje tego mogłyby być niezwykle poważne, i to nie tylko dla hrabiego Tęczowych Wód i jego najbliższych.

Medyng pomyślał, że jego wuj nie myli się co do zdolności wikariusza Allayna do czytania między wierszami. Nawet wikariusz Rhobair był niezłym adeptem w tej sztuce.

– Rozumiem, o co ci chodzi, wuju – odezwał się po chwili milczenia i skłonił głowę. – Za twoim pozwoleniem, natychmiast zbiorę swoich klerków i rozpocznę pracę nad zleconą analizą.

– Czyli Zhaspahr jednak miał rację.

Rhobair Duchairn powstrzymał się przed dodaniem na koniec słów „choć ten jeden raz”, lecz i tak rozbrzmiały one w uszach słuchających. Allayn Maigwair nie odpowiedział od razu. Skończył przeżuwać kawałek kanapki z pierśią wyverny, popił łykiem piwa i skinął głową.

– Na to wygląda – powiedział. – Z tonu depeszy hrabiego Tęczowych Wód trudno mi się zorientować, czy bardziej się cieszy, że hrabia Wysokiego Wzgórza zachowuje się zgodnie z przewidywaniami, czy raczej jest poirytowany faktem, że Cayleb i Stohnar okazali się zbyt głupi, aby postąpić mądrze i go zaatakować. – Naczelny wódz sił Kościoła Matki wzruszył ramionami. – Ja osobiście czuję przede wszystkim ulgę. Ostatnie raporty Gustyva jakoś nie napełniają mnie

ufnością w jego zdolności przywódcze na froncie. Sytuacja przedstawia się jako tako w Talmarze, jednakże w Selyku nie wygląda już to tak różowo, szczególnie że frontu broni ledwie połowa stanu jego kawalerii. Szkoda, że nie dano nam jeszcze miesiąca na przerzucenie oddziałów w charakterze posiłków dla niego.

Tym razem głową skinął Duchairn, który też skrzywił się zaraz, dając tym grymasem znać, że rozumie, do czego zmierza jego rozmówca. Ruchy oddziałów Gustyva Walkyra zostały znacznie spowolnione – i niestety opóźnione w stosunku do harmonogramu – przez działania Cesarskiej Floty Charisu w Zatoce Dohlariańskiej. Po prawdzie działania te nie wpłynęły bezpośrednio na Walkyra, lecz generalnie na logistykę sił Kościoła Matki – zarówno Duchairn, jak i Maigwair byli zmuszeni zonglować priorytetami, gdy chodziło o transport. Oczywiście zrobili co w ich mocy, aby nie odbiło się to negatywnie na Walkyrze, wszakże coraz pewniejsze wieści, że Charisjanie i Siddarmarczycy wzmacniają swoją południową flankę, sprawiły, że kluczowa pomoc trafiła w ręce hrabiego Jedwabnych Wzgórz. Ani naczelny wódz, ani skarbnik nie byli zadowoleni ze skutków, jakie przez to osiągnęły Armii Centrum pod dowództwem Walkyra, wszelako cieszyli się przynajmniej z tego, że część raportów wywiadu była zgodna z prawdą. Mimo wszystko Rhobair nie był w stanie wyzbyć się pewnych obaw.

– Co sądzisz na temat tego, co hrabia Tęczowych Wód miał do powiedzenia na temat księcia Eastshare i barona Zielonej Doliny?

– Sam nie wiem – wyznał szczerze Maigwair. – To, co napisał, wydaje mi się całkiem sensownym wytłumaczeniem. Jeśli naprawdę postanowili przedrzeć się przez Przełęcz Tymkyna i zaatakować z południa, nic dziwnego, że odkładają na później ataki z północy... do czasu, aż będą mieć pewność, że ta taktyka się sprawdzi. Właściwie to muszę się zgodzić ze słowami hrabiego Tęczowych Wód. Też bym się spodziewał ataków dywersyjnych na dalekiej północy. Z drugiej strony wiele wskazuje na to, że generał Symkyn przemieszcza się w stronę Przełęcz Reklaira. Jeśli nawet, musi to robić skrycie i po cichu, w nadziei, że weźmie nas przez zaskoczenie. To by wyjaśniało, czemu hrabia Wysokiego Wzgórzza bynajmniej się nie śpieszy z atakiem na Przełęcz Tymkyna za pomocą piechoty. Wyraźnie liczy na to, że przełamie naszą linię obrony samymi działaniami artyleryjskimi, co stanowi spore wyzwanie, zważywszy na to, jak szybko inżynierowie hrabiego

Jedwabnych Wzgórz naprawiają szkody w fortyfikacjach. Bardzo możliwe jednak, że tak naprawdę tylko czeka, aż generał Symkyn będzie w pełni gotowy przysłać atak na północy. Albo odwrotnie, to generał Symkyn czeka, aż hrabia Wysokiego Wzgórza dokona wyłomu w naszej obronie...

Naczelnny wódz sił Kościoła Matki pokręcił głową z irytacją i umoczył frytkę w ketchupie.

– Jedyne, co wiem na pewno – dodał, machając upaźką frytką w stronę Duchairna – to że bardzo się cieszę, iż heretycy nie zaatakowali jeszcze pozycji Gustyva. Oraz że... przynajmniej na razie... nasz przeciwnik postępuje dokładnie tak, jak przewidziały to raporty strategów. Pozostaje mi tylko ufać, że i nasi dowódcy będą się trzymać planu.

.VIII.
Twierdza Skalistego Wybrzeża
Księstwo Skalistego Wybrzeża
oraz
Maryksberg
Księstwo Czarnego Konia
oraz
Twierdza Rydymak
Cheshyr
Chisholm
Imperium Charisu

No nie wiem, kuzynie... – Styvyn Rydmakyr zwrócił się do Zhasyna słabym głosem i powiódł jeszcze słabszym spojrzeniem od twarzy księcia Skalistego Wybrzeża do okna, za którym rozpościerał się widok na ogrody twierdzy.

Rażące słońce odbijało się od świeżo wypuszczonych zielonych listków, a lekki wietrzyk kołysał okwieconymi gałązkami krzewów i roślin na grządkach. Był to idylliczny obrazek, jednakże księżę Skalistego Wybrzeża wątpił, aby jego młody kuzyn potrafił go docenić.

– Wiem, że to niełatwa decyzja, Styvynie – odparł poważnie księżę, unikając zdrobnienia „Styvie”, którego zawsze używał w kontaktach z młodzieńcem. Młodzieńczą dumę łatwo było narazić na szwank, wszakże właśnie przyszła pora, aby Styvyn postąpił jak dorosły mężczyzna. – I wiem, że musisz ją podjąć wcześniej, niżbyś sobie życzył. Cóż, wydarzenia zaskoczyły nas wszystkich. Nadarzyła się okazja, która może się więcej nie powtórzyć. Powinieneś kuć żelazo, póki gorące.

– Rozumiem. – Styvyn znowu patrzył na księcia, ten zaś nie po raz pierwszy się dziwił, jak podobne oczy ma ten chłopak do oczu ich wspólnej babki. W tym konkretnym momencie nie była to miła myśl. –

Ale chodzi o to, że... wiele rozmyślałem o naszej babce. Nawet wybadałem ją trochę. – Książę zacisnął szczęki, czego jednak Styvyn nie zauważył. – Ona ma swoje przekonania. Jest chyba nawet bardziej w nich utwierdzona, niż sądziliśmy. Nie wydaje mi się, abyśmy zdołali ją przekonać, by nas poparła.

– Styvynie, to tylko wdowa po hrabim, nie hrabina pełną gębą. Niechętnie to mówię, ale wzięwszy pod uwagę inwalidztwo twego ojca, już dawno powinienesz być dostać tytuł hrabiego Cheshyru. Tak też powiedziałem radzie przed rokiem. – Widząc, że spojrzenie młodzieńca chmurnieje, książę kontynuował prędko: – Nie życzę źle twojemu ojcu, a naszą babkę darzę wielkim szacunkiem, choć nie zawsze się z nią zgadzam. Próbuję ci teraz tylko powiedzieć, że cokolwiek ona sobie myśli jako regentka twego ojca, tak naprawdę ta decyzja należy do ciebie. Jeśli hrabina wdowa nie posłucha głosu rozsądku, powinienesz zwrócić się bezpośrednio do swoich poddanych. Jestem pewien, że uzyskasz ich poparcie.

W rzeczywistości książę Skalistego Wybrzeża wcale tak nie myślał. Wiedział bowiem – i to aż nadto dobrze – że Karyl Rydmakyr już dawno i całkowicie podbiła serca poddanych swego męża. Zarazem miał nadzieję, że jeśli ta stara kwoka zda sobie sprawę z tego, iż jej ukochany wnuk dopuścił się zdrady, otwarcie popierając spisek przeciwko Sharleyan, zrozumie równocześnie, że jedynym sposobem na ocalenie głowy wyrostka jest udzielenie poparcia spiskowcom i dopilnowanie, aby odnieśli sukces.

Oczywiście jedne rzeczy mają szansę się zdarzyć, a inne nie. Książę Skalistego Wybrzeża był gotów się postarać, aby Karyl Rydmakyr postąpiła po jego myśli. Sprawy jednak przybrałyby nieciekawy obrót, gdyby razem z księciem Czarnego Konia musiał zacząć od zmiążdżenia Cheshyru. Nie, bynajmniej nie miałyby z tego powodu wyrzutów sumienia – na to zbyt się wycierpiał ze strony lady Karyl, a poza tym nie wadziłoby mu wydłużenie swojej linii brzegowej wzdłuż Zatoki Cheshyrskiej. Niestety atak na sąsiadkę mógłby zostać źle odebrany przez innych wielmożów Chisholmu, którzy zaczęliby powątpiewać w szczytne cele spiskowców chcących tylko ukrócenia tyranii.

– Nie wydaje mi się, aby to był najlepszy pomysł – powiedział Styvyn bardziej stanowczo. – Wcale nie jestem pewien, czy podwładni chcieliby mnie słuchać, skoro słuchają jej. Zwłaszcza że wciąż widzą we mnie

tylko dzieciaka.

To chyba zrozumiałe! – pomyślał książę Skalistego Wybrzeża. *Przecież dopiero skończysz szesnaście lat, i to w sierpniu!*

– Styvynie, najbliższe miesiące będą obfitowały w wydarzenia. Na tę chwilę większość czynnych żołnierzy została oddelegowana z Chisholmu do Republiki Siddarmarku. To daje nam szansę na załatwienie naszej sprawy bez niepotrzebnego rozlewu krwi. Rozumiesz? Jeżeli przegapimy tę okazję, druga taka może się już nie trafić.

– Rozumiem to – oświadczył ostrzejszym głosem Styvyn. – Ale i tak twierdzę, że na naszej babce nie zrobi to wrażenia. Nie wydaje mi się więc, abym mógł wpłynąć na zmianę przez nią zdania w najbliższych pięciodniach.

– Tak czy owak potrzebne nam poparcie Cheshyru. – Książę Skalistego Wybrzeża potrząsnął głową. – Jesteś świadom, że twoje hrabstwo ma kluczowe znaczenie; rozmawialiśmy już o tym. Musisz też wiedzieć, że dobro naszej babki, ba, całej twojej rodziny leży mi na sercu. Nie chcę, aby cokolwiek złego przydarzyło się któremukolwiek z was. Rzecz w tym, że nie ja jeden w tym siedzę. A nie mogę niestety ręczyć za pozostałych... co zrobią, kiedy dojdą do wniosku, że Cheshyr nie chce ich dobrowolnie poprzeć.

W oczach młodego Styvyna pojawił się dziwny błysk. Przez moment przypominał swoją babkę bardziej niż kiedykolwiek. Po chwili wszakże uspokoił się i zaczerpnął głęboko tchu.

– Pojmuję, co do mnie mówisz – rzekł. – I jestem ci wdzięczny, że wyłożyłeś wszystko jasno. Niemniej nadal nie uważam, abyśmy mogli przeciągnąć babkę na stronę spiskowców.

– Cóż... trudna rada. – Książę zmusił się do uśmiechu. – Na szczęście nie pali się aż tak. Mam na myśli to, że nikomu nie uda się odwołać oddziałów z Siddarmarku w ciągu najbliższego pięciodnia. Mamy więc trochę czasu... powiedziałbym, że nawet miesiąc... zanim Cheshyr będzie się musiał określić, po której stronie stoi. Wracaj do domu i przemyśl sobie to wszystko. Jesteśmy krewniakami; więzy rodzinne łączą mnie nawet z lady Karyl, aczkolwiek to tylko powinowactwo... Naprawdę nie życzę wam krzywdy. Dlatego teraz wrócisz do domu, zastanowisz się dobrze i dasz mi znać, jak się sprawy mają, powiedzmy do czwartku w przyszłym pięciodniu. Obiecuję, że do tego czasu nie

podejmiemy żadnych działań.

– To jest całkiem dobry pomysł. – Młodzieniec odetchnął z wyraźną ulgą. – Dziękuję, Zhasynie. Bardzo ci dziękuję.

– Co za tchórz! – burknął książę Skalistego Wybrzeża. – Ten chłopak nie ma w ogóle kręgosłupa!

– Czy aby na pewno, wasza dostojność? – zapytał Sedryk Mahrtynsyn. – Gdy ostatnio z nim rozmawiałem, wydawał się zdecydowany. Nie twierdzę, że był uszczęśliwiony, ale zapewnił mnie, że jest gotów stanąć w jednym szeregu z obrońcami Boga i archaniołów.

– Styvyn to praktycznie dziecko. – Książę przewrócił oczami. – W jego wieku człowiek jest łatwowierny. Ba, potrafi uwierzyć w dwie przeciwstawne rzeczy. Na wypadek gdyby ci to umknęło, ojcze, nastolatki mają w zwyczaju zatajać przed dorosłymi to, co w ich mniemaniu mogłoby tych dorosłych rozwścieczyć. Mój krewniak Styvyn nie jest pod tym względem wyjątkiem. – Potrząsnął głową. – Tak więc teraz, gdy sprawy nabierają kształtu i wszystko może się rozegrać w najbliższej przyszłości... gdy to już nie kwestia tylko snucia planów i marzeń... okazał się zwykłym tchórzem!

Mahrtynsyn zmarszczył czoło i zaczął obracać w dłoniach swoje berło. Miesiącami wkradał się w łaski Styvyna Rydmakryra, jednakże jako członek Zakonu Schuelera doskonale wiedział, że nieroztropnością jest pokładanie wiary w ludziach słabych. Bardzo uważał, aby nie przestraszyć chłopca, lecz postarał się, by nie miał on ani cienia wątpliwości co do tego, że Sharleyan i Cayleb Ahrmahkowie swoją apostazją narazili na szwank dusze wszystkich swoich poddanych. Nie wyłączając z tej grupy oczywiście samego Styvyna Rydmakryra. Mahrtynsyn liczył na to, że odnowiona i umocniona wiara chłopca skłoni go do podjęcia właściwej decyzji pomimo głębokiego uczucia, jakim darzył swoją babkę schizmatyczkę.

– To bardzo niedobrze, wasza dostojność – wydusił z siebie schueleryta, nie kryjąc zaniepokojenia w oczach.

– Obawiasz się, ojcze, że zaraz po powrocie do domu rzuci się w ramiona babki i wszystko jej wyzna? – zapytał kpiąco książę

Skalistego Wybrzeża.

– Owszem – potwierdził duchowny. – Tego właśnie się obawiam.

– Śpieszę cię zatem uspokoić, ojcze. Nie przez przypadek zaprosiłem Styvyna do siebie właśnie teraz. Po pierwsze, jak już wspomniałem, Styvyn jest nastolatkiem. Na pewno nie popędzi do ukochanej babki, aby jej powiedzieć, że przez ostatnie półtora roku zadawał się z bandą spiskowców. Przyznaję, że może to w końcu uczynić, ale tylko dlatego, iż poczuje nóż na gardle i nie będzie chciał, aby wydał go ktoś inny. Po drugie, nie wątpię, że palnąłeś mu nie lada mowę, która zrobiła na nim wielkie wrażenie i po której w tej chwili ma stracha, że przeciwstawiając się nam, wkurzy Boga i archaniołów. Po trzecie wreszcie, poprosiłem Lahndysyla, aby płynął tak wolno, jak się tylko da, a nawet wolniej. Naturalnie nie może tego zrobić w zbyt widoczny sposób. Chłopak ma do czynienia ze statkami, odkąd zaczął chodzić, a poza tym *Ahmiliya* to rzutka łajba. Jeśli więc Lahndysyl przesadzi z powolnością, to Styvyn na pewno to zauważy. – Wzruszył ramionami. – Nie byłby to dla nas koniec świata, bo cóż mógłby w tej sytuacji zrobić, będąc tylko pasażerem? Ale przyznaję, że lubię tego chłopaka i raczej bym nie chciał, aby Lahndysyl został zmuszony go wyrzucić za burtę z kotwicą przywiązaną do nóg.

Mahrtynsyn się skrzywił. Znał Rhobaira Lahndysyla i wiedział, że ów zalicza się do największych okrutników na Schronieniu. Do tego był to zatwardziały lojalista Świątyni, dzięki czemu właśnie załapał się z polecenia schueleryty na służbę u księcia Skalistego Wybrzeża. Nie ulegało więc wątpliwości, że w razie zagrożenia – dla niego bądź dla jego mocodawcy – bez najmniejszych skrupułów uśmierciłby Styvyna Rydmakyma.

– Przed nimi osiemset mil podróży – przypomniał książę. – Czyli co najmniej trzy dni żeglugi. Jestem pewien, że Lahndysyl zdoła do tego dorzucić dzień czy półtora, bez zwracania na ten fakt uwagi Styvyna. To daje nam cały pięciodzień, zanim młodzik wyżali się babce w przyływie szczerości.

– A co potem, wasza dostojność?

– Potem? Cóż... W rozmowie z tym małym skurczybykiem ani razu nie skłamałem. Faktycznie stoi przed nami okazja. Zdążyłem już zawiadomić pozostałych.

Mahrtynsyn zeszywniał, lecz książę Skalistego Wybrzeża tylko

wzruszył lekceważąco ramionami. Minę miał nieprzejednaną.

– Wiem, że nie przedyskutowałem tego z tobą, ojczy. A przynajmniej nie tak szczegółowo, jak powinienem był to zrobić. Bóg Jedyny bowiem świadkiem, że rozmawialiśmy o tym nie raz i nie dwa. Obaj wiemy, że ta okazja może się już nigdy nie powtórzyć. Pozostali niecierpliwą się już od dawna, wyczekując na znak do działania. Uznałem, że nadeszła pora. A celem przekonania tych, którzy się jeszcze wahają, oznajmiłem, że Mahkynyn już gromadzi oddziały.

Mahrtynsyn jakby oklapł. Fraizhyr Mahkynyn był kapitanem gwardii księcia Skalistego Wybrzeża. Ci dwaj znali się od chłopięcych lat, przy czym ten pierwszy był gwardzistą tego drugiego od dekady. W tym czasie po cichu rekrutował pozostałych członków gwardii, gotowych współdziałać z księciem przeciwko edyktowi króla Sailysa, który głosił, że każdy, kto powoła do istnienia oddział większy niż określona liczba osób, zapłaci za to własną głową. Schueleryta miał pełną świadomość tego, że ani jeden, ani drugi mężczyzna nigdy nie przejawiał najłżejszych nawet wyrzutów sumienia z powodu sprzeniewierzenia się władcy i Koronie. Pewne też było, że gdyby księżę Skalistego Wybrzeża kazał Mahkynynowi zaatakować jutro twierdzę Rydymak, ten uczyniłby to z radością i bez wahania.

Przyjrząwszy się uważniej obliczu księcia, Mahrtynsyn doszedł do wniosku, że taki rozkaz zdążył już paść.

Taka przynajmniej była pierwsza myśl schueleryty. W drugiej kolejności pomyślał on, że jeśli kiedykolwiek miał jakiś wpływ na księcia, było to dawno i nieprawda. Księżę Skalistego Wybrzeża nie zająknął się na ten temat w rozmowie z nim nawet jednym słówkiem, a co więcej, zapewniając resztę, że Mahkynyn już działa, zachęcił ich do podjęcia aktywności w tej mierze. Żaden ze spiskowców nie miał wyboru. W razie przegranej ich współdziałanie musiało wyjść na jaw, co równało się w tym wypadku wyrokowi śmierci.

– Skoro tak, wasza dostojność – rzekł Mahrtynsyn – powinniśmy chyba dopilnować, aby te proklamacje zostały wydrukowane i rozpowszechnione.

– Szkoda, że nie zostaliśmy powiadomieni trochę wcześniej, wasza dostojność – burknął Dahnel Kyrbysh. Stał przy osiodłanym koniu na dziedzińcu twierdzy Czarnego Konia, czyli kupy kamieni, która służyła za siedzibę książętom w sercu Maryksbergu. – Wprawienie tej maszyny w ruch, we właściwym kierunku i o właściwym czasie, z chwili na chwilę sprawi naprawdę dużo trudności.

– Jestem tego świadomy, Dahnelu – rzekł Pait Stywyr, książę Czarnego Konia. – Nic jednak nie poradzę na to, co wyprawia Zhasyn. Ktoś musiał stanąć na czele naszego ruchu, on wydawał się swego czasu odpowiednim kandydatem... aczkolwiek teraz nie byłbym już tego taki pewien...

– Co racja, to racja, wasza dostojność – przyznał Kyrbysh ze szczerością człowieka, który przesłużył u księcia Czarnego Konia niemal czterdzieści lat. – Nie będę się sprzeczał. Gwoli ścisłości, martwi mnie nie tyle nagłość tej decyzji, ile kwestia, czy pozostali przypadkiem nie stchórzą i nie zostawią nas z ręką w urynale.

Książę zauważył, że Kyrbysh nie powiedział: „i zostawią ciebie, wasza dostojność, z ręką w urynale”, i przepełniony wdzięcznością ścisnął podwładnego za ramię.

– Masz słuszość – zgodził się z czymś w rodzaju uśmiechu na twarzy. – Ale chyba nie wątpisz, że pozostali znaleźli się w takim samym położeniu jak my i wcale nie mają wielkiego wyboru.

– To akurat prawda w wypadku każdego, kto chce zachować głowę – wypalił Kyrbysh bez ogródek. – Skoro już o tym mowa, myślę, że powinienem udać się w drogę.

– Tak. – Książę skinął głową. – Postaraj się nie zabić każdego, kto nieopatrznie się napatoczy.

– Zabijanie bynajmniej nie sprawia mi przyjemności, wasza dostojność – odparł kapitan książęcej gwardii. – Dlatego bez żalu zostawię Mahkynynowi twierdzę Rydymak. – Wyszczrzył się. – Lady Cheshyr to uparta kobieta. Nie otworzy swoich bram bez odpowiedniej dozy... przekonywania.

– Zapewne... – Książę Czarnego Konia odsunął się, aby Kyrbysh mógł wskoczyć na siodło.

Czekała go tylko krótka jazda... przynajmniej tego dnia. Niewielkie jednostki przybrzeżne czekały już na rozkaz księcia na przystani, aby

ponieść go i jego sześciuset zbrojnych trzysta pięćdziesiąt mil z Maryksbergu do Swanyku, miasta leżącego dwanaście mil za granicą dzielącą ziemię księcia i lady Karyl. Swanyk był położony po zachodniej stronie przylądka Nezbyt, niecałe czterdzieści minut od Tylkahmu, wciąż w obrębie Zatoki Cheshyrskiej i w pobliżu największego miasta hrabstwa. Oczywiście nazywanie czy to Swanyku, czy to Tylkahmu „miastami” było sporą przesadą. Zdaniem księcia Czarnego Konia były to co najwyżej spore wioski rybackie. Tak czy owak, większość cheshyrskich wiosek i miast była rozrzucana wzdłuż brzegów zatoki. Duża ich część miała na wyposażeniu flotę rybacką, lecz nawet w wypadku tych, które jej nie posiadały, transport morski był szybszy i tańszy aniżeli przewożenie towarów lądem. Wspomniane wioski i miasta łączyła sieć nadbrzeżnych dróg, które sięgały głębiej, docierając do poszczególnych gospodarstw i farm, które ciągnęły się aż pod wzgórze oddzielające Cheshyr od jego wschodnich sąsiadów.

Na wypadek gdyby lady Karyl jednak odmówiła przystąpienia do spiskowców, księciu Czarnego Konia wyznaczono zadanie, by unieszkodliwić wschodni brzeg zatoki. Do pewnego stopnia byłoby to zadanie właściwsze dla księcia Czarnego Dna, który znajdował się bliżej, wszakże od celu dzieliły go góry, i to dość wysokie, a poza tym miał na głowie inne sprawy, na przykład wzmocnienie posiłkami hrabstwa Swayle i księstwa Latarni. Dlatego Kyrbysh miał przybić do brzegu za dwa albo trzy dni i stamtąd powędrować na północ, omijając łukiem zatokę, podczas gdy Mahkynyn będzie rozprawiał się z twierdzą Rydymak.

I bardzo dobrze, że on, a nie ja, pomyślał książę Czarnego Konia. Nie był człowiekiem przesadnie wrażliwym, jednakże świadomość, jaki los czeka tę twierdzę, bynajmniej nie była mu miła i wołał o niej w ogóle nie myśleć.

– Jestem z ciebie taka dumna, Wahlysie! – stwierdziła Rebkah Rahskail.

Stała obok syna na blankach twierdzy Swayle, będącej siedzibą kolejnych hrabiów Swayle usytuowaną na zachodnim skraju hrabstwa.

Fortecę wzniesiono na stromym zboczu, na zakolu rzeki Latarnia przed trzystu laty, po czym dwu- albo nawet trzykrotnie rozbudowywano. Dzięki otaczającej ją aż z trzech stron rzece była praktycznie nie do zdobycia, ale też cierpiała od cowiosennych powodzi, w związku z czym stolica hrabstwa powstała kawałek na wschód, gdzie nie sięgały rzeczne wylewy.

Dopiero co nastąpiła zmiana warty na maszcie strzelającym w niebo z wieży twierdzy. Flaga Imperium Charisu pojechała w dół, a w górę została wciągnięta flaga Chisholmu. Nie dało się jednak ukryć, że wiwaty Chisholmczyków wydawały się jakieś wymuszone, gdy hrabia Swayle odczytywał proklamację, w której oznajmiał, że wraz z zaprzysiężonymi poplecznikami niniejszym rzuca wyzwanie tyranii Ahrmahków. Wszelako nikt głośno nie zaprotestował. Nie byłoby to roztropne w obecności tylko członków gwardii w barwach hrabiego Swayle, którzy pojawili się zgoła nieoczekiwanie. Było ich zbyt wielu – przynajmniej wedle edyktu króla Sailysa – a także byli zbyt dobrze uzbrojeni, aby ktokolwiek przy zdrowych zmysłach chciał protestować przeciwko temu, co słyszy. Gapie widzieli nie tylko miecze i arbalesty, ale też skałkówki, a nawet parędziesiąt pistoletów, co w sumie dawało ilość broni przewyższającą wszystko, co było w posiadaniu mieszkańców. W dodatku krążyły słuchy, że w drodze są kolejne oddziały.

Rebka miała dość oleju w głowie, aby nie gromadzić karabinów najnowszej mody, a właściwie to nawet żadnej broni. Zdawała sobie bowiem sprawę, że jeśli ludzie Sharleyan Ahrmahk podejrzewają kogoś o nienawiść do cesarzowej, tą osobą jest ona, nie kto inny. Nie zamierzała więc dawać nikomu powodów do zamknięcia jej w areszcie pod tym zarzutem.

Z tego powodu kazała szkolić swoich podkomendnych pod okiem księcia Latarni na obrzeżach hrabstwa, dokąd mogła się w miarę łatwo przedostać, gdyby zaszła taka potrzeba. Tam też przechowywała nowoczesną broń. Wprawdzie nie zdobyła jej tyle, ile sama radziła współpiskowcom, niemniej nikt o tym nie wiedział. Myśl, że jest lepiej uzbrojona, niż była w istocie, mogła jej tylko pomóc utrzymać przy sobie tchórzy. Naturalnie stać by ją było na lepsze wyposażenie, gdyby dysponowała większymi pieniędzmi; robiła, co mogła, aby nie zazdrościć księciu Skalistego Wybrzeża i księciu Czarnego Konia, ku którym broń splotła kaskadami. Szczególnie że to właśnie ona pierwsza nawiązała

kontakty z pułkownikiem Ainsaiem.

Jak tylko Elahnah Waistyn przekaze nam arsenał w Halbhook, zdobędziemy więcej broni, powtarzała sobie zapalczywie. Niestety Elahnah niczego takiego nie obiecała, a przynajmniej nie zrobiła tego otwarcie. Mimo to Rebkah Rahskail wierzyła, że tak się stanie. Wystarczająco wiele pisały o tym do siebie, a w dodatku po tym, co przytrafiło się jej mężowi, z pewnością Elahnah poczuje rozkaz Boga, aby udzielić pełnego poparcia dla sprawy.

– Przyznaję, że jestem trochę zdenerwowany, mam – powiedział Wahlys Rahskail. Obecny hrabia Swayle miał zaledwie osiemnaście lat, a w tej konkretnej chwili wyglądał na jeszcze młodszego. I przestraszonego. – Gdy rada się o tym dowie, ruszy na nas całą swoją mocą.

– Wolisz się martwić radą królewską, a nie tym, co myśli o tobie Bóg Jedyny? – zapytała ostro Rebkah. Wahlys posłał jej żalostne spojrzenie, na co natychmiast dotknęła jego ramienia w przeproszającym geście. – Wybacz, synu. Nie chciałam na ciebie naskoczyć. Chyba i mnie ogarnęło zdenerwowanie, o którym mówisz. Pamiętaj, że nasza sprawa to Boża sprawa, nie zwykła śmiertelnicza. Na pewno to rozumiesz...

– Oczywiście, mam. – Głos Wahlysa stał się silniejszy, gdy młodzik pokiwał zamasyżycie głową. – Ojciec Zhordyn wyjaśniał mi to wiele razy.

– Wiem. – Poklepała go po ramieniu. – Nie winię cię, że trapi cię obawa, iż ludzie Sharleyan mają na nas oko nawet tutaj, w naszym hrabstwie. – Kobieta wyprostowała się dumnie na całą swoją wysokość. – Jesteśmy jednym z niewielu rodów, któremu starczyło odwagi, aby wystąpić w obronie Kościoła Matki. Sam wiesz najlepiej, jaką cenę zapłacił za to twój ojciec. – Wahlys zacisnął szczęki, a ona skinęła głową. – To zrozumiałe, że będą chcieli rozprawić się z nami najszybciej jak się da. Wszakże będą musieli przedrzeć się przez siły hrabiego Świętego Drzewa i księcia Latarni razem wziętych, co bez armii z prawdziwego zdarzenia okaże się trudniejsze, niżby chcieli wierzyć. – Uśmiechnęła się blado. – A gdy reszta królestwa uświadomi sobie, co się dzieje... gdy ludzie zmuszeni do ukrywania swej lojalności wobec Kościoła Matki i opozycji wobec tyranii Sharleyan zorientują się, jak się mają sprawy... tak zwana rada królewska będzie miała większe zmartwienia na głowie niż my.

– Gdzie babcia? – rzucił Styvyn Rydymak, wpadając do ciasnego gabinetu ojca Kahrltyna Tyrnyra. – Muszę natychmiast z nią porozmawiać!

– Z czego wynika ten pośpiech? – zapytał spokojnie ojciec Kahrltyn, odrywając spojrzenie od książki i zdejmując okulary do czytania, aby wyraźniej zobaczyć swego długoletniego ucznia. Mężczyzna ten miał prawie siedemdziesiąt lat i z wiekiem stał się kruchy, lecz na pierwszy rzut oka nie dało się tego poznać: nadal miał gęstą siwą czuprynę i sumiastego wąsa, a jego umysł był bystry jak za młodu.

– Muszę jej... coś powiedzieć – wydukał Styvyn, spuściwszy oczy i utkwivszy wzrok w niewidzialnej dla nikogo innego plamce na podłodze.

– Mianowicie co? – zainteresował się duchowny.

Styvyn zaczął się dosłownie wic pod jego uważnym spojrzeniem.

Niższy rangą duchowny Zakonu Langhorne’a ukrył westchnienie i puścił okulary, które zawisły na sznureczku otaczającym jego szyję. Następnie odchylił się na oparcie krzesła. Był opiekunem Styvyna, odkąd ten zaczął samodzielnie chodzić, i darzył go szczerym uczuciem, uważając za kochanego chłopca. Na tym jednak polegał problem. Gdy przyszły hrabia miał już szesnaście lat, nie mógł być postrzegany przez nikogo jako „kochany chłopiec”.

– Zważywszy na to, że właśnie wracasz od swego kuzyna, czy mam domniemywać, że sprawa w jakiś sposób wiąże się z księciem Skalistego Wybrzeża? – zapytał po chwili milczenia.

Styvyn zaczerwienił się po uszy. Był świadom, że duchowny nie popiera jego bliskich relacji z dostojnym kuzynem.

– Hm... tak... – przyznał z niechęcią. W końcu zaczerpnął głęboko tchu i podniósł wzrok na opiekuna. – Uczyniłem coś... coś naprawdę głupiego, ojcie. Gdy się dowiesz, co to takiego, wyznaczysz mi srogą pokutę. Na razie jednak muszę porozmawiać z moją babką! Dotąd nie mogę uwierzyć, że podróż zabrała tak dużo czasu. To sprawa niecierpiąca zwłoki!

– Rozumiem. – Ojciec Kahrltyn przyglądał mu się jeszcze przez

chwile, po czym wrzucił ramionami. – Z tego, co mi wiadomo, lady Karyl udała się do zbrojowni, aby zamienić słowo z sierżantem Ohdwiarem.

– Ach. – Styvynowi mina się wydłużyła, a duchowny ukrył uśmiech.

Młodziak pozostawał pod wrażeniem Ahzbyrna Ohdwiara, odkąd się dowiedział, że sierżant służył razem z jego dziadkiem. Co zrozumiałe, nie miał najmniejszej ochoty przyznać się do popełnionego przez siebie głupstwa w obecności człowieka, którego tak szanował i który tyle dla niego znaczył. O dziwo jednak, Styvyn tylko westchnął, zgarbił się i skinął na pożegnanie opiekunowi, aby zaraz wypaść za drzwi.

Przemierzał kręte korytarze, nadal niepewny, jak powinien poruszyć temat w obliczu lady Karyl.

„Cześć, babciu! Nie chciałbym cię martwić ani nic takiego, ale chyba dopuściłem się zdrady. Nawiasem mówiąc, co będzie na obiad?”

Wątpił, aby lady Karyl była zachwycona, a jak wiedział, miało to dla niego ogromne znaczenie. Być może zapomniał o tym przelotnie, teraz jednak znowu sobie przypomniał. Liczył się ze zdaniem babki i za nic w świecie nie chciał dostrzec w jej oczach odpowiednika słów: „A nie mówiłam?!”, gdy w końcu się jej zwierzy, ona zaś wytknie mu, że przecież zawsze ostrzegła go przed dostojnym kuzynem.

Gdy docierał do zbrojowni, zwolnił kroku, mimo że przepełniała go determinacja. Ta część twierdzy była nowsza od reszty, zbudowana głównie za pieniądze Korony w czasach, gdy dziadek Styvyna był jednym z dowódców króla Sailysa. Styvyn wiedział, że garnizon liczył sobie wtedy więcej ludzi, dzięki czemu sąsiedzi nie pałali chęcią umocnienia swej pozycji kosztem ich ziem. Już samo to powinno było dać mu do myślenia, gdy babka wspominała, do jakich to niecnych czynów zdolni są owi sąsiedzi. Biorąc pod uwagę wielkość tego skrzydła, wydawało się ono teraz niemal całkiem puste, odkąd lady Karyl utrzymywała tylko trzydziestu paru żołnierzy, głównie weteranów, którzy znaleźli zeszłej zimy dach nad głową. Sierżant Ohdwiar zajmował dawną kwaterę oficerską.

Styvyn wspinał się po schodach do prywatnych apartamentów sierżanta. Pod drzwiami wziął się w garść i zapukał.

Kiedy drzwi się otworzyły, stanął twarzą w twarz nie z wielbionym wojakiem, lecz z sierżantem Ohsulyvynem. Nie było to wiele lepsze, więc

tylko się zgarbił i spuścił wzrok.

– Dobry wieczór – wymamrotał, siląc się na uprzejmość. – Powiedziano mi, że zastanę tu babcię. Chciałbym z nią porozmawiać.

– Oczywiście, mój panie. – Ohsulyvyn odstąpił o krok, aby go przepuścić. – Wejdz do środka.

Styvyn przekroczył próg, po czym raptownie się zatrzymał, gdy jego babka posłała mu spojrzenie przez ramię. Siedziała przy stoliku, na którym rozłożona była mapa bodaj Wzgórz Zachodzącego Słońca. Po jej prawicy stał sierżant Ohdwiar, a mężczyzny stojącego po lewicy babki Styvyn nigdy wcześniej nie widział. Nieznajomy był wysokim, brodatym blondynem, który nosił warkocz. Miał on kościstą twarz, orli nos i niezwykle błękitne oczy. Bardziej błękitne nawet niż u sierżanta Mykgylykudiego.

– Styvynie! – Lady Karyl się uśmiechnęła. – Nie spodziewałam się ciebie do poniedziałku!

– Skróciłem wizytę u kuzyna – oświadczył młodzik. – Muszę ci coś wyznać. Coś... – Omiótł spojrzeniem dwóch wojskowych i nieznajomego. Odwaga niemal całkiem go opuściła. Mimo to zebrał się w sobie i dokończył: – Coś niedobrego.

– Na pewno nie jest to tak złe, jak ci się wydaje – powiedziała lady Karyl, wstając i wyciągając do niego rękę.

– Właśnie że jest. – Głos mu się załamał, a oczy zaszyły łzami, gdy lady Karyl zamknęła go w objęciach. – Jest... Miałaś rację, babciu – szeptał. – Miałaś rację co do kuzyna Zhasyna... Skąd wiedziałaś, do czego on zmierza? – Podniósł głowę i zmusił się, aby spojrzeć jej prosto w twarz. – Byłem taki głupi. Ja...

Głos odmówił mu całkiem posłuszeństwa. Gapił się tylko na babkę, szukając słów.

– Pozwól, że ci pomogę, mój panie – odezwał się nieznajomy. Styvyn pobiegł do niego wzrokiem, a wtedy wysoki blondyn przyłożył dłoń do piersi i skłonił się lekko. – Najpierw jednak chciałbym się przedstawić. Nazywają mnie Cennady Frenhines.

Styvyn zmarszczył czoło, zdumiony tym obco brzmiącym imieniem i nazwiskiem, lecz lady Karyl ścisnęła go uspokajająco za ramię.

– Tak naprawdę, Styvynie, jest to *seijin* Cennady Frenhines. Przybył

do nas na polecenie ich cesarskich mości.

– To naprawdę je...?

Styvyn przełknął ciężko. Frenhines skinął głową, nie zmieniając łagodnego wyrazu twarzy.

– Mój panie, wiemy wszystko, co chciałeś nam powiedzieć o księciu Skalistego Wybrzeża. W gruncie rzeczy wiemy nawet więcej niż ty, albowiem jest raczej mało prawdopodobne, aby księżę okazał się aż takim głupcem, by przyznać, iż od samego początku zakładał uśmiercenie lady Karyl, gdyż nie było innego sposobu, aby osiągnął swój cel. – Styvyn wciągnął powietrze ze świstem i odruchowo wzmocnił uścisk na ręce lady Karyl. – Jestem także pewien, że nie omawiał z tobą reszty swoich planów. Możesz mi jednak wierzyć, kiedy powiem, że ja sam, jak i moi koledzy *seijinowie* doskonale się we wszystkim orientujemy. Jej wysokość cesarzowa Sharleyan także ma pojęcie o sytuacji.

– Ce...cesarzowa wie, że ja...? – Styvyn był przerażony, co Frenhines skwitował życzliwym uśmiechem.

– Jej wysokość wie, że jesteś bardzo młodym człowiekiem i że twój kuzyn bardzo się postarał, aby cię przekonać do swojego sposobu myślenia. Nie wątpi też, że koniec końców nigdy byś nie przystąpił do zdrajców. Wszyscy popełniamy błędy, mój panie. Zwłaszcza gdy jesteśmy młodzi i ufni. Zarówno cesarz Cayleb, jak i cesarzowa Sharleyan zdają sobie z tego sprawę. Poza tym sam fakt, że z własnej nieprzymuszonej woli przyszedłeś, aby wyznać wszystko lady Karyl... a nawet byłeś gotów to zrobić w obecności świadków... dowodzi, że jej wysokość nie myli się co do ciebie. Nie jesteś zdrajcą, mój panie.

– Ale... Ale skoro wiecie, co oni planują, dlaczego jeszcze nie przedsięwzięliście żadnych kroków?

– Właśnie zamierzamy to zrobić, kochanie – odparła lady Karyl. – Zaczekaliśmy po prostu, aż wszystkie karaluchy się ujawnią. Chyba nie muszę ci mówić, jaki los czeka karalucha, który wyjdzie na światło dzienne?

Styvyn gapił się na swoją babkę z otwartymi ustami. Jeszcze nigdy nie słyszał, aby przemawiała głosem twardym jak stal.

– Nie, babciu...

– Karalucha się rozgniała, Styvie – powiedziała mimo to równie

stalowym głosem. – Rozgniała się go na miazgę.

– Sądzisz, że chłopak nas uprzedził, Fraizhyrze? – zapytał Daivyn Mahkrum, ściągając wodze na wyższym krańcu drogi wiodącej do twierdzy Rydymak.

– Myślę, że tak, Daivynie – odparł zamyślony Fraizhyr Mahkynyn, przykładając lunetę do oka i obserwując miasto w dole. – Z jakiego innego powodu na ulicach panowałaby taka pustka?

Opuścił lunetę. Spoglądanie przez nią z końskiego grzbietu zawsze stanowiło nie lada wyzwanie, a zresztą wcale jej nie potrzebował. W mieście nie było ani żywej duszy. Z żadnego komina nie bił w niebo dym. Nigdzie nie dało się zobaczyć ani jednego psa czy jaszczurkota.

– Tak, hrabina musi wiedzieć, że nadciągamy – dodał, odcinając kawałek liścia do żucia i wkładając go sobie do ust. – Twierdza jest już pewnie zamknięta na cztery spusty. Przypuszczam, że nieźle się natrudzimy, chcąc ją stamtąd wywabić.

– Nie może być aż tak źle – zaproponował Mahkrum. Był zastępcą Fraizhyra, a znali się od czasów dzieciństwa. – Hrabina może liczyć co najwyżej na trzydziestu, góra trzydziestu pięciu zbrojnych, z czego połowa to ci staruchowie, których przygarnęła na zimę. Nas jest pięciuset. No i mamy karabiny.

– Zgoda, ale wciąż znajdujemy się pod murami – zauważył Fraizhyr, pracowicie żując liść.

– Mamy drabiny! – Mahkrum potrząsnął głową. – Wezmę setkę ludzi i narobię rabanu pod główną bramą. Może nawet uda mi się nakłonić hrabinę do rozmowy... powiem, że chcę się „dogadać”. Kiedy ja będę negocjował, ty z resztą chłopaków przekradniesz się na tyły, do niestrzeżonej części muru po południowej stronie, i tam zrobisz użytek z drabin. – Wzruszył ramionami. – Przedostaniecie się za mury przy tylko niewielkich stratach, które nie będą mieć znaczenia w ogólnym rozrachunku.

– Myślisz? – Fraizhyr przechylił głowę, a następnie wycelował palcem, pokazując wyludnione ulice. – Twierdzisz, że hrabina ma trzydziestu pięciu zbrojnych w porowach. A ja słyszałem, że paru

starych wiarusów, służących jeszcze pod świętej pamięci hrabią, wróciło do Cheshyru. Bardzo możliwe więc, że tych zbrojnych jest jednak więcej.

– Zbrojnych? – prychnął Mahkrum. – Niby w co? Zgoda, za czasów świętej pamięci hrabiego z gwardią należało się liczyć, ale teraz?... –

Pogładził zapadkowego mahndrayna podróżującego z nim przy siodle. Miał do niego tylko pięćdziesiąt naboii, ale pozostali członkowie ich oddziału byli wyposażeni w karabiny starszego typu, do których nie brakowało amunicji. – Wiesz równie dobrze jak ja, że hrabina nie ma pieniędzy na nowoczesną broń. Poza tym ci jej „zbrojni” to starcy, tacy sami jak ona. Nie mieli miecza w ręce od dziesięciu albo i dwudziestu lat. Trudno, żebyśmy przejmowali się taką niegroźną zbieraniną.

– Pewnie masz rację – przyznał po chwili milczenia Fraizhyr. – No dobra, skoro jesteś w nastroju do pogaduszek, zajmij się główną bramą. Zważ, że będę potrzebował kilku godzin, żeby pokonać południowe mury.

Wskazał ręką na zbocze, które ledwie było widać z miejsca, gdzie stali. Wystarczająco jednak, aby stwierdzić, że jest niemal w całości odsłonięte – niegdyś w tamtym miejscu najpewniej uprawiano zboże. Na szczęście od tamtej pory zdążyło tam urosnąć kilka skupisk drzew, które mogły stanowić ochronę.

– Jeśli chłopak naprawdę dotarł do domu przed nami, jak nic nas wypatrują, przez co cały efekt zaskoczenia diabli wzięli. Wprawdzie niewiele nam zrobią, nawet jeśli mają arbalesty albo skałkówki, niemniej nie weźmiemy ich zniemacka. Lepiej więc, żebyś zabrał ze sobą kilka drabin. Zdołasz je donieść pod samą bramę, jeśli skorzystasz z tej drogi, która biegnie od północy. – Wskazał ręką, na co Mahkrum przesunął się, aby zobaczyć wspomniany trakt. – Pewnie uda ci się podejść na kilkaset jardów niezauważonym. Jak obrońcy skumają, że twoim zadaniem jest tylko odwrócenie ich uwagi, i zaczną się martwić, co się dzieje na tyłach, każesz swoim chłopcom zaatakować główną bramę. Dzięki temu znajdą się w potrzasku.

– Brzmi dobrze, jak dla mnie – skwitował Mahkrum. – Wyślij jednego człowieka na kościelną wieżę, żeby dał mi znak, jak już zajmiesz swoje pozycje i będziesz gotów.

– Jasne – potwierdził lakonicznie Fraizhyr.

– Jest umówiony znak – powiedział obserwator.

Mahkrum skinął głową.

Zajęcie pozycji zabrało Fraizhyrowi więcej czasu, niż zakładali, ale nie było wielkiego pośpiechu. Hrabina donikąd się nie wybierała, a on na razie pozwolił wartownikom dostrzec oddział czterdziestu ludzi, uznał bowiem, że nie zaszkodzi, jeśli lady Karyl zacznie się trochę martwić swoim położeniem. Może będzie wtedy bardziej skłonna do „negocjacji”. Aczkolwiek z tego, co słyszał o hrabinie, nie była to kobieta strachliwa. Zdążył się też przekonać na własne oczy, że wartownicy jakoś nie zaniepokoiли się widokiem zbrojnych pod murami.

Nie moja sprawa, jeśli chce okazać upór, pomyślał i skinąwszy swojemu zastępcy, ruszył stępą w dół drogi prowadzącej do głównej bramy. Bo coś mi mówi, że księżę niezbyt się przejmie, jeśli coś się stanie tej starusze... i jej wnukowi. Oczywiście lepiej, gdyby to był jakiś wypadek, a nie celowe działanie, niemniej liczy się tylko jedno: Cheshyr w sam raz się wpasuje w granice księstwa. Nie zdziwiłbym się, gdyby obaj z księciem Czarnego Konia zechcieli to hrabstwo rozpołować niczym nadziewaną wyvernę z okazji Dnia Boga!

Sarknął pod nosem i po chwili zatrzymał się jakieś trzydzieści jardów od zamkniętej bramy. Zadarł głowę i popatrzył na blanki okalające strażnicę. Z tak bliska musiał przyznać, że jest to bardziej imponująca kupa kamieni, niż mu się wydawało. Nagle ucieszył się, że nie musi się zmierzyć z paroma dziesiątkami żołnierzy wyposażonych w najnowocześniejszą broń.

– Ej, tam, na murach! – zawołał.

Przez moment panowała cisza, jeśli nie liczyć łopotania co najmniej trzech cesarskich sztandarów. W końcu w otworze między zębami blanek pokazała się czyjaś głowa. Mahkrum nie rozpoznał, do kogo ona należy; grunt, że wysoki blondyn nie miał na sobie zbroi i najwyraźniej dzierżył tylko miecz. Brakowało mu nawet hełmu.

– Ej, tam, pod murami! – odkrzyknął.

– Pozwolisz, że zapytam, gdzie są wszyscy? – rzucił Mahkrum.

– Hmm, niech się zastanowię... – odparł nieznajomy zamyślonym tonem. – Ni stąd, ni zowąd pokazało się pięć setek zbrojnych w barwach księcia Skalistego Wybrzeża, których na pewno nie zapraszaliśmy. To chyba zrozumiacie, że mieszkańcy nieco się spłoszyli?

– Nikt się nie musi obawiać, pod warunkiem że...

– Że co?

– Pod warunkiem że hrabina... czy ta osoba, która u was dowodzi... wykaże się rozsądkiem.

– To niezwykle wspaniałomyślne z twojej strony, Daivynie! Wprost nie mogę wyrazić, jak wdzięczni ci jesteśmy za twą troskę.

Nieznajomy przestał udawać zamyślenie i ciął szyderczym głosem niczym pejczem. Takie było pierwsze wrażenie Mahkruma. Moment później dotarło do niego coś jeszcze.

– Skąd wiesz, jak się nazywam? – zapytał ostro, opuszczając dłoń na kolbę karabinu.

– Och, wiemy o tobie znacznie więcej. Znamy też powód twojej wizyty tutaj. W rzeczy samej oczekiwaliśmy na twoje pojawienie się. Skoro więc tak ci zależało na naszym dobrostanie, zrewanżuję się tym samym. Złóż broń i poddaj się, nie robiąc żadnych numerów, a nie stanie ci się krzywda.

– Mam się poddać? – Mahkrum zapatrzył się na blondyna jak na wariata. – Nie mylisz się, jest nas pięć setek. Tylko tyle, ponieważ więcej nie dałoby się upchnąć w tej kupie kamienia, którą nazywacie twierdzą. Zatem jeśli ktoś tu się podda, to na pewno nie my!

– Hmm. Masz rację, być może nie poddacie się od razu. To by bowiem wymagało posiadania mózgu. Zaręczam ci jednak, że jak zaczną padać pierwsze trupy, reszta szybko zmieni zdanie. A teraz niestety muszę cię przeprosić na chwilę. Fraizhyr Mahkynyn właśnie wyłonił się zza zbrocza, a że jest równie głupi jak ty i księżę Skalistego Wybrzeża... Na razie jest za daleko, abym mógł mu zaproponować złożenie broni, wyjdę mu więc na spotkanie.

Mahkrum zeszywniał, zdawszy sobie sprawę, że blondyn wie o ich planach znacznie więcej, niżby wypadało. Zaraz jednak sobie uprzytomnił, że stare powiedzenie nie kłamie: trupy nie gadają.

– Koniecznie! – zawołał za znikającym blondynem.

Odwrócił się i gestem dał znać czającym się za pobliskimi domostwami podwładnym, aby rozpoczęli atak na główną bramę.

– Czy wszyscy *seijinowie* mają zwichnięte poczucie humoru? – zapytał Zhaksyn Ohraily, kiedy Cennady Frenhines zstąpił z blenek. – Chyba wiesz, że przez ciebie zaraz przypuszczą atak?

Pomimo tonu sierżant Ohraily nie był specjalnie przejęty sytuacją. Ten trzydziestoosmiolatek był najmłodszym weteranem przygarniętym przez lady Karyl. A do tego pochodził ze Starego Charisu, nie z Chisholmu. Gdyby nosił mundur, do którego noszenia miał prawo, epatowałby symbolem skrzyżowanego karabinu i bagnetu oznaczającym zwiadowcę oraz stylizowanej lunety, która z kolei oznaczała strzelca wyborowego. Tymczasem tylko zsunął opaskę z lewego oka, które rzekomo stracił w wypadku podczas ćwiczeń strzeleckich, co stanowiło uprawomocnienie jego „emerytury”.

– Moje poczucie humoru nie jest zwichnięte – zaprotestował *seijin*. – Wszystko, co powiedziałem, to szczerą prawdą. Co do ataku zaś, wyraźnie mu poradziłem, aby wziął na wstrzymanie. To chyba nie będzie moja wina, jeśli mnie nie posłucha?

– Cóż, nie sposób odmówić ci racji, *sejinnie* – przyznał Ohraily, odbezpieczając karabin M96. – Gotów. Czas na zabawę.

Cennady Frenhines klepnął go w ramię, po czym obaj zaczęli zbiegać po krętych schodach strażnicy, aby dostać się na wewnętrzny dziedziniec.

– No dobra, chłopcy! – zawołał Fraizhyr Mahkynyn. – Do roboty! I pamiętajcie: Nie zabijamy nikogo, kogo nie musimy zabić, ale lepiej, żeby zginął wróg niż któryś z naszych!

Ktoś zakrzyknął zgodnie, acz błuźnierczo, po czym falanga atakujących ruszyła przed siebie niezbyt szybko – w końcu to miała być łatwizna.

To nie najlepsze podejście, pomyślał Fraizhyr, jadąc kłusa obok kolumny swoich ludzi. *Powinno nam pójść jak z płatką, ale nigdy nic nie wiadomo. Po wszystkim będę musiał zaprowadzić porządek w oddziale. Nie będzie to oczywiście pie...*

Usłyszał nagle dziwny dźwięk, niemal głuchy, stłumiony przez mury twierdzy. Za chwilę doleciały go pierwsze odgłosy wybuchów i wtedy

momentalnie twarz mu pobielała jak ściana.

– Ognia! – szczechnął Dynnys Mykgylykudi.

Na jego rozkaz wszystkie cztery moździerze M97 ustawione jeden obok drugiego na frontowym dziedzińcu kaszlnęły, wyrzucając z siebie idealne kółka dymu, po czym z ich paszczy pomknęły w niebo trzydziestodwufuntowe kule.

Mykgylykudi pomyślał, że to właściwie nie w porządku. Nie bolała go jednak o to głowa; w końcu to nie on spiskował przeciwko prawowitemu władcy ani nie planował skrytobójstwa za poduszczeniem zdrajcy. Mykgylykudi był tylko jednym z najlepszych fachmanów od moździerzy w Cesarskiej Armii Charisu. Do czasu „wypadku” pełnił funkcję starszego instruktora w Maikelbergu, po tym jak już wszyscy zostali bezpiecznie ewakuowani z miasta, strzelał do okalających je wzgórz amunicją dymną, dzięki czemu nie pozostał żaden ślad w postaci leja. Nikt lepiej niż on nie orientował się, jakiego kąta należy użyć w danej sytuacji.

– Co, u...? – zaczął ktoś, lecz nie skończył.

Daivyn Mahkrum nigdy nie odkrył, jak to pytanie miało właściwie brzmieć. W dalszym ciągu usiłował rozszyfrować, co oznacza ów dziwny dźwięk dobiegający zza murów, gdy Zhaksyn Ohraily i pozostała dwunastka jego ludzi wystawili za blanki lufy swoich karabinów.

Z tak niewielkiej odległości Ohraily nie spudłowałby nawet wtedy, gdyby wciąż miał na oku opaskę.

Mahkrum zginął, zanim runął na ziemię.

Półtorej sekundy później pierwszy pocisk moździerzowy eksplodował nad głowami członków oddziału Fraizhyra Mahkynyna.

Cóż, nie najlepiej to się skończyło, nieprawdaż, Daivynie? – pomyślał oziębłe Cennady Frenhines, wypadając ze schodów na dziedziniec. Wielka szkoda. Obawiam się, że od tej pory może być już tylko gorzej.

Nie było bowiem mowy, aby Sharleyan Ahrmahk powierzyła bezpieczeństwo Karyl Rydmakyr komukolwiek innemu niż Merlin Athrawes... czy też raczej Cennady Frenhines. On sam nie miał cienia wątpliwości, że przyjęci przez nią pod dach „weterani” są jak najbardziej w stanie się o nią zatroszczyć, mimo to jednak nie sprzeciwił się pomysłowi cesarzowej. Jak na kogoś, kto urodził się w Federacji Terrańskiej i żył w społeczeństwie demokratycznym, Merlin Athrawes nadzwyczaj łatwo wpasował się w feudalne realia, gdzie lojalność znaczyła więcej niż cokolwiek innego. Z tego powodu fizycznie wręcz nie tolerował zdrajców. A zaczął ich darzyć jeszcze większą niechęcią, kiedy zwrócili się przeciwko osobom, które znał, kochał i szanował. Dlatego właśnie ludzie, którzy zaatakowali twierdzę Rydymak – choć jeszcze o tym nie wiedzieli – znaleźli się w bardzo złym położeniu.

Dotarł na środek dziedzińca, bacząc, aby nie wejść w pole rażenia pokasłujących wciąż moździerzy. Czekają na niego dwudziestu jeźdźców i jeden wolny wierzchowiec, który oczywiście strzygł uszami i rzucał głową na każdy wystrzał. Na szczęście dla koni już niebawem miały one oddalić się z tego miejsca.

Cennady wskoczył na siodło, odpiął kaburę swojego rewolweru i sięgnął po katanę – zadziwiająco podobną do tej, którą posługiwał się Merlin Athrawes.

– Gotowi! – zawołał.

Na ten znak Styvyn Rydmakyr we własnej osobie zdjął rygiel blokujący główną bramę, po czym szybko odskoczył na bok, aby zejść z drogi rozpędzonym zwierzętom dudniącym podkowami po bruku wyścielającym przedsionek strażnicy. Stojący pod murami zbrojni, dalecy od jakiegokolwiek zorganizowania, zrozumieli w swoim zdumieniu, że zdecydowanie nie docenili wroga.

.IX.
Droga Brzegowa
Cheshyr
oraz
HMS *Maikelberg*
Zatoka Cheshyrska
oraz
Sharylstown
Księstwo Latarni
oraz
Nabrzeże Sherytyn
Hrabstwo Saint Howan
oraz
Maryksberg
Księstwo Czarnego Konia
Chisholm
Imperium Charisu

Na Shan-wei, ależ się stęskniłem za barakami – oznajmił Rahnyld Myketchnee, drapiąc się pod pachą lewą ręką, podczas gdy w prawej trzymał pusty kubek. – I za prawdziwą kuchnią – dodał kwaśno, zerkając na pełniących rolę kucharzy towarzyszy broni, którzy właśnie próbowali opiec bekon i usmażyć jajka na roznieconym o świcie ognisku.

– Niektórzy ludzie marudziliby nawet wtedy, gdyby ich powiesić na linie ze złota – stwierdził Danel Kyrbysh nieco nieobecny tonem.

– To nie o mnie – powiedział stanowczo Rahnyld. – Ma się swoje wymagania. Złoty stryczek mi akurat pasuje.

– Przekażę, komu trzeba – obiecał Kyrbysh, a Rahnyld wybuchnął śmiechem.

Zdołał opanować do perfekcji sztukę narzekania, w której specjalizowali się żołnierze, co jednak bynajmniej nie znaczyło, że przestał być najbardziej zaufanym dowódcą oddziału służącym pod rozkazami Kyrbysha. W tej właśnie chwili wymamrotał podziękowanie pod adresem jednego z „kucharzy”, który nalał mu do kubka gorącej herbaty. Rahnyld upił łyk, momentalnie się skrzywił, sparzywszy sobie język, po czym przesunął się, aby stanąć obok Kyrbysha.

Ów podniósł wzrok, ale zaraz z powrotem skupił uwagę na mapie rozłożonej na dużym płaskim kamieniu. Jaśniejące niebo na wschodzie, tuż nad szczytami wzgórz, pozwalało mu cokolwiek widzieć, mimo że wody Zatoki Cheshyrskiej wciąż pozostawały spowite mrokiem. Kyrbysh z zamyśloną miną powiódł palcem wskazującym po biegnącej wzdłuż wybrzeża drodze, jakby chciał w ten sposób zaspokoić potrzebę mentalnego podrapania się, która była silniejsza od niego.

Ekspedycja ta przebiegła zgodnie z oczekiwaniami, przynajmniej do pewnego stopnia. Kyrbysh wraz z podwładnymi zagłębił się aż osiemdziesiąt mil w terytorium hrabstwa Cheshyr. Obecnie znajdowali się w pół drogi między miastami Tylkahm i Dahryk, a jak dotąd nie stracili ani jednego człowieka, o czymś tak prozaicznym jak podkova nawet nie wspominając. Kyrbysh wysiłał pamięć, ale nie potrafił sobie przypomnieć ani jednej podobnej sytuacji z całego swojego zawodowego życia, gdzie wszystko odbyło się jak należy.

Niestety jednym z powodów, dla których wszystko przebiegło tak gładko, było to, że w Tylkahmie nie zastali żywej duszy. Również po drodze aż do tego miejsca, gdzie rozbili biwak, wszystkie gospodarstwa i farmy stały opuszczone. Kyrbysh raczej wątpił, aby mieszkańcy zrobili sobie wolne i wyjechali na urlop akurat wtedy, gdy na ich hrabstwo najechały zbrojne oddziały sąsiedniej domeny.

Cieżko zneutralizować wroga, kiedy nigdzie go nie ma, pomyślał chmurnie Kyrbysh. Księciu się to nie spodoba... Tak czy owak, muszą być gdzieś przed nami, a przecież my poruszamy się znacznie sprawniej niż banda wieśniaków i mieszczan uciekających na piechotę. Zatem prędzej czy później na pewno ich dościgniemy.

Doniósł księciu Czarnego Konia o podejrzanej nieobecności

Cheshyrczyków za pośrednictwem wyverniej poczty, nie było jednak sposobu, aby książę mógł odpowiedzieć w ten sam sposób. Dlatego Kyrbysh mógł co najwyżej wypełniać dalej stare rozkazy, zanim wyjaśni się powód wyludnienia okolicy. Jako się rzekło, był pewien, że jego ludzie są szybsi niż mężczyźni, kobiety i dzieci oraz ich żywina i że bez wątpienia zdo...

Przerwał ten tok rozumowania, zmarszczył czoło i zaczął obracać ostatnią myśl na wszystkie strony.

To oczywiste, że jesteśmy szybsi. Nie da się też ukryć, że w granicach Cheshyru pozostajemy już od dwóch dni. Gdzie więc są ci cywile, których powinniśmy byli dawno dogonić?!

– Mają nad nami przewagę – mruknął.

– Słucham? – zapytał Rahnyld. – Mówisz do siebie czy do mnie?

– Mają nad nami przewagę – powtórzył Kyrbysh głośniej, odwracając się do podkomendnego.

– Kto?

– Okoliczni mieszkańcy zaczęli uciekać, zanim się pojawiliśmy. To dlatego nie możemy ich dogonić.

Rahnyld ściągnął brwi, a Kyrbysh potrząsnął głową, by następnie dźgnąć palcem kropkę, która oznaczała Dahryk.

– Skoro w zasięgu wzroku nie ma żywej duszy, wszyscy ci ludzie musieli zacząć uciekać jeszcze przed tym, zanim książę wydał rozkaz, byśmy zajęli miejsca na pokładzie łodzi. Co znaczy, że zrobili to dwa, trzy dni temu... może nawet cały pięciodzień temu. Zanim my dotarliśmy do Swanyku!

– To niemożliwe – skwitował Rahnyld, nie do końca jednak pewien swego. W zakłopotaniu podrapał się po jednej uniesionej brwi. – Już prędzej dostrzegł nas jakiś rybak...

– Twierdzisz, że jeden rybak zdołałby ostrzec przed nami wszystkich mieszkańców tej okolicy? – Pokręcił zdecydowanie głową. – Ci ludzie wiedzieli, że nadchodzimy, wiedzieli nawet, od której strony się pokażemy, i to zanim w ogóle wyruszyliśmy w drogę!

Rahnyld potarł dłonią czoło, przetrawiając w duchu słowa dowódcy i usiłując połączyć fakty, i wyciągnąć wnioski.

– Ale... ale to by znaczyło, że...

Kyrbysh nie dał mu dokończyć.

– Co jeszcze wiedzieli? I kto ich ostrzegł? My sami nie mieliśmy pojęcia, dokąd księżę nas wyśle i kiedy. Rozkazy przyszły dopiero w depeszy od księcia Skalistego Wybrzeża. Jakim więc cudem znał te plany ktoś inny?

– Nie... – zaczął Rahnyld.

– Co to? – zakrzyknął ktoś i obaj mężczyźni spojrzeli za siebie.

Jeden z żołnierzy pokazywał palcem w kierunku zatoki. Zmrużyli oczy, aby przeniknąć mrok na zachodzie i dojrzeć to, na co szeregowiec chciał zwrócić ich uwagę. W końcu Rahnyld pierwszy wciągnął gwałtownie powietrze do płuc.

– Dym – powiedział głucho.

– Chciałbym umieć tak dobrze nawigować – powiedział kapitan Wyndayl Zohannsytyn, zwracając się do młodej kobiety stojącej obok niego na mostku HMS *Maikelberg*.

Na ogół Zohannsytyn nie akceptował obecności kobiet na pokładzie swojego okrętu. Oczywiście jednak i od tej reguły był wyjątek – Ezmelda Zohannsytyn nie wychowała żadnego ze swoich synów na głupca. Gdy więc na trasie jego jednostki pojawiła się w samym środku bezksiężycowej nocy niewielka łódź rybacka, Zohannsytyn był jak najbardziej skłonny odstąpić od swych przekonań. Naturalnie nie zaszkodził w tym wypadku fakt, że jedyny pasażer tej łodzi nosił barwy rodu Ahrmahków i zbroję cesarskiego gwardzisty.

– Nie było to takie trudne – stwierdziła przystojna brunetka ze wzruszeniem ramion. – Rzecz jasna najwięcej kłopotu nastąpiło wyliczenie, jak daleko oni dotrą, zanim nam uda się dotrzeć tutaj. Później było już z górki. Szczególnie że byli tak mili i rozpalili nocą ogniska.

– To prawda – potaknął Zohannsytyn, choć nie był do końca przekonany do tego wyjaśnienia. Niemniej *seijinka* Merch miała rację co do tych ognisk. Ich blask odcinał się wyraźnie na tle nocnego nieba. HMS *Maikelberg* bez trudu przyjął właściwy kurs, kierując się światłami na lądzie zamiast gwiazdami. – No cóż – dodał, odejmując lornetkę od oka

i zerkając przez ramię na Ohldyrtyna. – Chyba możemy już zaczynać.

– Tak jest! – odparł porucznik Ohldyrtyń, pierwszy oficer HMS *Maikelberg*, który tkwił w kiosku, skąd przez szczelinę obserwacyjną widać było tylko jego oczy. – Korzysta pan z zatyczek do uszu, sir?

– Tak – potwierdził z rezygnacją Zohannsyn, wtykając zatyczki we właściwe miejsce.

Nie cierpiał ich używać, ale cenił sobie znakomity słuch i nie zamierzał go tracić. Z kolei *seijin*ka Merch w ogóle nie była przejęta wpływem hałasu na jej bębenki. Kapitan odnotował to z pewną dozą niechęci, zaraz jednak przywołał się do porządku, tłumacząc sobie, że *seijin*owie mimo wszystko różnią się od zwykłych ludzi.

Kanonierka przechyliła się lekko na sterburcie, zajmując pozycję równoległą do brzegu zatoki, po czym zaraz jej bakburta zniknęła za wielką chmurą brązowego dymu.

– Słodki Langhornie! – wykrzyknął ktoś, gdy chmura dymu, ledwie widoczna w panującym wciąż półmroku, rozświetliła się nagle diabelską jasnością na podobieństwo rakurai.

Dahnel Kyrbysh osłupiał. Nigdy nie miał okazji nawet zobaczyć nowomodnej artylerii w akcji. Równoczesna eksplozja z jedenastu grubych luf dział znajdujących się na pokładzie okrętu przekraczała wszelkie jego wyobrażenie. Jasność była nawet bardziej rażąca, bardziej oślepiająca niż cokolwiek, co widział dotychczas, przyglądał się więc tej scenie jak zahipnotyzowany, zastanawiając się, na co też takiego patrzy. I co to oznacza. Jedyne, co rozumiał, to że roztaczający się przed nim widok musi mieć coś wspólnego z faktem, że Cheshyrczycy spodziewali się nadejścia jego i jego ludzi. Zakładając jednak nawet, że tak właśnie było, jakim cudem ta przeklęta kanonierka – bo to musiała być kanonierka, sądząc z ilości unoszącego się nad nią dymu – znalazła się we właściwym miejscu o właściwym czasie, ażeby...

Pierwsza salwa przyniosła lawinę sześciocalowych pocisków, które urządziły na brzegu armagedon, równocześnie przerywając w połowie ostatnią myśl Dahnela Kyrbysha.

– Jesteś pewien, że to było mądre, Bahnyvyly? – zapytała Mhargryt Kyvlokyn siedząca przy śniadaniu naprzeciwko męża.

Mhargryt była o siedem lat młodsza od księcia Latarni. Liczyła sobie trzydzieści sześć lat, miała wyraziste kości policzkowe, jasne włosy i szare oczy będące cechą charakterystyczną rodu Hyntynów. Nie brakowało jej powabu.

Widząc, że żona wpatruje się w niego zaniepokojonym wzrokiem, książę zaczerpnął głęboko tchu i powiedział:

– Moja droga... Każde przedsięwzięcie niesie ryzyko. Nie ma od tego ucieczki. Masz jednak moje słowo, że zanim opowiedziałem się po jednej ze stron, narażając naszą rodzinę, dobrze się zastanowiłem.

– W to nie wątpię – przyznała tonem nieco ostrzejszym, niżby wypadało. – Żałuję jednak, że nie zechciałeś skonsultować ze mną swojej decyzji... Tak czy owak, nie pytałam, czy poświęciłeś tej sprawie dość zastanowienia, tylko czy twój wybór aby na pewno jest mądry.

Książę Latarni powstrzymał się przed przewróceniem oczami.

Ich małżeństwo zostało ułożone przez ich rodziców, gdy Mhargryt miała zaledwie dziesięć lat. Takie zwyczaje obowiązywały w południowo-zachodniej części Chisholmu, cokolwiek się wyprawiało w księstwach, takich jak Cherayth, Tayt czy Eastshare. Książę Latarni osobiście był zdania, że to jedyny właściwy sposób załatwiania takich spraw – przynajmniej wśród wysoko urodzonych. Wszakże Mhargryt była daleką kuzynką hrabiego Saint Howan, a jej ojciec zmarł niecały rok po jej zaręczynach. Co oczywiste, matka z córką wróciły do hrabstwa Saint Howan, gdzie Mhargryt była wychowywana raczej w nowoczesnym stylu. W efekcie nie pojmowała, że jej zadaniem jest rodzenie i wychowywanie dzieci, zadaniem jej męża zaś podejmowanie wysiłków, aby ich ród rósł w siłę i zdobywał wpływy.

Właśnie dlatego książę Latarni ani myślał zaprzętać jej głowy swoimi kontaktami z księciem Skalistego Wybrzeża, księciem Czarnego Konia i hrabiną Swayle.

– Nie w pełni popieram księcia Skalistego Wybrzeża – odezwał się po chwili milczenia. – Gdyby mnie ktoś zmusił, przyznałbym też, że nuży

mnie to oddanie, z jakim Rebkah Rahskail popiera Clyntahna. Cokolwiek ona jednak sobie myśli, nikt z nas nie uważa za możliwe... ani pożądane... aby Świątynia przywróciła swoje wpływy w Chisholmie. Jestem więc pewien, że koniec końców dojdzie do swoistego porozumienia z arcybiskupem Ulysem. Generalnie, gdy Sharleyan uświadomi sobie, z jaką powagą podchodzimy do tej sprawy, zacznie z nami rozmawiać rozsądnie także w kwestiach świeckich. Nie da się jednak wykluczyć, iż co do tego akurat się mylę. Zawsze bowiem istnieje takie prawdopodobieństwo...

– W takim razie czemu... – zaczęła księżna, momentalnie jednak ucichła, kiedy jej mąż uniósł rękę i pogroził jej palcem.

– Jak wspomniałem, oczekuję po cesarzowej rozsądnego podejścia, ale gdyby jednak się upierała przy swoim, podejmiemy decyzję za nią. Nie mamy wyboru. Jeśli nie postawimy się teraz, razem z Caylebem doprowadzą do zniszczenia całej chisholmskiej arystokracji. To nieuniknione, zważywszy na to, że weszli na ścieżkę skundlenia, zbydłęcia. Najbogatszym człowiekiem na świecie jest jakiś chłystek, co z tego, że dostał z ich rąk tytuł księcia. Na jakiej podstawie tak się stało? Kupiły mu go pieniądze... pieniądze zarobione na rzemiośle!

– Dotąd nigdy nie słyszałam, abyś narzekał na pochodzenie pieniędzy, pod warunkiem że znajdowały się w twojej kieszeni – zauważyła księżna, a jej mąż ściągnął brwi.

– Nie denerwuj mnie, moja droga – rzucił. – Nie mam nic przeciwko pieniądзом jako takim. Problemem jest to, jak Howsmyn – nie zniżył się do tego, aby użyć tytułu arystokratycznego tego parweniusza – doszedł do własnej fortuny. Nie winię go, że za wszelką cenę chciał się wzbogacić, lecz to dzikie uprzedzienie, które rozpętał, przyczyni się do upadku znanego nam świata. Albowiem podważa ono wszelkie fundamenty społeczeństwa, zarazem więc też jego stabilność. Nie zapominajmy, że w dodatku Sharleyan chce je nieść tutaj, w Chisholmie, choćby ogniem i mieczem. Gdy jej się to uda, ludzie podłego urodzenia, niebłękitnej krwi zaczną się uważać za równych nam, którzyśmy władali tym królestwem przez stulecia. Kiedy to nastąpi, nasz ród... nasza rodzina... znajdzie się na równi pochyłej.

– A co z twoją przysięgą lojalności? – zapytała księżna pozornie obojętnym tonem. – Za jej pogwałcenie grożą poważne kary,

nieprawdą?

– Po pierwsze, przysięgę lojalności złożył mój ojciec, i to przymuszony ostrzem na szyi – odparł książę Latarni. – Dodam, że nigdy nie miałem do Sailysa pretensji, że postąpił w ten sposób. Na jego miejscu uczyniłbym to samo. Fakt jednak pozostaje faktem: przysięga lojalności nie została złożona z własnej nieprzymuszonej woli. To samo się tyczy mnie i Sharleyan. Ale nie to jest najważniejsze. Gorzej, że Sharleyan pogwałciła nasze prawa i zachowała się nieodpowiedzialnie, wchodząc w ten nielegalny związek małżeński z Caylebem Ahrmahkiem, na domiar złego oddając mu w wianie Chisholm i tak tworząc tę potworną hybrydę, którą nazywają „Imperium Charisu”. Nie sądzę więc, abym był winny zdrady, skoro to moja monarchini pierwsza zdradziła mnie!

– Nikt nie oskarży cię o zdradę, jeśli wygrasz – powiedziała księżna spokojnie. Jej mąż domyślał się, że Mhargryt zachowuje spokój najwyższym wysiłkiem woli. – Ale jeśli przegrasz, jeśli Korona wyjdzie zwycięsko z tej konfrontacji, Sharleyan raczej na pewno zobaczy w tobie zdrajcę i zachowa się odpowiednio.

– Być może – skinął głową książę i sięgnął po filiżankę z czekoladą. Upił kilka łyčzków, a następnie odstawił filiżankę na spodeczek i obdarzył żonę przeciągłym spojrzeniem. – Jeśli przegramy, niewątpliwie poniesiemy konsekwencje. Zważ jednak, że tym razem działamy w sposób znacznie lepiej zorganizowany i skoordynowany aniżeli dwakroć za jej młodu. Obecnie w sprawę są zaangażowani niemal wszyscy chisholmscy wielmoże... Trudno oczekiwać, aby Sharleyan chciała ukarać nas wszystkich, ponieważ to by groziło jawnym przyznaniem się do tyranii z jej strony. Z pewnością czeka nas jakaś kara, nie sądzę jednak, aby konsekwencje dla naszych rodów były w tej sytuacji gorsze niż wtedy, gdy Sharleyan pozostanie u władzy i razem z Caylebem będzie plenić charisjańskie szaleństwo na naszej ziemi.

Mhargryt przyjrzała mu się uważniej i zastanowiła, czy jej mąż w tym konkretnym momencie zdaje sobie sprawę z tego, jak świętoszkowatą ma minę świadczącą o absolutnym poczuciu wyższości.

W ich małżeństwie od samego początku brakowało iskry miłości. Mhargryt ceniła w mężu cechy takie, jak wysoka kultura osobista, elokwencja, schludność i – przez większość czasu – łagodność. Jakiegokolwiek miał wady, wszystkie rekompensowało to, że był

doskonałym ojcem... aczkolwiek na swój własny sposób. Już dawno wszakże zrozumiała, że wedle skali używanej przez Zakon Bédard księżę jest socjopata. Szczerze wierzył w swoją wyższość, był przekonany, że inni ludzie żyją tylko po to, aby mu służyć, a co gorsza, również że nic złego nigdy go nie spotka. Przykrości zdarzały się innym, nie jemu!

Poza tym była bardziej niż pewna, że jej mąż nie docenił okrucieństwa Sharleyan Ahrmahk. Nie wychował się w hrabstwie Saint Howan tak jak ona. To nie jego kuzyn był kanclerzem skarbu. Tymczasem ona dorastała z sir Dynzaylem Hyntynem. Z tego powodu wierzyła mu, kiedy mówił o Sharleyan: jaka jest i co on w związku z tym czuje. Co więcej, wiele innych osób miało o cesarzowej podobne zdanie. Cokolwiek Bahnyvyl sobie myślał, ten jego spisek nie miał się okazać bułką z masłem.

Nie można było zaprzeczyć, że wraz z kompanami wszystko dobrze przemyślał. Całe wojsko znajdowało się albo w Republice Siddarmarku, albo w drodze tam, co w znacznym stopniu ograniczało możliwości reakcji Korony. W dodatku edykt króla Sailysa uniemożliwiał zwerbowanie oddziałów poszczególnych wielmożów, a już na pewno w stopniu, który byłby wystarczający dla zastąpienia armii z prawdziwego zdarzenia. To oznaczało, że spiskowcy – którzy przynajmniej od roku gromadzili ludzi i broń wbrew wspomnianemu edyktowi, dysponowali nie lada siłą, godną tej, którą dowodził hrabia Białej Skały razem z radą cesarską.

Oczywiście taka siła to było nic w porównaniu z tym, co para cesarska mogła wystawić przeciw spiskowcom. Nie ulegało też wątpliwości, że co znaczniejsze postaci, takie jak księżę Tayt, jej własny kuzyn, hrabia Shayne, księżę Eastshare, hrabia Wysokiego Wzgórza i dziesiątki innych arystokratów pozostaną wierne Sharleyan do śmierci. Nawet gdyby spiskowcy ostatecznie zwyciężyli, kosztowałyby to Imperium Charisu długą i krwawą wojnę domową. Tymczasem siedzący naprzeciw księżnej Latarni głupiec, którego miała nieszczęście poślubić, żył w błogiej nieświadomości co do bardzo przykrych konsekwencji, jakie poniosą przegrani spiskowcy, zakładając oczywiście, że przeżyją taką wojnę.

A on jakby nigdy nic wplątał w to mnie i naszą córkę Karyline, pomyślała, gotując się w środku z wściekłości. Jakby nigdy nic wystawił

na szwank życie dziesięcioletniej dziewczynki i nawet nie czuje z tego powodu wyrzutów sumienia.

– Cóż – odezwała się na głos, hamując gniew. – Mam szczerą nadzieję, że w tym jednym się nie mylisz. Bo...

Drzwi jadalni otworzyły się z impetem i w progu pojawił się dosyć wysoki mężczyzna o siwiejących brązowych włosach i całkiem sporym brzuszku. Na jego widok książę Latarni szarpnął głową, miotając z oczu błyskawice.

– O co cho...? – zaczął.

– Upraszam się łaski jego książęcej mości za to, że przeszkadzam – wyrzucił z siebie szybko, i raczej niewyraźnie, Dygry Dyangyloh. – Nigdy bym tego nie zrobił, gdyby nie wymagała tego sytuacja.

– O czym mówisz? – zażądał stanowczo odpowiedzi książę, zastanawiając się w duchu, czy Dygry przypadkiem nie jest pijany, co jednak byłoby do niego bardzo niepodobne. Mężczyzna ten pełnił funkcję jego szambelana od prawie piętnastu lat i nigdy nie zhańbił się tego typu niedyspozycją. Gdy książę to sobie uświadomił, przestraszył się, że może coś złego spotkało któregoś z jego współspiskowców, lecz prędko oddalił od siebie tę myśl jako nedorzeczną. Przecież zdecydowali się wystąpić przeciwko Sharleyan zaledwie przed paroma dniami!

– Właśnie przybył goniec od burmistrza Stoneyside. Ponoć kawalkada konnicy przekroczyła minionej nocy granicę księstwa Tayt na wysokości przełomów Kysahndrah. Zdaniem burmistrza chodzi o oddział w sile co najmniej brygady, który powinien dotrzeć do Stoneyside w ciągu zaledwie sześciu godzin od chwili wysłania przez niego tej wiadomości. A stamtąd do nas konni będą mieli góra dwa dni drogi!

– Co takiego? – Książę Latarni zmarszczył czoło, usiłując zrozumieć, co właściwie mówi do niego Dygry. Brzmiało to, jakby... – Konnica? – Pokręcił głową. – Niemożliwe!

– Burmistrz jest znany z opanowania i zdrowego rozsądku – przypomniał mu szambelan. – Właśnie dlatego mu zaufaliśmy, kiedyśmy szkolili naszych ludzi. – Mężczyzna potrząsnął głową, co jednak nie przegoniło niepokoju z jego oczu. – Raczej na pewno nie popełniłby takiego błędu.

– Ale... ale... to znaczy, że...

Książę Latarni gapił się na swego szambelana, czując, że ten jeden

jedyny raz jego słynny umysł, z którego był tak dumny, go zawodzi.

Sir Dynzayl Hyntyn stał na murze w Sherytynie i obserwował przez lornetkę rząd galeonów, które kierowały się w stronę przystani. Było ich całkiem sporo, zauważył. Moment później uśmiechnął się pod nosem, widząc błękitno-srebrną szachownicę powiewającą na maszcie. Oto do portu wpływała Cesarska Flota Charisu.

Kapitanowie okrętów, na których pokładach przewożone były ostatnie posiłki wysłane przez sir Fraizhera Kahlynsa do Republiki Siddarmarku, otrzymali tajne rozkazy, które mieli otworzyć dopiero po dotarciu do wyspy Windswept leżącej pomiędzy Morzem Chisholmskim i Kowadłem. Wówczas zawrócili, aby wysadzić przewożonych żołnierzy na przylądku Dziób Wyverny w Zebediahu, gdzie wielki książę, który niegdyś służył w piechocie morskiej jako generał Hauwyl Chermyn – już ich oczekiwał. Mieszkańcy Zebediahu wyidealizowali Sharleyan Ahrmahk mniej więcej wtedy, gdy pomogła im się rozprawić z poprzednim wielkim księciem, a już zwłaszcza gdy obdarzyła ich nowym. Teraz zaś wyjątkowo się ucieszyli na wieść, że trafią do nich tysiące charisjańskich żołnierzy, z czego jedna trzecia tak naprawdę przyszła na świat w Zebediahu, by razem z wierzchowcami i zwierzętami pociągowymi czekać na rozpoczęcie właściwej misji.

Ci ludzie mieli znacznie łatwiej niż członkowie samotnej brygady konnicy, która opłynęła zachodnie krańce Chisholmu, trzymając się otwartego morza, i koniec końców przybiła do wybrzeży księstwa Eastshare.

Brygada ta niepostrzeżenie przedarła się przez wyludnione tereny baronii Zielonej Doliny oraz księstwa Doliny Halbhook. Elahnah i Sailys Waistynowie być może nadal opłakiwali śmierć męża i ojca i żywili wątpliwości co do celu przyświecającego Kościołowi Charisu, ale i tak dobrze wiedzieli, po czyjej są stronie. Rzeźnicze zapędy Zhaspahra Clyntahna i jego Inkwizycji sprawiły, że ta dwójka straciła wszelkie złudzenia co do tego, komu ten człowiek służy. W efekcie nowy książę Doliny Halbhook w pełni poparł kuzynkę w chwili próby.

Zezwolił brygadzie na przejście przez swoje ziemie aż do granicy

z księstwem Tayt, gdzie z kolei wyszedł im naprzeciw sir Awstyn Tayt, daleki kuzyn Sharleyan Ahrmahk – z domu, ni mniej, ni więcej, tylko Tayt właśnie. Tenże osobiście poprowadził brygadę do Doliny Khantrayla, pomiędzy skryte w cieniu Góry Żelazne, w którym to miejscu członkowie brygady wypoczęli po forsownym marszu i przygotowali się do właściwego zadania polegającego na daniu zdecydowanej odpowiedzi spiskowcom.

Hrabia Saint Howan mógł pozostać w Cherayth. W gruncie rzeczy powinien był to zrobić. Decyzja, by wrócić do domu, niesła ryzyko, że ktoś zechce go skrytobójczo pozbawić życia celem zdestabilizowania sytuacji w hrabstwie, zanim połączone siły księcia Czarnego Konia oraz hrabiów Swayle i Świętego Drzewa przystąpią do działania, aby je zmiażdżyć z niemal wszystkich stron. Jednakże odkąd dowiedział się od *seijinów* o planach spiskowców, dobrze wiedział, gdzie musi się znaleźć tego dnia.

Obecnie dwie konne brygady płynące na pokładzie galeonów dystyngowanie zmierzających ku brzegowi miały zapewnić, że odpowiedź cesarzowej trafi do ludzi, którzy uwierzyli, że mogą mordować jej wasali, łamać jej prawa i odbierać godność jej poddanym, którym oboje z mężem poprzysięgli ochronę.

Z jakiegoś powodu hrabia Saint Howan – odkładając lornetkę – poczuł zwątpienie, czy tym ludziom spodoba się odpowiedź cesarzowej.

– Czego?! – ryknął książę Czarnego Konia nieco zbyt gniewnym tonem, gdy nieoczekiwanie rozległo się pukanie do drzwi jego gabinetu.

Dochodziła północ, a on śleczął nad najnowszymi depeSZami dostarczonymi mu pocztą wyvernją od księcia Skalistego Wybrzeża i hrabiny Swayle. Jako człowiek bardzo poukładany, nie cierpiał, kiedy mu się przeszkadza.

– Wybacz, wasza dostojność – zaczął Kynton Strohganahv – ale... Choć wiem, jak nie lubisz być odrywany od pracy, uważam, że powinieneś porozmawiać z... tym kimś.

Książę Czarnego Konia zmarszczył czoło skonsternowany. Strohganahv pełnił funkcję jego szambelana od trzydziestu lat,

wcześniej zaś miał okazję przez dekadę służyć poprzedniemu księciu, ojcu Paita Stywyrta. Obecny władca księstwa miał swojego podwładnego za człowieka w pełni opanowanego, którego byle co nie jest w stanie wyprowadzić z równowagi. Zachował kamienną twarz nawet wtedy, gdy wyrażał na głos sprzeciw wobec zaangażowania mocodawcy w obecne działania, a następnie odchodził, aby wykonać utrzymane w mocy rozkazy. Tymczasem dziś, teraz, wydawał się wstrząśnięty, o czym przede wszystkim świadczyło jego pobladłe oblicze.

– To znaczy z kim? – zapytał księżę Czarnego Konia.

– Myślę... Myślę, że najlepiej będzie, jeśli przedstawi ci się sama, wasza dostojność – rzekł Stroghanahv.

Mars na czole księcia tylko się pogłębił, ostatecznie jednak Stywyrta wzruszył ramionami.

– Zgoda. Wpuść ją, kimkolwiek jest.

Szambelan uklonił się i zniknął z powrotem za drzwiami. Moment później pokazał się z powrotem, a wtedy... Pait Stywyrta zerwał się na równe nogi.

– Witam, wasza dostojność – przemówiła atrakcyjna kobieta w zbroi Cesarskiej Gwardii Charisu. – Mówią na mnie Merch O'Obaith. Obawiam się, że przynoszę ci nie najlepsze wieści.

– C-c-co...?

Słyszając własne jąkanie, księżę Czarnego Konia poczuł, jak ogarnia go wściekłość. Tymczasem Obaith tylko się uśmiechnęła, błyskając szafirowymi oczami w blasku lampy. Jeśli *seijinka* – bo musiała to być *seijinka*, sądząc po oryginalnym imieniu, stroju i tych szafirowych oczach – była przejęta faktem, że gospodarz ma na swoich usługach ponad pół tysiąca zbrojnych tu, w Maryksbergu, w żaden sposób tego nie okazała.

– Za jakieś pięć godzin – poinformowała go – HMS *Maikelberg* wpłynie do Zatoki Maryksberskiej. Będą mu towarzyszyły dwa okręty artyleryjskie oraz galeony transportowe, przewożące dwa i pół tysiąca piechociarzy morskich. Kapitan Zohannsyn otrzymał rozkaz, aby wysadzić ich wszystkich na brzegu księstwa Czarnego Konia. Ich zadaniem zaś jest zajęcie twojej stolicy, po czym mają wkroczyć do hrabstwa Swayle, by tam połączyć siły z dwiema brygadami konnicy przybyłej od strony hrabstwa Saint Howan.

Książę Czarnego Konia zakolysał się na nogach i rozszerzył oczy ze zdziwienia, *seijinka* natomiast przechyliła z zainteresowaniem głowę.

– Zdaję sobie sprawę, że Charis zainwestował co nieco w modernizację artylerii nabrzędnej. Mam też świadomość, że przystąpiwszy do spisku, od razu kazałeś aresztować obsady dział i wyznaczyłeś zaufanych ludzi na ich miejsce. Domyślam się więc, że możesz spróbować powstrzymać kapitana Zohannsyna przed wypełnieniem rozkazów. Jeśli to zrobisz, sprawy przybiorą naprawdę paskudny obrót, przy czym gdy dym się już rozwieje, z Maryksbergu nie zostanie kamień na kamieniu.

Przez cały czas mówiła spokojnym głosem, ale jej nieziemsko szafirowe oczy, identyczne jak te, w które książę Czarnego Konia spoglądał, patrząc prosto w twarz Merlinowi Athrawesowi, miała zimne i twarde.

– W głębi ducha jestem prostą kobietą, wasza dostojność – dodała *seijinka*. – Jako taka nie lubię, gdy sprawy przybierają paskudny obrót. Wolę czyste i jasne sytuacje. Dlatego postanowiłam uprzedzić kapitana Zohannsyna, by zapobiec niepotrzebnej rzezi. Bo widzisz, jej cesarska mość rozkazała mi cię aresztować. Nie muszę chyba mówić, że najlepiej, abyś trafił do aresztu w jednym kawałku. Wszakże nikt mi tego wyraźnie nie powiedział, w związku z czym mogę liczyć na to, że zostanie mi wybaczone, jeśli dostarczenie cię w jednym kawałku okaże się niemożliwe... Przeszło mi nawet przez myśl, że zapobieżenie rzezi, w której życie straci mnóstwo twoich poddanych, wymaga, aby zdjąć ci głowę z ramion, zanim zdążysz otworzyć usta i wydać instrukcje podwładnym.

Rozległ się szelest katany wysuwanej z pochwy. Książę Czarnego Konia przełknął nerwowo ślinę, dostrzegłszy błysk stali w świetle lampy. Ostrze trzymane było pewną ręką.

Seijinka uniosła jedną brew.

– No więc jak będzie? Kazesz mi rozczarować jej cesarską mość czy nie?

.X.
Kwatera główna Armii Centrum
Selyk
oraz
Wysunięte linie
Zgrupowania Świętego Langhorne'a
Talmar
Marchia Zachodnia
Republika Siddarmarku

Nie przeszkadzajcie sobie – rzekł arcybiskup polowy Gustyv Walkyr, machając ręką w stronę swoich podwładnych, którzy zaczęli się zbierać, aby stanąć przed nim na baczność.

Członkowie sztabu odwrócili głowy, a niektórzy nawet unieśli brwi, widząc, że arcybiskup polowy zstępuje ze schodów i wkracza do bunkra, który hrabia Jedwabnych Wzgórz przydzielił mu w charakterze kwatery głównej. Reakcja osób zgromadzonych w pomieszczeniu nie mogła dziwić ze względu na późną porę.

– Macie lepsze rzeczy do roboty, niż prężyć się na baczność i salutować – dodał Walkyr w próbie rozluźnienia atmosfery, gdyż w niejednej parze oczu zdążył dostrzec poważny niepokój.

Kilka osób zaśmiało się pod nosem, po czym wszyscy wrócili do swoich zajęć, to jest do roboty papierkowej, jakiej nigdy nie brakowało w sztabie armii liczącej niemal milion żołnierzy. Walkyr nie zwracał na podwładnych więcej uwagi, a tylko przeszedł na środek pomieszczenia, gdzie przy mapie stał biskup polowy Ahlfryd Bairahn, szef sztabu Armii Centrum. Leżącą na dużym stole płachtę papieru oświetlała płonąca silnym płomieniem lampa zawieszona u sufitu dusznego, pachnącego ziemią bunkra.

– Czy mamy nowe wieści od biskupa polowego Styvyna, Ahlfrydzie? –

zapytał Walkyr, starając się nadać głosowi pewne, acz zatroskane brzmienie. Co do troski, odniósł pełen sukces. Pewność siebie jednak najwyraźniej go opuściła.

– Nie, eminencjo, niestety nie – odparł Bairahn.

Walkyr uświadomił sobie, że w normalnych okolicznościach nie zastałby tu o tej porze szefa sztabu.

– Biskup polowy Styvyn przesyłał regularne raporty, dopóki stacja semaforowa nie została zamknięta na noc, jednakże wiadomości się nie zmieniały. Miałem je wszystkie skompilować i przedstawić ci, eminencjo, o poranku. Osobiście podejrzewam, że oszczędza swoje rezerwy wyvern pocztowych do czasu, aż uzyska informacje od wszystkich swoich podkomendnych. W takiej sytuacji spodziewałbym się jakichś nowin dopiero tuż przed świtem. Pozwoliłem sobie także wypytać biskupa polowego Parkaira tuż przed tym, zanim zamknięto stację semaforową. Uzyskałem odpowiedź, że jak dotąd nie zauważył śladu heretyków.

– Rozumiem.

Walkyr wygładził wąsa knykциями prawej dłoni i opuścił wzrok na mapę ukazującą łuk długiego, liczącego aż osiemset mil frontu, za który była odpowiedzialna Armia Centrum. Większość tego odcinka obsadzona była tylko przez zwykłe posterunki – jedynie kluczowych dróg broniły starannie dobrane oddziały. Mógł zlecić zadanie utrzymania frontu tak małym siłom, ponieważ zajmowane przez nie tereny leżały z dala od głównych szlaków, a poza tym na razie dotarło do niego niecałe dwie trzecie obiecanych sił. Pozostała jedna trzecia znajdowała się „w trasie”, i to od wielu pięciodni.

Walkyr nie uważał, aby wsparcie dla hrabiego Jedwabnych Wzgórz było sprawą priorytetową, jednakże dał się przekonać, iż w obliczu sytuacji nie jest to rzecz całkowicie drugorzędna. I do tej pory nie zmienił zdania. Ale fakty sobie, a domysły sobie...

– Czy Tohbyais przypadkiem także jest na nogach?

– Coś mi mówi, że dziwnym zbiegiem okoliczności tak, eminencjo – odparł z uśmiechem Bairahn. – Właściwie to minęliśmy się, jak szedł po dzbanek świeżo zaparzonej herbaty z fasolowiśni. Wyjaśniłem mu, że od tego są podoficerowie, ale obaj dobrze wiemy, jak źle znosi klaustrofobię tego miejsca.

– Jeśli mam być szczery, nie mam o tym pojęcia. Bo widzisz, on nie

dzieli się ze mną takimi błahostkami.

– Czy aby na pewno rozmawiamy o tym samym człowieku, eminencjo? Tym, co to jest równie dobrym dyplomatą jak trzymany mocną ręką kij bejsbolowy?

– Czyżby ktoś tutaj wzywał nadaremno mojego imienia? – Zza pleców Walkyra rozległ się męski tenor.

Arcybiskup polowy odwrócił się i zobaczył stojącego tuż za nim wysokiego, jasnowłosego pułkownika Armii Boga.

Tak samo jak arcybiskup polowy, Tohbyais Ahlzhernohn pochodził z parafii Świętego Bahrtalama w południowych Górach Światła. W gruncie rzeczy dorastali w tej samej wiosce, a młodość spędzili pośród wysokich szczytów, gdzie o widok konia było trudno. Zdaniem Walkyra więc zakrawało na ironię to, że właśnie jego przyjaciel z lat dziecięcych stał się kimś w rodzaju eksperta, jeśli chodzi o wykorzystanie piechoty konnej na wzór Charisjan.

– Na pewno nie byłem to ja – powiedział cicho Walkyr. – Zakładając, że jesteś tym nad wyraz taktownym mężczyzną, za jakiego cię uważam.

– Za przeproszeniem, eminencjo, ale chyba mnie z kimś pomyliłeś – odparł Tohbyais, szczerząc wszystkie zęby.

Widząc to, Bairahn potrząsnął zrezygnowany głową.

Pomimo znacznej różnicy, gdy idzie o ich stanowiska, Tohbyais był tylko dwa lata młodszy od Walkyra. Za czasów dzieciństwa grali w tej samej drużynie baseballowej – to znaczy zanim Walkyr wstąpił do seminarium, a Tohbyais dołączył do Gwardii Świątynnej. Ten drugi pozostał profesjonalistą w każdym calu, tak że nic mu nie można było pod tym względem zarzucić, wszelako jako jedyny członek sztabu miał taką łatwość obcowania z arcybiskupem polowym. Aczkolwiek Bairahn musiał przyznać, że Walkyr jest o niebo bardziej przystępnym dowódcą niż jakikolwiek inny, którego znał.

– Takt nie zalicza się do moich największych zalet – podjął pułkownik, unosząc lewą rękę, w której trzymał dzbanek. – Ale przynajmniej przynoszę coś ciepłego do picia.

– Jak miło! – ucieszył się Walkyr, sięgając po kubki.

Następnie posłał Bairahnowi pytające spojrzenie, ale biskup polowy tylko pokręcił głową. Walkyr zaśmiał się cicho, odstawił jeden kubek na

bok, a dwa pozostałe podstawił Tohbyaisowi, aby je napełnił. Pułkownik nalał do każdego naczynia herbaty z fasolowiśni, by później postawić dzbanek na rozgrzanym kamieniu, pod którym palił się niewielki ogień. Dołożył doń bryłkę węgla i odwrócił się do arcybiskupa polowego. O dziwo, minę miał poważniejszą niż jeszcze przed chwilą.

– Domyślam się, eminencjo, że rozpytywałeś o mnie celem stwierdzenia, czy wyrobiłem już sobie zdanie na temat raportów nadesłanych przez biskupa polowego Styvyna?

Walkyr potaknął skinieniem, a Tohbyais się skrzywił. Ostrożnie upił łyk gorącej herbaty, zadumał się, a w końcu opuścił ręce, w których trzymał kubek, oplatając go palcami, i pokręcił głową.

– Dopóki nie ustalimy, z kim mamy do czynienia, wyrobienie sobie zdania o tej sytuacji raczej nie będzie możliwe – powiedział. – Jedyne, czego jestem pewien, to że nic a nic mi się to nie podoba. Naturalnie można się pokusić o niewinne wyjaśnienie. Przykładowo może chodzić o rodzaj rekonesansu. Albo dywersji dla odwrócenia uwagi od tego, co zamierzają naprawdę. Skoro jednak wszystkim nam wiadomo, że główna ofensywa heretyków odbywa się na południu, fakt, iż czterdziesto- czy nawet pięćdziesięciomilowy odcinek zabezpieczony przez naszą kawalerię został przełamany, poważnie daje do myślenia.

– Czasami życzylbym sobie, abyśmy różnili się w naszych opiniach – bąknął Walkyr.

Pociągnął łyczek naparu i westchnął z aprobatą, dzięki czemu jego napięte rysy twarzy wygładziły się nieco. Prawdą było, że Tohbyais przedsięwziął wyprawę po herbatę z uwagi na swoją klaustrofobię, z której był znany, aczkolwiek nie wśród wszystkich członków sztabu. Należało jednak dodać, że postarał się, aby herbata z fasolowiśni została zaparzona tak, jak się to robi w Górach Światła, gdzie zimy są długie i mroźne i ludzie potrzebują czegoś na rozgrzewkę. To z kolei wyjaśniało, czemu Bairahn odmówił poczęstunku. Prawdziwy eliksir archaniołów był dla osób z nizin napojem piekielnym, czego jednak Walkyr nie chciał mówić głośno.

Uchwycił mocniej kubek, nachylił się nad mapą i na powrót ściągnął rysy twarzy.

– Istotnie, to dziwne, że taka silna konnica włóczy się tak daleko od Przełęczy Tymkyna – rzekł w zamyśleniu. – Nie muszę chyba dodawać,

że bardzo nie lubię, kiedy dziwne rzeczy zaczynają się dziać w pobliżu mojej kwatery głównej?

– Henrai już zapytał hrabiego Tęczowych Wód i hrabiego Jedwabnych Wzgórz, czy mają jakieś informacje, które rzuciłyby światło na intencje heretyków działających na północ od Czarnych Wyvern – wtrącił Bairahn, co Wylkyr skwitował zadowolonym ruchem głowy.

Biskup polowy Henrai Shellai był odpowiedzialny za kompilowanie wszystkich informacji, jakie spływały do Armii Centrum. Nie podobało się to intendentowi Walkyra, arcybiskupowi nazwiskiem Ahlbair Saintahvo, ponieważ Shellai nie był ani inkwizytorem, ani schuelerytą. Tak się jednak składało, że Henrai był na tyle dobry w tym, co robił, że nawet Saintahvo nie potrafił wymyślić powodu, dla którego trzeba by go zastąpić kimś bardziej godnym zaufania. Czy też może raczej kimś bardziej uległym. „Nie chcę, byś gromadził informacje, jakkolwiek by one były zgodne z prawdą, skoro nie pokrywają się z tym, co oficjalnie głosi Inkwizycja” – taki argument byłby przesadą nawet w wypadku zausznika Zhaspahra Clyntahna.

– Jak na razie wiemy tyle – odezwał się Tohbyais – że liczni konni... mam tu na myśli charisjańską piechotę konną, nie siddarmarckich dragonów... docierają do naszych linii od strony traktu łączącego Mahrglys i Talmar. – Podszedł i zatrzymał się u boku Walkyra, koło mapy. W lewej ręce trzymał kubek, a palcem wskazującym prawej dłoni przesunął po wymienionym trakcie. – Fakt, że rozprzestrzenili się na tyle, by opanować każdą ścieżynkę w odległości trzydziestu mil od samego traktu... przy czym Harchończycy z Marylysu nawet się nie zorientowali... wywołuje u mnie pewne zdenerwowanie, eminencjo.

Puknął palcem kropkę, która oznaczała umocnione pozycje Harchończyków w połowie drogi między Glacierheart a Jeziorem Langhorne'a. Moment później pokręcił głową.

– W podobnych okolicznościach często przeszacowuje się liczebność wroga – zauważył. – Gwoli prawdy, lepiej to przeszacować, niż nie doszacować. Nie ma jednak na to żadnej reguły. – Zerknął na Walkyra, który skrzywił się boleśnie na tę aluzję do Cahnyra Kaitswyrtha. –

W tym wypadku musimy mieć do czynienia co najmniej z pełną brygadą. A najpewniej z kilkoma. To daje prawie szesnaście tysięcy ludzi. Może nie wystarczająco dużo, aby zagrozić naszym kluczowym

pozycjom, lecz w sam raz, by zmusić naszą kawalerię do wycofania się w głąb zajmowanego przez nas terenu. Dzięki temu zaś Charisjanie będą mieli wolną rękę w robieniu tego, co sobie zamierzeli. W dodatku, jeśli generałowi Symkynowi nie udało się obejść pozycji barona Srebrnego Księżycy, wróg z całą pewnością nadszedł od strony księstwa Eastshare.

– Mało prawdopodobne, aby Ahlvyn Symkyn obszedł pozycje barona Srebrnego Księżycy, eminencjo. Nie da się jednak tego wykluczyć – dodał zaraz asekurancko Bairahn. Walkyr popatrzył na niego; nie po to, by go skarcić, lecz by zachęcić do rozwinięcia wątku. Szef sztabu wzruszył tylko ramionami. – Baron Srebrnego Księżycy cieszy się dobrą reputacją, dodam, że w pełni zasłużoną. To doświadczony i zdolny dowódca. Nie ma jednak zmysłu, gdy idzie o logistykę, w przeciwieństwie do innych dowódców służących pod hrabią Jedwabnych Wzgórz. Z tego, co mi się wydaje, to generał Symkyn przenikał obie flanki barona Srebrnego Księżycy już od dłuższego czasu. Na szczęście nie widać, aby ktokolwiek kierował się prosto na Marylys, przynajmniej na razie. Drobne utarczki tam i siam to inna sprawa. Normalna rzecz w razie wysłania zwiadowców na terytorium wroga. Biorąc pod uwagę ocenę sytuacji dokonaną przez Syjon... – zawiesił głos, by Walkyr odpowiednio zrozumiał jego przesłanie, gdzie Syjon równał się Inkwizycji – wygląda na to, że heretycy chcą tylko odwrócić naszą uwagę od swoich działań ofensywnych na południu. Na pewno nie zaatakowali pozycji barona Srebrnego Księżycy ani nie próbowali przerwać szlaków zaopatrzeniowych. Wszakże... cokolwiek zamierzają... zdołali zdominować otwartą przestrzeń oraz łańcuch umocnień, które ciągną się od traktu do Jeziora Langhorne'a. Powinniśmy się więc liczyć z tym, że generał Symkyn jednak przerzucił niezauważenie brygadę czy dwie...

Tohbyais skinął głową.

– Mimo wszystko... z całym należnym szacunkiem... to jednak mało prawdopodobne, jak raczyłeś zauważyć. Baron Srebrnego Księżycy być może nie ma takiego kawaleryjskiego nosa jak inni, ale nie jest głupcem, no i ćwierć wieku przesłużył w armii cesarskiej, zanim Harchong powołał do życia Armię Pana Wszechmogącego i Archaniołów. Rozumie więc, jak ważna jest ochrona obu flank. Zresztą jego umocnione pozycje rozsiane wzdłuż traktu znajdują się na tyle blisko siebie, że raczej niemożliwością jest, by brygada... a tym bardziej dwie brygady zdołały

przeniknąć pomiędzy nimi niezauważone. Coś takiego byłoby nie lada wyzwaniem dla wroga! – Pułkownik potwierdził swoje słowa kolejnym kiwnięciem głowy. – Zatem moim zdaniem raczej mamy do czynienia z siłami księcia Eastshare, który wyruszył z Glacierheart i przemieszcza się po szutrowych drogach na północny wschód od Marylysu. – Ponownie stuknął palcem w mapę. – Nie ma tu zbyt wielu szczegółów, ale nietrudno się domyślić, że choć tamtejsze szlaki nie umywały się do traktu, to jednak umożliwiały przemarsz czy też przejazd wojsk. A że znaczna część gospodarstw i wiosek rozsianych między granicami Glacierheart i Republiki Siddarmarku już dawno opustoszała, nie miał kto intruzów wypatrzeć. Zupełnie jak na pustyni.

Walkyr zauważył, że ton głosu przyjaciela zmienił się na jeszcze bardziej ponury. Tohbyais Ahlzhernohn nigdy nie popierał akcji Miecz Schuelera; tkwiący w nim wciąż głęboko młody wieśniak z gór ubolewał nad tym, ile rodzin ucierpiało w zachodnich prowincjach Republiki Siddarmarku w jej wyniku. Miał jednak rację. Ta sama bezludność wyjaśniała, jakim cudem hrabia Wysokiego Wzgórza zdołał się dostać do Lasu Kyplyngyra dwa lata wcześniej.

To bardzo niepokojące skojarzenie... – pomyślał Walkyr.

– Ale skoro to są żołnierze Armii Westmarch księcia Eastshare, znajdują się o siedemset mil za daleko! Mają kawał drogi do swojego punktu zaopatrzenia! – zauważył Bairahn.

– Heretycy nieraz udowodnili, że potrafią szybko się zaadaptować do zmieniającej się sytuacji logistycznej – stwierdził Walkyr. – Aczkolwiek nie uśmiechałoby mi się osobiście mieć na głowie armii, którą trzeba zaopatrzyć w terenie, o jakim wspomniał Tohbyais. Jeśli to naprawdę księżę Eastshare, spodziewałbym się raczej, że on sam... albo Symkyn... wykurzy barona Srebrnego Księżyca z Marylysu, aby oczyścić trakt, zanim dostanie się tak daleko na północ. Z drugiej strony, jak na razie słyszeliśmy tylko o tej konnej piechocie w sile brygady czy dwóch. Nie da się wykluczyć, że ciągną za sobą zapasy. Nie zapominajmy bowiem, do czego uciekł się hrabia Wysokiego Wzgórza, kiedy przedostawał się na tyły księcia Harless!

– Ale jeśli to faktycznie księżę Eastshare, co też mu chodzi po głowie?

– Bardzo dobre pytanie, Ahlfrydzie – przyznał Walkyr z uśmiechem całkowicie pozbawionym humoru. – Przypuszczam, że możemy założyć

jedno z całą pewnością: Cokolwiek planuje książę Eastshare, nie spodoba nam się to ani trochę!

– Eee, sierżancie... Lepiej niech pan na to spojrzysz.

Sierżant Owyn Lynyrd się skrzywił. Głos, który go doleciał ze stromych schodków wiodących do okopu, należał do szeregowego Zhaika Tymahnsky'ego, najmłodszego wiekiem członka pierwszej drużyny. Był to mieszczuch, prosto ze stolicy, a przy tym przystojny, choć nieco krępy mężczyzna. Wszystko wskazywało na to, że kariera w wojsku to nie dla niego – nie pałał entuzjazmem, gdy przychodziło do długich marszów w deszczu czy pełnienia warty w mżawce. O dziwo jednak nie skarżył się jak niektórzy i choć był raczej niedoświadczony, to miał głowę na karku.

Niestety miał też upodobanie do tego, by meldować zniekanemu dowódcy drużyny każdy drobiazg. Najwyraźniej uznał, że lepiej donieść o jednej rzeczy za dużo niż o jednej za mało. W gruncie rzeczy Lynyrd przyznawał mu w duchu rację. W związku z tym jeszcze trudniej było sierżantowi przetłumaczyć młodzikowi, że czasem trzeba zachować milczenie... zwłaszcza gdy ów sierżant rozkoszuje się pierwszym kubkiem herbaty po naprawdę długim poranku. Większość plutonu właśnie zasiadała do śniadania po przeciągającym się czuwaniu, które rozpoczęło się dobrze przed świtem. Nikt właściwie nie spodziewał się żadnych ekscytujących zajęć, niemniej wszyscy się martwili, że jednak coś może się wydarzyć. Wszem i wobec było wiadomo, że heretycy preferują nocne ataki, a szczególnie ataki bladym świtem.

Chłopak pewnie wciąż czuje podenerwowanie, jak my wszyscy, pomyślał Lynyrd. To normalne, zważywszy, że gdzieś tu szwenda się heretycka kawaleria. Nawet ja, na Shan-wei, nie jestem całkiem spokojny!

Moment później uzmysłowił sobie, że Zhaik, zdenerwowany czy nie, ma dość oleju w głowie, aby zostawić w spokoju porucznika Ahdymsyna, który właśnie spożywał śniadanie, a zamiast tego pomęczyć sierżanta.

Lynyrd westchnął i popatrzył ze smutkiem na trzymany w ręku parujący kubek, po czym odstawił go na ziemną półeczkę, którą pracowicie wyciosał w ścianie okopu jakiś Harchończyk. Przynajmniej

będzie wiedział, gdzie go szukać, gdy już zbada, co też takiego tym razem wzbudziło zainteresowanie Tymahnsky'ego. Woń smażącego się bekonu, unosząca się znad ogniska rozpalonego po przeciwnej stronie okopu, sugerowała, aby zabrał się do badania bezzwłocznie i zakończył je jak najszybciej.

Myśl o śniadaniu poprawiła mu humor, jeśli można tak powiedzieć. Lynyrd wstał i przeciągnął się, aż mu strzeliły wszystkie kości, po czym zaczął się wspinać po schodach. Mógł się wyprostować na całą swoją wysokość, gdyż dach okopu, a właściwie bunkra znajdował się na wysokości dziewięciu stóp, licząc od dna okopu. Lynyrd nie lubił myśleć, ile wysiłku wymagało jego wykopanie, i bardzo się cieszył, że trzeci regiment przyszedł praktycznie na gotowe, zajmując część frontu przygotowaną przez Armię Pana Wszechmogącego i Archaniołów. Pozostałe odcinki, które odziedziczyła Armia Centrum, i nie były już tak „ekskluzywne”, tak więc Owyn Lynyrd nie zazdrościł innym oddziałom ich kwater. Osobiście żywił bardzo mieszane uczucia do łopaty i szpadla. Podobnie jak pułkownik Flymyng będący dowódcą trzeciego regimentu, Lynyrd także służył w pechowej Armii Glacierheart dowodzonej przez Kaitswyrtha i miał to szczęście, że trafił do domu na urlop zdrowotny na kilka miesięcy przed tym, zanim armia ta została rozbita w proch. Stacjonując w prowincji Skalistego Szczytu, zaczął doceniać głębokie, obłożone workami z piaskiem, dziury w ziemi. W jego opinii im głębszy okop, tym lepszy – szczególnie w obliczu heretyckiej artylerii. Rzecz tylko w tym, że wolał, aby to kto inny odwalał czarną robotę.

Myśląc o tym wszystkim, prychnął cicho, lecz nie zaprzestał wspinaczki. Właściwie nie było mu do śmiechu. Dywizja Świętych Męczenników biskupa polowego Styvyna Bryara została odtworzona z garstki ocalałych członków. Pod wieloma względami była to całkowicie nowa jednostka, licząca sobie niespełna osiem miesięcy. Nic dziwnego, że młody Zhaik nie był wyjątkiem. Większość żołnierzy miała znikomą doświadczenie i nadal tęskniła za domem. Mieli szczęście, że pozwolono im zająć pozycje obronne wzniesione przez kogoś innego, z dbałością o to, aby wykorzystać ukształtowanie terenu. Niestety nie orientowali się w okolicy tak dobrze, jak powinni.

Kapitan Lynkyn, dowódca drugiej kompanii, prowadził codzienne wypady, albowiem żadna mapa nie wyjawia człowiekowi wszystkich szczegółów niezbędnych do obrony terenu, za którego obronę ów człowiek

jest odpowiedzialny. Dziś także kapitan Lynkyn i porucznik Hyrbyrt Ahdymsyn dowodzący pierwszym plutonem mieli zabrać na taki rekonesans dwie drużyny. Zwłaszcza pierwszy z oficerów pragnął, aby jego podkomendni znali każdą piędź terenu, dzięki czemu mogliby odnaleźć drogę w ciemnościach podczas heretyckiego ostrzału. Jak na razie druga kompania wciąż miała braki w tym zakresie, w związku z czym sierżant Lynyrd był gotów prowadzić ćwiczenia do skutku, nie zważając, ile to będzie wszystkich kosztować potu i par butów.

Jakkolwiek spojrział, wolał, aby jego żołnierze tracili pot i obuwie anizeli krew. Niestety jak się okazało, tego dnia nie miało być okazji do wyjścia w teren.

Wyłonił się z okopu, omijając kanał zaprojektowany z myślą o tym, by przejmował rzucane w kierunku umocnień granaty, zamiast pozwalać im wpadać prosto do bunkra. Po obu stronach wejścia znajdowały się otwory strzelnicze, których nie brakowało także na innych ścianach. Od bunkra biegły w obu kierunkach zwykłe okopy, łączące go z bunkrami innych plutonów tej samej kompanii. Zewnętrzna strona najbardziej zewnętrznych okopów została umocniona za pomocą solidnych kłód wysokich na dwie stopy i tak samo szerokich, wyposażonych w otwory strzelnicze co kolejne sześć stóp, a do tego ochroniona wysokim na trzy stopy zwałem worków z piaskiem. Natomiast na przedniej ścianie każdego okopu, co dziesięć czy piętnaście jardów, wykopano poprzeczne galerie. Nie były oczywiście ani tak głębokie, ani tak dobrze chronione jak bunkry, lecz i tak dało się w nich schować przed deszczem szrapneli w razie, gdy heretycy zaczęliby ostrzalać ze swoich kątówek. Spowolnienie ataku gwarantowały zasieki, długie i splątane, które pokrywały całe przedpole i biegły od głównej linii obrony do wysuniętych transzei. Kolejne zasieki, jak również szeroki na sto jardów pas ostrzału, czyli całkowicie oczyszczony z drzew i krzewów oraz zaminowany szczodrze pas ziemi, strzegły zbocza biegnącego do pierwszej linii obrony po przeciwległej stronie wzgórz przed nimi.

W chwili obecnej ta właśnie pierwsza linia obrony była obsadzona większą liczbą żołnierzy niż zwykle, ponieważ do okopów zagnano także kawalerzystów strzegących do tej pory terenów przyległych do pozycji trzeciego regimentu. W terenie pozostawiono jedynie kilka posterunków piechoty okopanej jakieś dwa tysiące metrów od głównych sił. Lynyrd zamierzał odesłać tam na powrót jazdę, jak tylko otrzyma obiecwane

wsparcie.

Drugi pas bomb ziemnych znalazł się pomiędzy pierwszą i drugą linią okopów, chronioną przez szóstkę gwintowanych, opasanych dwunastofuntówek. Ich lufy ledwie wyzierały ze stanowisk ogniowych, a korpusy były przykryte gęsto obłożonym workami z piaskiem „dachem” grubym niemal na pięć stóp. Nie miał on szans powstrzymać pocisku z którejś heretyckiej kątówki, ale z wszystkim innym powinien sobie poradzić. Dwie czy trzy dziesiątki nowych przenośnych dział kątowych znalazło swoje miejsce za działami polowymi. Świątynna wersja tej broni była w dalszym ciągu masywniejsza, cięższa i zdecydowanie mniej ruchliwa niż wersja heretyków, a – przynajmniej zdaniem Lynyrda – jej obsada nie umywała się doświadczeniem do Charisjan, jednakże to i tak było o niebo więcej, niż miała Armia Glacierheart wtedy, gdy heretycy rozprawiali się z nią minionego lata.

No i naturalnie było jeszcze pół tuzina wyrzutni rakiet, które wylądowały na tyłach, daleko za głównymi pozycjami. Sierżant Lynyrd miał w związku z nimi mieszane uczucia. W życiu nie widział ich w akcji, lecz z rozmowy przy bimbrie z pewnym podoficerem artylerii dowiedział się, że mniej więcej jedna piąta chybiała. Lynyrd był w stanie pogodzić się z przestrzeleniem. Jednakże myśl, że rakiety mogłyby wybuchnąć, zanim dosięgnęły celu, wydawała mu się wyjątkowo niemiła.

Tymczasem Zhaik zdążył wrócić do obłożonej workami z piaskiem wieży obserwacyjnej w samym sercu umocnień kompanii, zadowolony, że udało mu się wywabić Lynyrda z bunkra. Sierżant wiedział, że chłopak uwielbia wschód słońca, i był zdania, że to w wypadku żołnierza mało naturalne. Jeśli o niego chodziło, wschód słońca kończył pracowity dzień służby. Ale że Zhaik naprawdę lubił być wcześniej na nogach oraz że potrafił się wspinać niczym pająkomatpa, to właśnie on zawsze pełnił poranną wartę i zajmował swój punkt obserwacyjny w tym samym czasie, gdy jego towarzysze broni zabierali się do spóźnionego śniadania. Teraz zaś szeregowiec gwałtownymi gestami domagał się, by Lynyrd do niego dołączył. Sierżant poddał się z westchnieniem i postawił stopę na pierwszym szczeblu drabiny. Zważywszy na to, że wieża miała niemal pięćdziesiąt stóp wysokości – a musiała być wysoka co najmniej tak, by dało się z niej zobaczyć pierwszą linię okopów – on sam miał mnóstwo czasu, by przybrać poważną minę godną sierżanta.

– Co znowu dla mnie macie? – warknął, wkraczając wreszcie na platformę wieży. – Bo zamierzałem...

– Przepraszam, panie sierżancie – przerwał mu Zhaik.

Lynyrd zamrugał. Szeregowy Tymahnsky nigdy mu nie przerywał. Była to jedna z rzeczy, które sierżant w nim lubił, choć wiedział, że ten stan nie utrzyma się w nieskończoność.

– Naprawdę bardzo przepraszam – powtórzył Zhaik. Lynyrd usłyszał w jego głosie napięcie, a w oczach dostrzegł... przerażenie. – Ale ja po prostu nie wiem, co to, u Langhorne'a, jest!

Chłopakowi głos się załamał. Wskazał więc milcząco na wschód, niemal wprost na słońce, które dopiero zaczynało się wyłaniać zza linii wzgórz. Lynyrd zmrużył oczy, ocienił je jedną ręką i spojrzał we wskazanym kierunku, starając się zrozumieć, o co może chodzić Zhaikowi. Ranek był przyjemny, praktycznie bezchmurny, panowało miłe czerwcowe ciepło, jak to w Marchii Zachodniej o tej porze roku. Cóż więc mogło...?

Zdębiał, zobaczywszy, że coś wzbija się w niebo. Patrząc pod słońce, nie widział szczegółów tego obiektu, zwłaszcza że cholerstwo – czymkolwiek było – znajdowało się dobre pięć mil od niego. Wypatrzył jednak, że ma kształt łyzy, aczkolwiek z pewnymi wypustkami, czymś w rodzaju brzechw strzał, u węższego końca. Jeżeli wzrok go nie zwodził i obiekt istotnie znajdował się pięć mil od niego, musiał mieć długość stu stóp, a może nawet więcej.

Gdy uświadomił sobie tę ostatnią myśl, poczuł, jak jego ciało przenika chłód. Coś tak wielkiego zwyczajnie nie mogło wzbić się w powietrze! A już na pewno nie bez pomocy jakiegoś demona!

– Ja... Ja nie wiem, co to jest – przyznał, dukając.

– Czy to... To znaczy... Może...?

– Nie wiem! – powtórzył ostrzej Lynyrd. – Ale jestem pewien, że musimy o tym jak najszybciej powiedzieć porucznikowi!

– Myślisz, że nas zauważyli, Zhaimy? – Gdy sierżant Kevyn Hahskyn zadawał to pytanie, jego brązowe oczy lśniły z uciechy. Tymczasem balon

klasy Wyverna, zwany *Sahmanthą* unosił się coraz wyżej.

Lecieli jakieś trzydzieści pięć stóp nad ziemią, od dziesięciu minut, kiedy porucznik Lawsyn z pomocnikami po raz kolejny sprawdzili cały ich sprzęt. Hahskynowi nie przeszkadzała ta zwłoka. Przeciwnie, popierał ją całym sobą. Minęły ponad dwa miesiące, odkąd ze swym obserwatorem – kapralem Zhaimysnem Ahlgoodem – otrzymał pozwolenie wzbicia się w powietrze po raz pierwszy. A przez taki czas może dojść do wszelakich nieprawidłowości. Na przykład ktoś z załogi mógł zawalić z powodu braku praktyki! To zrozumiałe, że lepiej dmuchać na zimne. Teraz przynajmniej znowu unosili się w górę, a sierżant uśmiechał się coraz szerzej, wyobrażając sobie miny Chłopców Świątyni.

– Założę się, że majty niejednego właśnie się splamiły! – zarechotał.

– Cieszę się, że cię to bawi, Kevynie – powiedział sucho Ahlgood. – Ale zapewniam cię, że nie będzie ci do śmiechu, jeśli przyślą tu parę regimentów, aby sprawdziły, z czym w rzeczywistości mają do czynienia.

– E tam. – Hahskyn machnął ręką. – Wedle raportów ich ciężkie działa kątowe nie mają takiego zasięgu. A na ich miejscu właśnie nimi bym się posłużył.

– No, bardzo mi poprawiłeś humor – poskarżył się Ahlgood, chwytając się rączki, gdy przód *Sahmanthy* raptownie się obniżył.

Na poziomie ziemi powietrze stało niemal nieruchomo, jednakże kilkaset stóp wyżej coś się działo. Dzięki płetwom stabilizującym i przemyślanej aranżacji komórek wodorowych – w połączeniu z otwartymi komorami, które umożliwiały powietrzu atmosferycznemu napełnianie powłoki w razie deficytu wodoru – balon pozostawał stabilny w prawie każdych okolicznościach. Nie znaczyło to oczywiście, że od czasu do czasu nie może się zakołysać. Obaj członkowie załogi mieli na sobie podwójną uprząż bezpieczeństwa, tak więc groźny upadek z wysokości raczej nie wchodził w grę, no chyba że cały balon by runął w dół, co jednak graniczyło z nieprawdopodobieństwem. Mimo to Ahlgood czuł się odrobinę niepewnie przy najlżejszym ruchu.

– Och, odpręż się. – Hahskyn pokręcił głową i jakby nigdy nic uniósł do oczu lornetkę, by spojrzeć na zachód. – Kapitan Poolahn nieprzypadkowo wybrał właśnie to miejsce, wiesz. Nie ma mowy, żeby Chłopcy Świątyni widzieli cokolwiek za tymi wzgórzami.

Ahlgood mruknął coś na zgodę, mimo że bynajmniej nie poczuł się uspokojony. W każdym razie nad ich bezpieczeństwem czuwał cały batalion konnej piechoty razem z plutonem wsparcia wyposażonym w moździerz M95. Nie znaczyło to, że Chłopcy Świątyni nie zdołają ich zepchnąć tam, skąd przyszli, ale można było założyć, że nie nastąpi to zbyt prędko. A odkąd *Sahmantha* wzniosła się w górę, raczej nikt nie był w stanie ich zaskoczyć.

– Nigdy nie powinni byli nam pozwolić zbliżyć się aż tak – mruknął.

– Znowu narzekasz? – Hahskyn opuścił lornetkę, spojrzał na niego i pokręcił głową z szerokim uśmiechem na twarzy. – Jesteś najbardziej marudnym człowiekiem, jakiego znam!

– Ktoś musi czuwać, abyś nie stracił kontaktu z rzeczywistością – odparował Ahlgood i zabrał się do rozkładania stolika przymocowanego za pomocą zawiasów do jednego boku bambusowej gondoli. Do blatu przyszpilona była mapa topograficzna, a jego zadaniem pozostało tylko sprawdzić, czy ołówki i przyrządy kreślarskie są gotowe do użycia. – Wiesz, gdyby nie wpadli na wykorzystanie wodoru, mogliby równie dobrze podłączyć ciebie i wykorzystać przepelniające cię powietrze, taki jesteś spuchnięty!

– O, ktoś tutaj się złości. – Hahskyn się zaśmiał.

Podczas tej wymiany zdań balon dalej unosił się w górę.

Oczywiście nikt nawet nie myślał o tym, aby wytwarzać wodór potrzebny do napełnienia czaszy *Sahmanthy* liczącej około trzydziestu tysięcy stóp sześciennych w pobliżu pozycji wroga. Produkcję takiej ilości gazu przy użyciu cynku i kwasu solnego należało prowadzić w kontrolowanych warunkach, najlepiej z dala od jakichkolwiek zagrożeń. Zresztą gigantyczny sprzęt potrzebny do produkcji wodoru i stopniowo powiększająca się czasza byłyby nietrudne do zauważenia. Dlatego balon przewieziono na miejsce startu już napełniony gazem i mocno przywiązany do trzydziestotonowego wozu należącego do trzeciej kompanii balonowej.

Gdy dotarli do celu, załoga naziemna ostrożnie odwiązała liny, dzięki czemu *Sahmantha* uniosła się w powietrze. Teraz, gdy mogła już osiągnąć zwykły pułap operacyjny, napędzany parą kołowrót znajdujący się na mniejszym, dziesięcotonowym pojeździe zaczął zwalniać ciężką linę przymocowaną do kosza. Co sekundę lina wydłużała się

o trzydzieści stóp. Przy tym tempie uzyskanie optymalnej wysokości zajęło tylko nieco ponad dwie minuty. Gdy mijali znacznik trzeciego tysiąca stóp, Ahlgood ostentacyjnie sprawdził uprząż swojego spadochronu. Hahskyn z kolei pokręcił głową i na powrót przyłożył lornetkę do oczu. W końcu osiągnęli pułap czterech tysięcy stóp.

Rozciągający się pod ich stopami teren przypominał obecnie jedną z map plastycznych wykonanych z masy papierowej, a tworzonych przez charisjańskich kartografów na potrzeby dowództwa Cesarskiej Armii Charisu. Nawet Ahlgood, wyposażony przez Langhorne'a w skłonność do narzekania, musiał przyznać, że widok jest cudowny. Zachwycała go ta perspektywa wyverny w locie, jak również fakt, że z tej odległości świat wydawał mu się taki mały... Właśnie dla takich chwil zgłosił się na ochotnika do Korpusu Balonowego, aczkolwiek nie dało się ukryć, iż kierowała nim także chęć pomocy w przetrąceniu karku Zhaspahrowi Clyntahnowi. Rozkoszował się rzeską bryzą, która owiewała wnętrze gondoli, szarpiąc rogami mapy. Gdy nabrał powietrza głęboko do płuc, poczuł, jak uderza mu ono do głowy niczym dobre wino.

– Już ci lepiej? – zapytał Hahskyn, odkładając lornetkę na miejsce do koszyka zawieszzonego u burty gondoli.

Słyszając jego cichy, niemal łagodny głos, Ahlgood się roześmiał.

– Chyba tak – odparł, sięgając po ołówek.

– Świetnie. Najwyższa pora brać się do roboty.

– Czekam na twój sygnał.

– W porządku.

Z wysokości czterech tysięcy stóp, przy przejrzystym powietrzu i z pomocą dobrej lornetki nawet mało doświadczony obserwator był w stanie wypatrzeć spore obiekty znajdujące się w odległości do pięćdziesięciu mil, a nawet nieco dalej, pod warunkiem że znajdowały się one na płaskim terenie. Oczywiście dotyczyło to idealnej pogody i doskonałej widoczności. W normalnych warunkach limit wynosił dwadzieścia mil, a pragmatyczne dowództwo Korpusu Balonowego dopuszczało myśl, że zwiad powietrzny ograniczy się do promienia tylko dziesięciu mil. W celu zapewnienia większej skuteczności zakładano, że w powietrze wzbiją się trzy „wyverny” równocześnie, dzięki czemu ich ogólny zasięg okaże się satysfakcjonujący. Wszakże na użytek tej konkretnej misji wykorzystano wyłącznie *Sahmanthę*, przy czym inne

oddziały kompanii znajdowały się niedaleko w tyle, posuwając się za konną piechotą, która osłaniała nadciągającą Armię Westmarch. Gwoli ścisłości, cała pierwsza eskadra piątego skrzydła balonowego miała się pojawić mniej więcej w tym samym czasie jak pierwsze brygady, mając w swoim składzie co najmniej jedenaście innych „wyvern”.

Tak czy owak, przed dotarciem posiłków to *Sahmantha* była oczami i uszami księcia Eastshare. Zdając sobie z tego sprawę, Hahskyn wolno zatoczył krąg bez odrywania lornetki od oczu.

– Baron Zielonej Doliny miał rację – rzekł z zamyśloną miną. – Nikt tam, na ziemi, nie pomyślał nawet, aby zamaskować swoje pozycje przed obserwatorem na wysokościach. – Zaśmiał się paskudnie. – To będzie drani słono kosztować, gdy już pojawią się nasze działa!

Obsada lornetki nosiła ślady znaczników w stopniach, które pozwalały mu orientować się dokładniej. Tak czy owak, pierwsze kilka minut spędził na chłonięciu ogólnego widoku. Ze swego punktu obserwacyjnego widział nawet Talmar – miasto, które jeszcze do niedawna nieźle sobie radziło i należało do całkiem bogatych. Oczywiście ostatnimi czasy to się zmieniło. Z czterech tysięcy stóp i takiej odległości jawiło się Hahskynowi zaledwie rozmytą plamą. Za to całkiem wyraźna była linia umocnień leżąca pomiędzy Talmarem i *Sahmanthą*, której istnienie podkreślało dodatkowo wczesnoporanne słońce. Hahskyn przyglądał się jej z uwagą przez parę chwil, a następnie zerknął na mapę, którą miał tuż przy sobie, aby lepiej zorientować się w przestrzeni.

– No dobrze – powiedział. – W odległości jakichś pięciu mil zaczyna się potrójna linia umocnień, która biegnie od Wzgórza Jeden-Dwa-Trzy do Farmy Shyndaila. Niech będzie, że ten odcinek liczy... trzy i pół mili. Pierwsza linia pokrywa okolice szczytu. Od niej odchodzą okopy komunikacyjne, które łączą się z drugą linią znajdującą się na przeciwległym zboczu. Dystans między nimi dwiema to jakieś dwieście pięćdziesiąt jardów. Kolejne kilkaset i mamy trzecią linię...

Znów patrzył przez lornetkę, podczas gdy Ahlgood robił notatki. W końcu zabrał się do nanoszenia szczegółów na mapę.

– Wygląda na to, że okopy komunikacyjne biegną zygzakiem, zmieniając kierunek co jakieś dwadzieścia jardów. – Skrzywił się. – Ciężko będzie je zniszczyć. Do tego wzdłuż trzeciej linii umocnień mamy

coś w rodzaju głębokich bunkrów...

– Biegną w górę zbocza po przeciwnej stronie doliny? – zapytał Ahlgood, nie przestając notować.

– Tak. – Hahskyn przez moment się namyślał. – To zdaje się ten sam układ, który zastosował hrabia Wysokiego Wzgórza na Przełęczy Tymkyna.

Wszyscy członkowie Korpusu Balonowego zostali szczegółowo wprowadzeni w odkrycia zwiadowców Armii Skalistego Szczytu, przynajmniej jeśli chodzi o umocnienia południowego zgrupowania Armii Pana Wszechmogącego. Nie mogąc użyć balonów, hrabia nie wiedział wszystkiego, lecz nawet te informacje, które uzyskał dzięki swoim zwiadowcom oraz oddziałom wsparcia artyleryjskiego, wystarczyły, by sierżant poskładał sobie obraz w pewną całość.

– Pierwsza linia okopów jest dla karabinierów, którzy mają osłaniać zasieki znajdujące się w dole zbocza – zaczął mówić na głos. – Zdaje się, że za drugą linią mieszczą się jakieś moździerze wsparcia. Samą drugą linię wzmacniają osłonięte workami z piaskiem doły dla strzelców wyborowych. Faktyczną linią obrony jest trzecia linia okopów. Widzę tam parędziesiąt dział, ułożonych tak, by broniły podejścia. A pomiędzy drugą i trzecią linią okopów znajduje się jeszcze jedna linia przeszkod. Pierwsze działo widzę jakieś sześćdziesiąt jardów od Wzgórza Jeden-Dwa-Trzy, nieco poniżej zachodniego krańca doliny. Dzięki temu są ustawione pod korzystnym kątem względem zbocza i mogą strzelać ponad głowami swoich. Kolejne rozstawione są co mniej więcej sto jardów... nie zdziwiłbym się, gdyby to było równo sto jardów... od tego miejsca do lasu na południe od Farmy Shyndaila. Ciężko mi wyłowić poszczególne bunkry, ale wydaje mi się, że jest jeden duży na tyle, by pomieścić całą drużynę Chłopców Świątyni, co sto pięćdziesiąt jardów, a między nimi te mniejsze. Zapewne płytsze od tamtych, chociaż dostrzegam mnóstwo worków z piaskiem. Mogę się tylko domyślać, ale i stamtąd chyba możemy spodziewać się gęstego ognia.

– Nie wygląda to najlepiej – mruknął Ahlgood.

– Wyglądałoby jeszcze gorzej, gdybyśmy nie wiedzieli, co nas czeka – zauważył Hahskyn. – No dobra... Kiedy patrzę za dolinę, widzę parę dróg, których nie ma na mapie. Zdaje się, że postanowili utworzyć kilka dodatkowych szlaków za swoim frontem, gdzie jak mieli nadzieję, nikt

ich nie zauważy. – Odwrócił się i rzucił Ahlgoodowi paskudne spojrzenie. – No ale się przeliczyli, dobrze mówię? Do tego widzę jeszcze zakryte płótnem wozy, które stoją zaparkowane za czymś, co przypomina ziemne wały. Założysz się, że to te przeklęte wyrzutnie rakiet, o których się nasłuchaliśmy?

– Pogarszasz mi coraz bardziej samopoczucie – mruknął Ahlgood.

– Nie moja wina. – Hahskyn wzruszył ramionami i wrócił do obserwacji. – Gdy spojrzeć za Farmę Shyndaila, teren jest tam otwarty, ale zdaje się, że...

Kontynuował opisywanie okolicy, a Zhaimsyn Ahlgood wszystko skrętnie spisywał. Gdy skończył, zasiadł przy stole i zabrał się do szykowania najgroźniejszej broni znanej ludziom: mapy.

– Eminencjo, nie mam pojęcia, co to może być – rzekł głuchym tonem biskup połowy Henrai Shellai. Przy okazji tego wyznania w jego oczach zagościł niepokój, a nawet coś jakby... strach.

Szkic przesłany im przez biskupa połowego Styvyna leżał na stole, emanując nieprawdopodobieństwem. Stworzony ręką młodego sierżanta z trzeciego regimentu Dywizji Świętych Męczenników, nosił podpis dowódcy plutonu, do którego należał rzeczony sierżant, a także dowódcy kompanii oraz pułkownika Brahdryka Flymynga, dowódcy trzeciego regimentu. Wszyscy ci oficerowie zgodnie zapewniali, że rysunek oddaje rzeczywisty obiekt do najdrobniejszego szczegółu. Niestety żaden z nich nie był w stanie stwierdzić, co przedstawia ani tym bardziej co widniejący na nim obiekt robi.

A zważywszy na twierdzenia Inkwizycji o konszachtach heretyków z demonami...

– To dość oczywiste, że mamy do czynienia ze swego rodzaju... balonem – oświadczył Ahlfryd Bairahn. – Nic innego nie przychodzi na myśl. Zatem... jeśli mam rację... to wybrzuszenie tutaj – popukał palcem gondolę – musi być swego rodzaju wozem. Zakładam, że w środku ktoś siedzi, najpewniej z lornetką, i ogląda z góry okolicę, pozycji pułkownika Flymynga nie wyłączając.

– To jakaś bzdura! – uniósł się arcybiskup Ahlbair Saintahvo. – Nie

ma sposobu, aby skonstruować balon tej wielkości! Do tego taki, co by się potrafił wzniesić na aż taką wysokość, zakładając, że szacunki nie są przesadzone! Jakim cudem toto utrzymuje się w powietrzu tak długo? Widziałem balony w Syjonie. Żaden z nich rozmiarem nie dorównywał temu. I wszystkie wymagały zastosowania rozgrzanego powietrza. Nie wyobrażam sobie, aby ktokolwiek zdołał wytworzyć wystarczająco dużo ciepłego powietrza, aby toto się wzbiło w przestworza. Zresztą żaden z tak zwanych świadków – prychnął pogardliwie – nie wspomniał ani słowem o ogniu ani dymie! Jeśli ktoś cokolwiek faktycznie widział, co do czego wcale nie jestem przekonany, bez wątplenia nie może to być balon!

Intendent zmiądzzył Bairahna wzrokiem, jednakże ów – szef sztabu arcybiskupa polowego Gustyva – odpowiedział na to niewzruszonym spojrzeniem.

– Eminencjo – zaczął uprzejmie, lecz stanowczo – to prawda, że nikt nie widział ognia ani dymu, nie będę więc udawał, że wiem, w jaki sposób utrzymują ten swój balon w powietrzu. Jednakże musimy wierzyć naocznyemu świadkowi. Tyle osób nie może się mylić! Niewykluczone, że to demony są za wszystko odpowiedzialne. Jestem tylko prostym żołnierzem, nie inkwizytorem ani znawcą demonów.

Oczy intendenta zalśniły złowieszczo, jednakże Bairahn ciągnął jakby nigdy nic:

– Jakkolwiek nazwiemy ten obiekt, balonem czy jakoś inaczej, nie ulega kwestii, jakie ma on przeznaczenie. To pojazd ułatwiający zwiad. Heretycy umieścili swoich obserwatorów na wysokości większej niż w wypadku którejkolwiek wieży na Schronieniu. I ci obserwatorzy właśnie oglądają nasze pozycje. Z czego wynika, że już wkrótce ich dowódcy dowiedzą się, jak są rozmieszczeni nasi ludzie, jak są rozmieszczone nasze umocnienia i działa. Nie będą musieli wysłać patroli, aby zdobyć te informacje. Wystarczy, że powiszą w górze odpowiednio długo, spiszą co trzeba i zrzucą swoje wiadomości tym na powierzchnię.

– W takim razie trzeba coś z tym zrobić! – warknął Saintahvo.

– Jak dotąd biskup polowy Styvyn stracił niemal dwa tysiące ludzi, próbując „coś z tym zrobić”, eminencjo. – Do rozmowy włączył się Gustyv Walkyr, który przemówił równie, a może nawet bardziej stanowczo niż jego przedmówca. – Dywizja Świętego Byrtryma straciła cały regiment

dragonów, którzy usiłowali podejść bliżej tego obiektu i ustalić, do czego jest przymocowany. To fakt nie mniej zatrważający niż samo istnienie obiektu, dla którego nie mamy nazwy.

– Nie rozumiem, o czym mówisz... eminencjo – odezwał się Saintahvo niepewnie, prawie zapominając o formułkach grzecznościowych.

– Mówię o Dywizji Świętego Byrtryma pod dowództwem Phylpya Sherytyna – wyjaśnił Walkyr. – Którego znam osobiście – dodał po chwili milczenia. – Sam go poleciłem na to stanowisko, gdy dywizja powstawała. To dobry oficer, Ahlbairze. – Celowo zwrócił się do intendenta po imieniu. – Bardzo dobry. Pełen opanowania i godzien zaufania. Nie ma w zwyczaju składać raportów, jeśli nie jest czegoś całkowicie pewien. W razie gdy ma wątpliwości, zaznacza to wyraźnie. Tym razem donosi, że w lesie natknął się nie tylko na konnych, ale też na strzelców, i to w sile batalionu. Czekali na niego, jeśli mu wierzyć, a ja mu wierzę. Domyślam się, że wypatrzyli go ci obserwatorzy, o których mówi Bairahn, i przekazali wiadomość dalej. Rzecz jednak w tym, że nie mówimy tylko o konnej piechocie i ataku kawaleryjskim. W dalszym ciągu nie mamy pojęcia, czy to ludzie księcia Eastshare czy generała Symkyna, wszakże jedno nie ulega kwestii: jest ich od groma, chociaż... z tego, co wiemy o planach heretyków na to lato... nie powinno ich tu w ogóle być, a już na pewno nie w takiej masie.

Saintahvo zacisnął szczęki. Pojął w lot aluzję Walkyry, wolał jednak zmilczeć.

– Nie będę się nad tym rozwodził – podjął Walkyr. – Nie zamierzam także dywagować, czy to obiekt z tego świata, czy ze świata demonów. Sam fakt jego istnienia jest wystarczająco zły dla nas. Uważam, że da naszemu wrogowi wielką przewagę, i to w aspektach, o jakich nam nawet się nie śniło. Szczególnie że... skoro jest jeden taki obiekt, i to tak daleko od ich pozycji... musi ich być więcej, o czym zapewne przekonamy się w najmniej odpowiednim momencie. Tymczasem... jak wiadomo nam wszystkim... nasze plany zakładały, że heretycy skupią swoje działania na południu. Nie wątpię, że nasi żołnierze będą walczyć z odwagą i poświęceniem, jednakże faktem pozostaje, iż dysponuję zaledwie dwiema trzecimi oryginalnego stanu osobowego, a prawda jest taka, że zostałem przydzielony na ten odcinek, gdyż wydawał się on najmniej zagrożony. Generalnie, pomijając oddziały biskupa polowego Tayrensa, moi ludzie są zieleni. To nie weterani, to nawet nie doświadczeni

wojskowi... Nie sposób więc przewidzieć, jak się zachowają podczas chrztu bojowego. W dodatku – dźgnął palcem szkic leżący wciąż na stole – kiedy zobaczą nad swoimi głowami coś takiego, ich morale bezsprzecznie spadnie, i to znacznie.

Widząc, że Saintahvo patrzy na niego bez mrugnięcia okiem, Walkyr potrząsnął głową.

– Twierdzą tylko, że heretycy po raz kolejny nas wykiwali. Ta kampania na Przełęczy Tymkyna to ściema. Świadczy o tym dobitnie fakt, że jak na razie hrabia Jedwabnych Wzgórz widział tylko trochę artylerii i jakieś potyczki, co świadczy, że hrabia Wysokiego Wzgórza nigdy nie zamierzał prowadzić znaczących działań na południu. A może miał taki zamiar, lecz ich szpiedzy odkryli, że nasi szpiedzy nas przed tym przestrzegli, w związku z czym w ostatniej chwili dokonali zmian w strategii. Tego nie mogę być pewien. Wielu rzeczy nie mogę być pewien. Ale jedno wiem z całą pewnością: heretycy przypuszczają zmasowany atak na Armię Centrum. Jestem nawet gotów się założyć, że te oddziały, które zauważyliśmy, to awangarda sił księcia Eastshare. Zamiast przerzucić Armię Westmarch na południe celem wsparcia hrabiego Wysokiego Wzgórza, wydał rozkaz marszu na północ. Nasze szacunki wskazują, że ma pod sobą niemal dwieście tysięcy żołnierzy, których wspiera artyleria, jakiej możemy tylko pozazdrościć. Jeżeli książę Eastshare zdołał przemieścić działa do przodu, a bardzo możliwe, że to zrobił, zważywszy na to, że minął Marylys i dostał się na główny trakt, musimy się liczyć z tym, że nasz front wkrótce zostanie ostrzelany.

– No i? – zapytał Saintahvo, gdy cisza się przedłużała.

– No i musimy przekonać Syjon – Walkyr tylko wielkim wysiłkiem woli nie powiedział „musimy przekonać Zhaspahra Clyntahna” – że zostaliśmy zmyleni co do intencji wroga. Tymczasem powinniśmy zacząć przerzucać część lewej flanki hrabiego Jedwabnych Wzgórz na północ. Zdążyłem już przesłać za pomocą semaforów wiadomość do hrabiego Tęczowych Wód, który przyznał, że moja ocena sytuacji wydaje się prawidłowa. Sam zastanawia się, z których oddziałów mógłby zrezygnować, przesuwając je na południe. Albowiem skoro to książę Eastshare przymierza się do ofensywy, z pewnością depcze mu po piętach baron Zielonej Doliny. Cokolwiek planuje ten pierwszy, ten drugi ruszy prosto na Lake City i Skrzydła. Skieruje się ku Jezioru

Zachodniego Skrzydła i dalej ku ujściu Kanału Świętego Langhorne'a, niczym jaszczurodrap, który wytropił łatwą ofiarę. Hrabia musi go przed tym powstrzymać za wszelką cenę. Nie muszę chyba mówić, że skoro księżę Eastshare dysponuje balonami, baron Zielonej Doliny także je ma.

Saintahvo zrobił taką minę jak jaszczurkot przy wydalaniu rybich ości. Posłał miazdzące spojrzenie arcybiskupowi polowemu i jego sztabowi, przyszpilił ich wzrokiem na dobre parę sekund, po czym gniewnie wzruszył ramionami.

– Moim zdaniem przesadzasz – powiedział. – Ale kontrasygnuję wszystkie depesze, które wyślesz do Syjonu. W końcu – uśmiechnął się blado – jestem tylko inkwizytorem, nie żołnierzem. Jako taki nie muszę się znać na intencjach wroga.

Walkyr nadał nozdrza, jakby chciał jakoś zareagować, lecz tylko skinął głową.

– Dziękuję – rzekł. – Myślę, że tymczasem...

– Proszę o wybaczenie, eminencjo...

Walkyr odwrócił się zdumiony, słysząc, że odezwał się jego osobisty adiutant, major Ahntahn Mastyrzyn. W normalnych okolicznościach major nigdy mu nie przerywał. Już miał rzucić w jego kierunku kilka ostrych słów, ale zauważył dziwny wyraz twarzy swego podwładnego. Ignorując jawną irytację intendenta, rzucił:

– Słucham, Ahntahnie.

– Eminencjo, właśnie otrzymaliśmy wiadomość semaforową od biskupa polowego Ahrnahlda. Heretycy wprowadzili do akcji jeszcze sześć... tych rzeczy. – Ruchem głowy wskazał szkic. – I rozpoczęli ostrzał linii Talmar.

.XI.
Wysunięte linie
Zgrupowanie Świętego Langhorne'a
Talmar
Marchia Zachodnia
Republika Siddarmarku

Ciężkie pociski kątovek spadały na okopy i bunkry drugiej kompanii niczym podkute buciory Shan-wei. Niektóre z nich swą mocą przekraczały wszystko, do czego była przyzwyczajona Armia Boga. Przy zderzeniu z ziemią zagłębiały się na wiele jardów, a powstałe w ten sposób leje były zdolne pochłonąć całe plutony. W powietrzu roiło się od dymu, darni, kurzu, odłamków i fragmentów niegdysiejszych zasieków, które zwłaszcza stanowiły śmiertelne zagrożenie.

Jakby tego wszystkiego było mało, jeden z pocisków wylądował na dachu kwatery dowodzenia kapitana Tymythy'ego Lynkyna. Głębokość bunkra była wystarczającą ochroną w kontakcie z eksplodującym pociskiem sześciocalowego działka kątowego, tak się jednak nieszczęśliwie złożyło, że na bunkier spadł pocisk ośmiocalowy, trzykrotnie cięższy i czterokrotnie silniejszy. Wprawdzie nawet jemu nie udało się przeniknąć do samego bunkra, jednakże w wyniku eksplozji doszło do zawalenia konstrukcji. Trzech członków sztabu wyszło z tego cało, niestety nie było wśród nich kapitana Lynkyna.

– Kapitan nie żyje, sir! – zameldował sierżant Lynyrd prosto do ucha porucznika Ahdymsyna. I tak musiał krzyczeć, aby przełożony go usłyszał pośród ogólnego hałasu, chociaż obaj znajdowali się wewnątrz bunkra. – Porucznik Sedryk także zginął! To oznacza, że teraz pan dowodzi, sir!

Hyrbyrt Ahdymysyn odwrócił się od piekielnej panoramy, która rozciągała się za szczeliną obserwacyjną jego bunkra, i spojrzął na sierżanta z niedowierzaniem. Nagle stał się najstarszym stopniem oficerem? *To niemożliwe!* – pomyślał.

Wtedy jednak Lynyrd wskazał ruchem głowy stojącego obok niego, wycieńczonego i zakrwawionego kaprała, w którym Ahdymysyn rozpoznał jednego z adiutantów kapitana Lynkyna. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak ten człowiek zdołał przedrzeć się z bunkra dowodzenia aż tutaj, ale miał przed sobą cielesny dowód, że nie była to rzecz niewykonalna.

Podczas gdy z nieba leciały kolejne pociski, ziemia drżała i podrygiwała niczym przerażone zwierzę. Heretycki ostrzał rozpoczął się godzinę przed świtem, po tym jak zakończono poranny apel, za to przed tym, zanim śniadanie było gotowe. Bombardowanie nadeszło nagle, bez żadnego ostrzeżenia, bez choćby cienia sugestii, że wrogowi udało się przemieścić artylerię bliżej i udzielić jej wsparcia w postaci konnej piechoty i strzelców. Grad pocisków runął z jaśniejącego nieba, które zapowiadało ładny, słoneczny dzień, niczym jakiś potwór. Jął czynić spustoszenia wśród pozycji Ahdymysyna i rozprawiać się z żołnierzami, w dużej części jego podwładnymi, którzy jeden po drugim niknęli w płomienistej paszczy. Porucznik nie wierzył, że taka precyzja ostrzału jest w ogóle możliwa. Zarówno w trakcie szkoleń, jak i podczas drogi z Syjonu na front nasłuchiwał się opinii, że heretycka artyleria jest celniejsza i bardziej elastyczna niż artyleria Armii Boga, wszakże za nic w świecie nie spodziewał się czegoś takiego!

– Jakie rozkazy, sir? – zapytał go Lynyrd.

– Niezmienne, sierżancie – odparł Ahdymysyn. – Naszym zadaniem jest utrzymanie pozycji i to właśnie będziemy robili. Nie możemy jednak wysłać chłopców do okopów przy tej nawale ogniowej. – Pokazał palcem za ściany bunkra, gdzie dym i kurz objęły w posiadanie powierzchnię. – Żołnierze wiedzą, czego od nich oczekujemy, gdy ostrzał ustanie. Nie zamierzam wysłać ciebie ani kogokolwiek innego – uśmiechnął się do kaprała, któremu nie zabrakło odwagi, aby pokonać piekło celem doniesienia mu, że objął dowodzenie – z jakimikolwiek innymi instrukcjami.

– Rozumiem, sir. – Lynyrd także się uśmiechnął. – I zgadzam się w całej rozciągłości. Coś mi się jednak wydaje, że będą nam potrzebne

posiłki. Wygląda na to, że braknie nam ludzi, czego pułkownik wyraźnie nie przewidział, wydając pierwotne rozkazy.

– Co ma być, to będzie – rzekł Ahdymysyn głucho. – Zresztą wątpię, abyśmy byli w stanie wysłać do niego choćby jedną wyvernę z wiadomością. Marnie widzę szanse skrzydlatego biedaczyska, które by miało przedrzeć się przez tę nawałę. Ale z drugiej strony – zachichotał nieoczekiwanie dla samego siebie – raban, jaki robią heretycy, powinien chyba dotrzeć do pułkownika w porę, aby zrozumiał, co się tutaj dzieje!

– Jeszcze sto jardów! – rzucił ostro sierżant Hahskyn, przyglądając się, jak zbcze wieńczące dolinę ginie w tumanie ognia i dymu.

– Jeszcze sto jardów? – powtórzył Ahlgood, upewniając się, że dobrze usłyszał.

– Tak – potwierdził Hahskyn. – Już prawie weszli w pole rażenia.

– Robi się.

Ahlgood naskrobał dane na kawałku papieru, po czym wychylił się z gondoli, aby przytwierdzić kapsułę z wiadomością to drutu rozpiętego pomiędzy gondolą i kołowrotem na wozie. Gdy ją puścił, zaczęła zjeżdżać szybko w dół z metalicznym wizgiem. Wtedy on wziął do ręki mniejszą lornetkę i rzucił okiem nad ramieniem Hahskyna.

Zreorganizowane baterie kątovek miały na stanie zaledwie połowę tego, co ich odpowiedniki w kategorii dział polowych, jednakże *Sahmantha* wypatrywała dla całego batalionu ośmiocalowych kątovek. Te właśnie armaty zredukowały swój sektor umocnień wroga do dymiących zgliszczy i ruin, mimo że oddawały salwy z pozycji leżących trzy mile na zachód o balonu. Rzecz jasna, nikt nie miał złudzeń, że zniszczenia są kompletne.

Tak samo jak pozostali obserwatorzy Korpusu Balonowego, na własne oczy ujrzeli skutki bombardowania ciężkich dział kątowych. Ćwiczyli tutaj, w republice, w obozie Mahgail, sporej bazy Cesarskiej Armii Charisu wzniesionej na odcinku wybrzeża Zatoki Tansharskiej. Obóz Mahgail leżał na uboczu i był dobrze strzeżony, nie musieli się więc martwić, że raporty o aktywności balonów dotrą do Świątyni. W dodatku mieścił w swoich granicach znaczny pod względem wielkości poligon

artyleryjski. Załogi balonów miały możliwość zapoznania się z fortyfikacjami stworzonymi przez charisjańskich inżynierów z myślą o tym, aby tworzyć naprawdę realistycznie wyglądające cele. Stąd było powszechnie wiadome, że pozycje Armii Boga ucierpiały mniej, niżby się mogło wydawać. Z drugiej strony, z całą pewnością ucierpiały wystarczająco, odkąd wzeszło słońce. Dlatego obecnie sześciocalowe działa kątowe kończyły demolowanie zasieków i zabierały się do niszczenia okopów i transzei, podczas gdy ekipy inżynierskie ruszały naprzód, aby oczyścić pola minowe.

Natomiast ośmiocalowe działa kątowe miały całkiem inne zadanie.

Planiści Chłopców Świątyni najwyraźniej chcieli zamaskować swoje wyrzutnie rakiet, umieszczając je po przeciwnej stronie wzgórz z racji przewagi, jaką dawała im trajektoria wystrzeliwanych pocisków. Niektóre zostały od siebie oddzielone za pomocą ziemnych wałów, wszakże Hahskyn wątpił, aby to miało na celu ochronę ich przed artylerią Sprzymierzonych. Już prędzej zadaniem tych umocnień było uchronienie sąsiednich wyrzutni, w razie gdyby przydarzył się wypadek. Bóg świadkiem bowiem, że nawet wyrzutniom rakiet Cesarskiej Armii Charisu, które wedle szpiegów były bardziej godne zaufania niż jakakolwiek broń znajdująca się na stanie Armii Boga, przytrafiały się gorsze momenty, w związku z czym możliwość przypadkowej eksplozji była więcej niż prawdopodobna.

Pewne było jednak co innego: ktokolwiek dowodził obroną tego odcinka frontu po stronie Kościoła Matki, nie był idiotą. Bez wątplenia natychmiast zdał sobie sprawę, co oznacza w konsekwencji użycie w akcji Korpusu Balonowego. W każdym razie Ahlgood na przestrzeni ostatnich dwóch dni spostrzegł, że przeciwnik stara się lepiej zakamuflować pozycje swoich wyrzutni rakiet. Naturalnie nie ulegało kwestii, że jeśli miały wkroczyć do akcji, musiały znaleźć się na odkrytym terenie, lecz przecież – tak jak ich charisjańskie odpowiedniki – tak naprawdę były tylko zaadaptowanymi wozami towarowymi. W efekcie całkiem pokaźne siły oddelegowano do wznoszenia redut, w których dałoby się zaparkować te wozy pod osłoną masy worków z piaskiem i z których byłyby one wytaczane w razie potrzeby.

Tak się jednak składało, że skonstruowanie osłony, która byłaby w stanie zabezpieczyć cokolwiek przed dwustufuntowym pociskiem lecącym z prędkością tysiąca czterystu stóp na sekundę, nie było takie

łatwe. Wprawdzie nie było też niemożliwe, o czym Hahskyn przekonał się w trakcie swego szkolenia artyleryjskiego. Wymagało jednak okopania na taką głębokość, jaka w tych warunkach przekraczała możliwości czasowe drugiej strony. Nie wspominając o tym, że Armii Boga przydałyby się, i to bardzo, nowe osłony produkowane przez Zakłady w Delthaku, no i oczywiście sporo cementu. Tak więc przy ograniczonym dostępie do materiałów i narzędzi żołnierze Armii Boga mogli sobie tylko pomarzyć o skutecznym ukryciu swych wyrzutni. I dlatego Hahskyn teraz jakby nigdy nic przyglądał się zimnym wzrokiem, jak obserwator dwudziestego trzeciego batalionu artylerii Cesarskiej Armii Charisu czyni odpowiednie korekty i znowu daje ognia.

Dwadzieścia trzy sekundy później szesnaście pocisków eksplodowało tuż obok siebie po drugiej stronie wzgórz, które miały skrywać wyrzutnie rakiet Dywizji Świętych Męczenników przed okiem wroga.

– Tak! – syknął triumfalnie Hahskyn, gdy na jego oczach co najmniej dwa stanowiska zniknęły w chmurze ognia.

Mimo to część rakiet została odpalona i z potępieńczym wyciem straconych dusz pomknęła bez celu przed siebie. Trzy z nich spadły niemal prosto na szczyty bunkrów i okopów, na które sypał się grad mniejszych pocisków. Dwom jednak udało się pomknąć bezpośrednio w kierunku Talmaru. Niestety ich zasięg był zbyt mały, aby mogły dotrzeć do tego opuszczonego miasta... Okazał się jednak wystarczający, by spadły na zagrody, w których Dywizja Świętych Męczenników trzymała swoje zwierzęta pociągowe.

Skutki były jeszcze straszniejsze niż to, co spotkało właścicieli tych smoków i mułów, a to dlatego, że zwierzętom nie dało się niczego wytłumaczyć. Z ich gardeł dobywały się ryki i charki, podczas gdy wokół rozpętało się pandemonium. Dostatecznie przerażone ostrzałem Charisjan i spanikowane, parły przed siebie, gotowe strataować wszystko i wszystkich. Większość ogrodzenia runęła pod ich kopytami i łapami, nie całość jednak, tak że wiele osobników skończyło zgniecionych pomiędzy ciałami pobratymców a przeszkodą.

– Przekaż, że trafili w dziesiątkę! – zawołał Hahskyn. – Ale przy następnej salwie, niech skorygują cel o jakieś trzysta jardów na północ. I dodaj, że jak się rozprawią z celem na dobre, damy im znać.

– Podtrzymać ogień pod aktualnym kątem. Skorygować o trzysta

jardów na północ. – Ahlgood skrócił przekaz.

– Właśnie tak – potaknął Hahskyn.

Moment później usłyszał, jak kolejna wiadomość z metalicznym wizgiem opuszcza gondolę, by pomknąć w dół; nawet wtedy jednak nie odjął lornetki od oczu. Zmienił za to ostrość i uśmiechnął się jeszcze paskudniej, obserwując, jak Chłopcy Świątyni rozpaczliwie starają się okopać swoją artylerię. Hahskyn bardzo wątpił, aby artylerzyści Kościoła Matki dorównywali artylerzystom Imperium Charisu, w obecnych okolicznościach nie to jednak było najważniejsze. Decydujące znaczenie miał zasięg ich dział, który był znacznie mniejszy. Starali się skontrolować ataki artylerii Armii Westmarch, ale te kilka pocisków, które wystrzelili, wystrzelili na ślepo – bez *Sahmanthy* nie byli nawet w stanie dojrzeć rozbłysków charisjańskich luf. Oczywiście pociski te spadły daleko przed charisjańskimi pozycjami. Hahskyn nie wątpił, że w obecnej chwili Chłopcy Świątyni kulą się w swoich norach, przeczekując najgorsze i licząc na to, że w końcu Charisjanie znajdą się w ich zasięgu.

Tak się jednak składało, że ich pozycje znajdowały się w zasięgu średniej i ciężkiej artylerii Cesarskiej Armii Charisu. A tymczasem podniebni obserwatorzy Sprzymierzonych metodycznie podawali kolejne cele, od tych najbliższych do najdalszych. Jak tylko dwudziesty trzeci batalion średniej artylerii skończy z wyrzutniami rakiet Kościoła Matki, przyjdzie pora na artylerię Armii Boga.

– No, już czas, sir – powiedział z westchnieniem ulgi pułkownik Sailys Trahskhat.

Brygadier Byrk Raimahn podniósł głowę znad mapy, której się przyglądał, nabijając fajkę. Gdyby go ktoś zapytał, nie potrafiłby odpowiedzieć, czemu właściwie poświęca mapie tyle uwagi. I tak było za późno na zmianę planów, a tym bardziej zmianę rozkazów, które wydał. Chyba po prostu tak był skonstruowany: czuł, że musi tu stać i patrzeć na mapę, zastanawiając się, co mógł zrobić inaczej... lepiej... Prychnął na tę swoją perwersję i raz jeszcze rozważył, jak – na Boga Jedynego – się tutaj znalazł.

Kiedy golił się każdego ranka, spoglądał na twarz, która niewiele się różniła od twarzy mężczyzny, a właściwie młodzieńca, którą widział w lustrze jeszcze przed tym, zanim akcja Miecz Schuelera rozpoczęła się w dzielnicy charisjańskiej stolicy Republiki Siddarmarku, przynosząc wraz z sobą falę krwi, ognia i grabieży. Wszelako były to wydarzenia sprzed dwóch i pół roku, w subiektywnej perspektywie zaś – z poprzedniego wcielenia. I tak, jego oczy się zmieniły. Nie mógł się nie zastanowić, czy kiedykolwiek w ogóle odzyskają dawny blask. Czy on sam zapomni to, co widział i przeżył...

Skończył nabijać fajkę, dobył krzesiwo z kieszeni i już miał podpalić tytoń, gdy nieoczekiwanie dla samego siebie zachichotał. Ktoś – najprawdopodobniej Sailys, jak podejrzewał – poinformował jego babkę, że będąc w Glaciereart, nabrał brzydkiego nawyku palenia tytoniu. Staruszka najwyraźniej przeoczyła fakt, że Charisjanie palili na długo przed tym, zanim rodzina Raimahnów przeprowadziła się do Siddaru, aby uciec przed herezją. Było to dziwne zwłaszcza dlatego, że jego dziadek, a jej mąż, palił przez wiele dekad z rzędu, zanim ostatecznie porzucił „przekłęte ziele”, jak raczyła nazywać tytoń Sahmantha Raimahn.

Wraz z Claitahnem Raimahnem powrócili do swojej ojczyzny po niepokojach w Siddarze. Przyznanie, że Kościół Charisu wysuwa zasadne obiekcje co do Grupy Czworka, nie było łatwe dla żadnego z nich, a już zwłaszcza dla Claitahna, którego zasady i wiara były niemal tak dobrze zakorzenione jak Góry Światła. Wszakże ta sama wiara i te same zasady, które uczyniły zeń lojalistę Świątyni, nie dały mu wyboru, gdy Zhaspahr Clyntahn w swoich kazaniach zaczął pochwalać akcję Miecz Schuelera i jej barbarzyństwa. Gdy oboje w końcu dotarli do swego domu w Tellesbergu razem z dziećmi Sailysa Trahskhata i sześćdziesięcioma innymi sierotami, Claitahn pierwsze kroki skierował do tellesberskiej katedry, aby oznajmić Maikelowi Staynairovi – człowiekowi, którego winił od tak dawna i o tak wiele – że przez cały ten czas mylił się co do niego.

Przy okazji przeprowadzki do Republiki Siddarmarku oraz mających tam miejsce prześladowań stracił dwie trzecie majątku, jaki zdołał zgromadzić w ciągu całego życia. Mimo to poprzysiął, że połowę tego, co ma, przekaze na potrzeby Charisjan i Siddarmarczyków, którzy musieli uciekać z kontynentu. Obecnie był głównym zarządcą nie tylko licznych

sierocińców prowadzonych przez Kościół Charisu, lecz także wszelakich organizacji dobroczynnych, w których działał na równi z żoną.

Nic z tego nie przeszkodziło tej ostatniej przesłać pisemnego upomnienia skierowanego na ręce wnuka, który ośmielił się palić „przekłętą ziele”. Do listu załączyła ona nawet prawie dziesięć traktatów stworzonych przez członków Zakonu Pasquale, a traktujących o szkodliwości tego nałogu.

Cóż, jeśli rzucenie palenia będzie jedynym jej żądaniem po moim powrocie do domu, pomyślał Byrk, rozkoszując się wciąganiem dymem, przypuszczam, że postawi na swoim. Szczególnie że zawsze stawia na swoim...

– Skoro to już pora, powinniśmy chyba ruszać – powiedział w tumanie wypuszczanego z ust dymu tonem pozornie obojętnym, czym jednak nie zwiódł nikogo.

Ci dwaj wiele razem przeszli w obydwu wcieleniach – poprzednim i obecnym – od rozpoczęcia akcji Miecz Schuelera. Sailys pozostał krępy, mocno zbudowanym mężczyzną, który niegdyś grał w baseball jako podający, aczkolwiek obecnie jego gęste brązowe włosy zdobiły pasemka siwizny. Na twarzy nosił ślady odmrożeń po tamtej pamiętnej zimie w Glacierheart, utykał zaś za sprawą bagnetu pewnego Chłopca Świątyni, który go dosięgnął podczas ataku na Fort Tairys. Co do zmian wewnętrznych, były one równie znaczące jak w wypadku Byrka Raimahna. Brygadier wiedział, że Sailys Trahskhat w życiu nie wyobrażał sobie siebie w roli pułkownika, a już zwłaszcza pułkownika Armii Republiki Siddarmarku! A jednak tym właśnie był. Byrk Raimahn zaś, który zaledwie ostatniego pięciodnia obchodził swoje dwudzieste trzecie urodziny, był brygadierem – najmłodszym w całej siddarmarckiej armii. Ba, nawet w całej Cesarskiej Armii Charisu!

To jakieś szaleństwo, pomyślał co najmniej po raz sześćtysięczny. Zajmuję się komponowaniem piosenek, nie dowodzeniem brygadami! Bóg Jedyny musi mieć nawet dziwniejsze poczucie humoru, niż przypuszczałem.

Być może była to prawda w odniesieniu do Boga, ale na pewno nie w odniesieniu do mieszkańców prowincji Glacierheart. Ci ludzie byli równie twardzi i uparci jak otaczające ich góry. A przy tym pragmatyczni. Uznali, że wyrafinowany młodzieniec, który stanął na

czele karabinierów eskortujących ich ukochanego arcybiskupa do nich z powrotem i który następnie miesiącami walczył o utrzymanie Green Cove Trace, jest jednym z nich. Tak samo jak poczuli się dłużnikami brygadiera Mahrtyna Taisynanda i jego podwładnych, którzy zginęli, broniąc życia mieszkańców Glacierheart i ich rodzin przed okropieństwami, jakie chciał im urządzić Cahnyr Kaitswyrth ze swoją armią. Prowincja Glacierheart była słabo zaludniona nawet w czasach przed Akcją Schuelera i „zimą głodu”, a jednak udało się tam zgromadzić dość mężczyzn w kwiecie wieku, aby sformować cały regiment milicji, który następnie walczył u boku Cesarskiej Armii Charisu. Dowództwo tej jednostki zwróciło się bezpośrednio do lorda protektora, aby pozwolił jej brać udział w walkach do samego końca.

Greyghor Stohnar udzielił zgody i koniec końców cztery regimenty milicji przeistoczyły się w brygadę. Która – rzecz jasna – potrzebowała dowódcy. Jako że oficerowie poszczególnych oddziałów byli wyznaczani na swoje stanowiska przez rząd rodzinnej prowincji, na czele brygady stanął ni mniej, ni więcej, tylko Charisjanin, który nade wszystko kochał muzykę.

Nadal go to dziwiło, aczkolwiek powoli godził się z tym, że nie jest typowym brygadierem – tak jak nie była typowa brygada, którą dowodził.

Armia Republiki Siddarmarku zachowała tradycyjną strukturę nawet po tym, jak do użytku zostały wprowadzone nowe rodzaje broni, jednakże jej dowództwo nie miało nic przeciwko temu, aby trzydziestoosobowe drużyny składające się na kompanie pikinierów łączyć w większe jednostki, mianowicie sześćdziesięcioosobowe plutony. I tak bowiem od zarania podstawową jednostką w akcji były dwie drużyny, nie jedna (z wyłączeniem szczególnych sytuacji, które wymagały odstępstwa od tej reguły), a poza tym dowództwo już od jakiegoś czasu zastanawiało się nad zracjonalizowaniem wewnętrznej struktury armii. W każdym razie obecnie kompanię tworzyło siedem plutonów. Byrk jak dotąd nie rozumiał, czemu Siddarmarczycy nie poszli na całość i nie zaczęli nazywać kompanii „batalionami”, jak robili to wszyscy inni. Przypuszczał, że w grę wchodziła tradycja. W konsekwencji wspomnianej zmiany doszło do redukcji liczby poruczników w każdej kompanii – o połowę. No, niemal o połowę. Jednostka przypisana kwaterze głównej pozostała trzydziestoosobowa,

aczkolwiek na jej czele stał porucznik.

Brygada Byrka funkcjonowała ściśle w ramach armii charisjańskiej, była więc wyposażona w charisjański sprzęt – karabinów M96 i rewolwerów Mahldyna nie wyłączając. Do tego zaadaptowała na swoje potrzeby charisjańską strategię i taktykę. Zarazem zachowała siddarmarcką strukturę, dzięki czemu była nieco większa od typowej, składającej się z dwóch regimentów brygady Imperium Charisu. Jej członkowie zaś wywodzili się w równym stopniu spośród traperów, którzy przemierzali majestatyczne, ośnieżone szczyty Gór Szarych, oraz górników, którzy wydzierali tym górcom węgiel z trzewi. Trudno było ocenić, która z tych dwu grup była bardziej waleczna, mimo że nieraz miały okazję sprawdzić się w boju ramię w ramię. Wszelako taka, a nie inna specyfika brygady – połączenie zdolności ciesielskich i myśliwskich zdolnych przetrwać w każdych warunkach traperów oraz przygotowania inżynierskiego, umiejętności pracy zespołowej i znajomości materiałów wybuchowych górników – sprawiła, że w ramach Cesarskiej Armii Charisu stanowiła ona źródło zwiadowców i saperów.

To właśnie wyjaśniało najnowsze zadanie zlecone brygadzie Byrka.

Fortyfikacje wzniesione przez Armię Pana Wszechmogącego i Archaniołów stanowiły nie lada wyzwanie, z jakim nikt jeszcze się nie zmierzył – przynajmniej co do stopnia trudności, nie samego rodzaju. Niemniej Sprzymierzeni, którzy od dawna wiedzieli, że ta chwila w końcu nadejdzie, poświęcili sporo namysłu, czasu i wysiłku, aby mu sprostać. W efekcie powstał Korpus Balonowy, jak również została zmontowana nowa artyleria, aczkolwiek artylerzyści Cesarskiej Armii Charisu zdawali sobie sprawę z tego, że nazbyt niszczące działania mogą raczej zaszkodzić atakowi, niż mu pomóc. Jak ujął to baron Zielonej Doliny: „Zadaniem artylerii jest otworzyć drogę piechocie, a nie zamienić pole bitwy w nieprzebyte grzęzawisko za pomocą ton pocisków”. Istniało zbyt duże prawdopodobieństwo, że stworzone warunki doprowadzą do tego, iż żołnierze będą meandrować pomiędzy zniszczeniami, podczas gdy strzelcy wyborowi wroga będą ich zdejmować jednego po drugim niczym lis wyverny z grzędy.

Zważywszy na panującą suchą pogodę, grzęzawisko raczej nikomu nie groziło, lecz każda armia chciała zająć pozycje i wznieść umocnienia, nie ryzykując, że nadlatujące z tyłów pociski rozniosą je w proch. Z tego powodu strategia raz jeszcze uległa zmianie. Taktyka stosowana przez

Cesarską Armię Charisu zawsze dopuszczała do głosu inicjatywę dowódców kompanii i plutonów. Oficerowie otrzymywali zadania do wykonania, jednakże sposób ich osiągnięcia niemal w całości zależał od nich samych, co było wcześniej niespotykane na Schronieniu. Skutkiem stuleci przyzwyczajień nawet Armia Republiki Siddarmarku – choć pozostawała w bezpośredniej bliskości z Cesarską Armią Charisu – nie była w stanie wypracować równej elastyczności działania.

Wszelako podkomendni brygadiera Byrka Raimahna to potrafili. Dlatego księżę Eastshare, który widział ich w akcji podczas kampanii w Fort Tairys, świadomie wyznaczył ich na rdzeń nowych brygad szturmowych Armii Westmarch. Współpracowali ściśle z charisjańskimi inżynierami, artylerzystami i zwiadowcami celem stworzenia nowej strategii. Po drodze wysunęli wiele propozycji ulepszeń, które następnie wdrożyły trzy inne brygady księcia Eastshare, wchłaniając sprzęt i przechodząc odpowiednie szkolenia, które wcześniej opracowało dowództwo brygady Byrka. Wkrótce nowa taktyka miała przejść chrzest bojowy w praktyce. Podwładni Byrka tryskali dumą, lecz on sam miał świadomość, jak wielu jego ludzi może zginąć, jeśli założenia nowej taktyki okażą się błędne.

– Dzień dobry – odezwał się ktoś.

Byrk Raimahn podniósł wzrok i uśmiechnął się szeroko.

– Witaj, Wahlysie – powiedział i wymienił uścisk przedramienia z pułkownikiem Wahlysem Mahkhomem, który przejął dowództwo pierwszego regimentu ochotników z Glacierheart, gdy tylko Byrk otrzymał awans.

Jeśli żyje na świecie człowiek, który bardziej niż ja i Sailys dziwi się temu, co osiągnął, jest nim na pewno Mahkhom. Oczywiście patrząc z perspektywy czasu, taki rozwój wypadków był do przewidzenia. Wahlys, urodzony dowódca, pierwszy rozpoczął organizowanie mieszkańców prowincji Glacierheart celem stawienia oporu akcji Miecz Schuelera. To dzięki niemu Góry Szare obroniły się przed intruzami z prowincji Hildermoss, on sam zaś wymierzył surową karę tym lojalistom Świątyni, którzy doprowadzili do wymordowania całej jego rodziny. I choć zaskoczył go awans, wziął na siebie brzemień obowiązków z taką samą determinacją jak zawsze. W gruncie rzeczy ta odpowiedzialność pozwoliła mu uporać się choć z częścią jego demonów.

Byrk był zdania, że Wahlys ma ich jeszcze wystarczająco dużo, aby siać zniszczenie w szeregach Chłopców Świątyni.

– Czy twoi ludzie są gotowi? – zapytał Mahkhoma niepotrzebnie.

– Można tak powiedzieć – odparł Mahkhom, również niepotrzebnie.

– W takim razie ruszaj. – Byrk uśmiechnął się krzywo, nie wypuszczając spomiędzy warg fajki. – Tylko nie daj się zastrzelić! Skoro mnie nie pozwalają wziąć udziału w zabawie, zabraniam ci zginąć, rozumiano?

– W zabawie, powiadasz? – Mahkhom podrapał się po brodzie w zamyśleniu. – Brzmi to tak, jakby żaden żonaty mężczyzna nie powinien dzisiaj wychodzić w pole...

– I tak jest, w rzeczy samej – potaknął Byrk z uśmiechem i klepnął kompana w ramię. – Ale ja mówię poważnie. Wiesz równie dobrze jak ja, że chciałbym zobaczyć z powrotem was wszystkich, co jednak jest niemożliwe. Po prostu postaraj się nie być wśród tych, którzy nie wrócą.

– Zrobię co w mojej mocy – obiecał Wahlys. – Wierzę, że obserwatorzy i baloniarze już się postarają o to, żeby poległych tym razem nie było zbyt wielu.

– Miejmy taką nadzieję. A teraz idź już. Ponieważ arcybiskup Zhasyn nie mógł tu być, aby wypowiedzieć te słowa na głos, usłyszysz je ode mnie: „Niech Bóg Jedyny ma was w swojej pieczy”.

– No dobrze – burknął major Sygfryd Makwyr, podnosząc głos, aby dowódcy plutonów usłyszeli go wśród ryku artylerii i huku moździerzy. Jedne i drugie utworzyły zasłonę dymną, która miała ukryć saperów oczyszczających pola minowe na froncie brygad Glacierheart, a teraz kontynuowały ostrzał celem ukrycia obecności samej brygady. – Wszyscy wicie, jakie mamy zadanie – podjął. – Jazda tam, do roboty i skopać tyłki wrogowi. Tylko pamiętajcie: Macie się trzymać zrobionych specjalnie dla was bezpiecznych ścieżek, dopóki nie dotrzecie do zasieków. Zrozumiano?

Odpowiedział mu chór głosów. Zadowolony major skinął głową i wskazał w kierunku linii frontu. Porucznicy w lot pojęli, że to koniec odprawy, i truchtem ruszyli do swoich plutonów. Makwyr z kolei

zwrócił się do pułkownika Mahkhoma.

– Nie była to zbyt szczegółowa odprawa, jakie lubi brygadier – zauważył pułkownik, gdy obaj ruszyli spokojniejszym krokiem za oddalającymi się porucznikami.

– W swojej karierze byłem na niejednej odprawie – odparł Makwyr. – I tak dobrze, że użyłem więcej niż trzech słów i chrząknięcia. Nie chciałem ich przytłoczyć swoją elokwencją.

– Ha! Mnie nie oszukasz! Podłapałeś to powiedzonko od brygadiera?

– Na przestrzeni lat niejedno od niego podłapałem – przyznał poważnie major. – Chyba tak jak my wszyscy.

– Racja.

Dotarli na pozycje wyjściowe, gdzie Makwyr wymienił z pułkownikiem uścisk przedramienia, po czym machnął ręką, dając znak swoim ludziom, i ruszył przed siebie. Mahkhom odprowadzał go przez chwilę wzrokiem, a następnie wyciągnął z kieszonki zegarek i sprawdził godzinę.

Mają jeszcze dziesięć minut, zanim ostrzał umilknie, pomyślał.

On sam ze swoimi ludźmi miał ruszyć śladem pierwszej kompanii. Skinął głową młodemu porucznikowi Zhaikahbsynowi, którego szósty pluton miał zamykać stawkę i osłaniać tyły pułkownika.

– Lainylu – powiedział – jesteś gotowy?

– Tak jest, sir! – odszczeknął służbiście Lainyl Zhaikahbsyn.

– Cóż, pamiętaj tylko, że plan zakłada, aby to tamten drugi zginął, nie ty – rzekł oschle pułkownik.

Mówiąc te słowa, zobaczył przed oczami młodszą wersję siebie. Natychmiast odegnał myśli o Green Cove Trace. Arcybiskup Zhasyn miał rację: Mahrlyn chciałyby, aby cieszył się życiem. Tylko dlatego – mimo że czasem był gotów pogрузić się w odmętach rozpaczyny – nie poddawał się. I zamierzał utrzymać przy życiu jak największą liczbę członków brygady Glacierheart, aby żadna więcej żona i córka nie musiała opłakiwać męża i ojca.

Może to zrekompensuje inne jego czyny, których dopuścił się na przestrzeni minionych kilku lat.

– Tak jest, sir! – powtórzył Zhaikahbsyn nieco ciszej.

– Dobry chłopak z ciebie, Lainylu. – Pułkownik klepnął go w plecy,

a potem ruchem głowy dał znak swoim podwładnym, aby trzymali się blisko.

Hyrbyrt Ahdymsyn przykucnął u szczytu schodów prowadzących do bunkra i zażawionymi od dymu oczami zajął do środka. Posłał gońca do pułkownika Flymynga, gdy tylko heretycki ostrzał zelżał trochę, by... niemal od razu przybrać od nowa na siłę – zupełnie jak donosiły dohlariańskie raporty, którymi podzielił się z nimi kapitan Lynkyn. Ahdymsyn wiedział, że nie tak prędko sobie wybaczy, iż nie wstrzymał się z wysłaniem szeregowego Shandahsky'ego z misją. Powinien był mieć w pamięci tamte raporty. *Cóż, prawda jest taka, że ja pamiętałem o nich; po prostu nie miałem czasu czekać...* – pomyślał. Pułkownik Flymyng musiał się dowiedzieć, jaki los spotkał drugą kompanię. I jak rozpaczliwie potrzebowała ona wsparcia.

Mimo wszystko powinienem był się wstrzymać, wyrzucał sobie. Przecież to wiedziałem...

Stanowczy głos, bardzo przypominający głos kapitana Lynkyna, uparcie powtarzał mu, że się myli. Że dowódca musi zaakceptować fakt, iż część jego podwładnych zginie, wykonując wydane przez niego rozkazy. Że nie ma wyjścia i musi posyłać ludzi na pewną śmierć, gdy wymaga tego sytuacja.

Jednakże Hyrbyrt Ahdymsyn był nadal bardzo młodym człowiekiem. Wciąż mu zależało. Z żalem skonstatował, że brak mu determinacji, która pozwoliłaby mu pogodzić się z okrutną, gorzką prawdą.

– Źle to wygląda, sir.

Słyszając za plecami czyjś głos, Ahdymsyn odwrócił się i zobaczył, jak z kłębow dymu unoszących się nad ich pozycjami wyłania się sierżant Owyn Lynyrd.

Ahdymsyn wysłał go przed kwadrans, aby oszacował poniesione straty, teraz zaś poczuł zalewającą go falę ulgi na widok wracającego w jednym kawałku sierżanta. Chociaż z drugiej strony...

– Właśnie rozmawiałem z gońcem trzeciej kompanii – zameldował Lynyrd. – Kapitan Rychardo poległ. Oprócz niego zginęli także porucznik Traivyr i porucznik Charlz.

– Co? – Ahdymсын wydawał się skonsternowany. – Wszyscy trzej nie żyją?

– Tak jest! – potwierdził sierżant z ponurą miną. – Opuścili swoje bunkry i wspólnie robili obchód pozycji. Wyobrażam sobie, że czołgali się, gdy heretycy podjęli ostrzał. Zginęli od jednego pocisku. Jako że porucznik Zhaksyn jest ranny, dowodzenie kompanii objął porucznik Pahtyrfyld. – Sierżant zmusił się do uśmiechu, w którym jednak nie było cienia wesołości. – Przysłał mnie, abym poinformował pana, sir, kto osłania pańską prawą flankę.

Na Langhorne'a... – pomyślał zdrewniały Ahdymсын. Dwie kompanie dowodzone przez najmłodszych oficerów? Jeśli druga i trzecia miały tyle samo szczęścia, co będzie teraz z regimentem?

– Rozumiem – powiedział tylko i ruchem głowy wskazał okopy, z których dobiegały strzały. – Jak bardzo źle to wygląda?

– Naprawdę kiepsko, sir – odparł szczerze Lynyrd. – Nie dałem rady przedostać się daleko, ale z tego, co zostało z drugiej linii zasieków, wnioskuję, że pierwsza całkiem przepadła. Ci dranie nie mieli najmniejszych problemów z celowaniem. Rozprawili się z umocnieniami i z okopami. Na szczęście druga linia jako tako się utrzymała, bo po pierwszej nie ma śladu... A heretycy dalej strzelają z przenośnych kątówek, atakując szczyt wzgórza. Przez ten cholerny dym niewiele widziałem... Straciliśmy pewnie z jedną trzecią ludzi pozostawionych na pierwszej linii. Jedyna dobra wiadomość jest taka, że zdołaliśmy wycofać większość ludzi, zanim rozpoczął się najcięższy ostrzał.

Ahdymсын pokiwał głową. Nowa strategia hrabiego Tęczowych Wód zakładała wycofanie żołnierzy z najbardziej narażonych okopów, po czym przywrócenie ich na swoje miejsca zaraz po tym, jak niebezpieczeństwo minęło. Tak że abstrahując od faktycznych strat, jakie poniosła druga kompania, byłyby one znacznie większe, gdyby nie rozkaz ukrycia się przed nadlatującymi pociskami. Na razie było niejasne, czy wdrożeniu uległa także dalsza część nowo opracowanej strategii. Czy posłano ludzi na pierwszą linię, by obsadzili wysunięte okopy, czy skoncentrowano się na obronie środka, przy bunkrach.

Z ponurą miną, zaciskając wargi w wąską kreskę, Ahdymсын nasłuchiwał wizgu pocisków nad głową, które spadały nie na pozycje drugiej kompanii, lecz za nimi, prokurując ścianę ognia

uniemożliwiająca dywizjom rezerwy przyjście mu z odsieczą.

Owyn ma rację, pomyślał. Pierwsza linia przepadła. Och, pewnie zdołałbym ją obsadzić swoimi ludźmi, a nawet ich potem stamtąd wycofać – przynajmniej tych, którzy by przeżyli – ponosząc przy tym mniejsze straty, niż zasugerował. Po to właśnie wymyślono okopy komunikacyjne, których część musiała przecież przetrwać! Z tym że mieliśmy trwać na posterunku do czasu nadejścia posiłków, co nie ma szans nastąpić z uwagi na te przekłęte pociski, które drą szlaki za nami. Przede wszystkim jednak mam za mało ludzi! Nawet na to, by obsadzić flanki...

Pierwsza linia umocnień miała słabą osłonę od góry, nawet przed tym, zanim heretycy dali nam wycisk, myślał dalej. Za to ma lepsze pole ostrzału po wschodniej stronie. Przy tej masie dymu widoczność pozostawia wiele do życzenia, lecz przecież heretycy w końcu muszą zaprzestać ognia, skoro zamierzają posłać do boju własną piechotę. Dzięki temu powinniśmy mieć szansę ich dostrzec, jak wyłonią się zza linii wzgórz.

Wszystkie jego dywagacje pokrywały się z prawdą, wszakże w głębi ducha Ahdymsyn wiedział, dlaczego nie zdecyduje się na obsadzenie pierwszej linii umocnień.

Jeśli pošlę tam ludzi, a ci dranie ponowią ostrzał, stracę połowę stanu osobowego. Mało kto zdąży schronić się w bunkrach.

Nie mogę tego zrobić... po prostu nie mogę.

– Każ im się wycofać – rzucił do Owyna. – Mamy za mało ludzi, żeby trzymać się pierwotnego planu obrony. Niestety nie możemy liczyć na posiłki ze strony pułkownika Flymynga i biskupa polowego Styvyna. – Przez ramię wskazał kciukiem na kurtynę śmierci grzmiącą pomiędzy jego ludźmi a resztą Zgrupowania Świętego Langhorne'a. – Postaramy się utrzymać chociaż te bunkry. Dopilnuj, żeby nie zabrakło granatów. Przy tym dymie powinny się okazać nie mniej skuteczne od naszych karabinów.

– Pst! Tutaj, sir. Niech pan patrzy pod nogi! – wysyczał kapral Tymyns.

Porucznik Greyghor Ohygyns, dowódca drugiego plutonu wchodzącego w skład pierwszej kompanii jednostki zwanej pierwszym regimentem ochotników z Glacierheart, zmarł.

Zackery Tymyns, zastępca dowódcy drużyny, na której czele stał sierżant Braisyn Mahktavysh, był dobrze po czterdziestce, co w oczach Ohygynsa czyniło go niemal staruszką. Do tego kaprała cechowała przebiegłość, solidność, a także opanowanie graniczące ze stoicyzmem. Idealnie nadawał się na oficera, jednakże w awansie przeszkodziło mu to, że nigdy nie nauczył się czytać ani pisać.

W każdym razie, pomyślał porucznik, gdy ktoś taki mówi mi, że mam patrzeć pod nogi, powinienem posłuchać bez gadania!

– Brawo, sir. – Tymyns wyłonił się z tumanu dymu, szczerząc rzadko rozstawione zęby. – Znaczniki pomogły, prawda? Braisyn kazał panu przekazać, że możemy być dumni z naszych saperów. Udało im się oczyścić spory pas ziemi. Po bokach jednak dalej mogą siedzieć te przeklęte miny, dlatego lepiej trzymać się środka ścieżki, rozumie pan.

– Dziękuję, Zackery – odezwał się Ohygyns. – Bo jeszcze bym źle stanął, kiedy tak sobie szedłem, podśpiewując i popijając piwko.

– Od tego tu jestem, panie poruczniku. Moim zadaniem jest pilnować, żeby nikt nie wpakował się w tarapaty. – Tymyns wyszczerzył się jeszcze bardziej, a Ohygyns potrząsnął głową. Następnie obejrzał się na Klymynta Ohtuhla, swojego sierżanta. – Przekaż dalej – rzucił poważniejszym tonem. – Od tej pory mają iść gęsiego i trzymać się środka!

– Tajest! – potaknął Ohtuhl, nie siląc się na oficjalny ton, co było charakterystyczne dla wszystkich żołnierzy wywodzących się z prowincji Glacierheart.

Ohygyns ruszył przed siebie, trzymając się blisko idącego na przedzie Tymynsa.

Miarowe „pyk, pyk, pyk” wybuchających pocisków dymnych dolatywało od zachodu – i stawało się coraz głośniejsze z każdym ich krokiem. Tutaj na szczęście nie spadały żadne wybuchające ładunki ani odłamki, a wędrówka była łatwa dzięki wcześniejszej pracy saperów, którzy oczyścili kilka ścieżek wśród pól minowych.

Gdy Ohygyns minął któreś z kolei nieruchome ciało w mundurze Cesarskiej Armii Charisu, zacisnął szczęki tak mocno, że aż go rozbolały

zęby. Byli to polegli saperzy, którzy własnym życiem przypłacili wykonanie zleconego im zadania. Ohygyns zdawał sobie sprawę, że ta cena okazała się i tak stosunkowo niska w porównaniu z tym, jaką przyszloby im zapłacić bez osłony artyleryjskiej. Tak się bowiem składało, że dym okazał się nawet bardziej pomocny niż faktyczne eksplozje. Saperzy odebrali przeszkolenie, dzięki któremu byli w stanie namierzać i rozbrajać miny w całkowitych ciemnościach, co jednak zawsze było ryzykowne, a często także wymagało ofiar. Właśnie dlatego obsada moździerzy wspomagająca piechotę przyciągnęła ze sobą tyle pocisków dymnych. Kiedy karabinierzy osłaniający pole minowe byli bezradni jak dzieci we mgle, saperzy mogli działać także w świetle dnia.

Oczywiście po drugiej stronie wzgórza czeka na nas drugi pas pól minowych, przypomniał sobie Ohygyns. No ale saperzy powinni się już przy nim uwijać.

Kiedy dotarł na szczyt, zastał tam sierżanta Mahktavysha, który czekał na niego wraz z resztą pierwszej drużyny. Żołnierze tworzyli szpaler; każdy czujnie rozglądał się wkoło i trzymał broń w pogotowiu.

– Dobrze was widzieć, Braisynie.

– Pana także, poruczniku. Zackery spisał się na medal.

– Przynajmniej na razie... Jak wygląda sytuacja tam, w dole?

– Jeszcze nie wiadomo. Spodziewamy się w każdej chwili...

– Cahnyr! – wyrzucił z siebie zniecka jeden z karabinierów.

Sierżant urwał w pół słowa. Moment później nadeszła odpowiedź:

– Staynair!

Szeregowiec, który podał hasło, uspokoił się wyraźnie, słysząc właściwy odzew.

– Chodź dalej! – ponaglił i wtedy z chmury dymu wyłoniła się postać.

Saper w stopniu sierżanta szedł naprzód ostrożnie pomimo zachęty jednego z karabinierów. Wszakże gdy zobaczył Ohygynsa, przyspieszył kroku i zatrzymując się przed porucznikiem, zasalutował przepisowo.

– Melduję, że oczyściliśmy ścieżkę wiodącą stąd do przeszkody, sir!

– Świetnie. – Ohygyns skinął głową i zwrócił się do sierżanta Ohtuhla, który właśnie dołączył do niego w towarzystwie członków drugiej drużyny sierżanta Tymthy'ego Ohlyry'ego.

– Drużyna czwarta i piąta znajdują się tuż za nami, sir! –

poinformował Ohtuhl, wspinając się na szczyty formalności.

– W takim razie chyba najwyższa pora, żebyśmy ruszyli śladem sierżanta... – Ohygyns wskazał na sapersa – i zabrali się do roboty!

Porucznik Ahdymysyn i pozostali jego ludzie zajęli swoje pozycje, podczas gdy przenośne działa kątowe nieprzerwanie prowadziły ostrzał. Ochronne wnęki w przednich ścianach bunkrów w połączeniu z tym, co zostało z rozniesionych przez pociski osłon w postaci worków z piaskiem, dawały jaką taką ochronę przed rykoszetującymi we wszystkich kierunkach szrapnelami. Oczywiście sytuacja wyglądałaby znacznie gorzej, gdyby jakiś pocisk miał wylądować w samym środku okopów – to jednak, na szczęście, było mało prawdopodobne mimo natężenia ognia.

Wszystkim ulżyło, kiedy heretycy zaprzestali ostrzału ze swoich najcięższych dział. Ahdymysyn poczuł nawet coś w rodzaju wdzięczności, aczkolwiek błogosławieństwo w tym wypadku nie było całkowite. Zaprzestanie ostrzału oznaczało tylko tyle, że do walki została rzucona piechota...

Co za szkoda, że dzień jest bezwietrzny! – pomyślał porucznik. *Choćby lekka bryza zdołałaby rozwiać te kłęby dymu...*

Wokół panowało coś w rodzaju najgorszej mgły, jaką widział w życiu, a heretycy nie przestawali strzelać z kątówek, które dodatkowo zagęszczały dym, ledwie zaczynał się rozwiewać. To wskazywało, że...

Drugi pluton znalazł się tam, gdzie powinien się znaleźć – czy też raczej w promieniu kilku jardów od wyznaczonego miejsca – na tyle szybko, na ile to było możliwe w panujących warunkach, czyli nie tak szybko, jak by sobie tego życzył porucznik Ohygyns. Mapy w dużej skali, przygotowane przez sekcję kartograficzną Korpusu Balonowego, wydatnie pomogły na początkowym etapie operacji, lecz w momencie, gdy drugi pluton wkroczył na zryte lejami pole bitwy, mapy nagle straciły na znaczeniu. Przestały bowiem istnieć jakiegokolwiek punkty odniesienia. Ohygyns mógł mieć tylko nadzieję, że w tym obco

wyglądającym terenie jego saperzy nie popełnili poważniejszego błędu.

Dotarłszy do drugiej linii umocnień i stwierdziwszy, że pozostaje ona nieobsadzona, przeżył prawdziwy szok. Wprawdzie zniszczenia były w jej wypadku równie duże jak w wypadku pierwszej linii umocnień, lecz miłą niespodzianką dla porucznika było to, że – kiedy wślizgnął się z rewolwerem w dłoni do jednego z okopów – przekonał się, iż wytrzymały ostrzał zadziwiająco dobrze, wzięwszy pod uwagę wszystkie okoliczności. W dalszym ciągu nadawały się do prowadzenia z nich obrony, natomiast leje, które poznały ziemię przed nimi i za nimi, mogły zostać wykorzystane jako dodatkowe punkty obrony.

Podkomendni Ohygynsa znaleźli kilku poległych, a nawet rannych, którzy mieli szansę przeżyć, pod warunkiem że dotrze do nich prędko uzdrowiciel służący w pierwszej kompanii. W każdym razie Chłopcy Świątyni opuścili te okopy, tak samo jak wcześniejsze, ledwie rozpoczęło się bombardowanie. Zdaniem Ohygynsa postąpili bardzo rozważnie. Wolał się nie zastanawiać, jak sam by postąpił, gdyby spadały na niego pociski wszystkich kątówek Schronienia. Rzecz w tym, że nie wrócili na swoje pozycje, gdy ostrzał ustał.

Żołnierze pierwszego plutonu wylegli na wąską ścieżynkę, którą oczyścili dla nich zawczasu snajperzy, przedarli się przez pozrywane, lecz wciąż stojące zasieki... i stwierdzili, że nikt na nich nie czeka. Mogli zająć opuszczone okopy ot tak, bez walki, co przyjęli z radością. Po pewnym czasie dołączyli do nich członkowie czwartego plutonu pod dowództwem Ahbnaira Mahkneela, przy czym piąty pluton pod dowództwem Zheppsyna Mahkwaiyra dosłownie deptał im po piętach. W efekcie umocnień dało się bronić zarówno od wschodu, jak i od zachodu. Fakt, że dwustu żołnierzy rodem z prowincji Glacierheart objęło w posiadanie niedawne okopy Chłopców Świątyni, źle wróżył tym ostatnim, których czekało nie lada piekło, gdyby chcieli odbić swoje niegdysiejsze pozycje.

Nie mają na to większych szans, pomyślał oziębłe porucznik, przysłuchując się odległym pomrukowi dział i cichszym odgłosom wydawanym przez pociski dymne lądujące niecałe trzysta jardów przed nimi.

Major Makwyrty miał nadciągnąć razem z piątym plutonem. Porucznik nie obawiał się tego, ponieważ starszy stopniem oficer nie

należał do osób, które koniecznie chciałyby trzymać wodze. Tutaj odpowiedzialnym za wszystko był Ohygyns, który właśnie ponownie sprawdził godzinę. Zgranie w czasie nie było w tym wypadku kluczowe, zważywszy na naturę ofensywy, jak również na to, co dotychczas zdążyło spotkać Chłopców Świątyni. *Nie zaszkodzi jednak poprobować*, stwierdził w duchu Ohygyns. Wiedział bowiem, że druga i trzecia kompania mają przypościć atak na odcinki frontu leżące na flankach pierwszej kompanii – przy czym istotne było, aby wszystkie trzy ścieśniły jak najbardziej szyki. Co ważne, byli obecnie spóźnieni sześć minut w stosunku do planu. Nie mogło to dziwić, skoro po drodze napotkali tyle niespodzianek. Koniec końców jednak liczyło się tylko to, że wreszcie znaleźli się we właściwym miejscu i zaraz wszystko miało się zacząć.

Zatrzasnął wieczko zegarka, złapał rewolwer, upewnił się, że ładunki na jego lewym biodrze są dobrze zabezpieczone, i skinął głową sierżantowi.

– Jazda – rzucił krótko.

Ohtuhl pociągnął za pierścień linki spustowej.

Zwykła flara niemal na pewno spełniłaby swoje zadanie, jednakże brygadiera Raimahna nie satysfakcjonowało w tym stwierdzeniu słowo „niemal”. Musiał mieć pewność, że sygnał zostanie dostrzeżony pomimo dymu i kurzu wzbitego przez charisjańską artylerię. Dlatego w górę poszybowała rakietka sygnałowa, która eksplodowała dopiero na wysokości kilkuset stóp.

– Raca! – zawołał sierżant Hahskyn. Określił się wraz z przymocowaną do burty gondoli lornetką, aby ustalić, skąd została wystrzelona. – To od nas – dodał. – Ma pomarańczową barwę i znajduje się niemal pośrodku sektora trzeciego!

– Pomarańczowa raca w sektorze trzecim! – powtórzył Ahlgood.

Hahskyn potaknął zamaszystym ruchem głowy.

Moment później zaczerpnął gwałtownie powietrza. Chciał bardzo wierzyć, że ludzie, którzy to wszystko wymyślili, wiedzieli, co robią. Gdyby mieli wyciek wodoru, gaz otaczałby gondolę. A jak bezpiecznie

wystrzelić racę w takich warunkach? Na wszelki wypadek więc zacisnął mocno oba kciuki.

Zwalczył chęć, by zacisnąć również powieki, i sięgnął po pistolet sygnałowy. Sekundę później trzy race pomknęły jedna po drugiej w powietrze i rozbłysły kolejno w odległości dobrych stu jardów od balonu. Artylerzyści, a zwłaszcza obsady moździerzy ostrzeliwujących front pierwszej kompanii dostrzegły je, po czym świsnął jeszcze jeden pocisk eksplodujący, po którym nastąpiły już tylko wybuchy świec dymnych.

– Uwaga! – wrzasnął ktoś z chmury dymu.

Słowa te rozbrzmiewały jeszcze echem w powietrzu, gdy zastąpił je przenikliwy krzyk, któremu towarzyszył wybuch heretyckiego granatu.

Hyrbyrt Ahdymsyn umieścił gwizdek między wargami i gwizdnął przeraźliwie.

– Walczyć! – ryknął. – Walczyć!

Drugi pluton runął przed siebie z wyćwiczoną zabójczą precyzją.

Każda drużyna rozpadła się na mniejsze, trzy- lub czteroosobowe grupki, które poruszały się naprzód osobno, aczkolwiek w sposób skoordynowany i tak, aby się wzajemnie osłaniać, co było znakiem rozpoznawczym niewielkich jednostek taktycznych Cesarskiej Armii Charisu. Pierwsze dwie grupki składały się z trzech żołnierzy każda, przy czym ludzie ci byli wyposażeni w uzbrojone bagnety śrutówki, oraz z jednego grenadiera, który miał do dyspozycji rewolwer i masę granatów Mark 3 wyposażonych w znacznie silniejszy ładunek oparty na lywysicie. Wszyscy trzej szeregowi członkowie grupy nieśli plecaki pełne granatów, o własnej amunicji nie wspominając. Trzecia grupka w każdej drużynie miała tylko dwie śrutówki. Trzeci żołnierz niósł pięć ładunków wybuchowych, z których każdy był napakowany niemal dwunastoma funtami lywysitu. Ostatni człowiek zaś trzymał w rękach miotacz ognia M97.

Ta ostatnia broń – ochrzczona przez żołnierzy zapalniczką Kau-yunga – składała się z dwóch stalowych zbiorników, z których jeden zawierał piętnaście galonów oleju z ogniorośli, a drugi był pełen sprężonego powietrza i za pomocą elastycznego wężyka łączył się ze stalowym prętem długości czterdziestu dwóch cali. Całość ważyła nieco ponad sto dwadzieścia funtów, co było nie lada brzemieniem. Wszakże nikt się na to nie skarżył, gdyż sprzęt wart był każdej ceny.

Porucznik Ahdymсын schwycił mocniej swój karabin, starając się zapanować nad zamieszaniem, które wybuchło pośród kłębow dymu. W ogólnym chaosie dały się słyszeć dalsze okrzyki i wrzaski, jak również głucho eksplozje granatów Kościoła Matki. Od strony jego ludzi dobiegały dźwięki wystrzałów karabinowych, na co odpowiedzią były niepokojąco rytmiczne odgłosy „bum, bum, bum”. A przecież nawet heretyckie karabiny nie były w stanie strzelać z taką szybkością.

Odkąd do walki włączyła się charisjańska piechota, heretycy przestali zasypywać pozycje drugiej kompanii taką liczbą pocisków dymnych jak wcześniej. Dzięki temu chociaż na moment powietrze się przejaśniło. Korzystając z przejściowo lepszej widoczności, Ahdymсын powiódł wzrokiem na pięćdziesiąt jardów przed siebie, po czym niemal natychmiast rozszerzył oczy ze zdumienia na widok czołgającego się heretyka, który właśnie pokonywał worki z piaskiem po jego lewej stronie i wsparłszy się na jednym kolanie, wetknął dziwnie wyglądającą lufę swojego karabinu przez otwór strzelniczy. Porucznik zobaczył, że przeciwnik naciska spust, cofa broń, potem wsuwa ponownie do otworu i raz jeszcze daje ognia.

Ahdymсын stał z oczami wielkimi jak spodki i z żołądkiem zawiązanym w supeł, rejestrując jakąś częścią umysłu szybkość wystrzałów wroga. W pewnym momencie obok pierwszego heretyka pokazał się drugi, który wykonał mocny zamach ręką, po czym obaj schowali głowy w ramionach, aby uniknąć fali uderzeniowej – tej samej, która poszerzyła otwór strzelniczy.

Zanim jeszcze przebrzmiał huk eksplozji, dwaj inni heretycy dzierżący identyczne dziwne karabiny pojawili się jakby znikąd i zaczęli forsować

umocnienia. Wskoczyli do okopu za workami z piaskiem, dzięki czemu głucho dudnienie ich wystrzałów zostało stłumione przez ziemne ściany.

Ten heretyk, który rzucił granat, oderwał się od podłoża, sprawiając, że Ahdym syn odruchowo położył palec na cynglu. Grenadier szarpnął się do tyłu, z głową zamienioną w krwawą miazgę. W tym samym czasie Lynyrd Owyn strzelił do jego kompana, trafiając w udo. Karabinier stoczył się do jednego z lejów.

Ahdym syn otworzył zamek św. Kylmahna, umieścił w komorze kolejny nabój, umieścił spłonkę i ponownie wymierzył, akurat wtedy, gdy z dymu wyłoniła się następna czwórka heretyków. Znaleźli się dokładnie naprzeciwko niego w odległości jakichś dwudziestu jardów. Strzały, które oddali z Lynyrdem, zdradziły wrogowi ich pozycje, dlatego teraz przeciwnicy parli prosto na nich. Ahdym syn znowu strzelił, powalając jednego z napastników. Przeładowując broń, miał mglistą świadomość, że stojący obok niego sierżant także oddaje strzał. Z jakiegoś powodu poczuł pewność, że zaczyna im brakować czasu.

Nie mylił się. Heretyk idący bezpośrednio za tym, który padł przed chwilą ranny, niósł w rękach coś w rodzaju pręta czy wędki. Dziwaczny, monstualny plecak wyolbrzymiał nienaturalnie jego sylwetkę... Ahdym syn zdążył zobaczyć tylko tyle, że pręt czy też wędka zostaje w niego wymierzona i...

Miotacz ognia miał zasięg pięćdziesięciu jardów, czyli ponad dwa razy tyle, ile dzieliło niosącego go heretyka od kryjówki porucznika. Nie więcej niż sekundę później świat wokół Ahdym syna zamienił się w piekło, gdy rzeka ognia przelała się przez poszerzony otwór strzelniczy, obejmując w mgnieniu oka całe wnętrze.

.XII.
Świątynia
Syjon
Ziemie Świątynne

Ciche tykanie zegara stojącego w kącie gabinetu Rhobaira Duchairna rozlegało się donośnym, wyrazistym echem. Skarbnik Kościoła Matki siedział przy swoim biurku z ponurą miną i przeglądał ostatnie raporty sporządzone przez personel logistyczny. Gdy ciszę przerwała dźwięczna melodia u drzwi, Rhobair zmarszczył czoło, ale zaraz musnął światło Boże na blacie, dzięki czemu skrzydła rozsunęły się, ukazując w progu jednego z asystentów skarbnika.

– Wybacz, że cię nachodzę, wasza dostojność – powiedział niższy rangą duchowny. Choć ton jego głosu wydawał się szczery, bynajmniej nie niósł nuty strachu, odczuwanego przez asystentów Zhaspahra Clyntahna.

– Domyślam się, że czynisz to nie bez powodu, ojcze – odpowiedział Rhobair, tym samym wyjaśniając, czemu jego asystenci nie czuli przed nim strachu.

– Przybył wikariusz Allayn, aby się z tobą zobaczyć. Powiedziałem mu, że przeglądasz najświeższe depesze, on jednak stwierdził, że właśnie o nich między innymi chce z tobą porozmawiać.

– Rozumiem. W takim razie zaprosz wikariusza Allayna dalej.

– Oczywiście, wasza dostojność.

Duchowny uklonił się i zniknął za drzwiami. Niecałą minutę później wrócił, prowadząc Allayna Maigwaira.

– Naczelny wódz sił Kościoła Matki, wasza dostojność – zapowiedział duchowny z ukłonem i raz jeszcze usunął się w cień.

Drzwi zamknęły się za nim bezszelestnie, a wtedy Duchairn podniósł się ze swego miejsca, aby wymienić z gościem uścisk przedramienia.

– Nie mów, że przynosisz jeszcze więcej złych wieści – rzekł zamiast

słów powitania.

– Cóż, niestety tak jest – burknął Maigwair, sprawiając, że brwi Duchairna zjechały się wysoko na czole. – Godzinę temu nadeszła wiadomość od hrabiego Tęczowych Wód. – Pokręcił głową z chmurną miną. – Sprawy przybrały nawet gorszy obrót niż wcześniej. Centralna część linii Talmara została przerwana. Generał Symkyn wyruszył wreszcie z Aivahnstynu, nie na południe jednak. Ciągnie za sobą chyba cały korpus, kierując się z Mahrlysu nad Jezioro Langhorne'a. Natomiast księżę Eastshare zostawił inny korpus na trasie jakieś dwieście mil na północ od Mahrlysu. Baron Srebrnego Księżyca okopał się na swoich pozycjach, licząc, że utrzyma się do nadejścia odsieczy, lecz w sytuacji, gdy od północy ma księcia Eastshare, a od zachodu generała Symkyna, raczej nie może liczyć na posiłki. Zanim heretycy roznieśli w proch jedną trzecią sił Brydgmyna pod Talmarem, spodziewałem się, że hrabia Srebrnego Księżyca zdoła się utrzymać przez co najmniej dwa miesiące, a może nawet cztery albo pięć. Teraz jednak... – Ponownie pokręcił głową. – Jeśli Charisjanie nie żartują, rozprawią się z nim w ciągu paru pięciodni. A nawet jeśli tego nie zrobią, on i tak nie będzie mógł się wycofać w nadziei, że dołączy do sił hrabiego Jedwabnych Wzgórz czy Gustyva. To oznacza, że utraciliśmy kolejne dwadzieścia tysięcy ludzi.

Duchairn wpatrywał się w niego zszokowany przez kilka długich sekund, a następnie otrząsnął się jak człowiek, który oberwał od kogoś w szczękę i usiłuje odzyskać jasność myślenia.

– Nic nie rozumiem – powiedział. – Nie znam się na wojskowości tak jak ty, ale czytałem korespondencję, którą wymieniłeś z hrabią Tęczowych Wód. Wiem więc, jak dobrze ufortyfikowane są te pozycje! Jakim cudem, na Boga Jedyneho, Charisjanom udało się je roznieść w pył? Ruchy wojsk, przemieszczanie jednostek... to wszystko pojmuję, ale... Allaynie, te umocnienia były nie do zdobycia!

– Tak, były... to znaczy są. – Maigwair powiedział to z wielką pewnością siebie. – Sukces heretyków w dużej mierze wynika z efektu zaskoczenia. Do tego nie ma wątpliwości, że niemało czasu poświęcili na to, by wymyślić, jak zdobyć umocnienia Armii Boga i Armii Pana Wszchemogącego i Archaniołów. Niemniej jeśli chcesz znać najprostszą odpowiedź, sztuka ta udała się Charisjanom dzięki tym ich przeklętym balonom.

– Balonom? – powtórzył Duchairn, otwierając szerzej oczy.

Zbyttno się pograżył w kwestiach logistycznych w obliczu nagłego pojawienia się księcia Eastshare pod Talmarem, aby miał jeszcze śledzić nowiny dotyczące najnowszych wynalazków heretyków. Z tego jednak, co widział teraz, te... balony bardzo wzburzyły Maigwaira. Mimo to skarbnik nadal nie rozumiał, co balony mogą mieć wspólnego z militariami. Przed dwoma laty zabrał swoich dwóch siostrzeńców na lot balonem, tu, w Syjonie, co miało być dla nich specjalną nagrodą, a przy tym sposobem na zapomnienie o strasznych realiach świętej wojny. Gdyby go ktoś zapytał, nawet teraz by przyznał, że samo doświadczenie było fascynujące, niemniej...

– Tak, balonom! – potaknął rozeźlony Maigwair, który rzadko ostatnimi czasy zwracał się tym tonem do skarbnika Kościoła Matki.

Duchairn wzruszył ramionami.

– Choć wysilam mózgownicę, nie potrafię sobie wyobrazić, aby balon mógł być rodzajem broni – wyznał. – Zgoda, coś takiego jest w stanie przestraszyć harchońskiego wieśniaka. Może nawet umożliwić dowódcy zerknięcie za linie wroga. Jednakże taki balon nie unosi się w powietrzu w nieskończoność. Ten, którym ja leciałem z siostrzeńcami przed dwoma laty, wzniósł się tylko na jakieś dwieście stóp i utrzymał się tam przez niespełna dwadzieścia minut. Później w rozmowie jeden z aeronautów wytłumaczył mi, że ograniczeniem jest paliwo. Ponieważ waży swoje, balon nie jest w stanie zabrać go ze sobą tyle, by dłużej podgrzewać powietrze. To znaczy teoretycznie byłoby to możliwe, ale rozgrzane powietrze nie jest w stanie utrzymać w powietrzu większej ilości paliwa. I tak błędne koło się domyka.

– Wszystko to być może prawda, ale bez najmniejszego znaczenia. Heretycy nie stosują rozgrzanego powietrza!

– Nie? – Duchairn się zdziwił. – Jak to? Ten aeronauta, z którym rozmawiałem, wyjaśnił mi, że taki balon to w praktyce komin, którego szczyt wyłapuje dym z ognia, dzięki czemu gondola z czaszą potem się unosi. Księga Jwo-jeng i Sondheima zawiera kilka fragmentów na ten temat. Wszystkie one podkreślają, że to dzięki ciepłu powietrze staje się lżejsze.

– Wiem. Czytałem te same fragmenty. Rzecz w tym, że Charisjanie nie używają ciepłego powietrza. Nie mam bladego pojęcia, czego

używają, ale jedno jest pewne: nie widać tam dymu ani ognia. Nie ma tam nawet nic, co by przypominało komin. Jest tylko ta wielka czasza, uszyta najpewniej ze stalostu, jako że wszem i wobec wiadomo, iż Charisjanie przodują w jego produkcji. W dodatku kształtu cygara, nie kuli. A jeśli wierzyć hrabiemu Tęczowych Wzgórz, potrafi się wzbić na wysokość kilku tysięcy stóp! Chyba nie muszę ci tłumaczyć, Rhobairze, jaką przewagę to daje komuś takiemu jak baron Zielonej Doliny czy księżę Eastshare. Zakładając, że w gondolach są obserwatorzy – Maigwair machnął ręką w stronę sufitu dziwnym, przypominającym korkociąg ruchem – widzą oni wszystko, wszyściusieńko, i tylko zrzucają na ziemię swoje raporty.

– Kilka tysięcy stóp? – powtórzył Duchairn z niedowierzaniem.

Maigwair potwierdził raptownym ruchem głowy.

– Co najmniej tyle. Nie umiem sobie nawet wyobrazić, jak daleko z tej wysokości się widzi. Ale jeśli założyć, że obserwator widzi na taką samą odległość, z jakiej widzi się jego, mówimy o co najmniej pięćdziesięciu milach. To zaś oznacza naprawdę ogromny teren: więcej, niż w ciągu dwóch dni może pokonać maszerująca piechota. A znajomość rozlokowania, jak również działań wroga daje podczas wojny ogromną przewagę, o czym chyba nie muszę ci wspominać. Nasze zmagania przypominają teraz walkę na pięści, której jeden uczestnik ma założoną torbę na głowę!

– Słodki Langhornie... – Duchairn westchnął i uczynił znak berła. –

I żaden ze szpiegów Zhaspahra nie uprzedził cię, czego się możesz spodziewać?

– Nikt się nie zająknął ani słowem. – Maigwair potaknął chmurnie.

– Zatem jak poważna jest sytuacja?

– Nie wiem... jak dotąd. – Maigwair zdobył się na kompletną szczerłość. – Ale na podstawie tego, co się wyrabia, muszę cię ostrzec, że będzie już tylko gorzej. Biskup połowy Ahrnahld wycofał tylko nielicznych swoich ludzi z Talmaru. Dywizja Świętych Męczenników i Dywizja Rakurai... obie praktycznie przepadły. Dywizja Świętego Byrtryma może się pochwalić ledwie połową wcześniejszego stanu osobowego... To wszystko powoduje, że nie jesteśmy specjalnie na bieżąco, bo brak nam aktualnych doniesień. Z tego, co jednak wiemy, charisjańska artyleria okazała się nawet bardziej skuteczna niż zwykle.

No bo – skrzywił się boleśnie – nie przyszło nam do głowy, aby chować się przed kimś, kto wisi w powietrzu na wysokości paru tysięcy stóp! Obecne realia oznaczają, że wróg mógł nawet wypatrzeć nasze kątówki i wyrzutnie rakiet ukryte po przeciwnej stronie wzgórz, a potem wystarczyło tylko, aby odpowiednie współrzędne trafiły w ręce heretyckich artylerzystów. To działa oczywiście w obie strony: heretycy uprzedzali się wzajemnie o rozmieszczeniu naszych dział, którymi od tego momentu nie musieli się dłużej przejmować. Coś takiego daje niebywałą przewagę taktyczną, a chyba możemy spokojnie przyjąć, że przeciwnik miał ją już za kampanii pod Talmarem.

Przerwał na chwilę, aby poukładać myśli.

– Z drugiej strony – podjął – jakkolwiek daleko widzą ich aeronauci z powietrza, ich zwykli żołnierze na ziemi mają taki sam zasięg wzroku jak nasi ludzie. A jako że nie wiem, na ile sprawna jest komunikacja aeronautów z siłami powierzchniowymi, nie potrafię ocenić, jak daleko posunięte skutki ta nowa taktyka przyniesie w tej kampanii. Niemniej... nawet jeśli komunikacja szwankuje... ich dowódcy prędzej czy później dowiedzą się, które pozycje powinni atakować w pierwszej kolejności. Poza tym nie ma mowy o tym, aby nasi dowódcy byli w stanie rzucić do akcji swoich ludzi niezauważonych w świetle dnia, i to bez względu na ukształtowanie terenu. W efekcie nie mamy co liczyć na zaskoczenie heretyków. Samo to jest już wystarczające przykre, a przecież na podstawie wydarzeń w Talmarze wiemy też, że Charisjanie nie wahają się wykorzystać w pełni zasięgu swoich dział kątowych. Skoro widzą na pięćdziesiąt mil, bez trudu dostrzegą to, co mają pod samym nosem!

– Jaką liczbę tych balonów obserwacyjnych hrabia Tęczowych Wód zaraportował?

– Na to pytanie nie ma jednoznacznej odpowiedzi. – Maigwair prychnął wesoło, widząc, że Duchairn przygląda mu się z zaskoczeniem. – Nie mów, że nie wiesz, jak wielką wagę hrabia przywiązuje do faktu potwierdzenia każdej zdobytej informacji! A tak się składa, że wszystkie heretyckie balony obserwacyjne są identyczne! Co znaczy, że jest w stanie podać, ile ich widział, ale nie: ile mają ich heretycy. W każdym razie na liczącym około sześćdziesięciu mil odcinku frontu, jakim zawiaduje, jego zwiadowcy doliczyli się pięciu takich balonów równocześnie.

Duchairn pobladł, gdy znaczenie ostatnich słów Maigwaira przebiło się do jego świadomości. Nagle przestał się dziwić, czemu naczelny wódz sił Kościoła Matki tak się przejmuje tą sprawą. Do tej pory Armia Boga musiała się najbardziej obawiać zróżnicowania i skuteczności heretyckiej artylerii. Duchairn pojął, że pomoc balonów może okazać się nie do przecenienia, zwłaszcza w świetle najnowszych informacji, które Maigwair mu przekazał. Skarbnik poczuł, jak krew tężeje mu w żyłach.

– Mam nadzieję, że to koniec niespodzianek, jakie przynosisz, Allaynie – powiedział wolno.

– Niestety nie – zaprzeczył głuchym tonem Maigwair. – Właściwie balony to pomniejsza sprawa, przyszedłem do ciebie z czym innym... Jeśli zastanawiałeś się, czy heretycy przerzucą swoje główne siły na południe, możesz przestać łamać sobie głowę. Jeden z dowódców hrabiego Tęczowych Wód, którego pozycje znajdują się pod Ayaltynem, dostał się w krzyżowy ogień artylerii, a także... spostrzegł na niebie dwa albo nawet trzy przekłete charisjańskie balony! Hrabia otrzymał też depezę od swych zwiadowców w prowincji Hildermoss. Wygląda na to, że Charisjanom udało się naprawić śluzę nieopodal Darailysu.

– Jak to? – rzucił ostrym tonem Duchairn.

– Tak to, że co najmniej pięć heretyckich kanonierek właśnie posuwa się w górę rzeki na czele dziesiątek holowników, które ciągną za sobą barki. Czy te ostatnie są pełne żołnierzy, czy „tylko” zaopatrzenia, nie sposób ocenić, ale jedna i druga możliwość źle wróży lewej flance hrabiego Tęczowych Wód. Szczególnie że baron Zielonej Doliny właśnie zaczął przemieszczać się na południe, oddalając się od Jeziora Jaszczurkota.

– Boże Jedyny... – szepnął Duchairn, blednąc jeszcze bardziej.

Maigwair tylko wzruszył ramionami.

– Mogliśmy się tego spodziewać, Rhobairze. Znaczący nie mieliśmy pojęcia o tych przeklętych balonach, ale było do przewidzenia, że heretycy w którymś momencie nas zaatakują, i to z całych sił. Oczywiście fakt, że nas nabrali, przekierowując naszą uwagę na południe, tylko pogarsza sprawę, lecz trzeba się cieszyć z tego, że hrabia Tęczowych Wód trzyma się mocno na swoim odcinku... dość wąskim, dodam... frontu północnego nieopodal Wielkiego Lasu Tarikah. Ma do swego użytku porządne trakty biegnące ze wschodu na zachód oraz

pobliski kanał, na wypadek gdyby musiał ustąpić pola. Mam świadomość, że Zhaspahr pragnie głowy Rychtyra, ale ja osobiście uważam, że jego taktyka względem hrabiego Hanthu była genialna! A hrabia Tęczowych Wód nie ustępuje mu doświadczeniem i polotem. Front może i się załamuje, ale nie powinniśmy przegrać na całej linii, no chyba że obaj nasi najważniejsi dowódcy otrzymają od Zhaspahra rozkaz „niecofania się pod żadnym pozorem!”.

Spojrzał skarbnikowi prosto w oczy, pozwalając, aby ciszę w gabinecie przerywało tylko ogłuszające tykanie zegara w kącie.

– Właśnie dlatego do ciebie przyszedłem – powtórzył. – Musimy porozmawiać, zanim pójdziemy z tym do Zhaspahra. I Zahmsyna, oczywiście – dodał z niechęcią. – Wyobrażam sobie, że nasz wielki przyjaciel będzie się pienił z powodu Talmaru, zwłaszcza gdy usłyszy o „demonicznych” balonach. Rzecz jasna, wieści o baronie Zielonej Doliny i kanonierkach, które pływają sobie w prowincji Hildermoss, dodatkowo pogorszą sprawę... Toteż uważam, że musimy wszystko między sobą uzgodnić i trzymać się ustalonej wersji, jeśli nie chcemy, aby Zhaspahr uczynił coś naprawdę głupiego.

Duchairn zauważył, że choć Maigwair ma posepny wzrok i równie ponury ton, to jednak nie sprawia wrażenia człowieka, który się poddał. A biorąc to pod uwagę, skarbnik jakoś sobie nie wyobrażał, aby mogli cokolwiek uzgodnić...

– Wiesz przecież, że ma u mnie w domu wtyczki, dzięki którym dowie się o naszej rozmowie za jego plecami – zauważył skarbnik na głos.

– Zhaspahr nie potrzebuje żadnych dowodów na to, że spotykamy się bez niego. I tak bowiem zakłada, że spiskujemy przeciwko niemu, ilekroć nadejdzie jakiś smakowity kąsek informacji. Nie ma więc znaczenia, o czym doniosą, czy też nie doniosą mu szpiedzy. A może liczyć, że tak się nie stanie, jeśli tylko poweźmiemy odpowiednie środki ostrożności.

W tym momencie Duchairn musiał przyznać rację naczelnemu wodzowi sił Kościoła Matki.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz... – Gestem wskazał wygodny fotel, który Maigwair zawsze zajmował podczas ich pogaduszek. – Skoro zatem Zhaspahr jest pewien, że przeciwko niemu spiskujemy, zabierajmy się do roboty. Powiedz, proszę, o jakich ustaleniach myślisz.

– No cóż... Po pierwsze...

– Myślałem, że uważasz Walkyra za człowieka odpowiedniego na tym stanowisku, Allaynie – rzekł kwaśnym tonem Zhaspahr Clyntahn.

– Powiedziałem tylko, że jest równie dobry jak każdy inny kandydat na dowódcę oraz że hrabia Tęczowych Wód poprosił konkretnie o niego – odparł Maigwair spokojnie. – Na marginesie dodam, że owszem, miałem o nim jak najlepsze zdanie. I nadal mam.

– W takim razie jesteś jeszcze większym amatorem, niż myślałem – wybuchnął Clyntahn. – Siedzi w okopach i walczy z piechotą, która musi przejść przez otwarty teren, a jednak prosi, aby pozwolić mu się wycofać!

– Coś takiego jest możliwe, gdy wróg fruwa sobie po niebie i widzi wszystko jak na dłoni – sarknął Maigwair. – A jakby tego było mało, jedna trzecia jego sił oraz dwie trzecie jego artylerii nie pojawiły się na swoich pozycjach w momencie ataku przez wroga. W tych okolicznościach, jeśli mam być szczery, bardzo mu się dziwię, że sam nie podjął decyzji o wycofaniu się! Zakłada je bowiem strategia hrabiego Tęczowych Wód, którą jej twórca nam wyłuszczył dokładnie w depeszach, po tym jak kazaliśmy hrabiemu Jedwabnych Wzgórz ustąpić pola i przemieścić się na południe.

– To było działanie pod wpływem chwili! – Wielki inkwizytor całkiem przestał się hamować. – I jeśli dobrze pamiętam, nie zakładało ono ucieczki z pola walki, jak tylko Walkyr okopie się na swoich pozycjach!

– Wcale nie okopał się aż tak dobrze, jak byś chciał – skontrował Maigwair. – Co gorsza, jego podkomendni mieli tylko kilka miesięcy na to, aby przyswoić sobie zasady dowodzenia podległych im oddziałów. Tymczasem najlepszy nawet muzyk jest uzależniony od strojmistrza...

– Cóż za cudowna analogia! – wyśmiał naczelnego wodza Clyntahn. – Długo musiałeś nad nią myśleć, zanim opuściła twoje usta?

Maigwair tylko zmierzył go spojrzeniem, odmawiając jakiegokolwiek odpowiedzi, a Clyntahn jeszcze ciaśniej zwarł szczęki.

– Zhaspahrze... Depesze hrabiego Tęczowych Wód dowodzą, jak ciężko arcybiskup połowy Gustyv pracuje na to, aby utrzymać się na przydzielonych mu pozycjach. – Do rozmowy włączył się Duchairn. – Problem w tym, że brak mu ludzi i sprzętu, aby to się mogło udać...

w sytuacji, gdy heretycy dysponują balonami, przed którymi nikt nawet nas nie ostrzegł. – Ostatnie siedem słów wypowiedział ciszej, a mimo to Clyntahn błysnął wściekle oczami. – Głównie z ich powodu zwrócił się do hrabiego Tęczowych Wód o pozwolenie na wycofanie swoich oddziałów na upatrzone wcześniej pozycje pod Salykiem.

– A jaką mamy pewność, że tam będzie mu się chciało walczyć i stawić czoło heretykom?

– Arcybiskup połowy Gustyv walczy z całych sił, kiedy my tu sobie rozmawiamy, Zhaspahrze – rzekł nieco ostrzej Duchairn. – Jak na razie nie możemy mieć żadnych zastrzeżeń do morale panującego w jego armii. Muszę przyznać, że sam jestem pod wrażeniem, szczególnie w obliczu ciężkiego heretyckiego ostrzału. Nie da się jednak ukryć, że wróg uczynił niemal pięciomilowy wyłom w jego liniach pod Talmarem. W tym momencie heretycy prześlizgują się przez tę dziurę, aby zająć go z obu flank. To jakby wbijali tam klin. Napór wroga sprawia, że oddzielone od siebie części armii z każdą chwilą znajdują się jeszcze dalej od siebie. Na tę chwilę Brydgmyn ze swoimi ludźmi nadal utrzymuje swój odcinek frontu przy pomocy czterech dywizji rezerwy Armii Boga, dzięki czemu heretycy na razie nie mogą przedostać się na ich tyły. Mimo to jeden Brydgmyn nie uratuje sytuacji. Faktem jest, że oddziały już się cofają, pomalutku, z czasem jednak będą to robić coraz zwawiej. Nic bowiem nie powstrzyma wroga. W międzyczasie heretycka artyleria nadweręża oba boki klina. Walkyr chce wycofać swoich ludzi z okopów, zanim te zamienią się w śmiertelną pułapkę. Brydgmyn z kolei powinien usunąć swoich podwładnych poza zasięg heretyckiej artylerii, a także poza zasięg wzroku obserwatorów z tych przeklętych balonów. Później będziemy mogli pomyśleć o reorganizacji.

– Charisjanie ruszą jego śladem i znów sprawią mu łomot – wytknął Clyntahn, postanowiwszy, że nie ustosunkuje się w żaden sposób do kwestii balonów, o których nie zająknął się słowem ani jeden inkwizytor.

– Oczywiście – potaknął Maigwair. – Ale zapłacą daninę krwi za każdą wyrwaną milę... pod warunkiem że pozwolimy Walkyrowi wycofać swoich ludzi w szyku, póki są jeszcze zdolni do walki. Jeżeli Walkyr pozostanie tam, gdzie jest, „utrzymując pozycje”, jak robili to Kaitswyrth i Aivahnstyn, stracimy wszystkich żołnierzy, jakich ma pod sobą. Środkowa część frontu już została przełamana. Zgrupowanie Świętego Langhorne'a trzyma się tylko ostatkiem sił. I tylko dzięki

temu, że jego obecne pozycje znajdują się poza zasięgiem ciężkich dział kątowych wroga. Jak na razie... Albowiem to się wkrótce zmieni... Jeśli nie pozwolimy mu się wycofać na własnych warunkach, zanim dostanie się w krzyżowy ogień, taki sam jak pod Talmarem, będziemy mieli mnóstwo szczęścia, jeśli przetrwa choć jeden jego oddział. Zhaspahrze, zrozum... Ani Brydgmyn, ani Walkyr nie chcą zwać z pola bitwy! Proszą tylko o zgodę na to, aby się planowo wycofać. Linii Talmara broni dziewięćdziesiąt tysięcy żołnierzy... czy też raczej: broniło. Brydgmyn stracił co najmniej dziesięć tysięcy swoich. Jeśli otrzyma rozkaz utrzymania pozycji za wszelką cenę, to heretycy zaczną dyktować nam warunki. W takich okolicznościach Walkyr zdoła wyprowadzić może dwadzieścia tysięcy ludzi... którzy to ludzie, naoglądawszy się okropieństw, stracą morale tak samo, jak stracili je członkowie Armii Glacierheart.

Na wzmiankę o Cahnyrze w oczach Clyntahna znów błysnął gniew. Duchairn pomyślał sobie, że to pewnie dlatego, iż nawet wielki inkwizytor wreszcie pojął prawdę bijącą ze słów naczelnego wodza sił Kościoła Matki. Nie było to wielce prawdopodobne, ale zawsze możliwe.

– Skoro Walkyr ma tak mało ludzi i sprzętu do swojej dyspozycji, pozwólcie, że zapytam: coście obaj do tej pory robili?! – Wielki inkwizytor zapłonął gniewem. – Gdzie jest artyleria, którąście obiecywali jeszcze zimą?

– Znaczna liczba dział znalazła się na froncie i w tej właśnie chwili pruje do heretyków – odparował Duchairn, nie zwracając uwagi na fakt, że gdy Clyntahna ogarnia furia, lepiej go nie rozwścieczać jeszcze bardziej. – Reszta stoi na Kanale Świętego Langhorne'a. A powodem jest to, żeśmy przesunęli oddziały hrabiego Jedwabnych Wzgórz na południe, kierując się informacjami dostarczonymi przez agentów działających w ramach wymyślonego przez ciebie Miecza Rakurai. Tymczasem heretycy całkowicie odcięli dostęp do Zatoki Dohlariańskiej. Wedle tego, co mi doniesiono w ostatnim raporcie... dodam, że sprzed prawie pięciodnia, jako że linia semaforów uległa przerwaniu... w Harchongu Południowym czekają cztery tysiące dział polowych, dwieście ciężkich kątovek i ponad dziewięćdziesiąt tysięcy karabinów, które moglibyśmy przerzucić na front, gdyby nie to, że stoi nam na drodze heretycka flota!

Clyntahn zmiażdżył go spojrzeniem, co Duchairn dzielnie wytrzymał, szykując się na wysłuchanie kolejnej diatryby zwróconej przeciwko

Dohlarowi i hrabiemu Thirsku. Gdy Clyntahn nie otwierał ust przez dłuższą chwilę, skarbnik podjął:

– Oczywiście powodów takiego stanu rzeczy jest więcej. Niemożliwością było przerzucenie na front wszystkich żołnierzy arcybiskupa polowego oraz całej artylerii, równocześnie doglądając potrzeb hrabiego Jedwabnych Wzgórz, podczas gdy ten dokonywał przemieszczenia swoich sił. Sprawy skomplikowały się jeszcze bardziej, kiedy utraciliśmy produkcję w Harchongu Południowym, jak również swoją zdolność do przerzucania ludzi i sprzętu z Malansath Bight do zatoki Bess, a stamtąd do ujścia kanału Dairnyth–Alyksberg. Zostaliśmy zmuszeni... mówię tu o sobie, Allaynie i obu naszych sztabach... do tego, by przewartościować priorytety, ażeby walczący żołnierze nie poumierali z głodu! Nie mam przed oczami dokładnych liczb, ale wydaje mi się, że co najmniej... co najmniej, Zhaspahrze!... tysiąc osiemset sztuk artylerii oraz prawie tyle samo wyrzutni rakiet tkwi bezczynnie na Kanale Świętego Langhorne'a. Mimo że wszystko powinno być już od dawna w rękach Walkyra!

Pałace spojrzenie Clyntahna było zdolne skrzesać iskrę, która by postawiła w ogniu stos ustawiony dla skazanego na Karę Schuelera heretyka. Długo zatem trwało, nim zaczerpnął głęboko tchu i koniec końców poprawił się na krześle.

– Skoro Walkyr chce się wycofać, dlaczego hrabia Tęczowych Wód nie przerzuci swoich oddziałów rezerwy, aby udzieliły mu wsparcia tam, gdzie jest? – Głos miał nadal gniewny, lecz z jego słów przebijała się nuta rozsądku.

– Sieć dróg biegnących z północy na południe na tyłach frontu Armii Pana Wszchemmogącego i Archaniołów nie jest najlepsza. – Maigwair także spuścił z tonu, widząc, że Clyntahn ogromnym wysiłkiem woli jednak się opanował. – Hrabia Tęczowych Wód większość zimy i część wiosny spędził na ich naprawianiu i rozbudowywaniu, wszakże istnieją pewne ograniczenia w tego typu pracach, a już zwłaszcza na dalekiej północy. Jak pamiętasz, Zhaspahrze, sami borykaliśmy się z podobnymi problemami tutaj, w Syjonie.

Uśmiech, który ozdobił mu twarz, przypominał raczej grymas, a zresztą zniknął błyskawicznie i bez śladu.

– Tak więc – kontynuował – hrabia Tęczowych Wód mógłby

przerzucić zarówno ludzi, jak i sprzęt oraz zapasy na południe, bardzo wątpliwe jednak, aby ta sztuka udała mu się w wystarczającym stopniu... mówię tu o ilości oraz tempie... ażeby to się w ogóle na coś przydało. Już lepiej pozostawić drogi na tyłach puste, aby Armia Centrum mogła wycofać się w skoordynowany sposób, w razie gdyby Walkyr mimo wszystko musiał znaleźć się w Salyku. Nie ma bowiem sensu zaczopować tych traktów ludźmi i wozami, które i tak nie dotrą na czas tam, gdzie trzeba. – Urwał na chwilę. – Nie na tym jednak polega największy problem hrabiego Tęczowych Wód. Otóż potężne siły wroga napierają na niego od północnej strony Wielkiego Lasu Tarikah. – Nabrał powietrza, aby wygłosić dłuższą tyradę. – Po przedstawieniu, jakie baron Zielonej Doliny urządził zeszłej zimy, nikt chyba nie będzie twierdził, że jest on mniej sprawnym dowódcą i strategiem niż książę Eastshare. A udało mu się ni mniej, ni więcej, tylko przemieścić konną piechotę na wskroś kraju, aby odciąć drogi biegnące na zachód od Ayaltynu. Zaczął działać, zanim ktokolwiek zorientował się, co się dzieje... jak przypuszczam, wybrał najwłaściwszą trasę dzięki pomocy tych przeklętych balonów. W każdym razie to oznacza, że praktycznie otoczył brygadę barona Gwiazdy Zarannej. Czyli możemy zapomnieć o kolejnych pięciu tysiącach żołnierzy. A tymczasem heretycy nadciągający z północy prowincji Hildermoss znajdują się na wysokości Mardahs już za pięciodzień. Bardzo możliwe, że kierują się ku Jezioru Jaszczurkota, aby wesprzeć siły barona Zielonej Doliny, chociaż ja jestem innego zdania. Uważam, że Charisjanie prą w stronę miasta o nazwie Sanjhys, dokąd mają wszelkie szanse dotrzeć, a to za sprawą niemal dziesięciu kanonierek, które ich osłaniają i robią im wolne przejście. Hrabia Tęczowych Wód rozmieścił bomby morskie i wzniósł na rzece przeszkody, jednakże – jak wiadomo – te podwodne pułapki są mniej skuteczne niż miny lądowe, a poza tym między nimi a Sanjhysem nie ma żadnych śluz. – Pokręcił głową sam do siebie. – Co za tym idzie, udające się w górę rzeki oddziały dotrą do Sanjhysu, zanim zostaną zmuszone do zejścia na brzeg. Skoro baron Zielonej Doliny zdążył już minąć Ayaltyn, a kanonierki są już tylko kilka dni od Sanjhysu, wygląda na to, że hrabia Tęczowych Wód będzie potrzebował posiłków na swej północnej flance, i to jak najszybciej. Wedle jego ostatniej depechy, zdążył już odłączyć jedno zgrupowanie rezerwy... w sile trzech harchońskich brygad, czyli około dziesięciu tysięcy żołnierzy... celem

wsparcia Gustyva. Poruszają się tak szybko, jak to tylko możliwe, ja jednak wątpię, aby udało im się dotrzeć do celu na czas, by znacząco zmienić sytuację pod Salykiem. Poza tym zamartwia się tym, że na południe od Ayaltynu nie wykazał się specjalnie na froncie. Zdołaliśmy potwierdzić, że w Talmarze mamy do czynienia z Armią Westmarch księcia Eastshare, a także zidentyfikowaliśmy Armię Daivyna pod Marylysem. Nadal wszakże nie ma ani śladu Stohnara czy reszty wojsk Symkyna. Gwoli ścisłości, jedyne heretyckie oddziały, jakie na razie widzieliśmy w Przełęczy Tymkyna, to była lekka piechota.

– Lekka piechota? – Clyntahn, niczym wyverna, rzucił się na ostatnie dwa słowa Maigwaira. – Co przez to rozumiesz?

– Chciałem powiedzieć, że nie widzieliśmy charisjańskiej konnej piechoty ani Siddarmarczyków, którzy trafili pod rozkazy hrabiego Wysokiego Wzgórza. Nie licząc kilku potyczek na poziomie batalionu, mających na celu zdobycie wysuniętych punktów obserwacyjnych, nie było mowy o żadnym porządnym ataku. – Maigwair wzruszył ramionami. – Nie twierdzę, że to nie nastąpi, ale jeśli mam być szczery, chyba zostaliśmy wystawieni do wiatru przez heretyckich szpiegów, Zhaspahrze.

– To znaczy? – zapytał ostrym tonem Clyntahn, mrużąc oczy w szparki.

– To znaczy... Zważywszy, że książe Eastshare uderzył na Talmar z impetem, a hrabia Jedwabnych Wzgórz nie widział ani jednego heretyckiego balonu w okolicy Przełęczy Tymkyna, doszedłem do wniosku, że Charisjanie celowo nakarmili nas fałszywymi informacjami, żebyśmy ściągnęli hrabiego Jedwabnych Wzgórz na południe, choć wiadomo było, że trzeba będzie czymś zastąpić jego oddziały w centrum.

Maigwair wzruszył ramionami z miną niemal równie gorzką jak mina Clyntahna.

– Wróg wie, że po wydarzeniach minionego roku w naszej armii nie zostało wielu weteranów, a ci, którzy ją tworzą, nie mieli na ćwiczenia tyle czasu co Harchończycy hrabiego Tęczowych Wód – podjął naczelny wódz sił Kościoła Matki. – Wygląda więc na to, że zmusili nas do wzmocnienia obrony w środkowej części frontu, ponieważ tam właśnie zamierzają uderzyć. Nie mam na to jeszcze dowodów, ale coś czuję, że właśnie o to chodzi. Jeżeli dowódcy hrabiego Tęczowych Wód nie mylą

się w swoich szacunkach, to baron Zielonej Doliny dysponuje około stu tysiącami ludzi, natomiast armia maszerująca przez prowincję Hildermoss liczy sobie kolejne osiemdziesiąt albo nawet dziewięćdziesiąt tysięcy żołnierzy. To wystarczające siły, by przełamać nasze linie obrony, aczkolwiek może także chodzić o to, by przyszpilić hrabiego Tęczowych Wód i po rozbiciu Armii Centrum oskrzydlić jego pozycje od południa. – Przerwał na moment i podrapał się po brodzie. – Z kolei z szacunków twoich inkwizytorów, które... zważ... nie różnią się od szacunków moich podwładnych, wynika, że w zachodniej części Republiki Siddarmarku znajduje się od siedmiuset do ośmiuset tysięcy żołnierzy, nie licząc artylerii i batalionów transportowych. Jeśli baron Zielonej Doliny ma ich dwieście tysięcy, a księżę Eastshare mniej więcej tyle samo, znaczy to, że co najmniej trzysta tysięcy heretyków nadal czeka na swój przydział. Osobiście bardzo mnie niepokoi, gdzie te trzysta tysięcy żołnierzy jest i co robi.

Kiedy Maigwair mówił, twarz Clyntahna zamieniała się stopniowo w kamienną maskę. Jak łatwo się domyślić, nie spodobało mu się twierdzenie, że Charisjanie i Siddarmarczycy pospołu zrobili go w konia.

– Muszę zgodzić się z Allaynem i hrabią Tęczowych Wód, Zhaspahrze – powiedział cicho Duchairn. – Nie mam pojęcia, czy heretycy nas nabrali, czy zwyczajnie przewidzieli nasze plany... mieliśmy bowiem dowody na to, jak sprawni potrafią być ich szpiedzy... Tak czy owak, zdobyli nad nami przewagę. – Gdy Clyntahn spojrział prosto na niego, skarbnik tylko wzruszył ramionami. – Jak słusznie zauważył Allayn przed chwilą... czy nam się to podoba, czy nie... Harchończycy stanowią potężniejszą siłę od nas. Jeżeli heretycy szpiedzy dowiedzieli się, że przesuwamy harchońskie oddziały na południe, w centrum natomiast dajemy oddziały Armii Boga, z dużą dozą prawdopodobieństwa mogli zaadaptować swoje plany odpowiednio, postanawiając na nas uderzyć od razu, zamiast zrobić to na południu. Pod wieloma względami i tak nie ma znaczenia, gdzie doszło do ataku. Liczy się to, że on nastąpił.

Duchairn zawiesił głos w nadziei, że połączenie logicznych argumentów i łechtania dumy Clyntahna odniesie pożądany skutek. Osobiście był zdania, że Maigwair ma rację co do tego, że Sprzymierzeni od samego początku wodzili ich za nos. Ale skoro Clyntahn chciał wierzyć, że zmienili plany w ostatniej chwili w odpowiedzi na genialne działania jego siatki szpiegowskiej, Rhobair nie miał nic przeciwko

temu. Pod warunkiem że wielki inkwizytor koniec końców posłucha głosu rozsądku.

– Skoro tak to wygląda, tym ważniejsze jest, aby Walkyr utrzymał swoje pozycje możliwie daleko na wschodzie i południu, chroniąc w ten sposób prawą flankę hrabiego Tęczowych Wód – stwierdził Clyntahn po paru sekundach ciszy.

– Racja, zakładając, że to w ogóle możliwe – dodał Maigwair. – W przeciwnym razie powinien otrzymać zgodę na wycofanie się, a to dlatego, że hrabia Tęczowych Wód będzie potrzebował każdego człowieka na polu walki, jeśli heretycy doprowadzą do serii mobilnych starć. Co jest możliwe, biorąc pod uwagę ich konną piechotę. A sytuację pogarsza dodatkowo fakt, że te ich balony także są w ciągłym ruchu, może nawet dotrzymują kroku wspomnianym jednostkom. Właśnie dlatego nie możemy sobie pozwolić na stratę dziewięćdziesięciu tysięcy ludzi rozciągniętych na odcinku pomiędzy Talmarem i Salykiem. Po prostu nas na to nie stać!

Maigwair odchylił się na oparcie krzesła, zaciskając obie dłonie na podłokietnikach. Na spojrzenie wielkiego inkwizytora odpowiedział bez mrugnięcia okiem.

– To z całą pewnością będzie decydująca kampania, Zhaspahrze – rzekł cicho. – Jeśli w niej przegramy, praktycznie biorąc, przegramy także całą świętą wojnę. Nie twierdzę, że Bóg i Jego archaniołowie nie pokażą nam drogi ku zwycięstwu, gdyż jest to wciąż możliwe. Jeżeli jednak wcześniej heretycy rozbiją w proch Armię Pana Wszechmogącego i Archaniołów oraz Armię Centrum, każda droga, jaką wskaże nam Stwórca, będzie drogą pozawojskową. Moi ludzie... nasi ludzie... jak również Harchończycy hrabiego Tęczowych Wód dają z siebie wszystko. Wierzę, że będą walczyć do ostatka o każdą piędź ziemi. Ale kiedy zostaną pokonani, pozostanie nam tylko gorycz porażki. Właśnie dlatego nasi frontowi dowódcy muszą mieć możliwość wykonania manewru wycofania się na z góry upatrzone pozycje, o ile to gwarantuje ratunek dla ich oddziałów.

Clyntahn spojrzał mu prosto w oczy i w luksusowo urządzonej komnacie zapadła cisza absolutna.

LIPIEC

ROKU PAŃSKIEGO 898

.I.
**Wóz pełniący funkcję kwatery głównej barona Zielonej
Doliny**
Siedemdziesiąt mil na południe od Vekhairu
Linia rzeki Tairyn
oraz
50 mil na południe od Lake City
Prowincja Tarikah
Republika Siddarmarku

Wchodź dalej, Ahrtymysie... – Baron Zielonej Doliny zaprosił generała Ohanlyna do środka wozu dowodzenia.

Ciągniony przez smoki pojazd miał pięćdziesiąt stóp długości i był na dziewięć stóp szeroki, co pozwalało zmieścić wewnątrz przedział sypialny na jednym końcu i nieco od niego większy przedział dzienny pośrodku, z osobnym gabinetem, pomieszczeniem na mapy i kanciapą, w której gnieździli się wszyscy członkowie sztabu. Jako że ściany i dach zapewniały ochronę przed warunkami atmosferycznymi, w tym przed często padającym deszczem, baron Zielonej Doliny był przeszczęśliwy, nigdy wcześniej bowiem nie miał równie przytulnej kwatery głównej. Zarazem otrzymał naoczny dowód tego, że Cesarska Armia Charisu nabiera w końcu wyrafinowania.

W tej właśnie chwili prowadził generała od wejścia przez pomieszczenie na mapy, gdzie sztabowcy pracownicy nanosili zdobyte informacje, aż do swego gabinetu, aby tam odbyć rozmowę w cztery... to znaczy sześcioro oczu. Kapitan Slokym bowiem poruszał się za nimi dwoma niczym cień.

– Siadaj! – zachęcił gościa baron Zielonej Doliny, wskazując gestem krzesło, podczas gdy odpiął pas z bronią i odwiesił go na stojak w kącie.
– Bryahnie, może zorganizowałbyś dla nas coś do jedzenia? – zwrócił się do Slokyma. – Jestem przekonany, że razem z generałem zasiedzimy się

do kolacji.

– Oczywiście, mój panie. – Slokym zasalutował i wycofał się z gabinetu, cicho zamykając za sobą drzwi.

W międzyczasie Ohanlyn skorzystał z zaproszenia gospodarza i zajął miejsce na wskazanym krześle. Baron Zielonej Doliny wyminął go i umościł się na robionym na specjalne zamówienie obrotowym fotelu, który stał za jego biurkiem. Następnie otworzył dolną szufladę i wyjął z niej butelkę chisholmskiej whiskey z dwiema szklankami. Moment później nalał do nich do pełna złocistego płynu.

– To alkohol z najwyższej półki – oznajmił, przesuwając jedną ze szklanek po blacie w kierunku podwładnego.

Ohanlyn uśmiechnął się uprzejmie. Zaraz jednak uniósł brew z aprobatą, upiwszy pierwszy łyk.

– Naprawdę dobra – przyznał.

– Dostałem ją od *seijina* Merlina – poinformował baron Zielonej Doliny. – On zna się na wszystkim, alkoholi nie wyłączając.

– Bogu Jedynemu niech będą dzięki – odparł całkiem poważnie Ohanlyn.

Baron skinął z namaszczeniem. W rzeczywistości Ahrtymys Ohanlyn wiedział o osobie Merlina i jego wkładzie w dokonania Charisu znacznie więcej, niż mogło się wydawać ludziom spoza wewnętrznego kręgu. Mający czterdzieści dwa lata generał był tylko odrobinę starszy od barona Zielonej Doliny, a przy tym uważał doktora Rahzhyra Mahklyna za swego mentora i kolegę w czasie, gdy w Tellesbergu pojawił się rzeczony *seijin*. Dzięki temu orientował się, skąd wziął się pomysł „cyfr arabskich”, jak również jak bardzo zaangażowany w większość genialnych odkryć Mahklyna był Merlin. Nawet on jednak nie zdawał sobie sprawy z rozległości powiązań *seijina* z ostatnimi wydarzeniami w Charisie.

Żeby oddać mu sprawiedliwość, sam także przyczynił się do rozwinięcia kilku teorii w praktyczne wynalazki, jak na przykład suwak logarytmiczny. W późniejszym czasie został prawą ręką specjalistów, takich jak Ahlfryd Hyndryk i Ahldahs Rahzwail, pracujących nad nowymi technologiami bojowymi Cesarskiej Armii Charisu, a nawet osobiście zaproponował zastosowanie wspomnianych suwaków, dobieranych wedle balistycznych osiągnięć konkretnego modelu broni.

O ile baron Zielonej Doliny czasami przyznawał sam przed sobą, że Ohanlyn powinien zostać oddelegowany do pomocy księciu Eastshare czy też hrabiemu Wysokiego Wzgórza, to – mimo iż sam rozumiał nowoczesną artylerię nawet lepiej od niego – bynajmniej nie był skłonny zrezygnować z jego obecności.

– No więc – zagaił teraz, odstawiając szklaneczkę i odchylając się na oparcie, aby wygodniej mu było sięgnąć po fajkę i zacząć ją napełniać. – Jak źle to wygląda?

– „Źle” to za mocne słowo, mój panie – odparł zamyślony Ohanlyn, także odchylając plecy na oparcie, lecz nie wypuszczając z dłoni szklaneczki pełnej whiskey. – Powiedziałbym raczej, że nie jest tak dobrze jak jeszcze niedawno.

Baron Zielonej Doliny pomyślał w duchu, że tak też można to ująć. Armia Tarikah zepchnęła Zgrupowanie Świętego Bahzlyra pod dowództwem hrabiego Tęczowych Wód o ponad sto mil, licząc od początku ofensywy. W gruncie rzeczy – jeśli wziąć pod uwagę także Ayaltyn – udało jej się zepchnąć zgrupowanie pod rozkazami hrabiego Żółtego Nieba na dobrze ponad sto siedemdziesiąt mil. Aczkolwiek jasne było, że utrzymanie Ayaltynu nigdy nie było zamiarem hrabiego Tęczowych Wód. Baron Gwiazdy Zarannej, którego brygada wchodziła w skład dwudziestej trzeciej dywizji pod dowództwem hrabiego Żółtego Nieba, miała cofać się powoli, zarówno aby opóźnić postępy barona Zielonej Doliny (podczas gdy żołnierze na głównych pozycjach Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów szykowali się do ataku) oraz aby zmusić tegoż do ujawnienia nowych sztuczek, jakie Sprzymierzeni wymyślili przed walną bitwą. Na nieszczęście dla hrabiego Tęczowych Wód saperzy Armii Tarikah zbudowali co najmniej cztery mosty pontonowe, które przerzucili przez rzekę Hildermoss na południe od Ayaltynu, a to wszystko w jedną bezksiężycową noc. Dwie pełne brygady konnej piechoty przekroczyły je o świcie, pokonały dwadzieścia mil na drugim brzegu, by nagle skrócić na północ celem odcięcia traktu wiodącego od Ayaltynu do Lake City. Ich połączone siły przewyższały liczebnie siły barona Gwiazdy Zarannej czterokrotnie, a do tego miały jako wsparcie moździerze i cztery baterie nowych czterocalowych, odcylcowo ładowanych dział polowych. Skończyło się to tym, że baron Gwiazdy Zarannej nie miał najmniejszych szans na ucieczkę. W efekcie obserwatorzy Ohanlyna roznieśli w proch jego wsparcie artyleryjskie,

zanim nawet jego piechota przystąpiła do ataku.

Nikt nie miał wątpliwości co do tego, co nastąpi teraz – jednakże Harchończycy ani myśleli się poddać, co wiele mówiło o ich morale. Żołnierze barona Zielonej Doliny zostali zmuszeni do tego, by rozprawić się z umocnieniami barona Gwiazdy Zarannej za pomocą miotaczy ognia oraz przenośnych ładunków wybuchowych, i to pojedynczo, bunkier po bunkrze. Liczba ofiar po stronie Charisjan wyniosła w czasie tej akcji niemal sześćset dusz. Stanowiło to zaledwie trzynastą część tego, co stracili Harchończycy, lecz baron Zielonej Doliny doznał tych strat w starciu z osamotnionymi oddziałami, pozbawionymi wsparcia dalekosiężnej artylerii, podczas gdy on sam korzystał z pomocy aeronautów. Nic dziwnego, że wolał wtedy nie myśleć, co go czeka, gdy przyjdzie mu się zmierzyć z głównymi siłami Imperium Harchongu.

Do tej pory miał to doświadczenie za sobą i choć nie było ono aż tak bolesne, jak się obawiał, to jednak sporo go kosztowało.

– Chodzi głównie o to, że hrabia Tęczowych Wód szybko się uczy, mój panie – podjął Ohanlyn. – Co więcej, zdaje się, że przekonał większość swoich oficerów, aby także nie bali się mieć otwartych umysłów. Razem szybko wykoncypowali, co dla nich oznacza Korpus Balonowy, i zaczęli wdrażać swoje pomysły w życie.

Baron Zielonej Doliny potaknął z powagą. W gruncie rzeczy wiedział już większość tego, co Ohanlyn zamierzał mu powiedzieć, ale oczywiście nie byłby w stanie wyjaśnić temu ostatniemu, w jaki sposób wszedł w posiadanie tej wiedzy. Dobrze się więc składało, że Ohanlyn – jeden z najbystrzejszych ludzi, jakich znał – właśnie miał mu wyłożyć wszystko to, o czym już sam wiedział.

– Nie mam pojęcia, skąd je wzięli... choć gdybym miał snuć przypuszczenia, powiedziałbym, że albo hrabia Tęczowych Wód, albo Zhyngbau zarekwirowali je flocie rybackiej z Jeziora Wschodniego i Zachodniego Skrzydła... w każdym razie dysponują masą sieci. Za ich pomocą ukrywają swoje działa kątowe. Zdaje się, że przemieszczają je tylko pod osłoną nocy i znowu maskują. Używają do tego celu gałęzi, darni, wszystkiego, co pomaga im wtopić się w tło. – Wzruszył ramionami. – Dotychczas nikt nie używał na wojnie balonów, nie trzeba więc było zwracać sobie głowy obroną przeciwlotniczą. Osobiście żałuję, że tak szybko wpadli na to rozwiązanie.

– To jest nas dwóch – wtrącił kwaśno baron Zielonej Doliny.

– Nauczyli się też dobrze ukrywać swoją artylerię. – Ohanlyn pociągnął solidny łyk whiskey. – Wcześniej używali schronów, aby bronić ich przed naszymi kątówkami, ale ograniczali się do zastosowania worków z piaskiem jako osłony. Obecnie także korzystają z roślinności, a gdy to się nie sprawdza na danym terenie, narzucają na działa płachty materiału i pokrywają je ziemią. A przy braku czasu nie zawracają sobie głowy brezentem, tylko sypią samą ziemię. Tym sposobem ochrona jest podwójna, a nawet potrójna, ponieważ maskują w ten sposób kształty dział, przez co moi chłopcy w gondolach na darmo wypatrują charakterystycznych sylwetek armat. Wprawdzie moi obserwatorzy nadal donoszą o pozycjach wrogiej artylerii, lecz już nie tak często jak kiedyś.

Baron Zielonej Doliny ponownie skinął głową. Ohanlyn nie mylił się co do szybkości, z jaką Harchończycy przystosowali się do nowych warunków. Z początku tylko okrywali armaty brezentem. Jako że to nie zadziałało zgodnie z ich oczekiwaniami, zaczęli sięgać po coraz większe płachty, a potem także je naciągali, tak by kształty nie rzucały się z góry w oczy. W końcu wpadli na pomysł, aby użyć darni czy gołej ziemi.

– Jeśli mam być szczery, mniej mnie martwią ich działa polowe niż te przekłete wyrzutnie rakiet – oświadczył baron. – Mamy za sobą prawdziwie czarny poniedziałek. Nigdy nie powinniśmy byli do tego dopuścić.

– Od czasu do czasu drugiej stronie też się coś udaje, Ahrtymysie – stwierdził baron Zielonej Doliny. – A w wypadku hrabiego Tęczowych Wód będzie się to działo częściej, niżbyśmy sobie życzyli. Twoi obserwatorzy i aeronauci ratują życie wielu naszych żołnierzy, lecz choć chciałbyś uratować ich wszystkich, to jest po prostu niemożliwe.

Ohanlyn przez kilka sekund wpatrywał się w złocisty płyn. Baron Zielonej Doliny domyślał się, co ma przed oczami zamiast szklaneczki z whiskey. Były to zdeformowane, porozrywane ciała członków bliźniaczych batalionów, które w trakcie podejścia ściągnęły na siebie grad harchońskich rakiet. Zginęło tam ogółem siedmuset żołnierzy, ponad trzydzieści procent stanu osobowego. I tak mieli wielkie szczęście, że tylko tyle.

– Jak do tego doszło? – zapytał baron cichym głosem. – Czytałem

raport pułkownika Tymynsa, ale nie mam pewności co do szczegółów.

– Ci przekłęci Harchończycy chowają swoje mobilne wyrzutnie rakiet pod brezentem i sieciami – odparł Ohanlyn. – O niebo łatwiej jest schować przerobiony wóz niż działa kątowe, a oni do tego trzymają je w ukryciu do chwili, aż są im potrzebne. Jestem niemal pewien, że płachty są zawieszane na odpowiedniej wysokości, by obsługujący je artylerzyści mogli pod nimi działać bez przeszkód. Tym sposobem mogą nakierować wyrzutnię, zanim zrezygnują z kamuflażu. Znienacka zrywają brezent, wystrzelują, co mają wystrzelić, i rzucają się z powrotem do okopów. – Wzruszył ramionami. – Najgorsze zaś jest to, że aeronauci wszystko to widzą, tylko nie mają dość czasu, aby kogokolwiek powiadomić w porę, żeby nasza artyleria zdążyła załatwić te wyrzutnie, zanim będzie za późno. Niszczymy każdą taką wyrzutnię, lecz o większości dowiadujemy się dopiero po fakcie, gdy już narobiła szkód. Nie mam pojęcia, jak temu zaradzić.

– Ja też nie – przyznał baron Zielonej Doliny po chwili milczenia i bynajmniej nie minął się z prawdą, niestety. – Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to że powinniśmy utrudnić im wypatrzenie nas podczas podejścia. Być może rozwiązaniem byłoby użycie większej liczby świec dymnych. Wydałem już rozkaz, aby nasze oddziały przemieszczały się wyłącznie pod osłoną ciemności. Zdaję sobie sprawę, że o tej porze roku noce nie są zbyt długie, ale skoro nasz przeciwnik jest w stanie przemieścić swoją artylerię i okopać się od nowa między zmierzchem a świtem, my także powinniśmy móc przynajmniej przerzucić nasze oddziały na pozycje wyjściowe w tym samym czasie.

– Tak, mój panie.

– A czy Harchończycy wpadli już na to, aby chronić przed naszymi aeronautami także swoje inne pozycje?

– Starają się to robić, lecz ukrycie linii okopów jest już znacznie trudniejsze. – Ohanlyn uśmiechnął się blade. – Może zdołają schować przed naszym wzrokiem niektóre bastiony, ale położenie większości i tak już znamy, więc kamuflaż w niczym nie przeszkodzi naszym artylerzystom.

– Świetnie. – Baron Zielonej Doliny skinął głową z zadowoleniem, po czym wyprostował się na fotelu i sięgnął po teczkę, która leżała w górnej szufladzie jego biurka.

– Mam dla ciebie dwie informacje. Pierwsza jest taka, że dwa okręty klasy Victory zaczęły wczoraj rozładunek w Rainshairze. W chwili, kiedy rozmawiamy, w tę stronę płyną nasze barki. Dostaw możemy się spodziewać za pięćdziesiąt lub dwa. – Ohanlyn także się wyprostował, a baron Zielonej Doliny, widząc reakcję podwładnego, uśmiechnął się szeroko. – Po drugie możemy być dumni z doktor Lywys i księcia Delthaku. Zabrali się do masowej produkcji, ale mieli dość oleju w głowie, aby nie chwalić się rezultatami zbyt szybko. Dzięki temu nowy rodzaj pocisków nie wpadł w niepowołane ręce. Z tego, co wiem, Kanałem Nowym Północnym płynie właśnie do nas dwadzieścia ton amunicji. To powinno wystarczyć, aby wcielić w życie opracowywany przez ciebie od dawna plan.

– Jestem pod wrażeniem, mój panie! – wykrzyknął Ohanlyn, którego oczy nie tylko były okrągłe jak spodki, ale też lśniły z emocji. – Czekałem, czekałem, no i się doczekałem! Wreszcie!

– Wiem... – potaknął baron Zielonej Doliny i zaraz ostrzegł: – Nie możemy przestać wywierać na nich dalszej presji. Z tego powodu moje plany na czwartek wyglądają następująco. – Dobył z teczki gruby plik zadrukowanego papieru i podał go generałowi. – Przyjrzyjmy się razem tym planom...

– A niech mnie! Wciąż tu jesteście?

Kapral Jwaohyn Baozhi podniósł wzrok, gdy sierżant Huzhyn wturlał się do okopu strzeleckiego piątej drużyny z widokiem na rzekę Tairyn.

– Pana też miło znów widzieć, sierżancie! – rzekł, gdy Huzhyn rozpląszczył się na dnie.

Powiedział szczerą prawdę. Najstarszy stopniem podoficer trzeciego plutonu był prawdopodobnie najbardziej doświadczonym – i kompetentnym – sierżantem w całej czwartej kompanii. Wiedział, co znaczy być dowódcą. Wielu innych harchońskich podoficerów miało z tym nadal problemy, jednakże Huzhyn dał przykład wszystkim kapralom swojego plutonu, Jwaohyna Baozkiego nie wyłączając.

– Pomyślałem, że przyjdę sprawdzić, co u was – rzucił sierżant, podczas gdy do okopu gramoliło się pięciu innych żołnierzy. – Macie te

rakiety?

– Tajest. Są tutaj. – Baozhi wskazał ręką.

– Dobra. Zakładam, że wiecie, co z nimi robić?

– Może mi pan wierzyć, sierżancie. Mamy całkowitą jasność.

– Dobra – powtórzył Huzhyn i rozejrzał się wokół siebie. W okopie panował zaduch i gwar. – Cuchnie tu jak w sraczu, ale pozycja jest dobra – dodał zgodnie z prawdą.

Na przestrzeni ostatniego pięciodnia za sprawą heretyckiego ostrzału powstały liczne leje, z których jeden Baozhi z resztą drużyny przez całą noc zakrywał deskami i workami z piaskiem, dzięki czemu powstała osłona gruba na jakieś pięć stóp. Żołnierze pozostawili dziesięciocalową szczelinę u dołu, chcąc mieć możliwość trzystusześćdziesięciostopniowego pola rażenia. Na sam koniec pokryli worki z piaskiem zwykłą ziemią, aby utraciły swój charakterystyczny kształt. Ponieważ bunkier znajdował się na wyniosłości terenu, mieli z niego świetny widok w dół zbocza, a także mogli śmiało zrzucić granaty na głowy podkradających się heretyków. Chwilami, zanim podniósł się dym prokurowany przez heretyckie pociski, widoczność była tak dobra, że wzrokiem sięgali na tysiąc jardów w kierunku wschodniego brzegu. Właśnie dlatego zostali wyposażeni w tuzin rakiet sygnałowych, które mieli wykorzystać przy następnej okazji, kiedy heretycy będą się przymierzać do przekroczenia rzeki. Oczywiście przy założeniu, że to dostrzegą. Otwartą kwestią było też, czy w razie nadania sygnału jakakolwiek artyleria jeszcze będzie istnieć...

– Pomyślałem sobie, że podupadliście trochę na duchu, znalazłszy się w samym centrum akcji – kontynuował sierżant. Na jego brudnej twarzy pokazał się uśmiech, kiedy zdejmował z ramion plecak, aby następnie podać go Baozhiemu, który aż ugiął się pod jego ciężarem. Draństwo musiało ważyć dobre sześćdziesiąt pięć funtów. – Dwa są pełne amunicji do karabinów – wyjaśnił, wskazując kciukiem identyczne dwa plecaki dźwigane przez jego podwładnych. – Za to ten i tamte dwa – wycelował palcem w najrośniejszych żołnierzy – zawierają granaty ręczne.

– Przydadzą się nam – stwierdził chmurnie Baozhi. Heretycki ostrzał nie ustawał; wystrzeliwane przez Charisjan pociski waliły w umocnienia niczym grad. – Spróbowali podejścia jakąś godzinę temu. Spodziewam się, że pokażą się znowu o zachodzie słońca. Może trochę wcześniej.

Ostatnim razem straciliśmy Dyzhynga.

Ruchem głowy pokazał zwłoki leżące w kącie okopu. Twarz poległego była zakryta skrawkiem materiału. Huzhyn skrzywił się na ten widok.

– Szkoda człowieka. Niestety zawsze giną ci najlepsi, co?

– Taa... – Baozhi się zamyślił. – To była dziwna sprawa. Kula dostała się przez otwór strzelniczy, trafiła w coś i rykoszetowała. Dziabnęła go w kark, tuż pod krawędzią hełmu. – Kapral pokręcił głową. – Wątpię, aby miał czas zdać sobie sprawę z tego, że umiera, zanim stanął przed obliczem Langhorne'a.

– Najlepsza śmierć z możliwych. – Huzhyn rozejrzał się wkoło, nasłuchując staccata padających pocisków, po czym zacisnął wargi w wąską linię. – Jak stoicie z wodą i jedzeniem?

– Jedzenia nam nie brakuje, ale co do wody... Każdy z nas ma góra pół manierki. Tak że nie pogardzimy małym jej zapasem. Pomyśleć, że można umrzeć z pragnienia w takiej bliskości rzeki!

– Zobaczą, co da się zrobić – obiecał Huzhyn. – Ale nastawcie się na to, że będziecie musieli poczekać do wieczora. Jak na razie w powietrzu świszczy zbyt wiele kul.

– Możemy poczekać – zgodził się Baozhi, nie komentując tego, że Huzhynowi jakoś się udało przedrzeć mimo to, a co więcej, zamierzał w tych samych warunkach wrócić na swoje pozycje.

– No to do zobaczenia – rzucił sierżant, ruchem głowy dając znak swoim tragarzom, aby także zaczęli się zbierać. Moment później pierwszy opuścił okop, kierując się na tyły.

Baozhi odprowadził spojrzeniem oddalających się mężczyzn, a potem podszedł do otworu strzelniczego i zatrzymawszy się u ramienia szeregowego Gangzkiego, wyjrzał na zewnątrz. Mimo że nie sądził, aby to miało większe znaczenie – był bowiem zdania, że nawet heretyccy snajperzy nie są ich w stanie tutaj dojrzeć – pilnował się zawsze, by zerkać ukradkiem. Wiedział bowiem z doświadczenia, że Charisjanie mają zwyczaj celowania w środek bunkra.

Teren pomiędzy ich bunkrem a rzeką został zryty pociskami i zamieniony w okolicę pełną wądołów i lejów, upstrzoną kikutami drzew za sprawą obustronnego ostrzału. Niespecjalnie go to zdziwiło. Nie od dziś było wiadomo, że heretyccy artylerzyści przewyższają zdolnościami swoich odpowiedników służących w Armii Pana Wszechmogącego

i Archaniołów, a czasami wręcz są w stanie trafić pociskiem w pięciogalonowe wiadro i naprawdę dobrze sobie radzą. Licząca niegdyś dziesięciu członków drużyna Baozhiego obecnie składała się tylko z siedmiu żołnierzy, co jednak nie znaczyło, że znajduje się ona w gorszym położeniu niż artylerzyści Cesarskiej Armii Harchongu – zwłaszcza teraz, gdy heretycy zrobili użytek z balonów.

Baozhi miał wcześniej okazję wysłuchać zapewnień kapitana Zhwyailyna, który wyjaśniał, że te balony w żadnym razie nie mają demonicznego pochodzenia. Postanowił uwierzyć dowódcy kompanii, a przynajmniej założyć, że mówi on prawdę w swoim własnym mniemaniu. Wolałby bowiem usłyszeć wytłumaczenie, jak bez pomocy demonów te cholerstwa utrzymują się tak wysoko w powietrzu przez tak długi czas. Nie miałby nic przeciwko zrozumieniu idei stojącej za paroma heretyckimi wynalazkami, gwoli szczerości, jednakże w obecnej chwili to właśnie balony zaprzętały najbardziej jego myśli. Bez nich bowiem heretycy nadal znajdowałiby się na wschód od miasta o nazwie Święty Tailar, zamiast próbować sforsować rzekę Tairyn.

Baozhiemu nie przeszkadzało, że miał już wydarzenia ze Świętego Tailaru za sobą. Był nie mniej religijny od innych ludzi, ale niekończące się morze masowych grobów, rozciągające się całymi milami wokół ruin obozu koncentracyjnego, jaki Inkwizycja stworzyła w tym mieście, przyprawiało go o koszmary, szczególnie że widział, jak spadające pociski otwierają te groby... Kości i ciała – daleko na północy rozkład nie następował tak szybko jak gdzie indziej, zwłaszcza zimą, toteż teraz w gorącym lipcowym słońcu szczątki puchły i cuchnęły, jakby chciały nadrobić stracony czas – wydobyte na wierzch przez wybuchy w jego oczach stanowiły żywą klątwę. Poza tym z trudem przychodziło mu uwierzyć, że wszyscy ci przymusowo ekshumowani ludzie, a już zwłaszcza dzieci, byli przeciwnikami Kościoła Matki. Jak w ogóle można nazwać dziecko heretykiem?! Tego rodzaju myśli lepiej było zachować dla siebie, szczególnie tam, gdzie mogła je usłyszeć Inkwizycja, niemniej Baozhi był pewien, że nie jest jedynym żołnierzem, który je miewa.

Jakkolwiek Baozhi się cieszył, że nie musi już oglądać tych okropieństw, był zdecydowanie mniej zadowolony z tego, że Armia Tarikah zepchnęła Zgrupowanie Świętego Bahzlyra aż tak daleko od momentu rozpoczęcia ofensywy. Najnowszy wynalazek Charisjan – superciężkie działa kątowe nie były aż tak mobilne jak reszta

heretyckiej artylerii, jednakże lżejsze kątowniki oraz charisjański odpowiednik wyrzutni rakiet Kościoła Matki nie miały kłopotu z dotrzymaniem kroku konnej piechocie.

Wszakże na początku heretycy nie mieli tak łatwo, a to za sprawą dowódcy Zgrupowania Świętego Bahzlyra – hrabiego Żółtego Nieba – który rozkazał swoim artylerzystom, aby wyszukali każde nadające się stanowisko artyleryjskie między Ayaltnem i jego główną linią obrony. Albowiem zamierzył sobie, że odciąży Ayaltn w razie ataku, i wołał zawczasu wiedzieć, gdzie mógłby rozlokować swoje działa. Szybkość, z jaką baron Zielonej Doliny pokonał brygadę barona Gwiazdy Zarannej, uniemożliwiła zrealizowanie tego planu, niemniej wcześniejsze poszukiwania przeprowadzone przez artylerzystów pomogły przewidzieć, na których stanowiskach strzeleckich skupi się przede wszystkim heretycka artyleria, nadchodząc od zachodu. Gdy stało się jasne, że żaden kontratak nie uratuje barona Gwiazdy Zarannej – i że heretycy rychło rozprawią się z głównymi pozycjami zgrupowania – jego baterie wycelowały lufy w stronę wszystkich stanowisk w polu rażenia. Większości z nich nie widzieli, kiedy heretycy zaczęli bombardować główną linię obrony, lecz i tak odpowiedzieli ogniem na oślep, wykorzystując podane wcześniej namiary kątowne. Odnieśli co najmniej jeden sukces, uciszając dwie heretyckie baterie, i to w ciągu zaledwie pół godziny od otwarcia ognia. Radość jednakże trwała krótko. Działa kątowne Charisjan, wspomagane przez wywiad balonowy, zaczęły po kolei unicestwiać armaty Zgrupowania Świętego Bahzlyra.

Podobny scenariusz rozgrywał się na całej długości frontu już od kilku pięciodni. Ilekroć heretycy przemieścili się do przodu, gorsze jakościowo i nie tak dalekosiężne kątowniki Harchończyków dostawały szansę na to, by zadać wrogowi straty, zanim same zostały wytropione przez charisjańskich aeronautów i poddane morderczemu ostrzałowi. W końcu zniechęcone obsady kątownek Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów zaczęły porzucać swoje armaty po wystrzeleniu zaledwie dziesięciu pocisków, starając się wycofać, zanim heretycy skierują na nie ogień.

Czasami to się nawet sprawdzało.

Baozhi podejrzewał, że wdrożony niedawno obowiązkowy kamuflaż opłacał się bardziej w wypadku dział polowych oraz wyrzutni rakiet i że następnym razem czwarta kompania może nawet dostanie skuteczne

wsparcie ogniowe, kiedy heretycy spróbują pokonać bród naprzeciwko jej pozycji. Oczywiście prędzej czy później harchońskie baterie znów zostaną zasypane gradem pocisków wystrzelonych z heretyckich kątovek naprowadzanych na cel przez aeronautów. Wyrzutnie rakiet bywały groźne, lecz najefektywniejsze okazały się mniejsze, mobilniejsze kątowki piechoty. Przede wszystkim miały mniejsze rozmiary, dzięki czemu trudniej je było dostrzec z balonów – skutkiem tego podkradały się bliżej frontu, zdolne ukryć się w pierwszym lepszym leju po bombie czy też za jakimś pagórką. Zarazem z powodu niewielkich rozmiarów stanowiły nie najłatwiejszy cel, gdy przyszło do ich ostrzeliwania. Wreszcie dawały się przemieszczać niemal natychmiast po oddaniu strzału, co było nieosiągalne w wypadku jakichkolwiek dział Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów, co także zapewniało im przewagę. Jeden z kumpli Baozhiego, pewien działonowy, określił tę taktykę zwięźle „strzelaj i spierdalaj”, co dość obrazowo i celnie wyjaśniało jej główną zasadę.

Nic z tego nie zmieniło faktu podstawowego, mianowicie że Armia Pana Wszechmogącego i Archaniołów była systematycznie spychana na zachód. Nie trzeba było geniusza, aby się domyślić, jak to się skończy, jeśli postępy wojsk barona Zielonej Doliny nie zostaną powstrzymane.

Tyle dobrego, że przynajmniej w tej chwili jawiły się na to szanse. Rzeka Tairyn była może wąska – mierzyła co najwyżej sto pięćdziesiąt jardów od jednego brzegu do drugiego – wszakże była przy tym niemal na całej swojej długości bardzo głęboka oraz miała silny nurt. Z całą pewnością stanowiła poważniejszą przeszkodę niż rzeka Tarikah pomiędzy Jeziolem Wschodniego Skrzydła i północną częścią prowincji Hildermoss. Jak dotąd wręcz najpoważniejszą na drodze maszerujących heretyków. Zwłaszcza że zarówno Zgrupowanie Świętego Bahzlyra, jak jego bliźniacza jednostka Zgrupowanie Świętego Zhyahnga były mocno okopane na jej zachodnim brzegu. Bóg Jedyńy świadkiem, że charisjańscy saperzy potrafili sprokurować most pontonowy dosłownie w mgnieniu oka, lecz w tym wypadku raczej nie mieli szans go zbudować niepostrzeżenie. Do tego każdy bród na rzece był pilnowany przez obrońców Kościoła Matki, takich jak ci zgrupowani w czwartej kompanii.

Wszyscy Chłopcy Świątyni wierzyli, że dopóki upilnują te sześćdziesiąt mil frontu od Jeziora Wschodniego Skrzydła do Wielkiego Lasu Tarikah, baron Zielonej Doliny nie będzie miał szans na

wysforowanie się do przodu bez względu na to, jak liczną artylerią by dysponował.

– Szukam kapitana Bahrtalama – oznajmił porucznik z batalionu saperów. – Czy ktoś wie, gdzie go znajdzie?

– W centrum dowodzenia – rzucił w odpowiedzi jakiś szeregowiec siedzący w okopie, wskazując ręką za siebie. Za jego plecami unosiła się pasmami gęsta mgła. – Tam, na wale nabrzeżnym. Obok wielkiego drzewa. Jak za nim skręcić i przejść pięćdziesiąt kroków, nie da rady przeoczyć tego bunkra.

– Dzięki – odparł porucznik i ruszył w kierunku wału.

Choć ścieżka nie była stroma, to jednak moździerze i pociski armatnie sprawiły, że grunt pod nogami zrobił się grząski i łatwo było źle postawić stopę – szczególnie po ciemku i w tej mgle. Porucznik jednak się tym nie przejmował. Mgliste ciemności i tak były jego zdaniem lepsze od pełnego światła dnia i kul świstających mu koło ucha.

Bez trudu odnalazł wielkie drzewo, o którym mówił szeregowiec. Jeszcze niedawno musiało ono być znacznie wyższe niż teraz, sądząc po szerokim pniu o średnicy trzech stóp. Porucznik skręcił na północ i po omacku błędząc wśród towarzyszy okaleczonego giganta, w końcu wypatrzył przed sobą blade światełko.

– Stać! – warknął ktoś. Porucznik zamarł w miejscu. – Kto idzie?

– Mahrsyhyl – odkrzyknął porucznik. – Z dziewięćdziesiątego siódmego batalionu saperów. Szukam kapitana Bahrtalama.

– To ja – odezwał się inny głos, w którym dało się słyszeć wyniosły akcent. – Podejdźcie, poruczniku.

Porucznik Mahrsyhyl zbliżył się ostrożnie, trzymając obie ręce z dala od ciała. Idąc, uświadomił sobie, że blade światełko z pewnością było niewidoczne od strony rzeki, i to nawet przy braku mgły. Centrum dowodzenia kapitana Bahrtalama znajdowało się w naturalnej niecce, której jedną ścianę stanowił ziemny nasyp. Porucznik ześlizgnął się po nim do wnętrza bunkra, udając, że nie widzi obserwującego go bacznie wartownika uzbrojonego w śrutówkę.

– Pan jest kapitan Bahrtalam? – zapytał, zwracając się do dość wysokiego i bardzo barczystego mężczyzny, którego sylwetka rysowała się na tle światła.

– Zgadza się – potwierdził oficer. Mahrsyhyl pomyślał, że ów na pewno nie wywodzi się z Charisu ani z Chisholmu, już prędzej z Zebediahu. – Co mogę dla was zrobić, poruczniku?

– Jak rozumiem, napotkał pan problem, w którego rozwiązaniu może panu pomóc nasz batalion – odparł porucznik. – Zostałem tu przysłany przez kapitana Kwazenyfsky’ego.

– Ach tak? – Bahrtalam się uśmiechnął. – Nie powiem, aby wasza obecność mnie zmartwiła... Zapraszam do swego polowego gabinetu, poruczniku.

– Jest pan pewien, że to właściwe miejsce, sierzancie? – zapytał z powątpiewaniem kapral Waryn Meekyn. – Nie mówię, że się pan zgubił – dodał szybko. – Minęło... ile to?... trzy albo nawet cztery dni od ostatniego razu... Tylko jakoś mi się widzi, że po tym ćmoku naprawdę trudno rozpoznać znaki szczególne okolicy.

– Tym samym warunkom zawdzięczamy, że żaden snajper Kościoła Matki nie pozbawi mnie waszych cennych usług, kapralu – skwitował sierżant Hauwerd Paitryk. – Ale powoli zaczynam żałować, że nie zczekałem na nastanie dnia.

– Niech pan da spokój, sierzancie – zaprotestował ze śmiechem Meekyn. – Przecież wie pan, że zatęskniłby pan za mną jeszcze przed południem.

– Potrzebniście mi jak kac, Meekyn. Jak kac.

Podwładni kaprala pokręcili w mroku głowami, szczerząc się od ucha do ucha. Meekyn i Paitryk znali się jak łyse konie. Poza tym sierżant zdążył już przeprowadzić trzy inne drużyny przed drużyną Meekyna. Można się było domyślić, że dla drugiej drużyny szykuje coś specjalnego.

– Stać! – zawołał ktoś. Sierżant uniósł dłoń, na co wszyscy członkowie drużyny zatrzymali się jak jeden mąż. – Co tam, szukacie kogoś?

– Tak. Pierwszego plutonu – odpowiedział sierżant Paitryk i zaraz się

przedstawił: – Dziewięćdziesiąty siódmy batalion saperów.

– Dobra nasza!

Z tych dwóch słów przebijała ewidentna radość. Paitryk gestem kazał swoim podwładnym, którzy ciągnęli wózki, żeby odpoczęli. Posłuchali go bez szemrania, za to z widoczną wdzięcznością. Wózki miały nieproporcjonalnie duże koła i były tak skonstruowane, że każdy mogło ciągnąć nawet czterech ludzi. Mimo to w tym terenie stanowiło to nie lada sztukę.

Paitryk i Meekyn ruszyli naprzód. Z mroku wyłonił się jakiś kapral, który ruchem głowy dał im znak, aby szli za nim. Jakieś pięćdziesiąt jardów dalej natknęli się na lisią jamę wygrzebaną w mulistym brzegu rzeki. Na dnie stała woda, ale sierżant wiedział, że kiedy w powietrzu fruwały kule, odrobina wilgoci mało komu przeszkadza. Na skraju wykopu siedział blondwłose porucznik, na oko nieco młodszy od Paitryka. Najwyraźniej czekał właśnie na nich.

– Porucznik Mahkdahnyld?

– We własnej osobie. Czego potrzebujecie, sierżancie?

– Jak rozumiem, po drugiej stronie rzeki jest parę bunkrów, które uprzykrzają życie panu i pana chłopcom?

– Coś w tym rodzaju. – Porucznik spochmurniał. – W jedno popołudnie straciłem ćwiartkę plutonu. Ci dranie zaczekali, aż będziemy w pół drogi, po czym otworzyli ogień. Najbardziej we znaki daje nam się jedno stanowisko... Bunkier to za dużo powiedziane, przypomina to raczej coś, co zostaje po wybuchu w okopie. Niestety ukształtowanie terenu pozwala im zrzucić na nas z góry granaty przy każdej naszej próbie sforsowania brodu. Nie dam głowy, ale pewnie też wypatrują stamtąd ruchów naszej artylerii. To jedyne takie miejsce, które umożliwia im obserwowanie naszych pozycji... zważywszy na szybkość i celność ich moździerzy, zakładam, że wypatrzyli nas już wcześniej. Niestety nie wydaje mi się, żeby aeronauci zdołali ich wytropić wśród tych wszystkich lejów. Próbowaliśmy ich stamtąd wykurzyć, ale bez efektu. To znaczy było parę celnych trafień, ale uszkodzeniu uległy co najwyżej umocnienia.

– Przy odrobinie światła wskaże nam pan to miejsce?

– Jasne... – Porucznik wzruszył ramionami. – Sami nawalamy do nich, z czego tylko możemy, ale jak na razie bez skutku. Jednemu

z moich ludzi prawie się udało wrzucić granat przez otwór strzelniczy, ale że odległość wynosi prawie dwieście jardów, zdecydowałem, że nie będziemy ponawiać tych prób. Nie mamy nieskończonej liczby granatów.

Paitryk kiwnął głową. Granaty używane przez Cesarską Armię Charisu, wypełnione lywysitem, były zabójczą bronią, jednakże dwieście jardów stanowiło ich maksymalny zasięg – nawet po zastosowaniu amunicji dymnej – a poza tym granaty nasadkowe nie miały dość mocy, aby rozwalić cały bunkier, no chyba że ktoś faktycznie zdołałby go wrzucić do środka na przykład przez otwór strzelniczy. Nie było to niemożliwe, jak pokazało życie, lecz zależało w większej części od szczęścia aniżeli od zdolności.

– Cóż – odezwał się sierżant, kładąc dłoń na ramieniu Meekyna. –

Myszę, że mój przyjaciel będzie mógł panu pomóc, poruczniku. Niech pana nie zwiedzie jego niskie czoło i te jaszczurcze łapki. Ten kapral nie ustępuje inteligencją przeciętnemu chomikowi.

– Rozumiem. – Porucznik roześmiał się wbrew samemu sobie. Moment później przechylił głowę. – Jeśli można zapytać... Jak pan kapral zamierza nam pomóc?

– Właśnie miałem do tego przejść, poruczniku.

– Przesuń się! – Kapral Baozhi szturchnął nogą szeregowego Yangkau, po czym odsunął się gwałtownie, kiedy żołnierz wyrwany ze snu zatoczył dokoła karabinem. – Świt za dwadzieścia minut – dodał, wskazując głową otwór z tyłu. – Ostatnia szansa ulżyć jelitom, zanim zaczniemy nowy dzień.

– Ojej, dzięki – powiedział Yangkau, wstając na nogi i przeciągając się z ziewnięciem.

– Nie chcę nic mówić o smrodzie – zwrócił się do niego Baozhi – ale Zakon Pasquale nie na darmo zachęca do kopania latryn. Wystarczy, że musimy tutaj sikać. Poza tym, przynajmniej moim skromnym zdaniem, świst kul potrafi być rozpraszający przy załatwianiu grubszej potrzeby.

– Racja – przyznał szeregowiec i wygramolił się z prowizorycznego bunkra na zewnątrz.

Baozhi odprowadził go spojrzeniem, a potem spróbował przeniknąć

wzrokiem mrok. Nadal było za ciemno, aby zobaczyć ciała, które minionego popołudnia unosiły się na powierzchni brodu. Przez moment zastanowił się, czy heretycy przypadkiem nie zabrali poległych nocą. Osobiście nie miał żadnej przyjemności z zabijania ich, po prostu wykonywał rozkazy i robił, co do niego należało. Zresztą nie wątpił, że towarzysze zabitych wkrótce ponowią atak w próbie rewanzu.

Nie najlepszy sposób spędzania czasu... – Baozhi pokręcił głową.
Naprawdę nie najlepszy...

Na wschodzie słońce budziło się do życia, roztaczając wokół łososiowo-różowy blask. Ludzie na obu brzegach rzeki poczuli, jak na ich żołądkach zaciska się lodowata pięść. Zgrupowanie Świętego Bahzlyra zdołało powstrzymać napór Armii Tarikah przez cztery pełne dni. Żołnierze barona Zielonej Doliny, a już zwłaszcza członkowie dwudziestej pierwszej brygady, zaczęli być tym zmęczeni. Brygada ta stanowiła formację uderzeniową Armii Tarikah i była wyszkolona i wyposażona do stosowania na polu bitwy nowej taktyki, tym bardziej więc zabolęła jej członków wczorajsza porażka, jak również strata wielu towarzyszy broni. Wszyscy byli przekonani, że osiągnięcie celu jest możliwe – wszakże za zbyt wysoką cenę. Tymczasem życie dobrze wyszkolonych żołnierzy było zbyt wartościowe, aby nim szafować, gdy nie było to absolutnie konieczne. A w tym wypadku nie było. Natomiast Cesarska Armia Charisu naprawdę ceniła sobie żołnierzy, uważając ich za swój główny atut. I właśnie dlatego dwudziestej pierwszej brygadzie z pomocą przyszedł dziewięćdziesiąty siódmy batalion saperów.

– Jesteście tego pewni, kapralu? – zapytał porucznik Mahkdahnyld.

– Tak jest! – odparł kapral Meekyn. – Jeśli tylko będzie w zasięgu naszego wzroku, załatwimy to, sir!

Mahkdahnyld przyjrzał się ustrojstwu trzymanym przez kaprala z lekkim powątpiewaniem. Słyszał o nich już wcześniej, nigdy jednak nie miał okazji ich zobaczyć, a już zwłaszcza być świadkiem, jak są

używane. Osobiście najchętniej sprokurowałby zasłonę dymną i pod jej osłoną spróbował przeprowadzić swoich ludzi na drugi brzeg. Wierzył, że tym razem zdołałby tego dokonać bez większych strat – pod warunkiem że do akcji nie weszłyby moździerze. Zdawał sobie jednak sprawę, że ci z jego podwładnych, którzy pokonaliby bród, natknęliby się na splątane resztki zasieków postawionych wzdłuż zachodniego brzegu przez Harchończyków. I musieliby się z nimi uporać pod nawałą ogniową – przy czym wtedy zasłona dymna nie na wiele by się zdała. Albowiem ten przeklęty bunkier umiejscowiony na krańcu harchońskich linii tak czy owak byłby źródłem masy spadających na głowy jego ludzi granatów. Zatem jeśli Meekyn faktycznie był w stanie rozprawić się z tym przeklętym stanowiskiem, niech tak będzie.

– Chyba jest już wystarczająco jasno, sir – zauważył Meekyn. – Pokaże nam pan, gdzie oni są?

Mahkdahnyld przyłożył lornetkę do oczu, przepatrzył zachodni brzeg rzeki, który wyłaniał się z rozpraszającej się właśnie mgły, opuścił lornetkę i wskazał palcem.

Meekyn rzucił okiem na przeciwległy brzeg. Nie potrzebował lunety ani lornetki, gdyż wskazany raz cel był dla obserwatora oczywisty.

– Widzę – powiedział krótko.

– Kolejny bunkier jest jakieś trzydzieści pięć jardów na prawo od tego. Trzymajcie się linii okopów, kapralu, a też go zobaczycie.

– Zaraz obok tego okopu komunikacyjnego, który biegnie w górę wału?

– Tak. No dobrze... A ten, który sprawił nam najwięcej kłopotów, jest kolejne sześćdziesiąt jardów dalej... I nieco bliżej szczytu. Macie go, kapralu?

– Widać jakichś heretyków?

– Na razie nie – odpowiedział Baozhi.

Wyglądał przez otwór strzelniczy, żałując, że nie ma lunety i że słońce świeci mu prosto w oczy. Był lekko zdziwiony, że heretycy nie podjęli kolejnej próby pokonania brodu, wykorzystując fakt, że położenie słońca

im sprzyjało. W tych warunkach Chłopcy Świątyni nie byli w stanie rozróżnić szczegółów z powodu nadmiernego blasku, który porażał im wzrok.

Zapewne nie zdają sobie sprawy, jak kiepską mamy widoczność...

Nagle zmarszczył czoło.

Co to, na Shan-wei, ma być?

– Poruczniku, czekamy na pański rozkaz – oznajmił kapral Meekyn.

– Świetnie.

Mahkdahnyld popatrzył najpierw w lewo, potem w prawo. Jego podkomendni kucali bądź wręcz leżeli, kryjąc się za powalonymi drzewami i wśród wykrotów. Za nimi – oby wciąż niewidoczne z przeciwległego brzegu rzeki – pozostałe trzy plutony drugiej kompanii czekały na sygnał do ataku.

Zakładając, że można było nazwać atakiem kolejną próbę pokonania rzeki w tym miejscu.

Porucznik utkwiał spojrzenie w broni kaprala Meekyna i jego podwładnych. Z całą pewnością prezentowała się obco. Składała się z trójnogu – podobnego do trójnogów używanych przez mierniczych, lecz zdecydowanie bardziej krzepkiego w budowie – do którego był przytwierdzony długi kawałek sześciocalowej rury. Rura ta była wyposażona w wizjer, pokrętła i została zamontowana na solidnym obrotowym stelażu. Z jej końca wystawał lont, który łączył się z pojedynczym i konkretniejszym zapalnikiem biegnącym do drewnianej skrzynki przy nodze kucającego kaprala.

Drużyna Meekyna ustawiła sześć takich ustrojstw, z których każda para była wymierzona w jeden bunkier Harchończyków.

Porucznik Mahkdahnyld skinął głową.

– Macie zielone światło, kapralu.

– Skoro tak... – Meekyn nabrał powietrza w płuca i krzyknął: – Ognia!

Meekyn szarpnął kółko przytwierdzone do skrzynki. Zapalnik dokonał zapłonu lontów, po czym pomknęły po nich migotliwe ogniki.

Pomimo słońca świecącego mu prosto w oczy kapral Baozhi dostrzegł rozbłysk we wciąż szarym powietrzu nabrzeża. Nie uświadomił sobie jednak, co widzi. Iskra dosięgnęła celu i Jwaohyn Baozhi zrozumiał, czym są przysadziste trójnogi – aczkolwiek niewiele mu z tej wiedzy przyszło.

Rakiety zaprojektowane przez majora Sykahrellego wyleciały z tub wyrzutowych w towarzystwie płomieni, na które strach było patrzeć. Ten ogień był powodem, dla którego majorowi nie udało się skonstruować takiej samej broni, tyle że przenośnej i używanej przez obsługującego ją żołnierza w pozycji na ramieniu. Jako że możliwe było wyłącznie oddanie strzału poniekąd zdalnie, ostatecznie zdecydował się na mocniejszą konstrukcję.

Wszystkie sześć rakiet pomknęło nad wodami rzeki niczym ogniste komety. Baozhi odruchowo rzucił się na ziemię bunkra.

– Padnij! Padnij! – zaczął krzyczeć.

Ponieważ jego podwładni wszyscy byli weteranami wielu bitew, nie zadawali pytań, tylko natychmiast wykonali rozkaz.

Trzy sekundy później rakiety dosięgły celu. Jedna z nich, wycelowana w bunkier na południowym krańcu linii harchońskich umocnień, zeszła nieco z kursu i spudłowała o co najmniej trzydzieści jardów. Pozostała piątka leciała równo i prosto, przyśpieszając przez cały czas i kreśląc za sobą ognisty ślad. W końcu doszło w wypadku każdej z nich do zderzenia z celem. Ładunek zawierający dwanaście funtów lywysitu równał się trzydziestu funtom czarnego prochu, co stanowiło o dwanaście procent więcej, niż zawierał ładunek ośmiocalowego pocisku. Tymczasem ściany harchońskich bunkrów były znacznie cieńsze od ich dachów.

Wszystkie trzy stanowiska ogniowe uległy unicestwieniu wśród jednostajnego huków przypominającego grzmot toczący się po niebie. Mahkdahnyld uniósł rękę z pistoletem sygnałowym. W blasku słońca i płomieni krwistoczerwona raca wydawała się blada, została jednak dostrzeżona przez oddziały wsparcia czekające na ten znak. Moment później rozkaszały się moździerze, a na przeciwległym brzegu zrobiło się gęsto od dymu. W niebo pomknęły pociski kątówek, padając na wypatrzone pozycje wrogiej artylerii oddalonej od brzegu.

Porucznik Mahkdahnyld klepnął kaprala Meekyna w ramię.

– Doskonała robota! – pochwalił z szerokim uśmiechem na twarzy. Gdy dojrzał znów przeciwległy brzeg, sięgnął po swój gwizdek. – Proszę nas odwiedzić, jak już urządzimy się na zachodnim brzegu. Znam co najmniej pięćdziesięciu chłopa, co chętnie panu postawią piwo!

– Nie cierpię tego draństwa, sir! – warknął porucznik Shyaing Pauzhyn, gdy rozległa się kolejna heretycka salwa (tym razem cięższych pocisków miotanych przez masywne kątowniki, których nadejścia nikt nie przewidział), aby przetoczyć się nad głowami członków dwudziestej trzeciej dywizji.

Tak się składało, że nie mówił o pociskach – i porucznik Myngzho Hyntai o tym wiedział. Pauzhyn miał na myśli balony, które jakby nigdy nic unosiły się w powietrzu i pokazywały obsadom dział, gdzie mają celować. A robiły to z nie ludzką precyzją.

– Niestety – odparł Hyntai – niewiele możemy poradzić na ich obecność. Przynajmniej na razie. Wiem bowiem, że nasi artylerzyści już kombinują, jak by tu skonstruować samonośne platformy, które by wyniosły na podobną wysokość nasze fultyny, aby te mogły pokazać heretykom, gdzie raki zimują.

Postarał się, aby te słowa zabrzmiały tak optymistycznie, jak to tylko było możliwe. Wyszło mu to tak sobie, co dało się poznać po minie Pauzhyna, który dowodził dziewięćdziesiątą piątą brygadą i raczej nie miał wielkich powodów do optymizmu.

Cóż, jest młody, a młodych trudno winić o upadek ducha, pomyślał Hyntai. I zaraz sobie uświadomił, że trzydziestosiedmioletni Pauzhyn raczej by się nie ucieszył, że ktoś ma go za młodzika. Niemniej Hyntai, który liczył sobie siedemdziesiąt dwa lata, miał wszelkie prawo tak właśnie o nim myśleć, i to nawet jeśli Shyaing Pauzhyn w ostatnich miesiącach znacznie się postarzał.

Przetoczył się kolejny grom i kolejny grad pocisków spadł na linie Harchończyków. Dźwięk był czymś nowym dla walczących po stronie Kościoła Matki; zdaniem wielu zdawał się mniej przerażający od wycia masowo wystrzeliwanych rakiet, lecz i tak rezonował w całym ciele

człowieka, wprawiając w wibracje kości i pieniać krew. Każdy spadający pocisk zaś w kontakcie z ziemią zamieniał się w wybuchający wulkan, niosący ogień i śmierć. Jedynie najgłębsze bunkry mogły mieć nadzieję na przetrwanie tej nawały.

Lecz była i dobra wiadomość: pomimo zniszczeń, jakie wywoływały heretyckie pociski, ich celność pozostawiała wiele do życzenia. Nawet najbardziej doświadczeni charisjańscy artylerzyści nie opanowali nowej broni tak, jak by chcieli. Na razie przynajmniej. Hyntai skarcił się w duchu za tę ostatnią myśl. Nigdy by nie powiedział czegoś podobnego głośno w obliczu swoich podwładnych. Niestety prawda była taka, że heretycy posiadali zadziwiającą umiejętność przechodzenia samych siebie – zwłaszcza w chwilach, gdy zwolennicy Kościoła Matki już, już ich dościgali. Doskonałym tego przykładem były wcielone ostatnio do wojska Imperium Charisu balony...

– Wiem, że chcesz jak najprędzej wrócić do swoich ludzi, Shyaingu – powiedział Hyntai – nie będę więc cię niepotrzebnie zatrzymywał. – Pokazał zęby w przelotnym uśmiechu pozbawionym cienia wesołości. – Zawsze mnie uczono, że złe wieści należy przekazywać w możliwie zwężonej formie.

– Złe wieści, sir? – zapytał ostrożnie Pauzhyn, który jednak nie wyglądał na zdziwionego. Odkąd rozpoczęła się ofensywa heretyków, dobrych wieści było tyle, co jaszczurkot napłakał.

– Obawiam się, że otrzymaliśmy rozkaz, aby się wycofać – powiedział z ciężkim sercem dowódca dywizji.

– Wycofać? – powtórzył ostrym tonem Pauzhyn.

– Tak. – Hyntai puknął palcem w rozłożoną na kamieniu mapę. – W to miejsce.

Pauzhyn zerknął w dół i natychmiast zacisnął wargi w wąską kreskę. W ciągu pięciodnia i kolejnych dwóch dni od momentu, gdy heretycy pokonali rzekę Tairyn, dziewięćdziesiąta piąta brygada została zepchnięta o następne dwadzieścia pięć mil. Cud chyba sprawił, że tylko tyle, a nie więcej, zważywszy na to, jak nieprzygotowane do walki były oddziały na ich tyłach. Ledwie heretycka artyleria zabrała się do roboty, pośpiesznie budowane okopy i ciągi jaszczurzych nor przepadały jeden za drugim.

Aczkolwiek można też było powiedzieć coś dobrego na temat

wznoszonych na łapu-capu umocnień. Nowa taktyka heretyków sprawiła, że zaatakowane bunkry stawały się śmiertelnymi pułapkami, gdy oddziały przeciwników przerywały linię fortyfikacji. Bywało, że Charisjanie płacili za to słoną cenę, lecz kiedy już się znaleźli pośród wrogich okopów, sięgali po te swoje przekłete szybkostrzelne śrutówki, przenośne ładunki wybuchowe i miotacze ognia. W ich obliczu mało który z obrońców miał szansę na przeżycie.

Jego brygada z początkowych czterech tysięcy i sześciuset żołnierzy została przetrzebiona do ledwie dwóch tysięcy, mimo że napłynęły w międzyczasie posiłki w liczbie okrągłego tysiąca. Straty dwudziestej trzeciej brygady były niemal identyczne. O brygadzie barona Gwiazdy Zarannej wolał nawet nie myśleć.

A jednak w ludziach nadal tkwi duch walki, cieszył się w duchu.

Odezwał się dopiero po dłuższej chwili milczenia.

– Sir, jak rozumiem, czekają tam na nas upatrzone pozycje... Jeśli się jednak nie mylę, nowa linia obrony wydłuży nasz front o jakąś jedną czwartą. A do tego znajdziemy się plecami pod ścianą, by tak rzec... Będziemy mieli tuż za sobą trakt biegnący od Sairmeetu do Lake City. Jeśli zepchną nas jeszcze dalej i przejmą kontrolę nad tym traktem... – Nie dokończył.

Hyntai pokiwał głową z nieszczęśliwą miną.

– Oczywiście masz rację. Ale tak naprawdę zostaliśmy odwołani na tyły, aby nabrać sił i się przegrupować. Trzy pozostałe zgrupowania: Świętego Tyshu, Świętej Ahgnisty i Świętego Jyrohma otrzymały zadanie utrzymania fortyfikacji. My trafimy do rezerwy, przynajmniej na jakiś czas.

W oczach Pauzhyna pokazała się ulga, aczkolwiek troska bynajmniej nie zniknęła z jego twarzy.

– Wiem, że nasza linia frontu znajdzie się zatrważająco blisko traktu, o którym wspomniałeś – przyznał Hyntai. – Nie mamy jednak wyjścia. Obrońcy Sanjhysu musieli się poddać przed trzema dniami, a heretycy już teraz zwracają swoją artylerię przeciwko miastu... jakże się ono nazywa? Vekhair?... a wszystko to dzięki balonom. Powiem ci w zaufaniu, że hrabia Tęczowych Wód zarządził ewakuację tego miasta. – Pauzhyn zeszywniał, ale Hyntai i tak dokończył: – Ma się ona odbyć po cichu, nocą. Okręty zabiorą ludzi i przewiozą ich do Lake City.

– A co z ciężką bronią, sir?

– Trzeba ją będzie porzucić – wyznał ze smutkiem Hyntai. – Okręty mają miejsce tylko dla ludzi, a i to z trudem. Artyleria i wyrzutnie raket zostaną tam, gdzie są, razem z ariergardą, której zadaniem będzie bronić miasta przed heretykami, kiedy ci już się zorientują, co się dzieje. Zgadzam się z decyzją hrabiego w całej rozciągłości. Charisjański generał na prawej flance, niejaki Klymynt, już popycha swoją konną piechotę, aby ta zakradła się i odcięła trakt na wysokości północnego krańca jeziora. Przy tych balonach szpiegujących znają każdy nasz krok. Hrabia Górskiego Kwiatu zostałby uwięziony na brzegu jeziora, zanimby zrobił pięćdziesiąt mil, zakładając, że chciałby się jakoś przedrzeć. Gdyby miał większą swobodę ruchów, zdołałby może uniknąć heretyków, i to mimo balonów, ale osobiście wątpię, aby udało mu się ta sztuka. Ma na to za dużo piechoty i za mało dragonów, dzięki którym mógłby wygrać ten wyścig. Tyle dobrego, że służby pomiędzy Sanjhysem i Vekhairem zostały zniszczone, dzięki czemu przynajmniej Klymynt nie da rady wpłynąć na jeziora swoimi kanonierkami!

Pauzhyn skinął głową z miną człowieka, który nie widzi w sytuacji żadnych dobrych stron. Widząc to, Hyntai położył mu dłoń na ramieniu.

– Wiem, że ciężiej jest rzucić się w wir walki, mając przed sobą jedynie perspektywę odwrotu, ale wiedz, że ty i twoi ludzie zachowaliście się wzorowo. Jestem z was ogromnie dumny, Shyaingu. W dodatku heretycy muszą teraz walczyć o każdą piędź ziemi, co jest sporym postępem w stosunku do ostatniego i przedostatniego roku. Zwłaszcza że obecnie mają na swoich usługach ten balonowy zwiad... – Pokazał ruchem głowy niebo. – Jedyne, co w tych okolicznościach możemy, to kontynuować wojnę. Pamiętaj, że mamy już lipiec. Walki nie potrwają dłużej niż do września, w najgorszym razie do początków października. Jeśli uda nam się spowalniać wroga do tego czasu, zima powinna nas zastać na linii rzeki Ferey.

– A co będzie następnego lata, sir? – zapytał bardzo cicho Pauzhyn.

– To wie tylko Bóg Jedyny. Wszystko w Jego rękach...

.II.
Podejścia w zatoce Gorath
oraz
Zatoka Hankey
Dohlar

Jasny gwint – szepnął marynarz Ahlfraydoh Kwantryl, do niedawna członek załogi dohlarlańskiego HMS *Tryumfujący*, spostrzegłszy w lunecie rozmyty obraz.

– Co to ma znaczyć? – zainteresował się ktoś za jego plecami.

Kwantryl miał tego pecha, że został oddelegowany do oddziału artylerii, na który składało się sześć dział i który był częścią pierwszej baterii pod dowództwem porucznika Bruhstaira. Kwantryl nie przepadał za dowódcą nawet wtedy, gdy razem służyli na pokładzie wspomnianego okrętu, a umocnił się w tej niechęci jeszcze bardziej, jak tylko okręt trafił na redę, a oni zostali wysłani na ląd. Nie chodziło o to, że Bruhstair jest niekompetentny. Albowiem przeciwnie, miał smykałkę do swojej roboty i naprawdę znał się na nowych modelach artylerii – tak więc jak na kogoś, kto przed pięcioma miesiącami ukończył dwudziesty rok życia (Kwantryl był od niego dwa razy starszy), radził sobie naprawdę dobrze. Rzecz w tym, że porucznik był niemożebnie pruderyjny. Przez to nie miał cienia sympatii dla Kwantryla, który zabalował w przybytku prowadzonym przez panie wątpliwej reputacji, a nawet samowolnie wydłużył sobie czas trwania przepustki. Na domiar złego porucznik nie tolerował nawet łagodnych przekleństw; przechlapane u niego miał każdy, kto by wezwał nadaremno imienia Boga Jedynego albo któregoś z Jego archaniołów.

A oczywiście przebrzydły szczeniak musiał mieć najlepszy słuch w całej Królewskiej Armii Dohlaru.

– Proszę o wybaczenie, sir – odparł Kwantryl wykrętnie. – Ale może lepiej niech sam pan zobaczy...

Odsunął się od lunety przymocowanej do balustrady wieży

obserwacyjnej, robiąc miejsce przełożonemu.

Bruhstair obdarzył go ostrym spojrzeniem, a następnie przyłożył oko do okularu lunety.

W innych okolicznościach Kwantryl uznałby za zabawne to, jak gwałtownie porucznik wyprężył ramiona. W tej chwili jednak całkowicie rozumiał reakcję oficera.

– Choć ten jeden raz – powiedział Bruhstair, prostując się na powrót – twój dobór słów jest usprawiedliwiony.

Porucznik strzelił palcami na drugiego marynarza, który pełnił wartę równocześnie z Kwantrylem. Gdy Ahlverez poderwał wzrok, Bruhstair pokazał mu drabinę.

– Zejdź na dół i przekazaj porucznikowi Tohryzowi, że zauważyliśmy kilka kolumn dymu sunących w naszą stronę. Na moje oko oznacza to co najmniej sześć heretyckich parowców, które jednak na razie wciąż znajdują się za linią widnokręgu. Nie potrafię więc określić, ile z nich to kanonierki.

Ahlverez wyraźnie poblądł, ale szybko skinął głową i rzucił się w dół drabiny z taką prędkością, że Kwantryl miał prawo żywić obawę, iż zaczepi się po drodze o któryś szczebel i runie na ziemię, aby skreślić sobie kark.

– Skoro już tu jesteśmy – zwrócił się do Kwantryla porucznik – powinniśmy chyba się przyłożyć i oszacować liczbę tych okrętów. Nawet przy tym tempie mamy na to czas, zanim skierujemy się do kwatery głównej.

– HMS *Zakole* melduje, że przylądek Palec pojawił się w polu widzenia – wyrecytował Matthysahn, w dalszym ciągu zgięty w pół przy obrotowej lornetce nakierowanej na flagi sygnałowe powiewające nad płynącą na czele kanonierką. Znajdowała się ona trzy kable przed HMS *Gwylym Manthyr*. Patrzył przez lornetkę jeszcze przez chwilę i dodał: – Cztery rumby na sterburtę. Odległość wynosi dwanaście mil.

– Dziękuję, Ahbukyro – odparł Halcom Bahrns. Dokonał w myślach paru obliczeń, a potem zwrócił się do kadeta pełniącego wartę. – Panie Ohraily, przekazcie baronowi Sarmouth moje wyrazy uszanowania

i wiadomość: „HMS *Zakole* melduje, że przylądek Palec pojawił się w polu widzenia. Cztery rumby na sterburtę. Odległość od flagowca wynosi jakieś... trzynaście mil”.

– „Pańskie wyrazy uszanowania dla admirała, sir. HMS *Zakole* melduje, że przylądek Palec pojawił się w polu widzenia. Cztery rumby na sterburtę. Odległość od flagowca wynosi jakieś trzynaście mil” – powtórzył karnie młody Ernystoh Ohraily.

Bahrns potwierdził skinieniem głowy, a Ohraily dotknął piersi pięścią w salucie i skierował się do zejściówki, podczas gdy HMS *Gwylm Manthyr* oraz druga wzmocniona eskadra kanonierek, składająca się obecnie z sześciu jednostek, sunęły nieprzerwanie w stronę zatoki Gorath ze stałą prędkością dziesięciu węzłów.

– Dziękuję – powiedział z poważną miną baron Sarmouth. – Panie Ohraily, przekazcie moje pozdrowienia kapitanowi Bahrnsowi i poinformujcie go, że za jego pozwoleniem dołączę do niego na mostku nawigacyjnym.

– „Pozdrowienia dla kapitana Bahrnsa i prośba o zgodę na pańskie dołączenie do niego na mostku nawigacyjnym” – powtórzył Ohraily.

Admirał potaknął skinieniem, a młodzik zasalutował i opuścił dzienną kajutę barona. Drzwi za nim zamknął Sylvyst Raigly, który następnie spojrzał na barona Sarmouth i uniósł pytająco jedną brew.

– Tak, Sylvyście – odparł z westchnieniem admirał. – Poproszę moją najlepszą tunikę. Wypada, żebym był ubrany galowo, gdy będę z wami wszystkimi ginął pod ostrzałem. Najpierw jednak chciałbym dokończyć śniadanie. Zawołam cię, jak będę gotowy.

– Oczywiście, mój panie – wymruczał Raigly.

Baron Sarmouth mimowolnie uniósł kąciki warg, widząc, jak jego lokaj opuszcza kajutę zgięty w ukłonie. Dodatkowe minuty dawały Sylvystowi szansę na zgromadzenie podręcznego arsenału, mimo że admirał raczej nie przypuszczał, by komuś wpadło do głowy dokonać abordażu HMS *Gwylm Manthyr*.

Prychnął śmiechem na samą tę myśl, wsunął do ust ostatni kawałek jajka gotowanego na wodzie, a następnie splukał białko i żółtko

solidnym łykiem herbaty fasolowiśniowej. W końcu odepchnął się od stołu razem z krzesłem i powiódł wzrokiem po kajucie, która nie po raz pierwszy uderzyła go swoją wielkością. Prawdą było, że HMS *Gwylm Manthyr* przewyższał HMS *Przeznaczenie* rozmiarami dobre dziesięć razy, a także że wszystkie okręty klasy Król Haarahld zostały zaprojektowane tak, aby mogły służyć za flagowce. Ale – nawet mając świadomość tego wszystkiego – admirał czuł się zdumiony ilością miejsca przypisanego do użytku dowódcy. Miał dzienną kabinę połączoną z jadalnią, gabinet, pomieszczenie na mapy oraz oczywiście kajutę sypialną. Jakby tego było mało, do jego dyspozycji pozostawała także kajuta rozmiarem nieustępująca kabiniom dziennym i wyposażona w wygodne łóżko oraz drugie pomieszczenie na mapy, które przylegało bezpośrednio do mostka flagowego.

Było to w sumie więcej przestrzeni, niż kiedykolwiek potrzebował. Z jakiegoś powodu wydawało mu się niewłaściwe, że jego kwatery pozostanie nienaruszona, podczas gdy reszta okrętu będzie się szykować do akcji. Plan zakładał, że jego rzeczy osobiste zostaną zniesione pod pokład, a przepierzenia dzielące poszczególne kajuty ulegną rozmontowaniu, dzięki czemu mogłyby posłużyć za platformy artyleryjskie. Tak się jednak składało, że w pobliżu nie było żadnych armat. Jako że wszystko, co miało zostać zniesione pod pokład, zostało zniesione wczorajszego wieczoru, dziś rano praktycznie nie było dla niego nic do roboty. Sądził, że przywyknie do bezczynności z łatwością, ale tak się nie stało. Tak naprawdę tęsknił za rejuwchem, tęsknił za tym, co łączyło go w niewidzialny sposób z resztą załogi.

Uśmiechnął się do siebie krzywo, lecz zaraz spoważniał, a następnie przeciął dzienną kajutę, aby dostać się do pomieszczenia z mapami. Lampa, która zwieszała się z sufitu, była zapalona, ale większość światła i tak wpadała przez trzy świetliki w sklepieniu. Otworzył je i pozostawił w pozycji otwartej jego sekretarz, Trumyn Lywshai. Dzięki temu w środku dało się wyczuć świeżą morską bryzę. Baron Sarmouth pomyślał, że Trumyn zrobił to po to, aby pozbyć się woni tytoniu, i w tej samej chwili sięgnął po przenośny humidor, który nosił w kieszeni munduru. Wybrał jedno z cygar, odłożył humidor na miejsce i zapatrzony się na rozłożoną na stole mapę, zabrał się do odcinania końcówki cygara. Ponieważ na mapie znajdowało się mnóstwo znaczników, a także odręcznych notatek, admirał coraz bardziej

marszczył czoło, zapoznając się z nimi po kolei.

Zatoka Gorath oferowała kilka dogodności w charakterze przystani, z czego nie najmniej istotne były podejścia dostatecznie głębokie, aby zmieściły się w nich największe okręty. Niestety podejścia te łatwo było zablokować...

Półwysep nazywany przez Dohlarian „Łodzią” wyginał się łukiem od południa, odcinając zatokę o długości ponad stu trzydziestu mil z północy na południe. Mimo szerokości i głębokości prowadzących do niej kanałów sama zatoka była raczej ciasna, a dobre kilkanaście wysepek na niej leżących idealnie nadawało się na stanowiska baterii obronnych. Przylądek Palec znajdujący się na krańcu Łodzi był niejako prezentacją problemu – gdyż osłaniał „koronkowy” system kanałów łączących zatokę Hankey z Kanałem Zhuylety, który przypadkiem był także podejściem wybranym z przymusu przez eskadrę barona Sarmouth. Z kolei Przesmyk Piaszczysty, położony na północny zachód od Koronkowego Przesmyku, leżał poza zasięgiem wspomnianych baterii, aczkolwiek jego wody były stosunkowo wąskie, tak że Królewska Flota Dohlaru musiała tam wysłać tylko niecałe trzydzieści galeonów celem jego odcięcia. Skoro baron Sarmouth chciał się przedostać na wody zatoki Gorath, najpierw musiał się rozprawić z obrońcami przylądka Palec. A nawet kiedy przedostanie się przez Przesmyk Koronkowy, jego sytuacja wiele się nie poprawi, ponieważ hrabia Thirsku wierzył w siłę obrony.

Kolejną trudność admirał napotka zaś, gdy postanowi sforsować jedno z podejść poprzez mielizny i łańcuch wysepek rozciągających się na odcinku ponad dwustu mil, od Mielizny Złamanego Kilu na zachodzie zaczynając, a na półwyspie Senya na wschodzie kończąc. Można by pomyśleć, że dwieście mil to wystarczająco dużo, aby znaleźć lukę, w tym jednak wypadku byłoby to błędne rozumowanie. W istocie baron Sarmouth miał do wyboru tylko trzy możliwe trasy. Wodząc po nich kolejno palcem, wspomniał słowa cesarza Cayleba, który dla odmiany zasłyszał je dzięki uprzejmości Merlina Athrawesa przekazującego mądrość dawnego wojskowego jeszcze ze Starej Ziemi. „Na wojnie wszystko jest proste, ale osiągnięcie prostych celów bywa cholernie trudne”. Baron Sarmouth jeszcze nigdy nie widział lepszego dowodu na prawdziwość powyższego twierdzenia niż rozłożona przed nim mapa. Z tego powodu bynajmniej mu się nie śpieszyło do tego, aby przekonać

się, ile ich ta operacja będzie kosztowała.

Szkody, jakich doznał okręt flagowy Hainza Zhaztra w zatoce Saram, zostały naprawione przez HMS *Urvyn Mahndrayn*, który był pierwszą napędzaną parą jednostką remontową w historii Schronienia. Zabrało to miesiąc, w czasie którego Zhaztro przeniósł się na nowo przybyły HMS *Tanjyr* do czasu, aż mógł dostać z powrotem HMS *Eraystor*. Baron Sarmouth dysponował kopią raportu sporządzonego przez dowódcę HMS *Urvyn Mahndrayn* na temat uszkodzeń HMS *Eraystor*, dzięki czemu mógł w pełni docenić współczesne modele artylerii Kościoła Matki. Wątpił jednak, aby nawet gwintowane dziesięciocalówki, które tak brutalnie potraktowały HMS *Eraystor*, mogły stanowić zagrożenie dla jego flagowca. Niemniej Dohlarianie zdołali zainstalować kilkadziesiąt dwunastocalowych dział gwintowanych w celu obrony swojej stolicy. Admirał wolał się nie zastanawiać, ile wysiłku wymaga obsługa takiego dwunastocalowego ładowanego odprzodowo działa, wiedział wszakże, że broń ta cechuje się bardzo małą wydajnością, a to za sprawą długości lufy oraz konieczności czyszczenia jej pomiędzy salwami. Aczkolwiek nie znaczyło to, że nie należy mieć przed nią respektu.

A co dopiero przed rakietami i bombami morskimi, dodał w myślach ponuro. Nie przestając pykać cygara, którego koniuszek rozjarzył się wreszcie czerwienią, wpatrywał się w mapę jak sroka w gnat. Wiem, co nas czeka i jak to się skończy, zakładając oczywiście, że wszystko przebiegnie zgodnie z moimi założeniami. Wiem nawet, że skutek będzie wart swej ceny... jakakolwiek by ona była. Pod warunkiem jednak, że się uda. Tym bardziej więc żałuję, że niektórzy z naszych chłopców sądzą, że udają się na piknik.

Zaciągnął się cygarem, w dalszym ciągu snując rozmyślenia nad mapą, wydmuchnął chmurę dymu, wyprostował plecy i ruszył do Sylwysta po najelegantszą tunikę, aby móc wreszcie dołączyć do Bahrnsa na mostku.

– Teraz widzę wyraźnie dwanaście kolumn dymu, sir – oznajmił Kwantryl, który ani na moment nie odjął oka od lunety. – Dostrzegam też dwie kanonierki. Na czele płynie okręt z tylko jednym kominem, ale

trzeci z kolei to prawdziwy gigant. Jak na razie mam problem z ustaleniem, co płynie na drugim miejscu... Ten przed nim zbyt dymi. Dopóki nie podpłyną wszystkie bliżej, trudno będzie ocenić, ile dokładnie jest kanonierek.

– Dwie to aż nadto – stwierdził porucznik Bruhstair zaskakująco lekkim tonem, szczególnie w porównaniu z chmurną miną, którą przybrał, notując raport zdawany przez Kwantryla. – Odległość? – zapytał rzeczowo.

– Jakies dziesięć mil – odparł Kwantryl. – Jednostki znajdują się od siebie w odległości dwóch, może trzech kabli i rozwijają sporą prędkość. Przypuszczam, że skurczybyki dopłyną do nas w ciągu około godziny.

Bruhstair kiwnął głową, nie komentując doboru słów podwładnego. Uczynił kolejny zapis, wyrwał kartkę z notatnika i wręczył ją jednemu z majtków, których wysłano na szczyt wieży obserwacyjnej, aby robili za gońców.

– Do porucznika Tohryza, najszybciej jak się da!

– Tajest! – krzyknął ochoczo młodzik i pomknął w dół po drabinie zwinnie niczym jaszczuromałpka.

Kwantryl rzucił za nim spojrzenie, po czym popatrzył na porucznika. Jednakże Bruhstair nie spoglądał w jego stronę. Zdażył zbliżyć się do skraju wieży obserwacyjnej, aby widzieć rząd armat ustawionych wzdłuż szanca. To za nie był odpowiedzialny.

– Przyszykujcie dużo bandaży! – zawołał do jednego z działonowych. –

I napełnijcie wiadra wodą pitną. Nie chcę, żebyście zaczęli mi mdleć z pragnienia, gdy zrobi się gorąco.

Ktoś na dole ryknął coś niewyraźnie. Choć Kwantryl nie dosłyszał słów, wyobraził sobie, że były one niecenzuralne. Mimo to Bruhstair tylko się roześmiał, puszczając przekleństwo mimo uszu, co Kwantryl skwitował aprobującym kiwnięciem głowy. Był w stanie wiele wybaczyć młodemu trepowi, który okazał się taki wyrozumiały i troskliwy wobec swoich ludzi.

Inna sprawa, że podobne uczucia ogarniały go tylko czasami...

Kwantryl parsknął śmiechem pod nosem, za co doczekał się ostrego spojrzenia przełożonego.

– Coś was bawi?

– Nie, sir. Skądże. Ot, przypomniał mi się stary dowcip. Czy to nie dziwne, w jakie rejony błądzi ludzki mózg w trakcie wachty?

– Skoro o wachcie mowa... Sugeruję, abyście podjęli obserwację. To po to tu sterczycie...

– Tak jest!

Kwantryl zgarbił się posłusznie nad lunetą. I bardzo dobrze – dzięki temu porucznik nie mógł dostrzec szerokiego uśmiechu na jego twarzy. Gdyby Bruhstair zmusił go do wyjaśnienia, co tak naprawdę go rozbawiło, miałyby masę kłopotów zaraz po skończonej bitwie.

– Odległość dziesięć mil, sir – zameldował Mathysyn. – Południowa bateria w polu rażenia.

– Dziękuję, Ahbukyro.

Halcom Bahrns zerknął na admirała, na co ten skinieniem głowy dał znak, że usłyszał meldunek. Dziesięć mil to w sam raz zasięg dla dziesięciocalowych dział HMS *Gwylym Manthyr*, zakładając, że cele znajdują się na tym samym poziomie. Niestety tak nie było. Przy sześciu stopniach ich maksymalny zasięg wynosił „tylko” dwanaście tysięcy jardów, czyli nieco poniżej siedmiu mil.

Po prostu musimy płynąć dalej, aż znajdą się w naszym zasięgu, pomyślał baron Sarmouth. To już długo nie potrwa. HMS Riverband znajdzie się w polu rażenia już za dwanaście minut. Wielka szkoda, że nie mogę przekazać Whytmynowi tego wszystkiego, czego dowiedziałem się o obrońcach.

Niestety nie było na to sposobu. Hrabia Thirsku wykonał jeszcze kilka ruchów już po tym, jak eskadra wypłynęła w morze. Nie było takiej siły, która by pozwoliła „seijinowi” dowiedzieć się o nich i donieść admirałowi. Ów uczynił wszystko co w jego mocy, aby zaadaptować plany na podobnej zasadzie jak Cayleb w trakcie kampanii na Rafie Armagedonu, to znaczy „zgodnie z intuicją” – nie mógł jednak przesadzić w tym względzie z oczywistych powodów.

Całkiem poważnie rozważał, czyby nie poprosić Nahrmahna i Sowy, aby użyli SAPK-ów i ich małych bombek zapalających. Właściwie to przedyskutował taką możliwość ze wszystkimi członkami wewnętrznego

kręgu, lecz w efekcie przekonał się tylko, że mają oni równie mieszane opinie jak on sam. Sharleyan, Merlin, hrabia Sosnowej Doliny i Maikel Staynair popierali ich wykorzystanie, gdy w grę wchodziło ratowanie ludzkiego życia... po obu stronach konfliktu. Jednakże Cayleb, baron Skalistego Szczytu, Nimue, Nahrman i Nynian wszyscy byli przeciwni z uwagi na prawdopodobne konsekwencje w świecie polityki. Ostatecznie – po godzinach rozmów – Cayleb i Sharleyan oświadczyli, że decyzja będzie należeć do niego: dowódcy tej operacji i człowieka, którego podwładni wezmą na siebie główny ciężar uderzenia.

W sumie jakąś częścią siebie żałował, że decyzja nie zapadła poza nim, oszczędzając mu dylematu, ale koniec końców przekonał sam siebie, że to głowę podniosła jego tchórzliwa natura. I zadecydował. Trzykrotnie, zmieniając co rusz zdanie, co było bardzo do niego niepodobne.

Wybuchy w starannie wybranych pod względem strategicznym miejscach – na przykład w magazynach – mogły znacznie ułatwić baronowi Sarmouth wykonanie zadania. Wszakże ten atak był nie tylko skalkulowanym manewrem politycznym, lecz także czysto militarną akcją, a nawet sposobem na wymierzenie dawno wyczekiwanej sprawiedliwości. A to wymagało ostrożnego wybalansowania wielu czynników. Jakkolwiek pomocne w samej operacji wojskowej, eksplozje magazynowe mogłyby się nie spodobać pewnym osobom – niewłaściwym osobom – szczególnie gdyby ich powód pozostał niewyjaśniony i nie dał się łatwo wytłumaczyć. Było bardzo prawdopodobne, że ludzie gotowi przypisywać heretykom konszachty z demonami to właśnie by zrobili. Naturalnie istniała druga grupa, która miała całkowicie inny ogląd sytuacji, jednakże baron Sarmouth nie mógł być niczego pewien, a wolał nie ryzykować niepotrzebnie. Tymczasem Nynian pospołu z Nahrmanem upierała się, że to, jak się potoczą wypadki w stolicy Dohlaru, w ogromnej mierze zależy od reakcji dwu albo trzech kluczowych postaci, których zachowania nie sposób było przewidzieć.

Dlatego baron Sarmouth zrezygnował ze wsparcia. Trzymając kciuki, aby nie musiał żałować tej decyzji.

Nawet jeśli nie mogę wysadzać sobie radośnie wszystkiego co dusza zapagnie i nawet jeśli nie mogę zdradzić moim podwładnym zbyt wiele, to jednak sporo już wiedzą. I to musi im wystarczyć. Oby tylko Makadoo był w stanie kupić mi nieco większą „bankę informacyjną”. A, właśnie...

Podniósł wzrok na gniazdo obserwacyjne. Mostek nawigacyjny HMS *Gwylm Manthyr* znajdował się trzydzieści pięć stóp nad wodą, dzięki czemu widoczność z niego obejmowała okrąg o promieniu ośmiu mil, oczywiście przy dobrej pogodzie. Mostek flagowy mieścił się o dziesięć stóp wyżej, co powiększało ten promień o kolejną milę czy coś koło tego. A dalmierz umieszczony na podwyższeniu dziobowej nadbudówki był zamocowany jeszcze dwadzieścia stóp wyżej, nie wspominając o tym, że jego wielkiej mocy lornetki sięgały na odległość dziesięciu mil, co stanowiło dwie trzecie pola widzenia obserwatora siedzącego w bocianim gnieździe. Nie był to zły wynik, ale zawsze można liczyć na lepszy.

– Czy szef Mykgylykudi jest gotowy? – zapytał admirał.

– Tak jest, sir. – Halcom Bahrns odsunął się od rury głosowej, do której coś mówił, i uśmiechnął się szeroko. – Domyśliłem się, że o to zapytasz, mój panie, i postanowiłem to wcześniej sprawdzić na własną rękę. Mykgylykudi twierdzi, że w każdej chwili może zacząć popuszczać linę. Dodał też, cytuję, „Makadoo wije się, jakby miał gacie pełne pszczoł, i to już od kwadransa”.

Pomimo napięcia baron Sarmouth zachichotał. Młody Zoshua Makadoo był piątym – a przy tym najmłodszym – oficerem na pokładzie HMS *Gwylm Manthyr*. Zarazem cechowała go drobna budowa ciała i wielka szybkość działania, jak to miało miejsce w wypadku większości charisjańskich aeronautów.

– Cóż, nie możemy pozwolić, żeby doprowadził bosmana do szaleństwa... – stwierdził admirał. – Niech zatem zaczyna!

– Co to, do kurwy nędzy, ma być?

Przekleństwo wymsknęło się Ahlfraydohowi Kwantrylowi, zanim zdołał je powstrzymać. W efekcie porucznik Bruhstair spojrział na niego karcąco. Kwantryl tylko się wyprostował i wskazał lunetę.

– Niech pan sam spojrzy, poruczniku.

Napięcie w głosie marynarza sprawiło, że Bruhstair odstąpił od połajanki, którą miał wygłosić, i przyłożył oko do okularu lunety. Przez kilka sekund nie rozumiał, co tak wzburzyło Kwantryla, jednakże rychło aż się zachłysnął na widok dużego białego kształtu, który wznosił się

ponad największą kanonierką heretyków. Cokolwiek to było, wisiało znacznie wyżej, niż wznosił się maszt giganta, a co gorsza, nadal się wspinało w górę, gładko i szybko, wprost na jego oczach. Pomyślał, że przypomina spłaszczony cygaro, ale z krótkimi skrzydłami czy czymś w tym stylu. W dodatku ewidentnie pozostawało przymocowane do okrętu.

– Co to jest, sir? – zapytał Kwantryl, wyraźnie wstrząśnięty.

I nic dziwnego, pomyślał Bruhstair, który także poczuł zimne ciarki na plecach, kiedy przypomniały mu się te wszystkie płomienne kazania na temat konszachtów schizmatyków z demonami. *Niemniej...*

– To chyba jest... balon – wydukał powoli, zmuszając się do tego, aby odsunąć oko od okularu lunety i stanąć prosto.

Zdumiało go, o ile lepiej się natychmiast poczuł, gdy dziwny kształt rozmył się momentalnie, zamieniając się w niegroźną plamę na niebie.

– Balon?

– Tak przypuszczam – potwierdził porucznik. – Nigdy wcześniej nie widziałem żadnego na oczy, ale jeden z moich wujków był świadkiem demonstracji w stolicy, po czym opowiedział mi wszystko, kiedy byłem jeszcze dzieckiem. – Odchrząknął, jakby szykował się do wykładu. – Gdy napełnić czaszę balonu rozgrzanym powietrzem, całość razem z gondolą unosi się w powietrze...

– Unosi się w powietrze? – Kwantryl wyglądał na mocno zaniepokojonego. – Nie powiem, żeby mi się to podobało.

– Balon to balon, a nie żaden wymysł demonów – zapewnił go prędko Bruhstair. – Tak zawyrokował sam biskup egzekutor, który był obecny na tamtej prezentacji. Potrzebuje do działania ognia i powietrza, z czego żadne nie jest zabronione.

– Skoro pan tak mówi, poruczniku...

Bruhstair zauważył, że podwładny nie wydaje się przekonany.

– To nie ma nic wspólnego z demonami – zapewnił go stanowczo. – Ale faktem jest, że z takiego balonu można dużo więcej zobaczyć. Aczkolwiek w tym wypadku nie wiem, na co im się to przyda. Zresztą nawet jeśli ten ich obserwator coś wypatrzy, będzie musiał jakoś przekazać raport na pokład okrętu. A na to może nie mieć już czasu...

– Lina się skończyła, sir – zameldował Bryntyn Hahlys.

– Dziękuję. – Porucznik Makadoo przyjął ten fakt do wiadomości.

Leżał jak długi w przedniej części gondoli opływowego kształtu. W przeciwieństwie do balonów wchodzących w skład Korpusu Balonowego Cesarskiej Armii Charisu te należące do Cesarskiej Floty Charisu można było ochrzcić mianem latawco-balonów: miały one cygarowate kształty i były wyposażone w niewielkie skrzydła, które pomagały im się utrzymać w powietrzu, gdy okręt matka, do którego były przypisane, ciągnął je z prędkością około piętnastu węzłów. Lub też gdy ta prędkość wynosiła tylko pięć do dziesięciu węzłów, za to przy wietrze wiejącym z prędkością dwudziestu pięciu węzłów, tak jak to miało miejsce dzisiaj. W praktyce oznaczało to mniejszą ilość wodoru konieczną do wzbicia się balonu, aczkolwiek gwoli szczerości samo wzbicie się nie było możliwe, gdy okręt nie szedł pod wiatr. Zarazem dzięki tym zmianom konstrukcyjnym w gondoli było miejsce dla trzeciego pasażera, pod warunkiem że osoba ta nie była większych gabarytów niż porucznik Makadoo bądź Bryntyn Hahlys. W takim wypadku jednak w środku panowałaby wyjątkowa ciasnota.

W tej właśnie chwili Makadoo trzymał łokcie oparte na miękkiej podkładce i nie odrywał oczu od silnej lornetki. Przód gondoli był zabezpieczony szklaną osłoną, która chroniła obserwatorów przed wiatrem wywołanym postępującym ruchem balonu, jednakże Makadoo otworzył centralną część tego „okna”. Książę Delthaku mógł sobie mówić, co chciał; porucznik Zoshua Makadoo był przekonany, że widoczność jest o wiele lepsza bez tej przeszkody.

Poza tym zarówno on, jak i Hahlys lubili czuć wiatr na twarzy.

– Sprawdź puszkę pocztową – rzucił, nie odrywając wzroku od widoku przed sobą.

– Tajest! – odparł przejęty Hahlys.

Młodzieniec zdążył już umieścić wiadomość w niewielkim cylindrze wykonanym z brązu, teraz zaś upewnił się tylko, czy jego pokrywka jest szczelnie zamknięta. Gdy nie miał co do tego wątpliwości, przyczepił puszkę do drugiej liny, komunikacyjnej, która biegła równoległe z linią łączącą balon z okrętem, a zrobioną ze stalostu. Moment później cofnął

rękę i puszka pomknęła w dół, prosto na pokład.

Wyjrawszy za krawędź gondoli, Hahlys upewnił się, że jeden z sygnalistów rzuca się w jej stronę szczupakiem, odczepia ją od liny komunikacyjnej, otwiera wieczko i wręcza wiadomość bosmanowi HMS *Gwylym Manthyr*, Ahndru Mykgylykudiemu, który zerknął na treść, kiwnął głową grupce marynarzy stojących przy napędzanym parą silnika kołowrocie, który kontrolował długość głównej liny.

Druga lina komunikacyjna biegła dobrą stopę od tej głównej. Także była podwójna dla wzmocnienia, a do wnętrza gondoli dostawała się od tyłu, przez właz. Słyszając, że wydaje ona charakterystyczny świst, który świadczył, że wiadomość mknie w górę, Hahlys skinął głową z aprobatą.

Puszki pocztowe były szybszym sposobem wymiany informacji aniżeli lampy sygnałowe. Zarazem były też bezpieczniejsze. Mhargryty – balony ochrzczone po matce porucznika Makadoo, który twierdził, że kobieta ta miała nie lada charakterek – praktycznie stanowiły bomby gotowe w każdej chwili wybuchnąć. Właśnie dlatego w konstrukcji gondoli nie było ani skrawka żelaza ani stali, a buty obserwatorów musiały być pozbawione ćwieków.

Taka napędzana mechaniczną siłą puszka pocztowa wspinająca się po lince komunikacyjnej była najszybszym sposobem przekazania wiadomości na pokład gondoli, aczkolwiek w drugą stronę komunikacja zachodziła jeszcze szybciej dzięki grawitacji. A jako że głównym zadaniem tego konkretnego mhargryta było służyć za oko na niebie okrętu poniżej, śledząc tor wystrzeliwanych przez niego pocisków sponad chmury dymu zdolnej oślepić działonowych, prędkość komunikacji między górą a dołem była sprawą zasadniczą.

– Obie liny sprawują się bez zarzutu – zameldował Hahlys porucznikowi.

– Świetnie.

Ponieważ Makadoo ton głosu miał lekko zamyślony, Hahlys uśmiechnął się pod nosem. Z ich obecnej wysokości, która wynosiła tysiąc osiemset stóp, obserwator widział wszystko w promieniu sześćdziesięciu mil. Oznaczało to, że przyłodek Palec nie ma przed nim tajemnic. Bardzo możliwe, że na horyzoncie majaczyła całkiem wyraźnie Wyspa Piaszczysta położona na przeciwległym krańcu Rubieży, czyli odcinku wód pomiędzy Łodzią a pasmem wysepek, które oddzielały Łódź

od rozciągającego się bliżej Gorathu Środka. Wszakże w tej konkretnej chwili porucznik obserwował bliższe cele, przepatrując wzrokiem wody Przesmyku Koronkowego w poszukiwaniu jednostek Królewskiej Floty Dohlaru. Hahlys osobiście był zdania, że hrabia Thirsku musiałby zwariować, żeby wysłać swoje niedobitki galeonów i galer śrubowych, aby stoczyły bitwę z charisjańską eskadrą, wszakże instrukcje barona Sarmouth były stuprocentowo jasne. Mieli meldować natychmiast, w razie gdyby zobaczyli cokolwiek większego od zwykłej łódki.

Porucznik śledził spojrzeniem wody pomiędzy kanałem a przylądkiem Palec przez dobre kilka minut. Równie starannie obejrzał sobie fortyfikacje, po czym wreszcie obrócił się, a potem przetoczył na bok, aby zerknąć na Hahlysa.

– Dyktuję wiadomość – rzucił.

Młodzieniec błyskawicznie sięgnął po notatnik i coś do pisania.

– Słucham, sir.

– W zasięgu wzroku brak większych jednostek morskich. Na północ od przylądka Palec przy przystani drugiej baterii cumuje kilka pomniejszych jednostek. Na tyłach baterii pierwszej dają się zauważyć pokryte brezentem wozy, które tak jakby znajdują się w okopach.

Urwał i potarł skrzydełko nosa, zastanawiając się nad własnymi słowami sprzed chwili. W końcu wzruszył ramionami.

– Powtórz – poprosił. Kiedy Hahlys odczytywał wiadomość, porucznik miarowo kiwał głową. – Zawsze mnie zdumiewa, że jesteś w stanie przeczytać swoje pismo. Jak dokonują tego cudu ci na dole, nie mam pojęcia. No ale przynajmniej nie popełniłeś żadnego błędu. W takim razie poślij puszkę pocztową na pokład.

– Odległość zmniejsza się do sześciu mil, sir – mruknął komandor Pharsaygyn, na co Hainz Zhaztro skinął głową, nie odkładając lornetki.

Domyślił się niewypowiedzianej części meldunku swego szefa sztabu. Lywys Pharsaygyn uważał, że nadeszła pora, aby admirał skrył się we wnętrzu kiosku HMS *Eraystor*, tym samym oddzielając się od luf dohlariańskich obrońców za pomocą grubej warstwy stali. Tak naprawdę szanse na to, że jakiś Dohlarianin trafi w cel wielkości okrętu

z odległości przekraczającej dziesięć tysięcy jardów, były znikome, by ująć rzecz delikatnie. Z kolei pole widzenia, które oferował kiosk, było mniej niż zadowalające – przynajmniej zdaniem Zhaztra.

– Przekaż Alykowi, że zaraz się pojawię – poprosił i odsunął lornetkę od twarzy, aby uśmiechnąć się krzywo do Pharsaygyna. – Jeśli chciałeś zaprzeczyć, że jesteście współnikami planu, aby mnie zaciągnąć do kiosku, będzie lepiej, jeśli zmilczysz.

– Tak łatwo nas przejrzeć? – zapytał Pharsaygyn, nie okazując oznak skruchy.

– Powiedzmy, że subtelność nie zalicza się do waszych zalet – skwitował Zhaztro. – Zresztą skoro odległość wynosi sześć mil w naszym wypadku, w wypadku HMS *Zakole* jest to cztery i pół mili, co oznacza...

– Odległość osiem tysięcy jardów, sir – oznajmił porucznik Gyffry Kyplyngyr, podnosząc spojrzenie znad rury głosowej, która łączyła oficera artyleryjskiego HMS *Zakole* z kioskiem tego samego okrętu. – Porucznik Metzlyr prosi o zgodę na otworenie ognia.

W przeciwieństwie do admirała Zhaztra kapitan Tobys Whytmyn zdążył już ukryć się w kiosku. Bynajmniej nie dlatego, że obawiał się dohlariańskiej artylerii bardziej niż admirał, lecz z tego względu, że Charisjanie rozpętają tu niedługo piekło. Osobiście wolał mieć za osłonę stalowe ściany chroniące go przed wystrzałami jedenastu sześciocalówek.

Możecie mnie nazywać cykorem, ale wolę zachować bębenki w całości, pomyślał. Na głos zaś powiedział:

– Doskonale. – Przyjrzał się celowi przez peryskop umieszczony na sterburcie. – Sternik, pięć stopni na bakburtę.

– Jest pięć stopni na bakburtę, kapitanie!

Riely Dahvynport z łatwością zakręcił kołem sterowym, mimo że sam ster HMS *Zakole* był znacznie masywniejszy i cięższy niż w wypadku jakiegokolwiek galeonu czy galery, na jakiej służył. Lśniące hydrauliczne wysięgniki głęboko w trzewiach okrętu odpowiedziały na ruch jego ramion, po czym kanonierka zaczęła zmieniać kurs na

zachodni. W dalszym ciągu zbliżała się do przylądka Palec, ale nowe ustawienie miało umożliwić jej oddanie salwy burtowej, tym samym pozwalając rozmieszczonym tam działom wycelować lufy w nabrzeżne baterie.

Whytmyn pozwolił, aby jego jednostka utrzymała kurs, a następnie obejrzał się przez ramię na drugiego oficera.

– No dobrze, Gyffry. Możesz przekazać Tairohnowi, żeby otworzył ogień w dogodnej dla siebie chwili.

– Tak jest! – ucieszył się wyraźnie porucznik Kyplyngyr i zsunął się po drabinie ze zwinnością jaszczurki chowającej się do swojej norki.

No, to nie wróży niczego dobrego, pomyślał Ahlfraydoh Kwantryl, stojąc w ambrazurze przy swoim dziesięciocalowym fultynie.

Działa podlegające pod porucznika Bruhstaira były już w pełni obsadzone. Porucznik Rychardo Mahkmyn, dowódca pierwszej baterii, zajął swoje stanowisko na wieży obserwacyjnej. Gdyby ktoś zapytał Kwantryla, co o tym sądzi, ten odparłby, że nie ma nic przeciwko. Wieża obserwacyjna była szczelnie zabezpieczona workami z piaskiem, ale worki z piaskiem to jedno, a gruba warstwa ziemi chroniąca baterię od góry to coś całkiem innego.

To rozróżnienie było w tym momencie o tyle istotne, że wiodąca kanonierka właśnie zwróciła się burtą w stronę przylądka Palec. Z jakiegoś powodu Kwantryl wątpił, aby to zrobiła, gdyby wróg nie...

– Ognia! – warknął Tairohn Metzlyr prosto w rurę głosową u dołu dalmierza na pokładzie HMS *Riverband*.

Nie tylko znał dzięki urządzeniu dokładną odległość od swego celu, lecz także miał świetny widok na niego ze swego miejsca – odpowiednio przybliżony dzięki peryskopowi.

Przez następne pięć sekund nic się działo. Po czym wreszcie...

– Na jaja Langhorne’a! – zaklął ktoś.

Na szczęście, ktokolwiek to był, znajdował się za plecami porucznika Bruhstaira. Aczkolwiek trzeba przyznać, że w tych okolicznościach nawet taki sztywnik jak Bruhstair nie miał głowy do napominania winowajcy.

Heretycka kanonierka zniknęła za gigantyczną chmurą dymu.

HMS *Tryumfujący* znalazł się zdecydowanie za blisko charisjańskiego galeonu, gdy ten wyleciał w powietrze w cieśninie Kaudzhu. Dlatego Ahlfraydoh Kwantryl nie zamierzał przeżyć powtórki z rozrywki. Uczynił co w jego mocy, aby nigdy nie trafić w poblizę eksplodującego okrętu, którego szczątki rozlatują się na wszystkie strony... aby nigdy nie poczuć wstrząsu takiego wybuchu. Tymczasem eksplozja, która przesłoniła heretycką kanonierkę, była co najmniej tak samo zła. Wprawdzie nastąpiła w odległości ośmiu tysięcy jardów, lecz to także miało swoje złe strony. Wystrzelone przez heretyków pociski potrzebowały kilku sekund na dotarcie do celu, przez co człowiek miał za dużo czasu na myślenie, co go czeka.

Kwantryl cofnął się za występ ambrazury. Uczynił to na tyle dyskretnie, na ile było możliwe w tych warunkach, ale przyświecał mu tylko jeden cel: schronić się za solidnym stropem, który osłoni go przed eksplozjami.

Dziesięć sekund po oddanej salwie jedenaście sześciocalowych pocisków z wizgiem spadło na pozycje pierwszej baterii. Nie tak gęsto jednak, jak by sobie życzył porucznik Metzlyr. Gwoli prawdy, pięć wylądowało daleko poza pozycjami baterii, co wszakże nie było całkowitym marnotrawstwem dzięki temu, że któryś z nich trafił prosto w jeden z zamaskowanych wozów, o których porucznik Makadoo doniósł baronowi Sarmouth.

Cel zniknął w gwałtownej eksplozji, gdy wybuchnęły jednocześnie wszystkie umieszczone w jego ramie dwunastostopowe rakiety obrony wybrzeża. Wielki grzyb dymu, płomieni i wzbitej w niebo ziemi uniósł się na dwieście stóp w powietrze, po czym wyłonił się z niego ze świstem półtuzin ogoniastych komet, z których każda skierowała się w inną stronę. Tak się jednak złożyło, że obrońcy wznieśli między wozami coś

w rodzaju sztucznych grobli, dzięki czemu każdy z nich znajdował się w odrębnej „reducie”. Dzięki temu rakiety pomknęły bardziej w pionie niż poziomie, oszczędzając sąsiednie wyrzutnie.

Pozostała piątka heretyckich pocisków uderzyła w zadaszenie baterii, wwiercając się w nią tak samo, jak pociski wystrzelone z pokładu HMS *Eraystor* wwierciły się w umocnienia Baterii Świętego Charlza podczas ataku w zatoce Saram.

Ahlfraydoh Kwantryl zacisnął do bólu szczęki, czując, jak potężne eksplozje rezonują w jego ciele.

Jedenasty, ostatni pocisk z tych wystrzelonych przez Charisjan przemknął tuż ponad szczytem umocnień i wylądował u podstawy wieży obserwacyjnej. Liczne worki z piaskiem w pewnym stopniu stłumiły wybuch, lecz odłamki i tak rozprysły się we wszystkich kierunkach, zasypując także punkt obserwacyjny kawałkami metalu o ostrości rozgrzanej do białego siekiery. Trzej obserwatorzy z siedmiu na warcie zginęli – był między nimi również porucznik Mahkmyn.

Zaledwie jedenaście sekund po pierwszej salwie rozległ się grzmot armat oddających salwę w kierunku brzegu z pokładu HMS *Zakole*.

– Jedenaście tysięcy jardów w cztery minuty, mój panie – zameldował Ahrlee Zhones.

Musiał podnieść głos, i to mocno, bo choć stał tuż obok barona Sarmouth, to jednak obaj mieli już od dłuższej chwili zatyczki w uszach.

– Dziękuję, Ahrlee – odparł admirał.

Stał w towarzystwie młodego oficera flagowego na sterburtowym skrzydle mostka, podczas gdy kierujący flagowcem kapitan Halcom Bahrns płynął za HMS *Zakole* i HMS *Eraystor*. HMS *Gwylym Manthyr* nie miał podejść do przylądka Palec tak blisko jak jego mniejsi towarzysze – po części dlatego, że miał głębsze zanurzenie, a po części z tego powodu, że nie można było mieć pewności, czy Dohlarianie nie rozmieścili tam bomb morskich.

Tak właściwie to baron Sarmouth wiedział, gdzie hrabia Thirsku rozmieścił swoje pola minowe. Dzięki temu miał pewność, że wszystkie jego okręty mogłyby podejść do brzegu na odległość nie mniejszą niż

cztery tysiące jardów. Niestety nie wiedział, jak miałby swoim podwładnym wyjaśnić, skąd to wie, a przecież musiał utrzymać reputację przewidywalnego, rzetelnego dowódcy.

Poza tym, pomijając nawet bomby morskie, były jeszcze te przeklęte wyrzutnie raket, o których także nie powinien był wiedzieć. Skoro więc obawa przed nieistniejącymi polami minowymi mogła uratować jego jednostki przed jak najbardziej realnymi raketami, admirał nie miał nic przeciwko temu. I tym bardziej go cieszyło, gdy pierwszy wóz wyleciał w powietrze, a za nim jeszcze trzy kolejne.

Co oznacza, że zostało ich już tylko dwanaście, pomyślał z chmurną miną baron Sarmouth, spoglądając na wir dymu i płomieni, czyli obraz przekazywany mu właśnie przez SAPK-a.

– Słodka Bédard... – mruknął Zoshua Makadoo, kiedy HMS *Gwylým Manthyr* wreszcie otworzył ogień.

W przeciwieństwie do reszty eskadry – z wyjątkiem samego dowódcy, rzecz jasna, o czym nie mógł wiedzieć – porucznik Makadoo i Bryntyn Hahlys jako jedyni mieli niczym nieskrępowany widok na rozgrywające się pod nimi sceny. Dlatego Makadoo nie odrywał oczu od lornetki. To, co widział – gigantyczne słupy brązowego dymu po stronie Charisjan oraz nieustępujące im wielkością chmury dymu barwy szaro-białej kłębiące się na nabrzeżu – przekraczało wszystko, co kiedykolwiek był sobie w stanie wyobrazić. Do tego dochodziły kolumny czarnego dymu bijące z kominów okrętów, jak również najbielszy z nich wszystkich dym unoszący się nad płonącymi barakami pierwszej baterii. Ten ostatni chybotął się nawet na wysokości balonu, w rytm każdej salwy oddanej przez baterię burtową flagowca w dole.

Cztery dziesięciocalowe pociski pomknęły ponad ciągnącym się na sześć mil przestworem wody, a w ślad za nim ze świstem pognały pociski ośmiocalowe, w liczbie siedmiu.

Dwanaście sekund później doszło do impaktu.

Kwantryl rozkaszał się gwałtownie, mimo że twarz miał zasłoniętą moką bandaną, i zaczerwienionymi, załzawionymi oczami wpatrzył się w nieprzenikniony dym. Razem z resztą obsad porucznika Bruhstaira, to znaczy razem z tymi ich członkami, którym udało się przeżyć początkowy ostrzał, miał tylko mgliste pojęcie o tym, gdzie znajduje się ich cel. Dym prochowy wystarczająco ograniczał widoczność, jednakże na dokładkę wokół snuł się dym drzewny z palących się w najlepsze baraków, w tym mesy i lazaretu oraz niegdysiejszej kwatery głównej baterii.

– Gotowe! – wrzasnął działonowy.

Kwantryl i pozostali artylerzyści odskoczyli od armaty. Działonowy spojrział wzdłuż lufy, czując, jak metal oddaje ciepło niczym rozpalony piec. Szukał luk w nieprzeniknionych kłębach dymu prochowego. Było to jedyne, co miał szansę zobaczyć, a i to tylko krótkotrwanie.

– Ognia! – wrzasnął ponownie, pociągając za linkę spustową.

Dziesięciocalowe działo zagrzmiało niczym trąba Chihiro obwieszczająca koniec świata. Szarpnęło nim potężnie, a gdy znów wszystko zamarło, członkowie obsady rzucili się ku armacie, aby wepchnąć do jej lufy mokry wycior celem stłumienia ostatnich iskier. Lufa była tak długa, że do utrzymania wyciora trzeba było aż dwóch ludzi. Tymczasem w pogotowiu już stali ci, których zadaniem było umieszczenie w lufie kolejnego ładunku prochu.

– Żwawo, chłopcy! Żwawo! – ponaglał ich porucznik Bruhstair.

Przechadzał się miarowo i nieśpiesznie wzdłuż linii swojej baterii. Armaty były już tylko cztery. Jedna została zasypana w swojej ambrazurze przez eksplodujący heretycki pocisk; drugą rozerwało cztery stopy przed jej czopem. Połowa obsady zginęła przy tym lub została ranna; ocalali zasilili pozostałe obsady, zastępując tych, którzy polegli.

Bruhstair wiedział, że mieli dużo szczęścia, tracąc w ten sposób tylko jedno działo. Odlewane z żelaza egzemplarze, które miał na stanie, były bardziej zawodne od tych nowszych, stalowych. Oczywiście nie uspokoiło to w żadnym stopniu jego podwładnych, gdy przyszło do stosowania piętnastofuntowych ładunków zamiast dwunastofuntowych. Aczkolwiek naturalnie nikt nie powiedział ani słowa skargi. Zważywszy na to, co heretyckie pociski uczyniły z pierwszą baterią, obsady drugiej nie mogły mieć większych nadziei na to, że zginą z powodu wadliwego sprzętu.

– Ładuj! – wrzasnął działonowy.

Na jego rozkaz mężczyzna trzymający ładunek sięgnął do rozgrzanej lufy armatniej i...

Dwie tony stali spadły na pierwszą baterię, gdy HMS *Gwylm Manthyr* oddał pierwszą salwę burtową. Dziesięciocalowe pociski spadające na strop umocnień okazały się wystarczająco druzgoczące, jednakże zabłąkany pocisk ośmiocalowy przewiercił się przez ścianę magazynu prochowego drugiej baterii z oszałamiającą precyzją.

Eksplozja, która nastąpiła moment potem, równie dobrze mogła oznaczać koniec świata.

Ahlfraydoh Kwantryl z trudem podniósł się na klęczki i potrząsnął głową niczym skołowany bokser. Nie pamiętał wybuchu, który podniósł go w powietrze niczym szmacianą lalkę i odrzucił jardy na bok. Nie pamiętał także samego momentu zderzenia z ziemią; teraz przyglądał się swojemu lewemu ramieniu z pewnym niedowierzaniem, widząc trzy punkty złamania.

To i tak lepiej niż w wypadku twoich kumpli, powiedział mu cichy głosik w głowie.

Cały odcinek baterii zniknął. Fragmenty dwu armat wystawały ze zrytej ziemi, która do niedawna miała je chronić. Reszta dział została unicestwiona, rozwalona na części i zasypana. Podobny los spotkał dwie trzecie ich obsad. Z umocnień pozostały marne resztki. W chwili, gdy Kwantryl podnosił się na nogi, eksplodowały kolejne dwa wozy z raketami. Przynajmniej tak to brzmiało – jako że jednak wciąż był na wpół ogłuszony, mógł się pomylić co do liczby, w rzeczywistości być może znacznie większej.

Obrócił się powoli dookoła własnej osi, przytrzymując złamaną rękę, i rozejrzał się w poszukiwaniu towarzyszy. Jedni leżeli ranni, drudzy – tylko oszołomieni – podnosili się z ziemi. Kiedy jego wzrok padł na porucznika Bruhstaira, Kwantryl zacisnął mocno szczęki.

Dyaygo Bruhstair, ten młody oficer, leżał z oderwaną w połowie uda nogą i tryskał na wszystkie strony krwią z poszarpanego kikuta. Jeszcze więcej krwi ciekło z głębokiej rany na lewym barku. Co niesamowite – mimo obrażeń zdołał się podnieść na oczach Kwantryla do pozycji półsiedzącej. Schwycił obiema dłońmi kikut i powiódł wokół osłupiałym spojrzeniem wyzierającym z bladej jak ściana twarzy.

Kwantryl ruszył w jego stronę, zataczając się po drodze, i opadł przy nim na kolana. Choć z jedną sprawną ręką było to trudne jak diabli, jakoś zdjął swój pasek i obwiązał go wokół kikuta. Jakiś inny marynarz przyklęknął obok niego i pomógł mu zacisnąć tę prowizoryczną opaskę. Kwantryl, zapytany, nie potrafiłby podać imienia towarzysza. Moment później tożsamość pomocnika przestała mieć jakiegokolwiek znaczenie. Ledwie bowiem zacisnęli krępulec, nadleciał sześciocalowy pocisk, którego odłamek go zdekapitował.

Kwantryl ustawił się za Bruhstairem, złapał go za kołnierz zdrową ręką i lekko uniósł, aby następnie przeciągnąć do teoretycznie kuloodpornego okopu. Po wydarzeniach ostatnich kilku chwil miał poważne wątpliwości, czy umocnienia są ich w stanie ochronić przed czymkolwiek. Najwyraźniej ci, którzy je wznosili, w życiu nie widzieli na oczy heretyckiej amunicji. Każda osłona jednak była lepsza niż brak osłony.

Kolejna salwa trafiła w nadwerężoną baterię obrony. Odłamki świstały nad głowami ocalałych i raz po raz rozlegały się krzyki ludzi, którzy aż nadto boleśnie zdali sobie właśnie sprawę, że są tylko śmiertelnikami.

– Zostaw mnie! – Głos Bruhstaira był ledwie słyszalny na tle ogólnego harmidru. Dlatego porucznik sięgnął jedną ręką za siebie i uczepił się dłoni, która wciąż trzymała go za kołnierz. – Zostaw mnie! – powtórzył mniej wyraźnie niż przed chwilą. Uścisk jego palców był jednak bardziej niż wymowny. – Zostaw i poszukaj bezpiecznego miejsca!

– Nie – sapnął Kwantryl, zataczając się pod ciężarem ciągniętego mężczyzny.

– Niech cię, Ahlfraydoh! Choć ten jeden raz zrób, co ci każę!

– Nie ma mowy – wydyszał Kwantryl. – Poza tym jesteśmy już prawie na mie...

Dziesięciocalowy pocisk wyładował niecałe pięć stóp za nimi.

– Naprawa zakończona, sir. Przynajmniej w takim stopniu, w jakim to możliwe bez Mahndrayna.

Porucznik Anthynee Tahlyvyr był utyłany od stóp do głów. Pod tym względem niewiele się różnił od reszty załogi HMS *Eraystor*. W jego wypadku jednak warstwa oleju i pyłu węglowego była wyjątkowo gruba, co widząc, kapitan Cahnyrs pokręcił głową z uśmiechem, zanim zwrócił się do swego pierwszego mechanika.

– Jak źle to wygląda?

– Nie damy rady naprawić zamka siódemki – odpowiedział sucho Tahlyvyr. – To samo dotyczy silnika na bakburcie. Do tego mamy przeciek w przedziale numer sześćdziesiąt dwa, któremu nie jesteśmy w stanie zaradzić. Wielka szkoda, bo sądząc z ilości wody, jaką nabieramy, przeciek jest naprawdę potężny. Na szczęście pompy na razie sobie radzą. Dopóki nie uporamy się z awarią, nie będziemy w stanie dać tyle pary, ile potrzebujemy, ale myślę, że zdołam wyciągnąć jakieś trzynaście, może nawet czternaście węzłów.

– Wspaniale! – ucieszył się szczerze Cahnyrs i poklepał pierwszego mechanika po ramieniu. – Możesz teraz trochę się umyć z tego brudu i coś przegryźć dla zabicia głodu. Wkrótce na pewno czeka cię więcej roboty.

– Od tego tu jestem, sir – rzekł Tahlyvyr ze zmęczonym uśmiechem. – Ale nie wzgardzę małym co nieco.

– W takim razie się pośpiesz – ponaglił go Cahnyrs. – Masz jakieś trzy kwadranse.

– Zrozumiałem, sir!

Tahlyvyr dotknął piersi pięścią w geście salutu, po czym zszedł po drabinie prowadzącej z osłony mostka na wąski pokład boczny. Cahnyrs odprowadzał go zamyślonym spojrzeniem, po czym dopiero gdy pierwszy mechanik zniknął z oczu, zwrócił się do stojącego obok niego admirała.

– Sam nie wiem, czy on wie, jak dobry jest w tym, co robi...

– Nie umiem na to odpowiedzieć. Ale mogę rzec jedno: Ja z całą pewnością doceniam jego umiejętności. – Sir Hainz Zhaztro wzruszył ramionami. – Jak się domyślam, twój raport z operacji przedstawi go

w samych superlatywach? – Gdy Cahnyrs potaknął skinieniem, admirał prychnął. – No, lepiej, żeby tak było! Ten młody człowiek zasługuje na medal albo dwa. Nie tylko on zresztą, kapitanie. Pan również pokazał się dzisiaj z najlepszej strony.

– Dzień się jeszcze nie skończył, admirale. Przed nami jeszcze wiele godzin, w czasie których mogę dać koncertowo dupy.

– Gdybym wierzył, że to możliwe, pewnie bym się martwił...

Cahnyrs zaśmiał się pod nosem, a Zhaztro obdarzył go ciepłym uśmiechem. Następnie przeszedł na drugi koniec skrzydła mostka i uniósł do oczu lornetkę, aby przyjrzeć się kolejnemu wyzwaniu, jakie stało przez HMS *Eraystor*.

Uśmiech szybko spelzł z jego twarzy.

W miarę jak posuwali się wzdłuż kanału Zhulyet, kierując się ku jego najwęższemu punktowi leżącemu pomiędzy Wyspą Piaszczystą na wschodzie i znacznie od niej mniejszą Wyspą Wraków na zachodzie, zniszczone fortyfikacje przylądka Palec znajdowały się już pięć godzin i ponad czterdzieści mil za rufą. Tak się jednak składało, że nawet najwęższy punkt kanału liczył sobie dwadzieścia sześć mil szerokości. Niestety w samym jego środku leżała mielizna Slaygahl, ciągnąca się na prawie trzydzieści pięć mil z północy na południe. Przy odpływie to był czysty piasek, a przy przypływie można było mieć nadzieję na co najwyżej cztery stopy wody. Oczywiście kanał żeglugowy miał znacznie większą głębokość – co najmniej sześć sążni na całej długości, ale przy tym był zaledwie na pięć mil szeroki po zachodniej stronie mielizny, dziesięć zaś po wschodniej. Co jeszcze przykrzejsze, sir Lywys Gardynyr nie należał do ludzi, którzy by nie zechcieli tego faktu wykorzystać. Nie dziwiły więc doniesienia *seijinów* twierdzących, że hrabia Thirsku rozmieścił gęsto bomby morskie po obu stronach mielizny.

Czyli dokładnie tam, gdzie ktokolwiek, kto by spróbował ją pokonać, napotka ogień tuzina dwunastocalowych fultynów.

To będzie raczej... nieprzyjemne, skwitował w duchu Hainz Zhaztro. Jeśli myślałeś, dodał, zwracając się sam do siebie, że Bateria Świętego Charlza dała ci wycisk, nie chcesz wiedzieć, co czeka cię tutaj...

Wraz z baronem Sarmouth przedyskutowali wszystkie swoje opcje i koniec końców zdecydowali się na chyba najlepsze rozwiązanie. Co bynajmniej nie znaczyło, że było to dobre rozwiązanie.

Z wielu powodów woleliby skorzystać z kanału Ucho Igielne, znajdującego się pomiędzy Wyspą Meyera i Wyspą Zielonego Drzewa. Był on nie tylko szerszy, ale też płytszy, przy czym na drugiej z tych wysp mieściło się więcej dział niż na wyspach Piaszczystej i Wraków. To niestety wykluczało kanał Ucho Igielne z jego planów. Za to – dzięki uprzejmości barona Morskiego Szczytu – zdołali wpaść na pomysł, jak mogą pokrzyżować plany hrabiemu Thirsku, który przynajmniej tej jednej rzeczy na pewno się nie spodziewał.

Admirał zwrócił lornetkę za rufę i uśmiechnął się do siebie, lekko, lecz z wyraźną satysfakcją, na widok prących przed siebie powoli, napędzanych parą barek desantowych. Płynęły na holu aż od wyspy Jaszczurka, ciągnięte przez większe parowce, ponieważ nie zaliczały się do najsprawniejszych jednostek morskich na Schronieniu. To właśnie ich nieduża prędkość sprawiła, że dotarcie do obecnych pozycji eskadry zabrało im pięć godzin. Mimo to Zhaztro nie zamierzał się skarżyć.

Znów nakierował lornetkę na Wyspę Wraków i poczuł, jak tężeje wewnątrz. Wyspa ta mierzyła tylko osiem mil długości, co przypominało mu boleśnie o Baterii Świętego Charlza. Jeśli wierzyć *seijinom*, baterie rozmieszczone na jej wschodnim brzegu nie tylko składały się z ciężkich dział, ale też były doskonale chronione. Do tego wszem i wobec było wiadomo, że dohlarlańscy artylerzyści nie należą do ludzi słabego ducha.

Na szczęście, pomyślał Zhaztro, tym razem będę miał do pomocy HMS Gwylym Manthyr.

Zdawał sobie sprawę, że baron Sarmouth wolałby stanąć na czele eskadry ze swoim – znacznie potężniejszym – flagowcem. Ba, snuł nawet takie plany, jednakże Zhaztro wybił mu je z głowy. HMS *Gwylym Manthyr* był mniej manewrowny, a do tego głębiej zanurzony. No i było go łatwo zastąpić innym okrętem. Nie wspominając o tym, że mało komu zależało, aby główny dowódca całej operacji wyleciał w powietrze z powodu przypadkiem napotkanej bomby morskiej. Baron Sarmouth nie przejął się zbytnio tym ostatnim argumentem, wszakże pozostałe zrobiły na nim wystarczające wrażenie, aby z obrażoną miną koniec końców przystał na propozycję Zhaztra.

Hainz Zhaztro prychnął z rozbawienia na to wspomnienie i opuścił lornetkę.

– Możemy dać znać baronowi Sarmouth, że jesteśmy gotowi do akcji – rzekł.

– HMS *Eraystor* jest gotów do akcji, sir! – zameldował Ahrlee Zhones, odczytując ostatnią wiadomość z kartki.

– Świetnie.

Sir Dunkyn Yairley powiedział to takim tonem, jakby czuł wielką pewność siebie, choć w rzeczywistości wcale tak nie było. Ani trochę nie podobały mu się obrazy przekazywane przez SAPK-i, niestety na razie nie mógł nic na to poradzić. Nikt na pokładzie HMS *Gwylm Manthyr* nie był w stanie dostrzec tego, co martwiło go najbardziej, a on przecież nie mógł jakby nigdy nic rozkazać Halcomowi Bahrnsowi, aby ten otworzył ogień do czegoś, co dało się zobaczyć tylko dzięki SAPK-om. Szczególnie że takie działanie przyniosłoby spektakularne efekty. Można by argumentować, że cel uświęca środki, wszakże jego jasnowidztwo z pewnością wzbudziłoby pytania, a niestety nie wszystko da się wytłumaczyć czystym przypadkiem i uśmiechem losu.

– Przypomnij porucznikowi Makadoo, że ma meldować, jeśli cokolwiek zobaczy. Cokolwiek – powtórzył, sylabizując. – A już zwłaszcza ślad okrętu wojennego czy pływających wyrzutni rakiet.

– Tak jest!

Zhones sprawiał wrażenie lekko zdziwionego, a baron Sarmouth nie mógł mieć o to do niego pretensji. Już kilkakrotnie wydał ten sam rozkaz, w niewiele się różniącym brzmieniu, i podejrzewał, że Ahrlee Zhones może myśleć, iż to bitwa o przylądek Palec tak nim wstrząsnęła, wprowadzając niepewność. Mimo to sir Dunkyn nie mógł wyjaśnić, jakie motywy nim kierują – ani swemu oficerowi flagowemu, ani tym bardziej porucznikowi Makadoo.

Raz jeszcze się zastanowił, czyby nie przejąć dowodzenia, lecz od ostatniej rozmowy z admirałem Zhaztro nic się nie zmieniło.

Otóż to, pokiwał głową w duchu. Poza tym, Dunkynie, nie możesz wiedzieć, czy istotnie będzie aż tak źle, jak się obawiasz. Gdybyś nawet postanowił we wszystko wtajemniczyć Zhaztra, usłyszysz od niego, że tak czy owak trzeba pokonać ten kanał, omijając bomby morskie, co w efekcie

niczego nie zmienia. I co? Musiałbyś mu przyznać rację, prawda? Niestety pozostaje wciąż kwestia, kto zginie i w jakiej liczbie...

– Cóż – odezwał się na głos. – Admirał Zhaztro ma moją zgodę na rozpoczęcie operacji.

– Wkraczamy do akcji, sir – oznajmił Bryntyn Hahlys.

Na to porucznik Zoshua Makadoo skończył przeżuwać i pośpiesznie przełknął to, co miał w ustach.

– Rozumiem – powiedział.

Wsunął niedojedzoną kanapkę do kieszeni i precyzyjnie się na przód gondoli. Hahlys rozpląsał się na burcie, aby go przepuścić, po czym zajął zwolnione przez przełożonego miejsce. Tymczasem Makadoo już złapał lornetkę i przyłożył ją sobie do oczu. Po sześciu godzinach w powietrzu obaj byli gargantuicznie głodni, gdy bosman Mykgylykudi przysłał im na górę posiłek za pomocą wzmocnionej liny komunikacyjnej. Hahlys zjadł pierwszy, podczas gdy porucznik dalej prowadził obserwację, a następnie doszło do zmiany.

No i prawie się najadłem, pomyślał Makadoo, śmiejąc się w duchu.

Jego śmiech był odrobinę wymuszony. Zoshua Makadoo – tak jak każdy młody mężczyzna – był nieustraszony, wszakże tego dnia z wyżyn balonu naoglądał się zbyt wiele jatki. Zobaczył wszystko, a sprawę pogarszał jeszcze fakt, że przedmioty i ludzie znajdowali się tak daleko i byli tacy malutcy. Makadoo słyszał grzmoty salw eskadrowych dział i widział, jak charisjańskie pociski wybuchają nad dohlariańskimi fortyfikacjami, lecz z jego perspektywy wszystko to wyglądało jak zabawa żołnierzami w wykonaniu dwóch małych chłopców... to znaczy dopóki nie uniosł lornetki do oczu i nie uświadomił sobie, że te „żołnierzyki” wiją się w agonii. Patrzył, jak pociski Dohlarian uderzają w HMS *Eraystor*, HMS *Zakole*, HMS *Gairmyn*... i zastanawiał się, ilu jego znajomych ginie na pokładach tych okrętów bądź odnosi rany.

Nikt nie obiecywał, że będzie łatwo i przyjemnie, powiedział sobie teraz, skupiając wzrok na pokładzie HMS *Eraystor*, który puszczając dym kominem, sunął miarowo w stronę pozycji wroga.

– Wiadomość od barona Sarmouth, sir... – Hahlys przerwał

rozmyślenia porucznika.

Makadoo obejrzał się przez ramię na podwładnego, który trzymał w ręce kawałek papieru wyjęty przed chwilą z puszek pocztowej.

– Czytaj!

– Tak jest... „Meldować wszystko”. Przy czym „wszystko” jest podkreślone dwa razy, sir. „Zwłaszcza ślady okrętu wojennego czy pływających wyrzutni rakiet”. Tylko tyle, sir.

Makadoo mruknął coś i na powrót zwrócił spojrzenie ku widokowi w dole. Ze zmarszczonym czołem zamiatał lornetką po Wyspie Wraków. Baron Sarmouth osobiście wydał im rozkazy, zanim poszybowali w górę, tak więc porucznik miał pełną jasność co do tego, czego się od nich oczekuje. Dziwne, że admirał postanowił się powtórzyć, co nie było do niego podobne.

A może, zastanowił się w duchu Makadoo, może admirał wie o czymś, o czym nie mówi na głos?

Jeśli nawet tak było, Makadoo nie domyślał się, o co może chodzić. Zdążył już przepatrzyć całą Wyspę Wraków i zdać drobiazgowy raport z tego, co zobaczył.

Nawet dla niego było jasne, że ta wyspa okaże się trudniejszym celem niż przylądek Palec. Z mniejszych – i automatycznie trudniejszych do trafienia – ambrazur wyzierały tylko długie lufy śmiercionośnych fultynów. Z kolei same umocnienia sprawiały wrażenie solidniejszych. Oczywiście o wszystkim tym zameldował, ciesząc się w duchu, że nie zdecydowali się czekać jeszcze kilku pięciodni, skoro było jasne, że Dohlarianie na bieżąco wzmacniają fortyfikacje, poszerzając je i pogłębiając. Trzymając wzrok wbity w sześć barek zacumowanych po drugiej stronie wyspy, pomyślał, że wróg z pewnością umacnia swoje pozycje do samego ostatka. Łodzie, na które patrzył, miały płaskie dna, co go nie zdziwiło w obliczu tego, jak niewiele wody było na mieliźnie Złamany Kil, która rozciągała się pomiędzy Wyspą Wraków i lądem. Właściwie obecnie musiały stać na mieliźnie, co w jakiś sposób wyjaśniało, dlaczego tam jeszcze w ogóle były, zamiast dawno uciec. Dwie z nich, mniejsze od reszty, ziały pustkami, aczkolwiek wokół ich otwartych luków towarowych widniały kopczyki świeżo nakopanej ziemi. Najwyraźniej ten, kto pilnował szuflowania, nie zawracał sobie głowy sumiennością. Pozostałe cztery barki miały na swych pokładach istne

kopce ziemi mającej wzmocnić fortyfikacje. Były one tak wysokie, że Makadoo nie potrafił uwierzyć, iż barkom udało się w ogóle pokonać mieliznę.

Cóż, trochę się spóźnili, skwitował w myślach z uśmiechem. Trudno ocenić, na ile przydałyby się te dodatkowe zwaty ziemi, no ale to już na zawsze pozostanie zagadką...

– Wygląda na to, że wreszcie zabierają się do roboty, sir – powiedział ponuro porucznik komandor Zhordyn Korteż.

– Dziwne, że tyle czekali...

Kapitan Ezeekyl Mahntayl miał czterdzieści sześć lat, był dziesięć lat starszy od swego zastępcy, a od czasów bitwy w cieśninie Kaudzhu nie miał jednej nogi i jednego oka. Zarazem uważano go za jednego z najbardziej doświadczonych artylerzystów Królewskiej Floty Dohlaru, co tłumaczyło jego obecne stanowisko.

– Myślę, że chłopcy kapitana Dynnysyna dali im niezły wycisk, sir – rzucił Korteż.

– Pewnie tak. Ale jak widać, niewystarczający. Dynnysyn powinien był bardziej się postarać!

– Tak jest!

Ktoś mógłby uznać słowa Mahntayla za krytykę dowódcy obrony przylądka Palec, jednakże Korteż wiedział swoje. Mahntayl i Cayleb Dynnysyn byli długoletnimi przyjaciółmi. W efekcie mrukliwy głos Mahntayla miał mniej wspólnego z niezadowoleniem, więcej zaś z tą przyjaźnią właśnie i smutnymi doniesieniami o liczbie ofiar poniesionych w trakcie obrony tamtych pozycji. Kwestia tego, że heretycy nie stracili ani jednego okrętu – jak na razie przynajmniej – była drugoplanowa.

– Wiem, że ludzie są gotowi do akcji – odezwał się znów kapitan – ale nie zaszkodzi otworzyć im oczu...

O dziwo, zdobył się na uśmiech, kpiąc z własnego kalectwa.

– Zrobisz to dla mnie, Zhordynie? – dodał pytająco.

– Tak jest, sir!

Kortez zasalutował i udał się w stronę wyjścia z głębokiego okopu, który wraz z workami z piaskiem bronił stanowiska dowodzenia. Inaczej niż to miało miejsce na przylądku Palec, w wypadku Wyspy Wraków obrońcy mogli liczyć na to, że okręty wroga podpłyną do nich wystarczająco blisko, aby był możliwy bezpośredni kontakt wzrokowy. Mimo że pośrodku wyspy stała wieża obserwacyjna, była ona obecnie nieobsadzona. Mahntayl byłby zachwycony, gdyby heretycy postanowili ją zburzyć, zamiast od razu skupić się na mierzeniu do jego artylerii.

A mam dla was nie tylko armaty, wy dranie, pomyślał ostro, spoglądając przez lunetę zamontowaną na trójnogu. Nie sądzę, aby spodobało wam się powitanie, jakie wam urządzimy. Bylebyście tylko nie przestali płynąć w naszą stronę...

– Ognia!

Gdy rozbrzmiała pierwsza salwa z bakburty, której towarzyszyła chmura brązowego dymu prochowego, sir Hainz Zhaztro pożałował, że nie znajduje się wciąż na skrzydle mostka.

Wyglądając przez szczelinę obserwacyjną i widząc, jak baterie Wyspy Wraków nikną za kłębam dymu z własnych dział, zmienił jednak szybko zdanie.

Część pocisków przeleciała górą z charakterystycznym jękiem, ale znaczna ich liczba uderzyła w wodę, tworząc wysokie, spienione kolumny. Na ten widok admirał poczuł, jak zaciska mu się żołądek. Teraz już wiedział, z jaką bronią przyjdzie się zmierzyć jego ludziom.

– Co to ma być? – zapytał cicho Ezeekyl Mahntayl.

Heretyckie pociski nadleciały niczym żądne zemsty demony i zaczęły tłuc w ziemne umocnienia jego baterii, wyrывая w okolicy liczne leje. O dziwo, część z nich nie eksplodowała. Niektóre tylko wypuściły z siebie gęste tumany dymu.

Mahntayl pomyślał, że takiej głupoty jeszcze nie widział. Przecież jego działa produkowały wystarczającą ilość dymu! Nawet przy porywistym

wietrze wiejącym z północnego wschodu wzdłuż kanału Zhulyet bardzo poważnie ograniczało to pole widzenia działonowych, a sytuacja mogła się tylko pogorszyć z czasem, i to mimo nie najszybszej szybkostrzelności dwunastocalowych armat. Heretycy powinni chyba posyłać w ich stronę amunicję wybuchową, a nie tylko świece dymne?

No chyba że chcieli, aby zasłona dymna ukryła przed jego wzrokiem coś jeszcze...

– No dobrze, Wahltayrze – powiedział komandor Tahlyvyr Sympsyn, gdy dym spowił niemal całą Wyspę Wraków, z pewnością ograniczając pole widzenia dohlariańskich artylerzystów niemal do zera. – Zaczynamy przedstawienie!

– Tak jest, sir! – szczechnął porucznik Wahltayr Rahbyns, a następnie przeniósł wzrok na szpakowatego bosmana stojącego u steru przerobionej barki desantowej. – Słyszeliście, co powiedział komandor, bosmanie. Płyniemy!

– Robi się, sir – odparł melancholijnie bosman Styv Khantrayl, po czym sprawnym ruchem ręki zakręcił kołem sterowym.

– Przydałaby się większa prędkość – stwierdził Rahbyns, obserwując widok przed sobą za pomocą lornetki.

Na jego rozkaz marynarz pełniący rolę mechanika otworzył nieco mocniej przepustnicę.

Koło łopatkowe wprawiało całą konstrukcję w drżenie, mieląc wodę, podczas gdy *Poławiacz Bomb Jeden*, jak nazywała się ta jednostka, nabierał prędkości.

– Podkręcić tempo! – rozkazał głośniejszym głosem Rahbyns.

Czterej inni marynarze pochylili się nad kołowrotami zamocowanymi na dwóch przeciwległych krańcach tępego dziobu poławiacza bomb. Aby w odpowiednim tempie popuszczać linę, trzeba było dwu par silnych rąk. Rahbyns obserwował je uważnie.

Bardzo się zmartwił, usłyszawszy po raz pierwszy o bombach morskich używanych przez Flotę Boga. Unoszący się tuż pod powierzchnią ładunek wybuchowy, tylko czekający, aby wpłynął na

niego okręt? I mający gdzieś, jak grube poszycie ma rzeczona jednostka? Ładunek, który do ostatniego momentu będzie się krył bezpiecznie pod falami? Sama myśl o czymś takim była zdolna wywołać gęsią skórę u każdego marynarza.

On jednak był pewien, że baron Skalistego Szczytu znajdzie na to radę. I nie pomylił się. Rozwiązanie nie było może idealne, a już na pewno daleko mu było do standardów bezpieczeństwa, takich, jak je pojmowano na Schronieniu, niemniej można było mieć pewność, że Dohlarianie będą niepokieszeni.

Obie liny rozwinęły się na całą swoją długość, a wtedy poławiacz bomb zaczął płynąć mozolniej, ponieważ odtąd musiał ciągnąć za sobą coś, co mieszkańcy Starej Ziemi nazwaliby trałami. Rozpościerały się one po obu stronach dziobu. Liny wygięły się mocno, ale utrzymywały konstrukcję we właściwej pozycji w stosunku do jednostki.

Gdyby *Poławiacz Bomb Jeden* nadział się bezpośrednio na jedną z bomb morskich, skutki byłyby... opłakane. Wszakże jakkolwiek gęste byłoby rozmieszczenie min, szanse na takie zderzenie czołowe były minimalne. W istocie do eksplozji dochodziło najczęściej wtedy, gdy jednostka przepłynęła obok pułapki, po czym dopiero kilwater niejako zasysał ją i zmuszał do kontaktu z kadłubem.

W tym wypadku jednak miały za zadanie przechwycić liny mocujące bomb morskich znajdujących się na ich drodze oraz skierować je nie do wewnątrz, ku barce, lecz na zewnątrz, ku trałom. To zaś oznaczało, że prawdziwie zagrożona strefa znajdowała się tuż przed dziobem *Poławiacza Bomb Jeden* i nie była szersza niż jego dziób. Przynajmniej teoretycznie. Wszyscy mieli nadzieję, że podczas akcji liny mocujące zostaną zerwane, dzięki czemu pułapki wypłyną na powierzchnię. W takim wypadku uzbrojeni w karabiny M96 marynarze już by na nie czekali przy obu burtach. Magazyńki ich karabinów były pełne specjalnych pocisków zapalających, zaprojektowanych tak, by przebiły okrywą bomby morskiej i zdetonowały ładunek.

Naturalnie metoda ta miała swoje minusy. Poławiacze bomb musiały płynąć idealnie prostym – a zatem też przewidywalnym – kursem, jeśli ktokolwiek miał później wiedzieć, gdzie znajduje się oczyszczony przez nie kanał. To zaś czyniło z nich wyjątkowo łatwe cele. Rzecz jasna, oczyszczenie odpowiednio szerokiego pasa wymagało połączonego

wysiłku kilku takich jednostek, które musiały płynąć przed siebie w ustalonej formacji, dzięki której poszczególne trały współpracowały ze sobą, zamiast współzawodniczyć i wchodzić sobie w paradę. W chwili obecnej *Poławiacz Bomb Jeden* sunął na czele trójkąta takich samych jednostek, które dzieliło nieco ponad trzysta jardów. Dwie płynące z tyłu jednostki zostały ochrzczone przez barona Sarmouth „skrzydłowymi”, a posuwały się one wystarczająco daleko, aby ich wewnętrzne trały znajdowały się co najmniej pięćdziesiąt jardów od burty Rahbynsa, a przy tym co najmniej siedemdziesiąt pięć jardów za jego jednostką. Takie zachodzenie na siebie gwarantowało – teoretycznie – że żadna bomba morska nie zostanie przeoczona.

Porucznik Mahkwail Charlz płynął równolegle do Rahbynsa, w odległości poniżej pięciuset jardów, na pokładzie *Poławiacza Bomb Pięć*, który prowadził drugą identyczną formację. Teoretycznie dzięki temu manewrowi miał powstać szeroki na sześćset jardów kanał w samym środku morza dohlariańskich bomb morskich, i to za jednym zamachem. Aczkolwiek plan zakładał, że w pewnym momencie wszystkie poławiacze bomb zawrócą, odnajdą swoje znaki nawigacyjne i stworzą drugi wolny od min kanał, który będzie zachodził lekko na pierwszy. Ostatecznie powstanie szeroki na prawie tysiąc jardów szlak.

Wszystko to brzmiało dobrze. Równie dobrze przebiegły ćwiczenia na sucho. Wszakże oczywiście podczas ćwiczeń nikt nie strzelał do poławiaczy bomb i służących na nich marynarzy, a także żadna mina nie była uzbrojona.

Właśnie na wypadek niepowodzenia akcji, w odwodzie pozostawało jeszcze dziewięć podobnych jednostek, które miały zastąpić te ewentualnie utracone.

– Co oni, na Shan-wei, wyprawiają? – zapytał donośnie porucznik komandor Korteż, na co kapitan Mahntayl oderwał oko od lunety i zmarszczył czoło.

– Zakładam, że chodzi ci o te maleństwa? – Mahntayl musiał także podnieść głos, aby zostać usłyszanym pośród huku artyleryjskiego i odgłosów wybuchów, które przenikały grube ściany stanowiska

dowodzenia.

Kortez potaknął skinieniem.

Kapitan nie zauważył, jak jego zastępca wraca do bunkra, co w sumie nie było dziwne, zważywszy na niesamowity hałas, jaki się utrzymywał podczas wymiany ognia. Zorientował się dopiero wtedy, gdy porucznik stanął obok niego, aby wyrzeć przez tę samą szczelinę obserwacyjną. Kłęby dymu wspierane przez pociski dymne heretyków sprawiały, że widoczność pozostawiała wiele do życzenia, na szczęście jednak wiatr się powoli wzmagał. Dym wprawdzie się nie rozwiął, jeśli już, to zrobił się gęstszy, jednakże powstało w nim coś w rodzaju tunelu, dzięki któremu w polu widzenia pokazały się małe jednostki sunące prosto na pole minowe.

– Hm, jedyne, co mi przychodzi na myśl – odparł kwaśno – to że jakoś dowiedzieli się o naszych bombach morskich i wydaje im się, iż są w stanie oczyścić dla siebie żeglowny kanał.

– To śmieszne – bąknął pod nosem Kortez.

Ton jego głosu wskazywał raczej na kogoś, kto by pragnął, aby Mahntayl się mylił, nie zaś kogoś, kto był tego pewien.

– Jeśli masz inną teorię na temat obecności tych jednostek uwijających się w samym środku wymiany ogniowej, proszę bardzo, nie krępuj się – rzucił kapitan.

Na moment ich spojrzenia się spotkały. W końcu porucznik komandor wzruszył ramionami pierwszy.

– Nie, sir. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Najbardziej paląca kwestia jest taka, czy oni faktycznie są w stanie to zrobić. Nie sądzę, by...

Urwał, gdy jedna z barek wyłowiła pierwszą bombę morską. *Odplyw przybiera na sile...* – pomyślał i nagle zrozumiał, że Charisjanie tak wszystko zaplanowali, aby atak rozpoczął się w chwili, gdy miny będą blisko powierzchni wody, aby było je najłatwiej wyłowić. Teraz, na oczach obu Dohlarian, lina przymocowana do trału robiła to, co do niej należało: kierowała wyłowioną bombę w wybrane miejsce. Z pokładu poławiacza bomb dobiegły odgłosy wystrzałów. Kule wpadały do wody i wywoływały małe fontanny piany. Przez parę sekund nic więcej się nie działo. W końcu mina wybuchła gwałtownie, nikogo nie krzywdząc.

– A niech mnie, sir! To działa! – zawołał radośnie porucznik Rahbyns. Komandor Sympsyn w odpowiedzi kiwnął głową.

Przez cały czas trzymał kciuki, aby nie stracili trału, mimo że każda jednostka była wyposażona w dwa dodatkowe urządzenia, na wypadek gdyby któreś stracili. Wszystko zostało tak pomyślane, aby utracony był zastępowany automatycznie, bez udziału człowieka. Najważniejsze jednak w tym momencie było, że Rahbyns się nie pomylił: to działało – niemal idealnie tak, jak przewidział to baron Skalistego Szczytu.

– Przekaż wiadomość na flagowiec – polecił sygnaliście Sympsyn. – Numer dziewiętnaście.

– Tajest! – Młody sygnalista, który stał tuż przy maszcie wzniesionym w jednym jedynym celu: aby przekazywać wiadomości, uśmiechnął się.

Zgodnie z książką kodów liczba ta znaczyła tyle co „jesteśmy na miejscu”.

– Wiadomość od komandora Sympsyna przekazana za pośrednictwem HMS *Gairmyn*! – zameldował ucieszony Zhones. – Numer dziewiętnaście, mój panie!

– Doskonale, Ahrlee, doskonale – skwitował baron Sarmouth takim tonem, jakby dopiero w tej chwili dowiedział się o poczynaniach *Poławiacza Bomb Jeden*.

Tak czy owak, wieści były naprawdę dobre. Niestety, w parze z nimi szły także nie najlepsze – między innymi taka, że jak się okazało, pociski nowych fultynów były w stanie przebić pancerny kadłub kanonierki klasy City. Jak na razie HMS *Eraystor* oberwał dwa razy, a HMS *Zakole* raz. Łyzką miodu w tej beczce dziegciu było to, że dohlariańskie pociski okazały się mieć grube ścianki, dzięki czemu w środku przenosiły niewiele prochu. Przynajmniej w porównaniu z charisjańskimi odpowiednikami. Do tego ich zapalniki bywały wadliwe. W efekcie dwunastocalowy pocisk Dohlarian miał mniej więcej taką samą moc jak sześciocalowy pocisk Charisjan.

No ale musimy pamiętać, że wystarczająca liczba pocisków sześciocalowych jest w stanie rozprawić się z pancierzem niemal każdego okrętu, dodał w myślach admirał.

HMS *Eraystor* stracił do tej pory dwudziestu członków załogi – z czego dziewięciu na dobre. HMS *Zakole* miał trzy ofiary śmiertelne i siedmiu rannych. Flagowiec *Zhaztra* musiał się pożegnać z dwiema armatami na ostrzelanej burcie, a jego strażacy mieli pełne ręce roboty, gdy w magazynie farby wybuchł pożar.

HMS *Gwylym Manthyr* także wycelował swoje działa w Wyspę Wraków, lecz wyszło na jaw, że obrona *Mahntayla* jest nawet lepiej okopana niż baterie na przylądku *Palec*. Zatem rozprawienie się z nią będzie wymagało czasu i...

Pierwszy dwunastocalowy pocisk wylądował w wodzie niemal pięćset jardów przed zamierzonym celem. Pozostałe trzy spudłowały mniej więcej tak samo.

Piąty z kolei trafił *Poławiacza Bomb Trzy* prawie idealnie w śródkręcie.

Jako że przerobiona barka miała zbyt lekką budowę, aby aktywować prymitywny ładunek, *Poławiacz Bomb Trzy* nie wyleciał w powietrze. Niestety, przelatujący przez poszycie z jednej i drugiej strony pocisk przy okazji przebił na wylot kocioł parowy.

Wybuch pary zabił na miejscu dwóch członków załogi. Trzej inni doznali poważnych poparzeń (jak się okazało później, jeden z nich zmarł w ich wyniku). Tylko dzięki temu, że kocioł znajdował się na otwartym pokładzie, a nie był zakryty, nie doszło do eksplozji, która by rozerwała przerobioną barkę na strzępy.

Szkoda, że ulga była krótkotrwała.

Pozbawiona napędu jednostka momentalnie zaczęła zwalniać, w wyniku czego trały zwinęły się w sobie, zamiast dalej się rozpościerać. Trzej przydzieleni na pokład karabinierzy zginęli lub właśnie wydawali ducha, wszakże pozostali przy życiu członkowie załogi nadal pruli do bomb morskich zagarniętych przez sterburtowy trał. Wskutek dryfu zagrożenie było coraz większe, ale na szczęście przy trzydziestym strzale

komuś dopisało szczęście i mina, która była zaledwie czterdzieści jardów od *Poławiacza Bomb Trzy*, eksplodowała, nie czyniąc większych szkód.

Oczywiście sama eksplozja wstrząsnęła jednostką niczym jaszczurkot złapanym pająkoszczurem. Doszło przy tym do rozszczelnienia kadłuba w kilkunastu co najmniej miejscach, przez które momentalnie zaczęła wlewać się do środka woda.

A potem, gdy bomba morska, której trał nie wychwycił, rąbnęła prosto w kadłub barki, sama jednostka, jak i wszyscy obecni na niej ludzie wyparowali w słupie białego dymu.

– Tak! – zawołał Ezeekyl Mahntayl.

Heretyckie pociski zadały poważne szkody jego baterii, a on zdawał sobie sprawę z tego, że to dopiero początek. Mahntayl obrócił się gwałtownie do Korteza i dorzucił:

– Włącz do akcji ośmiocalówki i każ chłopcom walić z grubej rury! Zatopimy te przekłete draństwo!

– A niech ich piorun trzaśnie! – warknął sir Hainz Zhaztro.

Właśnie dostał dowód, że Dohlarianie jednak mają działą, które jest w stanie nadwerężyć pancerny kadłub HMS *Eraystor*. Wolał nie myśleć, ilu członków załogi jego flagowca zdążyło do tej pory ponieść śmierć; przypuszczał jednak, że jest to liczba, z jaką będzie mu trudno żyć. I wiedział, że jeśli nie przerwie tego starcia, ofiar będzie znacznie więcej. Ale zdawał sobie też sprawę, że pancierz kanonierki jest o niebo wytrzymalszy od poszycia tych barek. Jak dotąd poradził sobie z każdym pociskiem lżejszym niż dwunastofuntowy. Nie dało się wykluczyć, że poniesie jakieś szkody, nawet że zostanie zatopiony, wszakże pewne było, iż poławiacze bomb są bardziej narażone od niego. I jeśli jednak nie uda im się oczyścić pasa wód, cały atak na stolicę Dohlaru weźmie w łeb.

– Podpłynijmy bliżej – rzucił do Alyka Cahnyrsa z chmurną miną. – Niech ci dranie skupią ogień na nas.

– Dziwne... – mruknął porucznik Makadoo.

– Co takiego, sir? – zainteresował się Bryntyn Hahlys.

Nie był w stanie wyobrazić sobie nic dziwniejszego niż to, co spotkało właśnie *Poławiacza Bomb Trzy*, zwłaszcza że podobne niebezpieczne rozbryzgi wody dały się dostrzec także wokół dwóch jeszcze bliźniaczych jednostek. Trzy czołowe kanonierki przyśpieszyły, aby zająć pozycje pomiędzy trałowcami a dohlariańską artylerią. Niefortunnie nowy kurs niemal zahaczał o pole bomb morskich zaznaczone przez *seijinów* na mapach. Jeszcze bardziej martwiło Hahlysa to, że kanonierki same wystawiły się na ostrzał wrogiej artylerii. Na jego oczach wymiana ognia przybrała na sile.

– No, ja na pewno bym się nigdzie nie pchał przy takim ostrzale – rzekł Makadoo, kręcąc głową.

Hahlys zrobił wielkie oczy.

– Przecież to nie ma sensu! – wykrzyknął.

– Jestem tego samego zdania – zgodził się z nim Makadoo, nie przerywając obserwacji przez lornetkę. – Wygląda jednak na to, że jest ich co najmniej setka.

– I co zamierzają? – zastanowił się głośno Hahlys.

Wyspa Wraków leżała mniej więcej osiem mil od brzegu. A taka odległość wymagała nie lada umiejętności pływackich.

– Oni chyba właśnie wspinają się na barki z ziemią... – Porucznik Makadoo powiedział to takim głosem, jakby nie wierzył własnym oczom, którymi omiatał Dohlarian umykających przed dziesięciocalowymi i ośmiocalowymi działami HMS *Gwylm Manthyr* wypuszczającymi co rusz pociski prosto na fortyfikacje baterii nabrzeżnej. – Poszaleli czy co? Na ich miejscu poszukałbym raczej najgłębszej możliwej dziury, a nie...

Urwał i na moment zeszytniał w bezruchu, po czym pochylił się do przodu, jakby dzięki temu mógł widzieć wyraźniej.

– O mój Boże! – szepnął i okręcił się na pięcie, pokazując Hahlyswi pobladłą twarz. – Musimy szybko nadać wiadomość! – dorzucił.

Oślupiały Hahlys sięgnął po notes. Makadoo zaczął dyktować, zanim jego podwładny wziął do ręki ołówek.

– „Sześć barek za Wyspą Wraków ma pokłady pełne rakiet” – wykrzyczał. – Przekaż to jak najszybciej na dół!

– Tak jest, sir!

Kiedy Hahlys chwycił puszkę pocztową, aby umieścić w jej wnętrzu kartkę papieru, Makadoo na powrót się odwrócił i podjął obserwację Dohlarian uwijających się przy barkach. W dalszym ciągu czuł dla nich wielki podziw za to, że odważyli się pośród gęstego ostrzału stanąć na otwartej przestrzeni z myślą o obronie swoich pozycji. Bardzo szybko jednak uczucie podziwu ustąpiło strachowi, gdy liczne pary rąk zaczęły zdzierać z barek obszerne, ziemiste płachty brezentu, spod których wychyły ustawione pionowo cylindry wyrzutni.

– Wiadomość od porucznika Makadoo, panie admirale!

Baron Sarmouth obrócił się szybko do kadeta. Wiedział, co Makadoo chce mu przekazać, i jakąś częścią siebie był na niego wściekły, że nie wspomniał o tych barkach wcześniej.

– Mówcie! – rzucił ostrym tonem, zły na stracony czas.

Zhones zaczął recytować:

– „Sześć barek za Wyspą Wraków ma pokłady pełne rakiet”. – Kadet podniósł wzrok znad kartki i zrobił ponurą minę. – Co to mogą być za barki, sir?

– Nadajcie natychmiast wiadomość do admirała Zhaztro! – warknął baron Sarmouth. – Niech wykona rozkaz numer sześć!

– Tak jest, sir!

Zhones skinął na pobladłego sygnalistę, baron Sarmouth zaś odwrócił się do drabiny, która łączyła mostek flagowy w kiosku z mostkiem nawigacyjnym. Przycisnął wewnętrzne krawędzie butów do boków drabiny i zjechał po niej jak zwykły kadet, bez dotykania choćby jednego szczebla.

– Co się stało? – zapytał zaskoczony Halcom Bahrns. Nie spodziewał się takiego nagłego pojawienia się przełożonego... i baron Sarmouth go o to nie winił.

– Barki pełne rakiet – wyjaśnił w pośpiechu admirał. – Makadoo

wypatrzył ich sześć po drugiej stronie wyspy. Musimy wycofać Zhaztra i wszystkie kanonierki!

Oczy Bahrnsa rozbłysły, lecz on sam niemal od razu skinął głową w potwierdzeniu, na co baron Sarmouth zbliżył się do jednej ze szczelin obserwacyjnych i wyjrzał na zewnątrz. Przez kłęby unoszącego się dymu nie sposób było dojrzeć nabrzeżnych baterii, jemu wszakże na tym nie zależało. Widział wszystko dzięki unoszącym się w górze SAPK-om. Mimowolnie zacisnął szczęki, gdy marynarze skończyli zdzierać brezent, celowo zafarbowany czy pomalowany tak, aby upodobnił się do ziemi, w czym pomagało dodatkowo przemyślnie rusztowanie tworzące na nim fałdy przypominające kupy ziemi.

Z hrabiego Thirsku jest szczwana sztuka, pomyślał baron Sarmouth posepnie. W dodatku zadał on sobie trud – czy też raczej zadał go sobie Ahlverez – by utworzyć własne kanały zbierania informacji... Właśnie dzięki nim obaj dowiedzieli się o Korpusie Balonowym tak szybko! A potem na domiar złego hrabia Thirsku zmienił pozycje tych przeklętych barek już po tym, jak wyruszyliśmy w drogę! Ciekawe, czy po to wzmacniał dodatkowo fortyfikacje, by je lepiej ukryć? Jakim cudem wpadł na sposób zmylenia naszych obserwatorów z powietrza?

Baron Sarmouth nie znał odpowiedzi na te pytania. Na szczęście wciąż miał czas, aby uniknąć najgorszych konsekwencji przemyślności hrabiego Thirsku. Dohlarianie potrzebowali paru minut – może nawet kwadransa, aby odkryć wszystkie wyrzutnie rakiet. Do tego barki były przycumowane i nie mogły zmienić ustawienia, co znaczyło, że Dohlarianie musieli zaczekać, aż flotylla Zhaztra dostanie się w ich zasięg rażenia. Dawało to więc szansę na zmianę kursu przez Charisjan, dzięki czemu...

– Zmień kierunek ostrzału – powiedział baron Sarmouth do Bahrnsa.
– Bateria nabrzeżna przestała być dla nas ważna. Cały ogień ma pójść na kanał między wyspą i lądem. – Obnażył wszystkie zęby w grymasie. – Żadna wyrzutnia rakiet nie wytrzyma uderzenia dziesięciocalowego pocisku!

– Jest jakaś odpowiedź z *Eraystora*? – zapytał kapitan Gahryth

Shumayt.

Stał na otwartym skrzydle mostka HMS *Gairmyn*, nie zwracając uwagi na ciężki ostrzał wroga. Od małości cierpiał na klaustrofobię, nie dlatego jednak porzucił bezpieczne schronienie wewnątrz kiosku. Z jego środka nic nie widział, uparł się więc, aby jego pierwszy oficer tam pozostał, na wypadek gdyby Shumaytowi coś się stało i trzeba by było przejąć dowodzenie, sam natomiast wyszedł na zewnątrz, żeby zobaczyć, dokąd właściwie płynie jego okręt.

Zadawszy pytanie, zmierzył sygnalistę miazdzącym spojrzeniem, pod którym młodzieniec – bezradny i wyraźnie zdenerwowany – mógł tylko potrząsnąć głową.

– Nie ma, sir.

Sygnalista zapatrzył się na barwny sygnał powiewający z rei HMS *Gairmyn*, po czym instynktownie wtulił głowę w ramiona, gdy w górze przeleciał kolejny wystrzelony przez Dohlarian pocisk, który na szczęście minął łukiem kanonierkę i z pluskiem wpadł do wody daleko za nią. Fontanna wody sięgnęła na wysokość masztu, zachlapując wszystkie pokłady solanką. Dopiero wtedy sygnalista znów wyprostował ramiona i posłał kapitanowi głupawe spojrzenie. Gahryth Shumayt bowiem w ogóle nie przejął się zagrożeniem.

– Szlag! – warknął kapitan.

– To pewnie przez ten dym – zaczął się tłumaczyć sygnalista.

Gahryth Shumayt zaklął ponownie, jeszcze bardziej siarczyście.

To oczywiste, że winowajcą był dym. Maszty kanonierek były krótsze niż na galeonach, w efekcie czego dym z ich kominów w połączeniu z kłębami dymu prochowego znacznie utrudniał widoczność. Mimo wszystko miał nadzieję, że któryś z okrętów jednak zdołał wypatrzeć sygnał i przekazać go dalej, aż do admirała Zhaztra. Przecież to niemożliwe, aby żaden z nich nie był w zasięgu wzroku sygnalisty z HMS *Eraystor*!

A niech to! – Baron Sarmouth zaklął w duchu, uświadomiwszy sobie, że sygnalista Shumayta ma absolutną rację. Przynajmniej na razie Zhaztro nie był w stanie dostrzec przekazywanego sygnału, a czas na

wykonanie manewru, który mógł ocalić życie jemu i całej załodze, gwałtownie się kurczył.

Admirał szarpnął opancerzone drzwi kiosku i wypadł na mostek nawigacyjny. Ktoś go zawołał, ale on to zignorował, przebiegł na skraj mostka i uniósł lornetkę do oczu, jak gdyby liczył na to, że dzięki niej zobaczy *Eraystora* przez kłęby dymu wiszące w powietrzu nad wodą. Tak naprawdę jednak chodziło mu o coś zupełnie innego.

– Nahrman!

Ryk artylerii HMS *Gwylym Manthyr* zagłuszył jego głos. Nikt, kto stałby dalej niż trzy czy cztery stopy od niego, by go nie usłyszał, jednakże Nahrman Baytz i Sowa mieli znacznie lepszy słuch od jakiegokolwiek śmiertelnika.

– Już rzuciliśmy je do akcji! – zapewnił go Nahrman.

Słyszając to, admirał zauważalnie się uspokoił. Jak w ogóle mógł zwątpić, że korpulentny książę kontroluje sytuację?... Tymczasem Nahrman mówił dalej:

– SAPK-i już są w drodze na swoje pozycje, ale trochę czasu im to zajmie, Dunkynie. Co najmniej dziesięć minut. Ich główną zaletą jest niewykrywalność, nie prędkość.

– Powinienem był na nic się nie oglądać i rozwalić te draństwa, jak tylko znalazły się w naszym zasięgu! Do licha, posyłamy w stronę wroga wystarczająco dużo pocisków, aby uprawdopodobnić każdą eksplozję w okolicy!

– Nie mogłeś wiedzieć, że do tego dojdzie – zauważył Nahrman. – Gdyby sir Hainz dostrzegł sygnał, zdołałbyś go wyprowadzić ze strefy zagrożenia na czas.

– A gdybym był Bogiem, nie musielibyśmy sobie zawracać głowy Clyntahnem! – warknął baron Sarmouth. – Ale nie jestem. Tak samo jak sir Hainz nie jest w stanie dostrzec sygnału w tej kurzawie! I tylko nie próbuj wyciągać znów „konsekwencji politycznych”, które nie mają za grosz znaczenia, dopóki ta cholerna bitwa się nie skończy! Naszym zwycięstwem w dodatku... W przeciwnym razie nikt nic...

– Wiadomość od barona Sarmouth, sir! – zameldował ostrym tonem Lywys Pharsaygyn, klucząc między osobami znajdującymi się w kiosku. W rękę trzymał kawałek papieru. – Przekazana za pośrednictwem HMS *Gairmyn*, sir. „Numer osiemdziesiąt. Numer sześć”.

– Że jak? – Zhaztro spojrział w osłupieniu na swego szefa sztabu.

„Numer osiemdziesiąt” znaczył tyle co „wykonać poprzednie rozkazy”. „Numer sześć” z kolei był sygnałem do przerwania ataku i natychmiastowego wycofania się z pola bitwy. Zhaztro od samego początku miał barona Sarmouth za wielkiego asekuranta, który zawczasu myśli o najgorszym możliwym rozwoju sytuacji. W chwili obecnej po prostu nie mógł sobie wyobrazić, co też spowodowało dowódcę do wydania takiego polecenia. HMS *Eraystor* i HMS *Zakole* znajdowały się w odległości niecałych sześciu tysięcy jardów od Wyspy Wraków. Aby osiągnąć ten wynik, wystawiły się na silny ostrzał i nie raz oberwały, a HMS *Zakole* miał rufę w płomieniach, aczkolwiek na szczęście kapitan Whytmyrn panował nad sytuacją. Wreszcie byli dostatecznie blisko brzegu, ażeby użyć swoich szybkostrzelnych sześciocalówek, którym wsparcia miały udzielać armaty o większym zasięgu znajdujące się na pokładzie HMS *Gwylym Manthyr*. Prawda była taka, że jedno i drugie mogły zasypać wroga pociskami, ten zaś miał do dyspozycji tylko mało wydajne działa odprzodowe. W związku z tym – wykluczając pechowe uderzenie prosto w magazyn amunicji czy coś w tym stylu – to Charisjanie byli górą. Dlaczego więc...?

To bez znaczenia, Hainz... – powiedział sobie w duchu. Dunkyn nie należy do ludzi, którzy by się bali własnego cienia. Zresztą nawet gdyby tak było, i tak pozostałby twoim dowódcą.

– Nie mam pojęcia, o co tu może chodzić, Alyku – rzekł, zwracając się do kapitana flagowca. – Niemniej każ zawracać i przekaż trałowcom wiadomość, aby ruszyły za nami.

– Ognia! – wrzasnął porucznik Fhrancysko Dyahz.

Podczas zdzierania brezentu stracił trzydziestu ludzi. Wprawdzie uważał ideę „kamouflażu” za idiotyczną, skoro barki i tak były ukryte po drugiej stronie wyspy, lecz zmienił szybko zdanie, gdy zobaczył balon

unoszący się nad heretyckim flagowcem i uświadomił sobie, że hrabia Thirsku musiał o nim wiedzieć wcześniej.

W tym momencie pociągnął dźwignię zapalnika i odwrócił się, aby podążyć za swymi podwładnymi do kuloodpornych umocnień. Znajdował się dwadzieścia stóp od wejścia do nich, gdy jeden z ośmiocalowych pocisków wystrzelonych przez HMS *Gwylym Manthyr* eksplodował siedemdziesiąt jardów od niego i długi na cztery cale odłamek wbił mu się między łopatki niczym szybkoobrotowa piła tarczowa.

Zginął, zanim jego ciało dotknęło ziemi.

Dziesięć sekund później rakiety zaczęły startować.

Każda z czterech barek porucznika Dyahza miała na swoim pokładzie sto dwadzieścia przysadzistych, paskudnych rakiet, zaprojektowanych przez Dynnysa Zhwaigaira do obrony portu. Nie wszystkie startowały naraz. Wręcz przeciwnie: były odpalane w ściśle określonej kolejności, po czym szybowwały w niebo pośród fontanny płomieni po znacznie dłuższej i bardziej stromej trajektorii niż szybsze pociski Cesarskiej Floty Charisu. Barka numer dwa zdążyła wypuścić tylko czterdzieści trzy pociski, zanim jeden z dziesięciocalowych pocisków wystrzelonych przez HMS *Gwylym Manthyr* wybuchł jedenaście stóp przed nią. Eksplozja rozdarła kadłub na strzępy, wywołując detonację dziewiętnastu rakiet, w efekcie czego zniszczona barka wywróciła się na bok. Nagła wywrotka spowodowała, że ostatnie pięćdziesiąt osiem pocisków poleciało płaskim, szeroki łukiem, lądując z dala od jednostek Imperium Charisu.

Z trzystu pięćdziesięciu sześciu rakiet ogółem znajdujących się na trzech dalszych barkach aż czterdzieści dziewięć okazało się – z tego czy innego powodu – niewypałami. Trzy z nich zasyczały w miejscu i wyrznęły w tyły umocnień na wyspie, zabijając następnych szesnastu ludzi kapitana Mahntayla. Jednakże reszta – w liczbie trzystu jedenastu – pomknęła w niebo lawiną ognia i dymu, po czym runęła w dół.

Nie był to najprecyzyjniejszy rodzaj broni. Wszakże ich siłą była ilość. Z trzystu jedenastu część po prostu musiała trafić w cel. I trafiła.

Gahryth Shumayt przyglądał się z otwartego skrzydła mostka, jak pięć albo nawet sześć takich rakiet kieruje się na HMS *Eraystor*. W tym pandemonium nie był w stanie dokładnie określić, ile z nich faktycznie uderzyło w okręt, a ile spadło do wody w jego pobliżu. Dojrzał jednak co najmniej dwie kule ognia, a także to, jak przednia część kadłuba kanonierki znika w piekielnej eksplozji.

Na HMS *Zakole* miał lepszy widok. Zaklął siarczyście, kiedy jednostka Tobysa Whytmyna zakołysała się potężnie, zwracając dziób w stronę południa południowego wschodu, czyli z dala od Wyspy Wraków. Płomienie, które już niemal stłumiono na jej rufie, ożyły z nową siłą, a ładunki wybuchowe do jej sześciocalowych dział jęły wybuchać w miarę kolejnych trafień. HMS *Zakole* tonął, zanurzając się wolno od strony rufy. Shumayt stwierdził w pewnym momencie, iż modli się o to, aby zalewająca pokład woda stłumiła płomienie, zanim dotrą do magazynu amunicji. Kapitan lub sternik usiłował wyprowadzić okręt na głębsze wody i uciec przeznaczaniu. Osiągnął tyle, że odległość między HMS *Zakole* i trałowcami zaczęła się wolno zmniejszać, dzięki czemu można było mieć nadzieję choć na to, że barki przejmą rozbitków.

Patrząc, jak słupy dymu biją w niebo, a dumny do niedawna HMS *Zakole* powoli umiera, Shumayt zastanowił się, czy Whytmyn jeszcze w ogóle żyje, czy stoi na objętym płomieniami mostku, starając się ratować członków załogi.

Z HMS *Eraystor* sprawa wyglądała inaczej.

Ostatnie rakiety spadły do wody dobre tysiąc jardów od HMS *Gairmyn*, a wtedy HMS *Eraystor* przedarł się przez dym i pianę morską. W dalszym ciągu płynął z prędkością mniej więcej dziesięciu węzłów, jednakże cała jego dziobowa nadbudówka, to jest wszystko przed zniszczonym kominem, stała w płomieniach. Mostek nawigacyjny zniknął, pozostawiając po sobie tylko kilka powykręcanych dźwigarów wspornikowych, dzięki którym można było się domyślić, gdzie kiedyś się znajdował. Z kiosku zostało coś w rodzaju komina – płomienica samego piekła. Bijący z niej ogień sięgał do szczytu masztów. Okręt płynął samopas, ewidentnie bez ręki człowieka na kole sterowym.

Zawracał bezwładnie w odpowiedzi na ostatni rozkaz kapitana Cahnyrsa, kierując się ku przerażeniu obserwującego go Shumayta prosto na pole minowe.

Przepłynął jeszcze trzysta jardów, zanim natknął się na pierwszą pułapkę. W ciągu trzech kolejnych minut nastąpiły jeszcze dwa wybuchy.

Czwarta bomba morska eksplodowała tuż pod magazynem amunicji.

HMS *Eraystor* rozpadł się na szczątki w wielkiej chmurze ognia.

.III.
Bateria Wschodnia
oraz
Pałac królewski
Gorath
Dohlar

Hrabia Thirsku stał samotnie przy balustradzie wieży obserwacyjnej i przyglądał się wschodniemu horyzontowi, który właśnie mienił się barwami lawendy i rózu. Kapitan Stywyrł Baiket, który został mianowany jego zastępcą na lądzie, gdy długoletni flagowiec hrabiego rzucił kotwicę i wypuścił na brzeg całą załogę, stał kilka stóp za swoim przełożonym i popatrywał na niego niespokojnie. Za plecami Baiketa z kolei czekało kilku adiutantów i gońców. Nawet w ich towarzystwie hrabia Thirsku był sam – zupełnie sam – ze swoimi myślami i troskami, ze swoją odpowiedzialnością. Tymczasem czarne, pozbawione księżyca niebo nad jego głową powoli zmieniało kolor na szary. Gdy w końcu nieśmiało nadszedł świt, hrabia Thirsku zapatrzył się ponad przestworem Pięciosążniowej Głębi i mrużąc oczy, starał się przeniknąć spojrzeniem rozpraszaający się mrok.

Bateria Wschodnia składała się z dwunastu fultynów, które powinny sprawnie się rozprawić z napastnikiem, zakładając oczywiście, że ów napastnik nadziałyby się prosto na nie, co nie było takie pewne. Gdyż – czego hrabia Thirsku był boleśnie świadomy – do stolicy Dohlaru można było się dostać z wielu różnych stron. Zgadywanka, z której, stanowiła zdaniem hrabiego niebezpieczną zabawę, od której wyniku zależały tysiące istnień ludzkich.

Tak naprawdę liczyły się trzy podejścia, ponieważ Charisjanie sforsowali kanał Zhulyet i zredukowali Wyspę Wraków do tłących się zgliszcz.

Kanał Wschodnie Wrota, znajdujący się pomiędzy Przylądkiem Wschodnim i Wyspą Sieci, mierzył dwanaście i pół mili. Ten przesmyk

dało się zamknąć przy pomocy artylerii gwintowanej, zakładając, że aktywne będą obie baterie na przeciwnych brzegach, aczkolwiek nawet wtedy celność i siła ostrzału będą pozostawiać wiele do życzenia w wypadku jednostek posuwających się samym środkiem kanału. Trafienie było niewykluczone, lecz czym innym jest trafić, a czym innym przebić skutecznie kadłub, co przy opancerzeniu charisjańskich jednostek było co najmniej wątpliwe. Właśnie dlatego hrabia Thirsku zdecydował się na utworzenie gęstego pola bomb morskich w samym środku kanału Wschodnie Wrota. Napastnik miał więc do wyboru: przepłynąć blisko któregoś brzegu, narażając się na silny ostrzał jednej z baterii, bądź wybrać środek kanału, aby uniknąć pocisków, narażając się tym samym na spotkanie na swej drodze jednej z licznych min. Niestety hrabia Thirsku zdawał sobie sprawę z tego, że zapalniki tej broni nie są tak niezawodne, jak by sobie życzył, i że około trzydziestu procent z nich może przeciekać, przez co w ciągu pięciodnia czy dwóch stają się bezużyteczne. Hrabia mógł się pocieszać jedynie tym, że tych bomb morskich są setki. Zatem ktokolwiek wpłynie na środek kanału, może pożegnać się z tym światem.

Kanał Środkowe Wrota – pomiędzy Wyspą Sieci i Alahnah – był tylko w połowie tak szeroki jak Wschodnie Wrota, co stanowiło zeń trasę nawet łatwiejszą do obrony za pomocą artylerii.

Niestety kanał Wrota Tairayl – pomiędzy wyspą Alahnah i przylądkiem Chelsea leżącym już na stałym lądzie – miał aż dwadzieścia mil szerokości. A Królewska Flota Dohlaru nie posiadała na stanie działa, którego zasięg umożliwiałby rozprawienie się z celem płynącym samym jego środkiem.

Jakieś pocieszenie stanowiło to, że wody tego ostatniego były płytsze niż pierwszego. Najgłębszy z całej trójki był zaś kanał Środkowe Wrota, a to za sprawą przyływów i silnego prądu rzeki Gorath. Wprawdzie wszystkie te trzy kanały były wystarczająco głębokie, aby mogły po nich pływać nawet największe galeony – to znaczy przynajmniej przy przyplywie – ale Tairayl nie wydawał się najlepszym miejscem do uprawiania żeglugi. Właściwie to wił się i wyginał do tego stopnia, że galeony pływały po nim tylko z rzadka, gdyż wiatr, który im sprzyjał na jednym odcinku, okazywał się wrogi na drugim. Przeprowadzenie się przez coś takiego było niełatwym zadaniem nawet dla galery – a także parowca – bez względu na to, jak dobrze kanał był oznakowany... W tym

akurat momencie zaś nie był w ogóle oznakowany. Jeżeli na Schronieniu istniała flota, która byłaby w stanie pokonać ten kanał nawet po usunięciu wszystkich boi i wygaszeniu wszystkich latarni, bez wątpienia wchodziła w grę Cesarska Flota Charisu. Tylko że jej opancerzone parowce były zbyt cenne, aby ryzykować. Szczególnie po tym, jaki los je spotkał u brzegów Wyspy Wraków. A hrabia Thirsku uczynił ten wybór jeszcze trudniejszym, niemal całkiem otwierając pola bomb morskich w najbardziej kluczowych miejscach tego kanału.

Na kanale Środkowe Wrota ta strategia nie do końca była możliwa, a to z powodu pływów i prądów. Liny mocujące ulegały zerwaniu. Pewien statek kupiecki pod banderą Dohlaru przekonał się w najmniej przyjemny z możliwych sposobów, że wolno pływającej bombie morskiej jest wszystko jedno, co wysadzi w powietrze – nie ma dla niej na morzu wrogów ani przyjaciół. Hrabia Thirsku uczynił, co mógł, jednakże nie był zadowolony z efektu. Z drugiej strony maksymalna szerokość tego przesmyku wynosiła nieco poniżej tysiąca jardów. Właśnie dlatego baterie rozmieszczone na – niewielkich w końcu – wyspach Alahnah oraz Sieci były wyposażone w dobrze ponad jedną trzecią wszystkich jego ciężkich dział, włączając w to sześć piętnastocalówek, które zdołały przysłać zakłady z Ziemi Świątynnych. Do każdej piętnastocalówki miał tylko dwadzieścia pięć pocisków, a na domiar złego broń ta miała mniejszy zasięg od dwunastocalówek. Jedyną ich zaletą była iście niszczycielska siła, którą wesprzeć miały dwunastocalówki oraz ośmiocalówki. Hrabia Thirsku bardzo wątpił, aby ktoś, kto zasmakował już ognia tych rodzajów broni, zdecydował się na popłynięcie tą drogą wodną, skoro miał inne wyjście.

Jakkolwiek wszystko to była prawda, nie dało się ukryć, iż hrabia Thirsku nie przewidział jednego: mianowicie że Charisjanie opanują sztukę trałowania. Otrzymane przez niego raporty z ostatniego dnia walk były mniej szczegółowe, niżby sobie życzył, wszystkie jednak zgadzały się co do tego, że wróg posiadał tę nową, jakże przydatną umiejętność, którą wykorzystywał nawet podczas najsilniejszego ostrzału. To sprawiło, że wszystkie plany hrabiego Thirsku stanęły pod znakiem zapytania. Lywys Gardynyr łudził się jednak tym, że Wrota Tairayl nie okażą się w oczach Charisjan atrakcyjnym wyborem, skoro poławiacze bomb – aby były skuteczne – musiały się poruszać w linii prostej. Na tym kanale to akurat było niemożliwe.

Niestety nie dało się powiedzieć tego samego o kanale Wschodnie Wrota.

I to był właśnie powód, dla którego stał teraz na szczycie swojej wieży obserwacyjnej, oczekując na nadejście świtu. Na miejscu barona Sarmouth – i zakładając, że szczątkowe raporty nie mijały się z prawdą – nie miałyby problemów z podjęciem decyzji. Jego wybór padłby na kanał Wschodnie Wrota, a to dlatego, że łatwiej było na nim nawigować, do tego zaś można też było trzymać się w miarę daleko od baterii nabrzeżnych. Naturalnie istniało ryzyko, że baron Sarmouth wybierze inną drogę właśnie z tego względu, że jest ona mniej oczywista. Taktyka, którą przyjął na kanale Trosan oraz przy mieliźnie Shipworm, wskazywała, że ma świadomość wagi efektu zaskoczenia. Zarazem doświadczenie uczyło, że Cesarska Flota Charisu nie raz i nie dwa przekombinowała, z pewnością więc wyniosła z tej przykrej lekcji nauzkę. Zresztą plusy, jakie oferował kanał Wschodnie Wrota, były nie do przecenienia.

Przy założeniu, że bomby morskie faktycznie dało się trałować.

Koniec końców hrabia Thirsku podjął minionego wieczoru decyzję, aby przywrócić na służbę Królewskiej Floty Dohlaru piętnaście galer śrubowych.

Pierwotnie nie zamierzał ich użyć, mimo iż od bitwy przy mieliźnie Shipworm wdrażał je do nocnych walk. Tamta bitwa bowiem wyraźnie pokazała, że w starciu z opancerzonymi galeonami nie może być mowy o walce w dzień. To samo – tylko w jeszcze większym stopniu – dotyczyło rzecz jasna napędzanych parą potworów Cesarskiej Floty Charisu. Hrabia Thirsku uznał jednak, że osłona ciemności może im umożliwić wykorzystanie torped. Wczorajszy dzień niestety rozwiał te jego złudzenia. Aż do wtedy hrabia Thirsku nie zdawał sobie sprawy, jak szybkie i zwrotne, a przy tym trudne do zniszczenia, są parowce. Owszem, Dohlarianie posłali na dno dwie takie jednostki i poważnie uszkodzili trzecią. Pod względem liczbowym stanowiło to niemal połowę floty wroga. Zważywszy jednak na różnice między mniejszymi parowcami a kanonierką ochrzczoną po Gwylymie Manthyrze, w najlepszym razie była to jedna czwarta floty barona Sarmouth, a raczej jego siły ogniowej. W obliczu takiego celu tylko torpedy miały jakiegokolwiek szanse sukcesu. Rzecz w tym jednak – z czego hrabia Thirsku bardzo szybko zdał sobie sprawę – że szanse na to, by

podprowadzić galery śrubowe uzbrojone w tę właśnie broń na odległość równą zasięgowi ich rażenia, były bliskie zera lub wręcz zerowe.

Poławiacze bomb były nie tylko mniejsze, ale też nie miały opancerzenia ani uzbrojenia oraz – jeśli wierzyć raportom – poruszały się znacznie wolniej niż galery śrubowe. Powinny więc być łatwym celem dla potężnych baterii ogniowych tych ostatnich, z których większość miała obecnie na wyposażeniu ośmiocalówki. Ponieważ to właśnie trałowce miały oczyszczać drogę dla kanonierek, wystarczyło tylko je uszkodzić lub unieszkodliwić, dzięki czemu kanał Wschodnie Wrota pozostanie zaminowany i...

Naturalnie hrabia Thirsku był świadom, że w najlepszym razie osiągnie tylko opóźnienie nieuniknionego ataku Charisjan, wszakże wymagał tego honor jego floty, jak również inkwizytorzy przechadzający się ulicami stolicy i badający morale jej mieszkańców i obrońców. Nie mając wyjścia, hrabia Thirsku postanowił wysłać galery śrubowe w morze, chociaż wiedział, że Charisjanie spodziewają się takiego ruchu z jego strony, a ani ich oficerowie, ani zwykli marynarze nie należą do tchórzy.

Koniec końców, pomalowane na czarno galery śrubowe, odarte z masztów i żagli, aby były jeszcze trudniejsze do wypatrzenia, wymknęły się cichcem z zatoki w gasnących promieniach słońca, zostawiając za sobą ledwie widoczny kilwater. W tym samym czasie hrabia Thirsku objął posterunek na szczycie wieży obserwacyjnej, oczekując ich powrotu.

W tej konkretnej chwili nadal czekał.

Dobrze wiesz, co się stało, powtarzał sobie w duchu. Gdyby miały wrócić, już dawno by wróciły. Jedyne pytanie, jakie powinienes sobie zadawać w tym momencie, Lywysie, to ilu jeszcze dobrych żołnierzy posłałeś na pewną śmierć.

Zacisnął szczęki, ale postanowił się nie okłamywać. To, co widział minionej nocy, to nie były błyskawice. Lśnienie malowało się na niebie zbyt daleko, aby mógł usłyszeć gromy na tle jednostajnego szumu fal rozbijających się na plażach Przylądka Wschodniego, on wszakże od razu zrozumiał, że to, na co patrzy, to są wściekłe rozbłyski salw artyleryjskich oraz poświata towarzysząca charisjańskim racom. Wymiana ognia nie trwała długo. Gdyby którakolwiek z jego galer

śrubowych przetrwała starcie, byłaby dawno wróciła do portu.

Jakże ja mam dość wysyłania młodych mężczyzn na pewną śmierć w imię tych drani z Syjonu!... – pomyślał z goryczą. No ale przynajmniej...

Zza wschodniego widnokregu rozlał się oślepiający blask wstającego słońca.

Lywys Gardynyr zacisnął szczęki jeszcze mocniej, gdy złocisty blask oświetlił szerokie na sześćdziesiąt mil wody noszące nazwę Pięciosążniowej Głębi.

Z czego hrabia Thirsku nie zdawał sobie sprawy, to że jest mniej samotny, niż mu się wydawało. Sir Dunkyn Yairley mógł sobie stać obok Halcoma Bahrnsa na mostku nawigacyjnym, ale to wcale mu nie przeszkadzało w tym, aby wraz z dohlariańskim arystokratą patrzeć ponad wodami Pięciosążniowej Głębi dzięki kamerom maciupieńkiego SAPK-a, który przysiadł na ramieniu hrabiego Thirsku. Patrzył zatem do woli i z każdą chwilą przybierał coraz bardziej zadowolony wyraz twarzy.

HMS *Gwylm Manthyr* kierował się wprost na centralną część kanału Wschodnie Wrota, sunąc po gładkiej, mieniącej się złoto tafli wody, pilnowany przez czujne oczy obserwatorów siedzących w balonie, podczas gdy słup dymu węglowego snuł się za jego rufą. Dwie trójki trałowców oczyszczały przed nim drogę, a HMS *Bayport*, HMS *Cherayth* i HMS *Tanjyr* płynęły w tyle. Cztery dalsze poławiacze bomb strzegły flank tej majestatycznej kolumny opancerzonych okrętów wojennych. Stawkę zamykał mocno uszkodzony HMS *Gairmyn*, którego połowa dział nie nadawała się do użytku, kazamaty poczerniały od ognia, a dziurawy komin prychał dymem we wszystkich kierunkach, okręt ten był zanurzony o dobrą stopę głębiej, niż wskazywała jego linia wodna. W bezpośredniej bliskości towarzyszyły mu jednostki zaopatrzenia i trzy uszkodzone galery śrubowe, które walczyły dzielnie do ostatka i w końcu się poddały.

Po okropieństwach, jakie się wydarzyły w kanale Zhulyet, baron Sarmouth martwił się szczególnie o te właśnie jednostki. Były one

wolniejsze i mniej zwrotne, a przy tym bardziej wystawione na szwank niż HMS *Gwylym Manthyr* czy pozostałe okręty klasy City. Skoro jednak zdołały się zakraść tak blisko pod osłoną ciemności...

Na szczęście Cesarska Flota Charisu opracowała procedury, dzięki którym mogła skutecznie się z nimi rozprawić. Połączenie rac bojowych i rakiet rozświetliło mrok, a czterocalowe ładowane odtylcowo działa flagowca okazały się w użyciu śmiertelne – nawet bardziej niż wolniej od nich strzelające sześciocalówki reszty kolumny. Z całej floty dohlariańskich galer śrubowych zaledwie trzy zbliżyły się wystarczająco, aby móc oddać celny strzał, żadnej jednak nie udało się wykorzystać torped. W efekcie wskutek ich działań zatonął tylko jeden trałowiec.

Pod wieloma względami baron Sarmouth czuł się w tej chwili jak morderca, nie admirał. Żadna galera śrubowa nie próbowała ucieczki. Wszystkie zostały uszkodzone lub zatopione podczas próby nawiązania uczciwej walki z wrogiem. Sir Dunkyn wiedział, że zasłużyły one sobie na lepszy los. Odwaga dohlariańskich marynarzy wzbudziła w nim rzecz jasna wielki respekt, lecz nawet to nie powstrzymało go przed zdławieniem ataku. Z jednej strony żałował takiego rozwoju wydarzeń, ale z drugiej cieszył się, że choć jedno poszło zgodnie z planem.

Wiedział, że długo nie wybaczy sobie tego, co spotkało HMS *Eraystor* i HMS *Zakole*, i to mimo iż przyznawał – przynajmniej na poziomie intelektualnym – rację admirałowi Zhaztro co do tego, które okręty można było poświęcić. W razie gdyby rakiety Mahntayla trafiły HMS *Gwylym Manthyr* zamiast pozostałych okrętów klasy City, konsekwencje mogłyby być o wiele poważniejsze. Także pod względem liczby ofiar. Nie sposób było z tym dyskutować, wszelako...

Oszukiwanie to też strategia, powiedział sobie teraz w duchu sir Dunkyn. Zapomniałeś o tym na moment i patrz, jaką cenę zapłacił za to Hainz ze swoimi ludźmi. Straciłeś ich...

Jego spojrzenie stwardniało.

Oby tylko to nasze unikanie oskarżeń o konszachty z demonami koniec końców okazało się warte zachodu, pomyślał.

To jednak miało się wyjaśnić dopiero w przyszłości. Na szczęście tego ranka baron Sarmouth miał przed sobą zadanie – i było mu obojętne, czy w trakcie jego wykonywania otrze się o „konszachty z demonami” czy nie. Przejadło mu się patrzenie, jak jego ludzie giną bez powodu, chociaż

można by tego uniknąć. Polityka polityką, ale są w życiu ważniejsze sprawy.

No, mój panie... – pomyślał, zwracając się w duchu do hrabiego Thirsku. Lepiej weź się w garść i zachowaj czujność. Nie powinieneś dzisiaj zginąć, ale co będzie, to będzie.

– Chyba już pora, Halcomie – rzucił.

Halcom Bahrns zawahał się ledwie zauważalnie, po czym skinął głową. Baron Sarmouth ukrył sardoniczny uśmiech. Kapitan jego flagowca był nieco zdziwiony, słysząc rozkazy tego ranka. Cokolwiek jednak sobie pomyślał, zatrzymał to dla siebie. A teraz posłusznie wychylił się za osłonę mostka i spojrział uważnie na wieżę obserwacyjną, na której stał Lywys Gardynyr. Następnie przesunął peryskop na stanowiska baterii Przylądka Wschodniego.

– Stop – rzekł, w dalszym ciągu patrząc przez peryskop.

– Jest stop, sir – zameldował telegrafista.

Silniki HMS *Gwylym Manthyr* przestały pracować i zapadła taka cisza, jakby stanęło serce jakiejś wielkiej morskiej istoty.

– Przygotować się do rzucenia kotwicy – rzekł Bahrns.

– Jest przygotować się do rzucenia kotwicy, sir.

– Doskonale – mruknął pod nosem kapitan, nie prostując się znad okularu. Oczywiście flagowiec nie zatrzymał się w miejscu, tylko sunął dalej po wodzie siłą bezwładności, a że robił to w kompletnej ciszy, przypominał raczej własnego ducha. Ducha ważącego czternaście tysięcy ton. Halcom Bahrns nie zmienił pozycji przez jeszcze kilka minut, by wreszcie unieść głowę, kiedy okręt dotarł w wybrane miejsce. – Rzucić rufową kotwicę! – zawołał.

Rufowa kotwica HMS *Gwylym Manthyr* runęła do wody przy akompaniamencie przeraźliwego ryku łańcuchów. Bahrns wyprostował się całkiem i przeszedł na przedni skraj mostka, gdzie stał cierpliwie, bębniąc palcami prawej ręki o własne udo, podczas gdy łańcuch się rozwijał, a w końcu szarpnął, pozbawiając okręt resztek prędkości. Wtedy...

– Rzucić drugą kotwicę! – zawołał ponownie. Do wody runęła dziobowa kotwica ze sterburty. – Uruchomić rufowy kabestan! – dodał kapitan. – Wybierać!

HMS *Gwylm Manthyr* cofał się statecznie przez dwie czy trzy minuty, gdy kabestan na rufie wybierał łańcuch w takim samym tempie, jak dziobowy go luzował. Bahrns przyglądał się temu krytycznym okiem, dopóki nareszcie okręt nie zamarł – na tyle, na ile to było możliwe przy odpływie, którego fale unosiły lekko dziób jednostki stojącej dokładnie na wprost baterii z Wyspy Sieci.

– Zabezpieczyć kabestany! – rzucił ostatni rozkaz i odczekał, aż zostanie on wykonany. Wtedy odwrócił się znów do barona Sarmouth i zameldował: – Jesteśmy gotowi do walki, admirale.

Hrabia Thirsku patrzył przed siebie z niedowierzaniem.

Kapitan heretyckiej kanonierki poradził sobie ze swoją jednostką z zadziwiającą skutecznością i wdziękiem – zupełnie jakby HMS *Gwylm Manthyr* był jednym ze zwinnych charisjańskich szkunerów. Taka przynajmniej była pierwsza myśl hrabiego. Początkowo trochę go zdziwiła powolność, z jaką okręt się porusza, szybko jednak zrozumiał, że musi on uważać na przylądek, jak i na wyspę. To zaś podpowiedziało mu, że baron Sarmouth pokłada większe zaufanie w swoich trałowcach, aniżeli powinien dowódca o jego doświadczeniu.

Przecież on musi wiedzieć, że umieściłem tam tyle bomb morskich, ile tylko się dało, aby chronić kanał Wschodnie Wrota... Osobiście bardzo wątpię, ażeby te jego poławiacze bomb dały sobie radę ze wszystkimi pułapkami. Czy to znaczy, że prowadzi swój okręt prosto na pole minowe?

Sama myśl zakrawała na obłąd, jednakże to właśnie hrabia Thirsku miał przed oczami. Spiał się wewnątrz, czekając na pierwszy wybuch. Lecz zaraz rozszerzył oczy ze zdumienia. HMS *Gwylm Manthyr* zakotwiczył nieco ponad jedenaście tysięcy jardów od Przylądka Wschodniego oraz Wyspy Sieci. W pierwszej chwili najbardziej dziwił go sam fakt, że baron Sarmouth rzucił kotwicę, tym samym tracąc mobilność, która była najskuteczniejszą obroną przed możliwym ostrzałem. W drugiej kolejności hrabia Thirsku uświadomił sobie, że takie ustawienie kanonierki pozwalało jej na oddanie równoczesnych salw burtowych w stronę obu baterii nabrzeżnych, a przy tym utrzymywało ją w odległości bezpiecznej przed ogniem Dohlarian. Gdyby

bowiem ci ostatni chcieli jednak trafić w cel, musieliby użyć niebezpiecznie potężnych ładunków – co na ogół kończyło się rozerwaną lufą i śmiercią całej obsady – nie mając większych nadziei na to, że wystrzelone pociski uczynią jakiegokolwiek poważniejsze szkody przeciwnikowi.

W końcu hrabia Thirsku doznał objawienia.

HMS *Gwylm Manthyr* nie tylko rzucił kotwicę, nie tylko ustawił się w idealnej pozycji... On to zrobił, kiedy charisjańskie trałowce znajdowały się wciąż w odległości około dwustu jardów – czyli mniej niż pół kabla – od pierwszych bomb morskich. Co więcej, baron Sarmouth zdecydował się na taki ruch nie dlatego, że ktoś nagle zauważył pole minowe. W jego działaniu nie było krztyny pośpiechu, krztyny improwizacji. Manewr został wykonany jakby z namysłem i z diabelną precyzją – w miejscu, które admirał Cesarskiej Floty Charisu wybrał zawczasu. To zaś oznaczało, że...

On zna nasze pozycje!... Taka myśl przebiegła hrabiemu przez głowę. Na Shan-wei! Admirał Yairley ma szczęście jak mało kto albo... albo naprawdę wie, jak rozmieścić swoje baterie obronne.

Hrabia Thirsku poczuł na plecach lodowaty chłód. Nie mógł wykluczyć, że charisjańscy szpiegzy przyglądali się, jak Dohlarianie rozmieszczają miny. Pomijając wszystko inne, miał przecież dowód, że co najmniej jeden taki „szpieg” bez trudu zakradł się do stolicy. Niemniej niemożliwością było, ażeby ktokolwiek podpatrzył działania Dohlarian, pozostając samemu niezauważonym. A tylko wtedy informacje byłyby dostatecznie szczegółowe, ażeby baron Sarmouth mógł zrobić to, co właśnie zrobił... Hrabia Thirsku nie miał wątpliwości, że żaden dohlariański kapitan nie dałby rady powtórzyć jego manewru nawet przy najbardziej wyczerpujących danych.

Lywys Gardynyr wolałby myśleć, że przeciwnikowi zwyczajnie się poszczęściło. Niestety dwa poławiacze bomb z eskorty kanonierki jakby nigdy nic krążyły po kanale w przeciwnych kierunkach, rzucając co chwilę kolejne boje. Uświadomiwszy sobie, że w ten sposób rozstawiają sieci, hrabia Thirsku zacisnął mocno szczęki. Dzięki nim z łatwością wychwycał bomby dryfujące niebezpiecznie blisko kanonierki.

Stało się jasne, że baron Sarmouth zdaje sobie sprawę z istnienia pola minowego, a co więcej – nie zamierza ryzykować spotkania z nim!

– Piękne wykonanie, Halcomie – pochwalił kapitana baron Sarmouth.

– Dziękuję, mój panie – odparł Bahrns, uśmiechając się leciutko. Ani na moment nie spuszczał z oka poławiaczy bomb, które rozstawiały osłonę z sieci. – Mam nadzieję, że nie urażę pana, admirale, jeśli powiem, że miałem pewne obawy co do całej operacji.

Baron Sarmouth się roześmiał.

– Nie może być mowy o obrazie, Halcomie! Zdrowy rozsądek u kapitana to podstawowa zaleta. Muszę przyznać, że celowo podjąłem ryzyko, jak to czasami robi cesarz Cayleb. Nie zapominaj jednak, że cały czas mieliśmy przed sobą nasze trałowce.

– Nie zapominam, admirale.

– Cóż, jesteśmy chyba gotowi. Ludzie są po śniadaniu, a my mamy cały dzień przed sobą. – Uśmiechnął się smutno i zaczął wkładać sobie do uszu zatyczki. – W takim razie do dzieła!

– Powinieneś stąd zejść, mój panie – rzekł ktoś cicho.

Hrabia Thirsku odwrócił głowę. Kawałek za nim, po prawej, stał Stywyr Baiket. Trzymał lunetę uniesioną do oka.

– Nie wydaje mi się – odparł hrabia Thirsku, wracając spojrzeniem do gigantycznej nieruchomej kanonierki.

Para ciężkich dział na dziobie i rufie została odwrócona na sterburtę z mechaniczną precyzją, najwyraźniej dzięki sile pary, która napędzała też okręt w ruchu.

Sir Dunkyn Yairley zdecydował już, które cele powinny pójść na pierwszy ogień... – pomyślał hrabia Thirsku, widząc, że lufy zwracają się w jego stronę.

– Popelniasz błąd, mój panie.

Tym razem Baiket odezwał się jeszcze ciszej, ale w jego głosie pobrzmiwały stalowe nutki. Hrabia Thirsku ponownie na niego zerknął.

Kapitan opuścił lunetę i popatrzył admirałowi prosto w oczy.

– Wiem, co sobie myślisz, mój panie – rzekł. – I wiem nawet dlaczego. Jednakże od tej chwili to ja powinienem nadstawiać karku, nie ty. Wszyscy we flocie zdają sobie sprawę z tego, jak bardzo będziesz nam potrzebny już niedługo. Nie możemy pozwolić, abyś zginął. Po tej bitwie będzie jeszcze tyle do zrobienia...

Ton głosu kapitana był wymowniejszy od jego słów. Hrabia Thirsku poczuł, jak żołądek podjeżdża mu do gardła, kiedy uświadomił sobie, co te słowa naprawdę znaczą.

– To nie ma nic wspólnego z opuszczeniem stanowiska, mój panie – kontynuował Baiket. – Po prostu musisz zadbać o siebie, aby później miał kto działać.

– To prawda... – przyznał niechętnie Lywys Gardynyr i uściśnął ramię Baiketa zdrową ręką. – Święta prawda. Uważaj na siebie, Stywyracie. Nie mam wielu przyjaciół... Dopilnuj, abym nie stracił kolejnego!

– Nie mam zamiaru umierać, mój panie – zapewnił go z uśmiechem Baiket. – Czeka mnie zbyt wspaniała przyszłość. Najbliższe chwile nie będą należały do najprzyjemniejszych, ale potem...!

Jego uśmiech stał się szerszy, a zarazem też chłodniejszy. Obaj mężczyźni przez moment spoglądali sobie prosto w oczy. W końcu kapitan wskazał ruchem głowy schody prowadzące na dół wieży obserwacyjnej.

– Lepiej niech pan już idzie, admirale. Odprowadzę pana do stanowiska dowodzenia... – Przyłożył znów lunetę do oka i przyjrzał się jednemu z długich, pociągłych dział skierowanych w ich stronę. – Coś mi mówi, że już wkrótce tutaj zrobi się bardzo gorąco.

Zdaniem biskupa egzekutora Wylsynna Lainyry dym był gęstszy od panujących tu czasami mgieł.

Powietrze stało praktycznie nieruchomo, przez co dym wisiał niby kłątwa, gęstniejąc z każdą chwilą, podczas gdy pożary się dopalały. Lainyr jeszcze nigdy nie przedzierał się przez ulice miasta z takim trudem – przynajmniej od czasu ostatniej wizyty w Hayzorze.

W panującym wokół mroku silne lampy przymocowane do jego powozu okazały się bezsilne; rozświetlały co najwyżej parę jardów, dzięki czemu woźnica widział może końskie łby. Każdy człowiek, który pomimo pory znajdował się na zewnątrz, zakrywał sobie usta i nos wilgotną szmatką.

Aczkolwiek przechodniów nie było zbyt wielu.

Ulice i place Gorathu świeciły pustkami, zamieniwszy się w upiorne, spowite dymem przestrzenie oddane we władzę nocy i strachowi. Paradoksalnie nie było czarno. Huczące płomienie pożerające rozległe doki Królewskiej Floty Dohlaru podświetlały dym, zamieniając go w coś w rodzaju lśniącego kokonu. Krótka w normalnych okolicznościach przejażdżka z katedry do pałacu w tych warunkach przypominała mozolną wędrówkę w miodzie, aczkolwiek złoć była skażona czerwienią ognia i pulsowała w rytm żarłocznych gąb płomieni, które ogarnęły cały południowo-wschodni kwartał miasta.

Na północy, gdzie odlewnie produkujące ciężką artylerię dla armii i floty Dohlaru zostały obrócone w perzynę, żywioł szalał nawet bardziej. Ilekroć heretycki pocisk padał na arsenał, doprowadzając do potężnej eksplozji, Gorath drżał w posadach i trzął się niczym przerażone zwierzątko. Huk kolejnych wybuchów zlewał się w jeden ciągły rumor, który zdawał się trwać od wielu godzin.

Pomimo tego wszystkiego samo miasto nie ucierpiało zbyt wiele. Heretycy przedarli się kanałem Wschodnie Wrota, rozprawili się z baterią na tamtejszym przylądku i unieszkodliwili bomby morskie, które wedle obietnic hrabiego Thirsku i księcia Fernu miały być tak skuteczne. W końcu Charisjanie zwrócili się w stronę stolicy Dohlaru.

Mniejsze kanonierki unicestwiły baterie chroniące nabrzeże i stocznie floty, a następnie skoncentrowały się na słynnych złotych murach Gorathu. Łatwo było wydedukować, że ich zadaniem jest dostarczenie wiadomości miastu, które oddało swoich marynarzy na usługi Kościoła Matki nie raz, ale dwa razy. W efekcie mury od strony morza runęły pod naporem niekończących się pocisków wystrzeliwanych przez heretyków jeden po drugim, jakby to miała być salwa honorowa. W tym samym czasie przekraczająca rozmiarami wszystko, co do tej pory pływało po oceanach Schronienia, kanonierka, która została ochrzczona po przeklętym heretyku, którego Kościół Matka poddał Karze Schuelera w samym Syjonie, wymierzyła lufy swoich dział w przeciwnych

kierunkach. Znowu rzuciła kotwicę na oczach wszystkich mieszkańców Gorathu, którzy mieli odwagę ją obserwować, i rozpoczęła przemyślaną, systematyczną, nieśpieszną destrukcję stoczni, zakładów, odlewni i magazynów, które służyły Królewskiej Marynarce Dohlaru i Królewskiej Armii Dohlaru.

Wystarczająco przerażające same w sobie były implikacje wynikające z jawnej i całkowitej pogardy, jaką napastnicy ewidentnie mieli dla obrońców, wszakże zasięg i celność ich ognia mógł wywołać w sercu Dohlarian trwogę. Lainyr nie znał się na wojskowości. Nie miał pojęcia, jakim cudem heretycy zasypują Gorath pociskami tak skutecznie, z precyzją, jakiej mógłby im pozazdrościć sprawny chirurg – szczególnie że większość celów nie była widoczna od strony Zatoki Królowej Zhakleen. Wierzył wszakże słowu kapitana Gairybahldy'ego. Odpowiedzią był balon. Przekłęty i bez wątpienia diabelski balon! Unosił się nad kanonierką, obserwował grad wystrzeliwanych przez nią pocisków i w razie potrzeby korygował kierunek ostrzału. W efekcie heretycki ogień siał zniszczenie i śmierć w stopniu przekraczającym ludzką wyobraźnię.

A jednak schizmatykom udało się oszczędzić dzielnice mieszkalne...

Pomimo utrudnionej przez dym widoczności zaledwie kilka zbłąkanych pocisków spadło w pobliżu kamienic i bloków. Stocznia Floty, zakłady i magazyny, a nawet mury miejskie były niszczone systematycznie i bez litości, ale jasne było, że heretycy nie chcą mnożyć ofiar wśród cywilów.

Mieszkańcy Gorathu mieli tego świadomość. Wiedzieli, że flota, która miała wszelkie powody nienawidzić ich królestwa, której polegli marynarze zostali wrzuceni do wód zatoki niczym śmieci, bez godnego pochówku w poświęconej ziemi, ocalali zaś zostali poddani okrutnej Karze Schuelera, z jakiejś przyczyny postanowiła oszczędzić zwykłych mieszkańców stolicy Dohlaru. Bez wahania niszczyła infrastrukturę miasta służącą świętej wojnie, lecz nie zwracała się przeciwko zwykłym ludziom.

Gdy rozeszła się wieść, że heretycy – ci sami żądni krwi wiernych heretycy, którzy wedle Inkwizycji składali w ofierze Shan-wei niemowlęta i co dzień palili do gołej ziemi kościoły lojalistów Świątyni, najczęściej z modlącymi się ludźmi w środku – robią, co mogą, aby nie

pozbawić życia Bogu ducha winnych mieszkańców Gorathu, w pierwszej chwili zapanowała konsternacja. Bardzo szybko jednak ludzie zaczęli się zastanawiać, jaka może być tego przyczyna. Potwierdzili to inkwizytorzy Ahbsahlahna Kharmycha. Lainyr wolał nie myśleć, do jakich wniosków mogą dojść Dohlarianie, którzy przecież zdawali sobie sprawę z ofiar, jakie poniosło ich królestwo, walcząc w imię Kościoła Matki. Już od miesięcy tracili wiarę w zwycięstwo świętej wojny, o samym jej uprawomocnieniu nie wspominając. Lainyr oszukiwał samego siebie i tylko w chwilach najczarniejszej rozpaczyny nie spodziewał się, aby przyszłość miała przynieść cokolwiek dobrego.

– Jeszcze tylko pięć minut, eminencjo.

Lainyr odwrócił się do okna na dźwięk głosu kapitana Gairybahldy'ego, który jechał konno obok powozu. Jak każdy, kto znajdował się na otwartej przestrzeni, kapitan miał na twarzy mokrą chustkę. *Wygląda przez to jak bandyta*, skwitował w myślach Lainyr. *Tej czy innej maści...* Duchowny wiedział, że nie takie skojarzenia powinni w obecnej chwili budzić obrońcy Kościoła Matki, i przez mgnienie miał ochotę rzucić rozkaz, aby zarówno kapitan, jak i wszyscy jego ludzie natychmiast zdjęli chustki z twarzy.

Jaki to miałyby jednak sens? – zapytał sam siebie w duchu. *Szkód wyrządzonych w kręgosłupie moralnym mieszkańców tego miasta i tak nie da się już naprawić.*

– Dziękuję, kapitanie – rzekł uprzejmie biskup egzekutor, po czym odchylił się na oparcie i tylko musnąwszy wzrokiem siedzącego naprzeciw niego Kharmycha, szybko zamknął oczy, aby pomodlić się w milczeniu.

Zamknięte okna i drzwi jakoś dawały sobie radę z powstrzymaniem większości dymu snującego się po mieście, jednakże wciskał się on szparami do wnętrza wszędzie – pałacu królewskiego nie wyłączając. Lainyr, który poczuł niemiły swąd, jak tylko przekroczył próg, wolałby myśleć, że przyniósł zapach na swoim ubraniu, prawda jednak przedstawiała się inaczej. Perspektywa pałacowych korytarzy była przymglona, jakby unosiła się w nich jakaś namacalna zawiesina, która

tworzyła aureole wokół wiszących na ścianach lamp i kinkietów.

Biskup egzekutor Lainyr i intendent Kharmych szli za szambelanem po czerwonym chodniku w stronę drzwi komnaty rady, które na ich widok rozwarły się przed nimi jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Szambelan ogłosił od progu ich nadejście, po czym odsunął się na bok, aby przepuścić obu duchownych do środka. Za nimi do komnaty wkroczył kapitan Gairybahldy. Wszyscy obecni – a więc książe Fernu, książe Saltharu i baron Yellowstone – wstali ze swoich miejsc na powitanie gości.

– Eminencjo... Ojczy... – zwrócił się do nich książe Fernu.

– Wasza dostojność – zrewanżował się Lainyr, zatrzymując się tuż za progiem.

– Czy coś się stało, eminencjo? – zapytał zaniepokojony książe Fernu.

– Właśnie miałem zapytać o to samo – odparł Lainyr. – Gdzie książe Thorastu? Spodziewałem się też obecności jego wysokości króla Rahnylda, który, zdaje się, chciał wziąć udział w dyskusji na temat obrony stolicy.

– Obawiam się, eminencjo, że księcia Thorastu coś zatrzymało – powiedział książe Fernu, równocześnie wskazując gestem dwa wygodne fotele przewidziane dla duchownych. – Natomiast król Rahnyld właśnie przyjmuje uzdrowicieli.

– Przyjmuje uzdrowicieli? – powtórzył ostrym tonem biskup egzekutor, podejmując wędrówkę w stronę stołu. – Czyżby został ranny podczas ataku heretyków?

– Nie, eminencjo. Zapewniam, że gdyby tak się stało, byłbyś jedną z pierwszych osób, które by się o tym dowiedziały. Jedyny problem, jakiego doświadcza, to trudności z oddychaniem przez ten cały dym. Zdaniem uzdrowicieli to nic poważnego, wszakże jego osobisty medyk woli ich zatrzymać na miejscu do czasu wykluczenia innych, groźniejszych możliwości.

– Rozumiem. – Lainyr wyciągnął do rozmówcy rękę z pierścieniem, który książe Fernu ucałował. Dopiero później zajął miejsce na swoim fotelu. Gairybahldy ustawił się za jego oparciem w charakterze gwardzisty. Gdy już wszyscy obecni z powrotem siedzieli, biskup egzekutor zapytał: – Czy wiadomo, kiedy książe Thorastu do nas

dołączy?

– Obawiam się, że nie tak szybko, eminencjo – odezwał się ktoś inny.

Lainyr obrócił się raptownie i rzucił spojrzenie przez ramię. Nie usłyszał pisku dobrze naoliwionych zawiasów, kiedy drzwi się otworzyły, ani też kroków tłumionych przez kosztowny gruby dywan. Tego głosu jednak nie mógł pomylić z żadnym innym.

W komnacie pojawił się hrabia Thirsku, aczkolwiek nie sam. Na widok sir Rainosa Ahlvereza, który stał po prawicy admirała, oraz biskupa Staiphana Maika po lewicy, wszelka krew odpłynęła z twarzy biskupa egzekutora. Ahlverez trzymał w ręce pistolet, którym mierzył prosto w potylicę kapitana Gairybahldy'ego. Widząc, że gwardzista także się okręca i odruchowo sięga do kabury, generał pokręcił wolno głową.

Gairybahldy zamarł w bezruchu, wpatrując się w otwór wymierzonej w niego lufy, jednakże Ahbsahlahn Kharmych poderwał się gwałtownie na nogi.

– Co to ma znaczyć? – wybuchnął. – Co wy wyprawiacie?

– To chyba powinno być jasne nawet dla ciebie, ojczy – odparł lodowatym tonem hrabia Thirsku. – Ale skoro pytasz... W chwili obecnej żołnierze i marynarze aresztują każdego inkwizytora w mieście. –

Wzruszył lekko ramionami na widok zdumionej miny Kharmycha. –

Och, paru może uda się uciec, liczymy się z tym... Wiedz jednak, że oficerowie i podoficerowie oddelegowani do tej operacji to w większości ocalańcy Armii Shiloh i weterani Armii Seridahn. Wątpię, aby któryś z nich wykazał się cierpliwością w razie oporu. Bo widzisz, oni z jakiegoś powodu bardzo, ale to bardzo nie lubią inkwizytorów...

Kharmych gapił się na hrabiego bez słowa, gdy ów wraz z biskupem Staiphaniem obchodził stół dokoła, aby stanąć u ramienia księcia Fernu. Maik, który przez cały czas miał kamienną minę, posłał Lainyrowi lodowate spojrzenie w odpowiedzi na jego wstrząśnięty wzrok. Biskup egzekutor momentalnie poczuł, jak wszelka nadzieja go opuszcza. Ahlverez nie ruszył się z miejsca, kiedy do komnaty wpadło jeszcze kilku żołnierzy w mundurach, uzbrojonych w karabiny z bagnetami na sztorc.

Księżę Fernu wstał powoli i stanął obok hrabiego Thirsku i biskupa Staiphana.

– Gdy tu rozmawiamy – podjął hrabia Thirsku – główny adiutant sir Rainosa, kapitan Lattymyr, zajął katedrę z dwoma plutonami

weteranów Armii Shiloh. Wielka szkoda, że ważne sprawy zatrzymały arcybiskupa Trumahna w Syjonie, niemniej jestem pewien, że ojciec Rahndail będzie w stanie pokierować kapitana do kwatery generała Rychtyra, by ten mógł wrócić w towarzystwie sir Lynkyna do pałacu. Tymczasem – uśmiechnął się i usiadł na krześle zwolnionym przed chwilą przez księcia Fernu, podczas gdy biskup Staiphan przesunął się, aby stanąć u jednego jego boku, kiedy z kolei pierwszy doradca (były pierwszy doradca, jak skonstatował Lainyr) zajął miejsce po jego drugiej stronie – faktycznie powinniśmy chyba zacząć się zastanawiać, jak mamy bronić stolicy.

Powiódł chmurnym wzrokiem po obecnych i dodał:

– I przed kim.

.IV.
Pałac królewski
Cherayth
oraz
Przylądek Braigyr
Księstwo Skalistego Wybrzeża
Chisholm
Charis
oraz
Farma Symyna
Thorast
Dohlar

Rebkah Rahsail siedziała w luksusowo urządzonej komnacie i wyglądała przez okno na pałacowe ogrody, zastanawiając się, jak to możliwe, że sprawy aż tak bardzo wzięły w łeb.

Zupełnie jakby przez cały ten czas wiedzieli, co dla nich szykujemy, pomyślała. Czekali na nas. A ta suka Elahnah...

Dłonie, które do tej pory trzymała stulone na kolanach, nagle zacisnęły się w pięści, gdy ogarnęła ją niepoohamowana furia. Teraz już rozumiała, dlaczego Elahnah Waistyn nie zaoferowała swojego poparcia. Tysiące razy analizowała w głowie swoją korespondencję z nią, postanowiła to jednak zrobić jeszcze raz, co doprowadziło ją do zgrzytania zębów. Jakże była głupia, czytając między wierszami i dając się tej suce podpuszczać! Wdowa po księciu Doliny Halbhook pozornie pochwałała ich plany, aczkolwiek nigdy w żaden sposób nie wyraziła swego poparcia. Już samo to byłoby wystarczające złe i godne potępienia przez Boga Jedyne, wszakże ta zdradziecka suka nie poprzestała tylko na tym.

Okazuje się, że przekazywała moje listy hrabiemu Białej Skały i baronowi Stoneheart!

Całą sobą pragnęła wierzyć, że to właśnie ta zdrada wystawiła na szwank ich spisek, w głębi ducha jednak wiedziała, że to nieprawda. Reakcja Korony była zbyt druzgocząca i zbyt dobrze zaplanowana, ażeby mogła wynikać tylko z jakichś sugestii i aluzji, które Rebkah ujawniała w swoich listach. Zatem w rzeczywistości zdradzić musiał ktoś z wewnątrz, ktoś spośród samych spiskowców...

Chyba że...?

Rebkah zaczerpnęła głęboko tchu. Nie, niemożliwe, aby chodziło o osoby podszywające się pod *seijinów*. Cokolwiek by twierdzili, ona wiedziała, komu naprawdę służą, a Bóg Jedyny nigdy by nie pozwolił sługom Shan-wei pokonać Jego towarzyszy!

Właściwie nie miało większego znaczenia, co zapoczątkowało łańcuch katastrofalnych wydarzeń, które doprowadziły ją do tej komnaty i azylu domowego. Liczył się sam łańcuch, jak również siła pułapki, w której znaleźli się wszyscy spiskowcy.

Obecnie praktycznie wszyscy zostali już zatrzymani. Szybkość i zdecydowanie, z jakimi zareagowali agenci sir Ahlbera Zhustyna, były nie mniej godne podziwu niż najwyraźniej zaplanowane zawczasu działania wojskowe, w których wyniku rozbiciu uległa zbieranina zbrojnych, i to zaledwie w ciągu dwóch pięciodni. Każdy ważniejszy członek cechu, który korespondował z nią albo z Zhonathynem Clyntahnem, dostał się do aresztu w ciągu doby. Brekyn Ainsail, człowiek, któremu Rebkah powierzyła zadanie zorganizowania broni mającej pomóc ich sprawie, nie tylko wpadł w ręce wroga, lecz osobiście doprowadził agentów Zhustyna do prowizorycznych zbrojowni, które sam ustanowił. Zatrzymany został także ojciec Zhordyn. Identyczny los spotkał ponad dwudziestu duchownych, którzy w sekrecie ślubowali lojalność Świątyni i obiecali pociągnąć za sobą swoje owieczki.

Porażka była kompletna. Jak dotąd zaledwie paru konspiratorów uniknęło zatrzymania, aczkolwiek Rebkah nie miała pojęcia, jak im się to udało.

Najznacześniejszy z nich wszystkich to oczywiście książę Skalistego Wybrzeża, pomyślała. Czuła się rozdarta pomiędzy nadzieją, że przynajmniej jeden spiskowiec pozostał na wolności, a pragnieniem

zemsty, aby ten, który najwyraźniej był słabym ogniwem, poniósł takie same konsekwencje jak wszyscy inni.

Tymczasem...

Ktoś zapukał do drzwi jej komnaty. Gościowi otworzyła przydzielona jej służąca – nie dobra i poczciwa Swayleton. Zamruczały czyjeś głosy, po czym skłonił się przed nią kapitan ubrany w mundur w barwach Ahrmahków.

– Racz wybaczyć, pani. Jesteś proszona – powiedział kurtuazyjnie.

Przez moment tylko mu się przyglądała, rozważając w duchu, czyby nie utrudnić mu zadania. Mogłaby go zmusić, aby zaciągnął ją korytarzami, gdziekolwiek ją proszono. Mogła się opierać przez całą drogę. Zrezygnowała jednak z tego pomysłu. Wyprostowała zgarbione ramiona, przyczesła upięte w warkocz włosy i podniosła się dystyngowanie z krzesła.

– Ależ oczywiście, kapitanie – rzekła lodowato.

W komnacie rady znajdowało się więcej ludzi niż zwykle, a do tego wejścia do niej strzegli cesarscy gwardziści, którzy zajęli także miejsca pod tylną ścianą i mieli na wszystko baczenie. Rebkah Rahsail rozejrzała się wokół siebie i zacisnęła wargi w wąską kreskę, uświadomiwszy sobie, że na sali są: książę Latarni i książę Czarnego Konia, jak również hrabia Świętego Drzewa i książę Czarnego Dna – którzy (w przeciwieństwie do niej) byli wszyscy skuci.

Stali we czterech przed długim stołem rady, zwrócenii twarzą do zajmującego miejsce siedzące naprzeciw nich Sylvysta Mhardyra, barona Stoneheart. Sir Ahlber Zhustyn siedział po prawej ręce sędziego. Spojrzenie Mhardyra było równie twarde jak kamień z nazwy jego baronii.

– Co to ma znaczyć?! – zapytał książę Latarni, unosząc skute nadgarstki. – Jestem lordem tego królestwa. Księciem! Jak śmiecie traktować mnie jak pospolitego przestępcę?

– W gruncie rzeczy – rzekł zimno baron Stoneheart – odpowiedź na to pytanie jest prosta. Możemy traktować was jak pospolitych przestępców, ponieważ nimi jesteście.

Oblicze księcia Latarni spurpurowiało, lecz hrabia Świętego Drzewa wydawał się przerażony i na krawędzi załamania. Rebkah Rahsail poczuła, jak ogarnia ją pogarda dla niedoszęłego zięcia. *Można by się spodziewać, że zachowa się jak mężczyzna, skoro już zostaliśmy przyłapani!* – pomyślała. Musiała mu jednak przyznać, że jak dotąd hrabia Świętego Drzewa jeszcze się nie załamał, co i tak nieźle o nim świadczyło.

– Zaszło koszarne nieporozumienie! – oświadczył pewnym głosem książę Czarnego Konia. – Wyobrażam sobie, że może to źle wyglądać... bardzo źle. Jednakże jeśli tylko zadasz sobie trud i zapoznasz się z dowodami, stwierdzisz, że to wszystko głupoty wysane z palca! Winny jest książę Skalistego Wybrzeża! On i lady Swayle! Ja nie chciałem mieć z nimi nic do czynienia, lecz oni przekonali mnie, że wszyscy moi sąsiedzi już przeszli na stronę spiskowców! Że jeśli się do nich nie przyłączę, zaatakują mnie wspólnymi siłami i zmuszą do tego, abym udzielił im swego poparcia! O niczym nie wiedziałem jeszcze przed miesiącem! A przecież wtedy już byli w trakcie realizowania swoich planów! Niestety było za późno na to, abym komuś o tym doniósł albo zrobił cokolwiek oprócz...

– Szkoda twego wysiłku, mój panie. – Pogarda w głosie barona Stoneheart skutecznie zamknęła usta księciu Czarnego Konia. – Wiemy, że jesteś jednym z dwójki pomysłodawców tego spisku. Masz za uszami tyle samo co książę Skalistego Wybrzeża i lady Swayle! Przy czym ani ty, ani on nie możecie utrzymać, że do czynu popchnęła was głęboka wiara, jak to było w wypadku lady Swayle. Dysponujemy dowodami na twój udział na każdym etapie, mój panie. Tak więc tym razem wszyscy odpowiecie za zdradę.

Rebkah poczuła, że blednie na twarzy. Hrabia Świętego Drzewa zakołysał się na nogach. Książę Czarnego Konia gapił się na barona Stoneheart, jakby nie mógł uwierzyć własnym uszom, za to książę Czarnego Dna tylko wzruszył ramionami – perspektywa kary śmierci niewiele znaczyła w jego wieku i przy jego stanie zdrowia. Jedynie książę Latarni roześmiał się pogardliwie.

– Nie udawaj głupka! – warknął. – I nie bierz nas za głupków! Zwracasz się do najznacześniejszych wielmożów tego królestwa! Zawiedliśmy, jasne więc, że przyjdzie nam ponieść konsekwencje. Niemniej nawet Sharleyan, nawet Cayleb nie myśli, że może nas

wszystkich ściąć bez narażania się na reakcję reszty chisholmskich wielmoży.

– Pozwolę sobie się nie zgodzić, mój panie. Bardzo wątpię, aby reszta wielmoży chciała się wstawić za egoistycznymi zdrajczykami, którzy omal nie wywołali wojny domowej. Zechciej też zauważyć, że najpierwsi książęta tego królestwa to książę Tayt i książę Eastshare. Żaden z nich nie kiwnie palcem, aby wam pomóc. Tak samo jak wszyscy inni, śmiem twierdzić. Zwłaszcza gdy na jaw wyjdzie cała rozciągłość waszej zdrady.

– Cała rozciągłość? – prychnął książę Latarni. – Sądysz, że uda ci się przekonać Izbę Lordów co do zasadności tych wyssanych z palca oskarżeń? Gdzie twoje dowody? Tylko nie zaczynaj znów z tymi „naocznymi świadkami współspiskowców”... Wszyscy wiemy, jakie zeznania da się wyciągnąć w trakcie tortur, kiedy oskarżyć człowieka o najgorszą zbrodnię!

– Pechowo dla ciebie, mój panie, nie potrzebujemy naocznych świadków. – Baron Stoneheart uśmiechnął się blado. – Zawezwziemy przed nasze oblicze niejednego, lecz nie z konieczności. Dysponujemy bowiem twoją korespondencją, mój panie. Calutką. Mamy też kompletne kopie twych tajnych akt, dzięki czemu jesteśmy w stanie prześledzić, od kogo do kogo szły rozkazy. Wiemy, kiedy ojciec Sedryk dostarczał listy lady Swayle, a także w jaki dzień dokładnie wyverny pocztowe księcia Skalistego Wybrzeża przylatywały do twego wyvernika. Znamy nazwiska posłańców, dysponujemy pisemnymi obietnicami, jakie składałeś Zhonathynowi Clyntahnowi oraz członkom innych gildii, wreszcie nie jest nam obca wymiana listów pomiędzy lady Swayle i pułkownikiem Ainsailem. Ba, nie ukryły się przed nami nawet numery seryjne ukradzionych sztuk broni, które trafiły w wasze ręce, ani miejsca, w których rekrutowaliście swoich zbrojnych z pogwałceniem Edyktu Króla Sailysa. Możesz mi więc wierzyć, mój panie. Dowodów nam nie brakuje. Jeśli będziemy chcieli, oskarżymy was po pięciokroć.

Na te rewelacje zbladł nawet książę Latarni. Szybko jednak otrząsnął się z przygnębienia i przyszpilił wzrokiem barona Stoneheart.

– Oskarżaj sobie, kogo chcesz! – warknął. – Może uda ci się zastraszyć tego i owego, aby zaczął się kajać we łzach, byle tylko uniknąć stryczka, ja jednak ci powtarzam: Sharleyan zdaje sobie sprawę z tego, że Chisholm stanie w ogniu, jeżeli skażecie na śmierć tylu wielmożów!

– Ach tak? – Baron Stoneheart przekrzywił głowę, a potem otworzył leżącą przed nim na stole teczkę i wyjął z niej kilka kartek.

– Oto list jej wysokości cesarzowej Sharleyan do tej rady. Na wypadek gdyby cię to interesowało, datowany jest na dziewiątego lutego. Pozwól, że zacytuję krótki urywek. – Odchrząknął. – „Dostojni członkowie rady, dzięki sumienności naszych wiernych sług, a w szczególności dzięki staraniom naszego wyjątkowego sługi *seijina* Merlina i jego zacnych towarzyszy, doszły nas słuchy, że niektórzy wielmoże Chisholmu raz jeszcze dopuścili się ohydnej zdrady. W odrębnym liście przesyłamy zatem nazwiska dwudziestu siedmiu chisholmskich arystokratów, znaczniejszych i mniej znacznych, którzy poprzysięgli sobie podnieść rękę na Imperium Charisu i Charisjan”.

Rebkah Rahsail poczuła się tak, jakby czyjaś niewidzialna pięść wyrznęła ją w brzuch. Jeśli ten list faktycznie został napisany w lutym i jeśli istotnie zawierał listę nazwisk, Sharleyan od miesięcy wiedziała o spisku i spiskowcach.

– „Zdrajcy” – kontynuował baron Stoneheart – „postanowili działać na niekorzyść obywateli Imperium Charisu, czy to wysokiego, czy niskiego urodzenia, a także na niekorzyść Izby Gmin, która dzięki naszej dobrej woli zyskała liczne prerogatywy, i to akurat teraz, gdy Imperium Charisu pozostaje w śmiertelnym klinczu z uosobionymi siłami zła, walcząc z wrogiem i tracąc tysiące poddanych w nadziei na zwycięstwo. Niedawne egzekucje, w których głowy dali ostatni zdrajcy, miały być przykładem dla każdego, kto by rozważał złamanie obowiązującego prawa. Najwyraźniej jednak nie spełniły one swojego zadania. Dlatego teraz dojdzie do ostatecznego przerwania tego błędnego koła. Mówimy stanowczo nie rebeliantom i zdrajcom. I pokażemy, że ustanowione przepisy dotyczą wszystkich, a nie tylko nisko urodzonych. Dotyczą tak samo prostego plebejusza, jak i znacznego wielmoży. Każdy odpowiada za swoje czyny i musi ponieść odpowiednią karę. Winni stracą nie tylko życie, ale też majątek, który przepadnie na rzecz Korony bez względu na zasady dziedziczenia. Imperium Charisu upomni się o głowy tych, którzy ośmielili się podnieść rękę na jedność naszego cesarstwa. Tytuły straconych arystokratów wrócą do koronnej puli, z której będziemy czerpać w przyszłości, nadając zaszczyty nowym, bardziej godnym naszego zaufania osobom. Nie będzie wyjątków, nie będzie łagodnego traktowania... Oby to uświadomiło reszcie obywateli, że Imperium

Charisu nie będzie tolerować buntowników ani zdrajców, nie będzie tolerować nikogo, kto zapomniał, że przysięgał wierność i lojalność «ciałem i duchem», że przysięgał na Pismo, że przysięgał na własną nieśmiertelną duszę”.

Gdy baron Stoneheart odkładał list na stół, w komnacie panowała cisza jak makiem zasiał. W ogólnym milczeniu wbił wzrok w księcia Latarni i zapytał znizonym głosem:

– Czy jakaś część tego listu jest dla ciebie niejasna, mój panie?

Zhasyn Seafarer, który nie śmiał używać swego prawdziwego nazwiska ani choćby szeptem wypowiedzieć tytułu „książę Skalistego Wybrzeża”, kucał przy niewielkim ognisku i mieszał w poczerńiałym, poobijanym saganku pełnym wieprzowiny i fasoli. Posiłek ten znacznie się różnił od smakołyków, do jakich przywykł. Na samą tę myśl zacisnął szczęki mocniej i jeszcze raz rozważył, cóż to za wydarzenia doprowadziły go do tej katastrofalnej sytuacji.

Podniósłszy wzrok, zaczął się przyglądać, jak Sedryk Mahrtynsyn oporządza ich wierzchowce – o ile te nieszczęsne zwierzęta zasługiwały na to szumne miano. Niegdyś, gdyby takie konie trafiły do jego stajni, wysłałby je natychmiast do rzeźnika, w tych okolicznościach jednak wszystko było lepsze od wędrowki na piechotę (a poza tym nikt, kto dosiadał równie żalosnej szkapy, nie mógł mieć powiązań z chisholmską arystokracją, prawda?).

Mahrtynsyn zdążył do tej pory porzucić swoją sutannę, czepiec i pierścień świadczący o jego pozycji w Kościele Matce. Zamiast strojnych szat nosił takie same łachmany jak książę. Obydwaj zawdzięczali życie temu, że duchowny poczynił pewne przygotowania na każdą ewentualność. Nędzne szkapy i wieśniacze ubrania czekały w stodole na obrzeżach książęcej posiadłości na długo przed tym, zanim galeony pełne żołnierzy Cesarskiej Piechoty Morskiej Charisu wpłynęły do Cieśniny Skalistego Wybrzeża śladem HMS *Carmyn*.

Kiedy Mahrtynsyn skończył czyścić, karmić i poić zwierzęta, rozsiadł się na kamieniu po drugiej stronie ogniska i zabrał się do szykowania menażek.

– Powiniennem był zostać – warknął ksiązę, wpatrując się gniewnym wzrokiem w zawartość sagana. – Powiniennem był objąć dowodzenie nad bateriami nabrzeżnymi i pokazać im, jak walczy i umiera ksiązę Skalistego Wybrzeża.

Duchowny powstrzymał się przed przewróceniem oczami, aczkolwiek tylko z najwyższym trudem. Ksiązę czynił sobie wyrzuty i opowiadał, co powinien był uczynić, praktycznie od tej samej chwili, gdy salwy oddawane przez kanonierki ścichły i zostały w tyle za nimi. W rzeczywistości ani myślał umierać, kiedy kapitan HMS *Carmyn* przejrzał go na wylot i otworzył ogień do baterii nabrzeżnych. Wszelako był księciem, i to księciem Chisholmu. To czyniło zeń ważną osobę – jako jeden z niewielu oparł się obietnicom heretyków i pozostał wierny Kościołowi Matce, chcąc pociągnąć za sobą miliony poddanych, którzy w przeciwnym razie z powodu tej pary schizmatyków i apostatów trafiliby prosto w objęcia Shan-wei. Inkwizycji przyda się ktoś taki... pod warunkiem że Mahrtynsyn zdoła go wywieźć w bezpieczne miejsce. A że duchowny także potrzebował schronienia...

– Wasza dostojność – odezwał się teraz łagodnym tonem Mahrtynsyn – w pełni rozumiem, co czujesz. Pamiętaj jednak, że podjąłeś dobrą decyzję. Wymknięcie się razem ze mną było tak naprawdę trudniejsze niż pozostanie na miejscu. Być może udałoby ci się wynegocjować warunki kapitulacji. Jakkolwiek spojrzeć, jesteś chisholmskim wielmożą, a nie jakimś paprochem, który można zamieść pod dywan. Ale zważ, iż ledwie dotrzemy do Desnairu i przebijemy się do Syjonu, powita cię z otwartymi ramionami sam wielki inkwizytor. Zostaniesz okrzyknięty najwierniejszym z synów Kościoła Matki. Zdobędziesz szacunek, który należy ci się z urodzenia, lecz również dzięki poświęceniom, jakie poniosłeś w ciągu trwania świętej wojny. Okaż cierpliwość, a doczekasz dnia, w którym zwycięska Armia Boga przywróci cię na opuszczony stolec w pełnej chwale.

– Hmm – mruknął ksiązę Skalistego Wybrzeża. – Może i masz rację, Sedryku.

Choć nie powiedział nic więcej, Mahrtynsyn poczuł, jak ogarnia go wielka ulga. Z odzyskaną nagle werwą jął rozkładać menażki, by mogli się wreszcie obaj posilić.

Nocny wiatr hulał w wysokiej morskiej trawie, a fale szumiały cicho i rytmicznie wzdłuż kamienistej plaży. Półwysep Braigyr, na granicy pomiędzy księstwem Skalistego Wybrzeża i hrabstwa McGuire, majaczył nad plażą niczym strażnik, chroniąc płomienie ogniska rozpalonego poza linią przyływu przed każdym, kto by patrzył od strony lądu. A przynajmniej taką miał nadzieję Sedryk Mahrtynsyn.

– Jesteś pewien, że tam są? – zapytał go książę Skalistego Wybrzeża.

– Byli w każdy poniedziałek, wtorek i piątek przez ostatnie trzy pięciodnie i będą przez kolejne dwa, jeśli przeoczą dziś nasze ognisko – odparł chyba po raz trzydziesty duchowny. – Nie boli ich to, a przy tym nie wzbudzają niczyich podejrzeń. Tu w pobliżu są całkiem niezłe łowiska.

– A co będzie, jeśli ktoś ich przekupił i nastawił przeciwko nam? – wymamrotał książę.

– Nie ma takiej możliwości – rzekł ostrym tonem Mahrtynsyn, co było do niego niepodobne. Książę Skalistego Wybrzeża posłał mu zdziwione spojrzenie, a duchowny wzruszył ramionami. – Mówimy o wiernych synach Kościoła Matki, wasza dostojność. Zahartowanych niczym stal. Uwierz mi, że nigdy by mnie... to znaczy nas... nie zdradzili.

Książę zrobił sceptyczną minę i chciał coś powiedzieć, lecz w tym samym momencie Mahrtynsyn położył mu jedną dłoń na przedramieniu, drugą zaś wskazał otwarte morze.

– Są, wasza dostojność! – oznajmił.

Pod palcami poczuł, jak mięśnie księcia flaczeją. W zasięgu wzroku pojawiła się łódka, która dziobem zaryła w kamienistą plażę.

Jeden z jej pasażerów przeskoczył zwinnie burtę i brodząc na płyciźnie, wyszedł na brzeg. Niósł w ręce latarnię, z której blask wylał się na zewnątrz, kiedy odsunął wieczko i poświecił w stronę oczekujących mężczyzn.

– Czy to ty, ojcze? – rzucił z ciężkim akcentem.

– To ja, synu – zapewnił go Mahrtynsyn i obrócił głowę, aby rybak mógł mu się lepiej przyjrzeć. Równocześnie prawą ręką wykonał w powietrzu znak berła Langhorne'a. – Niech archaniołowie ci

wynagrodzą twoją lojalność!

– Dziękuję, ojcze. – Rybak pochylił głowę, pozwalając się pobłogosławić duchownemu, a następnie posłał księciu Skalistego Wybrzeża podejrzliwe spojrzenie. – A to kto?

Książę już miał ostro zareagować na to lekceważące traktowanie, lecz Mahrtynsyn ponownie uściśnął jego przedramię.

– To przyjaciel, synu. Lojalne dziecko Kościoła Matki. Ręczę za niego.

– Mnie to wystarcza, ojcze – rzucił rybak i zasunął pokrywę, przygaszając blask. – W takim razie chodźmy do łodzi.

Czterej mężczyźni wypełnili sobą całą wolną przestrzeń łódki. Moszcząc się w środku, książę prychnął pogardliwie w duchu – wygląd jednostki pozostawiał bowiem wiele do życzenia – ale na szczęście wywodził się z nadmorskiego księstwa, dzięki czemu wiedział, jak się zachować na pokładzie, aby nie krępować ruchów wioślarzom.

Jak się okazało, łódź, która na nich czekała dalej od brzegu, była większa i okazalsza. Aczkolwiek tylko do pewnego stopnia. Mierzyła niecałe trzydzieści stóp i cuchnęła z daleka rybą. Książę omal się nie zadławił ze wstrętu, nie poskarżył się jednak ani słowem. Uścisk palców Mahrtynsyna na jego przedramieniu powiedział mu, że rybacy nie mają pojęcia, kim jest naprawdę, a on nie zamierzał zmieniać tego stanu rzeczy. Z jakiegoś powodu mniej ufał ludziom niż duchowny. Gdyby ci ludzie dowiedzieli się, że mają w swoich rękach zbiegłego księcia Skalistego Wybrzeża, mogliby uznać, że korzystniej dla nich będzie sprzedać go władzom i zgarnąć ładną sumkę, która pozwoliłaby im już nigdy więcej nie wypłynąć w morze na połów.

– Co teraz? – zapytał cicho Mahrtynsyna, gdy żagle złapały wiatr i łódź skierowała się na pełne morze. Stali w tym momencie obaj na dziobie.

– O świcie czeka nas spotkanie z jednostką znacznie większą i wygodniejszą niż ta, którą płyniemy – odszepnął Mahrtynsyn. –

Obawiam się, że nadal nie będzie to galeon pasażerski, do jakich przywykłeś, wasza dostojność, niemniej powinien poruszać się prędko i gwarantować ochronę.

– Naprawdę? – Książę uniósł jedną brew.

Mahrtynsyn zachichotał.

– Cóż, to spotkanie, o którym wspomniałem... Czeka na nas pewien... technicznie biorąc... korsarz z Desnairu.

– Korsarz? – zdumiał się książę i zmarszczył czoło. – Zważywszy na to, jak flota traktuje takich jak oni, skąd u ciebie pewność, że temu udało się przeżyć?

– Stąd, że... jak powiedziałem... to „technicznie biorąc” korsarz. W istocie został on wynajęty i sownie opłacony przez Kościół Matkę z przykazaniem, aby nie brać pryzów. Jego jedynym zadaniem od miesiąca jest czekać na mnie... na nas... w określone noce.

– Ach tak? – Książę nie wyzbył się sceptycyzmu z głosu, co jednak Mahrtynsyn skwitował wzruszeniem ramion. – A skąd ktokolwiek wiedział, że wydarzenia nabiorą tempa właśnie w tym miesiącu?

– Wasza dostojność... nikt nie wiedział nic na pewno, wszakże ja domyśliłem się terminu w pewnych granicach. Minionego miesiąca oczekiwał na nas inny korsarz. A wcześniej jeszcze inny. Gdybyśmy nie pojawili się dzisiejszej nocy, za miesiąc także by ktoś na nas czekał.

Książę Skalistego Wybrzeża przyjrzał się uważnie swemu kapelanowi, ten zaś ukrył uśmiech satysfakcji, widząc, że wielmoża zastanawia się właśnie usilnie, jaką to naprawdę pozycję w hierarchii Kościoła Matki zajmuje Mahrtynsyn.

– Zaufaj mi, wasza dostojność – poprosił duchowny. – Okręt ten czeka na nas, a gdy tylko znajdziemy się na jego pokładzie, załoga postara się, abyśmy jak najszybciej trafili cali i zdrowi do Desnairu.

– Żagiel na horyzoncie! Na bakburcie!

Książę Skalistego Wybrzeża podniósł się raptownie do pozycji siedzącej tam, gdzie leżał, to znaczy obok zrujnowanej nadbudówki łodzi, przy której osunął się i przysnął. Rybacy chcieli go wpuścić do środka, on jednak podziękował. Rybi smród był obezwładniający nawet na świeżym powietrzu; wolał więc nie myśleć, co by zastał pod pokładem.

Teraz przetarł niemrawo oczy i zerknął we wskazanym kierunku, dając Mahrtynsynowi kuksańca pod żebro. Duchowny przebudził się z chrapnięciem, wyprostował i potężnie ziewnął.

– Co się stało, wasza dostojność? – zapytał.

Książę w odpowiedzi pokazał palcem.

– Jeśli się nie mylę, to będzie ten twój korsarz, ojciec.

Mahrtynsyn ocenił oczy dłonią, po czym energicznie kiwnął głową, widząc, że dwumasztowy szkuner zbliża się w ich stronę. Z przedniego masztu powiewała chorągiew w desnairskich barwach: czarny koń na żółtym polu. Książę ucieszył się, że jednostka wygląda lepiej, niż sobie wyobrażał. Oczywiście wolałby, aby po drodze do Desnairu nikt ich nie zaczepiał, niemniej rozmiary szkunera pozwalały mieć nadzieję, że dzięki uzbrojeniu poradzi on sobie z każdym intruzem.

– Mamy jeszcze jakieś dwadzieścia minut – ocenił książę Skalistego Wybrzeża na oko, korzystając z pokładów własnego doświadczenia i przeliczając dystans i czas. Moment później się skrzywił. – Wierzę ci, ojciec, że ci rybacy to lojalni synowie Kościoła Matki, ale i tak z wielką radością opuszczę ich łódź.

– Jeśli mam być szczery, wasza dostojność, rozumiem cię doskonale. – Mahrtynsyn uśmiechnął się zgodnie. – To dobrzy ludzie, ale ta woń...

– Zdołamy się jej pozbyć, jedynie pałac nasze ubrania, jak tylko opuścimy ten pokład – skwitował oschle książę Skalistego Wybrzeża.

Jak się okazało, książę Skalistego Wybrzeża wyliczył czas niemal idealnie. Mógł więc tylko pokiwać głową z aprobatą, gdy wielki szkuner zawrócił zwinnie, jak przystało na zawodowców. Odległość do Desnairu wynosiła dziewięć tysięcy mil. Książę był zadowolony, że trafi pod opiekę załogi, która wie, co robi.

Łódź rybacka podpłynęła bliżej, zwijając pod koniec pojedynczy żagiel.

– Ahoj! – zawołał stojący przy burcie łodzi Mahrtynsyn, przykładając do ust złożone dłonie. – Jak to dobrze, że...

Przerwał w pół słowa, kiedy z furt działowych szkunera wysunęło się dziewięć tęponosych karonad. W tym samym momencie z masztu zjechała flaga w barwach Desnairu, jej miejsce zaś zajęła charakterystyczna srebrno-błękitna szachownica na czarnym tle. Przy rufowym relingu pojawili się karabinierzy w mundurach Cesarskiej

Floty Charisu. Młody porucznik uniósł do ust tubę.

– Oczekujemy twojego poddania się, mości książe! – zakrzyknął.

Książę Skalistego Wybrzeża przyglądał mu się z widocznym przerażeniem. Młodzieniec zareagował na to wzruszeniem ramion. Ponieważ znajdował się w odległości niecałych trzydziestu stóp, gest nie uszedł niczyjej uwagi.

– Obawiam się, ojcze – porucznik zwrócił się do Sedryka Mahrtynsyna – że wasz szkuner został przechwycony przez Cesarską Flotę Charisu już kilka pięciodni temu. Z zainteresowaniem zapoznałem się z pisemnymi rozkazami, które miał wasz kapitan, i muszę powiedzieć, że nie nastęczyło mi większego problemu domyślenie się, kto też będzie ci towarzyszył na pokładzie, gdy spisek przeciwko Imperium Charisu poniesie klęskę. Jesteś winny wdzięczność hrabiemu Białej Skały i baronowi Stoneheart, którzy pospołu uznali, iż niegrzecznie by było zostawić was na lodzie... czy też w tym wypadku na morzu... Ponieważ tak się akurat złożyło, że dostarczyłem do Port Royal najnowsze wiadomości od barona Sarmouth i hrabiego Sharpfieldu, przydzielono mi zadanie zapewnienia wam transportu. Z przykrością muszę jednak poinformować, że nie popłyniemy do Desnairu, jak tego oczekiwaliście. – Książę Darcos uśmiechnął się paskudnie. – Najpierw bowiem mamy coś do załatwienia w Cherayth.

– Proszę o wybaczenie, ale...

Hrabia Hanthu uniósł wzrok znad jedzonego steka, z widelcem nieruchomym w powietrzu i raczej nieszczęśliwą miną. Bez przerwy przeszkadzano mu przy posiłkach, z tego czy innego powodu, a tego dnia w ogóle przegapił lunch. Od tamtej pory wyczekiwał kolacji jak zbawienia – i nie na darmo. Stek był przyrządzony właśnie tak, jak lubił: z różowutkim wnętrzem, podany z grzybkami i pieczonymi ziemniaczkami. Już miał się na niego rzucić, aby nie pozwolić całości dania wystygnać, gdy nagle znowu pojawił się jakiś natręt.

– Słucham! – rzucił może nieco nazbyt ostrym tonem.

Major Karmaikel skrzywił się nieznacznie.

– Naprawdę przepraszam, że przeszkadzam. Jednakże masz gościa,

mój panie. Wiem, że byłbyś na mnie zły, gdybym pozwolił mu czekać.

– Kto, u licha, jest aż tak ważny, by przez niego pozbawić mnie kolacji?! – wybuchnął hrabia Hanthu, wymachując widelcem z nadzianym kawałkiem soczystego steku. – Nie mogłeś dać mi chociaż kwadransa?

– Mogłem. Lecz wtedy kazałbyś mnie ściąć.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć – rzekł z westchnieniem hrabia Hanthu. – Chociaż z drugiej strony trzeba przyznać, że na ogół zachowujesz się racjonalnie. – Z wyraźnym żalem przyjrzał się niezjedzonemu kęskowi. – Daj mi chociaż minutę, żebym mógł sprawdzić, jak smakuje – poprosił i włożył kawałek mięsa do ust.

– Oczywiście, mój panie – wymamrotał Karmaikel, uśmiechając się pod nosem.

Wysoki barczysty oficer wycofał się za drzwi, a hrabia Hanthu jął przeżuwać i delektować się smakiem. Stek był istotnie tak dobry, jak wyglądał. Hrabia właśnie sięgał po kufel piwa, kiedy drzwi znowu się otworzyły.

– Wybacz najście podczas posiłku, mój panie – rzekł brodaty szatyn w mundurze Królewskiej Armii Dohlaru z naszywkami pułkownika. –

Nazywam się Mohrtynsyn. Ahskar Mohrtynsyn. Mam zaszczyt być szefem sztabu generała Lynyrda Iglaisysa, który przysłała mnie z prośbą o zawieszenie ognia na czas negocjacji pomiędzy hrabią Thirsku i baronem Sarmouth odbywających się w stolicy.

.V.
Pawilon hrabiego Tęczowych Wód
Cheryk
Dwieście dwadzieścia mil na północ od Selyku
oraz
Lake City
Prowincja Tarikah
Republika Siddarmarku

Eminencjo...– Hrabia Tęczowych Wód podniósł się na powitanie, gdy do jego prywatnej kwatery w samym sercu pawilonu wszedł Gustyw Walkyr i Ahlbair Saintahvo w towarzystwie barona Pieśni Wiatru.

Walkyr posłał mu w odpowiedzi blady, choć szczerzy uśmiech, Saintahvo natomiast tylko władczy gestem wyciągnął przed siebie rękę z pierścieniem.

Hrabia Tęczowych Wód zrewanżował się uśmiechem pod adresem arcybiskupa polowego i pochylił się nad pierścieniem intendenta, aby sumiennie spełnić obowiązek wiernego syna Kościoła Matki. Prostując się, przybrał obojętną minę i takim też wzrokiem obdarzył butnego hierarchę. Walkyr powstrzymał się przed wymuszeniem podobnych oznak rewerencji, co widząc, Saintahvo zacisnął wargi w wąską kreskę.

– Dziękuję za możliwość spotkania – powiedział hrabia Tęczowych Wód, dopełniwszy kurtuazyjnych formalności.

– Tobie przyszło odbyć dłuższą podróż niż nam, synu – zauważył Walkyr. – A poza tym, jeśli wierzyć raportom, znajdujesz się w nie mniej ciężkiej sytuacji niż my.

– Niestety to prawda – przyznał hrabia Tęczowych Wód. – Ale na razie frontowi nie zagraża przerwanie na którymkolwiek odcinku. Zarówno hrabia Kryształowego Jeziora, jak i dowódcy pozostałych zgrupowań w pełni rozumieją moje rozkazy i intencje. Utrzymuję z nimi wszystkimi kontakt za pomocą wiadomości przesyłanych poprzez

semafory i wyverny. Wszelako to właśnie najnowsze wydarzenia są powodem, dla którego postanowiłem poprosić o to spotkanie.

– Istotnie, nasze położenie nie jest zbyt różowe – zgodził się Walkyr. Następnie skinął głową w stronę majora Mastyrsyna, który zerknął na hrabiego i pytająco uniósł jedną brew. Dopiero gdy ten ostatni machnął przyzwalająco ręką, major wyjął spod pachy rulon mapy i rozwinął ją na stole pośrodku pomieszczenia. – Jak widać na załączonym obrazku – podjął biskup połowy – książe Eastshare zepchnął nasze centralne siły aż do Selyku i pechowo dla nas odciął trakt na tyłach biskupa połowego Lainyla w Mercyrze. Podjęta przez nas próba pójścia z odsieczą niestety nie przyniosła oczekiwanego skutku. – Stojący za plecami mówiącego Saintahvo przybrał jeszcze chmurniejszą minę, a Walkyr potrząsnął głową ze smutkiem. – Moi ludzie dali z siebie wszystko, zapewniam, lecz przy tych przeklętych balonach i heretyckiej konnej piechocie...

– Eminencjo, w pełni doceniam poświęcenie twych ludzi – szepnął hrabia Tęczowych Wód, nie zwracając uwagi na minę intendenta. – Nikt z nas nie spodziewał się, że zostaną zaatakowani z taką zajadłością, skoro dopiero co generał Symkyn przesunął znaczną część swojej armii za Marylys celem wzmocnienia sił zwróconych przeciwko księciu Eastshare. Nasze obecne szacunki wskazują, że przyjdzie ci się zmierzyć z trzystutysięcznym wojskiem.

– Co stanowi połowę, ba, nawet mniej niż połowę stanu osobowego Armii Centrum – wytknął nieprzyjemnym tonem Saintahvo.

Walkyr poczerwieniał, za to hrabia Tęczowych Wód spojrzał na intendenta jakby nigdy nic.

– Nie da się temu zaprzeczyć – powiedział. – Tak się jednak składa, że zarówno generał Symkyn, jak i książe Eastshare są bardziej mobilni niż my, dzięki czemu mogą przejąć inicjatywę, co daje im przewagę. Chyba nie muszę dodawać nic o balonach, przed którymi nikt nas nie ostrzegł, a które są równie istotne jak mobilność i skuteczna artyleria, w ich wypadku mająca większy zasięg, a także wyższą szybkostrzelność.

Tym razem to Saintahvo się zaczerwienił, kiedy mu wytknięto indolencję Inkwizycji niezdolnej przejrzeć w porę wszystkich sztuczek heretyków.

– Wróg – mówił dalej hrabia – od początku decyduje samodzielnie, kiedy i gdzie zaatakuje. Arcybiskup połowy Gustyv musi bronić odcinka

frontu długiego na ponad sześćset mil, a w przeciwieństwie do niego heretycy doskonale wiedzą, gdzie znajdują się jego oddziały i w jakiej liczbie. W tych okolicznościach nie mógł więc, gdyż przekraczało to możliwości jakiegokolwiek człowieka, zapobiec przejściu inicjatywy przez Charisjan.

Saintahvo miazdzył go spojrzeniem przez dłuższą chwilę, ale w końcu niechętnie potaknął skinieniem. Najwyraźniej nie był jeszcze gotów, by podważyć autorytet hrabiego Tęczowych Wód. Walkyr nie mógł się nie zastanowić, jak długo jeszcze intendent będzie nad sobą panował, jeśli sprawy będą przybierały coraz gorszy obrót.

– Pomijając sytuację w Mercyrze – kontynuował arcybiskup połowy – księżę Eastshare podprowadził swą kolumnę tuż pod Blufftyn. Gwoli ścisłości, czoło tej kolumny znajduje się nie dalej niż sto pięćdziesiąt mil na południowy wschód od Cheryku, gdy tu rozmawiamy. Obawiam się, że podszedłeś bliżej frontu, niż to rozsądne w wypadku równie mobilnego przeciwnika.

– Wspierają mnie trzy całe brygady kawalerii, a baron Pieśni Wiatru i ja dysponujemy najlepszymi wierzchowcami – odparł hrabia Tęczowych Wód ze słabym uśmiechem. – Jestem zatem pewien, że w razie potrzeby umkniemy przed każdym pościgiem. Aczkolwiek oczywiście jestem ci wdzięczny za twą troskę, eminencjo.

– Cóż, nie możemy sobie pozwolić na to, by cię stracić – rzekł gburowato Walkyr. – Na szczęście biskup połowy Ahntohnyo zdołał wyprowadzić swe oddziały za Blufftyn i przyłączyć się do głównych sił. Obecnie tkwi okopany na swoich pozycjach broniących traktu od tego miejsca aż do kolumny księcia Eastshare. Śmiem twierdzić, że wykonanie tego manewru i zajęcie nowych pozycji zawdzięcza gęstym drzewom, które uniemożliwiły charisjańskim obserwatorom wypatrzenie go z powietrza.

– Bardzo mnie cieszy ta informacja – pokiwał głową hrabia Tęczowych Wód. – Niestety dopiero co otrzymałem depesze semaforowe, które donoszą, że oto pojawił się znów ten Siddarmarczyk... Stohnar. Co najmniej jeden korpus Armii Sylmahn przemieszcza się po trasie wiodącym od Pięciu Rozstajów do Sairmeetu. Czoło tej formacji przesunęło się na południe od Pięciu Rozstajów, a stamtąd skrzyło na północny zachód. Zdaje się, że celem tego manewru było zamknięcie

w pułapce biskupa polowego Ahntohnya, wzięcie go w dwa ognie pomiędzy Armię Sylmahn i Armię Westmarch. Udało mu się uniknąć tej pułapki, ale fakt jego ucieczki oznacza, że trakt wiodący od Blufftynu do Sairmeetu jest teraz otwarty dla heretyków.

Rysy twarzy Walkyra stężały. Pozycje hrabiego Złotego Drzewa blokowały trakt w pobliżu Sairmeetu, w samym sercu Wielkiego Lasu Tarikah, i jako jedyne strzegły tej flanki południowego zgrupowania Armii Pana Wszechmogącego. Pozycje te były dobrze ufortyfikowane i bronione przez czterdziestotysięczny oddział, z co najmniej trzema dodatkowymi liniami rzek na tyłach, nadającymi się jak najbardziej do obrony. Kiedy hrabia Złotego Drzewa będzie musiał się z nich wycofać, jego flanki otrzymają osłonę w postaci gęstego zadrzewienia, a brzeg tej czy innej rzeki będzie stanowił ostatnią redutę. Niemniej gdy już do tego dojdzie...

– Eminencjo – odezwał się ponownie hrabia Tęczowych Wód, zwracając się znów bezpośrednio do Walkyra – nie możemy pozwolić, aby książę Eastshare rozdzielił moją lewą flankę od twojej prawej. Niestety w tej chwili heretycy próbują dokonać właśnie tego. – Walkyr potwierdził to przypuszczenie ruchem głowy, a Saintahvo ubrał twarz w kamienną maskę. Hrabia Tęczowych Wód wzruszył bezradnie ramionami. – Jak mi się wydaje, książę Eastshare i generał Symkyn pospołu chcą odepchnąć cię od krawędzi lasu i zarazem przedrzeć się na odcinku pomiędzy Selykiem i Glydahrem, aby nie pozwolić ci zbiec do Sardahnu. Trudno mi jednak ocenić, czy zamierzają także przyszpilić całą Armię Centrum w gigantycznym kotle. Niewątpliwie byłby to z ich punktu widzenia cenny ruch, o ile udałoby im się go przeprowadzić. Ja w każdym razie uważam, że najbardziej im zależy na tym, by zepchnąć cię w stronę Św. Vyrdyn, jak najdalej od lasu i rzeki Ferey.

Walkyr rzucił okiem na rozpostartą na stole mapę i zacisnął szczęki. Czoło sił księcia Eastshare znajdowało się o dziesięć mil od kanału Sair-Selyk, który z kolei leżał poza terenem kontrolowanym wspólnymi siłami przez Armię Boga i Armię Pana Wszechmogącego i Archaniołów. Dwadzieścia tysięcy podkomendnych Ahntohnya Mahkgyła spod Blufftynu zdążyło już przekroczyć tę granicę w próbie opóźnienia marszu heretyków, jednakże zgodnie z planami powziętymi na poziomie głównego dowództwa sił Kościoła Matki, w razie konieczności wycofania Armii Centrum miała ona ruszyć na zachód, w stronę Glydahru, nie zaś

na północ, albowiem rozkazy przewidywały zatkanie luki pomiędzy Górą Czarnej Wyverny i wzgórzami Tairohn. Mimo wszystko hrabia Tęczowych Wód miał rację: księżę Eastshare i generał Symkyn chcieli skierować go na północny zachód, ku Four Point i Św. Vyrdyn, które także leżały w obrębie terenu kontrolowanego przez Armię Pana Wszechmogącego i Archaniołów i znajdowały się za daleko na zachód, aby odegrać jakąkolwiek znaczącą rolę w walkach o prowincję Tarikah.

– Czego zatem oczekujesz ode mnie, synu? – zapytał arcybiskup polowy.

– Chciałbym, eminencjo, abyś uformował nową linię. Ćwierć miliona twoich podkomendnych jeszcze nie dotarło na front. Mam zamiar poprosić wikariusza Allayna i wikariusza Rhobaira, ażeby kazali im zsiąść na ląd w Transylu. Stamtąd udadzą się traktem wzdłuż Kanału Świętego Langhorne'a, po czym dojdą aż do Glydahru. Gdyby jednak heretycy zaatakowali Glydahr, zanim to nastąpi, twój garnizon powinien się wycofać w kierunku Four Point, nie podejmując walki. Uważam, że na tamtejszym froncie powinno zostać co najwyżej jedno zgrupowanie, które by wzmocniło środek linii, a następnie cofnęło się na odcinek biegnący ze wschodu na zachód, od Św. Vyrdyn do lasu, i broniło go z całych sił. Ja w tym czasie przemieszczę swoje oddziały na południowy zachód wzdłuż rzeki Ferey, przy czym moi saperzy już teraz zaczęli wznosić umocnienia obronne na zachodnim brzegu. Dzięki temu powinienem być w stanie udzielić ci wsparcia w górze rzeki. Wszelako nie mogę ci tego zagwarantować, eminencjo. Bez względu na to, jak się rozwine sytuacja, twoim zadaniem będzie opóźnienie marszu heretyków i kupienie mi czasu.

W pawilonie zapadła niemal idealna cisza.

– Zdaję sobie sprawę, że jest to dość znaczne odstępstwo od naszych pierwotnych planów, a nawet od tego, co mieliśmy okazję przedyskutować z wikariuszem Allaynem. – Głos hrabiego Tęczowych Wód, który rozbrzmiał w pawilonie, wydawał się wyjątkowo donośny, gdy jego właściciel spoglądając na obu hierarchów, pominął miano wielkiego inkwizytora. – Prawda jest jednak taka, że w obliczu wroga mało który plan pozostaje niezmienny. Mam świadomość zagrożeń wynikających dla Sardahnu z powodu twego przemieszczenia się na północ, z dala od Glydahru. I liczę na to, że ruchy pozostałych oddziałów zdołają zniwelować niebezpieczeństwo. Niemniej w dalszym ciągu

uważam, że na tym etapie kluczowe jest, abyśmy bronili szlaków komunikacyjnych Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów. Jeśli heretykom uda się wypchnąć hrabiego Złotego Drzewa z Sairmeetu i oczyścić drogę dla Stohnara, który wtedy będzie mógł ruszyć prosto przez las, podczas gdy baron Zielonej Doliny i Klymynt nieprzerwanie będą się posuwać ku Lake City, moje pozycje na wschód od Jeziora Zachodniego Skrzydła utracą szansę na obronę. W takim wypadku to na rzece Ferey moglibyśmy ostatecznie zatrzymać marsz wroga i wzbronić mu wstępu na Kanał Langhorne'a. – Hrabia Tęczowych Wód popatrzył Walkyrowi prosto w oczy. – W razie jeśli heretycy dostaną się na ten kanał, co najmniej połowa Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów będzie musiała zbiec na teren baronii Charlz. A chyba nie muszę przypominać, że zbliża się zima. Boję się, że na wiosnę zostałyby co najwyżej jedna trzecia stanu osobowego...

– Zapewne – przytaknął Saintahvo. – Twoje uwagi zasługują na naszą pilną uwagę. Na razie jednak nadal obowiązują przekazane ci rozkazy wikariusza Allayna. I nie muszę chyba dodawać, jak niezadowolony byłby wielki inkwizytor, gdyby obozy Inkwizycji w Glydahrze jednak wpadły w ręce heretyków. Albo gdyby biskup połowy Tayrens został zmuszony poddać egzekucji wszystkich ich mieszkańców, by zapobiec ich uwolnieniu przez heretyków, zanim dojdzie do należytego oczyszczenia i zmazania win. – Bez mrugnięcia okiem wytrzymał spojrzenie hrabiego Tęczowych Wód. – Obecnie na szali jest więcej, niż myślisz. Byłoby więc chyba dobrze, gdybyś przedyskutował swoje wątpliwości z biskupem Merkylem, zamiast podejmować decyzje w oparciu wyłącznie o kwestie wojskowe, i to gdybając, co heretycy zrobią lub czego nie zrobią w danych warunkach. Czy mogę zaproponować, aby biskup Merkyl przyłączył się do naszej rozmowy?

Hrabia Tęczowych Wód praktycznie nie zmienił wyrazu twarzy, gdy z ust Saintahva padła wzmianka o biskupie Merkylu Sahndhaimie, intendencie Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów. Jednakże w odpowiedzi na zadane mu bezpośrednio pytanie z pozornie szczerym żalem pokręcił głową.

– Obawiam się, że biskup Merkyl z powodu swego wieku i trapiącej go podagry nie był w stanie towarzyszyć mi w forsownej podróży tutaj. Zapewniam jednak, że wszystko szczegółowo z nim przedyskutowałem, zanim opuściłem Lake City, on zaś wyraził pełne poparcie dla mego

rozumowania. W rzeczy samej – dodał, wyciągając rękę do siostrzeńca, który w tej samej chwili otworzył teczkę i wyjął z niej dokument składający się z kilku kartek – biskup Merkyl był tak dobry i spisał swoje przemyślenia.

Hrabia podał dokument intendentowi, który przyjął go z miną tak kwaśną, że byłaby ona zdolna zepsuć mleko w promieniu stu mil.

– W międzyczasie, eminencjo... – Hrabia Tęczowych Wód urwał i uniósł brew, widząc, że do pomieszczenia wszedł ktoś z jego sztabu. – O co chodzi, Giyangzhi?

– Nadeszła pilna wiadomość.

Oficer sztabowy miał dziwny głos, a z jego oblicza przebijało napięcie, gdy podawał depezę przełożonemu. Hrabia Tęczowych Wód odebrał z jego rąk pojedynczą kartkę i szybko przebiegł wzrokiem treść wiadomości. W pewnym momencie rozszerzył lekko oczy, ale zaraz wręczył depezę siostrzeńcowi i zwrócił się do obu hierarchów.

– Z przykrością muszę donieść, że sytuacja na północnym froncie właśnie znacznie się uprościła.

Kynt Clareyk, baron Zielonej Doliny, jechał rażno po szerokiej, opustoszałej, zawianej trocinami alei w otoczeniu kompletu konnych gwardzistów. Na brzegu jeziora panowało istne piekło: lita, zdawałoby się, ściana ognia ciągnęła się całymi milami, pożerając zapasy zgromadzone w ilości wystarczającej dla miliona ludzi na co najmniej trzy miesiące. Płomienie huczały głośno, dym dławił.

Barona rozpierała duma, gdy tak patrzył wokół siebie i widział, czego dokonała jego armia. Żałował jednak, że hrabia Kryształowego Jeziora nie okazał się człowiekiem nieco mniej zdecydowanym. Clareyk miał świadomość, że za dużo żąda, ale i tak liczył, że hrabia z największym trudem odpowie na przypuszczone przez Ahrtymysa Ohanlyna zaskoczenia bombardowanie. Niestety hrabia Tęczowych Wód nie na darmo wybrał akurat tego człowieka na swego zastępcę i w pełni mu ufał, a był przecież znany z doskonałej znajomości ludzi. Mahzwang Lynku, choć był z niego kruchy siedemdziesięciodziewięciolatek, pozostał bystry jak za młodu, a przy tym nie mniej energiczny niż jego dwakroć

młodszy podwładni.

Inteligencja i chęć czynu to były cechy, których ostatnimi czasy hrabia Tęczowych Wód potrzebował u swoich ludzi najbardziej. I które – pechowo dla Sprzymierzonych – znalazł u większości.

Dwadzieścia ton pocisków napełnionych materiałem D opracowanym przez doktor Lywys dało artylerzystom Ohanlyna broń jeszcze bardziej zabójczą niż do tej pory. Nowy materiał wybuchowy był zarówno znacznie bezpieczniejszy od czarnego prochu, jak i dwakroć od niego silniejszy. Zarazem też był gęstszy, dzięki temu w tej samej objętości dało się go zamknąć dwa razy tyle. To czyniło każdy pocisk czterokrotnie bardziej destrukcyjnym, niż gdyby był wypełniony czarnym prochem. W efekcie wszystkie nowe ośmio- i dziesięciocalowe pociski stały się isticie śmiercionośne.

Podczas gdy dostarczone na front pociski były rozprowadzane wśród baterii Ohanlyna, ów wykorzystał Korpus Balonowy do tego, by ustalić położenie trzech harchońskich zgrupowań, które razem broniły sześćdziesięciosiedmiomilowego odcinka rzeki Tairyn, licząc od Wielkiego Lasu Tarikah, a kończąc na Jeziorze Wschodniego Skrzydła. Ogółem było to niemal dziewięćdziesiąt tysięcy żołnierzy, z czego sześćdziesiąt tysięcy na rozkaz hrabiego Kryształowego Jeziora trafiło do okopów, a trzydzieści tysięcy do rezerwy na tyłach, poza zasięgiem nawet najbardziej donośnych dział heretyków, skąd mogli przystąpić z nową werwą do ataku, gdyby zaszła taka potrzeba. Liczby te nie obejmowały oczywiście rozgromionych wcześniej zgrupowań, które uzupełniły swoje dywizje w samym Lake City.

Nieszczęśliwie dla Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów baron Zielonej Doliny nie musiał atakować naraz na całej linii frontu. Skupił się więc na dziesięciomilowym odcinku, którego broniło Zgrupowanie Św. Ahgnisty – pięć mil na południe od jeziora. Na jego polecenie Ohanlyn oddelegował w tym celu prawie pięćset średnich i ciężkich dział kątowych oraz sto dwadzieścia wyrzutni rakiet. Było to więcej artylerii na jedną milę frontu aniżeli w wypadku pierwszej wojny światowej z czasów Starej Ziemi. Inna różnica polegała na tym, że armie lat 1916 czy 1917, które stanęły naprzeciw sobie na froncie zachodnim w Europie, były lepiej zorientowane w pozycjach wroga niż dowódcy Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów, którzy – pozbawieni pomocy obserwatorów w balonach – nie mieli pojęcia o niczym, co dzieje

się dalej niż dwie albo trzy mile od ich linii. Obrońcy Kościoła Matki nie wiedzieli więc, że baterie Ohanlyna są w ruchu i przymierzają się do uderzenia, i nie dowiedzieli się o tym, aż było za późno.

Dowódca artylerii pełne dwa pięciodnie czynił przygotowania do ataku, podczas gdy baron Zielonej Doliny ze swoją piechotą znajdował się na południe od jeziora, gdzie jego brygady szturmowe odpoczywały, prawa flanką zaś uparcie sprawiała łomot zmniejszającej się w oczach strefie oblężenia Vekhair. Zdumiewające, jak mało skuteczna okazała się artyleria Hainryka Klymynta pod Vekhairem, wszelako popisowe bombardowania – prowadzone z użyciem pocisków starej daty – kazały komuś nawet tak bystremu jak hrabia Kryształowego Jeziora spoglądać w tym kierunku, dając szansę dowódcom odpowiadającym przed Ohanlynem i baronem Zielonej Doliny na zapięcie wszystkiego na ostatni guzik. Ohanlyn przebroił wszystkie ciężkie baterie, lecz zrobił to systematycznie jedno działo po drugim i pilnował się, aby w trakcie przypadku nie użyć amunicji nowej generacji.

W końcu, o jedenastej dwadzieścia przed południem, gdy większość żołnierzy broniących odcinka frontu na rzece Tairyn zasiadała do lunchu, Ohanlyn rozpoczął wściekły atak, posyłając na okopy wroga grad pocisków. Armia Pana Wszechmogącego doświadczyła najcięższych bombardowań w historii Schronienia – nigdy jednak czegoś takiego. Siła tego ostrzału przekraczała ludzkie wyobrażenie. Pociski spadały często, a rakiety dosłownie zasypywały pozycje wroga. W dodatku każda wyrzutnia została uprzednio wyposażona w trzy zapasowe zestawy pocisków, dzięki czemu aż cztery rakiety mogły zostać wystrzelone w ciągu zaledwie godziny. Nie należy także zapominać o tym, że podniebni obserwatorzy dokładnie nakierowywali obsługę na wypatrzone cele.

Wtem bombardowanie ustało.

Nie: osłabło. Nie: stopniowo ucichło. Właśnie: ustało. W tym samym momencie przestały strzelać wszystkie działa, wszystkie wyrzutnie rakiet. A gdy to nastąpiło, brygady szturmowe rzuciły się naprzód. Ludzie uzbrojeni w śrutówki, miotacze ognia i przenośne ładunki wybuchowe. Obserwatorzy Ohanlyna wznowili wtedy ostrzał, celując jednak w rozpoznane pozycje harchońskiej artylerii, która mogłaby zniweczyć atak piechoty. Wystarczyły zwykłe, starej daty pociski oparte na czarnym prochu, aby kompletnie uciszyć armaty wroga.

Obrońcy byli tak zaskoczeni, tak zdruzgotani nieoczekiwaną hekatombą oraz momentalnym atakiem, który po niej nastąpił, że praktycznie nie potrafili stawić oporu. Czołowe kompanie szturmowe barona Zielonej Doliny przelały się przez zniszczone pozycje Harchończyków niczym morskie fale, łamiące się na garstce stanowisk, które wciąż były zdolne się ostrzeliwać. Rozprawienie się z niedobitkami pozostawiły idącym ich śladem oddziałom. Dwie godziny wystarczyły, aby Charisjanie pokonali dwumilowy odcinek frontu zabezpieczony potężnymi fortyfikacjami. Dwie godziny wystarczyły, aby Zgrupowanie Św. Ahgnisty przestało istnieć. Wraz z nim unicestwieniu uległa czwarta część Zgrupowania Św. Jyrohma, zajmująca pozycje na jego lewej flance, natomiast to, co zostało z wysuniętych regimentów, skończyło przyszpilone przez Charisjan, którzy jakimś cudem znaleźli się na tyłach. Baron Zielonej Doliny nie zawracał sobie głowy atakowaniem tych marnych resztek – nie było takiej potrzeby, gdyż żołnierze uwięzieni w swoich okopach nie mogli się wycofać, a on nie zamierzał tracić więcej ludzi.

Hrabia Kryształowego Jeziora, który miał tylko jakie takie pojęcie o skali porażki, uczynił to, co każdy zdeterminowany i inteligentny dowódca w tej sytuacji: wykorzystał swoje rezerwy, aby przypuścić kontratak. Niestety wspomniane trzydzieści tysięcy Harchończyków natknęło się na niszczycielską kurtynę ognia artyleryjskiego, który był zabójczo celny dzięki wskazówkom obserwatorów z Korpusu Balonowego. Harchończycy prędko się zreflektowali i zaczęli cofać, co było jedynym rozsądnym ruchem w tych okolicznościach. Zanim zapadła noc, czoło Armii Tarikah posunęło się o piętnaście mil naprzód. Wchodzący w jego skład żołnierze zabrali się do tworzenia własnych umocnień – dla ludzi i dla moździerzy.

Baron Zielonej Doliny prowadził obserwacje za pomocą SAPK-ów, przyglądając się między innymi reakcji hrabiego Kryształowego Jeziora na coraz to nowe doniesienia o poniesionych na różnych odcinkach frontu porażkach. Clareyk musiał oddać sprawiedliwość harchońskiemu dowódcy. Pomimo naocznych dowodów na nieposkromioną siłę Armii Tarikah, pomimo utraty ponad trzydziestu pięciu tysięcy żołnierzy w ciągu paru godzin – ten roztropny dowódca nie poddał się panice. Ani nie pozwolił sobie także na paraliż spowodowany wizją katastrofy. Do północy zdążył podjąć decyzję. Niecałe piętnaście godzin od rozpoczęcia

charisjańskiego ostrzału jego rozkazy dotarły za pośrednictwem gońców do brygad, które pozostały na południowym krańcu linii Tairyn.

Brygady te były w drodze na zachód jeszcze przed świtem (nie licząc skazanej na poświęcenie ariergardy). Na tym się jednak nie skończyło. Wiedząc, że maszerująca wciąż przed siebie piechota barona Zielonej Doliny znajduje się mniej niż piętnaście mil od pierwszej linii obrony Lake City, jednakże nie mając pojęcia, w jakim czasie charisjańska artyleria może się zwrócić przeciwko tym pozycjom, hrabia Kryształowego Jeziora znalazł w sobie dość odwagi cywilnej, aby zarządzić ewakuację stolicy prowincji Tarikah.

Baron Zielonej Doliny wolał nie myśleć, jak zareaguje na to Zhaspahr Clyntahn. Tymczasem hrabia Kryształowego Jeziora nawet się nie zawahał. Zarządził systematyczne niszczenie wzniesionych z takim wysiłkiem fortyfikacji i wysadzenie w powietrze każdego działą, którego nie można było zabrać z miasta. Grzmoty eksplozji rozlegały się echem w murach miasta przez długie godziny. Z dymem poszły skrupulatnie zebrane przez hrabiego Tęczowych Wód zapasy żywności dla mieszkańców. W tym samym czasie członkowie miejskiego garnizonu maszerowali już na południe na linię Gleesyn–Chyzwail, na południu Jeziora Wschodniego Skrzydła, natomiast niedobitki obrońców linii na rzece Tairyn otrzymały rozkaz utworzenia frontu obronnego pomiędzy Wielkim Lasem Tarikah a linią Gleesyn–Chyzwail, której zadaniem była ochrona traktu wiodącego od Gleesyngu do Sairmeetu celem chronienia szlaków komunikacyjnych garnizonu w Sairmeecie.

Hrabia Kryształowego Jeziora podjął i wcielił w życie swoje decyzje z taką szybkością, że nawet charisjańska konna jazda nie była w stanie mu przeszkodzić w podejmowanych działaniach. A przynajmniej nie była w stanie tego uczynić pod osłoną własnej artylerii. Zresztą nawet przy wsparciu Armii Hildermoss baron Zielonej Doliny musiał się pogodzić z przewagą liczebną wroga i wolał nie ryzykować niepotrzebnie.

Nawet SAPK-i miały kłopoty ze zliczeniem ofiar po stronie hrabiego Tęczowych Wód. Szacunki Sowy głosiły, że Armia Pana Wszechmogącego i Archaniołów straciła w sumie sto siedemdziesiąt pięć tysięcy ludzi: zabitych, rannych i wziętych do niewoli. Była to wstrząsająca liczba, przekraczająca nawet początkowy stan osobowy Armii Tarikah i Armii Hildermoss i stanowiąca... mniej niż czternaście procent początkowego stanu osobowego północnego zgrupowania Armii

Pana Wszechmogącego. Z kolei baron Zielonej Doliny i Klymynt pospołu stracili najwyżej czternaście tysięcy żołnierzy, z czego tylko jedna trzecia to były ofiary śmiertelne. W porównaniu z dziesiątkami tysięcy ofiar po stronie harchońskiej liczba ta stanowiła zaledwie osiem procent. Gdyby wliczyć w to ofiary uboczne, można by mówić o siedemnastu tysiącach, łącznie z osobami poszkodowanymi w wypadkach oraz w wyniku chorób. Tak czy owak straty nie przekroczyły jednej dziesiątej pierwotnego stanu osobowego. Nie brzmiało to źle, abstrahując oczywiście od kryjących się za tymi liczbami jednostkowych ludzkich tragedii i nie zapominając, że ostatnie posiłki, które dołączyły do składu Cesarskiej Armii Charisu, przybyły prosto z Chisholmu. Rzeczywistość pokazała jednak, że największe straty miały miejsce w wysoce wyspecjalizowanych i doskonale wyposażonych brygadach szturmowych. Znaczna część batalionów z tych brygad pozostała z co najwyżej czterdziestoma procentami przepisowej liczebności, a niestety uzupełnienie powstałych braków za pomocą chisholmskich posiłków groziło tym, że znacząco spadnie skuteczność tych oddziałów.

Hrabia Tęczowych Wód właśnie do tego chciał doprowadzić, ze smutkiem zdał sobie sprawę baron Zielonej Doliny. W gruncie rzeczy chciał nas skrzywdzić jeszcze bardziej i jeszcze szybciej, nie miał bowiem pojęcia, że skorzystamy ze wsparcia balonowego. Wątpię jednak, aby nawet w tej sytuacji spanikował. On i hrabia Kryształowego Jeziora są ulepieni z tej samej gliny. Najgorsze zaś jest to, że właśnie w tej chwili w stronę frontu podąży sześćset tysięcy harchońskich żołnierzy. Przeprawa zajmie im trochę czasu, lecz za jakieś trzy pięciodnie – najpóźniej pod koniec sierpnia – Armia Pana Wszechmogącego i Archaniołów znów będzie w pełnym składzie. Ja i Hainryk możemy liczyć co najwyżej na czterdzieści tysięcy poborowych. To prawda, że zadaliśmy Harchończykom ogromne straty, lecz w liczbach bezwzględnych to oni są górą.

Naturalnie na każdej wojnie przychodzi taka chwila, gdy żonglowanie liczbami mija się z celem. Gdy dowództwo zdaje sobie sprawę, że własne straty są nie do nadrobienia bez względu na to, czego doświadczyła przeciwna strona. Lecz choć dowództwo Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów okazało się niezwykle wytrzymałe psychicznie, to jednak nie ono było celem przeprowadzonej ofensywy. Prawdziwy cel znajdował się gdzie indziej... mianowicie w Syjonie.

Baron Zielonej Doliny odsunął od siebie tę myśl, widząc, że zbliżają się do skromnego dwukondygnacyjnego pałacyku nieopodal jedynej katedry w prowincji Tarikah. Clareyk rozejrzał się ponownie, obrzucając wzrokiem strażaków przy pracy, którzy robili, co mogli, aby żadna iskra nie przedostała się do części mieszkalnej stolicy, pokiwał głową z uznaniem dla ich wysiłków i w końcu przerzucił nogę nad końską szyją, aby zsiąść z konia. Przekazał wodze jednemu z gwardzistów i zaczął wspinać się po schodach, czując, że postępuje za nim Bryahn Slokym ze swoimi ludźmi.

Mocno podenerwowany duchowny wyższej rangi otworzył przed nimi masywne rzeźbione odrzwia.

– Generał Clareyk? – zapytał ostrożnie.

Baron Zielonej Doliny skinął potakująco głową i rzucił:

– Owszem, ojciec Avry.

Duchowny, który sądząc ze stroju, należał do Zakonu Chihiro, a sam był szatynem o brązowych włosach i oczach tego samego koloru oraz dziwnie patykowatych kończynach, zdziwił się, słysząc, że arystokrata zwraca się doń po imieniu. Szybko jednak przeszedł nad tym do porządku dziennego, jakby miał ważniejsze zmartwienia na głowie. Zacerpnął tylko głęboko tchu i powiedział:

– Arcybiskup czeka w swoim gabinecie. Naturalnie jeśli jesteś gotów, mój panie.

– Całkowicie – zapewnił baron Zielonej Doliny. – Proszę, ojciec, prowadź mnie do eminencji... – Odwracając się do ludzi Slokyma, dodał jeszcze: – Wy lepiej zostańcie tutaj.

Kapral zrobił buntowniczą minę, jednakże baron skwitował to wzruszeniem ramion.

– Chyba źle się wyraziłem – rzekł miłym tonem. – Nie tylko będzie lepiej, jak tutaj zostanieie. To jest wręcz wskazane. Czy teraz to już jasne?

Kapral rzucił dowódcy pytające spojrzenie, Slokym wszakże tylko potrząsnął głową.

– Oczywiście, mój panie.

– Doskonale – skwitował baron Zielonej Doliny. – Nie martwcie się, kapralu. Jestem uzbrojony, uzbrojony jest również kapitan Slokym.

Zresztą nikt w tym pałacu nie zamierza podnieść na mnie ręki. Dobrze mówię, ojcze? – Uniósł brew w stronę duchownego, który prędko potaknął skinieniem. – No to mamy pełną jasność – ucieszył się baron. – Zatem... ojcze... prowadź do gabinetu arcybiskupa.

Mężczyzna, który podniósł się ze swego miejsca na widok barona Zielonej Doliny przekraczającego próg obszernego, pełnego książek pomieszczenia, miał rzedniejące siwe włosy, wysokie czoło i niezwykle inteligentne, aczkolwiek w tej konkretnej chwili zafrasowane spojrzenie szarobłękitnych oczu, które skrywał za okularami w metalowej oprawce siedzącymi mu na czubku przypominającego dziób nosa. Ubrany był on w białą sutannę arcybiskupią noszącą symbol Zakonu Pasquale i wydawał się znacznie bardziej opanowany niż ojciec Avry.

Zarazem, co baron Zielonej Doliny zauważył ze sporą dozą współczucia, które zadziwiło go samego, hierarcha wyglądał na kompletnie wyczerpanego. Clareyk dla pewności porównał to, co widzi, z obrazem zarejestrowanym przez SAPK-i dwa lata wcześniej – i musiał przyznać, że człowiek, którego miał przed sobą, postarzał się w tym czasie o dobre dziesięć lat.

– Mój panie... – rzucił na powitanie arcybiskup Arthyn.

– Eminencjo... – zrewanżował się baron Zielonej Doliny i skłonił głębiej, aniżeli by wymagała tego zwykła uprzejmość. Arthyn Zagyrsk nie zdołał się powstrzymać pomimo swego opanowania i uniósł w zdumieniu obie brwi, a baron wyprostował się i dodał: – Od dawna wyczekiwałem naszego spotkania.

– Ach tak? – Zagyrsk uśmiechnął się smutno. – Chyba nie powinno mnie to dziwić. Lake City jest... to znaczy było ostatnią stolicą pozostającą w rękach Armii Boga. Ja zaś jestem ostatnim arcybiskupem Kościoła Matki w Republice Siddarmarku. Można by powiedzieć, że coś się kończy...

– Można by – zgodził się baron Zielonej Doliny. – Nie będę udawał, że nie rozpira mnie zadowolenie z faktu, że jatka, jaką urządził Zhaspahr Clyntahn w tej domenie, nareszcie odchodzi do przeszłości. – Spojrzenie baron miał jeszcze smutniejsze niż arcybiskup uśmiech przed chwilą. – Sprawiedliwość sprawiedliwością, lecz niestety nic nie zadośćuczyni za ból i śmierć, o które ten człowiek przyprawił niezliczone rzesze Siddarmarczyków.

– Też się tego obawiam – przyznał Zagyrsk, potrząsając głową dla emfazy. – Spodziewam się jednak, że przyszedłeś tu, aby wymierzyć sprawiedliwość hierarchom Kościoła Matki. Jestem gotów ponieść taką karę, jaką twój cesarz i cesarzowa oraz oczywiście lord protektor postanowią na mnie nałożyć. Chciałbym tylko prosić, aby okazano łaskę osobom takim jak ojciec Avry, który nie miał innej możliwości, jak wypełniać moje rozkazy.

Ojciec Avry zrobił taki grymas, jakby chciał zaprzeczyć słowom zwierzchnika, ale baron Zielonej Doliny odezwał się, zanim duchowny zdążył zaprotestować.

– Chyba nie do końca się rozumiemy, eminencjo. Owszem, cieszy mnie to, że wyzwoliłem Lake City z rąk Zhaspahra Clyntahna i jego rzeźników. I otrzymałem rozkazy dotyczące twojej osoby. Mam cię poinformować, że cesarz Cayleb, cesarzowa Sharleyan oraz lord protektor Greyghor Stohnar są w pełni świadomi tego, od jak dawna i z jakim poświęceniem ty sam, obecny tu ojciec Avry oraz niejaki ojciec Ignaz walczyliście, aby zmitygować Inkwizycję w jej poczynaniach. Nie jest tajemnicą, iż nalegaliście, aby więźniowie obozów koncentracyjnych skazani na pracę przymusową w prowincji Tarikah otrzymywali odpowiednie wyżywienie i opiekę uzdrowicieli. Wiadomo nawet, że otwarcie sprzeciwiłeś się inkwizytorowi generalnemu. I że ojciec Ignaz zdołał przesznułować osiem setek dzieci z obozu Św. Tailahra, tym samym sprzeniewierzając się rozkazom swoich zwierzchników. I że ty skutecznie broniłeś mieszkańców prowincji Tarikah przed łapami Inkwizycji. Nie byłeś w stanie zapobiec wydarzeniom poza jej granicami ani niestety zahamować akcji Miecz Schuelera rozgrywającej się na jej terenie. Wszystko, co robiłeś jednak, miało na celu ochronę zwykłych ludzi; zarówno reformistów, jak i lojalistów Świątyni. I to od samego początku. Wracając zatem do poruszonej uprzednio kwestii, tak otrzymałem rozkazy, które ciebie dotyczą. Wymagają one ode mnie, abym pozostawił cię na twoim dotychczasowym stolcu arcybiskupim, żebyś mógł dalej czynić dobro. Nie potrafię powiedzieć, czy pozostaniesz na swoim stanowisku także po tym, jak święta wojna się zakończy, ale jak powiada Pismo, „owieczki rozpoznają dobrego pasterza”. Jest to prawdą również w wypadku pary cesarskiej i lorda protektora.

.VI.
Świątynia
Syjon
Ziemie Świątynne

Allaynie, przypuszczam, że nadal będziesz się upierał, iż Walkyr był najlepszym kandydatem na głównodowodzącego tą armią? – zapytał nieprzyjemnym tonem Zhaspahr Clyntahn.

Przysadzisty wielki inkwizytor pochylił się do przodu i opierając łokcie o blat, wysunął wojowniczo szczękę w stronę Allayna Maigwaira, który siedział obok Rhobaira Duchairna po drugiej stronie stołu. Przed oboma tymi hierarchami piętrzył się podwójny stos dokumentów, zza których ledwo ich było widać. Zahmsyn Trynair zajmował miejsce u szczytu stołu, gdyż tego pięciodnia to on formalnie nadzorował spotkania Grupy Czworoga. Choć jednak powinien protokołować wymianę zdań, ręce miał puste, a przed nim nie było na blacie żadnego papierka. Minę zaś robił taką, jakby chciał być wszędzie, byle nie w komnacie narad.

Raczej więc nie można było liczyć, że spróbuje powstrzymać zapędy Clyntahna. I rzeczywiście. Maigwair, nie doczekawszy się reakcji z jego strony, posłał mu tylko pogardliwe spojrzenie i zwrócił wzrok na Clyntahna.

– Zważywszy na fakt, że Walkyr zdołał utrzymać swoje wojska w kupie mimo łomotu, jaki zebrały za sprawą dwu heretyckich armii, owszem, będę się upierał, że nie było lepszego od niego kandydata. –

Wytrzymał wyzywające spojrzenie wielkiego inkwizytora. – Gustyv zdecydował się wycofać na z góry upatrzone pozycje, zamiast podkulić ogon pod siebie i zwyczajnie zwiać, jak by zrobiła większość dowódców na jego miejscu. Z kolei Rhobairowi – ruchem głowy wskazał Duchairna – udało się przesunąć zgrupowanie Ahubraia Zheppsyna, czyli jakieś trzydzieści tysięcy ludzi i dwieście dział, tak by połączyć jego siły z siłami Klemymta Gahsbahra stacjonującego w Glydahrze. Dzięki temu

tamtejszy garnizon osiągnął z powrotem liczebność około czterdziestu tysięcy ludzi, mimo że wcześniej na prośbę hrabiego Tęczowych Wód oddelegował część swoich oddziałów na jego potrzeby. Tymczasem Zheppsyn i Gahsbahr w dalszym ciągu rozbudowują i wzmacniają fortyfikacje, które opuścił hrabia Jedwabnych Wzgórz, przemieszczając się na południe. – Maigwair leciutko zaakcentował ostatnie cztery słowa. – Gustyv za to buduje linie solidnych umocnień pomiędzy Św. Vyrdyn a wodami Sair.

– Ponad trzysta mil na północ od jego wyjściowych pozycji! – wytknął złośliwie Clyntahn. – Niech Chihiro nas chroni przed podobnymi militarnymi triumfami! Nie wspominając o tym drobiazgu, do którego doszło pod Mercyrem...

– Nie twierdzę, że to nie było bolesne – powiedział Maigwair. – Może zdołalibyśmy tego uniknąć, gdybyśmy mieli więcej dragonów na pierwszej linii. Tymczasem bez większego oddziału jazdy Brygham nie był w stanie powstrzymać konnej piechoty księcia Eastshare od dostania się na jego tyły. Później, co oczywiste, nie było mowy o oswobodzeniu okrążonych jednostek. Tak się jednak składa, że Brygham nadal walczy zaciekle, utrzymując ten odcinek traktu. Czy wolałbym, aby uwolnił się z pułapki i wsparł Walkyra? Jasne, że tak! Nawet w tej sytuacji jednak uważam, że on i jego ludzie nie mają się czego wstydzić. Gdyż do tej pory wykonują rozkazy, które im wydaliśmy, i to z dobrym skutkiem!

Clyntahn prychnął lekceważąco, lecz nie drażył tematu. Duchairn pomyślał, że to zapewne dlatego, iż Lainyl Brygham jest synem pewnego długoletniego sojusznika z Rady Wikariuszy. Nie bez znaczenia był również fakt, że to naprawdę dobry dowódca, który nieraz wykazał się zaciętością buldoga, której nie stracił aż do tej pory. Podsumowując, Allayn Maigwair podjął jedną z lepszych decyzji osobowych, powierzając mu dowodzenie nad jednym ze zgrupowań Walkyra.

Co do przyczyn, z jakich Brygham znalazł się w pułapce pod Mercyrem, naczelny wódz Kościoła Matki zapewne miał rację. I niewątpliwie nie polepszał jego humoru fakt, że od bardzo dawna i bardzo usilnie sam starał się o to, by dorównać mobilnością jednostkom Cesarskiej Armii Charisu. Pocieszać mógł zaś się jedynie tym, że konna piechota nie na wiele by się zdała na gęsto porośniętym lasami terenie. No i że Brygham mimo wszystko nie uległ panice. Przeciwnie, zgodnie z otrzymanymi rozkazami wykorzystał niemal połowę stanu osobowego

swojej piechoty oraz artylerii, by zablokować główny trakt i jak najdłużej nie dopuścić do niego siddarmarckiej Armii Sylmahn. Pozostała część jego jednostek została skierowana na północ, gdzie miała połączyć siły ze zgrupowaniem Ahntohnya Mahkgyła pod Blufftynem i posuwając się skrajem lasu, udaremnić wszelki pościg. Niestety tylko jakiemuś tysiącowi żołnierzy udało się ta sztuka, zanim Mahkgył został zmuszony do wycofania się. Resztę odcięły połączone siły Stohnara i księcia Eastshare.

Mimo że lord protektor i książę Eastshare działali odtąd wspólnie, kwestie logistyczne ich wojsk nie wyglądały najlepiej, a to przez ograniczoną przepustowość wiejskich dróg i bitych traktów, które ciągnęły się między Blufftynem i Waymeetem oraz Pięcioma Rozstajami. W efekcie nie dało się przetrzymać w potrzebujące rejony odpowiednich ilości żywności, amunicji i szczególnie artylerii. Zatem dopóki Brygham kontrolował Mercyr, a hrabia Złotego Drzewa blokował trakt pod Sairmeetem, Wielki Las Tarikah miał wartość sam w sobie jako blokada, która chroni północne zgrupowania Armii Pana Wszechmogącego przed oddziałami Stohnara.

Naturalnie wszystko to traci na znaczeniu wobec wydarzeń rozgrywających się na północ od Wielkiego Lasu Tarikah, pomyślał skarbnik Kościoła Matki, który mniej się obawiał utraty Lake City (uświadomił sobie niemożność utrzymania tego miasta w rękach hrabiego Tęczowych Wód tego samego dnia, gdy stało się dla niego jasne, że Charisjanie wystrychnęli ich na dudka w sprawie kampanii na południu), bardziej zaś tego, z jaką łatwością baron Zielonej Doliny przedarł się przez ostatnią linię miejskiej obrony. Wprawdzie Rhobair wiedział na ten temat mniej niż Maigwair, nawet to jednak wystarczyło, aby – jako człowiek odpowiedzialny za dostarczanie broni Armii Boga i Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów – dostał poważnego bólu głowy. Było bowiem dla niego jasne, że Charisjanie i Siddarmarczyce wykorzystali w swej kampanii nie tylko te przeklęte balony. A nawet brat Lynkyn nie miał pojęcia, jakim cudem heretykom udało się stworzyć równie mocarne pociski, i to praktycznie z dnia na dzień.

– Nie mogę powiedzieć, ażeby którykolwiek z naszych niezrównanych dowódców napawał mnie szczególnym zaufaniem – stwierdził z goryczą wielki inkwizytor, który zaczął nawet krytykować hrabiego Tęczowych Wód po tym, jak ów stanął w obronie hrabiego Kryształowego Jeziora

broniącego decyzji o zaprzestaniu obrony Lake City, a także po otrzymaniu raportu od Ahlbaira Saintahva dotyczącego spotkania hrabiego z Gustyvem Walkyrem. – Przy okazji... O co chodzi z tym planem wycofania się hrabiego Jedwabnych Wzgórz?

– To plan awaryjny, Zhaspahrze – odparł Maigwair i potrząsnął głową. – Obecnie mamy jasność co do tego, że heretycy ani myślą atakować Przełęczy Tymkyna... zakładając, że brali to kiedykolwiek pod uwagę. Jak na razie siły hrabiego Jedwabnych Wzgórz trzymają się mocno pod Tallasem. Problem polega na tym, że hrabia Wysokiego Wzgórz zdaje się napierać z całych sił na Przełęcz Reklaira i że co najmniej jedna trzecia armii Ahlvyna Symkyna zawróciła na południe, aby do niego dołączyć, zamiast przeć przed siebie na północ razem z księciem Eastshare. Gdy wziąć pod uwagę to oraz fakt, jak usilnie heretycy starali się nas przekonać, że zaatakują Przełęcz Tymkyna, można przyjąć, że tak naprawdę chcą, by generał Symkyn i hrabia Wysokiego Wzgórz przebili się przez Przełęcz Reklaira, a także przez Tallas, jeśli to tylko będzie możliwe, celem zdobycia Wedtharu. To obecnie największe miasto Marchii Południowej, które pozostaje nadal w naszych rękach. To łakomy kąsek w każdych okolicznościach, szczególnie jednak teraz, gdy w Dohlarze wyprawia się to, co się wyprawia!

Na wzmiankę o Dohlarze kwaśna mina Clyntahna zmieniła się na grobową. Wielki inkwizytor nadal żywił urazę do hrabiego Thirsku, winiąc go za niepowodzenia dohlariańskiej floty. Do tego fakt, że rzeczony hrabia pozostał na stanowisku dowódcy wspomnianej floty, drażnił go niczym ość tkwiąca w gardle. Nie zważał przy tym, że nikt inny nie walczył z opancerzonymi okrętami wroga z równą skutecznością i pomysłowością, i zajadle krytykował defetyzm i niewiarygodność hrabiego, wieszcząc przy okazji katastrofę, gdy do Syjonu dotarły wieści, że Charis rozpoczął od dawna wyczekiwany atak na Gorath.

– Wiem, że nie chcesz słyszeć ani słowa o Dohlarze – kontynuował Maigwair, mierząc się z problemem – tak samo jak nie jest mi obca myśl, że wszystkich nas martwi obecna sytuacja Gorathu. Jeśli nawet Dohlarianom uda się odeprzeć ten szturm, heretycka flota utrzyma kontrolę nad zatoką i zamknie ją dla nas na czas nieokreślony. Nie zdołamy jej w tym przeszkodzić. Oczywiście więc, że kwestia Wedtharu jest tak istotna. To ważne skrzyżowanie szlaków... Kiedy utracimy

zatokę, możemy mieć poważne problemy z zaopatrywaniem hrabiego Jedwabnych Wzgórz. Jeśli heretycy zajmą rozstaje, przypadnie cała jego artyleria, w najlepszym wypadku, ponieważ nie będzie w stanie jej wycofać. – Wzruszył ramionami. – Przyznam, że ulżyło mi na wieść, że rozpoczął już pracę nad planami ewakuacji. To nie znaczy jeszcze, Zhaspahrze, że zamierza ogłosić odwrót, na razie zastanawia się tylko, jak postąpić w razie takiej konieczności, i zapewniam cię, że stawi zaciekły opór, jeśli zostanie do takiego manewru zmuszony. To naprawdę istotna różnica.

– Z tego, co widzę, każda nasza zawszona armia kieruje się teraz na zachód, zamiast maszerować na wschód! – wycharczał Clyntahn. – Nie dość, że ta gnida hrabia Thirsku wypina dupsko w stronę heretyków, zapraszając ich, by je skopali, to jeszcze pozostali dowódcy nie zajmują się niczym innym prócz snucia planów, co zrobić, gdy i im się oberwie. Kombinują bez ustanku, jak się zabezpieczać... czy też osłaniać tyły... podczas odwrotu, zamiast myśleć o pokonaniu wroga! Ty, Allaynie, może nie dostrzegasz różnicy, ale ja chciałbym zobaczyć wreszcie kogoś, kto będzie miał tyle odwagi, by wytrwać na swoich pozycjach, nie oddając piędy ziemi, i udowodnić, że Bóg słusznie pokładał w nim nadzieję!

Chyba i jego zaczyna dopadać zwątpienie, skoro zaczyna od krytyki Harchończyków, a nie własnych ludzi, pomyślał Duchairn, wpatrując się uważnie w oblicze zagniewanego wielkiego inkwizytora.

Nietrudno było zrozumieć powody obaw Clyntahna. Imperium Charisu i Republika Siddarmarku nie odniosły zdecydowanego zwycięstwa na żadnym froncie... Przynajmniej do tej pory. W Lake City mało brakowało, ale dzięki szybkiemu odwrotowi hrabiego Kryształowego Jeziora udało się zapobiec przełamaniu frontu na północ od Wielkiego Lasu Tarikah. Mimo to siły Kościoła Matki były spychane wszędzie, a ewentualne połączenie sił Armii Westmarch księcia Eastshare z oddziałami Armii Sylmahn lorda protektora Stohnara spędzało sen z oczu każdego hierarchy. Dlatego tak ważne było, by Brygham zdołał obronić Mercyr. Tyle że ten bastion prędzej czy później także upadnie bez względu na to, jak heroiczny opór stawiają tam wierni. Nawet Clyntahn zrozumiał, że może temu zapobiec tylko prawdziwy cud. A gdy kwatermistrzowie armii księcia Eastshare i lorda protektora Stohnara zyskają możliwość wykorzystania traktu przecinającego Wielki Las Tarikah, postępy wroga zdecydowanie przyspieszą.

Pytanie tylko, w którym kierunku ruszy ofensywa.

Jeśli Charis rzuci wszystkie siły na zachód, przeciw wycofującej się armii Walkyra, i zdobędzie Glydahr, księstwo Sardahnu odpadnie z koalicji. Co więcej, utracone zostaną szlaki zaopatrzeniowe tych wszystkich biskupów polowych, którzy zdołają przetrwać upadek Glydahru, przez co zagrożony zostanie Kanał Świętego Langhorne'a na zachód od wzgórz Tairohn. To z kolei może pozbawić zaopatrzenia wojska hrabiego Tęczowych Wód i w konsekwencji, zmusić je do odwrotu.

Nie dało się jednak wykluczyć, że Charisjanie wybiorą wersję, która hrabiemu Tęczowych Wód wydawała się najbardziej prawdopodobna: zamiast uderzać w kierunku zachodnim, będą kontynuować marsz na północny zachód, by sforsować rzekę Ferey i uderzyć na Mhartynsberg w baronii Charlz, gdzie dojdzie do blokady wspomnianego kanału. Trzecim rozwiązaniem wydawał się marsz na północ, wzdłuż zachodnich krańców Wielkiego Lasu Tarikah, co pozwoliłoby na okrążenie od południa pozycji wojsk hrabiego Tęczowych Wód nad jeziorem West Wing, podczas gdy nieustanne frontalne ataki jednostek barona Zielonej Doliny uniemożliwiałyby im odwrót.

Na razie jednak wszyscy generałowie Kościoła Matki kontynuowali powolny odwrót pod nieustannym ostrzałem, oddając teren bardzo powoli czy też – jak w przypadku Bryghama w Myrcyrze – okopując się i broniąc heroicznie pomimo całkowitego okrążenia. W trakcie prowadzonych walk zadawali siłom wroga, a zwłaszcza armii charisjańskiej, bardzo wysokie straty, lecz Imperium Charisu i Republika Siddarmarku zdawały się gotowe na zapłacenie tak wysokiej ceny. Nic nie świadczyło o tym, by armia barona Zielonej Doliny zamierzała zwolnić tempo marszu. Niedawny pokaz siły jej nowej artylerii był tak zatrważający, że strach pomyśleć, co się wydarzy, jeśli te oddziały rzeczywiście rozpoczną wiosenną ofensywę, na co wszystko wskazywało...

Niespodziewane otwarcie drzwi komnaty wyrwało skarbnika z wiru niewesołych myśli.

– Wybaczcie to najście, wasze łaskawości – rzucił pośpiesznie Wyllym Rayno, zwracając się do całej czwórki wikariuszy, choć wzrok skupiał wyłącznie na Clyntahnie. – Obawiam się, że otrzymaliśmy... bardzo

niepokojące wieści.

– Ciekawe, cóż znowu zostało spieprzone – obruszył się wielki inkwizytor. – Schueler świadkiem, że wysłuchałem już dość złych wieści, zanim tu wtargnąłeś!

– Zdaję sobie z tego sprawę, wasza łaskawość. Niestety sprawa jest tak pilna, że postanowiłem niezwłocznie was o niej powiadomić. –

Arcybiskup Chiang-wu zaczerpnął tchu, by zapanować nad zdenerwowaniem. – Wasze łaskawości, wygląda na to, że ksiązę Fernu złożył rezygnację z funkcji głównego doradcy dworu, a król Rahnyld mianował na jego miejsce hrabiego Thirsku.

– Co takiego?! – Clyntahn, któremu twarz aż posiniała, zerwał się z fotela. – Hrabia Thirsku głównym doradcą dworu?!

– Obawiam się, że tak, wasza łaskawość. – Trzeba było przyznać, że Rayno nie dał się zastraszyć i śmiało spoglądał w miotające gromy oczy przełożonego. – Dysponujemy na razie tylko fragmentarycznymi informacjami, ale jeśli wierzyć pierwszym raportom, król nakazał aresztowanie biskupa polowego Wyrshyma i ojca Ahbsahlahna. Pojmano także wielu agentów Inkwizycji rezydujących w Gorathu, a armia tej domeny jest obecnie dowodzona przez sir Rainosa Ahlvereza. Nadto... – arcybiskup poddał się w końcu i pochylił głowę – ...hrabia Thirsku poprosił heretyków w Sarmouth o rozejm.

– Wiedziałem! – Wielki inkwizytor walnął obiema pięściami w blat stołu. – Przeczuwałem to, u diabła! Od miesięcy wam powtarzałem, bezmózgie durnie, że ten zdrajca tylko czeka, by zwrócić się przeciw nam! Ale to... to! – Łomotał w stół z coraz czerwieńszą twarzą. – Całe to pieprzone królestwo odwraca się od Kościoła Matki. Zdradza samego Boga! Shan-wei musi tańczyć z radości w czeluściach piekieł, ponieważ to wy trzej odwodziliście mnie na wszystkie sposoby od myśli o ściągnięciu tutaj hrabiego i rozliczeniu się z nim jak trzeba, zanim zaprzeda swoją domenę! Jak myślicie, co wydarzy się po jego odejściu z naszych szeregów? Nie uważacie, że wszystkie pozostałe śmieci i gnidy, które nazywamy sprzymierzeńcami, nie rozważają już pójścia w jego ślady? Zapewniam was, że o niczym innym dzisiaj nie marzą!

Duchairn zerknął ukradkiem na Maigwaira, ale żaden z nich się nie odezwał, co sprawiło, że Clyntahn jeszcze bardziej się wściekł. Potem jednak znów spojrzął na Rayna, unosząc znacząco palec.

– Rozkazuję, aby natychmiast pojmano każdego Dohlarianina, który przebywa obecnie na terenie Ziemi Świątynnych! – wrzasnął. – Każdego, Wyllymie, rozumiesz, co mówię?! Mają zostać osadzeni, przesiani, a każdy z nich... każdy!.. powiadam... który ma jakiegokolwiek powiązania z hrabią Thirsku albo innym zdrajcą Kościoła Matki, niech zostanie poddany Karze Schuelera! Mam w dupie, kim byli do tej pory, jakie pozycje zajmowali, a nawet z kim są spokrewnieni. Każdy z nich ma się znaleźć w celi przed upływem dwudziestu sześciu godzin!

– Nakazałem już naszym inkwizytorom, by sprowadzili do Świątyni najbardziej prominentnych spośród nich – odparł Rayno – ale na terenach Ziemi Świątynnych przebywa obecnie naprawdę wielu Dohlarian. Większość nadzorców w naszych odlewniach i manufakturach, nie mówiąc już o sporej części pracowników, to ludzie pochodzący właśnie z tej domeny. Wątpię, abyśmy dysponowali wystarczającą liczbą agentów, aby ich wszystkich areszto...

– Nie pieprz mi tu, że brakuje ci ludzi! – warknął Clyntahn. – Najmij ich, jeśli trzeba! Przenieś każdego, kogo możesz, ale załatw tę sprawę, Wyllymie!

– Oczywiście, wasza łaskawość! – Rayno pokłonił się głęboko. – Zaraz się tym zajmę.

– Tylko nie spieprz tego. Do roboty!

– Jak każesz, wasza łaskawość.

Rayno pokłonił się ponownie, jeszcze głębiej, po czym zniknął, a Clyntahn wrócił w końcu na swoje miejsce. Wciąż jednak emanowała z niego czysta wściekłość, tak ogromna, że powietrze w komnacie zdawało się od niej drżeć.

– Nie mamy jeszcze pewności, co się tam wydarzyło – powiedział Duchairn ostrożnie i zaraz się wzdrygnął, gdy spoczął na nim wzrok wielkiego inkwizytora. – Nawet Wyllym twierdził, że otrzymał fragmentaryczne raporty...

– Dobrze wiemy, co tam się dzieje! – zagrzemiał Clyntahn. – Ten wredny kutas planował to od samego początku, od momentu, w którym odmówił wydania swoich ukochanych heretyków na Karę Schuelera!

Duchairn otworzył usta, by mu odpowiedzieć, ale powstrzymał się w ostatnim momencie. Siedzieli w kompletnej ciszy, wyobrażając sobie, jakie konsekwencje mogą mieć ostatnie wydarzenia w Dohlarze.

Na dobrą sprawę to niewiele zmienia, pomyślał skarbnik.

Charisjańska blokada zatoki już wcześniej odcięła Południowy Harchong i Dohlar od Ziem Świątynnych oraz północnego frontu, na którym toczyły się decydujące zmagania. Wycofanie królestwa ze świętej wojny pozwoli Armii Thesmaru dowodzonej przez hrabiego Hanthu na połączenie sił z wojskami księcia Wysokiego Wzgórza, co może przyspieszyć konieczność wycofania oddziałów hrabiego Jedwabnych Wzgórz, lecz na pewno jeszcze nie teraz, ponieważ hrabia musiał najpierw przerzucić trzon swoich sił na nowy front, a na to trzeba było czasu. Chociaż w tym akurat wypadku nie czas był najważniejszy.

Kościół Matka mógł teraz liczyć wyłącznie na skarbce Ziem Świątynnych i – jakże niewielkie – kontrybucje wpłacane przez Księstwa Graniczne oraz Północny Harchong. Najgorsze jednak było to, że kościelne armie zaopatrywano z terenów podlegających Syjonowi i znikąd indziej.

Wprawdzie Armia Pana Wszechmogącego i Archaniołów nadał opierała się atakom wroga, a wojska Harchongu wysyłały drogą lądową wsparcie w sile żywej, jednakże po zablokowaniu przez Charisjan cieśnin nie było już sposobu na pozyskanie broni produkowanej w odlewniach na północy Harchongu, surowców z tamtejszych kopalni czy też płodów rolnych z terenów leżących na południe od Gór Chiangwu, zwłaszcza po tym, jak wróg odzyskał kontrolę nad wyspą Szpon. Teraz, gdy cała zatoka została zamknięta, jedynym szlakiem wodnym prowadzącym na Ziemi Świątynne była Rzeka Świętego Cahnyra, tocząca swe wody z podnóża Gór Langhorne'a, potem kanał Hayzor–Westborne znajdujący się na odległych krańcach prowincji Maddox. Szlakami tymi można było przewieźć co najwyżej pięć procent tego, co wyprodukowało cesarstwo, cała reszta broni i zapasów zaś równie dobrze mogłaby się znajdować na księżycach Schronienia.

Krainy Graniczne nie są w stanie sprostać naszym potrzebom, uznał Duchairn. Nie mówiąc o tym, że wiele z nich może nie mieć na to ochoty. Ten cholernik Zhaspahr być może ma jednak rację... o ile Charis i Siddarmark okażą się na tyle przewidujące, że zaproponują hrabiemu dobre warunki ugody. Jeśli armie imperium i republiki wejdą głębiej na terytoria księstw, ich władcy z pewnością zaczną się poważnie zastanawiać nad pójściem w ślady Dohlaru i Chisholmu, Szmaragdu i Corisandu, Tarota oraz całej reszty domen, które zawarły pokój

z Charisem bądź przynajmniej zarzuciły udział w świętej wojnie, jak to zrobił Desnair.

To już koniec.

Ta myśl pojawiła się w głowie skarbnika bardzo naturalnie, spokojnie nawet, mógłby wręcz przysiąc, że poczuł coś na kształt... ulgi. Nie, to nie była ulga. Użył niewłaściwego słowa, ale nie umiał przywołać tego właściwego, które opisałoby lepiej dziwną pustkę i dźwięczną ciszę przepelniającą zakamarki jego duszy.

Przystało mieć znaczenie, czego Brygham, Walkyr albo hrabia Tęczowych Wód dokona na froncie, do takiego wniosku po chwili zastanowienia doszedł Duchairn. Od tej pory Świątynia nie będzie w stanie dostarczyć im dostatecznej ilości jedzenia, amunicji czy choćby ludzi. Nawet gdyby ich oddziały walczyły jak sam Chihiro, i tak nie zdołają niczego zmienić.

Widząc to samo zrozumienie w oczach Maigwaira, zaczął znów otwierać usta. Nie wiedział jeszcze, co chce powiedzieć, jakie słowa dobrać w tej sytuacji, tym bardziej więc się ucieszył, słysząc, że ktoś inny go wyręczył.

– Myślę, że nadszedł najwyższy czas, by... rozpocząć bezpośrednie rozmowy z Caylebem, Sharleyan i Stohnarem.

Za tymi ostrożnymi słowami stał Zahmsyn Trynair. Skarbnik zrobił wielkie oczy, gdy zobaczył, z jaką obawą kanclerz spogląda na wielkiego inkwizytora.

Przez kilka sekund Clyntahn zachowywał się tak, jakby ogłuchł. Dopiero po dłuższej chwili odwrócił wolno głowę, by spojrzeć na Trynaira.

– Co powiedziałeś? – zapytał, gestem zachęcając Trynaira do powtórzenia.

To wzbudziło jeszcze większe zdziwienie skarbnika. Zhaspahr Clyntahn odezwał się niemal grzecznie, jakby uznawał rację kanclerza. Gdy na niego spojrział, przechylając lekko głowę, minę miał równie spokojną jak ton głosu..

– Powiedziałem... Powiedziałem, że może czas skontaktować się z Caylebem, Sharleyan i Stohnarem – wyrzucił z siebie Trynair, pochylając się mocniej. – Wiem, że żaden z nas nie chce nawet myśleć o czymś równie niegodnym, ale... Jeśli sytuacja jest tak... poważna, na

jaką wygląda, nie możemy liczyć na wygraną w tej wojnie. Chyba więc rozsądniej będzie zakończyć ją na drodze rozmów dyplomatycznych.

– Rozmowy dyplomatyczne – podchwycił Clyntahn. Opadł na oparcie fotela, składając ręce na brzuchu, po czym uniósł znacząco brew. – Jak dokładnie to sobie wyobrażasz, Zahmsynie?

– Cóż – odparł Trynair po chwili wahania. – Myślę, że powinniśmy zacząć od tego, co czeka Kościół Matkę w razie, gdybyśmy kontynuowali tę wojnę. Rozeznajmy się we własnych możliwościach, spróbujmy ustalić, jak się one mają w stosunku do potencjału heretyków. A potem przedstawmy wrogowi realistyczne żądania.

– Przy okrągłym stole, jak mniemam?

– Tak – potwierdził Trynair, ożywiony myślą, że wielki inkwizytor w ogóle chce z nim rozmawiać na ten temat. – Lepiej zawczasu wiedzieć, na co możemy liczyć, a na co nie. Nim zasiądzie się do negocjacji, warto ustalić silne i słabe punkty obu stron. Wtedy łatwiej przedstawiać żądania... lub iść na ustępstwa... ponieważ wszyscy są na równi świadomi ceny, jaką im przyjdzie zapłacić za dalszą walkę.

– Moim zdaniem nie mniej ważna jest świadomość, na ile można ustąpić przeciwnikowi. Zwłaszcza gdy negocjacje mają być prowadzone w imieniu Boga. – Wielki inkwizytor mówił nadal tym samym spokojnym tonem, choć jego oczy miotały tysiące zimnych jak lód igieł, które, o dziwo, wpijały się w kręgosłup Duchairna.

– Oczywiście! – przytaknął zdecydowanie kanclerz, od którego teraz aż biła pokora. Wyglądał jak ktoś, kto właśnie budzi się z transu i odkrywa, że jego zdolności dyplomatyczne mogą się jeszcze na coś przydać. – Trzeba zdawać sobie sprawę, co jest w zasięgu ręki, a co nie – kontynuował. – Wiadomo, że w czasie negocjacji rzadko osiąga się wszystkie założone cele. Jestem pewien, że jak tu siedzimy, zgodzimy się co do jednego: Kościół Matka nigdy nie zrzeknie się roli przewodniej. To absolutne minimum. Możemy jednak przystać na niektóre mniej drażliwe żądania heretyków.

– A ja uważam, Zahmsynie, że Kościół Matka nie może ustąpić heretykom na żadnym z doktrynalnych pól – oświadczył wielki inkwizytor po chwili namysłu.

– Naturalnie! – poparł go Trynair błyskawicznie. – Co to, to nie! Nigdy bym nie sugerował ustępstw tego rodzaju!... Nic nie stoi jednak

na przeszkodzie, aby wyszła od nas sugestia, że jesteśmy skłonni do podobnych ustępstw. To na pewno pomoże podjąć takie rozmowy. Wydajmy oświadczenie, że jesteśmy gotowi do podjęcia negocjacji, doprowadźmy do przerwania ognia, a... jestem pewien... uda nam się przeciągnąć przygotowania do wzajemnych rozmów co najmniej do końca lata. Zaufaj mi, Zhaspahrze, mam ludzi, którzy są naprawdę dobrzy w te klocki! – Kanclerz się uśmiechnął. – A gdy już zasiądziemy przy stole, przeciągniemy negocjacje do pierwszych śniegów, co znowu uniemożliwi wznowienie walk. Dzięki temu zyskamy całą zimę na poprawę naszej sytuacji militarnej, w efekcie czego w nowym roku będziemy mieć lepszą pozycję przetargową. Im dłużej potrwa przerwa, tym trudniej będzie im nas pokonać drogą podboju. A im wyższe potencjalne straty... tym większa chęć do ustępstw.

– Ty naprawdę wierzysz, że jesteś w stanie doprowadzić do sensownej ugody pomiędzy Kościołem Matką a kimś takim jak Cayleb Ahrmahk czy Greyghor Stohnar? Wybacz mój sceptycyzm, ale chyba przelaliśmy zbyt wiele krwi, by liczyć na zawarcie rozejmu.

– Nie mam pewności, czy to się uda – przyznał Trynair. – Wiem tylko, że biorąc pod uwagę naszą obecną sytuację, może to być nasza jedyna szansa. Czy uda mi się nakłonić heretyków do zaakceptowania naszych warunków, pozostaje pytaniem otwartym, lecz negocjacje przy jednym stole dają nam przynajmniej jakieś szanse. Decydując się na kontynuowanie świętej wojny i ryzykując porażkę, na którą przecież się zanoszą, godzimy się z tym, że to heretycy zaczną stawiać warunki nam. Taka sytuacja byłaby znacznie bardziej niekorzystna, Zhaspahrze.

– Domyślam się tego – przyznał wielki inkwizytor.

Siedział przez dłuższą chwilę, milcząc, zagłębiony w myślach, a potem skinął lekko głową i wyprostował rękę. Przesunął dłonią po boskim świetle na blacie, na co drzwi komnaty otworzyły się z trzaskiem przed agentem Inkwizycji, który czekał wraz z towarzyszami w sekretariacie.

– Tak, wasza łaskawość? – odezwał się służalczo mężczyzna, czyniąc znak berła Langhorne'a i gnąc się w pokłonie przed zwierzchnikiem.

– Aresztować go – rzucił Clyntahn obojętnym tonem, wskazując Trynaira.

Zahmsyn odchylił się powoli na oparcie fotela, spoglądając na Clyntahna z niedowierzaniem, jednakże odziany w purpurę agent skinął

tylko głową, jakby rozkaz aresztowania kanclerza Świątyni był dla niego czymś normalnym. Gdy podchodził do Trynaira, stukot jego obcasów o posadzkę rozbrzmiał przeraźliwie głośno.

– Wasza łaskawość pozwoli za mną. – Choć wypowiedział te słowa uprzejmym tonem, bił z nich czysty lód.

Kanclerz potrząsnął głową oszołomiony, nie spuszczać wzroku z Clyntahna.

– Zhaspahrze, proszę – wyszeptał. – Nie możesz... Ja...

– Doskonale wiem, co chciałeś powiedzieć, Zahmsynie – odparł Clyntahn, lecz po tym natychmiast prysł czar jego życzliwego zainteresowania. – Stwierdziłeś, że jesteś w stanie usiąść przy jednym stole z tym bękartem Caylebem i z jego dziwką Sharleyan, by sprzedać naszego Boga w zamian za uratowanie własnej dupy! – Przemawiał z zajadłością równą tej, która biła z jego oczu. – Powinienem być już dawno zrozumieć, że zdradzisz Stwórcę i Jego archaniołów przy pierwszej nadarzającej się okazji. Zapewniam cię jednak, że tak jak nasz Pan umie zadbać o swoich, tak Inkwizycja wie, co robić ze sprzymierzeńcami Shan-wei.

– Ale ja jej nie sprzyjam! – Trynair zerwał się z fotela, wyciągając przed siebie drżącą rękę. – Wiesz, że to nieprawda! Chciałem tylko ocalić Kościół Matkę przed upadkiem, który nam grozi, jeśli heretycy pokonają nasze ostatnie armie!

– Nie udawaj, że jesteś większym durniem niż w rzeczywistości – zakpił Clyntahn. – Kościół Matka to pomazaniec Boży. Nie może przegrać, dopóki o jego zwycięstwo walczy choćby jeden prawy człowiek! No ale wątpię, że zdrajca taki jak ty zdoła zrozumieć tę prostą prawdę.

– Ja...

Trynair zamilkł, jego twarz przybrała barwę papieru, przerażenie wylało mu się z oczu, gdy początkowy szok ustąpił narastającej panice. Spojrzał ponownie na Clyntahna, a potem przeniósł wzrok na Duchairna i Maigwaira.

– Nie licz na to, że cię obronią – rzucił wielki inkwizytor, aby skupić uwagę kanclerza na sobie, a następnie uśmiechnął się z pogardą. – W odróżnieniu od ciebie to wierni synowie Kościoła Matki. Wiedzą, na czym polegają ich obowiązki... Znają też konsekwencje, jakie ich czekają, gdyby zawiedli.

Duchairn zacisnął usta tak mocno, że zaczął się obawiać, czy wargi mu nie popękają, ale dzięki temu zdołał powściągnąć język. Nie było to łatwe, gdy patrzył w przerażone oczy Trynaira, lecz złowróźbna aluzja Clyntahna wciąż dźwięczała mu w uszach. Wielki inkwizytor był gotów na wszystko: równie dobrze mógł aresztować ich wszystkich, byle mieć wolną rękę i moc prowadzić dalej świętą wojnę. Skarbnik wiedział, że jeśli mu na to pozwolić, konsekwencje dla Kościoła Matki będą katastrofalne, jednakże sprzeciw nie miał najmniejszego sensu – nikt, kto sprzeciwi się Clyntahnowi, nie dożyje dnia, w którym ów upadnie razem ze Świątynią.

On oszalał, uznał Duchairn w duchu. W końcu kompletnie mu odbiło. Wie przecież... musi to wiedzieć równie dobrze jak ja, jak Allayn i jak Zahmsyn... że przegraliśmy świętą wojnę. Oczywiście nigdy tego nie przyzna. A może po prostu ma to gdzieś? Może zamierza prowadzić tę walkę aż do zagłady Kościoła Matki, o ile sam Bóg nie obali wcześniej Świątyni, na co Zhaspahr musi chyba skrycie liczyć... Tak czy owak, wyraźnie jest gotów zabić każdego, kto się z nim nie zgodzi.

Ponieważ wyzwanie rzucone przez Clyntahna wisiało nadal w powietrzu, cuchnące i paskudne, Rhobair Duchairn wbił się głębiej w fotel i zmusił się do spojrzenia prosto w zimne wężowe oczy wielkiego inkwizytora. Nie puścił pary z ust.

Nozdrza Clyntahna zadrżały, jego wargi wykrzywiły się przeraźliwie, gdy ponownie przeniósł wzrok na agenta.

– Zabrać go – rozkazał.

Obleczony w purpurę inkwizytor położył dłoń na barku Trynaira.

Kanclerz spojrzał na kata, ale zaraz spuścił głowę i skulił ramiona. Stał jeszcze przez chwilę w bezruchu, zanim agent pociągnął go ku sobie. Dopiero wtedy otworzył znów oczy – w których nie było niczego, ani strachu, ani nadziei. Wyszedł z komnaty chwiejnym krokiem, jak odurzony.

Zhaspahr Clyntahn przyglądał się tej scenie z uwagą, a potem podniósł się raptownie i stanąwszy za blatem, przeniósł wzrok na Duchairna i Maigwaira.

– Nie ma wytłumaczenia dla zdrady wikariusza, zwłaszcza gdy mowa o kimś, kto pełnił rolę kanclerza Kościoła Matki walczącego o przetrwanie w wojnie z całą potęgą piekieł! – Każde słowo, które

wypowiadał, było rżnięte z litego lodu, ale jego spojrzenie wydawało się jeszcze zimniejsze. – Posłuchajcie mnie uważnie. Każdy, kto waży się zdradzić sprawę świętej wojny... bez względu na swoją pozycję i zakres władzy... zapiera się Boga Jedyneho. Nie będę tego tolerował! Nigdy. Ramię Inkwizycji dosięgnie każdego zdrajcę i złamie go. – Miażdżył ich wzrokiem, jakby chciał, żeby mu się sprzeciwili. Gdy to się nie stało, nabrał głębiej tchu i dorzucił: – Może to i lepiej, że tak się wszystko skończyło... Czas, by dzieci Boga zobaczyły na własne oczy, że ten, kto zawodzi Pana, płaci najwyższą cenę. Święte Oficjum wpoi tę prawdę w serca ludzi już jutro, gdy Zahmsyn Trynair poniesie Karę Schuelera.

Zmierzył ich lodowym spojrzeniem raz jeszcze, po czym opuścił w milczeniu komnatę.

SIERPIEŃ
ROKU PAŃSKIEGO 898

.I.

Tawerna Stojak na Halabardy

Syjon

Ziemie Świątynne

Powiem szczerze – wyznał zatroskany kapitan Ahksynov Laihu, gdy kelnerka postawiła pełny kufel na stole, by zaraz oddalić się z dopiero co opróżnionym naczyniem. – Nigdy nie sądziłem, że będę świadkiem czegoś takiego. Nigdy.

Zanurzył nos w kuflu, by upić spory łyk ulubionego miodu, a potem odstawił go z hukiem na blat. Szmery rozmów w tle były tego dnia o wiele cichsze niż zazwyczaj. Gromkie powitania, rubaszne pokrzykiwania kierowane do ociągających się kelnerek – które nie pozostawały dłużne – i głośny szcęk naczyń wydawały się tego dnia wyjątkowo zduszone, jakby pośród zawiesiny tytoniowego dymu kryła się równie gęsta chmura ciszy.

– Niby dlaczego, sir? – zapytał siedzący po przeciwnej stronie kwadratowego stołu sierżant Phylip Preskyt. – To nie pierwszy wikariusz skazany na Karę Schuelera – doprecyzował, widząc pytające spojrzenie przełożonego.

Jedno jest pewne: Preskyt zawsze musi wtrącić swoje trzy grosze, pomyślał Ahrlah Mahkbyth, tuląc w dłoniach szklaneczkę whiskey.

Siedział pomiędzy kapitanem a sierżantem przy niewielkim stoliku upchniętym w ciasnej alkwie na samym końcu sali jadalnej. Było to jedno z najmniej dogodnych miejsc do picia, choćby z uwagi na znajdujące się tuż obok uchylne drzwi prowadzące do kuchni. Korowody kelnerek przewijały się bez ustanku, wynosząc zamawiane potrawy i wracając z opróżnionymi naczyniami, a wołania składających zamówienia były tak głośne, że czasem trzeba było krzyczeć, by dać się usłyszeć ponad harmidrem. Z drugiej strony, z głębi sali nie sposób było dostrzec tej łoży, a skoro jej bywalcy mieli kłopoty z usłyszeniem się nawzajem, nikt inny nie mógł poznać treści prowadzonych tu rozmów.

Nie powinienem był tu przyłączyć, uznał Mahkbyth, wodząc wzrokiem po obu gwardzistach Świątyni. Trza mi było siedzieć w domu, nie wychylać się i nie zwracać na siebie uwagi.

Niestety ostatnimi czasy było to raczej trudne.

Poszedł zobaczyć egzekucję Zahmsyna Trynaira z kilku – zagmatwanych nawet dla niego samego – powodów. Po części chodziło o to, co przyznawał sam przed sobą: chciał być świadkiem, jak kanclerz Świątyni umiera w mękach. Jego zdaniem bowiem – jeśli ktokolwiek zasłużył na Karę Schuelera – to właśnie czterej wikariusze odpowiedzialni za rozpętanie szaleństwa świętej wojny, przez które miliony ludzi postradały życie. Jednakże Mahkbyth, w przeciwieństwie do większości gapiów, wcale nie pragnął oglądać cierpień człowieka, którego traktowano rozgrzanym do czerwoności żelazem, ani słuchać trzasków ryczącego stosu pochłaniającego szczątki skazańca – chociaż skoro już to miało kogoś spotkać, nie widział lepszego kandydata niż Zahmsyn Trynair. Nie, to nie do końca prawda. Nie musiał specjalnie wysilać wyobraźni, by znaleźć kogoś, kto zasługiwał na podobną śmierć bardziej, niestety zdawał sobie sprawę, jak niewielkie są szanse, by zobaczył na mękach... samego Zhaspahra Clyntahna.

Poszedł na plac także dlatego, że odkąd Inkwizycja zamordowała Zhorzhet i Marzho, starał się podkreślać własną bogobojność. Rzygać mu się od tego chciało, ale znał wartość takiej mimikry. Udał się na miejsce kaźni z kilkoma dawnymi towarzyszami broni, z którymi służył ongiś w Gwardii Świątynnej. Podtrzymywanie tych kontaktów było częścią jego przykrywki, a informacje pozyskiwane od emerytowanego sierżanta już nieraz przydały się Sterowi. Poza tym kilku informatorów – takich jak Laihu i Preskyt – było jego przyjaciółmi przez całe dziesięciolecia, nic więc dziwnego, że tak chętnie się z nimi widywał. Mimo wszystko nie spodziewał się zaproszenia do Stojaka na kielbaskę i piwo. Po tak okrutnym spektaklu ostatnią rzeczą, o jakiej marzył, było napchanie sobie brzucha. Tymczasem okazało się, że zdążył zapomnieć o pragmatyzmie pozostających na służbie strażników, nie wspominając o pocieszce, jaką niosą ze sobą znajome smaki potraw i napitków.

Laihu był kilka lat młodszy od Mahkbytha, miał ciemne włosy i skośne oczy odziedziczone po harchońskich przodkach. Należał do grona ludzi, których nie dało się posądzić o brak inteligencji, zatem po niemal trzydziestu latach służby orientował się, i to nieźle, w brudach

ukrywanych pod fasadą Świątyni. Dawno, dawno temu, przez całe pięć lat Mahkbyth piastował stanowisko starszego sierżanta w plutonie dowodzonym przez porucznika Laihu. Pięć lat to szmat czasu, poznali się więc lepiej niż dobrze, ale mimo to Ahrloh wciąż zachodził w głowę, jakim cudem jego przełożony mógł przesłużyć kilka dekad w Gwardii Świątynnej, z czego co najmniej połowę na terenie Syjonu, nie przesiąkając cynizmem tak charakterystycznym dla tej formacji. Jeszcze bardziej dziwiło go, że Laihu nadal pracuje dla Świątyni. Mahkbyth wiedział bowiem nie od dziś, że jego były dowódca ma ogromne zastrzeżenia do sposobów, w jaki obecny wikariat stara się wypełniać (o ile można tak powiedzieć) wolę archaniołów.

Daj spokój, Ahrlohu, wiesz przecież, że cwana bestia z niego. Na pewno ma dość oleju w głowie, by nie poruszać tematów, które mogą go zaprowadzić na szafot!

Właściwie to już kilkakrotnie miał ochotę zrekrutować Laihu w szeregi swojej organizacji. Kapitan należał jednak do niewielkiego grona ludzi, którzy poważnie traktowali składane przysięgi. Istniało więc ogromne ryzyko, że nie zechce ich złamać nawet przez wzgląd na dawnego przyjaciela i słuszną sprawę.

Tak by bez wątpienia było przed wybuchem świętej wojny, pomyślał Mahkbyth. Dzisiaj mógłby jednak podejść do tematu inaczej. Albo i nie...

– Masz rację, Phylypie – przyznał Laihu z miną człowieka, który skosztował przed momentem zjełczałej kiełbasy. – Nigdy nie pogodziłem się z tym, co uczyniono wikariuszowi Hauwerdowi. Nigdy. Powiem ci dlaczego... – Spojrzał Mahkbythowi prosto w oczy. – Wikariusz Hauwerd i jego brat? Nie ma takiej możliwości, by byli winni tych okropności, o które ich oskarżano! Nie znałem za dobrze wikariusza Samyla, ale służyłem pod Hauwerdem, gdy jeszcze przewodził Gwardii Świątynnej. Ty także, Ahrlohu! Naprawdę wierzysz w to, że oni pospółu spiskowali przeciw Kościołowi Matce?

– Wypiłeś już wystarczająco wiele tego miodu, Ahksynovie – odparł Mahkbyth. – To nie jest pytanie, które jeden wierny syn Kościoła Matki powinien zadawać innemu wiernemu synowi Kościoła Matki, zwłaszcza w takich czasach.

– Skoro ja nie mogę zadać takiego pytania wiernemu synowi Kościoła Matki, to kto może? – wypalił w odpowiedzi Laihu.

– Jestem pewien, sir, że Ahrlohowi nie o to chodziło – wtrącił Preskyt, kręcąc głową. Sierżant był masywnie zbudowanym mężczyzną o niezachwianej lojalności. W czasach, gdy razem z Mahkbythem służył pod Laihu, miał stopień starszego kaprała. – Zadaniem dobrego sierżanta jest między innymi chronienie przełożonych przed popełnieniem głupstwa – wyjaśnił. – Przykro mi to mówić, ale zadawanie podobnych pytań w miejscu, gdzie roi się od uszu, jest naprawdę głupim pomysłem.

Mahkbyth zarechotał pomimo prób zapanowania nad sobą. Gdy już przestał się śmiać, spojrzął na kapitana.

– Phylp umie się wysławić znacznie lepiej ode mnie – przyznał – ale tak właśnie miały brzmieć moje słowa.

Laihu prychnął prosto w miód, co były sierżant skwitował kolejnym uśmiechem. Zaraz jednak spoważniał.

– Skoro już o tym mowa, nie, ani przez moment nie uważałem, że Wylsynnowie są winni wszystkich stawianych im zarzutów. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie popełnili żadnego z czynów, o jakie ich oskarżano, ale przynajmniej mam niezachwianą pewność, że nie uczestniczyli w wymierzonym przeciw Kościołowi Matce spisku wyznawców Shan-wei.

– Otóż to – mruknął Laihu, tym razem pamiętając, by się nie wydzierać. Odpowiedź padła tak cichym głosem, że nawet Mahkbyth musiał nadstawić ucha, by ją usłyszeć, a siedział niespełna trzy stopy od kapitana. – Otóż to. Zbyt wiele osobistych porachunków załatwia się tą drogą. Od początku wiedziałem, że będę musiał robić rzeczy, które mi się nie spodobają, ale uwierz mi, dzisiaj o wiele lepiej być cywilem. –

Spojrzał ze smutkiem w kufel. – Czasami naprawdę ciężko mi rano wstać i zameldować się na służbie.

– Wcale mnie to nie dziwi. – Mahkbyth pochylił się, by poklepać go delikatnie po ramieniu. – Sam tak się czułem przed czasami świętej wojny, a od tamtej pory sytuacja tylko się pogorszyła. Jednakże jak to mówi Pismo: „Będą złe dni i dobre dni. Liczy się wyłącznie to, jak zachowamy się w mroczny czas”.

– Wiem. – Laihu przełknął kolejny łyk miodu, po czym odstawił pusty kufel, gapiąc się na jego dno. – Masz rację – dodał tonem człowieka, który właśnie podjął ważną decyzję. – Za dużo dzisiaj wypilem, więc... za

pozwoleniem, sierżancie Mahkbyth... chciałbym poprosić sierżanta Preskyta, aby odstawił mnie bezpiecznie do koszar i ułożył na pryczy. – Skrzywił się mocno. – Jestem przekonany, że jutro rano, gdy się obudzę, moja czaszka posłuży Shan-wei za kowadło.

– Może nie będzie aż tak źle, sir – pocieszył go Preskyt, ponieważ kapitan utrzymywał wciąż pion. – Widziałem wielu bardziej pijanych od pana – dodał, puszczając oko do Mahkbytha. – Odrobina soku pomidorowego, parę surowych jaj, kropelka sosu tabasco i do trzynastej będzie pan jak nowy.

– Pańska pomoc zawsze mnie cieszy, sierżancie. – Laihu wsparł się na Preskycie, po czym spojrzał na Mahkbytha. – Życzę ci spokojnej nocy, Ahrlou. Miło było cię widzieć. Musimy to powtórzyć.

– Oby w lepszych okolicznościach – zgodził się Mahkbyth, odprowadzając wzrokiem ich obu, gdy wychodzili chwiejnym krokiem prosto w wieczorny mrok.

Dopił whiskey, rzucił na stół garść monet, skinął głową kelnerce i sam też skierował się do drzwi. Idąc ulicą, ignorował grzechoczące tramwaje ciągnięte przez smoki. O tej porze roku noce w Syjonie były naprawdę krótkie, rozkoszował się więc możliwością spaceru. Poza tym mieszkał tylko kilka przecznic od...

– Dobry wieczór, sierżancie!

Zatrzymał się, słysząc czyjś głos za plecami. Wahał się przez okamgnienie, po czym odwrócił się do czekającego na chodniku oficera odzianego w mundur Gwardii Świątyni, ale noszącego też na ramieniu płomień i miecz Inkwizycji.

– Dobry wieczór, kapitanie, to znaczy majorze – poprawił się natychmiast. – Proszę o wybaczenie, dotarły do mnie wieści o pańskim awansie, ale na śmierć o nich zapomniałem.

– Nie dziwi mnie to, skoro od tak dawna nie jesteście już gwardzistą – zapewnił go tamten przyjaznym tonem. – Ile to już minęło? Piętnaście, szesnaście lat?

– Raczej dwadzieścia pięć, sir. Odszedłem trzy miesiące po tym, jak zginął Dahnyld.

– To już tyle czasu? – Major pokręcił głową. – Niemożliwe. Obiło mi się o uszy, że pochowaliście żonę. Przyjmijcie moje kondolencje... Żałuję, że Gwardia Świątynna nie znalazła sprawców tego morderstwa. I tych,

którzy zabili wam syna.

– Ja także – odparł Mahkbyth obojętnym tonem.

Milczeli obaj przez dłuższą chwilę, po czym major wzruszył ramionami.

– Mogę zapytać, dokąd to zmierzacie?

– Do domu – odparł Mahkbyth. – Został mi już tylko jaszczurkot, który pewnie wścieka się, nie wiedząc, gdzie zniknąłem. – Uśmiechnął się krzywo. – Wie pan, jakie są te gady.

– Wiem i dlatego za nic nie przyjmę żadnego pod swój dach – odparł oficer, susząc radośnie zęby. – Miałem wszakże nadzieję, że idziecie do waszego sklepu. Przyjaciel powiedział mi w zaufaniu, że można u was znaleźć najprzedniejszą whiskey w Syjonie.

– Nie wiem, czy najlepszą, ale na pewno jedną z najlepszych. Dzisiaj mamy zamknięte, ale gdyby zechciał pan przyjść jutro, chętnie to udowodnię.

– Niestety przez najbliższe dwa pięciodnie będę na służbie – wyznał major. – A wasz sklep nie znajduje się przypadkiem jakoś po drodze do waszego domu? Czy mnie pamięć myli?

Mahkbyth zmrugał oczy. Ta rozmowa zaczynała budzić jego podejrzenia, ale nie mógł przecież skłamać. Zwłaszcza oficerowi Inkwizycji, który doskonale zna odpowiedzi na zadawane pytania.

– To jakieś pół przecznicy w tamtym kierunku, sir – odparł.

– Nie chciałbym wyjść na natręta, ale naprawdę byłbym wam wdzięczny za otwarcie interesu i sprzedanie mi kilku butelek. Czeka mnie niezła zabawa, a zapasy w barku właśnie mi się kończą. Nie wspomnę o tym, że jeden z moich przyjaciół ma... bardzo wyszukane gusta. Zajrzałem już do trzech innych sklepów w Syjonie, ale w żadnym nie znalazłem preferowanego przez niego trunku.

Mahkbyth powstrzymał się siłą woli, by nie zacisnąć szczęk. Nie chciał otwierać sklepu, a już zwłaszcza na żądanie oficera Inkwizycji. Z drugiej strony, zlekceważenie kogoś tak ustosunkowanego niosło spore ryzyko. Co więcej, major mógłby nabrać podejrzeń i zacząć się zastanawiać, dlaczego były sierżant okazał się tak głupi, by go wkurzyć.

– Przykro mi to słyszeć, sir – odpowiedział Mahkbyth po trwającym mgnienie oka zawahaniu. – Pragnę jednak nadmienić, że jeśli nie

znalazł pan poszukiwanej whiskey w tylu innych sklepach, ja także mogę jej nie mieć na składzie – dodał. – Od wybuchu świętej wojny nasza oferta jest bardzo ograniczona.

– Mnie nie musicie tego mówić, sierżancie – zażartował major, przewracając oczami.

– Czego dokładnie pan szuka? – zainteresował się Mahkbyth. *Gdyby okazało się, że to coś naprawdę niedostępnego, mógłbym zbyć intruza od razu, bez otwierania sklepu, pomyślał. I nawet bym przy tym nie skłamał*, dodał, uśmiechając się w duchu. – Zakładam, że będzie to gatunek, o którym przynajmniej słyszałem.

– Jestem tego pewien – stwierdził major, patrząc mu prosto w oczy. – Szukam ulubionego gatunku *seijina* Kohdy’ego, sierżancie. Znajdzie pan dla mnie choć buteleczkę?

.II.
Pałac cesarski
Tellesberg
oraz
Zakłady w Delthaku
Hrabstwo Hanth
Królestwo Starego Charisu
Imperium Charisu
oraz
Ambasada Charisu
Siddar
Republika Siddarmarku

Przyznam, że nie spodziewałam się zobaczyć czegoś takiego – powiedziała Sharleyan Ahrmahk.

Cesarzowa zasiadła w rozświetlonej słońcem komnacie rady w towarzystwie Maikela Staynaira, Trahvysa Ohlsyna, hrabiego Sosnowej Doliny i zarazem pierwszego doradcy charisjańskiego dworu, barona Gromu, czyli szefa szpiegów, a raczej jedyne żyjącego przedstawiciela tego fachu.

– Trynair też się tego nie spodziewał, jak miemam – stwierdził słyszalny tylko przez nadajniki elektroniczny awatar prawdziwego asa cesarskiego wywiadu. – Można by rzec, że sprawiedliwości stało się zadość.

– Ja tam nie dostrzegam w tym wydarzeniu niczego sprawiedliwego, Nahrmahnie – zapewnił go Ehdwyrd Howsmyn, książę Delthaku, ze swojego gabinetu w fabryce, spoglądając prosto w oczy siedzącego naprzeciw niego rudowłosego kapłana.

– Ja również – poparł go niezwykle poważnym tonem Paityr Wylsynn.

– Z przykrością muszę wyznać, że po tym, co uczyniono z moim ojcem, wujem Hauwerdem i wszystkimi ich przyjaciółmi, poczułem ogromną satysfakcję. Ale zapewniam, że robię, co mogę, by wygnać te ponure myśli z głowy, ponieważ całą resztą... – Zawiesił głos i spuścił wzrok na trzymaną w dłoni szklaneczkę Glynfych.

– Nie chciałem, żeby to zabrzmiało jak żart, Paityrze – dodał Nahrman. – Widać jednak, że moja mściwość jest znacznie bardziej niezaspokojona niż twoja. Może to małosłowne z mej strony, ale czuję wciąż ogromną urazę do ludzi, z których polecenia zostałem zamordowany.

– Twoja perspektywa musi być zaiste interesująca – zauważył Cayleb Ahrmahk, zasiadający w jadalni apartamentu przydzielonego mu w ambasadzie Charisu. Właśnie kończył jeść śniadanie w towarzystwie Merlina Athrawesa i Nynian Rychtair. – Z drugiej strony, Paityr ma rację. To naprawdę bardzo paskudny sposób umierania.

– Nie chcę wyjść na cyniczkę, ale moim zdaniem śmierć to śmierć, a w przypadku tych czterech drani nie ma chyba takiego sposobu na ich zabicie, który by mnie w pełni usatysfakcjonował – oświadczyła grobowym tonem Nynian. – Może was zaskoczę, ale od dawna byłam przekonana, że Trynair pierwszy zostanie zepchnięty z tej topniejącej kry na żer krakenom. – Wzruszyła ramionami. – Problem w tym, że był najbystrzejszy z całej czwórki, choć nie umiał tego wykorzystać. Nie mam pojęcia, czym tak mocno wkurzył Clyntahna, aczkolwiek mogę się domyślać, że dyplomacja zeszła na bardzo daleki plan od wybuchu świętej wojny, Trynair stał się więc zbędnym elementem tej układanki. Idę też o zakład, że wielki inkwizytor pragnął dać wyraźny sygnał reszcie członków Grupy Czworka. Jako że Maigwair i Duchairn są mu jeszcze potrzebni, nietrudno zgadnąć, kto musiał paść ofiarą Inkwizycji. – Przeniosła surowe spojrzenie na obserwującego ją uważnie Merlina.

– Nie zdziwiłbym się, gdybyś miała rację, moja droga – przyznał *seijin*. – Wiem też, że rozgryzłaś sposób myślenia Clyntahna. Znasz tych drani znacznie lepiej niż ktokolwiek z nas. Ale zauważ, że pojawia się bardzo ciekawe pytanie: Dlaczego wielki inkwizytor postanowił udzielić nauki swoim kolegom właśnie teraz?

– Nie wiem, ale stawiam moje rubinowe kolczyki, że to reakcja na poczynania Kyntha i pozostałych naszych dowódców. – Nynian upiła łyk

czekolady. – Clyntahn zaczyna panikować, a tacy jak on walczą z lękami, zabijając kogo popadnie. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że Trynair okazał się na tyle głupi, by wspomnieć o podjęciu negocjacji z nami. Albo któryś z tych dwóch drani, którzy są mu jeszcze potrzebni, rzucił jakąś równie interesującą uwagę, wymagającą odpowiedniej kontry. No i padło na Trynaira...

– Uważasz, że Clyntahn nie zgodziłby się podjąć z nami negocjacji, nawet gdyby miało to posłużyć wyłącznie temu, by Świątynia zyskała czas? – zapytał Nahrman.

– Odrzuciłby taką sugestię bez zastanowienia. – Ponury jak chmura gradowa Maikel Staynair uprzedził Nynian. – Po dotychczasowej rzeźni musi wiedzieć, że nie wyjdzie z tego cało bez względu na to, co jeszcze się wydarzy. Jak mawia Cayleb: Ten typ tak ma. I jeśli nawet nie jest świadom, że to kwestia elementarnej sprawiedliwości, wie jedno: Będąc na naszym miejscu, zażądałby bezwarunkowej egzekucji... ponieważ jest bardzo mściwym człowiekiem. Uwierzcie mi, nie poprze nic, co by prowadziło do takiego zakończenia.

– Wydaje mi się, że możesz mieć rację, Maikelu – poparła arcybiskupa Nynian. – Od siebie dodam tylko, że negocjacje... prawdziwe czy też nie... w oczach Clyntahna są oznaką słabości. Na pewno uważa on, że wystarczy wzmianka o jakichś układach z nami, a do reszty straci poparcie wiernych dla świętej wojny. Konkluzja bowiem jest prosta: Skoro Świątynia i heretycy mogą się ze sobą dogadać, konflikt na śmierć i życie pomiędzy Bogiem i Shan-wei od samego początku był grubo przesadzony. Stwórca nie negocjowałby przecież z Królową Kłamców. Poza tym każda próba negocjacji podjęta przez Grupę Czwojga, to znaczy teraz już Trojga, byłaby dowodem na to, że to my mieliśmy rację. Że toczyliśmy wojnę ze śmiertelnikami twierdzącymi, iż przemawiają w imieniu Boga, którzy... gdy sytuacja stała się beznadziejna... zrobią wszystko, by zachować dawne przywileje i władzę.

– Ja także tak to widzę – przyznał baron Gromu. – Zwłaszcza kwestię walki ze śmiertelnikami, którzy przeinaczyli wolę Boga. Clyntahn jest może arogantem, ale to akurat musiał sobie uświadomić.

– Nie lekceważcie kwestii jego wiary – poradziła Ohlyvya Baytz, zasiadająca obok męża w stworzonym przez Sowę pałacu eraystorskim. – Nigdy nie byliśmy pewni, na ile ten człowiek kieruje się cynizmem,

a na ile religijną gorliwością – przypomniała mężowi, gdy ten obrzucił ją zdziwionym spojrzeniem. – Osobiście wątpię, by umiał oddzielić od siebie obie te sfery. Wszyscy jednak zgodzicie się, że Clyntahnem powoduje wypaczona wizja tego, czego Bóg od nas chce, w związku z czym uważam, że jest prawdopodobne, a nawet możliwe, iż cierpi na coś, co Merlin tak pięknie nazwał „syndromem oblężonej twierdzy”, jeśli dobrze pamiętam.

– Tak brzmi ta nazwa. – *Seijin* opadł na oparcie fotela, krzyżując ręce na piersi. – To bardzo celna uwaga, Ohlyvyo. Clyntahnowi nie mieściło się w głowie, że mógłby przegrać tę wojnę, ale teraz nawet on zaczyna dostrzegać pierwsze zwiastuny nadciągającej klęski. Dlatego jestem pewien, że bez względu na okoliczności wierzy, iż Bóg Jedyny i Jego archaniołowie przyjdą mu na ratunek. Problem w tym, że musi najpierw udowodnić, iż jest godzien boskiej interwencji, tak więc będzie z nami walczył do ostatniej kropli cudzej krwi.

– Obawiałem się, że coś takiego powiesz... – *Nahrman* westchnął. – Z tej perspektywy to żaden dobry omen dla naszej sprawy. Skoro udało mu się skazać *Trynaira* na *Karę Schuelera*, znaczy to, że nadal kontroluje Świątynię, a zatem możemy się spodziewać walki do ostatniej kropli cudzej krwi zamiast prób ratowania sytuacji.

– Przepraszam za to, co teraz powiem – wtrącił hrabia *Sosnowej Doliny* – ale czy to naprawdę źle? – Machnął ręką z rezygnacją, dostrzegłszy, jak pozostali na niego patrzą. – Gdy wziąć pod uwagę możliwość zakończenia tej okropnej wojny bez konieczności ponoszenia dalszych ofiar, to rzeczywiście niewesoła wizja – przyznał. – Ale musimy także pamiętać, że z naszego punktu widzenia, a mówię tutaj o wewnętrznym kręgu, nie bijemy się o zreformowanie Świątyni. Nam chodzi o obalenie jego władzy, o odrzucenie Zakazów, zanim pojawią się na *Schronieniu* wizytatorzy z okazji mijającego milenium. Jeśli Clyntahn uprze się przy walce do upadłego, wyciągnięcie go za kark z jakiejś jaszczurzej nory da nam moralne prawo do przeprowadzenia daleko idących zmian, na jakich nam zależy. Zrozumcie, on nam daje szansę na zniszczenie Kościoła Matki.

– Coś w tym jest – zgodził się *Cayleb* po chwili zastanowienia, po czym westchnął ciężko. – Szczerze powiedziawszy, myślę podobnie, ale mam już dość tego rozlewu krwi i tej masy cierpienia.

– Jak my wszyscy, kochanie – zapewniła go żona. – Ale to jeszcze nie znaczy, że Trahvys nie ma racji.

– To prawda – poparła ją Nynian. – Z drugiej strony... Syjon zmienia się na naszych oczach w gniazdo węży. Nie sposób przewidzieć, jakie zmiany spowoduje egzekucja Trynaira, w każdym razie napięcie wokół Świątyni niewątpliwie wzrośnie. Nastroje w mieście były paskudne nawet za życia kanclerza. Działania Steru i nasze plakaty umiejętnie podsycaly niepokój. W tym momencie możemy mieć wrażenie, że Inkwizycja trzyma wszystkich mocno w garści, ale spójrzmy prawdzie w oczy: Nasi wrogowie nie mają już takiej władzy jak kiedyś. Zaryzykowałabym nawet twierdzenie, że jeśli Clyntahn i jego sługusy przycisną ludzi jeszcze bardziej, może dojść do zbrojnego powstania. A wtedy...

.III.

Kwatera główna hrabiego Tęczowych Wód

Chyzwail

Jezioro West Wing

Prowincja Tarikah

Republika Siddarmarku

Wzywałeś mnie, wuju?

Taychau Daiyang oderwał wzrok od niekończącego się strumienia raportów, po czym przetarł piekące oczy, korzystając z pojawienia się siostrzeńca w gabinecie. Komnata ta należała wcześniej do burmistrza Chyzwailu, ale że ten już jej nie potrzebował...

– Owszem – odparł, wskazując krzesło po drugiej stronie biurka. – Siadaj.

Baron Pieśni Wiatru usłuchał, ale choć minę miał pewną, z jego oczu wзираł niepokój. Pasemka siwizny zdobiącej głowę hrabiego Tęczowych Wód poszerzyły się znacznie, a choć był on wciąż gładko ogolony, podkrążone oczy zdradzały, że nie sypia zbyt dobrze, ślęczał bowiem całymi nocami, pisząc rozkazy i nanosząc pozycje na mapy. Ten zazwyczaj krzepki mężczyzna podupadł ostatnio na zdrowiu, dało się też dostrzec, jak drżą mu ręce. Może nie gołym okiem, ale gdy ktoś go dobrze znał, jak choćby siostrzeniec, dostrzegał to bez trudu.

– Czytałem wiadomości z domu – rzucił po chwili milczenia hrabia Tęczowych Wód. – I z Syjonu. – Zadrzał, gdy ich wzrok się spotkał. – Wygląda na to, że nadchodzą zmiany... to znaczy tutaj, na froncie.

– Oczywiście – przytaknął baron Pieśni Wiatru.

– Boję się, że nie wszyscy w Świątyni i Shang-mi zdają sobie sprawę z powagi naszej sytuacji – podjął po chwili milczenia hrabia. – Wszyscy wiedzą, że baron Zielonej Doliny i Klymynt napierają ostro na prowincję Tarikah, lecz ja otrzymałem właśnie raport mówiący, że jazda księcia Eastshare zajęła Bauskum, a konne patrole Charisjan napotymano przy

rzece Ferey. Mam też informacje świadczące o tym, że zwiadowcy wroga robili rozpoznanie opodal Doliny Rainyru.

Twarz barona Pieśni Wiatru stężała. Dolina Rainyru była niewielkim wiejskim siólem – a teraz wręcz miasteczkiem widmem, jak większość miejscowości w tej części prowincji Tarikah – leżącym zaledwie sto mil od traktu Sairmeet–Gleesyn. Nie mówiąc już o tym, że od Chyzwailu dzieliło je tylko sto pięćdziesiąt mil w linii prostej. W innych czasach tak duża odległość mogłaby dawać poczucie bezpieczeństwa, ale w dobie konnej piechoty, balonów i wszelkiej maści artylerii polowej trudno było zachować spokój.

– Nie wiemy jeszcze, w którym kierunku ruszą jego główne siły, ale wszystkie raporty mówią wyraźnie, że biskup polowy Lainyl lada dzień podda Mercyr. A jeśli brać pod uwagę ruchy wojsk księcia Eastshare, bardzo prawdopodobny wydaje się marsz w kierunku oddziałów barona Złotego Drzewa, czyli na Sairmeet, na który prą już od wschodu wojska Stohnara. Jeśli książę zdoła otoczyć miasto, jak zrobił to wcześniej z Mercyrem, konsekwencje mogą być dla nas... bardzo poważne.

To raczej delikatne określenie na utratę tak ważnych pozycji obronnych, pomyślał baron Pieśni Wiatru.

– Baron poprosił już o pozwolenie wycofania swoich ludzi – oznajmił hrabia Tęczowych Wód – na co zezwoliłem, zaznaczając wszakże, że musi bronić zajmowanych pozycji najdłużej, jak to tylko możliwe.

– To zrozumiałe. Mogę zapytać, czy biskup Merkyl kontrasygnował to pozwolenie?

– Nie miałem jeszcze okazji omówić tej sprawy z biskupem – wyznał hrabia Tęczowych Wód – ale jestem pewien, że dojdziemy do porozumienia.

Baron Pieśni Wiatru ponownie przytaknął, choć nie postawiłby grosza na to, że intendent armii wyrazi swoją zgodę. Im bardziej pogarszała się sytuacja, tym Merkyl Sahndhaim stawiał większy opór. Niewiele brakowało, by zaczął otwarcie się sprzeciwiać decyzjom hrabiego, zamiast tylko je krytykować, co oznaczało, że już wkrótce...

– Jak już wspomniałem – kontynuował tymczasem hrabia Tęczowych Wód – czytałem też wiadomości przesłane z Syjonu i Shang-mi. Wyznam, że treść pism ze stolicy wydała mi się bardzo niepokojąca. To zrozumiałe, że nakazują nam podtrzymać natarcie, ale obaj zdajemy

sobie chyba sprawę z tego, że przy panujących obecnie nastrojach niewykluczone jest, iż będziemy musieli się wycofać za wzgórze Tairohn, a może nawet aż na terytorium królestwa Hoth. Aby bronić tamtych pozycji, będziemy jednak potrzebowali każdego człowieka, jakiego da się wysłać na front... – Zamilkł na moment, by przyjrzeć się siostrzeńcowi, ten więc ponownie skinął głową. Oczywiście baron Pieśni Wiatru był świadom, że jeśli ta armia zostanie zmuszona do odwrotu, nawet w Harchongu nie znajdzie się tylu rekrutów, by uratować świętą wojnę. Nie mówiąc już o tym, ile niezastąpionych dział trzeba będzie porzucić w obliczu piekielnej mobilności Charisjan. A przecież Kościół Matka i tak miał spore kłopoty z odnowieniem stanu karabinów, licznie traconych podczas wcześniejszych rejterad. – Odniosłem wrażenie, że ministrowie jego cesarskiej mości nie rozumieją, przed jak wielkim problemem stajemy – dodał hrabia Tęczowych Wód, przyjąwszy do wiadomości milczące potwierdzenie siostrzeńca. – Dlatego postanowiłem napisać wyczerpujący raport, który rzetelnie przedstawi nasze potrzeby, dołączyłem do niego też gorliwe błagania o jak najszybsze wysłanie na front każdego, kto jest zdolny do noszenia broni. Zważywszy na wagę tej sprawy, zdecydowałem również, że nie skorzystamy tym razem z sieci semaforowej, lecz pošlemy zaufanego oficera, kogoś zaznajomionego z problemem i moim punktem widzenia, aby mógł odpowiedzieć na ewentualne pytania, dostarczywszy to pismo osobiście.

Baron Pieśni Wiatru znieruchomiał.

Chyzwail od Shang-mi dzieli ponad sześć tysięcy mil w linii prostej, pomyślał. Bitwa o jezioro West Wing zakończy się całe pięćdziesiąt dni przed tym, nim kurier zdoła dotrzeć do stolicy Harchongu...

– Jestem pewien, że znajdę odpowiedniego kandydata na posłańca – zapewnił, patrząc wujowi prosto w oczy.

– Kandydat jest tylko jeden – odparł hrabia Tęczowych Wód. – Ze wszystkich członków sztabu tylko ty wiesz, co o tym wszystkim myślę.

– I właśnie dlatego nie mam zamiaru wyjeżdżać – obruszył się młodszy z wielmożów.

– Będę się przy tym upierał – rzucił hrabia ponurym tonem. – Jeśli trzeba, każę ci to zrobić.

– Sugeruję, abyś tego nie robił. Nie chcę ci się sprzeciwiać.

– Bez obaw. Wydam ci rozkaz wyjazdu jako bezpośredni przełożony.

– W takim razie będę zmuszony do złożenia rezygnacji z zajmowanego stanowiska. A gdy to uczynię, twoje rozkazy przestaną mnie obowiązywać.

– To będzie wyglądać jak akt tchórzostwa w obliczu wroga!

– Nie sądzę, skoro poproszę o przeniesienie do jednostki frontowej.

Hrabia Tęczowych Wód przyglądał się siostrzeńcowi dłuższą chwilę, a potem nagle się zgarbił, jakby uszło z niego powietrze.

– Proszę cię, Medyngu – wymamrotał. – Obiecałem twojej matce, że wrócisz do domu cały i zdrowy.

– A ja obiecałem, że wrócę do domu razem z jej bratem – odpowiedział równie cicho baron Pieśni Wiatru. – Nigdy wcześniej nie robiłem niczego równie ważnego jak tutaj, w Armii Pana Wszchemmogącego i Archaniołów. Nigdy wcześniej nie miałem przywileju bycia twoją prawą ręką. Nie ma słów, którymi mógłbym wyrazić podziw dla ciebie, wuju, zatem proszę cię jeszcze raz: Nie odsyłaj mnie. Chcę tu być, u twego boku, jako oficer albo zwykły żołnierz, i to bez względu na to, jaki czeka nas koniec.

Mierzyli się wzrokiem, dopóki hrabia Tęczowych Wód nie odpuścił i nie uśmiechnął się blado. Smutny to był grymas, ale szczery.

– Twoja babcia zwykła mawiać, że jestem najbardziej uparty z wszystkich jej dzieci – powiedział. – Ja jednak zawsze uważałem, że się myli, ponieważ ustępowałem uporem twojej matce. Jak widzę, zdołała ci przekazać tę cechę charakteru.

– Mnie chyba mówiła coś podobnego, wuju.

– Twoja matka umie oceniać ludzi. – Hrabia Tęczowych Wód pokiwał głową, po czym zaczerpnął tchu i podniósł jeden z dokumentów. – Zatem dobrze... jednak poślę ten raport semaforami. Już teraz wiem, że nie na wiele się to zda. A ty bądź łaskaw rzucić okiem na informacje o balonach wroga i powiedz mi, co o nich sądzisz.

.IV.
Komnaty Merlina Athrawesa
Ambasada Siddarmarku
oraz
Komnaty Cayleba Ahrmahka
Ambasada Charisu
Siddar
Republika Siddarmarku

Merlinie? Merlinie!

Szafirowe oczy otworzyły się na całą szerokość. CZAO nie potrzebował czegoś takiego jak sen, ale Cayleb Ahrmahk słusznie uparł się przed laty, by *seijin* wyłączał się choć na kilka godzin dziennie.

Oczywiście nie był to sen w biologicznym tego słowa znaczeniu, choć Sowa zdołała napisać program, który imitował tak zwaną fazę REM. A i Merlin często ignorował polecenia cesarza, pozostawiając umysł CZAO w pełnej gotowości przez wiele dni z rządu.

Tej nocy jednak...

– Lepiej, żeby to było coś naprawdę ważnego, Nahrmahnie – powiedział do wbudowanego komunikatora, przyglądając się przesyłanym wprost do jego umysłu obrazom i uważając, by nie ruszyć się przy tym i nie zbudzić śpiącej obok kobiety.

– Nie wiedziałem, że Nynian chrapie – odparł rozbawiony książę. – Ciekawa sprawa, do tej pory wydawała mi się chodzącym ideałem.

– Ciesz się, że nie żyjesz. Gdyby wiedziała, co o niej mówisz, pewnie by cię zabiła.

– Rozumiem... – Nahrmahn zachichotał, ale zaraz spoważniał. – Wybacz, że ci przeszkadzam, ale musimy coś przedyskutować. Dobrze się składa, że jest z tobą Nynian, ponieważ jej opinia też nam się przyda.

– Więc ten człowiek tak po prostu przyszedł do sklepu Mahkbytha? – zapytał podejrzliwym tonem Cayleb Ahrmahk, znad filiżanki parującej czekolady przyglądając się Merlinowi i odzianej w jedwabie Nynian. – Czy to nie wydaje wam się dziwne?

– Nie, ponieważ paranoja jest narzędziem przetrwania – wtrąciła Sharleyan ze swojej sypialni. Nad Tellesbergiem dopiero wstawał świt, a ona już siedziała przed lustrem, rozczesując włosy.

– Wszystkie nasze źródła są zgodne – dodała Nynian. – Zarówno Ster, jak Siostry i SAPKi donoszą o dusznej atmosferze panującej w mieście. Moim zdaniem Syjon jest o krok od poważnego kryzysu. Zwłaszcza po tym, co się stało z Trynairem!

– Mnie jednak zastanawia, dlaczego ta okazja spada na nas jak przysłowiowy grom z jasnego nieba – kontynuował Cayleb. – Węszę pułapkę...

– Tym razem bez powodu – odezwał się Merlin z głębokiego fotela. – Gdyby to była pułapka, Inkwizycja musiałaby wiedzieć, kim albo czym jest Ahrloh, a wszyscy pamiętamy, co przydarzyło się Zhorzheth i Marzho, gdy ich nakryto. Naprawdę uważasz, że Rayno albo Clyntahn bawiliby się w takie podchody, mogąc poddać Karze Schuelera prawdziwego terrorystę?

– Pozostaje także pytanie, kogo zamierzaliby schwytać – dodała Nynian. – Na razie wiemy tyle, że umiemy przesyłać sobie wzajemnie informacje równie szybko, jak oni za pomocą semaforów, na pewno więc uważają, że Ahrloh nie zdoła nas powiadomić na czas, nawet jeśli zakładają, iż jest jednym z nas. Dlatego wątpię, by spodziewali się pojawienia się kogoś spoza Syjonu już jutro. Zatem ci, na których ewentualnie polują, muszą znajdować się w mieście albo w jego pobliżu. A inkwizytorzy, jak wiadomo, działają zawsze tak samo. Pojmaliby Ahrloha i spróbowali wycisnąć z niego wszystko, co wie o miejscu pobytu przełożonego. Rayno mógłby wykazać się większą podstępnością, ale na pewno nie w takiej sytuacji. – Potrząsnęła głową. – Nie, dzisiaj Clyntahn zażądałby natychmiastowych wyników. Wolałby zadowolić się płótką, niż pozostać z pustymi sieciami, gdyby Ahrloh jednak wymknął się jego agentom.

– Mnie zaciekało użycie kodu „ulubiony gatunek *seijina* Kohdy’ego” – stwierdził Maikel Staynair. – To by sugerowało co najmniej powierzchowną wiedzę o Sterze i Siostrach.

– Może Inkwizycja zdołała coś wycisnąć z Zhorzheta i Marzho... – podsumował grobowym tonem Cayleb.

– Niestety nie da się tego wykluczyć. – Staynair odezwał się z sypialni pałacu arcybiskupiego, nie przerywając głaskania jaszczurkota. – Zapewne liczyli, że Ahrloh przyzna się do udziału w spisku, odpowiadając na hasło, ale zgodzę się w tym przypadku z Nynian. Tu nie o to chodzi.

– Powinniśmy zareagować bez względu na to, czy to jest pułapka czy też nie – wtrącił baron Gromu. – Nieczęsto zdarza się pozyskać tak wysoko postawionego agenta.

– No i tu mamy problem – zauważył Nahrman. – Sowa i ja wychwyciliśmy tę wiadomość, gdy tylko Ahrloh przekazał ją do systemu, lecz chcąc ją wykorzystać, musimy zareagować, zanim ona do nas „dotrze”. Poza tym większość kanałów przerzutowych Nynian jest obecnie nieaktywna. Nikt też nie przekazuje wiadomości semaforowych przez linię frontu, nie mówiąc już o wysyłaniu kurierów. Jediną drogą kontaktu pozostaje więc poczta wyvernowa przez Dohlar i Marchię Południową, przy czym... jak wiemy... nie ma tam już niczego ze skrzydłami. Nie wspominając o tym, że nieprędko się ta sytuacja zmieni.

– Zatem widzę tylko jeden sposób na załatwienie tej sprawy – skwitował Merlin ze spokojem.

– Znajdziesz się niebezpiecznie blisko Świątyni! – zaproponował książę Delthaku. – Będziesz musiał udać się do tego sklepu pieszo, podchodząc bliżej sensorów niż podczas wizyty u Ahnzhelyki. I to o całe pół mili bliżej.

– Raczej o milę – poprawiła go Nynian.

– Nadal nie przekroczymy bezpiecznej granicy – zauważyła Nimue z Manchyru, gdzie był właśnie środek popołudnia. – Merlin znajdzie się blisko, zgoda, ale mimo wszystko nie przekroczy linii wyznaczonej przez Sowę. Zresztą ja wierzę, że Merlin nie bez powodu założył szeroki margines błędu.

– Może i tak, niemniej nie ma tu miejsca dla żadnego „my” – stwierdził Nahrman.

– Słucham? – warknęła Nimue, lecz Nynian tylko pokręciła głową, uśmiechając się pod nosem.

– Jakkolwiek wielki jest margines bezpieczeństwa, nie pošlemy tam obu CZAO naraz. Nie możemy ich stracić, a do tego właśnie by doszło, gdybyśmy się pomylili w naszych szacunkach. Zatem poleci tam tylko jedno z was. Skoro Ahrloh spotkał się już z *seijinem* Zoshuą, Merlin wydaje się logicznym wyborem. A skoro on tam będzie, to i ja.

Przez moment w komunikatorze panowała idealna cisza, po czym Nynian spojrzała w cybernetyczne oczy Athrawesa.

– To chyba nie będzie konieczne – rzucił *seijin* po chwili.

– A ja uważam, że będzie.

Powiedziała to spokojnie, bez okazywania emocji. Wątpił, aby przemyślała tę decyzję tak dokładnie jak on, lecz to nie miało teraz znaczenia. Chciał się jej sprzeciwić z całych sił, powiedzieć zdecydowane „nie”, odmówić zabrania jej ze sobą... jednakże nie mógł wykrztusić słowa. Zbyt wiele poświęciła, by teraz chronił ją wbrew jej woli.

– W porządku – podsumował. – Sowo, będziemy potrzebowali skimmera zwiadowczego.

.V.
Alkohole Mahkbytha
Plac Mylycynta
Syjon
Ziemie Świątynne

Gdybym wiedział, że przybędziesz osobiście, nie ważyłbym się przesłać dalej tej wiadomości – stwierdził ze smutkiem Ahrloh Mahkbyth.

– A gdybym ja czekała, aż twoja wiadomość dotrze do mnie, nie byłoby mnie tu dzisiaj i nie miałbyś powodu do zmartwień – zapewniła go Nynian, odrywając wzrok od oglądanej butelki wina. – To znakomity rocznik, przyjacielu. Ile butelek masz na składzie?

– Musiałbym sprawdzić w spisie – odparł zagniewany. – Nie zmieniaj tematu.

– Niczego nie zmieniam. Chciałabym zabrać co najmniej tuzin, gdy będę wyjeżdżać. – Odłożyła wino na półkę z szacunkiem, na jaki niewątpliwie zasługiwało. – Pomoc w założeniu tego sklepu była jedną z moich najlepszych inwestycji... i to z kilku powodów.

Ahrloh zmierzył ją wzrokiem, po czym przeniósł spojrzenie na roślejszego mężczyznę, który jej towarzyszył.

– Nie mógłbyś przemówić jej do rozumu, mistrzu Zoshuo? – zapytał.

– Wątpię, by ktokolwiek miał wpływ na jej decyzje, odkąd skończyła sześć lat – odparł filozoficznie *seijin* Murphai. – Tak samo jestem niemal pewien, że piastunka Nynian musiała negocjować z nią każdą kąpiel, i to na długo przed osiągnięciem wspomnianego wieku.

– Nie rozumiem, dlaczego wszyscy mają mnie za uparciucha – rzuciła z wyrzutem Rychtair, podchodząc do rzędu kunsztownych i niezwykle delikatnych harchońskich koniakówek. Uniosła jedną, by spojrzeć pod światło i ocenić jakość wykonania. – Gdyby ludzie pojmowali rzeczy z taką jasnością jak ja, nie tracilibyśmy tyle czasu na kłótnie.

– Wszystko pięknie i ładnie – Mahkbyth sprowadził rozmowę na

właściwe tory – ale wiele wskazuje na to, że Inkwizycji udało się jednak złamać Zhorzhet albo Marzho. Wy także musicie to wiedzieć. Tylko one mogły powiedzieć, jak brzmi hasło. A skoro mamy do czynienia z pułapką, to ty, Ahnzhelyko, jesteś jedyną osobą na tym świecie, która nie powinna w nią wpaść.

– I nie wpadnę – rzekła stanowczo, odkładając koniakówkę na miejsce i obdarzając go bladym uśmiechem. – Gwarantuję ci, że to nie pułпка, a gdyby nawet, że nie wezmą nas z zaskoczenia, jak to się stało z Zhorzhet i Marzho. – Podeszła bliżej i położyła dłoń na jego przedramieniu. – A skoro nas nie zaskoczą, ze złapaniem będą mieli jeszcze większy problem.

Patrzył jej przez chwilę prosto w oczy, a potem pokręcił głową.

– Niemniej z punktu widzenia Steru nie rokuje to najlepiej – stwierdził.

– Owszem, choć z mojej perspektywy nie jest aż tak źle, jak sądzisz. – Ucisnęła lekko jego rękę. – A gdyby nawet, Ster nie poniesie dużych strat. Na pewno utrudni wam to życie, lecz Kat wrócił już do republiki i jest w kontakcie z Caylebem, Sharleyan oraz całą resztą współpracowników mistrza Zoshuy. Dzięki temu Ster będzie mógł nadal działać, nawet jeśli coś mi się przydarzy.

Mahkbyth przytaknął, choć niechętnie. Nie wiedział, że Katem jest Sandaria Ghatfryd, ale odebrał kilka wiadomości od osoby o tym pseudonimie w czasach, gdy to on dowodził Sterem.

– Poza tym chcę osobiście sprawdzić, czy nasz nowy przyjaciel nie kłamie – kontynuowała Nynian.

– Jak chcesz tego dokonać, na Boga? – zapytał, jak na jej gust nieco zbyt uszczypliwie. – Przyznaję, że jesteś lepsza od innych w wychwytywaniu kłamstw, ale taki człowiek nie zostałby tu przysłany, gdyby nie umiał się dobrze maskować. – Były sierżant wzruszył ramionami. – Trudno będzie sprawdzić, czy jest szczerym posłańcem, czy prowokatorem Inkwizycji.

– Jestem pewna, że dam sobie z tym radę – uspokoiła go, muskając palcem zawieszona na szyi berło.

Było dłuższe od popularnych ozdób i kunsztowniej wykonane, jakby zrobiono je dla jakiegoś kościelnego dostojnika. Rzucało się też bardziej w oczy, zwłaszcza w jej przypadku, ponieważ zawsze nosiła się

skromnie. Poza tym wydawało się zbyt ciężkie jak dla osoby tak kruchej budowy. W sumie jednak nie wyglądała z nim źle, zwłaszcza że ostatnimi czasy okazywanie gorliwości w wierze, zwłaszcza tu w Syjonie, poczytywano za ogromną zaletę.

– Dobrze jest wrócić na stare śmieci – dodała, przenosząc wzrok na oświetlony lampami plac za oknem. – Nie zdawałam sobie sprawy, jak tęsknię za tym miastem, dopóki *seijin* Murphai nie przywiózł mnie do twojego sklepu. – Pokręciła ze smutkiem głową. – Dziwne. Nie spodziewałam się takich wrażeń.

– Wszyscy mamy jakieś nawyki – stwierdził *seijin*, stając obok niej. – Jestem pewien, że masz też wiele dobrych wspomnień związanych z tym miejscem.

– Oczywiście. Tyle że ostatnimi czasy złych jest dużo więcej.

– Wkrótce i to się zmieni. Po to tu przyjechaliśmy.

– To prawda – potaknęła, spoglądając za okno, zanim odwróciła się do niego. – To prawda. Umiesz mnie usadzić, gdy trzeba.

– Ktoś musi – odparł z uśmiechem na ustach, kłaniając się płytko.

Zaśmiała się ciepło, widząc zaskoczenie na twarzy Mahkbytha.

– Ktoś z nas jest w tym lepszy od...

Zamilkła, gdy dzwonek przy drzwiach oznajmił pojawienie się nowego klienta.

Pora zrobiła się późna. Od chwili, gdy Ahrloh powinien był zamknąć interes, minęło co najmniej pół godziny, aczkolwiek stali bywalcy wiedzieli, że właściciel nie jest formalistą. Tego dnia jednak odesłał wcześniej pomagającego mu przy prowadzeniu sklepu subiekta, Zhaka Myllyra. Na jego szczęście pracownik – a zarazem donosiciel Inkwizycji – nie zobaczył w tym niczego podejrzanego, ponieważ coraz częściej zdarzało mu się prosić o wolne z powodu zaawansowanej ciąży żony, trzeciej już z kolei, przy której niestety wystąpiły komplikacje.

Pytanie tylko, czy ten, kto się właśnie pojawił, nie jest znacznie niebezpieczniejszym agentem Świętego Oficjum.

– Majorze – powitał stojącego w przedsionku człowieka o błękitnych oczach, tylko o dwa odcienie jaśniejszych od oczu Nimue Alban.

Inkwizytor zmrużył powieki na widok Nynian i Murphaia.

Był wysoki, zaledwie o parę cali niższy od Merlina, miał długie

ciemne włosy, które wiązał w tradycyjny dla mieszkańców Trelleheimu warkocz, a nosił się w sposób typowy dla członków Gwardii Świątynnej.

– Ahrlohu – odparł po krótkim wahaniu. – Nie spodziewałem się, że o tak późnej porze będziesz miał innych klientów.

– Nie dziwi mnie to – odparł Murphai, zanim właściciel sklepu zdążył otworzyć usta. – Tak się jednak składa, majorze, że często bywamy w tym przybytku już po jego zamknięciu.

– Tak... – Strażnik Świątyni wodził wzrokiem od rosłego *seijina* do Ahrloha i z powrotem. – Mam nadzieję, że rozumiesz, iż człowiek w moim... położeniu może czuć się nieco niezręcznie, widząc obce mu osoby.

– Dziwiłabym się, gdyby było inaczej – powiedziała Nynian, stojąca kilka kroków za Murphaiem. – Jestem pewna, że i ty rozumiesz, iż czujemy się podobnie.

– Nie wątpię – przyznał, mrużąc oczy jeszcze bardziej. – To chyba naturalne, Madame Ahnzhelyko?

– Nie inaczej – odparła spokojnie.

Poczuła się zaniepokojona tą uwagą, lecz nie dała tego po sobie poznać.

– Odniosłem wrażenie, że spotkam się dzisiaj tylko z Ahrlohem – wyjaśnił major. – Szczerze mówiąc, pozwolono mi tylko na rozmowę z nim.

– Wygląda na to, że znalazł się pan w naprawdę niezręcznej sytuacji – odparła Nynian. – Ale to pan zainicjował kontakt. Poza tym udało się panu rozpoznać moją twarz, co sprawiło, że posiadał pan informację, która mogłaby skierować wzrok Inkwizycji w kierunku, w którym ta nie powinna dzisiaj spoglądać. Wolałabym, aby wiadomość o mojej obecności w Syjonie nie trafiła w ręce osób takich jak Wyllym Rayno albo Allayn Wynchystair. Obawiam się więc, że nie pozostaje panu nic innego, jak wyłożyć karty na stół.

– Liczba kart, które mogę wam pokazać, jest naprawdę ograniczona – odparł major, wolno cedząc słowa. – Nie wspominając już o tym, że miał je zobaczyć tylko Ahrloh.

– To zrozumiałe – odezwał się Murphai, nieco zdziwiony oświadczeniem, że inkwizytor nie przyszedł tu tylko z własnej woli. –

Obawiam się wszakże, że Madame Ahnzhelyka ma rację.

– A ja się obawiam, że nie pociągniemy tej rozmowy, dopóki nie skontaktuję się z moim... przełożonym – oznajmił major. – Ufam, że upoważni mnie do wyjawienia prawie wszystkiego, jednakże dopóki nie otrzymam takiego zezwolenia, dopóty nie wolno mi z wami rozmawiać.

– I tu mamy problem, ponieważ nie pozwolę panu opuścić tego miejsca, dopóki Madame Ahnzhelyka nie uzyska satysfakcjonujących ją odpowiedzi.

– Nie zdołacie mnie tu zatrzymać! – rzucił inkwizytor, mierząc wzrokiem wyższego od niego, ale nieuzbrojonego *seijina*. – Proszę wybaczyć pytanie, ale jakie macie na to szanse?

– Całkiem spore – odparł Murphai, uśmiechając się krzywo.

– Wątpię – rzucił major, sięgając po pistolet. – Z całym...

Przerwał, gdy *seijin* skoczył w jego kierunku z zadziwiającą zwinnością. Był tak szybki, że ledwie wzrok za nim nadążał. Dłoń inkwizytora opadła na pustą już kaburę.

Spanikowany major sięgnął więc po miecz, ale i tej broni nie zdołał dotknąć. *Seijin* pochwycił go za przedramię z siłą prasy hydraulicznej z manufaktur Lynkyna Fultyna. Nie był to jednak bolesny ani karzący uścisk. Przeciwnik unieruchomił go po prostu, i to na dobre. Murphai nie drgnął nawet, choć major próbował się wyszarpnąć ze wszystkich sił.

Trwało to może z dziesięć sekund, zanim się poddał. Nie miał najmniejszych szans w tym starciu, lecz nie dlatego zaprzestał oporu. W jego błękitnych oczach pojawił się, co ciekawe, wyraz ulgi.

– Ty naprawdę jesteś *seijinem* – wyszeptał.

– Ludzie wciąż mnie tak nazywają – przyznał Murphai, uśmiechając się ponownie.

Major przeniósł wzrok na Nynian, po czym zaczerpnął głębiej tchu.

– Pismo głosi, że *sejini* są czempionami Boga, a więc i Kościoła Matki – powiedział. – Jeśli to prawda, powinieneś wiedzieć, dlaczego nie wolno mi wyjawić więcej niż absolutne minimum.

– Oczywiście. – Murphai puścił jego rękę, cofając się o pół kroku, ale pistoletu mu nie oddał. Stał dokładnie pomiędzy majorem a Nynian. – Niemniej zrozumienie powinno być wzajemne. Z całym szacunkiem dla twej lojalności, ale chyba wiem, kto jest twoim przełożonym. I jeśli mam

rację, ten człowiek potrzebuje każdej pomocy, jaką możemy mu zapewnić... Nie zapominaj, że to ty przyszedłeś do nas, nie odwrotnie. Jeśli więc tak jak my chcesz zakończenia tego krwawego szaleństwa, powiesz nam wszystko, co wiesz, majorze Phandys.

.VI.
Jaskinia Nimue
Góry Światła
Ziemie Świątynne

Zartujecie.

Nahrmahn wydaje się dziwnie rozkojarzony, uznał w duchu Merlin.

– Ależ skąd. Sam widziałeś nagranie. Poza tym, jak cię znam, przysłuchiwałeś się razem z nami jego opowieści.

– No... tak – przyznał martwy ksiązę.

– Więc w czym problem? – zapytał Merlin podejrzliwym tonem, po czym spojrzał w kierunku Nynian, która nie mogła darować sobie głośnego prychnięcia.

Siedzieli oboje wygodnie w Jaskini Nimue ze szklaneczkami czterdziestopięcioletniego Glynfycha – pożegnalnego daru od Ahrloha Mahkbytha.

– Uraziliśmy jego dumę zawodową – wyjaśniła, uśmiechając się przymilnie do awatara księcia. – Nieprawdaż, Nahrmahnie? Nie spodziewałeś się czegoś podobnego i stąd ta uraza.

– Nie nazwałbym tego urazą – odparł – ponieważ nie czuję się jakoś specjalnie upokorzony... może tylko nieco poirytowany.

– Na miłość... – Merlin potrząsnął głową, sam będąc rozdarty pomiędzy rozbawieniem a złością. – Jeśli to cię pocieszy, Nynian także niczego się nie spodziewała!

– Naprawdę chcesz nas oboje wkurzyć? – zapytała założycielka Steru niby poważnym tonem, lecz ze znajomym błyskiem w oku.

– Nie. Wolę usłyszeć, co o tym wszystkim myślicie – odparł.

– Popieram – dodał Cayleb z Siddaru.

– Ja także – usłyszeli głos Staynaira. – W odróżnieniu od Nahrmahna nie miałem okazji przysłuchać się tej rozmowie. Może streścilibyście ją tym wszystkim, którzy byli zajęci czym innym? Przydałoby się to,

ponieważ podobnie jak nasz ksiązę uważam, że to zbyt piękne, aby było możliwe.

– O, tak – powiedział Paityr Wylsynn znacznie łagodniejszym tonem niż arcybiskup. – Proszę. Byłem w tym akurat czasie zajęty. Gdybym wiedział, co Duchairn zamierza powiedzieć, z pewnością zmieniłbym plany, ale skąd mogłem wiedzieć? Dlatego teraz trudno mi w to wszystko uwierzyć. To znaczy chciałbym, i to bardzo, ale...

– W pełni cię rozumiem, Paityrze – zwróciła się doń uprzejmie Nynian. – Był twoim wujem, ale i moim przyjacielem. Dodam, że niezwykle bliskim. Wiem też, że zginął w ten straszny sposób po części po to, by mnie chronić. I bez względu na to, jak się czujesz ze świadomością, że jesteś bezpośrednim potomkiem kogoś takiego jak Androkles Schueler, to berło, które ci pozostawił w spadku, dowiodło prawdomówności majora Phandysa. Nie przypuszczam jednak, aby wyjawiał nam wszystko, sam zastrzegł, że tego nie zrobi. W tym jednak, co usłyszeliśmy, nie było nawet słowa kłamstwa, a to oznacza, że winniśmy wdzięczność twojemu wujowi Hauwerdowi.

– I Rhobairowi Duchairnowi – dodała z powagą Nimue Chwaeriau przebywająca w manchyryskim pałacu. Stała na balkonie, za fotelami księżniczki Irys i hrabiego Corisu, na tle słońca zachodzącego właśnie nad zatoką. – Muszę przyznać, że i ja się tego nie spodziewałam.

– A ja... czuję się o wiele mniej zaskoczona, niż powinnam – wtrąciła Sharleyan, ostrożnie dobierając słowa. – Od dawna uważałam, że jeśli dojdzie kiedykolwiek do czegoś podobnego, to właśnie za sprawą skarbnika. Dowodziły tego jego wcześniejsze działania w Syjonie, zwłaszcza wysiłki czynione na rzecz biednych, którymi próbował zadośćuczynić za krzywdy wyrządzane innym. Szczerze mówiąc, zastanawiałam się, jakim cudem udało mu się nie skonfliktować z Clyntahnem. Nie rozumiem także, jak człowiek, który tak bardzo nienawidzi wszystkiego, co wiąże się z wielkim inkwizytorem, mógł współpracować z nim przez tyle lat. Składałam to na karb jego tchórzostwa, ale z czasem dotarło do mnie, że ktoś taki jak Zhaspahr Clyntahn potrafiłby zastraszyć każdego człowieka. To jednak... To stawia Duchairna w zupełnie innym świetle.

– To prawda – przyznał Merlin, po czym odwrócił się w fotelu, by spojrzeć na holograficzną twarz Paityra. – Mówiąc w skrócie, z opowieści

majora wynika, że twój wuj był o wiele bardziej aktywny niż ojciec. Popierał gorliwie kandydaturę Samyla na stanowisko wielkiego inkwizytora, poza tym zgadzał się w stu procentach, że należy zgromadzić dowody zepsucia wikariatu. Wiedział wszakże, co spotkało Świętego Ewyraharda, i dlatego postanowił chronić twojego ojca przed podobnym losem. Niestety, jeśli wierzyć majorowi, zdawał sobie również sprawę, że twój ojciec nie zgodzi się na coś takiego, zatem wzorem młodszych braci po prostu nic mu nie powiedział. Gdy Clyntahn wygrał głosowanie... czy też raczej gdy Rayno je sfałszował... twój wuj kontynuował swe działania, ale już skrycie. Nie wiem, co konkretnie chciał osiągnąć, pamiętajmy jednak, że w tamtym okresie nie istniała ani Armia Boga, ani Armia Pana Wszechmogącego i Archaniołów. Jedyną formacją zbrojną w Syjonie, a nawet na całych Ziemiach Świętych, była Gwardia Świętynna. Wydaje mi się, że zamierzał zrekrutować jak najwięcej młodych oficerów, by umożliwić bratu dokonanie udanego przewrotu pałacowego.

– Uważam, że to był jego prawdziwy cel – zgodziła się z przedmówcą zagłębiona we wspomnieniach Nynian. – Wszakże Samyl nigdy by nie przystał na taką propozycję. Wiesz, jaki był twój ojciec, Paityrze!

– Tak – odparł Wylsynn, odchrząknawszy wcześniej. – Tak – powtórzył bardziej zdecydowanym tonem. – Ale wiem też, jak bardzo przekonującym człowiekiem potrafił być wuj Hauwerd. Nie twierdzą oczywiście, że udałoby mu się nakłonić mojego ojca do podjęcia walki...

– Jedynym człowiekiem, który mógłby tego dokonać, był on – podsumowała Nynian, po czym zaśmiała się cicho. – A gdyby mu się to nie udało, sam dokonałby przewrotu, stawiając Samyla przed faktem dokonanym.

– Bez względu na to, jakie miał plany – pałeczkę przejął znowu Merlin – musiał poczuć ogromną chęć ich realizacji, gdy zrozumiał, że Clyntahn zamierza przeprowadzić czystki w jego kręgach. Nie był jednak gotowy na takie posunięcie i nie poprosił żołnierzy, którzy przysięgali mu wierność, o złożenie daniny życia w daremnej próbie ocalenia siebie i przyjaciół. Szczerze mówiąc, ze słów majora Phandysa i ze sposobu, w jaki je wypowiadał, można wywnioskować, że usilnie starał się odwieść ich od pomysłu obalenia Clyntahna. – Pokręcił głową, spoglądając gdzieś w dal, po czym znów skupił wzrok na Paityrze. – Nasz major bardzo się zmieszał, gdy doszło do wydarzeń w Świątyni

tamtego dnia, ale przynajmniej potwierdził pogłoski, że Hauwerd wolał własnoręcznie odebrać życie twojemu ojcu, niż pozwolić, by wydano go na Karę Schuelera. – Twarz kleryka wykrzywiła się ze złości. Nie gniewał się na wuja, lecz na ludzi, którzy zmusili go do podobnych wyborów. – Co więcej, dowiedzieliśmy się, że twój wuj zginął z jego ręki. To on doniósł na twojego ojca i wuja Zhapharowi Kahrnaikysowi. To on podłożył notatkę, na podstawie której wydano nakaz pojmania twoich krewnych. – Paityr spoglądał na Merlina z pobladłą twarzą. – Zrobił to wszystko na polecenie twojego wuja. Nie było innego sposobu, by oddalić podejrzenia od Phandysa. Nie zapominajmy też, że major uczynił potem wszystko, aby oszczędzić Hauwerdowi męczarni podczas przesłuchań. Dzięki temu nie ucierpiał nikt więcej. – Merlin zerknął w stronę Nynian. – Rozumiesz już, czemu major to wszystko zrobił, Paityrze? Choć to prawdziwy twardziel, głos mu się dwukrotnie załamał, zanim skończył opowiadać, co uczynił. Nie zrobił nic, by chronić siebie. Oddał ostatnią przysługę człowiekowi, którego ogromnie cenił. Wiem co nieco o ludziach zdolnych do takich poświęceń, dlatego tym bardziej żałuję, że nie dane mi było poznać twego wuja.

– Był niezwykle... – przyznał kleryk.

– I znał się na ludziach – dodała Nynian. – Gdy dotarło do niego, co się wydarzy... i że nie sposób tego uniknąć... przekazał listę buntowników samemu Duchairnowi. Członkowi Grupy Czworka, który doznał duchowego oświecenia. Mój Boże, cóż to musiał być za szok dla skarbnika! Trzymał w ręku listę z dziesiątkami nazwisk zdrajców. Gdyby przekazał ją Clyntahnowi, dowiódłby swojej lojalności w czasach, gdy każdy sprzeciw był równoznaczny z karą śmierci. Nie zrobił tego jednak. Wolał dokończyć dzieło Hauwerda, nawet jeśli jeden jedyny błąd mógł zaprowadzić go na męki. Wyobrażasz sobie, co musiał czuć człowiek, który przejął spadek po twoim wuju, równocześnie udając współnika Clyntahna? – Pokręciła wolno głową, a jej wielkie oczy były pełne smutku. – To musiało być piekło po tysiackroć gorsze od tego, które przeżywał hrabia Thirsku.

– Nie wątpię – zgodził się z nią po chwili Domynyk Staynair, którego okręt stał obecnie na kotwicy w Zatoce Tellesberskiej. Głos miał być twardszy i zimniejszy niż u przedmówczyni. – Nie wątpię i podziwiam hart ducha, jakim się wykazał po otrzymaniu tej listy. Mój brat z pewnością by powiedział, że każda dusza zasługuje na odkupienie i że

dobrze uczynki są próbą podjętą, aby zasłużyć sobie na owo odkupienie... Nie zapominajmy jednak o roli Duchairna w rozpętaniu świętej wojny.

– Nie sugerowałam, abyśmy o czymkolwiek zapominali – odparła Nynian. – Naoglądałam się wiele dobrego i złego w życiu. W tym wypadku poparłabym tezę arcybiskupa Maikela. Rhobair Duchairn to człowiek, który od lat trwa niezłomie w legowisku bestii, odpuściłabym mu więc choć trochę.

– Sam nie ująłbym tego lepiej – poparł ją Cayleb.

– Jak Phandys odnalazł Mahkbytha? – zainteresowała się Irys.

– Wbrew temu, co mógł sobie myśleć Samyl, jego brat żywił cały szereg zastrzeżeń do Ahnzhelyki Phondy – wyjaśnił Merlin. – Poza tym pozostawał w znacznie bliższych związkach z nią, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać.

– Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr – burknęła Nynian, rozbawiając Athrawesa, który jednak zaraz znów skupił uwagę na Paityrze.

– Nie dowiemy się nigdy, o co ją podejrzewał, ale jedno jest pewne: Musiał wiedzieć o jej zaangażowaniu w sprawę, nie mówiąc już o roli, którą pełniła w kręgu jego brata. Nie wykluczam, że mógł w niej znaleźć pokrewną duszę. Poza tym zdaje się, że podsłuchiwał rozmowę, przy której nie powinno go w ogóle być.

– Chyba nie do końca o to chodziło! – zaprotestowała Nynian. – Raczej zaimponował mu mój spryt. Doskonale wiedziałam, że podsłuchiwał rozmowy z członkami Steru, które prowadziłam w swoim domu. A tych było niemało. Nie tylko Sandaria pracowała podówczas dla Madame Ahnzhelyki. – Uśmiechnęła się do własnych wspomnień. – Nawet ten przystojny osiłek, który chronił moje damy, należał do naszego kręgu.

– No nie – jęknął Merlin. – Tego bym się nie spodziewał.

– Nie próbuję się usprawiedliwiać – zastrzegła Nynian – ale ze słów majora mogło wynikać, że Hauwerd usłyszał za dużo, ponieważ nie miał pojęcia o istnieniu Steru. W każdym razie to z tamtych czasów pochodziło hasło „ulubiony gatunek *seijina* Kohdy’ego”.

– A co do decyzji majora, by zagadnąć Ahrloha – Merlin zwrócił się do Irys – to musiał być skutek inspiracji Hauwerda połączonej z desperacją Duchairna i samego Phandysa. Hauwerd namówił Zhustyna Kyndyrmyna, by ten napisał prawdę o śmierci żony i syna Ahrloha.

Jestem pewien, że kusilo go wciągnięcie sierzanta na listę potencjalnych zdrajców, lecz z jakichś przyczyn tego nie zrobił. Może zrozumiał, że człowiek, który stracił niedawno jedynaka i na dodatek musi się opiekować kaleką żoną, ma dość własnych cierpień, by dokładać mu jeszcze walkę z Inkwizycją. Znał jednak rodzinę Mahkbytha, wiedział też, że Nynian o niej wie, ponieważ sam przekazał jej rzeczony raport. No i Phandys był znajomym sierzanta, służyli przecież razem. Na koniec twój wuj musiał przynajmniej się domyślać, że to Madame Ahnzhelyka wyłożyła pieniądze na otwarcie sklepu. A to wszystko działo się na moment przed tym, zanim Clyntahn postanowił wykończyć braci Wylsynnów... i zanim Phandys złożył na nich donos.

– Ale dlaczego major przyszedł do niego akurat teraz? – drażyła Irys.

– Z powodu egzekucji Zahmsyna Trynaira – wyjaśnił Merlin. – Nie przypuszczam, by w tym wypadku chodziło o próbę ratowania życia. Gdyby się bali o siebie, podjęliby jakieś kroki znacznie wcześniej. Tutaj chodzi o bardziej skomplikowane pobudki. Śmierć Trynaira i pogróżki Clyntahna pod adresem Duchairna i Maigwaira przekonały obu spiskowców, że wielki inkwizytor gotów jest doprowadzić do upadku całej Kościoła Matkę, byleby nie musieć brać na siebie winy za klęskę. Ostatnimi czasy napięcie w mieście znacznie wzrosło. Pamiętacie przecież, jakie wieści nadchodziły z frontu, ile ofiar pochłaniała ta wojna. Niemal każda rodzina utraciła kogoś bliskiego, a należy dodać do tego tych, którzy znikali za sprawą Inkwizycji. Tego nie dało się już ukryć, zwłaszcza że rozpowszechniane przez nas plakaty opisywały ze szczegółami każdą zbrodnię, której dopuścił się Clyntahn. Nic więc dziwnego, że ludzie przestali szanować Święte Oficjum. Dzisiaj w Syjonie znajdziecie wielu mieszkańców, którzy nie uwierzą w nic, co powie wielki inkwizytor. Naprawdę wielu. Mieszka tam też znacznie mniejsza liczba ludzi, którzy aktywnie bądź pasywnie sprzeciwiają się polityce Świątyni. Dzięki temu Ster mógł przeprowadzić tyle udanych akcji. Nawet najbardziej lojalni wierni przestali donosić o wszystkim sługusom Rayna, co było wcześniej nie do pomyślenia. Upadł mit... Teraz Clyntahn może się utrzymać przy władzy wyłącznie dzięki skrajnemu zamordyzmowi, a przecież każdy raport napływający z prowincji, każda wzmianka o toczących się tam walkach jest kolejnym dowodem na to, że Świątynia przegrywa świętą wojnę. Wielki inkwizytor i wąskie grono jego sługusów nie chcą tego przyznać, ale oni to chyba

jedyni ludzie w Syjonie, a może nawet na całych Ziemiach Świątynnych, którzy nie zrozumieli jeszcze, że to koniec. A dodajmy do tego, że systematycznie okłamywali wszystkich, wymyślając niestworzone rzeczy, by uzasadnić decyzję o jej wypowiedzeniu. Sporo osób zaczyna podejrzewać, że Bóg sprzyja nam, nie im. Moim zdaniem rządy Clyntahna nie są już wcale tak dobrze umocowane, jak by się mogło wydawać. Syjon wie, że ten człowiek prowadzi Kościół Matkę i lojalistów Świątyni ku krwawej apokalipsie, która może pochłonąć kolejne miliony istnień. Jeśli Duchairn chce działać, to nie ma na to lepszego momentu, jednakże on wie, że sam nie da rady. Dlatego posłał majora Phandysa z misją szukania u nas pomocy.

– Zatem Phandys tylko badał teren, zagadując Ahrloha Mahkbytha – mruknął hrabia Corisu. – Nie był niczego pewien. Dysponował jedynie hasłem podsłuchanym przez Hauwerda Wylsynna jakąś dekadę temu. To próbujecie powiedzieć?

– Mniej więcej – przyznał Nahrman. – Właśnie to uraża moją zawodową dumę. Nie mamy do czynienia z dobrze przemyślaną i precyzyjnie skalkulowaną strategią, z której mógłbym być dumny... Niemniej i tak możemy zdrowo zaszkodzić Zhaspahrowi Clyntahnowi.

– To się jeszcze zobaczy – podsumował ponurym tonem Maikel Staynair. – Milion rzeczy może pójść nie po naszej myśli. Przypominam też, że jak dotąd nie powzięliśmy decyzji, czy pomożemy Duchairnowi.

– Co? – obruszyła się Irys. – To chyba oczywiste, że go wesprzemy! – Spojrzała kolejno na projekcje rzucane bezpośrednio na jej szkła kontaktowe, a później przeniosła wzrok na hrabiego Corisu, który bynajmniej nie miał pewnej miny. – Nie zrobimy tego? – zapytała błagalnym tonem.

– Moja droga – odpowiedziała jej Sharleyan. – Jeśli wesprzemy Duchairna oraz Maigwaira, którego major wprowadzie nie wymienił z imienia, aczkolwiek ja jestem pewna, że to tylko przeoczenie, sabotujemy nasze własne plany. Jeśli skarbnik z pomocą naczelnego wodza obali Clyntahna i zdoła utrzymać się po tym przy władzy, co wydaje się mało prawdopodobne, zaoferuje Kościołowi Charisu wszystko, czego żądaliśmy od początku tej wojny. Już złożył nam taką propozycję poprzez wysłanie Phandysa... Bo choć on sam mógł okłamać majora, ten na pewno powiedział Merlinowi i Nynian samą prawdę.

Skonfundowana Irys przyglądała się uważnie cesarzowej, dopóki nie usłyszała westchnięcia hrabiego.

– Posłuchaj mnie, Irys. My chcemy obalenia Kościoła Boga Oczekiwanego, a Duchairn jego reformacji. Obieca odstąpienie od wszelkich nieprawości, poskromi Inkwizycję, wykorzeni korupcję, przegna na cztery wiatry zepsutych wikariuszy i zaoferuje sute rekompensaty za każdą zbrodnię popełnioną przez sługusów Clyntahna. Jeśli taka propozycja padnie, nie będziemy mogli jej odrzucić, ponieważ wiązałoby się to z koniecznością wyjaśnienia wszystkim ludziom, którzy ucierpieli podczas wojny, w tym Greyghorowi Stohnarowi, że naszym celem jest obalenie wyznawanej przez nich religii. A przecież całej prawdy nie możemy wyjawiać ludziom. Jeśli więc pomożemy Duchairnowi w ocaleniu Świątyni, zamiast kontynuować wojnę w nadziei, że Clyntahn doprowadzi do jej ostatecznego upadku, nie uda nam się wypełnić prawdziwej misji Nimue Alban.

– A co z tymi wszystkimi ludźmi, Phylypie? – szepnęła księżniczka. – Z tymi, którzy będą musieli zginąć?

– Na tym właśnie polega nasz dylemat – odpowiedziała jej znowu Sharleyan. – Jak daleko możemy się posunąć, by wykonać misję, która musi pozostać tajemnicą? I ilu porządnych ludzi, takich choćby jak major Phandys, skazemy przez to na pewną śmierć? Jednego bowiem możemy być pewni... Przyglądając się rozmowie Merlina i Nynian z majorem, odniosłam wrażenie, że spiskowcy podejmą zdecydowane działania bez względu na to, czy ich wesprzemy czy nie.

W komunikatorach zapadła na dłuższą chwilę cisza, którą przerwał dopiero uśmiechający się krzywo Merlin.

– Wspomniałeś, Nahrmahnie, że to nie jest jedna z twoich błyskotliwych strategii – powiedział. – Masz rację, ponieważ bardziej mi ona pasuje do Maikela.

– Słucham? – obruszył się arcybiskup.

– Czyż nie wałkowaliśmy tego tematu po wielekroć? Palec Boży poruszający serca śmiertelnych... Pomyśl tylko, ile osób poświęciło życie, abyśmy mogli dotrzeć do tego punktu, do tej decyzji. Pomyśl o Samylu i Hauwerdzie, o Zhorzhet i Marzho, o Duchairnie i Phandysie, o Siostrach i Sterze. Pomyśl o tym wszystkim, a potem wspomnij ryzyko, które podjął skarbnik Świątyni pospołu z Phandysem. Potem zaś

zastanów się, ilu żołnierzy możemy ocalić... nie wrogich, lecz naszych. Naprawdę uważasz, że w ogóle mamy jakiś wybór? – Pokręcił głową, zanim holograficzne oczy Nimue wpiły się w jego twarz. Dostrzegł w nich niemą zgodę. – Bóg nie dałby nam takiej okazji, gdyby nie chciał, abyśmy z niej skorzystali – dodał nieco łagodniejszym tonem. – Może źle to interpretuję, ale wiecie co? Mam to gdzieś. Teraz już mam to gdzieś... Zabiliśmy wystarczająco wielu ludzi. Ja zabiłem. Niech zatem nie ginie nikt więcej. Miejmy nadzieję, że Bóg da nam kolejną okazję, nie dzisiaj, ale za jakiś czas, abyśmy mogli wypełnić wolę Nimue. Gdyby nie o to Mu chodziło, byłby Bogiem tego zbrodniarza Zhaspahra Clyntahna, a przecież doskonale wiecie, że to nieprawda.

.VII.
Wielki Las Tarikah
oraz
Chyzwail
Jeziro West Wing
Prowincja Tarikah
Republika Siddarmarku

Zhwozhyou Puyang, hrabia Złotego Drzewa, przetarł zaczerwienione oczy. Niewiele to jednak pomogło. Miał już sześćdziesiąt jeden lat, więc i jego wzrok nie należał do najlepszych. Niestety olej do lamp skończył się już dawno temu, za co mógł dziękować charisjańskiej artylerii, której pocisk wylądował dokładnie na dachu bunkra kwatery głównej. On sam przebywał wtedy w innym miejscu, lecz większość podległych mu oficerów – wraz z całym zapasem oleju, nie mówiąc już o samych lampach i reszcie jego osobistego dobytku – wyparowała w potwornie silnej eksplozji, po której został tylko głęboki krater.

I zalegające na jego dnie strzępy ciał ludzi, którzy służyli mu wiernie przez ostatnie kilka lat.

Hrabia Złotego Drzewa nie miał pojęcia, czym heretycy wypełniają dziś swoje pociski, ale niektóre z nich niosły ze sobą moc Rakurai zsyłanego przez Langhorne'a. Już sam widok ogromu zniszczeń, jakich dokonywały, mógł przyprawić człowieka o mdłości. A bycie naocznym świadkiem eksplozji mogło złamać ducha najwierniejszego sługi Kościoła Matki.

Hrabia Złotego Drzewa był dumny ze swoich ludzi. Oczywiście nie przyznałby tego otwarcie, ponieważ większość żołnierzy pochodziła z nizin społecznych – byli to pariasi, w najlepszym wypadku prości chłopci albo słudzy – ale w duchu uważał, że jego podwładni walczyli dzielnie za swego Boga nawet wtedy, gdy heretycy zablokowali im ostatnią drogę odwrotu.

Nie pojmował, jak to możliwe. W gruncie rzeczy nie rozumiał jeszcze tego i owego... na przykład jak Bóg wyobraża sobie wyprowadzenie oddziałów z pułapki. Hrabia Złotego Drzewa był pewien tylko jednego: osiem dni temu heretyk Stohnar zdołał wprowadzić swoją wielką brygadę w głąb lasów i wyprzeć jego posterunki znad rzeki Tairyn. Tym sposobem przejął kontrolę nad jedynym szlakiem, którym wojska hrabiego otrzymywały zaopatrzenie i który mógł im posłużyć za drogę ewakuacji. Gdyby nawet udało się odeprzeć ten podstępny atak, nikt nie miałby pewności, czy Armia Pana Wszechmogącego i Archaniołów wciąż kontroluje znajdujący się na drugim krańcu lasów trakt. Ostatnia wiadomość od hrabiego Tęczowych Wód mówiła o tym, że Gleesyn wciąż broni swych pozycji, czyli trakt pozostaje w dobrych rękach, no ale od przybycia posłańca upłynęło przecież ponad półtora pięciodnia.

Hrabia Złotego Drzewa przestał trzeć piekące oczy i sięgnął po prosty gliniany kubek stojący w rogu prowizorycznego biurka. Pociągnął spory łyk i skrzywił się mocno. Postanowił jednak, nie pierwszy raz, że nie zapyta kucharzy, z czego robią świństwo zwane nie wiedzieć czemu herbatą. Podejrzywał bowiem, że odpowiedź go nie ucieszy, tak samo jak wcześniej, kiedy zagadywał podwładnych na inne tematy.

Upił jeszcze jeden łyk „herbaty”, po czym wrócił do lektury raportu. A raczej do prób jego odczytania. Kaligrafia Hiyanga wołała o pomstę do nieba, ale czego tu wymagać od człowieka, który jeszcze cztery lata temu był zwykłym szewcem w stolicy cesarstwa i nie marzył nawet o tym, że zostanie żołnierzem, do tego oficerem zwalczającym czynnie heretyków, apostatów i czcicieli demonów. Zynghau Hiyang był prostakiem, nikt przy zdrowych zmysłach nie posądzał go o posiadanie śladowej choćby inteligencji, jednakże gdy poległ dowódca jego regimentu, przyszło mu go zastąpić, co też uczynił w imponującym stylu, prowadząc żołnierzy do walki z większą brawurą niż pozostali oficerowie hrabiego. A zważywszy na wysokie standardy i odwagę korpusu oficerskiego, rzeczony komplement miał swoją wagę.

Dziś jednak niewiele już zostało z regimentu Hiyanga. Hrabia postanowił sprowadzić osieroczonego dowódcę do sztabu, by wypełnić jakoś miejsce po poległych w pamiętnej eksplozji, której sam cudem uniknął. W tym momencie, wpatrując się w spisane przez podwładnego dane o ostatnich stratach, hrabia Złotego Drzewa ujrzał niechcianą prawdę.

Wkroczył do Sairmeetu na czele prawie dwóch pełnych zgrupowań piechoty, prowadząc ponad czterdzieści – ba, prawie pięćdziesiąt – tysięcy ludzi, jeśli dodać do tego tabory i artylerię. Zajął doskonale umocnione pozycje obronne, kryjące się w ożywym cieniu wiecznie zielonych drzew. Czuł się tutaj jak w przydomowym ogrodzie, gdzie niegdyś często szukał ukojenia.

Te piękne drzewa zostały jednak zamienione w strzaskane pniaki. Konary chroniące przed upalnym słońcem – i heretyckimi balonami – zniknęły pod ostrzałem artyleryjskim. Wysunięte okopy nie przypominały już umocnień, tak były zryte kraterami, a na przedpolu leżało mnóstwo rozkładających się ciał, z których zbyt wiele jak na gust hrabiego miało na sobie harchońskie mundury zamiast charisjańskich czy siddarmarckich. Na domiar złego te magazyny z zaopatrzeniem i amunicją, których nie wymacała do tej pory wroga artyleria, zaczynały świecić pustkami.

Jeśli wierzyć wyliczeniom Hiyanga, do wieczora hrabiemu pozostanie dwadzieścia trzy tysiące ludzi pod bronią, lecz nie to wydawało się najgorsze. Hiyang szacował, że na każde sprawne działo przypada już tylko dwanaście pocisków. Strzelcy mieli po czterdzieści naboji, a o granatach lepiej nie wspominać. Racje żywnościowe były wystarczające na co najwyżej dwa pięciodnie... pod warunkiem że ograniczy się posiłki do jednego dziennie. Uzdrowicielom kończyły się zioła, ograniczali się więc do zbierania szmat, które po wygotowaniu mogłyby posłużyć za bandaż – o ile naturalnie pod silnym ostrzałem wrogiej artylerii znalazło się coś do spalania pod saganem z wrzątkiem. Środki uśmierzające także były na wyczerpaniu... a o alkoholu, którym Pasquale nakazywała odkażać narzędzia chirurgiczne, można było w ogóle zapomnieć.

Hrabia Złotego Drzewa długo trzymał się nadziei, że obiecany przez zwierzchników konwój z zaopatrzeniem zdoła się przedrzeć do Sairmeetu. Dowódca Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów był człowiekiem słownym, tak więc broniący tej linii mogli być pewni, że otrzymają pomoc, jeśli to tylko będzie w ludzkiej mocy.

Niestety nie zanosilo się na to.

Zrozum to w końcu, napomniał sam siebie hrabia Złotego Drzewa. Zostaliście pobici. Twoi ludzie mogliby jeszcze powalczyć, ale nie mają

czym. Bez zaopatrzenia i leków niewiele działają. Bez pocisków i granatów jeszcze mniej. Na Langhorne'a! Jak się bić, nie mając naboji? Co więcej, jeśli heretycy wyparli naszych z Gleesynu, dalsze straty w ludziach podczas prób utrzymania Sairmeetu nie mają najmniejszego sensu. Cóż z tego, że to tylko wieśniacy i słudzy, nikt nie zasługuje na taki koniec.

Wzdrygnął się na myśl, co inkwizytorzy Zhaspahra Clyntahna uczynią ich rodzinom, lecz nie zmienił zdania. Nagle wiedział już, co powinien zrobić.

Hrabia Tęczowych Wód i jego siostrzeniec zaprosili do gabinetu Gustyva Walkyra i Ahlbaira Saintahvo. Ucałowawszy pierścień tego drugiego, wskazali gościom fotele. Rozmowie, którą mieli przeprowadzić, towarzyszył ryk odległych gromów na linii frontu. Charisjańscy artylerzyści nie mogli widzieć pozycji wroga w takim mroku, nawet mając zwiadowców w tych przeklętych balonach, lecz to im najwyraźniej niespecjalnie przeszkadzało – ogromna ilość amunicji marnowanej na ten ślepy ostrzał była dla Harchończyków kolejnym tematem do przemyśleń. Skoro heretyków było na to stać, musieli mieć drożne szlaki zaopatrzeniowe, o możliwościach produkcyjnych manufaktur i zasobności skarbców nawet nie wspominając.

Nic z tego nie było prawdą w wypadku Kościoła Matki.

– Dziękuję, że zechcieliście obaj przyjść – odezwał się hrabia Tęczowych Wód, gdy jego siostrzeniec nalał już wina do przygotowanych zawnazu porcelanowych czarek, a potem wycofał się ukradkiem, by nie przeszkadzać w rozmowie. – Wiem, że i bez mego marudzenia macie ostatnimi czasy ogrom zajęć w kwaterze głównej.

– Daleko nie mieliśmy, mój panie – zauważył Walkyr, siląc się na żart, który nie wzbudził jednak wesołości gospodarza.

Armia Centrum toczyła ciężkie boje, odkąd spotkał się z nimi oboma w Cheryku. Jej brak doświadczenia – i artylerii – dał się mocno we znaki, czego dowodem były wielkie straty, lecz ci żołnierze, którzy przetrwali, uczyli się szybciej, niżby mieli na to ochotę. Dzięki temu w końcu udało się zadać wrogowi duże straty, gdy brygada heretyków

z Armii Westmarch podeszła zbyt blisko Św. Vyrdyn i trafiła w pole rażenia wyrzutni rakiet Armii Boga.

W tym krótkim starciu poległo od dwóch do trzech tysięcy Charisjan, co było powodem wielkiego zadowolenia artylerzystów. Później jednak wróg podciągnął działa kątowe, a balony wysuniętych jednostek szpicy pojawiły się nad całym frontem. Armia Westmarch podjęła natarcie i zaczęła powoli, ale sukcesywnie wypierać oddziały Armii Centrum.

Dotąd siły Walkyry musiały się cofnąć aż za rzekę Ferey. Utracono także kontakt z Św. Vyrdyn – do którego heretycy wkroczyli wczoraj, jeśli dane wywiadu były prawdziwe – ale prawe skrzydło tego zgrupowania wciąż było zablokowane u podnóża wzgórz Tairohn, jakieś sześćdziesiąt do siedemdziesięciu mil na północ od miasta. Garnizon Glydahr nadal się bronił, lecz heretycy zdołali przerzucić aż dwie brygady jazdy między Św. Vyrdyn a tę miejscowość, zdobywając rozstaje, gdzie zaczynał się trakt prowadzący do Kanału Langhorne'a. Było więc kwestią czasu, kiedy otoczona stolica Sardahnanu padnie... Armia Daivyn nie kryła bowiem swoich planów, równając z ziemią wysunięte linie obrony tego miasta. Ciekawe, jak długo jeszcze uda się inkwizytorom Glydahru nakłaniać ludzi arcybiskupa polowego Klymynta Gahsbahra do stawiania oporu.

W tym samym czasie ta część sił Walkyry, którą mógł dowodzić osobiście – czyli jakieś sto sześćdziesiąt tysięcy ludzi – stała się trzonem rezerw Armii Pana Wszchemogącego i Archaniołów, zgromadzonych na południe od rzeki Ferey. Z tego powodu arcybiskup przeniósł swoją kwaterę główną do Chyzwailu, aby ułatwić kwestię podobnych odpraw.

Nie, poprawił się w myślach hrabia Tęczowych Wód, ta odprawa na pewno nie będzie podobna do poprzednich.

– Mogę zapytać, po co nas wezwałeś, mój panie? – zapytał Saintahvo, ignorując obecność czarek. – Czyżbyś miał więcej złych wieści? – dodał kwaśnym tonem.

Arcybiskup robił się coraz bardziej zrzędlivy, przynajmniej od chwili pierwszego spotkania z hrabią. Przestał kryć się z opinią, że ostatnie niepowodzenia są wyłączną winą niekompetentnych dowódców. Mówił to wprost, nawet hrabiemu Tęczowych Wód i Walkyrowi. Harchoński arystokrata nie wiedział tylko, czy to oznaka strachu czy raczej skutek naglącego tonu wiadomości przychodzących regularnie z Syjonu.

– Obawiam się, eminencjo, że o to właśnie chodzi – odparł, zachowując spokój i nieco zbyt pewną minę jak na człowieka, który zamierza zasmucić osobistego wysłannika samego wielkiego inkwizytora. – Dziś wieczorem otrzymałem wiadomość od hrabiego Złotego Drzewa. Jutro o świcie Sairmeet podda się heretykom.

– Co takiego? – Saintahvo zerwał się z fotela, twarz miał wykrzywioną nienawistnym grymasem.

– Smutne to, eminencjo, lecz nie zaskakujące – stwierdził hrabia Tęczowych Wód. – Sairmeet zostało okrążone ponad dwa pięciodnie temu, ale tamtejszemu dowódcy udawało się od czasu do czasu wysłać wyvernę pocztową. Dzieliłem się treścią otrzymanych tą drogą wiadomości z tobą i arcybiskupem polowym Gustyvem. Nadawca ostrzegał w nich, że jeśli nie uda się udroźnić traktu, upadek miasta będzie nieunikniony. W ostatnim raporcie hrabia donosił, że jego żołnierzom zostało po czterdzieści naboju na głowę i jedzenia na niespełna pięciodzień, przy czym heretycy nie przypuścili żadnego ataku od sześciu dni. Po prostu ostrzeliwują nasze pozycje, zabijając od trzystu do sześciuset ludzi dziennie bez narażania własnej piechoty. W takich okolicznościach poddanie garnizonu wydaje się jedynym rozsądnym, czy też logicznym, wyjściem.

– Rozsądnym? Logicznym? Jaką logikę widzisz, mój panie, w walce o dusze? – zapytał Saintahvo. – Święta wojna nie opiera się na logice! Musimy pokonać Shan-wei i jej sługusów, aby ocalić Świątynię i wszystkie dzieci Boga Jedynego, nawet te jeszcze nienarodzone. Co przy tak wielkiej stawce znaczy czyjaś śmierć?

– Z całym szacunkiem, eminencjo, ale miałbyś spory problem, gdybyś chciał wytłumaczyć tę kwestię krewnym żołnierzom poległym w dalszej obronie Sairmeetu. Nie podważam konieczności obrony Kościoła Matki i stojącego za nim Stwórcy, nawet za cenę naszego życia, ale uważam, że bezsensowne oddawanie życia dla nawet najsłuszniejszej sprawy to coś, czego Bóg z pewnością nie pochwała. Nie żąda od nas więcej wdów i sierot... – Saintahvo poczerwieniał na twarzy, słysząc wypowiedziane z chłodnym spokojem słowa Harchończyka, ale hrabia Tęczowych Wód udął, że tego nie zauważa. – Gdybyśmy mieli szansę na przesłanie hrabiemu Złotego Drzewa posiłków i zaopatrzenia, utrzymałby pozycje do czasu przybycia konwojów, niestety w obecnej sytuacji nie jesteśmy w stanie przebić się do niego.

– Jak to? – zapytał arcybiskup. – Dlaczego jeszcze nie ruszyliście mu z odsieczą?

– Ależ ruszyliśmy, eminencjo, tyle że jak dotąd Armia Pana Wszechmogącego i Archaniołów straciła trzydzieści dwa tysiące ludzi, próbując odzyskać kontrolę nad wspomnianymi szlakami zaopatrzeniowymi. – Hrabia Tęczowych Wód rozparł się wygodniej w fotelu. – A to znaczy, że straciliśmy już ponad pięć procent więcej ludzi, niż liczą otoczone siły. Z matematyką trudno dyskutować. Nie stać mnie na dalsze straty w tym tempie. Gdyby nawet znalazł się jakiś sensowny powód kontynuowania tej akcji, a takiego... jak wszyscy dobrze wiemy... nie ma, to i tak nie mielibyśmy najmniejszych szans powodzenia.

– Niby czemu? – warknął Saintahvo.

– Choćby dlatego, że Armia Tarikah zajęła dziś wieczorem Gleesyn – oświadczył beznamiętnym tonem hrabia Tęczowych Wód. – W tej chwili wróg ma na południe od tego miasta co najmniej jedną brygadę chronioną ogniem dział kątowych z drugiego brzegu rzeki. Garnizon Gleesyn został zdziesiątkowany, zanim nieprzyjaciel przypuścił ostateczny szturm, ale wojska inżynieryjne heretyków zdołały do tej pory utworzyć co najmniej pięć przepraw pontonowych, co pozwala mi stwierdzić, że znajdują się tam kolejne brygady, których jeszcze nie wykryliśmy. A jeśli jeszcze ich tam nie ma, to do jutra rana z pewnością się pojawią i przekroczą rzekę.

Na chwilę zapadła grobowa cisza, przerywana jedynie odległym łomotem charisjańskiej artylerii.

– Szacujemy, eminencjo, że heretycy stracili podczas tych walk około osiemdziesięciu tysięcy ludzi – podsumował hrabia Tęczowych Wód. – W tym samym czasie z Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów ubyło ponad czterysta tysięcy żołnierzy, przy czym nie doliczam do rachunku strat, które poniosły południowe zgrupowania, twoja Armia Centrum i siły hrabiego Jedwabnych Wzgórz. Jeśli zsumujemy to wszystko, przyjdzie nam co najmniej podwoić szacunki. Żołnierze nasi i twoi, eminencjo, walczyli z pełnym oddaniem, możesz być więc pewien, że heretycy ponieśli na tym odcinku frontu najcięższe straty od chwili, gdy biskup połowy Bahrnabai został powstrzymany na Przełęczy Sylmahna. Może nawet najcięższe w historii tej wojny. A nasze oddziały,

zwłaszcza gdy chodzi o ciężką artylerię, pozostają wciąż nietknięte i gotowe do działania pomimo zauważalnej przewagi ogniowej wroga, pomimo tych przeklętych balonów. Niestety pod względem strat w całej wojnie wyprzedzamy ich o wiele długości, a sytuacja ta pogarsza się z każdym dniem, poza tym nasze linie zostały rozciągnięte poza granice możliwości, czego Gleesyn jest najlepszym dowodem. Ale najgorsze jest to, że zaczynają nam wbijać nóż w plecy. Jeszcze chwila i uda im się zmienić obecny impas w klasyczną wojnę pozycyjną, a ta, przy ich mobilności i wykorzystaniu korpusu balonowego, będzie jeszcze gorsza.

– Co zatem proponujesz? – zapytał Saintahvo.

– Tylko jedno, eminencjo. – Hrabia Tęczowych Wód spojrział arcybiskupowi prosto w oczy. – Jeśli nie wydam natychmiast rozkazu odwrotu wszystkich sił stacjonujących na północ od Gleesy, heretycy pójdą na północny zachód i otoczywszy je, zrobią to samo co z Sairmeetem. Problem w tym, że jeśli wycofam moich ludzi za linie obrony na rzece Ferey, pozostawimy wrogowi wolną drogę aż do Mhartynsbergu, co pozwoli heretykom zagrozić Kanałowi Świętego Langhorne'a w okolicach Transylu, a to z kolei zrodzi konieczność wycofania się aż do tego miasta. Dlatego uważam za konieczne, by skierować arcybiskupa polowego Gustyva do obrony tego miejsca za wszelką cenę.

– To przecież siedemset mil stąd! – obruszył się Saintahvo. – Jeśli wycofacie się z Mhartynsbergu, oddacie czcicielom demonów całe baronie Charlz i Sardahn!

– Jeśli tego nie uczynię, moja armia i twoja także, eminencjo, przestaną istnieć. Gdy zaś do tego dojdzie, nie zostanie już nikt, kto mógłby bronić wiernych synów i córki Kościoła Matki przed heretykami.

– Przedyskutowałeś tę sprawę z biskupem Merkylem? – zainteresował się arcybiskup.

– Tak. Z początku był tak samo przerażony jak ty, eminencjo, lecz z czasem dotarło do niego, że logika mego wyводу jest niepodważalna.

– Dlaczego nie przyszedł tutaj, by osobiście mnie o tym powiadomić?

– Ostatnimi czasy artretyzm doskwiera mu coraz bardziej, eminencjo. Boję się, że przygnębienie, które wywołały w nim ostatnie porażki, tylko pogarsza jego stan. Dzisiaj zajmują się nim uzdrowiciele, wierzę jednak, że będzie mógł się z nami spotkać jutro albo pojutrze.

– Jutro albo pojutrze? – powtórzył Saintahvo podniesionym głosem. – Cóż, mój panie... Bez względu na to, co biskup Merkyl sobie myśli... zakładając, że jego stan fizyczny nie wpływa w jakiś sposób na jego umysł... ja kategorycznie odrzucam twoją logikę. Jesteśmy bojownikami Boga. Zawierzyliśmy Mu nasze życie i... śmierć, jeśli zajdzie taka potrzeba. Stwórca oczekuje od nas walki do samego końca. Módlmy się, aby Bóg Jedyiny udzielił nam wsparcia w chwili próby. – Urwał na moment, zaczerpnął tchu i wyrzucił z siebie gromko: – Nie wycofasz swoich ludzi, mój panie!

– Pragnę ci przypomnieć, eminencjo, że pomimo swej rangi nie jesteś moim intendentem. Tę rolę pełni biskup Merkyl. Dlatego uważam, że nie masz prawa kwestionować moich decyzji, jeśli zostały z nim uzgodnione.

– Nie zgadzam się na ogłoszenie odwrotu bez względu na to, co sądzisz o moich kompetencjach! – Saintahvo aż zatrzęsł się z wściekłości. – Chociaż jestem „tylko” intendentem arcybiskupa Gustyva, to ja reprezentuję tutaj wielkiego inkwizytora. Jesteś gotowy powiedzieć mi w twarz, że nie mam prawa podważać twoich tchórzliwych decyzji, gdy zamierzasz uciekać przed wrogami Boga? – syczał jak jaszczur, miotając oczami gromy.

Hrabia ani drgnął.

– Przewidziałem, że nie zgodzisz się z moimi analizami, eminencjo – powiedział tym samym spokojnym, niemal konwersacyjnym tonem – i dlatego poczyniłem już stosowne kroki. Powiadomiłem też wikariusza Allayna o swoich zamiarach.

– Zrobiłeś to? – zapytał Saintahvo już nieco innym tonem, wyraźnie przybity niewzruszoną postawą rozmówcy.

– Owszem – potaknął hrabia Tęczowych Wód. – I dzisiaj wieczorem otrzymałem odpowiedź drogą semaforową. Ku memu zaskoczeniu przyszła także druga wiadomość, zaszyfrowana, do arcybiskupa polowego Gustyva. Wikariusz Allayn zaniepokoił się do tego stopnia, że postanowił podzielić się własnym punktem widzenia z pozostałymi dowódcami.

Podniósł z biurka kartkę papieru i podał ją Walkyrowi. Arcybiskup polowy nie wykazywał wielkiej chęci do jej przyjęcia, ale wziął ją w końcu i przeczytał z kamienną miną. Potem uczynił to powtórnie, tym

razem uważniej. Saintahvo wyciągnął do niego rękę, niecierpliwym gestem domagając się oddania wiadomości, lecz Walkyr jakby tego nie widział, skupiwszy całą uwagę na hrabim Tęczowych Wód.

– Pozwól, że zapytam, eminencjo... – odezwał się gospodarz spotkania. – Czy zamierzasz podważać wolę naczelnego wodza?

– Nie – odparł Walkyr. W jego głosie dało się wyczuć mieszaninę strachu i... ulgi. – Nie, mój panie.

– Świetnie – ucieszył się hrabia.

Saintahvo wodził wzrokiem od jednego do drugiego, wciąż trzymając rękę zawieszoną w powietrzu. Nie doczekał się jednak wiadomości od wikariusza Allayna. Za to hrabia Tęczowych Wód sięgnął po leżący na blacie dzwonek.

Jeden dźwięk, słodki, melodyjny, ale też zadziwiająco ostry zagłuszył na moment mruczenie heretyckiej artylerii. Rozbrzmiewał w uszach zebranych aż do chwili, gdy w otwartych drzwiach stanął baron Pieśni Wiatru, prowadząc pół drużyny piechoty odzianej w mundury Cesarskich Włóczni, czyli harchońskiej zandarmerii.

– Tak, mój panie? – zapytał.

Hrabia wskazał palcem Ahlbaira Saintahvo.

– Aresztować go!

.VIII.
Świątynia
Syjon
Ziemie Świątynne

Tak, eminencjo? – zapytał kapłan, wchodząc do gabinetu Wyllyma Rayna w odpowiedzi na wezwanie.

– Rozmawiałeś może dzisiaj rano z ojcem Allaynem?

– Nie, eminencjo. – Sekretarz pokręcił głową. – Dlaczego pytasz? Spodziewamy się od niego jakiejś wiadomości?

– Miał stawić się u mnie osobiście ponad dwadzieścia minut temu. –

Rayno wyglądał na niezadowolonego. Miał zwyczaj rozpoczynać dzień bardzo wcześnie, nawet przed świtem, i od wszystkich podwładnych wymagał tego samego. – Poślij kogoś, żeby sprawdził, jakie są przyczyny tego spóźnienia. I dlaczego nie zostałem o tym fakcie uprzedzony!

– Oczywiście, eminencjo.

Gdy kapłan pokłonił się i wyszedł, Rayno zgramolił się z fotela i pokuśtykał do kąta, by wyrzeć przez narożne okno. W odróżnieniu od komnat wikariuszy nie miał dostępu do magicznych krajobrazów przedstawiających zielone łąki, lasy albo góry. Musiał się zadowolić panoramą placu Męczenników. Teraz więc, założywszy ręce za plecy, przyglądał się znajomej zabudowie.

Oby Allayn Wynchystair potrafił wytłumaczyć swoje spóźnienie, jak również fakt, że nie uprzedził mnie w porę o tym fakcie! – pomyślał wciąż rozeźlony Rayno.

Ten dzień zaczął się nieciekawie, zanim jeden z najlepszych agentów zdecydował, że ma coś lepszego do roboty, niż powiadomić szefa o ostatnich zbrodniach Pięści Kau-yunga.

Arcybiskup zaklął pod nosem.

Sceneria, na którą patrzył, wyglądała tak sielsko. Lśniąca tarcza wschodzącego słońca wyłaniała się dopiero zza horyzontu, powierzchnię

Jeziora Pei zdobiły drobne, zwieńczone białą fale, a barwne sztandary Kościoła Matki łopotały na wiejącej od wody bryzie. Widział też żagle płynących jednostek i nielicznych przechodniów przemierzających ulice. Ten widok był taki krzepiący i uspokajający...

Szkoda tylko, że nieprawdziwy.

Westchnął, pozwalając sobie na okazanie uczuć, których istnienia nie mógł zdradzić przed współpracownikami.

W rzeczywistości Syjon przypominał beczkę prochu, a on – po raz pierwszy w życiu – nie potrafił przewidzieć, co może się wydarzyć. Panika, której przejawów nie był w stanie dojrzeć z okna własnego gabinetu, dusiła Miasto Boga niczym najgorszy smog. Toczyła je jak zaraza. Wieści z frontów były przytłaczające, a Zhaspahr Clyntahn pomimo oporu Rayna zdecydował, że Inkwizycja ma tępić wszelkie informacje o poddaniu się wojsk hrabiego Złotego Drzewa, podobnie jak uczyniła to wcześniej w wypadku klęski biskupa polowego Lainyła. Akcja ta, podobnie jak poprzednia, nie miała jednak prawa się udać. Pieprzone heretyckie plakaty rozpowszechniały wieści o klęskach, trafiając na próg niemal każdego domostwa. I bez względu na to, co myślał sobie wielki inkwizytor i co ogłaszał po każdym spotkaniu, ludzie wierzyli bardziej im niż Kościołowi Matce.

I mieli ku temu dobre powody. Właśnie dlatego Rayno przekonywał, by tym razem powiedzieć wiernym prawdę. Informacje można cenzurować, kiedy jest to wykonalne i sensowne, lecz gdy ludzie mają możliwość poznania prawdy z innych źródeł, takie działanie mija się z celem. Co więcej, publikowanie kłamstw w takiej sytuacji działa na niekorzyść – jak to bowiem jest, że heretycy głoszą na swoich plakatach prawdę, a obrońcy Boga łżą w żywe oczy? Dopóki Charisjanie nie zaczęli rozpowszechniać swojej propagandy, Inkwizycja nie musiała się kłopotać takimi pierdołami, tymczasem Clyntahn nadal upierał się przy stosowaniu dawnych technik, które już nie działały.

Do tego doszły jeszcze ataki tak zwanej „Pięści Boga” wymierzone w wysokiej rangi hierarchów, zwłaszcza tych należących do episkopatu. Na domiar złego w minionym pięciodniu terroryści zasadzili się aż na osiemnastu wykonujących swoje obowiązki agentów Inkwizycji. Siedemnastu z nich zginęło, a ostatni zapadł w śpiączkę, lecz nikt, dosłownie nikt nie zauważył napastnika. A gdy Inkwizycja nie jest

w stanie znaleźć choćby jednego świadka zabójstwa swojego agenta, gdy wszyscy pytani twierdzą zgodnie, że nie mają pojęcia, jak mogło do tego dojść, zaczyna być naprawdę groźnie. Nigdy wcześniej nie było podobnej sytuacji. Zwłaszcza że do tej pory ustalono jedno: zabójstw tych nie dało się przypisać wspomnianej Pięści Boga. Na to ataki były zbyt... niezdarne. Zbyt porywcze. Wynikały raczej z wściekłości napastników niż dokładnego planowania. Poza tym Pięść Boga gardziła dotąd tak nieważnymi celami, jak przypadkowi uliczni kapusie Inkwizycji.

Nie. To musiało być dzieło zwykłych mieszkańców Syjonu, efekt wściekłości buzującej gdzieś pod powierzchnią tej spokojnej panoramy za oknem...

Nie oznacza to jeszcze, że wszyscy są wściekli, pocieszył się w myślach Wyllym. Iluż desperatów trzeba, by wyeliminować osiemnastu agentów, którzy chadzają samotnie, bez obstawy, która mogłaby ich obronić? Wystarczyłaby garstka malkontentów! Zatem Zhaspahr ma rację. Nie wszyscy wierni zwrócili się przeciwko nam. Nie może być mowy o powszechnej niechęci.

Zatem ostatnie wydarzenia niczego jeszcze nie dowodziły. Jednakże Wyllym Rayno nie urodził się wczoraj. Swego czasu był zwykłym agentem Inkwizycji, potem oskarżycielem... Mimo to nie pamiętał przypadku, by w kostnicy Świętego Oficjum spoczęło aż siedemnaście ciał.

A taki Wynchystair zapomina o terminie wyznaczonego spotkania! Już on usłyszy swoje, gdy się tu pojawi...

– Wybacz, eminencjo.

Rayno odwrócił się od okna. Jego sekretarz wrócił. Był blady i roztrzęsiony.

– Co się stało? – zapytał arcybiskup, walcząc z ogarniającym go strachem.

– Ojciec Allayn... – wymamrotał kapłan. – Ojciec Allayn nie żyje, eminencjo. On, ojciec Zhaksyn, ojciec Paiair i ojciec Kwynlyn... oni wszyscy nie żyją.

– Wszyscy? – Rayno wytrzeszczył oczy.

– Wszyscy – powtórzył kleryk. – Dowiedziałem się tego od sekretarza ojca Allayna. Powiedział... Powiedział, że ojciec Allayn zaprosił ich na wczesne spotkanie, czy też śniadanie, aby złożyli mu raporty, zanim uda

się do ciebie, eminencjo. Ktoś wrzucił granat do pomieszczenia, w którym przebywali. Przez okno.

– Na Schuelera – szepnął Rayno, nie odrywając wzroku od podwładnego przez kolejne kilka sekund. – Przekaż biskupowi Markysowi, że chcę się z nim zaraz widzieć! – dodał.

– Nie brzmi to zbyt dobrze – zauważył ojciec Elaiys Makrakton, okazując zaniepokojenie. Spojrzał na swojego asystenta, brata Riely’ego Stahrnsa, a potem na sierżanta gwardii, który dowodził wspierającym ich oddziałem.

– Mnie tego nie musisz mówić, ojcze – zapewnił go żołnierz nasłuchujący krzyków dobiegających zza rogu.

– Jest tylko jeden sposób, by to sprawdzić – stwierdził Makrakton zdecydowanym tonem, który na pewno nie odzwierciedlał jego samopoczucia.

– Skoro tak mówisz, ojcze. – W głosie sierżanta można było wyczuć te same wątpliwości, które czuł duchowny. – Słyszeliście? Tylko zachowajcie czujność!

Skinęli posłusznie, a Makrakton udał, że nie dostrzega bagnetów zatkniętych na lufy karabinów. Po chwili namysłu skinął na Stahrnsa.

Poranna odprawa wyglądała zupełnie normalnie. Nie była to służba, jakiej ktokolwiek by pragnął, lecz ktoś musiał zbierać te przekłete plakaty, które pojawiały się na mieście każdej nocy. Tego dnia padło na niego. Nie mógł się dłużej uchylać od przykrego obowiązku. Nie czuł się dobrze z myślą, że przyjdzie mu brać do ręki coś tak nieczystego, bluźnierczego. Poza tym, nawet jeśli jednego dnia podarł wszystkie, nazajutrz pojawiały się nowe. Nigdy w tym samym miejscu, chociaż w niektórych dzielnicach, jak na przykład na alei Zheppsyna, niemal zawsze można było znaleźć kilka. Wprawdzie na różnych budynkach, dzisiaj na elewacji Św. Nysbeta, jutro na bibliotece, lecz nieodmiennie gdzieś, i to na widoku.

Wyszedł zza narożnika, prowadząc pozostałych, i z wściekłością zacisnął zęby, gdy zobaczył tłum otaczający tablicę informacyjną przed Św. Nysbetem. Tam właśnie księży wywieszali codziennie nowe cytaty

z Pisma, lecz dziś czytano nie święte wersety... Makrakton poczuł pod kapłańskim czepcem pot, zrozumiał, jak liczny jest ten tłum. Zebrało się pięćdziesiąt, jeśli nie sześćdziesiąt osób. Rozlegały się gniewne, pełne uniesienia okrzyki, do których dołączały wciąż nowe, gdy ludzie wybiegali z przyległych uliczek.

Nie mógł pozwolić na coś podobnego.

– Za mną – rozkazał półgębkiem, przyśpieszając kroku. – Wy tam! – zawołał. – Co tu się dzieje?! Nie wiecie, że oni drukują wyłącznie nieprawdę? – Oskarżycielskim gestem wskazał przypięty do tablicy plakat. – Wynocha! Wracajcie do domów, zanim zacznę spisywać nazwiska...

– Dość już tych kłamstw!

Makrakton drgnął. Nie zauważył, kto z zebranych odważył się wrzasnąć. Mógł to być ktoś z tłumu otaczającego tablicę, ale pewności nie miał. Za to zobaczył, że wszyscy zgromadzeni odwracają się do niego.

– Powiedziałem... – zaczął.

– Dość już tych kłamstw i morderstw! – krzyknął ten sam człowiek. – Te plakaty nie kłamią, chłopcy! Pokażmy Clyntahnowi, co naprawdę o nim myślimy!

Makrakton nie wierzył własnym uszom. Przerazenie nie pozwoliło mu się ruszyć, ale tylko przez moment, choć i ten trwał zbyt długo.

Tłum rzucił się nagle do przodu, nie po to jednak, by się rozejść. Nie, ci ludzie szli prosto na niego i na gwardzistów.

– Co wy wyprawiacie...?

Usłyszał głos brata Riely'ego, który zamilkł raptownie, gdy brukowiec trafił go prosto w usta.

Stahrns padł, wrzeszcząc przeraźliwie i trzymając się za zmasakrowaną twarz, zanim sierżant wydał pierwszy rozkaz. Gwardziści opuścili broń, wymierzili, po czym wystrzelili, zasnuwając aleję gęstym dymem. Rozległy się okrzyki bólu, lecz jedna salwa nie była w stanie powstrzymać protestujących. Wynurzyli się z kłębow dymu i zaatakowali, a co czwarty dzierżył w dłoni kamień albo inną zaimprovizowaną broń.

– Zabić bękartów! – wrzasnął któryś.

– Koniec tych mordów! – zawtórował mu inny.

A potem...

– Śmierć wielkiemu cudzołożnikowi!

Rozwścieczony tłum przetoczył się po gwardzistach. Kilka osób padło pod bagnietami, ale mundurowi byli tak wstrząśnięci, że podali tyły. To nie był już zdyscyplinowany oddział, tylko grupka przerażonych mężczyzn z karabinami w dłoniach. Nic więc dziwnego, że nie mieli żadnych szans.

Makrakton zdążył dostrzec kolbę skradzionego karabinu, która mknęła ku jego twarzy. Krępy mężczyzna w fartuchu brukarza walnął go niczym kijem bejsbolowym, po czym świat zawirował i nieomalże zgasł.

Później w ruch poszły buty.

Wydarzenia na alei Zheppsyna nie należały do wyjątkowych.

Plakaty pojawiły się bowiem wszędzie, jak każdej nocy, tym razem jednak nieco inne. Od miesięcy, a w zasadzie od lat, rozwieszano je dzień po dniu, aby rozgłaszać wieści z frontu. Z początku nie wierzył w nie żaden szanujący się syn Kościoła Matki, uważając je za wierutne bzdury. Z czasem jednak, pięciodzień po pięciodniu, miesiąc po miesiącu, mieszkańcy Syjonu i Ziem Świątynnych, a nawet Dohlaru, Harchongu i Desnairu – przekonywali się, że nie mają do czynienia z zakłamaną propagandą. Wszakże plakaty – choć głosiły samą prawdę – nigdy nie nawoływały do buntu. Ani jedno słowo nie służyło podżeganiu.

W końcu to się zmieniło. Dzisiejsze plakaty niosły słowa wykute w ogniu i zahartowane furją. Przedstawiały prawdziwe rozmiary strat na wszystkich frontach. Wskazywały miliony ofiar siddarmarckich pogromów i inkwizycyjnych obozów koncentracyjnych, wyliczając je precyzyjnie dla każdej katowni z osobna. Podsumowywały, ilu mieszkańców Syjonu zniknęło za sprawą agentury Clyntahna, i podawały nazwiska tych, którzy za te zbrodnie odpowiadali. Na plakatach, które zawisły najbliżej Świątyni, znalazło się miejsce na listę hierarchów zamordowanych z rozkazu wielkiego inkwizytora. Na tych, które trafiły na plac Męczenników, podano dokładną liczbę ofiar skazanych na Karę Schuelera. A do drzwi kościołów przyczepiono kartki

z nazwiskami lokalnych donosicieli.

W dodatku pojawiło się coś więcej niż tylko same informacje.

Dzieci Boga!

Nadszedł czas, by odebrać Świątynię podlecom, którzy wypaczyli prawa Boskie i z miłości Stwórcy do ludzi uczynili pośmiewisko! Zhaspahr Clyntahn nie jest sługą Pana. Jest zepsuciem i śmiercią! Zagrożeniem dla każdego, kto mu się przeciwstawia – jemu, nie Bogu Jedynemu! Zagrożeniem dla waszych synów, braci i ojców, ponieważ wszyscy oni walczą nie za Boga, lecz w imieniu Clyntahna Okrutnego! Zagrożeniem dla osesków i noworodków w obozach Republiki Siddarmarku! Zagrożeniem dla was i waszych dzieci, dla każdego, kto nie zgadza się z tą potwornością, w którą zamienił Inkwizycję! Wreszcie zagrożeniem dla samego Kościoła Matki! Nie bądźcie bezczynni! Powstrzymajcie go, zanim gnany nienawiścią i chorymi ambicjami zmieni Świątynię w narzędzie zniszczenia!

Zaatakujcie! Uderzcie już teraz! Odzyskajcie Kościół Matkę dla Boga i Jego archaniołów.

Śmierć Inkwizycji! Śmierć Zhaspahrowi Clyntahnowi!

Tym razem odezwa Steru – i doskonale ukryte głośniki Sowy – trafiły w najbardziej newralgiczne rejony miasta, by być iskrą, która spowoduje wybuch kończący to szaleństwo.

Nikt się tego nie spodziewał.

Powinni byli się spodziewać, ale przecież od tylu lat służyli Kościołowi Matce, za którym stał autorytet Pisma, Księgi Schuelera i Zakazów przemawiających w imię Boga, jakże więc mogli im się sprzeciwić?

Nie byli w stanie pozbyć się tych przeklętych plakatów, zaczęli zatem przywykać do ich obecności. Czuli strach i nienawiść, wiedząc, że treści w nich przedstawiane bardzo się różnią od ich własnych słów, lecz co mogli zrobić? Nie przyszło im do głowy, że nadejdzie taki dzień, gdy ludzie pierwiej uwierzą heretykom niż im. Nie zdawali sobie sprawy, że

decydujący będzie fakt, iż nikt nigdy nie znalazł w nich choćby jednego przeinaczenia czy kłamstwa.

Jedna trzecia informatorów Zhaspahra Clyntahna zniknęła w niespełna dwie godziny. Większość podzieliła los Elaiysa Makraktona i Riely'ego Stahrnsa. Innym mniej się poszczęściło i ci cierpieli znacznie dłużej. Paru – tych, którzy od dawna przeczuwali, że plakaty głoszą prawdę – zdarło z siebie purpurowe sutanny i odznaki Inkwizycji, by ulotnić się z miasta.

– Co mamy robić, ojcze?

Zytan Kwill stał w bramie Hospicjum Świętej Bédard, największego schroniska dla bezdomnych w mieście, z niedowierzaniem przyglądając się tłumowi wypełniającemu pobliski plac.

– Co mamy robić, ojcze?!

Słyszając powtórzone donośniejszym głosem pytanie, zaczerpnął głęboko tchu. Był już starcem, do tego schorowanym, lecz w tym właśnie momencie, spoglądając na nieprzebrane tłumy, poczuł się gigantem. I zrozumiał, jakie słowa powinny teraz paść z jego ust.

– Dzieci moje, Boże dzieci, wiecie, co czynić! Pismo wam to mówi! Wspomnijcie słowa archanioła Chihiro! W obliczu wypaczeń nie pożądamie niczego. W obliczu zepsucia nie okazujcie strachu. W obliczu zła nie pozostańcie bezczynni. Gdy nadejdzie ciemność, stańcie się światłością. Gdy w tych, którzy mienią się waszymi pasterzami, dostrzeżecie jaszczury pożerające owieczki, gdy ciemność pochłonie słońce, pozostańcie przy Panu z całych sił i wiedzcie, że On pošle wam prawdziwych pasterzy, dobrych pasterzy! Znajdźcie ich. Szukajcie, a po czynach ich rozpoznacie. Zaufajcie im, albowiem poprowadzi was ponownie ku Światłości. Podążajcie za nimi, walczcie dla nich, wspierajcie ich i nie pozwólcie im upaść, albowiem dobrzy pasterze kochają swoje stado. Dobrzy pasterze są gotowi umrzeć za nie, jeśli zajdzie taka potrzeba. Ale i wy także jesteście dobrymi pasterzami. Stawcie więc czoło złu z imieniem Boga na ustach i zniszczcie je na wieki wieków! – Przez moment panowała cisza. Słyszać było tylko pomruki dolatujące z oddalonych części miasta, sporadyczne okrzyki i odgłosy

strzałów. Nagle wszystkich obecnych owionął oddech samego Boga, płynący z rozświetlonego letniego nieba. – Wiecie, kim są owi fałszywi pasterze – dodał Zytan Kwill. – Poznaliście ich po czynach i po zniszczeniach, jakich dokonali w imię ciemności. Znacie także imię dobrego pasterza! Tego, którego zesłano tu dla was wszystkich. Tego, który nie zawaha się oddać za was własnego życia, jeśli taka będzie wola Pana! Idźcie! Znajdźcie go! Walczcie za niego! Sami bądźcie dobrymi pasterzami i wypełnijcie dziś wolę Boga Jedyne!... – Zamilkł na moment. – Śmierć Inkwizycji!

Kolumna dragonów truchtała aleją. Wierzchowce były zaniepokojone, być może woń dymu drażniła ich nozdrza, a i jeźdźcy nie mieli zbyt tęgich min. Jechali wszakże w zdyscyplinowanej ciszy, przerywanej jedynie rytmicznym łomotem podków o bruk i szczękiem broni.

– Dzięki Bogu – mruknął z ulgą Zhordyn Rahlstyn.

On i ojciec Anthynee Ohrohrk przykucnęli przy witrynie opuszczonego sklepu, by wyjrzeć na zewnątrz. Mieli szczęście, że zakonnik przypomniał sobie o przybytku, który stał opuszczony, odkąd jego właściciele trafili do lochu. Ukrywszy się niepostrzeżenie, trwali w bezruchu, zastanawiając się co dalej.

Mając w pamięci, co uczyniono z wieloma ich braćmi, nie wspominając o towarzyszących im tego ranka gwardzistach, nie mieli zamiaru dać się złapać. Kiedy gwardziści się bronili, ściągając na siebie uwagę tłumu, zbiegli ukradkiem, lecz zdawali sobie sprawę, że szczęście prędzej czy później ich opuści.

– Nie mogę w to uwierzyć, ojcze – stwierdził Anthynee, z drżeniem rąk obserwujący kolumnę zbrojnych. – Nie mogę! Dlaczego oni wszyscy zwrócili się przeciwko nam?

– Gdy Shan-wei przybywa na świat, wszystko jest możliwe, bracie – zapewnił go rozkojarzonym głosem Rahlstyn. – Wszystko przez te przekłete plakaty. To one ich podburzyły! Ale nie myśl sobie, że cały Syjon wystąpił przeciw nam. Znaczą przeciw Bogu. – Potrząsnął głową. – Bóg i Jego archaniołowie nie porzucą swoich wiernych dzieci! To oni właśnie zesłali nam tę jazdę i to oni we właściwym czasie oddadzą nam

kontrolę nad tym Miastem Boga.

– Nie wątpię, że tak będzie, ojcze... – Ohrohrk nie wyglądał na całkiem przekonanego, ale przytaknął skwapliwie, gdy Rahlstyn spojrział w jego kierunku.

– Wyjdźmy zatem i powitajmy naszych zbawców – stwierdził kapłan.

Obaj schueleryci otworzyli drzwi sklepu i wyszli na chodnik, gdy czoło kolumny znalazło się przy witrynie. Oficer jadący na czele ściągnął wodze, na co wielki ogier zawrócił, zbliżając się do Rahlstyna.

Serce inkwizytora urosło, gdy dostrzegł insygnia jeźdźca. To musiał być co najmniej biskup polowy, dowódca dywizji, a prowadzona przez niego kolumna liczyła nie mniej niż dwa tysiące jeźdźców.

– Dzięki Langhorne’owi i Schuelerowi za twe przybycie, mój panie – załkał Rahlstyn. – Czy mogę zapytać cię o twoje miano?

– Kradahck – odparł biskup polowy. – Dynnys Kradahck. A kim ty jesteś, ojcze?

– Nazywam się Zhordyn Rahlstyn, mój panie. A to brat Anthynee Ohrohrk...

Rahlstyn momentalnie poczuł się lepiej, rozpoznał bowiem wymienione nazwisko. To nie był jakiś tam dowódca dywizji. Dynnys Kradahck pełnił funkcję komendanta znajdującego się dwadzieścia dwie mile od miasta obozu szkoleniowego imienia Świętych Męczenników, głównej bazy, w której przygotowywano rekrutów Armii Boga. Ktoś musiał wezwać go tu za pomocą semaforów albo wyvernij poczty, skoro zdążył dotrzeć do Syjonu w tak krótkim czasie. Widomy dowód, że wielki inkwizytor i naczelny wódz wciąż mają wszystko pod kontrolą, przyniósł wielką ulgę schuelerycie.

– Nigdy nie przypuszczałem, że poczuję tak ogromne zadowolenie na widok żołnierzy kroczących ulicami Syjonu – wyznał szczerze Rahlstyn. – Dzięki Bogu, że zdążyliście! Jedzie was tu więcej? Ludzi ogarnęło szaleństwo...

Kradahck przyglądał mu się tak bacznie, że Rahlstyn zaczął się zastanawiać, czy jego radość nie została mylnie uznana za impertynencję. Był jednak kapłanem Inkwizycji, podczas gdy komendant nosił stopień zaledwie biskupa polowego, co czyniło zeń ważną osobę, ale tylko w hierarchii wojskowej. Rahlstynowi obito się o uszy, że parę lat wcześniej Kradahck był zwykłym klerykiem. Może

nawet należał do grona oficerów wyniesionych wprost z laikatu, jak coraz częściej postępowano ostatnimi czasy z braku lepszych kandydatów.

– Tak, ojcie – odparł w końcu biskup polowy. – W drodze jest jeszcze kilka oddziałów. Ale to głównie piechota, która dotrze tutaj kilka godzin za jazdą.

– Mogę zapytać, jakie otrzymaliście rozkazy?

– Przybywamy z pomocą Świątyni. Naszym zadaniem jest zaprowadzenie porządku.

– Czy brat Anthynee i ja możemy się do was przyłączyć?

– Da się to załatwić, ojcie – zapewnił go Kradahck, po czym spojrzał przez ramię na młodszego od siebie, ciemnowłosego majora, który właśnie do nich podjechał, prowadząc czterech podoficerów. – Hainryku, oto ojciec Zhordyn i brat Anthynee. Aresztuj ich.

Rahlstyn nie drgnął nawet, dopóki nie pochwyciło go dwóch rosnących dragonów. A nie zrobili tego łagodnie.

– Co tam się wyrabia, na Shan-wei? – zapytał rozwścieczony Zhaspahr Clyntahn. – O co chodzi, Wyllymie?

– Wasza łaskawość, to... to... – Rayno zamilkł, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów.

– Przestań się jękać, do licha! – parsknął wielki inkwizytor. – Dlaczego nie rozpędziliście jeszcze tego tłumu? – Wskazał palcem na plac Męczenników i niezliczone rzesze protestujących. Większość nosiła się po cywilnemu, ale tu i ówdzie Rayno zauważał mundury Armii Boga. Niemal wszyscy byli uzbrojeni w pałki albo przynajmniej nieśli brukowce, choć gdzieś tam dało się też zauważyć broń palną. Ci ludzie dysponowali dziesiątkami, a może nawet setkami karabinów, a ich wrzaski mroziły człowiekowi krew w żyłach.

– Wasza łaskawość – odezwał się w końcu arcybiskup, zaciskając mocno obie dłonie. – Nikogo nie rozpędzono, ponieważ ten protest ma poparcie armii.

– Co takiego? – Clyntahn obrócił się na pięcie.

– Wasza łaskawość, mamy do czynienia ze starannie zaplanowanym atakiem. Zdrajców jest jednak więcej, niż można by przypuszczać! Oficerowie gwardii... nasi ludzie!... otworzyli arsenały swej formacji i rozdali broń motłochowi. Niektórzy osobiście poprowadzili ataki na budynki kościelne! Oczywiście wielu gwardzistów pozostało wobec nas lojalnych, lecz oni także niczego się nie spodziewali i są tak samo zaskoczeni jak my. Większość wiernych nam ludzi pojmano, zanim zdążyli zareagować, a każdy agent Inkwizycji, jakiego mieliśmy na ulicach Syjonu, musiał uciekać, gdy zaczęło się to szaleństwo, by ratować życie. Obawiam się jednak, że tylko nieliczni uniknęli śmierci. Prawdopodobnie z każdą chwilą tracimy kolejnych. Wikariusz Duchairn broni skarbcza, ma też kontrolę nad stacjami semaforowymi i zarządem portu. Wygląda na to, że na czele buntu stoi major Phandys, który wydał rozkaz szturmowania naszych budynków. Jak tylko zrozumiałem, co się święci, posłałem inkwizytorów, by pojмали wikariusza Allayna, jednakże żaden z nich nie wrócił, a oddziały wojska, dowodzone zapewne przez niego samego, otoczyły Św. Thyrmyn. Więzienie płonie, buntownicy ostrzeliwiają jego dziedziniec działami kątowymi, zatem żaden z naszych ludzi raczej nie ma szans na ucieczkę.

– Jak mogło dojść do tego całego kurewstwa? – warknął Clyntahn.

– Wasza łaskawość, w ten spisek zamieszana jest nawet Pięść Kau-yunga! – wykrzyczał Rayno w odpowiedzi. – Trzy czwarte moich zaufanych ludzi: Wynchystair, Gahdarhd, Ohraily, Zhyngkwai i jeszcze z tuzin innych, wszyscy oni zostali zamordowani tego ranka. Nikt nawet nie widział, kto rzucił granat, który zabił Gahdarhda i jego asystenta! –

Clyntahn gapił się na podwładnego, nic nie mówiąc, tak więc Rayno raz jeszcze zaczerpnął tchu. – Wasza łaskawość, gdyby tu chodziło jedynie o Duchairna i Maigwaira lub o członków Pięści Kau-yunga, czy też o nich wszystkich razem wziętych, pewnie dalibyśmy sobie radę... albo i nie, ciężko powiedzieć. Jedno wszakże wiem na pewno. – Wycelował palcem w okno. – Tej... tłuszczy nie pokonamy. – Potrząsnął głową. –

Całe miasto zapłonęło w ciągu jednej godziny. Na pewno w mniej niż dwie. Jak moi ludzie mieli zapobiec rozruchom na taką skalę? Nie byliśmy w stanie, wasza łaskawość.

– Mój Boże... – szepnął Clyntahn.

Zamarł, widząc, jak tłum niesie w kierunku stosu, na którym zginęło tylu heretyków, kukłę odzianą w pomarańczową sutannę. Rzucono ją na

ziemię i przytknięto do niej pochodnię.

W tym momencie rozległ się gromki okrzyk.

– Śmierć Inkwizycji! Śmierć wielkiemu cudzołożnikowi!

Bardziej przerażające i irytujące od tego wrzasku było tylko skandowane przez tych ludzi nazwisko.

– Du-chairn! Du-chairn! Du-chairn!

Clyntahn przełknął głośno ślinę, gdy tłum podjął to zawołanie.

– Musimy już iść, wasza łaskawość – popędzał go Rayno.

– Iść? – Wielki inkwizytor odwrócił się do arcybiskupa. – Chcesz powiedzieć: uciekać? Mam wiać jak zbity pies, z podkulonym ogonem?

– Przegraliśmy, wasza łaskawość. Przynajmniej dzisiejszą bitwę. Otrzymałem właśnie raport, że od strony obozu szkoleniowego imienia Świętych Męczenników nadciągają kolejne kolumny wojska. Nie wątpię, że stacjonujące dalej oddziały także ruszyły już na stolicę. W raportach pojawiła się wzmianka, że i w koszarach doszło do walk, wierni Świętyni ludzie stawiali opór, ale zostali pokonani. Zdecydowana większość tych, którzy maszerują teraz na Syjon, wykona rozkazy dowodzących oficerów, co znaczy, że żołnierze zaatakują Inkwizycję. Nasze szacunki mówią, że co czwarty gwardzista wyznaczony do ochrony naszych agentów przeszedł na stronę buntowników. Po tym, co wydarzyło się w więzieniu i na ulicach, możemy liczyć na pomoc zaledwie dwudziestu procent inkwizytorów niższego szczebla. Bez posiłków nie zdołamy obronić Świętyni. To po prostu niemożliwe. Czas więc wyprowadzić cię z Syjonu, wasza łaskawość, abys mógł kierować wiernymi z bezpiecznej kryjówki.

– Czyli skąd? – zapytał Clyntahn.

– To szaleństwo nie mogło dotknąć całych Ziem Świętynnych – odparł Rayno. – Wciąż jest na nich wiele osób wiernych Kościołowi Matce, nie sądzę więc, aby dało się ich łatwo podburzyć. Buntownicy wierzą, że zajęcie Syjonu, i tego miejsca, zagwarantuje im władzę nad całymi Ziemiami Świętynnymi. A to znaczy, że mamy do czynienia z jednym zarzewiem buntu. Jeśli więc uda nam się uciec poza tereny kontrolowane przez wroga, otrzymamy wsparcie od episkopatów. W najgorszym razie przewieziemy cię do Harchongu, gdzie lud jest nader pobożny, i z pomocą cesarstwa odzyskamy Syjon, jeśli taka będzie wola Pana.

Clyntahn przyglądał mu się przez chwilę, po czym skinął głową.
– Masz rację, Wylymie – rzucił. – Chodźmy.

Nikt nie wiedział, po co wykopano ten tunel. Na pewno był jednak starożytny, być może nawet tak stary jak sama Świątynia, jako że rozświetlał go ten sam blask co mistyczne panele w budowlach przy placu Męczenników. Jego ściany wyłożono wszakże cegłami, nie gładkim kamieniem używanym przez archaniołów. Wedle starych podań powstał już po tym, jak Słudzy Pana odlecieli na Gwiazdę Zaranną.

Wylym Rayno nie znał prawdy na temat tego tunelu, wiedział tylko, że to jeden z najbardziej strzeżonych sekretów Inkwizycji. Tunel miał siedemnaście mil długości, zaczynał się w podziemiach Świątyni, po czym biegł pod dzielnicami Templesborough i Langhornsborough, aż za mury miasta, a jego wyjście ukryto w winnicy, którą Zakon Schuelera przejął w sekrecie ponad trzysta lat temu.

Podziemny korytarz był na tyle obszerny, że pomieścił trzydziestu agentów eskortujących uciekającego wielkiego inkwizytora. Każdy z nich był doświadczonym weteranem służącym wcześniej w Gwardii Świątynnej albo Armii Boga. Każdy udowodnił swoją lojalność bezlitosnym wykorzenianiem herezji. Ani jedno, ani drugie nie wystarczyłoby wszakże do zdobycia miejsca w tak ważnym oddziale. Jego członkowie musieli się wykazać nie lada kompetencjami – każdy bez trudu mógłby dowodzić wielkimi formacjami wojskowymi.

Kolejnych siedemdziesięciu ludzi czekało w winnicy. Wysłano ich przodem, by strzegli wyjścia i przygotowali konie. Rayno ubolewał, że nie zdołał wprowadzić własnych wierzchowców do tunelu, który może i był wystarczająco szeroki, ale z pewnością okazałby się za niski dla masywnych zwierząt. Wielki inkwizytor był marnym jeźdźcem, ale jeszcze mniej nawykł do siedemnastomilowych przechadzek, tak więc eskortujący go oddział musiał przystawać częściej, niżby arcybiskup sobie tego życzył. Za każdym razem, gdy odpoczywali, zamartwiał się, czy któryś z zaufanych ludzi nie zdradził wrogowi istnienia tej drogi ucieczki. Czy nie są już ścigani, czy zdrajcy nie zbliżają się, ilekroć Clyntahn przystaje, by odzyskać oddech.

W końcu udało im się dotrzeć do wyjścia. Stamtąd pośpieszyli w górę schodów. Przedostali się do innej piwnicy, cichej i spokojnej, zastawionej wielkimi drewnianymi kadziami. Dopiero tam Rayno odważył się odetchnąć głębiej. Zaraz jednak znów nasrożył brwi. Spodziewał się tu zastać co najmniej jednego z posłanych przodem ludzi. Tymczasem sami będą musieli znaleźć wyjście z tych podziemi.

Pokonali ostatnie stopnie, wyszli na rozgrzany popołudniowym słońcem placyk i... zamarli.

Rayno w końcu zrozumiał, dlaczego nikt nie czekał na nich na dole.

Cała siedemdziesiątka agentów leżała na ziemi. To znaczy tak mu się przynajmniej zdawało, bo dokładne zliczenie porozrywanych na strzępy ciał byłoby nadzwyczaj trudne. Patrząc na nie, poczuł nagle mdłości. Gdziekolwiek skierował wzrok, widział krew i zwłoki.

Ani jedno ciało nie jest kompletne, pomyślał, gapiąc się na kadawery pozbawione rąk, nóg, głów, a czasami wszystkich członków naraz.

Pośrodku tego poboju stało dwoje ludzi.

Tylko dwoje.

Serce arcybiskupa przestało bić, gdy zrozumiał, z kim – albo z czym – ma do czynienia. Ponieważ to do niego spływały raporty wszystkich agentów, naoglądał się szkiców tak zwanych *seijinów*, a już zwłaszcza najbardziej niesławnej dwójki spośród nich: Merlina Athrawesa i Nimue Chwaeriau. Tym razem jednak nie trafił na tę parę. Nie miał pojęcia, kim jest niska kobieta, lecz szkice przedstawiające jej kompana widział kilkakrotnie.

Dialydd Mab, *seijin*, którego misją było zniszczenie Inkwizycji i wszystkiego, co Święte Oficjum reprezentuje.

– Co się tak gapiacie? – wrzasnął Clyntahn. – Brać ich!

Gdyby przyboczni mieli czas na zastanowienie, zapewne odmówiliby wykonania tego bezsensownego rozkazu. Zawahaliby się, widząc ciała pomordowanych towarzyszy broni i przewidując, że sami skończą podobnie. Może nawet zastanowiliby się, jak inaczej pokonać wroga. Nie dano im jednak wyboru. Refleks i wyszkolenie wzięły górę.

Ruszyli na mężczyznę i kobietę z okrzykiem bojowym na ustach, lecz przeciwnik nie podał tyłów.

Nie mówiąc ani słowa, *sejinowie* skierowali się prosto na agentów

Inkwizycji, jakby nie obchodziło ich zupełnie, że tamtych jest piętnastokrotnie więcej.

Sekundę później doszło do starcia, a raczej do kolejnej rzezi.

Rayno wytrzeszczał oczy ze zdumienia. Naczytał się raportów o zabójczych zdolnościach *seijinów*, a zwłaszcza Athrawesa, lecz za każdym razem odrzucał zawarte w nich szacunki i informacje, uznając, że są grubo przesadzone.

Okazało się jednak, że przedstawiały samą prawdę.

Miecze *seijinów* poruszały się tak szybko, że nie sposób było ich dostrzec. Trafiały w cel z zabójczą precyzją. Rayno przekonał się, że te monstra – tej krępej baby nie wyłączając – są w stanie pozbawić człowieka głowy jednym cięciem. Między innymi w coś takiego Rayno uporczywie nie chciał uwierzyć. Teraz jednak, patrząc na odpadające czerepy i kończyny, musiał przyznać sam przed sobą, jak bardzo się do tej pory mylił.

W kilka sekund było po wszystkim. W tak krótkim czasie Rayno nie zdążyłby nalać sobie nawet herbaty. *Sejinowie* nie uporali się z wrogiem szybciej wyłącznie dlatego, że musieli odczekać, aż otaczające ich ciała upadną, by dostać się do kolejnych przybocznych.

Przeszli przez trzydziestu zbrojnych, ani razu nie zwolniwszy kroku. Sekretarz wielkiego inkwizytora przełknął głośno ślinę, gdy to do niego dotarło.

– Arcybiskup Wyllym i wikariusz Zhaspahr, jak mniemam? – Głęboki głos Maba był zimniejszy od syjońskiej zimy, a jego uśmiech wyglądał jeszcze upiorniej niż gęsta posoka ściekająca z klingi dziwnego miecza. – Czekaliśmy na was.

– Proszę – wyszeptał Rayno, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co robi. – Ja nie... Ja...

– Co ty nie? – Mab uniósł pytająco brew. – Nie zamierzasz umrzeć za swoją wiarę? Przyznam, że jestem w szoku, eminencjo.

– Ja... – Arcybiskup pokręcił głową, zasłaniając się rękami. – Ja nie chcę...

Uniósł się na palcach, wygięty w idealny łuk agonii, gdy poczuł, jak sztylet wchodzi mu między żebra. Padł na kolana, sięgając obiema rękami za plecy, próbując bezskutecznie sięgnąć do rany, a potem

z wyrzutem spojrział przez ramię na wyszarpującego ostrze Zhaspahra Clyntahna.

– Ty zdrajco! – syknął wielki inkwizytor. – Mógłbyś chociaż umrzeć jak przystało na sługę Bożego, ty żałosna podróbko inkwizytora!

Rayno poruszył ustami, a potem padł na twarz, wierzgnął, ale tylko raz, i znieruchomiał.

– Chyba został zdymisjonowany... – ocenił Mab, spoglądając na ciało, lecz zaraz przeniósł wzrok na wielkiego inkwizytora. – To mi pasuje do metod działania waszej łaskawości.

– Idź do diabła! – rzucił Clyntahn niemal konwersacyjnym tonem, przykładając zakrwawiony sztylet do własnego gardła. – Żywcem mnie nie weźmiecie! W odróżnieniu od tego tchórza...

Skupił uwagę na Mabie, ale gdyby nawet spoglądał teraz na Nimue Chwaeriau, nie zdążyłby w porę zareagować.

Wrzasnęła, ze zgrozy i bólu pospołu, gdy wątpła, ale jakże silna dłoń zacisnęła się na jego nadgarstku. Zawył jeszcze głośniejsze, gdy szybkie szarpnięcie złamało mu kości, zmuszając go do wypuszczenia broni. Zaczął walić napastniczkę drugą ręką, na oślep, w panice, lecz ona bez trudu zablokowała przedramieniem każdy cios. Znów zaskowyczał, kiedy złamała mu drugi nadgarstek. Potem runął na kolana, zerkając na nią z niedowierzaniem i strachem, przerażony demonicznymi mocami, którymi musiała dysponować.

A ona uśmiechnęła się do niego.

Uśmiechnęła.

– Jestem pewien, że Merlin chciałby być świadkiem tych wydarzeń – stwierdził Mab, gdy jego towarzyszka podtrzymała oszołomionego wielkiego inkwizytora – ale nawet *seijin* nie może pojawić się w dwóch miejscach naraz. Bez obaw jednak. Będziesz miał okazję go spotkać.

Usta Clyntahna poruszyły się, gdy *seijin* dawał znak kobiecie, by podniosła większego i cięższego od siebie jeńca, co też uczyniła bez widocznego trudu.

– Nie spodoba ci się pewnie wiadomość, że wikariusze Rhobair i Allayn przyobiecali nam, że zostaniesz osądzony według prawa waszego własnego Kościoła i skazany na wszystkie męki, jakie tam macie. O ile wiem, za takie zbrodnie musiałbyś odbębnić co najmniej

trzy Kary Schuelera. – Clyntahn przełknął głośno ślinę, zanim Mab dodał: – Spokojnie, wasza łaskawość. Nastąpiła mała zmiana planów. Nie przejmuj się prawami Kościoła Matki, ponieważ czeka cię coś zupełnie innego. U ujścia rzeki Syjon stoi na kotwicy okręt wojenny Cesarskiej Floty Charisu. Jutro o tej porze wsadzimy cię na jego pokład i zostaniesz na nim, dopóki nie dopłyniesz do Siddaru.

Kamienne zazwyczaj oblicze Clyntahna zapłonęło, a *seijinowie* dostrzegli na nim całą gamę uczuć: szok, ból... i strach, co Mab podsumował lodowatym uśmiechem.

– Mam nadzieję, wasza łaskawość, że spodoba ci się ta wycieczka.

LUTY

ROKU PAŃSKIEGO 899

.I.

Siddar

Republika Siddarmarku

Przykro mi, że dopiero teraz zdołałaś wrócić do naszego miasta – powiedział Greyghor Stohnar, przyjmując od charisjańskiego służącego kolejny kielich wina.

– Byłam nieco zajęta – odparła uśmiechnięta Sharleyan Ahrmahk, spoglądając na stojącego opodal męża, który prezentował postawę niegodną jednego z dwojga najważniejszych przywódców Schronienia. Bo czy tak ważna persona powinna tarzać się po dywanie i łaskotać własną córkę? Księżniczka Alahnah, która miała skończyć pięć lat już za dwa miesiące, chichrała się na cały głos, co jej matka skwitowała radosnym uśmiechem. Zaraz jednak przeniosła wzrok na lorda protektora i spoważniała. – Wolałabym, aby okoliczności mojej wizyty były wesołe, a nie tylko... dające zadowolenie.

– Wszyscy mamy podobne odczucia – przyznał Stohnar. – Oprócz twojej córki, rzecz jasna. – Na jego pobrużdżonej twarzy, wyglądającej o kilkanaście lat starzej niż przed operacją Miecz Schuelera, także pojawił się uśmiech. – Moje dzieci już dorosły, ale wciąż pamiętam czasy, gdy były małe. Wiem też, jak Cayleb tęsknił za wami dwiema. Trudno mi powiedzieć, czy powinienem raczej zazdrościć wam tego partnerstwa, czy żałować was z powodu częstych i długich rozłąk.

– Tak to już jest, jak wychodzi się za marynarza, lordzie protektorze. Kobieta musi przywyknąć do długich nieobecności męża, ale... – pogładziła się po brzuchu – dobrą stroną takiego układu jest fakt, że ów mąż zawsze bardzo się cieszy z okazji powrotu.

Stohnar spojrział na nią uważniej.

– Czyżbym właśnie usłyszał, że księżniczka będzie miała rodzeństwo? – zapytał.

– Nie wspominając o co najmniej jednym kuzynie.

– Naprawdę?

– Tak. Księżna Darcosu także poślubiła marynarza, jak zapewne wiesz.

– Księżna Irys spodziewa się kolejnego dziecka? Nie wiedziałem!

– Jeszcze tego nie obwieszczono. Poprzednim razem, gdy zaszła w ciążę, działa nad Zatoką Manchyrską nie milkły przez kwadrans. To miłe, lecz tym razem woli spędzić trochę więcej czasu z Hektorem, zanim upubliczni tę szczęśliwą wiadomość. Gwoli ścisłości, zdecydowała, że przyzna się do odmiennego stanu dopiero po ślubie Zhana z Mahryą. Chyba ma nadzieję, że nikt nie zauważy brzemienności w ogólnym zamęcie. – Sharleyan pokręciła głową. – Zdaje się, że w tym wypadku mamy do czynienia z niepoprawnym optymizmem. Z kolei Mahrya liczy w duchu na to, że ogłoszenie kolejnej ciąży Irys odwróci na moment uwagę od niej.

– Ciekawa z was rodzina, wasza łaskawość.

– Jak to Merlin mawia, staramy się, jak możemy. – Cesarzowa zachichotała. – A już zwłaszcza Cayleb. On stara się jak szalony.

– Nie wątpię. Wiedz jednak, że naprawdę był nam potrzebny tutaj, w Siddarze. A jego obecność nie byłaby możliwa, gdyby nie podział ról, który przyjęliście. Nie znam innego małżeństwa, monarchów rzecz jasna, których mógłbym do was przyrównać.

– Sekret polega na wzajemnym zaufaniu, mój panie, choć chyba jeszcze ważniejsze jest posiadanie mądrych doradców. Ministrów, którzy są nie tylko lojalni, ale i uczciwi. Aczkolwiek bez wsparcia Maikela Staynaira nie byłoby mi tak lekko.

– Jak i bez rady Merlina, i jego miecza, to pewne.

– Tak, nie zapominajmy o jego zasługach – zgodziła się Sharleyan. – Jednakże tak naprawdę wszystko zawdzięczamy Caylebowi... –

Zerknęła ponownie na męża, który zdążył już wstać i nosił właśnie córkę na barana. Alahnah, złożwszy obie rączki na jego głowie, nieustannie wierzgała nóżkami. – Miał odwagę zaproponować połączenie obu królestw, zanim się spotkaliśmy. Chcesz wiedzieć, mój panie, za co najbardziej cenię mojego męża?

– Ależ oczywiście, wasza łaskawość.

– Najbardziej niezwykle w cesarzu jest to, że wcale nie uważa się za niezwykłego człowieka – stwierdziła. – Nigdy się nie ugiął, nigdy nie zszedł z linii ognia, nawet wtedy, gdy Charis musiał stawić czoło całemu

świata... Tymczasem sądzi, że każdy na jego miejscu postąpiłby podobnie.

– W takim razie pozwól mi powiedzieć, że doskonale się dobraliście – podsumował Stohnar. – Ty też przed niczym się nie uginasz z tego, co wiem. Na przykład w sprawie Chisholmu.

Sharleyan spoważniała w momencie. Poczowała wyrzuty sumienia, przypomniawszy sobie, gdzie była zaledwie trzy pięciodnie wcześniej, zanim HMS *Gwyllym Manthyr* zabrał ją i męża z Cherayth do Siddaru, by wzięli udział w jutrzejszych, jakże ponurych obchodach.

Ostatni z osądzonych zdrajców trafił na stryczek ponad miesiąc temu, a Sharleyan i Cayleb byli świadkami każdej egzekucji. Można by pomyśleć, że cesarzowa chciała zobaczyć na własne oczy, jak spiskowcy oddają życie, lecz to byłoby bardzo dalekie od prawdy. Sharleyan Tayt Ahrmahk nie lubiła widoku zabijania, niemniej jej obecność w miejscu kaźni miała być widowym znakiem dla miejscowej szlachty: władczyni nie cofnie się przed niczym, nawet przed najbardziej okrutną z powinności wobec Korony... i nie będzie się ukrywać za plecami ministrów!

Tym razem jej przesłanie trafiło do kogo trzeba. Wszyscy agenci Stohnara musieli to przyznać.

– Wybacz – odezwał się lord protektor po chwili. – Nie chciałem...

– Nie skłoniłeś mnie do wspomnień, których bym sobie nie życzyła, mój panie – zaprzeczyła szybkim ruchem głowy i znów się uśmiechnęła. – Udało nam się dokonać czegoś więcej, niż tylko dostarczyć katom roboty.

– To ciekawy sposób na określenie zmian, jakich dokonaliście na mapie świata – przyznał Stohnar.

– Lekka przesada, mój panie... – Sharleyan skrzywiła się mocniej. – Większość domen zachowała dawne granice.

– Naprawdę? Czy ta większość zawiera Tarot, Szmaragd, Zebediah i Corisand?

– Nawet te krainy mają granice tam gdzie przedtem. Tyle że zostały wcielone do większego organizmu – dodała z poważną miną. – Kto jak kto, ale ty powinieneś to wiedzieć. Prowincje republiki od dawien dawna cieszyły się autonomią, mimo że były częścią całości. My zrobiliśmy coś podobnego.

– Celną uwagę – zgodził się lord protektor. – Jeśli wielki wikariusz Rhobair zrealizuje swoje plany, Ziemie Świątynne będą wkrótce wyglądać podobnie.

– Zobaczymy, jak mu pójdzie – rzuciła powątpiewającym tonem Sharleyan, po czym wzruszyła ramionami. – Z drugiej strony, tylko jemu może się to udać, lecz tak czy owak to naprawdę ambitne przedsięwzięcie.

– Nie miałem pojęcia, że wasza łaskawość potrafi być aż tak wyrozumiała – stwierdził Stohnar.

Wielki wikariusz Rhobair robił, co mógł, by zaprowadzić ponownie porządek i prawość w łonie Kościoła Boga Oczekiwanego, jednakże – jak zauważyła cesarzowa – miał jeszcze sporo do zrobienia.

Czasy czystek przeprowadzanych przez Clyntahna i Pięć Boga przetrwała niespełna trzecia część wikariuszy żyjących przed wydarzeniami na Rafie Armagedonu, a co czwarty z nich wycofał się w ciągu minionych miesięcy z życia publicznego, głównie po to, by uniknąć kary wieloletniego więzienia. Czterdziestu dwóch hierarchów sprawiedliwość dosięgnęła mimo wszystko. Większość ujawnionych dowodów wskazywała, że to właśnie oni odpowiadali za lata terroru zapoczątkowanego przez morderstwo braci Wylsynnów i ich akolitów. Nic więc dziwnego, że wielki wikariusz Rhobair nie miał dla nich litości. Trzydziestu czterech już zostało skazanych, z czego osiemnastu na karę śmierci, a procesy ostatnich ośmiu wkraczały w decydującą fazę. Uniewinnień nie należało się wszakże spodziewać, zwłaszcza że nowemu wielkiemu wikariuszowi zależało na spłacie honorowego długu zaciągniętego u Wylsynnów.

Sprawiedliwości musiało stać się zadość, i to na oczach ludu, jeśli Świątynia miała odzyskać zaufanie społeczne. Człowiek, którego Syjon nazywał Dobrym Pasterzem, rozumiał, że Kościół Boga Oczekiwanego powinien zostać oczyszczony, odbudowany i – co najważniejsze – zreformowany. Trzeba było zaprowadzić przejrzystość większą niż kiedykolwiek. Właśnie dlatego nowy wielki wikariusz nie kwapił się do mianowania zastępców hierarchów z dawnego rozdania. Taka wedle kościelnego prawa była prerogatywa wielkiego wikariusza, i to od prawie pięciuset lat. Tym razem jednak wyboru mieli dokonać spośród siebie sami wikariusze.

W innych sprawach wielki wikariusz korzystał ze swoich prerogatyw bardzo chętnie i z całą surowością.

Ziemie Świątynne także przechodziły transformację. Stohnar podejrzewał, że nowy wielki wikariusz chce oddać część należącej wcześniej do hierarchów władzy tamtejszemu laikatowi. Jako że jednak nie było to na razie możliwe, skupił się chwilowo na tym, by skończyć z dwustuletnią praktyką mianowania wikariuszy na przewodniczących konkretnych episkopatów. Ziemie Świątynne miały stać się na powrót zwykłymi arcybiskupstwami, zarządzanymi przez prałatów wyznaczanych przez wielkiego wikariusza za radą i wiedzą całej reszty wikariatu. Rhobair rozwiązał także Zakon Rycerzy Ziem Świątynnych i anulował wszelkie przywileje przysługujące duchownej administracji tych terytoriów. Uznał też, że wszyscy arcybiskupi powinni przyjąć charisjański model duszpasterski i spędzać co najmniej osiem miesięcy w roku w swoich domenach, nie zaś w Syjonie.

Duchairn zmodernizował nie tylko wikariat i episkopat, lecz także instytucję sądów eklezjalnych. Sędziowie zostali wyjęci spod jurysdykcji Zakonu Schuelera i przeniesieni pod skrzydła Zakonu Langhorne'a. Zlikwidowano urząd wielkiego inkwizytora, a arcybiskup Ignaz Aimaiyr otrzymał zadanie przeprowadzenia gruntownej reformy Inkwizycji. Co ciekawe, hierarcha ten został mianowany wbrew swojej woli, co wiele mówiło o nastrojach panujących w Świątyni.

Wielki wikariusz znajdował się pod ogromną presją, gdyż lud żądał – na razie bezskutecznie – by zakazano Kar Schuelera lub – jak to miało miejsce w Kościele Charisu – by przynajmniej zawieszono ich wykonywanie. Kara Schuelera bowiem, niewątpliwie okrutna i straszna, była tak głęboko osadzona w Piśmie, że nie dałoby się jej wykorzenić bez zmieniania treści Świętej Księgi. A tak daleko Rhobair Duchairn nie zamierzał się posunąć. Zadbał jednak, żeby Kary Schuelera nie można było nadużywać.

Aby nie powtórzył się przypadek Zhaspahra Clyntahna, zastąpił urząd wielkiego inkwizytora trzyosobowym Sądem Inkwizycji, w którego skład wchodził członkowie zakonów: Langhorne'a, Bédard i Pasquale. Zakon Schuelera został wykluczony z tego grona. Politykę Świętego Oficjum miał wyznaczać wielki wikariusz, jego adiutant zaś – nadzorować jej wykonywanie. Sądowi pozostało pilnować, by nikt nie naruszał fundamentalnej doktryny. Wiernym przestała grozić sytuacja,

w której pojedynczy wikariusz może wydać wyrok śmierci na dziecko Boga, a nawet całe domeny oskarżone o herezję. Co więcej: każdemu, kogo by o herezję oskarżono, przysługiwało prawo apelacji. W efekcie Karę Schuelera można było zastosować tylko w przypadku powszechnego potępienia.

Ostatecznie więc Kary Schuelera nie zniesiono, ale jej stosowanie poważnie ograniczono dzięki restrykcjom wprowadzonym przez Rhobaira Duchairna.

Niektórym, na przykład Greyghorowi Stohnarowi, bardzo się to nie spodobało. Lord protektor znał co najmniej dwa tuziny inkwizytorów, którzy powinni zostać straceni właśnie w ten okrutny sposób. Na szczęście uniknięcie Kary Schuelera nie oznaczało jeszcze ujścia z życiem. Wielki wikariusz przyobiegał bowiem solennie, że rozprawi się z winnymi, i to nie tylko dlatego, że taki był podstawowy warunek zawarcia porozumienia z aliantami. Ponad trzystu byłych inkwizytorów służących w obozach koncentracyjnych wydalono z duchownego stanu, aby mogli stanąć przed cywilnymi sądami Republiki Siddarmarku, gdzie zostali oskarżeni o kradzieże, wymuszenia, gwałty i morderstwa.

Z drugiej strony wiele osób uważało, że wielki wikariusz zarzuca sieci zbyt szeroko. Zaczęły się podnosić głosy, zrazu anonimowe, że pewni oskarżeni bynajmniej nie byli bezwolnym narzędziem w rękach Zhaspahra Clyntahna, lecz wszystko, co robili, wynikało z ich wiary w Boga i starań, by wykorzeń herezję za wszelką cenę.

Może to i prawda, że działali w imię Boże, pomyślał Stohnar. Może to i była część jakiegoś większego planu. Jak dla mnie jednak to tacy sami zbrodniarze jak każdy inny sługus wielkiego inkwizytora.

Na tych terytoriach Republiki Siddarmarku, które zajęła Armia Boga, żyło swego czasu dwadzieścia sześć milionów ludzi. Siedem milionów z nich postradało życie w obozach koncentracyjnych Zhaspahra Clyntahna. Kolejne cztery i pół zginęło podczas tak zwanej akcji Miecz Schuelera czy też pomarło z głodu i zimna w jej następstwie. Drugie tyle uciekło lub zostało siłą przesiedlone na Ziemię Świątynne. Jedenaście i pół miliona ofiar i cztery i pół miliona uchodźców to niemal dwanaście procent populacji tej domeny sprzed świętej wojny, a Stohnar nie brał w swych szacunkach pod uwagę żołnierzy poległych w trakcie walk za operacji Miecz Schuelera, jak i późniejszych kampanii.

Kwestia uchodźców wydawała się szczególnie paląca i bolesna. Wzajemna nienawiść lojalistów Świątyni, którzy poparli inwazję Kościoła Matki i operację Miecz Schuelera, oraz tych, którzy pozostali wierni rządowi republiki, była tak wielka jak – nie przymierzając Ocean Zachodni. Stohnar nie miał więc pewności, czy da się ją kiedykolwiek zwalczyć... Jeśli już, to pewnie za wiele pokoleń.

Tymczasem trzeba przyznać uchodźcom jakiś status. Sprawdzić, co stało się z ich porzuconym dobytkiem... rozeznąć się, czy mogą wrócić do domów. Na razie lord protektor nie widział sensownego rozwiązania. Zwłaszcza że niemało uchodźców też ma ręce splamione krwią! Czy więc powinniśmy doprowadzić do ich osądzenia? Skazać i powiesić wszystkich winnych? Czy może lepiej od razu przyznać, że jest to niemożliwe? Niech wracają do domów, objęci powszechną amnestią. Tylko jak powstrzymać ich ofiary od wymierzenia sprawiedliwości?

Miał nadzieję, że kiedyś znajdzie odpowiedzi na te pytania. Właśnie dlatego wspólnie z wielkim wikariuszem wyznaczył Arthyna Zagyrską, arcybiskupa prowincji Tarikah, Zhasyna Cahnyra i Dahnylda Fardhyma na członków komisji, która miała znaleźć rozwiązanie tego problemu. Stohnar nie spodziewał się cudów, lecz jeśli ktokolwiek był zdolny przeciąć ten węzeł gordyjski, to właśnie ci ludzie.

Przy czym byłby to dopiero początek długiego i mozolnego procesu!

Zasypanie przepaści dzielącej Świątynię i Republikę Siddarmarku nie wydawało się możliwe, nawet biorąc pod uwagę bieżące działania wielkiego wikariusza. Zbyt wielu obywateli republiki utraciło zbyt wiele podczas rzezi podsycanych przez kler. Prawie czwarta część żyjących wciąż Siddarmarczyków uważała się za lojalistów Świątyni. Kolejne dwadzieścia procent przeszło pod skrzydła Kościoła Charisu, ale ponad połowa ludzi nie chciała ani starej, ani nowej wiary.

Sam jestem ciekaw, co z tego wyniknie. Na szczęście Duchairn miał tyle oleju we łbie, aby ogłosić, że ani Kościół Charisu, ani Kościół Republiki Siddarmarku nie jest i nigdy nie był heretycki.

Kościół Charisu nadal nie uznawał zwierzchnictwa wielkiego wikariusza, ktokolwiek zajmowałby ten urząd, a to stanowiło już poważne naruszenie prawa kościelnego. Rhobairowi nie pozostało nic innego, jak rozdzielić prawo i doktrynę. Tym samym zadekretował, że to, co nie jest sprzeczne z Pismem, nie może być traktowane jako

odstępstwo od wiary. Wyraził także nadzieję, iż przyjdzie taki dzień, w którym nastąpi pogodzenie obu Kościołów, a nawet ich pełne zjednoczenie.

To pierwsze jest możliwe, uznał Stohnar, ale na zjednoczenie nie ma szans, a już na pewno ze strony Charisu. Caylebowi i Sharleyan wystarczy jednak pokojowe współistnienie. Wszyscy dostaliśmy przecież nauczkę, że oceanami przelanej krwi nie rozwiąże się doktrynalnych...

– Przepraszam, że przeszkadzam...

Głęboki głos wyrwał lorda protektora z zamyślenia.

– Tak, Merlinie? – Cesarz Cayleb odwrócił się do wchodzącego *seijina*.

– Merlin! – zapiszczała księżniczka Alahnah, wyciągając rączki do ojca chrzestnego.

– Wybacz, kochanie – powiedział postawny zbrojny, dotykając jej noska wskazującym palcem – ale mam dzisiaj w nocy służbę.

– Oj! – Alahnah zmarszczyła brewki, lecz była przecież córką władców i wiedziała już, czym są obowiązki. – Śniadanko?

– Chyba też się nie uda... – Szafirowe oczy Merlina wpiły się w Cayleba. – Dorośli będą bardzo zajęci jutro rano, ale do obiadu powinienem być już wolny. Wtedy się zobaczymy.

– Obiecujesz?

– Tak, obiecuję. Czy wasza książęca wysokość jest zadowolona?

– Tak – odpowiedziała, zadzierając noseć w parodii ojcowskiej miny.

Merlin się roześmiał, ale zaraz przeniósł wzrok na Cayleba i Sharleyan.

– Przybył hrabia Thirsku z córką – zapowiedział. – Zaprowadziłem ich do jadalni. Irys i Hektor dotrzymują im towarzysztwa, obiecałem jednak, że oboje zaraz tam się pojawicie.

– Czy arcybiskup Staiphan także dotarł? – zapytała cesarzowa, wyciągając rękę do córki.

– Niestety nie, wasza łaskawość. Hrabia powiadomił mnie, że arcybiskup przybędzie później, być może dołączy do nas już dzisiaj wieczorem. Zdaniem hrabiego pojawi się w mieście za godzinę albo dwie. Prosił też, by przekazać prośbę arcybiskupa, abyśmy nie czekali na niego z wieczerzą. Padły też słowa o ciepłej strawie i drugiej najlepszej kuchni w Siddarze...

– Cały on – zarechotał Cayleb, po czym spojrzał na córeczkę. – Pomyślmy. Wolałabyś zjeść kolację na dole z bandą nudnych dorosłych czy na górze w towarzystwie Zhosifyn i Zhudyth?

– Na górze! – oświadczyła zdecydowanie Alahnah, na co cesarz pokręcił ze smutkiem głową.

– I tak znów zostałem porzucony. – Westchnął.

– Pozwól, że ja się nią zajmę, wasza wysokość – odezwała się Glahdys Parkyr.

Sharleyan ucałowała główkę córki, nim ta trafiła w ręce niani.

– Ciekawe, ile dynastycznych sojuszy zostało zawartych podczas kolacji w pokoju dzieciennym? – zastanawiał się na głos Stohnar, gdy wynoszono machającą rączką księżniczkę.

– Wątpię, czy wyjdzie nam z tego jakiś dynastyczny sojusz, mój panie, ale nie sądzę, aby zaszkodziło jej towarzystwo wnuczek hrabiego Thirsku – odparła rozbawiona tą uwagą Sharleyan.

Można i tak to ująć, uznał lord protektor w duchu. Lywys Gardynyr był nie tylko głównym doradcą Dohlaru, ale też regentem króla Rahnylda V, po tym jak czwarty władca tego imienia musiał abdykować. To oznaczało pełnienie zaszczytnej funkcji przez kolejne cztery lata, a zważywszy na wiek hrabiego Thirsku, można było się spodziewać, że przejdzie na emeryturę, gdy tylko król uzyska pełne prawo do korony. Wszystko wskazywało bowiem na to, że młodzieniec przerośnie rodziciela pod każdym względem – w przeciwieństwie do niego Rahnyld IV nigdy nie chciał specjalnie być królem. Zresztą nowo mianowany hrabia Wyspy Smoka oraz następca księcia Saltharu będą godnie kontynuować dzieło hrabiego Thirsku. Skoro już o tym mowa, arcybiskup Staiphon Maik także będzie miał oko na dziedzica tronu, przynajmniej dopóki nie zostanie powołany w szeregi wikariatu, co wydawało się całkiem prawdopodobne, choć na razie odległe w czasie.

Tymczasem królestwo Dohlaru utrzymywało wyjątkowo dobre stosunki z Imperium Charisu. Fakt, że *seijinowie* Cayleba i Sharleyan uratowali rodzinę hrabiego Thirsku, mimo że był on zamieszany w wydanie na śmierć Gwylyma Manthyra i jego podwładnych, świadczył dobitnie o tym, iż dawne zbrodnie Korony zostały wybaczone. Tak samo puszczono w niepamięć straty w ludności cywilnej podczas ataku na baronię Sarmouth... Duży wpływ na to miał powrót do ojczyzny całego

i zdrowego Caitahna Raisahnda oraz jego ludzi wziętych do niewoli przez Charisjan. Starcie obu domen poniosło za sobą liczne ofiary, lecz w porównaniu z sytuacją Republiki Siddarmarku można było mówić o wyjątkowo czystej wojnie, którą zakończyło obustronne porozumienie, nikogo więc nie dziwiło, że niemal tuzin przemysłowców, księcia Delthaku nie wyłączaając, zaczęło już inwestować w Dohlarze.

Jakkolwiek spojrzeć, powojenna kondycja tej domeny była zadziwiająco dobra. Stohnar odczuwał wręcz zazdrość, że dawny wróg wyszedł z konfliktu obronną ręką i korzysta z dobrodziejstw inwestycji Charisu. Dohlar Dohlarem, lecz sytuacja Desnairu i Harchongu wyglądała zgoła inaczej...

Desnairczycy nadal posiadali kopalnie złota. Tego nie dało się zmienić, lecz Cayleb wkurzył ich do białości, ogłaszając wieczystą niepodległość Wielkiego Księstwa Silkiahu. Stohnar z prawdziwą satysfakcją obserwował bezsilną wściekłość cesarza Mahrysa, gdy w stolicy przedstawiono mu charisjańskie plany pogłębienia Kanału Saltharskiego, aby oceaniczne szlaki handlowe mogły omijać wody i porty należące do Desnairu. Ta decyzja zasmuciła z pewnością cały Delferahk.

Co się zaś tyczy Harchongu, to w południowej części tej domeny ludzie szybko pogodzili się z reformami nowego wielkiego wikariusza Rhobaira. Więcej nawet, tamtejsze władze przejawiały chęć zawarcia ugody z Charisem i pozyskania nowych technologii. Doświadczona wojną ludność tej kontynentalnej domeny nie miała wszakże wielkiej ochoty na przyjęcie Kościoła Charisu ani Kościoła Republiki Siddarmarku, co wynikało w dużej mierze z pragmatyzmu. Za to Harchończycy jak jeden mąż popierali traktat zawarty z aliantami, ponieważ na jego mocy do kraju mogli powrócić wszyscy jeńcy.

Północny Harchong to osobna kwestia. Tamtejsi obywatele nie zamierzali przyjmować reform. Arystokracja uporczywie ignorowała istnienie schizmatycznych Kościołów, i to z kilku powodów, wliczając w to ich „zdradzieckie doktryny”. A choć polityczny establishment stał murem za Świątynią, to jednak wielu biurokratów okazywało niezadowolenie z liberalizmu zaprowadzonego przez wielkiego wikariusza. Co więcej, Kościół działający w Harchongu uważał się za spadkobiercę dawnej Inkwizycji... Stohnar nie zdziwiłby się specjalnie, gdyby w najbliższym czasie powstało coś na kształt Kościoła Północnego

Harchongu. Przyniosłoby to szereg ciekawych, acz nie zawsze pozytywnych konsekwencji. Zwłaszcza że mieszkańcy północy – w przeciwieństwie do swych rodaków z południa – wcale nie pragnęli powrotu swoich żołnierzy. Arystokraci byli niechętni Maigwairowi, który nakazał im uzbroić i przeszkolić setki tysięcy poddanych. Z tego też powodu obecnie – zwłaszcza po reformach wielkiego wikariusza Rhobaira – żaden z północnoharchońskich wielmożów nie wyglądał z utęsknieniem powrotu Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów. Stohnar był pewien, że w niecały pięciodzień doszłoby do samosądów, których ofiarą padliby oficerowie i ich dowódca w osobie hrabiego Tęczowych Wód.

– Chyba powinniśmy już zejść do jadalni – powiedział Cayleb, wyrrywając lorda protektora z zamyślenia. – Nie pozwólmy gościom czekać. – Wydaje mi się – dodał z lodowatym uśmiechem na ustach – że ten posiłek będzie dla nich bardziej satysfakcjonujący niż dla twojego gościa, Merlinie.

– Niewątpliwie – odparł *seijin*. – Niewątpliwie.

Zhaspahr Clyntahn rozejrzał się po komnacie, w której więziono go już od prawie trzech miesięcy.

Była niewielka, urządzono ją także bardzo skromnie, a mimo to jego pogarda dla miękkości heretyków znacznie wzrosła. Pogodził się już ze swoim losem. Nie wyglądał jednak z utęsknieniem śmierci, którą miał ponieść jako pospolity przestępca. Draniom, którzy go skazali, zabrakło odwagi, a może raczej przekonania, by posłać go na Karę Schuelera. To go ubawiło, ponieważ sam skazał na męki tysiące ich współbraci, gdyż tego wymagał od niego Bóg. Wydawało mu się niemal, że wywarł na oprawcach zemstę, zanim wpadł w ich łapy.

Był też spokojny o los zdrajców, którzy odwrócili się od niego w chwili próby. Wszyscy oni dostaną to, na co sobie zasłużyli. Tchórze chodzący na pasku Duchairna i Maigwaira poczują, co to strach, gdy dosięgnie ich sprawiedliwe ramię archanioła Schuelera. W samym piekle natomiast znajdzie się czeluść głębsza od samego wszechświata, w którą zostanie strącona ta gnida, Rhobair Duchairn, człowiek, który zdradził Boga

i poddał Kościół Matkę heretykom, apostatom i zdeprawowanym schizmatykom mieniącym się synami Kościoła Charisu i reformatorami!

Zerknął na resztki posiłku. Ostatniej wieczerzy na Schronieniu. Daleko jej było do frykasów, jakimi rozkoszował się w Syjonie, a tego kwasu zwanego winem nie dało się wręcz pić! Schudł na tym wikcie, choć nie dało się powiedzieć, aby zmizerniał.

Odsunął tacę i wstał, by podejść do okna z widokiem na plac leżący przed pałacem lorda protektora. Było za ciemno, aby coś dostrzec, wiedział jednak, że to właśnie tam wzniesiono dla niego szafot. Szubrawcy zadbali o to, by widział, jak go budują.

Przeniósł wzrok na egzemplarz Pisma spoczywający w rogu parapetu, ale nie był przecież kimś pokroju Duchairna. Nie musiał patrzeć na wydrukowane wersety, by wiedzieć, że jest czempionem Boga! Shan-wei okazała się tym razem silniejsza, jej pazury i kły wpiły się w serca ogromnych rzesz ludzi, lecz przyjdzie jeszcze czas, gdy Pan pomści jego śmierć. Stwórca wiedział, kto pozostał Mu wierny, dlatego Zhaspahr Clyntahn nie wątpił, że któregoś dnia Schueler i Chihiro pokarzą wrogów – jego i Boga.

Odwrócił się plecami do okna i ruszył do wąskiej pryczy nakrytej prostą bawełnianą pościelą. Usiadł, wściekając się na siebie, że ręce drżą mu nawet teraz, gdy może być pewien bliskiego spotkania z Bogiem oraz Schuelerem, jak również tego, że w zaświatach zostanie uznany za największego bohatera, jaki kiedykolwiek stapał po Schronieniu. Cóż, czempion Pana był tylko zwykłym śmiertelnikiem. Bywa, że słabość ciała pokonuje siłę ducha. Lecz przecież wykazał się hartem w trakcie tej farsy zwanej procesem. Przez ponad miesiąc wzywali świadków, przedstawiali dowody, skamleli o śmierci i zniszczeniu, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie dla prawdziwego obrońcy Boga!

Ignorował ich. Nie zadał choćby jednego pytania stojącym przed nim świadkom, nie wykpił ani jednego „dowodu”. Był przekonany, że sąd nad nim ma być swoistym widowiskiem. Wyrok zapadł na długo przed tym, nim wywleczono go z tego pieprzonego charisjańskiego okrętu na nabrzeże Siddaru. Cała reszta była tylko pożywką dla plebsu.

A może nie, pomyślał nagle. Może naprawdę brak im kregostupa, może potrzebują tego całego cyrku, aby wziąć się w garść i pozbawić mnie życia?

Jakie to ma znaczenie? Żadnego. Liczy się tylko to, że archaniołowie już czekają, by powitać mnie jak bohatera i wynagrodzić mi wierną służbę...

Cichy trzask wyrwał Clyntahna z zamyślenia. Drzwi komnaty stały otworem, a on poczuł rodzący się strach. Znienawidził się za tę reakcję, lecz nawet czempion Boga ma prawo czuć lęk, stając twarzą w twarz z najgorszym pomiotem Shan-wei.

Wysoki barczysty gwardzista przekroczył próg. Clyntahn zacisnął zęby, dostrzegłszy idącą za nim, o głowę niższą kobietę, która była odziana w identyczną czerń pancerza. Jej rude włosy lśniły niczym miedź w migotliwym blasku latarni, jednakże oczy miała równie szafirowe jak jej kompan.

Zhaspahr gapił się na nich, ale milczał jak zaklęty. Oni w rewanżu patrzyli na niego z chłodem i pogardą, co bolało go bardziej niż najgorsza obelga.

– Cóż – odezwał się w końcu – nadszedł czas zemsty, jak sądzę!

– Nie nazwałbym tego zemstą, wasza łaskawość – odpowiedział Merlin Athrawes lodowatym tonem. – Powiedziałbym raczej: nadszedł czas oświecenia.

– Oświecenie! – prychnął Clyntahn, spluwając na posadzkę celi. –

W piekle zarezerwowano dla ciebie specjalne miejsce, Athrawes! Dół pełen ognia, który będzie pożerał twoje ciało przez całą nieskończoność, a ja stanę od czasu do czasu na jego krawędzi i wyszczam się na twoje truchło!

– On chyba jeszcze nie załapał – stwierdził fałszywy *seijin*, zerkając na towarzyszkę.

– Chyba nie – odpowiedziała. – Nie wie przecież, że poprosiliśmy o służbę tej nocy, by móc mu wszystko wyjaśnić.

– Nie masz mi czego wyjaśniać, kobieto! – rzucił ostro Zhaspahr.

– I tu bardzo się mylisz – zakpiła, a wielki inkwizytor Kościoła Matki zmrużył oczy, słysząc zmianę w jej głosie. – Mamy ci wiele do wyjaśnienia, wasza łaskawość. Nie wspominając o tym, że bardzo długo czekaliśmy, by móc cię... oświecić. – Clyntahn pobladł, zdawszy sobie sprawę, że słyszy już nie kobietę, lecz mężczyznę. Ona mówiła identycznym basem jak towarzyszący jej i uśmiechający się krzywo Athrawes! – Po pierwsze zrozum wreszcie, że nie zasiądziesz po prawicy

Schuelera, by ferować wyroki. A jeśli istnieje coś takiego jak piekło, ty pierwszy docenisz jego uroki i niewykluczone, że spotkasz tam nawet Langhorne'a, Schuelera i Chihiro... którzy tam właśnie trafili.

– Bluźnisz! – warknął Clyntahn, drząc przy tym tak mocno, że musiał chwycić za berło. – Bluźnisz, ale czego innego można spodziewać się po heretykach?

– Wciąż nie zdajesz sobie sprawy, przed kim tak naprawdę stoisz, wasza łaskawość – rzekł łagodnym tonem Athrawes, sięgając ręką do stołu. Nie spojrzał nawet w tamtym kierunku, po prostu wyciągnął dłoń, chwycił palcami za brzeg blatu i uniósł mebel, jakby ten nic nie ważył. Zhaspahr aż przełknął ślinę na taki pokaz siły. – Gadasz ciągle o demonach i archaniołach – kontynuował *seijin* – ale nie wiesz, że Langhorne i Schueler nie należeli do grona istot nadprzyrodzonych. Byli zwykłymi ludźmi... którzy okłamali bliźnich i dopuścili się masowego morderstwa. Z kolei Pei Shan-wei nie była żadnym archaniołem, tylko kobietą, która przez całe życie próbowała pomagać innym. To jej wszyscy zawdzięczacie, że żyjecie na tym globie. Langhorne pospołu z Schuelerem zabili ją, ponieważ była lepsza od nich.

Clyntahn wodził spojrzeniem od twarzy mówiącego te słowa do stołu, wciąż wiszącego nieruchomo w powietrzu, jednakże gdy kobieta odezwała się identycznym głosem, natychmiast skupił na niej całą swoją uwagę.

– Pei Shan-wei była zwykłą śmiertelniczką – usłyszał – a przy tym moją przyjaciółką.

– Demony – ryknął Clyntahn, osłaniając się berłem. – Demony! Stwory rodem z piekła!

– Z piekła, wasza łaskawość? – Zaśmiała się, ale zimno, hardo. – Nie wiesz nawet, co to słowo znaczy... jak dotąd. Już jutro bowiem, gdy zapadnia się otworzy, sam zobaczysz, jak ono wygląda.

– Nie podchodź! – zawył Clyntahn.

– Nie zamierzamy cię skrzywdzić, wasza łaskawość – zapewniła go. – Jak słusznie zauważył Merlin, przyszedliśmy cię oświecić. Tyle zawsze mówiłeś o specjalnej więzi łączącej cię z Schuelerem i innymi archaniołami, uznaliśmy więc, że powinienes się z nimi spotkać... znaczy... zanim zadyndasz na stryczku.

– O czym wy mówicie? – wymamrotał wbrew woli, po czym zacisnął

szybko wargi, gdyż do jego świadomości przedarło się znaczenie słów kobiety.

– O tym, że Pismo to jedno wielkie kłamstwo – odpowiedział Athrawes spokojnie. – O tym, że wszystko, co wiesz o Schronieniu, to nieprawda. O tym, że każde słowo spisane w Świadectwach pochodzi od ludzi, których Langhorne, Bédard i Chihiro okłamali. O tym, że my dwoje jesteśmy starsi od twojego Pisma. O tym, że zginęliśmy, zanim pierwszy człowiek postawił stopę na tej planecie. O tym, że jutro, gdy zawiśniesz, nie powitają cię zadni archaniołowie.

– Kłamstwa! – zakrzyknął w desperacji. – Wszystko to kłamstwa!

– O tak, na Schronieniu wielu kłamało – zapewniła go kobieta – ale nie my.

Gdy oczy obojga *seijinów* zaczęły dziwnie lśnić, Clyntahn zerwał się z pryczy i przylgnął plecami do ściany, jakby próbował się wtopić w lity kamień.

– Nie zbliżajcie się do mnie! – zaskowyczał.

– Jak sobie wasza łaskawość życzy – odparł Merlin.

Odstawił stół z taką łatwością, jakby to było piórko, a kobieta wyjęła z sakwy błyszczący przedmiot. Położyła go w rogu blatu, uśmiechając się i mierząc wielkiego inkwizytora lśniącymi oczami.

– Pozwól, wasza łaskawość, że przedstawimy ci twoich „archaniołów” – powiedziała. – To, co zaraz zobaczysz, nazywamy archiwalnymi nagraniami. Zebraliśmy niemal godzinę takiego materiału. Myślę, że wyda ci się interesujący. Zwłaszcza te fragmenty, w których Langhorne tłumaczy się przed Pei Shan-wei.

Nacisnęła błyszczący przedmiot. Clyntahn wstrzymał oddech, ujrawszy przed sobą miniaturę dziwnie wyglądającego pomieszczenia, którego wnętrze zostało odwzorowane z wielką starannością. Projekcja przypominała obrazy ze Świątyni, znajdujące się w tajnych archiwach Inkwizycji... Przypatrzywszy się dokładniej, rozpoznał większość twarzy i załkał. Był tam archanioł Langhorne... upadły archanioł Kau-yung... i sama przeklęta na wieki Shan-wei.

– ...błagamy pana raz jeszcze, administratorze – zadrżał, słysząc po raz pierwszy w życiu głos szczupłej siwowłosej matki piekiel – aby wziął pan pod uwagę, jak ważne jest, by ludzka cywilizacja, która rozkwitnie na tej planecie, pamiętała o Gbaba. Ludzie muszą wiedzieć, dlaczego tu

przybyliśmy i dlaczego poniechaliśmy technologii.

– Dość tego – szepnął Clyntahn. – Przestańcie!

– Słyszeliśmy te argumenty wielokrotnie, pani doktor – odpowiedział jej Langhorne swoim prawdziwym głosem. Clyntahn był tego pewien, ponieważ w odróżnieniu od głosu Shan-wei miał okazję go już wcześniej słyszeć. – Rozumiemy pani punkt widzenia, lecz nie zamierzamy zrezygnować z obranej drogi.

– Administratorze... – odezwała się ponownie Shan-wei. – Zapomina pan, że ludzkość od zarania coś konstruuje i wysiła szare komórki. Tak też, prędzej czy później, będzie na Schronieniu. A wtedy nasi potomkowie, niepomni zagrożenia, znajdą się w ogromnym niebezpieczeństwie.

– Pani naprawdę nic nie rozumie, doktor Pei – wtrąciła archanioł Bédard. – Stworzyliśmy nowe matryce zachowań społecznych. Mogę zapewnić, że dzięki zabezpieczeniom, które wdrożyliśmy, społeczność Schronienia nigdy nie przyciągnie uwagi Gbaba. O ile, rzecz jasna, nie pojawi się jakiś nieprzewidywany czynnik zewnętrzny, który zakłóci działanie matrycy.

– Nie wątpię, że umiecie stworzyć antytechnologiczne uwarunkowania na poziomie jednostki i społeczeństwa – stwierdziła Shan-wei. – Uważam jednak, że bez względu na zastosowane przez was zabezpieczenia za pięćset albo za tysiąc lat może dojść do ich złamania.

– Nic takiego się nie stanie – zaprzeczyła Bédard. – Zdaję sobie sprawę, że psychologia nie jest pani najmocniejszą stroną i że doktoryzowała się pani między innymi z historii, stąd wie pani, jak szybko rozwijała się ostatnimi czasy technologia. Gdy wziąć pod uwagę ostatnie sześć wieków historii Starej Ziemi, łatwo uznać, że ludzie są zarażeni wirusem innowacyjności. Ale to nieprawda. W naszej przeszłości nie brak przykładów długotrwałej stagnacji. Podczas tysiącleci trwania starożytnego Egiptu nie nastąpił praktycznie żaden rozwój. Coś podobnego chcemy właśnie zrobić na Schronieniu. Zamierzamy zaszczepić ludziom takie, a nie inne myślenie i zmusić ich do posłuszeństwa dzięki zaimplementowanym zabezpieczeniom, zarówno instytucjonalnym, jak i osobniczym.

– Nie, nieee – zawodził Clyntahn. – Pięćset, tysiąc lat? To kłamstwa, kłamstwa, nic innego! – Tymczasem głosy nie milkły, a on nie potrafił

oderwać wzroku od projekcji.

– Tak zwany marazm Egipcjan i innych kultur śródziemnomorskich jest przeceniany – oświadczyła Shan-wei. – Poza tym Egipt był zaledwie jedną z wielu cywilizacji, jakie istniały w tamtym czasie, i...

Jego cierpienie trwało dłużej niż obiecana przez tę kobietę godzina. To były wieki, eony całe! Kazali mu obejrzeć wszystko, do samego końca, kazali mu chłonąć te bluźnierstwa i kłamstwa. Co najgorsze zaś, zmusili go do uzmysłowienia sobie czegoś znacznie okrutniejszego nawet od Kary Schuelera, na którą skazał tylu heretyków.

Zmusili go, by uwierzył, że to, co słyszy, to wszystko prawda.

– Kłamstwa – szepnął, spoglądając na nich z podłogi, na którą osunął się z czasem. – Kłamstwa – powtórzył, choć wiedział już, że jest inaczej.

– Powtarzaj to sobie, wasza łaskawość – zaśmiał się Athrawes, gdy kobieta chowała błyszczący przedmiot do sakwy. – Śmiało. Powtarzaj to sobie bez wytchnienia. Kiedy będą zakładali ci pętlę na szyję. Kiedy będziesz czekał na znak opuszczonego ramienia. Powtarzaj sobie do ostatka, bo po otwarciu zapadni już nie będziesz mógł sobie nic wmawiać. Pókiś żywy jednak, zastanów się, jak Bóg... ten prawdziwy, którego wielbią ludzie pokroju Maikela Staynaira... powita cię w zaświatach.

Clyntahn gapił się na niego, poruszając bezdźwięcznie wargami, a *seijin* – o którym już wiedział, że jest nieżyjącą od tysiąca lat dziewczyną – uśmiechał się do niego, podczas gdy jego towarzyszka – ta sama martwa kobieta – otwierała ponownie drzwi celi.

– Powtarzaj to sobie, wasza łaskawość – rzucił na pożegnanie Merlin Athrawes, wychodząc na zewnątrz za Nimue Chwaeriau. – Zabierz te słowa do piekieł, ponieważ to tam czekają na ciebie Schueler i Langhorne.

Greyghor Stohnar zasiadł na trybunie u boku cesarza Cayleba. Po prawicy męża znalazło się miejsce dla Sharleyan, po jej prawej stronie

zaś usadzono Aivah Pahrsahn. Dalej znaleźli się młody książę Nahrman Gareyt i król Gorjah z Tarota. Książę Darcosu z żoną musiał się zadowolić miejscem w niższym rzędzie, podobnie jak hrabia Thirsku i arcybiskupi: Staiphan, Zhasyn Cahnyr, Klairmant Gairlyng i Ulys Lynkyn...

Lista nazwisk była imponująco długa. Ale na każde z nich przypadało wielu nieobecnych. Gwylym Manthyr, Mahrtyn Taisyn, Dabnyr Dynnys, Clyftyn Sumyrs, Samyl i Hauwerd Wylsynnowie, nawet Erayk Dynnys. Tego chłodnego, choć słonecznego poranka odziany w futro, czapę i rękawice lord protektor zajął swoje miejsce, wspominając ich wszystkich. Kobiety i mężczyźni, którzy nie mogli pojawić się tutaj tego ranka, aby zobaczyć, że sprawiedliwości staje się zadość. Także – a może przede wszystkim – w ich imieniu.

Sprawiedliwość. Jakież to zimne, bezużyteczne słowo. Jest ważna, i to bardzo, wiem o tym, ale co tak naprawdę można dzięki niej osiągnąć? Czy przywróci życie choć jednej ofierze? Czy odkręci choć jeden zły uczynek tego drania?

Przypomniawszy sobie bezgraniczną pogardę, jaka była z oczu Clyntahna, gdy odczytywano mu wyrok. Tę arogancję, sposób, w jaki patrzył na oskarżających go ludzi. Zachowywał się jak człowiek, który doskonale wie, że jego racje i tak kiedyś zwyciężą. Jak prawy sługa prawdziwego Boga. Mało brakowało, by Greyghor porzygał się tamtego dnia, lecz dziś nareszcie ta farsa dobiegnie końca. Z tą myślą spłynęło na lorda protektora zrozumienie, co można osiągnąć dzięki wymiarowi sprawiedliwości.

Zresztą tu wcale nie chodzi o niego, pomyślał Stohnar... Zgoda, zemsta będzie częścią tego, co zaraz się tu wydarzy, temu nie zamierzam przeczyć. Ale najważniejsze jest to, że pokażemy światu, iż jesteśmy lepsi od tego bękarta. Że pewnych działań i czynów nie będziemy nigdy tolerować. Ukarzemy je, jak każde zło, lecz nie posuniemy się przy tym do okrucieństw... kastracji, dźgania nożami, przypalania rozgrzanym do białości żelazem, palowania... na które Clyntahn skazał tyle osób. Usuniemy go z tego świata, ale z zachowaniem szacunku dla sprawiedliwości właśnie. To właśnie wydarzy się tego ranka.

Zagrała trąbka. Szmer rozmów ucichł błyskawicznie i od tej pory jedynymi dźwiękami, jakie przerywały ciszę, były piski wyvern i łopot

sztandarów zdobiących pałac lorda protektora. Otwarto wrota i oddział złożony z żołnierzy każdej armii, jaka walczyła z Grupą Czworka – oraz służącymi jej siłami z Dohlaru czy Harchongu – wprowadził na plac więźnia odzianego w prostą, czarną sutannę.

Stohnar robił coraz większe oczy z każdym krokiem Zhaspahra Clyntahna. Zgarbiony wielki inkwizytor miał włosy brudne i zmierzwione, a jego arogancja gdzieś zniknęła. Szedł chwiejnie jak starzec, rozglądając się na boki. Jego wzrok spoczął na moment na postawnym *seijinie* stojącym za fotelami Cayleba i Sharleyan, a potem przeniósł się na nieco niższą kobietę pilnującą księcia Darcosu i jego żony. Nawet z tej odległości Stohnar wyraźnie widział w oczach Clyntahna bezgraniczne przerażenie.

Eskorta dotarła do stóp szafotu. Żołnierze rozstąpili się, a skazaniec uniósł stopę, jakby zamierzał postawić ją na najniższym ze stopni. Nie uczynił tego jednak. Stojąc w bezruchu, gapił się już nie na *sejinów*, lecz na kołysaną wiatrem pętlę.

Sekundy mijały jedna po drugiej, aż w końcu dowodzący eskortą sierżant w charisjańskim mundurze trącił wielkiego inkwizytora w ramię. Nie zrobił tego zbyt mocno, by nie odbierać więźniowi resztek godności, lecz Clyntahn – zamiast ruszyć przed siebie – obrócił się na pięcie. Spojrzał na trybunę z pobladałą twarzą i drżącymi rękami.

– Błagam! – zaskomlił. – Błagam! Ja nie... nie mogę...! – Padł na kolana, wyciągając ręce w błagalnym geście. – Myślałem, że mam rację! Myślałem, że Pismo... że Pismo głosi szczerą prawdę!

Stohnar zamarł. Ten człowiek oszalał. Postradał zmysły na moment przed egzekucją, która miała być zadośćuczynieniem za wszystkie krzywdy wyrządzone milionom ofiar.

– Błagam... – łkał Zhaspahr Clyntahn. – Nie róbcie mi tego! To nie moja wina! Zostałem okłamany!

Sierżant, który jeszcze przed chwilą próbował oszczędzić mu upokorzenia, cofnął się o dwa kroki. Wystarczyło, że spojrzał na podwładnych, a czterech chłopów na schwał postawiło więźnia na nogi i wciągnęło go na szafot. Wielki inkwizytor opierał się, wrywał i kopał, lecz nie na wiele się to zdało. Ustawili go na podeście, przytrzymali, by kat mógł założyć mu pętlę na szyję. Znowu próbował krzyczeć, ale jeden ze strażników zasłonił mu usta odzianą w rękawicę dłońią, po czym

odziany w mundur milicji Glacierheart brygadier rozłożył przed sobą pismo.

– Zhaspahrze Clyntahnie – przeczytał – zostałeś osądzony, a potem uznany winnym morderstw, tortur i wielu innych barbarzyńskich zbrodni, których nie sposób wymienić. Za sprawą swoich niegodnych uczynków zostałeś wyrzucony poza nawias Kościoła, pozbawiony wszelkich tytułów, a nawet miejsca pomiędzy innymi dziećmi Boga. Wyrokiem sądu zawisniesz na tej szubienicy, a twoje ciało zostanie następnie poddane kremacji, by pozostałe po nim popioły można rozrzucić na otwartym morzu, jako że nie mogą zbezczścić świętej ziemi Schronienia. Wyrok zostanie wykonany natychmiast.

Brygadier zamilkł, złożył kartkę i skinął na żołnierza zatykającego usta wielkiemu inkwizytorowi. Gdy ręka została cofnięta, Byrk Raimahn zapytał skazańca:

– Chcesz coś powiedzieć przed śmiercią?

Pamiętał Wielki Głód, pamiętał wszystkich rodaków z Glacierheart, którzy już nigdy nie wrócą do domów.

– Ja... – zająknął się Clyntahn.

Później już tylko poruszał bezgłośnie wargami.

– Żałuję, że doktor Pei i komandor nie mogą być tutaj z nami, by to zobaczyć.

Merlin Athrawes usłyszał spokojny głos Nimue Chwaeriau, podobnie jak wszyscy pozostali członkowie wewnętrznego kręgu, którzy jednak nie mogli jej odpowiedzieć.

– I Gwylym – dodał przez wbudowany komunikator, nie spuszczać wzroku z roztrzęsionego wielkiego inkwizytora, który stał wciąż drżący z pętlą założoną na szyję. – I wszyscy inni, którzy postradali życie przez tego drania.

– Tak, ale nie zapominajmy, że dzięki ich ofierze dotarliśmy tak daleko.

– Wciąż jeszcze daleka droga przed nami, a do tego grozi nam zapowiadane powtórne nadejście archaniołów. Skoro Duchairn ratuje

Kościół, sędzę, że my tymczasem powinniśmy się skupić właśnie na tym.

– To zrozumiałe – zgodził się z nim Nahrman. – Skoro tak lubisz aforyzmy Churchilla, co powiesz na ten: „To nie jest koniec. To nawet nie jest początek końca. To dopiero koniec początku”.

Byrk Raiman odczekał kolejne dziesięć długich sekund, po czym opuścił uniesione ramię.

Kat pociągnął dźwignię, otwierając zapadnię, lina napięła się, a ciało zadrżało, w chwili gdy kark został skrecony. Tłum milczał jednak. Nikt się nie uśmiechał, nikt się nie radował. Od strony trybun dobiegło tylko przeciągłe westchnienie.

– Nie wiem, jak to wygląda z twojej perspektywy, Merlinie – odezwał się półgłosem Nahrman – ale ja powiem jedno: to był piekielnie ciężki początek, przyjacielu.

Seijin przyglądał się rozkołysanemu ciału, trzymając dłoń na ramieniu Nynian. Kobieta musnęła palcami jego palce, a on dopiero wtedy oderwał spojrzenie od wisielca i popatrzywszy jej w oczy, uśmiechnął się szeroko.

– Masz rację, Nahrmanie. Masz rację. A skoro daleka droga przed nami – uścisnął delikatnie ramię Nynian – dobrze, że mamy tak doborowe towarzystwo.

OD AUTORA

Niektórzy z Was zapewne zauważyli, że na końcu książki brakuje spisu postaci. Część z Was może się nawet z tego powodu ucieszyła.

Jest kilka przyczyn, dla których tak się stało. Po pierwsze objętość tekstu i fakt, że nadmierny ciężar egzemplarza mógłby uszkodzić układ mięśniowo-szkieletowy czytelników. Po drugie to, że spóźniłem się ze złożeniem książki w wydawnictwie, które i tak stanęło na głowie, aby ukazała się ona w terminie.

Po trzecie wreszcie mam w planach zamieszczenie całościowego spisu postaci ze wszystkich tomów cyklu *Schronienie* na swojej stronie internetowej davidweber.net. W tym samym miejscu będzie można znaleźć wszystkie mapy w wersji elektronicznej. Jedno i drugie wymaga wszakże czasu, dlatego jeśli zajrzycie na moją stronę w najbliższej przyszłości, raczej nie znajdziecie tego, czego szukacie. Dajcie mi więc miesiąc czy coś koło tego, a spis postaci i mapy powinny się pojawić.

Przy okazji dziękuję, że do tej pory byliście ze mną, czytając *Schronienie*. Zapewniam, że historia Merlina jeszcze nie dobiegła końca i że ma on wiele do opowiedzenia.

GLOSARIUSZ

Akademia Zhyahngdu – chyba najsłynniejsza szkoła dla rzeźbiarzy na całym Schronieniu, mieszcząca się w mieście portowym o tej samej nazwie w prowincji Tiegelkamp w północnym Harchongu. Jej historia sięga czasów Wojny z Upadłymi. Absolwentami akademii było wielu znanych rzeźbiarzy Kościoła Boga Oczekiwanego na przestrzeni minionych dziewięciuset lat.

Ananas górski – gatunek rośliny endemicznej dla Schronienia. Jej kulisty owoc ma około czterech cali średnicy, twardość jabłka i smak przypominający słodki grejpfrut. Występuje głównie na kontynentach.

Angorska jaszczurka – jaszczurka żyjąca na Schronieniu, charakteryzująca się wyjątkowo połyskliwą, przypominającą kaszmir pokrywą włosową i z tego powodu hodowana na runo podobnie jak owca na Starej Ziemi, podstawa przemysłu tekstylnego Schronienia.

Anshinritsumei – słowo to w języku japońskim oznacza „oświecenie”. W Biblii Schronienia określono nim „mały ogień”, czyli pomniejsze tchnienie Boskiego ducha. Jest to najwyższy stan umysłowy, jaki może osiągnąć śmiertelna istota.

Archaniołowie – centralne postacie Kościoła Boga Oczekiwanego. Byli to najwyżsi stopniem członkowie dowództwa operacji Arka, którzy pod postacią boskich wysłanników, przewodników oraz opiekunów nadali kształt powstającej na Schronieniu ludzkiej cywilizacji.

Bahnyta – nazwa nadana przez *seijina* Kohdy’ego jego hikousenom.

Belka wieńcowa – rodzime na Schronieniu określenie na „belkę dwuteową”.

Bomba morska – określenie na minę morską używane przez lojalistów Świątyni.

Bomba naziemna – określenie na minę lądową używane przez lojalistów Świątyni.

Chłopcy Świątyni – pogardliwe określenie na żołnierzy Armii Boga stosowane przez Charisjan i mieszkańców Republiki Siddarmarku.

Czuwanie Langhorne’a – trwający trzydzieści jeden minut okres przerwy w pomiarze czasu, przypadający tuż po północy. Został wprowadzony przez pierwszych „archaniołów” celem skompensowania 26,5-godzinnej długości doby na Schronieniu. Zwyczajowo przeznaczony na kontemplację i dziękczynienie.

Czyścik Pasquale – używana na Schronieniu nazwa karbolu.

Dekrety Schuelera – zbiór dyrektyw, przepisów i procedur w formie księgi, będący podporą

Inkwizycji.

Drapacz nieba – wysokie smukłe drzewo liściaste. Dorasta do wysokości około osiemdziesięciu pięciu, a nawet dziewięćdziesięciu stóp i ma drobne, gęste konary porośnięte listkami przypominającymi liście ostrokrzewu. Gałęzie rzadko przekraczają długość ośmiu stóp.

Drzewo fasolowiśniowe – używana na Schronieniu nazwa odnosząca się do kawowca. Na całej planecie występuje tylko jeden jego gatunek, dający kawę robusta, którą zmodyfikowano genetycznie, ażeby rosła w różnych strefach klimatycznych. Mimo to występowanie tego drzewa ogranicza się do stosunkowo wąskiego pasa okołorównikowego, a to dlatego, że średnia temperatura na Schronieniu jest o kilka stopni niższa niż na Starej Ziemi.

Drzewo gofrowe – rodzime dla Schronienia liściaste drzewo rodzące orzechy, charakteryzujące się szczególnie twardą i nierówną korą.

Drzewo olejowe – drzewo występujące na Schronieniu i osiągające wysokość do trzydziestu stóp. Wydaje duże owłosione torebki nasienne zawierające liczne nasionka, z których każde jest bardzo bogate w oleje roślinne. Zespół terraformujący dr Pei Shan-wei, posługując się inżynierią genetyczną, zwiększył poziom zawartości olejów w nasionach oraz sprawił, że są one jadalne dla ludzi. Drzewo olejowe uprawia się głównie z myślą o żywności, lecz stanowi ono również ważne źródło smaru. W domenach położonych w głębi kontynentu jest postrzegane jako istotne źródło oleju do lamp.

Drzewo tekowe – rodzime drzewo Schronienia, którego drewno zawiera w swoim składzie krzemionkę i inne minerały. Chociaż dorasta na wyższe wysokości niż drzewo tekowe ze Starej Ziemi i zamiast liści ma igły, to jego drewno – teczyna – ma podobne słoje i barwę, a także jest tak samo wytrzymałe na warunki pogodowe, próchnienie i szkodliwe działanie owadów.

Dusznik – niskie zarośla pochodzące ze Schronienia. Istnieje wiele odmian tych krzewów, które rosną w niemal każdej strefie klimatycznej. Są bardzo gęste i trudne do wycięcia, ale wymagają wiele światła do rozrostu, więc praktycznie nie występują w starych, rzadkich lasach.

Działo kątowe – rodzaj krótkolufowej armaty na lawecie, z której można strzelać pod zmiennym kątem, aby pociski spadały na cel po łukowatych trajektoriach.

Działo wysokokątowe – nazwę zazwyczaj skraca się do: działo kątowe, szczególnie w środowisku artylerzystów.

Dziennik Świętego Zherneau – dziennik pozostawiony przez Jeremy'ego Knowlesa, w którym zawarto opis zniszczenia Enklawy Aleksandria i losy Pei Shan-wei.

Dzikie jagody – którekolwiek z licznych jagód porastających cierniste krzewy Schronienia.

Dziurawy ser – rodzima nazwa sera szwajcarskiego na Schronieniu.

Fałszywe srebro – rodzima nazwa antymonu na Schronieniu.

Fontanny Shan-wei – nadana przez Charisjan nazwa „min skaczących”. Przy odpaleniu ładunek wybuchowy podrzuca minę na wysokość mniej więcej pasa, zanim ona detonuje, co sprawia, że w promieniu trzystu sześćdziesięciu stopni pada deszcz odłamków. Patrz także: Kau-yungi.

Gbaba – ksenofobiczna rasa Obcych, która unicestwia wszystkie napotkane gatunki istot inteligentnych. Gbaba pokonali Federację Terrańską oraz wszystkie skupiska ludzi poza kolonią na Schronieniu.

Glynfych – znana na całym Schronieniu marka chisholmskiej whiskey; destylarnia o tej samej nazwie.

Gorączka lędźwiowa – określenie na różne choroby skutkujące uszkodzeniem układu nerwowego i paralizem ciała, takie jak np. polio.

Górskie igłociernie – szczególny gatunek igłocierni, rosnących wyłącznie na zboczach gór w strefie tropikalnej. Kwiatostan tej rośliny ma zazwyczaj krwistoczerwony kolor, ale ten jeden gatunek charakteryzuje się białymi, niemal kobaltowobłękitnymi kielichami u nasady i jaśniejszymi stopniowo ku końcom płatkami, które mają dodatkowo złotawe obwódki.

Grobowiec Świętego Kohdy’ego – oryginalny grobowiec Świętego Kohdy’ego został zniszczony przez tę samą broń kinetyczną, która unicestwiła klasztor Świętego Kohdy’ego. Zanim to się jednak stało, członkinie zakonu Świętego Kohdy’ego przeniosły jego ciało do nowego, sekretnego grobu w Górach Światła, gdzie pozostaje po dziś dzień.

Grupa Czworga – czterej wikariusze, którzy sprawują faktyczną władzę nad Radą Wikariuszy i Kościołem Boga Oczekiwanego.

Hammerka – rodzime określenie na zydwestkę, wodoodporne nakrycie głowy, wykonywane najczęściej z impregnowanego smołą płótna lub brezentu. Nazwa wzięła się od Wyspy Hammer, na której warunki pogodowe są najgorsze na całym Schronieniu.

Herbata fasolowiśniowa – „herbata” produkowana z nasion drzewa o tej samej nazwie, uprawianego szczególnie w Szmaragdzie i Tarocie, uznawana za towar luksusowy w północnym Harchongu oraz na Ziemiach Świętynnych, gdzie bywa pijana przez zamożniejsze warstwy społeczeństwa.

High-Hallows – niezwykle wytrzymała, również w warunkach zimowych, rasa koni.

Hikousen – nazwa przypisywana pojazdom powietrznym, jakimi *seijinowie* poruszali się w czasie Wojny z Upadłymi.

Igłociernie – krzewy spotykane tylko na Schronieniu, osiągają wysokość około trzech stóp i mają ostre kolce o długości od trzech do siedmiu cali w zależności od gatunku.

Intendent – duchowny przydzielony do biskupstwa lub arcybiskupstwa w charakterze bezpośredniego przedstawiciela Inkwizycji. Jego zadaniem jest zwłaszcza przestrzeganie, aby nie łamano Zakazów Jwo-jeng.

Jabłoń cukrowa – tropikalne drzewo owocowe występujące na Schronieniu. Jego owoc ma purpurową skórkę przypominającą mandarynkę, lecz miąższ jest bardziej podobny do jabłka. Chętnie spożywany ze względu na wysoką zawartość cukru.

Jaszczurflak – padlinożerca zajmujący niszę ziemskiej hieny skrzyżowanej z szakalem. Jaszczurflaki czasami polują, ale generalnie nie należą do odważnych stworzeń, przez co są traktowane pogardliwie przez większość mieszkańców Schronienia.

Jaszczur klifowy – sześciopalec, jajorodny gatunek ssaka rodzimy dla Schronienia. Męskie osobniki osiągają wagę pomiędzy stu pięćdziesięcioma i dwustu pięćdziesięcioma funtami i zajmują podobną niszę jak ziemskie muflony.

Jaszczur skakun – drapieżnik średniej wielkości jak na warunki Schronienia, to znaczy dorastający do długości ciała około czterech stóp. Zwierzęta tego gatunku mają przerośnięte szczęki i polują na ofiary, zasadzając się na nie w ten sposób, że wkopują się w ziemię w pobliżu ścieżek zwierzyny, po czym wyskakują z ukrycia najczęściej na jelenie i innych roślinożerców.

Jaszczurkot – futrzasta jaszczurka wielkości ziemskiego kota, bardzo przymilna. Traktowana jako zwierzę domowe.

Jaszczurlis – ciepłokrwiste, sześciopalec, jajorodne futrzaste stworzenie rodzime dla Schronienia, którego okrywa włosowa bywa ruda bądź ciemnoszara. Większość odmian potrafi wspinać się na drzewa. Ich długość zamyka się w przedziale od czterdziestu do czterdziestu ośmiu cali, przy czym sam krzaczasty ogon może mieć dwadzieścia pięć cali długości. Waga tych zwierząt sięga trzydziestu funtów, najlżejsze osobniki zaś ważą około dwudziestu funtów.

Jaszczurodrap – sześciopalec ssak z wyglądu przypominający jaszczura, porośnięty gęstym futrem. Jajorodny. W jego paszczy znajdują się dwa rzędy kłów zdolnych przebić kolczugę. Stopy tego zwierzęcia mają po cztery długie palce zakończone pięcio- lub nawet sześciopalcowymi pazurami.

Jaszczuromałpka – ogólna nazwa dla kilku gatunków nadrzewnych torbaczy pokroju jaszczurek. Istnieje wiele odmian różniących się kształtem i wielkością, aczkolwiek żadna nie jest większa od ziemskiego szympansa, a większość jest znacząco od niego mniejsza. Wszystkie są wyposażone w ręce przypominające ludzkie, choć tylko z trzema palcami i jednym

przeciwstawnym kciukiem. Ich stopy, również do pewnego stopnia chwytnie, nie mają przeciwstawnego kciuka. Jaszczuromałpki są niezwykle energiczne i nerwowe, a także potrafią zdumiewająco udatnie naśladować ludzkie zachowania.

Jaszczurza nora – określenie na lisią norę używane przez lojalistów Świątyni.

Jedwabiobawełna – roślina pochodząca ze Schronienia, mająca wiele właściwości charakterystycznych dla jedwabiu i bawełny. Pozyskiwano z niej bardzo lekkie i niezwykle wytrzymałe nici, ale ich kłębki były znacznie bardziej zanieczyszczone ziarenkami niż ziemską bawełną. Jedwabiobawełna osiągała zawrotne ceny ze względu na długi i żmudny ręczny proces oczyszczania przędzy.

Kau-yungi – nazwa przypisana przez żołnierzy Armii Boga minom przeciwpiechotnym, a szczególnie kierunkowym minom typu Claymore dla upamiętnienia „kieszonkowej bomby atomowej” komandora Pei Kau-yunga, której użył on przeciwko sojusznikom Erica Langhorne’a po zniszczeniu Enklawy Aleksandria. W późniejszym czasie określenie wszystkich min lądowych.

Keitai – nazwa przypisywana osobistym komunikatorom, których *seijinowie* używali podczas Wojny z Upadłymi.

Kharmych – marsz wojskowy grany w Republice Siddarmarku, upamiętniający wspaiałą postawę 37. regimentu piechoty podczas desnairskiej inwazji.

Klasztor Śniegów – klasztor sióstr zakonu Chihiro (Zakon Pióra), zlokalizowany w Górach Światła powyżej Łez Langhorne’a. Choć jest to czynny klasztor zakonu Chihiro, wszystkie jego członkinie są równocześnie siostrami zakonu Świętego Kohdy’ego, a sam klasztor służy za pokrywkę dla grobowca Świętego Kohdy’ego. Klasztor jest wzniesiony na fundamentach pamiętających czasy sprzed bitwy na Rafie Armagedonu, które ponoć były niegdyś domem wypoczynkowym Erica Langhorne’a.

Klasztor Świętego Zherneau – siedziba bractwa Świętego Zherneau, jednego z biedniejszych zakonów Charisu.

Klasztor Świętej Evehlain – zakon siostrzany przy klasztorze Świętego Zherneau.

Kolcocierń – kwitnący krzew występujący w większości stref klimatycznych Schronienia. Jego kwiaty mają przeróżne kolory i odcienie. Gatunki tropikalne znane są ze smuklejszego pokroju oraz delikatniejszych płatków.

Kolcojaszczur – gad wielkości ziemskiego łosia mający rozwidlający się róg o czterech odnogach. Długość tych kolców może dochodzić do jednej trzeciej rozmiaru całego zwierzęcia. Jaszczury te są roślinożerne i nie stanowią wielkiego zagrożenia.

Kolcodrzewo północne – rodzime dla Schronienia wiecznie zielone drzewo, występujące w strefie arktycznej i subarktycznej.

Kolcowinorośl – roślina Schronienia przypominająca nieco kudzu. Niestety nie rośnie tak szybko jak jej ziemski odpowiednik, ale jest od niego o wiele trwalsza, a kilka jej odmian ma na łodygach twarde kolce. W odróżnieniu od wielu miejscowych roślin bez problemu dała się skrzyżować z ziemską florą. Stosowana jako żywopłoty i ogrodzenia przez wielu rolników Schronienia.

Kolstyr – marsz wojskowy grany w Republice Siddarmarku, upamiętniający okrucieństwa Cesarstwa Desnairu, jakich dopuszczono się w trakcie jednej z pierwszych wojen pomiędzy Siddarmarkiem i Desnairum. Gdy rozbrzmiewa na polu bitwy, znaczy to, że Armia Republiki Siddarmarku przystępuje do bezlitosnego natarcia.

Komentarze – autoryzowane interpretacje i rozszerzenia doktryn zawartych w Piśmie. Zawierają oficjalnie zaakceptowane i usankcjonowane interpretacje treści oryginalnych zapisów.

Komorowiec – roślina rodzima dla Schronienia, podobna do ziemskiego kalabasza, uprawiana zarówno na pożywienie, jak i na pojemniki. Istnieje kilka ich rodzajów. Jeden wykorzystuje się do wytwarzania fajek służących do palenia tytoniu.

Konik polny – występujący na Schronieniu drapieżny owad dorastający do długości dziewięciu cali. Na szczęście rzadszy od ziemskiego konika polnego.

Korzeń nasenny – rodzime drzewo Schronienia, którego korzenie są bogate w opiaty i inne środki przeciwbólowe. Tą samą nazwą często określa się produkowane z nich leki.

Kosz Pasquale – dobrowolne dary dla biednych, bezdomnych i chorych. Różnica pomiędzy sumą przekazywaną dobrowolnie a wymaganą na cele Kosza ma pochodzić ze skarbcza Kościoła Matki, wypłaca się ją wkrótce po zebraniu dziesięciny.

Kościół Boga Oczekiwanego – Kościół i religia utworzone przez personel zarządzający operacją Arka w celu kontrolowania kolonistów i ich potomków oraz uniemożliwienia powrotu zaawansowanej technologii.

Kościół Charisu – powstały w wyniku schizmy Kościół wyodrębniony z Kościoła Boga Oczekiwanego po nieudanej próbie Grupy Czworoga polegającej na unicestwieniu Królestwa Charisu.

Kraken (1) – wspólna nazwa nadana całej rodzinie morskich drapieżników. Zwierzęta te przypominają krzyżówkę rekina z kałamarnicą. Są bardzo potężne, mają rybie kształty, wielkie szczęki pełne zakrzywionych do tyłu zębów i wiązki macek wyłaniających się z ich ciał przy

podstawie głowy. Za ich pomocą drapieżniki te przytrzymują ofiary podczas ich pożerania. Małe przybrzeżne krakeny mogą mierzyć tylko trzy do czterech stóp długości, ich kuzyni żyjący na pełnym morzu osiągają czasami nawet pięćdziesiąt stóp – co zostało udokumentowane – ale te z legend i opowieści bywają o wiele większe.

Kraken (2) – jedno z najcięższych dział ery przedmerlinowskiej. Przeciężna armata tego typu ważyła prawie trzy i pół tony i strzelała czterdziestodwufuntowymi kulami. Królewskie krakeny ważyły przeszło cztery tony. Z nich także strzelano czterdziestodwufuntowymi pociskami, ale miały one znacznie większy zasięg. Standardowe działa tego typu osiągały wagę dwóch i trzech czwartych tony. Miały kaliber sześciu i dwóch dziesiątych cala i strzelały kulami o masie trzydziestu pięciu funtów.

Krakeny z Tellesbergu – zawodowy klub baseballowy.

Krowa morska – ssak ze Schronienia przypominający z wyglądu ziemskiego morsa. Dorosłe osobniki osiągają długość do dziesięciu stóp.

Kuguar – mniejszy gatunek jaszczurodrapa. Kuguary są znacznie mądrzejsze i zwinniejsze od swoich gigantycznych pobratymców, a co za tym idzie, potrafią unikać kontaktów z ludźmi. Są też niezwykle wytrwałymi i zabójczymi łowcami.

Kyousei hi – dosłownie „wielki ogień” albo „wspaniały ogień” – za Pismem. Terminem tym określano aureole, jakie otaczały wszystkie pojazdy i skimmery dowództwa operacji Arka, aby podkreślić ich boskie pochodzenie w oczach pierwszych pokoleń mieszkańców Schronienia.

Lalka Gniazdko – harchońska lalka ludowa, podobna do rosyjskiej matroszki, w której coraz mniejsze drewniane laleczki mieszczą się w wydrążonych lalkach większego rozmiaru.

Levelersi – reformistyczno-rewolucyjny ruch w domenach kontynentalnych mający na celu zlikwidowanie wszelkich różnic społecznych i ekonomicznych wśród ludzi.

Lelija góraska – przypominający tulipan kwiat występujący na Schronieniu, szczególnie u stóp Gór Langhorne’a i Gór Światła. Charakteryzuje się białymi płatkami, których krańce przybierają karmazynowy odcień. Kwiat jest przypisywany męczennikom oraz wszystkim tym, którzy walczą dzielnie za Kościół Matkę.

Lilia góraska – rodzima dla Schronienia wieloletnia roślina, która dorasta do wysokości trzech do czterech stóp i rodzi białe, siedmiopłatkowe kwiaty o średnicy około dziewięciu cali będące symbolem męczeństwa w Kościele Boga Oczekiwanego.

Liście żujnika – narkotyk średniej mocy uzyskiwany z oryginalnych roślin Schronienia. Żuty przez niemal wszystkich, jak ongiś liście tytoniu.

Lojaliści Świątyni – ludzie, którzy sprzeciwiają się schizmie powstałej po utworzeniu Kościoła

Charisu i wyzwaniu rzuconemu wielkiemu wikariuszowi oraz całemu wikariatowi Kościoła Boga Oczekiwanego. Część lojalistów należy wszakże do ruchu reformistowskiego (patrz niżej), choć potępia schizmę.

Lustrzane bliźnięta – rodzime określenie na bliźnięta syjamskie na Schronieniu.

Łaska Pasquale – eutanazja. Uzdrowiciele z zakonu Pasquale zgodnie ze złożonymi ślubami mają prawo zakończyć życie osoby śmiertelnie chorej, jednakże może się to stać wyłącznie pod ściśle określonymi warunkami.

Łosoś – rodzimy dla Schronienia gatunek ryby, która zyskała swoją nazwę stąd, że jej cykl rozrodczy jest identyczny jak cykl rozrodczy ziemskiego łososia. Jednakże z wyglądu to raczej węgorz niż łosoś.

Łzy Langhorne'a – cztery jeziora w Górach Światła, przed zniszczeniem Rify Armagedonu zwane Radością Langhorne'a.

Małpojaszczur – większy i potężniejszy od jaszczuromałpki. W odróżnieniu od małych krewniaków bytuje wyłącznie na ziemi, choć umie wspinać się także na drzewa, które są w stanie utrzymać jego ciężar. Gatunki górskie ważą od dziewięciuset do nawet tysiąca funtów, natomiast nizinne zaledwie sto do stu pięćdziesięciu funtów. Małpojaszczury żyją w stadach liczących od dwudziestu do trzydziestu dorosłych osobników. W odróżnieniu od jaszczuromałpek zazwyczaj nie uciekają w obliczu zagrożenia, tylko atakują potencjalnych napastników. Znane są też przypadki, gdy dwa lub trzy stada łączyły siły, by rozprawić się ze szczególnie groźnymi drapieżnikami. Dlatego nawet smoki starają się ich unikać.

Małżoróg – jadowity owad o twardym, zwijanym pancerzu. Zwinięty w kulkę praktycznie nie do odróżnienia od owocu płaskorzecha.

Marmur De Castro – gęsto żyłkowany, różowy marmur z gór De Castro w północnym Harchongu, ceniony zwłaszcza przez świątkarzy.

Maskojaszczur – rodzimy odpowiednik kameleona na Schronieniu. Są to drapieżcy długości około dwóch stóp, którzy zwabiają ofiarę zmianą ubarwienia, po czym atakują.

Mech fleminga (nazwa zazwyczaj pisana małą literą) – gatunek rodzimego mchu występującego tylko na Schronieniu, który po genetycznych zmianach wprowadzonych przez zespół terraformujący Shan-wei zyskał naturalne właściwości antybiotyczne. Stosowany powszechnie w medycynie Schronienia.

Miecz Rakurai – specjalnie wyszkoleni wysłannicy Inkwizycji ekspediowani na tyły wroga. Działają w pojedynkę, identycznie jak klasyczni Rakurai. Nie są to jednak samobójcy ani zwykli terroryści. To szpiedzy i wywiadowcy, których zadaniem jest dokonać jak największych

szkód, podczas gdy ich główną misją jest zbieranie informacji.

Miecz Schuelera – okrutna akcja powstańcza zapoczątkowana przez Inkwizycję celem obalenia lorda protektora Greyghora Stohnara i unicestwienia Republiki Siddarmarku.

Mistrz Traynyr – postać z niezwykle popularnych na Schronieniu teatrzyków kukiełkowych. Mistrz Traynyr zazwyczaj odgrywał rolę konspiratora, którego knowania zawsze kończyły się niczym. Tym samym terminem określano także lalkarza, który poruszał wszystkimi marionetkami podczas przedstawienia.

Mniszek – znany na Schronieniu mniszek osiąga rozmiary dwukrotnie większe niż jego odpowiednik na Ziemi, jednakże z wyglądu jest niemal identyczny i tak samo też rozsiewa nasiona.

Moarte subita – ulubiona przez piechotę morską Federacji Terrańskiej sztuka walki, rozwinięta na kolonii o nazwie Walachia.

Morszczuk – rodzima ryba Schronienia. Podobnie jak inne tutaj występujące ma długie węzowate ciało, aczkolwiek jej głowa przypomina ziemskiego morszczuka lub sztokfisz, z haczykową szczęką.

Narwal – gatunek morskiego stworzenia, nazwany tak ze względu na podobieństwo do pewnego gatunku waleni ze Starej Ziemi. Tutejsze narwale osiągają około czterdziestu stóp długości i mają dwa przypominające rogi kły, które mogą osiągać nawet osiem stóp długości. Żyją w dużych stadach i nie należą do nieśmiałych. Dorosłe osobniki czasami atakują krakeny.

NEAT – Neuralno-Edukacyjno-Treningowa Matryca. Standardowa metoda nauki w Federacji Terrańskiej.

Niebieskoliść – drzewiasta, rosnąca w gęstych skupiskach roślina rodzima dla Schronienia bardzo podobna do kalmii szerokolistnej. W porze kwitnienia wydaje białe lub żółte kwiaty, a nazwę swą zawdzięcza sinoniebieskiemu odcieniowi liści.

Niedźwiedź klifowy – ssak rodzimy dla Schronienia, który nieco przypomina ziemskiego grizzly skrzyżowanego z szopem praczem. Cechuje go umaszczenie pyska typowe dla szopa pracza oraz zaokrąglone uszy, jakie miały ziemskie torbacze. Wszakże w przeciwieństwie do ziemskich niedźwiedzi niedźwiedź klifowy jest wyłącznie mięsożerny.

Nowy model – określenie innowacyjnych technologii (szczególnie wojskowych) wprowadzonych przez Charis i sojuszników. Patrz także: nowy model krakena.

Nowy model krakena – podstawowy model armaty Cesarskiej Marynarki Wojennej Charisu. Waży w przybliżeniu dwie i pół tony i strzela trzydziestofuntowymi pociskami o średnicy pięć i dziewięć dziesiątych cala. Mimo że waży nieco mniej od starego modelu krakena (patrz wyżej),

a jego pociski są o dwanaście procent lżejsze, ma większy zasięg i większą prędkość wylotową z powodu redukcji oporu, ulepszeniu prochu oraz trochę wydłużonej lufy.

Nynian Rychtair – tutejszy odpowiednik Heleny Trojańskiej, urodzona w Siddarmarku kobieta legendarnej urody, która poślubiła cesarza Harchongu.

Obserwator – używane przez członków Cesarskiej Armii Charisu przezwisko na własnych artylerzystów.

Oddział Wsparcia Artyleryjskiego – określenie na grupy oficerów i podoficerów Cesarskiej Armii Charisu szkolonych w celu koordynacji wsparcia artyleryjskiego. Żołnierz taki może zostać przydzielony na każdym poziomie dowodzenia, od dywizji poczynając, a na kompanii, a nawet plutonie kończąc. Ma on na wyposażeniu heliograf, flagi sygnałowe, gońców oraz czasami także wyverny pocztowe.

Ogarojaszczur – jeden z kilku gatunków bardzo szybkiej mięsożernej jaszczurki hodowanej i szkolonej do tropienia zdobyczy. Odmiany obejmują od ogarojaszczura Tiegelkampa, który jest nieco mniejszy od ziemskiego ogara, do ogarojaszczura z Szarych Gór, którego ciało osiąga długość ponad pięciu stóp i wagę prawie dwustu pięćdziesięciu funtów.

Ogniorośl – okazała, odporna, szybko rosnąca winorośl ze Schronienia, której pędy mogą osiągać średnicę do dwóch cali, a nawet więcej, roślina wyjątkowo zasobna w oleje. Uważana za niebezpieczną dla ludzkich siedlisk, szczególnie położonych w rejonie niskich opadów deszczu w lecie, ze względu na jej niezwykłą łatwopalność, jak również dlatego, że zawarte w niej oleje są trujące zarówno dla ludzi, jak i dla zwierząt lądowych. Wszakże zmiażdżone pędy i torebki nasienne ogniorośli są źródłem cennych olejów i z tego powodu jest to roślina uprawna.

Okrągły teatr – największy i najpiękniejszy teatr Tellesbergu. Wspierany przez Koronę, lecz całkowicie niezależny. Znany nie tylko z jakości dawanych przedstawień, ale i swobody, z jaką pokazywano na jego scenie satyry na charisjańskie społeczeństwo, przemysł, arystokrację, a nawet Kościół.

Okular kątowny – charisjańskie określenie na peryskop.

Olej z krakena – dawniej olej pozyskiwany z krakenów i wykorzystywany jako paliwo, głównie w lampach, szczególnie w domenach znajdujących się na wybrzeżach kontynentów i wyspach. Obecnie większość oleju przeznaczonego do lamp pozyskuje się zamiast z krakenów ze smoków morskich (patrz niżej) i w gruncie rzeczy taki olej pali się o wiele lepiej i znacznie jaśniejszym płomieniem od oleju z krakena, wydzielając przy tym znacznie mniej nieprzyjemnego zapachu. Mimo to jakość oleju w dalszym ciągu ocenia się wedle miar stosowanych wobec oleju z krakena.

Operacja Arka – ostatnia próba stworzenia kolonii pozaziemskiej podjęta przez Federację

Terrańską celem ratunku przed ksenofobicznymi Gbaba. W jej wyniku powstało Schronienie.

Oskrzydlenie ogniowe – rodzime określenie na manewr kawaleryjski przypominający ziemski karacol, w którym żołnierze jazdy otwierają z bliska ogień broni ręcznej przeciwko wrogiej piechocie. Stosowany również – w sprzyjających okolicznościach – przeciwko wrogiej jeździe.

Pajęczokrab – rodzima forma życia na Schronieniu, o wiele większa od znanych na Ziemi krabów. Zwierzę to nie jest jednak skorupiakiem, jego segmentowe, mocno opancerzone ciało przypomina raczej ślimaka. Odnóża uznawane są za niezwykle delikatny przysmak.

Pajęczoszczur – gatunek szkodnika występującego na Schronieniu, który pełni w tym ekosystemie rolę podobną do ziemskich szczurów. Jest sześcionogi, podobnie jak wszystkie ssaki Schronienia, i wygląda jak skrzyżowanie włochatej helodermy z owadem. Posiada wielostawowe odnóża, które sięgają wyżej niż jego ciało. Szkodnik ten jest znany z narowistego usposobienia, ale zarazem niezbyt odważny. Dorosłe osobniki największych gatunków mogą osiągać długość ciała rzędu dwóch stóp, przy czym sam ogon może mierzyć tyle samo, jednakże średnia wielkość tych zwierząt to na ogół dwie, trzy stopy razem z ogonem.

Persymona – rodzimy owoc Schronienia, w smaku niesłychanie cierpki i stosunkowo gruboskórny, z wyglądu przypominający nieco ziemskie figi.

Pianowiec – rodzimy na Schronieniu odpowiednik sepiolitu (pianki morskiej). Ten jasny w kolorze, miękki kamień ma ten sam źródłosłów co pianka morska, jako że sporadycznie jest znajdowany na powierzchni Zatoki Tansharu. Przede wszystkim używany do produkcji kadzidełek na potrzeby Kościoła Boga Oczekiwanego oraz fajek tytoniowych i cygarniczek.

Piaskowe czerwie – obrzydliwi mięsożercy, wyglądający jak sześcionogie ślimaki, które żerują na plażach podczas przyływu. Piaskowe czerwie zazwyczaj nie gustują w żywych ofiarach, aczkolwiek nie pogardzą też niewielkimi stworzeniami, które znajdują się w ich zasięgu. Ich naturalna barwa pozwala im się idealnie wtapiać w piaszczyste tło plaży, w dodatku zakopują się głęboko, pozostawiając na powierzchni jedynie koniec odwłoka.

Pięciodzień – odpowiednik ziemskiego tygodnia na Schronieniu. Składa się on tylko z pięciu dni: od poniedziałku do piątku.

Pięść Kau-yunga – nieoficjalna nazwa nadana organizacji Ster i jej członkom przez zwalczających ją inkwizytorów.

Pismo – najważniejsza święta księga Kościoła Boga Oczekiwanego.

Płaskorzech – bocznie spłaszczony orzech o grubej skorupie. Rosną na drzewach liściastych o dużych czteroklapowych liściach, osiągających wysokość do trzydziestu stóp. Czarny

plaskorzech został zmodyfikowany genetycznie tak, aby był jadalny dla ludzi. Czerwony plaskorzech jest niejadalny, a jego spożycie grozi zatruciem. Czarny plaskorzech jest znany z wysokiej zawartości białka.

Podnózki Shan-wei – nadana przez Charisjan nazwa min przeciwpiechotnych, które zazwyczaj zakopuje się lub porzuca na powierzchni i detonuje za pomocą zapalników naciskowych. Patrz także: Kau-yungi.

Podwójny okular – charisjańskie określenie na lornetkę.

Poławiacze bomb – charisjańska nazwa na trałowce używana przez marynarzy Cesarskiej Floty Charisu.

Powstanie – nazwa rebelii wymierzonej w lorda protektora Greyghora i konstytucję Republiki Siddarmarku przez lojalistów Świątyni.

Półtuńczyk – jeden z nielicznych rodzimych gatunków ryb Schronienia. Osiąga długość od trzech stóp do nieco ponad pięciu stóp.

Prawiedąb – drzewo rosnące na Schronieniu, przypominające nieco ziemskie dęby. Spotykane głównie w strefie tropikalnej. Charakteryzuje je chropawa kora, wiecznie zielona okrywa liści oraz nasiona podobne do szyszek.

Prawiepalma – drzewo tropikalne występujące na Schronieniu i przypominające ziemską palmę królewską, z tą różnicą, że jego wysokość może sięgać sześćdziesięciu stóp. Wydaje podobne do śliwek, kwaskowe owoce, których średnica wynosi do pięciu cali.

Prawiepalmy owoc – podobny do ziemskiej śliwki owoc prawiepalmy. Spożywany w stanie surowym lub po ugotowaniu, aczkolwiek ceniony głównie dla wyrabianego z niego wina.

Prawietopola – rodzimy gatunek drzewa na Schronieniu, o bardzo szybkim, strzelistym przyroście. Występuje głównie w strefie umiarkowanej. Osiąga wysokość około dziewięćdziesięciu stóp.

Rada Wikariuszy – odpowiednik Kolegium Kardynalskiego w Kościele Boga Oczekiwanego.

Rakurai (1) – dosłownie „błyskawica”. Tym słowem Pismo określa broń kinetyczną, za pomocą której zniszczono Enklawę Aleksandria.

Rakurai (2) – organizacja skupiająca działających w pojedynkę zamachowców samobójców na zlecenie Wyllyma Rayna i Zhaspahra Clyntahna. Zasada bezpieczeństwa wymaga, aby nawet Clyntahn nie znał nazwisk jej członków oraz celów, przeciwko którym wysłała ich Rayno.

Reformiści – ludzie popierający reformę Kościoła Boga Oczekiwanego. Większość reformistów mieszkających poza Charisem wciąż postrzega siebie jako lojalistów Świątyni.

Ręka Kau-yunga – nazwa przypisana przez agentów Inkwizycji Antygrupie Czworoga, którą w Syjonie założyła Aivah Pahrsahn/Ahnzhelyka Phonda.

Ropucha oślizgła – ziemnowodny padlinożerca o ciele długości do siedmiu cali. Jego skórę pokrywa gęsta wydzielina, stąd nazwa. Jad jest toksyczny, ale ukąszenie rzadko kończy się śmiercią.

Ruch reformistowski – ruch w łonie Kościoła Boga Oczekiwanego, jego celem jest naprawa wypaczeń, które narastały w wikariacie przez ostatnie sto pięćdziesiąt lat. Przed pojawieniem się Kościoła Charisu ruch ten działał w ukryciu, z czasem jednak wyszedł na światło dzienne, zyskując coraz większe poparcie społeczne.

Rycerze Ziem Świątynnych – urzędowy tytuł prałatów zarządzających Ziemiami Świątynnymi. Z technicznego punktu widzenia Rycerze Ziem Świątynnych są ich świeckimi władcami, należącymi jednocześnie do hierarchii kościelnej. Zgodnie z prawem kanonicznym nic, co uczynią jako Rycerze Ziem Świątynnych, nie może być kojarzone z oficjalnymi działaniami Kościoła Matki. Świątynia wykorzystywała tę fikcję prawną już niejednokrotnie w swojej historii.

Sahndraha pukacz – używane przez saperów na Schronieniu slangowe określenie na ładunki wybuchowe, miejscowy odpowiednik torped Bangalore.

SAPK-i – Samonaprowadzająca Autonomiczna Platforma Komunikacyjno-zwiadowcza.

Seijin – dosł. mędrzec, święty mąż. Legendarni wojownicy i nauczyciele, którzy w powszechnym przekonaniu dostąpili *anshinritsumei*. Wielu wykształconych mieszkańców Schronienia uważa *seijinów* za istoty mityczne.

Składnik D – charisjańskie określenie na TNT.

Skoczek moczarowy – średniej wielkości (pięćdziesiąt do sześćdziesięciu funtów wagi) płaz rodzimy dla Schronienia. Drapieżny, jego ofiarami padają różne wodne stworzenia. Przypomina sześcionogiego smoka z Komodo, ale w odróżnieniu od niego ma na głowie pióropusz, który rozkłada, gdy czuje się zagrożony albo gdy broni terytorium. W tych samych okolicznościach nadyma worki powietrzne u szyi. Agresywny i humorzysty.

Skrzydłaci Wojownicy – tradycyjny tytuł zaprawionych w boju wojowników górskich klanów z Kruczych Ziem.

Smoczek – ten rodzimy dla Schronienia gatunek w istocie nie jest spokrewniony z żadnymi smokami, tylko stanowi miejscowy odpowiednik ziemskiego żółwia morskiego. Choć jest ciepłokrwisty, kształtem przypomina ziemskiego żółwia skórzastego, aczkolwiek jest tylko w połowie tak duży. Dojrzały osobnik płci męskiej osiąga maksymalnie długość dziewięciu stóp.

Nikt na Schronieniu nie wie, czemu zawdzięcza swoją nazwę.

Smok – największa lądowa forma życia na Schronieniu. Wyróżniamy dwa gatunki smoków: roślinożernego smoka zwykłego (zazwyczaj dzielonego na smoka leśnego i smoka górskiego) oraz mięsożernego smoka wielkiego. Patrz także: Smok wielki.

Smok górski – nieco mniejsze od ziemskiego słońca zwierzę pociągowe, znane na całym Schronieniu. Mimo wielkich rozmiarów zdolne do szybkich zrywów. Roślinożerca.

Smok leśny – nazwa nadawana gatunkom smoków żyjących na nizinach. Osiąga znacznie większe rozmiary niż smok górski. Jego szara odmiana stanowi największe zwierzę roślinożerne na Schronieniu.

Smok morski – odpowiednik ziemskiego wieloryba na Schronieniu. Istnieje kilka gatunków smoków morskich, z których największy osiąga rozmiary do pięćdziesięciu stóp długości. Podobnie jak wieloryby, smoki morskie są ssakami. Przed niskimi temperaturami wody chroni je gruba warstwa tłuszczu. Zwierzęta te żywią się krylem. Rozmnażają się w znacznie szybszym tempie niż wieloryby, stanowią główne źródło pożywienia waleniszczycieli oraz co większych, głębinowych krakenów. Większość gatunków wytwarza tutejszy odpowiednik olbrotu. Z dorodnego osobnika można pozyskać nawet czterysta galonów oleju.

Smok wielki – największy i najniebezpieczniejszy drapieżca na Schronieniu. Niespokrewniony ani ze smokiem górskim, ani ze smokiem leśnym pomimo pozornych zewnętrznych podobieństw. W istocie jest to gigantyczny krewny jaszczurodrapa, przy czym ma wydłużone szczęki i ostre zębiska. Wyposażony w sześć nóg, podobnie jak jaszczurodrap, ale w odróżnieniu od niego nie ma futra, tylko grubą, doskonale izolującą skórę.

Smoki Hairathy – zawodowa drużyna baseballowa z Hairathy. Tradycyjni rywale Krakenów z Tellesbergu w Pucharze Króla.

Stalokset – roślina Schronienia przypominająca mocno rozgałęzione bambusy. Jej strączki zawierają niezwykle delikatne nasionka przytwierdzone bardzo cienkimi, ale mocnymi nićmi. Ziarenka te są bardzo trudne do usunięcia gołymi rękami, ale z ich nici można tkać materiały o wiele wytrzymalsze od jedwabiowełny. Można z nich także splatać niezwykle wytrzymałe i odporne na rozciąganie liny. Co więcej, rośliny te rosną równie szybko jak bambus, a ilość zbieranej z jednego akra nici jest wyższa o siedemdziesiąt procent niż w przypadku ziemskiej bawełny.

Ster – nazwa „magicznego miecza” *seijina* Kohdy’ego, a zarazem nazwa nadana przez Nynian Rychtair tajnej organizacji utworzonej przy pomocy sióstr Zakonu Kohdy’ego.

Strupokor – bogate w żywicę liściaste drzewo o bardzo gładkiej szarobrązowej korze. Swoją nazwę wzięło od tego, że w miejscu zranienia wytwarza „strup” z żywicy, która wypływa obficie

z każdego skaleczenia i natychmiast twardnieje w przypominające strupy twarde, czerwobrazowe płyty. Drewno przypomina brezyłkę ciernistą ze Starej Ziemi, a żywicę stosuje się do produkcji czerwonego barwnika.

Surgoi kasai – dosłownie „wielki (okropny) pożar”. Prawdziwy duch Boga, tchnienie Boskiego ognia, które wytrzymać może jedynie anioł albo archanioł.

Szarfa – tradycyjne nakrycie głowy noszone w królestwie Tarota, czyli specjalnie zaprojektowana i uszyta bandana zakładana na włosy.

Szerszeń – żądliwy, drapieżny odpowiednik ziemskiego owada rodzimy dla Schronienia. Ma dwa cale długości i gnieździ się w norach ziemnych. Jego jad jest wysoce toksyczny dla miejscowych form życia, jednakże w większości niegroźny dla ziemskich stworzeń (aczkolwiek dziesięć procent ludzi jest na niego uczulonych). Szerszenie są bardzo agresywne. Bronią swego terytorium. Instynktownie atakują w pierwszej kolejności oczy ofiary.

Szponi konar – rodzime, wiecznie zielone drzewo Schronienia. Ma długie cienkie igły, a jego gałęzie dodatkowo są pokryte półcalowymi cierniami. Dorasta do wysokości siedemdziesięciu stóp. Konary dojrzałych osobników zaczynają się dopiero dwadzieścia stóp nad ziemią.

Szponi konar północny – odmiana rodzimego dla Schronienia, wiecznie zielonego drzewa występująca w rejonach arktycznych i subarktycznych. Jego sylwetka przypomina ziemską choinkę, z ostro zakończonymi konarami i gałęziami, a jego nazwa pochodzi od przypominających szpony igieł.

Świadectwa – z wielu dokumentów, jakimi posługuje się Kościół Boga Oczekiwanego, te zawierają relacje naocznych świadków spisane przez kilka pierwszych pokoleń ludzi zamieszkujących Schronienie. Nie mają one jednak podobnego statusu jak chrześcijańskie ewangelie, ponieważ nie zawierają żadnych nauk ani inspiracji przekazywanych przez Boga. Ich zadaniem jest unaocznienie historycznej zgodności nauk Kościoła z faktami, które gromadnie spisywali naoczni świadkowie owych wydarzeń.

Świątynia – kompleks wybudowany przez „archaniołów” z wykorzystaniem terrańskiej technologii, służący za główną siedzibę hierarchów Kościoła Boga Oczekiwanego. Można w nim znaleźć wiele „magicznych” rozwiązań, które przypominają o potędze twórców.

Świeca Shan-wei (1) – celowo wyzywająca nazwa nadana przez Charisjan zapalkom, które można zapalić nie tylko o draskę, ale dosłownie o cokolwiek.

Świeca Shan-wei (2) – nazwa nadana przez lojalistów Świątyni oznaczająca flary podwieszane na spadochronach wynalezione przez Charisjan.

Świerszcz – tutejszy odpowiednik ziemskiego owada o tej nazwie, dorasta do długości

dziewięciu cali i jest mięsożerny. Na szczęście występuje mniej licznie niż świerszcze na Ziemi.

Świetliki – niewielkie bioluminescencyjne skrzydlate jaszczurki. Trzykrotnie większe od ziemskich odpowiedników, odgrywają taką samą rolę w ekosystemie Schronienia.

Święta Evehlain – patronka klasztoru Świętej Evehlain w Tellesbergu, żona Świętego Zherneau.

Święty Kohdy – *seijin*, który walczył po stronie Kościoła Boga Oczekiwanego podczas Wojny z Upadłymi. Zginął na krótko przed końcem tej wojny, po czym został odarty ze statusu świętego i wymazany z kościelnych kart wzmiankujących o *seijinach*.

Święty Zherneau – patron klasztoru Świętego Zherneau w Tellesbergu, mąż Świętej Evehlain.

Trawojaszczur – występujący na Schronieniu roślinożerca, nieco większy od owczarka niemieckiego ze Starej Ziemi, przez wieśniaków uważany za szkodnika. Istnieje kilka jego podgatunków, które rozprzestrzeniły się na całej planecie z wyjątkiem rejonów arktycznych.

Tytanodąb – bardzo wolno rosnące i długowieczne drzewo liściaste występujące na Schronieniu, używane do wyrobu mebli, o wysokości dochodzącej do stu jardów.

Upadli – archaniołowie, aniołowie i śmiertelnicy, którzy podążyli za Shan-wei, buntując się przeciw Bogu i Jego prawowitemu następcy Langhorne'owi. Terminem tym określa się wszystkich wyznawców Shan-wei, aczkolwiek najczęściej stosuje się go dla określenia archaniołów i aniołów, którzy poszli za Panią Kłamstwa z własnej woli, nie zaś zostali do tego zmuszeni jak zwykli ludzie.

Uzupełnienia – spisane oświadczenia i obserwacje wielkich wikariuszy i świętych Kościoła Boga Oczekiwanego. Zawierają głęboko uduchowione i inspirujące nauki, ale jako dzieło zwykłych śmiertelników nie są stawiane na równi z treścią Pisma.

Waleniszczyciel – najbardziej niebezpieczny drapieźnik żyjący na Schronieniu, na szczęście bardzo rzadko interesujący się tak niewielką zdobyczą, jaką jest dla niego człowiek. Waleniszczyciele osiągają długość niemal stu stóp i są wyłącznie mięsożerne. Osobniki tego gatunku potrzebują wielkich przestrzeni do życia, więc nie zbliżają się do wybrzeży, dzięki czemu spotkania z nimi należą do rzadkości. Stworzenia te jedzą wszystko, nie wyłączając największych krakenów. Znane są też niezwykle rzadkie przypadki, gdy atakowały frachtowce lub galery wojenne.

Wąż miążdżyciel – ogromny drapieźnik żyjący na Schronieniu, podobny do boa dusiciela. Ciepłokrwisty, osiąga długość do sześćdziesięciu stóp. Dobrze przystosowany do chłodniejszego niż na Starej Ziemi klimatu Schronienia. Jego metodą polowania jest zasadzka, a w sytuacjach krytycznych salwuje się ucieczką, zamiast walczyć. Bywa, że tchórzy przed stosunkowo małą

zwierzyną. Jednakże zapędzony w kozi róg potrafi być niebezpieczny. Chodzą słuchy, że zdarzało mu się upolować młodocianego jaszczurodrapa.

Wełna mineralna – tutejszy odpowiednik chryzotyłu (białego azbestu).

Wewnętrzny krąg – charisjańscy sprzymierzeńcy Merlina Athrawesa, którzy poznali prawdę na temat Kościoła Boga Oczekiwanego oraz Federacji Terrańskiej.

Widelcogon – jedna z nielicznych ryb Schronienia, odpowiednik ziemskiego śledzia.

Wiertacz – rodzaj żyjącego na Schronieniu skorupiaka, który przyczepia się do dna okrętu albo drewna spławianego do portów, wwiercając się w nie na pewną głębokość. Istnieje kilka rodzajów wiertaczy, z których najgroźniejsze potrafią wygryźć spore otwory w drewnie, do którego się przyczepia, ponieważ nieustająco wnikają w głąb zaatakowanej przez siebie drewnianej konstrukcji. Te najmniej groźne żywią się tylko zewnętrzną warstwą konstrukcji, byle tylko znaleźć na niej punkt przyczepienia, po czym rozrastają się na podobieństwo koralu, tworząc swego rodzaju warstwę ochronną. Wiertacze są największym oprócz zbutwienia zagrożeniem dla kadłubów okrętowych.

Wierzba ogniowa – wiecznie zielone drzewo rodzime dla Schronienia, a zwłaszcza strefy umiarkowanej i subarktycznej Wschodniego Haven. Dorasta na ogół do wysokości pięciu metrów i ma długie, wąskie liście. Dobrze się czuje w środowisku wilgotnym i wydaje owoce przypominające jagody, których kolor przybiera wszystkie odcienie od jaskrawopomarańczowego do szkarłatnego.

Wilk (1) – rodzimy dla Schronienia drapieżnik, który żyje i poluje w stadzie oraz wykazuje liczne cechy ziemskiego wilka. Choć ciepłokrwisty, jest jajorodny i większy od wilka znanego na Starej Ziemi. Dorosłe męskie osobniki osiągają masę dwustu dwudziestu pięciu funtów.

Wilk (2) – nazwa artylerii pokładowej o kalibrze mniejszym niż dwa cale i jednofuntowym (lub lżejszym) pocisku. To broń głównie przeciwpiechotna, ale może też być stosowana przeciwko łodziom i innym mniejszym jednostkom.

Wilk obrotowy – lekka armata, pierwotnie zamierzona jako broń zamontowana na obrotowym wisięniku. Patrz także: wilk.

Wojna Shan-wei – zaczerpnięte z Pisma określenie na walkę pomiędzy stronnikami Erica Langhorne'a i zwolennikami Pei Shan-wei dotyczącą przyszłości ludzi na Schronieniu. W ogólnym zarysie przypomina znaną z ziemskiej Biblii walkę Lucyfera z aniołami wiernymi Bogu, przy czym rolę Lucyfera objęła Shan-wei. Patrz także: Wojna z Upadłymi.

Wojna z Upadłymi – okres po upadku Shan-wei pomiędzy zniszczeniem Enklawy Aleksandria i przywróceniem władzy Kościoła.

Wścieklizna – właściwa dla Schronienia choroba, jeśli chodzi o objawy, bardzo podobna do jej ziemskiego odpowiednika o tej samej nazwie. Niegroźna dla zwierząt przywiezionych ze Starej Ziemi. (Ziemska wścieklizna nie została przywleczona na Schronienie).

Wymiatacze Shan-wei – używana przez Charisjan nazwa rodzimej wersji miny typu Claymore. Tylne płyta miny miała rozmiary osiemnaście na trzydzieści cali i była pokryta pięciuset siedemdziesięcioma sześcioma kulami kalibru .50, które raziły cele w polu o kształcie stożka. Patrz także: Kau-yungi.

Wyverna bagienna – jedna z wielu gatunków występujących na Schronieniu wyvern, której miejscem występowania są słonowodne i słodkowodne bagna i moczary.

Wyverna długodzioba – odpowiednik ziemskiego pelikana.

Wyverna lodowa – nielotna wodna odmiana wyverny przypominająca ziemskiego pingwina. Odrębne gatunki zamieszkują zarówno północne, jak i południowe koło podbiegunowe Schronienia.

Wyverna pocztowa – odmiana rodzimej wyverny poddana modyfikacji genetycznej przez Pei Shan-wei i jej zespół terraformujący, ażeby stworzyć odpowiednik ziemskiego gołębia pocztowego. Wykorzystuje się ją do dostarczania wiadomości na krótkich dystansach, błyskawicznie, oraz na dłuższych, co zabiera więcej czasu.

Wyverna szaroroga – nocny drapieżnik żyjący na Schronieniu. Można by go porównać do ziemskiej sowy.

Wyvernowisko – miejsce wylęgu oswojonych wyvern.

Zaćmicia – rodzima nazwa na chorobę Alzheimera na Schronieniu.

Zakazy Jwo-jeng – spis technologii dozwolonych przez Kościół Boga Oczekiwanego. W ogólnym zarysie Zakazy zabraniają korzystania z urządzeń, które nie są napędzane siłą wiatru, wody albo ludzkich mięśni. Zwyczajowo Zakazy podlegają ocenom zakonu Schuelera, należącego do najbardziej konserwatywnych zgromadzeń Schronienia, aczkolwiek znane są przypadki, kiedy to skorumpowani intendenci wydali niezgodny z regułą werdykt w zamian za rekompensatę pieniężną.

Zakon Świętego Kohdy'ego – zgromadzenie zakonne stworzone przez kobiety w celu upamiętnienia Świętego Kohdy'ego. Ostatni „aniołowie” użyli broni kinetycznej, aby unicestwić ich klasztor i grobowiec Świętego Kohdy'ego, wkrótce po tym jak zmarli ostatni Adamowie i Ewy.

Zapalacz – rodzima nazwa na zapalniczkę na Schronieniu.

Zapalacz Kau-yunga – tak saperzy Cesarskiej Armii Charisu nazywają miotacze ognia.

Zgrupowanie – odpowiednik armijnego korpusu w Armii Boga i Armii Pana Wszechmogącego i Archaniołów, nazywany tak z tego powodu, że Inkwizycji nie podobało się słowo „korpus”, kojarzące się z heretykami.

Złocista jagoda – drzewo osiągające wysokość około dziesięciu stóp, występujące w niemal każdym klimacie Schronienia. Napar z jego liści to znany specyfik na chorobę lokomocyjną i mdłości.

Żuk **rakurai** – występujący na Schronieniu owad podobny do ziemskiego świetlika, jednakże trzy razy od niego większy.

Informacja dotycząca miar czasu na Schronieniu

Doba na Schronieniu liczy dwadzieścia sześć godzin i trzydzieści jeden minut. Rok Schronienia to 301,32 dnia, czyli 0,91 standardowego roku ziemskiego. Planeta ma jeden spory księżyc, który obiega ją w 27,6 lokalnego dnia, zatem miesiąc księżycowy trwa tutaj mniej więcej 28 dni.

Doba Schronienia dzieli się na 26 sześćdziesięciminutowych godzin oraz trzydziestojednominutowy okres zwany „czuwaniem Langhorne’a”.

Rok Schronienia dzieli się na dziesięć miesięcy: luty, marzec, kwiecień, maj, czerwiec, lipiec, sierpień, wrzesień, październik i listopad. Każdy z nich dzielony jest na sześć pięciodniowych tygodni, zwanych tutaj „pięciodniami”. Mają one następujące nazwy: poniedziałek, wtorek, środa, czwartek i piątek. Dodatkowy dzień roku przypada w samym środku lipca, ale nie ma przydzielonego numeru. To tak zwany „dzień Boga” i zarazem najważniejsze święto Kościoła Boga Oczekiwanego. Z takiego podziału wynika, że każdy pierwszy dzień miesiąca musi wypadać w poniedziałek, a ostatnim jest piątek. Co trzy lata występuje tak zwany rok przestępny, który trwa o jeden dzień dłużej – zwany „memoriałem Langhorne’a” i umieszczany w środku lutego (także bez przydzielonego numeru). To oznacza, że statystyczny miesiąc Schronienia liczy 795 godzin, w odróżnieniu od 720, jakie ma 30-dniowy miesiąc na Ziemi.

Zrównanie dnia z nocą wypada na Schronieniu 23 kwietnia i 22 września, natomiast przesilenie słoneczne 7 lipca i 8 lutego.

Kościół Boga Oczekiwanego

ARCHANIOŁOWIE

ARCHANIOŁ	ZAKRES	SYMBOL
Langhorne	Prawo i życie	Berło
Bédard	Mądrość i wiedza	Lampka oliwna
Pasquale	Uzdrowianie i medycyna	Laska Eskulapa
Sondheim	Rolnictwo i uprawy	Snopek
Truscott	Hodowla zwierząt	Koń
Schueler	Sprawiedliwość	Miecz
Jwo-jeng	Dopuszczalna technika	Płomień
Chihiro (1)	Historia	Pióro
Chihiro (2)	Opieka	Pióro skrzyżowane z mieczem
Andropov	Szczęście	Para kostek do gry
Hastings	Geografia	Cyrkiel

UPADŁY ARCHANIOŁ	ZAKRES
Shan-wei	Matka zła/nadmiernej ambicji
Kau-yung	Zniszczenie
Proctor	Pokusa/zakazana wiedza
Sullivan	Obżarstwo
Ascher	Kłamstwa
Grimaldi	Zarazy
Stavraki	Chciwość

KOŚCIÓŁ BOGA OCZEKIWANEGO

RANGA	BARWA	PIERŚCIEN
Wielki wikariusz	granat	szafiry i rubiny

Wikariusz	pomarańcz	szafiry
Arcybiskup	biel i pomarańcz	rubiny
Biskup egzekutor	biel	rubiny
Biskup	biel	rubiny
Biskup pomocniczy	zielen i biel	rubiny
Wyższy kapłan	zielen	złoto (bez kamieni)
Kapłan	brąz	–
Niższy kapłan	brąz	–
Zakrystian	brąz	–

Duchowni nienależący do żadnego z zakonów noszą proste sutanny w barwach odpowiadających ich randze kościelnej. Sutanna arcybiskupa pomocniczego jest zielona i ma białą cienką lamówkę. Sutanna arcybiskupa jest biała i ma pomarańczową lamówkę. Duchowni należący do poszczególnych zakonów (patrz niżej) noszą na co dzień habity w barwach swojego zakonu, ale po prawej stronie piersi mają przyczepiony symbol swego zakonu w barwach odpowiadających ich kościelnej randze. Strój oficjalny odwraca tę zasadę, to znaczy strój jest w barwach odpowiadających randze kościelnej, natomiast symbol zakonu występuje w barwach zakonu. Wszyscy członkowie duchowieństwa zwyczajowo noszą bądź to sutanny, bądź to habity. Nakryciem głowy jest kapłański czepiec z trzema rogami, bardzo podobny do osiemnastowiecznych trójrożnych męskich kapeluszy. Czepiec ma czarną barwę w wypadku wszystkich duchownych o randze niższej od wikariusza. Kapłani i niżsi kapłani noszą przy czepcu brązowe kokardy. Biskupi pomocniczy mają kokardy zielone. Biskupi i biskupi egzekutorzy – białe. Kokarda arcybiskupa jest również biała, ale dodatkowo ma przyczepioną szeroką, rozdwojoną na końcu pomarańczową tasiemkę. Czepiec wikariusza jest pomarańczowy i pozbawiony ozdób w postaci kokard czy tasiemek. Natomiast czepiec wielkiego wikariusza poraża bielą i jaskrawopomarańczową kokardą.

Wszyscy duchowni Kościoła Boga Oczekiwanego są zgrupowani przy jednym bądź większej liczbie zakonów, aczkolwiek nie każdy kapłan jest członkiem jakiegoś zakonu – czy też raczej należałoby powiedzieć, że nie każdy kapłan jest pełnoprawnym członkiem jakiegoś zakonu. Przy wyświęceniu na księdza następuje automatyczne przypisanie wyświęcanego do zakonu, którego członkiem jest wyświęcający go biskup, w związku z czym – przynajmniej w teorii – odtąd jest winien posłuszeństwo danemu zakonowi. Za pełnoprawnego członka zakonu uważany jest tylko ten kapłan, który złożył odpowiednie śluby zakonne. Ta sama zasada dotyczy kobiet, które mogą należeć do zgromadzeń klasztornych siostrzanych względem męskich zakonów. (Uwaga: na Schronieniu nie ma kobiet księży, chociaż członkinie klasztorów mogą dochodzić do wysokich

stanowisk kościelnych w ramach zakonu). Wyłącznie pełnoprawni członkowie i pełnoprawne członkinie zakonu docierają do najwyższych funkcji zakonnych i wyłącznie członkowie jednego z zakonów mogą mieć nadzieję na wyniesienie do rangi wikariusza.

ZAKONY KOŚCIOŁA BOGA OCZEKIWANEGO

W PORZĄDKU WAŻNOŚCI I ZNACZENIA:

Zakon Schuelera – głównie odpowiedzialny za doktrynę i teologię. Wielki inkwizytor, automatycznie będący członkiem Rady Wikariuszy, zarazem jest głową tego zakonu. Wzrost wpływów schuelerytów w Kościele Boga Oczekiwanego rozpoczął się przed dwustu laty i od tamtej pory trwa nieprzerwanie. Zakon Schuelera obecnie stanowi największą siłę w obrębie Kościoła Matki. Barwą zakonu jest purpura, a jego symbolem – miecz.

Zakon Langhorne'a – teoretycznie starszy od zakonu Schuelera, jednakże zdążył utracić wpływy na wszystkich polach. Z tego zakonu wywodzą się kościelni prawnicy, a że prawo kościelne ma na Schronieniu przewagę nad prawem świeckim, praktycznie każdy prawnik (i sędzia) na planecie bądź to wywodzi się z zakonu Schuelera, bądź to zyskał jego błogosławieństwo. Swego czasu stanowiło to o potęgę zakonu Langhorne'a, jednakże później schueleryci zepchnęli członków zakonu Langhorne'a do funkcji wyłącznie administracyjnych. Przełożony zakonu Langhorne'a utracił prawo do zasiadania w Radzie Wikariuszy przed wieloma pokoleniami (w Roku Pańskim 810). Jak łatwo się domyślić, między oboma zakonami występują tarcia. Barwą zakonu jest czerń, a jego symbolem – berło.

Zakon Bédard – na przestrzeni wieków zmieniał się najbardziej ze wszystkich zakonów. Pierwotnie Inkwizycja wywodziła się z zakonu Bédard, lecz potem przejęli ją schueleryci, gdyż członkowie zakonu Bédard zgodnie z wolą i reformami Świętego Greyghora skoncentrowali się na nauczaniu. Obecnie wśród członków zakonu Bédard jest najwięcej filozofów i nauczycieli zarówno stopnia podstawowego, jak i wyższego. Poza tym jego członkowie nadal często zajmują się opieką zdrowia psychicznego i terapią, jak również opieką w ogóle – zwłaszcza okazywaną biednym i wykluczonym. Co ciekawe, zapewne z powodu faktu, że to ten zakon przyczynił się najbardziej do powstania Kościoła Boga Oczekiwanego, znaczna część reformistów opuszcza obecnie jego szeregi. Podobnie jak wypadku zakonu Schuelera, przełożony zakonu Bédard także ma zagwarantowane miejsce w Radzie Wikariuszy. Barwą zakonu jest biel, a symbolem – lampka oliwna.

Zakon Chihiro – jest wyjątkowy o tyle, że spełnia dwie różne funkcje i jest podzielony na właściwie dwa odrębne zakony. Zakon Pióra odpowiada za szkolenie i nadzorowanie kościelnych skrybów, historyków i urzędników. Ma pod swoją pieczę kościelne archiwa oraz wszystkie oficjalne dokumenty. Zakon Miecza natomiast dostarcza oficerów straży Świątyni, jak również większości oddziałów świeckich na terenie Ziemi Świątynnych – w tym lądowych

i morskich. Zakon Miecza współpracuje ściśle z zakonem Schuelera oraz z Inkwizycją, a jego przełożony zawsze zasiada w Radzie Wikariuszy jako dowódca wojsk Kościoła Boga Oczekiwanego i praktycznie pełni funkcję ministra wojny. Barwą zakonu jest błękit, a symbolem – pióro. W wypadku drugiego odłamu tego zakonu symbol pióra krzyżuje się z mieczem umieszczonym w pochwie.

Zakon Pasquale – to kolejny liczący się zakon w łonie Kościoła Boga Oczekiwanego. Podobnie jak zakon Bédard ma za zadanie nieść kaganek oświaty, lecz dodatkowo specjalizuje się w zakresie uzdrawiania i medycyny. Członkowie tego zakonu są najczęściej chirurgami. Niestety z powodu oficjalnej nauki Kościoła Boga Oczekiwanego pozostają ślepi na fakt, że większość chorób wywołują niewidoczne gołym okiem mikroby. Wszyscy licencjonowani uzdrowiciele na Schronieniu muszą mieć błogosławieństwo zakonu Pasquale, który bardzo angażuje się w kwestię higieny publicznej oraz – już nie tak bardzo – w niesienie pomocy biednym i wykluczonym. Większość szpitali na Schronieniu w mniejszym lub większym stopniu jest zależna od zakonu Pasquale. Przełożony tego zakonu zazwyczaj, aczkolwiek nie zawsze, zasiada w Radzie Wikariuszy. Barwą zakonu jest zieleń, a symbolem – laska Eskulapa.

Zakon Sondheima. Zakon Truscotta – te dwa zakony są nierzadko traktowane jako zakony „braterskie” i do pewnego stopnia przypominają zakon Bédard, aczkolwiek ich dziedziną są uprawy roślin i hodowla zwierząt. Obydwa zajmują się krzewieniem wiedzy, a przy tym rolnictwem i produkcją żywności. Nauki archanioła Sondheima i archanioła Truscotta, zamieszczone w Piśmie, stanowiły podstawę procesu terraformingu Schronienia po tym, jak zrezygnowano z zaawansowanej technologii. Przed ponad dwustu laty przełożeni obu tych zakonów utracili prawo zasiadania w Radzie Wikariuszy. Barwą zakonu Sondheima jest brąz, a symbolem – snopek zboża. Barwą zakonu Truscotta jest brąz z domieszką zieleni, a symbolem – koń.

Zakon Hastingsa – to najmłodszy i najsłabszy współcześnie zakon. Podobnie jak poprzednicy zajmuje się krzewieniem wiedzy, a dodatkowo dostarcza kartografów, geodetów, a nawet astronomów, którzy wszakże nie wyszli poza ptolemeuszowską wizję wszechświata. Barwą zakonu jest zielono-brązowo-niebieska szachownica odzwierciedlająca roślinność, glebę i wodę. Symbolem – cyrkiel.

Zakon Jwo-jeng – początkowo jeden z czterech największych zakonów Kościoła Boga Oczekiwanego. W roku 650 został wchłonięty przez zakon Schuelera. (W tym samym czasie ustalono, że wielki inkwizytor odtąd będzie wywodził się z schuelerytów). Od tamtej pory zakon Jwo-jeng stanowi integralną część zakonu Schuelera.

Zakon Andropova – plasuje się pomiędzy liczącymi się i nieistotnymi zakonami Schronienia. Jak wynika z Pisma, Andropov był jednym z głównych archaniołów biorących udział w walkach

przeciwko Shan-wei i reszcie upadłych archaniołów, chociaż cechowało go lekkie (by nie powiedzieć: frywolne) podejście. Jego zakon miał tendencje epikurejskie, choć to akurat nie przeszkadzało Kościołowi Matce z uwagi na to, że jego loterie, kasyna, wyścigi konne i jaszczurodrapów zazwyczaj przynosiły niemałe sumy, które można było spożytkować na szlachetne cele. Praktycznie każdy bukmacher na Schronieniu albo jest członkiem tego zakonu, albo uważa archanioła Andropova za swego patrona. Nie ma potrzeby dodawać, że przełożony zakonu Andropova nie zasiada w Radzie Wikariuszy. Barwą zakonu jest czerwień, a symbolem – para kostek.

Poza wyżej wymienionymi zakonami istnieje wiele pomniejszych: zakony żebracze, zakony służebne (często, choć nie zawsze zgrupowane przy zakonie Pasquale), zakony dobroczynne (często, choć nie zawsze zgrupowane przy zakonie Bédard bądź przy zakonie Pasquale), zakony ascetyczne etc. Zarówno duże, jak i pomniejsze zakony utrzymują liczne klasztory, opactwa itp. Wszelako żaden członek pomniejszego zakonu nie otrzyma czepeca wikariusza, jeśli wcześniej nie przystąpi do któregoś z największych zakonów.

Spis treści

Cykl Schronienie

Dedykacja

Mapy

PAŹDZIERNIK ROKU PAŃSKIEGO 897

.I.

LISTOPAD ROKU PAŃSKIEGO 897

.I.

.II.

.III.

.IV.

.V.

.VI.

.VII.

.VIII.

LUTY ROKU PAŃSKIEGO 898

.I.

.II.

.III.

.IV.

.V.

.VI.

.VII.

.VIII.

.IX.

.X.

.XI.

.XII.

.XIII.

.XIV.

KWIECIEŃ ROKU PAŃSKIEGO 898

.I.

.II.

.III.

.IV.

.V.

.VI.

.VII.

.VIII.

.IX.

.X.

.XI.

.XII.

MAJ ROKU PAŃSKIEGO 898

.I.

.II.

.III.

.IV.

.V.

.VI.

CZERWIEC ROKU PAŃSKIEGO 898

.I.

.II.

.III.

.IV.

.V.

.VI.

.VII.

.VIII.

.IX.

.X.

.XI.

.XII.

LIPIEC ROKU PAŃSKIEGO 898

.I.

.II.

.III.

.IV.

.V.

.VI.

SIERPIEŃ ROKU PAŃSKIEGO 898

.I.

.II.

.III.

.IV.

.V.

.VI.

.VII.

.VIII.

LUTY ROKU PAŃSKIEGO 899

.I.

OD AUTORA

GLOSARIUSZ

Informacja dotycząca miar czasu na Schronieniu

Kościół Boga Oczekiwanego

Tytuł oryginału: *At the Sign of Triumph*

Text Copyright © 2016 by David Weber

Published by arrangement with Tom Doherty Associates, LLC.

All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2016

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Julianna Kowal

Mapa: Ellisa Mitchell

Projekt i opracowanie graficzne serii i okładki: AFISZ Jacek Pietrzyński

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Na znak tryumfu*, wyd. I, Poznań 2018)

ISBN 978-83-8062-917-2

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel.: 61 867 81 40, 61 867 47 08

fax: 61 867 37 74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**